

ALEXANDRA RIPLEY

SCARLETT

ciąg dalszy

Przeminęło z wiatrem

Margaret Mitchell



OD REDAKCJI

Każdy naród chce stworzyć własną legendę. Amerykanie rozpoznali swoją legendę w książce Margaret Mitchell. *Przeminęło z wiatrem* - wielka opowieść o wojnie Północy z Południem, ukończona w 1936 r. - kliwy romans - barwny obraz początków współczesnej Ameryki - już od ponad pół wieku podtrzymuje amerykański mit. Ta barwna panorama z czasów wojny secesyjnej, zaludniona przez wspaniałych mężczyzn i dzielne kobiety, romantyków, acz nie gardzących konieczną dozą zdrowego rozsądku, namiętnych w miłości i interesach, po dziś dzień jest jak zwierciadło, w którym chętnie przeglądają się także współczesne pokolenia.

Czy Aleksandrze Ripley udało się napisać ciąg dalszy *Przeminęło z wiatrem*? Czy ta wielka opowieść, pisana ponad trzy lata na zamówienie nowojorskiego wydawnictwa Warner Books jest jedynie prostą kontynuacją losów Retta Butlera i Scarlett O'Hary? Czy Aleksandra Ripley stworzyła w swej książce klimat właściwy dziełu wielkiej poprzedniczki? Jedno jest pewne: *Scarlett* nie powstała w Ameryce lat trzydziestych - to książka napisana w amerykańskich realiach końca XX wieku. Zatem to ciąg dalszy *Przeminęło z wiatrem*, ale i książka inna, nowa.

Losy tych samych ludzi, te same realia, ale inaczej, innym językiem pisane.

Tych, którzy pragną je poznać, zapraszamy.

KSIĘGA PIERWSZA
ZAGUBIONA W CIEMNOŚCI

1.

To się zaraz skończy, a potem wróci do Tary.

Scarlett O'Hara Hamilton Kennedy Butler stała samotna, w odległości kilku kroków od reszty żałobników zgromadzonych na pogrzebie Melanii Wilkes. Padał deszcz. Czarno odziani mężczyźni i kobiety trzymali nad głowami czarne parasolki. Kobiety płakały, a wszyscy, ciasno skupieni jedno przy drugim, dzielili ten sam żal i ten sam mały skrawek suchego miejsca, który powstał pod parasolową osłoną.

Scarlett z nikim nie dzieliła kryjówki pod parasolem, z nikim też nie dzieliła żalu. Podmuchy wiatru miały pod parasolkę zimne i mokre biczyki deszczu. Lodowate strumyki ciekły jej po szyi, po plecach, lecz działało się to jakby poza nią, była jak znieczulona. Niczego nie czuła, ta strata zupełnie ją obezwładniła. Później będzie rozpaczać, później - kiedy już będzie w stanie wytrzymać ból. Na razie trzymała to z dala od siebie - całą tę boleść, wszystkie uczucia, wszystkie myśli, wszystko z wyjątkiem słów, które bez przerwy powtarzała sobie w duchu. Słów, w których zawarta była obietnica uleczenia z bólu, które miały w sobie siłę przetrwania aż do chwili, gdy będzie uleczona.

To się zaraz skończy, a potem wrócę do Tary.

* * *

- ... Popioły do popiołów, proch do prochu...

Głos duchownego przedarł się przez powłokę odrętwienia, pochwyciła brzmienie słów. Nie! Scarlett załkała. To nie Mela. To nie jest grób Meli, ta dziura w ziemi jest taka wielka, Mela była taka szczuplutka, drobniejsza od ptaszka. Nie! To nie ona leży tu przed nią martwa, to niemożliwe.

Scarlett szarpnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć istnieniu otwartej mogiły, w którą teraz spuszczano jasną, sosnową skrzynię. W miękkim drewnie widać było małe półkola - ślady po uderzeniach młota, który wbijał gwoździe w wieko zatrzaśnięte nad delikatną, kochaną, serdeczną twarzą Melanii.

Nie! Nie możecie, nie powinniście tego robić! Przecież pada! Jak można, tak ją wrzucać do tego dołu, zmoknie od deszczu! Ona też czuje zimno, nie można jej tak zostawiać na ulewę. Nie mogę na to patrzeć, dłużej już tego nie zniosę, nigdy nie uwierzę, że odeszła. Kocha mnie, ona mnie kocha, to przyjaciółka, jedyna prawdziwa, jaką mam. Mela mnie kocha i nie opuści mnie właśnie teraz, gdy jest mi najbardziej potrzebna.

Scarlett spojrzała na ludzi otaczających grób, poczuła przypływ fali silnego gniewu. Żadne z nich nie troszczyło się o nią tak jak ja, żadne z nich nie straciło tyle, co ja. Żadne z nich nie wie, jak bardzo ją kocham. Ale Mela chyba wie... chyba? Tak, wie, muszę w to uwierzyć.

Za to oni nigdy nie uwierzyli mi, że ją kocham. Ani Mrs. Merriwether, ani Meadeowie, ani Whitingowie, ni Elsingowie. Spójrzcie tylko na nich, jak się tłoczą wokół Indii Wilkes i Ashleya niczym stado czarnych krów w parujących wilgocią czarnych, żałobnych strojach. Pocieszają łkającą ciotkę Pittypat, niech tam, choć każdy wie, że przejmują się i wypłakują oczy z powodu byle bzdury, nawet gdy grzanka się przypali. Do głowy by im nie przyszło, że to właśnie ja mogę potrzebować słów otuchy, że byłam bliższa Melanii od któregokolwiek z nich. Zachowują się tak, jakby mnie tu nie było. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Nawet Ashley. Za to wiedział, gdzie jestem, w ciągu tych dwóch strasznych dni, które minęły od śmierci Meli. Tak, wtedy byłam mu potrzebna, w końcu ktoś musiał zająć się tym wszystkim. Bezceli za mną - nawet India - jak owce za przewodnikiem stada. „Co z pogrzebem, Scarlett? A co ze stypą? Kto zamówi trumnę? Kto załatwi grabarzy? A działkę? Napis na tablicy? Akt zgonu?” Za to teraz, wsparci jedno o drugie, popłakują i szlochają. Cóż, nie sprawię im tej przyjemności: nie ujrzą mnie, jak krzyczę z bólu nie mając u boku nikogo, kto by mi podał ramię. Nie powinnam płakać, w każdym razie nie tutaj, jeszcze nie teraz. Jeśli zacznę, mogę nie przestać. W Tarze, kiedy już będę w domu, wtedy może tak.

Scarlett wysunęła podbródek, zacisnęła szczęki, by wreszcie powstrzymać szczykanie zębami, by stłumić w gardle łkanie. To się zaraz skończy, a potem wrócę do Tary.

* * *

Rozdarte na części życie Scarlett leżało tu, na cmentarzu Atlanta's Oakland. Wyniosła granitowa iglica, szary kamień sieczony biczami szarego deszczu, był jak posępny pomnik wzniesiony światu, który już odszedł na zawsze, światu beztroskiego dzieciństwa i młodości, światu sprzed wojny. Był to Pomnik Konfederata, symbol dumy, bezgranicznej odwagi Południa, które nie zawahało się ruszyć naprzód z rozwianymi szeroko proporcami wprost ku zagładzie. Ten pomnik stał tutaj na cześć każdego straconego życia, a było ich wiele. Wśród tych, których miał upamiętniać iluz było przyjaciół jej dzieciństwa, wytwornych młodzieńców schylających się z prośbami o walce i pocałunki, w owych dniach, gdy nie miała trosk większych niż te, którą z balowych sukni wybrać, bo przecież każda miała szeroką tiurniurę. To był pomnik jej

pierwszego męża, Karola Hamiltona, brata Melanii. Był to pomnik synów, braci, mężów i ojców wszystkich tych ludzi, którzy w mokrych od deszczu żałobnych strojach stali zebrani wokół małego kopczyka w miejscu, gdzie pochowano Melanię.

Były tu także inne mogiły, inne nagrobki. Wśród nich grób Franka Kennedy'ego, drugiego męża Scarlett. Oraz mały, tak strasznie mały kopczyk przywalony kamieniem z napisem „*Eugenia Victoria Butler*”, a pod nią drugi napis: „*Bonnie*” jej ostatnie, najukochańsze dziecko.

Miała wokół siebie i żywych, i umarłych, stała jednak samotnie. Zdałoby się, że na ten pogrzeb zwała się połowa Atlanty. Tłum wylał się z kościoła i teraz ludzki potok rozpryskiwał się szerokim, nierównym czarnym kręgiem chłostany ostrymi strugami deszczu, otaczał grób Melanii Wilkes, której ciało zamknięte w jasnej sosnowej trumnie przywalały grudy czerwonej gliny, bo taka była ziemia w Georgii.

W pierwszym szeregu stali ci, którzy byli najbliżsi zmarłej. Białe czy czarne twarze wszystkich lśniły od łez - wszystkich, z wyjątkiem Scarlett. Stary stangret, Wujek Peter, stał obok Dilcey i Cookie, tworząc ochronny, czarny trójkąt obejmujący Beau, synka Melanii, nieco zakłopotanego tym wszystkim, w czym przyszło mu brać udział.

Spotkało się tutaj starsze pokolenie obywateli Atlanty, a jeśli dało się zauważyć jakieś młodsze twarze, to było ich tragicznie mało - bo i tragicznie niewielu potomków pozostało starym rodom. Meadeowie, Whitingowie, Merriwetherowie, Elsingowie; ich córki i zięciowie, i ułomny Hugh Elving, jedyny z synów, który pozostał przy życiu; ciotka Pittypat Hamilton i jej brat wuj Henryk Hamilton, którzy zapomniawszy o zadawnionej niechęci pograżyli się we wspólnym żalu po siostrzenicy. Młodsza od pozostałych, lecz wyglądająca równie staro jak inni, India Wilkes odłączyła się od grupy, by smutnymi, ocienionymi świadomością winy oczami obserwować swego brata Ashleya. Stał samotnie, jak Scarlett. Stał w deszczu z odkrytą głową, jakby nie zauważając ofiarujących schronienie parasoli, nieświadomy, że mokro, i że zimno, niezdolny pogodzić się z ostatecznością, pobrzmiewającą w słowach duchownego, ani z ostatecznością obrazu wąskiej trumny spuszczonej w wyżłobiony w czerwonej glinie grób.

Ashley. Wysoki, szczupły i bez wyrazu, jego dawniej bladozłociste włosy dzisiaj były już prawie zupełnie przyprószone siwizną, pobladła twarz równie pusta jak puste było spojrzenie jego szarych, niewidzących oczu. Stał wyprostowany, jakby składał się do salut - spuścizna po latach spędzonych w szarym mundurze, nawyk z lat oficerskiej służby. Stał w bezruchu, nie okazując choćby cienia uczucia, w żaden sposób nie dając

znać, że wie, co się dokoła dzieje.

Ashley. Oto symbol i przyczyna zrujnowanego życia Scarlett. Dla jego miłości odrzuciła szczęście, które samo się do niej uśmiechało, wystarczyło wyciągnąć rękę i wziąć. Odwróciła się plecami do własnego męża, nie zauważając, że ją kocha, nie odpowiadając miłością na jego miłość, bo chciała mieć Ashleya, bo Ashley stanął na drodze do czegokolwiek innego. Rett odszedł, a jedynym śladem jego obecności tutaj była gałązka jesiennych kwiatów, ciepłych i złotych - jedynych wśród tylu innych. Zdradziła jedyne przyjaciela, wzgardziła miłością Melanii, jej cichym i upartym przywiązaniem. Teraz odeszła Melania. I nawet miłość Scarlett dla Ashleya - też odeszła - bowiem w końcu pojęła - zbyt późno - że nałóg darzenia miłością tego mężczyzny już dawno temu zastąpił miłość jako taką.

Już go nie kochała. Już nigdy więcej nie będzie go kochać. Ale teraz, gdy już go nie pożądała, Ashley należał do niej jako spadek po Melanii. Przecież obiecała Meli, że zajmie się nim oraz Beau - ich dzieckiem.

Ashley był przyczyną jej życiowej klęski, ale tylko to pozostało jej z życia.

Scarlett stała z dala od innych, samotna. Między nią i mieszkańcami Atlanty, tymi, których znała, rozciągała się teraz zimna szara przestrzeń. Dawniej tę pustkę wypełniała Melania, chroniąc ją przed izolacją i próżnią towarzyską. Wilgotny, zimny wiatr wiał teraz pod parasolką, tam, gdzie powinien teraz stać Rett i podtrzymywać ją swymi silnymi, barczystymi ramionami, wspierać swą miłością.

Wysoko trzymała podbródek, twarz wystawiała do wiatru, przyjmowała wściekle ataki wichru niczego nie czując. Wszystkimi siedmioma zmysłami skupiła się na słowach, które były jej mocą i nadzieją.

To się zaraz skończy, a potem wrócę do Tary.

* * *

- Spójrz tylko na nią - szepnęła do swego towarzysza kobieta, której twarz skrywała w głębokim cieniu czarna woalka. - Twarda jak gład. Słyszałam, że cały czas zajmowała się pogrzebem. Nie uroniła choćby łzy. Interesy... to cała Scarlett. Bezduszna. Serca dla nikogo.

- Wiesz, co mówią ludzie - odpowiedział jej szeptem. - Serce to ona ma, ale wyłącznie dla Ashleya Wilkesa. Nie sądzisz, że oni naprawdę...

Ktoś z tyłu syknął, żeby się uciszyli, lecz wszyscy myśleli to samo. Każdy. Nikt nie widział bólu w ciemnych oczach Scarlett, nikt nie słyszał, jak pod kosztowną pelisą z fok bije jej serce.

Głuchy odgłos ziemi uderzającej o drewno sprawił, że Scarlett zacisnęła pięści. Chciała zatkać sobie uszy, chciała krzyczeć, krzyczeć aż ochrypnie - cokolwiek, byleby tylko zagłuszyć to potworne dudnienie ziemi zamykającej się nad trumną Melanii. Przygryzła wargi. Aż do bólu. Nie, nie będzie krzyczeć.

Żałobną ciszę przerwał krzyk Ashleya.

- Melu... Mell...!

I znowu.

- Melu... Mel...

Był to krzyk udręczonej duszy, wezbranej samotnością i trwogą.

Potyając się, wykonał kilka sztywnych kroków w stronę gliniastej mogiły, niczym człowiek, który przed chwilą stracił wzrok, wyciągnął ręce chcąc objąć drobną, cichą postać - kobietę, od której czerpał całą swoją siłę. Ale nic tu nie było, co mógłby przygarnąć ramionami - nic poza strugami zimnego deszczu.

Scarlett obejrzała się na stojących obok: Tomasz Wellburn, doktor Meade, India, Henryk Hamilton. Dlaczego nic nie robią? Dlaczego go nie zatrzymają? Przecież trzeba go zatrzymać!

- Mel... eee!

Na miłość boską, jeszcze chwila i skręci sobie kark, a ci tak sobie stoją patrząc, jak kołysze się na krawędzi grobu.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła. - Ashley, mówię ci, stój! - rzuciła się do biegu, ślizgając się na mokrej trawie. Parasolkę cisnęła na bok i teraz wiatr miotał nią po ziemi, aż zatrzymała się na stosie kwiatów. Objęła Ashleya wokół bioder, usiłowała powstrzymać go od upadku. Zaczął ją odpychać.

- Ashleyu - Scarlett toczyła prawdziwą walkę. - Mela nie może ci teraz pomóc - jej głos brzmiał szorstko i opryskliwie, ale jak inaczej dotrzeć do świadomości mężczyzny spowitej grubą warstwą głuchego bólu?

Zatrzymał się, przestał wymachiwać rękoma. Załkał cicho, a potem całym ciałem zawisnął w ramionach Scarlett. I właściwie w chwili, gdy nie wytrzymując ciężaru rozluźniła chwyt omdlałych palców, doktor Meade oraz India przytrzymali osłabłe ramiona Ashleya, który był bliski upadku.

- Dziękuję, Scarlett. Możesz odejść - powiedział doktor Meade. - W niczym więcej nie możesz nikomu zaszkodzić.

- Ale ja... - potoczyła spojrzeniem po twarzach wokół, po oczach chciwie wyglądających sensacji. Potem odwróciła się i ruszyła przez deszcz. Tłum rozstępował

się, jakby muśnięcie jej rotundy mogło kogoś splamić.

Nie mogli zauważyć, że się tym przejęła, nie mogła im okazać, jak bardzo ją to wszystko dotykało. Wyzywająco wysoko uniosła podbródek, deszcz spływał jej po twarzy, krople ściekały po szyi. Szła dumnie wyprostowana jakby barczystych, zdałoby się, pleców nie przygniatał żaden ciężar. Szła tak aż do cmentarnej bramy, aż do momentu, gdy znikła z pola widzenia. A wtedy chwyciła się metalowego prętu ogrodzenia. Zupełnie wyczerpaną, ogarnęły ją zawroty głowy, nie była w stanie utrzymać się na nogach.

Podbiegł ku niej woźnica Elias, otworzył własną parasolkę, uniósł ją nad jej pochyloną głowę. Scarlett skierowała się do powozu, nie zwracając uwagi na wyciągniętą dłoń, gotową jej pomóc. Wtuliła się w ciemny kąt wybitego pluszem wnętrza, ściągnęła ciężką od wody wełnianą rotundę. Zięb przenikał ją do szpiku kości, mroziło ją przerażenie po tym, co zrobiła. Jakże mogła wstydzić się Ashleya, tam, wystawiona na spojrzenia całego miasta, skoro zaledwie parę nocy temu obiecała Melanii, że się nim zajmie i że będzie o niego dbała tak, jak o nią? Czy miała mu pozwolić, żeby się stoczył do grobu? Musiała go powstrzymać.

Powóz rzucał na boki, wysokie koła wpadały w głębokie koleiny mokrej gliniastej drogi. Za którymś szarpnięciem Scarlett omal nie spadła na podłogę. Łokciem uderzyła we framugę. Ostry ból przeszył jej ramię.

Ból był ostry, lecz był to ból fizyczny - ten mogła wytrzymać. Oprócz tego gdzieś w cieniu krył się jeszcze ból innego rodzaju - ten odkładany, odraczany, ten, którego musiała się zapierać przed samą sobą - tego bólu nie mogła znieść. Ale nie, jeszcze nie tutaj, jeszcze nie teraz, gdy była zupełnie sama. Musiała donieść ten ból do Tary, musiała... W domu czekała na nią Mammy, Mammy oplecie ją swymi ciemnymi rękoma, Mammy ją obejmie, Mammy ukołysze jej głowę na piersi, jak wtedy, gdy łkając zwierzała się jej z wszystkich trosk swego dzieciństwa, na piersi Mammyłoży skolataną głowę, zranione serce odżyje przy Mammy miłości. Mammy ukołysze ją, obdarzy miłością, podzieli jej ból i pomoże go znieść.

- Pośpiesz się, Eliasz! - zawołała do woźnicy. - Pośpiesz się!

* * *

- Pansy, proszę mi pomóc wynieść stąd te mokre rzeczy! - poleciła pokojówce. - Pośpiesz się!

Twarz miała upiornie bladą, tak że jej zielone oczy w tej trupiobladej oprawie sprawiały wrażenie ciemniejszych i większych niż były w rzeczywistości, ich widok

mógł przestraszyć. Młoda Murzynka ze zdenerwowania krzątała się nieporadnie.

- Pośpiesz się, powiedziałam. Jeśli przez ciebie spóźnię się na pociąg, dostaniesz baty.

Nie byłyby do tego zdolna i Pansy wiedziała o tym. Dni niewolnictwa minęły już bezpowrotnie, Mrs. Scarlett nie była panią jej życia i śmierci, mogła wymówić posadę gdy tylko przyszła jej na to ochota. Lecz niebezpieczne ogniki w zielonych oczach pani kazały Pansy zwątpić w stan jej wiedzy. Sprawiała wrażenie, jakby była do wszystkiego zdolna.

- Zapakuj czarne merynosy, robi się zimno - poleciła Scarlett. Zapatrzyła się w otwartą szafę: czarna wełna, czarny jedwab, czarna bawełna, czarny samodział, czarny aksamit. Będzie nosiła żałobę do końca życia: dotychczas była to żałoba po Bonnie, teraz jeszcze żałoba po Melanii. Jeśli znajdzie coś czarniejszego niż czerń, przywdzieje to i będzie nosiła jako żałobę po samej sobie.

Nie, teraz jeszcze nie ma co o tym myśleć. Można od tego wpaść w obłęd. Lepiej odłożyć to na czas, gdy już będę w Tarze. Tam zniosę wszystko.

* * *

Miejsce, gdzie drogi zbiegały się w Pięciu Znakach, było jak wielkie targowisko. Furgony, kolaski i powozy grzęzły w błocie. Woźnice przeklinali deszcz, grząskie drogi, konie i siebie wzajemnie. Zewsząd padały chrapliwe okrzyki, trzaskały baty, ludzie szemrali niespokojnie. Bo zawsze tłoczno było w Pięciu Znakach, ludzie tutaj zawsze się spieszyli, spierali, narzekali, wybuchali śmiechem. Pięć Znaków kipiało od życia, przepychanek, wrzało energią. Pięć Znaków było tą częścią Atlanty, którą Scarlett kochała najbardziej.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj Pięć Znaków było jej zawadą. Atlanta opóźniała jej odjazd. Muszę zdążyć na ten pociąg, powtarzała sobie, jeśli się spóźnię, chyba umrę. Muszę pojechać do Mammy, do Tary, w przeciwnym razie zupełnie się załamie.

- Eliaszu - krzyknęła. - Nie dbam, czy zajedziesz te konie na śmierć! Jeśli trzeba, tratuj ludzi na ulicy. Muszę zdążyć na dworzec przed odjazdem pociągu.

Miała najlepsze konie w okolicy, najlepszego woźnicę, powóz najlepszy z tych, jakie można kupić za pieniądze. Jeśli nawet coś zajedzie jej drogę, to na pewno nic lepszego od tego, co miała. Na dworcu była przed odjazdem pociągu.

* * *

Głośno syknęła para. Scarlett wstrzymała oddech, czekała na pierwsze szczęknięcie

kół - znak, że pociąg ruszył. Żelazo zgrzytnęło. Najpierw raz, potem drugi. Wagon szarpnął, stukot był coraz bardziej miarowy. Wreszcie jechała.

Wszystko jakby powoli dochodziło do ładu. Była w drodze do Tary. W pamięci odtwarzała sobie obraz tego jasnego domu, domu rozświetlonego bielą ścian i bielą firanek, trzepoczących na wietrze w szeroko otwartych oknach, domu prześwitującego zza zielonego listowia krzaków jaśminu, zdobnych w doskonale białe, jakby woskowe kwiaty.

Gęste, ciężkie jak ołów pierwsze krople ulewy uderzyły w szybę dokładnie w chwili, gdy pociąg wytaczał się ze stacji. Niech tam, nieważne! W salonie w Tarze trzaska ogień na kominku, wesołe płomyki skaczą po sosnowych kłocach, od ponurego widoku ołowianego nieba uchronią ją zasłony, ich biel odizoluje ją od ciemności świata. Ułoży głowę na kolanach Mammy i opowie jej o wszystkich tych okropnościach, które musiała znosić. Potem będzie już zdolna wszystko przemyśleć, wyrugować z pamięci rzeczy, których nie chciała pamiętać...

Syk pary i pisk kół kazały jej podnieść głowę.

Czy to może Jonesboro? Widocznie musiała się zdrzemnąć, nic dziwnego, zmęczenie zwałało ją z nóg. Przez dwie noce nie mogła zasnąć, mimo że na uspokojenie łyknęła sobie koniaku. Nie. Pociąg zatrzymał się na stacji Rough and Ready. Do Jonesboro jeszcze godzina jazdy. Może w Tarze świeci słońce? Oczyma wyobraźni widziała podjazd, ciemne cedry ocieniające aleję, potem szeroki zielony trawnik i wreszcie ukochany dom na szczycie przysadzistego wzgórza.

Westchnęła ciężko. Teraz panią domu była jej siostra Zuela. Hm... lepiej powiedzieć, nie „panią” lecz „mazgajem” domu. Kwękać - to jedno Zuela umiała najlepiej, w płaczu przodowała już od czasów dzieciństwa. No tak, ale teraz sama miała dziecko - równie płaczliwe jak ona w tym wieku.

Dzieci Scarlett także przebywały w Tarze, oboje: Wade i Ella. Wysłała je pod opieką Prissy, niańki, gdy tylko otrzymała wiadomość, że Melania umiera. Kto wie, może powinna wziąć je na pogrzeb. W ten sposób wszystkie jędze z Atlanty miałyby jeden więcej temat do plotek: „Cóż to za wyrodna matka, że ciąga dzieci po grobach” dałoby się słyszeć wśród żałobników. A niech tam, niech gadają, co chcą. Trudno było jej sobie wyobrazić, w jaki sposób dałaby sobie radę w czasie, jaki upłynął od śmierci Melanii do jej pogrzebu, w ciągu tych straszliwych dni i nocy, gdyby jeszcze miała na karku dzieci.

Tak, nie powinna dłużej zawracać tym sobie głowy. Jechała do domu, do Tary, do Mammy i wobec tego powinna położyć tamę myślom, zwracającym jej uwagę na to, co

chwała Bogu miała już za sobą. Bóg jeden wie, że zrobiłam więcej niż dosyć, żeby tylko nie wciągać w te przykre sprawy jeszcze dzieci, sama wzięłam wszystko na siebie. A teraz jestem taka zmęczona... Głowa opadła jej na piersi, oczy same się zamknęły.

- Jonesboro, psze pani - usłyszała głos konduktora. Spojrzała na mężczyznę, wyprostowała się.

- Ach, tak... dziękuję - rozejrzała się po przedziale w poszukiwaniu Pansy, która sprawowała pieczę nad walizkami. Obedrę tę dziewczuchę ze skóry, jeśli zrobiła sobie wypad do innego wagonu. Och, gdybyż tylko dama nie potrzebowała towarzystwa przyzwoitki, i to za każdym razem, gdy wystawi nogę za drzwi własnego domu. Najchętniej radziłabym sobie sama. No, wreszcie, tu cię mam.

- Pansy, zdejmij bagaż z półki. Jesteśmy na miejscu.

Do Tary jeszcze tylko pięć mil. Już pachnie domem. Dom!

Na peronie czekał Will Benteen, mąż Zueli. Cóż to za szok widzieć Willa, te pierwsze pięć sekund mijają zawsze w szoku. Scarlett naprawdę lubiła i szanowała Willa. Gdyby miała brata, a zawsze tego pragnęła, chciałaby, żeby był taki jak Will. Oczywiście nie powinien mieć drewnianej protezy zamiast nogi, no i nie powinien trzaskać z bata. To właśnie było przyczyną, że nie sposób było się pomylić i wziąć Willa za dżentelmena: Will niewątpliwie pozostawał o klasę niżej. Zapominała o tym, gdy nie miała go przed oczami, zapominała o tym zaraz gdy tylko mijała pierwsza minuta od chwili, gdy wymieniali powitalne uściski, bo dobry i miły z niego człowiek - tylko ten pierwszy moment był taki niezręczny. Nawet Mammy miała o nim dobre zdanie, a przecież najsurowszy był z niej sędzia, gdy przyszło podjąć decyzję, która z pań jest prawdziwą damą i który z kawalerów zasługuje na miano dżentelmena.

- Will! - ruszył ku niej charakterystycznym utykającym krokiem. Zarzuciła mu rękę na szyję i objęła w serdecznym uścisku.

- Och, Will, z tego szczęścia, że znowu cię widzę, gotowa jestem krzyknąć na całe gardło!

Przyjął te czułości bez emocji.

- Ja też się cieszę, Scarlett. Ile to już czasu!

- O wiele za dużo. Aż wstyd powiedzieć, prawie rok.

- Rok?... Prawie dwa lata.

Scarlett oniemiała. Tak długo? Nic dziwnego, że jej życie znalazło się w stanie pożałowania godnym. Tara zawsze sprawiała w niej cud odrodzenia, dodawała sił, gdy tylko potrzebowała nowej energii. Jak to możliwe, że tak długo mogła tu nie być?

Will skinął na Pansy, po czym ruszyli do wozu.

- Lepiej pospieszmy się, jeśli mamy być w domu zanim zapadnie zmierzch - mruknął. - Mam nadzieję, że nie odzwyczyłaś się od jeżdżenia furą, Scarlett i to wyładowaną po brzegi. Zaraz gdy przyjechałem do miasteczka zacząłem robić zakupy, a teraz będziemy musieli jakoś się z tym zmieścić.

Wóz był wyładowany górą worków i pakunków.

- W końcu to bez znaczenia - westchnęła Scarlett, nie rozmiijając się z prawdą. Przecież wracała do domu, a wszystko, co zbliżało ją do tego celu, było dobre. - Pansy, wdrapuj się na górę!

Przez całą drogę do domu nie zamieniła z Willem ani słowa. Siedzieli w milczeniu, Scarlett chłonęła wiejski spokój, wdychała orzeźwiające zapachy. Powietrze było jakby świeżo wyjęte z prania, zachodzące słońce muskało ciepłem po plecach. Dobrze zrobiła jadąc tutaj. Tara da jej azyl, o nim śniła od dawna, Mammy pomoże jej znaleźć sposób odbudowania świata, który legł w gruzach. Wychyliła się naprzód, gdy tylko wjechali w znajomy zakręt, uśmiechnęła się w oczekiwaniu.

Zaledwie jednak w polu widzenia ukazał się dom, jęknęła w rozpacz.

- Will, co tu się stało?

Front białej budowli porastały gęste sploty dzikiego wina, chaotycznie poskręcane pędy straszyły martwymi liśćmi, u czterech okien kołysały się wyłamane okiennice, dwa nie miały okiennic.

- Nic - spojrzał na nią z ukosa. - Lato na wsi. Domem zajmę się dopiero w zimie, jak już uprzątne pola. Za parę tygodni zrobię porządek z tymi okiennicami. Przecież to jeszcze nie październik.

- Dobry Boże, Will, dlaczego nie zwróciłeś się do mnie? Mogłam ci dać trochę pieniędzy, mógłbyś wziąć kogoś do pomocy. Elewacja odpada, tam gdzie był tynk, świecą gołe cegły, cały dom wygląda jak ostatnia ruina.

Will odpowiedział ze świętą cierpliwością:

- Nie znajdziesz tu nikogo do pomocy, ani za pieniądze, ani z sympatii. Jeśli ktoś chce tu pracować, ma ręce pełne roboty, jeśli woli tkwić w bezczynności, tym bardziej nie da się nająć, zresztą po co mi taki. Wszystko będzie w porządku, przekonasz się. Duży Sam i ja damy sobie radę. Nie potrzeba nam twoich pieniędzy.

Scarlett przygryzła wargi i zostawiła na końcu języka słowa, które cisnęły się jej na usta. Nieraz już próbowała skruszyć dumę Willa, ale wiedziała, że to niemożliwe - Will był niezłomny. Zresztą miał przecież rację mówiąc, że zbiorom i inwentarzowi należy

się pierwszeństwo - zadośćuczynienia potrzebom pola i obory nie dało się odłożyć na czas późniejszy, za to świeży tynk można było położyć nawet w październiku. Teraz już przed jej oczami roztaczał się widok na pola za domem. Odchwaszczone, świeżo zabronowane, siały łagodny, bogaty zapach nawozu, rozrzuconego, by przygotować grunt pod następny zasiew. Czerwona ziemia wyglądała ciepło i urodzajnie, Scarlett odpoczywała chłonąc ten widok: oto serce i dusza Tary.

- Masz rację - odpowiedziała Willowi.

W tej samej chwili drzwi wejściowe jak gdyby podfrunęły, szarpnięte od wewnątrz wielką siłą, a na ganek wysypał się tłum ludzi. Z przodu stała Zuela, trzymając w ramionach swe najmłodsze dziecko, wsparte na krągłym, obrzmiałym brzuchu, od którego obfitych krągłości spłowiwała jedwabna suknia omal nie pękła w szwach. Szal zwisał jej przez ramię. Scarlett usiłowała wzbudzić w sobie wesołość, której jednak wcale nie czuła w sercu.

- Dobry Boże, Will, czy Zuela ma zamiar mieć jeszcze jedno dziecko? Chyba będziesz musiał dobudować parę pokojów.

Will zachichotał.

- Ciągłe staramy się o chłopaka.

Podniósł rękę i pomachał na powitanie żonie i trzem córkom.

Scarlett także pomachała, myśląc zarazem, że chyba powinna była kupić dzieciakom jakieś prezenty. Panie Boże, spójrz tylko dobrym okiem na nich wszystkich: Zuela była nachmurzona. Spojrzenie Scarlett przesunęło się z twarzy na twarz w poszukiwaniu dobrze znanych, czarnych... tak, to Prissy; Wade i Ella chowali się gdzieś za połami jej sukni... a to jest Delilah, żona Dużego Sama - stała na ganku z chochlą w rękę, widocznie musiała coś mieszać... A to kto? Jak ona się nazywa? Ach, tak, to przecież Lutie, tutejsza bona. Ale gdzie Mammy? Zawołała do dzieciaków - Hallo, słodkie buziaki, przyjechała mamusia - po czym odwróciła się do Willa i ścisnęła go za ramię.

- Will, gdzie jest Mammy? Przecież jeszcze nie posunęła się w latach, na tyle, żeby nie mogła wyjść mi na spotkanie?... - strach ścinał jej słowa w gardle.

- Została w łóżku. Jest chora.

Zeskoczyła z jadącego wozu, potknęła się, wyprostowała i podbiegła do ganku.

- Gdzie Mammy? - wyrzuciła z siebie drżące słowa, nie zważając na radosne powitania dzieci.

- Niezłe „dzień dobry” - burknęła naburmuszona Zuela. - Ale lepszego nie mogłam

się po tobie spodziewać. Co ty w ogóle sobie myślisz, wysyłając tu Prissy z dziećmi, zaopatrując je na drogę w niewiele więcej niż matczyne błogosławieństwo? Chyba wiesz, że i bez nich mam ręce pełne roboty, a tu jeszcze ta trójka...

Scarlett podniosła rękę, gotowa wymierzyć siostrze siarczysty policzek.

- Zuela, jeśli natychmiast nie powiesz mi, gdzie jest Mammy, zacznę krzyczeć.

Prissy pociągnęła ją za rękaw.

- Mrs. Scarlett, ja wiem, gdzie jest. Choroba zwała ją z nóg, toteż przygotowaliśmy dla niej to małe pomieszczenie zaraz obok kuchni, tam gdzie dawniej trzymało się szynki... gdy jeszcze jadało się tutaj szynki. Przytulnie tam i ciepło, zaraz obok komina. Właściwie źle mówię „przygotowaliśmy”, bo już tam była, kiedy tu przyjechałam z dziećmi, ale wniosłam tam jeszcze krzesło, tak że ma na czym usiąść, kiedy podniesie się z łóżka, poza tym jeśli ktoś przyjdzie ją odwiedzić...

Prissy mówiła do powietrza. Scarlett była już przy drzwiach do dawnej spiżarni. Musiała wesprzeć się o futrynę, by nie omdleć z wrażenia.

Ta postać... ta postać w łóżku nie mogła być jej Mammy. Mammy była ogromną kobietą, silną i dobrze zbudowaną, o ciepłej cerze koloru kawy z mlekiem. Od dnia, gdy opuściła Atlantę, minęło już pewnie pół roku z okładem, ale trudno było uwierzyć, by w ciągu tego czasu choroba zdołała poczynić takie spustoszenia. To niemożliwe. Scarlett nie mogła w to uwierzyć. To nie była Mammy, nigdy nie przyjmie do wiadomości, że to ona. Miała przed sobą kobietę o szarej pomarszczonej cerze, kobietę, która z trudem podniosła się pod spłowiałą kapą z pozszywanych kawałków gałganów, kobietę, której powykrzywiane, szponowate palce słabo drgały wzdłuż fałd pościeli. Scarlett poczuła, jak przechodzą ją dreszcze.

A potem usłyszała głos Mammy. Mówiła cicho i z przerwami, lecz bez wątpienia był to słodki, kochany głos Mammy.

- Panienko, a nie mówiłam panience, żeby nie dawać kroku za próg bez kapelusza i parasolki?... Mówiłam i mówiłam, a panienka...

- Mammy! - Scarlett padła przy łóżku na kolana. - Mammy, to ja, Scarlett, twoja Scarlett. Mammy, nie choruj, proszę, nie mogę patrzeć, jak tak leżysz.

Złożyła głowę na kościstych, wychudłych rękach i rozplakała się jak dziecko.

Lekka, niemal nieważka dłoń pogłaskała ją po włosach.

- Nie płacz, dziecino. Nie jest ze mną aż tak źle, że nie poznaję ludzi.

- Wszystko - zaniosła się łkaniem - wszystko rozpada się w rękach. Nic mi się nie udaje.

- Cicho, dziecino, to tylko jedna filiżanka. Dostałaś inną, zobacz, jaka ładna. W twojej rodzinie zawsze będzie się piło herbatę w ładnych filiżankach, tak jak ci to obiecałam.

Scarlett, przerażona, podniosła głowę. Spojrzała na twarz Mammy i w zapadniętych oczach dostrzegła blask miłości. Ale te oczy nie widziały.

- Nie - z pobladych warg wyrwał się jej szept trwogi. Nie wytrzyma tego. Najpierw Melania, potem Rett, teraz Mammy. Wszyscy, których kochała, odeszli. Zbyt okrutne, by można było w to uwierzyć.

- Mammy - powtórzyła głośno. - Mammy, posłuchaj! To ja, Scarlett.

Chwyciła za brzeg materaca i usiłowała potrząsnąć posłaniem.

- Spójrz na mnie - zaszlochała. - Patrz, to ja, moja twarz, przecież mnie znasz. To ja, Scarlett.

Czyjeś ręce objęły ją w pól. Wielkie, silne ręce Willa.

- Nie rób tego - powiedział. Głos brzmiał łagodnie, lecz trzymał ją mocno, w stalowym uścisku.

- Nie rób tego, bo jest jej dobrze tam, gdzie jest teraz. Odeszła w czasy Savannah, znowu opiekuje się twoją matką, gdy była jeszcze małą dziewczynką. To były dla niej dobre czasy, była młoda, silna, nie znała bólu. Zostaw ją tam, gdzie jest.

Scarlett szarpnęła się, próbując uwolnić się ze stalowego uścisku.

- Chcę, żeby mnie poznała, Will. Przecież nigdy jej nie mówiłam, jak wiele dla mnie znaczy. Muszę jej to powiedzieć.

- Bez obaw, i na to przyjdzie stosowna chwila. Przez większość czasu jest przytomna, poznaje wszystkich... i wie, że umiera. Wtedy będziesz mogła powiedzieć jej, co chcesz. A teraz chodź, wszyscy czekają. Gdy Mammy wróci przytomność, Delilah usłyszy ją z kuchni, jak woła.

Scarlett dała postawić się na nogi. Cała była bez czucia, nawet serce odrętwiało. Nic nie czuła. W milczeniu podążyła za Willem do salonu. Tu zaraz napadła ją Zuela, podejmując swe narzekania dokładnie w miejscu, gdzie przerwała, ale Will zaraz ją uciszył.

- Twoją siostrę spotkał wielki cios, Zuelo zostaw ją samą.

Napełnił szklankę whisky i podał ją Scarlett. Whisky pomogła.

Wypaliła wzdłuż ciała znaną ścieżkę, w końcu stępiła ból. Uniosła pustą szklankę w stronę Willa, ten napełnił ją po raz drugi, tym razem po brzegi.

- Hello, kociaki - usłyszała swój własny głos. - Chodźcie, uściskajcie mamusię.

Nie poznawała własnego głosu, brzmiał tak, jakby należał do kogoś innego, w końcu jednak udało się jej powiedzieć to, co należało powiedzieć.

* * *

Każdą chwilę wolnego czasu spędzała w pokoiku Mammy, u jej boku. Jadąc do Tary wszystkie swe nadzieje wiązała z uczuciem błogości, płynącym z przeczuwanego ciepła ramion Mammy, obejmującej ją w chwilach największego zwątpienia, teraz jednak to ona swymi młodymi, silnymi rękoma podtrzymywała słabowite ciało umierającej kobiety. Podnosiła ją, gdy trzeba było ją umyć, zmienić prześcieradła, gdy było jej ciężko oddychać lub przemycić w zaciśnięte wargi kilka łyżek bulionu. Śpiewała kołysanki, które dawniej słyszała jak Mammy nuciła jej, a kiedy nieprzytomna chora przemawiała do jej zmarłej matki, odpowiadała słowami, które - jak sądziła - wyrzekłaby matka.

Niekiedy w jej zamglonych oczach dostrzegała przebłyski przytomności: Mammy poznawała ją, a jej popękane wargi rozchylały się w uśmiechu na widok ulubienicy. Wtedy karciła ją drżącym głosem, jak zawsze, jak wówczas, gdy była jeszcze dzieckiem.

- Panienko Scarlett, włosy panienki wyglądają jak zmotłane konopie, niechże panienka przeczesze je, choćby i ze sto razy, jak Mammy nieraz już panience mówiła - albo - nikt od panienki nie wymagał, żeby zakładać tę pomiętą sukienkę. Proszę zaraz się przebrać, zanim ludzie to zobaczą - albo - Miss Scarlett, panienka jest blada jak upiór. Czy panienka się pudruje? Proszę mi zaraz zmyć to bezeceństwo, natychmiast.

Czegokolwiek by Mammy nie zażądała, Scarlett obiecywała, że zaraz to zrobi. I nigdy nie miała dość czasu, by wypełnić te przyrzeczenia - tym bardziej nie było go teraz, gdy Mammy straciła przytomność i stała u progu świata, do którego Scarlett nie miała dostępu.

We dnie i wieczorem Zuela, Dilcey czy nawet Will dzielili się pracą przy łóżku chorej i wtedy Scarlett mogła zdrzemnąć się przez godzinę, zwinięta w kłębek na bujanym krześle. Ale nocą czuwała już tylko ona. Przygaszała płomyczek lampy naftowej, brała w dłonie suchą, wychudłą rękę Mammy. Teraz, gdy cały dom spał, gdy Mammy spała, Scarlett mogła dać upust łzom, a płacz, wyrywający się ze złamanego serca, koił nieco jej ból.

Pewnej nocy, w szarej godzinie, w ciszy poprzedzającej wschód słońca, Mammy obudziła się.

- Dlaczego płaczesz, skarbeczku? - szepnęła popękkanymi wargami. - Stara Mammy sposobi się złożyć swe brzemię i spocząć na łonie Najwyższego. Nie ma powodu, żeby

brać to w ten sposób.

Ścisnęła jej rękę, dotknęła jej pochylonej głowy.

- No, już cicho. To nie takie straszne, jak myślisz.

- Przepraszam - załkała Scarlett. - Ale nie mogę powstrzymać się od płaczu.

Skurczone palce Mammy odgarnęły z jej czoła kosmyk włosów.

- To powiedz teraz starej Mammy, co cię martwi, skowronku.

Scarlett spojrzała na starą, mądrą twarz, kochające oczy i przeszył ją ból - najgłębszy, jaki kiedykolwiek musiała znieść.

- Wszystko jakoś mi się poplątało, Mammy. Wszystko zrobiłam nie tak. Nie wiedziałam, że mogę popełnić tyle błędów. Sama już nie pojmuję, jak do tego doszło.

- Panienko, zrobiłaś, co musiałaś zrobić. Nikt nie mógłby zrobić więcej. Dobry Bóg obarczył cię ciężkim brzemieniem, a ty je dźwigałaś. Co się stało, to się stało. Nie gryź się tym teraz.

Ciężkie powieki zamknęły się nad jej oczami, by ukryć łzy błyszczące w bladym świetle, przyspieszony oddech zwolnił. Zasnęła.

Jakże tu nie gryźć się tym wszystkim? Scarlett czuła, że zaraz wybuchnie płaczem. Życie zrujnowane. Bóg jeden wie, od czego zacząć, Rett pewnie mógłby udzielić pomocy, ale odszedł. Tak mi cię potrzeba, teraz, właśnie w tej chwili, a i ty mnie opuściłeś.

Podniosła głowę, otarła z policzka łzy, wyprostowała zmartwiałe ramiona. Żar w brzuchatym piecyku prawie już wygasł, wiadro było puste. Musiała przynieść węgiel i podrzucić do pieca. W pokoiku powoli robiło się chłodno, a Mammy potrzebowała ciepła. Otuliła kruchą postać derką, po czym chwyciła wiadro i wybiegła w zimne ciemności, na podwórko. Szybko pobiegła do zagrody z węglem, myśląc po drodze, że chyba jednak należało owinąć głowę szalem.

Księżyc był prawie niewidoczny, jedynie gdzieś za chmurami srebrzył się słabo mały rogalik. Powietrze było ciężkie nocną wilgocią, a te kilka gwiazd, które wyglądały zza chmur sprawiało wrażenie bardzo odległych w przestrzeni i lodowato zimnych. Scarlett zadrżała: ciemność wokół niej była bezkształtna i nieskończona. Po omacku skierowała się tam, gdzie - jak sądziła - powinien być środek dziedzińca, ale nie mogła dostrzec zarysów wędzarni, ani kształtów stodoły, która powinna być gdzieś zaraz obok. Ogarnięta nagłym strachem odwróciła się, szukając białej bryły domu, skąd przed chwilą wyszła. Ale i dom rozpląnął się gdzieś w bezkształtnych ciemnościach. Jak okiem sięgnąć, nigdzie śladu światła. Było to tak, jakby zgubiła się w czarnym,

nieznanym, spowitym ciszą świcie. Noc była nieprzenikniona, nawet pióro nie drgnęło na ptasim skrzydle. Przerazenie szarpnęło jej i tak już nadszarpnięte nerwy. Chciała biec. Ale dokąd? Wszędzie wrogie ciemności.

Zacisnęła zęby. Cóż za szaleństwo cię opadło? Jesteś w domu, w Tarze, ciemności rozproszą się ze wschodem słońca. Postawiła na swoim - udało się jej roześmiać, lecz nienaturalny skrzek, który wydobył się z jej gardła jeszcze bardziej ją przeraził.

Ludzie mówią, że przed wschodem słońca zawsze jest najciemniej - przemknęło jej przez myśl. Teraz masz okazję przekonać się, czy ludzie mają rację... Wpadłam w depresję, ot i tyle. Ale chyba lepiej się temu nie poddawać, nie mam na to czasu, trzeba podsypać do pieca. Wyciągnęła więc przed siebie rękę w ciemności i szła tak po omacku w stronę, gdzie powinna być zagroda z węglem, tuż obok stosu drewna. Nagły spadek terenu sprawił, że straciła równowagę i upadła. Wiadro wypadło jej z ręki, z okropnym łomotem potoczyło się w dół, znikło bez śladu.

Każda cząstka jej wyczerpanego, przemarzniętego do szpiku kości ciała krzyczała, żeby już dała spokój, żeby się poddała, żeby została tam, gdzie stoi, czekając w tym miejscu do wschodu słońca, gdy dzień wstanie i będzie mogła widzieć. Ale Mammy potrzebowała ciepła. I napawającego otuchą żółtego płomienia, drgającego za agarową szybką.

Powoli dźwignęła się na nogi, wyciągniętą ręką badała ciemności wokół siebie w poszukiwaniu wiadra. Z pewnością nigdy jeszcze świat nie widział tak ciemnej nocy. Ani nie pamiętał, tak zimnego i wilgotnego powietrza. Aż dech w piersi zatykało! Gdzie to wiadro? Kiedy wreszcie wzejdzie słońce?

W końcu palce wyczuły chłód metalu. Schyliła się, zaczęła obmacywać powietrze na wysokości kolan, aż nareszcie dłońmi dotknęła falistej powierzchni blachy. Przysiadła na piętach i objęła wiadro w rozpaczliwym uścisku, jakby się bała, że znowu je zgubi.

Boże, już zupełnie jestem wykończona, wszystko mi się pokręciło. Nawet nie wiem, gdzie jest dom, nie wspominając już o zagrodzie z węglem. Zgubiłam się w nocy. Rozejrzała się gorączkowo, szukając bodaj iskierki światła, ale niebo całe było czarne. Nawet zimne, odległe gwiazdy zniknęły z pola widzenia.

Przez chwilę miała zamiar krzyczeć, krzyczeć tak długo, aż jej krzyk obudzi kogoś w domu, kogoś, kto zapali lampę, znajdzie ją i zaprowadzi do domu.

Lecz duma zabraniała jej tego. Już to sobie wyobrażała: zagubiona na podwórku, kilka kroków od drzwi kuchennych! Nigdy nie przeżyłaby takiego wstydu.

Przełożyła obręcz wiadra przez ramię, po czym zaczęła brnąć na czworakach po

czarnej, niewidocznej ziemi. Prędzej czy później trafi na coś: ścianę domu, stos drew, stajnię, studnię - wtedy odzyska orientację. Tak będzie szybciej niż wstać i iść. Owszem, idąc normalnie nie czułaby się jak niespełna rozumu, ale wtedy groziło jej, że znowu się przewróci, a tym razem może sobie skrzyć nogę albo i gorzej. Wtedy będzie już zupełnie bezradna aż do chwili, gdy ktoś ją znajdzie. Zatem nieważne, w jaki sposób dojdzie do celu - lepiej tak, niż gdyby leżała w tej ciemności sama, bezradna, zagubiona.

Gdzie tu jest mur? Tutaj, w tym miejscu, powinna być ściana. Nagle poczuła się tak, jak gdyby na czworakach znalazła się już w pół drogi do Jonesboro. Przebiegł ją dreszcz przerażenia. A jeśli ciemność nigdy się nie podniesie, a jeśli zawsze będzie się tak czułgać i nigdy nie dotrze do żadnego celu?

Dość tego! - zawołała w duchu. Krtań wydała jakieś dziwne chrząknięcia. Zatrzymaj to!

Dźwignęła się na równe nogi, uspokoiła oddech, sprawiła, że to umysł zaczął władać tłukącym jak oszalałe sercem, a nie odwrotnie. Jesteś Scarlett O'Hara - powiedziała wyraźnie. Znajdujesz się w Tarze, na podwórku, gdzie każdą piędź ziemi znasz lepiej niż własną dłoń. Cóż z tego, że nie możesz niczego dostrzec w odległości czterech stóp od czubka nosa? Wiesz, gdzie się znajdujesz, wiesz, co masz robić, by znaleźć to, czego szukasz.

Zrobiła, co powinna była zrobić, ale już nie na czworakach, niczym dziecko czy pies. Podniosła dumnie podbródek, wyprostowała się, tak że wąskie ramiona sprawiały wrażenie szerokich. Dzięki Bogu, nikt nie widział jak raczkuje w błocie, jak posuwa się z nosem przy ziemi krok za krokiem, nie mając dość odwagi, by wstać. Nigdy w życiu nie dała się pokonać, nie pobiła jej ani stara armia Shermana, ani najzłośliwszy z Carpetbaggerów. Nikt ani nic nie mogło jej pokonać, chyba że sama dopuściłaby do porażki, ale wtedy to już mogła mieć pretensje tylko do siebie. Cóż to za pomysł, dać się zastraszyć ciemności, raczkować niczym bojaźliwa płaksa!

Jak sądzę, wystawiłam się na ślepy los, machnęłam ręką i powiedziałam, niech się dzieje co chce - rozmyślała z niesmakiem, a własny gniew rozgrzewał ją wewnątrz. Nigdy więcej nie dopuszczę, by to się powtórzyło, nigdy, niezależnie od okoliczności. Jeśli całą drogę idziesz w dół, w końcu dosięgniesz dna, a wtedy to już tylko pod górę. Jeśli sfuszerowałam życie, teraz trzeba posprzątać brudy i naprawić fuszerkę. Nie będę leżała w gnoju. Nie będę żyła w zakłamaniu.

Trzymając w wyciągniętej przed siebie ręce wiadro na węgiel, pewnymi krokami

szła naprzód. W końcu usłyszała szcęk metalu - wiadro uderzyło w coś twardego. Roześmiała się głośno, gdy z wilgotnym, chłodnym powietrzem wciągnęła ostry zapach żywicy ze świeżo ściętej sosny. Dotarła wreszcie do stosu drewna, zagroda z węglem była tuż obok. Była dokładnie tam, dokąd chciała dotrzeć.

* * *

Żelazne drzwiczki piecyka, w którym znowu strzelał wesoły ogień, zatrzasnęły się z tak głośnym szcękaniem, że Mammy aż drgnęła. Scarlett podbiegła do łóżka, by poprawić pościel. W pokoju było chłodno.

Mammy, choć cierpiała, spojrzała na Scarlett.

- Jesteś brudna na twarzy... ręce też masz brudne - mruknęła słabo głosem pełnym przygany.

- Wiem - odpowiedziała Scarlett. - Natychmiast się umyję.

Zanim jeszcze świadomość starej kobiety odpłynęła w sobie tylko znane miejsca, Scarlett pocałowała ją w czoło.

- Kocham cię, Mammy.

- Nie musisz mi powtarzać czegoś, co dobrze wiem - westchnęła, po czym uciekając przed bólem zapadła w sen.

- O, nie. Muszę - powiedziała, chociaż zdawała sobie sprawę, że Mammy już jej nie słyszy. Ciągnęła jednak dalej, właściwie tylko do siebie. - Istnieją, potrzeby różnego rodzaju. Nigdy nie powiedziałam Melanii, że ją kocham, nigdy nie powiedziałam o tym Rettowi, aż w końcu było za późno. Teraz czuję potrzebę, by o tym mówić. Nigdy nie miałam czasu, by opowiedzieć o tym jemu, wam obojgu. Teraz w końcu nie chcę popełnić wobec ciebie tego samego błędu, który popełniłam wobec niego.

Spojrzała w dół, na łóżko, gdzie leżała stara umierająca kobieta o twarzy przywodzącej już na myśl trupią czaszkę.

- Kocham cię, Mammy - szepnęła. - Co ze mną będzie, gdy już zabraknie mi ciebie i twojej miłości?

2.

Z trzaskiem otwarły się drzwi do pokoju chorej i w szczelinie ukazała się głowa Prissy, omiatającej wścibskimi spojrzeniami niewielkie pomieszczenie.

- Miss Scarlett, Mr. Will, on powiedział, żebym tu teraz sobie posiedziała, żeby panienka zjadła coś na śniadanie. A Delilah powiedziała, że tym siedzeniem tutaj to pani sobie całe zdrowie zrujnuje i ukroiła specjalnie dla pani piękny kawał soczystej szynki, za pani trudy.

- Gdzie rosół z wołowiny dla Mammy? - niecierpliwie spytała Scarlett. - Delilah wie przecież, że pierwszą rzeczą, którą ma zrobić zaraz gdy wstanie, to przynieść ciepły rosół dla chorej.

- Właśnie niosę - Prissy pchnęła drzwi łokciem, a wtedy okazało się, że w rękach trzyma tacę. - Ale Mammy śpi, Miss Scarlett. Chce ją pani obudzić i nakarmić?

- Niech rosół stoi pod przykrywką. Postaw tacę przy piecu. Gdy wrócę, zajmę się karmieniem.

Dopiero teraz Scarlett poczuła dziki głód. Wspaniały zapach ciepłego rosołu sprawił, że pusty żołądek zaczął się gwałtownie kurczyć.

W kuchni pośpiesznie umyła twarz i ręce. Suknię też miała brudną, wcale nie mniej, ale brud da się usunąć. Postanowiła, że najpierw zje, potem weźmie się za porządk.

Gdy weszła do jadalni, Will właśnie wstawał od stołu. Rolnicy nigdy nie marnują czasu, zwłaszcza zaś gdy dzień wzejdzie taki jak ten - promienny i ciepły. Słońce na wschodnim horyzoncie biło w okno niezwykłym blaskiem, obiecując, że do wieczora będzie bez chmur.

- Może pomóc w czymś wujowi? - spytał Wade z nadzieją w głosie. Podskoczył, omal nie uderzając brodą o poręcz krzesła. Potem zauważył, że weszła matka, a wtedy cały zapal mu minął. Spochmurniał. Wiedział, że albo będzie stać u stołu dając przykład najlepszych obyczajów, albo narazi się na gniew matki. Powoli ruszył do miejsca, gdzie miała usiąść Scarlett, by przytrzymać jej krzesło.

- Cóż za maniery! - cmoknęła Zuela. - Dzień dobry, siostrzyczko. Czyż nasz młody dżentelmen nie wzbudza w tobie uczucia macierzyńskiej dumy?

Scarlett spojrzała bezmyślnie najpierw na Zuelę, potem na Wade'a. Dobry Boże przecież to tylko dziecko, co u licha skłoniło Zuelę do tych głupkowatych zachwyków? To, w jaki sposób wyraziła swój podziw, pozwalałoby przypuszczać, że Wade był jej partnerem w tańcu i że właśnie nawiązał z nią flircik.

Patrząc tak na syna zaskoczona stwierdziła, że wyglądał całkiem sympatycznie.

Wysoki jak na swój wiek, wyglądał raczej na trzynastolatka, choć miał zaledwie dwanaście lat. Z pewnością jednak Zuela ochłonęłaby w swych zachwytach, gdyby musiała kupować mu nowe ubrania, w tempie równie szalonym, z jaką szybkością rósł.

Ojej, ubrania! Co właściwie powinien nosić chłopak w jego wieku? Gdy był Rett, on robił zakupy dla Wade'a. Ani nie wiem, w co go ubrać, ani nawet nie mam pojęcia, gdzie kupuje się takie rzeczy. Rękawy ma już za krótkie, to widać, pewnie trzeba by kupić koszulę o numer większą. I to szybko. Zaraz zacznie się szkoła, o ile już się nie zaczęła. Nie wiem, jaki dziś dzień.

Scarlett usiadła ciężko na krześle, które przytrzymał jej syn. Miała nadzieję, że Wade zna swoje potrzeby, i że od niego się dowie, co powinna robić. Najpierw jednak musi coś zjeść. Zapach jedzenia oprócz skurczów żołądka wywołał także potężny ślinotok - czuła się tak, jakby właśnie zrobiła sobie płukanie gardła.

- Dziękuję, Wade - powiedziała z miną osoby nieobecnej duchem. Szynka wyglądała wspaniale - pysznie różowa, soczysta, z cienką warstewką tłuszczu okalającą wielki plaster. Szybko położyła na kolanach serwetkę, nie dbając nawet o to, by ją rozpostrzeć, po czym sięgnęła po nóż i widelec.

- Mamo? - zapytał Wade, ostrożnie rozciągając samogłoski.

- Hm? - Scarlett kroila szynkę.

- Czy mógłbym pomóc wujowi w polu?

Scarlett złamała kardynalną regułę dobrych manier i odpowiedziała, mimo że miała pełne usta (szynka była wyborna).

- Tak, idź.

Ręce miała zajęte krojeniem drugiego kawałka.

- Ja też chcę! - piskliwym głosem zawołała Ella.

- Ja też! - powtórzyła Susie, córka Zueli.

- A wy po co? - burknął Wade.

- Robota w polu to męska rzecz. Dziewczyny powinny siedzieć w domu.

Susie uderzyła w płacz.

- No i zobacz, co narobiłaś - syknęła Zuela, rzucając Scarlett mściwe spojrzenie.

- Ja? Przecież to twój bachor ryczy.

Scarlett, od chwili gdy przestąpiła próg tego domu, bardzo się pilnowała, by unikać utarczek z siostrą, ale siła przyzwyczajenia przeważała dobre chęci. Już w dzieciństwie zaczęły ze sobą walczyć i na dobrą sprawę nigdy nie złożyły broni.

Lecz złość nie była na tyle silna, by Scarlett dała sobie popsuć przyjemność

spożywania z apetytem pierwszego solidnego posiłku od nie wiadomo jak dawna. Zatem całą uwagę skupiła na dokładnym polewaniu roztopionym masłem błyszczącej na talerzu białej kopy kaszy. Nie oderwała wzroku od jedzenia nawet wtedy, gdy Wade wyszedł za Willem, a płacz Elli zmieszał się z płaczem Susie.

- Uciszcie się obie - krzyknęła Zuela.

Teraz Scarlett polala białą, błyszczącą górę sosem, ułożyła równy kopczyk kaszy na kawałku szynki, zwinęła rogi i wbiła w to widelec.

- Wujek Rett na pewno by mi pozwolił - zawodziła Ella.

Nie będę tego słuchać - postanowiła Scarlett. Po prostu zamknę uszy i będę się delectować jedzeniem. Szynka z kaszą i sosem wylądowała w ustach.

- Mamo... mamo, kiedy wujek Rett przyjedzie do Tary? - głos Elli przeszył ją niczym sztydło. Scarlett słyszała słowa, choć wcale ich nie chciała słyszeć, a pyszne kęsy, jeszcze przed chwilą rozplywające się w ustach, nagle zaczęły smakować jak trociny. Cóż miała powiedzieć? Jak odpowiedzieć na pytanie córki?

- Nigdy.

Czy to była właściwa odpowiedź? Sama nie chciała, nie mogła w to uwierzyć. Popatrzyła z niechęcią na czerwoną od płaczu twarz Elli. Wszystko popsuła! Czy ta dziewczucha nie może zostawić mnie w spokoju przynajmniej na czas śniadania?

Ella miała rude kędzierzawe włosy, odziedziczone po swym ojcu, którym był Frank Kennedy. Okalały jej zapłakaną twarzyczkę niby zardzewiałe spirale, zawsze niesfornie wymykając się spod cienkich wstążek, za pomocą których Prissy usiłowała ująć je w rzy, niezależnie od tego, jak długo by się ich nie spryskiwało wodą. Ciało Elli było też jak drut, chude i kanciaste. Była starsza od Susie, miała już prawie siedem lat, podczas gdy Susie dopiero sześć i pół, lecz to córka Zueli przerastała ją o pół głowy i była na tyle silniejsza, że mogła bezkarnie znęcać się nad nią.

Nic dziwnego, że Ella chce, aby przyjechał Rett - pomyślała Scarlett. On naprawdę troszczy się o nią, ja nie. To dziecko działa mi na nerwy, tak jak Frank, a niezależnie od tego, jak usilnie starałabym się ją pokochać, moje wysiłki pełzną na niczym.

- Mamusiu, kiedy przyjedzie wujek Rett? - powtórzyła Ella.

Scarlett odsunęła krzesło od stołu. Wstała.

- To sprawa dorosłych - powiedziała. - Idę zobaczyć, co z Mammy.

W tej chwili Rett i wszelka myśl o nim były jej udręką - nie mogła się zmusić do roztrząsania tej sprawy. Zajmie się tym później, gdy już nie będzie tak roztrzęsiona. Teraz znacznie ważniejszą rzeczą było nakłonić Mammy do przełknięcia kilku łyżek

rosołu.

* * *

- Jeszcze jedna łyżka, Mammy, a będę zupełnie szczęśliwa.

Stara kobieta odsunęła głowę od łyżki.

- Zmęczonam - westchnęła.

- Wiem - kiwnęła głową Scarlett. - Wiem. Dobrze, teraz możesz się zdrzemnąć, już nie będę się naprzykrzać.

Spojrzała na prawie pełną miskę. Z każdym dniem Mammy jadła coraz mniej.

- Miss Ellen... - zawołała słabym głosem Mammy.

- Tu jestem - odpowiedziała Scarlett. Nie mogła się powstrzymać od uczucia głębokiej przykrości, gdy chora nie poznawała jej i gdy myślała, że te ręce, które z taką troską ją pielęgnowały, były rękoma jej matki. Nie powinnam zwracać na to uwagi - powtarzała sobie za każdym razem. To Mama zawsze troszczyła się o chorych, ja nie. Matka zawsze była życzliwa wobec wszystkich, była aniołem, była damą w każdym calu. Jeśli więc Mammy bierze mnie za matkę, powinnam być z tego dumna. Chyba pójdę do piekła za to, że zazdroszczę matce uczucia, którym darzy ją Mammy... tyle że już nie wierzę w piekło... ani w niebo.

- Miss Ellen...

- Tu jestem.

Obrzmiałe powieki uniosły się z trudem, odsłaniając stare oczy.

- Ty nie jesteś Miss Ellen.

- To ja, Scarlett. Twoja najwierniejsza Scarlett.

- Panienko... chcę powiedzieć coś... panu Rettowi.

Scarlett poczuła, jak zaciśnięte zęby ranią jej wargę. Ja też bym chciała coś mu powiedzieć! - krzyknęła w głębi serca. I to tak wiele mam mu do powiedzenia. Ale on odszedł, Mammy. Nie mogę ci go przywrócić.

Spostrzegła, że chora znowu popadła w stan bliski śpiączki. To dobrze. Wreszcie uwolniła się od bólu. Za to jej serce krwawiło, jakby przeszyte nożami. Jakże potrzebny był jej Rett, zwłaszcza teraz, gdy Mammy coraz szybciej zsuwała się po stromym zboczu, w dół ku śmierci. Gdyby tak mógł być teraz ze mną, dzieląc mój ból, bowiem Rett także kochał Mammy, a ona kochała jego. Nigdy jeszcze nie walczył z takim trudem, by zasłużyć na czyjąś sympatię - powiedział jej kiedyś - i nigdy nie dbał tak mocno o czyjąś opinię, jak o zdanie Mammy. Z pewnością serce mu pęknie, gdy dowie się, że umarła, z pewnością pragnąłby znaleźć się tutaj i wyrzec jej słowa ostatniego

pożegnania.

Głowa Scarlett dźwignęła się, dziwnie lekko, źrenice zogromniały jakby w chwili wielkiego odkrycia. Oczywiście! Jakże była głupia, że nie pomyślała o tym wcześniej. Spojrzała na mądrą starą kobietę, szczupłą i prawie nieważką pod stertą pościeli.

- Mammy, jakże ci jestem wdzięczna - szepnęła jednym tchem. - Przybyłam tu do ciebie w poszukiwaniu pomocy, żeby naprawić wszystko, co zepsułam, a ty nie odmówiłaś mi i pomogłaś, w sobie tylko właściwy sposób, jak zawsze.

* * *

Znalazła Willa w stajni. Czyścił konie.

- Cieszę się, że cię tu widzę - westchnęła z ulgą.

Jej zielone oczy błyszczały, policzki poróżowiały od rumieńców, zamiast od warstwy różu, którą zwykle nanosiła na twarz.

- Mogę wziąć konia i powóz? Muszę pojechać do Jonesboro... chyba że sam pojedziesz do miasteczka, zdaje się coś o tym mówiłeś?

Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

Will spojrzał na nią, jak zwykle opanowany. Rozumiał Scarlett lepiej, niż mogłaby przypuszczać.

- Czym mogę ci pomóc? Skoro mówiłem, że zamierzam pojechać do Jonesboro, to znaczy, że pojedę.

- Och, Will, drogi ty mój, słodziutki, najchętniej nie odstępowałabym Mammy na krok, a tymczasem muszę zawiadomić Retta o jej stanie. Mammy nie przestaje o niego pytać, a i on zawsze ją tak lubił, że pewnie nie darowałby sobie, gdyby ją zawiódł i nie przyjechał.

Wyrzucając z siebie potok słów, bezmyślnie skubała końską grzywę.

- Rett jest właśnie w Charlestonie - wydusiła na koniec. - Sprawy rodzinne... wiesz, jego matka - zanim weźmie oddech, musi go przedtem spytać o radę.

Podniosła wzrok, spojrzała na twarz Willa - jak zwykle bez wyrazu - potem przeniosła spojrzenie gdzieś w dal. Zaczęła splatać kawałki końskiego włosa, poświęcając tej czynności tyle uwagi, jakby to była sprawa wprost życiowej wagi.

- Jeśli więc zgadzasz się wysłać ten telegram, to dam ci adres. Ale byłoby lepiej, gdybyś sam się podpisał. Rett wie, jak uwielbiam Mammy i gotów sądzić, że przesadzam.

Znowu podniosła wzrok, uśmiechnęła się promiennie.

- Jemu zawsze się wydaje, że nie grzeszę rozumem bardziej niż chrapaszcz.

Will wiedział, że z wszystkich kłamstw, które przed chwilą usłyszał, ostatnie było największe.

- Chyba masz rację - odparł, ważąc słowa. - Rett powinien tu się zjawić tak szybko, jak to tylko możliwe. Zaraz ruszam w drogę. Pojadę wierzchem, tak będzie szybciej niż powozem.

Scarlett dała wreszcie spokój międleniu końskiego włosa.

- Dziękuję. Adres mam w kieszeni.

- Wróć na kolację - mruknął Will. Zdjął siodło z wieszaka. Scarlett pomogła mu osiodłać konia. Czuła, jak ją całą przepelnia energia. Była pewna, że Rett przyjedzie. Z Charlestonu do Tary mógł przybyć w ciągu dwóch dni od otrzymania depezy.

* * *

Ale Rett nie przybył za dwa dni. Ani za trzy, ani za cztery, ani za pięć. Scarlett przestała już nasłuchiwać, czy za oknem nie rozlega się turkot kół czy stukot końskich podkówek. Ubierała się byle jak i tylko ciągle nasłuchiwała. Lecz inny dźwięk przykuł teraz jej uwagę - straszliwe rżenie - odgłosy walki o oddech, którą dzień i noc toczyła Mammy z samą sobą. Zdało się niemożliwe, aby to kruche, zniszczone chorobą ciało było zdolne zebrać dość sił potrzebnych, żeby wtłoczyć powietrze do płuc i wydusić je stamtąd z powrotem. Niemniej jednak czyniła to, raz za razem, a więzadła głosowe napinały się i drżały.

Do czuwania przy chorej dołączyła też Zuela.

- Ona jest także moją Mammy, Scarlett.

Lata zazdrości i okrutnego traktowania poszły w zapomnienie wobec potrzeby udzielenia pomocy starej, schorowanej kobiecie. Z całego domu zniosły poduszki i podłożyły je pod głowę Mammy, kociołek z ipekakuaną - środkiem wykrztuśnym - stale bulgotał. Spękane wargi smarowały masłem, łyżeczka po łyżeczce poiły Mammy wodą.

Ale nic nie było w stanie ulżyć w zmaganiach umierającej, która patrzyła na ich wysiłki ze współczuciem.

- Dziewczynki, tylko nie zamęczajcie się na śmierć - wykrztusiła. - I tak nie możecie mi pomóc.

* * *

- Szszsz... - Scarlett położyła jej palec na usta. - Cicho! Nie zmuszaj się do mówienia. Oszczędzaj siły.

Dlaczego - wyrzucała w myślach Bogu - dlaczego nie dasz jej, Panie, lekkiej śmierci,

gdy tak wędruje w krainie przeszłości? Dlaczego wtedy znowu ją budzisz i każesz cierpieć? Była przecież dobra, całe życie przeżyła dobrze, zawsze czyniła innym dobro, zabiegała o wszystko dla bliźnich, sama niczego nie żądając. Zasłużyła sobie na lepszy koniec, a ponieważ widzę Twoją niesprawiedliwość, póki żyję nie schylę przed Tobą głowy.

Ale nocą, kiedy siedziała przy łóżku, czytała na głos ze starej, zniszczonej Biblii. Czytała psalmy, a w jej głosie nie było śladu bólu, nic nie zdradzało świętokradczego oburzenia w jej sercu. Gdy noc zapadła, Zuela zapaliła lampę i zmieniła Scarlett - teraz ona czytała, przewracała cienkie stronicę biblijnego papieru, znowu czytała. Potem Scarlett zajęła jej miejsce, potem znowu przysła Zuela i było tak aż do chwili, gdy w drzwiach stanął Will, który kazał żonie choć trochę się zdrzemnąć.

- Tobie też przyda się odrobina snu, Scarlett - powiedział. - Teraz ja posiedzę przy Mammy. Wprawdzie nie czytam najlepiej, ale moc psalmów znam na pamięć.

- Dobrze, to recytuj je. Ale nie opuszczę Mammy. Nie potrafię.

Usiadła na podłodze i wsparłszy się plecami o ścianę słuchała przeraźliwych odgłosów agonii.

Kiedy pierwsze blade blaski dnia błysnęły w oknie, głośnie walka ze śmiercią nagle przybrała inną formę: z każdym oddechem dało się słyszeć głośniejsze rżenie, przerwy między jednym oddechem a drugim stały się dłuższe. Scarlett zerwała się z podłogi. Will zerwał się z krzesła.

- Zawołam Zuelę - powiedział i znikł za drzwiami. Zajęła jego miejsce przy łóżku.

- Mammy, chcesz, żebym trzymała cię za rękę?

Z wysiłkiem zmarszczyła brwi.

- Taka... zmęczona...

- Wiem. Nie przysparzaj sobie cierpienia mówiąc zbyt dużo.

- Chciałam... doczekać... przyjazdu Mr. Retta...

Scarlett stłumiła łkanie - teraz nie wolno jej było płakać.

- Przecież nigdzie się nie wybierasz, Mammy. Odpoczywaj. Rett nie mógł przyjechać.

Z kuchni dobiegły ją odgłosy śpiesznych kroków.

- Już idzie Zuela. I Mr. Will. Wszyscy będziemy przy tobie. Wszyscy cię kochamy.

Jakiś cień padł na łóżko. Mammy uśmiechnęła się.

- Chciała mnie widzieć - powiedział Rett.

Scarlett obróciła się. Spojrzała z niedowierzaniem.

- Ustąp mi miejsca - rzekł Rett łagodnie. - Pozwól mi być bliżej niej.

Scarlett wstała, fizycznie czując jego bliskość, jego wielkość, siłę, jego męskość. Stała i czuła jak nogi uginają się pod nią. Rett zajął jej miejsce. Przyklęknął.

Jednak przyjechał. Wszystko zmierzało ku dobremu. Scarlett przyklęknęła obok niego, jej ramię dotykało jego ramienia, była szczęśliwa, choć serce miała rozdarte, była szczęśliwa szczęściem Mammy. Przyjechał. Był tutaj. Cóż za głupota zwątpić w jego przyjazd, porzucić nadzieję.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedziała Mammy. Jej głos brzmiał mocno, jakby na tę jeszcze chwilę oszczędzała resztki sił. Ale oddech miała płytki i rwący, ledwo zauważalny.

- Czego tylko żądasz - zapewnił Rett.

- Pochowaj mnie w tej pięknej halce z czerwonego jedwabiu, tej, którą mi dałeś. Tylko miej ją na oku. Wiem, że Lutie bardzo się nią interesuje.

Rett wybuchnął śmiechem. Scarlett oniemiała - jak to, śmiech u łóża śmierci! Zaraz potem przekonała się, że Mammy wtóruje mu w śmiechu, tyle że bezgłośnie.

Rett przyłożył rękę do serca.

- Przysięgam, że Lutie nawet nie rzuci na nią okiem. Bądź pewna, że do nieba pójdziesz w czerwonej jedwabnej halce.

Mammy skinęła dłonią - znak, żeby zbliżył ucho do jej ust.

- I opiekuj się Scarlett - dodała. - Opieka jest jej potrzebna, a ja już nie mogę jej pomóc.

Scarlett wstrzymała oddech.

- Będę się nią opiekował.

- Przysięgnij! - zażądała głosem wprowadzie łagodnym, lecz surowym.

- Przysięgam.

Mammy westchnęła z ulgą.

Scarlett ciężko wypuściła powietrze z płuc.

- Mammy, dziękuję - zawołała, łykając łzy. - Mammy...

- Już cię nie słyszy... Odeszła.

Rett położył swą wielką dłoń na twarzy Mammy i delikatnie zamknął jej oczy.

- A razem z nią odszedł cały świat - dodał cicho. - Odeszła cała epoka... Niech odpoczywa w pokoju.

- Amen - od progu dobiegł głos Willa.

Rett wstał, odwrócił się.

- Will, Zuelo, witajcie.

- I pomyśleć, że tobie poświęciła ostatnią myśl - krzyknęła Zuela. - Tobie, Scarlett. Zawsze byłaś jej ulubienicą.

Zaniosła się głośnym płaczem. Will wziął ją w ramiona, pogłaskał ją po plecach, obtarł z policzków łzy.

Scarlett podbiegła do Retta. Wyciągnęła ręce, gotowa objąć za szyję.

- Tak za tobą tęskniłam!

Rett objął ją wokół bioder, po czym delikatnie, ale stanowczo wziął ją za ręce i dał krok do tyłu.

- Nie, Scarlett - powiedział bardzo spokojnym głosem. - Między nami nic się nie zmieniło.

Ta powściągliwość z jego strony sprawiła, że Scarlett zupełnie straciła głowę.

- Co... co to ma znaczyć? - krzyknęła lekko zachrypnięta.

Rett drgnął.

- Nie zmuszaj mnie, żebym ci powtarzał. Wiesz doskonale, co miałem na myśli.

- Nie wiem. Nie wierzę ci. Nie możesz mnie opuścić. Nie teraz, gdy kocham cię, gdy tak mi cię potrzeba. Och, Rett, nie patrz na mnie w ten sposób. Dlaczego nie weźmiesz mnie w ramiona i nie powiesz kilku słów otuchy? Przecież obiecałeś Mammy.

Potrząsnął głową. Na twarz wypłynął mu delikatny uśmiech.

- Ależ z ciebie dziecko, Scarlett. Znasz mnie od tylu lat, a mimo tego, gdy tak ci wygodnie, puszczasz w niepamięć wszystko, czego się nauczyłaś. To było kłamstwo. Skłamałem, żeby w ostatniej godzinie życia ta stara, dobra kobieta, czuła, że jest szczęśliwa. Pamiętaj, dzieciно: kanalia ze mnie, nie dżentelmen.

Ruszył w stronę drzwi.

- Nie odchodź, Rett - załkała. - Proszę.

Zaraz jednak obiema dłońmi zakryła sobie usta. Nie, tak nie można. Jeśli znowu zacznie żebrać, nigdy nie będzie w stanie spojrzeć sobie prosto w oczy. Szybko odwróciła głowę, nie mogła przyglądać się, jak odchodził. Dostrzegła triumf w oczach Zueli. W oczach Willa tliła się litość.

- Jeszcze tu wróci - powiedziała, unosząc głowę. - Zawsze wraca.

Jeśli będziesz powtarzała to wystarczająco często, może sama w to uwierzysz - dodała w myślach. Tak, może stanie się to prawdą.

- Zawsze - powtórzyła i wzięła głęboki oddech. - Gdzie jest czerwona jedwabna halka Mammy? Chciałabym ją zobaczyć, bo Mammy życzyła sobie, żeby ją w niej

pochować.

* * *

Scarlett była w stanie utrzymać nerwy na wodzy nawet wtedy, gdy trzeba było umyć i ubrać ciało. Ale gdy Will wniósł trumnę poczuła dreszcze. Bez słowa odwróciła się i uciekła.

Pobiegła do jadalni. Wzięła karafkę i naląła sobie pół szklanki whisky. Wypiła trzema łykami. Zapieкло. Lecz później ciepło alkoholu rozeszło się po jej znękanym ciele. Dreszcze ustały.

Potrzebuję powietrza - pomyślała. Muszę wyjść, byle dalej od tego domu, byle dalej od tego wszystkiego. Z kuchni dobiegały ją przerażone głosy dzieci. Czowała się tak, jakby ktoś uderzał ją w odsłonięte nerwy. Poprawiła spódnicę. Wyszła.

Owionął ją rześki powiew chłodnego, rannego powietrza. Scarlett oddychała głęboko, chłonąc świeżość. Delikatny powiew rozwał jej włosy przyklepione do mokrego od potu karku. Kiedyż to ostatnim razem rozczesywała te pozlepiane strąki? Nie mogła sobie przypomnieć. Mammy dostałaby na ten widok ataku szału. Och! Przyłożyła do warg prawą pięść by pohamować nagły przyływ żalu po czym, potykając się w wysokiej trawie ruszyła przez pastwisko w dół wzgórza, tam, gdzie wysokie drzewa cembrowały brzeg rzeki. Wysokie sosny pachniały ostrą słodyczą. Głęboki cień padał na miękką, grubą podściółkę uschłych igieł, które zbierały się tu już od setek lat. Pod osłoną drzew Scarlett mogła czuć się samotna, z domu nikt jej nie widział. Zmęczona, opadła na miękką podściółkę, usadowiła się pod drzewem, wsparta o pień. Musiała pomyśleć. Musiał być jakiś sposób na to, by dźwignąć życie z gruzów - nie dopuszczała, by mogło być inaczej.

Nie mogła jednak powstrzymać umysłu od przeskakiwania od jednej myśli do drugiej. Była zupełnie rozbita, śmiertelnie znużona.

Przecież już przedtem ledwo słała się na nogach ze zmęczenia. Wtedy było jeszcze gorzej. Wtedy, gdy musiała dostać się z Atlanty do Tary, otoczona ze wszystkich stron jankeską armią - wtedy nie dopuściła, by zmęczenie powstrzymało ją w marszu. Wtedy, gdy musiała szukać jedzenia wszędzie gdzie popadło - wtedy nie zrezygnowała, choć nogi i ręce zdały się być niczym śmiertelne ciężary, uwieszane u jej zmordowanego ciała. Wtedy, gdy zrywała bawełnę aż pokrwawiła sobie dłonie, gdy niczym muł zaprzęgała się do pług, gdy musiała dobyć z siebie dość sił, by mimo wszystko iść naprzód - nie, wtedy nie skapitulowała tłumacząc się zmęczeniem. Teraz też nie zamierza skapitulować. Rezygnacja - to nie leżało w jej naturze.

Zapatrzyła się w dal, jakby spojrziała prosto w oczy sprzysięgłych przeciw niej demonów. Śmierć Melanii... śmierć Mammy... wreszcie odejście Retta i jego słowa o tym, że ich małżeństwo umarło.

To było najgorsze. Odejście Retta. Głównie z tym musiała się zmierzyć. Ciągłe słyszała jego głos: „Nic się nie zmieniło”.

Niemożliwe, żeby to była prawda... A jednak.

Musiała znaleźć sposób, jak go odzyskać. Zawsze umiała zdobyć każdego mężczyznę, którego chciała mieć, a Rett był przecież mężczyzną jednym z wielu, czyż nie tak?

Nie, nie był taki jak inni, właśnie dlatego chciała go mieć dla siebie. Zadrzała, przeniknięta dreszczem strachu. A jeśli tym razem poniesie klęskę? Dotychczas zawsze wygrywała, tak czy inaczej. Zawsze miała to, czego chciała. Dotychczas.

Nad jej głową rozdarła się sójka. Spojrzała w górę, usłyszała drugi przenikliwy wrzask ptaka.

- Daj mi spokój! - krzyknęła.

Ptak odfrunął - furkot krzykliwego błękitu.

Musiała przemyśleć, przypomnieć sobie, co mówił Rett. Nie tego ranka, ani ostatniej nocy, nie teraz, gdy umierała Mammy. Wcześniej. Co mówił w naszym domu, tej nocy, kiedy opuścił Atlantę. Mówił wtedy i mówił, wyjaśniał. Był taki spokojny, tak okropnie cierpliwy, i to w taki sposób, jak wtedy, gdy człowiek znajduje się w otoczeniu ludzi, którzy go nic nie obchodzą. Oszaleć można było przez ten jego spokój.

Jej umysł usiłował uchwycić prawie już zapomniane zdanie, a starał się tak bardzo, że zapomniała o zmęczeniu. Tak, znalazła to, czego szukała. Tak, pamiętała to, pamiętała zupełnie jasno. Rett zaproponował rozwód. I potem, gdy w wybuchu szału odrzuciła tę propozycję, wypowiedział zdanie, które z takim trudem usiłowała sobie przypomnieć. Zamknęła oczy, słyszała, jak w głowie rozbrzmiewa jego głos:

„Będę wracał, wystarczająco często, by zdusić w zarodku wszelkie plotki”. Uśmiechnęła się. Jeszcze nie zwyciężyła, ale to była szansa. A szansa to już coś, od czego można zacząć. Wstała. Strząsnęła z sukni i włosów igielki sosny. Pewnie wyglądam jak wcielenie rozpacz...

Mulista, żółta Flint River płynęła powoli, głęboko, daleko poniżej skarpy, na której rosły sosny. Scarlett spojrzała w dół. Nabrała pełną garść igieł i cisnęła do wody. Popłynęły, niesione prądem, wirując na powierzchni.

- Dalej - mruknęła. - Naprzód, jak ja. Nie oglądać się za siebie. Co się stało, to się

stało. Byle dalej.

Spojrzała w jasne niebo. Błękit przecinał pas lśnącobiałych chmur. Wyglądały jak gdyby były pełne wiatru. Znosi się na chłody - pomyślała odruchowo. Na pogrzeb lepiej ubrać się w coś ciepłego. Ruszyła z powrotem ku domowi. Zbocze wzgórza, na którym rozciągało się pastwisko, było jakby bardziej strome niż miała to w pamięci. Nieważne. Musiała wrócić do domu i zrobić trochę porządku wokół siebie. Była winna Mammy schludny wygląd. Zawsze się denerwowała, gdy widziała ją w nieładzie.

3.

Scarlett ślaniała się na nogach. Była chyba tak zmęczona, jak już kiedyś zdarzyło się jej w życiu, ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy. Była zbyt zmęczona, by móc sobie przypominać.

Jestem zmęczona pogrzebami, jestem zmęczona śmiercią, jestem zmęczona tym, że moje życie wali się, kawałek po kawałku, i że zostaję sama.

Cmentarz w Tarze nie był zbyt wielki. Grób Mammy sprawiał wrażenie ogromnego, był nawet większy od grobu Meli - pomyślała Scarlett, czując, jak w głowie kłębią się chaotyczne myśli. Ale przecież Mammy tak schudła, że w końcu chyba nie była większa niż inni. Nie potrzebowała aż tak wielkiego grobu.

Wiatr uderzył w górę świeżo skopanej ziemi, lecz niebo było błękitne, słońce świeciło jasno. Żółte liście szybowwały nad cmentarzem, niesione podmuchami wiatru. Zbliża się jesień - przemknęło jej przez myśl - o ile już nie nadeszła. Zwykle lubiłam jesień na wsi. Papa miał zawsze wspaniałą stadninę. Jadąc wśród drzew można było wyobrazić sobie, że ziemię pokryła warstwa złota, powietrze pachniało cynamonem. Tyle czasu już upłynęło. Na dobrą sprawę, od śmierci Papy nie było w Tarze prawdziwych wierzchowców.

Spojrzała na tablice grobów. Gerald O'Hara, urodzony w hrabstwie Meath, Irlandia. Ellen Robillard O'Hara, urodzona w Savannah, Georgia. Gerald O'Hara Jr. - trzy wąskie tablice, jedna podobna do drugiej. Nigdy nie знаła braci. W końcu teraz pochowano tu Mammy, zaraz obok „Miss Ellen”, jej pierwszej miłości - pogrzebano ją tutaj, nie w kwaterze niewolników. Od krzyku Zueli omal niebo się nie zerwało, ale wygrałam tę walkę, zaraz gdy tylko Will stanął po mojej stronie. Jeśli Will coś postanowi, żadne dyskusje nie mają sensu. Szkoda tylko, że jest taki uparty w kwestii pieniędzy - przecież mogłabym mu pomóc. Dom wygląda okropnie.

Jeśli już o to chodzi, cmentarz wyglądał podobnie. Cały porośnięty chwastami, zupełna nędza. Cały ten pogrzeb jest żaloszny, Mammy, gdyby to widziała, skrzywiłaby się ze wstrętem. Ten czarny pastor głądził i głądził, a nawet nie znał zmarłej, założę się. Mammy nie poświęciłaby ani chwili na słuchanie czegoś podobnego. Była katoliczką, wszyscy Robillardowie byli katolikami, z wyjątkiem dziadka, ale on niewiele miał w sprawach wiary do powiedzenia, we wszystkich zresztą sprawach niewiele miał do powiedzenia, słuchał się Mammy. Chyba powinniśmy sprowadzić księdza, ale najbliższa parafia katolicka jest w Atlancie, to zabrałoby parę dni. Biedna Mammy. Biedna Mama, która zmarła i została pochowana bez księdza. Papa zresztą też, lecz on

nie przywiązywał wagi do rzeczy tego rodzaju. Miał zwyczaj drzemać podczas wieczornych modłów, które matka prowadziła dzień w dzień.

Scarlett popatrzyła na zapuszczony cmentarz, potem spojrzała na równie zaniedbany front domu. Dobrze, że mama już nie żyje i nie musi tego oglądać - pomyślała w nagłym wybuchu gniewu i bólu. Serce by jej pękło. Przez chwilę zdało się jej, że widzi jak żywą wysoką, pełną gracji postać matki - wizja była tak sugestywna, jak gdyby Ellen O'Hara była wśród żałobników. Zawsze nieskazitelnie ubrana, jej białe dłonie zawsze zajęte robótką ręczną, a gdy zakładała rękawiczki, był to znak, że śpieszy by dopełnić jednego z dzieł miłosierdzia; nigdy nie podnosząca głosu, wiecznie zajęta nieustannym dążeniem do ładu doskonałego, jakim było życie w Tarze, gdy ona stała na czele wszystkiego. Jak ona to robiła? Scarlett załkała cicho. Jak ona to robiła, że dopóki tu żyła, świat zdawał się tak wspaniały? Wtedy wszyscy byliśmy szczęśliwi. Cokolwiek by się nie stało, matka wszystko potrafiła skierować na dobrą drogę. Jakżebym chciała, żeby znowu tu była! Mocno przytuliłaby mnie do siebie i wszystkie troski poszłyby precz.

Nie, nie, lepiej żeby tu się nie zjawiała. Byłoby jej przykro gdyby widziała, co się stało z Tarą, co się stało ze mną. Widząc mnie przeżyłaby wielki zawód i mogłaby tego nie znieść. Wszystko, tylko nie to. Nie będę o tym myślała, nie powinnam o tym myśleć. Będę myśleć o czymś innym - aż dziw bierze, że Delilah okazała tyle przytomności i przygotowała stypę. Zueli nigdy by to nie wpadło do głowy, zresztą i tak ciągle się stara oszczędzać na jedzeniu.

A przecież niewiele by ją to kosztowało - przyszła zaledwie garstka osób. Za to ten czarny pastor wygląda tak, jakby mógł zjeść za dwudziestu. Jeśli w końcu nie przestanie zwracać głowy tym spoczynkiem na łonie Abrahama i przejściem przez Jordan, zacznę krzyczeć. Jedynie te trzy kościste kobiety, które przyprowadził ze sobą jako „chór” nie przestępują z nogi na nogę z zakłopotania. Też mi chór! Tamburyny i spirituals! Nad trumną Mammy godziłoby się zaśpiewać coś podniosłego, po łacinie, a nie jakieś tam „Wspinam się po drabinie Jakubowej”. Och, jakże to wszystko grubymi nićmi szyte. Szczęście, że prawie nikt nie przyszedł, tylko Zuela, Will, ja, dzieci i służba. No tak, w końcu jedynie my naprawdę kochaliśmy Mammy, nas jedynie przejęła jej śmierć. Wielki Sam ma oczy czerwone od płaczu. Biedny stary Pork, on też ociera łzy. Skąd u niego ta siwizna? Nigdy nie sądziłam, że jest aż tak stary. Z kolei Dilcey wcale nie wygląda na swój wiek - niezależnie od tego, ile by miała lat, od chwili, gdy po raz pierwszy zjawiała się w Tarze jej wygląd prawie się nie zmienił...

Umysł Scarlett, zmęczony i skołatany, nagle odzyskał ostrość widzenia. No tak, ale co robi tu teraz Pork, skąd wzięła się Dilcey? Przecież ci dwoje od lat już nie pracowali w Tarze. Pork opuścił Tarę w chwili, gdy został lokajem u Retta, a Dilcey - jego żona - zamieszkała u Melanii, jako niańka Beau. W jaki sposób się tu znaleźli? Nie mogli dowiedzieć się o śmierci Mammy... chyba że Rett im powiedział.

Obejrzała się za siebie. Rett wrócił? Ani śladu. Gdy tylko obrzęd dobiegł końca, skierowała się w stronę Porka. Niech Will i Zuela zajmą się złotoustym pastorem.

- Smutna chwila, Miss Scarlett - w oczach Porka błyszczały łzy.

- Tak, to prawda - odpowiedziała. Nie powinna go ponaglać, oczywiście, w przeciwnym razie nigdy się nie dowie tego, co chce wiedzieć.

Szła powoli obok czarnego sługi słuchając jego wynurzeń na temat „pana Geralda”, Mammy i początków Tary. Już nawet zapomniała, że Pork tak długo pracował u jej ojca. Przybył tutaj razem z nim, gdy w Tarze nie było nic poza starym wypalonym budynkiem i polami, które wymagały odchwaszczenia. W takim razie Pork powinien mieć siedemdziesiąt lat, może więcej.

Powoli, krok za kroczkiem, wyławiała potrzebne informacje. Rett wrócił do Charlestonu, gdzie się zatrzymał. Pork spakował wszystkie jego ubrania i wysłał na dworzec kolejowy, do ekspedycji. Była to ostatnia przysługa, jaką oddał swemu panu. Rett zwolnił go, dając mu taką odprawę, że teraz mógł osiąść tam, gdzie mu się podobało. „Jeszcze zostanie mi dla rodziny” - dumnie oświadczył Pork. Dilcey nigdy już nie będzie musiała pracować, a jeśli mężczyzna zechce poślubić Prissy, nie odda mu dziewczyny z pustymi rękami.

- Prissy nie jest piękną - mówił Pork. - Zaraz jej stuknie dwadzieścia pięć lat, ale z posagiem to sobie prędzej złowi męża niż młoda i zgrabna, ale goła.

Scarlett uśmiechała się i potakiwała, i zgodziła się z Porkiem, że „pan Rett” to dżentelmen w każdym calu. Uśmiechała się i potakiwała, i czuła jak w środku się gotuje. „W każdym calu dżentelmen” swoją wielkodusznością nieźle pogmatwał jej życie. Kto będzie zajmował się Wade'em i Ellą? A któż u licha musiał się dwoić i troić, żeby znaleźć dobrą niańkę dla Beau? Właśnie straciła wtedy matkę, ojciec z żalości omal nie postradał zmysłów, a teraz odeszła także Prissy, jedyna osoba, która w całym tym domu zawsze potrafiła zachować przytomność. Żeby tak można było zabrać się i odejść, tak jak tamci. Najświętsza Panienko! Przybyłam do Tary na odpoczynek, by nabrać sił do życia, a jedyne co tu znalazłam, to cała góra problemów, z którymi trzeba coś począć. Czy kiedykolwiek dana mi będzie chwila wytchnienia?

Will spokojnie, ale bardzo stanowczo nakazał jej to, czego tak bardzo pragnęła. Posłał ją do łóżka i wydał polecenie, by nikt jej nie przeszkadzał. Spała prawie osiemnaście godzin, a kiedy się obudziła, miała w głowie gotowy plan działania.

* * *

- Mam nadzieję, że spałaś dobrze - przywitała ją Zuela, gdy zeszła na dół na śniadanie. Słodczyz w jej głosie aż mdliła. - Tak, musiałaś być potwornie zmęczona tym wszystkim, co ostatnio przeszłaś.

Teraz, gdy Mammy nie żyła, rozejm już nie obowiązywał.

W oczach Scarlett pojawiły się niebezpieczne błyski. Wiedziała, że Zuela myśli o tej ohydnej scenie, gdy błagała Retta, by jej nie opuszczał. Ale gdy odezwała się w odpowiedzi, jej słowa ociekały słodyczą.

- Zaledwie poczułam, jak głowa dotyka poduszki, powalił mnie sen. Wiejskie powietrze ma bardzo kojące właściwości. Także orzeźwia.

Ty sobacze nasienie - dodała w myśli. Sypialnia, którą nadal uważała za swoją, teraz należała do Susie - najstarszej córki Zueli - toteż Scarlett czuła się w tym domu zupełnie obco. Zuela dobrze zdawała sobie z tego sprawę, bez dwóch zdań. Nieważne! Jeśli chciała wprowadzić swój plan w życie, musiała utrzymywać z nią dobre stosunki. Uśmiechnęła się zatem do siostry.

- Co cię tak śmieszy, Scarlett? Mam przyszcz na nosie, czy co?

Brmienie głosu Zueli wprawilo Scarlett w stan najwyższej irytacji, lecz nie spłoszyło z jej twarzy uśmiechu.

- Przepraszam, Zue. Po prostu przypomniałam sobie głupi sen, który miałam tej nocy. Śniło mi się, że znowu jesteśmy dziećmi, a Mammy bije mnie po pupie witką z drzewa brzoskwiniowego. Pamiętasz jak to piekło?

Teraz Zuela uśmiechnęła się.

- Jasne. Lucie stosowała tę metodę wychowawczą wobec niegrzecznych dziewcząt. Nieomal czuję, jak za każdym uderzeniem piecze mnie pupa.

Scarlett uważnie spojrzała na twarz siostry.

- Aż dziw, że nie zostało mi po tym milion blizn - westchnęła. - Ależ byłam krnąbrną dziewczynką. Nie pojmuję, jak ty i Karina mogłyście ze mną wytrzymać.

Zuela zerknęła podejrzliwie.

- O, to prawda. Zadręczałaś nas i zawsze tak wszystko poplątałaś, że wyglądało jakbyśmy to my wszczynały bójki.

- Wiem. Okropna byłam. Nawet gdy podrosłam. Zaprzęłam Karinę i ciebie niczym

muły, gdy musiałyśmy zbierać bawełnę, wtedy, kiedy Jankesi wszystko pokradli.

- Omal nas nie zadręczyłaś na śmierć. Byłyśmy ledwo żywe po tyfusie, a ty zganiałaś nas z łóżka i wypędzałaś na spiekotę... - Zuela mówiła z większym ożywieniem, bardziej porywczo, jakby wypowiadała skargi, które tłumiała w sobie przez lata.

Scarlett kiwnęła zachęcająco głową, wzdychając cicho na znak, że ubolewa. Jakżeż Zuela lubi się żalić - pomyślała. Dla niej to prawie jak chleb powszedni. Poczekala, aż siostra skończy, następnie odezwała się:

- Czuję się tak podle, a w dodatku w żaden sposób nie mogę ci wynagrodzić za te wszystkie krzywdy, jakich ode mnie doznałaś. To niegodziwie ze strony Willa, że nie chce przyjąć ode mnie ani centa. Ostatecznie chcę mu pomóc w remoncie domu... Tara jest przecież także moim domem, w każdym razie czymś w tym rodzaju.

- Sto razy mu to powtarzałam - westchnęła Zuela.

Pewnie, założę się, że tym razem nie skłamałaś - przemknęło przez myśl Scarlett. Ale zaraz dodała głośno:

- Mężczyźni są uparci.

Na chwilę zapadła cisza.

- Och, siostrzyczko, właśnie przyszło mi coś do głowy - zawołała z nagłym ożywieniem. - Tylko powiedz, „tak”, kochanie, a wyświadcysz mi prawdziwe błogosławieństwo. Will zapewne nie będzie miał o to pretensji. Otóż... co powiesz, jeśli zostawię w Tarze Ellę i Wade'a i przyślę ci pieniądze na utrzymanie? Wiesz, dzieci tak mi zmarniały w mieście, a wiejskie powietrze bardzo im służy.

- Nie wiem, Scarlett... Kiedy urodzę, będzie tu straszny ścisk.

Wyraz twarzy Zueli mówił, że w jej duszy pazerność toczyła walkę z ostrożnością.

- Wiem - współczująco westchnęła. - Poza tym Wade Hampton je jak koń. Ale tak by im się przydało pomieszkać na wsi, tym małym biednym mieszczuchom. Przypuszczam, że sto dolarów miesięcznie starczyłoby za ledwie na koszty wyżywienia, no... może jeszcze na kupno jakichś butów.

Wątpiła, czy Will jest w stanie wysupłać sto dolarów gotówką za okrągły rok nieprzerwanej harówki. Z satysfakcją zauważyła, że Zuela oniemiała. Ale była pewna, że głos siostrze wróci, gdy trzeba będzie powiedzieć „tak”. Zaraz po śniadaniu wypiszę piękny czek na okrągłą sumę - postanowiła w myśli.

- O, są i biszkopciki, te które zawsze lubiłam - przerwała ciszę. - Mogę sobie wziąć jeszcze jeden?

Pokrzepiający sen sprawił, że zaczynało jej wracać dobre samopoczucie, do czego

jeszcze przyczynił się pełny żołądek oraz perspektywa uwolnienia się od dzieci. Wiedziała: musi wracać do Atlanty. Trzeba zobaczyć, jak tam z Beau - na pewno było coś do zrobienia. I jeszcze Ashley - przecież przyrzekła Melanii. Ale zdąży o tym pomyśleć potem. Przybyła do Tary jak do oazy wiejskiego spokoju i ciszy. Zanim stąd wyjedzie, musi zaznać choć trochę uroków wiejskiego życia.

Po śniadaniu Zuela wyszła do kuchni. Prawdopodobnie żeby na coś ponarzekać - Scarlett nieżycziwie westchnęła w duchu. Nie szkodzi. Przynajmniej będzie miała okazję pomyśleć w samotności i ciszy...

Tak cicho w domu. Dzieci chyba jadły w kuchni, Will oczywiście już od dawna jest w polu, a Wade pobiegł jego śladem, dokładnie w ten sam sposób jak wtedy, gdy Will po raz pierwszy przyjechał do Tary. Wade będzie szczęśliwszy tutaj niż w Atlancie, zwłaszcza że Rett odjechał... nie, nie będę teraz o tym myśleć, w przeciwnym razie oszaleję. Trzeba mi teraz cieszyć się spokojem i ciszą - po to tu przybyłam.

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy nie zauważywszy, że była zaledwie letnia. Wpadający przez okno blask słońca oświetlał obraz, który wisiał na ścianie naprzeciwko, nad pokierszowanym kredensem. Will dokonał cudów zręczności przy reperacji mebla połamanego przez Jankesów, ale nawet on nie był w stanie usunąć głębokich rys, które wycięły żołnierskie szable. Albo bagnet, który ugodził w portret babci Robillard.

Niezależnie od tego, w co mierzył żołnierz, ponad wszelką wątpliwość był pijany - skonstatowała Scarlett - bo nie udało się mu przedziurawić nieomal szyderczej, aroganckiej w wyrazie twarzy babki zdobnej wyjątkowo małym noskiem, ani nie trafił w piersi, krąglące się nad głębokim dekoltem sukni. Jedyne, co osiągnął, to cięcie przez lewy koleczyk, zresztą teraz wyglądał nawet ciekawiej.

Pośród wszystkich przodków tylko matka matki wzbudzała zainteresowanie Scarlett i była zawiedziona, że nikt nigdy nie mógł jej wyczerpująco opowiedzieć o babce. Trzykrotna mężatka - tyle się dowiedziała, nic więcej, żadnych szczegółów. A mama zawsze uciniała opowieści o Savannah i to dokładnie w tym miejscu, gdzie stawały się interesujące. O babkę toczono pojedynki, a krój sukien, który obowiązywał owego czasu, był wprost skandaliczny: te kobiety, tak szczelnie ukrywające ręce pod rękawiczkami z muślinu, że wyglądały jakby się w nich urodziły. Co zaś się tyczy innych szczegółów życia w owej epoce, to wnioskuje się ze stanu rzeczy na portrecie...

Powinnam spłonąć ze wstydu, choćby tylko dlatego, że myślę o tego rodzaju rzeczach, o których właśnie myślę - skarciła się w myślach. Ale gdy opuszczała jadalnię,

rzuciła przez ramię jeszcze jedno spojrzenie w stronę portretu. Ciekawe, jaka naprawdę była babka?

Wygląd bawialni świadczył o zubożeniu, a także był wyrazem stałego przesiadywania w pokoju dzieci. Scarlett z trudem poznała obitą pluszem kanapę, na której spędziła tyle czasu, siedząc we wdzięcznej pozie, podczas gdy elegancyści młodzieńcy prześcigali się w propozycjach. Poza tym wszystko było zmienione. Owszem, musiała przyznać, że Zuela ma prawo urządzić dom według własnego smaku, lecz ból pozostał ten sam: to już nie była prawdziwa Tara.

Gdy tak chodziła z pokoju do pokoju, popadała w coraz to głębsze przygnębienie. Nic już nie było tak jak dawniej. Zawsze, kiedy przyjeżdżała tu w odwiedziny, zauważała jakieś zmiany, odnotowywała ślady postępującego zniszczenia, za każdym razem większe. Och, dlaczego Will był taki uparty! Wszystkie meble wymagały renowacji, zasłony wisiały jak szmaty, przez dziurawe dywany prześwitywała podłoga. Gdyby Will się zgodził, tchnęłaby życie w ten dom. Wtedy przynajmniej serce by jej nie pękało, gdy patrzyła na stare pamiątki tak bezlitośnie niszczone.

Ten dom powinien należeć do mnie! Lepiej bym o niego dbała. Papa zawsze mówił, że Tarę mi zostawi. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, aby napisać testament. Taki to już był ojciec - nie miał zwyczaju myśleć, co będzie jutro. Zmarszczyła brwi - nie, nie mogła gniewać się na Papę. Nikt nigdy nie gniewał się na Geralda O'Hara - był jak słodki krnąbrny brzdąc. Pozostał dzieckiem, nawet gdy dobiegał sześćdziesiątki.

Jedyną osobą, która wzbudzała we mnie wściekłość - wzbudza i teraz - jest Karina. Dziecko czy nie, postąpiła niesłusznie, gdy uczyniła to, co uczyniła i nigdy jej tego nie wybaczę. Była uparta jak osioł, kiedy chciała postawić na swoim i pójść do zakonu - dobrze, w końcu się z tym pogodziłam. Ale nie powiedziała mi, że zamierza wnieść w posagu trzecią część Tary.

Powinna była mi o tym powiedzieć! Przecież znalazłabym dla niej jakieś pieniądze, w zamian dziedziczyłabym dwie trzecie. Owszem, dwie trzecie to jeszcze nie całość, ale przynajmniej wyraźna większość. Tymczasem muszę zaciskać zęby, patrzeć jak wszystko schodzi na psy i pozwalać Zueli, żeby tu mną pomiatała. To nieuczciwe. Ja i tylko ja ocaliłam Tarę od Jankesów i Carpetbaggerów. Należy do mnie, nieważne, co mówi prawo. Pewnego dnia odziedziczy ją po mnie Wade - tak, chcę to widzieć, mniejsza o to, jak tego dopnę.

Scarlett oparła głowę na popękany skórzany obiciu starej sofy w małym pokoju, z którego Ellen O'Hara spokojnie zarządzała plantacją. Zdawało się jej, że w powietrzu

jeszcze unosi się zapach cytrynowej werbeny - wody toaletowej, którą matka używała - nawet teraz, po tych wszystkich latach. Właśnie po to - po ten rodzaj spokoju - przyjechała do Tary. Mimo zmian, mimo zniszczenia, Tara pozostała sobą, tutaj był dom. Jego serce biło tutaj - w pokoju Ellen.

Trzask drzwi rozbił spokój.

Słyszała, jak przez hall idą Ella i Susie, kłócąc się o coś zawzięcie. Musiała stąd odejść, nie mogła znieść krzyków i sprzeczek. Wypadła na dwór. Chciała zobaczyć pola. Pod dobrą ręką gospodarza znowu były żyzne i czerwone, jak zawsze.

Szła szybkim krokiem przez zachwaszczony trawnik, omijając placki krowiego łajna. Nigdy nie przewycięży awersji do krów, nawet gdyby żyła i sto lat. Obmierzłe rogate stwory. W narożniku pierwszego pastwiska oparła się o płot. Wdychała ostry, pachnący amoniakiem zapach świeżo zaoranej ziemi i gnoju. To śmieszne, ale ten sam gnój, który w mieście cuchnął i świadczył o bałaganie, tutaj na wsi był prawdziwą perfumą.

Will był z pewnością dobrym rolnikiem. To największa zdobycz Tary. Niezależnie od tego, w jaki sposób zabrałabym się do gospodarzenia, nigdy nie doprowadzilibyśmy gospodarki do tak kwitnącego stanu, gdyby Will wracając do domu na Florydzie nie zdecydował się osiaść tutaj na stałe. Zakochał się w tej ziemi tak samo, jak inni mężczyźni zakochują się w kobietach. A przecież nie jest Irlandczykiem! Do chwili, gdy spotkałam Willa zawsze myślałam, że tylko ci okropnie kaleczący angielszczyznę Irlandczycy, jak Papa, zdolni są w ten sposób pracować na roli.

Daleko, po przeciwnej stronie pastwiska widziała jak Wade pomaga Willowi i Dużemu Samowi reperować przewrócone ogrodzenie. Dobrze, niech się chłopak uczy - przemknęło jej przez myśl. To jego dziedzictwo. Stała tak kilka minut patrząc na pracujących mężczyzn i pomagającego im syna. Chyba już trzeba zmykać do domu. Zapomniałam wypisać czek dla Zueli.

Czeki podpisywała w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób, czytelnym, wyraźnym pismem bez żadnych zakrętasów, bez kleksów, prosto, bez żadnych załamań, co zdarza się kiepskim pisarzom. Wyglądało to bardzo profesjonalnie, przejrzyste i niedwuznacznie. Przebiegła wzrokiem formularz zanim osuszyła atrament bibułą, potem spojrzała raz jeszcze. Scarlett

O'Hara Butler.

Kiedy pisała rzeczy osobiste czy zaproszenie, pozwalała sobie wyrazić w piśmie nastrój chwili, zaczynając każdy akapit od skomplikowanych zawijasów, kończąc

paraboliczną spiralą przy nazwisku. Zrobiła to także teraz na kawałku brązowego pakowego papieru. Potem znowu spojrzała na świeżo wypisany czek. Był datowany. Zapytała Zuelę, jaki dziś dzień, a odpowiedź ją przeraziła: 11 października 1873. Ponad trzy tygodnie od śmierci Meli. Była w Tarze dwadzieścia dwa dni - dwadzieścia dwa dni czuwała przy Mammy.

W tej dacie kryły się także inne znaczenia. Dzisiaj mijало ponad pół roku od śmierci Bonnie. Mogła już zdjąć żałobę - monotonną, posepną czerń. Mogła już przyjmować zaproszenia od towarzystwa, mogła sama zapraszać ludzi do siebie. Mogła wrócić do świata.

Chcę wrócić do Atlanty, chce mi się trochę zabawy. Za dużo już było tych pogrzebów, za dużo śmierci. Trzeba mi teraz życia.

Złożyła czek. A także tęsknię za sklepem. Księgi przychodów i rozchodów są pewnie w strasznym stanie.

Poza tym do Atlanty przyjedzie Rett, by „zdusić plotki”. Powinnam tam być.

Jedynym dźwiękiem, jaki do niej docierał przez zamknięte oczy było powolne tykanie zegara w hallu. Oto i miała wreszcie spokój, którego tak bardzo pragnęła. Ale teraz cisza doprowadzała ją do szaleństwa. Nagle podniosła się z krzesła.

Dam Zueli ten czek po obiedzie, gdy tylko Will wróci na pole. Później wezmę bryczkę i wpadnę na chwilę do Fairhill i do Mimozy. Nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym zapomniała ich odwiedzić. Wieczorem spakuję się, a jutro rano wsiądę do pierwszego pociągu.

Z powrotem do Atlanty, do domu. Tara już nie jest domem, choćby nie wiem jak bardzo ją kochała. Czas już odejść.

* * *

Droga do Fairhill była wyboista i porośnięta chaszczami. Scarlett miała jeszcze w pamięci te czasy, gdy co tydzień wrywano tu chwasty i polewano gościniec wodą, żeby się nie kurzyło. To były czasy - westchnęła melancholijnie. W najlepszym okresie znajdowało się tutaj dziewięć plantacji, wszystkie w odległości małego spacerku jedna od drugiej, było rojno i gwarno. Teraz została jedynie Tara; z dawnych rodów mieszkali tu jeszcze Tarletonowie i Fontaine'owie. Cała reszta to tylko wypalone kominy i rozpadające się mury. Tak, naprawdę czas już wracać do miasta. Wieś potęguje smutek. Stare, powolne konie i resory bryczki były równie marne jak zaniedbane drogi. Przypomniała sobie swój wyścielany powóz i wyścigowy zaprzęg, powożone przez Eliasza. Trzeba jej było wracać do Atlanty, do domu.

Radosny gwar Fairhill wyrwał ją z melancholii. Beatrice Tarleton jak zwykle rozprawiała o swoich koniach i nic innego nie było w stanie jej zainteresować. Stajnia, co nie umknęło jej uwagi, miała nowy dach. Dach na domu miał nowe łąty. Jim Tarleton wyglądał staro, włosy miał białe jak mleko, ale tegoroczny zbiór bawełny poszedł mu dobrze, w czym nie małą przysługę oddał mu jego jednoręki zięć, mąż Betsy. Trzy inne córki zatwardziały w staropanieństwie.

- Rzecz jasna, dzień i noc psuje to nam humor - powiedziała Hetty i wszyscy się roześmieli. Ale Scarlett ostatecznie nie mogła ich zrozumieć. Tarletonowie śmieli się na okrągło pod byle pretekstem. Może było to w jakiś sposób związane z tym, że wszyscy mieli rude włosy.

Ukłucie zazdrości, które poczuła było niczym nowym. Zawsze żałowała, że nie miała rodziny tak spontanicznej w uczuciach, tak otwartej jak Tarletonowie. Zdusiła jednak zazdrość. To było niełojalne wobec matki. Poza tym zasiedziała się. Tak dobrze się bawiła. Ale wizytę u Fontaine'ów trzeba przełożyć na jutro. Kiedy wróciła do Tary, było już prawie ciemno. Jeszcze zanim zdążyła przestąpić próg usłyszała płacz najmłodszej córki Zueli. Najwyższy czas wracać do Atlanty.

Ale w domu oczekiwały ją nowiny, które miały zmienić jej plany. Zuela karmiła właśnie zawodzące dziecko, ale odstawiła je, zaledwie Scarlett ukazała się w drzwiach. Mimo rozczochranych włosów i zniekształconego ciężą ciała, Zuela wyglądała lepiej niż wtedy, gdy była jeszcze dziewczynką.

- Och, Scarlett - zawołała. - Mam dla ciebie podniecającą wiadomość, nigdy byś nie zgadła... Cichutko, cichutko skarbie, dostaniesz na kolację piękną kosteczkę. Pogryziesz mięsko starymi ząbkami, nic ci nie zaszkodzi.

Jeśli nowe ząbki mają być tą podniecającą nowiną, to nawet nie mam zamiaru zgadywać - miała już na końcu języka Scarlett. Ale Zuela nie dała jej szansy otworzyć ust.

- Tonio wrócił! - powiedziała. - Była tu Sally Fontaine, żeby nas powiadomić, prawie żeście się minęły. Wyobraź sobie: Tonio wrócił! Cały i zdrowy. Jutro wieczorem jedziemy na kolację do Fontaine'ów, zaraz gdy tylko Will oporządzi krowy. Powiedz sama, Scarlett, czyż to nie wspaniałe? - Zuela rozpromieniła się w uśmiechu. - Nastroje w Powiecie znowu się podniosą.

Scarlett czuła jak bierze siostrę w ramiona - nigdy dotąd nie dała się porwać takiemu impulsowi. Tak, Zuela miała rację. Wspaniale, że wrócił. A już się niepokoiła, że nikt nigdy nie ujrzy go żywym. Teraz można było zapomnieć to okropne

wspomnienie chwili, kiedy widziała go po raz ostatni. Był wtedy taki wyniszczony, zmordowany na śmierć - przemoknięty do suchej nitki cały dygotał z zimna. A kto by nie dygotał na jego miejscu - ranny, przemarznięty? Jankesi deptali mu po piętach. Uciekał chcąc ocalić życie, zabił tego Murzyna, który napastował Sally, a potem jeszcze tego Scallgwaga, który podszczuwał czarnego głupca tak, że ten w końcu ważył się zbliżyć do białej kobiety¹.

Tonio znowu w domu! Jakże będzie się dłużył czas do jutrzejszego popołudnia. Powiat wracał do życia!

¹* Scallgwag - nicpoń, łajdak (dosł.). Pogardliwe określenie tych mieszkańców Południa, którzy po kapitulacji przeszli na stronę republikanów. (Przyp tłum.).

4.

Plantacja Fontaine'ów nazywała się Mimoza, a to z powodu grupy drzewek otaczających zdobny w sztukaterie dom koloru spłowiałej żółci. Pod koniec lata pierzaste różowe kwiaty przekwitały, lecz liście podobne do paproci mocno trzymały się na gałęziach, wiecznie zielone. W łagodnych podmuchach wiatru kołysały się jak tancerze, rzucając drżące cienie na tynkowane ściany domu w kolorze masła. W łagodnym świetle zachodzącego słońca dom wyglądał ciepło i zachęcał do wejścia.

Och, mam nadzieję, że Tonio nie za bardzo się zmienił - denerwowała się Scarlett. Siedem lat to kawał czasu. Przeciągnęła nogami po podłodze bryczki, gdy Will zestawił ją na ziemię. A jeśli Tonio zestarzał się i ma wygląd człowieka wyniszczonego cierpieniem i - dobrze, dopuszczę tę myśl - jest zdruzgotany tym, co przeszedł, tak jak Ashley? Ten widok byłby już ponad moje siły. Powlekła się z tyłu za Willem i Zuelą ścieżką, która wiodła ku drzwiom.

Wtem drzwi otworzyły się, pchnięte, a cały jej niepokój rozplątał się w jednej chwili.

- Kimże są ci, którzy suną jakby ciągnęli na sumę? Czyż nie powiedziano wam aż nadto, byście biegli teraz śpiesząc powitać bohatera, który właśnie powrócił z wojny? - dobiegł ich ze środka pełen humoru głos Tonia. Głos drżał od śmiechu - jak zawsze - włosy Tonia były czarne - jak zawsze - uśmiech miał równie szeroki co promienny, jak zawsze figlarny.

- Toniu! - krzyknęła. - Nic się nie zmieniłeś.

- Czy to ty, Scarlett? Chodźże tu i daj mi buziaka. Ty też, Zuelo. Dawnymi czasy nie rozdzielalaś całusów tak hojnie jak Scarlett, ale od kiedy wyszłaś za mąż, Will musiał cię przecież co nieco nauczyć. Na intencję szczęśliwego powrotu zamierzam wycalować każdą istotę rodzaju żeńskiego, w całym stanie Georgia.

Zuela zachichotała nerwowo i zerknęła na Willa. Łagodny uśmiech na jego pogodnej, pociągłej twarzy mówił, że mąż nie ma nic przeciwko temu, ale Tonio wcale nie czekał na mężowską zgodę. Objął ją, w jej niezgrabnej, nieforemnej talii ciężarnej kobiety i wyciął na policzku siarczystego całusa. Gdy zwolnił uścisk oblała się szkarłatem z zakłopotania i przyjemności. Dziarskie chłopaki Fontaine'ów trochę się interesowały Zuelą w latach przed wybuchem Wojny, w czasach przystojnych kawalerów i nadobnych panien. Will objął ją za ramię, spokojnie i ciepło.

- Scarlett, kochanie! - krzyknął Tonio, wyciągając barczyste ramiona. Scarlett dała się wziąć w objęcia, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Urosłeś trochę w Teksasie - zauważyła. Tony śmiał się i całował ją w usta. Później podwinął nogawkę i pokazał im buty na wysokim obcasie. W Teksasie każdy ma szansę urosnąć - wyjaśnił.

Aleks Fontaine uśmiechnął się zza pleców Tonia.

- Będziecie musieli wysłuchać o Teksasie, więcej niż komukolwiek tego potrzeba - wycedził słowo po słowie. - Oczywiście, o ile Tonio wreszcie wpuści was do domu. Ale on już zapomniał, co to w ogóle znaczy dom. W Teksasie mieszka się przy ogniskach z gwiazdami nad głową. Po co tam komu ściany i dach.

Aleks promieniał ze szczęścia. Wyglądał tak, jakby sam chciał rzucić się Toniowi w objęcia i wycałować go - pomyślała Scarlett. Zresztą, dlaczego by nie? W dzieciństwie nie odstępowali sobie na krok, zrosli się jak dwa sąsiednie palce jednej dłoni. Aleks pewnie strasznie za nim tęsknił. Nagle poczuła, jak w oczach kłują ją łzy. Powrót Tonia, cała ta wylewność, z którą go witano - to pierwsze radosne wydarzenie w Powiecie od czasów, gdy oddziały Shermana spustoszyły kraj i pozbawiły go życia. Sama nie bardzo wiedziała, jak zachować się wobec tego nawału szczęścia.

Sally, żona Aleksa, wzięła ją pod rękę, gdy wchodzili do nędznego saloniku.

- Wiem, co czujesz - szepnęła. - Ale prawie zapomnieliśmy, co to radość. Dzisiaj w tym domu było więcej śmiechu niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jeszcze dzisiaj wieczorem nareperujemy dzwonek.

W jej oczach także lśniły łzy.

Zaraz potem dzwonek u krokwi zaczął dzwonić. Przyjechali Tarletonowie.

- Dzięki Bogu, wróciłeś w jednym kawałku - powitała Tonia Beatrice Tarleton. - Możesz zebrać śmietankę z tych trzech panien. Mam tylko jednego wnuka, a mimo to nie odmłodziłam.

- Mamusiu! - jęknęły zgodnym chórem Hetty, Kamilla i Miranda Tarleton. A potem wybuchły śmiechem. Namiętność, z jaką ich matka oddawała się parzeniu koni i ludzi była aż nadto znana w całym Powiecie, by budzić zakłopotanie. Ale Tonio cały stanął w pąsach.

Scarlett i Sally zagwizdały.

Zanim zaczęło się zmierzchać, Beatrice Tarleton przypomniała sobie, że koniecznie musi obejrzeć konie, które Tonio przyprowadził ze sobą z Teksasu. Posypały się argumenty o wyższości teksańskich rumaków czystej krwi nad mustangami z Zachodu. Dyskusja przybierała coraz wyższe obroty, aż w końcu wszyscy zaczęli wzdychać o odłożenie sporu na później.

- Błagam o rozejm - powiedział Aleks. - I o coś na przepłukanie gardła. Zawsze uważałem, że odrobina prawdziwej whisky lepiej służy uświetnieniu wielkich wydarzeń niż karczemne awantury.

Jim Tarleton poklepał żonę po ramieniu.

- Możesz ciągnąć ten spór z Tonim w ciągu najbliższych miesięcy, nawet lat.

Mrs. Tarleton rzuciła mu ponure spojrzenie, lecz nie pogodziła się z klęską. Dla Beatrice tylko konie się liczyły, a ludzie nigdy tego nie rozumieją. Zresztą, Tonio wrócił z wojny i ten wieczór należał do niego. Tymczasem bohater dnia opuścił towarzystwo. Wraz z Alekssem podszedł do stołu, gdzie czekały szklanki i prawdziwa flaszka whisky „rozlewanej w okowach”.

Scarlett znowu opanowało gorące pragnienie - nie po raz pierwszy - aby wychylenie szklaneczki czegoś mocniejszego nie należało do tego rodzaju przyjemności, z których panie były automatycznie wyłączone. Z radością pociągnęłyby łyżek. Nawet kilka. Czułaby się lepiej swobodnie rozmawiając z mężczyznami niż tak, jak teraz, siedząc w kącie po przeciwnej stronie salonu, gdzie było miejsce przeznaczone dla babskiego gadania o dzieciach i prowadzeniu domu. Nigdy nie zrozumiała ani nie pogodziła się z tradycyjnym podziałem ról w zależności od płci. Ale tak właśnie toczył się świat, zawsze, więc zrezygnowana musiała się z tym pogodzić. Ostatecznie mogła się zabawiać obserwując dziewczyny Tarletonów, jak usilnie starają się wykazać, że różnią się poglądami od matki. Gdybyż tylko Tonio zechciał rzucić na nie okiem zamiast oddawać się rozmowie o tym, o czym mężczyźni zwykli rozmawiać przy szklaneczce whisky.

- Mały Joe pewnie przeraził się na śmierć widząc swego wuja, jak wrócił do domu - powiedziała Hetty Tarleton do Sally. O, tak, Hetty mogła sobie pozwolić na ignorowanie mężczyzn. Jej tłusty jednoręki mąż był jednym z nich. Jako jedyna z Tarletonównych znalazła kandydata na męża.

Sally odpowiedziała sypiąc taką ilością szczegółów, że Scarlett omal nie umarła z nudów. Zastanawiała się, kiedy będzie kolacja. Nie mogli zwlekać do późna, bowiem wszyscy obecni tu mężczyźni to farmerzy, a ci wstają skoro świt. W ten sposób mogła się spodziewać rychłego końca wieczornej uroczystości.

Okazało się, że przepowiadając w myśli wczesną kolację miała rację. Mężczyźni oznajmili, że jeszcze tylko jedna szklaneczka i mogą zasiadać do stołu.

Myliła się jednak, prorokując rychły koniec uroczystości. Zabawa była zbyt dobra, żeby tak szybko kończyć. Tonio przykuł uwagę wszystkich opowieściami o swych przygodach.

- Niecały tydzień temu urwałem się chłopakom z Texas Rangers - zawołał, przerywając samemu sobie salwą śmiechu. - Stanem rządzą jankeskie wojska, jak zresztą całym Południem, ale do cholery... o pardon, drogie panie... te niebieskie kurtki* nie mają najmniejszego pojęcia, co robić z Indianami. Oddziały Texas Rangers walczą z nimi przez cały czas, a farmerzy mogą tylko mieć nadzieję, że w porę ich ochronią. Co zresztą robią. Wiedziałem, że trafiłem na swoich, toteż przyłączyłem się do nich.

To była pyszna zabawa! Bez mundurów, bez maszerowania po pustym podwórku, gdzie paru idiotów w generalskich epoletach chce sobie popatrzeć, czy równo wymachujesz nogami, żadnej musztry, nic z tych rzeczy, panowie! Po prostu wsiadałeś na koń i jechałeś z paczką chłopaków szukać sposobności do potyczki.

Ciemne oczy Tonia aż błyszczały z podniecenia. Tak jak u Aleksa. Fontaine'owie kochali bijatyki. I nienawidzili dyscypliny.

- Do czego są podobni ci Indianie? - spytała jedna z Tarletonównych.

- Czy oni naprawdę torturują ludzi?

- Nie powinnaś o tym słuchać - odparł Tonio, a ogniki w jego oczach nagle przygasły. Potem uśmiechnął się. - Gdy wietrzą bitwę, malują się i stają się bardzo przebiegli. Tekszańscy zwiadowcy szybko zrozumieli, że jeśli chcą wytłuc tych czerwonych diablów, to muszą się nauczyć tego, co i oni umieją. Dlatego potrafimy tropić człowieka albo zwierzę po gołej skale, a nawet po wodzie i robimy to lepiej niż niejeden pies myśliwski. A jeśli trzeba, zamiast wody obchodzimy się śliną, a zamiast mięsa gryziemy zbielełe kości. Nic nie jest w stanie pokonać tekszańskiego zwiadowcy i nic nie może mu umknąć.

- Pokaż wszystkim swoje sześćostrzały - niecierpliwiał się Aleks.

- Poczekaj, jeszcze nie teraz. Może jutro, może pojutrze. Sally się nie spodoba, jak zacznę dziurawić jej ściany.

- Nie powiedziałem „strzelaj”, powiedziałem „pokaż” - Aleks porozumiewawczo mrugnął do przyjaciół. - Mają rękojeści wykładane kością słoniową - napuszył się z dumy. - Tylko czekać, jak mój braciszek was odwiedzi jadąc w swym wielkim starym siodle z Dzikiego Zachodu. Jest tak gęsto ponabijane srebrem, że od blasku możecie prawie oślepnąć.

Scarlett uśmiechnęła się. Tak, dobrze to знаła. Tonio i Aleks zawsze byli parą największych dandysów w całej Północnej Georgii. Rzecz jasna, Tony nie zmienił się

**Niebieskie kurtki - pogardliwa nazwa stosowana wobec wojsk, które w wojnie secesyjnej opowiedziały się za Południem. (Przyp. tłum.).

ani w calu. Najmodniejsze buty na wysokim obcasie i nabijane srebrem siodło. Skłonna była pójść o zakład, że wrócił do domu z pustymi kieszeniami - równie pustymi jak wtedy, gdy opuszczał dom uciekając przed katem. Co za głupota sprawiać sobie siodło ze srebra, gdy dom w Mimosie naprawdę potrzebował nowego dachu. Ale Toniowi nie można było mieć tego za złe. Gesty tego rodzaju dowodziły, że pozostał sobą. No i Aleks był z niego dumny, jakby powrócił z wozem pełnym złota. Jakże ich kochała, ich obu! Przecież mogli stracić wszystko, nawet to gospodarstwo, które sami musieli ufortyfikować, ale Jankesi nie uderzyli na Fontaine'ów, nawet nie zadrasnęli murów.

- Panie Świąty, czyż ci chłopcy nie przestaną się przechwalać, że są wysocy jak drzewa, a pod siedzeniem mają srebrne blaszki? - westchnęła Beatrice Tarleton. - Teraz rozumiem bliźniaków... tyle że dawno przyjęła ich ziemia.

Scarlett wstrzymała oddech. Dlaczego Mrs. Tarleton musiała wszystko zepsuć w ten sposób? Dlaczego niszczyć ten szczęśny nastrój przypominaniem, że prawie wszyscy z dawnych przyjaciół już nie żyją?

Ale niczego nie zepsuto.

- Na pewno nie byliby w stanie cieszyć się swymi siodłami dłużej niż przez tydzień - zauważył Aleks. - Wie pani dobrze, Miss Beatrice, że albo by je przegrali w pokera albo sprzedali, żeby kupić szampana na przyjęcie, które ktoś wydał na parowcu. Pamięta pani, jak Brent wyprzedał wszystkie meble ze stacji i kupił dla wszystkich chłopców, którzy w ogóle nie próbowali jeszcze palić, najlepsze cygara, po dolarze za sztukę?

- Albo jak Stuart przegrał w karty ubranie i musiał wracać z kotyliona owinięty w dywan? - dodał Tonio.

- Najlepsze było to, jak oddali do lombardu księgi prawnicze Boyda tuż przed jego pierwszą rozprawą w Sądzie Powiatowym - powiedział Jim Tarleton. - Myślałem, że obedrzesz ich żywcem ze skóry, Beatrice.

- Im zawsze odrastała skóra - odparła Mrs. Tarleton z pogodnym uśmiechem. - Chciałam poprzetrzącać im nogi, gdy podłożyli ogień pod lodownię, ale biegli za szybko bym mogła ich dogonić.

- Był taki czas, że przychodzili do Lovejoy i chowali się w naszej stodole - przypomniała sobie Sally. - I wtedy krowom na tydzień wyschły wymiona, bo bliźniacy chcieli się przekonać, jak to jest gdy samemu udoi się skopek mleka.

Każdy mógł opowiedzieć coś o bliźniakach Tarletonów, a jedna opowieść prowadziła do drugiej, tym razem o przyjaciółach i starszych braciach - Lafe Munroe, Cade i Raiford Calvertowie, Tomasz i Boyd Tarletonowie, Joe Fontaine - żaden z nich

nie wrócił do domu. Te opowieści były nie wyczerpanym skarbem pamięci i miłości, a kiedy je opowiadano wszystkie kąty pokoju zaludniły się cieniami tych, którzy już umarli, cieniami uśmiechniętymi, promiennymi młodością, cieniami ludzi już nie istniejących lecz - w ostateczności - nie całkiem straconych, bowiem można ich było wspominać przy salwach śmiechu miast rozpaczliwego zgorzknienia.

Ale nie zapomniano też o starszych. Wszyscy siedzący wokół stołu zupełnie świeżo pamiętali starszą Miss Fontaine, tę, która miała cięty język i gołębie serce, babkę Tonia i Aleksa. A także ich matkę zwaną Młoda Miss, i to aż po dzień, w którym umarła, a był to dzień jej sześćdziesiątych urodzin. Scarlett odkryła, że może nawet przyłączyć się do tkliwego chichotu, który obiegił stół, gdy wspomniano jej Papę i typowy dla niego zwyczaj śpiewania buntowniczych pieśni irlandzkich, zwłaszcza zaś wtedy, gdy „łyknęło się kropelkę lub dwie”. Nawet była w stanie przysłuchiwać się życzliwym wspomnieniom o jej matce, i to bez przyspieszonego bicia serca, co dotychczas zawsze się jej zdarzało, gdy w jej obecności wymawiano imię Ellen O'Hara.

I tak mijała godzina za godziną, na kominku już tylko żarzyły się węgle, talerze od dawna były puste, a kilkunastu biesiadników snuło wspomnienia przywołując do życia wszystkich, których kochali, a którzy nie mogli przybyć tutaj dzisiaj, by uczcić powrót Tonia do domu. Szczęsne to były chwile, miały w sobie moc ukojenia. Mdłe, drżące światło lampy naftowej zawieszanej pośrodku stołu nie wydobywało na jaw żadnego ze śladów zniszczeń, które pozostały w tym pokoju o przydymionych ścianach, ani nie pozwalało dojrzeć posztukowanych mebli. Twarze osób zebranych wokół stołu nie były pokryte zmarszczkami, ich ubrania nie miały śladów załamań. Albowiem na te słodkie chwile, gdy wynurzyły się z pamięci cienkie jak pajęczyna obrazy wspomnień, Mimoza została jak gdyby przeniesiona do przestrzeni bez czasu, gdzie nie było bólu, gdzie nigdy nie wybuchła wojna.

Przed wielu laty Scarlett solennie przyrzekła sobie, że nigdy nie będzie oglądała się wstecz. Wspominanie błogich czasów sprzed Wojny, wzdychanie do niczym niezmaconego szczęścia przeszłości mogło - tak wtedy myślała - jedynie jątrzyć rany i osłabiać ducha, gdy tymczasem trzeba jej było siły i zdecydowania, by zapewnić byt i ochronę rodzinie. Ale owo wspólne snucie wspomnień w jadalni w Mimozie wcale nie było źródłem słabości. Przeciwnie - dodawało odwagi, dowodziło, że dobrzy ludzie mogą przecierpieć stratę każdego rodzaju, a mimo to nie utracą zdolności do miłości i śmiechu. Przepeliła ją duma, że znalazła się w tym gronie, była dumna, że może zwracać się do tych ludzi jak do przyjaciół, była dumna, że byli tu, gdzie byli.

* * *

W drodze do domu Will szedł przed powozem trzymając w ręku smolną pochodnię z gałęzi sosnowej i prowadził konie. Noc była ciemna, było bardzo późno. Nad ich głowami na bezchmurnym niebie błyszczały gwiazdy, błyszczały tak jasno, że księżyc, który stał w pierwszej kwadrze, zdał się przy nich zaledwie bladawy. W ciszy słychać było jedynie miarowe stuk - stuk końskich kopyt.

Zuela zapadła w drzemkę, Scarlett udało się zwalczyć ogarniającą senność. Chciała, żeby ten wieczór ciągnął się bez końca, chciała, by ciepło, nastrój otuchy i szczęścia pozostał na zawsze. Jakże męsko wyglądał Tonio! Ileż w nim było życia, ileż uroku miał w sobie, gdy założył te piękne buty, jak bardzo cieszył się sobą, wszystkim. Tarletonówny zachowywały się niczym stado rudowłosych, skorych do plotek zalotnic, spoglądających na miskę śmietany. Ciekawe, któraż z nich zdoła go usidlić. Już Beatrice Tarleton ani chybi potrafi upilnować, żeby to jednemu z jej kociaków przypadł ten lup!

Sowa gdzieś w przydrożnych drzewach huknęła głośno „whoo, whoo?”, jakby też chciała wiedzieć, „któraż to, która?”. Scarlett roześmiała się pod nosem.

Zrobili już ponad połowę drogi do Tary, gdy uświadomiła sobie, że już od paru godzin ani jednej myśli nie poświęciła Rettowi. A wtedy melancholia i zatroskanie przygniotły ją ołowianym brzemieniem i dopiero wtedy zauważyła, że noc jest chłodna i że zmarzła. Szczelnie otuliła się szalem. Szepnęła do Willa, aby się pośpieszył.

Nie chcę już myśleć o czymkolwiek - westchnęła w głębi ducha. Na pewno nie teraz. Nie chcę popsuć wspomnienia tych pięknych chwil, które przeżyłam. Szybciej, Will. Tak zimno. Tak ciemno.

* * *

Następnego dnia skoro świt Scarlett i Zuela zapakowały dzieci na wóz i ruszyły do Mimozy. Wade'owi aż oczy zalśniły, taki zachwyt i szacunek wzbudzały w nim bohaterskie wyczyny Tonia. A gdy zobaczył sześciostrzałowe rewolwery, oczy omal nie wyskoczyły mu z orbit. Nawet Scarlett opadła szczęką w zdumionym zachwycie, kiedy Tonio obrócił pistolety wokół palców, podrzucił je - ciągle wirujące - w powietrze, po czym schwycił i włożył do olster zawieszonych nisko u bioder na nabijanym srebrem pasie.

- Czy można z nich strzelać? - wyjąkał Wade.

- Tak jest, sir. Jak podrośniesz, nauczę cię, do czego służą.

- Nauczysz mnie też tych sztuczek z obracaniem?

- Jasne. Co to za sens mieć sześciostrzzałowe rewolwery, jeśli człowiek nie umie się obchodzić z nimi tak, jak na to zasługują.

Tonio zmierzwił czuprynę Wade'a, a zrobił to w umyślnie szorstki sposób, jak mężczyzna mężczyźnie.

- Nauczę cię jeździć, jak na Zachodzie, Wade. Pewnie będziesz jedynym chłopakiem w tych stronach, który wie, do czego służy siodło. Ale nie możemy zaczynać nauki od dzisiaj. Mój brat zamierza udzielić mi korepetycji z farmerstwa. Widzisz, tak to już jest: wszyscy zawsze muszą się uczyć czegoś nowego.

Tonio wycisnął tęgie całusy na policzkach Zueli i Scarlett, dziewczynki pocałował w czółka, po czym pożegnał się.

- Na dole, przy dopływie rzeki czeka na mnie Aleks. Może pójdziecie poszukać Sally? Chyba rozwiesza pranie z drugiej strony domu.

Sally sprawiała wrażenie, jakby naprawdę cieszyła się z ich wizyty, ale Zuela odrzuciła jej zaproszenie, żeby wstąpić do środka na filizankę kawy.

- Muszę wracać do domu i zrobić to co właśnie teraz kończysz, Sally. Niestety, nie możemy się zatrzymać. Szukałyśmy cię, żeby nie odjechać nie dając znaku życia.

Po czym zaczęła ponaglać Scarlett, żeby szybko wracać do wozu.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka szorstka wobec Sally - wydyszała popędzana przez siostrę Scarlett. - Przecież nic by się nie stało twojemu praniu, gdybyśmy napiły się kawy i porozmawiały o wczorajszej kolacji.

- Scarlett, mówisz tak, bo nie masz pojęcia o życiu na gospodarstwie. Gdyby Sally opóźniła się z praniem, wszystko inne też robiłaby z opóźnieniem.

My, na wsi, nie możemy sobie pozwolić na utrzymywanie zastępów służby, tak jak to masz u siebie w Atlancie. Mamy ręce pełne roboty i same musimy dać sobie z nią radę.

Scarlett zmroził ton głosu siostry.

- Toteż zamierzam wrócić do Atlanty jeszcze dzisiaj popołudniowym pociągiem - oświadczyła cierpko.

- I dobrze zrobisz - odparowała Zuela. - Będzie nam wszystkim o wiele łatwiej. Dużo koło ciebie zachodu, a poza tym potrzebuję sypialni dla Susie i Elli.

Scarlett już otwierała usta, by nie pozostać dłużna z odpowiedzią, ale zaraz zacisnęła zęby. Tak, lepiej gdyby już była w Atlancie. Gdyby nie powrót Tonia, byłyby tam już wczoraj. W Atlancie ludzie przynajmniej się ucieszą, widząc ją znowu. Miała w

Atlancie wielu przyjaciół, którzy mieli wiele czasu na picie kawy, grę w wista lub urządzenie przyjęć. Dlatego odwróciła się plecami do Zueli, a spojrzawszy na dzieci zmusiła się do uśmiechu.

- Wadzie Hampton, Ellu, dziś po obiedzie mamusia wyjeżdża do Atlanty. Wobec tego spodziewam się teraz, że przyrzekniecie mi dobrze się sprawować i nie przysparzać cioci Zueli żadnych kłopotów.

Oczekiwała protestów osolonych łzami. Ale dzieci tak zawzięcie rozprawiały o wspaniałych rewolwerach Tonia, że nie zwróciły na nią najmniejszej uwagi. Zaraz gdy przyjechali do Tary, Scarlett kazała Pansy spakować walizkę. Dopiero wtedy Ella uderzyła w płacz.

- Prissy odjeżdża, a ja nie znam tu nikogo, kto by mi zaplatał warkocze! - powtarzała, pochlipując co słowo.

Scarlett z trudem powstrzymała się, żeby nie wymierzyć dziewczusze policzka. Teraz, kiedy już wewnętrznie nastawiła się na wyjazd, sama myśl o tym, żeby pozostać, zdała się jej jawnym niepodobieństwem. Zwariuje, jeśli dłużej będzie tkwiła tu tak beczynnie, jeśli nie będzie miała do kogo otworzyć ust. Także nie mogła ruszyć w drogę bez Pansy, nie godziło się, żeby prawdziwa dama puszczała się w podróż bez towarzystwa. I co tu począć? Ella koniecznie chciała, żeby Pansy została przy niej. Minie kawał czasu, zanim przyzwyczai się do Lutie - niani Susie. Z Ellą kwękającą dzień i noc może nie wytrzymać Zuela, a wtedy zmieni zdanie co do możliwości chowania dzieci w Tarze.

- Dobrze - rzuciła ostro. - Ella, dość już tego beczenia. Pansy zostanie w Tarze do końca tego tygodnia. Mam nadzieję, że w tym czasie zdąży nauczyć Lutie jak się układa twoją fryzurę.

Będę po prostu musiała przysiąc się na dworcu w Jonesboro do jakichś kobiet. Na pewno znajdzie się ktoś szacowny, kto jedzie do Atlanty i do kogo będę mogła się dołączyć.

Pojadę popołudniowym pociągiem, nic mnie od tego nie jest w stanie powstrzymać. Will odwiezie mnie na stację i wróci do domu o wiele wcześniej zanim zejda z pastwiska te paskudne rogate bestie, które tak lubi doić.

* * *

W połowie drogi do Jonesboro Scarlett urwała niefrasobliwą rozmowę krążącą wokół powrotu Tonia. Przez chwilę trwała w milczeniu, po czym dała upust myślom, które od dawna ją niepokoiły.

- Will... co się tyczy Retta... jego odejścia, tak nagłego... myślę... mam nadzieję, że Zuela nie roznieście tego po całym powiecie.

Will odwrócił ku niej spojrzenie swych bładoniebieskich oczu.

- Nie, Scarlett, wiesz o tym lepiej ode mnie. Rodzinne brudy zawsze lepiej prać we własnym domu. Zawsze było mi przykro, że nie potrafisz dostrzec tego, co dobre w Zueli. Tak, jest w niej także dobro, lecz nie ujawnia się samo z siebie, jeśli sama nie zechcesz go dojrzeć. Tylko zechciej mi uwierzyć. Mniejsza z tym, w jaki sposób siostra cię traktuje, z pewnością jednak nie rozpowiada nikomu o twych osobistych problemach. Nie leży w jej intencjach, by ludzie wzięli O'Harów na języki... dba o to równie dobrze jak ty.

Scarlett odetchnęła. Willowi mogła ufać bez zastrzeżeń. Jego słowo było bardziej pewne niż pieniądze w banku. Will był mądry. Nigdy nie słyszała, by Will nie miał w czymś racji - może z wyjątkiem tego, co sądził o swej żonie.

- Jak sądzisz... wróci?

Nie musiał pytać kogo ma na myśli. Czuł żar bijący z jej słów. Spokojnie żuł w kąciku ust źdźbło słomy, żuł i milczał, zanim się zdecydował, jakiej odpowiedzi powinien udzielić. W końcu odezwał się, ostrożnie ważąc słowa.

- Nie mogę powiedzieć, że tak, nie mogę powiedzieć, że nie. Nie jestem tym, któryby wiedział podobne rzeczy. Zresztą widziałem go cztery... może pięć razy w życiu.

Przyjęła tę odpowiedź jak cios. Ból zmyła fala gniewu.

- Nie wiesz, bo ostatecznie niczego nie rozumiesz, Willu Benteenie! Rett jest teraz po prostu rozstrojony, ale w końcu wyjdzie z tego. Nigdy nie uczyniłby czegoś równie podłego jak to, kiedy odszedł i zostawił swą żonę na lodzie.

Will kiwnął głową. Scarlett mogła uznać to za znak zgody, o ile miała takie życzenie. Ale nie zapomniała przecież tego sardonicznego autoportretu, który Rett wymalował samemu sobie: kanalia. Sądząc z tego, co mówili o nim ludzie, zawsze był taki i zawsze taki będzie.

Scarlett spojrzała na znajomą gliniastą drogę, rozciągającą się przed nią czerwonym pasem. Szczęki miała zaciśnięte, umysł pracował gorączkowo. Rett wróci. Musi wrócić, ponieważ go pragnęła, a i on zawsze jej pragnął. Teraz musiała tylko obmyślić, jak tego dokonać.

5.

Zgiełk i ruch w Pięciu Znakach kołysały napięte nerwy Scarlett. Podobnie działał na nią znajomy bałagan na biurku. Trzeba jej było żyć i działać, przełamać przytłaczającą serię śmierci, potrzebowała zajęcia.

W wielkim stosie piętrzyły się gazety, które trzeba było przeczytać, sterty rachunków ze sklepu, który posiadała w samym centrum Pięciu Znaków, góry weksli do zapłacenia, okólników, które można było podrzeć i wyrzucić. Scarlett westchnęła z przyjemnością, po czym przysunęła krzesło bliżej biurka.

Sprawdziła, czy atrament nie wysechł w kałamarzu i czy dość ma stalówek do pióra. Potem zapaliła lampę. Zanim upora się z tym wszystkim, na pewno zrobi się ciemno. Może nawet kolację zje w gabinecie przy pracy.

Chciewie sięgnęła do stosu buchalterii, wtem jej ręka zawisła w powietrzu, gdy kątem oka na stercie gazet dostrzegła dużą prostokątną kopertę, zaadresowaną po prostu „Scarlett”. Charakter pisma Retta.

Nie, nie będę czytała tego teraz, w przeciwnym razie nie załatwię żadnej ze spraw, które mam do załatwienia. Nie obchodzi mnie, co jest tam w środku - nic a nic - po prostu odłożę to na potem. Zostawię to sobie na deser - mruknęła w myśli. Po czym wzięła się do sterty bilansów.

Wkrótce jednak nie nadążała za kolumnami cyfr, które jedna po drugiej układały się w jej umyśle, tak że w końcu zrzuciła rachunki na podłogę. Rozerwała zapieczętowaną kopertę.

„Uwierz mi - pisał Rett - gdy powiem, że w swej żalobie możesz liczyć na me najgłębsze współczucie. Śmierć Mammy to doprawdy ogromna strata. Jestem Ci wdzięczny, że zawiadomiłaś mnie, gdy leżała umierająca, tak że mogłem zobaczyć się z nią po raz ostatni.”

Jak dźgnięta nożem Scarlett oderwała wzrok od grubych, pisanych czarnym atramentem liter i syknęła w furii.

- Coś takiego, „wdzięczny”! Ty szelmo, myślisz, że jak ołgałeś Mammy, tak uda ci się i mnie wystawić do wiatru!

Najchętniej spaliłaby ten list, a popiół cisnęła Rettowi w twarz, krzycząc, co o tym wszystkim myśli. Och, jakże chętnie odpłaciłaby mu za tę hańbę wobec Zueli i Willa! Trudno, nieważne jak długo to potrwa - musi czekać i myśleć, aż znajdzie metodę

zemsty. Nie miał prawa potraktować jej w ten sposób, nie miał prawa obejść się z Mammy tak kłamliwie, nie wolno mu było tak po błazeńsku zlekceważyć jej ostatnią wolę.

Tak, natychmiast to spalę, nie mam zamiaru doczytać tego do końca, nie muszę wystawiać moich oczu na żadne z jego kłamstw! Zaczęła macać po biurku w poszukiwaniu zapalek, lecz gdy już miała je w dłoni, upuściła je. Umarłabym zastanawiając się, co jeszcze napisał ten łotr - skarciła się w duchu, po czym skierowała wzrok na zapisaną kartkę i zaczęła czytać.

Rett donosił, że nadal będzie łożył na jej życie - pod tym względem nic nie ulega zmianie. Rachunki domowe będą płacone przez jego adwokatów, tak jak przed laty, a w razie gdyby pieniądze potrącano bezpośrednio z konta, różnica będzie automatycznie pokrywana przelewem. Dalej, Rett upraszał, iżby zechciała poinformować wszystkie sklepy, gdzie dopiero otwierała sobie kredyt o procedurze, którą stosowały sklepy, gdzie dotychczas zwykła robić zakupy: wszystkie rachunki należy wysłać wprost do prawników Retta. Jeżeli to jej nie odpowiada, może stosować zapłatę czekiem, a wszystkie należności zostaną przelane na jej konto.

Scarlett czytała zafascynowana: wszystko, co dotyczyło pieniędzy, niezmiennie wzbudzało jej zainteresowanie, i to od zawsze, od dnia, gdy wojska Unii zmusiły ją do odkrycia, co znaczy nędza. Pieniądze dają poczucie bezpieczeństwa - sądziła. Te, które zarobiła własną pracą, ciułała cent do centa i teraz, widząc, jak Rett w szlachetnym geście pełną dłońią czerpie ze swych zasobów, była wstrząśnięta.

Co za głupiec, mogłabym go okraść i nawet by nie zauważył, wystarczy że tylko zechcę. Pewnie ci jego prawnicy i tak fałszowali wszystkie księgi, i to nie od dzisiaj.

Hm... Rett musi być bajecznie bogaty skoro może sobie pozwolić na takie gesty, nie przejmując się tym zbytnio. Zawsze wiedziałam, że ma wypchaną sakiewkę. Ale żeby aż tak? Ciekawe, ile też tego ma?

Hm... ciągle mnie kocha, oto i przyczyna wszystkiego. Żaden mężczyzna nie zdobył kobiety tak, jak Rett zdobywał mnie przez wszystkie te lata, chyba że robił to dla rozrywki... Tak, i teraz chce mi dać wszystko, czego tylko zapragnę. Chyba ciągle darzy mnie tym samym uczuciem, w przeciwnym razie ściągnąłby cugle. Och, jestem tego pewna. Tak, wiedziałam, że tak będzie! Tak naprawdę wcale nie chciał powiedzieć tego, co powiedział. Po prostu nie mógł mi uwierzyć, gdy mu wtedy powiedziałam, że teraz wiem, że go Kocham.

Scarlett przycisnęła list do policzka z taką żarliwością, jakby trzymała dłoń, która go

napisała. Dowiedzie mu, udowodni mu, że go kocha całym swym sercem, a potem będą mogli żyć szczęśliwie - najszczęśliwsi na całym świecie!

Obsypała list pocałunkami, zanim ostrożnie złożyła go na dnie szuflady. Teraz z prawdziwym entuzjazmem zabrała się do sklepowej buchalterii... Interesy - to zawsze ją ożywiało. Kiedy służąca zapukała do drzwi i nieśmiało przypomniała o kolacji, Scarlett ledwie zwróciła na nią uwagę.

- Przynies mi tutaj na tacy - mruknęła do dziewczyny. - I napal w kominku.

Z zapadnięciem mroku zrobiło się chłodno, a Scarlett była głodna jak wilk.

Tej nocy spała wyśmienicie. Podczas jej nieobecności sklep miał wysokie obroty, zaś kolacja zupełnie zaspokoila potrzeby jej żołądka. Dobrze było znaleźć się znowu w domu, zwłaszcza gdy pod poduszką spoczywał list od Retta.

Kiedy się obudziła, przeciągnęła się rozkosznie. Szelest papieru pod poduszką wywołał na jej twarzy uśmiech. Sięgając po tacę ze śniadaniem, układała sobie porządek dnia. Po pierwsze, sklep. Pewnie kończy się towar. Wprawdzie Kershaw wzorowo prowadzi księgi, ale nie ma zmysłu zapobiegliwości. Najpierw zatem pozwoli by wyszły zapasy mąki i cukru, a dopiero potem zacznie się zastanawiać, jak tu napełnić beczki. Chyba też nie zamówił tłuszczu wielorybiego ani drewna na opał, chociaż z każdym dniem robi się chłodniej.

Wczoraj wieczorem nawet nie sięgnęła do stosu gazet. Teraz, idąc do sklepu, mogła sobie oszczędzić męczącej lektury. O wszystkim, co wydarzyło się w Atlancie, a co warto było wiedzieć, dowie się od Kershawa i subiektów. Nigdzie indziej, jak właśnie w sklepie, nie huczało tak głośno od plotek, krążących po mieście. Ludzie lubili rozprawiać czekając aż zakupy zostaną zapakowane. Hm... w ciągu połowy czasu, który był jej potrzebny na przeczytanie gazety mogła się dowiedzieć wszystkiego, o czym piszą na pierwszej stronie jeszcze zanim gazeta została wydrukowana. Wreszcie skończy się na tym, że wyrzuci do śmieci te hałdy papieru zalegające biurko, a i tak nic na tym nie straci.

Uśmiech zniknął jej z twarzy. Nie, nie mogła się pozbyć tych gazet w ten sposób. W którejś z nich znajdowała się notatka o pogrzebie Melanii. Chciała rzucić na to okiem.

Melania...

Ashley...

Sklep może poczekać. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

Co mnie opętało, że obiecałam Melanii zająć się Ashleyem i Beau?

Co się stało, to się nie odstanie. Obiecałam i zrobię najlepiej, gdy zaraz tam pójde.

Powinnam wziąć ze sobą Pansy, żeby przywróciła dom do porządku. Ale też w mieście muszą mleć ozorami o tej scenie nad grobem. W każdym razie lepiej nie dostarczać tematu do nowych plotek spotykając się z Ashleyem sam na sam. Scarlett tonąc w puszystym dywanie pospieszyła do drzwi i szarpnęła haftowany pas od dzwonka. Co z tym śniadaniem?

Ach, przecież Pansy została w Tarze. Musiała zdać się na któreś z obecnych tutaj służących... tak, śniadanie może przynieść ta nowa dziewczyna, jak jej tam... Rebeka. Miała też nadzieję, że Rebeka pomoże jej przy toalecie i że nie będzie się przy tym guzdrała. Chciała załatwić wszystko jak można najszybciej, chciała wywiązać się z tego zobowiązania i mieć to już za sobą.

* * *

Kiedy powóz zatrzymał się przed małym domkiem przy ulicy Bluszczowej, Scarlett stwierdziła, że żałobna girlanda zniknęła już z drzwi, ale wszystkie okna były zasłonięte.

India - natychmiast przemknęło jej przez myśl. Oczywiście. Zabrała Ashleya i Beau do ciotki Pittypat. Musi być sobą zachwycona.

India - siostra Ashleya - była jej zagorzałym wrogiem. Scarlett przygryzła wargę i zaczęła zastanawiać się nad sytuacją. Była przekonana, że Ashley oraz Beau muszą się przeprowadzić do ciotki Pitty, bo to jedyne sensowne rozwiązanie dla nich obu. Bez Melanii, teraz gdy Dilcey odeszła nie było już nikogo, kto mógłby prowadzić dom Ashleya i matkować jego synowi. U ciotki Pittypat mogli mieszkać w przytulnym, porządnie prowadzonym domu, a chłopaczek mógł być pewny niezmiennej miłości ze strony kobiety, która kochała go całe życie.

Dwie stare panny - lekceważąco wzruszyła ramionami. Wszystko, co nosiło spodnie, mogło wzbudzić w nich zachwyt, nawet jeśli to były krótkie spodenki. Żeby tylko India nie mieszkała u ciotki Pitty. Z tą ostatnią Scarlett mogła dać sobie radę. Leciwa dama nie ośmieliłaby się impertynencko traktować służbę, nie mówiąc już o Scarlett.

Ale z siostrą Ashleya to już zupełnie inna historia. India wręcz lubowała się w pojedynkach, uwielbiała wypowiadać same wredne rzeczy tym swoim chłodnym, pogardliwym głosikiem, gotowa była pokazać Scarlett drzwi.

Gdybyż też nie przyrzekła Melanii - ale przyrzekła.

- Jedź do Miss Pittypat Hamilton - poleciała Eliaszowi. Rebeka, wracaj do domu. Na piechotę.

U Pitty będzie dość przyzwoitek.

* * *

Zapukała. Otworzyła jej India. Spojrzała na zgrabny, przybrany futrem żakiecik żałobny i wąski, mściwy uśmiech wypełził na jej wargi.

Uśmiechaj się do woli, ty stara krowo - pomyślała Scarlett. Żałobna suknia Indii była uszyta z beznadziejnie czarnej krepy, a za wszystkie ozdoby musiał wystarczyć guzik.

- Przyszłam zobaczyć, jak z Ashleyem - rzekła od progu.

- Nie jesteś tu mile widziana - oświadczyła India i zaczęła zamykać drzwi.

Scarlett pchnęła ciężkie skrzydło.

- Indio Wilkes - wysapała. - Nie waż się zatrzaskiwać mi drzwi przed nosem. Obiecałam coś Meli i dotrzymam tej obietnicy, nawet gdybym miała cię zabić.

India odpowiedziała przypierając plecami drzwi i wzmacniając opór na nacisk dwojga rąk Scarlett. Lecz niegodna ta walka trwała zaledwie kilka sekund, bowiem po chwili z domu dobiegł ich głos Ashleya.

- Indio, czy to Scarlett? Chciałbym z nią porozmawiać.

Drewniane skrzydło drzwi puściło, a Scarlett wmaszerowała do środka, nie bez przyjemności zauważając, że cała twarz jej rywalki pokryta była czerwonymi plamami wściekłości.

Ashley wyszedł do sieni by ją powitać. Gdy go ujrzała, jej żwawe kroki straciły na pewności. Wyglądał jak chory z rozpacz. Ciemne obwódki okręzały jego blade oczy, głębokie bruzdy biegły od nozdrzy do podbródka. Ubranie, które założył, było na niego o wiele za duże. Surdut leżał na obwisłych ramionach niczym złamane skrzydła jakiegoś czarnego ptaka. Scarlett poczuła, jak serce jej zamiera. Już nie kochała Ashleya jak dawniej, ciągle jednak był częścią jej życia. Tyle wspomnień z nim się wiązało, tyle wspólnych przeżyć. Nie mogła patrzeć, jak tak strasznie cierpi.

- Ashleyu drogi - rzekła łagodnym głosem. - Podejź tu i usiądź. Sprawiasz wrażenie zmęczonego.

Usiedli na kanapie w małym, przeładowanym bibelotami, zastawionym meblami saloniku ciotki Pitty i siedzieli tak ponad godzinę. Scarlett odzywała się rzadko. Słuchała, jak mówi Ashley, jak powtarza raz już wypowiedziane kwestie, jak nagle przerywa w pół zdania, zagubiony w krętych ścieżkach wspomnień. Z wszelkimi szczegółami przytaczał opowieści, które miały przedstawiać jego zmarłą żonę jako istotę życzliwą, bezinteresowną, szlachetną, darzącą miłością Scarlett, Beau i jego samego. Jego dłoń bezwiednie zaciskała się na dłoni Scarlett, a ścisnął ją w przypiływie

tak wielkiej rozpaczy, że miażdżone kości przeszły przenikliwy ból. Zagryzła wargi. Nic nie powiedziała. Czekala na to, co powie dalej.

India stała cały czas w łukowo sklepionych drzwiach - ponury, niemy widz.

W końcu Ashley przerwał z własnej woli i potoczył głową to w jedną, to w drugą stronę jak ślepiec, który zgubił drogę.

- Scarlett - jęknął. - Bez niej nie dam sobie rady. Nie potrafię.

Cofnęła rękę. Musiała się przebić przez skorupę rozpaczy zasklepionej nad tym mężczyzną, w przeciwnym razie Ashley udusi się z braku powietrza, to pewne. Wstała i pochyliła się nad nim.

- A teraz posłuchaj mnie, Ashleyu Wilkesie - zaczęła. - Słuchałam cię cały czas, biorąc udział w twym smutku, teraz zaś ty musisz dzielić ze mną mój ból. Czy myślisz, że jesteś jedyną osobą, która kochała Melę i której na niej zależało? Ja też, Ashleyu, ja też, mój drogi, kochałam ją i byłam do niej przywiązana, mocniej niż kiedyś mi się zdawało. I sądzę, że nie ja jedna. Ale przybici jej śmiercią nie załamujemy się i nie oczekujemy, aż sami umrzemy. Tylko ty. Wstyd mi za ciebie. Mela także, jeśli spogląda na nas z wysokości niebiosów, wstydy się patrząc na to, co robisz. Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, przez jakie piekło musiała przejść by mieć Beau? Tak, ja dobrze wiem, ile wtedy wycierpiała i rzec ci muszę, że te męki zwałyby z nóg najsilniejszego spośród ludzi stworzonych przez Boga. Teraz jednak jesteś dla tego chłopca wszystkim, co posiada. I właśnie teraz, w tej chwili, zachowujesz się tak haniebnie. Czy chciałbyś pokazać się Meli w tym stanie? Chcesz, żeby wiedziała, jak jej syn żyje zdany na siebie, jak pędzi żywot sieroty, bo jego papa zbyt obnosi się nad własnym smutkiem, by znaleźć chwilkę czasu dla dziecka? Ashleyu Wilkesie, chcesz żeby z twojego powodu pękło jej serce? Dotychczas usilnie się o to starałaś.

Ujęła go pod brodę i zmusiła, by patrzył jej w oczy.

- Teraz masz mi się wziąć w garść, słyszysz co do ciebie mówię? Pójdiesz do kuchni i osobiście powiesz kucharzowi, żeby zrobił ci coś ciepłego do jedzenia. A kiedy zrobi, zjesz. Jeśli jadło będzie cię odrzucało, zjesz dokładkę. Potem zaś znajdziesz chłopaka, weźmiesz go w ramiona i powiesz mu, żeby się nie lękał, że ma ojca, który się nim zajmie. A potem zajmiesz się nim. Pomyśl o kimś obok siebie.

Scarlett wytarła dłoń w skraj żakietu, jak gdyby uścisk Ashleya ją poplamił. Po czym wolnym krokiem ruszyła ku wyjściu, usuwając Indię z drogi.

Kiedy otwierała drzwi na ganek, z salonu dobiegł ją głos Indii:

- Mój ty biedny, kochany Ashleyu. Pluj na te straszne bzdury, które wygadywała ci

Scarlett. Nie zwracaj na nią uwagi. To potwór.

Przystanęła, odwróciła się. Wyjęła z sakiewki kartę wizytową i rzuciła ją na stół.

- Zostawiam dla ciebie wizytówkę, ciociu Pitty - krzyknęła w głąb sieni. - Skoro tak się boisz ujrzeć mnie we własnej osobie, wiedz przynajmniej, że byłam.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Jedziemy, Eliaszu - poleciła woźnicy. - Obojętne, gdzie.

Nie mogła zostać w tym domu ani minuty dłużej. Co ziałała? Przebiła się do Ashleya? Wzięli ją za potwora? Tak, ale musiała być potworem, bowiem Ashley topił się we współczuciu i bólu - ciekawe tylko, czy zdołała mu pomóc. Uwielbiał syna, może więc weźmie się w garść, choćby ze względu na Beau. Lecz owo „może” to jeszcze za mało. Ashley musiał wziąć się w garść. A ona musiała mu w tym pomóc.

* * *

- Wieź mnie do biura prawnego pana Henryka Hamiltona - poleciła Eliaszowi.

„Wuj Henryk” siał strach wśród większości kobiet, lecz Scarlett nie bała się go. Była w stanie zrozumieć, że mężczyzna, który wyrósł pod jednym dachem z ciotką Pittypat stał się mizogynistą. Wiedziała też, że wuj raczej ją lubi. Powiedział, że nie jest durna, jak większość kobiet. Był jej adwokatem, stąd wiedział, jak przebiegła potrafi być w załatwianiu interesów.

Kiedy weszła do jego biura nie czekając, aż ją zaanonsują, odłożył list, który właśnie czytał i roześmiał się.

- Scarlett, wejdz proszę - zawołał, wstając z fotela. - Spieszysz się wnieść skargę na kogoś?

Ignorując krzesło przed biurkiem, zaczęła krążyć szybkim krokiem tam i z powrotem.

- Najchętniej bym zastrzeliła pewną osobę - powiedziała skubiąc nerwowo rękaw. - Ale nie wiem, czy to by co pomogło. Czyż nie mam racji, że Karol, umierając, zostawił mi w spadku wszystko, co posiadał?

- Dobrze wiesz, że tak było. I przestań wreszcie miotać się po pokoju tylko usiądź. Karol zostawił ci składy w pobliżu dworca spalonego przez Jankesów. I zostawił ci także farmę za miastem, a wiele jeszcze czasu musi minąć, zanim znajdzie się w obrębie Atlanty, bowiem miasto rozrasta się powoli.

Scarlett przysiadła na brzegu krzesła, wbiła wzrok w siedzącego z drugiej strony biurka wuja.

- A co do połowy domu ciotki Pitty, tego na ulicy Brzoskwiniowej - rzekła wyraźnie

oddzielając słowa. - Czy to przypadkiem także nie jest moje?

- Dobry Boże, Scarlett, tylko nie mów mi, że chcesz się tam przeprowadzić!

- Oczywiście, że nie. Ale chcę, żeby Ashley się stamtąd wyniósł. India i ciotka Pitty zbyt mu współczują w żałobie. Powinien wrócić do własnego domu. Sama mu znajdzie gospodynię.

Henryk Hamilton obrzucił ją badawczym spojrzeniem swych bezbarwnych oczu.

- Czy jesteś pewna, że chcesz, aby wrócił do domu tylko dlatego, iż nadmiar współczucia przysparza mu cierpień?

Scarlett musiała hamować się, żeby nie wybuchnąć.

- Wielkie nieba, wuju, czy na starość stałeś się łowcą skandali?

- Panienko, nie pokazuj mi zębów - uspokoił ją z tą swoją flegmatyczną manierą. - Usiądź wygodnie na krześle i zechciej wysłuchać kilku prawd, które choć trudne do przyjęcia, zasługują by się z nimi liczyć. Spośród ludzi, których spotkałem, masz zapewne najlepszą głowę do interesów, lecz gdy chodzi o najprostsze sprawy życiowe masz tyle oleju w głowie, co pierwszy lepszy wiejski głupek.

Scarlett posłała mu ponure spojrzenie, lecz nic nie powiedziała.

- A teraz, co się tyczy domu Ashleya - cedził stary wyga. - Właśnie został sprzedany. Wczoraj spisałem umowę.

Podniósł rękę, nakazując Scarlett milczenie, zanim jeszcze była w stanie otworzyć usta.

- Poradziłem mu, żeby przeniósł się do Pitty, a własny dom sprzedał. Bynajmniej nie z powodu przykrych skojarzeń i bolesnych wspomnień, które się z nim wiązały, ani też nie dlatego, żeby mnie obchodziło, kto zaopiekuje się nim i jego synem, choć oczywiście obie te sprawy mają swoją wagę. Doradziłem mu ten krok, ponieważ potrzebował pieniędzy, by powstrzymać od upadku swe interesy z drewnem.

Scarlett aż podskoczyła.

- Co mówisz, wuju. Ashley nie zna się co prawda na robieniu pieniędzy, ale nie mógł przywieść się do ruiny. Na budowie zawsze potrzeba drzewa.

- O ile w ogóle coś się buduje - ponuro skonstatował Henryk Hamilton. - No, dziecko, weź się jeszcze na minutkę w cugle i posłuchaj mnie w milczeniu. Wiem, że zajmuje cię tylko to, co bezpośrednio ciebie dotyczy, lecz dwa czy trzy tygodnie temu wybuchł w Nowym Jorku wielki skandal finansowy. Spekulant imieniem Jay Cook przeliczył się i wywołał krach na giełdzie. Pociągnął za sobą linię kolejową, spółkę Northern Pacific. Za nim potoczyło się jeszcze kilku innych spekulantów, facetów,

którzy brali udział w tym interesie z koleją i w jeszcze paru innych. Spadając na dno ściągali za sobą także wszystkie te transakcje, w których byli udziałowcami, już zupełnie niezależnie od swych powiązań z Cookiem. A wtedy posypały się wszystkie interesy w jakiś sposób związane z nimi, a za nimi następne. Taki domek z kart. Wyjmij jedną, a wszystkie polecą. W Nowym Jorku nazywa się to „paniką”. W każdym razie domek właśnie się rozpada i należy oczekiwać, że panika, zanim zostanie stłumiona, ogarnie cały kraj.

Scarlett poczuła ukłucie strachu.

- A co z moim sklepem? - krzyknęła. - Co z pieniędzmi? Czy banki są jeszcze bezpieczne?

- Ten, w którym trzymasz swe oszczędności, tak. Sam też mam konto w tym banku, dlatego mówię to zupełnie przekonany. W rzeczy samej, Atlanta nie odniesie większych szkód z powodu krachu. Miasteczko niewielkie, wielkich interesów nikt tu nie prowadzi, a tylko rekiny poniosły teraz poważne straty. Ale w całym kraju zapanowała stagnacja. Ludzie boją się inwestować w cokolwiek, w tym także w budownictwo. A jeśli nikt nie buduje, nikt nie potrzebuje budulca.

Scarlett zdrewniała.

- Mam więc rozumieć, że Ashley nie wyciągnie z tartaków ani centa? Tak, jasne. Lecz jeśli nikt nie inwestuje, to dlaczego tak szybko poszła sprzedaż domu? Jeśli w ogóle cokolwiek się na tym znam, to zdaje mi się, że panika powinna wywołać przede wszystkim spadek cen realnych.

Wuj Henryk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jasne. Ceny spadły. Jak kamień. Ale ty masz główkę, Scarlett. I właśnie z tego powodu poradziłem Ashleyowi, żeby sprzedał dom tak szybko, jak się da. Panika jeszcze nie ogarnęła Atlanty, wkrótce jednak ogarnie. W ciągu ostatnich ośmiu lat mieliśmy koniunkturę... do licha, przecież mieszka tu teraz ponad dwadzieścia tysięcy ludzi... ale interesy kwitną tylko wtedy, gdy podlewasz je złotem.

Wybuchnął śmiechem, rozbawiony własnym dowcipem.

Scarlett roześmiała się razem z nim, choć doprawdy nie widziała nic śmiesznego w zapaści ekonomicznej. Znała ludzi po wielkości ich sakiewek.

Śmiech wuja Henryka nagle wygasł, jak strumień wody zakręcony jednym obrotem kurka.

- Tak. W rezultacie Ashley mieszka teraz z siostrą i ciotką, przeniósł się tam z ważnych powodów i stosownie do mojej rady. Co, jak widzę, zupełnie ci się nie podoba.

- Nie, nie podoba mi się - westchnęła. - No bo w końcu jak może się podobać? Ashley wygląda strasznie, a te idiotki jeszcze pogarszają jego stan. Właściwie żywy trup z niego. Wygłosiłam mu niezłe kazanie, usiłowałam go wyciągnąć ze stanu, w jakim tkwi i tak się do niego dobrałam, że nie zostawiłam suchej nitki na nim. Nie wiem jednak, czy to odniesie jakiś skutek. Wiem natomiast, że niewiele się tym przejął, nawet jeśli to, co usłyszał dotarło do niego. Wszystko na nic, dopóki Ashley tkwi w tym domu.

Spojrzała na wuja Henryka, na jego sceptyczną minę. Gniew zaczerwienił jej twarz.

- Nie dbam, co ci ludzie mówili, ani nie interesuje mnie, co sobie myślisz. Nie uganiam się za Ashleyem. Obiecałam Melanii, gdy leżała na łożu śmierci, że zaopiekuję się jej mężem i jej synem. Bóg mi świadkiem, że najchętniej nie składałabym podobnych przyrzeczeń, lecz już za późno.

Jej porywczosć sprawiła, że Henryk poczuł się nieswojo. Nie lubił mieć do czynienia z uczuciami, zwłaszcza gdy ujawniały je kobiety.

- Jeśli zaczniesz płakać, będę cię musiał stąd wyrzucić.

- Nie zamierzam uderzać w płacz. Jestem wściekła. Muszę coś zrobić, a ty w niczym nie jesteś mi pomocą.

Henryk Hamilton rozparł się wygodnie w fotelu. Zaplótł palce, wsparł dłonie na imponującym brzuchu. Wyglądał teraz niczym uosobienie prawnika, a nawet sędziego.

- Moja droga Scarlett - zaczął z namysłem. - Jesteś teraz ostatnią osobą, która mogłaby pomóc Ashleyowi. Już ci mówiłem, że zamierzam rzucić na stół kilka twardych prawd, a oto jedna z nich. Słusznie czy nie... nie obchodzi mnie, jak się naprawdę rzeczy miały... w swoim czasie wiele tu rozprawiano o tobie i Ashleyu. Miss Melania stanęła w twojej obronie i większość ludzi poszła jej śladem... z miłości ku niej, bynajmniej nie powodowani specjalnymi względami wobec ciebie. India wyobrażała sobie wszystko, co najgorsze i nie kryła się ze swymi myślami. Zgromadziła wokół siebie ludzi, którzy myśleli podobnie jak ona. Zapewne, nie wyglądało to elegancko, lecz opinia publiczna stanęła po ich stronie, jak zwykle zresztą. Sprawy mogły pójść tym samym torem co zawsze, mimo śmierci Melanii. Ludzie nie lubią nagłych zwrotów ni zmian. Ale ty przecież nie dopuściłabyś, by cokolwiek stało się bez twego udziału, co to, to nie. Musiałaś zrobić tę farsę tuż nad grobem Meli z sobą w roli głównej. Musiałaś rzucić się na szyję jej mężowi, odciągając go od zwłok jego żony, którą wielu uważa za niemal świętą.

Podniósł dłoń, jakby chcąc uprzedzić jej atak.

- Tak, tak. Oczywiście, dokładnie wiem, co zaraz powiesz, oszczędź sobie tego.

Znów splótł palce.

- Jeszcze chwila i Ashley rzuciłby się do grobu i skręcił sobie kark. Przecież byłem tam, widziałem. Ale nie to najważniejsze. Otóż zmierzam do tego, że chociaż jesteś sprytna w interesach, najzwyczajniej w świecie nie rozumiesz, co dzieje się wokół ciebie... Gdyby Ashley rzucił się na trumnę, zgodna opinia uznałaby to za „wzruszające”. Gdyby przy okazji skręcił kark, wszyscy szczerze by go żalowali, ale największy nawet smutek ujmuje się w karby pewnych reguł. Tymczasem ty wyłamałaś się robiąc scenę. Objęłaś mężczyznę, który nie jest twoim mężem. I to na oczach wszystkich. Popęłniłaś nietakt, zakłóciłaś powagę ceremonii, podczas której każdy powinien wiedzieć, co wypada, co nie. Wreszcie znieważylaś świętość obrzędu... Nie ma w tym mieście damy, która nie opowiedziała się po stronie Indii teraz, w tym momencie. Przyznając rację Indii, opowiadają się przeciwko tobie. Kobieta twojej reputacji nie będzie mogła znaleźć przyjaciół. A jeśli mimo wszystko czujesz, że musisz coś zrobić z Ashleyem, spowodujesz jedynie tyle, że i on będzie się czuł jak parias... Panie z towarzystwa sprzysięgły się przeciw tobie. I niech Bóg cię ma w swojej opiece, droga Scarlett, bo ja nie jestem w stanie nic dla ciebie zrobić. Jeśli chrześcijańskie damy skrzyknęły się przeciwko tobie, lepiej nie pokładaj nadziei w cnocie miłości chrześcijańskiej, ani nie licz na przebaczenie. U nich ich nie znajdziesz. A gdy zwrócisz się do innych, nie dopuszczają, by cię wysłuchano, zwłaszcza jeśli skierujesz się do ich mężów. Albowiem do nich należą ciała i dusze ich mężczyzn. Oto i powód, dlaczego zawsze trzymałem się z daleka od tych, które ochrzczono mianem „słabej płci”, jakże bezmyślnie dobierając to imię... Dobrze ci życzę, Scarlett. Wiesz, że zawsze cię lubiłem, toteż mimo wszystko chciałbym dla ciebie najlepiej. Zrobiłaś mnóstwo głupstw i nie wiem, czy kiedykolwiek zdołasz się z tego wyplątać.

Starzec wstał.

- Zostaw Ashleya tam, gdzie mieszka. W końcu pewnego dnia jakaś szczebiotka weźmie go i usidli, a wtedy już ona o niego zadba. Daj spokój domowi ciotki Pittypat, włącznie z tą połową, która należy do ciebie. I nie zapominaj przesyłać przeze mnie pieniędzy na konserwację twojej części, tak jak robiłaś to dotychczas. W ten sposób najlepiej wypełnisz obietnicę złożoną Melanii... A teraz chodź, odprowadzę cię do powozu.

Scarlett podała mu rękę i potulnie pozwoliła odprowadzić się do wyjścia. Ale wewnątrz cała kipiała. Przecież powinna była wiedzieć, że od wuja Henryka nie

otrzyma żadnego wsparcia.

Teraz sama musiała się przekonać, ile prawdy było w tym, co mówił: czy naprawdę była panika na giełdzie oraz czy - najważniejsze - jej pieniądze były bezpieczne.

6.

„Panika” - takiego określenia użył Henryk Hamilton. Kryzys finansowy, który wybuchł na nowojorskiej Wall Street jak potop ogarniał najdalsze zakątki Ameryki. Scarlett opadło przerażenie, że nagle może stracić wszystkie pieniądze, które zarabiała i odkładała całymi laty. Zaraz gdy tylko wyszła z biura wuja pospieszyła do banku. Kiedy wchodziła do biura dyrektora, była bliska zawału.

- Rozumiem pani niepokój, Mrs. Butler - powiedział dyrektor, lecz Scarlett wyraźnie widziała, że niczego nie rozumiał. Czuł się urażony tym, że kwestionowała wypłacalność banku, którym kierował. Im dłużej mówił, im goręcej starał się ją przekonać, tym mniej mu wierzyła.

Wtem, zupełnie mimowolnie, rozproszył wszystkie jej obawy.

- Cóż... - westchnął zmęczony długą przemową. - Mogę pani powiedzieć, że nie tylko wypłacamy naszym akcjonariuszom zwykle dywidendy, ale że nawet podnieśliśmy procent wypłat z zysku.

Spojrzał na nią spod oka.

- Sam dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj rano - mruknął gniewnie. - I chętnie bym się dowiedział, czym kierował się mąż łaskawej pani wykupując miesiąc temu dodatkowy pakiet akcji.

Scarlett opanowało uczucie takiej ulgi, że mogłaby podfrunąć z krzesła. Jeśli Rett kupował akcje tego banku, to znaczy że jest to najbezpieczniejsze miejsce do lokaty kapitału jak Ameryka długa i szeroka. Rett zawsze wychodził na swoje, nawet gdy świat walił się w gruzy on zarabiał pieniądze. Nie miała pojęcia, w jaki sposób wysondował pozycję tego banku i wcale ją to nie obchodziło. Wystarczy, że Rett darzy bank zaufaniem.

- Cóż... po prostu ma kryształową kulę - oświadczyła wybuchając perlistym śmiechem, od którego bankier omal nie dostał apopleksji. Czuła się trochę jak pijana.

Ta rozmowa nie rozwiała jej wątpliwości na tyle, by zapomnieć obrócić całą gotówkę przechowywanej w sejfie w złoto. Ciągle miała przed oczami tyleż eleganckie co bezwartościowe banknoty waluty emitowanej przez Konfederatów, w której naiwny Papa ulokował wszystkie swe oszczędności. Nie miała zaufania do papieru.

Kiedy wyszła z banku przystanąła na schodach rozkoszując się ciepłem jesiennego słońca, ciesząc oczy ciżbą ludzi, wiecznie zagonionych w interesach. Nic dziwnego - dzielnica handlowa. Popatrz tylko na tych krzątających się ludzi - powtarzała w duchu. Spieszą się, żeby zrobić pieniądze, nie dlatego, że coś im zagraża. Wuj Henryk, ten

stary bałwan, chyba oszalał. Jaka panika!

Następnie miała w planie sklep. KENNEDY'S EMPORIUM - głosił wielkimi literami napis ciągnący się wzdłuż budynku. Odziedziczyła to jako spadek po krótkim małżeństwie z Frankiem Kennedym. To, no i Elle. Przyjemności, które czerpała z posiadania sklepu z nawiązką wynagradzały jej rozczarowanie, którego źródłem było to dziecko. Okna błyszczały czystością, na wystawie cieszyły oko stosy nagromadzonych towarów: było tu wszystko, od lśniących nowych siekier po lśniące nowe szpilki krawieckie. Trzeba stąd zabrać te bele perkalu - przemknęło jej przez myśl. W przeciwnym razie zblakną na słońcu i będzie musiała wszystko przecenić. Scarlett wpadła do środka, gotowa obedrzeć ze skóry Williego Kershawa, głównego subiekta.

Tak, ale w końcu czy ma o co drzeć koty? Ten perkal z wystawy dostała lekko uszkodzony w transporcie, do ładowni statku wdarła się woda, i tak już raz musieli obniżyć cenę. Dostawca zgodził się opuścić dwie trzecie. Kershaw złożył zamówienie na nowy towar, choć nikt mu nie kazał, a w prostokątnym stalowym sejfie na tyłach sklepu leżały równo zrolowane monety i poukładane w równe paczuski zielonkawe banknoty - dzienne wpływy.

- Zapłaciłem podsubiektom, Mrs. Butler - powiedział drżącym ze zdenerwowania głosem Kershaw. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Rachunki sporządziłem zgodnie ze stanem przychodów i rozchodów z soboty. Chłopcy powiedzieli, że jeśli nie dostaną tygodniowej wypłaty, to nie będą mieli z czego opędzić najpilniejszych potrzeb. Dla siebie nie wziąłem ani centa, ale gdyby pani była łaskawa...

- Oczywiście - Scarlett łaskawie skinęła głową. - Dostaniesz pensję, gdy tylko sprawdzę, czy księgi się zgadzają.

Rzecz jasna, Kershaw wywiązał się ze swych obowiązków znacznie lepiej, niż się tego spodziewała, co jednak nie znaczyło, że pozwoli mu wziąć się za idiotkę. Dopiero gdy na własne oczy stwierdzi, że przychody i rozchody zgadzają się co do grosza, dopiero wtedy wypłaci mu te jego dwadzieścia dolarów i siedemdziesiąt pięć centów - trzytygodniowy zarobek głównego subiekta KENNEDY'S EMPORIUM. Jutro, gdy mu wypłaci za ten tydzień, dostanie jednego dolara extra - postanowiła. Należy się mu nagroda za to, że tak dobrze prowadził interes podczas jej nieobecności.

Ale to jeszcze nie wszystko. Scarlett postanowiła bowiem rozszerzyć zakres jego obowiązków.

- Willie - odezwała się bardzo poufnym tonem. - Chcę otworzyć kredyt.

Wyłupiaste oczy Kershawa omal nie wyskoczyły z orbit. Od dnia, kiedy Mrs.

Kennedy, później Butler, wzięła się za prowadzenie tej firmy, kredyt był tu nieznany. Zatem tym uważniej słuchał jej poleceń. Kiedy zażądała, by przysiągł, że żywej duszy nie zdradzi niczego, położył dłoń na sercu i przysiągł. Lepiej już związać się przysięgą i zachować milczenie, bo w przeciwnym razie Mrs. Butler i tak się dowie, czy coś komuś wypaplał. Był przekonany, że Scarlett ma także oczy z tyłu głowy, a poza tym umie czytać w umysłach ludzi. Sama przysięga była tylko czczą formalnością. Nawet gdyby chciał kogoś wtajemniczyć w tę sprawę, i tak nikt by mu nie dał wiary.

Po wyjściu ze sklepu Scarlett udała się do domu na obiad. Kiedy umyła twarz i ręce jej wzrok padł na stos gazet. Notatka o pogrzebie Melanii wyglądała tak, jak mogła się tego spodziewać: imię, nazwisko, miejsce urodzenia i data śmierci. Bowiem nazwisko prawdziwej damy trzykroć tylko w gazetach wymieniane być może: gdy się urodzi, wyjdzie za mąż i umrze. Poza nazwiskiem i datami niczego więcej nie trzeba - broń Boże żadnych szczegółów. Scarlett napisała własnoręcznie krótką notatkę, w której dodała jeszcze parę czcigodnych wierszy o tym, jak wielką było tragedią dla Meli umrzeć tak młodo i jakże osierociła pogrążoną w żałobie rodzinę oraz przyjaciół w Atlancie, lecz oczywiście India wszystko ocenzurowała - pomyślała z irytacją. Gdybyż tylko gospodarstwo Ashleya znalazło się w rękach innej kobiety, życie byłoby o wiele lepsze.

Ale już lektura następnego numeru sprawiła, że dłonie Scarlett zwilgotniały z emocji. Pierwsza strona, druga, trzecia - gwałtownie kartkowała jedną po drugiej, czując wzrastający niepokój.

- Postaw na stole - rzuciła znad stosu papierów, gdy w drzwiach stanęła służąca i oznajmiła obiad. Zanim zasiadła do pieczenia z kurczaka, skwiercząca warstwa zastygła w postaci tłustawej galaretki, lecz nie zwracała na to uwagi. Wuj Henryk miał rację, świat biznesu przeżywał straszliwe zamieszanie, tak że nawet można było mówić o krachu. Giełda Surowcowa w Nowym Jorku była zamknięta przez dziesięć dni od owego piątku zwanego przez dziennikarzy „Czarnym piątkiem”, kiedy to ceny surowców spadały na łeb, na szyję, ponieważ wszyscy sprzedawali, a nikt nie chciał kupić. W wielkich miastach amerykańskich pozamykano banki, ponieważ klienci nagle rzucili się do okienek, żeby wybrać pieniądze, a te zniknęły - zainwestowane przez banki w „bezpieczne” interesy w obrocie surowcami, które naraz okazały się niemal bezwartościowe. W okręgach przemysłowych stopniowo zamykano fabryki, i to prawie codziennie, a tysiące robotników nagle znajdowały się bez pracy i bez pieniędzy.

Wuj Henryk powiedział, że Atlancie nic nie grozi - powtarzała sobie Scarlett. Ale

musiała siłą się powstrzymać, żeby powodowana pierwszym impulsem nie pójść do banku i nie zabrać do domu kasetki ze złotem. Gdyby Rett nie kupił akcji tego banku, z pewnością by to zrobiła.

Pomyślała o tym, co zamierzała załatwić po południu i żałowała, że ten pomysł w ogóle zaświtał jej w głowie, postanowiła jednak, że to zrobi. Nawet regiony wiejskie ogarniała panika, z każdym dniem coraz gwałtowniejsza.

Może powinnam łyknąć kieliszek koniaku - dobrze mi to zrobi na pełen żołądek. Karafka stała pod ręką, na kredensie. Przynajmniej uspokoi nadwężone nerwy, które omal nie wyskoczyły ze skóry... Ale nie. Oddech czuć będzie alkoholem, nawet jeśli potem zje natkę pietruszki lub liść mięty. Wzięła głęboki oddech i wstała od stołu.

- Pobiegnij do wozowni i powiedz Eliaszowi, że jedziemy - kazała dziewczynie, która przybiegła na dźwięk dzwonka.

* * *

Zadzwoiła, ale nikt nie otworzył frontowych drzwi domu ciotki Pittypat. Była pewna, że jedna z firanek w oknie salonu drgnęła. Pociągnęła za sznurek po raz drugi. Za drzwiami w sieni, rozległo się dzwonięcie, po czym dobiegł ją jakiś stłumiony szmer. Ktoś się poruszył. Znowu pociągnęła za sznurek. Ale gdy przebrzmiał donośny dźwięk dzwonka, odpowiedziała cisza. Czekala tak długo, że mogła doliczyć do dwudziestu. Stukot końskich kopyt, trzask kół. Jakiś powóz przejechał przez ulicę.

Jeśli ktokolwiek widział mnie, jak tu stoję całując klamkę, nigdy nie będę w stanie spojrzeć mu w oczy nie czując piekielnego wstydu - ta myśl przypląnęła na fali przykrego gorąca, które oblało jej twarz. Czula, jak pieką ją policzki. Wuj Henryk jak zwykle miał rację, co do joty. Tak, nie będzie przyjmowana. Przez całe życie zdarzało się jej słyszeć opowieści o osobach, wokół których roztaczała się atmosfera skandalu, tak że żaden szanujący się człowiek nie otworzyłby drzwi przed nimi, ale w najśmielszych wyobrażeniach nie przyszłoby jej do głowy, iż coś podobnego jej się przydarzy. Była przecież Scarlett O'Hara, córką Ellen Robillard, tej z Robillardów z Savannah. Niemożliwe, by coś takiego mogło mieć miejsce.

Przyszłam w dobrych intencjach - jęknęła w bolesnym oszołomieniu. Czula, że pieką ją oczy - zaraz popłyną łzy. Lecz potem, jak to już nieraz się zdarzało, porwał ją płomień gniewu i oburzenia. Do diabła, przecież połowa tego domu należy do mnie! Jakim prawem ktokolwiek ośmiela się zamykać przede mną drzwi?

Stuknęła pięścią, uderzyła kołatką, drzwi jednak pozostały zaryglowane.

- Indio Wilkes! - krzyknęła co sił w gardle. - Wiem, że tam jesteś!

Nieźle mi „tam”! Pewnie przyłożyła ucho do drzwi i udaje głuchą.

- Przyszłam na rozmowę z tobą, Indio, i nie odejdę stąd, dopóki z tobą nie porozmawiam. Będę siedziała na schodach tego domu i będę tak siedziała dopóty, dopóki mnie nie wpuścisz, albo aż Ashley wróci i otworzy mi swoim kluczem, przyprawiając cię o wstyd.

Po czym odwróciła się i uniosła tren sukni. Wtedy usłyszała szcęk odsuwanej zasuw.

- Na miłość boską, wejdz - chrapliwie szepnęła India. - Przez ciebie sąsiedzi wezmą nas na języki.

Scarlett chłodno spojrzała ponad ramionami Indii.

- Może to ty raczej powinnaś wyjść i usiąść ze mną na schodach? Ślepy włóczęga może się o ciebie potknąć i pojmie cię za żonę w zamian za wikt i opierunek.

Zaledwie to powiedziała, pomyślała sobie, że jednak przedtem powinna była ugryźć się w język. Przecież nie przyszła tutaj toczyć z Indią walki. Ale siostra Ashleya zawsze zachowywała się wobec niej jak oślica, na której usiłowano jechać na oklep, zaś to upokorzenie, którego doznała wystając przed zamkniętymi drzwiami było niczym jątrząca rana.

India pchnęła drzwi. Scarlett rzuciła się, żeby jej w tym przeszkodzić.

- Przepraszam - wydobyła z siebie zza zaciśniętych zębów. Jej wściekłe spojrzenie skrzyżowało się z miotającym błyskawice wejrzeniem Indii. Po chwili drzwi stały otworem.

Jakżeż bawiłaby ta scena Retta! - uświadomiła sobie nagle i z pewnym zdziwieniem. W dobrych czasach, gdy byli jeszcze przykładowym małżeństwem, wiecznie opowiadała mu o swych sukcesach w interesach oraz o tym, co działo się w światku towarzyskim Atlanty. Słuchając tych opowieści wybuchał głośnym śmiechem, śmiał się długo i nazywał ją swym „nigdy niewyczerpanym źródłem uciechy”. Może znowu roześmiałyby się serdecznie gdyby mu powiedziała, jak to India odskoczyła niczym smok zmuszony do odwrotu.

- Czego chcesz? - w głosie Indii chrzęściły kryształki lodu, lecz z drżącego tonu wyraźnie było słyhać, jakie furie nią miotały.

- Niezwykłeś łaskawa, moja droga, że prosisz mnie bym usiadła i wypić filiżankę herbaty - zaszcebiotała Scarlett z największą swobodą. - Wszakże przed chwilą odstąpiłam od obiadu.

W istocie była głodna. W przedsmaku czekającej ją walki zapomniała o całym

zdenerwowaniu. Miała nadzieję, że nie będzie jej burczało w brzuchu - czuła, że w żołądku jest pusto i sucho.

India zajęła miejsce przed drzwiami do salonu.

- Ciotka Pitty odpoczywa.

- Pewnie ma wapory - mruknęła do siebie Scarlett, ale tym razem trzymała język na wodzy. To nie stara Pittypat doprowadzała ją do szaleństwa. W każdym razie powinna była wygarnąć już to, z czym tu przyszła. Miała zamiar skończyć zanim wróci Ashley.

- Nie wiem - zaczęła - czy zdajesz sobie z tego sprawę, lecz Mela na łożu śmierci prosiła mnie, abym dawała baczenie na Beau i na Ashleya.

India drgnęła, jakby trafił w nią pocisk.

- Tylko nie protestuj - ostrzegła ją Scarlett. - Ani słowa skargi. Cokolwiek byś teraz nie powiedziała, nijak się ma do ostatnich słów umierającej Melanii.

- Pograżyłaś w niesławie dobre imię Ashleya - jęknęła India - tak jak zepsułaś sobie opinię. Nie chcę, żebyś mi się tutaj szwendała za moim bratem, ściągając hańbę na nasz dom.

- Ostatnią rzeczą, której mogłabym pragnąć na tym łożu padole, Indio Wilkes, byłoby przebywać w tym domu bodaj minutę dłużej, niż muszę. Przyszłam ci powiedzieć, że wydałam stosowne polecenia personelowi sklepu i od dzisiaj możesz brać za darmo wszystko, czego ci potrzeba.

- Wilkesowie nie potrzebują łaski!

- A kto tu mówi o łasce, głuptasku? Jeśli już, to miałam na względzie obietnicę, którą dałam Melanii. Nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, jak szybko Beau wyrośnie ze spodni i z butów. Ani nie podejrzewasz, ile to kosztuje. Zamierzasz zadreć tymi głupstwami Ashleya, który i tak ma już złamane serce z powodu zmartwień o wiele poważniejszych? A może chcesz, żeby koledzy ze szkoły pokazywali sobie Beau palcami i zrobili z chłopca przedmiot kpin?... Wiem, jakie dochody ma ciotka Pitty. Pamiętasz, kiedyś tu mieszkałam? Wystarczy jej zatem na tyle, by mieć z czego utrzymać wuja Piotra, powóz, mieć co podać na stół, za resztkę kupuje te swoje sole trzeźwiące. Tymczasem w Nowym Jorku, drobnostka, wybuchła panika. Połowa przemysłu w kraju stanęła wobec groźby bankructwa. Wałą się interesy. Dochody Ashleya będą zapewne niższe niż kiedykolwiek... Jeśli ja potrafię powściągnąć dumę, czekając aż mi otworzą, ty także powinnaś umieć zrezygnować z własnej pychy, i wziąć, co ci dają. Nie tobie odrzucać ten dar, bowiem gdyby chodziło tylko o ciebie, zostawiłabym cię przymierającą głodem i nawet bym się nie obejrzała. Mówię o Beau. I Ashleyu. I Meli,

ponieważ złożyłam jej przyrzeczenie... „Opiekuj się nim, Scarlett...”, prosiła mnie wtedy, „...ale nie daj mu tego nigdy poznać”... Nie będę mogła dochować dyskrecji, jeśli mi nie pomożesz, Indio.

- Skąd mam mieć pewność, że to istotnie słowa Melanii?

- Ponieważ ja ci to mówię, a moje słowa są na wagę złota. Nie dbam, co sobie o mnie myślisz, Indio, ale nie znajdziesz nikogo, kto by powiedział, że nie dotrzymałam obietnicy czy zламаłam dane słowo.

India zawahała się, Scarlett miała już pewność, że wygrywa.

- Nie musisz osobiście pojawiać się w sklepie - dodała w celu uspokojenia. - Napisz, czego potrzebujesz i wyślij przez kogoś.

India wzięła głęboki oddech.

- Ale tylko szkolne ubranka dla Beau - rzekła, wzrok wbiwszy w podłogę.

Scarlett siłą powstrzymywała się od uśmiechu. Jeśli już India zasmakuje w robieniu zakupów za darmo, z pewnością jej apetyt wzrośnie. Tego mogła być pewna.

- Zatem pożegnam się już, Indio. Mój główny subiekt, Mr. Kershaw, jest jedynym człowiekiem, który poza mną i tobą wie o tej sprawie, a jemu można zaufać. Listę potrzebnych sprawunków zechciej zaadresować na niego, on już się wszystkim zajmie.

Gdy wsiadała do powozu, w żołądku głośno zaburczało. Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Bogu niech będą dzięki, że nie minutę wcześniej.

Wróciwszy do domu kazała kucharzowi przygrzać obiad i podać do stołu. Czekając, aż będzie mogła zasiąść do jedzenia, przejrzała resztę gazet, te zwłaszcza strony, na których mogła znaleźć dalsze szczegóły o wielkiej panice. Jej uwagę przyciągnęła także kolumna, która nigdy przedtem nie wzbudzała najmniejszego zainteresowania - teraz czytała ją z wypiekami na twarzy. Chodziło o kronikę życia towarzyskiego Charleston - tutaj mogła spotkać nazwisko Retta, jego matki, siostry lub brata.

Ostatecznie niczego nie znalazła, ale też naprawdę niczego się nie spodziewała. Jeśli w Charlestonie działo się coś istotnie ciekawego, zapewne dowie się o tym za następnej bytności Retta w domu. To zainteresowanie, którym obdarzała jego krajan i miejsce, gdzie się wychował, miało być dlań świadectwem, że go kochała, niezależnie od tego, co sam o tym sądził. Ciekawe, ileż to razy będzie musiał się tutaj pokazać, by „stłumić w zarodku wszelkie plotki?”.

* * *

Tej nocy Scarlett nie mogła zasnąć. Ilekroć zamykała oczy, za każdym razem widziała frontowe drzwi domu ciotki Pitty, zamknięte i zaryglowane przed nią. To

sprawka Indii, sama się przyznała. Lecz niemożliwe, by miał rację wuj Henryk mówiąc, że wszystkie drzwi w Atlantycie są przed nią zamknięte.

Tak, ale czyż kilka godzin temu nie równie stanowczo odmawiała mu racji w tym, co mówił o panice i jej skutkach? Trwała w swych złudzeniach zaledwie do chwili, gdy rzuciła okiem na gazety, a wtedy okazało się, że było nawet gorzej, niż mówił.

Bezsensowność to dla niej żadna nowina - już przed laty przekonała się, że dwa, trzy kieliszki koniaku znakomicie koją stargane nerwy i przywołują sen. Cichutko więc ześlizgnęła się po schodach do jadalni. Podeszła do kredensu. W karafce z rżniętego kryształu tęczowymi rozbłyskami załamywało się światło lampy naftowej, którą trzymała w ręku.

Spała dłużej niż zwykle. Nie dlatego, że przesadziła z koniakiem, lecz że pomimo leczniczej dawki środka nasennego nie zmrzyła oczu aż do wschodu słońca. To, co usłyszała od Henryka Hamiltona, spędzało jej sen z powiek.

Po drodze do sklepu wstąpiła do piekarni Mrs. Merriwether. Sprzedawczyni za ladą patrzyła na nią, jakby była powietrzem, a kiedy się odezwała, dziewczynisko sprawiało wrażenie głuchej jak pień.

Zachowuje się tak, jakbym w ogóle nie istniała - stwierdziła ze zgrozą. Gdy wyszła bocznymi drzwiami i zamierzała wsiąść do powozu, spostrzegła, że zbliża się Mrs. Elsing z córką. Scarlett zatrzymała się, już się chciała uśmiechnąć, już miała na ustach słowa powitania, gdy zdążające z naprzeciwka kobiety, spostrzegły ją, stanęły jak wryte, po czym - bez słowa, starannie unikając patrzenia w jej stronę - zawróciły i odeszły. Scarlett zamarła w półruchu, jakby chwycił ją paraliż. Po czym wskoczyła do powozu, wcisnęła się w sam kąt i ukryła twarz w głębokim cieniu. Przez kilka straszliwych sekund miała wrażenie, że już - już padnie zemdlona na podłogę.

Gdy Elias z zatrzymał powóz przed głównym wejściem, pozostała w kryjówce. Kazała mu odnieść koperty z pieniędzmi dla subiektów. Gdyby wyszła i natknęła się na kogoś znajomego, mógłby to być dla niej śmiertelny cios. Nawet nie była w stanie myśleć o tym.

Tak, India Wilkes kryła się za tym wszystkim. A ona obeszła się z nią tak wspaniałomyślnie! Nie podaruję jej tego, nigdy! Nikt nie ma prawa traktować mnie w ten sposób i wyjść z tego bez szwanku.

- Do składu drzewa! - powiedziała Eliasowi, gdy wrócił. Tak, musi porozumieć się z Ashleyem. Ashley musi coś zrobić, by powstrzymać rozchodzenie się trucizny, którą rozlewała India. Ashley weźmie jej stronę, już on potrafi przywołać Indię do porządku.

Ją i jej przyjaciół.

Choć i tak już miała kamień na sercu, gdy ujrzała skład drewna poczuła, że robi się jej jeszcze ciężiej na duszy. Za dużo wszystkiego! Stosy sosnowych tarcic piętrzyły się aż pod niebo, wyłoczone ciepłym blaskiem jesiennego słońca. Desek było moc, lecz ani wozów, ani ładowaczy. Nikt niczego nie kupował.

Zbierało się jej na płacz. Wuj Henryk przewidział, że to się stanie, lecz nigdy nie przypuszczała, że będzie aż tak źle. Jak można nie chcieć kupować tak wspaniałych, jasnych desek? Głęboko wciągnęła powietrze. Zapach świeżo ściętej sosny był dla niej najwspanialszą perfumą na świecie. Jakże było jej teraz żal, że za namową Retta odsprzedała tartaki Ashleyowi, nie mogła pojąć, dlaczego zgodziła się na to. Gdyby nadal trzymała wszystko w swoich rękach, coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć. W jakiś sposób sprzedałaby komuś te zapasy. Niepokój zaledwie musnął jej umysł, szybko zdołała opanować wzbierającą panikę. To prawda, wokół działy się okropne rzeczy, ale przy Ashleyu nie mogła okazać zdenerwowania. Przecież potrzebowała jego pomocy.

- Magazyny cieszą oko! - przywitała go z rozpromienioną twarzą. - Piły pewnie pracowały dzień i noc, żebyś mógł zgromadzić tak wspaniałe zapasy desek.

Ashley ciężko podniósł wzrok znad rozłożonych na biurku ksiąg i Scarlett przekonała się, że gdyby naraz cała radość świata skupiła się w tym gabinecie, jedno spojrzenie Ashleya zamieniłoby wszystko w gradową chmurę. Wyglądał wcale nie lepiej niż wówczas gdy dała mu się wygadać tak długo.

Wstał, usiłując zdobyć się na uśmiech. Jego wrodzona uprzejmość przeważała wyczerpanie, lecz rozpacz była silniejsza od nich obu.

W ogóle nie powinnam wspominać mu o Indii - uświadomiła sobie Scarlett. Ani też o interesach. Doprowadził się do takiego stanu, że wygląda, jak gdyby jedyną rzeczą do której jest jeszcze zdolny to dobyć z płuc następny oddech. Wygląda na to, że jedynie ubrania trzymają go w kupie.

- Scarlett, kochanie, jak to miło, że zajrzałaś. Nie zechcesz usiąść?

„Miło”! Rany boskie, głos Ashleya brzmiał tak, jakby miał w sobie katarynkę nastawioną na powtarzanie grzeczności. Chociaż nie: z tego, jak mówił, można było wysnuć wniosek, że Ashley nie zdaje sobie sprawy, co mówi. Scarlett sądziła, że to drugie jest bliższe prawdy. Cóż może się przejmować tym, że przychodząc tu bez przyzwoitki mogę stracić te resztki reputacji, które mi pozostały? Przecież nie przejmuję się samym sobą - byle głupiec to zrozumie - tym bardziej nie będzie się troszczył o mnie. Nie mogę tak sobie usiąść i wymieniać grzeczności, nie zniosę tego.

Ale muszę.

- Dziękuję, Ashleyu - powiedziała i przysiadła na brzegu krzesła, które jej podsunął. Tak, zmusi się do odsiedzenia tego kwadransa spędzonego na konwersacji o pogodzie. może opowie coś zabawnego o miłych chwilach, które spędziła w Tarze. Na pewno nie mogła wspomnieć mu o Mammy, zbyt by go to zdenerwowało. Tak, ale o powrocie Tonia do domu wolno jej mówić. To dobre nowiny. Wzięła oddech i wyrzuciła z siebie:

- Kiedy byłam w Tarze...

- Dlaczego mnie powstrzymałaś? - przerwał jej Ashley. Jego głos był zupełnie płaski, wyjałowiony z wszelkiego życia, a chociaż pytał, nie było w nim słyhać prawdziwej ciekawości.

- Dlaczego mnie powstrzymałaś? - powtórzył, tym razem wypowiedane słowa były nabrzmiałe uczuciem, gniewem, świadomością zdrady, bólem.

- Chciałem znaleźć się w grobie... obojętne jakim, nie musiał to być grób Melanii. To jedyna rzecz, do której jestem zdalny.... Nie, nie mów tego, co masz na końcu języka, droga Scarlett, cokolwiek by to było. Iluż dobrze życzących mi ludzi pocieszało mnie i usiłowało podtrzymać na duchu, że już słyzałem te same formułki dobre sto razy. Spodziewałem się od ciebie czegoś więcej niż zwykłych banałów. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś powiedziała to, co naprawdę myślisz, a mianowicie, że doprowadziłem to przedsiębiorstwo do stanu ruiny. Kiedy ty prowadziłaś tę fabryczkę, wkładałaś w tę pracę całe serce. Ja... ja jestem pożałowania godnym nieudacznikiem. Ty to wiesz, ja to wiem, oboje wiemy. Cały świat o tym wie. Dlaczego mielibyśmy się zachowywać tak, jakby było zupełnie inaczej? Zrugaj mnie, dlaczego milczysz? Pewnie nie możesz znaleźć słów twardszych niż te, którymi sam siebie obwiniam. Nie bój się, nie możesz „zranić mych uczuć”. Boże, jakże ja nienawidzę tego zwrotu! Jakbym jeszcze żywił jakieś uczucia, które można byłoby zranić!

Ashley powoli potrząsnął głową wprawiając całe ciało w ciężkie, powolne drganie. Był niczym śmiertelnie ranne zwierzę zwalone z nóg ciosami drapieżców. Z jego gardła wydarł się stłumiony szloch. Odwrócił twarz.

- Wybacz, Scarlett, błagam cię. Nie mam prawa zadrećcać cię własnymi problemami. Teraz ten wstyd, który ogarnia mnie na myśl, że nie potrafię zapanować nad sobą, muszę położyć na szalę i tak już wypełnioną po brzegi wstydem z powodu innych mych słabości. Okaż mi tę łaskę, kochanie i wyjdź. Będę ci wdzięczny, jeśli zostawisz mnie mej samotności.

Scarlett wybiegła bez słowa.

Później, już w domu, usiadła przy biurku mając przed sobą stos dokumentów, starannie ułożonych jeden na drugim. Trudno było wywiązać się z przyrzeczenia danego Meli - trudniej, niż oczekiwała. Ubranie i troska o rzeczy potrzebne do prowadzenia domu to nie wszystko.

Ashley nie kiwnie nawet palcem, by pomóc samemu sobie. Teraz miała przed sobą trudne zadanie: musiała zrobić z niego człowieka sukcesu, niezależnie od tego czy zechce z nią współpracować, czy nie. Obiecała to Meli.

Nie mogła przyglądać się, jak interes, który doprowadziła do stanu kwitnienia, z dnia na dzień pogrążał się w upadku.

Sporządziła spis aktywów.

Sklep, budynek, handel. Miała z tego miesięcznie prawie sto dolarów czystego zysku, ale prawie na pewno jej dochody spadną gdy panika ogarnie Atlantę i ludzie nie będą mieli pieniędzy do wydawania. Napisała polecenie, żeby sprowadzać więcej tanich towarów i przestać zamawiać dobra luksusowe, jak na przykład szerokie wstążki z aksamitu.

Bar przy dworcu był na jej parceli. W tej chwili nie była właścicielką, oddała działkę i budynek w dzierżawę, z której miała trzydzieści pięć dolarów miesięcznie. Gdy przyjdą ciężkie czasy ludzie zaczną częściej zaglądać do kieliszka, może więc powinna podnieść czynsz. Ale parę dolarów miesięcznie więcej nie wystarczy, by wyciągnąć Ashleya. Tu trzeba było prawdziwej fortuny.

Złoto w sejfie. Miała fortunę, coś ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów żywej gotówki. Ludzie widzieli w niej bogatą kobietę, lecz ona wcale się nią nie czuła. Ciągle jeszcze nie miała poczucia bezpieczeństwa.

Mogę przecież wykupić od Ashleya tartaki i skład drewna - pomyślała. Przez parę chwil jej umysł zajęty był liczeniem, rozważaniem najróżniejszych wariantów. Po dłuższym czasie westchnęła. To niczego nie rozwiąże. Ashley, ten głupiec, na pewno będzie obstawał przy tym, żeby wziąć nie więcej niż mógłby dostać na wolnym rynku, czyli prawie nic. Za to później, gdy już uda się jej podźwignąć interes z dołka, będzie miał uczucie, że nabiła go w butelkę, że znowu mu się nie powiodło, bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nie, zupełnie niezależnie od całej przyjemności, której mogłaby jej dostarczyć praca w tartakach i na składzie drewna, musiała tak pokierować sprawami, żeby to Ashley odniósł sukces.

Wprost nie sposób uwierzyć, żeby rynek się załamał. Panika czy nie, ludzie przecież zawsze coś budują, choćby stajnię dla krów czy zagrodę dla koni.

Szybko przerzuciła stos ksiąg i dokumentów. Tak, już miała pomysł.

Ta działka, którą zostawił jej Karol Hamilton, działka i farma. Z gospodarstwa nie miała ani centa. Bo i jaką wartość przedstawiało dla niej te parę korców ziarna i kilka bel marnej bawełny? Oddanie tego w dzierżawę było zwykłym marnotrawieniem dobrej ziemi, niemniej posiadała te tysiąc akrów i kilkunastu dobrych farmerów. Sto akrów działki niemal graniczyło z przedmieściami rozrastającej się Atlanty, i gdyby mogła znaleźć dobrych cieśli - przy rosnącym bezrobociu wszyscy gorączkowo poszukują jakiegokolwiek pracy - mogłaby ruszyć z budową stu taniutkich domów, może dwieście nie byłoby za dużo. Każdy, kto z dnia na dzień traci wszystkie oszczędności, musi pomyśleć o zmianie trybu życia: wielu będzie takich, którzy spuszczą z tonu i zaczną liczyć każdy wydany grosz. Na pierwszy ogień pójdą wielkie wystawne domy - wielu będzie takich, którzy staną przed koniecznością przeprowadzki lub sprzedaży zbyt drogich apartamentów. No, ale przecież gdzieś trzeba mieszkać.

Nie zbiję na tym fortuny, chyba jednak też nie stracę. Za to dopilnuję, żeby firmy budowlane zaopatrywały się w drewno wyłącznie ze składu Ashleya, w ten sposób on zbije na tym najlepszy interes. Znowu zaczną do niego płynąć pieniądze - może nie rwącą rzeką, lecz z całą pewnością będzie miał źródło stałych dochodów - przy czym nigdy nie dowie się, że mi je zawdzięcza. Już ja to w jakiś sposób urządzę. Teraz muszę tylko znaleźć właściciela firmy budowlanej, który potrafi trzymać gębę na kłódkę. I nie kradnie nieprzyzwoicie dużo.

Następnego dnia Scarlett pojechała do dzierżawiających gospodarstwo farmerów. Zawiozła wymówienie.

Tak jest psze pani, tak jest, Mrs. Butler - powtarzał Joe Colleton. - Biorę każdą robotę.

Budowniczy był niskim niedożywionym człowiekiem dobrze pod czterdziestkę. Ale wyglądał na starszego, bowiem jego gęste włosy były koloru metalu, a twarz zniszczona długim przebywaniem na słońcu, zima to czy lato. Miał mnóstwo zmarszczek, a dwie głębokie bruzdy ocieniały i tak już ciemne oczy.

- A jakże, psze pani, palę się do każdej roboty, ale nie jest ze mną aż tak źle, żebym się zgodził pracować dla pani.

Scarlett już niemal wykonała w tył zwrot, gotowa wyjść. Z nią też nie było aż tak źle, żeby musiała znosić zniewagi ze strony tego lumpa. Ale Colleton był jej potrzebny. Był to bowiem jedyny uczciwy do szpiku kości budowniczy w Atlancie, dobrze się o tym przekonała, dostarczając mu drewno w latach powojennej prosperity, gdy wszystko trzeba było odbudować. Czowała, jak nogi drżą jej z nerwów. To wszystko wina Meli. Gdyby nie konieczność zachowania dyskrecji wobec Ashleya, mogłaby wynająć kogokolwiek, kto znał się na budowaniu, w ostateczności patrzyłaby mu na rękę, doglądałaby go jak jastrząb ścigający swoją ofiarę, przejrzalaby każdą fakturę, zajrzałaby w każdy kąt budowy. Przecież to był jej żywioł. Nie mogła znieść, gdy ją obrażano. Ale też nie mogła zaufać komukolwiek innemu. Colleton musiał się zgodzić na tę pracę, musiała go do tego przekonać. Dotknęła dłonią jego ręki. Dłoń Scarlett sprawiała wrażenie nader kruchej w tej cienkiej skórzanej rękawiczce.

- Mr. Colleton, mówiąc „nie” łamie mi pan serce. Potrzeba mi kogoś, kto by mi pomógł. To musi być ktoś o bardzo specyficznych umiejętnościach.

Spojrzała z dojmującą bezradnością w oczach, z tym rodzajem bezradności, wobec którego nie sposób pozostać obojętnym. Szkoda, że Colleton nie był wyższy. Trzeba było odgrywać kruchą niewiastę wobec mężczyzny równie podłego wzrostu. Wszakże mężczyźni drobnej, koguciej niemal kompleksji na ogół częściej ujawniali tendencje opiekuńcze wobec kobiet niż siłacze.

- Doprawdy, nie wiem co zrobię gdy pan odmówi.

Ręka Colletona zeszywniała.

- Mrs. Butler, kiedyś sprzedała mi pani surowe drewno mówiąc, że jest suche. Nigdy nie wchodzić po raz drugi w interesy z osobami, które raz mnie nabrały.

- To na pewno jakieś nieporozumienie, Mr. Colleton. Sama byłam surowa, dopiero uczyłam się, na czym polega handel drewnem. Sam pan pamięta, jak to było w tamtych

czasach: Jankesi gotowi byli skruszyć nam karki w każdej minucie. Zawsze trzeba było się liczyć z możliwością śmierci.

W jej oczach zalśniły wstrzymywane łzy, jej delikatnie czerwone wargi zdrząły. Była teraz uosobieniem drobnej, opuszczonej kobiety.

- Mój mąż, Mr. Kennedy, poniósł śmierć z rąk Jankesów, gdy napadli na zebranie Klanu.

Spojrzenie Colletona, bezpośrednio i wszystko wiedzące, wprawiało ją w zakłopotanie. Zmierzył się z nią wzrokiem, jego wejrzenie było twarde jak marmur. Scarlett puściła jego rękaw. Co teraz robić? Nie mogła skapitulować, musiał przyjąć jej ofertę.

- Mr. Colleton, u łoża śmierci złożyłam pewną obietnicę mej najlepszej przyjaciółce - łzy, które gęsto płynęły jej po twarzy, nie miały nic z wyrachowania. - Mrs. Wilkes prosiła mnie o pomoc, a teraz ja pana proszę.

Po czym popłynęła cała opowieść o tym, jak to Melania zawsze osłaniała Ashleya... o tym, jak to Ashley nie miał szczęścia do interesów... jak chciał pogrzebać się żywcem w grobie swej żony... o zapasach drewna, którego nikt nie chciał kupić... o potrzebie trzymania całej sprawy w tajemnicy.

Colleton przerwał jej, uniósłszy rękę.

- W porządku, Mrs. Butler. Skoro mam oddać tę przysługę świętej pamięci pani Wilkes, przyjmuję robotę.

Podał jej dłoń, uścisnął.

- Gwarantuję, że zbudujemy doskonale domy z najlepszego materiału.

Scarlett przytrzymała jego rękę.

- Dziękuję.

Czuła się tak, jakby odniosła życiowy sukces.

Zaledwie parę godzin później przypomniała sobie, że przecież wcale nie zamierzała budować tych domów z najlepszego materiału, tylko drewno miało być najlepsze. W przeciwnym razie te slumsy będą kosztować ją fortunę, koszt budowy pochłona wszystkie z takim trudem zarobione pieniądze. Nie mogła liczyć na jakikolwiek kredyt dla Ashleya. Wszyscy zatrząskiwali przed nią drzwiami.

Chociaż nie - nie wszyscy. Mam przecież wielu prawdziwych przyjaciół, znacznie sympatyczniejszych niż te stare megierki z Atlanty.

Odsunęła na bok rysunek, który Joe Colleton naprędce skreślił dla niej na papierowym worku, żeby przyjrzała się i zatwierdziła. Bardziej niż projekt interesował

ją kosztorys, w końcu co za różnica, jak te domy będą wyglądały czy gdzie zamierzał umieścić schody?

Wyjęła z szuflady oprawną w aksamit księgę gości i zaczęła układać listę. Tak, miała zamiar wydać przyjęcie. I to wielkie, z orkiestrą, strumieniami szampana i górami najwykwintniejszych, najdroższych potraw. Teraz, gdy minął okres ciężkiej żałoby, najwyższy już czas dać znać przyjaciołom, że mogła przyjmować zaproszenia na ich przyjęcia - najlepszy sposób, by to zrobić, to wydać własne.

Przebiegła wzrokiem nazwiska starych atlanckich rodów. Ci wszyscy pewnie sobie myślą, że jestem pogrążona w nieukojonym bólu po stracie Meli, nie ma sensu ich zapraszać. Tak jak nie ma sensu spowijać się od stóp do głów w krepę. W końcu Mela nie była moją siostrą, zaledwie szwagierką, i to nie jest takie pewne, bowiem Karol Hamilton był moim pierwszym mężem, a po nim miałam już dwóch innych.

Nagle opadły jej ręce. Karol Hamilton nie miał nic wspólnego z czymkolwiek, tym bardziej z żałobą po swej siostrze. Przecież śmierć Melanii okryła ją najszczerzym żalem, na zawsze zagościła w jej sercu - ogromny ciężar i wielkie zmartwienie. Tęskniła bardzo do tej subtelnej, kochającej osoby, która w jej życiu odegrała tak wielką rolę - ważniejszą, niż mogła przypuszczać. Bez Meli świat był mroczniejszy, pełen chłodu. I samotności. Wróciła ze wsi zaledwie dwa dni temu, a już na tyle poznała samotność bezsennych nocy, by na samą myśl o nich w jej sercu zagościł strach.

Chciałaby móc opowiedzieć Melanii o tym, jak Rett ją porzucił: była jedyną osobą, której mogła zawierzyć i wypowiedzieć się ze spraw równie wstydlivych. A Mela powiedziała by jej zapewne to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć. „Moja droga, oczywista, że wróci”. - zdało się, że słyszy jej głos - „przecież tak cię kocha”. Tak, to były jej własne słowa, które wypowiedziała tuż przed śmiercią: „Bądź dobra dla kapitana Butlera, przecież on cię tak kocha”.

Już samo wspomnienie tych słów sprawiło, że poczuła się znacznie lepiej. Skoro Melania twierdziła, że Rett ją kocha, to na pewno tak jest, to rzeczywistość a nie jej pobożne życzenia. Scarlett otrząsnęła się z mrocznego nastroju, wyprostowała kręgosłup. W końcu nie była zdana na samotność. Co za znaczenie, czy stara, nobliwa Atlanta odwróci się do niej plecami, choćby na zawsze. Miała mnóstwo przyjaciół. Wystarczy spojrzeć: lista zaproszonych gości zajmowała już dwie strony, a przecież dotarła zaledwie do litery G.

Przyjaciele, których Scarlett zamierzała zaprosić, byli zgrają najbardziej malowniczych i obłowionych największymi łupami hien cmentarnych, jakie opadły

Georgię w dniach rekonstrukcji. Gdy rząd upadł w 1871, wielu z nich opuściło te strony, lecz wielu pozostało, ciesząc się swymi wielkimi domami i zatrważająco ogromnymi fortunami, które zbili ograbiając zwłoki poległych Konfederatów. Nie odczuwali pokusy powrotu „do domu”. Lepiej było zapomnieć o korzeniach.

Rett niezmiennie pogardzał nimi. Ilekroć Scarlett zapraszała „te męty”, zawsze opuszczał dom, odmawiając uczestnictwa w wystawnych przyjęciach. Scarlett uważała, że to nierozważne z jego strony i mówiła mu o tym zupełnie szczerze.

- Ludzie bogaci są zabawniejsi od biedaków. Ich stroje, powozy i klejnoty są w lepszym gatunku. A kiedy zapraszają cię z rewizytą, dostajesz zawsze to, co najlepsze.

Nic wszakże, co można było dostać w domu najelegantszego, chociażby spośród przyjaciół Scarlett nie mogło się równać jadłu i napitkom, które podawano na jej przyjęciach. Tym razem - postanowiła - przejdę samą siebie. I dlatego sporządziła drugą listę, tym razem opatrzoną nagłówkiem „Sprawy do zapamiętania”, spis otwierała uwaga o łabędziach z lodu, na których podawano zimne przystawki, następnie zaś poczyniła wzmiankę o konieczności kupienia dziesięciu skrzynek szampana. Oczywiście, jeszcze nowa toaleta. Musi zaraz pójść do krawcowej, gdy tylko odda listę gości do rytownika, żeby wydrukował zaproszenia.

* * *

Scarlett schyliła głowę by nasycić oczy pięknem białego, marszczonego beretu bez ozdób w stylu Marii Stuart. Rożek nad czołem był doprawdy bardzo foremny: podkreślał czarny łuk jej brwi i lśniący szmaragd jej oczu. W miejscach, gdzie dotykał fryzury, jej włosy wyglądały niczym czarny jedwab. Czy kto by pomyślał, że żałoba może być tak twarzowa?

Obróciła się z boku na bok, spoglądając przez ramię na własne odbicie w tremo. Klejnoty i wysadzany drogimi kamieniami chwościk u czarnej sukni lśniły jak należy.

„Zwykła” żałoba tym się różniła od „ciężkiej”, że nie była taka ohydna. Istniała dość duża swoboda takiego dobierania strojów, że nie sprawiało się odpychającego wrażenia, zwłaszcza gdy miało się karnację magnoliowej bieli i głęboko wyciętą czarną suknię.

Szybkim krokiem podeszła do gotowalni, wzięła flakonik, po czym skropiła ramiona i szyję perfumami. Lepiej się pospieszyć, goście mogli przybyć lada chwila. Słyszała, jak orkiestra na schodach stroi instrumenty. Przebiegła wzrokiem stosiki grubych białych kart, rozsypanych między oprawnymi w srebro szczotkami do włosów i lusterkami: zaproszenia posypały się, gdy tylko posłyszano, że wkracza w wir życia towarzyskiego.

W ciągu nadchodzących tygodni nie będzie narzekać na nudę. A wtedy zaproszenia posypią się jeszcze bardziej obficie i trzeba będzie wydać następne przyjęcie. Może nawet bal w okresie Bożego Narodzenia. Tak, sprawy przybierają całkiem pomyślny obrót. Czowała się tak podniecona jak podłotek, który jeszcze nie został wprowadzony w wielki świat. Cóż w tym dziwnego - ponad siedem miesięcy nie obracała się w towarzystwie.

Jedynie ta kolacja wydana z okazji powrotu Tonia Fontaine'a. Na to wspomnienie uśmiech rozjaśnił jej twarz. Kochany Tonio w butach na wysokim obcasie, na wykładanym srebrem siodle. Czyż ludziom oczy omal nie powyskakiwały z orbit, gdy robił te swoje sztuczki z wirującymi pistoletami?

Musiała już iść - muzycy zaczęli grać. Chyba już późno.

Zbiegła po wyłożonych czerwonym dywanem schodach, wciągając chciwie powietrze, gdy poczuła zapach cieplarnianych kwiatów wypełniających flakony porozstawiane w każdym pokoju. Oczy błyszczały jej radością, gdy przemierzała kolejne pomieszczenia sprawdzając, czy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Wszystko było w doskonałym porządku. Dzięki Bogu, Pansy wróciła już z Tary. Dziewczyna była niezastąpiona, gdy trzeba było skłonić służbę do pracy, znacznie lepsza niż majordomus, który zastąpił Porka. Scarlett wzięła kieliszek szampana z tacy, którą usłużnie podstawił jej nowy lokaj. W końcu podawał wcale nie najgorzej, nawet dość wytwornie, a Scarlett tak przecież lubiła wszelką wytworność.

Właśnie zadzwonił dzwonek u drzwi. Przestraszyła służącego nazbyt szczęśliwym uśmiechem, po czym lekkim krokiem sunęła w stronę hallu - tam miała witać przyjaciół.

Przybywali nieprzerwanym strumieniem prawie bitą godzinę, cały dom wypełnił głośny szmer rozmów, przygniatający zapach perfum i pudru, lśnienie jedwabi i satyn, migotliwe blaski rubinów i szafirów.

Przechadzała się w ciżbie ludzi śmiejąc się i rozdzielając wdzięczne uśmiechy, niewinnie flirtując z mężczyznami, przyjmując przesadne aż do obrzydliwości komplementy kobiet. Jakże były szczęśliwe widząc ją ponownie, jak za nią tęskniły, żadne przyjęcie nie było tak podniecające jak to, żaden dom tak piękny, żadna suknia tak dobrze skrojona, niczyje włosy nie były tak jedwabiste, żadna nie wyglądała tak dziewczęco, nikt nie mógł się szczyścić tak doskonale śmietankową cerą.

Doskonale się bawię. Świetne przyjęcie.

Spojrzała na srebrne półmiski i tace na długim, lśniącym kryształami i srebrem

stole tylko po to, aby się przekonać, że służba napełnia opróżnione naczynia. Doskonała jakość i nadmiar jedzenia - oto dwie rzeczy, na które zawsze zwracała szczególną uwagę, nigdy bowiem nie mogła zupełnie wymazać z pamięci tego okresu pod koniec Wojny, gdy wszyscy byli bliscy śmierci głodowej. Mamie Bart złowiła jej spojrzenie i uśmiechnęła się. Strużka tłustego sosu ze zjedzonego w połowie kawałka pasztetu trzymanego w palcach wolno ściekała z kącika jej ust i ciężkimi kroplami spadała na diamentowy naszyjnik uczepiony na potężnym karku. Scarlett odwróciła się przejęta niesmakiem. Wkrótce Mamie będzie gruba jak słoń. Całe szczęście ona mogła jeść wszystko, na co miała ochotę i nie przybierała ani funta na wadze.

Obdarzyła rozkosznym uśmiechem Harry'ego Conningtona, męża Sylwii.

- Przyznaj się Harry, masz jakiś eliksir młodości - zwróciła się do mężczyzny. - Wyglądasz dobre dziesięć lat młodziej niż wtedy, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

Obserwowała ze złośliwym rozbawieniem, jak Harry zgarniał z talerza wszystko, do ostatniej kruszynki. Poczzerwieniał na twarzy, potem z lekka spurpurowiał, zanim w końcu zupełnie zrezygnował z prób odzyskania nad sobą kontroli. Scarlett wybuchła głośnym śmiechem. Ruszyła dalej.

Jej uwagę zwróciły głośne wybuchy śmiechu - popłynęła wśród morza ludzi w stronę, gdzie spostrzegła trzech panów, wydających tak huczne oznaki żywiołowej wesołości. Jeśli opowiadali sobie coś bardzo śmiesznego, to była już wystarczająco blisko by słyszeć wszystko wyraźnie, nawet gdyby to był jeden z tych dowcipów, których panie pod żadnym pozorem nie powinny były rozumieć.

- ... tak też i ja sobie powiadam: Bill, mówię, nieszczęście jednego może być dla drugiego źródłem zysku i już nawet wiem, który z tych staruchów będzie nim. I dobrze. Kto im każe wpadać w panikę?

Już miała zamiar odejść. Tego wieczoru chciała się bawić, a rozmowa o panice giełdowej nie mieściła się w jej rozumieniu dobrej zabawy. Chociaż... zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego. Pokrzepiona zdrowym snem, przebiegłością i tak biła Billa Wellera o głowę, nawet gdyby miał swój najlepszy dzień - to pewne - ale jeśli, jak twierdził, umiał zbijać na panice pieniądze, chciała wiedzieć, jak to robi. Cichutko podeszła bliżej.

- Ci głupi Południowcy, oni zawsze nastęrczali mi samych problemów - perorował Bill. - Przecież nie sposób pracować z ludźmi, którzy są pozbawieni naturalnej ludzkiej chciwości, tak więc wszystkie obligacje oprocentowane na potrójny zysk i udziały w kopalniach złota, to wszystko co wśród nich rozpuściłem z miejsca, wywołało okrutny

popyt. Pracowali ciężiej od Murzynów, odkładając każdą pięciocentówkę zarobioną w deszczowy dzień, jeden z wielu. W końcu okazało się, że wszyscy mieli w skarbonkach kupę obligacji i podobnego śmiecia... Obligacji konfederackich - gromki śmiech Billa wywołał rechot słuchających go mężczyzn.

Scarlett aż drgnęła z gniewu. Pewnie, że „głupi Południowcy”! Jej ukochany Papa też został wystrychnięty na dudka i została mu tylko skarbonka pełna bezwartościowego papieru sygnowanego w imieniu Konfederacji. Wszyscy poczciwcy w Powiecie Clayton dali się nabrać. Usiłowała odejść z tego miejsca, lecz natłok gości, przyciągniętych jak ona głośnymi wybuchami śmiechu w grupie Billa Wellera uniemożliwił jej to. Słuchała dłużej.

- Po jakimś czasie dodałem obrazek - ciągnął dalej Weller. - Goły papier już im nie wystarczał, nie mieli zaufania. Nie ufali niczemu, chociaż różnych sztuczek próbowałem. Urządzałem im pokazy medyczne, demonstrowałem jak działa piorunochron, imiałem się wszelkich sposobów, żeby wyciągnąć od nich pieniądze, ale nie zdołałem skrzesać nawet iskierki. Mówię wam, chłopcy, to rani moją dumę - tu zrobił ponurą minę, po czym uśmiechnął się szeroko ukazując trzy wielkie złote zęby.

- Nie muszę wam chyba mówić, że nawet jeśli się nie poprawi, to Lula i ja nie będziemy cierpieć niedostatku. W dobrych, tłustych czasach, gdy Republikanie mocną ręką trzymali Georgię, zebrałem trochę grosza z tych kontraktów z koleją, które chłopcy mi oddali, tak że możemy żyć na odpowiednim poziomie, nawet jeśli byłbym na tyle głupi, żeby wyjść w pole i zacząć kłaść tory. Ja wolę trzymać wszystko w garści, za to Lula zaczęła się gryźć, że za dużo jestem poza domem, i nie mam się czym zająć. A wtedy, całe szczęście, nadeszła panika i wszyscy Repi rzucili się do banków, żeby wyciągnąć pieniądze z kont i zaszyć je w materacach. Każdy dom, nawet najgorsza chałupa, stała się złotą okazją, jakiej nie wolno mi było przepuścić.

- Bill, kończ tę gadaninę, coś wreszcie wymyślił? Już zaschło mi w gardle od tego czekania na puentę, a ty ciągle się przechwalasz, a konkretów nie widać - Amos Bart podkreślił swą niecierpliwość ćwiczebnym splunięciem, które padło tuż obok celu.

- Chwileczkę, Amos, po co te nerwy, przechodzę do sedna. No i zgadnijcie, w jaki sposób dobrać się do wypchanych forszą materacy? Nie jestem w typie wędrownych kaznodziejów, lubię siedzieć przy biurku i nie ruszając się z miejsca zagrzewać ludzi do roboty. Właśnie to robiłem, wygodnie rozparty w skórzanym fotelu, gdy wtem bies mnie podpuścił, żeby wyjrzeć przez okno. Wyglądam, drodzy panowie, i co widzę? Idzie sobie pogrzeb. Jakby uderzył we mnie grom z jasnego nieba. Przecież w całej

Georgii nie ma rodziny, która by kogoś nie straciła w wojnie.

Scarlett z przerażeniem spoglądała na Billa Wellera, podczas gdy ten opisywał oszustwo, dzięki któremu udało się mu pomnożyć posiadanie.

- Z matkami i wdowami sprawa jest najprostsza, a tych jest większość. Taka ci nawet okiem nie mrugnie słuchając, jak moi chłopcy bałamucają ją opowieściami o pomnikach, które weterani konfederacy zamierzają wystawić na wszystkich polach bitew. Zanim się zorientujesz, materac jest pusty, a całą forszę masz w garści, nim jeszcze zdążysz powiedzieć „papa Lincoln”. Tak, wszystko ci oddają, byleby tylko imiona ich chłopców wyrzyć w marmurze.

Coś równie ohydneho nigdy nie przyszłoby na myśl Scarlett.

- Ty stary, szczwany lisie! - zawołał Amos. - Istny geniusz z ciebie!

Mężczyźni zebrani wokół roześmieli się jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Scarlett czuła się tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Nieistniejące linie kolejowe i załęgłe w fantazji oszusta kopalnie złota nigdy ją nie interesowały, lecz matki i wdowy okradane przez Billa Wellera to przecież jej krajanki. Przecież mógł wysłać swych wyłudzaczy do Beatrice Tarleton, Cathleen Calvert, Dimity Munroe czy jakiegokolwiek innej kobiety w Powiecie Clayton - do każdej, której syn, brat lub mąż nie wrócił z Wojny.

Jej głos przebił się niczym ostrze noża przez obrzydliwy rechot publiczności zgromadzonej wokół oszusta.

- To najpodlejsza, najplugawsza historia jaką kiedykolwiek słyszałam, Billu Wellerze, brzydzę się tobą. Wszyscy wzbudzacie we mnie niesmak. Cóż wy wiecie o Południowcach... o ludziach przyzwoitych w ogóle, gdziekolwiek by żyli? Nigdy nie skaziliście się przyzwoitą myślą, nigdy w życiu nie zrobiliście nic przyzwoitego!

Odpychając rękoma tłum ludzi, których przyciągnęły wyznania oszusta, przebiła się przez ciżbę gości po czym zaczęła biec, wycierając dłonie w suknię, by zetrzeć brud, którym się powalała dotykając ich fraków i kreacji.

Przed sobą miała jadalnię, całą błyszczącą srebrami półmisków pełnych wykwintnego jadła. Ciężka woń zmieszanych zapachów bogactwa, tłustych sosów, pełnych po brzegi spluwaczek przyprawiała ją o mdłości. Oczyma wyobraźni widziała oświetlony delikatnym blaskiem lampy stół w jadalni Fontaine'ów, proste potrawy domowe, szynkę, chleb domowego wypieku, domowej roboty przystawki. Należała do tego świata: to byli jej przyjaciele, nie ci wulgarni, hałaśliwi, otyli mężczyźni i kobiety.

Odwróciła się do Wellera i jego grupki.

- Męty! - krzyknęła. - Oto, czym jesteście. Męty! Wynoście się z mego domu,

zejdźcie mi z oczu, bo przyprawiacie mnie o mdłości.

Mamie Bart popełniła tę nieostrożność, że usiłowała ją uspokoić.

- Ależ kochanie, pozwól... - zaszcebiotała, wyciągając upierścienioną rękę.

Scarlett odskoczyła, zanim zdołała ją dotknąć.

- To dotyczy także ciebie... zwłaszcza ciebie, ty spasiona świnió!

- Dobrze - wyrzuciła z siebie bliska załamania Mamie Bart.

- Dobrze, jak sobie życzysz. Do licha, nigdy nie pozwolę obrażać się w ten sposób.

Nie zostanę w tym domu ani minuty dłużej, choćbyś na kolanach mnie błagała, Scarlett Butler.

Wszyscy zerwali się do wyjścia. Gniewny tłumek przepychających się gości popłynął w dół schodów, tak że nie minęło dziesięć minut, a pokoje opustoszały. Tylko śmieci zostały. Scarlett ruszyła wśród resztek jedzenia, omijając kałuże porzellanego szampana, skorupy rozbitych półmisek i kieliszków. Nie patrzyła w dół, na podłogę. Musiała wysoko trzymać głowę, tak jak ją nauczyła matka. Wyobrażała sobie, że oto znowu jest w Tarze, z ciężkim tomem powieści *Waverley* wspina się po schodach prosta jak drzewo, a wysunięty podbródek jest doskonale prostopadły w stosunku do linii prostej kręgosłupa.

Dama. Była damą w myśl najlepszych wskazówek swej matki. Jej głowa lekko płynęła w powietrzu, a chociaż drżały jej nogi, wchodziła na górę bez chwili przerwy. Dama nigdy nie okazuje zmęczenia ni zdenerwowania.

- Najwyższy czas, żeby zrobiła to, co zrobiła, i to w ten właśnie sposób - rzekł kornecista. Ten sam oktett, ukryty za palmami, wygrywał walce już na niejednym z przyjęć wydawanych przez Scarlett.

Jeden ze skrzypków splunął w doniczkę.

- Za późno, powiadam. Śpij z psami, a na pewno obleżą cię pchły.

Wysoko nad ich głowami Scarlett opadła na łóżko, wtuliła twarz w jedwabną pościel i zaniosła się szlochem, jakby serce jej pękło. I pomyśleć, że miała nadzieję na dobrą zabawę.

* * *

Tej samej nocy, choć później, gdy w całym domu zapadła cisza i ciemności, Scarlett zeszła po schodach, by wziąć sobie drinka na sen. Znikły już wszystkie ślady po przyjęciu, tylko wspaniałe dekoracje z kwiatów i wypalone świece w wielkim sześcioramiennym świeczniku na pustym stole w jadalni przypominały o tym, co miało tu miejsce parę godzin temu.

Scarlett zapaliła świece i zdmuchnęła płomień lampy. Dlaczego miałyby się skradać w ciemności niczym złodziej? To przecież jej dom, jej koniak, mogła sobie pozwolić na to, na co jej przyszła ochota.

Wyjęła kieliszek z kredensu, przeniosła karafkę na stół, usiadła na krześle u szczytu stołu. Stół też był jej.

Koniak rozszedł się miłym ciepłem po całym ciele. Westchnęła. Bogu dzięki. Jeszcze jeden kieliszek, a rozedrgane nerwy przestaną się trząść niczym szarpane struny. Ponownie napełniła mały, elegancki kieliszek do likieru, łyknęła następną porcję koniaku zręcznie przekręciwszy nadgarstek. Ojej, nie powinnam się tak spieszyć - zawstydziła się w głębi ducha, nalewając trzeci kieliszek. Damy tak nie piją.

Łyknęła trzeciego drinka. Jakże miło płoną te świece, łagodny blask złotych płomieni odbijał się w lśniącej tafli stołu. Pusty kieliszek także wyglądał pięknie. Gdy obracała go w palcach, w kryształowych fasetach pojawiały się tęczowe rozbłyski.

Cicho jak w grobie. Stukot szkła, gdy kieliszek uderzył o brzeg karafki, kiedy nalewała czwartego drinka, sprawił, że aż drgnęła. Co dowodziło, że trzeba jej było jeszcze więcej koniaku, czyż nie tak? W takim stanie nie zdoła zmrużyć oka.

Świece powoli dopalały się, karafka z wolna się opróżniała, a Scarlett, zwykle tak doskonale panująca nad stanem swego umysłu i pamięci, powoli traciła wszelką kontrolę nad sobą. Oto i pokój, gdzie wszystko się zaczęło. Pokój był wtedy pusty, podobnie pusty był stół, na którym stał tylko świecznik oraz srebrna taca, a na niej karafka koniaku i kieliszki, jak teraz. Rett był pijany. Nigdy wcześniej nie widziała go tak pijanym jak wtedy, zawsze umiał się opanować. Owej nocy był pijany, a w dodatku okrutny. Mówił jej wtedy słowa tak straszne, rozdzierające serce, tak mocno ścisnął jej rękę, że aż krzyknęła w trwodze.

A potem... potem ją zawił na górę do jej pokoju i zniewolił ją. Ale przecież nie musiał jej brać siłą, i tak by go przyjęła. Doszła do siebie, gdy ją pieścił, gdy całował jej usta, szyję i całe ciało. Jego dotyk był jak płomień, krzyczała o więcej, jej ciało wygięło się w łuk i wyciągnęło, gotowe spotykać go po raz drugi, trzeci i czwarty...

Nie, to nie mogło naprawdę się zdarzyć. Pewnie to tylko sen, lecz jakże tu wyśnić podobne rzeczy gdy w najśmielszym marzeniu nie przyszłoby jej na myśl, że coś takiego w ogóle może mieć miejsce?

Dama nigdy nie czuła tego dzikiego oczekiwania, które stało się jej udziałem, dama nie uczyniłaby żadnej z rzeczy, które ona zrobiła. Scarlett usiłowała zepchnąć te myśli w najodleglejszy zakątek świadomości, gdzie w nieprzeniknionych mrokach trzymała

myśli nie do przyjęcia i nie do pomyślenia. Ale za dużo wypila.

Tak, to się zdarzyło - krzychało jej serce. Tak, to się stało. Nie wymażę tego z pamięci.

Jej umysł, tak troskliwie wytresowany przez matkę, która cierpliwie tłumaczyła, że dama nie może dać się porwać zwierzęcym instynktom - ten umysł nie był w stanie opanować namiętnego wołania jej ciała, domagającego się, by raz jeszcze przeżyć gwałt i poniżenie.

Scarlett chwyciła dłońmi zbolale piersi, lecz to nie jej ręce wyciągały się, by ogarnąć jej ciało. Wsparwszy łokcie o stół złożyła w ramionach głowę. Dała się porwać falom pożądania i bólu, płynącego z ujętych stalowym chwytem nadgarstków, jej krzyk rozdarł przesyconą złotawym mżeniem świec pustą ciszę jadalni.

- Rett, o Rett, jakże mi cię potrzeba!

8.

Zima nadchodziła i Scarlett z każdym dniem wpadała w coraz większą gorączkę. Joe Colleton wykopał dół pod piwnicę pierwszego domu, lecz nieustanne deszcze nie pozwalały przystąpić do robót przy fundamentach.

- Mr. Wilkes zacząłby coś podejrzewać, gdybym kupił drewno przed rozpoczęciem szalowania - oświadczył składając dowody, że rozsądny z niego człowiek. Scarlett wiedziała, iż ma rację. Cóż z tego - opóźnienie przyprawiało ją o frustrację.

Może cały ten pomysł z budową osiedla dla najuboższych był chybiony? Gazety dzień po dniu opisywały coraz to nowsze skutki katastrofy, która dotknęła świat interesu. W wielkich amerykańskich miastach otwierano garkuchnie, gdzie tysiące ludzi, którzy z każdym tygodniem tracili pracę, otrzymywały darmową zupę i kawałek chleba. Przedsiębiorstwa bankrutowały. Cóż za sens ryzykować tyle pieniędzy właśnie teraz, w najgorszym czasie? Po co składała Meli tę obietnicę? Gdyby tylko przestało padać...

I gdyby dzień nie robił się ciągle krótszy. Za dnia pracowała, lecz ciemności osaczały ją w pustym domu, gdzie za jedyne towarzystwo miała własne myśli. A Scarlett nie chciało się myśleć, ponieważ i tak nie mogła znaleźć odpowiedzi na żadne z dręczących ją pytań. Czemu przypisać to kłopotliwe położenie? Nigdy świadomie nie uczyniła niczego, co mogłoby zwrócić ludzi przeciwko niej, dlaczego zatem taką nienawiścią ją darzyli? Dlaczego Rett nie pokazywał się tak długo? Co zrobić, żeby sprawy zaczęły iść ku lepszemu? Przecież chyba istniała jakaś możliwość, nie mogła wiecznie krążyć po pustym domu z pokoju do pokoju niczym pnącze grochu, wijące się wokół pustej balii.

Chętnie miałaby teraz przy sobie Wade'a i Ellę do towarzystwa, ale Zuela napisała jej w liście, że dzieci muszą odbyć kwarantannę, ponieważ jedno po drugim zapadały na ospę i cierpiały na okropną wysypkę.

Oczywiście, zawsze mogła zaprosić do siebie Mamie Bart i przyjaciół. Nieważne, że nazwała ją „świnią” - Mamie skórę miała grubą niczym mur. Właśnie z tej przyczyny Scarlett lubiła „męty” i darzyła ich przyjaźnią: w obecności tych ludzi mogła robić użytek z tej drugiej, gorszej połowy słownika i to zawsze, gdy przyszła jej na to ochota, a oni i tak za każdym razem, gdy zostali zaproszeni, przybiegali w podskokach, żądni więcej. Dzięki Bogu, nie upadłam aż tak nisko - westchnęła. I nie zamierzam płaszczyć się przed nimi, zwłaszcza teraz, gdy wiem, co z nich za dranie.

Tylko że coraz wcześniej robi się ciemno, noce są takie długie, a ja nie mogę spać tak, jak należy. Kiedy ustaną deszcze, wszystko obróci się ku lepszemu... niech tylko

zima minie... niech tylko wreszcie wróci do domu Rett...

I rzeczywiście - w końcu się przejaśniło, nadeszły słoneczne chłodne dni z ławicami chmur sunących wysoko po lśniącym błękitnie nieba. Colleton wypompował wodę, która zebrała się w dole pod fundamenty, a ostry wiatr tak wysuszył czerwoną glinę, z której słynęła Georgia, że nabrała twardości cegły. Teraz już można było zamówić beton i drewno potrzebne do wykonania szalunków.

Scarlett bez reszty oddawała się obrzędowi robienia sprawunków - szły święta i musiała pomyśleć o prezentach. Dla Elli oraz córek Zueli kupiła sukienki, takie jak to dla dzieci. Poza tym lalki o korpusach wypchanych miękkimi trocinkami, o pucołowatych buziach z porcelany, takichż rączkach i nóżkach. Susie i Ella miały otrzymać niemal identyczne lalki ze sprytnie obmyślanymi skórzanymi walizeczkami pełnymi przepięknych sukien. Z Wadem nie było to takie proste, jak zwykle nie miała pojęcia, jak z tego wybrnąć. Wtem przypomniała sobie, że Tonio Fontaine obiecał pokazać mu, jak się obraca kołty, toteż kupiła Wade'owi parę sześciostrzałów, z inicjałami chłopaka, które kazała wyryć na wykładanych kością słoniową rękojeściach. Z Zuelą nie miała kłopotów - kupiła jej obszywaną jedwabiem torebkę - nazbyt fantazyjną, by mogła z niej mieć pożytek na wsi - ale włożona do środka złota dwudziestodolarówka wszędzie mogła się przydać. Przy Willu jej pomysłowość znalazła się na wyczerpaniu. Długo przepatrywała wszystkie półki, wysoko i nisko, wreszcie uznawszy się za pokonaną kupiła mu baranicę - podobną do tej, którą dostał rok temu i jeszcze przed rokiem. To znaczy, że o nim myślę - powiedziała dobitnie.

Zastanawiała się przez dłuższy czas, lecz w końcu postanowiła nie ofiarować Beau żadnego prezentu. Nie mogła liczyć na to, że paczka przesłana przez Indię dojdzie do rąk adresata nie otworzona. Poza tym - pomyślała z goryczą - Beau niczego nie brakuje. Konto Wilkesów w jej sklepie rosło z tygodnia na tydzień.

Dla Retta kupiła złotą gilotynkę do cygar, lecz nerwy jej nie wytrzymały i w końcu nie wysłała paczki. Zamiast posyłać kosztowny drobiazg obdarowała swe ciotki zamieszkujące w Charlestonie znacznie hojniej niż zazwyczaj. Liczyła na to, że pochwalą się matce Retta, jak po książęcemu zostały obdarowane, a Mrs. Butler powie o tym synowi.

Ciekawe, czy on mi coś przyśle? Może przyniesie? Może właśnie na Boże Narodzenie pojawi się w domu by stłumić „plotki w zarodku”?

Było to na tyle prawdopodobne, że zaraz dała się porwać gorączce świątecznych przygotowań - musiała przystroić dom. Gdy już całe mieszkanie obwiesiła gałązkami

igliwia, ostrokrzewu i bluszczu, resztę posłała do sklepu.

- Zawsze wieszaliśmy w oknie girlandę ze świecidełkami, Mrs. Butler. Więcej nie trzeba - zaprotestował Willie Kershaw.

- Już ty mi nie będziesz mówił, czego trzeba, a czego nie. Powiadam, rozwieś te gałęzie nad wszystkimi ladami, a na drzwiach umocuj wieniec z ostrokrzewu. Wtedy ludzie poczują, że idą święta i wydadzą więcej pieniędzy na prezenty. Ale nie mamy w magazynie dość błyskotek. Gdzie jest ta wielka skrzynia z wachlarzami z woskowanego papieru?

- Powiedziała mi pani, żebym ją zabrał z przejścia. Mówiła pani, że nie powinniśmy zagracać sklepu fatalaszkami skoro ludzie potrzebują gwoździ i tar do prania.

- Głupcze, ale to było kiedyś, dzisiaj jest teraz! Święta idą! Wystaw ją na środek.

- Chętnie, ale nie jestem pewien, gdzie schowałem tę skrzynię. To było tak dawno temu...

- Jezus Maria, spójrzcie tylko, co ten człowiek wyprawia! Sama ją znaję.

Scarlett rzuciła się do magazynów na zapleczu.

Była już na drabinie, rozglądając się po zakurzonych stosach wszelkiego dobra ułożonych na najwyższej półce, gdy z dołu dobiegły ją znajome głosy Mrs. Merriwether oraz jej córki Maybelle.

- A zdawało się mi, mamó, że słyszałam, jak mówiłaś, że nie powinniśmy przestępować progów tego sklepu.

- Cicho, jeszcze cię subiekt usłyszy - syknęła pani Merriwether. - Obeszliśmy już wszystkie sklepy w mieście i sama widziałas, że nigdzie nie ma ani kawałka czarnego aksamitu, a bez tego nie mogę wykończyć kostiumu. Czy kto kiedy słyszał, aby królowa Wiktoria nosiła kolorową pelerynę?

Scarlett zmarszczyła brwi. O czym one, do licha, rozmawiają? Cichutko zeszła na dół i na palcach zbliżyła się do ściany. Przystawiła ucho.

- Nie, psze pani - usłyszała głos subiekta. - Na czarny aksamit nie mamy zbytu. Nie zamawiamy.

- Można się było spodziewać, Maybelle, wychodzimy.

- Poczekaj, mamó. Skoro już tu jesteśmy, może znaję jakieś pióra dla moich Pocahontas - usiłowała zatrzymać matkę Maybelle.

- Bzdura. Idziemy. W ogóle nie powinniśmy pokazywać się tutaj. Jeszcze nas ktoś zobaczy.

Mrs. Merriwether szła ciężkim krokiem, za to szybko. Zaraz trzasnęły drzwi.

Scarlett znowu weszła na drabinę. Cały jej świąteczny nastrój prysnął jak bańka mydlana, Ktoś wydawał bal kostiumowy, a ona nie została zaproszona! Żałowała, że wtedy, na pogrzebie Melanii nie pozwoliła Ashleyowi rzucić się do grobu. Wreszcie znalazła pudło, którego szukała. Zrzuciła je na dół. Pudło pękło, a lśniące, kolorowe wachlarze rozsypały się po ziemi szerokim kołem.

- Pozbieraj i oczyść je z kurzu - zawołała do Kershawa. - Wracam do domu.

Raczej by umarła niż rozbeczała się przed własnymi subiektami.

W powozie na siedzeniu leżały dzienniki. Zbyt była pochłonięta dekorowaniem, żeby je przeczytać. Teraz też zresztą niewiele przejmowała się tym, co tam piszą, ale wzięła szeroką płachtę papieru, bo w ten sposób mogła się zasłonić przed czyimś ciekawskim spojrzeniem. Wyprostowała gazetę i otworzyła ją w samym środku, tam, gdzie znajdowała się rubryka lokalna „Naszej Charlestońskiej Gazety”. Cała była zadrukowana doniesieniami o otwartym ostatnio Waszyngtońskim Torze Wyścigowym oraz nadchodzącym Tygodniu Wyścigów, który przypadał w styczniu. Przebiegła wzrokiem entuzjastyczny opis Tygodnia Wyścigów takiego, jakim był jeszcze przed Wojną, po raz już nie wiadomo który dowiedziała się, że w Charlestonie gonitwy były najokazalsze i najszlachetniejsze spośród wszystkich w całej Ameryce, a także przyjęła do wiadomości przypuszczenia autora notatki, że nadchodzące zawody co najmniej dorównają minionym, jeśli ich nie prześcigną. Jak donosił korespondent, dzień w dzień będą wydawane przyjęcia, nie zdarzy się noc bez balu.

- A Rett Butler zaszczyci swą obecnością każdą hulankę - mruknęła. Rzuciła gazetę na podłogę.

Tytułowa strona przykuła jej uwagę wielkim anonsem: KOŃCZYĆ KARNAWAŁ BALEM MASKOWYM! Aha, to pewnie o tym rozmawiała ta stara smoczyca ze swoją Maybelle. Rzecz jasna, zostali zaproszeni wszyscy, tylko nie ja. Podniosła gazetę.

„Oto niniejszym wiadomym czynimy” - czytała Scarlett, „że ukończywszy wszelkie plany i przygotowania miasto nasze Atlanta w dniu 6 stycznia staje do szczytnej rywalizacji we wspaniałości uciech karnawałowych tuszając, że blask tutejszych przyćmić zdoła nawet słynne nowoorleańskie Mardi Gras. Dwunastu Rewelersów to ciało niedawno sformowane ze znakomitości świata towarzyskiego i businessu, za którego poduszczeniem przeżywać będziemy całe to wspaniałe wydarzenie. Nad Atlantą władzę obejmie Król Karnawału z Dworem Szlacheckim swym u boku. Wejdzie do miasta i przemierzy je na królewskim rydwaniu prowadząc ze sobą paradę rozciągającą się na długość jednej mili. Toteż uprasza się mieszkańców naszej Atlanty, w dniu onym

podwładnych Króla Karnawału, iżby zechcieli być przytomni widowisku i cuda jego podziwiać. Plan i szczegółowa marszruta zostaną podane do wiadomości w jednym z wydań naszej gazety... Trwające od świtu do nocy hulanki zakończy Bal Maskowy w Operze Degives, która w czas ów stanie się prawdziwą Krainą Cudów. Rewelersi wysłali prawie trzy setki zaproszeń, w których wiadomym czynią najdostojniejszym Rycerzom i najszlachetniejszym Damom atlantycznego grodziszczu, że z największą ochotą będą witani w podwojach Opery.”

- Cholera!

Ogarnął ją potworny żal. Rozplakała się jak dziecko. To niesprawiedliwe, że Rett tańczył i śmiał się w Charlestonie, a wszyscy jej wrogowie będą mieli w Atlantycie znakomitą zabawę, podczas gdy ona jest zdana na własne towarzystwo w tym ogromnym, głuchym domiszczu. Jeśli nawet uczyniła coś złego, to nie był to aż tak okrutny występ, by zasłużyła na taką karę.

Nigdy nie byłaś na tyle tchórzliwa, by ktokolwiek ośmielił się przyprawić cię o łzy - szepnęła gniewnie.

Wytrzeła łzy wierzchem dłoni. Nie, nie będzie pławić się we własnej kłęsce. Znajdzie sposób, by mieć to, czego pragnie. Pójdzie na bal. Już ona to potrafi.

* * *

Nie było rzeczą niemożliwą otrzymać to zaproszenie - nawet nie było to trudne. Scarlett dowiedziała się, że osławiona parada odbędzie się na wielkich udekorowanych wozach reklamujących różne towary i sklepy. Oczywiście, ten, kto chciał wziąć w niej udział musiał zapłacić wpisowe, a ponadto uczestniczyć w kosztach dekoracji „rydwanu”, lecz wszyscy, którzy przyczynili się do uświetnienia pochodu otrzymywali po dwa zaproszenia na wieczorny bal w operze. Wysłała zatem Williego Kershaw'a za stosowną sumą, którą miał wnieść jako wkład „Kennedy's Emporium” do imprezy.

Łatwość, z jaką jej to przyszło wzmocniła jeszcze jej wiarę, że wszystko można kupić. Pieniądze są wszechpotężne.

- Jak udekoruje pani ten wóz, Mrs. Butler? - zapytał Kershaw.

Pytanie stawiało tysiące możliwości.

- Pomyślę o tym.

Cóż, miała przed sobą całe godziny. Wieczorami mogła wysiadywać pochłonięta myślami, co zrobić, aby wszystkie inne rydwany zdały się niczym w porównaniu z okazałą wspaniałością pojazdu „Kennedy's Emporium”.

Musiała też pomyśleć o kostiumie na bal. Ileż to może pochłonąć czasu! Będzie

musiała przejrzeć wszystkie żurnale mody, będzie musiała wyszpiegować, co inni zamierzali założyć, trzeba będzie wybrać tkaninę, krój, uczesanie.

Och, nie. Nadal przecież nosiła żałobę. Zwykłą. Ale to chyba nie musiało znaczyć, że na bal maskowy powinna przywdziać czerni. Nigdy jeszcze nie uczestniczyła w maskaradzie, nie miała pojęcia, jakie tam rządziły prawa, lecz przecież cała ta impreza już z założenia była przeznaczona dla ludzi z lekka szalonych. Bal przebierańców polega chyba na tym, żeby nie wyglądać jak co dzień, żeby się przebrać. Skoro tak, to w żadnym wypadku nie mogła pójść w czerni. Z każdą minutą coraz bardziej była zapalona do tego pomysłu.

Szybko uwinęła się ze zwykłymi formalnościami, jakie nakładał na nią obowiązek prowadzenia sklepu, po czym pospieszyła do swej krawcowej.

Korpulentna, sapiąca Mrs. Marie wyjęła z ust pęk szpilek tak, że teraz już bez przeszkód mogła szczegółowo opowiedzieć, jakie kostiumy zamówiły panie w związku z balem. I tak, pani, która ma wyobrażać Pączek Róży - różowa suknia obramowana różami z jedwabiu; pani, która ma wyobrażać Płatek Śniegu - biała suknia obramowana mocno ukrochmalonymi, wysadzonymi cekinami, koronkami; pani, która ma wyobrażać Noc - suknia z ciemnoniebieskiego aksamitu z wyhaftowanymi srebrem gwiazdami; pani, która ma wyobrażać Wschód - suknia z różowego jedwabiu zarzucona na takąż samą suknię z jedwabiu ciemniejszego; pani, która ma wyobrażać Pasterkę - suknia przepasana, wykończona koronkami oraz fartuszek...

- Dobrze już, dobrze - przerwała zniecierpliwiona Scarlett. - Przecież widzę. Jutro dam ci znać, co uszyjesz dla mnie.

Mrs. Marie uniosła ręce w geście rozpaczy.

- Ale ja nie będę mieć czasu, żeby wyszykować pani ten kostium, Mrs. Butler. I tak zmuszona byłam zatrudnić dwie szwaczki więcej, a mimo to końca roboty ciągle nie widać... W żaden sposób nie mogę przyjąć jeszcze jednego zamówienia ponad te, co już przyjąłem.

Scarlett zbyła odmowę machnięciem ręki. I tak wiedziała, że zmusi Mrs. Marie i dostanie to, czego chce. Pytanie tylko, czego chciała?

Odpowiedź przyszła w chwili, gdy czekając na obiad zmuszona była układać pasjansa. Zerknęła w talię kart, by przekonać się, czy dostanie króla, którego potrzebowała na puste miejsce. Nie. Przed najbliższym królem miała dwie damy. Pasjans się nie uda.

Królowa! Oczywiście. Przecież mogła ubrać się we wspaniałą suknię z długim

trenem obramowanym gronostajem. Poza tym mogła założyć klejnoty, jakie miała.

Cisnęła na stół karty, które jej zostały i pobiegła po schodach na górę, by rzucić okiem do szkatułki z biżuterią. Och, czemuż Rett był takim skąpcem w wydawaniu pieniędzy na te błyskotki? Kupował jej wszystko, czego tylko zapragnęła, ale z klejnotów jedynie perły znajdowały uznanie w jego oczach. Wyciągała zatem z pudełka perły, sznur za sznurem, aż na biurku powstała imponująca sterta mlecznobiałych, jakby zamglonych kulek, w końcu jednak znalazła to, czego szukała. Są! Jej diamentowe kolczyki. Zdecydowanie powinna je założyć. A we włosy mogła wpiąć perły, które z równym powodzeniem mogą oplatać jej szyję i przeguby dłoni. Jakaż szkoda, że nie może założyć szmaragdami i diamentami wysadzanego pierścienia. Zbyt ryzykowne. Wielu ludzi mogłoby to rozpoznać, a gdyby już dowiedzieli się, kim jest, mogliby wznieść mur wokół niej, co na balu trudno wytrzymać. Była pewna swego kostiumu i maski, która miała ją chronić przed Mrs. Merriwether, Indią Wilkes oraz innymi kobietami. Zamierzała dobrze się bawić, przetańczyć każdy taniec, znowu być w wirze życia.

* * *

Szóstego stycznia, na dzień przed karnawalem, cała Atlanta była w gorączce świątecznych przygotowań. Z ratusza nadeszło polecenie, by dzień parady był wolny od pracy, a domy na trasie pochodu zostały ozdobione czerwienią i bielą - barwami Króla Karnawału.

Scarlett pomyślała o ogromnych stratach, na jakie się naraża zamykając sklep w dniu, gdy do miasta zjadą się ludzie z całej okolicy, by oglądać uroczyste obchody. Ale powiesiła w witrynie wielką rozetę ze wstążek na żelaznym ogrodzeniu przed domem, po czym, jak wszyscy, pobiegła by obejrzeć wielką przemianę, której uległy ulice Whitehall i Marietta. Sztandary i flagi okrywały każdą latarnię i fronton każdego domu, tworząc tunel łopoczącej czerwieni i bieli, błyszcząc, aż kłuło w oczy, przygotowując ostatni etap królewskiej wędrówki do tronu.

Chyba powinnam była wziąć z Tary Ellę i Wade'a, niechby sobie obejrzel paradę - przemknęło jej przez myśl. Zaraz jednak pomyślała, że dzieci są pewnie jeszcze osłabione po ospie. Nie mogłaby ich też wziąć na bal, bo nie ma biletów. A zresztą pocieszą się tą górą prezentów, które dostały na Boże Narodzenie.

Krople gęstego deszczu - w dzień karnawału lało jak z cebra - zmyły wszelkie ślady wyrzutów sumienia z powodu nieobecności dzieci. I tak nie mogłyby wystawać w tym zimnie i wilgoci.

Ale ona mogła. Cała otulona w ciepły szal znalazła sobie miejsce na kamiennym stopniu przy jakiejś bramie, a trzymając nad głową wielką parasolkę miała doskonały widok ponad głowami i parasolkami innych widzów stłoczonych na trotuarze.

Jak obiecano, parada ciągnęła się korowodem ponad milowej długości, lecz deszcz zniszczył wszystkie kostiumy szyte na wzór strojów średniowiecznego dworu. Czerwona farba ściekała gęstymi kroplami, aksamitne berety, suto ukrochmalone, miast sterczeć buńczucznie oklapły i zwisały nad czołami niczym główki zwiędłej sałaty. Maszerujący ulicą heroldowie i paziowie sprawiali wrażenie zziębniętych i przemokniętych, lecz widać było, że postanowili trzymać się dzielnie do końca, konni rycerze silili się na uśmiech walcząc z szarpiącymi się w strugach deszczu końmi, które co chwilę grzęzły w śliskim błocie. Scarlett szczerze przyłączyła się do wiwatów, wznoszonych przez tłum na cześć Lorda Marszałka, którym był wuj Henryk Hamilton - on jeden najwyraźniej dobrze się bawił. Sunął naprzód na bosaka, niosąc buty w jednej ręce i przemoczony kapelusz w drugiej - wymachiwał w odpowiedzi na wiwaty to jedną, to drugą ręką, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Sama się uśmiechnęła, gdy nadciągnęły otwarte powozy z Damami Dworu. Koryfeuszki życia towarzyskiego Atlanty skrywały się wprawdzie za maskami, lecz nie dało się ukryć tej sporej dozy stoicyzmu i cierpienia, które malowały się na ich twarzach. Pocahontas, wspomniane przez Maybelle Merriwether, okazało się po prostu górą piór, powtykanych we włosy, piór, z których skapywały strumyczki wody na jej kark i policzki. Mrs. Elsing i Mrs. Whiting łatwo było rozpoznać jako przestępujące z nogi na nogę w niecierpliwym oczekiwaniu końca, drżące z zimna Betsy Ross i Florence Nightingale, Mrs. Meade, kichając co chwilę, miała wyobrażać Stare Dobre Czasy, cała w falach krynoliny z mokrej tafty. Jedyne Mrs. Merriwether nie wzruszył deszcz. Królowa Wiktorja nad swą królewską głową dumnie trzymała wielki czarny parasol. Aksamitna peleryna pozostała sucha.

Po paniach nastąpiła długa przerwa. Widzowie zaczęli się rozchodzić. Ale wtedy z daleka dobiegły dźwięki *Dixie*. Trzeba było minuty, żeby tłum znowu zajął miejsce wzdłuż ulicy. Ludzie zaczęli wznosić zachęcające okrzyki i trwało to aż do chwili, gdy pojawiła się orkiestra. Teraz zapadła cisza.

Był to mały zespół, zaledwie dwóch doboszów, dwóch mężczyzn grających na fujarkach i jeden na kornecie o wysokim, słodkim brzmieniu. Ale ubrani byli na szaro, przepasani złotymi szarfami, wzdłuż kurtek biegły długie rzędy mosiężnych guzików. Na czele grupy szedł jednoręki mężczyzna: w ręku trzymał drzewce, na którym

powiewała flaga Konfederacji. Gwiazdy i poprzeczki były jak się należy obdarte. Ulicą Brzoskwiniową znowu ciągnęła parada. Gardła zbyt dławilo wzruszenie, by wydawać pełne zachwyty okrzyki.

Scarlett czuła, jak po policzkach płyną jej łzy - łzy dumy, nie klęski. Ludzie Shermana spalili Atlantę. Jankesi złupili Georgię, nie byli jednak zdolni zniszczyć Południa. Widziała łzy na twarzach kobiet i mężczyzn stojących naprzeciwko - łzy takie jak jej. Wszyscy poskładali parasolki, by odkrytymi głowami oddać cześć Fladze.

Stali tak, wysocy i dumni, wystawieni na zimny deszcz, stali tak długo. Po orkiestrze nadeszła kolumna konfederackich weteranów w poszarpanych strzępach samodziiałowych mundurów, w których wrócili do domów. Maszerowali w takt *Dixie* jak gdyby wróciła im młodość, a zmoczeni deszczem Południowcy odzyskali wreszcie głosy, by gwizdać i wznosić okrzyki - hasła pobudki - Krzyk Buntu, rozgrzewający tak, że można było zapomnieć o zimnie.

Wrzawa trwała aż do momentu, kiedy ostatni weterani zniknęli z pola widzenia. Zapomniano o królu, o Dwunastej Nocy. Punkt kulminacyjny parady już nastąpił, chwila szczytowego napięcia minęła, pozostawiając ich mokrych, zziębniętych, lecz z żarem w piersiach. „Wspaniałe” - dobiegły Scarlett westchnienia z dziesiątek uśmiechniętych ust ludzi, którzy przechodzili obok bramy, gdzie się schroniła.

- Ale to jeszcze nie koniec - przypomniała niektórym przechodniom.

- Czy coś jest w ogóle w stanie przewyższyć *Dixie*? - słyszała w odpowiedzi.

Potrząsnęła głową. Nawet ona nie była ciekawa, jak wyglądają przybrane rydwany, choć ciężko się napracowała przy swoim wozie. Wydała górę pieniędzy na bibułkę i świecidełka, które deszcz pewnie zupełnie rozmoczył. W ostateczności jednak mogła poczekać jeszcze chwilę i obejrzeć, co było do obejrzenia. Nie chciała się nudzić siedząc sama w domu aż do wieczora, do czasu, gdy zacznie się bal.

Minuty, które mijały, dłużyły się nieskończenie, zanim wreszcie ukazał się pierwszy rydwan. Kiedy podjechał bliżej, Scarlett mogła na własne oczy przekonać się, co było przyczyną tej zwłoki: koła ciężkiego wozu poruszały się bardzo powoli, do połowy ugrzęzłe w czerwonej glinie konsystencji masła. Westchnęła, szczelniej otuliła się szalem. Wyglądało na to, że trzeba będzie długo czekać.

Trwało to ponad godzinę, zanim kawalkada przybranych pojazdów przetoczyła się wreszcie po drodze. W końcu jednak i tak jej wyglądał najlepiej. Kwiaty z lśniącej bibułki zdobiące wóz z obu stron były mokre, lecz zachowały połysk, a wielki napis „Kennedy's Emporium” wykonany ze srebrnego pozłotka błyszczał wyraziście, choć

krople deszczu nie oszczędziły i tego. Wielkie baryłki z etykietkami „mąka”, „cukier”, „mączka kukurydziana”, „melasa”, „kawa”, „sól” były puste, dobrze wiedziała też, że woda nie była im straszna. Z kolei żelazne kotły były już uszkodzone - papierowymi kwiatami pozakrywała szczyby. Jedyne te narzędzia, które były obsadzone w drewno mogły doznać uszczerbku, lecz nawet kupony materiału, tak kunsztownie udrapowane za pomocą naciągniętych drutów, można było wrzucić do skrzyni z groszowym towarem.

Gdybyż tylko ktokolwiek zechciał poczekać aż przejedzie jej rydwan, na pewno nie mógłby ochłonąć z wrażenia.

Zgarbiła się nieco, niezadowolona, lecz zwróciła spojrzenie na ostatni z rydwanów. Wóz otaczała gromada biegnących, rozwrzeszczanych dzieciaków. Mężczyzna w wielobarwnym stroju elfa rozrzucił na prawo i lewo łakocie. Scarlett odczytała nazwisko umieszczone na znaku firmowym, zdobiącym głowę człowieka: „Rich's”. Tak, Willie ciągle coś gadał o tym nowym sklepie w Pięciu Znakach. Był niepocieszony, bowiem ceny były tam niższe i „Kennedy's” straciło kilku klientów. Ależ bzdura - Scarlett wzgardliwie wzruszyła ramionami. Rich's nie utrzyma się w interesie na tyle długo, by mógł mi zaszkodzić. Zaniżanie cen i rozrzucanie po ulicy towaru to jeszcze nie sposób na sukces w handlu. Bardzo się cieszę, że to widzę. Teraz przynajmniej mogę powiedzieć Kershawowi, żeby nie był takim głupcem.

Jeszcze bardziej się ucieszyła oglądając Wielki Finał, postępujący zaraz za rydwanem Rich'sa. Tron królewski. W czerwono - białym baldachimie rozpiętym nad Majestatem zrobiła się dziura i strumienie wody lały się niemiłosiernie na złotem wieńczoną głowę i opięte gronostajowym płaszczem z bawełny ramiona Doktora Meade'a. Wyglądał na uosobienie nieszczęścia.

- Żebyś złapał podwójne zapalenie płuc i umarł - szepnęła Scarlett. Po czym rzuciła się biegiem do domu. Chciała wziąć gorącą kąpiel.

* * *

Przebrała się za Królową Serc. Co prawda, wolałaby założyć strój Królowej Diamentów, pokazać się w koronie na głowie, w wysadzanej klejnotami przepasce na szyi, z broszami przy staniku, lecz wtedy nie mogłaby obwiesić się sznurami pereł, o których zachwycony jubiler powiedział kiedyś, że „są godne królowej”. Poza tym znalazła bardzo ładne imitacje ogromnych rubinów, bardzo pięknie wyglądających wokół opadającego nisko kołnierza sukni z czerwonego aksamitu. Jakież to miłe uczucie, założyć wreszcie coś kolorowego!

Tren sukni okalały srebrne lisy. Zanim bal dobiegnie końca, zostaną z tego same strzępy, ale nieważne - udrapowane nad ramieniem futerko, w tańcu będzie się prezentowało znakomicie. Tajemnicza maska z czerwonej satyny miała zasłaniać jej twarz aż po czubek nosa, a pociągnięte warstwą różu usta potęgowały efekt. Czuli się bardzo rezolutnie, zupełnie bezpiecznie. Dzisiejszej nocy ku wielkiemu ukontentowaniu swego serca, tańczyć będzie do woli, a nikt nie zgadnie, kto ona, niechże więc znieważają ją sobie, ile dusza zapragnie. Cóż za wspaniały pomysł ten bal maskowy.

Lecz nawet z maską na twarzy, wchodząc do sali balowej zupełnie sama, bez towarzystwa, poczuła jak nogi lekko się pod nią uginają. Wszak towarzystwo było zbędne: właśnie gdy wysiadała z powozu, do westybulu wchodziła duża grupa zamaskowanych rewelersów - przyłączyła się do nich, a ci zareagowali na to bez słowa. W środku potoczyła zdumionym wzrokiem: opera zmieniła się prawie nie do poznania. Tam, gdzie dawniej był teatr, teraz roztaczał się widok na pałac królewski, oddany tak udatnie, że można było wziąć fikcję za rzeczywistość.

Krąg taneczny zbudowano nad niższą częścią widowni, włączając w to ogromną scenę, toteż właściwa sala balowa miała iście mamucie rozmiary. Na odległym krańcu sceny panował z wysokiego tronu Doktor Meade jako Król Karnawału z orszakiem umundurowanych dworaków po każdej stronie, wliczając w to także Królewskiego Podawcę Filiżanki. Na balkonie pierwszego piętra grała orkiestra - największa, jaką Scarlett kiedykolwiek widziała - po parterze przewalały się tłumy tancerzy, widzów, spacerowiczów. Wyraźnie dało się wyczuć atmosferę podniosłej wesołości, z powietrza unosił się nastrój ogólnego odprężenia, a to z powodu powszechnej anonimowości zamaskowanych nie do rozpoznania postaci. Gdy tylko weszła na salę, jakiś mężczyzna w chińskim kitlu, z długim warkoczem podbiegł do niej, objął ją opiętym w jedwab ramieniem i pociągnął na parkiet. Chyba cudzoziemiec. Niebezpieczne i ekscytujące było to wszystko.

Popłynęły dźwięki walca, jej partner wirował szybko aż do zawrotów głowy. Gdy tak walcowali, Scarlett chwyciła wzrokiem zamaskowane postacie Hindusów, clownów, arlekinów, Pierrotów, zakonnic, niedźwiedzi, nimf i kardynałów - wszystkich tańczących w tempie równie szybkim jak ona. Kiedy muzyka ucichła, nie mogła złapać oddechu.

- Wspaniale - wydyszała. - To wspaniale. Tyle ludzi. Chyba cała Georgia tu tańczy.

- Niezupełnie - odparł jej partner. - Niektórzy nie mają zaproszeń.

Wskazał palcem w górę, Scarlett zauważyła, że galerie pełne były ludzi w zwyczajnych strojach, choć nie wszystkie kłuły w oczy wulgarną powszedniością. Wśród widzów była Mamie Bart, cała w diamentach, otoczona gronem mętów. Dobrze, że nie skumałam się z tą paczką - zbyt razili tandetą, by mogli liczyć na zdobycie zaproszenia. Scarlett udało się zapomnieć, jak zdobyła własne.

Obecność publiczności sprawiała, że udział w balu zdał się jeszcze bardziej powabny. Poderwała głowę do góry i wybuchła śmiechem. Diamentowe kolczyki miały migotliwe blaski - widziała, jak odbijają się w oczach Mandaryna widocznych przez otwory w masce.

Potem odszedł, odciągnięty na bok przez Mnicha, którego zamaskowaną twarz ocieniał nisko naciągnięty kaptur. Mnich bez słowa ujął Scarlett za rękę, a gdy uderzył pierwsze takty skocznej polki, otoczył ją w talii ramieniem.

Tańczyła jakby nie była na parkiecie już od lat. W głowie jej się kręciło, zatrulo ją porywające szaleństwo maskarady, porwała narkotyczna upojność niesamowitości tego wszystkiego, uderzył jej do głowy szampan roznoszony na srebrnych tacach przez ubranych w aksamity paziów, rozkosz uczestniczenia w przyjęciu, której już dawno nie przeżywała, świadomość, że odniosła sukces. Tak, miała powodzenie i, jak sądziła, pozostała nierozpoznana, zatrute strzały nie mogły jej zranić.

Poznała wdowy ze starej gwardii - miały na sobie te same kostiumy, w które ubrały się na paradę. Ashley też tu przyszedł, także zamaskowany, ale poznała go natychmiast, gdy go spostrzegła. Ubrany w czarno - biały kostium Arlekina miał na ramieniu żałobną przepaskę. India pewnie siłą zaciągnęła go tutaj, żeby nie brakło jej towarzystwa - pomyślała Scarlett. Co za podłość. Rzecz jasna, India zupełnie nie zastanawiała się, czy to podle, czy nie, dopóki to, co robiła, uważała za właściwe, a mężczyzna w żałobie nie musi rezygnować z przyjemności, które kobiecie w żałobie nie przystoją. Wystarczy, że ubierze się w to, co ma najlepszego i założy czarną przepaskę na ramię, a wtedy może już emablować następną wybranek serca, nim jeszcze trup jego pierwszej żony zdąży ostygnąć w grobie! Wszyscy jednak doskonale wiedzieli, że Ashley przyszedł tu wbrew sobie. Wystarczy spojrzeć, jak się ślania na nogach w swym błazeńskim stroju. Zresztą, nieważne, kochanie. Joe Colleton wybuduje znacznie więcej domów takich jak ten, który właśnie zaczął stawiać. Niech tylko przyjdzie wiosna, a wtedy praca przy wydawaniu drewna tak cię pochłonie, że nie będziesz miał czasu na smutek.

W miarę jak wieczór postępował ku nocy, szaleństwo maskaradowe przybierało na

wyrazistości. Niektórzy z admiratorów Scarlett pytali ją, jak się nazywa - jeden usiłował nawet zerwać jej maskę. Odprawiła go bez trudu. Już zdążyłam zapomnieć, jak się traktuje natrętnych chłopców - pomyślała, uśmiechając się do własnych myśli. A chłopcy zawsze są tacy sami, niezależnie od wieku. Już skradają się po kątach w poszukiwaniu czegoś mocniejszego od szampana. Zaraz pewnie zaczną wznosić Krzyk Buntu, jak to zwykle.

- Do czegoś tak się uśmiechasz, ma Tajemnicza Królowo? - spytał tęgi kawaler, który robił wszystko, by za każdym razem, gdy tańczyli, deptać ją po palcach.

- Jak to, przecież do ciebie - odparła uśmiechnięta. Nie, jednak nie zapomniała niczego z dawnych umiejętności.

Kiedy kawaler przekazał jej dłoń skoremu do tańca Mandarynowi, Scarlett z całym wdziękiem, na jaki było ją stać, poprosiła go o krzesło i kieliszek szampana. Korpulentny tancerz boleśnie nastąpił jej na palec.

Lecz gdy towarzysz prowadził ją ku foyer, gdzie w położonym z boku pokoju przygotowano miejsca do odpoczynku, nagle oznajmiła, że orkiestra właśnie zaczęła grać jej ulubioną melodię i że wobec tego nie może przegapić tego tańca.

Naprzeciw niej szły ciotka Pittypat i Mrs. Elsing. Czy mogły ją poznać?

Złość i przerażenie przyćmiły uczucie radosnego podniecenia. W strachu uświadomiła sobie, że kuleje lekko na jedną nogę i że oddech Mandaryna jest przesycony zapachem whisky.

Nie, nie będę myślała ani o tym, ani o Mrs. Elsing, ani o obolałym palcu. Nie dopuszczę do siebie myśli, która mogłaby zaprawić radość goryczą. Usiłowała oddalić od siebie ponure refleksje i poddać się nastrojowi zabawy.

Ale, wbrew woli, jej oczy rzucały ukradkowe spojrzenia na salę balową, na mężczyzn i kobiety, zajmujących poustawiane wzdłuż ścian krzesła, podpierających ściany.

Musnęła przelotnym spojrzeniem wysokiego, brodatego pirata, który stał przy drzwiach wsparty plecami o framugę - spotkawszy jej wzrok zgiął się w niskim ukłonie. Czowała, jak zatyka jej dech w gardle. Szybko odwróciła głowę. Coś unosiło się w powietrzu... coś zuchwałego nad miarę...

Pirat miał na sobie białą koszulę i czarne wieczorowe spodnie. Właściwie nie był przebrany, jedynie szeroka szarfa z czerwonego jedwabiu i zatknięte za pas dwa pistolety świadczyły, że wybrał się na bal maskowy, jak też błękitne kokardki wplecione w gęstą brodę. Maskę także miał bardzo prostą - czarna przepaska z otworami na oczy. Nie znała tego człowieka, chyba że... tyłu mężczyzn nosiło teraz gęste brody. Chociaż...

to, jak stał... no i patrzył się na nią w taki szczególny sposób, mimo maski.

Gdy Scarlett spojrzała na niego po raz trzeci, uśmiechnął się, białe zęby błysnęły olśniewającą bielą na tle czarnej brody i spalonej słońcem twarzy. Zrobiło się jej słabo. To Rett.

Nie, niemożliwe... chyba coś się jej śni... Lecz nie. To nie był sen, bo nie opanowałyby jej to szczególne uczucie. Czyż to nie w jego stylu? Pokazać się na balu, na który większość chętnych nie mogła zdobyć zaproszenia... Rett umiał dokonać wszystkiego!

- Przepraszam, muszę odejść... nie, naprawdę muszę - odepchnęła Mandaryna, pobiegła do męża.

Rett ponownie zgiął się w ukłonie.

- Edward Teach do usług, łaskawa pani.

- Kto?

Czyżby sobie myślał, że nie zdołała go poznać.

- Edward Teach, powszechnie zwany Czarnobrodym, najnikczemniejszy z korsarzy, jacy kiedykolwiek pruli fale Atlantyku.

Serce zabiło jej z radości. Tak, żartuje, robi te swoje kawały, jak zwykle niezrozumiałe, zawsze miałam z tym problemy, wie o tym dobrze. Dokładnie jak kiedyś... zanim jeszcze sprawy potoczyły się tak niepomyślnie. Teraz nie mogę wykonać fałszywego kroku. Nie mogę. Jak odpowiedziałabym mu kiedyś, zanim jeszcze go pokochałam.

- Jestem zaskoczona, że przybyłeś na bal do Atlanty, skoro w twoim wspaniałym Charlestonie dzieją się tak znakomite rzeczy.

Tak. Dokładnie w ten sposób. Nie nazbyt obojętnie, nie nazbyt czule.

Brwi Retta uniosły się dwoma czarnymi półksiężycami nad czarną maską. Scarlett wstrzymała oddech - zawsze tak robił, gdy był rozbawiony. Obrąla dobrą strategię.

- Jak to się stało, że jesteś tak dobrze poinformowana o życiu towarzyskim Charlestonu?

- Czytam gazety. Pewna zadurzona kobietka nie przestaje rozpisywać się o pewnym wyścigu konnym.

Do diabła z tą brodą. Myślała, że Rett się uśmiecha, lecz tak naprawdę nie mogła ujrzeć jego ust.

- Także czytam gazety - odparł Rett. - Ale nawet w Charlestonie to nowina, gdy takie nowobogackie miasteczko jak Atlanta postanawia prześcignąć w szyku Nowy

Orlean.

Nowy Orlean. Zabrał ją tam na miesiąc miodowy. Zabierz mnie tam po raz drugi - cisnęło się jej na usta. Znowu zaczniemy od nowa i wszystko będzie inne. Lecz nie powinna tego mówić. Jeszcze nie teraz. Jej umysł przeskakiwał od wspomnień do wspomnień. Wąskie, kręte uliczki, wysokie, cieniste pokoje z wielkimi, oprawnymi w wyblakłe złoto zwierciadłami, dziwne, cudowne w smaku potrawy...

- Przyznaję, napoje, które tu podają nie są wymyślne - mruknęła niechętnie.

Rett wybuchnął śmiechem.

- Skromnie mówiąc...

Bawię go. Już lata całe nie słyszałam, jak się śmieje... za długo. Chyba widział, jak lgną do mnie ci mężczyźni, z którymi tańczyłam.

- Skąd wiedziałeś, że ja to ja? - spytała. - Mam przecież maskę.

- Wystarczyło rozejrzeć się za najbogaciej ubraną kobietą. Wiadomo, że to ty.

- Ach, ty... kreaturo! - zapomniała o swych wysiłkach, by być dla niego miłą. - Nie wyglądasz nad wyraz przystojnie z tą idiotyczną brodą, Recie Butlerze. Równie dobrze mógłbyś sobie przyczepić kawał niedźwiedziego futra.

- Nie mogłem wymyśleć pełniejszej charakteryzacji... Jest w Atlancie kilka osób, które nie powinny rozpoznać mnie zbyt łatwo.

- To po co w ogóle tu przyszedłeś? Chyba nie po to, by mnie znieważać, jak sądzę.

- Obiecałem ci pokazywać się na tyle często, by zdusić wszelkie plotki. To znakomita okazja.

- Bal maskowy?... Przecież nikt tu nie wie, kto jest kto.

- O północy wszyscy zdejmują maski. Czyli za cztery minuty. Powalczujemy sobie, aż wszyscy się ujawnią. Potem wyjdziemy.

Ujął jej dłoń, a Scarlett zapomniała cały swój gniew, zapomniała o ryzyku, na które się wystawia ukazując twarz wrogom, zapomniała o całym świecie. Nic nie było równie ważne jak fakt, że Rett był tutaj, i że trzymał ją w ramionach.

* * *

Przez większość nocy Scarlett nie spała: leżała, usiłując zrozumieć, co się stało. Na balu było wspaniale... Gdy dochodziła północ, doktor Meade zarządził, by wszyscy zdjęli maski. Rett wybuchnął śmiechem, ciągnąc się za gęstą czarną brodę. Przysięgłabym, że miał znakomitą zabawę. Sposób, w jaki zasalutował doktorowi i oddał ukłon Mrs. Meade, a potem uniósł mnie stamtąd tak lekko, jakbym ciągle była dlań nie lada kąskiem. Nie zauważył nawet, że ludzie odwrócili się do mnie plecami -

przecież nie dopuściłby do tego, gdyby to spostrzegł. Był uśmiechnięty od ucha do ucha.

Ale kiedy siedzieliśmy w powozie, jadąc do domu, było zbyt ciemno, bym mogła dostrzec jego twarz... po głosie sądząc, nadal dobrze się bawił. Nie wiedziałam, od czego zacząć rozmowę, jednak niewiele miałam czasu, by o tym pomyśleć, bowiem zaraz zaczął mnie wypytywać, co słyhać w Tarze i czy adwokat nie zwleka z wypłatami, a zanim zdążyłam odpowiedzieć, byliśmy już w domu. I wtedy to się stało. Był tutaj, przy wejściu na schody, w hallu. Powiedział „dobranoc”, powiedział, że jest bardzo zmęczony i poszedł do swojej garderoby.

Nie, nie było w nim nienawiści czy ostentacyjnego chłodu, po prostu powiedział „dobranoc” i wszedł po schodach na piętro. Cóż by to miało znaczyć? Po co zadał sobie aż tyle trudu, by tu przyjechać? Przecież nie po to, żeby wziąć udział w balu, skoro w Charlestonie karnawał w pełni. Ani nie dla przebierańców, bo równie dobrze mógł pojechać na Mardi Gras, gdyby tak mu na tym zależało. W Nowym Orleanie ma mnóstwo przyjaciół.

Powiedział „zdusić plotki”. Na oczach tych wszystkich świń. Zaczął już nawet przygryzać tę idiotyczną brodę w charakterystyczny dla siebie sposób. Co z tego?

Jej umysł zataczał koła, krążył coraz to wolniej wokół wszystkiego, co miało miejsce tego wieczoru, aż w końcu głowa Scarlett opadła na poduszkę. Sen, gdy już przyszedł, był krótki i mało krzepiący. Wszakże obudziła się w odpowiednim czasie, by móc zejść na dół, na śniadanie, w swej najstrojniejszej, najlepszej sukni. Nie musiała wzywać pokojówki, aby przyniosła jej posiłek do sypialni. Rett zawsze śniadał w stołowym.

- Kochanie, co tak wcześnie? - powitał ją od stołu. - Jakże to miło, że pamiętałaś... Nie będę musiał pisać kartki na pożegnanie.

Złożył serwetkę na stole.

- Spakowałem kilka rzeczy, które przeoczył Pork. Wpadnę po nie, gdy będę jechać na stację.

Nie opuszczaj mnie - błagało serce Scarlett. Wbiła wzrok gdzieś w dal, żeby nie mógł dostrzec niemej prośby w jej oczach.

- Na miłość boską, Rett, kończ już kawę - westchnęła niecierpliwie. - Nie zamierzam urządzać ci sceny.

Podeszła do kredensu, gdzie stał dzbanek, nalała do filiżanki brunatnego, aromatycznego płynu, ani na chwilę nie odrywając spojrzenia od lustra, w którym widziała Retta. Za wszelką cenę musi zachować spokój. Może zaraz wstanie od stołu.

Wstał. Wyjął z kieszonki zegarek, otworzył, spojrzął, która godzina.

- Już spóźniony - mruknął. - Tak, skoro już tu jestem, muszę się zobaczyć z kilkoma osobami. Aż do lata będę miał dużo pracy, rozpuszczę zatem pogłoski, że wybieram się w interesach do Ameryki Południowej. Większość ludzi w Atlancie nie wie nawet, gdzie to jest, także nie będzie żadnych plotek. Widzisz, kochanie, dotrzymuję słowa: twoja reputacja nie poniesie uszczerbku z mego powodu.

Wykrzywił usta w niechętnym uśmiechu, zamknął zegarek, włożył dewizkę do kieszeni.

- Żegnaj, Scarlett.

- Czemu naprawdę nie popłyniesz do Południowej Ameryki i nie znikniesz mi z oczu na zawsze!

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, jej ręka wyciągnęła się po karafkę koniaku. Dlaczego tak go potraktowała? Przecież nie powiedziała tego, co czuje. Rett zawsze tak na nią działał, miał ten dar, że w jego obecności nigdy nie mówiła tego, co naprawdę myślała. Nie, nie tędy droga, powinna była wymyśleć coś lepszego, niż obejść się z nim w ten sposób. Ale też on nie powinien naigrawać się z jej reputacją. Skąd on się dowiedział, że jest tu teraz jak czarna owca?

Nigdy dotychczas, w całym swoim życiu, nie czuła się taka nieszczęśliwa.

9.

Później wstydziła się samej siebie. Pić z samego rana! Tylko pospolite pijaczki zaczynały w ten sposób dzień. Przecież nie jest aż tak źle - podnosiła się na duchu. Teraz przynajmniej wie, kiedy Rett wróci. Wprawdzie długo trzeba czekać na ten dzień, lecz mogła być pewna, że kiedyś nadejdzie. Nie musi już tracić czasu zastanawiając się, kiedy to będzie... może dzisiaj... może jutro... może dzień później.

Luty zaczął się nadspodziewanie ciepło, tak że drzewa wypuszczały pierwsze pączki liści, a w powietrzu czuć było, jak ziemia budzi się do życia.

- Otwórzcie okna - poleciła służbie. - Niech się wywietrzy ta stęchlizna.

Rozkoszny był ten powiew wiatru, rozrzucający na skroni pukle włosów. I nagle owładnęła nią straszliwa tęsknota za Tarą. Tam, gdzie hasały wiatry niosące powiew wiosny, napełniające sypialnię wonią ciepła ziemi - tam nie miałyby kłopotów ze snem.

Ale nie mogła pojechać do Tary. Ciepły wiatr rozmrozi skutą lodem ziemię i Colleton będzie mógł ruszać z budową trzech następnych domów. Jeśli jednak nie będzie zrzędzić mu nad uchem, sam z siebie nigdy nie wpadnie na ten pomysł. W życiu nie widziała tak upartego człowieka... wszystko musi być zrobione dokładnie tak, nie inaczej. Będzie czekać aż ziemia zmięknie na tyle, że przekopie się do Chin.

A gdyby tak wpaść do Tary, choćby na parę dni? Chyba przez te kilka dni nie stanie się nic wielkiego... Przypomniała sobie, jak blado wyglądał Ashley na balu i jakie przygnębiające wrażenie sprawiał - oto człowiek ostatecznie załamany.

Westchnęła rozczarowana.

Nawet gdyby pojechała do Tary, i tak nie mogłaby liczyć na chwilę wytchnienia.

Posłała Pansy, żeby kazała Eliaszowi sprowadzić powóz. Trzeba było odszukać Joe'go Colletona.

* * *

Tego wieczoru, jakby w nagrodę za to, że nie zwlekała z wypełnieniem powinności, zaledwie zmierzch zapadł, u drzwi zadźwięczał dzwonek.

- Scarlett, kochanie - wykrzyknął Tonio Fontaine, zaledwie lokaj wpuścił go za próg.

- Stary przyjaciel potrzebuje kwatery na noc. Okażesz miłosierdzie?

- Toniu! - krzyknęła Scarlett i wybiegła z salonu, by rzucić się mu w objęcia.

Odstawił walizę. Wziął ją w ramiona, dał całusa.

- Boże Wszechmogący, ale też się urządziłaś! - zauważył rozglądając się po hallu. - Widząc to zamczysko pomyślałem sobie, że głupiec, którego pytałem o drogę wskazał

mi jakiś hotel.

Powiódł wzrokiem po ozdobnym lichtarzu, puszystym aksamicie, którym wybito ściany, wielkich złożonych lustrach, po czym wykrzywił się w łobuzerskim uśmiechu.

- Nic dziwnego, że zamiast na mnie czekać poślubiłaś tego chwata z Charlestonu. Gdzie Rett? Chętnie bym ujrzał cwaniaka, co zwinął mi dziewczynę sprzed nosa.

Poczuła, jak na szyi zaciskają się jej lodowate palce strachu. Czyżby Zuela wspomniała o czymś Fontaine'om?

- Rett jest w Ameryce Południowej - powiedziała, przywołując na twarz promienny uśmiech. - Możesz to sobie wyobrazić? Wspaniałe miejsce. Jeszcze niedawno trwałam w przeświadczeniu, że tylko misjonarze wybierają się na koniec świata!

Tonio roześmiał się.

- Ja także. Szkoda, że się nie zobaczymy, ale dopatruję się w tym łutu szczęścia. Będę cię miał wyłącznie dla siebie. Co powiesz, gdy spragniony mężczyzna zacznie się dopominać o coś na przeplukanie gardła?

Nie, nie wiedział, że Rett ją opuścił, tego mogła być pewna.

- Myślę - powiedziała - że taka wizyta domaga się, by uczcić ją szampanem.

Tonio oznajmił, że owszem, szampan też jest dobry, lecz chętnie zostawiłby to na wety. Na razie zupełnie zadowolili się szklaneczką whisky i kąpielą, bo pewnie ciągle czuć go gnojem.

Scarlett sama przygotowała drinka, po czym kazała lokajowi, by zaprowadził Tonia na górę do łazienki dla gości. Bogu dzięki, służba mieszkała w domu. W ten sposób nie wybuchnie skandal, nawet jeśli Tonio zabawi tu tak długo, jak mu się spodoba. Może wreszcie będzie miała do kogo się odezwać.

Do kolacji podano szampana. Scarlett założyła swoje perły. Tonio zjadł cztery wielkie kawały ciasta czekoladowego, które kucharz musiał naprędce upiec na deser.

- Powiedz kuchni, żeby to, co zostało, zapakowali i posłali mi do pokoju - powiedział, błagalnie składając dłonie. - Jedyne, czego naprawdę pragnę, to ciasto takie jak to, z grubą warstwą lukru. Zawsze pasjami lubiłem łakocie.

Scarlett zaniósł się perlistym śmiechem, po czym wysłała stosowne polecenie do kuchni.

- Ale, ale, przecież mówiłeś o Sally. Czyż ona nie piecze równie pysznego ciasta?

- Sally? - zachnął się Tonio. - Skąd ten pomysł. Co wieczór robi dla mnie bombowy deser, tylko dla mnie. Aleks nie podziela mojej słabości.

Scarlett sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Czyżbyś nie wiedziała? - zaniepokoił się Tonio. - Sądziłem, że siostra wspomniała ci o tym w liście. Wracam do Teksasu, Scarlett. Podjąłem decyzję w święta.

Rozmowa ciągnęła się przez parę godzin. Najpierw Scarlett nastawała, by został, lecz osiągnęła zaledwie tyle, że początkowo lekkie zakłopotanie Tonia zmieniło się w sławetny krnąbrny upór Fontaine'ów, ujawniający się w wybuchu gniewu.

- Tam, do diabła, uspokój się, Scarlett! Bóg jeden wie, że próbowałem powstrzymać się od tego, ale nie mogłem. Lepiej więc nie usiłuj nagiąć mej woli.

Od jego głośnego głosu zakołysały się i zadzwoniły kryształowe ozdoby świecznika.

- Mógłbyś pomyśleć o Aleksie - nie dawała za wygraną, lecz wyraz twarzy Tonia sprawił, że umilkła.

- Naprawdę próbowałem - szepnął.

- Przepraszam.

- Ja też, kochanie. Czemu nie każesz temu śmiesznemu lokajowi otworzyć drugiej butelki? Porozmawialibyśmy o czymś innym.

- Opowiedz mi o Teksasie.

Czarne oczy Tonia rozbliły.

- Dobrze. Po pierwsze, możesz przejść sto mil, a nie uświadczysz płotu - roześmiał się, po czym dodał. - A to dlatego, że niewiele tam rzeczy wartych ochrony, może z wyjątkiem piasku i suchych chaszczy. Za to wiesz, kim jesteś, gdy siedzisz tam na własnej zagrodzie, a wokół ciebie pustka. Nie obciąża cię przeszłość, nie musisz oglądać się na to, co zostawiłeś z tyłu. W Teksasie wszystko dzieje się właśnie teraz, tej minuty, może jutro... na pewno nie wczoraj.

Uniósł kieliszek w jej stronę.

- Ładnaś jak na obrazku, Scarlett. Rett chyba nie jest rozsądny, skoro cię tak zostawił, bo gdyby miał choć trochę oleju w głowie, siedziałby plackiem w domu. Gdybym wiedział, że mogę odejść stąd unosząc łupy, natychmiast przystąpiłbym do ataku.

Scarlett kokieteryjnie przegięła głowę. Miło było grać w dawną grę.

- Tونیu Fontaine, gdyby moja babka była jedyną istotą płci odmiennej w okolicy, na pewno ruszyłbyś do ataku na nią. Żadna kobieta nie jest bezpieczna w jednym pokoju z tobą, gdy tak krzesasz skry tymi czarnymi oczami i oślepiasz błyskiem zębów w uśmiechu.

- Skarbie, wiesz przecież, że tak nie jest. W całym świecie nie znajdziesz chłopaka bardziej honorowego niż ja... ale nawet ja jestem dzentelmenem dopóty, dopóki nie

spotkam kobiety tak pięknej, że tracę głowę i zapominam dobrych obyczajów.

Zręcznie się przekomarzali i znajdowali radość przekonując się o swej zręczności, w końcu lokaj wniósł następną butelkę szampana. Wznieśli toasty. Scarlett aż kręciło się w głowie z radości - była Toniowi wdzięczna, że sam dokończył butelkę. Kiedy to się stało, zaczął ją zabawiać długimi opowieściami o Teksasie, a mówił tak zabawnie, że ze śmiechu bolały ją boki.

- Toni, jakżebyś pragnęła, żebyś został tu na dłużej - powiedziała, gdy oświadczył, że zaraz zaśnie przy stole. - Bóg wie, od jak dawna tak się nie ubawiłam.

- Też bym chciał. Lubię jeść i pić do upadłego z ładną dziewczyną u boku, która się śmieje z moich dowcipów. Ale muszę korzystać ze sprzyjającej pogody. Jutro rano wsiądę do pociągu na Zachód i odjadę, zanim mróz znowu chwyci. Pociąg odjeżdża skoro świt. Napijesz się ze mną kawy jutro rano?

- Nawet gdybyś chciał, nie powstrzymasz mnie od tego.

* * *

Eliasz odwiózł ich na stację jeszcze przed świtem, wczesną szarówką. Gdy Tonio wchodził do pociągu, Scarlett machała chusteczką na pożegnanie. Za cały bagaż miał Tonio małą skórzaną teczkę i wielki brezentowy wór, gdzie trzymał siodło. Kiedy wszedł na platformę, odwrócił się i pomachał jej swym wielkim teksańskim kapeluszem z opaską ze skóry grzechotnika wokół ronda. Gdy machał, rozpięła się mu marynarka, tak że widać było nabijany srebrem pas, olstra i tkwiące w nich sześćostrzały.

Chociaż odjeżdżał, pomieszkał jednak w domu wystarczająco długo, by nauczyć Wade'a, jak się obraca pistolety. Mam nadzieję - pomyślała Scarlett - że w czasie tej zabawy nie przestrzeli sobie stopy. Posłała mu ręką całusa. Tonio ujął kapelusz niczym miskę i usiłował złapać w nią niewidzialny pocałunek - gdy już go w końcu miał, wyjął go, po czym troskliwie złożył w kieszonce kamizelki, tam gdzie trzymał zegarek. Chociaż pociąg odjeżdżał, Scarlett ciągle się śmiała.

- Zakręć na farmę, na budowę Mr. Colletona - powiedziała do Eliasza. Zanim przybędą na plac budowy, słońce już wstanie, a wtedy lepiej dla Colletona, żeby brygada kopała fundamenty, w przeciwnym bowiem razie będzie musiała powiedzieć mu coś przykrego. Tonio miał rację: trzeba korzystać z ocieplenia.

Ale Joe Colleton był niewzruszony.

- Wyjdę na plac tak, jak obiecałem, Mrs. Butler, lecz wszystko wskazuje na to, że miałem rację. Odwilż nie sięgnęła na tyle głęboko, by można było kopać piwnice. Minie

jeszcze miesiąc, zanim ruszę.

Scarlett najpierw prosiła, potem groziła, niczego jednak nie wskórała. Nawet gdy miesiąc później wiadomość od Colletona wyrwała ją z miasta na parcie, ciągle jeszcze była przygnębiona.

Nie widziała dotąd Ashleya, a teraz było już za późno, by zawrócić. Co ja mu powiem? Nie mam pretekstu, by wytłumaczyć swą obecność, zaś Ashley jest dość rozgarnięty, by przejrzeć na wylot wszystkie kłamstwa. Była pewna, że na jego upiornie bladej twarzy ujrzy naprędce przywołany, wymuszony uśmiech.

Jeśli nawet tak było, Ashley sprawiał wrażenie człowieka zupełnie nieświadomego jej wybiegów. Pomógł jej wysiąść z powozu z wrodzoną uprzejmością.

- Jestem szczęśliwy, że nie przegapiłem tej okazji, Scarlett. Jak miło znowu cię widzieć. Mr. Colleton powiedział mi, że można się tu ciebie spodziewać, toteż czekałem jak długo się dało.

Uśmiechnął się smętnie.

- Oboje wiemy, że nie mam głowy do interesów, toteż moje rady niewiele są warte, chciałbym jednak powiedzieć, że jeśli zamierzasz postawić tu drugi sklep, to chyba nie możesz się mylić co do celowości tego przedsięwzięcia.

O czym znowu on mówi?... Aha, już rozumiem. Jak sprytnie ze strony Colletona, że pomyślał o wymówce usprawiedliwiającej moją obecność tutaj. Po tej konstatacji ponownie skupiła uwagę na tym, co mówił Ashley.

- ... słyszałem też, że ci miasto najprawdopodobniej zamierza dociągnąć linię tramwajową aż tutaj, na przedmieścia. Zabawne, prawda, jak szybko rozrasta się Atlanta?

Ashley sprawiał dość dziwne wrażenie: zmęczony wysiłkiem życia, lecz jakby bardziej skłonny do kontynuowania swej egzystencji niż parę miesięcy temu. Scarlett w głębi ducha życzyła sobie, by te oznaki poprawy świadczyły także i o tym, iż w interesach szło mu lepiej. Nie zniosłaby chyba tego, gdyby tartaki i skład drzewny zrobiły plajtę. I nigdy nie darowałaby Ashleyowi tej klęski.

Ujął ją za rękę, spojrzał na nią z wyrazem zakłopotania na ściągniętej twarzy.

- Moja droga, wyglądasz na zmęczoną. Wszystko w porządku?

W tej chwili pragnęłaby oprzeć głowę na jego policzku i wybuchnąć płaczem, że wszystko idzie na opak. Ale uśmiechnęła się.

- Och, głupstwo, nie bądź niemądry, Ashleyu. Po prostu zbyt długo balowałam ostatniej nocy, to wszystko. Powinieneś mieć więcej zrozumienia dla kobiet, nie

wytykać im, że nie wyglądają najlepiej.

I donieść te uwagi o wyglądzie do Indii oraz jej podłych przyjaciół - dodała w duchu.

Ashley przyjął to wyjaśnienie nie stawiając dodatkowych pytań, a następnie zaczął się rozwodzić nad projektem Joe'go Colletona. Słuchała jak gdyby nie znała wszystkiego, aż do najmniejszego szczegółu, włącznie z ilością gwoździ potrzebnych do każdej budowli.

- Są to konstrukcje o wysokiej jakości - zachwycał się Ashley. - Przynajmniej tutaj człowiek niezbyt zamożny będzie traktowany na równi z bogaczem. Przyznam, że jest to coś, czego nie spodziewałem się ujrzeć w tych czasach rażącego oportunisty. Już zdało się, że stare dobre zasady na zawsze odeszły w zapomnienie. Czuję się zaszczycony, że mogę mieć swój udział w tym przedsięwzięciu. Zobaczysz, Scarlett, że Mr. Colleton poprosi mnie o dostawę drewna.

Szybko przywołała na twarz wyraz niebotycznego zdziwienia.

- Ashleyu, co ja słyszę!... To wspaniale.

W rzeczy samej, to wspaniale. Naprawdę była szczęśliwa, że ta intryga, którą uknuła, by pomóc Ashleyowi, przynosiła owoce. Lecz - pomyślała sobie później, gdy już odbyła rozmowę w cztery oczy z Colletonem - jej plan wcale nie po to był ułożony, by wpędzić Ashleya w nową manię. Otóż, jak się dowiedziała, Ashley zamierzał spędzać na placu budowy codziennie po parę godzin. Tymczasem, na miłość boską, cała ta sztuczka została obmyślana po to, by napęłnić mu kiesę, a nie jako coś w rodzaju nowego hobby. W każdym razie nie była w stanie wpłynąć na zmianę jego postanowienia.

Z wyjątkiem niedziel, gdy na budowie nie pracowano, cotygodniowe podróże za miasto stały się także dla niej obsesją. Już nie myślała o Ashleyu, widząc czyste, białe bale pod fundamenty i krokwie, potem patrząc, jak rosną ściany i podłogi. Przechadzała się wśród stosów materiałów budowlanych i hałd ziemi chłonąc wzrokiem ten widok: jakże łaknęła uczestniczyć w tym wszystkim, jakże lubiła przysłuchiwać się stukotowi młotów, oglądać wiórki wyskakujące spod hebli, obserwować jak z dnia na dzień prace posuwają się coraz bardziej naprzód. Jakże lubiła być zajęta.

Byleby do lata - powtarzała niczym litanie, upatrując w tych słowach program całego życia - byleby do lata, gdy Rett wróci. Wtedy powiem mu o wszystkim. Rett jest jedyną osobą, której mogę to powiedzieć, on jeden troszczy się o mnie. A wtedy przestanie mnie unieszczęśliwiać, nie będzie przyczyniał się do tego, że wśród ludzi

jestem niczym wygnaniec, niech no tylko się dowie, jak straszne jest to wszystko. Kiedy i jak zrobiłam fałszywy krok? Byłam przekonana, że jeśli tylko zbiorę dość pieniędzy, nic mi nie grozi. Teraz jestem bogata, a mimo to bardziej się niepokoję niż kiedykolwiek w całym moim życiu.

Lecz gdy nadeszło lato, ani Rett nie przybył, ani najmniejszym bodaj słówkiem nie dał znaku życia. Scarlett co rano wypadała ze sklepu i spieszyła do domu, by być tam, gdyby Rett przybył pociągiem w południe. Wieczorami zakładała suknię, w której było jej najbardziej do twarzy, zakładała też perły i tak ubrana zasiadała do kolacji licząc, że może Rett przybędzie jeśli nie pociągiem, to w inny sposób. Przed sobą miała długi stół błyszczący srebrami i ciężkim adamaszkowym obrusem, wykrochmalonym i lśniącym. Było to w owym czasie, kiedy zaczęła regularnie pić - by zakrzyczeć ciszę, tak nieznacznie dającą się we znaki, gdy czuwała nasłuchując, czy nie usłyszy odgłosów jego kroków.

Nic sobie nie myślała, kiedy pewnego dnia po południu wychyliła kieliszek sherry i gdy weszło jej to w zwyczaj - w końcu jeden czy dwa kieliszki sherry przystoją nawet damie. Ledwo też zdążyła zauważyć, gdy na miejscu sherry pojawiła się whisky... nie zwróciła także uwagi na ów dzień, gdy po raz pierwszy musiała wziąć drinka do pracy przy rachunkach, bowiem coraz bardziej czuła się przygnębiona postępującym upadkiem sklepu... podobnie jak nie wzbudził w niej niepokoju fakt, iż coraz częściej zostawiała jedzenie nietknięte, gdyż alkohol zupełnie zaspokajał głód... ani też gdy weszło jej w nawyk zaczynać dzień kieliszkiem koniaku, i to zaraz zaledwie zdążyła otworzyć oczy.

Ledwo zauważyła, jak lato przeszło w jesień.

* * *

Pansy przyniosła do sypialni tacę z popołudniową pocztą. Od niedawna Scarlett nabrała zwyczaju, żeby ucinąć sobie po obiedzie krótką drzemkę. W ten sposób miała czym zappełnić pustkę popołudnia, mogła odpocząć, krótki sen był ulgą, której noc jej odmawiała.

- Mam przynieść dzbanuszek kawy, albo coś innego do picia, Miss Scarlett?

- Nie. Idź już, Pansy.

Scarlett wzięła pierwszy ze stosu listów, rozcięła kopertę. Pochwyciła szybkie spojrzenie Pansy, spoglądającej na porozrzucane na podłodze ubranie. Czemuż ta dziewczucha wreszcie nie wyjdzie stąd?

List był od Zueli. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby wyjąć z koperty złożone kartki.

I tak wiedziała, co jest w środku: kolejne skargi na podłóż Elli, jak gdyby córki Zueli były chodzącymi świętościami. Poza tym - co najważniejsze - ciągle wzmianki o rosnących kosztach utrzymania i żalosne narzekania, jak trudno wyżyć z Tary i jaka to Scarlett bogata. Rzuciła list na podłogę. Nie, teraz nie jest w stanie tego przeczytać. Może jutro... O, Bogu dzięki, Pansy już wyszła.

Drinka. Prawie już ciemno, chyba nic złego w wypiciu kieliszeczka o zmroku?... Czytając pocztę będę powoli sączyć kieliszek koniaku... bardzo powoli.

Ukryta za pudłami na kapelusze butelka była już prawie pusta. Scarlett gniewnie sapnęła. Bierz lichy tę Pansy. Gdyby nie miała tyle zręczności w palcach układając mi włosy, już dawno bym ją stąd wykurzyła, choćby jutro. No bo kto opróżnił butelkę? Chyba że Pansy! Albo któraś z dziewczuch. Przecież nie ja, bo ja tyle nie piję. Zaledwie kilka dni temu ukryłam tam tę butelkę. Trudno, nieważne. Wezmę te listy do jadalni. Kto by się przejmował, czy służba zwraca uwagę na poziom koniaku w karafce? To mój dom, moja karafka, mój koniak. Wolność Tomku w swoim domku. Gdzież to ten szlafrok? A, tutaj. Czemu guziki są takie twarde? Wieczność minie, zanim zdążę się zapiąć.

* * *

Usiadła przy stole. Rozłożyła pocztę i zaczęła czytać.

Zawiadomienie, że nowo przybyły dentysta właśnie otworzył praktykę. Uff! Bóg zapłać, jeszcze mam dobre zęby. Drugie, tym razem od mleczarza. Zapowiedź premiery w operze... Scarlett coraz bardziej zirytowana przedzierała się przez stos kopert. Co to, nie ma prawdziwej poczty? Jej dłoń zatrzymała się na kopercie z dziwnego papieru w kolorze łupiny cebuli, zaadresowanej nierównym, pokrętnym pismem, jakby pająkowatym. Ciotka Eulalia. Jednym haustem wychyliła resztki koniaku i rozdarła kopertę. Zawsze były jej wstrętne te utrzymane w kaznodziejskim tonie, jakże zasadnicze posłania od siostry zmarłej matki. Ale ciotka Eulalia mieszkała w Charlestonie. Może wspomniała coś na temat Retta, którego matka była jej najbliższą przyjaciółką.

Szybko przebiegła wzrokiem zapisane stronice, usiłując wyłowić właściwe słowa. Ciotka Eulalia zawsze pisała po obu stronach cienkiego papieru, często „krzyżując” litery, pisząc na jednej stronie, zniecka przenosiła słowo do prawego rogu i w poprzedniej linii. Wszystko po to, by rzec jak najwięcej na malusieńkim skrawku.

Nietypowo ciepła jesień... co roku mówiła to samo... ciotka Paulina ma kłopoty z kolanem... jak daleko sięgała pamięć Scarlett, zawsze miała kłopoty z kolanem... wizyta

u siostry Marii Józefiny... Scarlett skrzywiła się. Nie mogła myśleć o swej siostrzyczce Karinie posługując się jej imieniem zakonnym, choć już od ośmiu lat przebywała w klasztorze w Charlestonie... sprzedaż cegiełek na fundusz budowy katedry nie przyniosła oczekiwanych wpływów, ponieważ datki nie wpływały, czy zatem Scarlett nie zechciałaby... wielkie kule ognia przed oczami! Dobrze sobie: nie dość, że dbała, by ciotka miała dach nad głową, teraz miała się jeszcze martwić o dach nad katedrą? Marszcząc brwi przekreśliła kartkę na drugą stronę.

Z płątaniny zachodzących na siebie liter wyłowila imię Retta.

„Serce żywiej bije z radości, gdy widzi się umiłowaną przyjaciółkę Eleonorę Butler, po tylu troskach zawijającą do przystani szczęścia. Rett jest bezgranicznie oddany swej matce, a jego poświęcenie tak jest ogromne, że nawet w oczach tych, którzy boleli nad nim w dniach jego młodości, gdy nie raz jeden zbłądził na manowce, blakną winy jego lat młodzieńczych. Nie pojmuję, a i ciotka Paulina też nie może tego zrozumieć, dlaczego tak się upierasz przy swych dziwactwach i ciągle trudnisz się handlem, skoro nie musisz w żaden sposób zajmować się sklepem. Wielekroć wyrażałam już ubolewanie w związku z tą sprawą, lecz nigdy nie zważałaś na me wymówki i przedstawienia w tej materii, uparcie obstając przy zatrudnieniu niestosownym dla kobiety Twego stanu, w związku z czym kilka lat temu poniechałam dalszych wymówek. Jednakowoż teraz, kiedy zatrudnienie owo odciąga Cię od należnego żonie miejsca u boku męża Twego, czuję się w obowiązku przypomnieć Ci, moje dziecko, o tej drażliwej sprawie”.

Scarlett cisnęła list na stół. Aha, taką to historyjkę wydumał Rett, by usprawiedliwić jej nieobecność! Nie mogła przenieść się do Charlestonu, bo była przywiązana do sklepu! Cóż za nikczemny kłamca! Błagała go, żeby wziął ją z sobą, gdy opuszczał Atlantę. Jak śmie rozpuszczać podobne oszczerstwa! Wiedziała już, co powie, gdy pan Rett Butler łaskawie pokaże się w domu.

Odmierzając duże kroki podeszła do kredensu i napełniła kieliszek koniakiem. Kilka kropel upadło na nieskazitelnie błyszczący blat. Zebrała je przetarłszy rękawem. Ta nędzna kreatura pewnie zechce wszystkiemu zaprzeczyć. A wtedy rzuci mu w twarz list ciotki Eulalii. Ciekawe, czy zechce jej wmówić, że najlepsza przyjaciółka jego matki to oszustka.

Nagle fala gniewu ustąpiła, zrobiło się jej zimno. Wiedziała, co jej odpowie: „Cóż, moja droga, wolałabyś, żebym powiedział prawdę? Że opuściłem cię, ponieważ życie z tobą było nie do zniesienia?”.

Co za wstyd. Wszystko inne by zniosła, tylko nie to. Już nawet to samotne wyczekiwanie w domu na jego powrót nie było tak straszne. Ręka niejako automatycznie uniosła kieliszek do jej warg. Pociągnęła głęboki łyk.

Źrenica zarejestrowała jakiś ruch, którego odbicie wiernie przekazywało lustro nad kredensem. Scarlett powoli opuściła rękę, postawiła kieliszek. Spojrzała we własne oczy - źrenice, przerażone tym, co dostrzegły, rozszerzyły się w strachu. Tak naprawdę to nie widziała siebie już od miesiący i teraz nie mogła uwierzyć, że ta blada, wychudzona kobieta o zapadniętych oczach miała cokolwiek wspólnego z nią, Scarlett Butler. Straszne, włosy wyglądały tak, jakby od tygodni nie myła głowy.

Co się z nią działo?

Dłoń automatycznie sięgnęła po karafkę - oto i odpowiedź. Uniosła rękę - drżała.

- Dobry Boże - szepnęła pobladłymi wargami. Oparła się o krawędź kredensu, spojrzała na swe odbicie.

- Idiotka! - wyrwało się jej zza zaciśniętych zębów. Zamknęła oczy. Spod powiek powoli płynęły łzy, pociekły po policzkach, zaraz jednak obtarła je kciukiem.

Jeszcze nigdy w życiu nie miała takiej ochoty na drinka. Język chciwie ślizgał się po suchych wargach. Prawa ręka poruszała się zupełnie niezależnie od woli Scarlett, palce zacisnęły się na szyjce rżniętej w kryształ karafki. Spojrzała na swą rękę, jakby nie należała do niej, spojrzała na cudownie ciężką kryształową karafkę, w której złociła się obietnica ucieczki. Powoli, obserwując w lustrze swe ruchy, podniosła karafkę i zabrała ją jak mogła najdalej od przeraźliwego odbicia.

Później wzięła długi, głęboki oddech, a potem zamachnęła się, wkładając w to wszystkie siły, całą energię, którą mogła w sobie skrzesić. Uderzywszy w zimną i gładką powierzchnię zwierciadła karafka wystrzeliła tysiącem kawałków, błękitnych i czerwonych, fioletowych w świetle zachodzącego słońca. Przez ułamek sekundy Scarlett widziała, jak jej twarz pęka, widziała, jak jej usta wykrzywiają się w uśmiechu triumfu. A wtedy srebrzysta tafla pokryła się siecią drobniutkich żyłek, po czym drobne okruchy posypały się na kredens. Zdało się, że u wierzchołka lustrzana tafla wystąpiła z ram - ogromny fragment zwierciadła zwałił się z hukiem równym wystrzałowi armatniemu najpierw na lśniącą politurę kredensu, potem na podłogę, dodając do góry szkła nowe kawałki.

Scarlett śmiała się i płakała, wykrzywiała do samej siebie patrząc, jak niszczeje jej zwierciadlany obraz.

- Tchórz! Tchórz! Tchórz!

Nie czuła, że drobne ułamki szkła unoszące się w powietrzu osiadają jej na ramionach, na szyi i na twarzy, kłując niczym cieniutkie szpileczki. Czuła za to na języku coś słonego. Dotknęła do policzka - coś wilgotnego. Zaskoczona spostrzegła, że palce ma zbroczone krwią.

Spojrzała tam, gdzie jeszcze przed chwilą widniało jej odbicie, ale już go nie było. Znikło. Roześmiała się chrapliwym śmiechem. I bardzo dobrze, że go tam nie ma.

Służba, słysząc hałas, stłoczyła się przy drzwiach - stali tak jedno przy drugim, lecz spoglądając bojaźliwie na ogarniętą śmiechem Scarlett bali się wejść do jadalni. Wtem, zupełnie zniecka, obróciła się ku nim, a wówczas z ust Pansy na widok zbroczonej krwią twarzy wyrwał się cichy okrzyk trwogi.

- Precz mi z oczu - powiedziała Scarlett nadzwyczaj spokojnie. - Nic mi nie jest. Precz. Chcę zostać sama.

Odeszli bez słowa.

Była sama - zupełnie niezależnie od tego, czy takie było jej życzenie, czy nie i nieważne, ile koniaku wypila. Rett nie wrócił, ten gmach już nie był dla niego domem. Wiedziała o tym od dawna, lecz nie miała odwagi, by spojrzeć prawdzie w oczy. Była tchórzem, była idiotką. Nic dziwnego, że nie poznała tej kobiety w lustrze. Ta tchórzliwa idiotka nie była Scarlett O'Hara. Bowiem Scarlett O'Hara - ta, którą tak zwali nie topiłaby swego smutku w morzu koniaku. Scarlett O'Hara nie kryła się z niczym i nie żywiła fałszywych nadziei. Scarlett O'Hara była zdolna stawić czoło najgorszemu. I nie wahała się przejść przez największe niebezpieczeństwa, zdobywając to, czego pragnęła.

Wzdrygnęła się. I pomyśleć, że była o krok od porażki, którą sama sobie zgotowała.

Nigdy więcej. Czas już najwyższy - nie od dzisiaj zresztą - ująć życie we własne ręce. Nigdy więcej koniaku. Odrzuciła tę protezę.

Jej całe ciało krzykiem głośnym domagało się drinka, lecz nie zamierzała tego słuchać. Przeszła już ciężkie cierpienia w swoim życiu, przejdzie i to. Musiała.

Potrząsnęła pięścią na zbite lustro.

- Tylko mi przynieś siedem lat nieszczęścia, ty...

Jej wyzywającym śmiechem miotały furie.

Na chwilę oparła się o stół. Trzeba było zebrać siły. Tyle ma do roboty.

Po czym ruszyła po zwałach pobitego szkła, rozgniatając je obcasami na jeszcze mniejsze kawałeczki.

- Pansy! - krzyknęła od progu. - Umyj mi głowę!

Drżała na całym ciele, zmusiła jednak odporne nogi, by zaniósły ją do podnóża schodów, a potem pokonały długą i stromą estakadę.

- Pewnie wyglądam jakbym szorowała się pilnikiem po twarzy - mruknęła półgłosem, cały wysiłek skupiając na niesłuchaniu krzyków swego ciała. - Trzeba będzie wylać na siebie całe kwarty wody różanej i gliceryny. Muszę zamówić nowe suknie. Mrs. Marie będzie musiała nająć jakąś szwaczkę do pomocy.

Nie minie parę tygodni, a przezwycięży swą słabość i wróci do kwitnącego wyglądu. Niczego nie zaniedba.

Musi być silna i piękna, nie ma nadmiaru czasu do stracenia. I tak za dużo już straciła.

Skoro Rett do niej nie wrócił, ona wróci do niego.

Do Charlestonu.

KSIĘGA DRUGA
WYSOKA STAWKA

10.

Kiedy już podjęła decyzję, jej życie uległo radykalnej zmianie. Miała przed sobą jakiś cel, dlatego całą swą energię skoncentrowała na jednym: jak go osiągnąć. Później dokładnie sobie obmyśli, co robić, aby odzyskać Retta - później, kiedy przybędzie do Charlestonu. Na razie musiała przygotować się do wyjazdu.

Mrs. Marie załamała ręce i oświadczyła, że niemożliwą jest rzeczą uszyć komplet nowej garderoby w ciągu zaledwie kilku tygodni. Wuj Henryk Hamilton złożył ręce i wyraził swą dezaprobatę w tym, co się tyczy ostatnich zamiarów Scarlett - poinformowała go o swych planach i powiedziała, czego od niego oczekuje. Sprzeciw tych dwojga tylko rozplomienił w oczach Scarlett ogniki radosnego podniecenia walką i ostatecznie to ona wygrała. Z początkiem listopada wuj Henryk przejął zarząd finansów sklepu i baru gwarantując, że pieniądze będą spływać bezpośrednio do Joe'go Colletona. A sypialnia Scarlett tonęła w chaosie barw i koronek - rozłożono jej nową garderobę, którą trzeba było spakować na podróż.

Nadal była szczupłą, a pod oczami miała podobne ceniom delikatne sińce, bowiem noce ciągle dręczyły ją bezsennością, ciągle musiała dokonywać najwyższych wysiłków woli, by oprzeć się kuszącej obietnicy ukojenia za sprawą kieliszka koniaku. Wygrała jednak także i tę bitwę, wrócił jej apetyt. Twarz jej nabrała krągłości, tak że kiedy się uśmiechała, w kącikach ust drgały urocze dołeczki, pierś falowała jej powabnie. Umiejętnie rozprowadzając cieniutką warstewkę różu na wargach i policzkach sprawiała wrażenie podlotka prawie - tego była pewna.

Jak również tego, że przyszła pora wyjazdu.

* * *

Żegnaj, Atlanto - westchnęła Scarlett, gdy pociąg wytoczył się ze stacji. Usiłowałaś powalić mnie na kolana, ale nie pozwoliłam ci na to. Nie dbam, czy mnie potępiasz, czy chwalisz.

Usiłowała przekonać samą siebie, że fala chłodu, która ją opadła, pochodzi od pędu pociągu. Nie bała się, ani trochę. W Charlestonie spędzi czarujące chwile. Czyż ludzie zawsze nie twierdzili, że nigdzie na całym Południu nie wydaje się tyle przyjąć co tam? Z uzyskaniem zaproszeń nie będzie mieć żadnych problemów - ostatecznie ciotka Paulina i ciotka Eulalia znały tam każdego. Jak również wiedziały wszystko na temat Retta - gdzie mieszkał, czym się zajmował - wszystko, co musiały...

Nie, lepiej o tym teraz nie myśleć. Decyzję podejmie jak już będzie na miejscu. Jeśli

teraz zacznijmy deliberować na ten temat, sam pomysł z wyjazdem może przyprawić ją o zdenerwowanie, a przecież nastawiła się na to, poczyniła odpowiednie przygotowania.

Nieźle sobie! Co za bzdura dopuszczać do siebie choćby myśl o zdenerwowaniu. Ostatecznie Charleston nie leżał na końcu świata. I pomyśleć, że Tonio Fontaine wyprawiał się do Teksasu - miliony mil drogi stąd - tak po prostu, jakby to było nie dalej niż przejażdżka do Decatur. Poza tym, była już przecież kiedyś w Charlestonie. Wiedziała, dokąd się wybiera...

Co wcale nie znaczyło, że ma na myśli ów straszliwy epizod, jakże znienawidzony. Ostatecznie była wtedy zupełną gęsią, lat siedemnaście, w dodatku wdową, na dobitkę z dzieckiem. Wade'owi Hamptonowi jeszcze nie wyrznęły się pierwsze ząbki. Tak, to już prawie dwanaście lat temu... Ale teraz wszystko będzie zupełnie inaczej. Wszystko wypadnie wyśmienicie, dokładnie tak, jak tego chciała.

- Pansy, powiedz konduktorowi, niech przeniesie nasze rzeczy. Chcę siedzieć bliżej piecyka. Ciągnie od okna.

* * *

Ze stacji w Augustie, gdzie musiała się przesiąść na linie południowoamerykańskie, Scarlett wysłała telegram do ciotek w Charlestonie:

PRZYJEŹDŹAM POCIĄGIEM PO POŁUDNIU STOP W ODWIEDZINY STOP TYLKO JEDNA POKOJÓWKA STOP KOCHAJĄCA SCARLETT

Wszystko dokładnie obmyśliła. Dokładnie dziesięć słów, depesza wysłana już w drodze - w ten sposób nie wystawiała się na ryzyko, że ciotki odtelegrafują podając jakąś wymówkę, żeby powstrzymać ją od przyjazdu. No nie, aż takie to one znowu nie były. Eulalia zawsze wzdychała, że chciałaby ją zobaczyć, a gościnność ciągle jeszcze obowiązywała na Południu jako niepisane prawo. Zresztą, co za sens zawracać sobie głowę łamigłówkami, skoro może być pewna, że ją przyjmą, i że znajdzie w domu ciotek gościnę i pomoc, tak aby miała od czego startować. Charleston to twardy orzech do zgryzienia, dumne miasto, a Rett, rzecz jasna, będzie usiłował obrócić ludzi przeciwko niej.

Nie, nie będzie o tym myśleć. Tym razem pragnęła kochać Charleston. Tak postanowiła i zamierzała dotrzymać danego słowa. Wszystko będzie inaczej. Całe życie ulegnie zmianie. Byleby nie spoglądać wstecz - powtarzała sobie co chwila. Zawsze to mówiła, lecz teraz myślała tak zupełnie serio. Zostawiła za sobą całe dotychczasowe życie - nowe zbliżało się do niej, z każdym obrotem kół było coraz bliżej. Wszystkie interesy zostawiła w rękach wuja Henryka, z powinności wobec Melanii także się

wywiązała, dzieci urządziła w Tarze. Po raz pierwszy w dorosłym życiu miała wolne ręce, mogła sobie pozwolić na wszystko, czego pragnęła, w dodatku wiedziała, czego chciała. Dowiedzie Rettowi, że mylił się, odrzucając od siebie myśl, iż ciągle go kocha. Pokażę mu, że jednak tak jest. Już ona go przekona. A wtedy będzie mu przykro, że ją porzucił. I wówczas weźmie ją w ramiona i pocałuje, i będą już zawsze szczęśliwi, gdy tylko.... Dobrze, szczęście mogą znaleźć nawet w Charlestonie, skoro tak mu zależało, aby tam mieszkać.

Pogrążona w snach na jawie Scarlett nie zauważyła mężczyzny, który wsiadł do przedziału w Ridgeville i nie uświadamiała sobie jego obecności aż do momentu, gdy wsparł się ramieniem o jej siedzenie. A wtedy podskoczyła jakby ktoś wymierzył jej policzek. Mężczyzna miał na sobie błękitny mundur Unii.

Jankes! Co on tu robi? Te dni już minęły, chciała na zawsze wymazać je ze swej pamięci, lecz widok błękitnego munduru przywołał obrazy przeszłości. Ten strach, gdy Atlanta była obleżona, ta brutalność żołnierzy, którzy ogołocili Tarę z żalonych resztek żywności, jakie jeszcze dało się znaleźć, po czym podłożyli ogień, ta fontanna krwi, która polała się z ciała marudera, powalonego kulą zanim zdołał dobrać się do niej... Scarlett czuła, jak serce wali jej z przerażenia, obezwładnione grozą tego wszystkiego, co kiedyś się stało... jej usta omal nie otworzyły się do krzyku. Przekleństwo na ich głowy, niech będą przeklęci za to, że pogrążyli w gruzach całe Południe. A zwłaszcza za to, że nauczyli ją co to bezradność i strach. Nienawidziła tego uczucia, nienawidziła go całym sercem - i ich także nienawidziła.

Nie, nie dam się ponieść nerwom, co to, to nie. Nie dopuszczę, by byle bzdura przyprawiała mnie o udrękę, zwłaszcza teraz, gdy muszę przygotować się na spotkanie z Charlestonem - i z Rettem. Nie będę patrzeć na tego Jankesa i nie poświęcę ani jednej myśli okrutnej przeszłości. Teraz liczy się tylko przyszłość.

Scarlett z całą stanowczością, na jaką było ją stać, wbiła wzrok w przesuwane się za oknem pagórkowate krajobrazy, jakże podobne okolicom Atlanty. Czerwone gliniaste drogi wiodące między grupami ciemnych sosen, pola, przyczernione pierwszymi przymrozkami ścierniska. I pomyśleć, była już w podróży ponad dzień, a widoki za oknem zdały się przekonywać, że wcale nie opuściła stron rodzinnych. Szybciej - popędzała parowóz - szybciej.

- Jak wygląda Charleston, Miss Scarlett? - spytała Pansy chyba już po raz setny właśnie w chwili, gdy za oknem zaczął zapadać zmierzch.

- Bardzo ładnie, na pewno ci się spodoba - odpowiedziała Scarlett chyba już po raz

setny. - Spójrz! - wskazała na jakiś punkcik za oknem. - Widzisz to drzewo z owocami kołyszającymi się na gałęziach? To hiszpański kasztan, o którym tyle ci mówiłam.

Pansy przytknęła nosek do okopconej szyby.

- Och - zawołała płaczliwie. - Wygląda niczym duch... jakby duch się poruszył. Strasznie boję się duchów, psze pani.

- Nie bądź głuptasem! - Scarlett sama aż drgnęła. Długie, drżące na wietrze, szare gałęzie istotnie sprawiały niesamowite wrażenie w wieczornej szarówce - nie lubiła podobnych obrazów. Ale ten widok wyraźnie wskazywał na to, że przemierzali teraz niziny, że byli blisko morza i niedaleko od Charlestonu, Scarlett zerknęła na zegarek: wpół do szóstej. Pociąg miał dwie godziny spóźnienia. Ciotki powinny czekać na peronie, tego była pewna. Lecz nawet mimo tej pewności, że ktoś na nią czeka, nie chciała przybyć o zmroku. Ciemność bowiem miała coś nieprzyjaznego w sobie.

* * *

Przepastnie wielka poczekalnia charlestońskiego dworca oświetlona była nader skąpo. Scarlett wyciągała szyję wyglądając ciotek lub woźnicy, którego posłały z powozem, tymczasem zamiast znajomych twarzy widziała tylko paru żołnierzy w błękitnych mundurach z karabinami przerzuconymi przez plecy.

- Miss Scarlett - Pansy pociągnęła ją za rękaw. - Pełno tu żołnierzy.

Głos dziewczyny wyraźnie drżał.

Przerażenie pokojówki zmusiło panią do popisu dzielności.

- Zachowuj się tak, jakby ich tu zupełnie nie było. Nic ci nie zrobią. Wojna skończyła się dziesięć lat temu. Idziemy.

Kiwnęła na bagażowego, który ciągnął na wózku jej walizy. - Gdzie może stać powóz, który na mnie czeka? - spytała wyniośle.

Wyprowadził je na zewnątrz, lecz jedynym pojazdem oczekującym przed stacją była rozklekotana bryczka z zaprzężonym do niej koniem o siodłowato wygiętym grzbiecie i czarnym woźnicą w lachmanach. Serce Scarlett zamarło. A jeśli ciotki gdzieś wyjechały? Wiedziała, że miały zwyczaj wypuszczać się do Savannah w odwiedziny do ojca. Jeśli telegram, który wysłała, tkwił ciśnięty gdzieś na ganku przed pustym, ciemnym domem?

Wzięła głęboki oddech. Mniejsza o przyczyny, przecież musiała czym prędzej stąd odjechać, byle dalej od tego dworca pełnego Jankesów. Jeśli będzie trzeba, wybije okno, ale do domu muszę się dostać. Cóż innego mi pozostało? Zapłacę za to w ten sam sposób, jak spłaciłam położenie nowego dachu i wszystko inne. Od czasu, gdy ciotki

straciły na wojnie wszystkie majątności i mają trudności, utrzymywała je przy życiu wysyłając pieniądze.

- Załaduj rzeczy na wóz - poleciała bagażowemu. - Powiedz woźnicy, żeby zszedł z kozła i pomógł ci przy walizach. Jedziemy do posiadłości Smithów na Battery.

Magiczne słowo „Battery” wywołało dokładnie ten efekt, którego oczekiwała. I woźnica, i bagażowy nabrali nagle respektu: zaczęli się krzątać przy załadunku z najwyższą skwapliwością. Ach - westchnęła w duchu Scarlett, czując niejaką ulgę - dzięki Bogu. Zatem Battery to ciągle najlepszy adres w Charlestonie. Jeszcze tego brakowało, by Rett usłyszał, że mieszkam gdzieś w ciemnym zaułku, w najostatniejszej ruderze.

* * *

Dokładnie w chwili, gdy bryczka zatrzymała się przed domem, Paulina i Eulalia otworzyły drzwi. Żółty strumień światła wyciął ścieżkę w ciemnościach skrywających chodnik i Scarlett rzuciła się biegiem ku azyłowi, który obiecywała jasność.

Jak się postarzały! - pomyślała, kiedy była już na tyle blisko, że mogła dostrzec twarze. Nie przypominam sobie, by ciotka Paulina była kiedyś chuda jak szczapa i pomarszczona jak teraz. A kiedy Eulalia zdążyła tak przytyć? Wygląda niczym balon z wianuszkami siwych włosów u szczytu.

- Spójrz tylko na nią! - wyraźnie skandowała słowo po słowie Eulalia. - Scarlett, zmieniłaś się nie do poznania!

Scarlett aż się złękła: nie, doprawdy, nie postarzała się, a może?... Odwzajemniła objęcia i zmusiła się do uśmiechu.

- Spójrz na Scarlett, siostrzyczko - wymamrotała Eulalia. - Żywa Ellen... ale, że też tak urosła!

Paulina płaczliwie pociągnęła nosem.

- Siostrzyczko, wiesz przecież, że Ellen nigdy nie była taka chuda.

Chwyciła ją za rękę i odciągnęła od Eulalii.

- Rzekłabym jednak, że jest podobna: żywa Ellen.

Scarlett uśmiechnęła się, tym razem z przyływu szczęścia, nie znała bowiem większego komplementu, jakim mogła być zaszczycona.

Ciotki odbyły krótką sprzeczkę co do sposobu zakwaterowania Pansy w służbówce oraz tego, w jaki sposób wnieść po schodach walizy Scarlett i umieścić je w sypialni, jak też jakimi podjąć ją napojami.

- Nie damy ci choćby kiwnąć palcem, skarbenku - oświadczyła Eulalia. - Po

całodziennej jeździe jesteś na pewno zdrożona.

Scarlett z wdzięcznością zajęła miejsce na sofie w salonie, z dala od krzątającej. Teraz, gdy już wreszcie tu była, zdało się jej, że cały zasób energii skumulowanej podczas gorączkowych przygotowań do jazdy nagle wyparował. Uświadomiła sobie, iż ciotka ma rację. Tak, była zupełnie wyczerpana.

O mało nie zasnęła w trakcie wieczery. Obie ciotki miały szemrzące głosy, obie mówiły z charakterystycznym akcentem mieszkańców Niziny, przeciągając samogłoski i niewyraźnie wypowiadając spółgłoski. Nawet podczas rozmowy przy stole, polegającej głównie na uprzejmym wyrażaniu różnic w poglądach na wszystko, nawet wówczas szmer głosów starych kobiet usypiał. Zresztą, co nie bez znaczenia, nie powiedziały niczego, co mogłoby ją zainteresować. Wszystkiego, czego chciała się dowiedzieć, dowiedziała się natychmiast ledwo przestąpiła próg domostwa. Rett mieszkał u matki, lecz w tej chwili nie było go w mieście.

- Pojechał na północ - cierpko zauważyła Paulina.

- Ale bo też miał powody, siostrzyczko - napomniała ją Eulalia. - Rett bawi w Filadelfii i usiłuje wykupić srebra rodzinne zrabowane przez Jankeśów.

Paulina zmięknęła.

- O, tak. Cóż za radosny to widok, gdy z takim oddaniem zabiega wokół szczęścia matki i usiłuje odzyskać wszystko, co nieszczęśliwym zrzędzeniem losu przyszło jej stracić.

Tym razem Eulalia uderzyła w krytyczne tony.

- Gdyby mnie się kto pytał, rzekłabym, że mógłby przypomnieć sobie o synowskich obowiązkach względem matki znacznie wcześniej.

Scarlett o nic nie pytała. Zajęta była własnymi myślami krążącymi wokół pytania, kiedyż wreszcie będzie mogła pójść spać. Dzisiejszej nocy bezsenność jej nie grozi - tego była pewna.

I miała rację. Teraz, gdy ujęła ster życia we własne ręce i weszła już na drogę, która prowadziła ku upragnionemu celowi, teraz mogła spać jak niemowlę. Obudziła się rano z poczuciem błogości, którego nie doznawała już od lat. Ciotki przyjęły ją serdecznie, nie musiała bać się izolacji i samotności, jakże dotkliwie dających się we znaki w Atlancie, nie musiała nawet gorączkowo obmyślać tego, co powie Rettowi, gdy go ujrzy. Mogła zażywać wytchnienia, a zanim Rett wróci z Filadelfii, miała nadzieję stworzyć pierwsze zręby własnego stronnictwa.

Lecz ciotka Eulalia rozwiała jej złudzenia jeszcze zanim zdążyła wypić pierwszą

filiżankę porannej kawy.

- Wiem, kochanie, jak bardzo pragniesz widzieć się z Kariną, lecz biedactwo może przyjmować gości jedynie we wtorki i w soboty. Toteż na dzisiaj zaplanowaliśmy coś innego.

Karina! Scarlett ściągnęła wargi. Wcale nie chciała widzieć się z nią, z tą zdrączynią. Cóż za pomysł... oddać część Tary ot tak sobie, jakby to było zupełnie bez znaczenia... Co jednak ma powiedzieć ciotkom? Te dwie kobiety za nic w świecie nie będą w stanie zrozumieć, że nie umiera z tęsknoty za widokiem siostry. Cóż, przecież od zawsze mieszkają razem, cóż, przecież są tak bliskie sobie. Wiem. Będę się dopominała o te odwiedziny u Kariny jakby na niczym innym mi nie zależało, tylko na tym, a kiedy przyjdzie dzień wizyty, położę się do łóżka z migreną.

Nagle dotarło do niej to, co mówiła Paulina i wtedy poczuła, jak gwałtownie pulsują jej skronie.

- ... tak więc wysłaliśmy Zuzię z listem do Eleonory Butler. Właśnie wybieramy się do niej z wizytą dziś rano.

Sięgnęła po maselnickę.

- Bądź tak uprzejma, Scarlett, i podaj mi syrop.

Scarlett automatycznie wyciągnęła rękę, lecz potrąciła dzbanek i syrop się rozlał. Matka Retta. Nie, jeszcze nie była gotowa na to spotkanie. Eleonorę Butler widziała tylko raz jeden w życiu, na pogrzebie Bonnie i prawie już jej nie pamiętała z wyjątkiem tego, że Mrs. Butler była damą, wysoką, godną i zachowującą wyniosłe milczenie. Wiem, wiem, kiedyś w końcu będę musiała spotkać się z nią, ale jeszcze nie teraz - przemknęło jej przez myśl. Jeszcze nie jestem gotowa. Serce biło jej jak młotem, gdy niezdarnie usiłowała zebrać z obrusa kałużę lepkiej cieczy, posługując się w tym celu serwetką:

- Scarlett, dziecko drogie, nie wcieraj syropu w obrus tak, jak właśnie robisz - Paulina chwyciła ją za nadgarstek. Szarpnęła się. Czy w ogóle warto było przejmować się tym starym, sfatygowanym obrusem?

- Bardzo przepraszam, ciociu - udało się jej powiedzieć.

- Już dobrze, dziecino. Wybacz, że tak cię strofuję, ale byłaś na najlepszej drodze, by wytrzeć dziurę w obrusie, a tak niewiele ładnych rzeczy nam zostało - głos Eulalii ucichł żałośnie.

Scarlett zacisnęła zęby. Chciało się jej wyć. Co tam obrus, skoro musiała stanąć twarzą w twarz z matką Retta - kobietą, którą tak czcił. A jeśli powiedział jej, jakie były

prawdziwe powody jego wyjazdu z Atlanty, jeśli powiedział jej, że żyli w separacji?

- Chyba muszę zobaczyć, co z garderobą - rzekła czując, że ma ściśnięte gardło. - Pansy będzie musiała wyprasować rzeczy, które mam zamiar dzisiaj założyć.

Musiała jak najszybciej opuścić towarzystwo ciotek - potrzebowała samotności, by wziąć się w garść.

- Powiem Zuzi, żeby rozgrzała żelazka - zaproponowała Eulalia. Sięgnęła po srebrny dzwonek przy talerzu.

- Lepiej niech wypierze ten obrus, zanim zacznie cokolwiek innego - wtrąciła się Paulina. - Raz poplamione rzeczy...

- Zechciej zauważyć siostrzyczko, że nie odeszłam jeszcze od śniadania. Z pewnością nie spodziewasz się po mnie, że czekając aż ta dziewczyna zrobi porządek na stole, dam wystygnać śniadaniu.

Scarlett wymknęła się do swego pokoju.

* * *

- Ta futrzana rotunda nie będzie ci potrzebna, kochanie - powiedziała Paulina.

- W rzeczy samej - dodała Eulalia. - Mamy dzisiaj typową pogodę, jak to w Charlestonie na zimę. Gdyby nie to, że jestem przeziębiona, nie wzięłabym nawet szala.

Scarlett zrezygnowała z rotundy i podała ją Pansy. Skoro Eulalia oczekiwała, że wszyscy powinni się koniecznie przeziębnić, chętnie wyświadczy jej tę uprzejmość. Swoją drogą, ciotki miały ją chyba za idiotkę. Dobrze przecież wiedziały, dlaczego tak nastawały, by nie założyła rotundy. W Charlestonie pełniły tę samą rolę, co Stara Gwardia w Atlancie. Jeśli kto chciał znaleźć w ich oczach uznanie, musi być równie obdarty jak one. Zauważyła, że Eulalia zazdrosnym okiem spojrzała na jej zgrabny, ozdobny w pióra kapelusz. Wojowniczo zacisnęła zęby. Jeśli już miała zmierzyć się z matką Retta, niechże to będzie chociaż w jakimś stylu.

- No dobrze - westchnęła Eulalia kapitulującym tonem. Można otwierać.

Zuzia pchnęła skrzydło wielkich drzwi frontowych i Scarlett wyszła za ciotkami w jasność pogodnego poranka. Zanim zeszła po schodach na ulicę, dostała zadyszki. To przecież maj, gdzie tam listopad. Ciepło słoneczne odbijało się od wysypanej białym grysem ścieżki, osiadało na jej ramionach nieważką peleryną. Uniosła twarz i zamknęła oczy, by tym pełniej rozkoszować się tą zmysłową przyjemnością.

- Och, ciociu Eulalio, ciociu Paulino, to wspaniałe - zawołała. - Mam nadzieję, że w waszym powozie można opuszczać dach.

Siostry wybuchły zgodnym śmiechem.

- Ależ drogie dziecko - powiedziała Eulalia. - Nie masz dziś w Charlestonie żywej duszy, nikogo, kto jeszcze jeździłby powozem. No, może z wyjątkiem Salomei Brewton. Chodzimy na piechotę. Wszyscy.

- Mylisz się, siostrzyczko - sprostowała Paulina - Carpetbaggerzy mają powozy... i jeżdżą powozami. - Wszakże zgodzisz się, moja droga, że ludzie ci z trudem zasługują na miano „żywych dusz”. Bezduszne są to manekiny, inaczej nie byłoby tym, czym są.

- Szakale - ponuro westchnęła Paulina.

- Myszołowy - dodała Eulalia. Znowu się roześmiały, a Scarlett z nimi. Upojny dzień omal nie przyprawiał jej o zawroty głowy z rozkoszy. W dzień taki, jak ten, chyba nic nie może się nie udać. Nagle opadło ją uczucie szczególnej sympatii dla obu ciotek, nawet ich słabe sprzeczki pełne były uroku. Szła za nimi szeroką pustą ulicą wzdłuż domu, potem po paru schodkach w górę, na drugą stronę. Gdy stanęła na szczycie, podmuch wiatru rozwał pióra na kapeluszu, a na wargach poczuła smak soli.?

- O, Boże - westchnęła. Na odległym krańcu wysokiej promenady rozciągały się aż po horyzont szaro - brązowe wody charlestońskiego portu. Po lewej stronie na wysokich masztach łopotały bandery statków zacumowanych przy nabrzeżu. Po prawej skąpane w słonecznej jasności zieleniły się drzewa porastające długą wysepkę o niskich brzegach. Blask słońca odbijał się na grzbietach niskich fal niczym diamenty rzucone w wodę. Trzy lśniące białe ptaki wznosiły się ku bezchmurnemu niebu, po czym zanurkowały, musnąwszy czubki fal. Sprawiały wrażenie, jakby wszczęły jakąś grę, nieważkie, beztroskie. Lekki, słodko - słony podmuch wiatru muskał i pieścił jej szyję.

Dobrze zrobiła jadąc tutaj, teraz wiedziała to na pewno. Zwróciła się do ciotek.

- Wspaniały dzień.

Promenada była tak szeroka, że mogły iść trzy obok siebie. Dwakroć spotkały innych spacerowiczów: najpierw podstarzałego dżentelmena w staromodnym surducie i meloniku, potem kobietę, której towarzyszył szczupły młodzieniec, rumieniący się za każdym razem, kiedy się do niej zwracał. Za każdym razem przystawały, a wtedy ciotki dokonywały prezentacji Scarlett.

- ... nasza siostrzenica z Atlanty, córka siostry naszej Ellen. Wyszła za mąż za chłopaka Eleonory Butler, poczciwego Retta.

Starszy pan schylił się w ukłonie i pocałował Scarlett w rękę, zaś kobieta przedstawiła jej wnuka, który spojrzał na Scarlett tak, jakby w tej samej chwili uderzył go piorun. Dzień, tak doskonale zaczęty, z każdą minutą zyskiwał na świetności. Wtem spostrzegła, że następni spacerowicze, którzy się do nich zbliżali, ubrani byli w błękitne

mundury.

Krok stracił na pewności, ścisnęła Paulinę za rękę.

- Ciociu - szepnęła. - Z naprzeciwka idą żołnierze.

- Nie zatrzymuj się - zakomenderowała Paulina dźwięcznym głosem. - I tak będą musieli zejść nam z drogi.

Scarlett spojrzała na staruszkę w zdumieniu. Kto by przypuszczał, że ta stara, wymizerowana kobieta ma w sercu tyle odwagi? Bo jej serce biło tak mocno, że Jankesi pewnie mogli usłyszeć ten stukot. Mimo to zmusiła nogi, by szły.

Kiedy dzieliły je od nich trzy kroki, żołnierze rozstąpili się, po czym przywarli do metalowej barierki rozpiętej wzdłuż brzegu. Paulina i Eulalia przemknęły obok, traktując ich jak powietrze. Scarlett wysunęła podbródek, podniosła głowę równie wysoko jak ciotki, przyspieszyła, by dotrzymać im kroku.

Gdzieś z przodu rozległy się pierwsze takty piosenki *Och, Zuzanna!*. Grał jakiś zespół. Skoczna, zabawna melodia była równie pogodna i słoneczna jak dzień. Eulalia i Paulina przyspieszyły kroku, szły w rytm muzyki, lecz stopy Scarlett opadały na ziemię ciężko jak ołów. Tchórz! - zwymyślała się w głębi ducha. Ale nie mogła powstrzymać wewnętrznego drżenia.

- Dlaczego aż roi się tutaj od tych przeklętych Jankesów? - wybuchnęła w końcu. - Na dworcu też ich widziałam.

- Mój Boże, Scarlett, to ty nie wiesz? - zdziwiła się Eulalia. - Charleston jest ciągle pod okupacją. Chyba nigdy stąd nie odejdą. Nienawidzą nas, bo wyrzuciliśmy ich z Fortu Sumter, a potem broniliśmy się przeciwko całej jankeskiej flocie.

- I tylko jedno niebo wie, ilu regimentom - dodała Paulina. Twarze sióstr pojaśniały dumą.

- Panienko Przenajświętsza! - szepnęła Scarlett. Co ona zrobiła? Wjechała w sam środek obozu wroga. Wiedziała, co znaczy rząd wojskowy: bezradność i wściekłość, życie w nieustannym strachu, że skonfiskują ci dom, wsadzą cię do więzienia albo zastrzelą, jeśli złamiesz ich prawa. Rząd wojskowy był wszechmocny. Żyła pod kapryśnymi prawami żołdaków całe pięć parszywych lat. Jak mogła być na tyle głupia i znowu wpaść w to samo?

- Za to mają uroczą orkiestrę - Paulina przerwała ponure milczenie. - Scarlett, kochanie, tu, musimy skręcić. Dom Butlerów to ten, świeżo otynkowany.

- Szczęsna Eleonora - westchnęła Eulalia. - Szczęśliwa matka, która ma tak oddanego syna. Rett wprost ją uwielbia.

Scarlett spojrzała na dom. Nie, to nie dom - to była rezydencja. Lśniącobiałe kolumny strzelały sto stóp w górę, podtrzymując dach dźwigający się nad długim gankiem biegnącym wzdłuż frontu imponującej budowli z cegły. Czowała, jak uginają się pod nią kolana. Nie, nie mogła tam wejść, za wysokie progi... Nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie wspaniałego, czegoś tak przytłaczająco wielkiego. Czy zdoła znaleźć jakieś słowa na powitanie kobiety, która mieszka wśród tych splendorów? Która mogłaby zniszczyć wszelkie jej nadzieje jednym słówkiem wyrzeczonym do Retta?

Paulina wzięła ją pod rękę i pociągnęła za sobą przez ulicę. *Z banjo u mych kolan* - pomrukiwała, nie dbając o tonację. Scarlett dała się prowadzić niczym lunatyczka. Zupełnie zaskoczona stwierdziła nagle, że stoi u drzwi, spoglądając na wysoką, bardzo szykowną panią o lśniącobiałych włosach wieńczących pociągłą, miłą na pierwszy rzut oka twarz.

- Droga Eleonoro - zaczęła Eulalia.

- Przyprowadziłyście Scarlett - odezwała się Mrs. Butler. - Kochana dziecko, strasznie blado wyglądasz.

Delikatnie położyła ręce na jej ramionach i ucałowała ją w policzek.

Scarlett zamknęła oczy. Otoczyła ją łagodna woń cytrynowej werbeny, sącząca się z jedwabnej sukni i jedwabistych włosów Mrs. Butler. Ten zapach od zawsze łączył się w jej pamięci z świetlaną postacią Ellen O'Hara, dawał jej poczucie bezpieczeństwa, miłości, koił, był dla niej samą kwintesencją życia przed Wojną.

Czowała, jak z oczu płyną jej łzy.

- Tędy, tędy pozwól - usłyszała głos matki Retta. - Droga moja, wszystko będzie dobrze. Cokolwiek by było przyczyną twych łez, teraz już nie musisz płakać. Nareszcie wróciłaś do domu. Jakże mi się dłużyło to czekanie, aż przyjdiesz.

Wzięła synową w ramiona i mocno uściskała.

Eleonora Butler była prawdziwą damą z Południa. Jej powolny, łagodny głos, opieszale, pełne wdzięku ruchy maskowały zbytek energii i stanowczość. Damy już od urodzenia ćwiczyły, jak zachowywać się pięknie, co robić, by sprawiać wrażenie współczujących i przejętych słuchaczek, jak wzruszać wyzywającą bezradnością, w jaki sposób dowodzić lekkomyślności i jak zachwycać. Uczono je także jak zwalczać intrygi i sprostać odpowiedzialności wynikającej z prowadzenia ogromnych domów oraz dowodzenia sforą sług, często bardzo złośliwych, sprawiając jednocześnie wrażenie, że wszystko funkcjonuje bez usterek jakby samo z siebie - dom, ogród, kuchnia, służba - podczas gdy pani domu nie ma nic innego na głowie, niż tylko dobierać kolory jedwabiu na wyrafinowanych haftach.

Kiedy nieprawości wojny zredukowały liczbę sług z trzydziestu lub czterdziestu nawet do zaledwie jednej lub dwóch, kobiety zmuszone zostały stawić czoło całej lawinie problemów, choć wymagania, które im stawiano, pozostały te same. W spustoszonych domach nadal trzeba było podejmować gości, udzielać schronienia całym rodzinom, kłuć w zawistne oczy nieskazitelnie czystymi szybami okien i z niezrównaną maestrią, w absolutnym spokoju ducha spełniać obowiązki pani domu przy salonowym picu herbaty. Damy z Południa w jakiś - sobie tylko wiadomy - sposób umiały dokonać i tej sztuki.

Eleonora koła zbolalą Scarlett łagodnymi słowy i aromatyczną herbatą, mile polechtała próżność Pauliny zasięgnąwszy jej opinii co do biureczka, które niedawno wstawiono do salonu, uczyniła zadość apetytowi Eulalii pod pozorem smakowania torciku - Eulalia miała zawyrokować, czy dość dodano zapachu waniliowego. Nie zapomniała także szepnąć Manigo, głównemu lokajowi, by polecił jej pokojówce Celie, aby pomogła jemu i pannie służącej Scarlett przenieść rzeczy młodszej pani Butlerowej z domu jej ciotek do wielkiej sypialni z widokiem na ogród - tam, gdzie sypiał Mr. Rett.

W ciągu niespełna dziesięciu minut wszystko tak się ułożyło, że Scarlett, bez wewnętrznego oporu, mieszanych uczuć czy słów protestu dała się włączyć w stateczny rytm spokojnego życia pod dachem Eleonory Butler. Znowu czuła się jak dziewczynka, wolna od wszelkiego zmartwienia, bezpieczna pod płaszczem przemożnej miłości matczynej.

Spoglądała na Eleonorę zamglonymi oczami pełnymi cichego uwielbienia. Oto, kim zawsze pragnęła być, kim się mieniła być; damą jak jej matka, jak Eleonora Butler. Ellen O'Hara uczyła ją, jak być damą, wytyczyła jej życie i oczekiwała, że spełni

pokładane w niej nadzieje. Teraz czas zacząć korzystać z tych nauk - powiedziała sobie Scarlett. Mogę naprawić wszystkie błędy, które dotychczas popełniłam. Mogę sprawić, że Mama będzie ze mnie dumna.

Gdy była dzieckiem, Mammy opisała jej niebo jako krainę chmur, na których - niczym na wielkich pierzastych piernatach - wylegują się aniołowie, zabawiając się spoglądaniem przez dziury w niebie na ziemskie zdarzenia i przypadki. Od dnia, gdy zmarła Ellen, Scarlett nie mogła się uwolnić od przykrego i infantylnego, lecz jakże silnego przekonania, że Mama spogląda na nią przez jedną z takich dziur i ma bardzo zboląły wyraz twarzy.

Teraz wszystko będzie lepiej - obiecała Mamie. Uczuciowe powitanie, jakie zgotowała jej Eleonora, na moment stłumiło wszystkie lęki i złe wspomnienia, które tak przemożnie owładnęły jej sercem i umysłem, gdy ujrzała jankeskich żołnierzy. Nawet spychane na samo obrzeże świadomości, lecz mimo to nie mniej realne obawy związane z decyzją podążenia za Rettem do Charlestonu - nawet one opuściły ją na moment. Czowała, że jest bezpieczna, darzona miłością, że nic nie może jej pokonać. Mogła zająć się czymkolwiek, wszystkim. Co zresztą zrobiła. Odzyska miłość Retta. Będzie damą, taką jaką zawsze pragnęła w niej widzieć Ellen. Będzie podziwiana, szanowana, wielbiona - i nigdy nie będzie sama.

Gdy Paulina zamknęła ostatnią inkrustowaną kością słoniową szufladę biurka z drzewa różanego, a Eulalia pospiesznie przełknęła ostatni kawałek torciku, Eleonora Butler podniosła się z krzesła pociągając za sobą Scarlett.

- Muszę odebrać buty od szewca - powiedziała i spojrzała na obie siostry. - Korzystając z okazji chciałabym przedstawić Scarlett na ulicy Królewskiej. Zapewne nie znajdziesz kobiety, która czułaby się w nowym miejscu jak u siebie w domu nie wiedząc, gdzie i jakie są sklepy. Zechcecie nam towarzyszyć?

Ku bezgranicznej uldze Scarlett, ciotki odmówiły. Chciała mieć Mrs. Butler wyłącznie dla siebie.

W ciepłym zimowym słońcu przechadzka po charlestońskich sklepach była czystą przyjemnością. Ulica Królewska czarowała i zachwycała. Sklepy ciągnęły się po obu stronach długimi rzędami, jeden przy drugim: tekstylia, narzędzia, buty, tytoń i cygara, kapelusze, wyroby jubilerskie, egzotyczne towary z Chin, nasiona, medykamenty, wina, książki, rękawiczki, słodczyce - zdało się, że na ulicy Królewskiej można było kupić wszystko. Na chodnikach tłoczyły się tłumy kupujących, kilkanaście małych powozików i otwartych bryczek z woźnicami w liberiach i pasażerami w szykownym odzieniu.

Nigdzie śladu owych ponurych wydarzeń - czego tak bardzo się obawiała. Charleston był miastem znacznie większym i o wiele bardziej ruchliwym niż Atlanta. A także - co najważniejsze - nigdzie nie dało się dostrzec objawów wielkiej paniki.

Niestety, matka Retta zachowywała się tak, jak gdyby w ogóle nie dostrzegwała wszystkich tych barw, zupełnie nieczuła na nastrój gorączkowej krzątaniny nie dała się wciągnąć w wir zakupów. Przechodziła obok witryn pełnych strusich piór i ręcznie malowanych wachlarzy nie poświęcając im nawet spojrzenia, przechodziła przez ulicę i nawet nie kiwnęła głową, by podziękować kobietom, które kazały zatrzymać pojazdy dając jej pierwszeństwo. Scarlett przypomniała sobie, co mówiły ciotki: tylko Carpetbaggerzy, Scallawadzy i Jankesi poruszali się po Charlestonie w powozach, innych nie było. Widząc, jak te sępy utuczyły się szarpiąc trupa pokonanego Południa poczuła, że dostaje białej gorączki. Toteż gdy weszła za Mrs. Butler do sklepu obuwniczego, radośniej zabiło jej serce, oto bowiem sztywnie ubrany właściciel widząc, że wchodzi, zwrócił się do młodszego subiekta, by ten natychmiast pospieszył przywitać panie. Cóż za szczęście znaleźć się razem z osobą ze Starej Gwardii charlestońskiej! Gorąco pragnęła, by Mrs. Merriwether lub Mrs. Elsing mogły to widzieć.

- Dałam buty do podzelowania, Mr. Braxton - powiedziała Eleonora. - Pragnę je odebrać. Jak również pragnę polecić mej synowej sklep, gdzie może dostać najszlachetniejsze obuwie i spotkać się z miłą obsługą. Scarlett, kochanie, nasz Mr. Braxton zajmie się tobą równie troskliwie jak troskliwie dbał o mnie przez wszystkie te lata.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, madame - Mr. Braxton pochylił głowę w eleganckim ukłonie.

- Dzień dobry panu, Mr. Braxton. I z góry dziękuję za wszelką pomoc - rzekła Scarlett nader dystyngowanie. - Jak sądzę, trzeba by mi było dzisiaj wybrać parę butów - tu uniosła nieco rąbek sukni, ukazując pantofelki z cieniutkiej skórki - stosowniejszych do chodzenia pieszo - wyjaśniła dumnie. Nie dopuści, by wzięli ją za jedną z nowobogackich wysiadujących w powozach.

Mr. Braxton wyjął z kieszeni nieskazitelnie białą chusteczkę i musnął lśniąco czystością siedzenia dwóch krzeseł.

- Jeśli panie pozwolą...

Kiedy zniknął za kurtyną na zapleczu sklepu, Eleonora pochyliła się ku Scarlett i szepnęła jej do ucha:

- Przypatrz się uważnie jego fryzurze, gdy uklęknie, by przymierzyć ci pantofle. Mr. Braxton farbuje włosy pastą do butów.

Scarlett z całej siły musiała powstrzymać się od śmiechu, gdy stwierdziła, że Mrs. Butler miała rację, zwłaszcza iż Eleonora spoglądała na nią z konspiracyjnym błyskiem ciemnych oczu. Gdy opuściły sklep, zaczęła chichotać.

- Miss Eleonoro, nie powinna mi pani o tym mówić. Niewiele brakowało, a urządziłabym szopkę z sobą w roli głównej.

Mrs. Butler uśmiechnęła się łagodnie.

- Za to nie będziesz miała problemów z poznaniem Mr. Braxtona. A teraz - westchnęła - pójdziemy do Onslowów na pucharek lodów. Jeden z kelnerów pędzi tam księżycówkę, najlepszą w całej Południowej Karolinie. Muszę kupić parę kwaterek na poncz do ciasta owocowego. Zresztą, lody dają tam równie znakomite.

- Miss Eleonoro!

- Czego chcesz, drogie dziecko? Dobrej brandy nie kupisz w Charlestonie ani za pieniądze, ani za miłość. W końcu każdy powinien robić to, co umie najlepiej, czyż nie tak? Poza tym zakupy na czarnym rynku mają w sobie coś podniecającego, nie uważasz?

Scarlett uważała, że nie powinna była winić Retta za uwielbienie, jakim darzył swą matkę, i że nie przesadził z tym ani o cal.

Tymczasem Eleonora Butler wtajemniczała Scarlett w sekrety życia towarzyskiego wielkiego miasta. Właśnie weszły do sklepu z tekstyliami, by kupić szpulkę białych nici bawełnianych (kobieta za ladą zabiła męża, zadając mu cios prosto w serce ostrym szydełkiem, lecz sędzia uznał, że on sam się zabił upadłszy po pijanemu na śmiertcionośny przedmiot, wszyscy bowiem wiedzieli, że bił ją od lat, a siniaki na twarzy i rękach były wystarczającym dowodem jej desperacji). Następnie do apteki po nieco leszczyny (aptekarz, biedak - krótkowidz - pewnego razu zapłacił całą fortunę za osobliwą rybę tropikalną zakonserwowaną w alkoholu, przekonany, że kupił syrenę). Po prawdziwe lekarstwa chodzi się nie gdzie indziej niż na ulicę Szeroką, ale o tym później.

Scarlett była głęboko niepokieszona, gdy Eleonora oznajmiła, że czas wracać do domu. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek bawiła się tak wyśmienicie i prawie błagała, by wstąpiły do jeszcze kilku sklepów. Lecz Mrs. Butler powiedziała, że „chyba powinny wsiąść do tramwaju konnego”, gdyż „czuje się nieco zmęczona”. A wtedy Scarlett natychmiast zaczęła zachodzić w głowę, czy ta bladość na twarzy Eleonory nie

jest aby oznaką choroby, a nie ową „szlachetnie mlecznobiałą cerą”, która przystała damom. Trzymała teściową pod rękę, gdy wchodziły do pomalowanego w jasne, wesołe barwy zielono - żółtego tramwaju i dotąd kręciły się po wagonie, aż Eleonora została ulokowana w wiklinowym foteliku. Rett nigdy by jej nie przebaczył, gdyby dopuściła, aby jego matce stało się coś złego. Ani ona nie mogłaby sobie tego wybaczyć.

Kącikiem oka spojrzała na Mrs. Butler, gdy tramwaj powoli potoczył się po torach, lecz nie dostrzegła żadnej oznaki słabości. Eleonora wesoło rozprawiała o następnych zakupach, które także zrobią razem.

- Jutro pójdziemy na rynek, gdzie spotkasz wszystkich, których powinnaś spotkać. To już tradycyjne miejsce przedstawiania nowych przybyszy. Gazety bowiem nigdy nie piszą o rzeczach naprawdę ciekawych.

Tramwaj podskoczył i skręcił w lewo, później przejechał jeszcze kawałeczek i zatrzymał się przy skrzyżowaniu. Scarlett westchnęła. Tuż zaraz przy otwartym oknie, obok Eleonory, ujrzała żołnierza w błękitnym mundurze z karabinem przewieszonym przez ramię, maszerującego w cieniu wysokiej kolumnady.

- Jankes - szepnęła.

Mrs. Butler podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Owszem. Ale Georgia uwolniła się od nich jakiś czas temu, czy nie tak? Za to u nas okupacja trwa już tak długo, że nawet jej nie zauważamy. W lutym minie dziesięć lat. W ciągu tego czasu prawie do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Ja nigdy nie przywykłabym do nich - szepnęła Scarlett. - Nigdy.

Jakiś dźwięk rozlegający się z nienacka sprawił, że aż podskoczyła. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to przecież grają kuranty tego wielkiego zegara, który wisiał tuż obok. Tramwaj wjechał na skrzyżowanie. Skręcili w prawo.

- Pierwsza - westchnęła Mrs. Butler. - Nie dziw, że zmęczona. To był wyjątkowo długi poranek.

Kuranty, których dźwięk dobiegał teraz z tyłu, skończyły wydzwaniać melodię kwartetu. Po chwili uderzył jeden dzwon.

- Nasz niezmordowany czasomierz - uśmiechnęła się Eleonora. - Dzwony na wieży u świętego Michała. Odmierzają nasze narodziny i czas, gdy przemijamy.

Scarlett spoglądała na wysokie domy i ukryte za murami ogródki. Wszystkie bez wyjątku nosiły wojenne blizny. Ślady po uderzeniach kul szpeciły wszystkie powierzchnie tynków, a zniszczenia były widoczne jak okiem sięgnąć: łuszcząca się farba, deski w oknach, do których zabrakło szyb, wyrwy, rdza szpecąca misterne

koronkowe, kute w żelazie balkony i bramy. Drzewa ciągnące się szpalerem wzdłuż ulicy wszystkie miały dziwnie cienkie pnie - zostały posadzone zupełnie niedawno w miejsce gigantów zdruzgotanych artyleryjskim obstrzałem. Przekłęci Jankesi.

W wyszorowanych na wysoki połysk brązowych kołatkach przy drzwiach odbijało się słońce, za murami ogrodów kwitły rabaty kwiatów, napełniających powietrze odurzającym zapachem. Ci to są spryciarze, ci charlestończycy - pomyślała. Nie poddają się tak ze wszystkim.

Na końcu ulicy Spotkań był ostatni przystanek i Scarlett pomogła wysiąść Mrs. Butler. Przed sobą miały park, a w nim schludnie przycięte trawniki i nieskazitelnie białe ścieżki zbiegające się i otaczające kołem świeżo pomalowaną okrągłą estradę dla orkiestry, nad którą wznosił się wypucowany jakby przed chwilą dach w kształcie pagody. Z tyłu był port. Scarlett czuła zapach wody i smak soli. Wiatr trzącał mieczami liści palm i kołysał długimi, zwiewnymi warkoczami hiszpańskich kasztanów, rzucając nimi o pokiereszowane konary dębów. Dokoła biegały dzieci, jeździły na hulajnogach, rzucały o trawę piłkami - a wszystko to pod czujnym wzrokiem czarnych nianiek w turbanach, rozsiadłych na licznych ławkach.

- Scarlett, mam nadzieję, że mi wybaczysz - policzki Mrs. Butler pokryły się jasnymi plamkami. - Wiem, że nie powinnam, lecz muszę cię o coś spytać.

- Co się stało, Miss Eleonoro? Źle się pani czuje? Może mam coś przynieść? Proszę, niech pani tu usiądzie...

- Ach nie, moja droga, dziękuję, czuję się znakomicie. Tylko po prostu nie mogę wytrzymać nie wiedząc... Czy myśleliście z Rettem o drugim dziecku? Rozumiem, że obawiacie się, by nie spotkał was ten sam cios, którego doznaliście przy śmierci Bonnie, ale...

- Dziecko... - Scarlett zawiesiła głos. Czyżby Mrs. Butler czytała w jej myślach? Miała nadzieję stać się brzemienną, gdy tylko będzie to możliwe. Wtedy Rett nie mógłby jej odesłać z powrotem do Atlanty. Rett kochał dzieci aż do szaleństwa. Gdyby go obdarzyła potomstwem, ją także zacząłby darzyć miłością. Toteż gdy odpowiedziała na pytanie Eleonory, w jej głosie dźwięczała szczerłość.

- Eleonoro, zapewniam panią, że niczego bardziej nie pragnę jak właśnie dziecka.

- Dzięki Bogu - westchnęła Mrs. Butler. - Jakże chciałabym znowu zostać babką. Kiedy Rett przyjechał do mnie w odwiedzin i przywiózł Bonnie, omal nie udusiłam jej pocałunkami. Widzisz... Małgorzata... żona mego drugiego syna, spotkasz się z nią jeszcze dzisiaj... otóż biedna Małgorzata jest niepłodna. A Rosemary... siostra Retta...

bardzo niespokojna, czy kiedykolwiek znajdzie się dla niej odpowiedni kandydat na męża.

Umysł Scarlett gorączkowo pracował, usiłując złożyć w całości pełny obraz rodziny Retta i ustalić, czego się może spodziewać po tych ludziach. Rosemary mogła jej przysporzyć kłopotów. Stare panny potrafią być nieprzyjemne. Co zaś się tyczy brata... zaraz, jak ma na imię? Aha, Ross, tak... Ross był mężczyzną - zawsze umiała oczarować mężczyzn. Bezdziętnej Małgorzacie nie warto nawet poświęcać większej uwagi. Mało prawdopodobne, by miała na Retta jakiś wpływ. Bzdura, czym tu się przejmować? Rett kochał matkę, która pragnęła, by byli razem, z dzieckiem... dwojgiem dzieci... choćby tuzinem. Rett musiał ją przyjąć.

Szybko pocałowała Mrs. Butler w policzek.

- Ja także pragnę dziecka, Miss Eleonoro. Teraz, we dwie, musimy przekonać Retta.

- Uszczęśliwiłaś mnie, Scarlett. Wracajmy zatem do domu, to zaraz za rogiem. Zdaje mi się, że przed obiadem będę musiała odpocząć chwilkę, bowiem po południu mam zebranie pań z komitetu i trzeba mi będzie błysnąć dowcipem. Mam nadzieję, że zechcesz nam towarzyszyć, choćby tylko na herbatce. Małgorzata także przyjdzie. Oczywiście, nie mam zamiaru obciążać cię nadmiarem pracy, gdybyś jednak zainteresowała się naszą działalnością, z przyjemnością powitamy cię w naszym gronie. W Charlestonie budujemy Konfederacki Dom Wdów i Sierot, a ponieważ pieniędzy jak zwykle brak, wspieramy ten chlubny cel sprzedając ciasto domowego wypieku i urządzając bazy z wyrobami rękodzielnictwa, no, sama wiesz.

Niech to licha, czy te damy z Południa wszędzie są takie same? Dokładnie jak w Atlancie. Wiecznie ci Konfederaci... Konfederaci to, Konfederaci tamto... Kiedy wreszcie dotrze do nich, że wojna się skończyła i czas zacząć żyć? Głowa pęka. Krok stracił na pewności, w końcu jednak odzyskała tempo, dorównując do kroku Mrs. Butler. Nie, oczywiście weźmie udział w zebraniu komitetu, a nawet, jeśli ją poproszą, podejmie pracę na rzecz wdów i sierot. Nie popełni tu żadnego z błędów, które zdarzyło się jej zrobić w Atlancie. Nie da się zepchnąć poza nawias i uwięzić w samotności, nawet gdyby miała nosić gorset, a na nim wyhaftowaną flagę.

- Brzmi to bardzo zachęcająco - przerwała dłuższe milczenie. - Zawsze byłam przygnębiona, że w Atlancie nie miałam dość czasu na pracę poza sklepem. Świętej pamięci poprzedni mąż mój Frank Kennedy zostawił mi bowiem w spadku kwitnący interes, jeszcze gdy byłam niczego nieświadomym podlotkiem. Wszakże zawsze poczytywałam sobie za pierwszą powinność czuwać nad tym, co odziedziczyłam.

To powinno stanowić przeciwwagę do opowieści niechybnie rozpuszczanych przez Retta.

Eleonora Butler pokiwała ze zrozumieniem. Scarlett pochyliła brzeg kapelusza, by ukryć błyski zadowolenia w oczach.

* * *

Gdy Mrs. Butler zażywała odpoczynku, Scarlett przechadzała się po domu. Zbiegła w dół po schodach, by przekonać się, jakie to precjoza mógł odkupywać Rett od Jankesów gwoli uszczęśliwienia matki.

Pomieszczenia sprawiały na niej wrażenie pustawych, jakby ogołoconych. Oczy Scarlett nie były w stanie docenić doskonałości wszystkiego, co widziały - nie była dość wyrobiona w oglądaniu szlachetnego piękna prostoty. Na drugim piętrze w ogromnym dwupokojowym salonie stały prześliczne sofy, stoły i krzesła, tak ustawione, że każdy mebel był tyleż dekoracyjny co użyteczny. Scarlett podziwiała znakomitą jakość jedwabnej tapicerki i wspaniałe połysk drewna, lecz zupełnie umykało jej piękno przestrzeni otaczającej meble. Znacznie bardziej przypadł jej do gustu mały pokój do gry w karty: stół i krzesła wypełniały tu całą prawie przestrzeń, poza tym Scarlett uwielbiała grać w karty.

Jadalnia na parterze była dla niej po prostu jadalnią, niczym więcej - „Hepplewhite” nic dla niej nie znaczyło. Podobnie biblioteka - pokój pełen książek, zresztą nudnych. Najbardziej cieszyły ją rozległe werandy, ponieważ dzień był upalny, oraz widok na port, kołujące rybitwy i małe żaglowce, które sprawiały wrażenie jakby same lada chwila miały się unieść w powietrze. Wychowana na łądzie spoglądała teraz na bezmiar wód jak na coś niezwykle egzotycznego. A jakże pachniało morskie powietrze! A jakże wzmagало apetyt. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko tyle, iżby Miss Eleonora skończyła wreszcie przedobiednią drzemkę, czuła bowiem, że czas najwyższy zasiąść już do stołu.

* * *

- Może wypijemy kawę na werandzie? - zaproponowała gospodyni, gdy kończyły deser. - Może się okazać, że to nasza ostatnia szansa na jakiś czas. Chyba zanosi się na zmianę pogody.

- O, tak, bardzo chętnie.

Obiad był wprawdzie doskonały, czuła jednak, że jest jakaś znużona, w żołądku było ciasno. Może na dworze poczuje się lepiej - powinno być miło.

Poszła za Mrs. Butler na werandę, na drugie piętro. Ojej, rzeczywiście zrobiło się chłodno w porównaniu z tą piękną, letnią pogodą sprzed obiadu - pomyślała, zaledwie przestąpiła próg. Gorąca kawa była jak znalazł.

Szybko wypila pierwszą filiżankę i już zamierzała prosić o drugą, gdy Eleonora roześmiała się, po czym wskazała na ulicę.

- Oho, jedzie mój komitet - wyjaśniła. - Jeszcze ich nie widać, ale ten głos wszędzie poznam.

Scarlett także słyszała - coś jakby dźwięk małych dzwoneczków. Podeszła do bariery.

Ulicą nadciągała para koni, ciągnących piękny ciemnozielony powóz na kołach z żółtymi szprychami. Koła odbijały srebrzyste blaski światła i za każdym obrotem dźwięczały radośnie niczym dzwonki. Powóz zwolnił, po czym zatrzymał się przed domem. Teraz Scarlett mogła się przekonać, że istotnie małe dzwoneczki, takie jak te przy saniach, były ucepione do rzemieni przeciągniętych przez żółte szprychy, obwieszonych wokół obręczy kół. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała. Nigdy też nie zdarzyło się jej widzieć osobistości takiej jak woźnica, siedzący na wysokim koźle. Woźnica był kobietą. Ubrana w brązowy kostium do konnej jazdy, żółte rękawiczki, podniosła się lekko z siedzenia, ściągając lejce co sił w dłoniach, także i szpetną twarz ściągając w przeraźliwym grymasie niezwyklej stanowczości. Wypisz, wymaluj - małpiszon.

W tej samej chwili otworzyły się drzwiczki i z powozu, zanosząc się głośnym śmiechem, wyskoczył na podjazd młody mężczyzna. Wyciągnął rękę. Podaną usłudnie dłoń pochwyciła otyła dama. Wysiadła. Także się śmiała. Mężczyzna pomógł jej zejść z przystawionego schodka, po czym wziął na ręce młodą kobietę, która właśnie stanęła w drzwiach, i zestawił ją na ziemię. Ona też miała na twarzy szeroki uśmiech.

- Wejźmy do środka, kochanie - Mrs. Butler podniosła się z krzesła. - Pomożesz mi przy herbacie.

Scarlett ruszyła o kilka kroków z tyłu, umierając z ciekawości. Cóż to za zjazd oryginałów! Komitet dobroczynny Mrs. Eleonory niczym nie przypominał owych zgromadzeń starych babsztyli, oblegających wszystkie salony w Atlancie. Kim jest mężczyzna? Mężczyźni raczej nie zajmowali się wypiekami na kiermasze dobroczynności. Z wyglądu chyba przystojny. Scarlett przystanęła przed lustrem - musiała poprawić potargane wiatrem włosy.

- Droga Emmo - Mrs. Butler właśnie witała gości. - Wyglądasz mi na osłabioną.

Ta uwaga była skierowana do otyłej niewiasty, którą pani domu pocałowała najpierw w jeden policzek, potem w drugi i wzajemnie.

- Zapraszam na filiżankę kojącej herbaty, pozwól jednak, że wprzódę przedstawię ci żonę Retta. Kochanie, otóż i nasza Scarlett.

- Eleonoro, widzi mi się, że po tej przejażdżce filiżanka herbaty nie ukoi mych starganych nerwów - odparła kobieta, po czym wyciągnęła rękę w stronę Scarlett. - Jak zdrowie, dziewczę drogie? Jestem Emma Anson, a raczej to, co z niej zostało.

Eleonora tymczasem uściskała młodszą kobietę i podprowadziła ją do Scarlett.

- Oto i Małgorzata, żona Rossa. Poznajcie się, proszę.

Małgorzata Butler była młodą kobietą, o bladej twarzy, blond włosach i przecudownych, szafirowobłękitnych oczach, których kolor dominował nad dość bezbarwną twarzą. Gdy się uśmiechała, otaczała je siateczka głębokich zmarszczek - oznaka przedwczesnej dojrzałości.

- Jestem zachwycona, że w końcu mogę cię poznać - przywitała się.

Ujęła dłonie Scarlett i pocałowała ją w policzek.

- Zawsze chciałam mieć siostrę, a bratowa to właściwie to samo. Mam nadzieję, że ty i Rett wkrótce zechcecie nas odwiedzić. Wpadnijcie do nas na kolację. Ross także pragnie cię poznać.

- Z największą przyjemnością - odparła Scarlett. - Jestem pewna, że Rett także chętnie was odwiedzi.

Tu uśmiechnęła się, mając nadzieję, że to co mówi niewiele mija się z prawdą. Któż mógłby zgadnąć, czy Rett zechce jej towarzyszyć do domu brata lub dokądkolwiek indziej? Zapewne jednak trudno byłoby mu odmówić rodzinie. Miss Eleonora, a teraz jeszcze Małgorzata, zdecydowanie wezmą jej stronę.

- Pozwól, kochanie - przerwała jej te rozmyślenia Mrs. Butler - że cię przedstawię Salomei Brewton.

- I Edwardowi Cooperowi - dodał jakiś męski głos. - Nie pozbawiaj mnie szansy złożenia pocałunku na pięknej dłoni Mrs. Butler, Eleonoro. Płonę z ciekawości.

- Wszystko w swoim czasie - skarciła go Mrs. Butler. - Wy, młodzi ludzie, zupełnie zapomnieliście o dobrych manierach.

Scarlett zaledwie zdążyła rzucić okiem na Edwarda Coopera, a jego komplement zupełnie do niej nie dotarł. Usiłowała nie patrzeć na Salę Brewton, lecz jej twarz małpiszona - twarz woźnicy prowadzącego powóz - nieustannie przykuwała jej wzrok.

Salomea Brewton była malutką osóbką lat około czterdziestu. Miała postać

chłopcą, zaś jej żwawe ruchy oraz twarz wypisz, wymaluj nieodparcie kojarzyły się z czymś małpim. Natarczywe spojrzenia Scarlett zupełnie nie wytrąciły jej z równowagi: wyjątkowa szpetota Salomei - do której sama zdążyła się przyzwyczać już przed wielu, wielu laty - oraz jej niekonwencjonalne zachowanie nader często zdumiewały nieznanym. Mrs. Brewton dała kilka kroków, ciągnąc za sobą tren swej sukni rzekłbyś, niczym brunatną rzekę.

- Droga Mrs. Butler, myśli pani zapewne, że poszaleliśmy niczym koty w marcu. Otóż zapewniam panią, kochana, iż nasze... powiedzmy... dramatyczne wejście można wyjaśnić zupełnie rozumowo... aczkolwiek rzecz cała traci wtedy na smakowitości. W całym mieście tylko ja jedna posiadam powóz, lecz niestety nie mogę sobie pozwolić na stangreta, wszyscy bowiem woźnice wzbraniają się wozić mych wywłaszczonych przyjaciół. Tedy porzuciłam myśl o najęciu stangreta, który i tak zaraz pewnie rzuciłby posadę, a ponieważ mąż mój jest w tej chwili zajęty czymś innym... sama powożę.

Mała osoba położyła dłoń, na ramieniu Scarlett, po czym spojrzała jej prosto w oczy.

- Proszę, niech pani sama teraz osądzi: czy to nie na wskroś rozsądnie?

Minęła chwila, zanim odzyskała głos, w końcu jednak zdołała wykrztusić:

- Tak.

- Salomeo, nie powinnaś usidlać w ten sposób naszej biednej Scarlett - tonem lekkiej przygany zwróciła jej uwagę Mrs. Butler. - Cóż innego mogła ci odpowiedzieć? Lepiej dopowiedz jej resztę.

Salomea wzruszyła ramionami, po czym uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że pani teściowa ma na myśli dzwoneczki. Okrutna! Ale to fakt: kiepski ze mnie woźnica. Dlatego ilekroć wyprowadzam powóz, mój humanitarnie usposobiony mąż obwiesza pojazd dzwoneczkami, żeby przechodnie na czas schodzili mi z drogi.

- Już wolałabym spotkać trędowatą - zauważyła Mrs. Anson.

- Czy ktoś coś mówił? - Salomea przybrała minę znieważonej niewinności. Za to uśmiechnęła się do Scarlett w sposób tak ujmujący, że Scarlett poczuła jak ogarnia ją fala ciepła.

- Mam nadzieję - westchnęła, że ilekroć będzie pani potrzebny powóz z woźnicą, do mnie się pani zwróci, nie zważając na te oszczerstwa.

- Dziękuję, Mrs. Brewton, to bardzo miło z pani strony.

- Ale to jeszcze nie koniec. Faktem jest bowiem, że uwielbiam pędzić ulicami

rozganiając Scallawagów i Carpetbaggerów na wszystkie wiatry. No, nie chcę pani przywłaszczać tylko dla siebie. Pozwoli pani, że przedstawię jej Edwarda Coopera, nim biedak wyzionie ducha...

Scarlett zupełnie automatycznie skwitowała grzeczność Edwarda Coopera, uśmiechnęła się, tak że w kącikach jej ust utworzyły się zwodnicze dołeczki, spuściła oczy, jakby zakłopotana lawiną komplementów, którymi ją zasypał, podczas gdy jej oczy domagały się więcej.

- Cóż, Mr. Cooper - szepnęła - jeśli pan natychmiast nie przestanie, oznajmiam, że jeszcze chwila, a zawróci mi pan w głowie. Jestem zwykłą wiejską dziewczyną z Powiatu Clayton w stanie Georgia i doprawdy nie pojmuję, jak trzeba sobie radzić z charlestońskimi lwami salonowymi, a że jest pan jednym z nich, to widzę.

- Eleonoro, proszę, niech mi pani wybaczy - dobiegł ją od drzwi jakiś nowy głos. Scarlett odwróciła się i zaparło jej dech w piersi. W progu stała dziewczyna - młoda dziewczyna o lśniącobrazowych włosach, które nad jej łagodnie orzechowymi oczami układały się w cienisty daszek.

- Przepraszam, że się spóźniłam - ciągnęła dalej głosem łagodnym, choć z lekką zadyszką. Miała na sobie brązową suknię z białym lnianym kołnierzem, takimiż mankietami, a do tego staromodny beret pokryty brązowym jedwabiem.

Dokładnie tak samo wyglądała Melania, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy - pomyślała Scarlett. Kruchy, brunatny ptaszek. Czy to może kuzynka? Nie słyszała, żeby Hamiltonowie mieli krewnych w Charlestonie.

- Wcale się nie spóźniłaś, Anno - przywitała ją Mrs. Butler. - Chodź, dostaniesz filiżankę herbaty. Wyglądasz, jakbyś przemarzła do szpiku kości.

Anna uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Wieje ostry wiatr i ciągną chmury... Dzień dobry, Miss Emmo, Miss Salomeo, dzień dobry pani, Małgorzato, jak się pan miewa Mr. Cooper, dzień dobry, pani... - umilkła z rozwartymi ustami, wpatrzona w Scarlett. - Dzień dobry pani. Chyba się jeszcze nie spotkałyśmy. Jestem Anna Hampton.

Eleonora Butler szybkim krokiem podeszła do dziewczęcia z filiżanką parującej herbaty.

- Cóż za brak wychowania z mojej strony - westchnęła żałośnie. - Tak byłam zajęta herbatą, że oczywiście zapomniałam przedstawić cię mojej synowej, Scarlett. Proszę, Anno, wypij to, wyglądasz jak duch... Scarlett, Anna jest naszym ekspertem we wszystkim, co się tyczy Domu Konfederata. Rok temu ukończyła szkołę i teraz sama

jest tutaj nauczycielką. Panie się poznają... Anna Hampton... Scarlett Butler.

- Raz jeszcze, dzień dobry, Mrs. Butler - Anna wyciągnęła małą, zsiniałą z zimna dłoń. Gdy Scarlett uściśnęła jej rękę czuła że drży.

- Proszę, niech pani mówi do mnie po prostu „Scarlett”.

- Dziękuję... Scarlett. Jestem Anna.

- Scarlett, kochanie, może herbaty?

- Dziękuję pani, Eleonoro.

Spiesznie przyjęła filiżankę szczęśliwa, że w ten sposób może pokryć zmieszanie, w które wprawiał ją widok tej dziewczyny. Mela, jak żywa! Ta sama gibkość kształtów, ta sama nieśmiałość obejścia, ta sama słodycz. Skoro tak zajmuje się Domem Konfederata, pewnie jest sierotą. Melania też była sierotą. Och, Melu, jakże mi ciebie brak!

Za oknem niebo pociemniało, Eleonora Butler poprosiła Scarlett, by - kiedy dopije herbatę - zaciągnęła zasłony.

Gdy zasłoniła ostatnie okno, z dali dobiegł łoskot pioruna. O szyby uderzyły pierwsze krople deszczu.

- Dobrze, a teraz do rzeczy - zarządziła pani domu. - Mamy mnóstwo spraw do załatwienia. Proszę, niech wszyscy usiądą. Małgorzato, bądź łaskawa zająć się ciastkami i sandwiczami. Nie chcę, żebyście tu siedzieli o pustych żołądkach, to bardzo rozprasza uwagę, Emmo, ty będziesz nalewała herbatę. Zadzwoń, niech przyniosą więcej wrzątku.

- Mrs. Eleonoro, pozwoli pani, że pójde do kuchni? - Anna poderwała się z krzesła.

- Nie, kochanie. Jesteś nam potrzebna tutaj. Scarlett, pociągnij za sznur od dzwonka. A teraz miłe panie i ty, drogi Edwardzie, pozwólcie, że przedstawię punkt pierwszy porządku dziennego. Bardzo podniecająca nowina. Otóż otrzymałam czek od pewnej damy z Bostonu... czek na bardzo wysoką sumę. Co z tym zrobimy?

- Podrzeć i odesłać.

- Emmo, czyś ty rozum postradała? Potrzebujemy pieniędzy... każdy cent ma znaczenie. A tak już mimochodem, ofiarodawczynią jest Pacjemeja Bedford. Chyba ją pamiętacie? Dawnymi laty prawie co roku spotykaliśmy ją oraz jej męża w Saratodze.

- Czy to nie ten generał Bedford walczy w Armii Unionistów?

- Nie. Tamten nazywał się Natan Bedford Forrest.

- Najlepszy kawalerzysta w całej armii - Edward pokiwał z uznaniem głową.

- Ross chyba by się z tobą nie zgodził, Edwardzie - Małgorzata Butler z trzaskiem

opuściła na stół paterę chleba z masłem. - Ostatecznie Bedford Forrest służył w kawalerii wraz z generałem Lee.

Scarlett po raz drugi pociągnęła za sznur. Przed oczami latały jej kule ognia. Do diabła! Czy wszyscy Południowcy muszą toczyć wojnę o Wojnę zawsze, gdy tylko się spotkają? W końcu co to ma za znaczenie, nawet gdyby pieniądze przysłał Ulisses Grant we własnej osobie? Pieniądz to pieniądz, a jak dają, to trzeba brać.

- Rozejm! - Salomea Brewton pomachała białą serwetką. - Jeśli dacie dojść do słowa Annie... dziewczyna ma coś do powiedzenia.

Oczy Anny płonęły z emocji.

- Dostałam dziewięć dziewczynek, które właśnie uczę czytać, a mam tylko jeden podręcznik. Gdyby ukazał mi się duch Papy Lincolna i zaproponował, że kupi jakieś książki, to ja... to bym go wycalowała!

I dobrze byś zrobiła - przyznała Scarlett w duchu. Gdy jednak potoczyła wzrokiem po obecnych, ujrzała malujące się na ich twarzach zdumienie. Tylko Edward Cooper miał jakby nieco inną minę. Oho, pewnie zakochany - pomyślała sobie. Tylko spójrzcie, jak ją pożera wzrokiem. A ona nawet niczego nie zauważa, nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest w niej zadurzony po uszy. Może by tak ją uświadomić? Jeśli już ktoś gustuje w takich wiotkich marzycielach, to nawet można by go uznać za przystojnisia. Hm... niczym nie różny od Ashleya.

Zauważyła, że Salomea Brewton także obserwuje Edwarda. Ich spojrzenia spotkały się... wymieniły dyskretne uśmiechy.

- Prawda, że wszyscy zgadzamy się z naszą Anną? - spytała Eleonora. - Emmo, jak sądzisz, możemy się przecież zgodzić?

- Zgoda. Książki są ważniejsze niż dawne urazy. Jestem po prostu przewrażliwiona. To chyba skutki odwodnienia. Czy ktoś w końcu przyniesie ten wrzątek?

Scarlett znowu pociągnęła za sznur. Może dzwonek się zerwał? Może trzeba by pójść do kuchni i wydać polecenia służbie? Spojrzała ze swego kąta na drzwi - właśnie się otworzyły.

- Mrs. Butler, dzwoniła pani po herbatę? - Rett pchnął nogą połówkę drzwi - ręce miał zajęte wielką srebrną tacą, na której stały czajniczek z wrzącą wodą, czajniczek z esencją, cukierniczka, dzbanuszek z mlekiem, sitko, trzy puszcзки z herbatą. Indie, Chiny czy rumianek? - spytał, uśmiechnięty, że niespodzianka się udała.

Rett! - Scarlett nie mogła złapać tchu. Ależ pięknie wygląda. Chyba dużo przebywał na słońcu, bo opalony był jak Indianin. Boże, jak go kocha, serce biło jej tak mocno, że

chyba wszyscy słyszeli.

- Rett, kochany, obawiam się, że zaraz zrobię scenę - Mrs. Butler chwyciła za serwetkę i obtarła łzy. - Mówiłeś, że jedziesz do Filadelfii po „jakieś srebra”. Ale żeby od razu cały serwis do herbaty... ten serwis! W dodatku nie tknięty. Prawdziwy cud!

- Ten cud jest bardzo ciężki - sapnął Rett. - Miss Emmo, zechce pani przesunąć tę imitację chińskiej porcelany nieco w bok? Wydaje mi się, że wspomniała pani coś o pragnieniu. Będę zaszczycony, jeśli nasyci pani to pragnienie serca... Salomeo, gdyby tak pani pozwoliła mi położyć męża trupem w okrutnym pojedynku, a potem uwieść się?

Rett postawił tacę na stole, po czym schyliwszy się pocałował trzy panie siedzące na kanapie. Obejrzał się.

Spójrz na mnie - bezgłośnie błagała Scarlett ze swego ciemnego kąta. Pocałuj mnie... Ale on nie widział jej.

- Małgorzato, bardzo ci do twarzy w tej sukni. Ross nie zasłużył sobie na taką żonę. Hello, Aniu, miło cię widzieć. Edwardzie, nie mogę powiedzieć tego samego w stosunku do ciebie, bo i jak mógłbym pochwalać twoje praktyki urządzania sobie w moim domu haremu, gdy ja tymczasem moknę w deszczu w najpaskudniejszej dwukółce w całej Ameryce Północnej, przyciskając do serca rodzinne srebra, by zachować je od Carpetbaggerów.

Rett spojrzał na matkę z taką czułością, że Emmie Anson łzy utkwily w gardle.

- Mamusiu, daj spokój z tym płaczem - zwrócił się do Eleonory. - W przeciwnym razie jestem gotów pomyśleć, że niespodzianka nie przypadła ci do gustu.

Mrs. Butler spojrzała na syna. Jej twarz promieniała miłością.

- Nieba niech cię błogosławią, dziecko drogie. Bardzo mnie uszczęśliwiłeś.

Scarlett nie mogła już tego wytrzymać ani minuty dłużej. Rzuciła się w stronę męża.

- Rett, kochanie...

Gwałtownie obrócił ku niej głowę. Twarz jego była surowa. obojętna, wszelkie uczucie zostało ujęte w karby żelaznej dyscypliny. Ale oczy miał pogodne - przez długą chwilę, chwilę bez tchu, spojrzenie Retta mierzyło się ze wzrokiem Scarlett. Po czym wargi wykrzywiły się mu w sardonicznym uśmiechu, który Scarlett знаła tak dobrze, którego tak bardzo się obawiała.

- Szczęśliwy człowiek - powiedział powoli czystym i dźwięcznym głosem - którego w domu wita niespodzianka większa od tej, którą przynosi.

Wyciągnął ku niej ręce. Scarlett złożyła swe drżące dłonie w jego dłoniach,

świadoma dystansu otwierającego się przed nimi na odległość wyciągniętych ramion Retta. Jego wąż musnął najpierw jej prawy policzek, potem lewy.

Najchętniej to by mnie zabił - przemknęło jej przez myśl, a bliskość zagrożenia przejęła ją dziwnym dreszczem. Rett wziął ją w ramiona, a jego dłoń niczym imadło zaciskała się wokół jej ręki.

- Szanowne panie... i ty, drogi Edwardzie... z pewnością zechcą nam wybaczyć, jeśli teraz was opuścimy - powiedział, zaś w jego głosie brzmiało osobliwe połączenie szczeniactwa i bezwzględności. - Zbyt wiele czasu już minęło, gdy po raz ostatni mogłem widzieć żonę. Zatem idziemy na górę, zostawiając was przy roztrząsaniu problemów Domu Konfederata.

Wypchnął Scarlett za drzwi i nawet nie dał jej okazji, by mogła pożegnać się z gośćmi.

12.

Gdy tak pędził ją po schodach w górę, gdy wepchnął ją do sypialni, nic nie mówił. Dopiero gdy zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami, dopiero wtedy zdołał z siebie wykrztusić.

- Scarlett, co ty tu u diabła robisz?

Chciała wyciągnąć ku niemu ramiona, lecz błyskawice wściekłości, które miotają oczy Retta, były wystarczającą przestrożą. Żrenice jej poogromniały, na twarzy odmalował się wyraz niezrozumianej niewinności. Głos jej się rwał, gdy mówiła, a jeśli nie mogła złapać tchu, to tylko dodawało jej uroku.

- Ciotka Eulalia napisała mi, jakie wieści tu rozsiewasz... o tym, jak bardzo tęsknisz za mną, która nie mogę ci towarzyszyć, bo sklep trzyma mnie w Atlancie. Kochanie, dlaczego nie zgłosiłeś się z tym wprost do mnie? Gdy muszę wybierać między sklepem a tobą, gwizdzę na sklep.

Ostrożnie spojrzała mu w oczy.

- Nic z tego, Scarlett.

- O czym mówisz?

- Nic z tego. Ani namiętne wyjaśnienia, ani spojrzenie naiwnej niewinności... nie weźmiesz mnie na żadną z tych przynęt. Wiesz przecież dobrze, żadne z twych kłamstw nie ukryje się przede mną. Miał rację, wiedziała o tym. Wobec Retta musiała być szczera.

- Przybyłam, ponieważ chciałam być z tobą - ileż zwykłej godności miało w sobie to proste stwierdzenie.

Rett spojrzał na nią - wyprostowaną, z dumnie podniesioną głową - i jego głos wyraźnie złagodniał.

- Droga Scarlett - powiedział. - Może kiedyś, gdy wspomnienia... pokryte patyną przemieszanej z goryczą nostalgii stracą na ostrości... może wtedy będziemy przyjaciółmi. Tak, może zdołamy związać ten stan, gdy wykażemy się cierpliwością. Ale oprócz przyjaźni... nic więcej.

Szybkim, niecierpliwym krokiem przeciął sypialnię.

- Co mam zrobić, by uświadomić ci tę prawdę? Nie chciałbym cię zranić, lecz najwyraźniej zmuszasz mnie do tego. Nie życzę sobie widzieć cię tutaj. Wracaj do Atlanty, Scarlett, zostaw mnie samemu sobie. Już cię nie kocham. Chyba nie można tego ująć bardziej jednoznacznymi słowami.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Zielone oczy płonęły niezdrowym ogniem,

widmowate na trupiobladej cerze.

- Ja także umiem wysławiać się w sposób prosty i jednoznaczny, mój drogi. Jestem ci żoną, a ty jesteś moim mężem.

- Istotnie, to bardzo niefortunny zbieg okoliczności. Ale podejmuję się naprawić ten błąd.

Jego głos brzmiał jak trzask bicia.

- Chcesz się rozwieść? - poruszyła bladymi wargami. - Nigdy, nigdy, nigdy. Nigdy nie dostarczę ci powodu. Jestem twoją żoną i jako dobra, znająca swą powinność małżonka, będę stać u twego boku, porzuciwszy wszystko, co dotychczas odciągało mnie od ciebie.

Teraz uśmiech triumfu wypłynął w kącikach jej warg - rzuciła swój atut.

- Miss Eleonora nie posiada się z radości mając mnie tutaj. Co powiesz matce, gdy mnie odepchniesz? Bo ja na pewno powiem jej całą prawdę... i złamię jej serce.

Rett ciężkim krokiem krążył po wielkim pokoju z kąta w kąt. Półszepem miotał przekleństwa - takie prostackie i takie wulgarne, że Scarlett słyszała je po raz pierwszy w życiu. Oto miała przed sobą tego Retta, którego знаła tylko ze słyszenia: mężczyznę, który owładnięty gorączką złota popędził do Kalifornii, który bronił swego majątku nożem i kopniakami podkutych butów. Oto Rett przemysłowiec, bywalec najpodlejszych hawańskich tawern, wyjęty spod prawa zabijaka, przyjaciel i towarzysz renegatów, takich jak on sam. Patrzyła i słuchała, przerażona i podniecona, nie zważając na groźby, którymi ją obrzucał. Wtem przestał się miotać niczym dzikie zwierzę w klatce. Spojrzał na nią: jego ciemne oczy ciągle lśniły, nie szaleł jednak, lecz dowcipem - czarnym, gorzkim i czujnym. Teraz stał przed nią Rett Butler - dżentelmen z Charlestonu.

- Szach! - oznajmił z wymuszonym uśmiechem. - Przeoczyłem niemożliwą do przewidzenia ruchliwość Królowej. Ale to jeszcze nie mat.

Podniósł ręce do góry w geście chwilowej kapitulacji.

Nie rozumiała, o czym mówił, lecz ten gest i osobliwy ton jego głosu podpowiadał jej, że coś... wygrała.

- Więc mogę zostać?

- Zostaniesz dopóty, dopóki sama nie zechcesz stąd wyjechać. Nie sądzę, aby to trwało zbyt długo.

- Tkwisz w błędzie, Rett. Kocham cię!

Jego twarz przeciął aż nazbyt dobrze znany grymas rozbawienia, sceptyczny i

wszechwiedzący jednocześnie.

- Jak długo już tu jesteś?

- Od wczoraj wieczorem.

- Coś podobnego, parę godzin i już polubiłaś Charleston? Błyskawiczna robota, gratuluję wrażliwości. Wyrzucili cię z Atlanty... aż dziw, że nie wytarzana w smole i pierzu... W Charlestonie zostałaś dobrze przyjęta przez damy, które nie umieją odnosić się do ludzi inaczej niż dobrze, a teraz myślisz sobie, że znalazłaś dla siebie azyl... - roześmiał się, widząc jej minę. - Ależ tak, kochanie, mam pewne znajomości w Atlancie. Wiem doskonale, jak cię tam traktowano. Nawet te męty, z którymi zwykłaś się zadawać... nawet ci nie chcą mieć z tobą nic wspólnego.

- Nieprawda! - krzyknęła. - Sama wyrzuciłam ich z domu.

Rett wzruszył ramionami.

- Nie będziemy o tym dyskutować. Na razie liczy się tylko to, że jesteś teraz w Charlestonie, w domu mej matki i pod jej skrzydłami. Ponieważ bardzo mi leży na sercu troska o jej szczęście, w tej chwili nie mogę powziąć niczego przeciwko tobie. Ale też nie muszę. I tak zrobisz to, co stać się musi, i to bez żadnych starań z mojej strony, bez mojego współuczestnictwa. Sama pokażesz, kim naprawdę jesteś... każdy będzie mi współczuć... wszyscy zechcą okazać litość mej biednej matce. A wtedy spakuję cię i odeślę z powrotem do Atlanty, ku niemej aprobacie całego towarzystwa. Pewnie myślisz, że jesteś w stanie przeskoczyć samą siebie i zwodzić świat manierami prawdziwej damy? Nawet ślepy i głuchy nie nabierze się na te pozory.

- Jestem damą, przeklęty głupcze! Sam nie masz pojęcia o dobrych obyczajach. Będę ci wdzięczna, jeśli zechcesz pamiętać, że moja matka pochodziła z Robillardów z Savannah, a rodzina O'Harów wywodzi się w prostej linii od królewskiego rodu Irlandii.

Uśmiech Retta, który miał jej starczyć za odpowiedź, był tak pobłażliwy, że mógł przyprawić o szaleństwo.

- Dajmy temu spokój, Scarlett. Lepiej pokaż mi suknie, które przywiozłaś.

Usiadł na najbliższym krześle i wyciągnął swe długie nogi.

Scarlett patrzyła nań zbyt wybita z równowagi tym jego niespodziewanym spokojem, by mogła coś powiedzieć. Tymczasem Rett wyjął z kieszeni cygaro i obracał je w palcach.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, jeśli zapalę we własnym pokoju.

- Nie... oczywiście, nie.

- Dziękuję. A teraz pokaż mi te suknie. Z pewnością wszystkie prosto spod igły. Zgaduję, że nigdy byś nie powzięła zamiaru odzyskania mych względów nie uzbroiwszy się wprzód w cały arsenał halek i jedwabi, wszystkie w tym paskudnym stylu, po którym można cię poznać z odległości paru mil. Nie pozwolę, abyś swoimi strojami wystawiała na pośmiewisko moją matkę. Pokaż więc, co spakowałaś do kufrów. Zobaczymy, co da się z tego ocalić.

Wyjął z kieszeni gilotynkę.

Scarlett obdarzyła go ponurym spojrzeniem, jednak zaraz udała się do ubieralni. Może to wcale nie był taki głupi pomysł: Rett zawsze przeglądał jej garderobę, lubił bowiem oglądać ją w strojach, które sam dla niej wybrał i był dumny, gdy wyglądała stylowo i pięknie. Jeśli więc znowu chciał się zajmować jej wyglądem, być dumnym na jej widok, była gotowa na współpracę. Przymierzy przed nim wszystko, co ma, niech ujrzy ją w pełnym blasku. Scarlett szybko przebierała palcami rozpinając suknię, którą właśnie miała na sobie - trzeba też było zdjąć przymocowaną do gorsetu poduszeczkę podtrzymującą z tyłu tiurniurę. Uwolniwszy się ze zwojów bogatej tkaniny porwała w ramiona najnowszą suknię i dostojnie wkroczyła do sypialni: ramiona miała nagie, pierś na wpół odkrytą, odkryte nogi w jedwabnych pończochach.

- Rzuć to na łóżko - mruknął Rett. - I załóż szlafrok zanim zdążysz się przeziebić.

Odwrócił głowę, wydmuchnął kłęב błękitnego dymu.

- Z deszczem zrobiło się chłodniej, nie zauważyłaś? I nie myśl, że jak się przeziebisz to będziesz bardziej ponętna. Tracisz czas.

Twarz Scarlett poczerwieniała z gniewu. Jej oczy przypominały zielone płomyki. Ale Rett nie zwracał na nią uwagi: surowym okiem spoglądał na suto zdobioną suknię, którą rozpostarła na łóżku.

- Odpruj te wszystkie koronki - wydał usta w grymasie niesmaku. - I zostaw tylko jedną z całej lawiny kokard... tutaj, na dole z boku. Wtedy nie będzie już taka najgorsza... A tę możesz oddać pokojówce, zupełnie beznadziejna... Od biedy ujdzie, tylko musisz wyrzucić riuszki, zmienić złote guziki na proste czarne i skrócić tren...

Krytyczny przegląd całej garderoby zabrał mu zaledwie parę minut.

- Będą ci potrzebne solidne buty, proste i czarne - oznajmił, gdy już ujrzał wszystko, co chciał zobaczyć.

- Kupiłam dziś rano parę - odparła lodowatym tonem Scarlett. - Z samego rana byłam na zakupach z Miss Eleonorą - dodała, podkreślając każde słowo. - Nie pojmuję, dlaczego nie kupisz jej powozu, skoro tak ją kochasz. Spacer bardzo ją zmęczył.

- Nie rozumiesz Charlestonu, moja droga. I dlatego nigdy nie zdołasz się tutaj zadowolić. Mogłem kupić matce ten dom, ponieważ nasz został zniszczony przez Jankesów, a wszyscy jej znajomi mieli wspaniałe rezydencje. Mogę nawet urządzić go lepiej niż ktokolwiek, ponieważ wszystko, co tu się znajduje, zostało zrabowane przez Jankesów lub też zostało wykonane jako kopia tego, co kiedyś posiadała, a jej przyjaciele nadal są w posiadaniu wielu z tych drobiazgów. Ale kupując jej wszystkie te luksusy, nieosiągalne dla jej znajomych, nie mogę jej oddzielić od przyjaciół, z którymi się żyła.

- Salomea Brewton jeździ powozem.

- Salomea to szczególny przypadek. Zawsze była inna niż wszyscy. To oryginałka, zaś Charleston zawsze darzył respektem... a nawet czułym przywiązaniem... wszystkie dziwactwa. Lecz nie znajdziesz tu pobbazania dla rażącego oczy przepychu. Ty natomiast, droga Scarlett, nigdy nie byłaś zdolna wyrzec się wystawnego trybu życia.

- Recie Butler, mam nadzieję, że dobrze się bawisz lżąc własną żonę.

Rett roześmiał się.

- Jako żywo. A teraz ruszaj do szycia. Musisz sprawić sobie skromną suknię na dzisiejszy wieczór. Ja tymczasem odwożę komitet do domu. W taką burzę Salomea nie powinna powozić.

Gdy wyszedł, założyła jego szlafrok. Był cieplejszy niż jej, a Rett w jednym przynajmniej miał zupełną słuszność - zrobiło się chłodniej niż przed burzą, Scarlett drżała z zimna. Otuliła się kołnierzem aż po uszy, po czym usiadła na krześle, gdzie on siedział przed chwilą. Ciągle jeszcze czuła jego obecność. Poprawiła się na krześle, szczelniej owinęła się w poły szlafroka. Opuszkami palców delikatnie przesuwiała po miękkim futrze - dziwne, że Rett lubił takie delikatne, niemal przewiewne materie - sam był przecież doskonale zbudowany, pełen wewnętrznej energii. Ale też niejedno było w nim bardzo tajemnicze. W gruncie rzeczy nie zna go, nigdy go nie znała. Na moment ogarnęła ją czarna rozpacz, szybko jednak strząsnęła to z siebie. Zerwała się z krzesła. Musiała być ubrana jeszcze zanim Rett wróci. Dobrze nieba, jak długo tak siedzi, śniąc na jawie? Już prawie ciemno. Chwyciła dzwonek i potrząsnęła energicznie. Pansy! Od różowej sukni trzeba odpruć koronki i kokardy, i to migiem, na wieczór ma być gotowa, poza tym trzeba rozgrzać żelazka do włosów. Specjalnie dla Retta musi wyglądać wyjątkowo pięknie i kobieco. Spojrzała na szeroką koldrę rozłożoną w poprzek wielkiego łóża; myśli, które w tej chwili kłębiły się jej po głowie, przyprawiły ją o rumieńce.

* * *

Lampiarz nie zdołał jeszcze dojść do górnego miasta, gdzie mieszkała Emma Anson, toteż Rett musiał jechać powoli. Zgarbiony wysuwał szyję do przodu, usiłując przebić wzrokiem kurtynę gęstego deszczu osłaniającą i bez tego ciemną ulicę. W zamkniętym powozie zostały już tylko Mrs. Anson i Salomea Brewton. Najpierw odwiózł Małgorzatę Butler - wraz z mężem Rossem zamieszkiwała mały domek przy ulicy Wodnej. Później pojechał na ulicę Szeroką do Domu Konfederata - Edward Cooper odprowadził Annę Hampton pod same drzwi osłaniając ją przed deszczem wielkim parasolem.

- Dalej pójde już na piechotę - zawołał do Retta z chodnika. - Nie ma sensu straszyć pań w powozie tym mokrym parasolem.

Edward mieszkał na ulicy Kościelnej, zaledwie przecnicę dalej. Rett dotknął czubkami palców szerokiego randa kapelusza na pożegnanie i zaciął konie.

- Sądziś, że on nas słyszy? - mruknęła Emma Anson.

- Ciebie ledwie słyszę przez ten deszcz, a przecież siedzimy obok siebie - prychnęła zgryźliwie Salomea Brewton. - Na miłość boską, pofolguj językowi. Deszcz huczy jak w studni. Deszcz przyprawiał Mrs. Brewton o irytację.

Deszcz uniemożliwiał jej prowadzenie powozu.

- Co myślisz o jego żonie? - spytała już nie tak konspiracyjnym szeptem Emma. - Przyznam, że zupełnie nie tego się spodziewałam. Czy widziałas już kiedyś coś równie groteskowego jak ten przeładowany ozdóbkami kostium wyjściowy, który miała na sobie?

- Och, suknię łatwo poprawić, a kobiety w większości są pozbawione smaku. Nie, na to nie zwracałabym większej uwagi. O wiele bardziej istotne jest to, że Scarlett Butler posiada niemałe możliwości... pytanie tylko, czy na tyle dojrzała, by umieć z nich skorzystać. Wielkie to obciążenie, być piękną i pozostać ślicznotką. Wiele kobiet nie potrafi wywikłać się z tego paradoksu.

- Ale jak ona flirtowała z Edwardem! Paradne.

- Wydaje mi się, że był to raczej odruch, trudno tu mówić o śmieszności. Poza tym mnóstwo mężczyzn oczekuje od kobiet dokładnie tego rodzaju traktowania... może w dzisiejszych czasach jest im to bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Stracili wszystko inne, co pozwalało im czuć się mężczyznami: bogactwo, ziemię, władzę... teraz pozostał tylko flirt.

Dwie kobiety siedziały przez kilka chwil w ciszy, myśląc o sprawach, o których ludzie dumni żyjący pod okupacją mówią raczej niechętnie.

Posępny nastrój przełamało chrząkanie Salomei.

- Tyle przynajmniej dobrego - powiedziała z nagłym ożywieniem - że żona Retta jest w nim zakochana po uszy. Gdy stanął w drzwiach, rzekłabyś, iż twarz Scarlett pojaśniała jak wschodzące słońce, widziałaś?

- Nie - odparła Emma. - Choć Bóg mi świadkiem, chciałabym to ujrzeć. Ale widziałam to samo gdzie indziej... na twarzy Anny.

13.

Scarlett nie mogła oderwać wzroku od drzwi. Co trzymało Retta tak długo? Eleonora Butler udawała, że nie dostrzega tych ukradkowych spojrzeń, lecz w kącikach ust dało się widzieć łagodny uśmiech. Wysmukłymi palcami gwałtownie przesuwała szydelko z kości słoniowej tam i z powrotem, zadzierzgamąc zawyły splot oczek. Właściwie powinno być miło - okna w salonie zostały szczelnie zasłonięte, burza i ciemności nie miały do nich przystępu, na stołach w obu przylegających do siebie pokojach paliły się lampy, złotawe, pełgające płomienie odpędzały jesienny ziąb i nieprzyjemną wilgoć. Ale Scarlett miała zbyt napięte nerwy, by w pełni chłonać ciepło domowego ogniska. Gdzie Rett? Czy kiedy wróci, też będzie zły?

Usiłowała śledzić tok wymowy Eleonory, lecz nie potrafiła się skoncentrować. W gruncie rzeczy co ją obchodził Konfederacki Dom Wdów i Sierot? Przebierała palcami po staniku, ale nie było już koronkowych kaskad, które jeszcze przed kilkoma godzinami mogły dostarczyć bezmyślnego zajęcia. Ani chybi nie obchodziłyby go jej suknie, gdyby ona sama była mu obojętna?

- ... tak więc szkoła narzucała się jakby w sposób naturalny, nie było bowiem innego miejsca, gdzie sieroty mogłyby znaleźć schronienie - mówiła właśnie Mrs. Butler. - Ale wszystko udało się lepiej, niż mogłybyśmy przypuszczać. W czerwcu tego roku sześć dziewcząt ukończyło naukę i teraz same pracują jako nauczycielki. Dwie poszły do Waterloo, jedna właśnie stoi przed wyborem miejsca... albo Yemassee, albo Camden. Jeszcze inna... słodkie dziewczę, doprawdy... napisała do nas, że... zaraz, pokażę ci ten list...

Gdzież on się podziewał? Cóż go trzymało tak długo? Jeśli będę musiała siedzieć tak dłużej, zacznę krzyczeć.

Brazowy zegar na kominku zaczął wybijać pełną godzinę. Scarlett aż podskoczyła. Dwa... trzy...

- Ciekawe, co zatrzymało Retta na tak długo? - wtrąciła Miss Eleonora.

... Pięć, sześć...

- Przecież wie dobrze, że kolację jadamy o siódmej, a ma zwyczaj smakować pierwszą szklaneczkę ponczu. Pewnie będzie przemoknięty do suchej nitki, powinien się przebrać.

Mrs. Butler odłożyła czólenko na stół.

- Tylko wyjrzę, czy deszcz przestał już padać.

Scarlett zerwała się na równe nogi.

- Ja pójdę.

Szybko podeszła do okna, uchyliła brzegu zasłony z ciężkiego jedwabiu i natychmiast opuściła z powrotem. Nad falochronem i promenadą przewalały się tumany gęstej mgły. Mgła kłębiła się na ulicy, grube jej pasma wirując unosiły się w górę, jakby były czymś żywym. Latarnia zataczała wokół mgławicy krąg światła, którego granic nie sposób było określić, w napierającej z wszech stron ścianie nieprzeniknionej bieli. Scarlett szybko odwróciła wzrok od niesamowitego szturmu grozy pełnej bezkształtności, a zwoje jedwabiu skryły przed jej oczami dziwaczne misterium.

- Bardzo mgliście - rzekła kierując wzrok ku środkowi salonu. - Ale nie pada. Myśli pani, że nic się Rettowi nie stało?

Eleonora Butler uśmiechnęła się.

- Obie wiemy, Scarlett, że wybrnął z gorszych opresji niż jesienna zawierucha i trochę mgły. Oczywiście, nic mu nie jest. Lada minuta, a usłyszymy go jak wchodzi.

I jakby za sprawą tych słów, dokładnie w owej chwili dobiegł ich trzask otwieranych frontowych drzwi. Scarlett posłyszała śmiech Retta i basowanie Manigo - lokaja.

- Zrobi pan najlepiej oddając mi zaraz u progu mokre rzeczy, buty też, Mr. Rett. Pantofle domowe stoją tutaj.

- Dziękuję, Manigo. Przebiorę się na górze. Powiedz Mrs. Butler, że zaraz zejść. Czy pani starsza jest w salonie?

- Tak, psze pana, ona i pani Rettowa.

Scarlett nasłuchiwała, ciekawa relacji, ale dobiegł ją tylko odgłos szybko stawianych kroków Retta wbiegającego po schodach. Nim zszedł z powrotem na dół, zdało się - wieki minęły. Ten zegar na kominku musiał być popsuty. Każda minuta wydłużała się w godzinę.

- Wyglądasz na zmęczonego, kochanie - powitała go Eleonora Butler, gdy tylko stanął w drzwiach.

Rett ujął jej dłoń i pocałował.

- Bardziej głodny niż zmęczony.

Mrs. Butler zrobiła taki ruch, jakby chciała podnieść się z krzesła.

- Powiem kuchni, że mogą podawać...

Ale Rett delikatnie dotknąwszy jej ramienia zatrzymał ją na miejscu.

- Nie spiesz się, najpierw chciałbym się czegoś napić.

Podszedł do stołu, gdzie stała taca z alkoholami. Kiedy nalewał do szklanki whisky, spojrzął na Scarlett po raz pierwszy.

- Zechcesz się do mnie dołączyć, kochanie?

Uniósłszy brew, wyraźnie z niej szydził. Tak jak rozchodzący się po salonie zapach whisky. Odwróciła się, jakby ją znieważono. Aha, chcesz grać w kotka i myszkę? Myśli, że uda mu się - jeśli nie siłą, to sztuczką - przywieść ją do uczynienia czegoś, co obróciłoby Miss Eleonorę przeciwko niej. Nie lada sprytem będzie musiał się wykazać, żeby ją wciągnąć w sidła. Usta jej się wygięły, oczy zaślniły groźnie. Nie lada sprytu trzeba tu będzie by mu się wymknąć. Czują, jak z podniecenia puls jej przyspiesza. Zawody zawsze ją ekscytowały.

- Eleonoro, nie sądzi pani, że Rett usiłuje nas zbulwersować? - wybuchnęła perlistym śmiechem. - Czy jako mały chłopczyk był równie paskudny?

Poczuła, jak za plecami Rett drgnął gwałtownie. A, tu cię mam! Obudziła w nim poczucie winy za te lata bólu, który przysparzał matce, za te lata dzikich wędrówek, hulaszczęj młodości - za to wszystko, co sprawiło, że ojciec się go wyparł.

- Podano do stołu, Mrs. Butler - oznajmił od progu Manigo.

Rett podał ramię matce. Scarlett poczuła ukłucie żądła zazdrości. Ale zaraz potem przypomniała sobie, że szacunkowi, którym Rett darzył Mrs. Butler, zawdzięczała możliwość pozostania w tym domu, toteż stłumiła uczucie gniewu.

- Jestem głodna, że gotowam zjeść wołu - powiedziała pogodnie. - Rettowi apetyt dopisuje chyba w równym stopniu, prawda, kochanie?

Teraz miała przewagę - pozwolił jej na to. Jeśli nie wykorzysta tego częściowego zwycięstwa, przegra całą grę i nigdy nie odzyska męża...

Jak się okazało, wszelkie obawy o to, jak rozegrać walkę przy stole okazały się bezpodstawne. Zaledwie zasiedli do kolacji, Rett przejął inicjatywę i pokierował rozmową. Zaczął opowiadać o swych filadelfijskich perypetiach w poszukiwaniu serwisu do herbaty, opowiadanie przerodziło się w opowieść pełną przygód, odmalowanych zgrabnymi słowy portretów ludzkich typów, z którymi przyszło mu się spotkać, a wszystko to zostało ubarwione przezabawnym naśladowaniem wymowy i charakterystycznych śmiechów owych ludzi, tak udatnym, że Mrs. Butler i Scarlett zaśmiewały się.

- I kiedy wreszcie po tylu poszukiwaniach wytropiłem nowego właściciela - zakończył Rett z teatralnym gestem przerażenia - wyobraźcie sobie mój przestach, gdy dowiedziałem się, że jest on człowiekiem zbyt uczciwym, by sprzedać mi te srebra za sumę dwudziestokrotnej ich wartości, a taką mu oferowałem. Przez chwilę gnębiła mnie myśl, że będę musiał je wykraść, szczęśliwym jednak zbiegiem okoliczności człek

ów uległ sugestii, by zabić czas miłą grą w karty.

Eleonora Butler usiłowała przywołać na twarz wyraz dezaprobaty.

- Mam nadzieję, że grałeś uczciwie - rzekła tonem bardzo surowym, choć słowa te były podszyte śmiechem.

- Mamo, zadziwiasz mnie! Rozdaję z rękawa jedynie wtedy, gdy mam do czynienia z zawodowcami. Tymczasem emerytowany pułkownik armii Shermana był amatorem do tego stopnia, że musiałem przegrać na jego korzyść kilkaset dolarów, by osłodzić gorycz porażki. Był niczym odwrotna strona Ellintona.

Mrs. Butler roześmiała się.

- Biedaczek! A jego żona... sercem wybiegam ku niej - matka Retta pochyliła się ku Scarlett.

- Coś w rodzaju kościotrupów w rodzinie z mojej strony - szepnęła kpiąco. Znowu wybuchła śmiechem, po czym pogrążyła się we wspomnieniach.

Ellintonowie, jak dowiedziała się Scarlett, znani byli wzdłuż i wszerz Wschodniego Wybrzeża ze swej słabości, mocno zakrzewionej w całej rodzinie: pasjami kochali hazard. Pierwszy Ellinton pojawił się na amerykańskiej ziemi - wtedy jeszcze kolonii - tylko dlatego, że wygrał patent własności ziemi założywszy się, kto wypije więcej piwa i nie padnie z nóg.

- Zanim jednak wygrał - dokończyła Mrs. Butler w zgrabnej konkluzji - był już tak pijany, że pomyślał sobie, iż dobrze byłoby rzucić okiem na wygraną, toteż wsiadł na statek. Ale mówi się, że zamroczony alkoholem nie wiedział nawet, dokąd płynie, bowiem wygrał w kości od marynarzy prawie wszystkie racje rumu.

- Co zrobił, kiedy wytrzeźwiał? - spytała Scarlett.

- Kochanie, przecież on nigdy nie był trzeźwy. Umarł zaledwie dziesięć dni po przybyciu na ląd. Zanim jednak umarł, zdążył zrobić parę innych zakładów i wygrał w kości dziewczynę... jedną ze służ, których wiele zaokrętowało się na ten statek... a kiedy później okazało się, że jest brzemienna, urządzono coś w rodzaju ślubu *ex post facto* przy kamieniu grobowym, zaś owoc tego związku stał się jednym z moich prapra - pradziadków.

- On też był wybornym graczem, prawda? - zapytał Rett.

- Oczywiście, w tej rodzinie to dziedziczne - odparła Mrs. Butler, po czym podjęła przerwana wędrówkę po różnych gałęziach drzewa genealogicznego.

Scarlett często spoglądała na Retta. Ileż to zagadek krył w sobie ten człowiek, którego zaledwie znała? Nigdy przedtem nie widziała go tak odprężonym, szczęśliwym,

tak absolutnie zadomowionym. Uświadomiła sobie wtedy, że nie zdołała nigdy stworzyć dlań prawdziwego domu. Zresztą, on nawet nigdy nie zdołałby go polubić. To był jej dom, urządzone tak, jak tego chciała, prezent, który jej podarował, coś, co nie należało do niego. Scarlett chciała przerwać opowieść, którą ciągnęła Miss Eleonora, chciała powiedzieć, że żałuje przeszłości, że naprawi wszystkie błędy. Ale siedziała w milczeniu. Rett był szczęśliwy, zadowolony z siebie i z zawilych wywodów matki. Nie powinna przerywać tego potoku.

Płomyki świec płonących w wysokich srebrnych kandelabrach odbijały się złotawym blaskiem w lśniącej powierzchni mahoniowego blatu stołu, w błyszczących źrenicach czarnych oczu Retta. Stół i ich troje spowijał ciepły, równomierny blask, tworząc wysepkę łagodnej poświaty w cienistym wnętrzu ogromnej, długiej jadalni. Od świata zewnętrznego odcinały ich grube zwoje zasłon, osłaniała migotliwa aureola wyspy światła. Eleonora mówiła głosem łagodnym, Rett śmiał się cicho, choć nie brak było w tym dziarskości. Między matką a synem miłość rozpięła wietrzną nić - delikatną lecz nie do zerwania. Scarlett poczuła nagle nieodparte pragnienie, by ją także ogarnęło to wiązanie.

A wtedy Rett powiedział - Mamo, opowiedz Scarlett o kuzynie Townsendie - i wówczas poczuła się zupełnie bezpieczna, ogarnięta ciepłem świec, włączona w nastrój szczęśliwości, niemal błagała Eleonorę o opowieść o kuzynie Townsendie.

- Townsendowie nie są naszymi prawdziwymi kuzynami - zaczęła Mrs. Butler. - Wiesz, to taka piąta woda po kisielu - lecz ten kuzyn, o którym mowa, jest w prostej linii potomkiem prapradziadka Ellintona, jest jedynym synem najstarszego syna najstarszego syna praprzodka. W ten sposób odziedziczył rodzinne gniazdo, namiętność gracza i szczęście praprzodka. Ellintonowie zawsze byli szczęściarzami, z jednym wszakże wyjątkiem: w drugiej odrośli rodu Ellintonów wszyscy chłopcy rodzą się z zezem. Townsend poślubił wielkiej urody dziewczynę ze starej i szlachetnej filadelfijskiej rodziny... całe miasto mówiło o małżeństwie księżniczki ze smokiem. Ale ojciec panny młodej był prawnikiem, człowiekiem bardzo łasym na pieniądze, a Townsend słynął z bogactwa. Nowożeńcy osiedlili się w Baltimore. I wtedy wybuchła wojna. Żona naszego bohatera uciekła do domu, gdy tylko dowiedziała się, że Townsend zamierza wstąpić do armii generała Lee. Była Jankeską, a Townsend prędzej dałby się zabić, niż na to przystać. Ale z powodu zeza nie umiał strzelać... nie wycelowałby nawet w stodołę, nie mówiąc już o drzwiach do stodoły... Jednak szczęście Ellintona ciągle mu sprzyjało. Chociaż przeszedł cały szlak aż do Appomattox, nie złapał nic gorszego nad

odmrożenie, podczas gdy trzej bracia i ojciec jego żony polegli, walcząc w Armii Unionistów. W ten sposób Mrs. Townsend odziedziczyła cały spadek po ojcu i jego zasobnych przodkach. Dziś Townsend mieszka w Filadelfii, żyje jak król i nawet ły nie uroni, że wszystkie jego posiadłości w Savannah skonfiskowała armia Shermana. - Widziałeś go, Rett? - Jak on teraz wygląda?

- Bardziej zezowaty niż kiedykolwiek, ma dwóch zezowatych synów i córkę, lecz ta dzięki Bogu odziedziczyła oczy po matce.

Scarlett zaledwie słyszała odpowiedź Retta.

- Eleonoro, mówiła pani, że Ellintonowie pochodzą z Savannah, czy nie tak? Moja matka też była stamtąd - zauważyła skwapliwie.

Nadzwyczaj rozgałęziona sieć związków rodzinnych była tym elementem codziennego życia Południa, który zawsze przyprawiał ją o frustrację. Wszyscy znajomi posiadali tylu kuzynów, wujów i ciotek, że wystarczyłoby na obdzielenie kilku pokoleń lub zaludnienie obszarów setek mil. Lecz ona nie miała zbyt wielu bliskich. Paulina i Eulalia były bezdzietne. Także bracia Geralda O'Hary, ci którzy mieszkali w Savannah, oni też nie mieli dzieci. Za to w Irlandii żyje chyba wielu O'Harów, tyle że Irlandia leży bardzo daleko stąd, a wszyscy Robillardowie z wyjątkiem jej dziadka opuścili Savannah.

I oto teraz znowu siedziała przy stole w obcym jej domu i słuchała o czyjejs rodzinie. Rett ma krewnych w Filadelfii. Niewątpliwie ma także jakichś powinowatych w Charlestonie. To niesprawiedliwe. Ale może ci Ellintonowie byli w jakiś sposób spokrewnieni z Robillardami. Jeśli tak, to stałaby się oczkiem w sieci spowijającej Retta. Może wtedy udałoby się jej nawiązać jakąś nić łączności ze światem Butlerów, z Charlestonem, ze światem wybranym przez Retta, a do którego postanowiła przeniknąć.

- Bardzo dobrze pamiętam Ellen Robillard - powiedziała Mrs. Butler. - A także jej matkę. Twoja babka, droga Scarlett, prawdopodobnie była najbardziej fascynującą kobietą w Georgii, zresztą w całej Południowej Karolinie.

Scarlett pochyliła się do przodu, oczarowana już tymi kilkoma słowami. Babkę знаła jedynie z fragmentarycznych, bardzo skąpych w szczegóły opowieści.

- Proszę mi powiedzieć, Miss Eleonoro... czy moją babkę naprawdę otaczała atmosfera skandalu?

- Istotnie, nadzwyczajna była to osoba - pokiwała głową. - Ale kiedy miałam szczęście poznać ją lepiej, nie było w niej nic skandalicznego. Dzieci zabierały jej każdą

wolną chwilę: najpierw więc ciotka Paulina, potem Eulalia, wreszcie Ellen, twoja matka. Właściwie byłem świadkiem jej urodzin. Pamiętam fajerwerki. Twój dziadek miał zwyczaj zapraszać z Nowego Jorku jakiegoś bardzo sławnego Włocha, aby urządzał wspaniałe popisy ogni sztucznych za każdym razem, gdy babka dawała mu dziecko. Nie pamiętasz tego, Rett, i nie sądzę, że będziesz miał mi za złe gdy powiem, że byłeś okrutnie przestraszony. Specjalnie wzięłam cię, abyś zobaczył ten fajerwerk, a ty płakałeś tak głośno, że omal nie umarłam ze wstydu. Wszystkie dzieci klaskały w ręce i krzyczały z radości. Oczywiście, były od ciebie starsze. Ty ciągle jeszcze siedziałeś w powijakach, miałeś nieco więcej niż rok.

Scarlett spojrzała najpierw na Mrs. Butler, potem na Retta. Nie, to niemożliwe! Rett nie mógł być starszy od jej matki. Ale cóż... matka to matka. W jej oczach zawsze była stara, już miała za sobą lata wielkich uniesień. Jakże Rett mógł być od niej starszy? Jakże mogła go tak rozpaczliwie kochać, skoro wiekiem przewyższała matkę?

A wtedy do jednego zaskoczenia Rett dorzucił drugie. Złożył serwetkę na stole, wstał, podszedł do Scarlett i pocałował ją w czoło, podszedł do matki i pocałował ją w rękę.

- Wychodzę, mamo.

Och, nie - cisnął się jej na usta krzyk pełen zawodu. Zbyt jednak oniemiała, by mogła wykrztusić bodaj słowo, choćby pytanie, dokąd idzie.

- Nie powinienes wychodzić na tę slotę - zaprotestowała Mrs. Butler. - Mglisto jest i ciemno, Scarlett będzie się niepokoić... Zaledwie powiedziałaś „dzień dobry”, a już odchodzisz!

- Przestało padać - odparł Rett. - I jest widno, bo księżyc w pełni. Nie mogę stracić szansy i nie wyruszyć z odpływem, a czasu mam zaledwie tyle, by złapać wysoką falę. Scarlett dobrze rozumie, że po długiej nieobecności w interesie trzeba sprawdzić, jak posuwają się prace wszczęte przed odjazdem, w końcu interesy to jej żywioł. Mam rację, prawda, kochanie?

Gdy na nią spojrzał, oczy rozbłysły mu płomieniami świateł, które odbiły się w jego czarnych źrenicach. Patrzył tak na nią przez chwilę, po czym wyszedł do hallu.

Zerwała się od stołu, a tak się spieszyła, że omal nie przewróciła krzesła. Bez słowa wybiegła za nim, zostawiwszy w jadalni Mrs. Butler samą.

Był już w sieni. Jedną ręką zapinał płaszcz, w drugiej trzymał kapelusz.

- Rett, Rett, zaczekaj! - krzyknęła za nim, nie zważając, że gdy obrócił ku niej twarz, widniało na niej coś jakby ostrzeżenie.

- Kolacja minęła tak miło... - zaczęła błagalnym tonem. - Dokąd idziesz?

Minął ją, pchnął drzwi z sieni do hallu: zamknęły się z ciężkim szczękiem klamki, wstrząsając ciszę pogrążonego w wieczornej drętwocie domu.

- Tylko bez scen, Scarlett. Tracisz czas.

I jakby czytał jej myśli, wycedził ostatnie słowa:

- Nie licz na to, kochanie, że będziesz dzieliła ze mną jedno łóżko.

Otworzył drzwi na ulicę. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyszedł. Drzwi powoli się zamknęły.

Scarlett tupnęła nogą, lecz ten drobny gest nie oddał w pełni gniewu i rozczarowania, które ją ogarnęły. Skąd u niego ta podłość? Wykrzywiła usta w uśmiechu - na wpół gniewnym, na wpół mimowolnym - niechętnie uznając spryt i przebiegłość Retta. Tak, wiedział, do czego zmierza. Dobrze, skoro tak, trzeba się wykazać większym sprytem, być bardziej przebiegłą, ot i tyle. Pomysł z dzieckiem należało porzucić, musiała wymyśleć coś innego. Wróciła do jadalni ze zmarszczonym czołem.

- Moja droga, nie denerwuj się - powitała ją Eleonora Butler - nic mu nie będzie. Zna rzekę jak własną kieszeń.

Stała przy kominku - nie chciała wchodzić do hallu i przeszkadzać małżonkom w pożegnaniu.

- Przejdźmy do biblioteki. Przytulnie tam, a tutaj niech służba sprzątnie ze stołu.

Usiadła w krześle o wysokim oparciu, bezpieczna od przeciągów. Nie, nie potrzebuję derki na nogi, tak jest zupełnie dobrze, dziękuję.

- Pozwoli pani, że ją otulę - zaproponowała, zdejmując z ramion kaszmirowy szal. - Proszę usiąść, droga Eleonoro, niech się pani rozluźni.

Zakrzętała się przy Mrs. Butler, dbając pilnie, by na nic nie mogła się uskarżać.

- Miła dziewczyna z ciebie, Scarlett, zupełnie jak twoja droga matka. Pamiętam, jak zawsze troszczyła się o wszystko, jakże wspaniałych manier była to osoba. Oczywiście wszystkie Robillardówny umiały stanąć na wysokości zadania, ale Ellen była zupełnie wyjątkowa...

Scarlett przymknęła oczy i wdychała subtelną woń cytrynowej werbeny. Wszystko zmierza ku dobremu. Eleonora ją kocha, sprawi, że Rett wróci do domu i będą żyli długo i szczęśliwie, na zawsze razem.

Wtulona w głębokie, miękkie krzesło, słuchając opowiadanych łagodnym głosem wspomnień lepszych czasów niemal usnęła, ukołysana senną atmosferą. Toteż gdy

jakiś hałas za drzwiami wyrwał ją z pogodnej drzemki, zupełnie nie wiedziała, co się dzieje. Przez chwilę nie mogła uprzytomnić sobie, ani gdzie jest, ani jak się tu znalazła; mętnym wzrokiem spoglądała na stojącego w drzwiach mężczyznę... Rett? Nie, to nie był Rett, nawet gdyby zgolił wąsy.

Wielki mężczyzna, który nie był Rettem, chwiejnym krokiem przestąpił próg.

Przyszedłem zobaczyć siostrzyczkę - powiedział dość bełkotliwym głosem.

Do Eleonory podbiegła Małgorzata Butler.

- Usiłowałam go zatrzymać - zawołała przez łyżę. - Ale coś go napadło... nawet nie chciał mnie słuchać.

Mrs. Butler powoli wstała z krzesła.

- Ucisz się, Małgorzato - rzekła spokojnie, lecz stanowczo. - Ross, oczekuję, że zechcesz się przywitać jak należy.

Mówiła niezwykle donośnie, dobitnie akcentując słowa.

Scarlett nareszcie zrozumiała: brat Retta. Sądząc z wyglądu, pijany. Cóż, nieraz już widziała pijanych mężczyzn, dla niej to nie nowina. Wstała, uśmiechnęła się, dołeczki w kącikach warg rozkosznie zadrgały.

- Jak szczęśliwa jest kobieta mając dwóch synów, jednego przystojniejszego od drugiego - zawołała spoglądając to na Eleonorę, to na Rossa. - Rett nie mówił mi, że jego brat ma tak dobrą prezencję.

Ross, zataczając się z boku na bok, ruszył w jej stronę. Dosłownie ostrzeliwał ją spojrzeniami, mierzył ją od stóp do głów. Jego wzrok zatrzymał się na jej z lekka rozczochranych włosach, musnął jej uróżowione policzki. To, co zrobił potem, trudno było nazwać uśmiechem - spojrzał na nią z ukosa, puścił perskie oko.

- Aha, to jest Scarlett - wybełkotał. - Powinienem być wiedzieć, że Rett skończy wreszcie na takim smakowitym kąsku jak ten tutaj... Jazda, Scarlett, dawaj nowemu braciszкови siostrzanego całusa! Wiesz dobrze, co lubią mężczyźni, w to nie wątpię.

Jego ogromne łapska zacisnęły się na jej ramionach niczym pajęczne macki, po czym ruszyły w górę, ku jej odsłoniętemu dekolтови. Zupełnie nieoczekiwanie jego otwarte usta znalazły się przy jej ustach. Jego skwaśniały oddech ział prosto w jej nozdrza. Nagle Scarlett poczuła, jak jego język usiłuje się wcisnąć między jej zaciśnięte zęby. Chciała podnieść ręce, chciała go odepchnąć, ale Ross był silniejszy, a jego ciało zbyt mocno zwarło się z jej ciałem.

Słyszała głosy Eleonory i Małgorzaty, nie była jednak w stanie zrozumieć, co mówiły. Całą swą uwagę skupiła na konieczności wyrwania się ze wstrętnych objęć, w

jej umyśle ciągle brzmiały uwłaczające komplementy, które padły z ust szwagra. Nazwał ją dziwką! I potraktował jak dziwkę...

Wtem, jak przedtem zupełnie niespodziewanie wziął ją w objęcia, tak teraz z nagłą ją odepchnął i cisnął na krzesło.

- Założę się, że dla mojego wielkiego brata nie jesteś taka oziębła - warknął.

Zza pleców Eleonory Butler dobiegł szloch Małgorzaty.

- Ross! - głos Mrs. Butler dźgał jak nóż. Ross wykonał niezgrabny półobrót. Zawadził o mały stoliczek, który miał z tyłu za sobą i mebel z trzaskiem runął na ziemię.

- Ross - powtórzyła Miss Eleonora. - Zadzwońłam już na Manigo, który pomoże ci trafić do domu i zapewni stosowną opiekę Małgorzacie. Gdy wytrzeźwiejesz, napiszesz list z przeprosinami... do mnie i do żony Retta. Zhańbiłeś siebie, mnie i Małgorzatę. Nie będziesz przyjmowany w tym domu aż do chwili, gdy otrząsnę się ze wstydu, o który mnie przyprawileś.

- Tak mi przykro, Miss Eleonoro - łkała Małgorzata.

Mrs. Butler położyła dłonie na jej ramionach.

- Drogie dziecko, współczuję ci z całego serca - powiedziała, po czym pchnęła ją lekko w stronę drzwi. - A teraz wracaj do domu. Ty, moja droga, jesteś tu zawsze mile widziana.

Stary i mądry Manigo, który niejedno już widział, potrzebował tylko jednego spojrzenia, by zorientować się w sytuacji. Ujął pod ramię Rossa - o dziwo, bez słowa protestu z jego strony - a następnie powoli ruszyli do wyjścia. Małgorzata powlekła się za nimi.

- Tak mi przykro - powtarzała co chwila, a jej płaczliwy głos słychać było aż do momentu, gdy został ucięty ponurym trzaskiem drzwi.

- Drogie dziecko - zwróciła się do Scarlett Eleonora. - Nie mam słów przeprosin. Ross był pijany i nie wiedział, co mówi, ale to go nie usprawiedliwia.

Scarlett cała była wstrząśnięta, nieprzytomna z obrzydzenia, z upokorzenia, z gniewu. Dlaczego do tego dopuściła, dlaczego pozwoliła się znieważyć, dlaczego brat Retta mógł chwycić ją i zbliżyć swe usta do jej ust? Powinnam była plunąć mu w twarz, wydrzeć mu oczy, wałnąć pięścią w tę szkaradną, cuchnącą głowę. Ale nie uczyniłam tego, dopuściłam, by stało się to, co się stało - jakbym zasłużyła na to, jak gdyby było prawdą to, co mówi. Czowała, że jest pohańbiona, zbrukana i na wieki upokorzona. Lepiej już dla niej, gdyby Ross ją pobił albo dźgnął nożem. Ciało może wydobrzeć z sińców lub

rany. Lecz duma, urażona duma nigdy nie wydobędzie się z tej zniewagi.

Eleonora pochyliła się nad nią, usiłowała objąć ją ramionami... Scarlett drgnęła pod pierwszym dotknięciem. Chciała krzyknąć - proszę mnie zostawić samą! - ale z jej ust wydobył się tylko jęk.

- Nie - powiedziała Mrs. Butler. - Nie odejdę póki mnie nie wysłuchasz. Jesteś w stanie to zrozumieć i dlatego musisz mnie teraz słuchać. Zbiegło się tutaj wiele spraw, o których nie masz pojęcia... Słuchasz mnie?

Przysunęła krzesło bliżej niej, usiadła, tak że dzieliło ją zaledwie parę cali.

- Nie! Proszę odejść - Scarlett zatkała uszy dłońmi.

- Nie odejdę - powiedziała Eleonora. - I będę ci to powtarzać raz za razem... jeśli trzeba choćby i tysiąc razy... aż zgodzisz się mnie wysłuchać... - jej głos płynął i płynął, łagodny lecz stanowczy, jej dłoń głaskała opuszczoną głowę Scarlett - pocieszając, kojąc, a chociaż Scarlett nie chciała jej dać posłuchu, te słowa i te gesty były przesłaniem jej dobroci i jej miłości.

- To, co Ross zrobił, jest nie do wybaczenia - mówiła - i dlatego nie proszę cię, byś mu przebaczyła, choć jednocześnie muszę cię o to prosić. Muszę, Scarlett. Ross jest moim synem, a ja wiem, że to ból pchnął go do tego, co zrobił. Moja droga, on wcale nie chciał cię zranić... byłaś tylko pretekstem: przez ciebie mierzył w Retta. Rozumiesz zapewne, że Rett jest dla niego zbyt silnym przeciwnikiem, jest zbyt potężny... Ross nigdy nie będzie w stanie mu dorównać. Rettowi wystarczy, że sięgnie ręką i ma to, czego pragnie... on sprawia, że sprawy biegną tak, jak chce, on sprawia, że dzieje się to, o czym pomyśli. A biedny Ross jest wiecznym nieudacznikiem... Dziś po południu Małgorzata powiedziała mi w największej tajemnicy, że gdy Ross poszedł rano do pracy, dostał odprawę. Wyrzucili go, bo za dużo pił. Zawsze pił, wszyscy mężczyźni piją, ale nie w ten sposób, jak to się zdarza Rossowi od czasu powrotu Retta do Charlestonu, rok temu. Ross usiłował postawić na nogi plantację, gdy tylko wrócił z Wojny przesiadywał tam dniami i nocami, jednak zawsze coś szło nie tak i nigdy nie udało się mu zebrać przyzwoitego plonu ryżu. Starczyło ledwie na opłacenie podatków. Kiedy więc Rett zaproponował, że kupi od niego tę plantację, Ross łatwo się zgodził... i tak miała należeć do Retta, tylko że on i ojciec... no tak, to już zupełnie inna historia... W każdym razie Ross dostał posadę kasjera bankowego, obawiam się jednak, że jego zdaniem obracanie pieniędzmi to zajęcie cokolwiek wulgarne. Dawnymi czasy dżentelmeni podpisywali rachunki, albo po prostu dawali słowo, a już do ich faktorów należało załatwienie reszty. Wracając jednak do rzeczy: Ross ciągle się mylił przy

okienku, bilans nigdy mu się nie zgadzał, zaś kiedy pewnego dnia popełnił szczególnie rażący błąd, stracił pracę. Gorzej. Ci z banku zapowiedzieli, że pójdą do sądu i zażądają, by Ross zwrócił im pieniądze, które omyłkowo wypłacił. Rett wyrównał wszystkie rachunki, ale to było dla Rossa niczym cios sztyletem w serce. I wtedy zaczęło się wielkie pijaństwo, które znowu kosztowało go posadę. Na domiar złego jakiś głupiec, a może po prostu nikczemnik puścił pogłoskę, że to Rett pomógł Rossowi otrzymać tę pierwszą posadę. Wtedy wrócił do domu i tak się upił, że aż nie mógł utrzymać się na nogach. Schlał się, mówiąc dosadnie... Tu muszę przyznać... Boże, odpuść... że bardziej kocham Retta, zawsze go bardziej kochałam. To mój pierworodny i kiedy po raz pierwszy wzięłam go w ramiona, na zawsze złożyłam me serce w jego maleńkich rączkach. Oczywiście, kocham także Rossa i Rosemary, lecz nie tak samo, jak Retta... obawiam się, że zdają sobie z tego sprawę. Rosemary myśli nawet, że to dlatego, iż Retta długo nie było w domu, a potem spadł tu nagle jak z nieba i kupił mi wszystko, co możesz zobaczyć w tym domu, a jej piękne suknie, o których tak marzyła. Rosemary nie pamięta, jak to było przedtem, zanim Rett nas opuścił, była wtedy jeszcze dzieckiem, dlatego nie wie, że Rett zawsze miał u mnie pierwszeństwo, ale Ross wie... on zawsze wiedział... tylko że jego faworyzował ojciec, toteż nigdy specjalnie nie dbał o miłość matki. Steven przegnał Retta, ustanowił spadkobiercą Rossa, bo go kochał, był z niego dumny. Ale teraz Steven już nie żyje, siedem lat minie w tym miesiącu, a Rett wrócił do domu, przepelniając radością całe moje życie, tego zaś Ross nie może znieść.

Mrs. Butler mówiła ochrypłym, nierównym głosem, napiętym z wysiłku powierzania synowej tajemnic serca. Teraz głos się załamał, zalała się gorzkimi łzami.

- Mój biedny chłopiec, biedny, zraniony Ross.

Coś chyba powinnam powiedzieć - pomyślała Scarlett. Trzeba coś zrobić, żeby poczuła się lepiej. Ale nie mogła. Sama była zbyt obolała.

- Eleonoro, proszę nie płakać - prosiła, choć zupełnie bezskutecznie. - Niech się pani z tego otrząśnie... Muszę panią o coś zapytać.

Mrs. Butler wzięła głęboki oddech, obtarła łzy i przybrała spokojniejszy wyraz twarzy.

- Tak?...

- Muszę się dowiedzieć - żarliwie zawołała Scarlett. - Muszę się dowiedzieć, a pani jest tą osobą, która może mi to powiedzieć... Proszę, niech pani mówi prawdę... czy ja wyglądam... czy ja wyglądam jak to, co on powiedział?

Chciała się upewnić, potrzebne jej było potwierdzenie wiary w samą siebie, chciała

usłyszeć słowa aprobaty z ust tej kochanej, rozsiewającej subtelny woń cytryny starszej pani.

- Najdroższe dziecko - westchnęła Eleonora. - To, jak wyglądasz, nie ma najmniejszego znaczenia. Rett darzy cię miłością. Ja też cię kocham.

Najświętsza Panienko! Jednym słowem Mrs. Butler powiada, że wyglądam jak dziwka, ale że to bez znaczenia. Czy ta kobieta jest szalona? Oczywiście, że to ma znaczenie, i to jeszcze jakie! Chcę być damą, za jaką się mnie uważa!

Schwyciła dłonie Mrs. Butler w rozpaczliwym uścisku nie zdając sobie sprawy z tego, że przyprawia ją o ból.

- Och, Miss Eleonoro, proszę mi pomóc! Proszę, potrzebuję pani pomocy.

- Ależ oczywiście, moja droga. Powiedz, proszę, czym mogę ci służyć.

Na twarzy Eleonory malowała się jedynie anielska łagodność i szczere uczucie - już przed laty posiadała sztukę ukrywania bólu.

- Pragnę się dowiedzieć, jaki błąd popełniłam, co ja takiego zrobiłam, że nie wyglądam jak dama. Bo przecież jestem damą, Eleonoro, jestem damą. Znała pani moją matkę, powinna pani wiedzieć, że jest jak mówię.

- Oczywiście, droga Scarlett, oczywiście jesteś damą. Oczywiście, wiem o tym. Jakże często zwodzi nas czyjś wygląd... istotnie, nie jest rzeczą słuszną przykładać tak wielkie znaczenie do wyglądu. Ale nie martw się. Wszystko poprawimy i nawet nie będzie nas to wiele trudu kosztować.

Mrs. Butler łagodnie uwolniła spuchnięte palce z żelaznego uścisku Scarlett.

- Drogie dziecko, tyle w tobie życia, iż zdało się, że cała żywotność świata skupiła się w tej jednej drobnej osóbcie. Widzisz... u nas, na Nizinach, w tym starym, znękanym mieście nadmiar wigoru może mylić postronnych obserwatorów. Nie, nie powinnaś się go pozbywać, to zbyt cenny dar. Po prostu musimy znaleźć jakiś sposób, żebyś nie rzucała się tak bardzo w oczy, żebyś nie była bardziej widoczna niż my wszyscy. Wtedy na pewno poczujesz się lepiej.

I ja także - dodała Eleonora Butler w myśli. Póki tchu w piersiach gotowa była bronić kobiety, którą - jak sądziła - darzył miłością Rett, gdyby jednak Scarlett przestała używać różu i nie ubierała się tak drogo, i tak krzykliwie, jej zadanie na pewno nie byłoby takie trudne. Eleonora postanowiła skorzystać ze sposobności i przystosować Scarlett do życia w Charlestonie.

Scarlett tyleż z wdzięcznością, co w świętej naiwności przyjęła dyplomatyczne podejście Mrs. Butler do problemu, który tak bardzo dawał się jej we znaki. Była

jednak zbyt bystra, by wziąć wszystkie jej wyjaśnienia za dobrą monetę - widziała, w jaki sposób Eleonora traktuje Eulalię i Paulinę. Lecz w tej chwili liczyło się tylko jedno: matka Retta gotowa była jej pomóc, w każdym razie teraz.

14.

Charleston, który ukształtował osobowość Eleonory Butler i przyciągnął Retta po latach awanturnicznych przygód, był starym miastem - jednym z najstarszych w Ameryce - położonym wzdłuż wąskiego trójkątnego półwyspu, z dwóch stron obramowanego szerokimi rzekami, których wody podnosiły się i opadały w rytm przyływów i odpływów, a które zbiegały się w ruchliwym porcie graniczącym z Atlantykiem. Założone w 1682 roku miasto już od swych pierwszych początków umiało połączyć nastrój romantycznej tęsknoty i zmysłowość tego, co obce z szybkim rozwojem i purytańskim samozaparciem, jakże charakterystycznymi dla kolonii Nowej Anglii. Słone wiatry kołysały palmami i pnączami wisterii, muskały płatki kwiatów, które w Charlestonie kwitły okrążyły rok. Ziemia była tu czarna, bogata, wolna od kamieni, na których gdzie indziej kruszyły się pługi; wody obfitowały w ryby, kraby, krewetki, żółwie i ostrygi, na drzewach gnieździło się ptactwo.

Statki z całego świata zawijały do charlestońskiego portu po ryż z rozległych plantacji nad dwiema rzekami, w zamian ofiarując garstce mieszkańców luksusowe przedmioty zbytku, gwoli zaspokojenia najbardziej nawet wygórowanych pragnień i potrzeby piękna. Charleston był najbogatszym miastem w Ameryce.

Szczęśliwie osiągnąwszy dojrzałość w wieku oświecenia, Charleston wykorzystywał swe bogactwa pomnażając piękno i rozwijając naukę. Stosownie do klimatu i szczodropliwości natury miasto korzystało z zasobności także ku uciechu zmysłów. W każdym domu utrzymywano kucharza, w każdym domu znalazłbyś salę balową, każda dama sprowadzała francuskie brokaty i indyjskie perły. Charleston miał swoje towarzystwa naukowe, koła miłośników muzyki i tańca, szkoły, gdzie udzielano wiedzy i uczono fechtunku. Miasto umiało zachować równowagę między cywilizacją i luksusem, tworząc w ten sposób kulturę nader wysublimowaną, której nie mające sobie równych przepych i wystawność utrzymywały w ryzach dyscyplina intelektu i korzyści płynące z wykształcenia. Mieszkańcy Charlestonu malowali swe domy wszystkimi kolorami tęczy, a przez cieniste ganki wiatr od morza wnosił do nich woń róż, owiewał je w najdelikatniejszej piśszczocie. W każdym domu był pokój, w którym stał globus, teleskop, a przy ścianach regały z książkami w wielu językach. W południe charlestończycy zasiadali do obiadu z sześciu dań, z których każde podawano na starych srebrach o spokojnym blasku, pamiętających niejedno pokolenie. Potrawy polewano sosem konwersacji, której dowcipność przedkładano nad przyprawę.

Oto i świat, który chciała teraz podbić Scarlett O'Hara, piękność z wiejskiego

Powiatu północnej Georgii, z okolic, gdzie ziemia czerwona, a obyczaje surowe, gdzie kończyły się obszary zamieszkałe przez ludzi. Chciała podbić ten świat zbrojna jedynie we własną energiczność, upór, powodowana straszliwą koniecznością. Proces jej adaptacji był okrutny.

Jeszcze przed wiekiem charlestończycy byli znani z gościnności. Nie było nic niezwykłego w tym, że ktoś sprosił sobie setkę gości, z których połowa to ludzie nieznani ani gospodarzowi, ani gospodyni, zawdzięczający swą obecność jedynie listom polecającym. Podczas Tygodnia Wyścigów - punktu kulminacyjnego życia towarzyskiego Charlestonu - pełno tu było przybyszów z Anglii, Francji, Irlandii i Hiszpanii, którzy przybywali ze swymi końmi całe miesiące wcześniej, tak by zwierzęta mogły się przyzwyczaić do klimatu i wody. Właściciele koni byli podejmowani przez tych mieszkańców miasta, którzy sami wystawiali zawodników w gonitwie, konie, podejmowane z nie mniejszą gościnnością niż ludzie, otrzymywały miejsca w stajniach tuż przy stadninie rywalizujących o palmę pierwszeństwa gospodarzy. Wielkoduszne było to miasto, otwarte dla każdego.

Aż wybuchła Wojna. Nieprzypadkowo pierwsze strzały Wojny Domowej oddano w Forcie Sumter strzegącym charlestońskiego portu. Albowiem cały prawie Charleston był symbolem tajemniczego i magicznego, obrośniętego pędami hiszpańskich kasztanów, rozsiewającego woń magnolii, świata Południa. Także i charlestończycy.

Co się zaś tyczy Północy: „hardy i arogancki Charleston” niczym refren powtarzały gazety w Nowym Jorku i Bostonie. Wojskowi, którzy stanęli po stronie Unii byli gotowi zburzyć to porośnięte kwiatami stare miasto o pastelowym kolorycie. Najpierw zatem zablokowano wejście do portu. Potem na okolicznych wysepkach ustawiono całe baterie dział. Na wąskie uliczki, na dachy starych domów posypały się kule armatnie. Obleżenie trwało prawie sto dni. Wreszcie armia Shermana wkroczyła z pochodniami i podpałała nadrzeczne osady. Kiedy oddziały Unii wmaszerowały do miasta, by zająć zdobycz, na ich spotkanie wyszły wyludnione ruiny. Trawa i chwasty porastały ulice i ogrody otaczające domy bez okien, bez dachów, o ścianach podziurawionych odłamkami pocisków. Wyszli im też na spotkanie zdziesiątkowani mieszkańcy, którzy stali się równie hardzi i aroganccy jak to przypisywano im na Północy.

Nowych przybyszów niechętnie witano w Charlestonie.

Naprawiono dachy, w miarę możliwości wstawiono w okna szyby, zaryglowano drzwi. Charlestończycy podtrzymywali obyczaje z czasów dawnej świetności, lecz tylko we własnym gronie. W splądrowanych salonach schodzili się na tańce i wodą w

poobijanych, posklejanych z kawałków pucharach wznosili toasty na cześć Południa. „Głodowe bale” - mawiali o tych przyjęciach i wybuchali śmiechem. Niechby tam sobie minęły czasy, gdy w kryształowych kielichach pijano francuskiego szampana - zawsze pozostaną mieszkańcami Charlestonu. Wprawdzie stracili swe bogactwa, lecz przecież zachowali prawie dwa wieki tradycji i stylu. Nikt nie był w stanie odebrać im tego. Wojna minęła, ale nie zostali pokonani. Nigdy nie będą pokonani, nieważne, co znowu wymyślą ci przekłeci Jankesi, jeśli tylko będą się trzymać razem - i nie dopuszczać do siebie żadnych obcych.

Okupacja wojskowa i gwałty Rekonstrukcji usiłowały wybadać stan ich nastrojów - trzymali się mocno. Jeden po drugim rządy stanowe wbrew woli obywateli porzucały Konfederację i ogłaszały przystąpienie do Unii. W Południowej Karolinie, a zwłaszcza w Charlestonie, było to nie do pomyślenia. Od zakończenia Wojny minęło już ponad dziewięć lat, lecz uzbrojeni żołnierze nadal patrolowali stare uliczki, a manifestacje siły miały poskromić hardość miasta. Ciągłe zmieniające się prawa regulowały wszystko, począwszy od ceny papieru do wydawania pozwoleń na śluby i pogrzeby. Na zewnątrz Charleston sprawiał wrażenie miasta coraz bardziej opuszczonego, lecz tym silniej trwał w postanowieniu zachowania dawnego modelu życia. Odżył kadryl kawalerów wznowiony przez nowe pokolenia, wypełniając luki, które powstały wskutek rzezi pod Bull Run, Antietam i Chancellorsville. Dawni właściciele plantacji po pracy w charakterze subiektów lub prostych robotników dorabiali jako woźnice, albo pędzili na peryferie miasta i stawali do odbudowy długiego na dwie mile toru wyścigów konnych, albo znowu obsiewali za wdowi grosz kupioną trawą zboczony krwią gliniaste tereny wokół toru.

Krok po kroku, stopniowo i symbolicznie, charlestończycy odzyskiwali to, co stanowiło sam rdzeń ich życia w świecie, który już minął. Ale nie było w nim miejsca dla nikogo, kto wcześniej do niego nie należał.

15.

Pansy nie mogła ukryć zdumienia, gdy pierwszej nocy w domu Butlerów rozsznurowując panią z gorsetu otrzymała takie polecenie:

- Weź ten zielony kostium wyjściowy, który miałam na sobie dziś rano i dobrze go oczyść. Odpruj wszystkie ozdoby, włącznie ze złotymi guzikami, i przyszyj zwykle czarne.

- Miss Scarlett, a gdzie ja znajdę o tej porze czarne guziki?

- Nie dręcz mnie tymi głupimi pytaniami. Spytaj pokojówkę Mrs. Butler, jak jej tam... Celie. I obudź mnie jutro o piątej.

- O piątej?

- Ogłuchłaś? O piątej. A teraz zmykaj. Jutro rano kostium ma być gotowy.

Z westchnieniem ulgi Scarlett opadła na wielkie miękkie posłanie i złożyła głowę na poduszkach. Miała za sobą bogaty dzień, przeładowany wydarzeniami, nazbyt pełen emocji. Najpierw spotkanie z Eleonorą, później zakupy, potem to idiotyczne zebranie komitetu, wreszcie Rett, przychodzący nie wiadomo skąd ze srebrnym serwisem do herbaty w rękach... Jej ramię instynktownie zagarnęło pustą przestrzeń obok... Chciała, żeby tu był, ale może lepiej odczekać kilka dni, aż Charleston w pełni ją zaakceptuje. Biedny Ross! Nie, nie będzie myśleć ani o nim, ani o tym, co powiedział, ani o tym, co zrobił. Eleonora zabroniła mu wstępu do domu i pewnie już nigdy go nie ujrzy - taką miała nadzieję. Pomyśli o czymś innym. Na przykład o Mrs. Butler, która ją kochała i która pomoże jej odzyskać Retta, sama nie wiedząc nawet o tym.

Rynek to miejsce, gdzie wszyscy spotykają wszystkich i gdzie krążą nowinki - powiedziała Miss Eleonora. Dobrze, pójdziemy więc na rynek - jutro. Co prawda byłoby lepiej, gdyby nie musiała iść tam tak rano, już o szóstej. Ale konieczność to konieczność, muszę to zrobić ze względu na Charleston - pomyślała sennie. Taki tu ruch, ludzie wiecznie zajęci... ja także. Nie zdążyła ziewnąć, gdy zapadła w sen.

* * *

Rynek. Nie można było wybrać lepszego miejsca na przedstawienie się w roli charlestońskiej damy. Rynek był bowiem pierwszą zewnętrzną i widzialną formą nieuchwytnego ducha towarzyskiego życia tego miasta. Jak pamięć sięga tutaj zaopatrywano się w żywność. Pani domu lub - w rzadszych przypadkach - pan wybierał i płacił, a służąca lub woźnica pakował produkty do przewieszzonego przez ramię koszyka. Przed Wojną sprzedawcami byli niewolnicy, którzy przywozili wszelkiego

rodzaju dobra z pańskich plantacji. Teraz także można było ich spotkać na dawnych miejscach, ale byli już wolni. Koszyki dźwigali opłacani służący - jak w przypadku sprzedawców, byli to często ci sami ludzie z tymi samymi koszykami. Dla Charlestonu szczegóły tego rodzaju miały istotne znaczenie i życie niezmiennie biegło po tych samych torach.

Tradycja była ostoją społeczeństwa, żyć tradycją znaczyło: należeć do Charlestonu. Oto bezcenne dziedzictwo, którego Carpetbaggerzy czy żołnierze nie mogli ukraść. Szczególnie ujawniało się to właśnie na rynku i wszyscy mogli robić tu zakupy, także przybysze, miejsce bowiem było własnością publiczną. Ale dla nowych zakupy na rynku były prawdziwą męczarnią: dziwnym sposobem jakoś nigdy nie udawało się im pochwycić spojrzenia kobiety sprzedającej warzywa czy wzroku handlarza krabami. Czarni obywatele miasta byli charlestończykami nie mniej dumnymi niż biali. Kiedy obcy ze strutą miną pospiesznie uchodził z rynku, wszyscy wybuchali śmiechem. Albowiem rynek był wyłączną własnością charlestończyków.

* * *

Scarlett skuliła się w sobie, chciała wyżej postawić kołnierz. Lecz mimo jej wysiłków lodowate palce wiatru gładziły ją po szyi. Silnie drżała. Oczy ją piekły, w nogach miała ołów. Ile to mil trzeba było pokonać by przejść pięć przecznic. Szła prawie po omacku. Lampy uliczne znaczyły miejsca, gdzie mgła była jaśniejsza, lecz równie gęsta jak gdzie indziej w upiornie mglistej szarówce jesiennego świtu.

Skąd w Eleonorze tyle wesołości? Sunie naprzód jakby ziaęb jej się nie imał, jakby nie było ciemno niczym w piekle. Jakieś światełko z przodu - ulica. Scarlett szła potykając się co krok. Niechby wreszcie ten wiatr ustał! Co to? Zimny powiew przyniósł jakiś zapach... Pociągnęła nosem. Kawa! Może jednak zdoła wyjść z tego cało. Podniesiona na duchu wonią świeżo parzonej kawy ohotniej dorównała kroku Mrs. Butler.

Rynek był niczym bazar - oaza światła i ciepła, barw i życia - wysepka w bezkształtnej szarej mgle przedświtu. W murowane filary podtrzymujące wysokie, szerokie arkady wychodzące na okoliczne ulice wetknięto pochodnie: w ich jasnym blasku lśniły białe fartuszki i czepki na głowach uśmiechniętych czarnych kobiet, w jasnym świetle widać było towary poupychane w różnej wielkości i najróżniejszych kształtów koszach, poustawianych na długich, pomalowanych na zielono stołach. Ludzi było mrowie, większość krążyła od straganu do straganu, wszyscy coś mówili - kupujący do kupców, sprzedający do sprzedawców - w powietrzu unosił się gwar

targów - prowokujących, jak kazał rytuał, przeplatanych śmiechami, w których wszyscy znajdowali upodobanie.

- Najpierw kawa, Scarlett?

- Och, tak, z przyjemnością.

Eleonora Butler skierowała się ku pobliskiej grupie pań: w urękawiczonych palcach trzymały filiżanki z parującą kawą, popijały co chwilę, zabawiając się rozmową i wybuchając co pewien czas śmiechem, w czym nie przeszkadzał im zgłęb wokół.

- Dzień dobry, Eleonoro... jak tam zdrowie... Mildred, odsuń się kochanie, przepuść Eleonore... och, słyszałaś, że u Kerrisemów są w sprzedaży prawdziwe wełniane pończochy? W gazecie będzie o tym dopiero jutro. Wybierzesz się na zakupy ze mną i z Alicją? Dzisiaj po obiedzie... Och, Eleonoro, rozmawialiśmy właśnie o córce Lawinii. Biedaczka, dziś w nocy straciła dziecko. Lawinia z żalu odchodzi od zmysłów. Sądzisz, że twoja kucharka zechce zrobić tę swoją wspaniałą galaretkę z wina? Nikt nie umie tego tak świetnie jak ona. Mary ma butelkę bordo, ja przyniosę cukier...

- Dzień dobry, pani Butler. Widziałam, że pani idzie. Kawa gotowa.

- Proszę o jeszcze jedną filiżankę dla mojej synowej, Sukie. Panie, chcę wam przedstawić Scarlett, żonę Retta.

Pogawędki umilkły jak nożem uciał. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę Scarlett.

Uśmiechnęła się i schyliła główkę w lekkim ukłonie. Nie bez lęku spojrzała na grupę pań, drżąca w głębi duszy, że słowa Rossa rozniosły się po mieście. Nie powinna była przychodzić tutaj, nie przeżyje tego. Zaciśnęła szczęki, czuła, jak w plecach utkwiała jej jakaś niewidzialna drzazga. Spodziewała się najgorszego. W mgnieniu oka powróciły jej zadawnione urazy wobec charlestońskiej arystokracji.

Ale uśmiech nie spełził z jej warg. Kiwała główką do każdej z pań, której przedstawiła ją Eleonora... Tak, już pokochałam Charleston... tak, proszę pani, jestem siostrzenicą Pauliny Smith... nie, proszę pani, jeszcze nie byłam w galerii, przyjechałam dopiero przedwczoraj wieczorem... tak, proszę pani, targ jest naprawdę wspaniały... w Atlancie, a właściwie raczej w Powiecie Clayton moi krewni mają plantację bawełny... och, tak, proszę pani, pogoda istotnie się zmieniła, te ciepłe zimowe dni... nie, proszę pani, nie sądzę, abym miała przyjemność poznać pani bratanka z Valdosty, to kawał drogi z Atlanty... tak, proszę pani, lubię grać w wista... och, jakże pani dziękuję, w istocie spragniona jestem łyżką kawy...

Skryła twarz za filiżanką. Robota wykonana. Miss Eleonora ma nie więcej oleju w

głowie niż pawica - pomyślała buntowniczo. Jak mogła mnie wystawić na pastwę tych tutaj... Pewnie sobie myśli, że mam pamięć niczym słoń. Tyle nazwisk... wszystko mi się poplątało. A te paniusie też patrzą na mnie jakbym była słonią... w każdym razie jakbym urwała się z zoo. Pewnie już wiedzą o tej awanturze z Rossem, wiem, że wiedzą. Eleonorę mogą zwieść ich fałszywe uśmiešky, ale nie mnie. Stado starych kocie! Przygryzła brzeg filiżanki.

Nie zdradzi się przed nimi ze swymi uczuciami, nawet gdyby miała oślepnąć od powstrzymywania łez. Ale policzki pały jej różem.

Gdy skończyła kawę, Mrs. Butler wzięła od niej filiżankę i oddała ją, razem ze swoją, zajętej pracą kawiarence.

- Będziesz musiała wydać mi resztę, Sukie, powiedziała, wręczając jej pięciodolarówkę.

Sukie zreźnie chwyciła filiżanki, szybko zanurzyła je w wiadrze pełnym brązowej wody, postawiła je na stole, wytarła ręce fartuchem, wzięła banknot i włożyła go do skórzanego mieszka u pasa, po czym, nie spojrzawszy nawet, co się jej wyjęło, wyciągnęła papierową jednodolarówkę.

- Proszę, tu pani reszta, Mrs. Butler. Kawa smakowała?

Scarlett osłupiała: po dwa dolary za filiżankę kawy! Za tyle pieniędzy można było kupić na Królewskiej najlepszą parę butów.

- Jak zawsze, Sukie, chociaż musiałam zapłacić za kawę ze śniadaniem, a nie dostałam nawet bułki z masłem. Nie wstydzisz się za ten rozbój w biały dzień?

Białe zęby Sukie błysnęły w zadowolonym uśmiechu.

- Skądżeby, psze pani! - zagrzmiała zupełnie z siebie rada. - Bóg mi świadkiem, sen mam dobry.

Stojące wokół panie wybuchnęły śmiechem - w swoim czasie każda musiała przeżyć coś podobnego, nie raz jeden, zresztą.

Eleonora Butler powiodła wzrokiem, aż w końcu wyłowiła z szarówki Celie i jej koszyk.

- Kochanie, pozwól - zwróciła się do Scarlett. - Mamy długą listę sprawunków. Musimy się pospieszyć, zanim targ się skończy.

Scarlett podążyła za Mrs. Butler aż na sam koniec hal, gdzie jeden za drugim stłoczone były rzędy stołów, a na nich poszczerbione balie pełne frutti di mare wydzielających ostry zapach. Scarlett zmarszczyła nosek spoglądając z odrazą. Zawsze myślała, że zna się na rybach. W rzece opływającej Tarę pełno było wstrętnych,

wąsatych, ościstych zębaczy. Jak już nie było nic do jedzenia, musieli jeść i to. Ale żeby dzisiaj ktoś jeszcze chciał kupić tę odrażającą drobnicę, której wszędzie było tu pełno! Widziała jednak, że wiele pań przechadzało się wokół straganów, a nawet, zdjawszy rękawiczkę, gołymi rękami grzebały w baliach. Psiakość! Eleonora najwidoczniej zamierzała przedstawić ją każdej z nich. Szybko wywołała stosowny uśmiech.

Właśnie szczupła siwowłosa osóbką z naprzeciwnika wyciągnęła za ogon wielką srebrzystołoską sztukę.

- Miło cię spotkać, Eleonoro. Co myślisz o tej flądrze? Miałam ochotę na halibuta, ale jeszcze nie przywieźli, a ja nie mogę czekać. Nie pojmuję, dlaczego kutry nie przyplyną choć raz na czas, bo tak to tylko zwracają człowiekowi głowę o ciszy na morzu. No, ale dzisiaj to już chyba marna wymówka, bo jak wychodziłam z domu to wiatr omal nie zwał mi czepka z głowy.

- Szczerze mówiąc, Minnie, sama wolę flądry, lepiej się nadają do sosu. Pozwól, że ci przedstawię... Scarlett, żona Retta. Droga Scarlett, oto Mrs. Wentworth.

- Witaj, dziecko. A podług ciebie to ta flądra dobrze wygląda?

Wygląda ohydnie - jęknęła w duchu, ale pod nosem mruknęła niewyraźnie:

- Zawsze miałam słabość do fląder.

Pozostawało tylko żywić nadzieję, że nie wszystkie przyjaciółki Eleonory będą chciały zasięgnąć jej zdania w tej kwestii. Bogiem a prawdą, nie miała nawet pojęcia co to takiego ta flądra, nie mówiąc już o tym, czy jest dobra, czy zła.

Nie minęła godzina, a Scarlett poznała ponad dwadzieścia pań i kilkanaście gatunków ryb. Otrzymała też gruntowne wykształcenie co do frutti di mare. Kupując kraby Mrs. Butler obeszała pięć stoisk, zanim w końcu wybrała osiem sztuk.

- Myślisz sobie pewnie, że jestem okropnie wybredna - powiedziała, gdy wreszcie dokonała zakupu. - Ale zupa krabowa nie smakuje tak samo gdy zrobisz ją z samców. Ikra daje bulionowi specyficzny smak, sama się przekonasz. A chociaż o tej porze roku niełatwo znaleźć samice, warto zadać sobie trud.

Scarlett zupełnie nie obchodziła płęć produktów do zupy. Była natomiast przerażona odkryciem, że kraby żyły, czołgały się po baliach, wymachiwały szczypcami trzaskając nerwowo, kiedy wspierały się jeden na drugiego w zamiarze ucieczki. Teraz słyszała ten sam szelest w koszyku Celie, gdy usiłowały rozerwać papierowy worek, w który je upchnięto.

Krewetki, choć martwe, wyglądały jeszcze gorzej. Ich oczy osadzone na słupkach były przerażająco czarne, poza tym miały długie obwisłe wąsy, macki i najeżone

kolcami żołądki. Po tym, co tu ujrzała, nie będzie w stanie zjeść czegokolwiek o podobnym wyglądzie, a o jedzeniu z apetytem nie mogło być mowy.

Ostrygi nie przyprawiały jej o równie przykre wrażenia, wyglądały jak brudne kamienie. Lecz gdy Mrs. Butler chwyciła ze stołu zakrzywiony nóż i otworzyła jedną muszlę, Scarlett zrobiło się ciężko w żołądku. To wygląda jak flegma pływająca w starych pomyjach.

Po frutti di mare widok stołów rzeźniczych zdał się krzepiący swojskością mimo roju much krążących nad strzępami pokrwawionych gazet, na których rozłożono mięso. Usiłowała uśmiechać się do Murzynka odpędzającego owady wielkim wachlarzem w kształcie serca wykonanym z czegoś w rodzaju splecionych źdźbeł słomy. Zanim dotarły do stołów z drobiem, którego skręcone karki zwisały bezwładnie, była już zdolna pomyśleć o tym, że może by tak piórami niektórych ptaków przyozdobić kapelusze.

- Którymi piórami? - spytała Mrs. Butler. - Bażancimi? Oczywiście, proszę bardzo, kochanie.

Szybko ubiła interes z otyłą, atramentowej czerni Murzynką sprzedającą drób, po czym wręczwszy jej jednego pensa własnymi rękami pozbawiła ogonów kilka bażantów.

- Co, u licha wyprawia ta Eleonora? - dobiegł Scarlett czyjś znajomy głos, ale nie z boku lecz jakoś spod łokcia. Rozejrzała się i zobaczyła twarz małpiszona. Salomea Brewton.

- Dzień dobry, Mrs. Brewton.

- Dzień dobry, Scarlett. Powiedz mi, po co Eleonora kupuje bezużyteczne części ptaka? Może ktoś wynalazł sposób gotowania potraw z piór? Mam w domu kilka starych pierzyn, w tej chwili bezużytecznych.

Scarlett wyjaśniła. Czują, jak oblewa się purpurą. W Charlestonie może tylko „smakowite kąski” nosiły zdobne w pióra nakrycia głowy.

- Wspaniały pomysł! - zawołała Salomea ze szczerym entuzjazmem. - Mam stary cylinder do jazdy konnej. Parę kokard i tren z piór sprawią, że będzie jak nowy... o ile w ogóle da się go znaleźć. Tyle już czasu minęło od dnia, gdy po raz ostatni miałam go na głowie. Jeździsz konno, Scarlett?

- Nie. Kiedyś, to znaczy... - wyteżyła pamięć, chcąc przywołać ów dzień, gdy po raz ostatni siedziała na koniu.

- Wiem, wiem, to było przed Wojną. Ja także nie jeździłam od przed Wojny. I

strasznie mi tego brak.

- Czego ci brak, Salomeo? - podeszła do nich Mrs. Butler. Podała Celie pęk piór.

- Obwiąż je z obu końców sznurkiem. I żeby się nie połamały.

Wtem westchnęła.

- Przepraszam - roześmiała się. - Na śmierć bym zapomniała o kiełbasach Brewtona. Dzięki Bogu, że cię zobaczyłam, Salomeo. Od razu w głowie mi przejaśniało.

Po czym rzuciła się w pościg za pokojówką.

Widząc zakłopotaną minę Scarlett, Mrs. Brewton uśmiechnęła się.

- Nie ma obawy, Eleonora nie zwariowała. Najlepszą kiełbasę sprzedają tylko w soboty, i to z samego rana. Masarz, który ją robi, był u nas dawniej lokajem, nazywaliśmy go Lukullus. Kiedy zniesiono niewolnictwo, przybrał sobie nazwisko „Brewton”, jak zresztą większość wyzwolenców. Gdybyś dała się zasugerować nazwiskiem, znajdziesz tu wśród sprzedawców całą charlestońską arystokrację. Rzecz jasna, jest też paru Lincolnów. Zechciej mi towarzyszyć, Scarlett, muszę jeszcze kupić warzywa. Eleonora i tak nas znajdzie.

Stały przed stołem z cebulą.

- Gdzie, u diabła, jest Lila?... A, tu jesteś! Scarlett, pozwól kochanie... Nie wiem, czy dasz mi wiarę, ale to małe półdiabło trzęsie mi całym gospodarstwem niczym Iwan Groźny. Lila, oto Mrs. Butler, żona pana Retta.

Ładna, młoda dziewczyna dygnęła w dwornym ukłonie.

- Proszę pani, musimy kupić dużo cebuli - zwróciła się do Salomei. - To do tych marynat z karczochów, co to je mam w koszyku.

- Widzisz, Scarlett? Jej to się zdaje, że cierpię na starczą sklerozę. Dobrze wiem, że musimy kupić cebulę.

Salomea wzięła ze stołu szarą papierową torbę i zaczęła pakować do niej cebulę. Scarlett spoglądała skoncentrowana, aż w końcu zupełnie odruchowo położyła rękę na torebce.

- Proszę mi wybaczyć, Mrs. Brewton, ale to nie jest dobra cebula.

- Nie jest dobra? A cóż złego może być w cebuli? Ta tutaj nie jest ani zgniła, ani nie puszcza pędów.

- Tę cebulę za wcześnie wyjęto z ziemi - wyjaśniła głosem pełnym przejęcia Scarlett.

- Wygląda ładnie, lecz nie jest dojrzała, nie ma smaku ni zapachu. Znam się na tym, bo sama kiedyś popełniłam ten sam błąd. Kiedy musiałam zająć się ziemią, zasadziłam cebulę. Ponieważ nie miałam zielonego pojęcia o rolnictwie, powyrywałam je z ziemi

gdy tylko pobrązowiwały łupiny w obawie, że zmarnieją i zaczną gnić. Były piękne jak na obrazku, a ja byłam dumna jak paw, bo i tak większość z tego, co posadziłam, zupełnie się nie udało. Jedliśmy tę cebulę gotowaną, duszoną i w potrawce, byleby tylko poprawić smak szopów i wiewiórek, bo innego mięsa wtedy nie było. Ale smaku cebuli nie było czuć ani na lekarstwo. Dopiero później, gdy kopałam ziemię, by zasadzić coś innego, znalazłam jedną przeoczoną w swoim czasie cebulkę. Tylko ta jedna z całego zbioru miała smak i zapach taki, jaki mieć powinna. Jak się okazuje, cebula potrzebuje czasu, żeby dojrzeć. Zaraz pani pokażę, które są dobre.

Wzrokiem eksperta spojrzała na stojące na stole kosze: wybierała i wahała.

- O, te się nadają - stwierdziła po dłuższych oględzinach, wojowniczo wysunawszy naprzód podbródek. Możesz sobie myśleć, żem wiejska prostaczka - mówiła sobie w duchu. Ale nie wstydzę ubrudzić sobie rąk, gdy już muszę. Wszyscy pewnie uważacie się za alfy i omegi, lecz tak naprawdę daleko wam do tego.

- Dziękuję - powiedziała z jakąś dziwną zadumą Mrs. Brewton. - Jestem ci bardzo wdzięczna. I widzę, że wyrządziłam ci niesprawiedliwość myśląc, że osoba tak piękna jak ty nie ma pojęcia o niczym. Co jeszcze sadyłaś? Nie miałabym nic przeciwko wykładowi o selerach.

Scarlett spojrzała Salomei prosto w oczy, lecz nie dostrzegła w nich cienia szyderstwa. Szczere zainteresowanie Salomei spotkało się z równie szczerą odpowiedzią.

- Selery były dla mnie wówczas warzywem zbyt wymyślnym. Miałam kilkanaście gąb do wykarmienia. Dlatego moja wiedza o warzywach ogranicza się do ziemniaków, marchwi i rzepy. I do bawełny.

Nie dbała, czy poczytano jej to za fanfaronadę, czy nie. Mogłaby się założyć o cokolwiek, że nie było w Charlestonie damy, która pocilaaby się w słońcu przy zbiorze bawełny!

- Chyba urobiłaś sobie ręce po łokcie - w oczach Salomei Brewton wyraźnie widać było szacunek.

- W końcu musieliśmy coś jeść - wzruszyła ramionami. - Całe szczęście, mam to za sobą.

Uśmiechnęła się. W obecności Salomei humor jej się poprawił.

- Nieźle się też wtedy zaznajomiłam z uprawą buraków. Rett powiedział mi pewnego razu, że zdarzyło się mu widzieć wielu ludzi, którzy będąc znawcami win odsyłają do kuchni podle trunki, ale ja byłam jedyna, która zrobiła to samo ze zlej

jakości marchewką. Zrobiłam to w najlepszej restauracji w Nowym Orleanie. Ależ to była awantura!

Salomea zaniósła się śmiechem.

- Chyba wiem, o jakiej restauracji mówisz. Czy kelner poprawił serwetkę na ręce i spojrzał z góry z niesmakiem?

Scarlett zachichotała.

- Nie. Serwetka ześlizgnęła się mu z ręki i upadła na tę maszynkę spirytusową, na których podgrzewają desery.

- I spłonęła? - spytała Mrs. Brewton krzywiąc usta w figlarnym uśmiechu.

Scarlett kiwnęła głową.

- Boże! - jęknęła Salomea. - Wiele bym dała, żeby to zobaczyć.

Przerwała im Eleonora Butler.

- O czym tak szczebioczenie? Też bym chętnie usłyszała coś wesołego. Brewtonowi zostały tylko dwa funty kielbasy, a i te już obiecał Minnie Wentworth.

- Poproś Scarlett, niech ci opowie - odparła Salomea ciągle zanosząc się śmiechem.

- Ta twoja dziewczyna to cud prawdziwy, Eleonoro. Niestety, muszę już iść.

Położyła dłoń na koszu cebuli wskazanym przez Scarlett.

- Wezmę ten - zwróciła się do sprzedawczynie. - Tak, Leno, cały koszyk. Przesyp to do worka i daj Lili. A jak tam synek? Ciągle ma koklusz? Zanim jednak zdążyła się uwikłać w dyskusję o najlepszych medykamentach na koklusz, odwróciła się i spojrzała Scarlett prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że zechcesz mówić do mnie „Salomeo”, i że znajdziesz czas, żeby mnie odwiedzić. Przyjmuję w każdą pierwszą środę miesiąca, po południu.

Scarlett nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że właśnie została przyjęta do najwyższych sfer charlestońskiego towarzystwa, gdzie trudniej było się przecisnąć niż przez ucho igielne, a gdzie wszystkie podziały i dystynkcje bardzo były przestrzegane. Drzwi, które z uprzejmości mogły się uchylić wąską szparką dla synowej Eleonory Butler, dla protegowanej Salomei Brewton stały szeroko otworem.

Miss Eleonora uprzejmie zastosowała się do sądów Scarlett co do ziemniaków i marchewek, które miały kupić. Później uzupełniono jeszcze zapasy mąki kukurydzianej, mąki pszenicznej i mamałygi. Na samym końcu Mrs. Butler kupiła masło, maślanekę, śmietanę, mleko oraz jajka. Kosz Celii pełen był po brzegi.

- Trzeba będzie wszystko rozpakować i lepiej ułożyć - powiedziała Eleonora nerwowo przygryzając wargi.

- Może ja coś poniosę - zaproponowała Scarlett. Chciała już jak najszybciej opuścić targowisko zanim spotkają nowych przyjaciół teściowej. Zatrzymywano ich co parę minut, tak że wędrownica po dziale warzywniczym i nabiałowym zajęła im ponad godzinę. Za to bardzo chętnie poznawała sprzedawczynie - chciała zapamiętać ich wygląd i nazwiska możliwie jak najdokładniej, była bowiem przekonana, że w przyszłości nieraz będzie miała z nimi do czynienia. Na pewno wytarguje niższe ceny. Miss Eleonora była dla nich stanowczo zbyt miękka. To ci będzie sztuka! Niech no tylko się dowie, na czym polega sztuka prowadzenia domu Butlerów, natychmiast podejmie się robienia zakupów. Wszystkich, z wyjątkiem ryb. Na sam widok robiło się jej słabo.

Ale zmieniła zdanie podczas obiadu. Prawdziwe objawienie! Zupa z krabich samiec była tak doskonałą harmonią aksamitnych smaków, że aż źrenice poogromniały jej z zachwytem. Nigdy w życiu nie kosztowała równie subtelnych rozkoszy - no, może poza Nowym Orleanem. Oczywiście! Przecież Rett określał wiele z zamówionych potraw jako ten czy inny rodzaj dania rybnego.

Scarlett otrzymała drugi talerz zupy i zachwycała się każdą kropelką. Po czym oddała pełną sprawiedliwość pozostałym daniom wykwintnego obiadu, z deserem włącznie - kremem z bitej śmietany, orzechów i kandyzowanych owoców - całość określona przez Mrs. Butler mianem „torciku hugenockiego”.

Po południu po raz pierwszy w życiu zdarzyło się jej cierpieć z powodu niestrawności. Ale nie z przejedzenia. Ze zdenerwowania, którego przyczyną były Eulalia i Paulina.

- Właśnie idziemy do Kariny - obwieściła zaraz od progu Paulina. - Może Scarlett zechciałaby pójść razem z nami. Przepraszam, że tak nie w porę, ale nie wiedziałam, że dopiero wstałyście od stołu.

Ściągnęła z dezaprobatą wargi, najwidoczniej potępiając obyczaj tak długiego przesiadywania przy obiedzie. Za to Eulalia cichutko westchnęła z zawiści.

Karina! Wcale nie chciała się z nią spotkać. Ale nie mogła tego powiedzieć, bo ciotki dostałyby ataku szału.

- Jakżebym chciała pójść z wami, ciociu - zawołała płaczącym głosem. - Ale właśnie zamierzałam wziąć zimny kompres na głowę i położyć się do łóżka.

Spuściła wzrok.

- Wiecie, jak to bywa.

Właśnie! Niech sobie myślą, że ma kobiece przypadłości. To zbyt drażliwa kwestia,

by ważyły się na zadawanie pytań.

I miała rację. Ciotki natychmiast rzuciły się do pospiesznego pożegnania. Odprowadziła je do samych drzwi, starając się sprawić wrażenie osoby, która ma straszliwe skurcze żołądka. Eulalia pocałowała ją w policzek i poklepała współczująco po ramieniu.

- Powinnaś teraz odpocząć - szepnęła.

Scarlett potulnie skinęła głową.

- I przyjdź rano o wpół do dziesiątej. Od nas z domu to już tylko pół godziny drogi spacerkiem do Panny Maryi. Będzie msza.

Scarlett spojrzała zaskoczona i przerażona. Msza! Coś podobnego nigdy nie przyszłoby jej do głowy.

W tej samej chwili omal nie zgięła się pod nagłym atakiem bólu.

Po południu trzęsa się w łóżku: kazała rozsznurować się z gorsetu, na brzuch położyła butelkę z ciepłą wodą. Niestrawność to przypadłość dotychczas jej nieznaną, czuła się bardzo niedobrze, była przerażona, lecz znacznie większą trwogą napawał ją nikczemny lęk przed Bogiem.

Ellen O'Hara była gorliwą katoliczką i zrobiła co mogła, by religia stała się fundamentem życia w Tarze. Zatem nie minął wieczór bez codziennych modłów, litanii i różańca, jako też nigdy nie ustała w łagodnym napominaniu córek o powinnościach i zobowiązaniach płynących z faktu, że były chrześcijankami. Ubolewała nad samotnością życia na plantacji bawełny - dotkliwie dawał się jej we znaki brak pocieszenia, które daje Kościół. Z właściwą sobie subtelnością usiłowała nadrobić ten brak w stosunku do rodziny, zatem jeszcze zanim osiągnęły dwunasty rok życia, Scarlett i jej siostry, za sprawą cierpliwego nauczania Ellen, znały na pamięć wszystkie nakazy katechizmu.

I oto teraz Scarlett wiała się w bólu przygnieciona poczuciem winy, bowiem od lat już tyłu lekceważyła sobie spełnianie praktyk religijnych. Pewnie matka ronila łzy w niebie. Och, dlaczego siostry Ellen O'Hary mieszkały właśnie w Charlestonie? W Atlancie nikt po niej nie oczekiwał, że pojedzie na mszę. Mrs. Butler nie zawracałaby sobie tym głowy, co najwyżej mogłaby oczekiwać, że wybierze się z nią do kościoła episkopalnego. To ostatnie nie byłoby wcale takie najgorsze. Scarlett żywiła bowiem niejasne przekonanie, iż Pan Bóg nie poświęca najmniejszej uwagi temu wszystkiemu, co dzieje się u protestantów. Ale za to w tej samej chwili, gdy jej noga przestąpi próg Panny Maryi, spojrzy na nią z góry wiedząc, że jest straszliwą grzesznicą, która u spowiedzi

nie była od... od... nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy była godna przystąpić do komunii i wszyscy oczywiście wiedzieli, dlaczego. Wyobraziła sobie niewidzialnych Aniołów Stróży, o których jako dziecku opowiadała jej Ellen. Przeróżające. Scarlett naciągnęła koldrę wysoko na głowę.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej wyobrażenia co do religii były zabobonne i błędne, podobne do przesądów epoki kamienia łupanego. Za to wiedziała doskonale, iż gnębi ją strach, że nie jest szczęśliwa i że dała się wpędzić w dylemat, oraz że ta sytuacja budzi w niej uczucie gniewu. Co powinna teraz zrobić?

Oczyma wyobraźni ujrzała łagodną, skąpaną w blasku świec twarz matki, opowiadającej rodzinie i służbie, że Bóg najbardziej ukochał zabląkaną owieczkę. Ale ta wizja niewiele dała jej pociechy. Nie potrafiła wymyśleć, w jaki sposób wykręcić się od tej mszy.

To niesprawiedliwe. Że też problemy zaczęły się nawarstwiać właśnie w chwili, gdy wszystko zmierzało ku dobremu. Mrs. Butler powiedziała jej, że partie wista u Salomei Brewton są niezwykle emocjonujące, a ona, Scarlett, może być pewna zaproszenia.

16.

Oczywiście, poszła na mszę. Ku zaskoczeniu Scarlett, stare obrzędy, wezwania i odpowiedzi dały jej dziwne ukojenie, niczym starzy znajomi w nowym życiu - tym, które zaczynała. Jak łatwo mogła przypomnieć sobie matkę, gdy jej wargi szeptały „Ojcze nasz”, jakże znajome były dla jej palców paciorki różańca. Ellen zapewne cieszyła się widząc, jak klęczy na modlitwie, a myśl o tym znacznie poprawiła jej samopoczucie.

Ponieważ nie dało się tego uniknąć, przystąpiła do spowiedzi i poszła odwiedzić Karinę. Klasztor i siostra zgotowały jej następne niespodzianki. Zawsze wyobrażała sobie klasztory jako coś w rodzaju fortec o pilnie strzeżonych, zamkniętych bramach, gdzie zakonnice od świtu do nocy szorują kamienne posadzki. Tymczasem Siostry Miłosierdzia mieszkały we wspinałym murowanym domu i w pięknej sali balowej prowadziły szkołę.

Karina promieniała szczęściem. W niczym nie przypominała tej milkiwej, pełnej dystansu dziewczyny, którą pamiętała Scarlett. Zmiana była tak radykalna, iż rzekłbyś, że masz przed sobą kogoś zupełnie innego. Jak tu się gniewać? Zwłaszcza na kogoś, kto sprawiał wrażenie osoby starszej, dojrzałej niż ta, którą znała jako młodszą siostrę. Karina - siostra Maria Józefa - przyjęła ją nadzwyczaj miło. Miłość i podziw, wyrażane tak swobodnie, bez przymusu, były dla Scarlett niczym fala ciepła. Gdybyż Zuela była choćby w połowie tak miła, nie czułaby się w Tarze odrzucona. Przyjemnie było odwiedzić Karinę i wypić z nią filiżankę herbaty w uroczym ogródku klasztornym, nawet jeśli Karina mówiła tak dużo o dziewczynkach, które uczyła arytmetyki, że Scarlett omal nie zasnęła.

Niedzielną msza, a po niej śniadanie u ciotek, następnie wtorkowa herbata u Kariny zdały się być jakże pożądanymi momentami wytchnienia!

Albowiem Scarlett cierpiała z powodu nadmiaru zajęć.

Nie minęły dwa dni od czasu gdy Scarlett dała Salomei Brewton wykład o cebuli, a na dom Eleonory Butler spłynęła lawica kart wizytowych z zaproszeniami. Eleonora była wdzięczna przyjaciółce, bo w końcu jej należało przypisywać to nagłe zainteresowanie. Znając wszystkie tajniki charlestońskiego życia, lękała się o Scarlett. Bo nawet w tych spartańskich warunkach powojennej rzeczywistości, życie towarzyskie w Charlestonie było niczym prawdziwe bagno - sama nie wiedziałaś, kiedy wpadniesz i zostaniesz uznana za nieistniejącą, jeśli istniały tu jakieś reguły zachowania, to bardzo ulotne, był to prawdziwy labirynt istniejącego bizantyjskiego wyrafinowania, zgotowany na

zgubę nieświadomym i nie wtajemniczonym.

Dlatego Eleonora usiłowała przeprowadzić Scarlett całą wśród tych raf.

- Nie musisz odpowiadać tym wszystkim, którzy cię zapraszają - tłumaczyła cierpliwie. - Wystarczy, jeśli pošlesz im własne karty wizytowe z zagiętym rogiem, co ma znaczyć, że zaproszenie otrzymałaś, chętnie z niego skorzystasz, ale w tej chwili nie możesz złożyć wizyty.

- Aha, to dlatego te karty były takie pogięte! - zawołała Scarlett. - A ja myślałam, że one tak krążą od domu do domu i już zdążyły się zedrzeć. Dobrze, chętnie złożę wizytę każdemu. Z przyjemnością zawrę każdą znajomość, cieszę się, że tyle osób ofiaruje mi przyjaźń. I wzajemnie.

Eleonora ugryzła się w język. Rzeczywiście, większość kart „krążyła od domu do domu i zdążyła się zedrzeć”. Nikt lub prawie nikt nie mógł pozwolić sobie na nowe. A ci, którzy mogli, nie byli przyjmowani w domach tych, którzy nie mogli. Przyjęło się zatem, że otrzymane karty wizytowe wykladało się w hallu na tacy, tak aby właściciele mogli je dyskretnie odebrać. Eleonora postanowiła jednak, że w tej chwili nie trzeba komplikować edukacji Scarlett świeżą porcją tych jakże szczególnych informacji. Miłe dziewczę pokazało jej przecież pudło pełne nowiutkich, lśniących bielą kart wizytowych prosto z Atlanty. Były tak nowe, że nawet nie zostały jeszcze rozcięte. Powinny wystarczyć. Na długo. W ogóle Mrs. Butler obserwowała sposób bycia Scarlett i poznawała jej poglądy z męzną determinacją, czuła się przy niej dokładnie tak samo jak wtedy, gdy trzyletni Rett zawołał do niej siedząc w pozie triumfalnej na najwyższej gałęzi, niebotycznie wielkiego dębu.

Lecz te obawy Eleonory były zupełnie zbędne. Salomea Brewton już zawczasu rozproszyła wszelkie wątpliwości.

- Ta dziewczyna - rozповідаła na prawo i lewo - ma potworne braki w wykształceniu i gust barbarzyńcy. Ale ma też w sobie niesłychaną żywotność i jakąś wewnętrzną moc, należy do gatunku ludzi, którzy zawsze wyjdą cali z wszelkiego rodzaju katastrof. Trzeba nam teraz tu, na Południu, a nawet w Charlestonie takich typów. A może zwłaszcza w Charlestonie. Ręczę za nią. Oczekuję, że ci, których uważam za przyjaciół zrobią wszystko, by czuła się jak u siebie w domu.

Wkrótce porwał Scarlett wir zajęć. Najpierw godzina lub dwie na targu, potem wystawne śniadanie w domu - zwykle ze sławną kiełbasą Brewtona - potem koło dziesiątej, zmiana toalety i wychodne. Za Scarlett drobnym krokiem pędziła Pansy dźwigając szkatułkę z kartami i cukierniczkę, gdzie oprócz zapasu dla pani nie

zapomniano też dosypać stosownej ilości cukru dla wszystkich spodziewanych gości, tak aby w tych czasach racjonowania tego rodzaju dóbr starczyło dla każdego. Do obiadu zdążyła zwykle złożyć pięć wizyt. Popołudnia rezerwowała dla pań, które w danym dniu właśnie „przyjmowały” lub urządzały partyjkę wista. O tej porze wyprawiała się także w gronie nowych przyjaciół na ulicę Królewską na zakupy, albo wraz z Miss Eleonorą sama przyjmowała gości.

Kochała to życie w biegu. Jeszcze bardziej kochała być w centrum uwagi wszystkich. A już uwielbiała te chwile, gdy posłyszała w czyichś ustach imię Retta. Kilka pań w starszym wieku wypowiadało się o nim krytycznie i nie kryły tego. Potępiały go już przed laty za jego młodzieńcze wybryki i miały nigdy mu tego nie zapomnieć. Jednak większość znajomych wybaczyła Rettowi te grzeszki młodości. Zestarzał się, ustatkował... i był bezgranicznie oddany matce. Starszawe damy, które same straciły synów i wnuków podczas wojny, doskonale rozumiały, dlaczego twarz Eleonory Butler promienieje szczęściem.

Młodsze panie spoglądały na Scarlett ze źle skrywaną zazdrością. Szczególną przyjemność miały w opowiadaniu wszystkich wieści, wszystkich plotek o tym jego nagłym wyjeździe z miasta bez słowa pożegnania. Niektóre zatem szeptały, że ich mężowie są w posiadaniu pewnych informacji, według których Rett finansował działalność grup wywrotowych dążących do obalenia rządu Carpetbaggerów. Inne przebąkiwały coś o tym, że Rett stara się odzyskać rodzinne meble i portrety Butlerów i że robi to prawem pięści. A już wszystkie panie posiadały dokładne wieści o wojennych wyczynach męża Scarlett, kiedy to lśniący czernią statek Mr. Butlera przedarł się przez blokadę Unii niczym siejący zagładę cień. Gdy mówiły o Recie, przybierały specjalny wyraz twarzy, jak to zwykle wtedy, kiedy mowa o czymś dziwnym, lecz z przymieszką romantyczności. Rett był raczej mitem niż człowiekiem z krwi i kości. I był mężem Scarlett. Jak mogły jej tego nie zazdrościć?

Porwana w wir zajęć Scarlett czuła, że jest w swoim żywiole. To były dla niej dobre dni. Zebrania towarzyskie dały jej to, czego potrzebowała po okresie straszliwej samotności w Atlancie. Szybko zapomniała, że przyjechała tu z rozpaczą w sercu. Atlanta się myliła, ot i tyle. Nie uczyniła niczego, co mogłoby usprawiedliwiać to okrucieństwo, czyż bowiem w przeciwnym razie zasłużyłaby na te wszystkie względy, które okazywał jej Charleston? Skoro wszyscy ją tutaj lubili, widocznie mieli jakies powody.

Ta myśl napełniała ją ogromnym zadowoleniem. Często do niej wracała. I zawsze,

gdy składała wizyty lub gdy przyjmowała gości z Mrs. Butler, albo gdy szła w odwiedziny do Anny Hampton, którą darzyła szczególnymi względami, czy wreszcie plotkując na targu przy filiżance kawy - zawsze wtedy czuła szczególnie silne pragnienie, by Rett mógł ją widzieć. Niekiedy nawet oglądała się przelotnie, miała bowiem wrażenie, że czuje na sobie jego wzrok, tak silne było to życzenie. Ach, gdybyż wreszcie wrócił do domu!

Myślami była najbliżej Retta zawsze wtedy, gdy po obiedzie siedziała przy kawie z Eleonorą, słuchając jej opowieści o synu, o tym, co kiedyś zrobił lub powiedział, a Mrs. Butler zawsze chętnie oddawała się wspomnieniom.

Nie były to tylko anegdoty z życia Retta, także inne dykteryjki, niekiedy niezmiernie śmieszne. Eleonorę Butler, jak większość charlestońskich dam, kształciły guwernantki i podróże. Była odcytana, choć nie była intelektualistką, wysławiała się w języku romansów poprawnie, choć miała straszny akcent, znała Londyn, Paryż, Rzym i Florencję, ale tylko od strony najslawniejszych atrakcji historycznych i luksusowych sklepów. Była wierna swej epoce, na zawsze miała dochować wierności swej klasie. Nigdy nie poddawała w wątpliwość autorytetu rodziców czy męża, spełniała swe powinności z pełnym poszanowaniem wobec obowiązków, bez słowa skargi.

Tym, co różniło ją od większości kobiet jej typu, było poczucie humoru - zrównoważone, ale też nie hamowane. Cieszyła się wszystkim, co życie niesie, uważała, że dola ludzka jest zasadniczo zabawna, była utalentowaną gawędziarką, a jej repertuar zaczynał się na zabawnych przypadkach z własnego życia. Mrs. Butler sięgała do skarbcza klasycznych południowych opowieści o trupie w każdej szafie.

Scarlett, gdyby w ogóle słyszała o „Baśniach z tysiąca i jednej nocy”, mogłaby nazwać Eleonorę osobistą Szeherazadą. Nigdy też nie zrozumiała, że Mrs. Butler usiłowała - niebezpośrednio wprowadzić i w bardzo subtelny sposób rozwinąć jej umysł i dać ukojenie sercu. Widziała bowiem wrażliwość oraz odwagę Scarlett - te same, które niczym magnes przyciągnęły ku niej umiłowanego syna. Przeczuciwała także, że coś w tym małżeństwie pękło, że stało się coś strasznego, coś co na zawsze zniechęciło Retta do niego. Wiedziała też, choć nikt jej o tym nie mówił, że Scarlett rozpaczliwie pragnęła odzyskać męża i miała własne powody, dla których bardziej zależało jej na zgodzie w rodzinie, niż samej Scarlett. Nie wiedziała do końca, czy w tym małżeństwie Rett może znaleźć pełnię szczęścia, serce jej jednak podpowiadało, że następne dziecko zapewniłoby mu trwałość. Kiedyś syn odwiedził ją z Bonnie - nigdy nie zapomni, jak cieszył się córeczką. Kochała tę dziewczynkę i tym bardziej życzyła Rettowi tego

szczęścia, które wtedy było jego udziałem. Sobie życzyła tej samej radości, którą czuła wówczas. Była zdecydowana uczynić wszystko, by te szczęśliwe chwile powróciły.

Ponieważ Scarlett nie miała dla siebie prawie wcale czasu, dopiero gdy minął już ponad miesiąc jej bytności w Charleston zauważyła, że jest znudzona. Zdarzyło się to w salonie Salomei Brewton - ostatnim miejscu pod słońcem, gdzie można byłoby się uskarżać na nudę, i to w chwili, gdy wszyscy rozprawiali o modzie. Początkowo z otwartymi oczami chłonęła wszystko, co gospodyni oraz jej przyjaciółki mówiły o Paryżu, a zachwytem nie było końca. Kiedyś zresztą Rett kupił jej paryski czepeczek - najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek zdarzyło się jej otrzymać. Zielony - podkreślający kolor oczu, rzekł jej wtedy - ze wspianiałymi kokardami z jedwabiu. Ale później zmuszała się do słuchania Alicji Savage, bo i cóż ciekawego mogła wiedzieć o strojach podstarzała koścista kobieta. Albo taka Salomea Brewton. Z jej twarzą i piersiami jak deska nic nie mogło leżeć na niej jak trzeba.

- Pamiętacie przymiarki u Wortha? - spytała Mrs. Savage. - Myślałam, że zemdleję stojąc tak długo na podium.

W tej samej chwili odezwało się jednocześnie kilka głosów, wyrażających ubolewanie z powodu brutalności paryskich krawców. Inne oponowały twierdząc, że to drobna niewygoda - warto ją było zapłacić za niską cenę i za jakość, którą tylko w Paryżu można otrzymać. Rozległo się parę westchnień poświęconych żalonym wspomnieniom po rękawiczkach, butach, wachlarzach i perfumach.

Scarlett automatycznie odwróciła głowę w stronę, skąd dochodziły ją głosy, z obowiązkowym wyrazem skupienia na twarzy. Gdy słyszała śmiech, też się śmiała. Lecz myślami była zupełnie gdzie indziej... ciekawe, czy został chociaż kawałek tej dobrej szarlotki, którą jadła na obiad - może podadzą ją na kolację... do niebieskiej sukni przydałby się nowy kołnierz... Rett... Spojrzała na zegar za plecami Mrs. Butler. Nie mogła wyjść osiem minut przed końcem. Salomea widziała jej spojrzenie. Musi uważać.

Ostatnie osiem minut dłużyło się jej jakby to było osiem godzin.

* * *

- Ubrania. O tym wszyscy mówili. Myślałam, że z nudów zwariuję! - bezwładnie opadła na krzesło naprzeciwko Mrs. Butler.

Zupełnie straciła zainteresowanie dla strojów od kiedy z pomocą matki Retta zredukowała garderobę do czterech tyleż „praktycznych” co bezbarwnych sukien, które zamówiła u krawca. Nawet suknie balowe niewiele ją obchodziły, bowiem na zbliżającą się w ciągu najbliższych sześciu tygodni całą serię balów, które miały się odbywać

niemal co noc posiadała zaledwie dwie toalety. Ale i one były w tych samych nudnych aż do przesady kolorach: jedna z błękitnego jedwabiu, druga z bordowego aksamitu. Krój też był nieciekawym, ozdób prawie żadnych. Lecz najnudniejszy nawet bal nie mógł się obyć bez muzyki i tańca - Scarlett kochała taniec. No i Rett powinien wreszcie wrócić. Gdyby tylko nie musiała czekać tak długo na otwarcie sezonu. Nagle te trzy tygodnie kiedy nie miała do roboty nic innego, niż tylko siedzieć przy stole i rozmawiać z kobietami, zdały się nieznośnie nudne.

Och, jakże pragnęła, by wreszcie zdarzyło się coś ciekawego!

Jej życzenie spełniło się bardzo szybko, choć wcale nie tak, jak sobie tego życzyła. Zamiast podniecenia miała przeżyć trwogę...

Zaczęło się od złośliwej plotki, na którą ludzie wybuchali śmiechem. Maria Elżbieta Pitt, stara panna już po czterdziestce, publicznie oznajmiła, że gdy obudziła się w środku nocy, w jej sypialni był mężczyzna.

- Widziałam go zupełnie wyraźnie - upierała się w odpowiedzi na przypuszczenia, że mógł to być sen. - Miał twarz w połowie zakrytą chustką, jak Jesse James.

- Jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak myślenie życzeniowe - skomentował te żale ktoś mało życzliwy - to mamy z nim do czynienia w przypadku Marii Elżbiety. Przecież ona jest o dobre dwadzieścia lat starsza od Jesse Jamesa.

Gazeta wykazała się refleksem i zamieściła serię artykułów w nader romantycznym oświetleniu przedstawiających śmiałe wyczyny braci Jamesów oraz ich gangu.

Ale już następnego dnia śmieszny incydent zyskał ponury ciąg dalszy. Alicja Savage także była panią po czterdziestce, za to dwakroć zamężną, a wszyscy wiedzieli, że naturę miała spokojną, usposobioną na wskroś racjonalnie. I oto ona też obudziła się w środku nocy i ujrzała stojącego przy łóżku mężczyznę, spoglądającego na nią w blasku księżyca. Intruz odsunął zasłonę, by wpuścić do sypialni więcej światła i spoglądał na Alicję spod chustki zakrywającej twarz od nosa w dół. Górną część twarzy zakrywał w cieniu daszek kepi, które miał na głowie.

Ubrany był w mundur żołnierza Unii.

Mrs. Savage krzyknęła, po czym chwyciła ze stolika książkę i cisnęła tomem w nieproszonego gościa, który zdążył jednak uciec na balkon zanim Mr. Savage dobiegł do sypialni.

Jankes! Nagle wszyscy poczuli się zagrożeni. Samotne kobiety zaczęły się bać własnego cienia, kobiety zamężne nie dość, że obawiały się o własne bezpieczeństwo, bały się w dwójnasób o własnych mężów, ponieważ mężczyzna, który znieważył

unionistę, szedł do więzienia, a nawet na szafot.

Następną noc i tej, która przysłała po niej, w damskich sypialniach materializowali się jankescy żołnierze. Ale po trzeciej nocy doniesiono o najgorszym: to już nie blask księżycy obudził Teodozję Harding, lecz dotknięcie ciepłej dłoni, przebierającej po kołdrze na wysokości piersi. Gdy otworzyła oczy, tylko ciemność spotkał jej wzrok. Słyszała jednak oddech mężczyzny, czuła jego utajoną obecność. Krzyknęła, potem omdlała. Nikt nie wiedział, co się stało później. Teodozję pospiesznie wyprawiono do kuzynów w Summerville. Wszyscy mówili, że jest zupełnie załamana. Bliska zidiocenia - dodawali pewni osobnicy bez serca.

Do kwatery głównej armii udała się delegacja charlestońskich mężczyzn z sędziwym adwokatem Josiah Ansonem jako rzecznikiem. Mieli zamiar patrolować nocami stare dzielnice miasta. Gdyby im się udało przyłapać intruza, chcieli się rozprawić z nim według własnego uznania.

Komendant wojskowy zgodził się na uzbrojone patrole. Jednocześnie ostrzegł delegację, że jeśli jakiś żołnierz Unii zostanie poszkodowany, winny może się spodziewać stryczka. Nie dopuści bowiem, by pod pozorem obrony charlestońskich kobiet wprowadzono w mieście samosądy lub dopuszczono się bojówkarskich ataków na oddziały Północy.

Obawy Scarlett - upiory, które już od lat ją prześladowały - zwały się teraz na nią niczym fala przyływu. Wzrosła w niej pogarda wobec wojsk okupacyjnych. Jak wszyscy w Charlestonie, od pierwszego dnia pobytu w tym mieście ignorowała ich obecność, a żołnierze w błękitnych mundurach schodzili jej z drogi, gdy szła na zakupy lub z wizytą. Teraz jednak, kiedy w polu widzenia pojawiała się plamka błękitu, ścinał ją chłód przerażenia. Każdy żołnierz w błękitnym mundurze mógł być tym nocnym intruzem, którego obraz aż nazbyt wyraźnie poddawała jej pobudzona wyobraźnia - zamaskowany człowiek wychylający się z ciemności. Sen miała niespokojny, zakłócony koszmarami - wspomnieniami tego, co kiedyś przeżyła. Natrętnie powracał obraz jankeskiego marudera, który zabłąkał się do Tary - czuła jak cuchnął, widziała jego plugawe owłosione ręce, grzebiące wśród świecidełek w szkatułce matki, widziała jego nabiegłe krwią oczy pożądliwie spoglądające na nią, widziała jego bezzębne usta ociekające śliną, widziała jak wykrzywia wargi w oczekiwaniu rozkoszy. Strzeliła. Usta i oczy straciły na wyrazistości, zamazane miazgą krwi, odłamków kości i lepkich, poplamionych czerwienią strzępów mózgu.

Nigdy nie zapomni głuchego łomotu wystrzału i upiornie czerwonej fontanny krwi,

nie zapomni tej gorączki, która ją ogarnęła, tego dwuznacznego uczucia zwycięstwa.

Gdybyż tylko miała pistolet do obrony siebie i Miss Eleonory.

Lecz w całym domu nie było broni. Przeszukała kredensy i kufry, szafy i szuflady w bielizniarkach, a nawet poodsuwała książki na półkach w bibliotece. Była bezbronna, zupełnie bezradna. Po raz pierwszy w życiu poczuła przyływ słabości, niezdolna zmierzyć się z przeszkodą na swej drodze, niezdolna pokonać zagrożenie. To wszystko całkiem ją sparaliżowało. Zaczęła błagać Eleonorę Butler, by dała znać Rettowi.

Eleonora uspokajała. Tak, oczywiście pośle mu wiadomość. Tak, napisze o tym, co mówiła Alicja, a mianowicie, że jest to człowiek olbrzymiej postury, zaś w jego nieludzko czarnych oczach odbija się nieziemska poświata księżyca. Tak, przypomni mu o tym, że w wielkim domu siedzą nocami zupełnie same - ona i Scarlett - bo służba idzie po kolacji do siebie, więc oprócz nich pozostaje tylko starzec Manigo oraz płochliwa Pansy, zupełnie niezdatna do obrony.

Tak, wyśle ekspresem, jak najszybciej, niech no tylko przyłyną z plantacji łodzie z dziczyną.

- Ale kiedy to będzie, proszę pani? Rett powinien już tu być! Po tej magnolii można się wspiąć na werandę jak po drabinie, a stamtąd dostać się do pokoju, to potrafi już byle dziecko! - chwyciła Eleonorę za ramię i potrząsnęła.

Mrs. Butler pogładziła ją po dłoni.

- Wkrótce, drogie dziecko, wkrótce przyłyną. Już od miesiąca nie mieliśmy na obiad dzikiej kaczki, a pieczona kaczka to moje ulubione danie. Rett o tym wie. Poza tym wszystko na pewno się ułoży. Ross i jego przyjaciele patrolują okolicę każdej nocy.

Ross! - Scarlett jęknęła bezgłośnie. Do czego był zdolny pijany Ross Butler? Czy którykolwiek z charlestończyków? Większość z nich to albo starcy, albo kalecy, albo dzieci. Gdyby naprawdę coś umieli, nie przegraliby tej głupiej Wojny. Niby skąd ta wiara, że teraz są w stanie pokonać Jankesów?

Jej niepokój nie ustawał w atakach na niepoprawny optymizm Eleonory Butler. Lecz Scarlett miała ponieść porażkę.

* * *

Przez czas jakiś można było ulec wrażeniu, że patrole uzbrojonych mężczyzn potrafiły odstraszyć intruza. Nie dało się słyszeć o nocnych wizytach umundurowanego Jankesa w damskich sypialniach. Nastąpiło ogólne uspokojenie. Scarlett odbyła nawet swój pierwszy „dzień przyjęć”, a salon Butlerów tak był oblegany, że ciotka Eulalia poskarżyła się na odchodnym, iż zabrakło ciasteczek. Eleonora Butler podarła

alarmujący list do Retta. Ludzie zaczęli swobodnie chodzić do kościoła, robili zakupy, grali w wista, wynosili na dwór wieczorowe stroje, by się przewietrzyły i cerowali dziury przed wielkim rozpoczęciem sezonu.

* * *

Z porannej tury wizyt Scarlett wróciła spieszonym krokiem z pałającymi policzkami.

- Gdzie Mrs. Butler? - spytała Manigo. Usłyszawszy, że pani w kuchni szybko pobiegła na tyły domu.

Słyszac jak Scarlett wpada do kuchni Eleonora Butler podniosła wzrok w stronę drzwi.

- Dobre nowiny, moja droga! Właśnie dostałam list od Rosemary. Pojutrze przyjeżdża.

- Lepiej niech zostanie - wydyszała Scarlett. Jej głos brzmiał chropowato i beznamiętnie.

- Dzisiejszej nocy Janes zakradł się do Harriet Madison. Przed chwilą słyszałam. Spojrzała na stół.

- Dzikie kaczkę? Chyba to kaczkę pani skubie, Eleonoro? Przyplłynęła łódź! Popłynę na plantację do Retta.

- Przecież nie możesz płynąć sama w towarzystwie czterech mężczyzn.

- Biorę Pansy, czy to się jej podoba, czy nie. Proszę o torbę i trochę tych suchych biszkoptów. Jestem głodna. Zjem po drodze.

- Ale Scarlett...

- Żadnego ale, Miss Eleonoro. Proszę te biszkopciki. Idę.

* * *

Co ja takiego zrobiłam? - myślała Scarlett bliska przerażenia. Nie powinnam tak się spieszyć, Rett będzie wściekły. Poza tym pewnie okropnie wyglądam, wystarczająco źle, by już samym wyglądem dowieść, że nie jestem damą. Ostatecznie przynajmniej mogłabym się lepiej prezentować. Inaczej to sobie wyobrażałam.

Z tysiąc razy myślała o tym, jak będzie wyglądało to następne spotkanie. Niekiedy wyobrażnia podsuwała jej obraz Retta powracającego późno do domu. Ona siedzi właśnie przed lustrem, ma na sobie tylko koszulę nocną - tę z wyciętym karczkiem, luźno zapiętą - czesze włosy przed pójściem spać. Rett zawsze uwielbiał jej włosy, mówił, że widać jak żyją. Niekiedy - w pierwszych latach ich małżeństwa - lubił ją czesać, by widzieć błękitne iskierki wyładowań elektrycznych.

Często też wyobrażała sobie, że siedzi w salonie przy herbacie i srebrną łyżeczką, którą trzyma elegancko czubkami palców, sypie do filiżanki kryształki cukru. Właśnie o czymś szczebioce z Salomeą Brewton - Rett widzi, że czuje się zupełnie jak pani domu, widzi, że cały Charleston przyjął ją z otwartymi rękami. Podnosi do ust jej dłoń, składa wytworny pocałunek... łyżeczka z lekkim szcękaniem wpada do filiżanki, ale co z tego...

Albo znowu siedzi z Miss Eleonorą przy kominku. Jest już po obiedzie, wygodnie rozsiadły się w fotelach, tuż obok siebie, lecz między nimi jest miejsce, które czeka na niego.

W swych marzeniach raz tylko wybrała się na plantację, gdyż nigdy tam jeszcze nie była i nie wiedziała, jak tam jest. Jej wiedza ograniczała się do faktu, że całą uprawę puścili z dymem ludzie Shermana. Ale i ten siłą rzeczy niedoskonały sen na jawie zaczynał się bardzo pięknie: ona i Mrs. Eleonora przyplływają na plantację w zielonej łodzi z koszami pełnymi ciast i szampana, wsparte na jedwabnych poduszkach, pod parasolami malowanymi w jasne kwiaty. „Piknik” - wołają do Retta, który roześmiany rzuca się biegiem ku przystani, szeroko otwarłszy ramiona. Zaraz jednak idylliczny obrazek zmętniał i zanurzył się w ciemności. Przecież Rett nienawidził pikników. Powiedział kiedyś, że skoro człowiek lubi jeść siedząc na ziemi niczym zwierzę, zamiast normalnie na krześle i przy stole, to równie dobrze mógłby nie wychodzić z jaskini.

Snując tak swe marzenia nigdy nie przyszło jej do głowy, że drogę do Retta odbędzie na parszywej łajbie cuchnącej pod niebiosą, wtłoczona między skrzynie i beczki z Bóg wie czym.

Teraz, gdy już odpłynęli daleko od miasta, bardziej się bała gniewu Retta niż tego grasującego po sypialniach Jankesa. A jeśli Rett powie łodziarzom, żeby zawrócili i odwieźli mnie z powrotem do miasta?

Załoga łodzi miała wiosła, lecz zanurzała je w zielono - brunatne wody jedynie dla sterowania. Prąd był tą niewidzialną siłą, która pchała ich we właściwym kierunku. Scarlett niecierpliwie spoglądała na odległe brzegi - miała wrażenie, że stoją w miejscu. Nic się nie przesunęło, obraz ciągle ten sam: wysokie, brunatne trzciny wolno - jakże wolno - falujące z przepływem wód, dalej grube drzewa, których konary dźwigały nieruchome, szare draperie hiszpańskiego mchu, niżej chaotyczna gęstwina zawsze zielonych bluszczów. I taka cisza w powietrzu. Na miłość Boską, gdzie się podziały te ptaki? I dlaczego robi się ciemno?

Zaczął padać deszcz.

* * *

Na długo przedtem, zanim mężczyźni wzięli się do wiosł, by skierować łódź w stronę lewego brzegu, Scarlett była przemoknięta do suchej nitki i cała trzęsa się z zimna w pożałowania godnym stanie ciała i duszy. Stuk dziobu łodzi o deski pomostu wyrwał ją ze stanu duchowej nieobecności. Usiłowała spojrzeć przez welon deszczu szczelnie przylegający jej do twarzy, aż w końcu dojrzała mężczyznę w płaszczu z czarnej ceraty, po której spływały strugi wody, trzymającego w wysoko uniesionej ręce płonąca pochodnię. Twarz pozostawała poza zasięgiem wzroku, zakryta nisko opuszczonym rondem ceratowego kapelusza.

- Rzućcie mi cumę! - Rett pochylił się do przodu i wyciągnął wolną rękę. - Jak rejs, chłopcy?

Scarlett chwyciła dłonią za najbliższą pakę, bowiem zdrętwiałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa i lada chwila mogła upaść. Ale paczka, pociągnięta ciężarem bezwładnego ciała, zwała się z wielkim trzaskiem na pokład. Scarlett straciwszy równowagę, upadła na plecy.

- Co tam u diabła? - Rett chwycił rzuconą mu przez jednego z załogi linę i owinął ją wokół pala. - Rzućcie mi teraz cumę rufową! - zawołał. - Kto tam tak hałasuje? Jesteście pijani?

- Nie, sir! - odkrzyknęli chórem. Od momentu, gdy opuścili Charleston, były to pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli. Potem jeden z nich wskazał na dwie kobiety na rufie.

- O, Boże! - jęknął Rett.

A teraz czujesz się lepiej? - Rett całkowicie panował nad brzmieniem głosu.

Scarlett niemo skinęła głową. Otulona w derkę, w koszuli z ordynarnej wełny, którą dostała od Retta, siedziała przy kominku, mocząc nogi w ciepłej wodzie.

- A co tam u ciebie, Pansy? - pokojówka siedząca na stołku obok Scarlett obwinięta, jak ona, w szczelny kokon z koca, uśmiechnęła się w odpowiedzi, co miało znaczyć, że niczego jej nie brak, tylko gdyby jeszcze nie była taka głodna.

Rett roześmiał się.

- Też bym coś zjadł. Kiedy wyschniecie, siadamy do stołu.

Scarlett szczerzej owinęła się derką. Rett był miły - stanowczo zbyt miły w porównaniu z tym, jak się zachowywał gdy widziała go po raz ostatni. Wszystkie te promienne uśmiechy... zaraz jednak może się okazać, że tak naprawdę to jest wściekły. Wszystko z powodu Pansy - to dla niej cała ta farsa. Kiedy dziewczyna stąd odejdzie, wtedy pokaże, na co go stać. Może powinnam kazać jej, żeby została - ale po co? Jestem już rozebrana, nie ubiorę się, zanim rzeczy nie wyschną, a kiedy to się stanie, Bóg jeden raczy wiedzieć. Na dworze leje jak z cebra, a w całym domu wilgoć potworna. Jak Rett może tu wytrzymać? Przecież to okropne!

Pokój oświetlał tylko blask ognia z kominka. Pomieszczenie było duże, może po dwadzieścia stóp wzdłuż i wszerz, podłoga powalana błotem, brudne poodrapywane ściany. W powietrzu unosił się ostry odór taniej whisky i tytoniu, a przez to przebijała się mdła woń butwiejącego drewna i jakichś tkanin. Z mebli było tu widać jedynie toporne stołki i ławy, wszystkie ze śladami po poodrywanych metalowych okuciach. Okap nad dużym paleniskiem, a także framugi okien oraz drzwi sprawiały wrażenie architektonicznej pomyłki: sosnowe, pięknie rzeźbione, pociągnięte warstwą oleju, tak że w blasku żywego ognia błyszcząły ciemnozłoto. W rogu znajdowały się nierówne schody o obłupanych drewnianych stopniach i chwiejnej poręczy, na której wisiało ubranie Scarlett i Pansy. Białe haki, potrącane powiewem, kołysały się w cieniu niczym widma.

* * *

- Dlaczego nie zostałeś w Charlestonie?

Było już po kolacji i Pansy posłano do łóżka - miała spać ze starą Murzynką, która gotowała Rettowi. Scarlett przeciągnęła się.

- Twoja matka nie chciała cię niepokoić w tym rajku tutaj... - rozejrzała się

lekceważąco po pomieszczeniu. - Ale ja uważałam, że powinieneś wiedzieć, co się dzieje. Do sypialni... do damskich sypialni wdziera się nocami jakiś jankeski żołnierz i znieważa kobiety. Pewna dziewczyna postradała ze strachu zmysły, musiała opuścić miasto... - usiłowała odczytać z jego twarzy, jakie wrażenie wywarło na nim to opowiadanie, lecz Rett spoglądał na nią zupełnie bez wyrazu, milczał, jak gdyby czegoś oczekiwał.

- I co powiesz? Nie przejmujesz się, że ja i pani Eleonora możemy być zamordowane we własnych łózkach... a może nawet spotka nas coś gorszego?

Rett wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

- Czy mnie słuch nie zwodzi? Kobieta, która samotnie przejechała wozem przez tereny okupowane przez Jankesów teraz lęka się niczym panienka? Daj spokój, Scarlett. Mów prawdę. Dlaczego zdecydowałaś się zrobić tyle mil rzeką, i to w deszcz? Miałaś nadzieję schwytać mnie w objęcia miłości? A może ten twój wuj Henryk polecił ci ten sposób jako najlepszą metodę skłonienia mnie, bym zaczął płacić za ciebie rachunki?

- O czym ty mówisz, u licha? Co wspólnego ma z tym wuj Henryk Hamilton?

- Cóż za wspaniała mina niczego nie świadomej kobiety! Gratuluję. Ale nie spodziewaj się, bym uwierzył, że ten szczwany lis nie poinformował cię, iż przestałem wysyłać pieniądze na twoje konto w Atlancie. Zbyt go lubię, by przypisywać mu podobne zaniedbanie.

- Przestałaś płacić moje rachunki? Jak możesz! - Scarlett poczuła, jak miękną jej kolana. Nie, Rett nie mówił tego serio. Co się z nią stanie? Ten dom na ulicy Brzoskwiniowej... tony węgla na ogrzanie ogromnego budynku, zastęp służby do sprzątania, gotowania, utrzymywania w należytym porządku ogrodu, koni, powozów, które zawsze musiały lśnić do czystości, jedzenie dla wszystkich... ojej, przecież to kosztuje fortunę! W jaki sposób wuj Henryk reguluje jej rachunki? Musiał sięgnąć do jej osobistego konta! Nie, to niemożliwe. Uwijała się w pocie czoła o pustym żołądku, w dziurawych butach, zginając kark, z rękoma startymi do krwi, harowała w polu by nie umrzeć śmiercią głodową. Odłożyła na bok całą swą dumę, odwróciła się plecami do wszystkich matczyńskich nauk o tym, czego nie powinna robić dama, ubijała interesy z ludźmi tak podłego urodzenia, że nie byli warci nawet splunięcia, imiała się intryg i oszustw, pracowała od świtu do nocy - a wszystko po to, by mieć własne pieniądze. I nie wypuści ich z rąk, nigdy. Były jej. To jedyne, co posiadała.

- Nie możesz mi zabierać pieniędzy! - chciała krzyknąć, lecz z jej ust wydobył się

tylko ochryply szept.

Roześmiał się.

- Kochanie, nie zabrałem ci ani centa. Po prostu przestałem dokładać. Dopóki mieszkasz u mnie w Charlestonie, nie widzę powodu, dla którego miałbym prowadzić pusty dom w Atlancie. Oczywiście, jeśli tam wrócisz, dom nie będzie świecił pustkami i wtedy znowu poczuję się w obowiązku płacić na jego utrzymanie.

Rett podszedł do paleniska, a wówczas ujrziała jego twarz w blasku płomieni. Z ust zniknął mu wyzywający uśmiešek, ściągnął brwi - pilnie o czymś myślał.

- Naprawdę nie wiedziałaś? - spytał po chwili. - Chwileczkę, zaraz naleję ci koniaku. Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

Musiał pomóc jej podnieść do ust kieliszek z alkoholem. Cała się trzęsła i nie była w stanie zapanować nad sobą. Kiedy wypila, odstawił kieliszek na podłogę, po czym wziął się do rozcierania zlodowaciałych dłoni, aż krew zaczęła krążyć żywiej i drżenie ustało.

- A teraz powiedz mi, ale tak absolutnie szczerze... naprawdę jakiś żołnierz, grasuje po sypialniach?

- Rett, nie mówiłeś tego serio... Nie przestałeś wysyłać pieniędzy na moje konto w Atlancie?

- Bierz diabli pieniądze. Zadałem ci pytanie.

- Do diabła z tobą. Też ci zadałam pytanie.

- Powiniennem był wiedzieć, że skoro już raz wspomniano o pieniądzach, nie będziesz w stanie myśleć o czymś innym. Dobrze, wyślę Henrykowi parę dolarów. A teraz odpowiedz mi na pytanie.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Jutro?

- Tak, do cholery, jutro. I powiedz mi wreszcie, co to za historia z tym Jankesem!

Westchnienie ulgi, które dobyła z siebie Scarlett, zdało się trwać wiecznie. Lecz potem głęboko zaczerpnęła tchu i opowiedziała wszystko, co było jej wiadome o intruzie.

- Mówisz, że Alicja Savage widziała ten mundur?

- Tak - potwierdziła, następnie zaś dodała złośliwie:

- On nie zwraca uwagi na wiek swych ofiar. Może właśnie w tej chwili dobiera się do twojej matki.

Rett zacisnął pięści.

- Powinienem być cię udusić. Świat od razu stałby się lepszy.

Wypytywał ją prawie godzinę, aż w końcu wyciągnął z niej wszystko, co wiedziała.

- Dobrze - powiedział, gdy stwierdził, że już niczego więcej się nie dowie. - Ruszamy jutro, zaraz gdy zacznie się odpływ.

Podszedł do drzwi. Wyjrzał na dwór.

- Boże - mruknął. - Niebo zupełnie przejrzyste. Rejs będzie spokojny.

Jego postać rysowała się na tle nocnego nieba. Księżyc był w trzeciej kwadrze. Wstała, lekko ślaniając się na nogach. Wtedy ujrzała, jak od rzeki suną mgły i zasłaniają ziemię. W świetle księżycy wyglądały niczym całun bieli - przez moment uległszy temu złudzeniu dziwiła się, czy to spadł śnieg. Pasma mgły spowiło stopy Retta i nogi aż po kostki, po czym wpełzło do pokoju. Zamknął drzwi i odwrócił się. Odcięty od blasku księżycy pokój sprawiał wrażenie ciemnego i tkwił w ciemności aż do chwili, gdy rozbłysła zapalka, oświetlając od dołu podbródek i nos Retta. Przyłożył ogień do knota lampy - teraz mogła dostrzec jego twarz w całości. Scarlett serce zakłuło z tęsknoty. Rett tymczasem założył klosz na lampę i uniósł ją wysoko w górę.

- Chodź ze mną. Na piętrze jest sypialnia. Tam przenocujesz.

Sypialnia nie była urządzona tak prymitywnie jak pokój na parterze. Wysokie łóżko, w którym mogłyby się zmieścić cztery osoby, miało grube materace i grubo wypchane poduszki. Na szorstkim prześcieradle z lnu leżała wełniana derka. Scarlett nie miała ochoty oglądać reszty wyposażenia. Zrzuciła koc z ramion i wdrapała się na szerokie łoże, byleby jak najszybciej zniknąć pod stosem pościeli.

Zanim wyszedł, zatrzymał się na chwilę. Słuchała odgłosu jego kroków. Nie, nie zszedł na dół, był gdzieś obok. Uśmiechnęła się. A potem zmorzył ją sen.

* * *

Nocny koszmar zaczął się jak zwykle - od mgły. Lata już minęły od chwili, gdy go wyśniła, lecz jej nieświadomy umysł przywoływał te obrazy tak jakby właśnie dopiero je stworzył. Zaczęła skręcać się i zwijać, w przeczuciu tego, co miało nadejść dobyła z gardła niski skowyt przerażenia. A potem znowu biegła, serce waliło jej ciężko, pulsowało w bębenkach uszu, biegła, potykała się i znowu biegła, przedzierała się przez ścianę mgły gęstej i białej, mgły, która oplatała się zimnymi mackami wokół jej szyi, nóg i rąk. Cała zlodowaciała, była zimna jak trup, głodna i przerażona. To samo, zawsze to samo, za każdym razem gorsze, jak gdyby strach i głód, i zimno zbierały się i rosły, coraz to potężniejsze.

Lecz teraz było inaczej. Bowiem w przeszłości śniła o tym, że biegnie za czymś

bezimiennym i nieznanym, zaś teraz tam, gdzie mgła zrzędła, mogła dostrzec szerokie plecy Retta, który ciągle biegł przed nią. I wiedziała, że to za nim goni, że kiedy dobiegnie do niego sen straci moc i rozwieje się, jak we mgle, by nigdy już nie powrócić. Biały tuman zrzędl, powoli zniknął, otworzyła usta do krzyku:

- Rett... Rett... Rett... Rett... Rett...

- Cicho, już cicho. To tylko sen.

- Rett...

- Tak, jestem tutaj. Już cicho. Wszystko będzie dobrze - silne ramiona uniosły ją i przytrzymały. Znowu było jej ciepło, znowu była bezpieczna.

Półprzebudzona potoczyła nieprzytomnym wzrokiem. Nie było mgły. Lampa na stole siała równomiernym, spokojnym blaskiem, nad sobą miała pochyloną twarz Retta.

- Och, jakie to straszne...

- Dawny koszmar?

- Tak... prawie ten sam. Ale jakby inny... nie, nie pamiętam czym się różnił... Było mi zimno, byłam głodna, nie mogłam niczego dojrzeć przez zaslonę mgły, tak się bałam... Rett, to było takie straszne.

Trzymał ją blisko siebie, słyszała jak jego głos wibruje w mocno sklepionej klatce piersiowej.

- Nic w tym dziwnego, że zimno ci, i że jesteś głodna. Kolacja nie nadawała się do jedzenia, a przed pójściem spać zrzuciłaś z siebie koc. Otulę cię i zaśniesz.

Położył ją na poduszki.

- Nie opuszczaj mnie. To wróci.

Rett zarzucił na nią koc.

- Na śniadanie będą suchary, ryż na gęsto i masło... dość masła, by starczyło na posmarowanie sucharów i podlanie ryżu. Pomyśl o tym... i wiejska szynka, i świeże jajka... a teraz zaśniesz jak grzeczna dziewczynka. Apetyt zawsze ci dopisywał, Scarlett.

W jego głosie słyhać było rozbawienie i zmęczenie. Zamknęła ciężkie powieki.

- Rett? - spytała niewyraźnie, już znad krawędzi snu.

Zatrzymał się w progu, osłaniając dłonią lampę.

- Tak?...

- Dzięki, że przyszedłeś mnie obudzić. Skąd wiedziałeś, że to ten koszmar?

- Jęczałaś tak głośno, że omal szyby nie popękały.

Z ciemności dobiegł ją ciepły, łagodny śmiech. Ciepły i łagodny jak kołysanka.

* * *

Zgodnie z zapowiedzią Retta, Scarlett zjadła niezwykle obfite śniadanie. Dopiero gdy się najadła wyszła zobaczyć, gdzie się podziewa. Kucharka powiedziała jej, że wstał przed świtem. Zawsze wstawał przed wschodem słońca - to mówiąc stara Murzynka spojrzała na nią z nie maskowanym zdumieniem.

Powinam obedrzeć ją ze skóry za tę bezczelność - pomyślała Scarlett, lecz przepelniała ją radość tak wielka, że nie mogła zdobyć się na gniew. Rett trzymał ją w ramionach, pocieszał, a nawet roześmiał się do niej. Tak jak wtedy, zanim wszystko zdążyło się popsuć. Dobrze zrobiła przybywając na plantację. Powinna to była uczynić już jakiś czas temu, zamiast trwonić czas na tysiącach herbatek.

Gdy wyszła na dwór, zmrużyła oczy, tak intensywny był blask słońca, które stało już wysoko i grzało mocno, mimo że było bardzo wcześnie. Przysłoniła oczy dłonią. Rozejrzała się wokół.

Jej pierwszą reakcją był cichutki jęk. Murowany taras, gdzie stała, ciągnął się w lewo dobre sto jardów. Połamane, szerniałe, porośnięte trawą cegły tworzyły zręby monumentalnej budowli strawionej przez ogień. Teraz pozostała po niej tylko monumentalna ruina i poszczerbione resztki ścian, i strzelające w niebo kikuty kominów - to wszystko, co pozostało ze wspaniałej niegdyś rezydencji. Stosy opalonych cegieł piętrzące się w środku, w milczeniu opowiadały o tym, co zrobiła tu armia Shermana. Serce się kraje.

Scarlett była przybita widokiem. Miała przed sobą dom Retta, życie Retta - stracone na zawsze, zanim zdążył się tu pojawić, żeby odwrócić niepomysłny bieg zdarzeń.

Chociaż życie nie pieściło jej, nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie przygnębiającego. Nigdy nie będzie w stanie pojąć, jak wielki ból przeszył Retta, gdy ujrzał ten widok po raz pierwszy, jak bardzo bolał patrząc na to rumowisko sto razy dziennie. Nic dziwnego, że z takim uporem usiłował dźwignąć dom z gruzów, by odnaleźć i odzyskać wszystko, co wiązało się z tym miejscem.

Pomoże mu! Czy wtedy, w Tarze, nie orała, siała i żęła własnymi rękoma? Pójdzie o zakład, że Rett nie odróżnia ziarna od plewy. Będzie dumna mogąc mu pomóc, ponieważ wiedziała, ile było warte zwycięstwo budowniczych nad grabieżcami, ponieważ wiedziała, co znaczy, gdy ziemia odżywa z całą kruchością młodego zasiewu. Tak, rozumiem - pomyślała z uczuciem triumfu. Czuję to samo, co on. Umieć pracować razem z nim. Możemy robić to razem. Mniejsza o brudną podłogę. Ważne, że Rett będzie obok mnie. Gdzie on się podziewa? Trzeba mu o tym powiedzieć.

Scarlett odwróciła wzrok od ruin - przed nią roztaczał się pejzaż niepodobny do niczego, co dane jej było dotychczas widzieć. Taras, gdzie stała, prowadził na porośniętą trawą parter, opadający serią rozwijających się w doskonałej płynności trawników ku dwóm sztucznym jeziorom w kształcie rozłożonych motyli skrzydeł. Między nimi szeroka trawiasta ścieżka prowadziła ku przystani na rzece. Ekstrawaganckie przedsięwzięcie miało proporcje tak doskonale wyważone, że ogromne odległości wcale nie wydawały się duże, zaś całość sprawiała wrażenie wyłożonej kobiercami altany na wolnym powietrzu. Wybujale trawy ukrywały wojenne blizny, tak że wojny jakby tu nie było, za to przed oczyma widza rozciągał się widok przenikniętej słonecznym blaskiem spokojności, widok cudnie ukształtowanej natury pozostającej w harmonii z człowiekiem. Gdzieś w dali ptak wznosił rozwlekłe tryle, jakby dla uświetnienia tego, co zachwycało oczy.

- Och, jak tu pięknie! - zawołała Scarlett.

Jej uwagę zwrócił jakiś ruch na najniższym tarasie. To chyba Rett. Zaczęła biec. Spadek terenu przyspieszał prędkość - czuła przyprawiającą o zawrót głowy, zaraźliwą, pogodną radość. Roześmiała się, wyrzuciła w górę ramiona - niby ptak albo motyl zrywający się ku błękitnemu niebu.

Tchu jej brakło, gdy dotarła do miejsca, gdzie stał Rett i patrzył na nią. Zdyszana, położyła dłoń na piersi czekając, aż mowa jej powróci.

- Nigdy jeszcze nie przeżyłam czegoś równie miłego! - wydyszała. - Jakie to piękne miejsce. Nic dziwnego, że tak kochasz ten zakątek. Czy, kiedy byłeś jeszcze mały, zbiegałeś w dół po tym trawniku? Czy także miałeś uczucie lotu? Kochanie, straszne to przeżycie widzieć te zgliszcza! Serce omal mi nie pęknie, tak ci współczuję, z boleści zabiłabym wszystkich Jankeśów! Och, Rett, tyle mam ci do powiedzenia. Przemyślałam to. Kochanie, wszystko może powrócić, niczym trawa, która zawsze odrasta. Zrozumiałam, naprawdę, naprawdę zrozumiałam, do czego zmierzasz.

Rett spojrzał na nią dziwnie, uważnie.

- Co takiego „zrozumiałaś”?

- Dlaczego wolisz mieszkać tutaj, nie w mieście. Dlaczego postawiłeś sobie zadanie przywrócenia tej plantacji do życia. Powiedz mi, co już zrobiłeś, co zamierzasz zrobić jeszcze. To takie podniecające!

Twarz Retta pojaśniała, wskazał na długie rzędy ciągnące się zaraz obok.

- Chcieli to wypalić - powiedział - ale drzewa się nie dały. Czasami mam nawet wrażenie, że ten pożar tylko je wzmocnił. Może w popiołach było coś, co przydaje siły

do życia. Muszę dowiedzieć się, co to takiego. Wiele jeszcze muszę się uczyć.

Scarlett spojrzała na niskie pniaki. Nie wiedziała, jaki gatunek drzewa ma takie ciemnozielone, lśniące liście.

- Co to? Może brzoskwinie?

- Tak naprawdę to nie są drzewa. To kwitnące krzewy. Kamelie. Pierwsze kamelie w Ameryce posadzono właśnie tutaj, w Dunmore Landing. Masz przed sobą odrośla, których korzenie liczą sobie już ponad trzysta lat.

- Czy to są kwiaty?

- Oczywiście. Chyba najpiękniejsze na świecie. Chińczycy otaczają je czcią.

- Ale przecież nie możesz jeść kwiatów. Jakie posadziłeś warzywa?

- Nie mam czasu myśleć o warzywach. Mam sto akrów ogrodu do uratowania przed zdżyczeniem.

- To szaleństwo, Rett. Co ci po kwiatkach? Lepiej posadź coś, co możesz sprzedać. Wiem, że bawełna się tu nie uda, ale przecież chyba są jakieś warzywa, które dobrze rosną w tym klimacie i dadzą się sprzedać po uczciwej cenie. W Tarze każda piędź ziemi przynosi plony. Możesz obsadzić wszystkie trawniki, aż pod same mury domu. Tylko spójrz, jak pięknie i gęsto zieleni się tam trawa. Ta ziemia pewnie jest żyzna jak żadna inna. Wszystko co do ciebie należy, to zaorać i obsiać, a doczekasz się plonów zanim zdążysz dojść na drugi koniec działki.

Spojrzała na niego pałającym gotowością wzrokiem, skora jak najszybciej podzielić się z nim tą wiedzą, którą sama z takim trudem zdobyła.

- Jesteś barbarzyńcą - powiedział stłumionym głosem. - Idź do domu. Niech Pansy szykuje się do drogi. Spotkamy się w przystani.

Co znowu zrobiła nie tak? Przez moment tryskał życiem i pełen był zapału, a potem nagle wszystko się rozpląnęło, wróciła oziębłość, obcość. Nawet gdyby dożyła setki, chyba nie zdołała go zrozumieć. Szybkim krokiem ruszyła ku domowi, szła po zielonych tarasach nieczuła na ich piękno, ślepa na ich uroki, byleby szybciej.

Łódź, która stała przycumowana w przystani bardzo się różniła od tej, którą Scarlett i Pansy przybyły na plantację. Był to cały pomalowany na brązowo malutki jednozagłowiec z czystą aż do połysku mosiężną armaturą i połączanymi zdobieniami na dziobie i burtach. Dalej, na rzece stała inna łódź, ta bardziej przypadła do gustu nadaśanej Scarlett. Przede wszystkim, była dobre pięć razy większa, miała dwa pokłady zdobne w biało - niebieskie zakrętasy, zaś z tyłu pomalowane na krzykliwy czerwony kolor ogromne koło łopatkowe. Od komina ciągnęły się sznury z pstrokatymi

chorągiewkami, a przy balustradach na obu pokładach tłoczyli się jasno ubrani ludzie. Wszystko to wyglądało bardzo odświętnie i radośnie.

Zupełnie w stylu Retta - pomyślała gniewnie. Płynąc do miasta w małej uroczej łupinie zamiast wezwać tych z parowca, żeby przysłali po nas szalupę. Doszła do pomostu właśnie w chwili, gdy Rett zerwał z głowy kapelusz i zakreślił szeroki, unizony aż do przesady ukłon w kierunku pasażerów statku.

- Znasz tych ludzi? - spytała. Może się myliła sądząc, że to ukłon, może Rett dawał jakieś znaki.

Odwrócił się, założył kapelusz na głowę.

- Rzeczywiście, znam ich. Nie każdego z osobna, jak sędzę, ale w ogólności. To statek wycieczkowy, który co tydzień wypływa z Charlestonu w dół rzeki i z powrotem. Bardzo dochodowy interes, własność jednego z naszych panów Carpetbaggerów. Jankesi wykupują bilety, w zamian zaś mogą nacieszyć oczy widokami wypalonych plantacji i zgliszcz. Gdy tylko nadarza się mi sposobność, zamiatam przed nimi ziemię kapeluszem, bawię się, widząc jak wpadają w popłoch.

Scarlett zbyt była przejęta, by móc wykrztusić z siebie bodaj słowo. Jak to możliwe, że Rett natrząsa się z ruin własnego domu wobec stada tych jankeskich sępów, które się z niego natrzásają.

Posłusznie usadowiła się na wybitej poduszkami ławeczce w małej kajucie, zaledwie jednak Rett wyszedł na pokład zerwała się, by obejrzeć intrygujące wyposażenie wnętrza, wszystkie te kredensiki, półeczki, skrzynie z prowiantem, urządzenia do nawigacji - każdy przedmiot obowiązkowo na swoim miejscu. Ciągłe zaspokajała nienasyconą ciekawość, gdy łódź powoli ruszyła wzdłuż brzegu, by po chwili znowu zacumować. Ochryplym głosem Rett wykrzyknął nowe rozkazy.

- Podajcie te toboły i rzućcie je na dziób!

Scarlett wystawiła głowę przez luk.

Święty Boże, co to ma znaczyć? Kilkunastu Murzynów wspartych o kilofy i szufle przyglądało się, jak załoga odbiera rzucane z brzegu opasłe worki. Gdzie się znajdują? To miejsce wyglądem przypomina drugą stronę księżycy: z łodzi otwierał się widok na rozległą polanę porośniętą głębokimi dolami. To dziwne miejsce z dwóch stron otaczały drzewa, z trzeciej gigantyczne filary sprawiające wrażenie ogromnych, podłużnych kłoców skalnych. W powietrzu unosił się wapienny pył, a wkrótce, gdy wzięła głębszy oddech, wypełnił także jej nozdrza.

Gromkie kichnięcie Pansy, które echo niosło z tylnego pokładu, zwróciło jej uwagę.

To niesprawiedliwe - pomyślała. Ta dziewczyna ma dobry widok na wszystko.

- Idę na górę! - krzyknęła.

- Odbijać! - zawołał w tej samej chwili Rett.

Łódź, porwana bystrym prądem, błyskawicznie oddaliła się od brzegu, a siła bezwładu była tak wielka, że Scarlett, spadłszy z niskich schodków, wdzięcznie przekoziółkowała przez całą kabinę.

- Bierz cię diabli, Recie Butlerze, omal nie złamałam karku.

- Ale nie złamałaś! - odkrzyknął jej z góry. - Zostań, gdzie jesteś. Zaraz schodzę.

Scarlett słyszała skrzypienie lin. Łódź nabierała prędkości. Podczołgała się do jednej z ław i o własnych siłach dźwignęła się w górę. Usiadła.

Niemal w tej samej chwili Rett powoli zszedł po schodkach. Obrócił głowę, tak by nie tracić z oczu luku. Przeciągnął się. Głową zawadził o wypolerowaną do połysku belkę sufitową. Scarlett obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

- Zrobiłeś to naumyślnie - burknęła.

- Co takiego? - otworzył świetlik, zamknął luk. - Boże... - westchnął. - Złapaliśmy dobry wiatr i płyniemy z prądem. Do miasta dotrzemy w rekordowym czasie.

Ciężko opadł na ławkę naprzeciwko Scarlett i przeciągnął się, gibki niczym kot.

- Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu, jeśli zapalę.

Smukłymi palcami sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyjął krótkie cygaro.

- Mam, zresztą nie tylko przeciwko temu. Dlaczego wepchnąłeś mnie tutaj i zostawiłeś samą w ciemności? Chcę na górę, na słońce.

- Ponieważ - zaczął znudzonym głosem, jakby wyjaśniał rzeczy oczywiste - łódź jest mała, załoga czarna, Pansy jest czarna, a ty jesteś biała. Miejsce czarnych jest na kokpicie, białych w kabinie. Pansy może sobie do woli strzelać ogniste spojrzenia do tych dwóch Murzynów, niech tam się śmieje z ich grubawych dowcipów, w sumie we troje nieźle się bawią. Twoja obecność na pewno by ich mroziła. Tak więc w tym samym czasie gdy niżej postawieni cieszą się pięknym rejssem ty i ja, uprzywilejowana elita, dusimy się w zamknięciu zdani na samych sobie. W dodatku ty się ciągle dąsasz i jesteś wiecznie niezadowolona.

- Nie dąsam się i nie jestem niezadowolona! Natomiast byłabym ci nieskończenie wdzięczna, gdybyś wreszcie przestał mnie traktować jak dziecko! - Scarlett wysunęła dolną wargę. Nie znosiła, gdy Rett ośmieszał jej uczucia.

- Co to była za przerwa?

- To, moja droga, co przed chwilą uczyniliśmy, może przynieść Charlestonowi

zbawienie, a dla mnie jest paszportem, dzięki któremu mogę wrócić na łono mego ludu. Byliśmy w kopalni fosforytu. Wzdłuż brzegu rzeki znajdziesz ich kilkanaście.

Zapalił cygaro z lubością rozkoszując się pierwszymi pociągnięciami. Spirala dymu wzbiła się w górę, w stronę otwartego świetlika.

- Widziałem błysk w twoich oczach, Scarlett. To nie jest to samo, co kopalnia złota. Z fosforytu nie wybijesz błyszczących monet ani nie wykujesz biżuterii. Ale fosforyt wydobyty, wypłukany i poddany działaniu pewnych chemikaliów służy do wyrobu nawozów sztucznych, najlepszych na świecie. Wielu klientów czeka na każdą ilość naszego produktu.

- No, to jesteś bogatszy niż kiedykolwiek przedtem.

- Owszem. Mówiąc jednak bardziej do rzeczy, a i uczciwiej, to wszystko należy do Charlestonu. Do mnie należy zysk spekulacyjny, który na razie ciągnę nie narażając się na potępienie ze strony współobywateli. Każdy może powiedzieć sobie, że to pieniądze uzyskane ze sprzedaży fosforytu, choć mój udział w kopalniach jest bardzo niewielki.

- Dlaczego nie powiększysz go?

- Bo nie muszę. Dla mnie wystarczy to, co mam. Mój brygadzysta nie może mnie oszukać, kilkunastu robotników pracuje tyleż samo, co próżnuje, a ja w dodatku cieszę się ogólnym poważaniem. Oszczędzam czas, zbijam pieniądze i nie muszę się nawet natyrać przy tym, co w tej chwili najbardziej mnie zajmuje, to znaczy przy odbudowie ogrodu.

Scarlett była zirytowana prawie nie do zniesienia. Czyż to nie typowe dla Retta: dobrać się do korca miodu? I liznąć zaledwie parę kropelek, stracić wielką szansę? Mniejsza o jego bogactwo, przecież mógł je pomnożyć. Pieniądzy nigdy za dużo. Cóż, gdyby sam wziął się za prowadzenie interesu i zmusił tych swoich robotników do solidnej dniówki, mógłby potroić zyski. A gdyby jeszcze wziął kilkunastu nowych ludzi, mógłby podwoić to, co potroił...

- Wybacz, droga Scarlett, że przeszkadzam ci we wznoszeniu zrębów nowego imperium, ale muszę ci zadać bardzo poważne pytanie: co mam zrobić, aby cię przekonać, że powinnaś dać mi święty spokój i wrócić do Atlanty?

Scarlett spojrzała nań dogłębnie zdumiona. Przecież nie mógł mówić tego serio, nie mógł, po tym, jak z taką czułością trzymał ją w ramionach ostatniej nocy.

- Chyba żartujesz...

- Skądże znowu, nigdy nie mówiłem poważniej i oczekuję, że potraktujesz mnie równie poważnie. Nigdy nie miałem zwyczaju wyjaśniać komukolwiek co robię lub co

myślę, ani też nigdy nie byłem skłonny przypuszczać, że jesteś w stanie pojąć to, co za chwilę ci powiem. Niemniej zdobędę się na ten wysiłek... Pracuję teraz ciężiej niż kiedykolwiek. W Charlestonie spaliłem za sobą wszystkie mosty, i to tak ostentacyjnie, że swąd z tego pożaru uderzył w nozdrza każdego. Wrażenie było silniejsze niż wtedy, gdy stary Sherman dokonywał najdzikszych swoich wyczynów, bowiem ja należałem do tego miasta, byłem jednym z nich, a mimo to rzuciłem wyzwanie wszystkiemu, co wznosili przez pokolenia. Aby powrócić do łask, które utraciłem, musiałem wykazać się niemałą zręcznością... było to jakby wspinać się w ciemności na lodowatą górę. Jeden nieopatrzny ruch i już trup. W ten sposób stałem się bardzo ostrożny i nieprędko w interesach, dzięki czemu mogę zapisać na swoim koncie pewne postępy. Ale nie mogę wystawiać się na ryzyko, że swoją obecnością tutaj zniszczysz wszystko, co z takim trudem zdobyłem. Dlatego chcę, żebyś opuściła Charleston i pytam cię o cenę.

Scarlett roześmiała się, jakby kamień spadł jej z serca.

- To wszystko? Jeśli nie masz większych zmartwień, to możesz spać spokojnie. Przecież cały Charleston mnie uwielbia. Jestem dosłownie zarzucona zaproszeniami to na to, to na tamto, nie ma dnia, żeby ktoś nie podszedł do mnie, gdy jestem na targu, i nie poprosił mnie o radę co do zakupów.

Rett zaciągnął się cygarem. Spojrzał na żarzący się koniuszek, powoli i równomiernie obrastający warstwą błękitnego popiołu.

- Obawiam się, że tracę czas - powiedział po dłuższej chwili milczenia. - Miałem rację. Przyznaję, że wytrzymałaś dłużej i wykazałaś się większą cierpliwością, niż mogłem oczekiwać... i przyznaję, a jakże, że dotarły do mnie pewne nowiny z miasta. Ale jesteś dla mnie ciężarem, jesteś niczym beczka prochu na plecach samotnego wędrowca, wspinającego się na szczyt lodowej góry. Jesteś mi ciężarem, Scarlett: niewykształcona, po uszy tkwiąca w barbarzyństwie, katoliczka, odrzucona przez wszystkich, którzy w Atlancie mniemają się uchodzić za przyzwoitych. Na moich oczach w każdej chwili możesz wylecieć w powietrze i pociągnąć mnie za sobą. Chcę, żebyś odeszła. Jaka jest twoja cena?

Scarlett chwyciła się kurczowo jedyne go zarzutu, który miała szansę odeprzeć.

- Byłabym ci nieskończenie wdzięczna, gdybyś zechciał mi powiedzieć, co niestosownego widzisz w przynależności do Kościoła katolickiego? Recie Butlerze, my, katolicy, poznaliśmy bojaźń Bożą wcześniej niż wy, episkopianie, zdążyliście o niej usłyszeć!

Gwałtowny śmiech Retta zdał się jej zupełnie bez sensu.

- *Pax*, Henryku Tudor - zawołał, co było dla Scarlett równie niezrozumiałe jak nagły wybuch wesołości. Ale następne słowa przytłaczały celnością. - Nie będziemy tracić czasu na dysputy teologiczne - powiedział Rett. - Faktem jest, i wiesz o tym równie dobrze jak ja, że z pewnych względów, nie podlegających dyskusji, na rzymskich katolików spogląda się dzisiaj z góry, i to na całym Południu. W Charlestonie wypada uczęszczać do kościoła Świętego Filipa, albo do kościoła Świętego Michała czy do kościoła Pierwszego Szkockiego Prezbiteriańskiego. Nawet inne kościoły episkopackie czy prezbiteriańskie są lekko podejrzane, zaś wszystkie pozostałe gminy protestanckie popadają pod zarzut wybujałego indywidualizmu, lecz w porównaniu z nimi wszystkimi Kościół katolicki znajduje się zupełnie poza nawiasem. Wiem, że to bezpodstawne, a Bóg jeden wie, że to nawet nie po chrześcijańsku, jednak takie są fakty.

Scarlett milczała. Słuszność leżała po stronie Retta, który wykorzystał jej chwilową słabość, by powrócić do podstawowego problemu.

- Do czego więc dążysz, moja droga? Czego chcesz? Wobec mnie możesz być zupełnie szczerą. Nigdy nie czułem się zaskoczony poznając najciemniejsze zaułki twojej natury.

On naprawdę tak myśli - uświadomiła sobie z rozpaczą. Wszystkie te herbatki, które odsiedziałam tak cierpliwie, wszystkie te ponure suknie, w które musiałam się ubierać, by skoro świt pędzić w ciemności i chłodzie na targ, i to dzień w dzień - wszystkie te ofiary na nic! Przyjechała do Charlestonu, by odzyskać Retta - i przegrała.

- Chcę ciebie - szepnęła, bezwzględnie szczerą.

Tym razem Rettowi zabrakło słów. Miejsce, gdzie siedział, znaczył tylko słaby zarys jego postaci i blada smuga dymu z cygara. Był tak blisko! Wystarczyło przesunąć stopę o kilka cali w bok, a mogłaby go dotknąć. Pragnęła go tak bardzo, aż do bólu, chciała się skulić, by stłumić w sobie to palące uczucie, zatrzymać je tylko dla siebie, nie dopuścić, by przerodziło się w coś gorszego. Pozostała jednak na swoim miejscu, wyprostowana, czekając na jego odpowiedź.

18.

Z góry dobiegł Scarlett gwar głosów, na których tle wyraźnie słyhać było wysoki śmiech Pansy. Ten kontrast tym bardziej udobitniał ponurą ciszę panującą w kabinie.

- Pół miliona w złocie - mruknął Rett.

- Co? - chyba się przesłyszała. Otworzyła przed nim serce, a on nie odpowiedział.

- Powiedziałem, że jeśli wyjedziesz daję ci pół miliona dolarów w złocie. Chyba żadna z przyjemności, które znalazłaś w Charlestonie, nie dorównuje tej cenie. Proponuję ci łapówkę, całkiem niczego sobie. Twe zachłanne serduszko chyba nie będzie obstawać przy beznadziejnym zamiarze ocalenia naszego małżeństwa skuszone widokiem fortuny, o której nigdy nawet nie marzyłaś. Tytułem premii zgadzam się ponosić wszelkie koszty utrzymania tego domiszcza przy Brzoskwiniowej.

- Ostatniej nocy zgodziłeś się wysłać dzisiaj pieniądze dla wuja Henryka - wytrajkotała tę kwestię niejako automatycznie, za wszelką cenę bowiem chciała uniknąć nawet chwili ciszy, która była jej nieznośna. Musiała zebrać myśli: czyżby istotnie podjęła się „beznadziejnego zamiaru”? Nigdy się z tym nie pogodzi.

- Obietnice można łamać - oświadczył zimno Rett.

- Twoja odpowiedź?

- Muszę pomyśleć.

- Daję ci tyle czasu, ile minie aż dokończę palić to cygaro. Wtedy będziesz musiała się zdecydować. Pomyśl, co się stanie, gdy trzeba ci będzie włożyć wszystkie oszczędności w utrzymanie tego straszego domu na Brzoskwiniowej, do którego żywisz tyle uczucia. Nie masz pojęcia, ile to kosztuje. Pomyśl też, co to znaczy móc obracać sumami tysiąckroć większymi od tej fortunki, którą zdołałaś sobie uciulać przez całe życie. Pół miliona dolarów w złocie! To królewski okup, płatne w gotówce... jedno słowo, a wszystko twoje. To więcej, niż zdołasz uzbierać, choćbyś musiała harować do samej śmierci. Do tego pokrywam koszty utrzymania domu. Nawet otrzymasz ode mnie tytuł własności.

Koniuszek cygara rozżarzył się jasną czerwienią.

W rozpaczliwym wysiłku Scarlett usiłowała okiełznać rozbiegane myśli. Musiała wynaleźć jakiś pretekst, żeby zostać. Nie mogła odejść, nawet za wszystkie bogactwa świata.

Rett wstał. Podszedł do świetlika. Wyrzucił niedopałek cygara. Przez chwilę spoglądał na brzeg, aż ujrzał znak orientacyjny. Słońce skąpało jego twarz w ostrym świetle. Jakże się zmienił od czasu, gdy opuścił Atlantę! - pomyślała Scarlett. Wtedy

pił, i to tak ostro, jakby usiłował wymazać z pamięci sprawy całego świata. Teraz jednak znowu był sobą, opalony, z jasnymi plamkami światła na twarzy o pogodnych oczach, czarnych jak pożądanie. Pod nienagannie skrojonym płaszczem i eleganckim ubraniem napinały się twarde mięśnie, widoczne przy każdym poruszeniu. Miał w sobie wszystko, co mieć powinien mężczyzna. Chciała go odzyskać. Dostanie go, mniejsza o metody. Wzięła głęboki oddech. Była gotowa, kiedy się odwrócił i unióśł brwi w znaku zapytania.

- Jak z nami, Scarlett?

- Chcesz ubić ze mną interes - zaczęła bardzo rzeczowo. - Nie chcesz pójść na układy, ciskasz we mnie groźbami jakby to były kamienie. Wiem jednak, że blefujesz gdy mówisz o wstrzymaniu dopływu pieniędzy na moje konto w Atlancie. Albowiem przede wszystkim zależy ci na dobrej opinii Charlestonu, a ludzie niewiele jej mają o mężu, który zaniedbuje się w obowiązkach wobec żony. Gdyby rozniosły się jakieś plotki, twoja matka nie mogłaby wyjść na ulicę z głową podniesioną wysoko... Druga sprawa: góry pieniędzy, które mi obiecujesz. Rzecz jasna, masz rację myśląc, że chętnie bym je miała. Ale nie pod warunkiem natychmiastowego powrotu na wygnanie do Atlanty. Mogłabym odkryć przed tobą karty, tyle że sam dobrze wiesz, w czym rzecz. Popełniłam parę głupstw... i teraz nie da się ich odwrócić. Lecz w chwili, gdy się to stało, straciłam wszystkich przyjaciół jak Georgia długa i szeroka... Owszem, w zamian za to pozawierałam nowe przyjaźni w Charlestonie. Czy ci się to podoba, czy nie, taka jest prawda. Także niemało się nauczyłam. A wobec tego oświadczam: gdy tylko ludzie w Atlancie będą mieli dość czasu, by zapomnieć o pewnych sprawach, natychmiast wezmę się do odrabiania błędów... W ten sposób doszliśmy do tego, że i ja pragnę zaproponować ci interes: natychmiast zaprzestasz zachowywać się wobec mnie wrogo i pomożesz mi mile spędzić czas w Charlestonie. Sezon zimowy przeżyjemy razem jak kochający się, oddani sobie małżonkowie. Z nadejściem wiosny zwijam żagle i zaczynam życie w Atlancie.

Wstrzymała oddech. Musi się zgodzić, musi powiedzieć „tak”. Sezon zimowy trwa prawie osiem tygodni, a więc przez ponad dwa miesiące będą ze sobą razem, dzień w dzień. Nie znała mężczyzny wysokiego na dwie stopy, którego nie doprowadziłaby do takiego stanu, że po dwumiesięcznych staraniach z jej strony nie byłby gotów jeść jej z ręki. Rett różnił się od większości mężczyzn, których znała. Ale nie był aż na tyle inny.

- Chcesz odjechać z pieniędzmi?...

- Oczywiście. Masz mnie za idiotkę?

- Nie takie są moje wyobrażenia o ubijaniu interesów, droga Scarlett. Nie wchodzę w to. Chcesz zgarnąć pieniądze, które jestem gotów ci wypłacić w zamian za wyjazd, a mimo to nie wyjeżdżasz. Jaka stąd dla mnie korzyść? Nie pozostanę w Charlestonie na zawsze i nie powiem Miss Eleonorze, co z ciebie za skunks.

Była prawie pewna, że dostrzegła uśmiech na jego twarzy.

- Czy wiesz, jak nazywa się ta rzeka, którą teraz płyniemy?

Cóż za bzdurne pytanie. Żeby się chociaż zgodził na zimowy sezon w Charlestonie...
O co mu chodzi?

- To Ashley River - rzekł Rett, przesadnie akcentując sylabę. - Nazwa ta przywodzi mi na myśl pewnego szlachetnego gentelmena, a mianowicie Mr. Wilkesa, którego względy starałaś się onegdaj zdobyć. Byłem świadkiem twojej wytrwałej adoracji Ashleya i przyznam, że twój prostacki upór jest rzeczą trudną do wytrzymania. Wcześniej byłaś łaskawa wspomnieć, iż pragniesz wznieść mnie na ów postument niedawno zajmowany przez Ashleya. Ta perspektywa budzi we mnie trwogę.

W tym miejscu Scarlett mu przerwała - musiała, bo najwyraźniej chciał jej powiedzieć „nie”.

- Och, głupiutki Recie. Ja jedna wiem najlepiej, że nie masz powodów do tych obaw. Nie uganiam się za tobą. Nie jesteś na tyle miły, żeby zasłużyć aż na takie względy. Poza tym znasz mnie zbyt dobrze.

Rett roześmiał się, ale jakoś tak pusto.

- Skoro więc sama uznałaś, że jesteś taka, jaka jesteś, powinniśmy dobić targu.

Scarlett wcale nie było do śmiechu. On pewnie wszystko widzi w ciemności - przemknęło jej przez myśl.

- Proszę bardzo - powiedziała.

- Jestem gotowa do targów. Jakie są twoje warunki?

Tym razem nagły wybuch śmiechu, który wstrząsnął Rettem, był zupełnie szczery.

- Chyba teraz przemawia przez ciebie prawdziwa Miss O'Hara - wykrztusił. - Dobrze. Oto i moje warunki: zwierysz się Mrs. Butler, że strasznie głośno chrapię, a wobec tego nie możemy spać w jednej sypialni. Po balu świętej Cecylii, który zawsze odbywa się na zakończenie sezonu, wyrazisz nieodpartą chęć powrotu do Atlanty. Kiedy zaś tam powrócisz, wyznaczysz Henryka Hamilltona czy któregokolwiek ze znanych sobie adwokatów, że aby się spotkał z moimi prawnikami i reprezentował cię przy układaniu warunków naszej umowy o separacji. Dalej zaś, po podpisaniu układu, nie masz prawa pojawić się w Charlestonie, jak też pisać listów, czy porozumiewać się

w jakikolwiek inny sposób ze mną i z moją matką.

Umysł Scarlett pracował gorączkowo. Prawie wygrała. Z wyjątkiem tej „jednej sypialni”. Może powinna poprosić o więcej czasu. Nie. Nie poprosi. Miała tu się targować?

- Przyjmuję warunki, ale nie terminarz. Jeśli wyjadę natychmiast po zamknięciu sezonu, wszyscy to zauważą. Po balu świętej Cecylii wrócisz ze mną na plantację. Wtedy ja powinnam zacząć myśleć o powrocie do Atlanty, lecz zanim się namyślę, muszę mieć trochę czasu. Co byś powiedział na połowę kwietnia jako termin mojego odjazdu?

- Dla ciebie jestem skłonny odwlec nieco termin wyjazdu. Ale pierwszy kwietnia to moje ostatnie słowo.

Dostała więcej, niż się spodziewała! Cały sezon zimowy plus miesiąc. A przecież nie powiedziała ani słowa o tym, że zamierza siedzieć w Charlestonie. Gdy on wyjedzie na plantację, ona ruszy za nim.

- Nie chcę wiedzieć, które z nas wyjdzie na primaaprilisowego durnia, Recie Butlerze, ale przysięgam, że zrobię wszystko, aby ci było miło aż do dnia mego wyjazdu, który przed chwilą ode mnie wytargowałeś. Jeśli zmienisz zdanie, to ty będziesz winny niedotrzymania i wtedy nie licz, że dam ci spokój.

- Mrs. Butler, swoje mężowskie oddanie, które będę ci okazywać sprawi, że wszystkie kobiety w mieście pozielenieją z zazdrości.

Szydził, ale nie przywiązywała do tego wagi. Wygrała.

Rett otworzył iluminator, wpuścił do ciemnej komnaty ostre morskie powietrze, światło i niespodzianie silny podmuch wiatru.

- Cierpisz na morską chorobę, Scarlett?

- Nie wiem. Do wczoraj nigdy jeszcze nie miałam okazji płynąć.

- No to wkrótce się przekonasz. Właśnie zbliżamy się do portu, a fala jest silna. Gdy dostaniesz mdłości, wyjmij kubek z szafki obok.

Wybiegł na pokład.

- Wyciągnąć kliwer i ustawić na hals. Tracimy kierunek! - zawołał, starając się przekrzyczeć świst wiatru.

Minutę później ławeczka, na której siedziała Scarlett, pochyliła się pod niebezpiecznym kątem, a po chwili zaskoczona Mrs. Butler stwierdziła, że ześlizgnęła się na podłogę. Powolny rejs na szerokiej barce nie przygotował jej na szybką podróż jednomasztowcem. Rejs w dół rzeki z łagodnym wiatrem dmącym w główny żagiel był

szybszy, lecz przyjemności dostarczał nie mniejszej. Wspięła się po schodkach i wystawiła głowę nad pokład. Powiew wiatru zdusił jej wiew w piersi i zerwał z głowy ozdobny w pióra kapelusz. Spojrzała w górę: płynął w powietrzu, a jakaś mewa, skrzecząc straszliwie, gorączkowo biła skrzydłami, byleby szybciej uciec od dziwnego ptasiopodobnego obiektu. Scarlett roześmiała się. Jednomasztowiec przechylił się, przez przechyloną burtę z sykiem wpełzła spieniona fala. Przerazające! Przez szum wiatru dobiegł ją krzyk Pansy. Co za głupia gęś z tej dziewczuchy!

Scarlett mocniej ścisnęła poręcz: miała zamiar wspiąć się na pokład. Osadził ją w miejscu ochryply krzyk Retta, który stojąc u sterów w końcu doprowadził pokład do stanu chwiejnej równowagi - łódź balansowała na falach, żagiel trzepotał. Kiwnął dłonią. Czarny mężczyzna zastąpił go u koła sterowego. Drugi przytrzymał w pasie Pansy, która pochylona wymiotowała przez barierkę. Dwa kroki i Rett znalazł się u wejścia do kajuty.

- Ty mała idiotko, niechby tak opadł luk, zostałabyś bez głowy. Wynoś się na dół, tam gdzie twoje miejsce.

- Och, Rett, tylko nie to. Pozwól mi patrzeć na to, co się dzieje. Dla mnie to wielka frajda. Chcę czuć powiew wiatru i chłonać w płuca zapach morza.

- Nie czujesz mdłości? Nie jest ci zimno?

* * *

- Och, Eleonoro, to były najpiękniejsze chwile w moim życiu! Nie pojmuję, dlaczego wszyscy mężczyźni nie są żeglarzami.

- Cieszę się, moja droga, że miałaś dobrą zabawę, ale to prawdziwa niegodziwość ze strony Retta, że wystawił cię na takie słońce i wiatr. Jesteś czerwona jak Indianin.

Mrs. Butler wyprawiła Scarlett do jej pokoju z kompresem z gliceryny i wody różanej na twarzy. Po czym besztła syna aż do chwili, gdy przestał się śmiać i spuścił głowę udając potworne zawstydzenie.

- Kiedy porozwieszam już całą zieleń i ubiorę dom na święta, będzie mi wolno zjeść deser czy mam stanąć w kącie? - spytał z drwiącą miną.

Mrs. Butler podniosła ręce do góry w geście bezwarunkowej kapitulacji.

- Nie wiem, co mam z tobą zrobić, ty łobuzie - jęknęła ze zgrozą, lecz jej próby stłumienia uśmiechu spęzły na niczym. Kochała syna. Bezgranicznie.

* * *

W tym samym czasie, gdy Scarlett poddawała się zabiegom wywabiania opalenizny,

Rett zawiózł jedną ze świątecznych girland, których wiele zebrał z plantacji, do domu Alicji Savage, jako gwiazdkę od Mrs. Butler.

- To bardzo miłe ze strony Eleonory i oczywiście także z twojej strony, Rett. Dziękuję. Napijesz się przedkarnawałowego ponczu?

Rett z wdzięcznością przyjął szklaneczkę napoju, po czym zaczęli dzielić się uwagami na temat niezwyklej pogody, wspominali zimę sprzed lat trzydziestu, gdy śnieg spadł dokładnie wtedy, kiedy spaść powinien, a także ów straszny rok, wsławiony tym, że lało jak z cebra przez trzydzieści osiem dni pod rząd. Znali się jeszcze jako dzieci. Ich rodziny mieszkały w sąsiednich domach, ogrody rozdzielał ten sam mur, a na granicy obu posiadłości stała wielka morwa o słodkich plamiących palce purpurowych owocach, łatwych do zerwania, bowiem gałęzie zwisały nisko po obu stronach ogrodzenia.

- Scarlett jest omal nieprzytomna ze strachu z powodu tego Jankesa buszującego po sypialniach - odezwał się Rett, kiedy Alicja dała już upust fali wspomnień. - Mam nadzieję, że nie poczujesz się szczególnie speszona, gdy poruszę tę kwestię jako stary przyjaciel, który usiłował zaglądać ci pod sukienkę, kiedy miałaś jeszcze pięć lat...

- Mogę rozmawiać o czym tylko chcesz pod warunkiem, że zapomnisz o mojej młodzieńczej antypatii wobec bielizny - Mrs. Savage zaniosła się gromkim śmiechem. Prawie przez rok byłam przyczyną rozpaczyci całej rodziny. Tak, teraz to śmieszne... Ale ta afera z jankeskim intruzem wcale nie jest zabawna. W końcu ktoś kiedyś nie wytrzyma i widząc Jankesa o zmroku pociągnie za spust, a wtedy to już tylko diabłu będzie do śmiechu.

- Powiedz mi, Alicjo, jak on wyglądał. Mam pewną teorię na ten temat.

- Widziałam go tylko przez chwilę...

- Dłużej nie trzeba. Wysoki czy niski?

- Wysoki... Tak, nawet bardzo wysoki. Głowę dzieliła od lambrekinu odległość może jednej stopy, a te okna mają wysokość siedmiu stóp i czterech cali.

Rett uśmiechnął się.

- Wiem, że mogę ci wierzyć. Spośród wszystkich znanych mi ludzi ty jedna umiesz określić wysokość najwyższego pucharu z lodami z drugiej strony pokoju. „Sokole Oko” wołaliśmy ci za plecami.

- Nie tylko za plecami, mówiliście mi to również prosto w oczy, dodając także inne niemile uwagi na temat mojego charakteru. Byłeś okropnym łobuzem.

- A ty wstrętnym dziewuszyskiem. Powinienem był cię polubić, nawet wtedy, gdy

już zaczęłaś nosić bieliznę.

- Powinnaś była mnie polubić, nawet gdybyś nie polubił mnie. Zaglądałam ci pod dziecinną sukienkę niemało razy, ale niczego nie zauważyłam.

- Litości, droga Alicjo. W ostateczności możesz mówić, że nosiłem kilt*.

* * *

Uśmiechnęli się łobuzersko, po czym Rett przystąpił do zadawania kolejnych pytań. Kiedy Mrs. Savage natężyła pamięć, była w stanie przypomnieć sobie wiele interesujących szczegółów. Żołnierz był młody - bardzo młody - miał niezgrabne ruchy chłopca, jeszcze nieprzyzwyczajonego do własnego ciała, które nagle zaczęło w szybkim tempie rosnać. Rękawy wyraźnie sięgały mu za nadgarstki - mundur niekoniecznie należał do niego. Miał ciemne włosy - nie kruczoczarne, jak twoje, Rett, co u ciebie podkreślają dodatkowo nitki siwizny, nie... chyba to po prostu ciemny blondyn, a w cieniu wyglądał na bruneta - tak, był dobrze ostrzyżony, a pod mundurem nie miał prawie na pewno bielizny. Chyba czuła zapach pomady do włosów. Alicja powoli zbierała okruchy wspomnień, lecz kiedy z tych pojedynczych fragmentów zaczął wyłaniać się wyraźny obraz, straciła pewność. Zająknęła się.

- Chyba wiesz, kto to był?

- Na pewno się mylę.

- Nie, nie mylisz się. Masz syna w tym właśnie wieku... czternaście, piętnaście lat... i z pewnością znasz jego kolegów. Gdy tylko usłyszałem, co się święci, pomyślałem sobie, że to na pewno jakiś chłopak z Chartletonu. Czy sądzisz, że jankeski żołnierz włamywałby się do damskiej sypialni tylko po to, żeby popatrzeć sobie na kobietę pod kołdrą? Nie może tu być mowy o żadnym rozbójniku. To za ledwie pożałowania godny chłopak, przerażony niespodziankami, które zaczyna wyczyniać mu ciało, chce się dowiedzieć, jak wygląda ciało kobiety bez tych wszystkich gorsetów i tiurniur, a tak jest owładnięty żądzą wiedzy, że zakrada się do sypialni. A widząc je zapięte pod szyję i rozbudzone wstydzę się własnych myśli. Biedny szczeniak. Pewnie jego ojciec zginął na Wojnie, nie ma więc nikogo, z kim mógłby na ten temat porozmawiać.

- Ale on ma starszego brata...

- Czyżby? Może zatem się mylę. Albo myślimy o kimś innym.

- Obawiam się, że nie. Tomasz Cooper, tak się nazywa. To najwyższy z gromady przyjaciół mego syna... i najniewinniejszy. Dodam też, że dwa dni po incydencie w mojej sypialni, gdy mijaliśmy go na ulicy i powiedziałam mu „dzień dobry”, omal się nie

*kilt - krótka spódniczka. Część męskiego stroju narodowego Szkotów (Przyp. tłum.)

udusił. Jego ojciec poległ pod Bull Run. Tomasz nie zdążył go poznać. Ma brata, starszego dziesięć czy jedenaście lat.

- Myślisz o tym prawniku Edwardzie Cooperze?

Alicja kiwnęła głową.

- To już wszystko jasne. Cooper zasiada w komitecie mojej matki. Spotykam go czasami u siebie w domu. Ależ to eunuch. Tomek nie uzyska od niego żadnej pomocy.

- Eeee... nie powiedziałabym, że Edward Cooper to eunuch. On jest po prostu zbyt zadurzony w Annie Hampton, by dostrzec potrzeby swego brata.

- To już twoje zdanie. Ale ja zamierzam odbyć z Tomaszem krótką konferencję.

- Rett, nie możesz mu tego zrobić. Przecież zawstydzisz biednego chłopca na śmierć.

- Ten twój „biedny chłopiec” śmiertelnie przeraził wszystkie kobiety w Charlestonie. Dzięki Bogu, dotychczas jeszcze nie stało się nic naprawdę groźnego, ale następnym razem mogą puścić mu nerwy. Albo go postrzelą na ulicy. Gdzie on mieszka?

- Na Kościelnej, róg Szerokiej. To taki dom z czerwonej cegły, jeden z wielu, po południowej stronie alei Świętego Michała. Tylko co ty mu powiesz? Nie możesz tak po prostu wejść i wywlec go za kark.

- Zaufaj mi.

Ujęła jego policzki w obie dłonie i delikatnie pocałowała go w usta.

- Dobrze, że wróciłeś, sąsiedzie. Powodzenia z Tomaszkiem.

* * *

Kiedy chłopiec wrócił do domu, Rett siedział na werandzie u Cooperów i popijał z matką Tomka herbatę. Mrs. Cooper przedstawiła mu syna, po czym kazała mu odnieść tornister i umyć ręce.

- Mr. Butler - chciałby cię zabrać do swego krawca - wyjaśniła synowi, gdy wrócił. - Pan Rett ma siostrzeńca w Aiken, równego wzrostem tobie, toteż prosi byś zechciał mu pomóc w przymiarce ubrań, które zamierza wysłać temu chłopcu jako prezent na gwiazdkę.

Tomasz Cooper odwrócił się i zrobił straszną minę. Ale zaraz potem przypomniał sobie to, co słyszał o bujnej młodości Retta, uznał więc w końcu, że ta prośba przynosi mu zaszczyt, i że powinien być z tego powodu szczęśliwy. Może nawet zbierze się na odwagę i zapyta Mr. Butlera o kilka spraw, które od dłuższego czasu bardzo go dręczyły.

Tomasz nie musiał o nic pytać. Zaledwie bowiem zdążyli wyjść z domu, Rett położył dłoń na jego ramieniu, po czym rzekł z bardzo poważnym wyrazem twarzy:

- Tomek, pozwól, że udzielę ci kilku przydatnych lekcji. Pierwsza, to jak przekonująco okłamywać matkę. W tramwaju opowiem ci co nieco o moim krawcu, jego zakładzie i zwyczajach. Następnie powtórzysz to, co usłyszałeś i z moją pomocą opanujesz tę historyjkę do najmniejszego szczegółu. A to dlatego, że wcale nie mam w Aiken siostrzeńca, tak jak wcale nie jedziemy do krawca. Wsiądziemy na samym końcu Rutledge Avenue, zaś później zrobimy sobie zdrowy spacer do pewnego domu, gdzie chcę, żebyś spotkał kilku moich przyjaciół.

Tomasz Cooper przystał na to bez dwóch zdań. Był przyzwyczajony spełniać polecenia starszych, podobało mu się też i to, w jaki sposób Mr. Butler zwracał się do niego. Zanim minęło popołudnie i wrócili do domu, chłopak spoglądał na Retta z takim uwielbieniem w oczach, iż ten ostatni mógł być pewny, że w ciągu najbliższych lat może liczyć na Tomasza Coopera.

Był też przekonany, że Tomek nigdy nie zapomni „przyjaciół”, których mu przedstawił. Albowiem wśród wielu instytucji życia publicznego zapisanych w charlestońskiej tradycji jako „pierwsze”, istniejące od samych początków miast, burdel „tylko dla dżentelmenów”, należał do najpierwszych. W sięgającej blisko dwóch wieków historii swego istnienia wielokrotnie zmieniał adresy, nigdy jednak nie zaprzestawał działalności, chyba że wybuchła wojna, epidemia lub nadciągał huragan. Do specjalności tej instytucji należało subtelne, dyskretnie wprowadzanie młodzieńców w przyjemności dostępne wiekowi męskiemu. Była to jedna z najzacniejszych tradycji Charlestonu. Rett niejednokrotnie zachodził w głowę, jak wyglądałoby jego dorosłe życie, gdyby starszy pan Butler szanował tę tradycję w tym samym stopniu, w jakim wywiązywał się z innych obowiązków charlestońskiego dżentelmena... Przeszłości jednak nie da się odwrócić. Skrzywił usta w ponurym uśmiechu. Ostatecznie umiał zastąpić ojca Tomaszowi - on zrobiłby zapewne to samo. Szacunek dla tradycji niekiedy miał swoje dobre strony. Jednym z wielu pożytków był ten, że jankeski żołnierz nie będzie już niepokoić dam w ich sypialniach. Wrócił do domu i zadowolony z samego siebie pozwolił sobie na drinka - miał jeszcze czas zanim nadejdzie pora, by pojechać na dworzec po siostrę.

19.

- A jeśli pociąg przyjedzie wcześniej? - Eleonora Butler spojrzała na zegar bodajże po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dwóch minut. - Aż wzdrygam się na myśl o tym, że Rosemary czeka tam sama na stacji o zmroku. Na jej pokojówce nie bardzo można polegać, wiesz jaka jest. Rozsądkiem nie grzeszy. Nie rozumiem, dlaczego Rosemary nie weźmie sobie lepszej.

- Ten pociąg nigdy jeszcze nie przyjechał opóźniony mniej, niż dziesięć minut, mamusiu, a nawet gdyby przyjechał punktualnie co do sekundy, to mamy jeszcze pół godziny czasu.

- Pytam cię, mając na myśli ten kawał drogi od nas na dworzec. Zanim tam dojedziesz, minie trochę czasu. Właściwie to chyba sama powinnam była pojechać, tak jak planowałam jeszcze przed twoim powrotem z plantacji.

- Mamo, spróbuj się nie denerwować - westchnął Rett, po czym powtórzył to, co właśnie przed chwilą już mówił. - Wynająłem dorożkę, która zawiezie mnie na dworzec. Droga zajmie nam nie więcej niż pięć minut. Zatem będę o cały kwadrans za wcześnie, a pociąg i tak się spóźni przynajmniej godzinę. Rosemary przyjedzie dokładnie w porze kolacji i na pewno zaśnie w dorożce wsparta o moje ramię.

- Mogę pojechać z tobą, Rett? Chętnie pooddychałabym świeżym powietrzem.

Scarlett już sobie wyobrażała, jak spędzi tę godzinę w oczekiwaniu na przyjazd pociągu, zamknięta w ciasnej kabinie dorożki. Będzie go wypytywać o wszystko, co dotyczy jego siostry - wiedziała, że Rett kocha Rosemary aż do szaleństwa. A jeśli okaże się wystarczająco rozmowny, może zdoła się dowiedzieć, czego powinna oczekiwać. Przerażeniem napawała ją sama myśl o tym, że nie uda się jej pozyskać względów Rosemary, że powtórzy się historia z Rossem. Kwiecisty list prześlagałny, który dostała od szwagra, nic nie zmienił w jej nastawieniu i nie znosiła brata Retta.

- Nie, moja droga, nie możesz mi towarzyszyć. Chcę, żebyś została w domu, tu na tym krześle z kompresem na oczach, jak teraz. Jeszcze ci nie zeszła opuchlizna.

- To może mnie zechcesz zabrać? - Mrs. Butler zwinęła frywolitki, gotowa je odłożyć i szykować się do drogi. - Obawiam się, że będziesz musiał długo czekać.

- Nie będzie mi się nudzić, mamo. Muszę obmyślić plan wiosennych zasiewów.

Scarlett wtuliła się w poduszki, życząc sobie w duchu, by Rosemary odwołała swój przyjazd. Zupełnie nie wiedziała, czego należy oczekiwać po siostrze Retta: najchętniej wcale nie zawierałaby tej znajomości. Z plotek, które słyszała, zdołała dowiedzieć się przynajmniej tyle, że sprawa urodzin Rosemary Butler wywoływała na twarzach wielu

osób skryte uśmieszki. Była „późnym” dzieckiem - Eleonora wydając je na świat miała już piąty krzyżyk na karku. Poza tym była starą panną, jedną z ofiar Wojny - za młoda, by wyjść za mąż, zanim wybuchła, zbyt dojrzała i biedna, by przyciągnąć uwagę tych nielicznych mężczyzn, którzy byli jeszcze do wzięcia, kiedy działa umilkły. Powrót Retta do Charlestonu i jego bajeczne bogactwa wywołały serię domysłów: teraz Rosemary miała posąg w garści. Ale domniemana panna do wzięcia wiecznie była w rozjazdach, składając wizyty a to jakiemuś kuzynowi, a to znajomym w innym mieście. Może sama rozglądała się za mężem? Czyżby w Charlestonie nie widziała partii dla siebie? Już od ponad roku wszyscy oczekiwali na wiadomość, że Rosemary jest zajęta, a tymczasem nie było nawet cienia nadziei, że jest z kimś związana, nie mówiąc już o widokach na zaręczyny.

Scarlett zajęła się własnymi myślami: z przyjemnością widziałaby Rosemary zamężną, niezależnie od tego, ile miałoby to kosztować. Nie chciała mieszkać pod wspólnym dachem z osobą, która chociaż była brzydka jak święta ziemia, była też na tyle młodsza, by nazbyt przykuwać uwagę Retta. Gdy tuż przed kolacją usłyszała trzask frontowych drzwi, spięła się w sobie: Rosemary przybyła.

Do biblioteki wszedł Rett. Uśmiechnął się do matki.

- Twoja córka marnotrawna zawitała do domu - oznajmił. - Podszyta wiatrem, ubrana w świerk, zła jak lew, bo głodna. Gdy tylko umyje ręce, prawdopodobnie pojawi się tutaj i zaraz cię napocznie.

Scarlett z obawą spojrzała na drzwi. Młoda dama, która po chwili stanęła na progu, miała miły uśmiech na twarzy. W niczym nie przypominała osobnika z buszu. Budziła w niej jednak takie przerażenie, jakby co najmniej miała grzywę i zaryczała. Wyglądała jak drugi Rett! No nie, może nie dokładnie tak: miała te same czarne oczy, takie same kruczoczarne włosy, równie białe zęby, ale nie była jego lustrzanym odbiciem. Sprawiała wrażenie osoby, która niewiele przejmuje się tym, co świat o niej myśli - jak Rett, lecz jeszcze bardziej niż on. O, nie, Scarlett nie mogło się to podobać. Nie, tej cechy charakteru bardzo nie lubiła.

Zmrużyła oczy, obrzuciła Rosemary taksującym spojrzeniem: nie jest tak okropnie brzydka, jak mówią ludzie, ale też widać, że nic sobie z tego nie robi. Spójrzcie tylko, jak zgarnęła do tyłu włosy i upięła je w wielki kok na karku. Nawet nie nosiła kolczyków, choć uszy miała wyjątkowo zgrabne. Za to cera ziemista. Pewnie Rett też miałby ten niezdrowy odcień skóry, gdyby nie przebywał tak długo na słońcu. Ale jasna kolorowa suknia zapewne zdołałaby zniwelować to niemiłe wrażenie. Że też ubrała się

w tę najgorszą z możliwych, nijaką, brunatno - zielonkawą kieckę. Może uda mi się wybrać dla niej coś lepszego.

- A więc to jest Scarlett - Rosemary przemierzyła pokój czterema wielkimi krokami. Jezus Maria, trzeba ją będzie nauczyć, jak chodzi prawdziwa dama - przemknęło Scarlett przez myśl. Mężczyźni nie lubią kobiet, które pędzą przed siebie tak niezgrabnie. Scarlett zrobiła kroczek do przodu, przywołała na twarz siostrzany uśmiech i wystawiła się do powitalnego pocałunku.

Zamiast jednak musnąć kurtuazyjnie oba policzki, jak kazał zwyczaj, Rosemary stanęła i spojrzała jej prosto w oczy, nie tając ciekawości.

- Rett powiedział, że masz kocią naturę - oświadczyła. - Teraz, widząc te zielone oczy rozumiem, co miał na myśli. Pozostaje mi ufać, że na mój widok zamruczysz przyjaźnie, a nie fukniesz i nie strzelisz śliną. Chciałabym mieć w tobie przyjaciółkę.

Scarlett patrzyła z otwartymi ustami. Zbyt była zaskoczona, by dobrać z siebie jakiś dźwięk.

- Mamusiu, niechże już wreszcie podają tę kolację - Rosemary obróciła się na pięcie w stronę Mrs. Butler. - Powiedziałam Rettowi, że bezmyślny brutal z niego, skoro wyjechał po mnie na stację i nie wziął wałówki.

Scarlett odszukała wzrokiem Retta, na jego widok poczuła, jak się wewnętrznie gotuje: stał oparty o futrynę, usta wygięte w sardonicznym uśmiechu. Brutal. Prawdziwy brutal, jak mógł sobie na to pozwolić. „Kocica” - niby to ja mam kocią naturę? O, gdybyś tak pokazał jakie to ty masz pazury! Chętnie bym wydrapała ten uśmieszek z twych oczu! Błyskawicznie przeniosła wzrok na Rosemary: co, może i ona się śmieje? Nie. Właśnie padła w objęcia Eleonory Butler.

- Kolacja - mruknął Rett. - Widzę, że idzie Manigo.

* * *

Spalona słońcem skóra piekła straszliwie, a zarozumiałość Rosemary przyprawiała o ból głowy. Albowiem siostrę Retta charakteryzowała porywczność w wydawaniu sądów, głośna mowa i zamiłowanie do dyskusji. Kuzynostwo, których odwiedziła w Richmond, to beznadziejni głupcy - oznajmiła. Każda minuta, którą tam spędziła, była jej niemiła. Nie miała najmniejszej wątpliwości co do tego, że w życiu nie przeczytali książki - w każdym razie żadnej, która byłaby tego warta.

- Och, kochanie - łagodnie westchnęła Eleonora Butler. Spojrzała na Retta z niemym błaganiem.

- Kuzyni zawsze są nieznośni - uśmiechnął się. - Pozwólcie, że opowiem wam

ostatnie nowinki o kuzynie Townsendzie Ellintonie. Widziałem go niedawno w Filadelfii i spotkanie to pozostawiło mnie na cały tydzień w stanie niejakiego zmieszania, bowiem usiłowałem patrzeć mu prosto w oczy i oczywiście nabawiłem się zawrotów głowy.

- Już wolałabym, żeby kręciło się mi w głowie, niż miałabym dać się zanudzić na śmierć! - przerwała mu siostra. - Wyobrażasz sobie, jak wszyscy siedzą przy stole, a kuzynka Miranda czyta na głos powieść Waverley? Sentymentalne bzdury!

- Zawsze bardziej wolałam Scotta, kochanie, a myślałam, że ty też - Eleonora usiłowała powściągnąć porywczosć córki, ale bez rezultatu.

- Mamusiu, nie pamiętam niczego, co wydarzyło się później niż przed rokiem.

Scarlett z nostalgią wspomniała owe spokojne godziny, które spędzała po kolacji z Miss Eleonorą. Oczywiście, dopóki Rosemary będzie w tym domu, na ciszę nie ma co liczyć. Jakżeż Rett mógł ją tak lubić? Teraz chyba będzie musiała w jakiś sposób go od tego odwieść, była zdecydowana rozegrać tę walkę.

- Gdybym była mężczyzną, puściłbyś mnie do Rzymu - zniecka krzyknęła Rosemary do Retta. - Czytałam artykuły o starożytnościach rzymskich, te które napisał Mr. Henry James i jeśli nie zobaczę tego na własne oczy, umrę z niewiedzy.

- Ale nie jesteś mężczyzną, - odparł niczym niewzruszony Rett. - I skąd, na Boga, wytrzasnęłaś *The Nation*? Za czytanie tego wściekle liberalnego piśmidła mogliby cię powiesić.

Scarlett nastawiła uszy.

- Rett - wtrąciła się do rozmowy - dlaczego nie pozwalasz Rosemary na wyjazd do Rzymu? Przecież to znowu wcale niedaleko. Poza tym chyba mamy tam jakąś rodzinę? To chyba nie dalej niż do Aten, a Tarletonowie mają w Atenach bodaj z milion kuzynów.

Rosemary spojrzała na Scarlett z lekkim wytrzeszczem oczu.

- Kim są ci Tarletonowie i co wspólnego mają Ateny z Rzymem?

Rett zaniósł się głośnym kaszlem, by stłumić chichot. Po chwili odchrząknął.

- Rzym i Ateny to nazwy małych miasteczek w Georgii. Może zechcesz złożyć tam wizytę?

Rosemary złapała się rękami za głowę w geście ostatecznej rozpacz.

- Nie wierzę własnym uszom! Do licha, kto chce mnie wysłać do jakiejś zapadłej miejsciny w Georgii! Przecież ja chcę jechać do Rzymu, do prawdziwego Rzymu, do Wiecznego Miasta. To jest we Włoszech!

Scarlett czuła, jak jej policzki oblewają się purpurą. Tak, powinna była wiedzieć, że Rosemary mówi o Włoszech.

Zanim jednak zdążyła wybuchnąć śmiechem tak gromkim, jak donośny był śmiech Rosemary, drzwi do jadalni trzasnęły zniecacka, aż wszyscy podskoczyli i w bladym blasku świec ujrzeli Rossa. Stał w progu, z trudem usiłując złapać oddech.

- Ratunku - wydyszał ostatkiem sił. - Ściga mnie patrol. Zastrzeliłem Jankesa, który włamywał się do sypialni.

W jednej sekundzie Rett znalazł się u boku brata. Wziął go za ramię.

- Łódź w przystani. Przy nowiu nas nie złapią. Popłyniemy obaj.

Mówił spokojnie, lecz stanowczo. Zanim jednak wybiegli z jadalni, odwrócił się i krzyknął przez ramię:

- Powiedźcie im, że odpłynąłem gdy tylko przywozłem Rosemary z dworca, bo chciałem zdążyć na przyływ. Rossa nie widziałyście, o niczym nie wiecie. Dam znać.

Eleonora Butler niespiesznie podniosła się z krzesła, jakby nic się nie stało. Był zupełnie normalny wieczór i właśnie skończyli jeść kolację. Podeszła do Scarlett, objęła ją ramieniem. Scarlett cała drżała. Zbliżali się Jankesi. Powieszą Rossa za to, że postrzelił jednego z nich, a potem powieszą Retta za to, że pomógł mu w ucieczce. Dlaczego nie mógł zostawić brata samemu sobie? Nie miał prawa opuszczać żony, samotnej i bezbronnej, nie miał prawa rzucać ją na pastwę wroga.

Odezwała się Eleonora - w jej głosie dźwięczała stal, choć nie wyzbyła się łagodności, mówiła powoli i spokojnie, jak zawsze.

- Teraz odniosę nakrycie Retta do kuchni. Trzeba też powiedzieć służbie, jak ma się zachowywać. Nie może pozostać żaden ślad bytności Retta przy stole. Dziewczynki, zróbcie wszystko tak, aby wyglądało, że tylko my trzy jadłyśmy kolację.

- Co my zrobimy, Miss Eleonoro? Zbliżają się Jankesi...

Scarlett wiedziała, iż ma zachować niewzruszony spokój. Gardziła sobą z powodu własnego strachu, ale nie mogła go powstrzymać. Doszło już do tego, że w głowie kłębiły się jej myśli, jakby wszyscy Jankesi byli bezzębni i śmieli się obleśnie. Wspomnienia okresu, kiedy to armia mogła pozwolić sobie na wszystko i zwać to prawem, były bardzo deprymujące.

- Skończmy jeść kolację - odparła jej Mrs. Butler. W jej oczach rozbłysły wesołe ogniki. - A potem, myślę sobie, przeczytam wam coś z *Ivanhoe*.

* * *

- Nie macie nic lepszego do roboty niż znęcać się nad samotnymi kobietami? -

Rosemary spojrzała na kapitana wojsk Unii, gniewnie zaciskając pięści przy biodrach.

- Usiądź i uspokój się - powiedziała Mrs. Butler. - Przepraszam za zachowanie córki, kapitanie.

Ale pojednawcze tony w głosie Mrs. Butler nie zmyliły kapitana.

- Rozejść się i przeszukać dom - zwrócił się do swych ludzi.

Scarlett leżała na kanapie z kompresem rumiankowym na spieczonej słońcem twarzy i opuchniętych oczach. Była wdzięczna za tę ochronę - nie musiała spoglądać na Jankesów. Ale że też Eleonora zachowała tyle przytomności, by urządzić w bibliotece tę szpitalną scenę. Szczęśliwa, że nic nie widzi, zwijała się z ciekawości, co też się dzieje: miała niejasne pojęcie tylko na podstawie odgłosów, które docierały do niej. Słyszała zatem szelest kroków, ktoś zamknął drzwi, potem zapadła cisza. Gdzie kapitan? Gdzie Eleonora i Rosemary? Nie mogła znieść tego milczenia. Powoli uniosła rękę. Uchyliła rąbek wilgotnego bandaża.

Rosemary siedziała na krześle przy biurku. Czytała książkę.

- Sss... - szepnęła.

Rosemary szybko zamknęła książkę. Tytułową stronę zakryła dłonią.

- Co? - szepnęła. - Słyszałaś coś?

- Nic. Co oni robią? Gdzie Eleonora? Aresztowali ją?

- Na miłość boską, co za pomysły? - huknęła Rosemary, jak to miała w zwyczaju. - Żołnierze szukają w domu broni. W całym Charlestonie skonfiskowali wszystko, co nadawało się do strzelania. Mama poszła z nimi, aby się upewnić, czy nie skonfiskują czegoś więcej.

To tylko tyle? Scarlett poczuła przyływ ulgi. W domu nie było broni. Wiedziała o tym najlepiej, sama bowiem w swoim czasie szukała czegoś do obrony. Zamknęła oczy, pogrążyła się w stanie półsnu. Dzień był długi. Przypomnił się jej jakże podniecający widok piany kłębiącej się przy dziobie. Przez jedną krótką chwilę zazdrościła Rettowi nocnego rejsu pod gwiazdami. Gdyby tak mogła stać u jego boku zamiast Rossa. Nie bała się, że wpadnie w ręce Jankesów, nigdy nie bała się o niego. Był niezwyciężony.

Kiedy Eleonora Butler, zamknawszy drzwi za patrolem, wróciła do biblioteki, zdjęła z ramion kaszmirowy szal i otuliła nim Scarlett, która zapadła w głęboki sen.

- Lepiej nie przeszkadzajmy - szepnęła dobrotliwie. - Tutaj będzie jej całkiem wygodnie. Czas do łóżka, Rosemary. Masz za sobą długą, męczącą podróż, ja także jestem zmęczona, zaś jutro czeka nas ciężki dzień.

Uśmiechnęła się kącikami warg, gdy zauważyła, na której stronie *Ivanhoe* leżała

zakładka. Rosemary była pilną czytelniczką. I wcale nie była tak nowoczesna w swych upodobaniach, jak się jej wydawało.

* * *

Następnego dnia rano cały targ wrzał z oburzenia, głośno obmyślano plany zemsty. Scarlett przysłuchiwała się gwarowi podochoconych głosów: a niby czego oczekiwali, ci charlestończycy? Że Jankesi pozwolą się wystrzelać jak zające i nie powiedzą marnego słowa? Teraz, cokolwiek by uczynili, mogli tylko pogorszyć sytuację: głośne dyskusje i protesty do niczego nie doprowadzą. Jakież to wszystko mogło mieć znaczenie, skoro generał Lee zmusił generała Granta, by ten rozkazał swym oficerom oddać mu honory wojskowe po zwycięstwie pod Appomatox? Przeżywali zmierzch Południa, to pewne. Cóż z tego, że mogłeś sobie schować pod łóżkiem rewolwer, skoro nie miałeś pieniędzy na zakup kul? Chyba że ktoś myślał o pojedynku. Komu bowiem mogło zależeć na stercie bezużytecznego złomu, jeśli nie mężczyznom, zżartym pragnieniem dowiedzenia odwagi i dlatego roztrzaskującym sobie kawałkiem ołowiu głupie i próżne głowy.

Zacisnęła zęby. Bez słowa przeciskała się wśród ludzi, całkowicie pochłonięta robieniem zakupów. W przeciwnym razie wróciłyby do domu z niczym, bo nawet Miss Eleonora biegała w kółko jak kwoka z odciętym łbem, rozmawiając konspiracyjnym szeptem z każdym, kto nawinął się jej pod rękę.

- Mówią, że wszyscy mężczyźni są gotowi dokończyć dzieła, któremu Ross dał początek - relacjonowała wyniki swych rozmów w drodze do domu. - Kto to widział... żołdacy przetrząsający mieszkania... To już nie do zniesienia. My, kobiety, musimy zająć się wszystkim. Mężczyznom zbyt wiele pary idzie w gwizdek.

Scarlett poczuła, jak mrozi ją strach. Do tej chwili myślała, że to tylko taka sobie, babska gadanina. Nikomu chyba nie przyjdzie do głowy pogorszyć i tak złą sytuację!

- Tu nie ma się czym zajmować! - zawołała. - Jedyne, co możemy zrobić, to przeczekać. Rett chyba zdążył ukryć Rossa w bezpiecznym miejscu, w przeciwnym bowiem razie coś byśmy już wiedziały.

Mrs. Butler spojrzała na nią zdumiona.

- Jak to? Przecież nie możemy puścić tego płazem, chyba rozumiesz, Scarlett... Ubiegłej nocy urządzili nam w domach rewizję, teraz oznajmili, że nocne patrole obywatelskie zostaną rozbrojone, i że zaaresztują wszystkich handlarzy czarnego rynku. Jeśli nie zrobimy niczego, by się im przeciwstawić, wejdą nam z butami na głowę, jak to się stało w sześćdziesiątym czwartym, gdy nie można było ani zipnąć bez

specjalnego zezwolenia. Nie, nie możemy do tego dopuścić.

Scarlett zaczęła się zastanawiać, czy cały świat stanął na głowie. Czy ta gromadka starszych pań, których jedyną umiejętnością była sztuka picia herbaty i dziergania koronek, naprawdę myślała o tym, by zmierzyć się z potęgą armii?

Miała się o tym przekonać dwa dni później.

Ślub Lucindy Wragg zapowiedziano na dwudziestego trzeciego stycznia. Już napisano zaproszenia, które miały być rozesłane zaraz po Nowym Roku, nigdy jednak do tego nie doszło. „O przerażającą wprost biegłość w sztuce przekonywania” - oto wkład Rosemary Butler, który dodała do wysiłków matki przyszłej panny młodej, Eleonory Butler oraz innych pań. W wyniku usilnych zabiegów charlestońskich matron ślub odbył się dziewiętnastego grudnia, w kościele Świętego Michała, o godzinie dziewiątej wieczorem. Majestatyczne akordy marsza weselnego popłynęły przez otwarte okna i drzwi pysznie udekorowanej i zapchanej do ostatniego miejsca świątyni dokładnie w chwili, gdy jankeskie patrole zaczynały conocny obchód. Przy ulicy Świętego Michała znajdowały się koszary - uroczyste dźwięki organów niosły się gromkim echem aż do samej kwatery głównej wroga. Jakiś oficer opowiadał później swej żonie w obecności kucharza (który nie omieszkał rozgłosić tej rozmowy), że nigdy jeszcze nie widział tak zdenerwowanych żołnierzy - nawet wtedy, gdy zapuszczali się w dzikie ostępy. Całe miasto znało tę opowieść już następnego dnia i wszyscy setnie się ubawili, lecz nikogo to nie zaskoczyło.

O dziewiątej trzydzieści cała świta Starego Charlestonu wyległa z kościoła na ulicę i przedefilowała do South Carolina Hall. Mężczyźni, kobiety i dzieci, od pięcioletków do dziewięćdziesięciosiedmiolatka szli rozbawionym korowodem, radośni, bo noc była ciepła, wyzywająco łamali prawo i nic sobie z tego nie robili. Garnizon Unii w żaden sposób nie mógł się wykręcić, że niczego nie widział, wszystko bowiem działo się pod jego nosem. Nijak też nie można było zaarrestować buntowników - w koszarach znajdowało się tylko dwadzieścia sześć cel. Nawet gdyby zamieniono na tymczasowe więzienie wszystkie biura i korytarze, i tak nie zmieściłby się cały tłum. Trzeba było wynieść z kościoła ławki, inaczej nie dałoby się upchnąć w jego murach wszystkich weselników, którzy mimo to musieli stać ramię przy ramieniu.

Podczas przyjęcia, jeśli kto chciał wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza, musiał się ustawić w kolejce. Biesiadnicy na zmianę wychodzili, rozkoszując się rześką świeżością nocy oraz widokiem bezradnych patroli, maszerujących we wzorowym ordynku pustymi ulicami.

Tego dnia po południu w mieście pojawił się Rett - wrócił z wiadomością, że Ross jest bezpieczny w Wilmington. Scarlett w przedsiionku South Carolina Hall wyznała mu, że boi się pójść na wesele, nawet jeśli on dotrzyma jej towarzystwa.

- Nie sądzę, żeby to herbaciane towarzystwo było w stanie wystrychnąć na dudka jankeską armię. Mam prawo tak uważać: ci charlestończycy zachowują się tak, jakby pozjadali wszystkie rozумы.

Rett uśmiechnął się.

- Lubię aroganckich durniów, wszystkich razem i każdego z osobna. Nawet tego biednego, starego Rossa. Mam nadzieję, że ten idiota nigdy się nie dowie, że chybił o milę. Bardzo by się zawstydził.

- To on nawet go nie postrzelił? Pewnie znowu był pijany - w jej głosie dała się słyszeć nieskrywana pogarda. Nagle aż drgnęła ze strachu. - A więc ten maruder ciągle grasuje?

Rett poklepał ją po ramieniu.

- Nie. Śpij spokojnie, moja droga, nigdy więcej o nim nie usłyszysz. Mój brat oraz pospieszny ślub małej Lucindy napędzą stracha wszystkim Jankesom.

W tym miejscu roześmiał się gromko, lecz tylko on jeden znał powody tej wesołości.

- Cóż cię tak bawi? - podejrzliwie spytała Scarlett. Nie znosiła sytuacji, gdy ktoś się śmiał nie wiadomo z czego.

- Z pewnością nigdy byś tego nie zrozumiała - odparł. - Już sobie wieszowałem prostego rozwiązania pewnego problemu, gdy tymczasem mój braciszek - nieudacznik prześcignął mnie, bo mimowolnie dał całemu miastu powód do świetnej zabawy i jest z tego dumny. W przedsiionku zaroilo się od gości - Lucinda Wragg, teraz już Lucinda Grimbball, zrzucała z balkonu kwiaty do żołnierzy.

- Też mi coś... Prędezej ciskałabym w nich cegłami.

- Co do tego, nie mam najmniejszych wątpliwości. Zawsze lubiłaś robić to, co do ciebie należy. Żeby zachowywać się jak Lucinda, trzeba mieć trochę wyobraźni.

Rett, który dotychczas mówił powoli i z dowcipem, ostatnie zdanie wypowiedział ostro i zjadliwie.

Scarlett zadarła głowę do góry.

- Wracam do środka. W ostateczności wolę już dusić się w tłumie, niż narażać na obelgi.

Niewidoczna w cieniu pobliskiej kolumny, Rosemary aż zgięła się pod ciężarem okrucieństwa, które słyszała w głosie Retta, i oburzenia, pobrzmiwającego w słowach

Scarlett.

Tej samej nocy, gdy już wszyscy pokładli się spać, podeszła na paluszkach do biblioteki, gdzie Rett czytał książkę, weszła do środka i dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

Twarz miała czerwoną od płaczu.

- Myślałam, że cię znam - wychlipała. - Ale, jak widać, myliłam się. Słyszałam, w jaki sposób odzywałeś się dzisiaj do Scarlett. Jak można tak się odnosić do własnej żony? Ciekawe, co przyjdzie ci do głowy następnym razem?

Rett szybko zerwał się z krzesła i ruszył do siostry z wyciągniętymi ramionami. Ale Rosemary uniosła ręce, dłonie zwinęła w kulak i jakby odpychając niewidzialnego przeciwnika dała krok do tyłu. Jego twarz pociemniała z bólu, przystanął, opuścił ręce. Ponad wszystko pragnął oszczędzać Rosemary przykrości, a teraz sam był ich sprawcą.

W głowie ciągle dźwięczały mu słowa, które przed chwilą usłyszał - ta krótka i smutna opowieść o pokrzywdzonej żonie i mężu - okrutniku. Rett nigdy nie żałował ani nie tłumaczył się z tego, co robił w latach hulaszczej młodości. Nie zrobił niczego, co mogłoby być mu poczytane za powód do wstydu... było mu jedynie przykro z powodu wrazenia, jakie wywołało to u jego siostry.

Buntowniczo zlekceważywszy rodzinę i społeczeństwo, został przez ojca wydziedziczony. Gdy w rodzinnej Biblii odnotowywano narodziny Rosemary, imię Retta było tylko czarną smugą atramentu. Rosemary miała brata o dwadzieścia lat starszego, ale nie widziała go aż do trzynastego roku życia, kiedy to stała się niezgrabną dorastającą dziewczyną o długich nogach, wielkich stopach, pączkujących piersiach. To pierwsze spotkanie z Rosemary zawdzięczał matce, która - co zdarzyło się jej zaledwie parę razy w życiu - złamała wyraźny zakaz ojca i przyprowadziła córkę do portu, w noc, gdy przycumował statek syna. Rett w czasie blokady Charlestonu z narażeniem życia utrzymywał łączność ze światem. Niepewność i potrzeba miłości, które wyczuł w siostrzyczce, poruszyły w nim głębokie pokłady czulej tkliwości, tak że przyjął ją do swego serca z całym ciepłem uczucia, do jakiego ojciec nigdy nie byłby zdolny. W zamian Rosemary obdarowała go zaufaniem i lojalnością, do jakiej nigdy nie pobudzał ich starszy Mr. Butler. Ta czuła więź między bratem a siostrą nigdy nie została zerwana, chociaż oboje widzieli się nie więcej niż kilkanaście razy aż do chwili, gdy po upływie jedenastu lat od ich pierwszego spotkania Rett powrócił do Charlestonu.

Nigdy nie wybaczył sobie, że uległ zapewnieniom matki, iż Rosemary jest szczęśliwa, a pieniądze, którymi zasypywał je obie od śmierci ojca, gdy już nikt nie mógł przejąć i zwrócić przekazów bankowych, zapewniają im bezpieczny byt. Powinien był zachować więcej czujności, powinien był być bardziej uważny - oskarżał samego siebie. Może wtedy siostra nie wzrosłaby w nieufności do mężczyzn - może wtedy byłaby zdolna zakochać się, wyjść za mąż i urodzić dzieci.

Tymczasem zaś wróciwszy do domu zastał dwudziestoczteroletnią kobietę, równie brzydką jak wtedy, gdy ją widział w wieku lat trzynastu. Poza nim żaden mężczyzna nie znalazł uznania w jej oczach. Nad niepewne życie w prawdziwym świecie przekładała

zmyślony i daleki świat powieści. Odrzucała społeczne konwenanse w tym, co się tyczy wyglądu, poglądów i zachowania, które przystoi kobiecie. Rosemary była sawantką, była denerwująco szczerą i zupełnie jej brakowało typowo kobiecej skłonności do forteli, nie mówiąc już o babskiej próżności.

Rett kochał ją. Umiał też uszanować jej, rażącą niektórych, niezależność. Nie mógł nadrobić tych lat, gdy pozostawali z daleka od siebie, lecz ofiarował jej najcenniejszy dar, jaki posiadał - samego siebie. Z Rosemary był zawsze absolutnie szczerą, rozmawiał z nią jak z równą sobie, a niekiedy nawet zwierzał się jej z tajemnic swego serca, czego nie robił wobec nikogo innego. Ona z kolei umiała docenić jego wielkoduszność, podziwiała go. W ciągu tych czternastu miesięcy od kiedy przebywał w domu ta wyrośnięta, chora, gdy nie miała nic do roboty, niewinna stara panna i przemądrzały, rozczarowany światem awanturnik stali się parą najlepszych przyjaciół.

Teraz Rosemary czuła, że została zdradzona. Poznała Retta z tej strony, od której nigdy go nie widziała, ujrzała w bracie rys okrucieństwa, choć dotychczas znała go jedynie jako człowieka pełnego serdeczności i czułości. Była zmieszana i nieufna.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - jej szeroko otwarte oczy spojrzały nań oskarżycielsko.

- Przykro mi - powiedział, ostrożnie ważąc słowa. - Bardzo boleję nad tym, że przypadkiem zdarzyło ci się usłyszeć to, co słyszałaś. Ale musiałem to powiedzieć. Chcę, żeby Scarlett wyjechała i zostawiła nas samym sobie.

- Ale to twoja żona!

- Rzuciłem ją. Proponowałem rozwód. Nie chciała się zgodzić, lecz zdaje sobie sprawę z tego, że nasze małżeństwo nie ma przyszłości.

- To dlaczego ciągle jest tutaj?

Rett wzruszył ramionami.

- Może usiądziemy. To długa i bardzo męcząca historia.

* * *

Powoli, słowo po słowie, sztywno i zupełnie beznamiętnie Rett odmalował siostrze historię dwóch wcześniejszych małżeństw Scarlett, opowiedział, jak zaproponował jej małżeństwo za pieniądze i jak ona przyjęła jego ofertę. Opowiedział także o bez mała obsesyjnej miłości Scarlett do Ashleya Wilkesa, trwającej przez wszystkie lata ich związku a i wcześniej.

- Skoro o tym wiedziałaś, to dlaczego ją poślubiłaś?

- Dlaczego? - usta Retta wygięły się w dwuznacznym uśmiechu. - Dlatego, że bardzo

ognista była z niej osóbką, zuchwała i dzielna. Ponieważ, mimo wszystkich swych pretensji, pozostała dzieckiem. Ponieważ była niepodobna do żadnej innej kobiety, którą znałem. Fascynowała mnie, doprowadzała mnie do białej gorączki, wpędzała w szaleństwo. Kochałem ją równie namiętnie jak ona jego, i to od dnia, gdy po raz pierwszy ją ujrzałem. To było coś w rodzaju choroby.

W jego głosie pojawił się cień smutku.

Zakrył twarz obiema dłońmi, jego ciałem wstrząsnął śmiech. Mówił, lecz głos dobiegał stłumiony i głuchy.

- Życie... cóż to za groteskowy kawał. Teraz Ashley Wilkes jest człowiekiem wolnym i poślubi Scarlett, gdy tylko będzie mógł, a ja chcę uciec od niej jak najdalej. Oczywiście, widząc, że jej unikam, tym bardziej mnie pragnie, bowiem ta kobieta zawsze chciała mieć tylko to, czego nie mogła posiadać.

Podniósł głowę.

- Obawiam się - westchnął - że to wszystko znowu się zacznie. Wiem, że Scarlett jest istotą bez serca, wiem, że jest samolubna niczym dziecko, które chcąc dostać zabawkę uderza w wielki płacz, a kiedy już ma to, czego chciało, rozbija je i niszczy. Są jednak chwile, gdy przechyla głowę pod pewnym kątem, albo uśmiecha się promiennie, albo sprawia wrażenie zagubionej... a wtedy jestem gotów zapomnieć wszystko, co o niej wiem, całe zło...

- Mój biedny Rett - Rosemary położyła dłoń na jego ramieniu.

Nakrył jej dłoń swoją dłonią. Potem uśmiechnął się i znowu był sobą.

- Widzisz przed sobą, moja droga, człowieka, który kiedyś dokonywał cudów na barkach wolno sunących przez Missisipi. Całe życie stawiałem na jedną kartę i nigdy nie przegrałem. Tym razem zwycięstwo też będzie moje. Scarlett i ja dobiliśmy interesu. Nie mogę ryzykować mieszkając z nią zbyt długo pod jednym dachem, bo albo znowu bym się w niej zadurzył, albo bym ją zabił. Zatem pomachałem jej przed nosem sakiewką i ta kupka złotych monet przeważała płomienne uczucia, którymi, jak twierdzi, ciągle mnie darzy. W zamian za pieniądze opuści Charleston z końcem sezonu. Do dnia jej wyjazdu wszystko, co mogę zrobić, to trzymać ją od siebie na dystans, jakoś dać sobie radę z jej obecnością, jakoś ją przechytryć. Mam z tego prawie dobrą zabawę, Scarlett nienawidzi przegrywać, a kiedy musi pogodzić się z przegraną, wyraźnie to widać. W końcu nie ma nic zabawnego w pokonaniu kogoś, kto umie tracić, sytuacja odwrotna może dostarczać niemało powodów do uciechy.

Jego oczy roześmiały się, gdy na nią spojrzał. Potem nagle spoważniały.

- Gdyby mama poznała całą prawdę o tym naszym związku, który już się rozpadł, mogłoby ją to zniszczyć, ale też wstydziłaby się, gdyby wiedziała, w jaki sposób zerwałem te okowy, nieważne, jak bardzo się męczyłem. Widzisz zatem, że stoję przed dylematem prawie nie do rozwiązania. W ten sposób dochodzimy do tego, iż Scarlett mnie porzuci, ja będę stroną pokrzywdzoną, lecz znoszącą ten cios ze stoickim spokojem, hańba zostanie nam oszczędzona.

- I nie będzie powrotów?

- Jeden już był... przed laty. I wyszedłem na głupca. Znajdę ogromną pociechę w świadomości, że po raz drugi nie dam zrobić z siebie idioty. Niemało muszę się natrudzić, by wymazać z pamięci upokorzenie, którego doznałem za pierwszym razem.

Rosemary spojrzała nań z niczym nie zmaconą ciekawością.

- A jeśli Scarlett się zmieni? Przecież niewykluczone, że dojrzeje.

Rett roześmiał się.

- Odpowiem cytatem z niej samej: „co by było, gdyby świnię zaczęły fruwać?”

21.

- Wynoś się! - Scarlett wtuliła twarz w poduszkę.

- Mamy niedzielę, Miss Scarlett. Obie panie starsze czekają z mszą.

Scarlett ziewnęła. Te wczesne msze u katolików skłaniały ją do myśli o zmianie wyznania na episkopalne - ci przynajmniej mogli pospać dłużej. Służba Boża u świętego Michała zaczynała się dopiero o jedenastej. Westchnęła i wyszła z łóżka.

Ciotki nie traciły czasu. Ledwie ją ujrzały, zaczęły wykład o tym, czego to się po niej oczekuje w nadchodzącym sezonie. Słuchała niecierpliwie, podczas gdy Paulina i Eulalia trajkotały jak najęte o stosownym, nieposzlakowanym zachowaniu prawdziwej damy, która wśród licznych swych zalet powinna też okazywać szacunek starszym. Zacisnęła zęby: matka i Mammy wbijały jej te zasady do głowy już od czasu, gdy stawiała pierwsze kroczki. Buntowniczo zacisnęła szczękę. Przez całą drogę do Panny Maryi spoglądała na czubki własnych buczków. Nie, to było nie do zniesienia.

Wszakże gdy po wyjściu z kościoła zmierzały do domu na śniadanie, Paulina powiedziała coś, co przykuło jej uwagę.

- Nie bocz się na mnie, Scarlett, bo tylko dla twego własnego dobra powtarzam ci, co mówią ludzie. Już krążą plotki o twoich dwóch sukniach balowych prosto spod igły. To skandal, skoro wszyscy muszą się zadowolić tym, co noszą już od lat. Jesteś nowa w tym mieście i musisz dbać o swoją reputację. Rett zresztą też. Sama wiesz, że ludzie jeszcze nie zapomnieli o jego przeszłości.

Scarlett poczuła, jak serce jej zadrzało. Rett pewnie by ją zabił, gdyby zrujnowała tę budowlę, którą z takim trudem wznosił.

- Co z Rettem? Ciociu Paulino, opowiedz mi o wszystkim.

Paulina opowiedziała. I to z przyjemnością. Opowiedziała wszystkie dawne historie - został usunięty z West Point, ojciec wydziedziczył go za niesubordynację, znany był z tego, że zdobywał pieniądze w bardzo podejrzany sposób, był zawodowym karciarzem na statkach na Missisipi, spekulował w Kalifornii złotymi działkami, i co najgorsze z wszystkiego - sprzymierzał się ze Scallwagami i Carpetbaggerami. Jasne, był też dzielnym żołnierzem Konfederacji, nieustraszonym kurierem w czasie blokady, strzelcem u generała Lee, a większość z brudnych pieniędzy wydał na cele konfederackie...

Ha! - przemknęło Scarlett przez myśl. Rett nieźle radzi sobie w rozsiewaniu tych opowiastek.

... Niemniej jednak przeszłość tego mężczyzny była niewątpliwie dość ciemna.

Dobrze, że wrócił do domu, by troszczyć się o matkę i siostrę, ale nie wolno zapominać, że sam się przy okazji świetnie bawił. Gdyby jego ojciec nie zagłodził się na śmierć, byleby tylko opłacić ogromne stawki ubezpieczeniowe, Eleonora i Rosemary zmarłyby pewnie, zupełnie opuszczone.

Scarlett przygryzła język, bo jeszcze chwila, a rzuciłaby się na Paulinę z krzykiem. To nieprawda o tym ubezpieczeniu, z którego rzekomo miały się utrzymywać obie panie po śmierci Mr. Butlera! Rett nigdy, ani na minutę, nie przestał się troszczyć o matkę i siostrę, ale starszy pan nie chciał przyjąć od niego ani centa! Dopiero gdy ojciec umarł, Rett mógł kupić dom Miss Eleonorze i przysyłać jej pieniądze. Ale nawet ona rozpowiadała tę bajkę o ogromnych sumach asekuracyjnych, z których miała się utrzymywać, bowiem pieniądze Retta powszechnie uważano za zdobyte w sposób niegodny. Cóż, wszystkie pieniądze są takie same - ciekawe, kiedy to wreszcie pojmą ci charlestończycy o sztywnych karkach? Co za różnica, skąd pochodziły, skoro dzięki nim mieli dach nad głową i pełne żołądki?

Dlaczego ta Paulina ciągle trajkocze? Na miłość Boską, o czym znowu teraz prawi? A, głupi interes z nawozami. Kolejny kawał. Choćby nawet Rett produkował nawozy mineralne dla całego świata, nie zdołałby zebrać tyle pieniędzy, ile wydawał na swe szaleństwa w rodzaju pościgów za starymi meblami Miss Eleonory, za srebrami, obrazami pradziadków i opłacanie zdrowych mężczyzn, iżby opiekowali się jego cennymi kameliami miast zająć się uprawą warzyw, na czym można zbić nieco grosza.

- ...istotnie, wielu charlestończyków utrzymuje się ze sprzedaży fosforytu i wcale nie narzekają, ale nikt nie robi z tego cyrku. Drogie dziecko, musisz go bronić przed tymi skłonnościami do ekstrawagancji i niezdrowej ostentacji. To twój mąż, musisz go ostrzec, taki jest twój obowiązek. Eleonora Butler żyje w złudzeniach, że jej syn nie może zrobić fałszywego kroku, zawsze go psuła, ale dla jej dobra, dla dobra Retta i oczywiście także własnego musisz się zatroszczyć, aby Butlerowie nie popadli w podejrzenie.

- Sama usiłowałam porozmawiać na ten temat z Eleonorą - pociągnęła nosem Eulalia. - Ale ona nie przyjęła do wiadomości niczego z tego, co mówiłam, jestem pewna.

Oczy Scarlett załśniły niebezpiecznym blaskiem.

- Drogie ciocie - rzekła z nadmierną słodyczą. - Wdzięczna jestem wam bardziej, niż umiem to wysłować. Każde wasze słowo zachowam w pamięci. Teraz jednak muszę już iść. Dzięki za wyśmienite śniadanie.

Wstała, wycisnęła po całusie na policzkach obu starszych panien, po czym pognąła do drzwi. Gdyby nie udało się jej uciec w tej właśnie chwili, zaczęłaby krzyczeć. Chyba jednak będzie musiała porozmawiać z Rettem o tym, co usłyszała od ciotek?

* * *

- Rett, kochanie, czy naprawdę nie jesteś w stanie zrozumieć, dlaczego wydawało mi się, że jednak powinnam była powiedzieć ci o tym? Ludzie krytykują twoją matkę. Wiem, że moje ciotki to nieznośne stare plotkarki, ale taka to już natura tych ludzi, że zawsze widzą dziurę w całym i zapewniam cię, że nie one jedne myślą w ten sposób. Pamiętaj o Mrs. Merriwether, Mrs. Meade i Mrs. Elsing.

Miała nadzieję, że Rett jej podziękuje. Nie spodziewała się, że zbędzie ją śmiechem.

- Błogosławione niechaj będą stare serca wścibskich panien - roześmiał się. - Idziemy, musisz powiedzieć o tym mamie.

- Rett, nie mogę. Przecież strasznie ją zdenerwuję.

- Musisz. Naprawdę musisz. Może wydaje ci się to absurdalne, lecz większość poważnych spraw ma w sobie coś z absurdu. I pozbądź się tej miny zatroskanej córki. Nie masz pojęcia, co by się stało z moją matką, gdyby nagle przestały napływać zaproszenia na przyjęcia, a my oboje znając przyczynę nie powiedzieli jej, w czym rzecz.

- Ale to nie w porządku wobec Miss Eleonory. Przecież ja ją kocham!

Rett zatrzymał się w połowie drogi ku drzwiom, odwrócił się i spojrzał na nią. Chwył ją za ramię i tak potrząsnął, że aż głowa jej podskoczyła. W jego oczach czaiło się chłodne, badawcze spojrzenie, patrzył na nią, jakby chciał poddać ją próbie.

- Nie wplątuj do swych kłamstw mojej matki. Ostrzegam cię, to może się źle skończyć.

Był bardzo blisko, dotykał ją. Scarlett czuła, jak rozchylają się jej wargi, wiedziała, że w jej oczach jest wypisana niema prośba o pocałunek. Gdyby tylko lekko opuścił głowę, ich usta by się spotkały. Oddech jej zamarł.

Jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu jakby chciał ją przyciągnąć - lekki szloch radości zadrzał w jej wstrzymywanym oddechu.

- Niech cię diabli! - burknął, odpychając ją od siebie. - Idziemy. Mama jest w bibliotece.

Eleonora Butler odłożyła robótkę na kolana. Złożyła ręce - lewą dłoń na prawej. Był to znak, że traktuje z całą powagą słowa Scarlett, że słucha jej z pełną uwagą. Skończywszy, Scarlett nerwowo oczekiwała na pierwsze słowa reakcji.

- Usiądźcie - powiedziała łagodnie Mrs. Butler. - Eulalia myli się, i to we wszystkim. Z wielką uwagą wysłuchałam tego, co miała mi do powiedzenia na temat tych ogromnych zasobów, które posiadam... - źrenice Scarlett poogromniały ze zdziwienia - ... po czym przemyślałam całą sprawę w spokoju ducha, zwłaszcza zaś w tym, co się tyczy pomysłu, by Rosemary otrzymała w prezencie tę swoją wymarzoną Wielką Podróż. Od wielu już lat nikt w Charlestonie nie mógł sobie pozwolić na coś równie kosztownego, właściwie od czasu gdy planowaliśmy wysłać za granicę Retta, który pojechałby do Europy, gdyby nie ta jego krnąbrność... Świętej pamięci ojciec twój kazał ci wtedy pójść do szkoły wojskowej, żebyś nauczył się, co to dyscyplina... Niemniej, po długich wahaniach uznałam, że nie narażamy się na ryzyko ostracyzmu towarzyskiego. Charlestończycy są bowiem pragmatyczni, jak wszystkie stare cywilizacje. Uznajemy przecież bogactwo za godne pożądaniami, przed ubóstwem bronimy się, jak możemy. Jeśli jednak już ktoś popadł w nędzę, dobrze gdy ma bogatych przyjaciół. Gdybym zamiast szampana podawała nędznego cienkusa... o, wtedy to już by mi nie wybaczone! Nikt by nie poczytał mi tego za rzecz godną ubolewania, nikt by nie pytał o przyczyny... dopiero wtedy zostałabym przez wszystkich odepchnięta i naraziłabym się na ogólne potępienie.

Scarlett zmarszczyła brwi - miała kłopoty ze zrozumieniem tego, co przed chwilą usłyszała, lecz ostatecznie jakie to miało znaczenie? Zrównoważony, spokojny ton głosu Mrs. Butler wyraźnie dowodził, że nie było powodów do obaw.

- Może nadmiernie rzucaliśmy się w oczy - ciągnęła dalej Eleonora - ale przecież nikt w Charlestonie nie może potępić Butlerów za to, że Rosemary zgodziła się skorzystać z uprzejmości syna, brata czy kuzyna naszych dalekich krewnych, zaś jej kontrakt małżeński powinien położyć kres wszystkim nieporozumieniom.

- Mamo, jesteś bezwstydną cyniczką - roześmiał się Rett.

Eleonora odpowiedziała pogodnym uśmiechem.

- Z czego tak się cieszyacie? - dobiegł od drzwi głos Rosemary. Obrzuciła szybkim spojrzeniem najpierw Retta, potem Scarlett, potem znowu spojrzała na Retta. - Cały dom trzęsie się od śmiechu. Słyszałam aż na dole, Rett, opowiedz mi ten dowcip.

- Mama staje się światowa - wyjaśnił.

Już jakiś czas temu oboje postanowili, że będą chronić matkę przed rzeczywistością prawdziwego życia, toteż uśmiechnęli się teraz z minami konspiratorów. Scarlett poczuła bolesne ukłucie: ona nie należała do świata tych dwojga. Odwróciła się do nich plecami.

- Mogę tu jeszcze zabawić chwilkę, Miss Eleonoro? - odezwała się pogodnym tonem. - Chciałabym zasięgnąć u pani rady, co mam założyć na bal.

Zobacz, Recie Butlerze, ile mnie obchodzą twoje umizgi do tej starej panny, którą traktujesz jakby była Królową Maja. A jeśli sobie wyobrażasz, że zdołasz mnie w ten sposób zdenerwować, albo że wzbudzisz we mnie zazdrość, to powinno ci dać do myślenia.

Eleonora Butler spojrzała na Scarlett: zaintrygował ją ten wyraz zaskoczenia na jej twarzy, zainteresowało ją, co było przyczyną, że usta miała półotwarte, a oczy lśniły jej podnieceniem. Aż obejrzała się przez ramię chcąc dostrzec, czemu się tak przypatrywała.

Ale choć Scarlett skoncentrowała wzrok na jakimś punkcie w przestrzeni, nie spoglądała na nic szczególnego. Poraziła ją oczywistość myśli, która błysnęła jej w głowie z jasnością błyskawicy.

Zazdrość. Jakaż idiotka ze mnie, że nie wpadłam na to wcześniej. Tak, oczywiście, to wszystko wyjaśnia. Dlaczego trzeba mi było aż tyle czasu, bym mogła to zrozumieć? Przecież raz po raz ocierała się o to samym czubkiem nosa. Ashley ciągle przy mnie, a ja przegapiłam wszystkie, nawet najbardziej rzucające się w oczy znaki tej jego niewidzialnej obecności. Rett szalał z zazdrości o Ashleya, to dlatego pragnął mnie tak bardzo. Teraz wystarczy, gdy znowu poczuje ukłucie tego żądła. Nie, oczywiście tym razem Ashley nie może być przyczyną - wystarczy, niech tylko uśmiechnę się do niego, a spojrzy na mnie z litością i zaraz zacznie skamleć, żebym go poślubiła. Nie, trzeba znaleźć kogoś na miejscu, kogoś z Charlestonu. W ostateczności nie powinno to być aż takie skomplikowane. Za sześć dni zaczyna się sezon - zaraz zaczną się przyjęcia i bale, i to wysiadywanie przy ciasteczkach i nad szklaneczką ponczu. Zapewne, wszystko w gronie tych starych snobów, ale przecież mężczyźni nie zmieniają się w zależności od punktu na mapie, nawet jeśli to Charleston. Niech no tylko przyjdzie pierwszy bal! Nie zdąży dojść do połowy, a zbiorę wokół siebie wianuszek największych elegantów. Umrę z niecierpliwości zanim się doczekam.

* * *

Po niedzielnym obiedzie cała rodzina wybrała się do Domu Konfederata z dwiema girlandami, które Rett przywiózł z plantacji i dwoma ciastami owocowymi nasączonymi whisky, roboty Miss Eleonory. Scarlett płynnie tańczyła na chodniku wywijając zielonym wińcem, nucąc kolędy. Jej wesołość była zaraźliwa i wkrótce śpiewali we czworo.

- Wstąpcie na chwilę - zapraszali gospodarze domów, które mijali niczym czwórka kółdników. - Chodźcie z nami - odpowiedziała Mrs. Butler. - Chcemy przystroić na święta Dom Konfederata. Toteż gdy dotarli do wdzięcznej, starej acz nadgryzionej zębem czasu budowli przy Szerokiej, towarzyszyło im kilkunastu ochotników.

Sierotki aż piszczwały z zachwytu, gdy rozpakowywano ciasta, lecz Miss Eleonora musiała ostudzić ich zapał, wyraźnie zaznaczając, że to „tylko dla dorosłych”. Dzieciom dostały się zwykle łakocie. Dwie wdowy rezydujące w Domu pośpiesznie przyniosły kubki mleka, po czym usadziły dzieci przy niskim stoliku na werandzie.

- Teraz możemy rozwiesić girlandy - oświadczyła Mrs. Butler. - Rett, synu, ty będziesz się wspinał po drabinie.

Scarlett zajęła miejsce zaraz obok Anny Hampton. Chciała być szczególnie miła dla tego płochliwego dziewczęcia, a to z racji jej podobieństwa do Melanii. Miała wrażenie, że w ten sposób może wynagrodzić zmarłej wszystkie złe myśli, jakie o niej snuła, podczas gdy Mela pozostawała w stosunku do niej absolutnie lojalna. Poza tym Anna tak otwarcie prawiała jej komplementy, że przebywanie w jej towarzystwie było czystą rozkoszą.

- Jakie to musi być wspaniałe uczucie móc się poszczycić tymi włosami o aksamitnej czerni - westchnęła. - Wyglądają jak welon z czarnego jedwabiu. Albo jak ta lśniącoczarne pantera, którą widziałam kiedyś na obrazie.

Twarz Anny promieniała niewinnym uwielbieniem, zaraz jednak oblała się purpurą - uwagi tak bezpośrednie, tak spontanicznie wyrażane w obecności osoby, której dotyczyły, można jej było poczytać za impertynencję.

Scarlett łagodnie musnęła palcami jej dłoń, ale niewiele pomogła tym Annie, która zachowywała się niczym wiecznie przerażona, szara myszka polna. Później, gdy już dekoracje były gotowe, a małe pomieszczenia wypełniała słodka żywiczna woń świerkowych gałęzi, Anna przeprosiła towarzystwo tłumacząc, że musi teraz pójść do dzieci i uczyć ich kolęd. Jak by się to podobało Melanii - pomyślała Scarlett. Patrząc na Annę obejmującą dwie zdenerwowane dziewczynki, które miały właśnie śpiewać w duecie, poczuła jakieś dławienie w gardle. Tak, Mela równie szaleńczo kochała dzieci. Przez chwilę czuła się winna, że nie wysłała Wade'owi i Elli jeszcze więcej bożonarodzeniowych podarków, lecz wtedy właśnie duet dobiegł końca i przyszła kolej na wspólne śpiewy - musiała zatem dobrze skupić uwagę, by przywołać z pamięci wszystkie zwrotki „*Pierwszej gwiazdki*”.

- Co to była za radość! - oznajmiła, gdy wyszli z Domu. - Kocham święta!

- Ja też - kiwnęła głową Eleonora. - Dobrze jest dać porwać się urokowi Bożego Narodzenia zanim jeszcze nastanie karnawał z wszystkimi jego uciechami. Przypuszczam jednak, że w tym roku nie zaznamy spokoju tyle, ile byśmy pragnęli i ile mieliśmy co roku. Jankesi przysiądą nam na karku, bardziej niż zwykle. Ten biedny jankeski pułkownik nie może puścić nam płazem, żeśmy wszyscy, co do jednego, tak ostentacyjnie złamali godzinę policyjną - roześmiała się jak mała dziewczynka, która spletała figła. - Ależ to była awantura.

- Mamusiu, powiedz szczerze - odezwała się Rosemary - jak możesz nazywać te wstrętne niebieskie kurtki „biednymi Jankesami”?

- Ponieważ na pewno woleliby spędzić święta z własnymi rodzinami, niż siedzieć tutaj i nas dręczyć. Myślę, że są bardzo nieszczęśliwi.

Teraz roześmiał się Rett.

- Pewnie ty i te twoje przyjaciółki macie już coś w zanadrzu, żeby się nie nudzili. Idę o zakład!

- Owszem. Ale tylko gdy nas zmuszą - Mrs. Butler zaniosła się perlistym śmiechem. - Przypuszczamy, że ten dzisiejszy spokój to tylko dlatego, że nasz pułkownik, jak każe Biblia, w szabas nie kiwnie nawet palcem. Ale jutro na pewno z czymś wyskoczy. Dawniej w takich wypadkach mieli zwyczaj grzebać nam po koszykach w poszukiwaniu kontrabandy. Jeśli i teraz spróbują tej metody, umoczą palce w pewnych wielce smrodliwych ingrediencjach.

- Kurze wnętrzności?

- Zgniłe jaja?

- Proszek wywołujący świerzb?

Eleonora śmiała się przez dłuższy czas, widząc ich zaciekawione twarze.

- To też... ale oprócz tego jeszcze parę różnych rzeczy - wyjaśniła bardzo zadowolona z siebie. - W przeszłości niejednego żeśmy się nauczyły i można powiedzieć, że jesteśmy mistrzyniami w różnych taktykach. Większość żołnierzy to nowi ludzie, nieświadomi tutejszych obyczajów, na pewno będzie to dla nich nowe przeżycie. Założę się, że ci ludzie nigdy nie słyszeli o trującym sumaku. Oczywiście, w dzień Bożego Narodzenia trzeba okazywać miłość najgorszym nawet bliźnim, ale ci Jankesi powinni zrozumieć, że już od dawna się ich nie boimy.

- Poza tym bardzo bym chciała widzieć w domu Rossa - dodała, kiedy ucichły już śmiechy. - Jak myślisz, Rett... może by go tak sprowadzić? Jeśli będzie bezpieczny...

- To zależy od tego, mamusiu, jak długo zdołacie utrzymać Jankesów w ryzach.

Myślę, że do świętej Cecylii nie powinni wystawiać nosa z koszar.

- No to w porządku. Nic się nie stanie, jeśli nie weźmie udziału we wszystkich uciechach karnawału, ale do dnia Balu powinien być w domu.

Czy to możliwe - zastanawiała się Scarlett - że Miss Eleonora wypowiedziała „Bal” wielką literą?

* * *

Scarlett była pewna, że do dwudziestego szóstego grudnia, czyli do dnia rozpoczęcia sezonu zimowych zabaw, czas będzie się włókł niemiłosiernie. Lecz ku jej zaskoczeniu godziny mijały w tempie tak błyskawicznym, że aż trudno było to zauważyć. Oczywiście, rzeczą najbardziej zajmującą była walka z Jankesami. Pułkownik, jak oczekiwano, wydał rozkaz wzięcia odwetu na mieszkańcach miasta za złamanie godziny policyjnej i upokorzenie żołnierzy. W poniedziałek cały rynek aż huczał ze śmiechu, gdy charlestońskie damy przydźwigały kosze wypełnione różnego rodzaju bronią wedle gustu właścicielki.

Już następnego dnia żołnierze nie pojawiali się na ulicach bez rękawiczek. Nie zamierzali powtarzać przykrych eksperymentów z obmacywaniem różnych cuchnących substancji czy wsadzaniem rąk do wszelkiego rodzaju proszków, których przykre właściwości polegały na tym, że ten, kto ich dotknął, musiał drapać się aż do krwi, tak swędziały go ręce.

- Ci głupcy powinni przecież się domyślać, że właśnie tego po nich oczekujemy - powiedziała Scarlett, gdy po południu rozgrywała z Salomeą Brewton partyjkę wista. Gospodyni kiwnęła głową, po czym roześmiała się do swych wspomnień.

- Pod podwójnym dnem miałam ślepą lampę - zachichotała. - A co ty?

- Pieprz turecki. Ale przeraziłam się na śmierć, że sama zacznę kichać, toteż sprzedałam tę sztuczkę wszystkim, którzy nawinęli się mi pod rękę... mówiąc o sztuczki mam na myśli to, co sama wymyśliłam.

Dzień wcześniej wprowadzono nowe przepisy w racjonowaniu żywności i teraz charlestońskie panie grały w karty nie o pieniądze, lecz o kawę. Teraz, gdy czarny rynek na czas pewien został wyłączony z gry, była to najwyższa stawka, jaką kiedykolwiek zdarzyło się postawić Scarlett. Bardzo się jej to podobało.

Zasmakowała także w dręczeniu Jankesów. Po ulicach miasta ciągle krążyły patrole, ale podszczypywano je ze wszystkich stron i nie było widoków, że charlestończycy dadzą im spokój wcześniej, niż oficjalnie ogłoszą porażkę. Scarlett była jedną z podszczypywaczek.

- Rozdaję - powiedziała. - I jestem szczęśliwa.

Jeszcze tylko kilka dni, a znajdzie się na balu i będzie tańczyć z Rettem. W tej chwili trzymał się od niej z daleka, robił wszystko, byleby tylko nie znaleźli się sam na sam, lecz przecież na parkiecie muszą być razem - muszą być obok siebie - muszą być tylko dla siebie, samotni we dwoje, niezależnie od tego, ile par będzie wirować obok.

* * *

Scarlett trzymała w ręku białe kamelie, które przysłał jej Rett, by wpięła je w loki na karku. Stanąwszy przed zwierciadłem odchyliła głowę.

- Wygląda jak fałda tłuszczu na pęcie serdelków - mruknęła z niesmakiem. - Pansy musisz inaczej ułożyć mi włosy. Spiętrz loki i upnij w górze.

Wtedy mogłaby wpiąć kwiaty między fale anglezów - wygląda nie najgorzej. Och, czemuż Rett musiał zachować się tak podle i zawczasu uprzedzić ją, że te kwiaty z jego starej plantacji to jedyne kosztowności, jakie mogła na siebie włożyć? Czyż nie dość cierpi zmuszona do ubrania się w tę koszmarną suknię? Skoro już niczym nie mogła przystroić tego ordynarnego giezła - niczym z wyjątkiem paru kwiatów - to równie dobrze mogłaby włożyć zwykły worek po mące, z dziurą na głowę. Miała nadzieję, że przynajmniej perły będą dozwolone... perły i diamentowe kolczyki.

- Uważaj, jak tak dalej pójdzie, to wyrwiesz mi włosy i zostanę łysa - zrugła zawzięcie wywijającą szczotką dziewczynę.

- Słucham, psze pani - Pansy nie ustawała w swej krzątaninie, układając długie pasma loków, co wcale nie było takie proste.

Scarlett spoglądała na odbicie w lustrze z rosnącym zadowoleniem. Tak, zbyt zgrabny miała karczek by ukrywać go pod kaskadą włosów. Znacznie jej lepiej w tym uczesaniu do góry. W ten sposób kolczyki będą bardziej widoczne. Tak, zamierzała pokazać światu swe diamenty, niech tam sobie Rett gdera co chce. Musiała być oszałamiająco piękna, musiała zdobyć podziw i uwielbienie każdego mężczyzny, nie mówiąc już o podboju paru serc. To sprawi, że Rett stanie się czujny i zacznie zwracać na nią baczniejszą uwagę.

Spiesznie przypięła kolczyki. Właśnie! Przechyliła głowę to w jedną, to w drugą stronę, zadowolona z efektu.

- Podoba się pani, Miss Scarlett? - Pansy wskazała na własne dzieło.

- Nie. Nad uszami ma być więcej.

Dzięki Bogu, Rosemary wycofała się z prośby o wypożyczenie Pansy na ten wieczór. Dziwne jednak, że ta dziewczyna nie skorzystała z tak znakomitej okazji - powinna

chwytać wszelką pomoc, bo jej potrzebowała. Pewnie upnie włosy w ten sam niechlujny staropanieński kok, który zawsze nosiła. Scarlett uśmiechnęła się. Wchodząc na salę balową z siostrą Retta tym większą przyciągnie uwagę górując nad nią urodą.

- Teraz już dobrze, Pansy - powiedziała odzyskawszy dobry humor. Włosy jej lśniły niczym krucze skrzydła. Białe kwiaty tym udatniej wypadną na tle jedwabistej czerni. - Daj mi parę spinek.

Pół godziny później była gotowa. Po raz ostatni rzuciła badawcze spojrzenie w wysokie zwierciadło. Suknia z jedwabiu w kolorze głębokiego błękitu lśniła w blasku lampy, tak że jej nagie ramiona i odsłonięte piersi, pokryte warstewką pudru białą jak alabaster. Diamenty rzucały rześiste blaski, równie promienne, jak jej zielone oczy. Kokardy z czarnego aksamitu bramowały tren sukni, a szeroka kokarda z tej samej materii, obwiedziona dodatkowo taśmą z matowobłękitnego jedwabiu wieńczyła tiurniurę, podkreślając wiotkość talii. Pantofelki także miała z błękitnego aksamitu, z czarnymi sznurowadłami, a wąskie czarne aksamitne wstążki oplatały szyję i nadgarstki. Białe kamelie ujęte w czarne aksamitne wstęgi opadały kaskadą z ramion, uzupełniając efekt, który stwarzał ujęty w srebrzyste koronki bukiet. Nigdy nie wyglądała piękniej. Czyż ten róż na policzkach był naturalny, czy to radosne podniecenie przywołało go na bladą twarz?

* * *

Ten pierwszy bal w Charlestonie pełen był niespodzianek. Prawie nic nie było tak, jak należało tego oczekiwać. Najpierw zatem polecono Scarlett, by zdjęła balowe pantofelki i założyła buty. No tak, przecież mieli iść na ten bal na piechotę. Gdyby wiedziała o tym wcześniej, zamówiłaby dorożkę - w głowie się jej nie mieściło, jak Rett mógł o tym nie pamiętać. Nie pomogło, że Pansy miała nieść baletki w „neseserku na pantofle” - typowo charlestońskim wynalazku - ponieważ nie posiadała takowego i Miss Eleonora przez dobry kwadrans biegała po całym domu aż wreszcie znalazła jakiś koszyk, który mógł zostać użyty w zamian. Dlaczego nikt nie powiedział jej o tym wcześniej?

- Nie przyszło nam to do głowy - odparła Rosemary. - W Charlestonie wszyscy mają neseserki na pantofle.

Może w Charlestonie wszyscy je posiadają - ponuro pomyślała Scarlett. Ale w Atlancie nikt. W Atlancie nie chodzi się na bale pieszo, w Atlancie jeździ się na bale. Radość, którą jeszcze przed chwilą odczuwała na samą myśl o zabawie, zamieniła się w niespokojny lęk: jakie jeszcze niespodzianki będzie musiała przeżyć? Co jeszcze się

zmieni?

Wszystko - przekonała się już wkrótce. W ciągu swej długoletniej historii Charleston rozwinął formalności i rytuały zupełnie nieznane w tętniącym życiem, wysuniętym jakby na rubież cywilizacji świecie - północnej Georgii. I chociaż upadek Konfederacji odciął ów strumień bogactwa, zasilający i podtrzymujący rozwój różnorodnych form życia towarzyskiego, rytuały przetrwały jako jedyna pamiątka świetnej przeszłości - tym bardziej więc hołubione, tym pilniej chronione przed jakimikolwiek zmianami.

Zatem przed drzwiami do sali balowej, znajdującymi się u szczytu schodów prowadzących z hallu domu Wentworthów na piętro, goście ustawili się w długim szpalerze. Szereg powoli posuwał się do góry po czym - z zachowaniem kolejności, niespiesznie, jeden po drugim - goście podchodzili do Minnie Wentworth, ściskali dłoń pani domu, pomrukiwali pod nosem coś, co brzmiało tyleż uprzejmie co niezrozumiale, następnie podchodzili do pana domu, powtarzali tę procedurę, później odbywali ten sam rytuał z synem państwa Wentworthów, jego żoną, mężem ich córki, następnie z samą córką, by wreszcie dojść do drugiej córki, która nie była zamężna. A ponieważ w sali balowej muzyka już grała, a ci, którzy przybyli wcześniej wirowali na parkiecie, Scarlett czuła, jak nogi rwą się jej do tańca.

W Georgii - pomyślała niecierpliwie - gospodarze wydający przyjęcie sami wychodzą do zaproszonych gości. Nie każą im czekać w kolejce niczym więźniom związanym jednym łańcuchem. To zwyczaj daleko bardziej godny polecenia niż to szaleństwo tutaj.

Zanim jeszcze, idąc za Mrs. Butler, zdążyła wejść do sali balowej, zastąpił jej drogę godnie wyglądający lokaj i podsunął srebrną tacę. Na tacy leżał stos pociętych i związanych cienką błękitną wstążką bilecików, do których został doczepiony malutki ołówek. Kajecik do zapisywania nazwisk mężczyzn, oczekujących w kolejce do tańca? Tak, to chyba kajecik. Scarlett słyszała kiedyś, jak Mammy opowiadała o balach wydawanych w Savannah, gdy Ellen O'Hara była jeszcze malutką dziewczynką, lecz trudno jej było dać wiarę temu, że przyjęcie z tańcami mogło przebiegać w tak spokojnym statecznym rytmie, iżby dziewczyna miała czas i ochotę zaglądać do zeszytiku, skąd dowiadywała się, kto i kiedy będzie z nią tańczyć. Panienko Najświętsza, przecież bliźniaki Tarletonów i chłopcy Fontaine'ów pękliby ze śmiechu, gdyby im ktoś powiedział, że chcąc zaprosić dziewczynę do tańca muszą wpisać swe nazwiska na kawałeczkach papieru i to ołówkiem tak cienkim, że ujęty w palce

prawdziwego mężczyzny niechybnie rozpadłby się w drzazgi! Scarlett miała nawet wątpliwości co do tego, czy zgodziłaby się przyjąć zaproszenie do tańca od bladego chuderlaka, któremu serce biło jak w klatce.

Tak, na pewno by się zgodziła. Weźmie w objęcia nawet samego diabła, takiego z rogami i ogonem, byleby tylko umiał tańczyć. Zdało się jej, że od ostatniego balu, na którym była, od pamiętnego balu maskowego w Atlancie minął nie rok, lecz dziesięć lat.

- Szczęśliwa jestem mogąc być tutaj - powiedziała do Minnie Wentworth, a w jej głosie pobrzmiwała pewność. Uśmiechnęła się do pozostałych Wentworthów, z wzajemnością, po czym wyrwała się z kolejki. Ruszyła tam, gdzie migotały tańczące pary, jej stopy poruszały się w rytm muzyki, widok zapał jej dech w piersiach. Och, to cudowne - jakże obce, a zarazem jakże znajome - niczym sen zapamiętany tylko w połowie. Tonąca w blasku świec sala pulsowała muzyką, kolorami i szelestem wirujących sukien. Wzdłuż ścian, na złożonych, ażurowej roboty krzesłach siedziały wdowy, jak zwykle, zakrywając się wachlarzami szeptały jedna do drugiej o sprawach, które zawsze je zajmowały: o młodych, zbyt przytulających się w tańcu, o straszliwej historii przedłużającego się porodu u córki którejś ze znajomych, o najnowszych skandalach, w które uwikłały się ich najdroższe przyjaciółki. Kelnerzy we frakach powoli i z godnością przesuwali się od jednej do drugiej grupy mężczyzn i kobiet, którzy nie tańczyli, roznosząc na srebrnych tacach pełne kieliszki i srebrne pucharki z mrożonym likierem miętowym. Salę wypełniał gwar głosów, kontrapunktowany wybuchającym co chwila śmiechem, wysokim lub niskim. Starsi wiekiem z przyjemnością wsłuchiwali się w szepty młodzieży, z lekkim sercem rozkoszującej się własną młodością. Było to tak, jakby ów dawny świat - beztroski świat ich lat młodzieńczych - żył nadal, jak gdyby nic się nie zmieniło, jakby na wszystkim nie kładł się długi cień Wojny.

Jak zwykle bystra Scarlett zauważyła zmurszałe od wilgoci fragmenty ścian, gdzie farba się łuszczyła, spostrzegła też widoczne mimo warstwy wosku pęknięcia i rysy na podłodze, lecz postanowiła nie zwracać na to uwagi. Lepiej dać porwać się złudzeniu, zapomnieć o Wojnie i o jankeskich patrolach wolno przemierzających ulice. Była tu przecież muzyka i taniec, i Rett obiecał, że będzie miły. Nic więcej nie trzeba.

Rett był nie tylko miły - był czarujący. A nie znajdziesz na świecie nikogo, kto by prześcignął go w uprzejmości, jeśli już postanowił być uprzejmy. Niestety, w równym stopniu, co ją, obdarowywał swym czarem wszystkie inne kobiety. Jej wściekłość

szybko przerodziła się w pychę, gdy spostrzegła, że kobiety obrzucają ją zazdrośnymi spojrzeniami, lecz jednocześnie sama poczuła ukłucie żądła zazdrości, gdyż Rett zbyt wiele uwagi im poświęcał. Owszem, był wobec niej uprzedzająco grzeczny, nie mogła się uskarżać, że ją zaniedbuje. Ale był również uprzedzająco grzeczny wobec matki, siostry oraz kilkunastu innych pań - matron, które jedną nogą stały już w grobie, jak sądziła.

Powiedziała więc sobie, że nie ma się czym przejmować, a po chwili naprawdę nic ją to nie obchodziło. Zaledwie skończył się jeden taniec już podbiegali do niej kolejni mężczyźni, błagając jej partnera o prezentację, tak iżby mogli ją prosić o ciąg dalszy.

I to bynajmniej nie dlatego cieszyła się tak wielkim powodzeniem, że była tu nowa - nowa twarz w tłumie ludzi, którzy znali się od lat. Podbijała serca nieodpartym wdziękiem. Owo postanowienie, by wzbudzić u Retta zazdrość, dodało świeżego blasku jej i tak niesamowicie błyszczącym, zuchwałym zielonym oczom, a żar upojnego podniecenia zabarwił jej policzki niczym czerwona flaga zwiastująca niebezpieczeństwo.

Wielu spośród mężczyzn, którzy ubiegali się o jej względy w tańcu, było mężami niedawno poznanych przyjaciółek - pań, które zapraszała, z którymi zasiadała do partyjki wista, z którymi plotkowała przy kawie na targu. Ale niewiele sobie z tego robiła. Znowu miała dość czasu by zaleczyć urazy, których sprawcą był Rett. Między jednym tańcem a drugim łaskawie pozwalała się admirować, komplementować, oddawała się niewinnym flirtom - jednym słowem była w swoim żywiole. W gruncie rzeczy, choć to Charleston, wszystko pozostało po staremu. Mężczyźni, smagani jej spojrzeniami, odpowiadali w ten sam sposób co w Atlancie, w ten sam sposób dawali się porwać urokowi jej wdzięcznych dołeczków i przesadnych pochlebstw. Uwierzą w każde kłamstwo, byleby tylko w świetle twych słów wyglądali na bohaterów - myślała wykrzywiając usteczka w złośliwej satysfakcji, tak że aż jej partner, widząc to, pomylił krok. Gwałtownie szarpnęła nóżką, by nie narażać się na przydeptanie palca.

- Proszę mi wybaczyć! - westchnęła. - Chyba zaplątałam się obcasem w tren sukni. Cóż za okropna pomyłka, zwłaszcza gdy cała płonę ze szczęścia tańcząc walca z tancerzem tak wspaniałym, jak pan.

Taka była żałość w jej oczach, usta tak miała ułożone, jakby przepraszając domagała się pocałunku. O, niewątpliwie, istnieje pewien zasób sztuczek, które raz opanowawszy, nigdy się nie zapomina.

- Wspaniały bal! - powiedziała pijana szczęściem, gdy wracali do domu.

- Cieszę się, drogie dziecko, że dobrze się bawiłaś - odparła Eleonora Butler. - A i ty, droga Rosemary, dałaś matce powody do radości. Odniosłam wrażenie, że miło spędziłaś czas.

- Też mi coś! - nadąsała się Rosemary. - Nie znoszę przyjęć, powinnaś o tym wiedzieć. Ale tak się cieszę na tę podróż do Europy, że nie będę narzekać z powodu jednego głupiego balu.

Rett wybuchnął śmiechem. Szedł za Scarlett i Rosemary, prowadząc matkę pod rękę. W tę zimną grudniową noc jego śmiech brzmiał dziwnie ciepło. Scarlett wyobraziła sobie, jak ciepłe jest jego ciało - miała wrażenie, że czuje je na plecach. Dlaczego to nie ją prowadził pod rękę, dlaczego nie dopuszczał jej do swego ciepła? Tak, oczywiście, dobrze znała przyczynę. Mrs. Butler była starsza, godziło się, by syn podał jej ramię. Ale świadomość tego nie ostudziła jej pragnienia.

- Śmieję się do woli, braciszku - fuknęła Rosemary. - Gdy o mnie chodzi, nie widzę w tym nic zabawnego.

Szła teraz odwrócona plecami, twarzą do starszych, deptając tren sukni.

- Nie byłam w stanie zamienić bodaj słówka z Julią Ashley, bo całą noc musiałam tańczyć z tymi fircykami.

- Co to za Julia Ashley? - spytała Scarlett. Nazwisko wzbudziło jej ciekawość.

- To idol naszej Rosemary - odpowiedział Rett. - I jedyna osoba, której bałem się od dzieciństwa aż po wiek dojrzały. Gdybyś ją ujrzała, na pewno zapamiętałabyś ją aż do grobowej deski. Zawsze ubiera się na czarno i wygląda tak, jakby piła ocet.

- Ach, ty... - krzyknęła Rosemary, podbiegła do Retta i rzuciła się na niego z pięściami.

- Pax! - zawołał, obejmując ją wolnym ramieniem i przyciskając do boku.

Scarlett poczuła chłodny powiew wiatru ciągnącego od rzeki. Wysoko podniosła podbródek, odwróciła się i ostatnie pięć kroków, które dzieliły ich od domu, przeszła zupełnie sama.

22.

Zbliżała się kolejna niedziela, to zaś znaczyło, że będzie musiała wysłuchać u Eulalii i Pauliny następnego kazania - tego była pewna. Szczerze mówiąc sama się przejęła swym zachowaniem na balu - w każdym razie troszeczkę. Może naprawdę była - jakby to powiedzieć - nieco zbyt frywolna, tak, to dobre określenie. Ale już od dawna nie bawiła się tak dobrze, a przecież to nie jej wina, że przyciągała większą uwagę niż te charlestońskie damy. Poza tym wszystko, co robiła, robiła z powodu Retta, żeby wreszcie przestał zachowywać się wobec niej tak chłodno i tak na dystans. Nikt nie miał prawa potępiać kobiety, która usiłuje zachować więź małżeńską.

W milczeniu zносиła niemą dezaprobatę ciotek, które w drodze do - i z kościoła nie odezwały się do niej ani słowem. Kiedy Eulalia zaczęła podczas mszy żałobnie pociągać nosem, omal się na nią nie rzuciła, lecz powstrzymała nerwy na wodzy wyobrażając sobie, jak to będzie, gdy Rett rezygnując z dumy wyzna jej wreszcie, że zawsze ją kochał. No bo że kochał, to chyba pewne? Ilekroć prosił ją do tańca i brał w ramiona, zdało się jej, że ma watę w kolanach. Z pewnością nie czułaby tej lekkości, gdy tak wirowali w powietrzu, gdyby i on jej nie czuł. Czy to możliwe?

Wkrótce się przekona. Niedługo będzie musiał zrobić coś więcej niż tylko oprzeć na jej biodrach swe dłonie - przecież zbliżał się sylwester. Wtedy, równo z wybiciem północy, będzie musiał ją pocałować. Jeszcze tylko pięć dni, a wtedy spotkają się wargami i będzie musiał uwierzyć, że bardzo go kocha, bowiem jej pocałunek powie mu więcej niż są w stanie przekazać słowa...

Starożytne piękno tajemniczego obrzędu rozwijało się przed jej oczami, lecz nie widziała go, pogrążona w swym śnie na jawie - śnie o tym, jak pragnienia stają się rzeczywistością. Paulina musiała trącać ją kościstym łokciem w chwilach, gdy spóźniała się z odpowiedziami.

Ta sama cisza trwała, gdy zasiadały do śniadania. Scarlett miała wrażenie, jakby obdarto ją ze skóry, wystawiając na lodowate spojrzenie Pauliny, każdy nerw drażniony był ponurym wzdychaniem Eulalii. Nie, tego nie dało się dłużej wytrzymać. Postanowiła zaatakować, wybuchnąć gniewem, zanim ciotki zbiorą siły, by zaatakować ją.

- Powiedziałyście mi, że wszyscy chodzą tu wszędzie na piechotę, a ja idiotka uwierzyłam wam i chodzę po całym mieście, aż nabawiłam się pęcherzy. Tymczasem wczoraj ulica przed domem Wentworthów była zapchana powozami.

Paulina uniosła brwi i ściągnęła wargi.

- Widzisz, siostrzyczko? - zwróciła się do Eulalii. - Nasza Scarlett najwyraźniej zamierza odwrócić się plecami do wszystkiego, co w Charlestonie uważamy za ważne.

- Trudno mi teraz przejmować się powozami, sioostro droga, gdy pomyślę o wadze tego, na co postanowiłyśmy zwrócić uwagę Scarlett.

- Ale to tylko przykład - upierała się Paulina. - To znakomity przykład postawy, która się kryje za wszystkim innym.

Scarlett wychyliła filiżankę bladej, lurowatej kawy, którą naląła jej Paulina i odstawiła ją na spodeczek z głośnym trzaskiem.

- Poczytałabym wam za uprzejmość nie lada, gdybyście wreszcie przestały mówić o mnie tak, jakbym była niema i głucha. Możecie sobie głośić te kazania aż dech straciecie i twarze wam posinieją, najpierw jednak powiedzcie mi, do kogo należą te wszystkie powozy.

Ciotki spojrzały na nią tak zdziwione, że aż źrenice im poogromniały.

- Jak to?... Oczywiście, że do Jankesów - odparła Eulalia.

- Do Carpetbaggerów - sprecyzowała Paulina.

Uzupełniając i opatrując licznymi poprawkami każde zdanie, ciotki wyjaśniły jej, że woźnice ciągle byli lojalni wobec swych przedwojennych pracodawców, choć zatrudniali ich teraz nowobogacy, świeżo przybyli do miasta parweniusze. Nie mniej, gdy zaczynał się sezon, tak potrafili omotać swych nowych chlebobawców, że zawsze znaleźli czas by podwieźć „naszych białych panów” na bale i przyjęcia, zwłaszcza gdy odległość była zbyt duża lub pogoda nie dopisywała.

- W noc świętej Cecylii po prostu odmawiają pracy i żądają wolnego, byle tylko móc podstawić powozy nam ku wygodzie - dodała Eulalia.

- To bardzo dobrze wyszkoleni woźnice i bardzo wysoko trzymają nosa - wtrąciła Paulina. - Nic dziwnego, że Carpetbaggerzy boją się ich urazić - głos zadrżał jej od tłumionego śmiechu. - Poza tym wiedzą, że mają ich w głębokiej pogardzie. Powiadam wam, nie znajdziecie większego snobiszczaka od sługi.

- Zwłaszcza zaś wśród sług charlestońskich - dorzuciła rozbawiona Eulalia. - Bo w końcu to prawdziwi charlestończycy, tak jak my. Dlatego tak bardzo dbają, by uświetnić karnawał. Jankesi wzięli sobie co chcieli, a co zostało usiłowali zniszczyć, lecz wielki sezon zimowy należy do nas. To nam zostało.

- I duma też! - oznajmiła Paulina.

Z dumą i pensem w kieszeni to sobie mogły jeździć tramwajem, nie kareta - cierpko pomyślała Scarlett. Była jednak wdzięczna, że dyskusja zeszła na boczne tory: teraz

ciotki zajęły się wiernymi sługami, od lat już przywiązany do rodziny, i ten temat absorbował je aż do końca. Pomyślała nawet i o tym, żeby zjeść tylko pół śniadania - drugą połowę miała zjeść Eulalia gdy zamknie za nią drzwi. Ciotka Paulina prowadziła dom jak ostatnia sknera.

* * *

Po powrocie do domu Butlerów stwierdziła, że czeka ją miła niespodzianka: właśnie była z wizytą Anna Hampton. Miło będzie wygrzewać się w ciepłe podziw, którym darzyła ją Anna - zwłaszcza po tych godzinach spędzonych w lodowatej atmosferze w domu ciotek.

Lecz Anna i wdowa z Domu Konfederata były do głębi pochłonięte podziwianiem kosza kamelii, które przysłano z plantacji.

Podobnie Rett.

- Wypalone do korzeni - mówił, gdy weszła. - Ale dzięki temu silniejsze niż kiedykolwiek, jakby wypogodniały, po żałobie.

- Och, spójrzcie! - zawołała Anna. - To przecież „*Reine des Fleurs*”.

- A tutaj *Rubra Plena*! - wiotka, niemłoda już wdowa włożyła blade dłonie w koszyk, by objąć czerwony pąk. - U mnie w domu stała zawsze na fortepianie.

Anna raptownie zamrugła.

- Doprawdy, Miss Harriet? U mnie w domu także. Zaś „*Alba Plena*” stała na stoliku, przy którym pijaliśmy herbatę.

- Niestety, moja *Alba Plena* nie jest tak zdrowa, jak myślałem - westchnął Rett. - Wszystkie pąki są jakby skarłowaciałe.

Wdowa i Anna wybuchały śmiechem.

- Mr. Butler, nie ma pan co spodziewać się kwiatów wcześniej niż pod koniec stycznia. *Alby* są z gatunku późno kwitnących.

Wargi Retta wygięły się w figlarnym uśmiechu.

- To tak, jak ja - mruknął. - Przynajmniej w tym, co się tyczy ogrodnictwa.

Niech to lichy! - skrzywiła się w duchu Scarlett. Przypuszczam, że następnym tematem do żartów będzie zagadnienie, co bardziej nadaje się do użyźniania gleby: krowie placki czy końskie łajno. Kiedy się słyszy podobne słowa w ustach takiego mężczyzny jak Rett, nie sposób nie pomyśleć o dziwnym rodzaju zniewieścienia! Odwróciła się plecami do zawziętej dyskutującej trójki i usiadła na krześle w pobliżu kanapy, na której siedziała Eleonora Butler, jak zwykle zawzięcie szydełkując.

- Ta koronka jest już prawie tak długa, że wystarczy do ozdobienia karczku twej

bordowej sukni - zwróciła się do Scarlett z uśmiechem. - W połowie sezonu zawsze to miło mieć coś nowego na zmianę. Do tego czasu skończę tę robótkę.

- Droga Eleonoro, zawsze jest pani tak miła i troskliwa, że aż czuję, jak odchodzi mi zły humor. Szczerze mówiąc dziwię się, w jaki sposób pozostaje pani w przyjaźni z moją ciotką, Eulalią, która w niczym mi pani nie przypomina. Zawsze tylko wzdycha, popłakuje i kłóci się z Pauliną.

Eleonora opuściła na kolana szydełko z kości słoniowej.

- Scarlett, zdumiewasz mnie! Oczywiście, że Eulalia jest moją przyjaciółką. Co więcej, myślę o niej prawie jak o siostrze. Czyżbyś nie wiedziała, że niewiele brakowało, a poślubiłaby mego młodszego brata?

Scarlett lekko opadła szczęką.

- Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek trwał w zamiarze poślubienia ciotki Eulalii - rzekła z absolutną szczerością.

- Ależ moja droga, Eulalia była taką miłą dziewczyną, po prostu kochaną. Po ślubie Pauliny z Careyem Smithem przyjechała z wizytą i osiedliła się w Charlestonie. We troje zamieszkali w miejskiej rezydencji Smithów, bo mieli jeszcze plantację nad Wande River. I wtedy mój brat, Kemper, zadurzył się w Eulalii bez pamięci. Wszyscy oczekiwali ślubu. Ale, biedaczek, spadł z konia i umarł. Od owej chwili Eulalia okryła się żałobą. Na zawsze.

Zakochana Eulalia! - Scarlett nie była w stanie wyobrazić sobie tego widoku.

- Byłam przekonana, że wiesz o wszystkim - zdziwiła się Mrs. Butler. - Przecież to twoja rodzina.

Tak, tylko że ja naprawdę nie mam żadnej rodziny - pomyślała Scarlett.

- A w każdym razie nie mam rodziny w tym sensie, w jakim mówi o niej Miss Eleonora. Nie mam krewnych, którzy byliby mi bliscy, troszczyli się o wszystko i wiedzieli wszystko o wszystkich, włącznie z najbardziej skrytymi tajemnicami serc. Wszystko, co mi pozostało, to stara, złośliwa Zuela oraz Karina w welonie zakonnicy, poślubiona zakonowi. I wtedy zupełnie niespodziewanie, mimo że otoczona gwarem swobodnej rozmowy, poczuła się bardzo samotna. Chyba zgłodniałam - pomyślała sobie. Tak, to dlatego czuję to pieczenie w oczach. Chyba powinnam była zjeść całe śniadanie.

Właśnie z pełnym zapalem oddawała się jedzeniu, gdy wszedł Manigo i powiedział coś do Retta.

- Przepraszam - podniósł się ze swego miejsca. - Ale chyba mamy przed drzwiami

jakiegoś jankeskiego oficera.

- A czego oni chcą tym razem? - głośno zdziwiła się Scarlett.

Rett wrócił chwilę później. Twarz miał pogodną.

- Dostaliśmy wszystko, czegośmy chcieli, może poza widokiem białej flagi... Wygrałaś, mamó. Jankesi zapraszają wszystkich mężczyzn po odbiór skonfiskowanej broni. Mamy się stawić w koszarach.

Rosemary zaczęła głośno bić brawo.

Ale Miss Eleonora zgasła jej entuzjazm.

- Nie powinniśmy przypisywać sobie zbyt wielu zasług. Jankesi po prostu nie mogą ryzykować, pozostawiając w Dniu Wyzwolenia wiele domów bez ochrony.

Widząc zaś zdziwienie na twarzy Scarlett, pospieszyła z wyjaśnieniami.

- Tu, w Charlestonie, Nowy Rok nie jest jedynie dniem, kiedy siedząc w domu leczysz się bóle głowy po sylwestrowych szaleństwach. Powinnaś wiedzieć, kochanie, że Mr. Lincoln ogłosił pierwszego stycznia Proklamację Wyzwolenia, tak więc wszyscy dawni niewolnicy obchodzą ten dzień z wielką pompą: zasiadając na parkowych błoniach przy krańcu Battery, piją na umór, strzelają z petard i pistoletów od świtu do nocy. Oczywiście, my w tym samym czasie ukrywamy się w domach, zamykamy okiennice i spędzamy ten czas jak w oczekiwaniu na huragan. Dobrze jest mieć wtedy pod ręką jakiegoś uzbrojonego mężczyznę.

Scarlett zdrętwiała.

- Ale przecież nie mamy żadnej broni.

- Będziemy mieć - odparł Rett. - A także dodatkowo dwóch mężczyzn. Specjalnie na tę okazję przyjadą z plantacji.

- A kiedy ty odjeżdżasz? - zainteresowała się Mrs. Butler.

- Trzydziestego. Na trzydziesty pierwszy umówiłem się z Julią Ashley. Musimy opracować wspólną strategię.

Rett odjeżdżał! Odjeżdżał na tę wstrętną, śmierdzącą stuletnią plantację. Nie pocałuje ją na balu sylwestrowym. Teraz już była pewna, że nie zdoła powstrzymać łez.

- Jadę z tobą - zawołała Rosemary. - Nie byłam tam od dobrych paru miesięcy.

- Nie możesz wyprawiać się ze mną na plantację, Rosemary - w głosie Retta dźwięczała pewna siebie cierpliwość.

- Obawiam się, kochanie, że twój brat ma rację - wtrąciła Mrs. Butler. - Nie będzie mógł ci dotrzymać towarzystwa, bo zbyt wiele spraw czeka na załatwienie. Ty zaś, dziecko drogie, nie możesz przebywać sama w domu czy gdziekolwiek indziej z tą

panną służącą, która sama jest jeszcze dzieckiem. Za duży tam ruch, zbyt wielu nieokrzesanych ludzi, byś mogła przebywać tam zdana na własne siły.

- W takim razie wezmę twoją Celię, mamusiu. Scarlett zapewne zgodzi się pożyczyć ci swoją Pansy do pomocy przy toalecie... Prawda, Scarlett, że się zgodzisz?

Scarlett uśmiechnęła się. Jeszcze nie było powodu do łez.

- Chętnie będę ci towarzyszyć - uśmiechnęła się z całą słodyczą, na jaką było ją stać.
- Pansy także.

Sylwestrowy wieczór też zawita na plantację. Co prawda bez sali balowej i tłumu gości, za to z Rettem i z nią - tylko z nimi.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - z całą powagą oznajmiła Miss Eleonora. - Wiem, jak będzie ci brakować balu sylwestrowego, na który tak długo się szykowałaś. Rosemary, córko, jesteś szczęśliwsza, niż na to zasłużyłaś. Bo też i szczęście to prawdziwe mieć taką bratową.

- Nie sądzę, mamo, żeby należało pozwolić im na tę podróż - odezwał się Rett. - Ja nie pozwalałam.

Rosemary już otwarła usta do protestu, lecz matka szybko podniosła dłoń, by ją powstrzymać, po czym sama odezwała się spokojnym tonem:

- To raczej niezbyt uprzejme z twojej strony, synu. Rosemary kocha plantację nie mniej niż ty, a z racji swego stanu nie cieszy się taką swobodą w podróżowaniu tam i z powrotem. Uważam, że powinienes ją zabrać, zwłaszcza że zamierzasz odwiedzić Julię Ashley. Wiesz przecież, jak wielką przyjaźnią darzy ją twoja siostra.

Scarlett zaledwie w połowie zdawała sobie sprawę z sukcesu, jaki odniosła na balach w poniedziałek i wtorek. Dlatego ożywiało ją teraz jedno tylko pragnienie: być sam na sam z Rettem na plantacji w Dunmore Landing. Była pewna, że jakoś poradzi sobie z Rosemary: może Miss Ashley zaprosi ją na noc do siebie do domu. Wtedy będzie go mieć tylko dla siebie.

Przypomniała sobie Retta w noc, gdy była na Landing poprzednim razem. Trzymał ją w ramionach, pocieszał, przemawiał... z czułością?

* * *

- Tylko poczekaj, aż zobaczysz plantację Miss Julii - zawołała Rosemary. - Wygląda tak, jak każda plantacja wyglądać powinna.

Rett jechał przodem, rozsuwając na bok lub zrywając pnącza kapryfolium, którym porosły sosny ocieniające drogę. Scarlett jechała za Rosemary, nie zainteresowana w tej chwili tym, co robił Rett. Jej umysł pochłonięty był myślami o czymś zupełnie

innym. Dzięki Bogu, ten koń jest bardzo stary i bardzo spasiony - przynajmniej nie gna za szybko. Nie jeździłam konno już tak długo, że gdyby mnie posadzili na jakieś zwierzę z krwią w żyłach, a nie z wodą, z pewnością zrzuciłby mnie po paru pierwszych krokach. I pomyśleć, że kiedyś tak lubiłam jeździć wierzchem... kiedyś... gdy stajnie w Tarze były pełne. Papa tak się szczyił swoją stadniną. I mną. Bo już Zuela, z tymi rękami jak imadła, mogłaby zmiażdżyć pysk krokodyla. Z kolei Karina bała się koni, nawet swojego kucyka. Za to ja zwykłam była ścigać się z Papą, bierz diabli strach o własną skórę... czasami nawet prawie go przeganiałam. „Scarlett, kochanie - powiedział kiedyś. - Masz ręce anioła i piekielnie mocne nerwy. Masz w sobie żyłkę O'Harów, koń zawsze wyczuje w tobie Irlandkę i dla ciebie da z siebie wszystko”. Kochany Papa... A drzewa w Tarze pachniały tak samo jak teraz... ostry żywiczny zapach... igielki sosen kłuły mnie w nos. I ten śpiew ptaków, i ten szelest liści pod stopami, i ten spokój... Ciekawe, ile akrów posiada Rett? Rosemary powinna mi to powiedzieć. Pewnie zna wszystko na pamięć, z dokładnością do piędzi ziemi. Mam nadzieję, że ta Miss Ashley to nie żaden potwór, jakim usiłował przedstawić ją Rett. Zaraz, co to on wtedy powiedział?... Aha, że wygląda tak, jakby poila się octem. Ta jego podłość bywa nawet zabawna... ale do czasu, gdy nie dotyka mnie.

- Scarlett, zwawo, prawie dojeżdżamy - dobiegł ją z przodu okrzyk Rosemary.

Scarlett machnęła lekko szpicrutą - koń leciutko przyspieszył. Gdy ich dogoniła, Rett z siostrą byli już za drzewami. Najpierw spostrzegła jego - doskonale widoczny w jasnym blasku słońca. Jaki przystojny, jak świetnie trzyma się w siodle, no ale nie dostał się mu taki leniwy perszeron jak mój, tylko prawdziwy ognisty rumak. Jak pięknie grają mu mięśnie, w ruchu, a mimo to wygląd ma posągowy, zaś Rett... ten mocno trzyma nogi w strzemionach, nie spuszcza dłoni z wodzów... jego dłonie...

Rosemary, usiłując schwycić spojrzenie Scarlett, pomachała ręką wskazując gdzieś przed siebie. Scarlett przeniosła wzrok w tym kierunku - i dech zaparło jej w piersi. Nigdy dotychczas nie interesowała się architekturą, w ogóle nie zwracała na to uwagi. Nawet wspaniałe rezydencje na Battery, z których Charleston słynął na całym świecie, były dla niej zwykłymi domami, niczym więcej. Jednak w surowym pięknie domu Julii Ashley było coś, co odróżniało tę siedzibę od wszystkich innych, które dane było jej widzieć, wzniosły splendor, którego istoty nie sposób określić. Gniazdo rodu Ashleyów wznosiło się wśród rozległych połaci trawników nie porośniętych ani kwiatami, ani żadnymi innymi roślinami ozdobnymi, za tło mając stare wyniosłe dęby - jakby strażników, zakrywających rozłożystymi gałęziami szerokie przestrzenie soczystej

zieleni trawy. Nieco kanciasty, z czerwonej cegły, z oknami i drzwiami obwiedzionymi białymi framugami, dom ten wyglądał bardzo „szczególnie”, jak szepnęła do siebie przytłoczona niezwykłym widokiem Scarlett. Nic dziwnego, że ta jedna budowla, spośród wielu, jakie wznosiły się na plantacjach wzdłuż brzegu rzeki, została ocalona nawet od płonących pochodni ciskanych przez ludzi armii Shermana. Nawet Jankesi nie mieli w sobie dość śmiałości, by zbezczęścić ten wspaniały przybytek, którego wyniosłe piękno musiało porazić ich oczy.

Rozległ się śmiech, potem dobiegł ją czyjś śpiew. Odwróciła głowę. Dom budził w niej jakiś lęk, onieśmiał. Daleko po lewej stronie ujrzała pasy dziwnie intensywnej zieleni, zupełnie różnej od głębokiej, szmaragdowej głębi trawników. Kilkunastu czarnych mężczyzn, także i kobiet, krzątało się przy pracy. To oni śpiewali. Cóż, to w końcu oni byli tu siłą roboczą, oni uprawiali zagony obsiane czymś, czego nazwy i przeznaczenia jeszcze nie znała. Także tutaj było ich wielu, także tutaj, jak dawniej w Tarze. Myślni popłynęła w daleką przeszłość, oczyma wyobraźni ujrzała rozległe pola bawełny ciągnące się gdzieś hen, po linię horyzontu, dokąd nie sięgnął wzrok, dokładnie tak samo jak te jasnozielone łąny bez granic, rozciągnięte wzdłuż brzegów rzeki. O, tak. Rosemary miała rację. To jest prawdziwa plantacja, taka, jaką każda być powinna. Nic nie spalono, nic się nie zmieniło, nic nigdy nie ulegnie zmianie. Nawet czas zatrzymał się z szacunkiem dla wspaniałości Ashley Barony - Gniazda Ashleyów.

* * *

- To bardzo rozsądnie z pani strony, że chciała się pani spotkać ze mną - rzekł Rett, pochylając się nad dłonią Julii Ashley. Zdjąwszy rękawiczki z szacunkiem dotknął koniuszków palców, a jego usta zawisły o cal od grzbietu dłoni, jak należało, albowiem żaden dżentelmen nie dopuściłby do impertynencji i nie ważyłby się nawet musnąć wargami dziewiczej ręki, nieważne, iluletniej.

- Będzie to z niewątpliwym pożytkiem dla nas obojga, Mr. Butler - odparła Julia. - Jak zwykle, marnie wyglądasz, Rosemary, ale cieszę się widząc cię tutaj. Proszę, zechciej przedstawić mi swoją bratową.

Do licha, to naprawdę potwór - Scarlett drgnęła nerwowo. Ciekawe, czy spodziewa się po mnie, że przed nią dygnę?

- Oto i Scarlett, Miss Julio - rzekła Rosemary uśmiechnięta łagodnie. Wyglądało na to, że niewiele się spieszyła krytyczną uwagą starszawej damy.

- Mrs. Butler, jak się pani miewa?

Wygląda mi na to, że niewiele ją to obchodzi - pomyślała Scarlett.

- Dziękuję, Mrs. Ashley. A pani?

Pochyliła głowę w lekkim ukłonie dokładnie naśladując chłodną uprzejmość gospodyni, ani stopień niżej. Cóż ona sobie myślała, ta stara baba, że niby kogo ma przed sobą?

- W salonie znajdziecie tacę z herbatą - oznajmiła Julia. - Rosemary, zechciej nalać filiżankę herbaty Mrs. Butler. Jeśli zabraknie wrzątku, zadzwoń. Ja i Mr. Butler załatwimy nasze sprawy w bibliotece, herbatę wypijemy później.

- Och, Julio, nie pozwól mi pani przysłuchiwać się waszej rozmowie? - zaczęła błagalnym tonem Rosemary.

- Nie, nie pozwalam.

Koniec, kropka - westchnęła w duchu Scarlett. Julia Ashley ruszyła przodem, Rett posłusznie podreptał z tyłu.

- Pozwól, Scarlett, do salonu idzie się tędy - Rosemary otworzyła jakieś drzwi i wskazała drogę.

Pomieszczenie, do którego teraz weszła, całkowicie ją zaskoczyło. Nie było tu widać ani śladu oziębłości emanującej od gospodyni, nie było też nic, co by onieśmielało. Salon był ogromny, większy od sali balowej u Wentworthów. Ale podłogę przykrywał perski dywan o tle w kolorze spłowiałej czerwieni, draperie przy wysokich oknach cieszyły oko ciepłym, łagodnym różem. W dużym kominku wesoło trzaskał ogień. Przez lśniące szyby wpadały do środka promienie słoneczne odbijając się w nieskazitelnie wypucowanym srebrnym serwisie do herbaty, w złoto - błękitno - różowych aksamitnych obiciach szerokich, wygodnych kanap i lekkich kształtów krzeseł. Przy kominku drzemał ogromny szarobury kot.

Scarlett ze zdziwienia aż lekko potrząsnęła głową. Trudno było uwierzyć, aby te urocze, tchnące gościnnością pokoje miały cokolwiek wspólnego z tą kobietą w czerni, o sztywnych manierach, którą spotkała przed drzwiami. Usiadła na kanapce obok Rosemary.

- Opowiedz mi o Miss Ashley - poprosiła chciwa wszelkiej informacji.

- Miss Julia jest cudowna! - krzyknęła Rosemary. - Prowadzi gospodarstwo sama jedna, bo jak powiada, nigdy jeszcze nie miała nadzorcy, który sam nie wymagałby nadzoru. A przecież posiada tyle pól ryżowych, ile miała przed Wojną. Mogłaby się zaangażować w kopalnię fosforytu, lecz nie chce mieć z tym nic wspólnego. Twierdzi, że pola są po to, aby je uprawiać, a nie po to... - tu Rosemary zniżyła głos do przerażonego, zabawnego szeptu - ...żeby „wrywać ziemi to, co ukryła pod

powierzchnią”. Prowadzi całą gospodarkę tak, jak przed laty. Sadzi więc trzcinę cukrową i ma własną prasę do wyciskania melasy, i kowala do podkuwania mułów i doglądania kół przy wozach, a także kołodzieja, który robi beczki na ryż i melasę, cieślę do robienia mebli, garbarza do wytwarzania uprząży. Ryż wozi do młyna w mieście, gdzie kupuje mąkę, kawę i herbatę, bo wszystko inne wytwarza tutaj, na miejscu. Trzyma krowy, owce, drób i świnie, ma własną mleczarnię, przędzarnię, wędzarnię i spiżarnie pełne warzyw, ziarna i owoców z ostatnich zbiorów. Robi także wino. Rett twierdzi, że nawet wytwarza z żywicy sosnowej terpentynę.

- A nadal trzyma niewolników? - słowa Scarlett były mocno przeniknięte sarkazmem. Ona zdawała sobie sprawę z tego, że dni wielkich plantatorów minęły już bezpowrotnie i nie było tu czego wskrzeszać.

- Och, Scarlett, mówisz tak, jak to się czasami zdarza Rettowi. Niekiedy chętnie bym wam przyłożyła. Miss Julia płaci im przecież dniówki, jak wszyscy. Ale ona ma to szczęście, że potrafi zebrać z pola tyle, aby wystarczyć jej na opłacenie wszystkich. Jeśli kiedyś zacznę prowadzić Landing, zamierzam postępować tak samo. To straszne, że Rett nawet nie próbuje...

Filizanki i spodki zastukotały o srebrną tacę. Rosemary zaczęła rozlewać herbatę.

- Już nie pamiętam, Scarlett, pijesz z mlekiem czy cytryną?

- Co?... Ach, tak! Poproszę z mlekiem.

W gruncie rzeczy, herbata wcale ją nie obchodziła. Pogrążyła się w świecie marzeń, tym samym, co przedtem, w marzeniach przywracających życie Tarze, pola wybielone krzakami bawełny, ciągnące się daleko jak sięgnąć wzrokiem, świecie pełnych stodół, domu, w którym sprawy dnia powszedniego biegły tak jak za życia jej matki. Tak, w rezydencji Julii Ashley było coś z owego zapomnianego już przed laty zapachu cytrynowej werbeny, lśniącego mosiądzu, wywoskowanych podłóg. To coś unosiło się w atmosferze tego domu, ledwo uchwytnie lecz mogła to wyczuć, słyszała to, gdy w kominku trzaskały żywiczne szczapy.

Automatycznie wzięła od Rosemary filizankę herbaty i trzymała ją w palcach, nie dbając, że wystygnie, bowiem cała oddała się marzeniom na jawie. Dlaczego nie zrobić by z Tary tego, czym była? Jeśli tu starszawa pani może prowadzić plantację, to i ja potrafiłabym prowadzić Tarę. Will nie ma pojęcia, czym w istocie jest Tara, nie zna prawdziwej Tary - najlepszej plantacji w całym Powiecie. „Farma dwóch mułów” - tak ją teraz nazywa. Tylko że, na Wszystkich Świętych, Tara jest czymś znacznie większym! Mogłabym doprowadzić ją do kwitnącego stanu, założę się! Czyż Papa nie powtarzał

setki razy, że jestem prawdziwa O'Hara? Jeśli tak, to znaczy, iż jestem zdolna do tego samego, co on: stworzę z Tary to, co on z niej zrobił. A może nawet coś więcej. Wiem, jak prowadzić księgi, jak wyciskać zyski nawet tam, gdzie nikt nie dostrzega takiej możliwości. Do licha, przecież urodzajna ziemia leży praktycznie odłogiem, obsadzona sosnowymi zagajnikami. Założę się, że potrafię wykupić te grunty prawie za nic!

Umysłem przepływała od jednej wizji do drugiej - urodzajne pola, tłuste bydło, jej stara sypialnia ze świeżymi białymi zasłonami w oknach, a przez nie wpada do pokoju przesycony zapachem jaśminu rześki powiew wiosennego powietrza... przejażdżka wśród drzew - krzaki wykarczowane - długi szpaler kasztanów okrąża całą posiadłość, wyciągając się coraz dalej i dalej, coraz głębiej wchodząc w wiejski krajobraz... Ale musiała porzucić tę wizję. Niechętnie skupiła uwagę na dobiegającym jakby z daleka, lecz coraz to donośniejszym głosie Rosemary.

* * *

Ryż, ryż i jeszcze raz ryż! Czy ta dziewczucha nie może mówić o czymś innym? O czym rozmawiał tak długo Rett z tą starą, oziębłą Miss Ashley? Jego siostra miała zwyczaj pochylać się w stronę słuchacza, zwłaszcza gdy była podniecona tym, co mówiła. Tym razem tak była podniecona i tak się pochylała, że aż wtoczyła ją w sam kąt dość długiej przecież kanapy. Usłyszawszy trzask otwieranych drzwi, błyskawicznie odwróciła głowę. Do licha z tym Rettem! Cóż go tak bawiło, że śmiał się razem z Julią! Może myśli, że to zabawne czekać tak bez końca, zdałoby się wiek, a może więcej? W każdym razie, ona tak nie sądziła.

- Zawsze byłeś nieokrzesany, Recie Butlerze - mówiła właśnie Julia. - Ale nie przypominam sobie, żebyś na listę swoich grzechów wciągnął także impertynencję.

- Miss Ashley, o ile wiem, „impertynencja” to etykieta chętnie przyczepiana sługom przez ich panów, jak też młodym przez starszych. Ponieważ we wszystkim jestem pani unizonym sługą, z pewnością nie chce pani dać mi do zrozumienia, że jest starsza ode mnie. Ostatecznie zgodziłbym się, i to z przyjemnością, na rówieśnictwo, ale starszeństwo stanowczo wykluczam.

Coś takiego, najwyraźniej flirtuje z tym starym soplem lodu! Pewnie chce ją naciągnąć na niezłe świństwo, skoro robi z siebie takiego idiotę.

Julia Ashley wydała dźwięk, który można byłoby określić jako godne chrząknięcie.

- Zatem dobrze - rzekła. - Zgodzę się z panem, ale tylko dlatego, żeby położyć kres temu absurdowi. Teraz niech pan wreszcie usiądzie i powstrzyma ten potok szaleństwa.

Rett przysunął krzesło bliżej stołu, a gdy Julia usadowiła się na nim, złożył ceremonialny ukłon.

- Jestem wdzięczny szanownej pani za jej łaskawość.

- Rett nie rób pan z siebie błazna.

Scarlett patrzyła na tę parę coraz bardziej niezadowolona. No bo i co to wszystko ma znaczyć? Najpierw to ugrzecznione „Miss Ashley” i „Mr. Butler?”, a chwilę potem zwykle „Rett” i „Miss Julio”? Rett to błazen, w tym jednym pani Ashley miała rację, ale starsza pani sama była niebezpiecznie blisko błazenady. Cóż, właściwie wdzięczyła się do Retta. To wstrętne, jak on umiał sobie owijać kobiety wokół paluszka!

W tej samej chwili do salonu wpadła służąca. Porwała ze stołu sprzed kanapy srebrną tacę z zastawą do herbat. Za nią pojawiła się druga pokojówka i - już znacznie spokojniej - przeniosła stół z miejsca, gdzie stał, przed krzesło Julii Ashley. Teraz do salonu wkroczył lokaj, dźwigając inną, większą tacę, także ze srebrnym serwisem, tyle że większym, z półmiskami pełnymi kanapek i ciast. Scarlett musiała przyznać: niezależnie od tego, jak niemiła była Miss Ashley, z pewnością miała swój styl!

- Rett mówił mi, że wybierasz się w wielką podróż, Rosemary - zaczęła Julia.

- Tak, madame! Z przejścia omal nie umrę.

- Rzeknę, że byłoby to dość kłopotliwe. Ale powiedz mi, zaczęłaś już układać marszrutę??

- Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. O całej podróży wiem dopiero od kilku dni. Za to jednego jestem pewna: w Rzymie spędzę tyle czasu, ile to tylko będzie możliwe.

- Musisz, moja droga, właściwie sobie wszystko rozplanować. Letnie upały są w Rzymie nie do zniesienia, nawet dla kogoś z Charlestonu. Wszyscy rzymianie opuszczają Wieczne Miasto i udają się nad morze lub w góry. Pozostaję w korespondencji z paroma uroczymi osobami, które zapewne z przyjemnością byś poznała. Oczywiście, zaopatrzę cię w listy polecające. Gdybym mogła zasugerować ci coś...

- Och, proszę. Tyle bym chciała dowiedzieć się przed odjazdem!

Scarlett wydała ciche westchnienie ulgi. Nie podarowałaby Rettowi, gdyby powiedział Miss Ashley o gafie, którą zdarzyło się jej popełnić dając wyraz przekonaniu, że Rzym leży w Georgii. Rett najwyraźniej nie zamierzał skorzystać z tej szansy. Za to dorzucał swoje dwa grosze do rozmowy, uzupełniając informacje o wszystkich tych ludziach z obco brzmiącymi nazwiskami, o których wspominała Miss

Ashley. Rosemary chłonęła każde słowo.

Rozmowa nie interesowała Scarlett w najmniejszym nawet stopniu. Ale nie narzekała na nudę. Siedziała jak przykuta, śledząc każdy ruch Julii Ashley, która zachowywała się dokładnie tak, jak powinna zachowywać się pani domu przy stole, przy poobiedniej herbacie. Nie przerywając ani na moment dyskusji o starożytnościach rzymskich - z wyjątkiem chwil, gdy pytała Scarlett, czy woli mleko, czy cytrynę i ile słodzi - Julia napełniała filiżanki, po czym podnosiła jedną po drugiej na wysokość nieco poniżej prawego ramienia, trzymała nie dłużej niż trzy sekundy i opuszczała rękę. W tym czasie jedna z pokojówek powinna była odebrać filiżankę, następnie zaś podać jednemu z gości.

Nawet nie spojrzy! - zdumiewała się Scarlett. Przecież gdyby panna służąca spóźniła się bodaj ułamek sekundy, filiżanka wylądowałaby na podłodze. Ale jedna z dziewcząt za każdym razem pojawiała się na czas, odbierała herbatę i nie uroniwszy ani kropelki parującego napoju podawała filiżankę właściwej osobie.

A ten skąd się wziął tutaj? - przeraziła się, gdy u jej boku nagle pojawił się lokaj, podał serwetkę, strzepnął, wygładził fałdy, następnie zaś ustawił przed nią trzypiętrowy klosz pełen sandwiczów. Zaledwie zdążyła wyciągnąć rękę i wybrać jeden, w dłoni lokaja pojawił się talerz.

Ach tak, rozumiem, z tyłu stoi służąca i podaje mu wszystko to, co on następnie podaje mnie. Coś podobnego! Tyle zamieszania z powodu jednego sandwicza z pastą rybną, nie większego od naparstka.

Była jednak pod wrażeniem wytworności tego wszystkiego, a jej zachwyty stał się tym większy, gdy lokaj w białych rękawiczkach ujął w dłoń srebrne szczypczyki i manewrując nimi z biegłością chirurga przeniósł z klosza na talerz pewną ilość kanapeczek. Ostatnim akordem i bez tego wspaniałej uwertury było ustawienie przez Scarlett zgrabnego stoliczka nakrytego wykończoną koronkami serwetką, a stało się dokładnie w chwili, gdy zaczęła zachodzić w głowę, jak sobie poradzi z filiżanką w jednej i talerzem w drugiej ręce.

Choć była głodna i ciekawa, jak też smakują te sandwiche, pewnie niebiańsko, zważywszy wyborną obsługę, nie tknęła jedzenia, śledząc z zachwytem precyzyjne, celowe, zwinne ruchy służących, którzy właśnie zaopatrywali w talerze i sandwiche stoliki Rosemary i Retta. Była niemal rozczarowana, gdy przekonała się, że Miss Ashley, mimo że była głową tego domu, nie przysługiwało jakieś szczególne traktowanie - po prostu klosz z resztą kanapek wrócił na stół przed nią. Coś takiego!

Nawet serwetkę rozkłada własnoręcznie, nie czekając na lokaja! Czara goryczy przepełniła się w chwili, gdy ugryzła pierwszego sandwicza i musiała stwierdzić, że to nic więcej niż tylko chleb z masłem, choć owszem, masło smakowało jakoś inaczej, jakby pietruszką... albo nie, było w tym coś ostrzejszego, może szczypiorek. W każdym razie apetyt dopisywał - sandwicze były dobre. A ciastka na drugim kloszu wyglądały jeszcze lepiej.

Do licha, przecież oni ciągle mówią o Rzymie! Scarlett zerknęła na służbę - stała w gotowości pod ścianą, za plecami Miss Ashley. Najwidoczniej nikt nie zamierzał się spieszyć z tymi ciastkami. Na miłość boską, Rosemary zaledwie napoczęła pierwszego sandwicza.

- ...ale jesteśmy nieuprzejmi - dobiegły ją słowa Julii - Mrs. Butler, a pani jakie miasto chciałaby zwiedzić? Czy podziela pani pogląd Rosemary, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu?

Scarlett przywołała na twarz najpromienniejszy z uśmiechów.

- Zbyttno jestem zauroczona Charlestonem, by myśleć o przeprowadzce gdziekolwiek indziej.

- W pani odpowiedzi znajduję wiele niewyszukanego wdzięku - skinęła głową Miss Julia - choć jednocześnie przyznać muszę, że w ten sposób położyła pani kres naszej rozmowie. Może herbaty?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przemówił Rett.

- Obawiam się, droga Julio, że musimy ruszać w dalszą drogę. Wśród tych drzew trudno mi będzie znaleźć ścieżkę, a dni są bardzo krótkie.

- Miałby pan całe ulice zamiast ścieżek, gdyby tylko kazał pan swoim ludziom pracować na roli, zamiast zajmować się tą niewdzięczną pracą w kopalni fosforu.

- Miss Julio, sądziłem, że mamy zawieszenie broni.

- Bo i mamy. Dotrzymuję rozejmu. Ponadto przyznaję, że ma pan rację spiesząc się do domu przed zapadnięciem zmroku. Zbyttno się pograżałam we wspomnieniach z Rzymu i zapomniałam, że czas bieży szybko. Może jednak Rosemary mogłaby dzisiaj u mnie przenocować. Odeślę ją pani jutro z samego rana.

Och, tak, przemknęło Scarlett przez myśl.

- Och, nie, to niestety niemożliwe - odrzekł Rett. Może wyjadę jeszcze tej nocy, a nie chciałbym zostawiać Scarlett samej w domu, bez znajomych, jedynie z tą dziewczyną z Georgii.

- Nie szkodzi, Rett, nie szkodzi - powiedziała Scarlett. - Nie przejmuj się. Chyba nie

sądziysz, że jestem jednym z tych dziewczątek co to się boją ciemności?...

- Rett, ma pan zupełną rację - przerwała jej zdecydowanym tonem Julia Ashley. - A pani, Mrs. Butler, radziłbym więcej rozwagi. Czasy są niespokojne.

Jej głos nie dopuszczał sprzeciwu. Był stanowczy. Równie stanowczym ruchem podniosła się od stołu, wstała, zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

- Bardzo dobrze. Spotkamy się przed domem. Hektor wyprowadzi konie.

23.

Za domem w Landing, na trawniku w kształcie podkowy zebrało się kilka grup groźnie wyglądających czarnych mężczyzn i jedna mała grupka kobiet. Rett pomógł zejść Scarlett i Rosemary z podjazdu w pobliżu prowizorycznych stajni, po czym wziął je pod rękę czekając, aż chłopak stajenny zbierze lejce i odprowadzi zwierzęta. Kiedy chłopak odszedł na tyle daleko, że nie mógł słyszeć, co się mówi, Rett przemówił nagle szeptem:

- Odprowadzę was teraz do frontowych drzwi. Wejdziecie do środka i ukryjcie się w którejś z sypialni. Zamknijcie drzwi. Nie wychylajcie nosa z pokoju, dopóki po was nie przyjdę. Poślę na górę Pansy. Niech z wami zostanie.

- Co tu się dzieje? - głos Scarlett zadrżał lekko.

- Później opowiem, teraz nie mam czasu. Zróbcie, co wam kazałem.

Ciągle trzymał je mocno pod rękę i nie zwalniając chwytu, pewnym choć niespiesznym krokiem ruszył wokół domu, do drzwi frontowych.

- Psze pana! - krzyknął któryś mężczyzna. - Mr. Butler!

Rzucił się za nimi biegiem, a za nim wyrwało się kilku innych. Oj, niedobrze - pomyślała Scarlett. Niedobrze, bo zamiast Mr. Rett wołają za nim Mr. Butler. Brzmi to niezbyt po przyjacielsku, a przecież jest ich tu z pięćdziesięciu.

- Zostańcie na swoich miejscach! - krzyknął przez ramię Rett. - Wrócę do was, gdy tylko doprowadzę panie do domu.

Rosemary potknęła się o kamień, lecz zdołał ją powstrzymać od upadku.

- Nic mnie to nie obchodzi, czy złamałaś sobie nogę - mruknął pod nosem. - Idź przed siebie i nie oglądaj się.

- Nic mi nie jest - odparła Rosemary głosem zimnym jak lód, tak przynajmniej zdało się Scarlett, która znowu pogardzała samą sobą, że dała się ponieść nerwom. Dzięki Bogu, byli już prawie z drugiej strony domu. Jeszcze kilka kroków i znajdą się z frontu. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że te parę sekund, które zabrało jej pokonanie dystansu od węgła do drzwi frontowych, szła ze wstrzymanym oddechem. Kiedy ujrzała zielone tarasy zstępujące ku jeziorom w kształcie motyli skrzydeł i dalej - ku rzece - wydała głośne westchnienie ulgi.

Zaraz jednak strach sprawił, że oddech znowu zamarł jej w piersi. Za ledwie bowiem minęli róg wysypanego cegłą tarasu, ujrzała dziesięciu białych mężczyzn - siedzieli, wsparci plecami o ścianę. Wszyscy byli szczupli, wymizerowani, między krótkimi cholewkami niezgrabnych, ciężkich buciorów a nogawkami wyleniałych na słońcu

kombinezonów widać było blade, gołe kostki. Między kolanami trzymali w luźnym, niedbałym geście karabiny. Kapelusze o szerokich rondach, nisko nasunięte, zasłaniały im oczy, lecz Scarlett wiedziała, że właśnie patrzą na Retta i kobiety, które prowadził. Gdy przechodzili, jeden z nich strzyknął brązową od soku tytoniowego śliną, brunatna smuga padła na trawnik, tuż przed czubkami eleganckich trzewików Retta.

- Clinch Dawkins, możesz dziękować Bogu, że nie udało ci się opluć mojej siostry - powiedział Rett. - Inaczej już byś nie żył. Chłopcy, porozmawiam z wami za parę minut, w tej chwili mam inne sprawy do załatwienia.

Mówił spokojnie, rzeczowo. Scarlett jednak, którą trzymał pod rękę, czuła napięcie w jego dłoni. Wysunęła podbródek, zastukała obcasami, wzmacniając odgłos kroków Retta, przedefilowała przed grupką mężczyzn. Co tam biała hołota! Bezczelni, nie są w stanie przyprawić o zmieszanie ani Retta ani jej.

Zaledwie weszła do domu, na moment straciła wzrok, zaskoczona absolutną ciemnością. Co za smród! Szybko jednak oczy przyzwyczyły się do mroku, a wtedy zrozumiała, co robią te ławki i spluwaczki zgromadzone w tym dużym pomieszczeniu, skąd schody prowadziły na górę. Wszędzie wokół, zajmując dosłownie każdą piędź wolnego miejsca siedzieli jacyś biali biedacy, w strojach jeszcze bardziej spłowiałych, o oczach błyszczących głodem. Oni także byli uzbrojeni, a spuszczone nisko kapelusze o szerokich rondach zasłaniały ich oczy. Cała podłoga aż kleiła się od plwociny; tu i ówdzie stały małe kałuże soku tytoniowego przemieszanego ze śliną.

Scarlett uwolniła się z chwytu Retta, zebrała fałdy sukni na wysokości kostki i ruszyła ku schodom. Gdy już stanęła na drugim schodku, opuściła zwoje materiału, nie dbając, że tren jej sukni do konnej jazdy wlecze się po kurzu. Bierz ją diabli, jeśli pozwoli bodaj jednemu z tej hołoty spojrzeć na łydkę damy. Ruszyła w górę rozklekotanych schodów tak pewna siebie, jakby w ogóle niczym się nie przejmowała.

* * *

- Co się dzieje, panienko? Czy nikt nie powie mi, o co tu chodzi? - Pansy uderzyła w płacz dokładnie w tej chwili, gdy zamknęły się za nią drzwi do sypialni.

- Cicho bądź! - rozkazała Scarlett. - Chcesz, żeby cała Południowa Karolina słyszała, jak wyjesz?

- Nie chcę mieć nic wspólnego z nikim z Południowej Karoliny. Chcę do Atlanty, do swoich. Nie lubię tego miejsca.

- Guzik to kogo obchodzi, co lubisz, a czego nie lubisz. Marsz do kąta, siadaj na stołku i bądź wreszcie cicho. Jeśli usłyszę, jak piśniesz, to... to wtedy uczynię coś

straszego.

Zerknęła kątem oka na Rosemary. Jeśli i ona się załamie, to wtedy naprawdę nie będzie już wiedziała, co robić. Rosemary była bardzo blada, ale można było odnieść wrażenie, że trzyma się nie najgorzej. Usiadła na brzegu łóżka, po czym wbiła wzrok we wzory na kołdrze i wyglądała tak, jakby jeszcze nigdy przedtem czegoś podobnego nie widziała.

Scarlett podeszła do okna, skąd rozciągał się widok na trawnik na tyłach domu. Stanąwszy w samym rogu mogła być pewna, że z zewnątrz nikt jej nie widział. Paluszkami delikatnie odchyliła rąbek muślinowej zasłony. Wyrzała. Czy Rett był już na dworze? Boże, tak, już wyszedł! W ciemnym tłumie, wśród mnóstwa czarnych kędzierzawych głów należących do żywo wymachujących rękoma ludzi mogła dostrzec zaledwie czubek jego kapelusza. Grupki czarnych zwały się teraz w wielką masę rozdyktowanych ludzi.

Jeszcze chwila, a stratuje go na śmierć - pomyślała. Nie widać nikogo, kto byłby w stanie ich powstrzymać. W bezsilnej wściekłości gniotła w dłoni zasłonę.

- Scarlett, lepiej odejść od okna - dobiegł ją głos Rosemary. - Jeśli Rett będzie musiał martwić się jeszcze o ciebie i o mnie, nie załatwi do końca tego, co załatwić powinien. Nie rozprasza jego uwagi.

Scarlett gwałtownie odwróciła się, gotowa do ataku.

- Nie obchodzi cię, co się dzieje za oknem? - O co chodzi, i to jeszcze jak, lecz nie mam pojęcia, co tak naprawdę tam się dzieje. Ani ty.

- Wiem przynajmniej tyle, że za minutę stratuje go tłum rozjuszonych czarnuchów. Dlaczego ci cuchnący żuwacze tytoniu, co to podpierają ściany tego domu, nie zrobią użytku ze swoich strzelb?

- Bo wtedy to już zupełnie byłoby po nas. Znam paru z tych Murzynów, pracują w kopalni. Nie dopuszczą, by Rettowi stało się cokolwiek złego, bo w przeciwnym razie straciliby pracę. Poza tym wielu z nich to ludzie Butlerów. Czują się związani z tym miejscem. Dlatego nie ich się obawiam, ale tych białych sprzed domu. Rett chyba też.

- Rett nie boi się niczego!

- Oczywiście, że się boi. Byłby głupcem, gdyby wszystko sobie lekceważył. I ja się boję, i ty też.

- Ja nie.

- No to jesteś głupia.

Scarlett opadła szczęką. Ten trzask w głosie Rosemary... coś jakby uderzenie bicia,

ten sam ton, który dało się słyszeć w głosie Julii Ashley, to bardziej ją poruszyło niż zniewaga. Wystarczyło pół godzinki u starej smoczycy, a nasza Rosemary przedzierzgnęła się w prawdziwe monstrum.

Raptownie obróciła twarz ku oknu. Zaczyna się ściemniać. O co tu chodzi?

Nie mogła dostrzec żadnych konkretów. Tylko zarysy czarnych postaci na ciemnym tle. Czy Rett był jedną z nich? Trudno powiedzieć. Przyłożyła ucho do szyby, wytężyła słuch, lecz jedynym dźwiękiem, który udało się jej usłyszeć, było stłumione pochlipywanie Pansy.

Jeśli czegoś nie zrobię, zwariuję - powtarzała bezgłośnie. Zaczęła przechadzać się po pokoju, krok za krokiem, tam i z powrotem.

- Dlaczego na tak wielkiej plantacji sypialnie są tak małe? - zawołała płaczliwie. - W Tarze w jednej sypialni zmieściłyby się dwie takie.

- Naprawdę nie wiesz? Usiądź, proszę. Tam, przy drugim oknie stoi fotel bujany. Zamiast chodzić możesz się pobujać. Zapalę lampę i, jeśli chcesz, opowiem ci o Dunmore Landing.

- Nie zniosę siedzieć tak w jednym miejscu! Zejdę na dół. Sama się przekonam, o co naprawdę tu chodzi.

Zaczęła szukać gałki u drzwi, było już bowiem ciemno.

- Jeśli to zrobisz, nigdy ci tego nie wybaczy - szepnęła Rosemary.

Scarlett opadły ręce.

Trzask zapalanej zapalki był głośny jak pistoletowy wystrzał. Scarlett wzdrygnęła się nerwowo, po czym odwróciła się od drzwi, by - ku swemu wielkiemu zaskoczeniu - stwierdzić, że Rosemary wygląda tak, jak zawsze. Siedziała także na tym samym miejscu, na skraju łóżka. Lampa naftowa rzucała jasną smugę światła na pstre wzory kołdry. Scarlett przez moment wahała się, lecz po chwili podeszła wolnym krokiem do fotela bujanego i ciężko opadła.

- Dobrze. Niech będzie. Opowiedz mi o Dunmore Landnig.

Stopami odepchnęła się od podłogi, wkładając w to całą złość, która zdążyła w niej wezbrać. Fotel poskrzypywał, a Rosemary powoli i spokojnie opowiadała dzieje tego miejsca, które tak wiele dla niej znaczyło. Scarlett kołysała się, znajdując w tym coraz większą przyjemność.

Dom, w którym się znajdują - zaczęła Rosemary - ma tak małe sypialnie dlatego, że został zbudowany z myślą o nieżonatych gościach, jako kwatery dla samych kawalerów. Piętro wyżej znajdują się równie małe pokoiki dla służby. Także pomieszczenia na

parterze, gdzie obecnie mieści się gabinet Retta i jadalnia - także i one pierwotnie były przeznaczone dla gości - dla nocnych Marków na ciągnącą się do późnej nocy grę w karty, na różne tam kawalerskie wieczory.

- Wszystkie krzesła - wspominała Rosemary tonem rozmarzenia - obciążone były czerwoną skórą. Lubiłam tu przychodzić, gdy mężczyźni wyjeżdżali na polowania. Przychodziłam i chłonełam zapach starej skóry, dymu z cygar i whisky... Plantacja została nazwana ku pamięci miejsca, gdzie mieszkali Butlerowie zanim nasz prapradziadek postanowił zamienić Anglię na Barbados. Nasz pradziadek przeniósł się stąd do Charlestonu około sto pięćdziesiąt lat temu. To właśnie on zbudował ten dom, on założył tu ogród. Jego żona, zanim go jeszcze poślubiła, nazywała się Sophia Rosemary Ross. Od niej to, jak się domyślasz, pochodzą imiona moje i mego młodszego brata.

- A imię Retta?

- Rett odziedziczył imię po dziadku.

- Mówił mi, że wasz dziadek był piratem.

- Doprawdy? - roześmiała się Rosemary. - Właściwie czemu nie?... Nasz dziadek przerwał angielską blokadę podczas Rewolucji, dokładnie tak samo, jak to niedawno czynił jego wnuk podczas Wojny. Staruszek uparł się, że przepchnie przez angielski kordon swoje zbiory ryżu i nic nie było w stanie go powstrzymać. Przypuszczam, że na uboczu trudnił się też kontrabandą, lecz jego głównym zajęciem była uprawa ryżu. W Dunmore Landingham zawsze sadzono ryż. To właśnie dlatego jestem tak wściekła na Retta...

Scarlett silniej zakłysała się w fotelu. Ta dziewczyna najwyraźniej zaczyna tę swoją ryżową pogadankę. Jeszcze chwila, a zacznę krzyczeć.

Nocną ciszę przerwały dwa głośnie strzały. Scarlett krzyknęła. Zerwała się z fotela i podbiegła do drzwi. Rosemary też zeskoczyła z łóżka, rzuciła się biegiem za nią. Dogoniła ją, objęła w pól i pociągnęła do tyłu, z powrotem do sypialni.

- Pozwól mi iść, muszę być przy nim... - wykrztusiła Scarlett, ale nie dane było jej dokończyć, bo objęta żelaznym uściskiem dziewczyny zupełnie straciła dech.

Poczuła, że uścisk osłabł. Uderzyła rękoma, chcąc się uwolnić. W ciszy słyszała swój własny ciężki oddech i - o dziwo, coraz to wyraźniejsze - stuk, stuk, stuk fotela na biegunach. Im bardziej zwalniał jej oddech, tym wolniejszy się stawał stukot drewna o drewno.

Jej omdlałe ręce zatrzepotały słabo, z udręczonego gardła wyrwało się ciche

chrząknięcie. Choć lampa ciągle płonęła, sypialnia zaczęła się pogrążyć w ciemności.

Rosemary zwolniła chwyt.

- Przepraszam - zdało się Scarlett, usłyszała z ust siostry Retta. Nieważne. W tej chwili liczyły się jedynie dwa głębokie hausty powietrza, które wreszcie mogło wypełnić jej zduszone płuca. Niewiele się też przejęła w momencie, gdy zupełnie bez własnej woli znalazła się na czworakach. Teraz przynajmniej łatwiej było oddychać.

Dużo czasu minęło, zanim zdołała wydobyć z siebie jakieś słowa. Uniosła głowę, ujrzała Rosemary - stała oparta plecami o drzwi.

- Omal mnie nie zadusiłaś na śmierć - wydyszała.

- Przepraszam. Nie chciałam wyrządzić ci krzywdy. Musiałam cię powstrzymać.

- Ale dlaczego? Przecież chciałam znaleźć się blisko Retta.

Rett znaczył dla niej więcej niż wszystkie skarby świata. Czy ta głupia dziewczucha naprawdę nie jest w stanie tego zrozumieć? Nie, nigdy tego nie pojmie, bo ani sama nikogo nie kochała, ani nikt nie kochał jej.

Uczyniła wysiłek dźwignięcia się na równe nogi. Och, Panienko Najświętsza, alem słabowita. Chwyła za słupek baldachimu i powoli wywindowała się w górę. Była biała jak upiór i tylko te zielone oczy płonęły zimnym blaskiem.

- Idę do Retta.

A wtedy Rosemary zupełnie zwała ją z nóg. Nie rękoma ani pięściami, bo to Scarlett byłaby w stanie wytrzymać. Rosemary spokojnie wypowiedziała tylko dwa zdania:

- On cię nie potrzebuje. Wiem o tym od niego.

Rett urwał w pół zdania. Spojrzał na Scarlett.

- Co tu się dzieje? Nie mamy apetytu? A mówią, że wiejskie powietrze potęguje głód. Zdumiewasz mnie, kochanie. Chyba to po raz pierwszy w życiu widzę, jak grzebiesz w talerzu.

Scarlett podniosła wzrok znad nie tkniętego talerza i spojrzała na niego. Jak on śmiał mówić do niej w ten sposób, skoro za jej plecami rozgłaszał jej najgłębsze tajemnice? Bo i któż inny mógłby tak dobrze poinformować Rosemary? Czy ktokolwiek w Charlestonie wiedział, że Rett wyprowadził się z Atlanty, a ona robi z siebie idiotkę usiłując go ściągnąć z powrotem do domu?

Spuściła wzrok. Widelcem przesuwiała kawałki jedzenia z jednego miejsca na drugie.

- Cóż więc się stało? - powtórzyła zniecierpliwiona Rosemary. - Ciągłe nic z tego nie rozumiem.

- Stało się dokładnie to, czegośmy oczekiwali.... my, to znaczy ja i Miss Julia. Jej rolnicy i moi górnicy zmówili się. Wiesz, że umowy o pracę podpisuje się w dzień Nowego Roku, i że obowiązują przez następne dwanaście miesięcy. Otóż więc robotnicy poszli do Miss Julii, twierdząc, że skoro ja płacę górnikom niemal dwa razy tyle, ile wynoszą ich pensje, to albo podwyższy im zarobki, albo przejdą do mnie. Moi ludzie zagrali tę samą komedię, tyle że nieco inaczej. Nie przyszło im do głowy, iż ja i Julia Ashley wpadliśmy na trop... Wino wyszumiało się dokładnie w chwili, gdy wjeżdżaliśmy do posiadłości Ashleyów. Widziałaś, jak pilnie pracowali przy ryżu. Nie chcieli ryzykować utratę pracy, poza tym wszyscy boją się śmiertelnie Miss Julii... Ale za to tutaj, w Dunmore Landing, sprawy nie poszły równie gładko. W świat poszły słuchy, że moi ludzie coś knują. Biali dzierżawcy ci, którzy mają plantację wzdłuż drogi do Summerville, stracili zimną krew, po czym zrobili to, co zwykli czynić zawsze: chwycili za broń i przygotowali się na małą strzelaninę. Przyjechali, włamali się do domu, ukradli moją whisky, po czym puścili butelkę dookoła, żeby sobie oddech poprawić... Kiedy już byliście bezpieczni, poza ich zasięgiem, powiedziałem im, że sam troszcę się o własne sprawy, po czym wezwałem ich, aby się rozeszli. Oczywiście, czarni byli przerażeni, jak można było się spodziewać, przekonałem ich jednak, iż sam dam sobie radę z białymi, a wobec tego mogą iść do domu... Kiedy uspokoiłem robotników, wróciłem tutaj i powiedziałem dzierżawcom, skoro wszystko załatwiłem z Murzynami, oni nie mają tu nic do roboty. Pewnie zbyt szybko się pospieszyłem. Tak byłem

rad, iż bez problemów udało mi się uspokoić robotników, że zapomniałem o wszelkiej ostrożności. Następnym razem będę mądrzejszy, o ile, Boże uchwaj, ta historia jeszcze się powtórzy. Koniec końców, na moją prośbę o rozejście się do domów wyskoczył Clinch Dawkins. Najwyraźniej szukał guza. Wyzuwał mnie od murzyńskich sługusów, chwycił za karabin, odwiódł kurek i wymierzył we mnie. Nie mogłem czekać, aby się przekonać, czy dość już ma w czubie, by wystrzelić. Podbiegłem i podbiłem lufę w górę. Przypuszczam, że ci w niebie mają parę dziur.

- To wszystko? - Scarlett omal nie krzyknęła, tak była rozczarowana. - Przecież mogłeś powiedzieć nam, co się święci.

- Kochanie, byłem zbyt zajęty. Zraniłem dumę Clincha, więc w jej obronie sięgnąłem po nóż. Ja też sięgnąłem i mieliśmy dziesięć minut dobrej zabawy, zanim nie obciąłem mu nosa.

Rosemary ciężko sapnęła.

Rett pieszczotliwie pogładził ją po dłoni.

- Tylko sam czubek. I tak był za długi. Teraz wygląda znacznie lepiej.

- Ale on będzie cię ścigał.

Rett potrząsnął głową.

- Nie, zapewniam cię, że nie będzie. To była sprawiedliwa walka. A Clinch to jeden z moich najstarszych kompanów. Razem byliśmy w armii. Był ładowniczym działa, którego obsługą dowodziłem. Zadzierzgnęła się między nami silna więź przyjaźni i kawałek nosa nie może jej rozerwać.

- Szkoda, że cię nie zabił - wycedziła Scarlett słowo po słowie. - Jestem zmęczona. Idę spać.

Odsunęła krzesło, wstała i godnym krokiem wyszła z pokoju.

Pobiegły za nią słowa Retta, wypowiedziane bardzo wyraźnie i bardzo powoli.

- Nie masz większego błogosławieństwa dla mężczyzny niż oddanie kochającej żony.

Scarlett poczuła, jak serce ją zapiekło z gniewu.

- Mam nadzieję, że Clinch Dawkins krąży gdzieś koło domu właśnie w tej chwili - mruknęła. - I tylko czeka na okazję.

A jeśli już o to chodzi, nie wypłakałabym oczu, gdyby drugi kawałek ołowiu dostał się Rosemary.

Siostra Retta podniosła właśnie kieliszek z winem.

- W porządku, teraz już wiem, dlaczego powiedziałaś, że kolacja to uroczystość. Lecz ja chcę wznieść toast za to, że ten dzień wreszcie się skończył.

* * *

- Scarlett chora? - spytał Rett siostrę. - Ja tylko żartowałem. Ale też to zupełnie do niej niepodobne, żeby apetyt jej nie dopisał.

- Zdenerwowana.

- Widziałem ją zdenerwowaną więcej razy, niż potrafisz zliczyć, a mimo to zawsze miała wilczy apetyt.

- To wszystko jest nie na jej siły. Gdy ty obcinałeś nosy, ja i Scarlett stoczyliśmy tu prawdziwą walkę.

Rosemary opisała przerażenie Scarlett i jej prośby, by dotrzeć do Retta.

- Nie wiedziałam, co się dzieje na dole. Myślałam, że może coś bardzo groźnego, dlatego postanowiłam zatrzymać ją w sypialni. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

- Miałaś absolutną słuszność. Zawsze mogło się coś zdarzyć. - Obawiam się, że zbyt ją ścisnęłam - wyznała Rosemary, lekko zakłopotana. - Omal mi ducha nie wyzionęła... już nie mogła złapać tchu.

Rett odrzucił głowę do tyłu. Wybuchnął śmiechem.

- Na Boga, chciałbym to zobaczyć. Scarlett O'Hara rozłożona na łopatki przez małą dziewczynkę. W Georgii znalazłoby się ze sto kobiet, które zdarłyby skórę na dłoniach oklaskując twój wyczyn.

Rosemary zastanawiała się tymczasem, czy wyznać mu ciąg dalszy tej historii. I wtedy zrozumiała, że jej słowa bardziej zraniły Scarlett niż ta niewinna w gruncie rzeczy walka. Postanowiła zatem, że resztę pozostawi milczeniu. Rett ciągle się śmiał - po co mu psuć dobry humor.

* * *

Scarlett obudziła się przed wschodem słońca. Leżała w bezruchu w ciemnym pokoju. Bała się choćby kiwnąć palcem. Oddychaj tak, jakbyś spała - przykazała sobie w myśli. Nie obudziłabyś się tak w środku nocy, gdyby nie wyrwały cię ze snu jakieś dziwne odgłosy. Nasłuchiwała... zdało się jej, że mija wieczność, lecz ciężkiej ciszy nie zakłócił najlżejszy nawet szmer.

Kiedy zrozumiała, że to uczucie głodu wyrwało ją ze snu, omal nie rozplakała się w przypływie ulgi. Oczywiście, burczało jej w żołądku! Od śniadania nic nie jadła, zaledwie te parę mikroskopijnej wielkości kanapeczek u Miss Ashley.

Noc była zbyt chłodna, by ubrać się w jedwabny szlafrok. Otuliła się w koldrę z grubej, ciężkiej wełny, która choć zdjęta z łóżka, ciągle trzymała ciepło. Koldra płatała

się jej u bosych stóp, gdy po cichutku minęła korytarz i zaczęła schodzić na dół. Dzięki Bogu, sosnowe bierwiona tliły się jeszcze w kominku, dając dość ciepła i wystarczająco dużo światła, by mogła dostrzec drzwi do jadalni, a stamtąd drzwi do kuchni. Nie miała specjalnych życzeń: wystarczy, jeśli znajdzie trochę zimnego ryżu i resztki gulaszu. Jedną ręką przytrzymując ciężką kołdrę, drugą chwyciła za gałkę u drzwi. W lewo czy w prawo? Nie pamiętała.

- Stój, bo inaczej przewiercę cię kulą! - aż podskoczyła, słysząc ochrypnięty głos Retta. Kołdra spadła jej z ramion, obiegła ją pierwsza fala chłodu.

- Tam, do diabła! - Scarlett odwróciła się, usiłując zebrać grube fałdy wełnianego okrycia. - Nie dość się wczoraj najadłam strachu? Znowu zaczynasz? Omal nie wyskoczyłam z własnej skóry.

- To dlaczego błądasz się po domu o tej porze? Przecież mogłem cię postrzelić.

- To dlaczego czaisz się i wyskakujesz z ukrycia, przyprawiając o palpitację Bogu ducha winnych ludzi? - Scarlett zarzuciła kołdrę na ramiona takim ruchem, jakby właśnie poprawiła królewski płaszcz z gronostajów. - Idę do kuchni zjeść coś na śniadanie - wyjaśniła z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć.

Rett uśmiechnął się, rozbawiony jej wyniosłą pozą.

- Rozpalę ogień w piecu - mruknął. - Sam myślałem o filiżance kawy.

- To twój dom. Masz prawo wypić filiżankę kawy kiedy tylko ci się zechce - zatoczyła wlokącą się po ziemi kołdrą szeroki łuk, tak godnie i tak dystygowanie, jakby to był tren sukni balowej. - I co teraz? Może zechcesz otworzyć mi drzwi?

Rett dorzucił drwa do kominka. Suche liście w zetknięciu z rozżarzonymi węglami buchnęły płomieniem. W jadalni natychmiast zrobiło się jasno i Rett pospiesznie przybrał kamienny wyraz twarzy - tak szybko, że Scarlett nie zdążyła dostrzec rozbawienia, malującego się na jego obliczu. Otworzył drzwi z jadalni do kuchni, dał krok do tyłu, puszczając Scarlett przodem. Weszła szybko, lecz zaraz musiała się zatrzymać. W kuchni panowały egipskie ciemności.

- Jeśli pozwolisz... - wszedł za nią Rett, ominął ją i zapalił zapałkę. Przyłożył ogień do knota lampy naftowej, którą znalazł na stole, po czym ostrożnie wyregulował płomień.

Scarlett ciągle słyszała rozbawienie w jego głosie, lecz - co dziwne - wcale ją to nie irytowało.

- Takam głodna, że zjadłabym konia z kopytami - powiedziała.

- Tylko nie konia, proszę - roześmiał się Rett. - Mamy zaledwie trzy, z czego dwa to

ostatnie wałachy.

Postawił klosz na lampę, uśmiechnął się.

- Co powiesz na jajecznicę na plastrze szynki?

- Dwa plastry - spróbowała się potargować. Podeszła za nim do kuchni i usiadła na ławce przy stole. Z nogami owiniętymi kocem spoglądała, jak Rett rozpala w ogromnym żelaznym piecyku. Gdy zatrzaskały przesycone żywicą świerkowe szczapy, wysunęła nogi z wełnianej derki, wystawiając stopy na miłe promienie ciepła.

Rett przyniósł ze spiżarni napoczęty i w połowie już zjedzony kawał szynki, maselnicę oraz jaja.

- Młynek stoi za tobą na stole. Kawa w puszcze. Jeśli ty zmielesz kawę, a ja w tym czasie pokroję szynkę, śniadanie będzie znacznie szybciej.

- Dlaczego ty nie zajmiesz się kawą, a ja jajecznicą?

- Ponieważ płyta jeszcze się nie nagrzała, Miss Nienasycona. Obok młynka masz koszyczek z chlebem. Możesz na razie zapchać sobie żołądek tym, co tam znajdziesz. Ja dopilnuję jajecznicy.

Scarlett obróciła się. Istotnie, pod serwetką znalazła koszyczek, a w nim cztery kromki chleba. Odgarnęła nieco kokon z koldry, która znacznie ograniczała swobodę ruchów i sięgnęła po kawałek chleba. Żując suchą kromkę wrzuciła do młynka garść kawy. Później na zmianę - to kręciła korbką, to nadgryzała kolejne kęsy. Kiedy zjadła już prawie cały zapas chleba, usłyszała skwierczenie tłuszczu: to Rett rzucał plastry szynki na patelnię.

- Niebiański zapach - uszczęśliwiona pociągnęła nosem. Obróciła jeszcze kilka razy korbką - kawa była gotowa.

- Gdzie dzbanek?

Odwróciła się, spojrzała na Retta, wybuchnęła śmiechem. Za spodnie zatknął ścierkę, w rękę trzymał długi widelec, którym wskazał w stronę półki przy drzwiach.

- Co cię tak śmieszy?

- Ty. Uważaj, bo tłuszcz strzeli i się poparzysz. Zasuń fajerkę, w przeciwnym razie cała jajecznica zaraz wyląduje w płomieniach. Powinam była wiedzieć, że nie masz o tym pojęcia.

- Bzdura, szanowna pani. Wolę pobawić się przy otwartym ogniu. Przywodzi mi to na myśl wspomnienia owych wspaniałych dni, gdy nad ogniskiem piekliśmy kotlety z bawołu.

Jednak przesunął patelnię nieco na bok.

- Naprawdę jadłeś bawołu? W Kalifornii?

- Bawoły, kozy i muły... a także steki z trupa osoby, która nie zrobiła mi kawy, gdy strasznie chciało mi się pić.

Scarlett wybuchnęła śmiechem. Nie dbając o to, że podłoga była zimna, zerwała się z ławy i pobiegła po dzbanek.

Jedli w ciszy, oboje skupieni na zaspokajaniu głodu. W ciemnej kuchni było ciepło i miło. Zapach kawy, parującej w dzbanku na stole, był mroczny i słodki. Scarlett zapragnęła, by to śniadanie nie miało końca. Tak, Rosemary na pewno kłamała, Rett nie mógł jej powiedzieć, że już mnie nie pragnie.

- Rett?

- Hm? - właśnie nalewał kawę.

Cisnęło się jej na usta pytanie, czy ta błogość i radość nie mogą trwać także za dnia, dłużej, do końca ich dni, lecz pomyślała sobie, że ta drobna nieostrożność z jej strony może wszystko zrujnować. Spytała więc o coś, czego wcale nie chciała wiedzieć.

- Jest tu gdzieś śmietanka do kawy?

- W spiżarni. Zaraz przyniosę. Nie powinnaś chodzić boso po zimnej podłodze.

Poszedł. Wrócił za kilka sekund.

Kiedy sypała cukier, kiedy wlewała śmietankę do kawy, gdy mieszała kawę łyżeczką, czuła, że nerwy ma napięte do granic ostateczności.

- Rett?

- Tak?

Wyrzuciła z siebie lawinę słów w tempie tak błyskawicznym, by nie zdążył jej powstrzymać.

- Rett, czy to nie może trwać zawsze? Sam widzisz, jak nam z sobą dobrze. Co cię zmusza byś zachowywał się tak, jakbyś mnie nienawidził?

Westchnął ciężko.

- Scarlett, kochanie - zaczął znużonym głosem. - Żadne zwierzę nie zaatakuje, jeśli je przedtem coś lub ktoś nie rozjuszy. Instynkt zawsze bierze górę nad rozumem. Widzisz, teraz znowu usiłujesz wyrzucić na mnie presję, znowu mnie naciskasz. Najwyraźniej nie jesteś w stanie pozostawić mnie samemu sobie. Chciałbym być wobec ciebie przyzwyczajony, lecz ty nie dajesz mi spokoju.

- Dobrze, dam ci ten spokój. Dam ci to, czego tak bardzo pragniesz. Chcę być dla ciebie miła.

- Tylko że ty wcale nie pragniesz być miła. Ty żądasz miłości. Niewzruszonej,

niewymuszonej, niedwuznacznej miłości. Kiedyś darzyłem cię tym uczuciem, ale wtedy wcale ci na nim nie zależało. A teraz uczucie się zużyło.

W głosie Retta pojawił się jakiś chłód zaostrowany szorstką niecierpliwością. Słyszając to, Scarlett aż skurczyła się w sobie, bezwiednie przebiegła dłonią po nagrzanej powierzchni ławki, dotknęła kołdry, jakby w pragnieniu odnalezienia ciepła, które się rozwiało.

- Pozwól, Scarlett, że wyrażę to w terminologii bardziej dla ciebie zrozumiałej. W moim sercu drzemały pokłady miłości warte tysiąc dolarów. W złocie, nie w banknotach. I wszystko wydałem na ciebie, co do centa. Toteż w tym, co się tyczy miłości, jestem bankrutem. Wydrenowałaś mnie z całego kapitału.

- Tkwiłam w błędzie, Rett, i bardzo mi przykro. Teraz usiłuję naprawić błędy.

Jej umysł tłukł się jak w klatce. Sama przecież mogę mu podarować moje serce, a w nim miłość na tysiąc dolarów - myślała. Co tam tysiąc! Dwa tysiące, pięć, dziesięć, tysiąc tysięcy. Wtedy może znowu mnie pokocha. bo już nie będzie bankrutem. Otrzyma z powrotem to, co włożył, a może nawet więcej. Gdyby tylko chciał to przyjąć. Trzeba go zmusić, żeby chciał...

- Scarlett - odezwał się Rett. - Nie istnieje coś takiego jak „naprawianie błędów przeszłości”. Uważaj, bo możesz zniszczyć to, co nam jeszcze pozostało. Pozwól mi być wobec ciebie miłym, bo dobrze mi z tym.

- O tak. Bądź miły, bądź taki, jaki byłeś przedtem, zanim zdążyłam zniszczyć to szczęście, którym oboje się cieszyliśmy, Nie będę cię do niczego zmuszać. Po prostu cieszymy się, bądźmy przyjaciółmi do czasu, gdy wrócę do Atlanty. Będę szczęśliwa mogąc się śmiać razem z tobą. To śniadanie zapadnie mi w pamięci. No i ten widok... ty w tym fartuszk...

Zachichotała. Dzięki Bogu, w ciemnościach widział równie słabo jak ona.

- To wszystko, czego chcesz? - w jego głosie wyraźnie dźwięczała ulga. Scarlett, obmyślając odpowiedź, pociągnęła duży łyk kawy - w ten sposób mogła zyskać na czasie. Po czym roześmiała się perliście.

- Oczywiście, głuptasku. Wiem, kiedy przyznać się do klęski. Po prostu wyobrażałam sobie, że warto będzie cię przycisnąć, lecz skoro nic z tego, nie będę nastawać. Proszę cię tylko o jedno: zrób wszystko, byśmy dobrze się bawili w karnawale. Sam wiesz, jak uwielbiam przyjęcia.

Znowu się roześmiała.

- A jeśli naprawdę chcesz być dla mnie miły, zacznij od teraz i nalej mi drugą

filiżankę kawy. W przeciwieństwie do ciebie nie mam termosu.

* * *

Po śniadaniu Scarlett poszła na górę, żeby się ubrać. Świt jeszcze nie wstał, lecz zbyt była podekscytowana, by tak po prostu położyć się do łóżka i usnąć. Cieszyła się, że tak dobrze rozegrała tę partię. Uspiała jego czujność. On też był zadowolony z tego śniadania, bez dwóch zdań.

Ubrała się w brązowy kostium podróżny - ten sam, który miała na sobie, gdy płynęła na plantację. Włosy zaczesła do tyłu, spięła grzebieniami. Następnie wtarła parę kropelek eau de cologne w nadgarstki i w okolicach uszu - niewiele, tyle tylko, by zapach przypominał, że jest kobietą delikatną i godną pożądania.

Idąc przez korytarz, a potem schodząc po schodach starała się zachować ciszę, iść omal bezszelestnie. Im dłużej Rosemary pozostanie w łóżku, tym lepiej. Wychodzące na wschód okno na półpiętrze wyraźnie odcinało się w ciemności jaśniejszą plamką. Prawie świta. Zdmuchnęła płomień lampy, którą zabrała ze sobą. Och, niechże to będzie dobry dzień, niech nie popełnię żadnego głupstwa. Niech wszystko potoczy się tak gładko jak przy śniadaniu. Niech to śniadanie trwa cały dzień. I noc. Był to sylwester.

W całym domu panowała ta szczególna cisza, która zalega nad całą ziemią, tuż przed wschodem słońca. Scarlett schodziła powoli, ostrożnie, by nie skrzypiały schody, a w końcu stanęła pośrodku jadalni. Ogień na kominku płonął wesoło i jasno - pewnie Rett podrzucił drewna. Przez uchylone drzwi do gabinetu widziała, jak siedzi przy biurku: na tle szarości zimowego świtu, wpadającego przez okno, jego ramiona i głowa rysowały się ciemnymi konturami. Na palcach przebiegła przez jadalnię, po czym zatrzymała się taktownie przed progiem, zapukała koniuszkiem palca we framugę.

- Można? - szepnęła.

- Myślałem, że wróciłaś do łóżka - mruknął Rett. W jego głosie słychać było nuty zmęczenia. Przypomniała sobie wtedy, iż przecież całą noc spędził na czuwaniu strzegąc domu. Zaprażyła przycisnąć jego głowę do serca, odpędzić znużenie.

- Nie warto. Skoro świt koguty drą się tu jak szalone.

Niepewnie dała krok naprzód. Jedną nogą była już za progiem.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli przycupnę tu gdzieś w kącie? W gabinecie nie śmierdzi tak jak na górze.

- Proszę - powiedział, nie podnosząc wzroku.

Cichutko prześliznęła się w stronę wolnego krzesła. Szary prostokąt okna nad

ramionami Retta przybrał na jasności. Ciekawe, w co on tak się wpatruje? Koguty? Clinch Dawkins? Właśnie zza okna dobiegło ją pianie koguta. Wzdrygnęła się.

A wtedy pierwsze, słabe jeszcze promienie czerwonej kuli grudniowego słońca musnęły ziemię. Skąpane w krwistej poświacie, sterczące ku niebu ceglastoczerwone ruiny siedziby Butlerów w Dunmore Landing przybrały wygląd szczególnie dramatyczny - krew na tle czarnego prawie nieba. Krzyknęła. Wyglądało to tak, jakby ciągle jeszcze tliły się zgliszczka. Teraz już wiedziała, co przykuwało uwagę Retta: oglądał agonię swego domu.

- Nie patrz - błagała. - Nie patrz. Daremnie krwawisz sobie serce.

- Powiniennem wtedy być tutaj. Może bym ich powstrzymał - Rett mówił powoli, jego głos dobiegał jakby z dużej odległości, jakby to nie on wypowiadał słowo po słowie.

- Nie byłbyś w stanie ich powstrzymać. Zastrzeliliby cię, a ogień i tak by podłożyli!

- Julii Ashley nie zastrzelili - odparł, lecz tym razem jakoś inaczej. Teraz w jego głosie tliła się iskierka przekory, może nawet dowcipu. Krwawa pożoga, która ze wschodem słońca ogarnęła świat za oknem, zmieniała barwy, wyzłociła się, tak że ruiny były już tylko szerniałymi w płomieniach ceglami, kikutami kominów, a słońce grało złotym blaskiem w kropelkach rosy połyskującej w załomach murów.

Rett obrócił się razem z kręconym krzesłem. Grzbietem dłoni potarł podbródek, tak że Scarlett omal słyszała trzask nie golonego zarostu. Miał sińce pod oczami, widoczne nawet w pogrążonym w półmroku pokoju, włosy miał zmierzwione, na czubku głowy sterczał mu niesforny kosmyk, niesforny pukiel opadał mu na czoło. Wstał, ziewnął, przeciągnął się.

- Chyba już nic nam nie grozi a wobec tego utnę sobie króciutką drzemkę. Ty i Rosemary macie nie wychodzić z domu, dopóki się nie obudzę.

Ułożył się na drewnianej ławce. Zasnął natychmiast.

Scarlett powiodła wzrokiem po leżącej, wyprostowanej postaci.

Nie powinnam mu była mówić, że go kocham... nigdy. Takie wyznania sprawiają, że czuje się pod presją. A kiedy, by stłumić to uczucie, obraca się przeciwko mnie i staje się podły, wtedy opada mnie wstyd i mam wrażenie, jakbym prawila banały. Nie, nigdy mu nie powtórzę... przynajmniej do chwili, gdy sam wyzna mi miłość.

25.

Zaledwie się obudził z twardego snu (a spał tylko godzinę), Rett wyraźnie przykazał Rosemary i Scarlett, by trzymały się z daleka od jeziora w kształcie motyli skrzydeł. Wznosił tam podwyższenie, skąd w dzień Nowego Roku, miały popłynąć słowa podniosłych mów i oracji - tam także miała się odbyć ceremonia przedłużenia kontraktów o pracę.

- Robotnicy nie zachowują się uprzejmie w stosunku do kobiet - uśmiechnął się do Rosemary. - A ja chciałbym uniknąć natarczywych pytań Mamusi, dlaczego pozwoliłem siostrzyczce poznawać całe bogactwo, jakże barwnego słownika tych ludzi.

Na polecenie Retta, Rosemary wzięła Scarlett na wycieczkę po zarośniętych ogrodach. Wprawdzie usunięto zielsko ze ścieżek, ale nie wysypano ich żwirem, tak że już wkrótce skraj sukni Scarlett był czarny od kurzu. Jakże tu wszystko różniło się od Tary, nawet ziemia. Za to roślinność była bujna, a większość tego, co rosło, było jej nieznaną. Dla kogoś z wyżyn cała wegetacja była zbyt wybujała.

Ale siostra Retta kochała tę ziemię - kochała ją tak namiętnie, że słuchając Rosemary nie mogła się powstrzymać od zaskoczenia. Przecież uczucie, które wzbudzało w niej to miejsce było niezwykle podobne do tego, co ona sama czuła wobec Tary. Hm... może jednak w końcu zdołam się dogadać z tą dziewczyną.

Wszakże Rosemary nie zważała na wysiłki Scarlett dyskretnie usiłującej nawiązać nie porozumienia. Bez reszty pogrzyżyła się w nie istniejącym już świecie Dunmore Landing sprzed wojny.

- To miejsce zwało się kiedyś „ukrytym ogrodem”, bowiem wysokie żywopłoty biegnące wzdłuż ścieżek, zupełnie zasłaniały widok i mogłaś iść, niczego nie widząc, aż do chwili, gdy nagle znalazłaś się w centrum ogrodu. Dzieckiem będąc chowałam się tutaj zawsze wtedy, gdy zbliżała się pora kąpieli. Służba za każdym razem dawała się podejść... przetrząsała krzak po krzaku, hukali i wykrzykiwali na wszystkie strony, choć i tak wiedzieli, że nigdy mnie nie znajdą. Myślałam sobie: „ale spryciara ze mnie”. A kiedy moja Mammy, błądząc po ścieżkach, w końcu mnie znajdowała, zawsze świetnie umiała odegrać scenę zaskoczenia... jakże ją kochałam.

- I ja też miałam Mammy. I...

Rosemary właśnie ruszyła przed siebie.

- A tu, w dole, jest staw. Pływały tutaj łabędzie... czarne i białe. Rett twierdzi, że może kiedyś wrócić, gdy tylko wytnie się te trzciny, oczyści dno z tych ohydnych wodorostów. Widzisz te kępki krzaków? Tak, to prawdziwa wysepka, usypana

specjalnie dla łabędzi, żeby miały gdzie założyć gniazda. Oczywiście, dawniej tu rosła trawa, przycinana, gdy akurat nie było pory łęgowisk. Była też mała świątynia grecka z białego marmuru. Może do dzisiaj jeszcze leżą gdzieś w tych szuwarach jakieś szczątki... Wielu ludzi boi się łabędzi. Nie bez racji, bo skrzydła i dzioby, kiedy już raz pójdą w ruch, są groźne. Ale te nasze pozwalały mi pływać ze sobą, gdy łabędziątka wyszły już z gniazda. Mama siadywała czasami na ławce nad stawem i czytywała mi *Brzydkie kaczątko*. Kiedy już sama nauczyłam się czytać, czytałam tę baśń łabędom... O, a tu ścieżka wiedzie do ogrodu różanego. W maju, idąc brzegiem rzeki, możesz czuć zapach róż na milę. Kiedy w deszczowe dni drzwi i okna były w domu szczelnie zamknięte, zapach wielkich różanych bukietów był tak intensywny, że czułam się całkiem pod psem... Tędy, gdy pójdziesz w dół rzeki, spotkasz ogromny dąb. Kiedyś w koronie drzewa Rett zbudował wielki szałas, który potem przeszedł na własność Rossa. Wspinałam się tam z książką pod pachą i ciastkami z marmoladą, i mogłam tak siedzieć cały Boży dzień. Było to znacznie lepsze niż domek, który na rozkaz Papy zbudowali dla mnie stolarze. Ten był zbyt delikatny, miał dywany na podłodze, meble dostosowane do mojej wielkości, serwisy do herbaty, było też mnóstwo lalek... A teraz chodź tędy, tam są bagna. Może uda się nam zobaczyć aligatory. Tak dzisiaj ciepło, że pewnie nie siedzą w swych zimowych leżach.

- Ach, nie, dziękuję! - zawołała Scarlett. - Rozbolały mnie nogi. Chyba sobie usiądę na chwilę na tym wielkim kamieniu.

Wielki kamień okazał się być postumentem leżącego na ziemi, rozbitego posągu jakiejś dziewicy w klasycznie udrapowanych szatach. Głowa leżała w krzakach jeżyn - Scarlett mogła nawet dojrzeć zarysy kamiennej twarzy. Tak naprawdę wcale nie była zmęczona spacerem. Rosemary ją zmęczyła. Poza tym z całą pewnością nie miała ochoty na rendez - vous z aligatorami. Siedziała zatem na kamieniu, grzejąc plecy w ciepłe zimowego słońca i myślała o tym, co przed chwilą dane było jej zobaczyć. Dunmore Landing powoli zaczynało ożywać w jej umyśle. Teraz już pojęła, że życie tutaj w niczym nie było podobne do tego, które знаła z Tary - wszystko było tu na większą skalę, wszystko było tu urządzone w stylu, którego nigdy jeszcze nie miała okazji poznać. No tak, nic dziwnego, że charlestończycy mieli opinię ludzi uważających się - wszyscy razem i każdy z osobna - za alfy i omegi. No tak, przecież żyli po królewsku.

Zmarzła, choć słońce grzało mocno. Nawet gdyby Rett harował dzień i noc do końca życia, i tak nie przywróci tego miejsca do stanu dawnej świetności, a właśnie to

zamierzał zrobić. Wobec tego raczej nie znajdzie zbyt wiele czasu dla niej. Zaś wiedza o cebuli i ziemniakach niewiele jej pomoże dzielić wspólną dolę.

Wróciła Rosemary - rozczarowana, bo nie udało się jej zobaczyć aligatora. Po drodze do domu gadała jak najęta: jednym tchem recytowała nazwy ogrodów, które teraz były ogromnym zagonem chwastów porośniętych dzikim bluszczem, zanudzała Scarlett szczegółowymi opisami odmian ryżu rosnącego na polach, które teraz były jedynie bagnistymi grządkami porośniętymi trawą, wspominała czasy dzieciństwa.

- Nienawidziłam lata! - oznajmiła tonem skargi.

- Dlaczego? - spytała Scarlett, której lato kojarzyło się z tym, co najmilsze, z przyjęciami co tydzień, mnóstwem gości i wyścigami na polnych drogach, obiegających pola dojrzewającej bawełny - biegami pełnymi pohukiwań i krzyków.

To, co usłyszała w odpowiedzi od Rosemary, kazało jej zapomnieć o tych pogodnych skojarzeniach, jakie budziły w niej wspomnienia lata. Na Nizinach - usłyszała od siostry Retta - w lecie życie przenosiło się do miasta. Z bagien, leżących w zagłębieniach terenu, podnosiło się złe powietrze roznoszące zarazki malarii. Dlatego w połowie maja wszyscy opuszczali plantacje i powracali nie wcześniej niż z pierwszymi mrozami, w późnym październiku.

Aha, jednak Rett znajdzie dla niej czas. No i jeszcze zimowy sezon, to ponad dwa miesiące. Rett musiał być w tym czasie w mieście, bo któż by inny dotrzymał towarzystwa jego matce, siostrze - i jej. Owszem, z przyjemnością da mu wychodne na pięć miesięcy w roku: niech tam się babrze w ziemi z tymi swoimi kwiatami, byleby tylko pozostałe siedem miesięcy należało wyłącznie do niej. Proszę bardzo, żeby mu wyświadczyć grzeczność, nauczy się nawet nazw tych jego kamelii.

- A to co znowu? - spojrzała na ogromną budowlę z białego kamienia. Wyglądało to tak, jakby na wielkiej skrzyni stanął anioł.

- Ach, to nasz grób rodzinny - wyjaśniła Rosemary. - Kilka pokoleń rodu Butlerów, wszyscy jedno przy drugim. Kiedy umrę, mnie też tam zamkną. Jankesi odstrzelili aniołowi skrzydła, lecz mieli na tyle taktu, żeby zmarłych zostawić w spokoju. Bywało i tak, jak słyszałam, że przekopywali groby w poszukiwaniu biżuterii.

Jako córka irlandzkiego imigranta, Scarlett była przytłoczona ciężarem grobu. Wszystkie te pokolenia, pokolenia, które nadejdą, wszystkie one - nieodmiennie zawsze i na zawsze - spoczną w tym miejscu. Amen. „Wracam do miejsca, gdzie zapuściłem korzenie” - powiedział jej kiedyś Rett. Teraz wiedziała, co miał na myśli. Przykro jej było z powodu tego, co stracił, opadła ją zazdrość, że nigdy tego nie miała.

- Chodź, Scarlett. Stoisz tu tak, jakbyś wrosła w ziemię. Jesteśmy już prawie w domu. Chyba nie zmęczyłaś się aż tak bardzo, by nie móc przejść tego kawałka.

Scarlett przypomniała sobie, dlaczego tak chętnie przystała na propozycję spaceru z Rosemary.

- Nie, wcale się nie zmęczyłam! - zaprzeczyła gwałtownie. - Myślę, że powinniśmy narwać trochę gałęzi sosnowych i nazbierać zieleni, żeby przystroić dom. W końcu to święta.

- Dobry pomysł. Zapach jedliny zabije ten smród. Dość mamy sosen, bluszcze rosną w tym lasku nie opodal dawnych stajni.

I jemioly - dodała Scarlett w duchu. Nie, nie zaniedba żadnej z szans, jakie dawały jej obrzędy nocy sylwestrowej.

* * *

- Bardzo pięknie - westchnął Rett wchodząc do domu. Podwyższenie było już gotowe, przystrojone w draperie z flag czerwono - białe - niebieskich. - Wygląda bardzo uroczyście. W sam raz jak na zabawę.

- Co za zabawę?

- Zaprosiłem dzierżawców z rodzinami. W ten sposób daję im okazję, by poczuli się ważni, a z Boską pomocą whisky tak ich zamroczy, że nie zwrócą większej uwagi na obecność czarnych, którzy jutro też tutaj będą. Zanim się pojawią, będziecie musiały zamknąć się w sypialni i nie wystawiać nosa. Przewiduję raczej gorący nastrój.

Z okna w sypialni, Scarlett oglądała noworoczne fajerwerki. Trwały od północy prawie do pierwszej. Z całego serca pragnęła być teraz w mieście. Jutro, ściśnięta w tłumie czarnych, wynudzi się potwornie słuchając ich oracji i dowcipów, a kiedy w sobotę wróci do Charlestonu, pewnie nie będzie miała dość czasu, by umyć włosy, wysuszyć, ułożyć fryzurę i przygotować się na bal.

I ten Rett... wcale jej nie pocałował.

* * *

Podczas dni, które nadeszły, w Scarlett ożyły wspomnienia owych szczęśliwych godzin, które zapadły jej w pamięć jako najpiękniejsze chwile jej życia. Zachwycająca, otoczona mężczyznami, z kajecikiem zapisanym do ostatniej linijki ledwie zdążyła pokazać się na sali balowej, radośnie podniecona starymi jak świat sztuczkami niewinnego flirtu, zjednującymi jej jako kobiecie to samo uwielbienie, którego kiedyś już dane jej było doświadczyć. Czuła się jak szesnastoletni podłotek, którego myśli

krążyły li tylko wokół przeżyć z ostatniego balu, komplementów, którymi ją obdarowano, zaś plany na przyszłość nie wybiegały dalej niż do następnego balu, poruszając odwieczny problem: jaką by tu ułożyć sobie fryzurę.

Ale niedługo trwały te radości. Przecież nie była szesnastolatką i w rzeczy samej nie zależało jej na zdobywaniu poklasku eleganckich mężczyzn. Pragnęła Retta, a tymczasem nie była bliżej celu niż jakiś czas temu. On zaś dotrzymał obietnicy: czuły na przyjęciach, miły, gdy spotkali się w domu w obecności innych ludzi. Podskórnie jednak przeczuwała, że gdy znajdzie się na osobności, niecierpliwie zagłąda do kalendarza licząc dni, które miną, zanim się wreszcie od niej uwolni. Czasami opadała ją trwoga: a co, jeśli przegra?

Strach zawsze rodzi złość. Tym razem cała jej niechęć skupiła się na młodym Tomaszu Cooperze, który nie odstępował Retta na krok, wpatrzony weń jak w obrazek. Sam Rett przychylnie odpowiadał na te oznaki kultu, co doprowadzało ją do wściekłości. Na Boże Narodzenie Tomaszek otrzymał żaglówkę - Mr. Butler uczył go żeglować. W pokoiku do gry w karty, na drugim piętrze, stał wielki mosiężny teleskop. Gdy po południu Rett wyprawiał się nad wodę uczyć Tomasza Coopera pływać, Scarlett - gdy mogła - natychmiast gnała na górę i przystawiała oko do lunety. Jej zazdrość była jak drażnienie językiem zęba, który boli - przysparzało cierpienia, lecz nie mogła powściągnąć wewnętrznego przymusu bólu. To niesprawiedliwie! Tamci na łodzi śmieją się, cieszą, prują fale wolni jak ptaki, a jej nie ma razem z nimi. Dlaczego mnie nie wzięli? Kocham pływać od czasu naszego powrotu z plantacji, rejs tą małą żaglówką chłopaka Cooperów podobałby mi się jeszcze bardziej niż żegluga jednomasztowcem Retta. Łódź żyje, płynie tak szybko, tak lekko... tak uszczęśliwia!

Dobrze się stało, że tylko kilka popołudni spędziła sama w domu, szpiegując Retta i Toma przez teleskop. Poza tym była przecież pełnia karnawału, który rozkwitał jednym przyjęciem za drugim, balem po balu, tak że na brak zajęć nie narzekała. Grało się w wista, komitet Miss Eleonory nadal odbywał posiedzenia, na których zastanawiano się, skąd zdobyć środki na zakup podręczników i załatwienie dziury w dachu, ciągle przyjmowano i oddawano wizyty. Od trudu życia w tempie tak zawrotnym Scarlett zapadły się oczy, policzki okryła bladość.

I wszystko byłoby warte zachodu, gdyby to Retta dręczyła zazdrość, nie ją. On jednak zdał się nie dostrzegać tych zabiegów. Albo, co gorsza, zupełnie go to nie interesowało.

Musiała jakoś przyciągnąć jego uwagę, musiała przebić ten mur obojętności!

Postanowiła zatem, że z kręgu swych admiratorów wybierze jednego... przystojnego... bogatego... młodszego od Retta. Kogoś, o kogo mógłby się poczuć zazdrosny.

Wielkie nieba, ależ wygląda niczym widmo! Nałożyła na twarz grubą warstwę różu, skropiła się perfumami o ciężkiej duszącej woni, przybrała najniewinniejszą w świecie minę. Na łów!

* * *

Middleton Courtney był smukłym i pięknym mężczyzną o bladych, jakby śniących oczach i niezwykle białych zębach - gdy odsłaniał usta w szelmowskim uśmiechu, biel zębów aż porażała. Był wręcz uosobieniem człowieka, którego potrzebowała Scarlett. Oto prawdziwy okaz bywalca. Ale już najlepsze było w nim to, że też posiadał kopalnię fosforytu, dobre dwadzieścia razy większą od tej, którą miał Rett.

Kiedy pochylił się ku jej dłoni w powitalnym ukłonie, Scarlett musnęła jego dłoń czubkami palców. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Czy wolno mieć mi nadzieję, że zostanę obdarzony zaszczytem następnego tańca z Mrs. Butler?

- Mr. Courtney, gdyby nie zadał mi pan tego pytania, moje biedne serce pękłoby z żalu.

Kiedy ucichły ostatnie takty polki, Scarlett powolnym ruchem otworzyła wachlarz, co miało znaczyć: „uwaga, omdleam”. Zaczęła się wachlować tuż przy twarzy, licząc na to, że powiew powietrza uniesie gęste pukle włosów, obramowując ciemnymi pierścieniami roziskrzone zielone oczy.

- Ach - westchnęła ostatkiem sił. - Obawiam się, że jeśli natychmiast nie wyjdziemy na świeże powietrze, zemdleję w pana ramionach, Mr. Courtney. Zechce mi pan uprzejmie towarzyszyć?

Ofiarował jej ramię, wsparła się, po czym podeszli do ławki obok okna.

- Mr. Courtney, skoro już był pan aż tak miły, żeby mnie odprowadzić, może usiądzie pan tu obok. Strzyka mi w karku, gdy patrząc na pana muszę zadzierać głowę.

Usiadł. Raczej bliżej niż dalej.

- Znienawidziłbym siebie do końca mych dni, gdybym był sprawcą cierpienia takiego ślicznego karczku - powiedział, powoli mierząc wzrokiem jej szyję, by zaraz potem ześlizgnąć się spojrzeniem w dół i osiąść na piersiach. W tej grze, którą właśnie zaczęli, był równie utalentowanym graczem jak Scarlett.

Spuściła skromnie wzrok, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi Courtney. Potem zerknęła krótko spod długich rzęs, lecz natychmiast tym skromniej

wbiła wzrok w podłogę.

- Mam nadzieję, że ta błahostka nie odciąga pana od tańczenia z damą pana sercu najbliższą...

- Dama, o której pani raczyła łaskawie nadmienić, właśnie teraz jest najbliżej serca mego.

Scarlett spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się czarująco.

- Więcej rozwagi, Mr. Courtney. Jeszcze chwila, a zawróci mi pan w głowie.

- Nie omieszkam tego spróbować - szepnął jej do ucha. Poczula na karku ciepło jego oddechu.

* * *

Już wkrótce ten publiczny romans stał się tematem sezonu. Ile razy ze sobą tańczyli... ile razy Courtney odebrał Scarlett szklaneczkę ponczu i przyłożył usta do krawędzi szkła w miejscu, które dotknęły jej wargi... strzępy drwin pełnych insynuacji...

Edyta, żona Middletona, pobladła i wyschła jak szczapa. Nikt nie mógł pojąć, skąd u Retta tyle niewzruszonego spokoju.

Dlaczego on nic nie robi? - zachodził w głowę cały charlestoński świat.

26.

Doroczne wyścigi były - obok balu świętej Cecylii - drugim co do ważności wydarzeniem wieńczącym zimowy sezon towarzyski. Znaleźli się jednak i tacy - a wśród nich wielu kawalerów - którzy sądzą, że wyścigi są jedynym w gruncie rzeczy prawdziwym wydarzeniem sezonu. „Nie można się przecież zakładać o kolejność walców” - pomrukiwali buntowniczo.

Tydzień Wyścigów urządzało już przed Wojną, podobnie jak owe trzy bale, którym patronowało Towarzystwo Świętej Cecylii. Potem nadeszły lata klęsk: wystarczyła jedna salwa artyleryjska, by przez miasto przebiegła smuga ognia - w płomieniach stanął także budynek, gdzie zwykle odbywały się bale. Z kolei wielki owalny tor wyścigowy, tak pięknie wpisany w otoczenie, armia Konfederacji przywłaszczyła sobie na obozowisko i szpital polowy.

W 1865 miasto skapitulowało. W 1866 roku przedsiębiorczy i ambitny bankier z Wall Street, niejaki August Belmont, kupił monumentalne, rzeźbione kolumny podtrzymujące portyk Starego Toru i wywiózł je na północ, gdzie właśnie powstał tor wyścigowy w Parku Belmonta.

Bal świętej Cecylii znalazł sobie zastępcze resursy już w niecałe dwa lata po Wojnie - charlestończycy wiwatowali, że wreszcie można rozpocząć sezon. Więcej jednak czasu zabrało przywrócenie do stanu używalności zdewastowanych, pociętych wojennymi bruzdami terenów dawnego toru. Zresztą nic już nie było tak samo: zamiast trzech bali wydawano tylko jeden, zamiast Tygodnia Wyścigów był Dzień Wyścigów zaledwie, kolumn nie dało się już odzyskać, a dom klubowy zastąpiono amfiteatrem z drewnianymi ławkami, w połowie osłoniętych dachem. Ale pewnego słonecznego popołudnia pod koniec stycznia roku 1875 ci, którzy pozostali z dawnego Charlestonu udali się en fête na drugie w powojennych dziejach miasta wyścigi. Wszystkie wagony Kolejki Miejskiej, z wszystkich czterech linii, skierowano na Rutledge Avenue - ta trasa kończyła się w pobliżu toru - tramwaje obwieszane były draperiami w kolorze zieleni i bieli - barw Klubu - a konie ciągnące wagoniki miały wplecione w ogony i grzywy wstęgi o tych samych barwach.

Gdy już zbierali się do wyjścia, Rett podarował trzem damom po białe - zielonym parasolu, a sobie wpiął do butonierki białą kamelię. Białe zęby błysnęły w olśniewającym uśmiechu.

- Jankesi wystawiają zwierzęta najczystszej krwi - powiedział. - Wielce szanowny Mr. Belmont przysłał dwa konie, Guggenheim jednego. Ale nie wiedzą jeszcze o stadzie

klacz, które Miles Brewton trzyma w ukryciu na moczarach. Nie ma co, wyrosły w pięknej rodzinie: trochę zmierzwiona sierść od przebywania wśród bagien, trochę nieładne, bo od mieszańców skrzyżowanych z przybłędami z kawalerii. Lecz poza tym Miles ma prawdziwe cudo - trzylatkę, która jest w stanie ściągnąć niemało grosza z wypchanych kieszeni... w każdym razie o wiele więcej, niż się to powszechnie uważa.

- To znaczy, że będą zakłady? - spytała Scarlett z nagłym błyskiem w oczach.

- A niby do czego innego służą wyścigi? - roześmiał się Rett, po czym wetknął po pęku banknotów w torebkę matki, Rosemary do kieszeni, a Scarlett do rękawiczki. - Postawcie to wszystko na „Słodką Sally”. Za wygrane możecie sobie kupić jakieś świecidełka.

Musi być w szampańskim humorze - pomyślała Scarlett. - Włożył mi pieniądze do rękawiczki, choć przecież mógł mi je wręczyć - ale nie zrobił tego, bo nie chciał dotknąć mojej ręki - nie, nie ręki, moich gołych nadgarstków. Hm... właściwie byłoby to jak pocałunek. W ten sposób daje mi do zrozumienia, że myśli, iż jestem zainteresowana kimś innym. Tak, teraz naprawdę mnie zauważa, a nie zaledwie uprzejmie dostrzega. Tak, zatem moja metoda zaczyna skutkować!

Zaniepokoiła się, czy co trzeci taniec z Middletonem to aby nie przesada. Wiedziała, ludzie wzięli ją na języki. No dobrze, niech tam sobie gadają... jeśli te kilka plotek przywróci jej Retta, to nie ma się czym przejmować.

Kiedy weszła na trybunę, zaparło jej dech w piersiach. Nie przypuszczała, że tor jest tak ogromny! Ani że będzie tu grać orkiestra! I że będzie tyle ludzi! Rozejrzała się wokół, mrużąc oczy z rozkoszy. Po czym pociągnęła Retta za rękaw.

- Rett... Rett... pełno tu jankeskich żołnierzy. Czy oni zamierzają nie dopuścić do gonitw?

Rett uśmiechnął się.

- Nie przypuszczałaś, że i Jankesi odkryli w sobie hazardową żyłkę, co? A może myślisz, że będziemy bardzo wzruszeni widząc, jak przepuszczają tu całe fortuny? Bóg jeden wie, że i oni się nie przejmowali, grabiąc nam wszystko, co im wpadło w ręce. Rad jestem wielce widząc jak nasz pułkownik w paradnym mundurze w gronie swoich oficerów oddaje się przyjemnościom zwyciężonych. I tak mają więcej pieniędzy do stracenia niż my.

- Skąd ta pewność, że właśnie je tracą? - jej źrenice zwęziły się, usiłowała ocenić szanse. - Wystawiają przecież najlepsze konie czystej krwi, a tymczasem „Słodka Sally” to zaledwie mierzwinek.

Rett wyduł usta.

- Duma i lojalność niewiele dla ciebie znaczą, gdy w grę wchodzi pieniądze, prawda, Scarlett? W porządku, kochanie, postaw na źrebicę Belmonta. Dałem ci pieniądze, możesz z nimi zrobić, co chcesz.

Wyprzedził ją o kilka kroków, ujął matkę pod ramię i wskazał na górne rzędy.

- Stamtąd będziesz miała lepszy widok, mamusiu. Rosemary, idziemy.

Scarlett zerwała się do biegu.

- Ja przecież nie... - chciała wyjaśnić, lecz szerokie plecy Retta były niczym mur. Gniewnie wzruszyła ramionami, spojrzała najpierw w prawo, potem w lewo... gdzie można postawić na zakład?

- Czy mogę pani pomóc, madame? - dobiegł ją jakiś męski głos.

- Tak, całkiem niewykluczone - odparła w kierunku mężczyzny, który wyglądał jak dżentelmen i miał wymowę, jakby z okolic Georgii. Uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Nie jestem zwyczajna bywać na wyścigach, gdzie wszystko jest tak strasznie skomplikowane jak tutaj. U mnie w domu ktoś by po prostu krzyknął: „zakładam się o piątaka, że prześcignę cię do rozstajów dróg”, a gdy już wszyscy obstawiliby swoje typy, konie ruszyłyby z miejsca, ot i tyle.

Mężczyzna zdjął kapelusz. Trzymając go w obu dłoniach, przyłożył do piersi. Jakoś tak dziwnie na mnie patrzy - zaniepokoiła się Scarlett. - Może nie powinnam była tak się wyrywać...

- Przepraszam, łaskawa pani... - rzekł z całą powagą obcy. - Nie jestem zaskoczony, że mnie pani nie pamięta, ale ja chyba znam szanowną panią. Czy mam przyjemność z Mrs. Hamilton z Atlanty? Prawda, że to pani? Opiekowała się mną pani w szpitalu, gdzie leżałem ranny. Nazywam się Sam Forrest, jestem z Moultrie, z Georgii.

Szpital! - Scarlett poczuła, jak mimowolnie zadrżały jej nozdrza. Reakcja na wspomnienie mdłego zapachu krwi, gangreny i brudnych, zawszonych ciał.

Jednocześnie spostrzegła, jak twarz Forresta skurczyła się w grymasie nieprzyjemnego zakłopotania.

- Proszę o wybaczenie, Mrs. Hamilton - wyjąkał. - Właściwie nie powinienem pretendować do znajomości z panią. Nie chciałem pani urazić.

Scarlett upchnęła wspomnienia szpitalne do najskrytszego kąta jej umysłu, przeznaczonego na przeszłość, po czym starannie zamknęła za nimi drzwi. Dotknęła dłonią ramienia Sama Forresta. Uśmiechnęła się.

- Łaskawy panie, wcale nie czuję się urażona. Po prostu zbił mnie pan z pantałyku

zwracając się do mnie per Hamilton. Widzi pan, powtórnie wyszłam za mąż i już od lat jestem panią Butler. Mąż mój pochodzi z Charlestonu, stąd moja tutaj obecność. I powiadam panu, że słuchając, jak pan mówi, zaczęłam tęsknić za rodzinnymi stronami. Co pana tutaj sprowadza?

Konie, wyjaśnił Forrest. Spędziwszy cztery lata w kawalerii stał się prawdziwym ekspertem od koni, wiedział o nich wszystko. Mimo Wojny udało się mu ocalić pieniądze, które zarobił przedtem jako robotnik i zaczął kupować konie.

- Teraz prowadzę świetny interes na hodowli i rozplodzie koni. Mówię pani, Mrs. Hamil... o, pardon, Mrs. Butler, że kiedy przeczytałem w gazetach o wznowieniu Tygodnia Wyścigów, nie posiadałem się ze szczęścia. Przyprowadziłem tu największe skarby mojej stadniny i mam nadzieję wygrać tę nagrodę. Charleston... na całym Południu nie znajdziesz mu równego.

Musiała udawać, że go słucha, gdy tak szła razem z nim do budki, gdzie przyjmowano zakłady, a potem z powrotem do amfiteatru. Wreszcie pożegnała się z nim, szczęśliwa, że już jest od niego wolna.

Prawie wszystkie ławki były już zajęte, nie miała jednak kłopotów ze znalezieniem swego miejsca. Parasole w białe - zielone pasy były niczym znak rozpoznawczy. Scarlett pomachała parasolką do Retta, po czym zaczęła wspinać się na górę. Eleonora Butler oddała jej pozdrowienie. Rosemary spojrzała gdzieś przed siebie.

Rett usadowił ją między siostrą a matką. Zaledwie usiadła, poczuła, jak Eleonora Butler dziwnie zastygła w bezruchu. Spojrzała: Middleton Courtney i jego żona Edyta zajmowali miejsca w tym samym rzędzie, całkiem niedaleko. Courtneyowie skinęli głowami, uśmiechnęli się na powitanie. Butlerowie odpowiedzieli w ten sam sposób. Potem Middleton, wskazując ręką na linię startu i metę, zaczął coś objaśniać żonie. W tym samym czasie Scarlett zwróciła się do Eleonory Butler:

- Nigdy pani nie zgadnie, kogo spotkałam. Proszę sobie wyobrazić: żołnierza, który leżał w szpitalu w Atlancie, gdy po raz pierwszy sprowadziłam się tam, by zamieszkać.

Teraz poczuła, że Mrs. Butler jakby się odprężyła.

Przez tłum przebiegł dreszczyk emocji: na tor wyprowadzono konie. Scarlett spoglądała z otwartymi ustami, płonąącym wzrokiem. W żaden sposób nie była przygotowana na ten widok gładkiego, trawiastego owalu, jasnych szachownic strojów dzokerskich, błyszczących jedwabiem, naszywkami i sztucznymi diamentami. Radośni, promiennie uśmiechnięci, uroczyści - jeźdźcy preparadowali wzdłuż bandy, w takt skocznego marszu. Scarlett, nie zdając sobie z tego sprawy, wybuchnęła głośnym

śmiechem. Był to śmiech dziecka - spontaniczny, niewyrachowany, wyrażający czystą radość z niespodzianki.

- Tylko spójrzcie! - wykrzykiwała. - Spójrzcie!

Tak ją porwał ten widok, że nawet nie zauważyła, iż wzrok Retta cały czas spoczywał na niej, nie na koniach.

* * *

Po trzeciej gonitwie nastąpiła przerwa, tak żeby konie i ludzie mogli się odświeżyć. Nad długimi stołami zastawionymi półmiskami z jadem unosiła się kopuła namiotu w biało - zielone pasy. Wśród tłumu ludzi krążyli kelnerzy z tacami, na których stały długie kieliszki pełne szampana. Scarlett uniosła jeden z kieliszków wypożyczonych przez Emmę Anson z tacy (jednej z wielu) ozdobionej herbem Salomei Brewton, udając przy tym, że nie poznaje lokaja Minnie Wentworth, który roznosił szampana. W ten sposób nauczyła się, jak w Charlestonie radzą sobie z brakami i stratami: wszyscy chętnie użyczyli tego, co pozostało z rodowych sreber, nie mówiąc już o służbie, traktując pożyczone przedmioty, tak, jakby należały do gospodarza czy gospodyni przyjęcia.

- To najgłupsze, o czym w ogóle zdarzyło się mi słyszeć - oznajmiła, gdy Mrs. Butler wyjaśniła jej, w czym rzecz. Ostatecznie mogła zrozumieć, że ktoś coś pożycza lub wypożycza. Ale udawanie, że inicjały na kieliszku Emmy Anson pasują do inicjałów na serwetkach Minnie Wentworth uznała za kolosalną bzdurę. Mimo to pogodziła się z tym łgarstwem, jakby jego skuteczność zależała od jej zgody. Cóż, jeszcze jedna z wielu osobliwości Charlestonu.

- Scarlett...

Odwróciła się szybko do osoby, która ją zawołała. Rosemary.

- Zaraz zadzwonią na koniec przerwy. Wracajmy na miejsce, zanim zrobi się tłoczno.

* * *

Publiczność ruszyła z powrotem na trybuny. Scarlett spoglądała przez lorgnon pożyczony od Miss Eleonory. Tak, ciotki też tu były, dzięki Bogu nie natknęła się na nie w namiocie. Była też Salomea Brewton z mężem. Miles sprawiał wrażenie człowieka, który jest czymś bardzo, ale to bardzo przejęty. Salomea także. Coś takiego! Była z nimi Miss Julia Ashley. I pomyśleć, że ona też postawiła zakłady.

Przesuwała lorgnon z miejsca na miejsce. To bardzo zabawne obserwować z tak

bliska ludzi, którzy w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, że ich widzisz. Spójrzcie tylko: Josiah Anson uciał sobie drzemkę! Spał także wtedy, gdy Emma coś do niego mówiła. Dałaby mu w ucho, gdyby się tylko dowiedziała, jak się rzeczy mają! Aha, Ross! Szkoda, że wrócił, lecz Miss Eleonora była bardzo zadowolona. Małgorzata wygląda mi na zdenerwowaną, ale z nią to tak zawsze. O, Anna też tutaj jest. W tych trzewikach wygląda jak podstarzała matrona, a jeszcze w dodatku ta gromadka dzieciaków wokół niej. Sierotki. Czy ona mnie widzi? O, odwróciła się w tę stronę. Eee, nie patrzy odpowiednio wysoko.

Wielkie nieba, ależ ta dziewczyna dosłownie promienieje. Czyżby Edward Cooper w końcu oświadczył się jej? Pewnie tak. Spogląda na niego w taki sposób, jakby umiał chodzić po wodzie. Rozczulające!

Podniosła szkła wyżej, żeby przekonać się, czy Edward tak samo promieniał szczęściem... buty, para spodni, marynarka...

Serce podskoczyło jej do gardła. To Rett. Chyba rozmawiał z Edwardem. Przez chwilę zatrzymała na nim wzrok. Wyglądał elegancko. Podniosła lorgnon nieco wyżej... Eleonora Butler. Zamarła w bezruchu, oddech zamarł jej w piersi... nie, to niemożliwe. Przeczesała cały sektor, w którym stał Rett z matką... pusto. Widzowie jeszcze nie zdążyli dotrzeć na miejsca. Powoli przeniosła wzrok na Annę, potem znowu na Retta, potem jeszcze raz na Annę. Tak. Bez dwóch zdań. Patrzyli na siebie.

Scarlett najpierw poczuła, jak obiega ją fala słabości, która jednak zaraz ustąpiła miejsca przyływowi gniewu. To mała żmija! Przez cały czas podnosiła pod niebiosa wszystkie moje zalety, w żywe oczy prawiała mi komplementy, a za plecami grucha sobie z moim mężem. Zadusiłabym ją gołymi dłońmi!

Dłonie jej się spociły, tak że lorgnon omal jej nie wypadło z rąk i to właśnie w chwili, gdy przeniosła spojrzenie na Retta. Czy on naprawdę spoglądał na Annę?... Nie, przecież śmieje się razem z Eleonorą... gawędzą z Wentworthami... pozdrawiają Hugerów... Halseyów... Savage'ów... starego Mr. Prickneya... nie spuszczała Retta z oczu aż do chwili, gdy obraz jej się rozmazał.

Nie, nie spojrzał w kierunku Anny, nie spojrzał ani razu. Za to ona spoglądała na niego tak, jakby najchętniej zjadła go na deser, ale on nawet jej nie zauważył. Nie ma czym się gryźć. Po prostu głupie dziewczuszyisko zadurzone w dojrzałym mężczyźnie.

Zresztą, niby dlaczego Anna nie miałaby się w nim zadurzyć? Co tam Anna, każda kobieta w Charlestonie. Był taki przystojny, taki silny i taki...

Spojrzała na niego tęsknie, ręka z lorgnon opadła jej bezwładnie. Rett właśnie

pochylał się nad Miss Eleonorą, by poprawić jej szal na ramionach. Słońce stało już nisko nad horyzontem, zaczął dąć zimny wiatr. Rett ujął matkę pod ramię, po czym ruszyli w górę schodów - wypisz wymaluj obrazek syna, świadomego swych obowiązków wobec matki. Scarlett niecierpliwie czekała, aż zajmą miejsca.

* * *

Dach, częściowo tylko osłaniający trybuny, rzucał na ławki skośny cień. Rett zamienił się na miejsce z matką, tak żeby Eleonora Butler mogła cieszyć się ciepłem zimowego słońca. Teraz Scarlett siedziała tuż obok męża. O Annie Hampton całkiem już zapomniała.

Kiedy konie wyszły do czwartej gonitwy, widzowie wstali: najpierw dwaj, później grupkami po kilku, wreszcie wszyscy podnieśli się, niczym fala przyplywu, niespokojni w swym oczekiwaniu. Scarlett prawie tańczyła, niecierpliwa.

- Dobrze się bawisz? - Rett spojrzał na nią z uśmiechem.

- Wyśmienicie. Który z tych koni należy do stajni Brewtona?

- Podejrzewam, że Miles natarł swoją klacz pastą do butów. To ta z numerem 5, ta bardzo czarna i bardzo błyszcząca. Rzec by można: „czarny koń”. Szóstka należy do Guggenheima. Belmont wywalczył postpozycję. Jego stępak ma numer czwarty.

Scarlett już chciała zapytać, co to jest „stępak” i „postpozycja”, lecz nie było już czasu, zbliżał się moment startu.

Piątka ruszyła zanim jeszcze rozbrzmiał wystrzał startera - z trybun dał się słyszeć głuchy jęk zawodu.

- Co się stało? - spytała Scarlett.

- Falstart. Będą musieli startować po raz drugi - wyjaśnił Rett. Pochylił głowę. - Spójrz na Salomeę.

Scarlett spojrzała. Małpi wyraz twarzy Mrs. Brewton przywodził teraz na myśl małpiszona bardziej niż kiedykolwiek: rysy twarzy zniekształcone namiętnością, dłoń zaciśnięta w kulak, wygrażająca nie wiadomo komu wysoko nad głowę. Rett roześmiał się, nie bez tkliwej serdeczności.

- Gdybym był dżokejem, przeskoczyłbym bandę i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Nasza Salomea gotowa obedrzeć go ze skóry i zrobić sobie z niej dywanik pod kominek.

- Wcale jej nie winię, daje się ponieść nerwom - oznajmiła Scarlett, skromnie ściągając wargi. - I nie widzę w jej zachowaniu nic śmiesznego, Recie Butlerze.

Roześmiał się po raz drugi.

- Czy mam stąd wnosić, że jednak postawiłaś na „Słodką Sally”?

- Oczywiście. Salomea Brewton to moja droga przyjaciółka... a gdybym nawet wszystko straciła... to przecież twoje pieniądze, prawda?

Rett zerknął, zaskoczony. Za to ona uśmiechnęła się szelmowsko.

- Bez dwóch zdań - mruknął. - Dobra robota, madame.

Rozległ się strzał. Ruszyła gonitwa. Scarlett nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że krzyczy, podskakuje uwieszona Rettowi u ramienia. Zresztą sama była ogłuszona krzykami ludzi, którzy zachowywali się tak jak ona. I kiedy „Słodka Sally” wygrała o pół długości, Scarlett wydała gromki ryk triumfu.

- Wygraliśmy! Wygraliśmy! Czy to nie cudownie? Przecież wygraliśmy!

Rett potarł się po ramieniu, w miejscu, gdzie go ścisnęła.

- Chyba do końca życia będę kaleką - skrzywił się. - Ale masz rację, wygraliśmy. To cud, prawdziwy cud. Zwykły bagienny szczur przegonił zwierzęta pełnej krwi, jedne z najlepszych w Ameryce.

Scarlett spojrzała nań, gniewnie zmarszczywszy brwi.

- Rett, chyba nie chcesz mi wmówić, że jesteś zaskoczony... zwłaszcza po tym, co powiedziałeś mi dziś po południu. Brzmiało to tak, jakbyś był dobrze poinformowany.

Uśmiechnął się.

- Pesymizmem pogardzam. Poza tym pragnąłem, aby wszyscy dobrze się bawili.

- Ale czy ty też nie postawiłeś na „Słodką Sally”? Tylko nie mów mi, że miałeś więcej zaufania do koni Jankesów.

- W ogóle nie zawierałem zakładów - napiął stanowczo mięśnie twarzy. - Kiedy ogrody w Dunmore Landing zostaną odchwaszczone i obsiane na nowo, zamierzam tchnąć życie w stajnie. Właśnie sięgałem pamięcią do owych gonitw, gdy konie Butlerów zdobywały puchary, i nasze barwy były znane na całym świecie. Postawię pierwszy zakład dopiero wtedy, gdy będę mógł stawiać na własne konie.

Zwrócił się do matki.

- Co kupisz za swą wygraną, mamó?

- To już ja jedna wiem, ciebie niech nie obchodzą te sprawy - odpowiedziała, żwawo potrząsając głową.

Scarlett, Rett i Rosemary wybuchnęli śmiechem.

Niewielki pożytek duchowy wyniosła Scarlett ze mszy, której wysłuchała dnia następnego u Panny Maryi. Całą uwagę skupiła na własnych myślach, te zaś były nader przyziemne. W czasie wielkiego przyjęcia, które odbyło się po wyścigach w Klubie Dżokejskim, ledwie musnęła wzrokiem Retta.

Wracając z mszy usiłowała wymyślić coś, co byłoby wystarczającym powodem, by wykreść się ze śniadania u ciotek, lecz Paulina nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Musimy omówić z tobą pewną sprawę... pewną ważną sprawę - oświadczyła tonem, który nie wróżył nic dobrego. Scarlett nie pozostawało więc nic innego, niż zebrać się w sobie i przygotować na kazanie o tym, jak oplakane skutki przynieść może przekładanie Middletona Courtneya nad innych tancerzy.

Okazało się jednak, że to nazwisko w ogóle nie padło w rozmowie. Grobowa mina Eulalii i słowa przygany Pauliny spowodowało coś całkiem innego.

- Dowiedziałyśmy się, że już od lat nie piszesz do dziadka Robillarda.

- A niby czemu miałabym do niego pisać? Ten zrzędlawy staruszek w całym swoim życiu nie kiwnął nawet palcem, żeby mi pomóc.

Ciotki zaniemówiły. I bardzo dobrze pomyślała Scarlett, patrząc z triumfalną miną znad filiżanki kawy. Co, jak usłyszeliście parę słów gorzkiej prawdy, mowę wam odjęło? Tak, dziadek Robillard niczego dla mnie nie zrobił, dla was zresztą też. Kto dawał wam pieniądze, żebyście mogły powiązać koniec z końcem, i to wtedy, gdy koło domu już kręcił się komornik? Z pewnością nie wasz czcigodny ojciec, to pewne. Ja wam dałam. Tak jak i ja opłaciłam pogrzeb wuja Careya, tak jak i ja przysyłam wam pieniądze, żebyście miały w co się ubrać i włożyć co do garnka... niech no tylko Paulina otworzy drzwi do spiżarki, zobaczymy, ile tam zgromadziła wszelkiego dobra. Nie gapcie się więc na mnie niczym para żab o wylupiastych oczach, bo nie znajdziecie marnego słowa pod moim adresem.

Okazało się jednak, że Paulina znalazła całe mnóstwo słów, a gdy mówiła, Eulalia dzielnie jej sekundowała. Mówiły: o szacunku dla starszych, o lojalności wobec rodziny, o powinnościach, manierach i szlachetnym pochodzeniu.

Scarlett z trzaskiem odstawiła filiżankę na spodek.

- Ciotko Paulino, nie waż się dłużej mówić do mnie tym tonem. Jestem chora od tego! Dziadek Robillard obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczne liście. Obszedł się ohydnie z moją matką, a mnie potraktował nie lepiej, dlatego nienawidzę go. I guzik mnie obchodzi, czy z tego powodu przyjdzie mi smażyć się w piekle!

Chyba dobrze zrobiła, popuszczając sobie cugle, czuła się lepiej. Zbyt długo pozostawała w karbach etykiety. Za dużo już tych herbatek, zaproszeń na przyjęcia, za dużo wizyt i wizytujących. Zbyt często musiała hamować język - ona, która zawsze mówiła, co myśli. A już stanowczo zbyt wiele godzin poświęciła uprzejmie przysłuchując się przechwałkom charlestońskich wielmożów o tym, jacy to byli ich ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie, i tak dalej, aż do średniowiecza. Poszanowanie dla powinności wobec rodziny to już ostatnie, o czym mogła wspomnieć Paulina.

Ciotki aż skuliły się pod gradem słów Scarlett, a przerażenie na ich twarzach nappełniło ją trującym, choć jakże radosnym poczuciem własnej siły. Zawsze pogardzała słabością, a podczas pobytu w Charlestonie opuściła ją cała energia. Osłabła, czuła, że lada moment zacznie pogardzać sobą. Teraz, na oczach zdumionych ciotek, wyrzuciła z siebie wszystko, co czuła, dała wyraz całej odrazie do samej siebie, z tchórzostwa usiłującej przypodobać się charlestońskiemu światu.

- Co tak siedzicie patrząc na mnie, jakbym była rogata i z widłami w ręku? Wiecie, że mam rację, ale boicie się powiedzieć to samo. Dziadek traktuje wszystkich jak ostatnie pomiotła. Założę się, że nigdy nie odpowiedział na te wasze miodopłynne listy, które mu regularnie wysyłacie. Pewnie w ogóle ich nie czyta. Zresztą ja także nie czytywałam ich od deski do deski, nie musiałam, bo wszystkie były tylko o jednym: pieniądze, więcej pieniędzy, pieniędzy, ile się da.

W tej samej chwili zakryła usta dłonią. Oj, chyba posunęła się za daleko. Złamała trzy zasady południowego bon - tonu, nic to, że niepisane, ale nienaruszalne: po pierwsze, wypowiedziała słowo „pieniądze”, po drugie, wypominała ciotkom miłosierdzie, które im świadczyła, wreszcie po trzecie: uderzyła i tak już powalonego wroga. Toteż gdy podniosła wzrok, kiedy spojrzała na zapłakane ciotki, oczy Scarlett zmętniały wstydem.

Mocno sfatygowana zastawa z chińskiej porcelany i pocerowany obrus były jej wyrzutem. Gdzie się podziała ta twoja wspaniałomyślność? - pomyślała. - Mogłabym wysłać im znacznie więcej, nie odczuwając najmniejszych nawet braków w kasie.

- Przepraszam - szepnęła. Do oczu nabiegły jej łzy.

Minęła chwila, potem dwie. Eulalia otarła oczy i głośno wytarła nos.

- Słyszałam, że Rosemary ma nowego konkurenta - powiedziała przesadnie głośno, choć głos rwał się jej jeszcze od płaczu. - Poznałaś go, Scarlett? Interesujący?

- Z dobrej rodziny? - dorzuciła Paulina.

Scarlett skrzywiła się lekko.

- Miss Eleonora dobrze zna jego rodzinę - rzekła nieco przez nos. - Podobno to jacyś bardzo mili ludzie. W każdym razie Rosemary nie chce mieć z nim nic wspólnego, same wiecie.

Spojrzała na porwane zmarszczkami twarze ciotek z niekłamaną tkliwością i szczerym szacunkiem. One zawsze umiały trzymać fason i miało tak pozostać aż po dzień ich śmierci. Nigdy nie sięgną po metody, których pokaz sama dała przed chwilą. Żaden Południowiec nigdy świadomie nie urazi innego.

Przeciągnęła się lekko, wysunęła podbródek.

- Nazywa się Elliott Marshall - ciągnęła. - W życiu nie widziałyście kogoś równie śmiesznego: chudy jak tyczka, poważny jak puchacz - starała się, by w jej głosie zabrzmiała nuta dobrego humoru. - Ale na odwadze mu nie zbywa. Przecież Rosemary, gdy tylko zechce, może go roznieść na strzępy, niech no tylko ją zirytuje.

Pochyliła się do przodu.

- Czy słyszałyście, że to Jankes?

Paulina i Eulalia westchnęły.

Scarlett gorliwie pokiwała głową, podkreślając niesamowitość nowiny.

- Tak, tak... Jankes z Bostonu - wycodziła słowo po słowie, stosownie do niezwyklej wagi tej rewelacji. - I trudno mi sobie wyobrazić, żebyście uległy jankeskiemu żywiolowi bardziej, niż właśnie w tej konkretnej sytuacji. Poza tym w mieście otworzył biuro wielki dostawca nawozów, który jest menedżerem...

Usadowiła się wygodnie, gotowa na dłuższe posiedzenie.

Dziwiła się, że tak szybko minął jej ranek. Popędziła do hallu i otuliła się w pelerynę.

- Nie powinnam była tak długo siedzieć. Obiecałam Miss Eleonorze, że będę w domu przed obiadem.

Przewróciła oczami.

- Mam nadzieję, że Mr. Marshall nie przyjdzie z wizytą. Ci Jankesi zupełnie nie mają wyczucia, kiedy są mile widziani, a kiedy nie.

W progu pocałowała Paulinę i Eulalię na pożegnanie.

- Dziękuję - powiedziała po prostu.

- Jeśli jest tam ten Jankes, wracaj na obiad do nas - roześmiała się Eulalia.

- Tak, zrób to, co ci mówi siostrzyczka - potwierdziła Paulina. - I jeśli znajdziesz trochę czasu, jedź z nami do Savannah na urodziny ojca. Piętnastego, zaraz po mszy,

wsiadamy do pociągu.

- Dziękuję ci, Paulino, lecz chyba nie znajdę chwili wolnego. Właściwie każdy dzień i każdą noc do końca sezonu mamy już zajęte.

- Ależ moja droga, do tej pory, sezon zdąży się skończyć. Świętej Cecylii mamy w piątek, trzynastego. Myślę zresztą, że to bardzo pechowy dzień, nikt wszakże poza mną zdaje się tym nie przejmować.

Słowa Pauliny dotarły do Scarlett jakoś dziwnie zniekształcone... jak to możliwe, żeby sezon trwał tak krótko. Myślała, że ma przed sobą jeszcze kawał czasu na zabiegi wokół odzyskania Retta, a teraz...

- Zobaczymy - zawołała w pośpiechu. - Na razie muszę już iść.

* * *

Kiedy znalazła Eleonorę samą w domu, poczuła się zaskoczona.

- Julia Ashley zaprosiła Rosemary na obiad - wyjaśniła Mrs. Butler. - Zaś Rett zlitował się nad chłopakiem Cooperów i wypłynęli na rzekę.

- Dzisiaj? Mimo tego zimna?

- No właśnie. I pomyśleć, że miałam nadzieję, iż w tym roku uda się nam uciec przed zimą. Ale już wczoraj na wyścigach czułam, jak ciągnie chłodem. Dął taki zimny wiatr... chyba się trochę przeziębiłam.

Miss Eleonora zupełnie niespodziewanie uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Co powiesz na spokojny obiadek w bibliotece, przy stoliku do gry w karty? Z pewnością urazimy godność Manigo, lecz jeśli masz ochotę, zniosę nawet jego nadąsaną minę. Będzie bardzo przytulnie, pomyśl: tylko my we dwie.

- Znakomity pomysł, Miss Eleonoro, bardzo mi się podoba.

Zupełnie niespodziewanie ten projekt skromnego obiadu przy małym stoliku w przytulnym wnętrzu biblioteki okazał się być tym, czego najbardziej pragnęła. Zawsze było tak miło usiąść po kolacji przy kominku, poczytać, porozmawiać, zdrzemnąć się... Wtedy, zanim zaczął się sezon, zanim Rosemary wróciła do domu... zanim Rett wrócił z plantacji - szepnął gdzieś w głębi ducha jakiś głos. Ten głos wyrażał to, co naprawdę czuła, nie chciała jednak przyznać się do tego sama przed sobą. A przecież życie było o tyle lżejsze, gdy nie musiała stale nasłuchiwać, czy aby nie słychać gdzieś odgłosu jego kroków, gdy nie musiała obserwować jego wyrazu twarzy, gdy nie musiała zgadywać, jakie myśli krążą mu po głowie.

Ciepło kominka było tak rozleniwiające, że mimowolnie ziewnęła.

- Och, przepraszam, Miss Eleonoro - wydukała zawstydzona. - To wcale nie znaczy,

że nudzę się w pani towarzystwie.

- Ale też nie odebrałam tego w ten sposób - uśmiechnęła się Mrs. Butler. - Czyż to nie przyjemne uczucie?

Ziewnęła z lubością i to ziewanie udzieliło się im obu, jakby chwyciła je jakaś epidemia ziewania, pod władzą której pozostawały aż do chwili, gdy chwycił je niepohamowany śmiech. Scarlett już zapomniała, jak świetnie można się bawić w towarzystwie matki Retta.

- Kocham panią, Eleonoro - rzekła nie myśląc długo.

Eleonora Butler ujęła jej dłoń.

- Wielcem rada, drogie dziecko, bo i ja cię kocham.

Westchnęła lekko.

- I to do tego stopnia, że nie będę zadawać ci niepotrzebnych pytań ani wygłaszać zbędnych komentarzy. Mam nadzieję, iż wiesz, co robisz.

Scarlett wzdrygnęła się w duchu, po czym, owładnięta gwałtowną potrzebą stepienia ukrytego w pozornie niewinnych słowach ostrza krytyki, zawołała gniewnie:

- Niczego nie „robię”!

Wyrwała dłoń.

Eleonora jakby nie zauważyła jej złości.

- Jak tam Paulina i Eulalia? - zapytała zrównoważonym tonem. - Nie było ich u mnie, zdałoby się, wieki całe. Karnawał porwał mnie bez reszty.

- Dziękuję, mają się całkiem dobrze. Jak zwykle bardzo zręдлиwe. Chyba już nigdy nie zrozumieją, co to znaczy „odmienność poglądów”. Usiłują mnie nakłonić do odwiedzenia dziadka w Savannah. Piętnastego ma urodziny.

- Wielkie nieba! - zawołała niebotycznie zdumiona Mrs. Butler. - Czy to ma znaczyć, że on jeszcze nie umarł?

Scarlett znowu wybuchnęła śmiechem.

- Też to sobie od razu pomyślałam, ale gdybym zdradziła się z tym przed ciotkami, Paulina obdarłaby mnie ze skóry. Dziadunio ma pewnie ze sto lat.

Eleonora zmarszczyła brwi w zamyśleniu, zaczęła poruszać wargami, mrużąc coś pod nosem, jakby uczyła się na pamięć tabliczki mnożenia.

- Na pewno ponad dziewięćdziesiąt - powiedziała po dłuższym czasie. Kiedy w 1820 ożenił się z twoją babką, był już dobrze pod czterdziestkę. Miałam ciotkę... od dawna nie żyje, biedaczka... która nie mogła wybaczyć mu tego małżeństwa. Zakochana była w nim do szaleństwa, a i on nie pozostawał wobec niej obojętny. Lecz kiedy Solange...

twoja babka... postanowiła zawrócić mu w głowie, biedna Alicja nie miała szans. Byłam w owym czasie dziewczynką zaledwie dziesięcioletnią, lecz wystarczająco dojrzałą, by wiedzieć, o co chodzi. Alicja usiłowała popełnić samobójstwo. Wiele było wrzawy z tego powodu.

W Scarlett obudziła się czujność.

- Co zrobiła?

- Wypiła butelkę środków uspokajających.

Jej życie dosłownie wisiało na włosku.

- Chciała się otruć z powodu dziadka?

- Był jednym z tych mężczyzn, w żyłach których nie krew płynie, lecz ogień. Przystojny, nosił się prosto jak żołnierz. Wymowa, rzecz jasna, jakby przybył z samego Paryża. Kiedy ci mówił „dzień dobry” miałś wrażenie, że słyszysz Don Juana. Kobiety kochały się w nim na zabój. Słyszałam, jak mój ojciec powiedział kiedyś, że kościół hugonotów zawdzięcza nowy dach jedynie Pierre'owi Robillardowi, który co pewien czas przyjeżdżał specjalnie do tego kościoła, bo nabożeństwa odprawiano tam po francusku. Wtedy ściany świątyni pękały w szwach, tyle kobiet ścigało na wieść, że twój dziadek też będzie obecny, a taca pełna była pieniędzy.

Eleonora uśmiechnęła się do własnych wspomnień.

- I pomyśleć, że w zamian ciotka Alicja poślubiła profesora literatury francuskiej z Harvardu. W końcu więc znajomość języka na coś jej się przydała.

Scarlett postanowiła nie dopuścić do tego, by Eleonora zeszła myślami na boczne tory.

- Mniejsza już o Alicję. Proszę mi opowiedzieć coś jeszcze o moim dziadku. I o babce. Kiedyś nawet panią o to pytałam, ale pani jakby przeszła nad tym do porządku dziennego.

Mrs. Butler potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem, jakby tu opisać twoją babkę. Nie znam nikogo, do kogo byłaby podobna.

- Czy była piękna?

- Tak i nie. W tym cała trudność mówienia o niej... ulegała nieustannym przemianom. Była taka... taka francuska. Francuzi zwykli nawet mawiać, że nie jest prawdziwie piękna ta kobieta, która niekiedy nie wydaje się brzydka. To bardzo subtelny naród, bardzo mądry i dla Anglosasów zupełnie nie do zrozumienia.

Scarlett nie mogła zrozumieć, do czego zmierza Miss Eleonora.

- W Tarze mamy jej portret - rzekła z zaciętym wyrazem twarzy. - Wygląda przepięknie.

- Oczywiście, umiała stroić piękne miny, zwłaszcza do portretu. Mogła być piękna, albo brzydka... jak chciała. Była wszystkim, czym zapragnęła się stać. Niekiedy siedziała cicho, jak mysz pod miotłą, tak że już prawie zapomniałaś o jej istnieniu. I wtedy nagle zwracała na ciebie zniewalające spojrzenie swych ciemnych oczu, i wtedy czułaś, że coś ciągnie cię ku niej... coś, czemu nie możesz się oprzeć. Zawsze lgnęły ku niej dzieci, także zwierzęta. Nawet kobiety. Mężczyźni tracili dla niej rozum... Twój dziadek był wojskowym, wojskowym w każdym calu, urodzonym do wydawania rozkazów. Wystarczyło jednak, że twoja babka posłała mu jeden uśmiech i na wieki stał się jej niewolnikiem. Był znacznie od niej starszy, lecz nie przejmowali się tym zupełnie. On był hugonotem, ona katoliczką, ale i to nie robiło im różnicy. Nastawała na prowadzenie domu po katolicku i na katolickie wychowanie dzieci, zaś on godził się na wszystko, choć sam był skrupulatnym w wierze protestantem. Gdyby przyszło jej do głowy zostać druidką, też by się zgodził. Cały jego świat zamykał się w niej... Pamiętam, jak uznała, że całe oświetlenie w domu należy zmienić na różowe, ponieważ zaczęła się starzeć, a w różowym świetle zmarszczki nie rzucają się tak bardzo w oczy. On na to powiedział jej, że żaden żołnierz nie zniesie dłuższego przebywania w pokoju, w którym wszystkie lampy mają różowe umbrelki, bo to zbyt kobiece. A ona mu na to, że ta moc różowego światła w domu sprawi, że będzie szczęśliwa. Stało na tym, że nie tylko lampy rzucały różowy blask, nie tylko ściany pomalowano na różowo, lecz nawet cały dom z zewnątrz został przemalowany na pastelowe róże. Twój dziadek nie zaniedbałby niczego, co mogłoby ją uszczęśliwić.

Westchnęła.

- Szalone to było, zwariowane i romantyczne. Biedny Pierre. Gdy ona umarła, on umarł zaraz po niej, lecz w inny sposób: utrzymuje cały dom dokładnie w tym samym stanie, w jakim znajdował się w momencie jej zgonu. Obawiam się, że było to trudne do wytrzymania dla twojej matki i jej siostr.

Na swoim portrecie Solange Robillard ubrana była w suknię, która tak ściśle opinała jej ciało, jakby niczego pod spodem nie miała. To pewnie dlatego mężczyźni tracili rozum na jej widok, włącznie z tym, który miał zostać jej mężem.

- Nader często przypominasz mi Solange - dodała Eleonora po chwili milczenia. Scarlett nagle wróciła ciekawość.

- Jak to?

- Masz takie same oczy... tak samo, jak u niej, lekko nachylone ku kącikom. I ta sama intensywność koloru, ta sama wibracja barw. W pewien sposób obie sprawiacie na mnie wrażenie, jakbyście żyły pełniej, intensywniej niż inni.

Scarlett uśmiechnęła się. Była bardzo zadowolona.

Eleonora Butler spojrzała na nią czule.

- Teraz chyba się zdrzemnę - westchnęła, myśląc sobie, że bardzo sprytnie poprowadziła tę rozmowę. Nie skłamała, lecz tak manewrowała, by nie powiedzieć za dużo. Oczywiście wcale nie chciała uświadamiać synowej, że jej babka miała kochanków na pęczki i że stoczono o nią niejedną pojedynkę. Nie chciała natchnąć Scarlett pomysłami, które mogłyby zbyt głęboko zapuścić korzenie w jej umyśle.

* * *

Eleonora Butler była do głębi przejęta kłopotami, które nękały syna i synową, a których istnienie nie uszłoby nawet ślepemu. Problemy te należały do rzędu spraw, o które nie mogła wypytywać Retta. Gdyby chciał, aby wiedziała, o co tu chodzi, sam musiałby jej o tym powiedzieć. Z kolei reakcja Scarlett na jej aluzje co do Courtney'a jasno dowodziła, że i ona nie czuje się skłonna do zwierzeń.

Mrs. Butler zamknęła oczy. Chciała znaleźć we śnie chwilę spokoju. Skoro wszystko, co było w jej obowiązku powiedzieć i uczynić, powiedziano i uczyniono, nie pozostawało nic więcej, niż tylko mieć nadzieję na szczęśliwy obrót spraw. Rett był dorosłym mężczyzną, Scarlett była dojrzałą kobietą. Choć, prawdę mówiąc, zachowywali się jak smarkacze.

* * *

Scarlett także usiłowała się odprężyć. Była w pokoju do gry w karty, dłoń trzymała na obudowie teleskopu. Ale chociaż patrzyła, nie mogła wypatrzeć żagłówek Tomasza Coopera. Zamiast do portu, Rett pewnie skierował łódź w górę rzeki.

Zresztą, może nie powinna była wypatrywać za nimi? Kiedy na wyścigach spoglądała przez lorgnon, straciła zaufanie do Anny i rana ta ciągle ją piekła. Po raz pierwszy w życiu poczuła się stara i zmęczona. W końcu co z tego? Anna Hampton była beznadziejnie zadurzona w żonatym mężczyźnie. Czyż ona w jej wieku nie przeżywała podobnych romansów? Żeby przypomnieć choćby owo namiętne uczucie, którym darzyła Ashleya, przez które zrujnowała swe szczęście z Rettem, bowiem kurczowo trzymała się swych marzeń, choć nieraz miała okazję zrozumieć, że to, co uosabiał dla niej Ashley, było jedynie projekcją wyobraźni. Ale nie korzystała z tych okazji. Czy

zatem teraz Anna w ten sam sposób zmarnotrawi swą młodość, śniąc, marząc o Recie? Cóż za pożytek z miłości, skoro jedyne, do czego jest zdolna, to przywozić życie do zguby?

Scarlett przeciągnęła grzbietem dłoni po ustach. Co się ze mną dzieje? Krążę myślami w jednym miejscu niczym kwoka w poszukiwaniu ziarenka pszenicy... Powinnam coś zrobić... pójść na spacer... cokolwiek... byleby tylko pozbyć się tego okropnego uczucia.

Manigo delikatnie zapukał do drzwi.

- Jeśli jest pani w domu, to ktoś pragnie się z panią widzieć.

Na widok Salomei Brewton Scarlett poczuła taki przypływ radości, że omal jej nie wyściskała.

- Usiądź tutaj, kochanie, na tym krześle najbliżej kominka. Prawda, zima nas zaskoczyła? Kazałam Manigo podać herbatę. Szczerze ci mówię: zwycięstwo „Słodkiej Sally” we wczorajszych wyścigach było najbardziej ekscytującym wydarzeniem w moim życiu.

Uczucie ulgi, które nagle ją ogarnęło sprawiło, że paplała bez opamiętania.

Salomea ubawiła ją opowiadaniem o tym, jak to Miles rzucił się na klacz i zaczął ją obcałowywać, dżokeja zresztą także. Mówiła aż do momentu, gdy do pokoju wszedł Manigo, postawił tacę z herbatą na stole przed Scarlett, po czym wyszedł.

- Miss Eleonora ma właśnie godzinę drzemki, ale mogę jej powiedzieć, że jesteś - zaproponowała Scarlett. - Kiedy się obudzi...

- To mnie już tu nie będzie - wtrąciła Salomea. - Dobrze wiem, że popołudniami Eleonora zażywa drzemki, wiem też, że dzisiaj Rett wypłynął z Tomaszem Cooperem, a Rosemary jest na obiedzie u Julii Ashley. Dlatego właśnie wybrałam tę porę na wizytę. Chcę porozmawiać z tobą na osobności.

Scarlett nasypała herbaty do czajniczka. Ciekawe, z czym to przyszła do niej ta Salomea Brewton... że też właśnie ona, nie kto inny. To brzmiało niepokojąco, bo przecież zdało się, że nic nigdy nie jest w stanie wzruszyć tej charlestońskiej amazonki. Zalała herbatę wrzątkiem, nakryła czajniczek przykrywką.

- Scarlett, zaraz dopuszczę się rzeczy niewybaczalnej - powiedziała Salomea z nagłym ożywieniem. - Zamierzam oto mieszać się w twoje życie. A także, co gorsza, choć nieproszona, chcę ci udzielić pewnej rady... Rób sobie, co tam chcesz, romansuj sobie z Middletonem Courtneyem, ile dusza zapagnie, ale na miłość Boską, zachowuj się dyskretnie. To, co robisz, jest przeraźliwie niesmaczne.

Zdumiona Scarlett szeroko otworzyła oczy. Romans?... Tylko upadłe kobiety pozwalają sobie na przygody z mężczyznami. Jak śmie Salomea Brewton obrażać ją tymi słowami? Wyprostowała się w krześle.

- Czuję się w obowiązku powiadomić panią, Mrs. Brewton, że jak pani jestem damą - rzekła z kamienną twarzą, sztywno, tak oficjalnie, jak tylko umiała.

- Dobrze. Wobec tego zachowuj się jak dama. Spotykaj się z Middletonem gdzieś po południu, lecz nie dopuszczaj do tego, by twój mąż, żona Courtney i wszyscy spoglądali na was niczym na psa i sukę, parzących się w tempie walca.

Scarlett pomyślała, że nic jeszcze ją tak nie przeraziło, jak słowa Salomei Brewton. Lecz już następne zdanie dowiodło jej, jak bardzo się myliła w swych sądach przyjaciółka.

- Powinam cię ostrzec, w łóżku marna z niego pociecha. Na sali balowej zachowuje się jak Don Juan, lecz kiedy ściągnie spodnie i zdejmie frak, zachowuje się jak kiep.

To mówiąc, sięgnęła po czajniczek.

- Jeśli zamierzacie ciągnąć to dłużej, uważajcie, bo jesteśmy w stanie wygarbować wam skórę... Zechciej, proszę, nalać mi herbaty.

Spojrzała Scarlett prosto w oczy.

- Jezus Maria - jęknęła, zdumiona swoim odkryciem. - Przecież jesteś niewinna jak niemowlę, prawda? Scarlett, kochanie, bardzo mi przykro. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Tutaj, moja droga. Oto twoja herbata. Już posłodziłam.

Scarlett skuliła się na swoim krześle, plecami mocno przywarła do oparcia. Jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Chciała zatkać sobie uszy. Podziwiała Salomeę Brewton, była dumna, że zdobyła jej przyjaźń, gdy tymczasem okazuje się, iż niczym się nie różni od reszty tej hołoty.

- Biedne dziecko - rozczuliła się Salomea. - Gdybym wiedziała, jak sprawa wygląda, nie napadałabym na ciebie w ten sposób. Skoro jednak stało się to, co się stało, weź pod uwagę wszystko, czego zdążyłaś się nauczyć w przyspieszonym tempie. Jesteś w Charlestonie, Scarlett. Jesteś żoną charlestończyka. Ta twoja niewinność dobrej dzikuski nie może ci tu się przydać jako tarcza ku osłonie przed zatrutymi strzałami. To stare miasto, stara kultura. Istotną cechą człowieka cywilizowanego jest baczenie na wrażliwość innych ludzi. Możesz sobie robić, co dusza zapagnie, lecz pod warunkiem, że będziesz to robić dyskretnie. A już grzechem niewybaczalnym jest zwalanie własnych win na grzbiety przyjaciół. Musisz dbać o to, by inni mogli udawać, że nie mają pojęcia o tym, co wyprawiasz.

Scarlett nie wierzyła własnym uszom. To, w czym teraz brała udział, w niczym nie przypominało maskarady polegającej na udawaniu, że podpisane inicjałami serwetki nie należą do tego, do kogo należą. To... to było niesmaczne. Chociaż trzykrotnie wychodziła za mąż - nie z miłości - do głowy jej nie przyszło dopuszczać się fizycznej zdrady męża z innym mężczyzną. Owszem, mogła wzdychać za Ashleyem, oczyma wyobraźni oglądać siebie w jego objęciach, nigdy jednak nie wymykałaby się chyłkiem z domu by spędzić z nim upojną godzinę w łóżku.

Nie chcę być cywilizowana - pomyślała w rozpacz. - Od dzisiaj nie będę w stanie spojrzeć na kobietę w Charlestonie nie oddając się zgadywaniu, czy to przypadkiem nie ta jest jego nową kochanką, a może była nią już kiedyś.

Po co tu przyjechała? Nie należała do tego świata. Nie chciała należeć do świata ludzi, o których prawila jej Salomea Brewton.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdzie sobie pani do domu - powiedziała. - Nie czuję się najlepiej.

Salomea smętnie pokiwała głową.

- Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, Scarlett. Może pocieszy cię wiadomość, że w Charlestonie mieszka wiele takich niewiniątek, jak ty, nie jesteś więc osamotniona. Niezamężne dziewczyny i panny w różnym wieku nigdy nie mówią o sprawach, o których najchętniej by nie wiedziały. Owszem, mamy tu też wiele wiernych żon. Jesteś nader szczęśliwa, mogąc zaliczać się do ich grona. Co do Milesa... raz czy dwa zszedł z drogi cnoty, ja jednak nigdy nie uległam tej pokusie. Może ty także jesteś z tego rodzaju kobiet.. przez wzgląd na ciebie chciałabym mieć nadzieję, że to prawda. Wybacz mi, Scarlett, ten wielki nietakt, którego się dopuściłam... A teraz już pójdę. Weź się w garść, dopij herbatę... i bądź grzeczniejsza, zwłaszcza gdy jesteś razem z Middletonem.

Dwoma zgrabnymi ruchami założyła rękawiczki - co znaczy wprawa! - po czym zerwała się w stronę drzwi.

- Poczekaj! - krzyknęła Scarlett. - Proszę. - Poczekaj. Muszę wiedzieć... Rett... z kim Rett?...

Małpisonowata twarz Salomei Brewton zmarszczyła się w sympatii.

- Z nikim, kto byłby nam znany - odpowiedziała łagodnie. - Przysięgam! Rett miał dziewiętnaście lat, gdy opuścił Charleston, a chłopcy w tym wieku chadzają do burdelu lub biorą sobie pierwszą lepszą białą dziewczynę. Od czasu, gdy powrócił, z wielką delikatnością, ale też i stanowczo odrzucał wszelkie oferty tego rodzaju, nie raniąc

wszak niczyich uczuć... Zechciej pamiętać, kochanie, że poza wszystkim Charleston nie jest jaskinią rozpusty i nikt nikogo nie zmusza do rui bez końca. Jestem przekonana, że Rett dochowuje ci wierności...

- Zobaczymy. Sama zechcę się o tym przekonać.

* * *

Gdy tylko Salomea wyszła, Scarlett pobiegła na górę do sypialni i zamknęła drzwi od środka. Rzuciła się na łóżko.

Jej ciałem wstrząsnął niekontrolowany płacz. Jej umysł opadły groteskowe wizje... Rett z kobietą... coraz to inną... ciągle inną... inną i inną... Którąś z dam widywanych w dzień na jednym z przyjęć.

Co za idiotka ze mnie, że uwierzyłam, że może być o mnie zazdrosny.

Kiedy już nie była w stanie zebrać myśli, zadzwoniła na Pansy, po czym umyła się i upudrowała. Nie mogła siedzieć, i uśmiechać się, i gaworzyć z Miss Eleonorą, gdy już wstanie z popołudniowej drzemki. Musi gdzieś wyjść, przynajmniej na chwilę.

- Wychodzimy - powiedziała do Pansy. - Podaj mi pelisę.

* * *

Szła prosto przed siebie, milę za milą, nie dbając, czy Pansy zdoła dotrzymać jej kroku. Kiedy mijala smukłe, piękne charlestońskie kamieniczki, nie postrzegala ozdobnych sztukateriami pastelowych fasad z łuszczącą się farbą jako dumnego świadectwa przetrwania; widziała jedynie, że domy nie dbają o to, jak wyglądają w oczach przechodniów, że odwracają się do ludzi plecami, pogrążone w kontemplowaniu ogrodów, ukrytych za wysokimi murami z cegieł. Tajemnice... nie chcą wydać swoich tajemnic - pomyślała. Każdy trzyma swoje sekrety dla siebie. Każdy udaje.

28.

Gdy Scarlett wróciła, było już prawie ciemno, dom był jak wymarły, nie zachęcał, by wejść do środka. Przez zasłony nie przedzierał się nawet najmniejszy błysk światła.

Powoli otworzyła drzwi - ostrożnie, by nie narobić hałasu.

- Powiedz Manigo, że boli mnie głowa i że nie chcę nic na kolację - szepnęła do Pansy, gdy weszły do hallu. - Później przyjdź do sypialni. Pomożesz mi się rozebrać. Natychmiast idę do łóżka.

Manigo powiadomi kuchnię i całą rodzinę. Nie, nie była w stanie zamienić bodaj słowa z kimkolwiek. Po cichutku minęła uchylone drzwi do salonu, skąd sączył się ciepły blask świec i dobiegł donośny głos Rosemary, która właśnie informowała Miss Eleonorę, co myśli Julia Ashley o kimś tam... Scarlett przyspieszyła kroku. Zgasła lampę i szczelnie owinęła się kołdrą. Kiedy już Pansy pomogła jej się rozebrać, natychmiast pospieszyła do łóżka, usiłując ukryć przed samą sobą własną rozpacz i ból. Gdybyż tylko sen przyszedł w porę, dając jej zapomnieć o Salomei Brewton, o wszystkim, co musiała przejść... zapomnieć, uciec... Ciemność wokół niej drwiła spojrzeniem suchych, bezsennych oczu. Nawet do płaczu nie była zdolna. Wszystkie łzy zostały wypłakane w tym nagłym przypiływie żalości, wtedy, gdy Salomea wyłożyła przed nią swe piekielne rewelacje.

Szczęknięta klamka, przez uchylone drzwi do pokoju wdarła się smuga światła. Scarlett obróciła głowę: patrzyła, nic nie widząc, oślepią jasnością.

W progu stał Rett. W uniesionej dłoni trzymał lampę, której drżący płomień rzucał plamy światła na ogorzałą twarz i przesycone solą czarne włosy. Rett miał na sobie ubranie, w którym wyprawił się na żeglugę - mokry materiał przylegał do twardej klatki piersiowej, muskularnych ramion i nóg. Ponury wyraz twarzy zdradzał, z jak wielkim trudem powstrzymuje rozpętane w głębi ducha żywioły, majaczył w widmowatym półcieniu ogromny, zwalisty i groźny.

Serce Scarlett skurczyło się, ściśnięte pierwotnym strachem, lecz podniecone przyspieszyło jej oddech. O tym zawsze śniła: Rett wchodzi do jej sypialni owładnięty namiętnościami, które zerwały tamę jego chłodnej samokontroli.

Z trzaskiem zamknął za sobą drzwi, dużymi krokami podszedł do łóżka.

- Przede mną się nie ukryjesz - powiedział chrapliwym głosem. - Wstawaj.

Jednym ruchem ramienia zmiotł ze stołu zgaszoną lampę. Szkło ze szczękiem rozsypało się po podłodze. Ciężko opuścił płonąca lampę na drewniany blat, a zrobił to z taką siłą, że stół zakołysał się niebezpiecznie. Teraz zerwał z niej pościel, chwycił ją za

ręce, a wyciągnawszy z łóżka postawił na równe nogi.

Ciemne, zmierzwione włosy Scarlett opadły jej na kark, rozsypały się na ramionach, oplotły ręce Retta. Koronki, którymi obszty był karczek jej koszuli nocnej drżały potrząsane uderzeniami serca. Krew uderzyła jej do głowy, zabarwiła policzki na czerwono, podkreślając zieleń jej oczu, których spojrzenie z niepokojem i wyczekiwaniem śledziło każde drgnięcie mięśni jego twarzy. Rett cisnął ją z powrotem na łóżko, tak że zawadziwszy o rzeźbione wezglowie uderzyła się boleśnie, po czym odstąpił kilka kroków i spojrzał na nią z mściwością w oczach.

- Bierz cię diabli za tę twoją wścibską głupotę! - odezwał się grubiańsko. - Powinienem był cię zabić już w chwili, gdy postawiłaś stopę w Charlestonie.

Scarlett ścisnęła dłonią wezglowie, by powstrzymać się od upadku. Podskórnie czuła, że coś jej grozi... co się stało, że Rett do tego stopnia stracił panowanie nad sobą?

- Nie odgrywaj przede mną przerażonej dziewicy, Scarlett. Znam cię, i to nie najgorzej. Nie zamierzam cię zabić, ani nawet nie złoję ci skóry, choć Bóg mi świadkiem, zasłużyłaś na jedno i na drugie.

Wykrzywił drwiące usta.

- Powiedz mi, jak ty to robisz, kochanie. Wzburzone piersi, źrenice rozszerzone niewinnym zdumieniem. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że prawdopodobnie naprawdę jesteś niewinna, przynajmniej wedle własnej definicji tego pojęcia, dość spaczonej, jak sądzę. Nie wspomnę tu o bólu wyrządzonym niewinnej kobiecie, której męża omotałaś we własne sieci... nawiasem mówiąc, cóż to za tępak.

Usta Scarlett mimowolnie złożyły się do triumfującego uśmiechu: Rett był zazdrosny o jej podboje! Tak, wreszcie dopięła swego - doprowadziła go do stanu, w którym musiał wyznać swą zazdrość. Teraz jeszcze trzeba, aby przyznał, że ją kocha... już ona mu to ułatwi.

- Nie kiwnąłbym nawet palcem, gdybyś robiła idiotkę z samej siebie - ciągnął Rett. - W rzeczy samej to dość zabawne patrzeć na kobietę średniego wieku, jak zachowuje się niczym dziewczyna na wydaniu, przekonana w dodatku, że ma wszelkie ku temu powody. Tak, droga Scarlett, nie dane ci było wyrosnąć z umysłowości szesnastoletniego podlotka, toteż twoją ambicją jest pozostać na zawsze powiatową pięknnością... Ale dzisiaj przestało mnie to bawić! - krzyknął niespodziewanie.

Scarlett aż podskoczyła, omal nie ogłuszona. Rett zacisnął pięści, usiłując opanować miotające nim furie.

- Kiedy dziś rano wyszedłem z domu - odezwał się po chwili, tym razem zupełnie

spokojnie - zaczepił mnie jeden z mych starych przyjaciół, dość bliski kuzyn, i zaofiarował się służyć mi za sekundanta, gdy wyzwę na pojedynek Middletona Courtneya, w co wcale nie wątpi. Bo niezależnie od tego, jak się rzeczy mają, dobre imię domaga się, by je bronić. A już przynajmniej dobre imię rodziny.

Białe ząbki Scarlett wgrzyły się w jej dolną wargę.

- I co mu odpowiedziałeś?

- To samo, co za chwilę usłyszysz - westchnął ponuro. - Pojedynek niekoniecznie musi się wydać towarzystwu jedynym możliwym rozwiązaniem, a dostarczając powodów do wielu nieporozumień nie zawsze stanowi idealne wyjście. Dlatego raczej pouczę tę kobietę, co do tego, jakie są wobec niej oczekiwania.

Jego ramię wzniosło się z błyskawiczną szybkością, niczym atakujący wąż, jego dłoń zacisnęła się wokół jej nadgarstka.

- Lekcja pierwsza - syknął, po czym nagłym szarpnięciem przycisnął ją do piersi, wykręcił jej rękę i założył na plecy. Jego usta były tuż obok jej ust, jego oczy spoglądały wprost w jej oczy.

- Nie dbam, że cały świat okrzyknie mnie rogaczem, moja ty droga żoneczko, ale z pewnością nikt mnie nie zmusi, bym wyzwał na pojedynek Middletona - czuła na sobie jego ciepły, słony oddech, czuła nosem, czuła na wargach.

- Lekcja druga: jeśli zabiję tego osła, będę musiał opuścić miasto, w przeciwnym bowiem razie powieszą mnie, co jak łatwo sobie wyobrażasz, byłoby dla mnie dość kłopotliwe, zwłaszcza że nie mam zamiaru robić z siebie tarczy strzelniczej. Zresztą Middleton może mnie przypadkowo postrzelić i ranić, co znowu nie należy do przyjemności.

Scarlett uderzyła go wolną ręką, lecz on bez problemu założył jej „syfon”, tak że już obie ręce miała unieruchomione. W jego ramionach była jak w więzieniu, wystawiona naprzeciw niego. Choć miała na sobie koszulę nocną, czuła jego wilgotne ciało.

- Trzecia lekcja - wysapał Rett. - Poczytywałbym sobie jako szczególną złośliwość losu... a pewnie nawet dureń w rodzaju Courtneya nie odmówi mi racji... gdybym ryzykował własnym życiem dla ocalenia twej kłamiwej duszyczki przed popadnięciem w niełaskę. Stąd zatem płynie dla nas czwarta nauka: w miejscach publicznych aż do końca sezonu będziesz zachowywać się ściśle według moich instrukcji. Nie, nie, tylko nie cierpiętnica ze spuszczoną w pokucie głową. To nie twój styl. W ten sposób tylko rozdmuchalibyśmy plotki. Nadal będziesz dumnie nosiła swą wyfiokowaną główkę i dalej będziesz się uganiała w poszukiwaniu straconej młodości. Chodzi jednak o to,

żebyś bardziej równomiernie rozłożyła swe zainteresowanie wśród omamionych twymi wdziękami mężczyzn. Chętnie ci doradzę, któremu z dżentelmenów możesz okazać szczególne względy. A nawet, szczerze mówiąc, będę nalegał, byś wysłuchała mej rady.

Zwolnił chwyt, puścił jej nadgarstki, odepchnął ją.

- Lekcja piąta: zrobisz dokładnie to, co ci każę.

Mokra od potu jedwabna koszula nocna Scarlett, nie ogrzewana ciepłem ciała Retta, była teraz niczym okład z lodu, ściśle przylegający do piersi i brzucha. Skrzyżowała ramiona, jakby chcąc zatrzymać uciekające ciepło, lecz daremnie: jej umysł był niczym sople lodu, tak jak jej ciało, zaś to, co przed chwilą usłyszała, dzwoniło gdzieś w głębi niej, niczym małe lodowate paciorki. Nie obchodzi go... wyśmiał ją... interesowała go tylko własna wyгода.

Jak śmie? Jak śmie publicznie z niej szydzić? Ponizac ją wobec rodziny i pomiatac nią w jej własnym pokoju niczym workiem mąki? „Charlestoński dżentelmen” to kłamstwo, tak samo jak „charlestońska dama”. Ludzie bez twarzy, kłamcy, obłudnicy...

Scarlett chciała rzucić się na niego z pięściami, lecz on ciągle trzymał ją za ręce, tak że kulaki bezsilnie opadły na twardą jak ze stali klatkę piersiową i zwiotczały.

Wykręciła ręce, uwolniła się, Rett wyciągnął dłonie, jej ciosy zatrzymały się jakby utkwily w wacie, z jego piersi popłynął niski, stłumiony rechot.

Podniosła ręce... ale tylko by odgarnac z twarzy kosmyki włosów.

- Nie trać sił na śmiech, Recie Butlerze. Nie potrzeba mi twoich rad, nawet nie będę mogła zignorować twych pouczeń, ponieważ znienawidziwszy to czcigodne miasto, wzgardziwszy wszystkimi jego szanowanymi mieszkańcami z tobą na czele, wyjeżdżam stąd, i to jutro.

Spojrzała mu prosto w twarz, z rękoma na biodrach, głową zadartą wysoko, wysuniętym podbródkiem. Jej ciało, oblepione wilgotnym jedwabiem, wyraźnie drżało.

Rett spojrzał przed siebie.

- Nie, Scarlett - powiedział krótko. - Nie, nie odjedziesz. Ucieczka oznaczałaby w tym przypadku przyznanie się do winy, a w takim razie musiałbym zabić Courtneya. Wpędziłaś mnie w sytuację, gdy muszę żądać od ciebie, byś pozostała w Charlestonie do końca sezonu. I zostaniesz. Jeśli zaś o mnie chodzi, uczynię wszystko tak, jak ci o tym mówiłem, a ty mnie posłuchasz i będziesz postępować według moich wskazówek. W przeciwnym razie, przysięgam ci przed Bogiem, zmiażdżę ci kości, powoli, jedną po drugiej.

Odwrócił się, podszedł do drzwi. Z dłonią na klamce spojrzał przez ramię i

uśmiechnął się drwiąco.

- I niech ci do głowy nie przyjdzie przechytryć mnie, ździebelko. Uważnie śledzę każdy twój ruch.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła Scarlett, lecz drzwi już się zamknęły. Gdy usłyszała trzask klucza w zamku, rzuciła w drzwi zegarem z kominka, potem pogrzebaczem.

Za późno pomyślała o wyjściu na balkon oraz o drzwiach prowadzących do innych sypialni. Kiedy podbiegła i zaczęła szarpać za klamki, okazało się, że one też już są zamknięte. Od zewnątrz. Wróciła do pokoju, szybkimi krokami przemierzała sypialnię wszerz i wzdłuż, aż do chwili, gdy opadła z sił. W końcu bezwładnie rzuciła się na krzesło. Siedziała tak, stukając dłońmi w oparcie dopóty, dopóki nie poczuła bólu.

- I tak wyjadę - zawołała. - Nie ma sposobu, by mnie tu zatrzymać.

Lecz wysokie, grube drzwi milcząco zadawały kłam jej słowom.

Nie chodzi tu o to, by pokonać Retta w walce - pomyślała. - Trzeba go jakoś przechytryć. Musiał być jakiś sposób, żeby wystawić go do wiatru - musiała tylko zgadnąć, jaki. Nie ma sensu taskać wszystkich waliz, wystarczy, jeśli będzie mogła wyjechać z tym, co ma na grzbiecie, z niczym więcej. Tak właśnie uczyni. Wyjdzie z domu gdzieś na herbatkę, może partyjkę wista, a w połowie drogi zawoła na dorożkę, wsiądzie i każe wieźć się na dworzec. Ma dość pieniędzy, by opłacić bilet... bilet dokąd?

Jak zawsze w chwilach przygnębienia, tak i teraz opadły ją myśli o Tarze. Tam miała spokój, niewyczerpane źródło nowych sił...

...i Zuelę. Niechby tylko Tara należała do niej, mogłaby uznać, że posiada wszystko. Znowu pogrążyła się w marzeniach na jawie - tych samych, które snuła będąc u Julii Ashley. Jak Karina mogła w ten sposób pozbyć się swojej części dziedzictwa?

Scarlett podrzuciła głowę niczym ptak, który nabrał do dzióbka kilka kropelek wody. Jaki pożytek miał klasztor z jednej trzeciej dziedzictwa Tary? Przecież zakon nie mógł tego sprzedać, nawet gdyby znalazł sobie kupca, bowiem ani Will, ani ona nigdy nie wyrażą na to zgody. Może jakieś zyski z trzeciej części zbiorów bawełny... ale ile tego było? W najlepszym wypadku trzydzieści - czterdzieści dolarów rocznie. Hm... usłyszawszy, że mogą się tego pozbyć, siostrzyczki powinny skakać z radości.

Dobrze, skoro Rett chciał, żeby została, proszę bardzo! Zostanie, ale tylko pod warunkiem, że pomoże jej odzyskać trzecią część Tary - tę, która należała do Kariny. A wtedy, mając w ręku dwie trzecie, zaproponuje Willowi i Zueli, że ich spłaci. Jeśli Will odrzuci ofertę, przegna ich.

Sumienie chciało postawić tamę strumieniowi jej myśli, lecz Scarlett pokonała

przeszkodę. Cóż z tego, że Will bardzo kochał Tarę? Ona kochała bardziej. Poza tym Tara była jej potrzebna. Było to jedyne miejsce, za które czuła się odpowiedzialna, jedyne miejsce, gdzie kiedyś, przed laty, czuła, że ktoś troszczy się o nią. Will to zrozumie. Na pewno zrozumie, że Tara to jedyna nadzieja, jaka jej pozostała.

Podbiegła do dzwonka, pociągnęła za sznur. Przybiegła Pansy, pchnęła drzwi, a kiedy zauważyła, że są zamknięte od zewnątrz, przekręciła klucz i otworzyła.

- Powiedz panu Butlerowi, że chcę się z nim widzieć. Tu, w moim pokoju. I przynieś kolację. Po tym wszystkim zgłodniałam.

Zmieniła koszulę nocną na ciepły aksamitny szlafrok, po czym rozczesała włosy i związała je z tyłu aksamitną kokardą. Spojrzała w lustro: jej pociemniałe oczy natrafiły na własne odbicie. Przegrała. Nie odzyskała Retta.

Nie tak to miało wyglądać.

Za dużo tego - za szybko to wszystko - cały jej świat zawalił się w ciągu tych paru godzin. Ciągle jeszcze była obezwładniona tym, co usłyszała od Salomei Brewton. Po tym, co jej powiedziano, nie może pozostać w Charlestonie ani chwili dłużej. Byłoby to tak, jak z budową domu na piasku.

Przycisnęła dłonie do skroni, jakby chcąc powstrzymać natłok splątanych myśli. Nie mogła rozeznąć się w tym wszystkim, co w jednej chwili zważyło się jej na głowę. Musiała skupić uwagę na jakiejś jednej sprawie. Trzeba by znaleźć coś, na czym można się skoncentrować. Jeśli dotychczas w życiu odnosiła same sukcesy, to tylko dlatego, że umiała skierować wszystkie swe myśli na jeden przedmiot.

Tara...

Tak. Tara może być właśnie tym, czego szukała. Gdy odzyska kontrolę nad Tarą, zajmie się wszystkim innym...

- Kolacja, Miss Scarlett.

- Postaw tacę na stole i zostaw mnie samą. Gdy zjem, zadzwonię.

- Tak, psze pani. Mr. Butler... on mówi, że przyjdzie, gdy skończy jeść...

- Zostaw mnie samą.

* * *

Nic nie można było odczytać z kamiennej twarzy Retta. Tylko oczy lśniły mu wojowniczo.

- Chciałaś mnie widzieć?

- Tak. Bez obaw, nie szukam okazji do zaczepki. Mam dla ciebie interes.

Twarz nadal pozostawała bez wyrazu. Nie odezwał się ani słowem.

Scarlett postarała się, by głos jej brzmiał chłodno i rzeczowo.

- Oboje wiemy, że możesz zmusić mnie do pozostania w Charlestonie, do chodzenia na wszystkie te bale i przyjęcia. Oboje też wiemy, że możesz mnie zmusić do mówienia i postępowania w taki sposób, jaki wyda ci się stosowny. Proponuję ci zatem, że zostanę i będę się zachowywać tak, jak sobie tego życzysz, ale pod jednym warunkiem, że pomożesz mi zdobyć coś, czego bardzo pragnę, co nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z Charlestonem.

Rett usiadł, wyjął z kieszonki krótkie cygaro, uciął, zapalił.

- Słucham.

Wyjawiała mu swój plan, z każdym słowem coraz bardziej przekonana do tego, co mówiła, a mówiła o tym, jak kiedyś, bardzo dawno temu Rett dał jej pożyczkę na zakup pierwszego tartaku, jak zawsze interesował się jej sprawami, a w rzeczy samej był jedyną osobą, która nie uważała, że nie przystoi damie trudnić się robieniem pieniędzy. Gdy skończyła, z niecierpliwością czekała na to, co powie.

- Podziwiam twe stalowe nerwy, Scarlett - mruknął, zapatrzony w koniuszek cygara.

- Nigdy nie wątpiłem, że jesteś w stanie oprzeć się generałowi Shermanowi i całej jego armii, lecz próba przechytrzenia Matki Naszej Świętego Kościoła Rzymskiego może okazać się czymś nie na twoje zęby. Tego kąska możesz nie przeżuć.

Śmiał się z niej w żywe oczy, lecz był to śmiech przyjazny, nawet z nutką podziwu, jakby i on popłynął myślami w te dawne dni, gdy jeszcze byli przyjaciółmi.

- Nie zamierzam nikogo przechytrzyć. Chcę dobić targu, uczciwie, to wszystko.

Rett wykrzywił usta w uśmiechu.

- Ty i uczciwość w interesach? Scarlett, rozczarowałaś mnie. Tracisz zmysły?

- Mówię szczerze! Nie wiem, skąd u ciebie ta perfidia. Wiesz dobrze, że nie bogaciłabym się kosztem Kościoła.

Oburzenie Scarlett przyprawiło Retta o jeszcze większą wesołość.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wykrztusił, trzymając się za brzuch. - Powiedz mi, Scarlett, to dlatego pędziłaś co niedziela na mszę, zwlekając się z łóżka skoro świt? Już tyle czasu dojrzewa ten plan w twojej główce?

- Nie wiem. Sama nie mogę pojąć, dlaczego trwało to tak długo...

W tej samej chwili zakryła usta dłonią. Skąd Rett o tym wiedział? Zawsze miał ten szczególny dar zaskakiwania jej w ten sposób, że mówił o niej więcej, niż sama o sobie wiedziała. Opuściła rękę, spojrzała nań chmurnie.

- Dobrze, to jak z nami będzie? Pomożesz mi, czy nie?

- Chętnie, ale nie wiem jak. A jeśli Matka Przełożona odprawi cię z kwitkiem... czy wtedy zostaniesz w Charlestonie do końca sezonu?

- Przecież powiedziałam, że tak, czy to nie dosyć? Poza tym nie istnieją powody, dla których miałyby mnie odprawić z pustymi rękami. Zamierzam zaproponować jej więcej, niż Will jej przysłał. Poza tym możesz użyć swoich wpływów. Znasz wszystkich, jesteś w stanie załatwić wszystko.

Rett uśmiechnął się.

- Jakaż niezłomną wiarę w moje możliwości posiadasz, kochanie. To prawda, w promieniu tysiąca mil znam wszystkich skorumpowanych polityków i nieuczciwych handlarzy, ale nie mam żadnego wpływu na poczciwe dusze, których pewna ilość tuła się jeszcze po tym świecie. W tym przypadku mogę ci służyć tylko dobrą radą: kiedy już staniesz przed Matką Przełożoną, niech ci nie przyjdzie do głowy mydlić jej oczu. Powiedz jej całą prawdę, tak jak potrafisz, zgódź się na wszystko, co ci zaproponuje. I nie próbuj się targować.

- Ależ fujara z ciebie, Recie Butlerze. Tylko głupiec płaci, nie zapytawszy wprzód o cenę. A poza tym zakonowi pieniądze nie są teraz potrzebne: siostrzyczki mieszkają w wielkim domu, pracują za darmo, na ołtarzu wielkie złote lichtarze i ogromny krucyfiks, też ze złota. Sama widziałam w kaplicy.

- Choćbym mówił językami ludzi i aniołów... - mruknął Rett, zanosząc się śmiechem.

- O czym ty do licha mówisz?

- Tylko cytuję.

Siłą przyoblekł twarz w powagę, lecz nawet wtedy w jego czarnych oczach pełgały ogniki rozbawienia.

- Życzę ci tyle szczęścia, ile tylko zdołasz zagarnąć rękami - powiedział z namaszczeniem. - Niech ci to starczy za moje błogosławieństwo.

Wyszedł z pokoju do końca nie tracąc zimnej krwi, zaledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, ryknął śmiechem co sił w płucach. Scarlett dotrzyma obietnicy - zawsze dotrzymywała danego słowa. Z jej pomocą jakoś zatuszuje ten skandal. A wtedy - już tylko dwa tygodnie - sezon dobiegnie końca i będzie mógł się jej pozbyć. Razem z nią pozbędzie się tego nieznośnego napięcia, które wniosła do jego życia - do jego nowego życia, z takim trudem wznoszonego od podstaw w powojennym Charlestonie. Wtedy - jeszcze tylko dwa tygodnie - będzie mógł wrócić na plantację. Tyle miał tam do roboty! Oblężenie klasztoru, które planowała Scarlett, a potem końcowy szturm na Matkę

Przełożoną zdążą rozerwać go nieco, zanim odzyska swobodę we własnym życiu - należącym już niepodzielnie do niego.

Zaś co do planów Scarlett - zamyślił się Rett. Stawiałbym raczej na Święty Kościół Rzymski, który swą strategię wypracowuje na eony nie tygodnie. Lecz nie postawiłbym zbyt wiele. Zresztą, gdy Scarlett dostanie twarde orzech do zgryzienia, pięknie wygląda, męcząc się, zanim go napocznie. Roześmiał się i dużo czasu minęło, zanim przestał się śmiać.

* * *

Jak Rett się spodziewał, stosunki Scarlett z Matką Przełożoną wcale nie ułożyły się prosto.

- Nie powiedziała „tak” i nie powiedziała „nie”, i nawet nie słuchała uważnie, gdy usiłowałam jej wyjaśnić korzyści płynące z tej transakcji - utyskiwała Scarlett tuż po powrocie z pierwszej wizyty w klasztorze. Podobnie było z drugą, trzecią i piątą. Była zawiedziona i rozczarowana. Rett słuchał jej uprzejmie, cierpliwie i uważnie, podczas gdy ona, bliska białej gorączki, tylko wywoływała w nim skrytą wesołość. Wiedział jednak, że w całym Charlestonie on jeden był osobą, z którą mogła porozmawiać.

W dodatku z każdym dniem, gdy Scarlett zwiększała siłę natarcia na niczym nie wzruszoną twierdzę Matki Naszej Świętego Kościoła Rzymskiego, Rett miał coraz to nowe powody do radości. Doszło już nawet do tego, że Scarlett zaczęła chodzić na mszę co rano, ufna iż sława jej pobożności dotrze i za klasztorne mury. Później zaczęła odwiedzać Karinę tak często, że zdążyła poznać imiona wszystkich sióstr i prawie połowy jej uczennic. Ale gdy po tygodniu tych starań odpowiedzi Matki Przełożonej pozostały niezmiennie dyplomatyczne, Scarlett wpadła w taką rozpacz, że poprosiła Paulinę i Eulalię, by mogła im towarzyszyć w wizytach, które składały swym starszym przyjaciółkom, katolickim damom w trudnych warunkach życiowych.

- Rett, od tego ciągłego przesuwania chyba w końcu zedrze mi się różaniec - poskarżyła się gniewnie. - Jak ta obrzydliwa starucha może być do tego stopnia podła?

- Może to dla zbawienia twojej duszy? - zasugerował Rett.

- Terefere, akurat! Moja dusza ma się całkiem dobrze, Bóg zapłać za troskę. Złośliwa baba, chyba wyczuła, że na sam zapach kadzidła tracę język w gębie, stąd te wszystkie kościelne sztuczki. W dodatku nie wysypiam się i wyglądam jak czarownica. Mam już po dziurki w nosie przyjęć i balów. Czy to naprawdę konieczne, ucztować i tańczyć noc w noc?

- Nonsens. Cienie pod oczami nadają ci uduchowiony wygląd. Matka Przełożona na

pewno jest pod głębokim wrażeniem tego, co widzi.

- Och, Rett, straszne rzeczy mówisz. Muszę się upudrować i to zaraz.

Istotnie, brak snu zaczął odciskać się piętnem na twarzy Scarlett, a zawiedzione nadzieje żłobiły jej między brwiami małe podłużne bruzdy. Cały stary Charleston rozprawiał o gorliwości w wierze Mrs. Butler, która nagle stała się całkiem inną osobą. Na balach wprawdzie nadal bywała, miła, lecz jakby nieobecna duchem. Przystojnych kusicieli unikała. I już nie przyjmowała zaproszeń na partyjki wista, i już nie odwiedzała pań, w domach których w dniach przyjęć była stałym gościem.

- Pochwalam gorąco oddawanie co boskiego Bogu - powiedziała pewnego dnia Salomea Brewton. - W Wielkim Poście zwykłam nawet rezygnować z przyjemności, które naprawdę lubię. Ale sądzę, że Scarlett posuwa się za daleko. To już ekstrawagancja!

Emma Anson nie mogła się zgodzić z tym sądem.

- To, co robi teraz Mrs. Butler, usposabia mnie do niej znacznie przychylniej niż jej poprzednie hobby. Wiesz, Salomeo, co sobie myślałam o poręczeniu, którego jej udzieliłaś: czyste szaleństwo! Scarlett Butler była niedokształconą, próżną amatorką. Lecz teraz gotowa jestem zjeść tamte słowa. Jest coś godnego podziwu w kobiecie, która pała szczerymi uczuciami religijnymi. Nawet jeśli to papistka.

* * *

Środowy poranek w drugim tygodniu od dnia klęski Scarlett był ponury, dżdżysty i zimny.

- Nie pójdę do klasztoru na piechotę w taką ulewę - jęknęła. - Przecież zrujnuję jedyną parę butów.

Tęsknie pomyślała o dawnym woźnicy Butlerów - Ezechielu - który, gdy noc była deszczowa i musieli pójść na bal dwakroć pojawił się niczym diabeł z butelki i odwiózł ich pod sam próg sali balowej. Wszystkie te charlestońskie pretensje są głupie i niesmaczne, a w taki dzień odłożyłabym je na bok, po czym wsiadła do miłego suchego, ciepłego powozu. Ale nie mogę. I muszę iść na piechotę. Co też się stanie.

- Matka Przełożona wyjechała dzisiaj z samego rana do Georgii na spotkanie w tamtejszym nowicjacie - poinformowała odźwierna. Nikt nie miał pojęcia, jak długo trwać będzie to spotkanie. Może dzień, może kilka dni, może tydzień, a nawet dłużej.

Nie mam tyle czasu, nie mam ani tygodnia, ani może dłużej! - krzyknęła Scarlett w głębi ducha. Nie mogę sobie pozwolić na stratę choćby jednego dnia.

W strugach deszczu dobrnęła z powrotem do domu.

- Wyrzuć te cholerne buty! - poleciała Pansy. - I daj mi coś suchego do ubrania.

Pansy była jeszcze bardziej przemoknięta. Ostentacyjnie pokaszując, ledwo powłócząc nogami przystąpiła do wykonywania rozkazów pani. Trzeba mi bicza na tę dziewczuchę - westchnęła w duchu Scarlett. Ale bardziej była zawiedziona niż gniewna.

Deszcz przestał padać dopiero po południu. Miss Eleonora i Rosemary postanowiły wybrać się na Królewską po zakupy. Scarlett nawet i na to nie miała ochoty. Siedziała zamknięta w pokoju, zatopiona we własnych myślach, tak że gdy w końcu podniosła głowę i potoczyła dokoła oczami, zdało się jej, że ściany zataczają wokół coraz ciaśniejszy krąg. Wtedy zeszła na dół do biblioteczki. Może spotka tam Retta i usłyszy coś miłego... z nikim nie mogła dzielić swego rozczarowania, ponieważ nikomu innemu nie powiedziała, do czego zmierza.

- Jak tam z reformacją w Kościele katolickim? - spytał, unosząc do góry brew.

Scarlett gniewnie wygarnęła ostatnie nowiny z pola walki z Matką Przełożoną. Rett, obcinając i zapalając cygaro, wzdychał ze współczuciem.

- Wychodzę na werandę - powiedział, gdy ku własnemu zadowoleniu zdołał wreszcie rozprawić się z cygarem. - Tobie też nie zaszkodzi trochę świeżego powietrza. Z deszczem nadeszło lato, znowu zrobiło się ciepło, a wiatr wieje w stronę morza.

Po półmroku jadalni, blask słońca był oślepiający. Scarlett przesłoniła dłonią oczy, wciągając głęboko w płuca duszący zapach świeżej zieleni ogrodu, słoną bryzę nad morza i cierpką męskość cygarowego dymu. Nagle odczuła obecność Retta jako nad wyraz dojmującą. Była tak realna, tak zagęszczona, że aż nieprzyjemna - odeszła kilka kroków w bok. Gdy się odezwał, jego głos dopływał jakby z bezmiernej dali.

- Wydaje mi się, że ten nowicjat znajduje się w Savannah. Po świętej Cecylii możesz się tam wybrać na urodziny dziadka, w końcu ciotki dość zrzędziły ci nad uchem, żebyś nie miała ich usłuchać. Jeśli to jakieś ważne spotkanie, będzie tam także biskup. Może z nim powiesz ci się lepiej.

Scarlett usiłowała przemyśleć tę propozycję, nie mogła jednak skupić uwagi, gdy czuła tak blisko jego obecność. Dziwne: jeszcze niedawno razem było im tak dobrze, a teraz tacy są sobie dalecy. Rett oparł się o jedną z kolumn. Z widoczną przyjemnością wciągnął dym.

- Zobaczymy - powiedziała. Spiesznym krokiem weszła do jadalni, zanim jeszcze w oczach błysnęły jej łzy.

Co się ze mną dzieje? - myślała, czując łzy płynące jej po policzkach. Zamieniam się w płacziwe dziewczętko bez kręgosłupa - dokładnie w ten typ kobiety, który jeszcze

niedawno miałam w głębokiej pogardzie. A co, jeśli będę musiała poczekać nieco dłużej, zanim dostanę to, co chcę? Pragnę Tary... chcę mieć Retta... chcę mieć i jedno, i drugie, choćbym miała krzątać się koło tego nawet i sto lat.

29.

- Długo już żyję, ale jeszcze nigdy nie dałam się tak zirytować - powiedziała Eleonora Butler. Gdy unosiła do ust filiżankę z herbatą, widać było, jak drżą jej ręce. Na podłodze u jej stóp leżał pomięty skrawek papieru. Telegram doręczono, gdy Mrs. Butler i Rosemary były na zakupach: kuzyn Townsend Ellinton z małżonką przybywają z Filadelfii z wizytą.

- I zawiadamiają o tym dwa dni przed przyjazdem! - Eleonora dramatycznie załamała ręce. - Czy uwierzycie: dwa dni! Można by pomyśleć, że w Filadelfii w ogóle nie słyszano o Wojnie.

- Przecież wezmą apartament w hotelu - wtrącił pojednawczym tonem Rett. - A my zabierzemy ich na bal. Nie będzie aż tak strasznie, jak to przedstawiasz.

- Będzie okropnie - stwierdziła Rosemary. - Nie widzę najmniejszego powodu, żebyśmy się krygowali przed tymi Jankesami.

- Ale to rodzina - surowo upomniała ją matka. - Dlatego będziesz nadzwyczaj uprzejma. Poza tym kuzyn Townsend nie jest Jankesem. Walczył z generałem Lee.

Rosemary zmarszczyła brwi i umilkła.

Miss Eleonora roześmiała się.

- Muszę położyć kres tym narzekaniom - westchnęła. - Bo ostatecznie, na dłuższą metę warto będzie się trochę pomęczyć, byleby tylko ujrzeć ten widok, gdy kuzyn Townsend spotyka Henryka Wragga. Jeden z zezem zbieżnym, drugi z rozbieżnym. Jak myślicie, czy podając sobie ręce trafią za pierwszym razem?

* * *

Ellintonowie nie są znowu aż tacy okropni - myślała sobie Scarlett. - Nawet jeśli weźmie się pod uwagę tę przykrą okoliczność, że gdy mówisz do kuzyna Townsenda nie możesz zgadnąć, w którą stronę masz patrzeć. Jego żona Hannah wcale nie była skończoną pięknoscią, jak usiłowała przedstawić ją Eleonora, ale to w końcu miłe. Niemniej jej wyszywana perłami brokatowa suknia w kolorze rubinu i diamentowa kolia sprawiły, że Scarlett poczuła się jak ostatni obdartus w swej podniszczonej sukni z bordowego aksamitu i nieśmiertelnych kameliach. Dzięki Bogu to już ostatni bal. Sezon dobiega końca.

Kiedyś okrzyknęłabym kłamcą każdego, kto by mi powiedział, że mogę się zmęczyć tańcem, ale wytańcowałam się więcej niż dosyć. Och, gdybyż tylko załatwić tę sprawę z Tarą! Owszem, myślała, żeby pójść za radą Retta, pojechać do Savannah. Ale sama

myśl o tym, że trzeba będzie dzień po dniu spędzać w towarzystwie ciotek napawała ją przerażeniem i trudno jej było się z tym pogodzić. Nie, raczej poczeka aż Matka Przełożona wróci do Charlestonu. Rosemary wybiera się z wizytą do Julii Ashley, tak więc i ten cierń będzie wyjęty z jej ciała. A towarzystwo Miss Eleonory zawsze lubiła.

Rett wyjeżdża na plantację. Nie będzie jednak o tym myśleć, w przeciwnym razie nie wytrzymałaby do końca wieczoru.

- Powiedz, kuzynie - zwróciła się do Towsenda z promiennym uśmiechem. - Jak wygląda generał Lee? Czy naprawdę jest taki przystojny, jak o tym wszyscy mówią?

* * *

Ezechiel wyczyścił powóz i wyszorował konie tak, że i królewscy goście czuliby się zaszczytzeni mogąc wsiąść do środka. Zatrzymał się przy podjeździe, otworzył drzwi, gotów w każdej chwili asystować Rettowi, pomagającemu paniom zająć miejsca.

- Powiadam wam, Ellintonowie powinni jechać razem z nami - gorączkowała się Eleonora.

- Przecież zadusilibyśmy się na śmierć! - huknęła Rosemary. Rett syknął, żeby zachowywała się cicho.

- Nie ma się czym gryźć, mamusiu - uspokajał ją Rett. - Pojadą przodem najświetniejszym zaprzęgiem, jaki można było wynająć za pieniądze kuzyneczki. Na Ulicy Spotkań możemy ich wyprzedzić, tak że wjadą na bal wprowadzeni przez nas. Naprawdę nie wiem, czym ty się martwisz.

- Powodów jest całe mnóstwo i dobrze o tym wiesz, synu. Wprawdzie Towsendowie to mili ludzie, a nawet mają w Charlestonie rodzinę, nie zmieni to jednak faktu, że Hannah to wilk w owczej skórze. Wiesz dobrze, przecież to Jankeska. Obawiam się, że na śmierć zadręczą ją uprzejmościami.

- Co? - zdziwiła się Scarlett.

Rett wyjaśnił: po Wojnie charlestończycy wymyślili kilka nowych gier towarzyskich, podstępnych i bardzo złośliwych. Traktowali przybyszów z zewnątrz z uprzejmością tak wielką, z takim uszanowaniem, że to, co miało być wyrazem gościnności stawało się niebezpieczną bronią.

- Goście w końcu czują się tak, jakby po raz pierwszy w życiu włożyli na nogi buty i poszli na bal. Powiadają, że tylko najsilniejsze charaktery wychodzą cało z tego przeżycia. Mam nadzieję, że dzisiaj wieczorem nie zostaniemy potraktowani jako króliki doświadczalne, bo nawet Chińczycy nie wymyślili tortury równie okrutnej, a to bardzo subtelny naród.

- Rett, przestań! - jęknęła Mrs. Butler.

Scarlett nic nie powiedziała. Tylko pomyślała ponuro, że aż nazbyt dobrze wie, o czym mówi Rett. Dobrze, niech tam. I tak nie zostanę w tym mieście na dłużej.

Po przyjeździe na Ulicę Spotkań powozy ustawiły się w długim ogonku innych pojazdów, które jeden po drugim zatrzymywały się przed wejściem do sali balowej, zostawiały pasażerów, po czym powoli ruszały przed siebie. Zanim przyjdzie nasza kolej, bal zdąży się skończyć - pomyślała zasepiona Scarlett. Wyrzała przez okno na płynący chodnikiem strumień ludzi, na damy, którym towarzyszyły panny służące niosące za nimi walizeczki z pantofelkami. Też bym chciała tak sobie iść... Wolałabym przechadzać się tam, na zewnątrz, w ciepłym powietrzu, zamiast tkwić tutaj, w duchocie i ciasnocie. Drgnęła, zaskoczona ostrym dzwonkiem konnego tramwaju.

Jak to możliwe, że jeszcze jeżdżą tramwaje? - zdziwiła się. O dziewiątej wieczorem ulice są już na ogół puste. Usłyszała, jak dzwony u świętego Michała wybijają dwa kwadranse. Było już pół do dziesiątej.

- Czy to nie piękny widok... tramwaje pełne ludzi w strojach balowych? - zachwyciła się Miss Eleonora. - Czy wiesz, Scarlett, że w noc świętej Cecylii tramwaje przestają kursować wcześniej, specjalnie po to, żeby obsługa mogła je wyczyścić i przygotować dla tych, którzy wybierają się na bal?

- Nie wiedziałam. Ale co z powrotem do domów?

- O drugiej, gdy bal się kończy, tramwaje mają specjalne kursy.

- A co, jeśli zechce skorzystać z tramwaju ktoś, kto nie wybiera się na bal?

- Oczywiście, że to niemożliwe. Nikomu nawet nie przyjdzie to do głowy. Wszyscy przecież wiedzą, że o dziewiątej wszystkie wozy przestają kursować.

Rett roześmiał się.

- Mamo, mówisz niczym Księżna z *Alicji w krainie czarów*.

Eleonora Butler wybuchnęła śmiechem.

- Obawiam się, że masz rację - zawołała nie przestając się śmiać.

Ciągle się śmiała, gdy powóz podjechał na podjazd i zatrzymał się. Szarpnięto drzwiczki. Scarlett wyrzała na zewnątrz, a to, co zobaczyła, zatkało jej dech w piersiach: tak właśnie powinien wyglądać bal! Wysokie czarne słupy z kutego żelaza przytrzymywały ogromne kandelabry rzęsiście oświetlone dobrym półtuzinem lamp gazowych. Blask gazowego światła rozświetlał głęboki, przytrzymywany białymi kolumnami portyk budowli podobnej w charakterze do kościoła, odgradzonej od ulicy wysokim żelaznym płotem. Lśniący, biały chodnik prowadził z wyciętego w białym

marmurze podjazdu ku schodom, a stamtąd ku wyjściu. Nad chodnikiem i nad podjazdem rozpięto białe markizy.

- Tylko pomyśl - szepnęła zachwycona. - Możesz wysiąść z powozu i przejść do sali balowej w rześmistym deszczu, a nawet kropelka na ciebie nie spadnie.

- Tak, to rzeczywiście dobry pomysł - zgodził się Rett. - Ale jeszcze nigdy przedtem nie dane mi było w pełni przekonać się o jego dobroci. To pierwsza noc świętej Cecylii gdy pada deszcz. Dotychczas Bóg nie śmiał.

- Rett! - Mrs. Butler była dogłębnie przerażona.

Scarlett uśmiechnęła się do męża, rada, że potrafił dowcipkować z czegoś, co skądinąd traktował niezmiernie serio. Bal świętej Cecylii... opowiedział jej wszystko, co wiedział na ten temat, opowiedział jej całą wieloletnią historię balu, który - jak wszystko w Charlestonie - zdał się trwać przynajmniej od wieku. Powiedział jej, jak ważną i decydującą rolę w organizacji balu odgrywali mężczyźni - tylko oni mogli należeć do Towarzystwa Świętej Cecylii.

- Proszę, wysiądź, Scarlett, zachęcał Rett. - W tym miejscu możesz czuć się jak u siebie w domu. To Hibernian Hall. W środku znajdziesz płytę z wizerunkiem harfy. Czyste złoto.

- Nie bądź grubiański - skarciła go matka.

Scarlett wyszła wojowniczo wysunawszy podbródek - jak jej irlandzki ojciec.

Co tu robią ci jankescy żołnierze? - na ich widok gardło ścisnął jej strach. Czyżby chcieli wziąć odwet za to niemiłe traktowanie, którego doznali przedtem ze strony charlestońskich dam? A potem ujrzała za ich plecami cisnących się ludzi - twarze rozglądające się z boku na bok, oczy chciwie wypatrujące gości, wysiadających z powozów. Coś takiego, Jankesi dbają o przejście dla gości! Niczym służba, niczym chłopcy z pochodniami albo lokaje. Do twarzy im w tej roli. Tylko dlaczego nie rzucają tego do licha i nie wrócą do koszar? Przecież nikt im za to nie zapłaci złamanego centa.

Zanim zeszła ze stopni powozu potoczyła wzrokiem po głowach wystających znad szpaleru żołnierzy. Uśmiechnęła się, jak tylko umiała, najpromienniej. Gdyby tak jeszcze zamiast tego starego worka mieć na sobie coś nowego... Ale i tak da z siebie wszystko, na co tylko ją stać. Starannie odmierzyła trzy kroki - tyle, ile liczyła długość trenu - po czym zrzuciła z ramienia delikatnie przytrzymywany zwój aksamitu. Bordowa materia wspaniale rozłożyła się na białym chodniku, nie tknięta kurzem, prawdziwie po królewsku, majestatycznie płynęła za nią, gdy ona - Scarlett Butler - wkraczała na salę, gdzie miał się odbyć doroczny bal świętej Cecylii.

Zatrzymała się w hallu, czekając aż nadejdą pozostali. Spojrzeniem pobiegła w górę, wodząc wzrokiem za pięknym łukiem estakady schodów prowadzących na szeroki podest drugiego piętra, gdzie u sufitu, gdzieś niebotycznie wysoko, w pustej i wolnej przestrzeni, wisiał kryształowy żyrandol płonąc dziesiątkami świec. Wyglądał jak największy, najbardziej połyskliwy klejnot świata.

- Oto i Ellintonowie - usłyszała głos Mrs. Butler. - Proszę, idź tędy, Hannah. Zostawimy wierzchnie okrycia w damskiej garderobie.

Ale Hannah Ellinton nagle zatrzymała się w progu i jakby mimowolnie dała krok do tyłu. Rosemary i Scarlett musiały natychmiast rozstąpić się, by nie strącić szeleszczącej czerwonym brokatem figury.

Co się stało? - Scarlett wyciągnęła szyję, usiłując dostrzec przyczynę tego nagłego popłochu u Mrs. Ellinton. Scena, którą ujrzała, do tego stopnia stała się jej znajoma podczas licznych balów i przyjęć, że nawet nie była w stanie wyobrazić sobie, iż ktokolwiek mógłby poczuć się nią zszokowany. Na niskiej ławce przy ścianie siedziało kilka dziewcząt i kobiet. Suknie podwinąwszy powyżej kolan moczyły stopy w miednicach z wodą mydlaną. Kiedy panie śmiały się i plotkowały, panny służące myły im nogi, pudrowały, zakładały mocno pocerowane pończochy i balowe pantofelki. Była to czynność zupełnie zwyczajna, wielokrotnie powtarzana przez damy, które aby dojść na bal, musiały na piechotę przemierzać brudne ulice miasta. A niby czego się spodziewała ta jankeska piękność? Że damy będą tańczyć na balu w butach? Trąciła łokciem Mrs. Ellinton.

- Blokuje pani drzwi - zauważyła.

Hannah wyjąkała słowa przeprosin, po czym weszła do środka. Słyszając szelest brokatu Miss Eleonora odwróciła się od lustra, przed którym właśnie poprawiała fryzurę.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła. - Jeszcze przed chwilą pełna byłam obaw, że gdzieś cię zgubiłam.

Nie widziała, co zrobiła Hannah przed wejściem do gotowalni.

- Pragnę przedstawić cię Sabie. Już ona zadba, abyś dzisiejszej nocy miała wszystko, czego ci będzie potrzeba.

Mrs. Ellinton bez słowa protestu dała się zaprowadzić na sam koniec dużego pomieszczenia, gdzie w kącie, na szerokim, obitym brokatem fotelu na biegunach siedziała najgrubsza kobieta, jaką zdarzyło się jej widzieć, ubrana w złotobrązową suknię tylko o ton ciemniejszą od złotej tapicerki, także z brokatu. Saba dźwignęła się

ze swego tronu, by dać się przedstawić gościowi Mrs. Butler.

A także jej synowej. Scarlett wyrwała się do przodu, żądna widoku kobiety, o której tyle zdążyła się już nasłuchać. Saba była bowiem postacią otoczoną legendą. Wszyscy wiedzieli, że to najlepsza szwaczka w całym Charlestonie, że jako niewolnica Mrs. Rutledge pobierała nauki u paryskiego modysty, którego jej pani sprowadziła specjalnie po to, by uszył wyprawę córce Rutledgów. Saba nadal szła dla swej dawnej pani, jej córki oraz kilku wybranych dam. Nawet byle łachman czy worek na mąkę pod dotknięciem jej palców zamieniał się w najwykwintniejszą kreację, której elegancji nie mogły sprostać żadne fasony, nawet te z Godey's Ladies Book.

Ochrzczona przez ojca - wędrownego kaznodzieję - imieniem królowej Saby - w rzeczy samej była królową w swoim świecie. Rok w rok sprawowała niepodzielną władzę nad damską gotownią podczas balu świętej Cecylii, nadzorując swe dwie identycznie ubrane pomocnice i wszystkie panny służące, które towarzyszyły zaproszonym damom, rozwiązując damskie problemy tyleż szybko, co skutecznie. Oberwane lamówki, plamki i pobrudzenia, oderwane kokardy, opadające loki, omdlenia, przejedzenia, podeptane w tańcu palce, potłuczenia, złamane serca - Saba oraz jej asystentki miały radę na wszystko. Na każdym balu można było znaleźć boczny pokój, gdzie sztab służących starał się zaradzić potrzebom pań, lecz tylko na balu świętej Cecylii rządziła tam Królowa Saba. Uprzejmie odmawiała współpracy przy wszystkich innych - dla niej i dla jej magii zastrzeżone było to, co najlepsze.

Mogła sobie pozwolić powybrzydzać. Rett powiedział Scarlett o tym, co większość i tak wiedziała, lecz nikt nie odważył się mówić głośno: do Saby należał najwykwintniejszy i przynoszący krociowe zyski burdel na osławionej „alei Mulatek” - przedłużeniu Chalmers Street, tylko o dwie przecznice od świętej Cecylii. Tam to oficerowie i prości żołnierze zostawiali lwią część swoich żołdów, pijąc whisky, obracając koła automatów do gry i poznając kobiety - każdego wieku, każdego koloru skóry, każdej ceny.

Scarlett spojrzała na wyraźnie zakłopotaną Hannah Ellinton. Założę się - pomyślała - że jest to jedna z tych abolicjonistek, które nigdy w życiu nie widziały Murzyna z bliska. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby jej ktoś powiedział o drugiej odnodze interesów Saby. Rett mówi, że zebrała więcej niż milion dolarów w złocie i trzyma je na koncie w Banku Anglii. Wątpię, czy Ellintonowie mogą pochwalić się równie okrągłą sumą.

30.

Kiedy Scarlett dotarła do drzwi sali balowej, w pierwszym odruchu chciała się zatrzymać, przytłoczona pięknem zbyt cudownym, by mogło być prawdziwe, lecz ludzie, którzy szli za nią z tyłu, nie pozwolili jej przystanąć na dłużej.

Ogromna sala balowa lśniła - jeszcze łagodnym - blaskiem świateł, opadającym z czterech kryształowych kaskad - zdałoby się - unoszących się gdzieś pod sufitem. Wysokie lustro w pozłacanych ramach odbijały płomień świateł, powtarzając je w nieskończoność jedne w drugich. Blask płynął z wysokich okien, ciemnych mrokami nocy, ujętymi w draperie ze złotego brokatu; one także działały jak lustro. Blask sączył się z wieloramiennych srebrnych kandelabrow rozstawionych przy krańcach długich stołów po obu stronach drzwi; stały na nich ogromne srebrne wazy z ponczem odbijające pękotkami brzuchami złote rozbłyski światła.

Scarlett cichutko roześmiała się z rozkoszy, po czym przestąpiła próg.

* * *

- Dobrze się bawisz? - zapytał Rett, gdy upłynęło już dużo, dużo czasu.

- I to jak dobrze! To naprawdę najświetniejszy bal w całym sezonie.

Jej słowa miały znaczyć, że ów wieczór świętej Cecylii był tym, czym prawdziwy bal być powinien: pełen muzyki, śmiechu i szczęścia. Nie czuła się jednak szczególnie uszczęśliwiona, gdy wręczono jej kajecik z nazwiskami dżentelmenów proszących ją o tańce, choć i ten drobiazg podano jej wraz z bukietem gardenii ujętych w srebrne, papierowe koronki. Najprawdopodobniej zeszycik wypełnili już zawczasu organizatorzy balu. Zaraz jednak przekonała się, że obsada została ułożona isticie po mistrzowsku; skojarzono ją w tańcu z mężczyznami, których znała, których nie spotkała nigdy przedtem, bawiącymi na krótko w odwiedzinach, charlestończykami, którzy mieszkali gdzie indziej, lecz zawsze przybywali na bal świętej Cecylii. W ten sposób w każdym tańcu zawierał się dręczący element zaskoczenia i pewność odmiany. Ale żadnych kłopotów: nazwisko Middletona Courtneya nie figurowało na karteczkach. Nie musiała więc myśleć o czymkolwiek, poza tym jednym: znajduje się na wspaniałej sali balowej, tańczy w takt znakomitej muzyki.

Te same uczucia przepełniały wszystkich. Zachichotała skrycie widząc, że ciotki też są tu obecne i że nie opuszczają żadnego tańca. Nawet Eulalia, zwykle melancholijna w wejrzeniu, promieniała radością. Nikt nie podpierał ścian. Nikt nie czuł się skrępowany. Te - zwykle okropne - debiutantki w białych sukniach prosto spod igły

zostały otoczone opieką mężczyzn biegłych i w tańcu, i w konwersacji. Spostrzegła Retta, jak tańczy z trzema dziewczętami, lecz ani razu nie widziała go z Anną Hampton. Przez moment trwała w zdumieniu, skąd tyle starczej mądrości u wiekowych członków Komitetu Organizacyjnego. Ale to trwało tylko chwilę. Później przestała się tym przejmować. Wirując w tańcu czuła się szczęśliwa. Patrząc na Ellintonów z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Hannah, rzecz jasna, uważała się za królową piękności. Pewnie, tańczy z największymi pochlebcami w całym mieście - pomyślała złośliwie spoglądając na Towsenda, który sprawiał wrażenie, jakby się bawił lepiej od żony. Ktoś musiał mu nieźle pokadzić. Oboje nie zapomną tej nocy do końca życia. Skoro już o tym mowa, ona także. Zaraz zacznie szesnasty taniec, ten, który - jak wyznał jej Josiah Anson gdy tańczyli walca - był zarezerwowany dla narzeczonych i małżonków. W noc świętej Cecylii - ciągnął uroczyście i drwiąco - mężowie i żony zakochują się od nowa. Wie o tym dobrze, bo w końcu to on przewodzi Towarzystwu świętej patronki balu. Szesnasty taniec dla zakochanych - to jedna z żelaznych reguł balu. Zatem już wkrótce tańczyć będzie z Rettem.

Tak więc, gdy przy szesnastym tańcu wziął ją w ramiona i spytał, czy dobrze się bawi, odpowiedziała całym sercem „tak”.

* * *

O pierwszej po północy orkiestra zagrała ostatnie takty walca *Nad pięknym modrym Dunajem*. Bal dobiegł końca.

- Ale ja nie chcę, żeby się skończył - powtarzała Scarlett. - Ja nie chcę.

- To dobrze - powiedział Miles Brewton, jeden z członków Komitetu. - Właśnie dokładnie tego spodziewaliśmy się po wszystkich naszych gościach. Mam nadzieję, że wszyscy czują to samo. A wobec tego zapraszam na parter na kolację. Nasze Towarzystwo jest prawie tak samo dumne z własnej hodowli ostryg jak z ponczu, który podawaliśmy w czasie tańców. Chyba każdy wychylił szklaneczkę?

- Owszem, wychyliłam. I zaraz pomyślałam sobie, że sklepienie czaszki uniesie mi się gdzieś pod sufit.

Poncz świętej Cecylii sporządzano z najlepszych gatunków szampana, mieszanego z najlepszej marki koniakiem.

- My, stara gwardia, uważamy, że to bardzo przydatna mikstura na noc pełną tańca. W naszym wieku poncz świętej Cecylii idzie w nogi. Tylko młodym uderza do głów.

- Nie gadaj bzdur, Miles, Salomea zawsze mi powtarzała, że jesteś najlepszym

tancerzem w mieście, a ja zawsze myślałam, że chyba jednak trochę przesadza. Teraz jednak widzę, że twoja żona mówiła najzwyczajszą w świecie prawdę.

Ekstrawaganckie docinki ze strony Scarlett, podminowane grą dołeczków w kącikach warg i uśmiechami płynęły jej z ust tak automatycznie, że nawet nie musiała zastanawiać się, co właśnie mówi. Dlaczego Rett tak długo nie wracał? Dlaczego rozmawiał z Edwardem Cooperem zamiast odprowadzić ją na kolację? Salomea Brewton nigdy jej nie wybaczy, że w ten sposób osaczyła Milesa.

O, dzięki Bogu, Rett właśnie wraca.

- Nigdy bym ci nie pozwolił rościć sobie prawa do twej czarującej żony, gdybyś nie przerastał mnie o parę głów. - Miles pochylił się nad dłonią Scarlett. - Wielki to dla mnie zaszczyt, madame.

- Wielka to dla mnie przyjemność, sir.

- Jezus, Maria - wycedził sylabę po sylabie Rett. - Mógłbym przecież poprosić Salomeę, żeby dała mi się porwać. Co prawda już pięćdziesiąt razy dawała mi kosza, lecz może za pięćdziesiątym pierwszym szczęście się do mnie uśmiechnie.

Ruszyli we troje, śmiejąc się i rozprawiając, na poszukiwanie Mrs. Brewton. Siedziała na kanapce przy oknie z pantofelkami w ręku.

- Kto to kiedyś powiedział, że najlepszym sprawdzianem jakości balu jest ten, gdy zedrziesz zelówkę? - zapytała płacząco. - Bo ja zdarłam, ale prócz bąbli na obu stopach nic mi z tego nie przyszło.

Miles pomógł jej podnieść się z miejsca.

- Mogę cię znieść na dół, ty góro kłopotów, ale później założysz coś na nogi, jak przystoi damie, i pokuśtykasz na kolację.

- Brutal!

Scarlett zauważyła, jak na siebie spojrzeli i jej serce ścisnęło się z zazdrości.

- Ciekawam, o czym to rozprawiałeś tak długo z Edwardem Cooperem? - popatrzyła na Retta, a jej ból urósł. Nie, nie będę myśleć o tym. Nie popsuję tej wspaniałej nocy.

- Poinformował mnie, że wywieram zły wpływ na Tomasza, skutkiem czego zaniedbał się w nauce. Aby go ukarać, zamierza sprzedać tę żaglówkę, którą chłopak kocha tak bardzo.

- To okrutne! - zawołała Scarlett.

- Owszem. Ale chłopak otrzyma ją z powrotem, bo to ja jestem kupcem. A teraz idźmy już na kolację, zanim wyjedzą nam ostrygi. Przynajmniej raz w życiu, Scarlett, ujrzysz więcej jedzenia, niż jesteś w stanie zjeść. Dziś nawet paniom wypada się

przejeść. Tak każe tradycja. Koniec karnawału, kończy się sezon, post już za pasem.

* * *

Było krótko po drugiej, gdy otworzyły się podwoje do Hibernian Hall. Czarnoskórzy chłopcy, trzymający pochodnie, ziewali zajmując stanowiska, by oświetlać drogę powracającym do domu balownikom. Kiedy zapłonęły pochodnie czekający na Ulicy Spotkań pusty, ciemny tramwaj nagle ożył: konduktor zapalił na dachu błękitną lampę w kształcie globusa i podłużne lampy naftowe przy drzwiach. Konie tupnęły kopytami, podrzuciły łby. Mężczyzna w białym fartuchu zebrał z białego chodnika upadłe liście, po czym długim metalowym prętem otworzył ciężkie skrzydła kutej w żelazie bramy. Zniknął w cieniu dokładnie w chwili, gdy z budynku popłynął strumień ożywionych głosów. Rozciągnięty na długość trzech przecnic sznur pojazdów drgnął: powozy zaczęły zajeżdżać, zbierając rozbawionych pasażerów z podjazdu Hibernian Hall.

- Wstawajcie, wychodzą! - krzyknął Ezechiel do chłopaków w liberii, woźniców, którzy podskakiwali, brutalnie wyrywani ze snu, uśmiechali się od ucha do ucha i zeskakiwali z kozłów, by przygotować powozy do jazdy.

Przez otwarte drzwi ciągle wylewał się ludzki strumień. Goście rozmawiali, śmiali się, przystawali na progu, nieskorzy uwierzyć, że bal nieodwołalnie dobiegł końca. Jak co roku mówili, że był to najlepszy bal świętej Cecylii, jaki zdarzyło się im przeżyć, najlepsza orkiestra, najlepsza kuchnia, najlepszy poncz i w ogóle najradośniejsze chwile w ich życiu.

Konduktor tramwaju przemawiał do swoich koni:

- Jedziemy do stajni, chłopcy, nie ma strachu.

Pociągnął kierownicę. Srebrzysty dzwonek zadzwonił tuż pod błękitną latarnią.

- Dobranoc, dobranoc! - krzyczeli ci, którzy musieli wsiadać do tramwaju do tych, którzy stali jeszcze na progu. A wtedy z grupy ludzi, sunących białym chodniczkiem oderwało się najpierw kilku, potem kilkunastu, potem cała lawina młodzieży. Śmiejąc się głośno pędzili, byleby zdążyć na tramwaj. Starsi uśmiechali się pod nosem i mówili coś o uciechach beztroskiej młodości. Oni szli wolniej, z godnością. W niektórych przypadkach nadmiar godności ukrywał niedostatek sił w kulejących nogach.

Scarlett pociągnęła Retta za rękaw.

- Och, Rett, pojedźmy tramwajem. Nie chcę się gnieść w tym dusznym powozie. Powietrze pachnie tak pięknie.

- Ale od przystanku musimy przejść kawał drogi na piechotę.

- Nieważne. Chętnie się przejdę.

Wziął głęboki oddech - nocne powietrze istotnie pachniało świeżością.

- Ja też - przyznał. - Poczekaj, powiem mamie. Idź do tramwaju i zajmij miejsce.

* * *

Nie musieli jechać bardzo daleko. Przecnicę dalej tramwaj skręcał w Szeroką, po czym sunął przez pogrążone we śnie miasto aż do samego końca ulicy, mijając budynek Poczty. Ale w tramwaju bal trwał nadal - głośny i cudowny. Gdy pojazd brał zakręt, prawie wszyscy stłoczeni jeden na drugim pasażerowie śpiewali: piosenkę, którą zaczęli trzej roześmiani mężczyźni: „*Och, jakże ja kocham linię Rock Island, szerokie drogi i...*”

Pod względem muzycznym przedstawienie pozostawiało sporo do życzenia, lecz chórzyści ani o tym wiedzieli, ani się o to troszczyli.

Scarlett i Rett śpiewali równie głośno jak pozostali pasażerowie. Kiedy wysiedli z tramwaju, przyłączali się do chóru za każdym razem, gdy powtarzano refren: „Kupuj bilet na linię Rock Island”. Rett oraz trzech ochotników pomogło konduktorowi przepiąć konie na przeciwny koniec wagonu, po czym ruszyli z powrotem Szeroką, potem w górę Ulicy Spotkań, gdzie mieli wysiąść. Na przystanku powtórzyło się machanie chusteczkami i okrzyki „dobranoc”, które trwały nawet wtedy, gdy tramwaj już ruszył, unosząc resztę śpiewaków.

- Jak myślisz, czy oni znają jakąś inną piosenkę? - spytała Scarlett.

Rett roześmiał się.

- Wątpię. Nie znają nawet tej, którą z takim zapałem usiłowali śpiewać, a szczerze mówiąc, ja też jej nie znam. Ale to bez znaczenia.

Scarlett zachichotała, zaraz jednak stuknęła się po ustach otwartą dłonią. Teraz, gdy *Linia Rock Island* dobiegała z coraz to większej odległości, jej śmiech zabrzmiał niezwykle donośnie. Patrzyła, jak oświetlony tramwaj z każdą chwilą, ginie w ciemności, jak przystaje, później znowu rusza, by wreszcie zniknąć za rogiem. Zrobiło się bardzo cicho i bardzo ciemno - tylko przed Poczta lampa rzucała na ulicę smugę żółtego światła, lecz tym większe zdały się ciemności wokół. Wiatr bawił się frędzlami szala. Powietrze było łagodne, balsamiczne.

- Jest naprawdę ciepło - szepnęła do Retta.

Mruknął coś pod nosem - coś, co miało wystarczyć za potwierdzenie, po czym wyjął z kieszonki zegarek, podszedł bliżej do światła.

- Posłuchaj...

Scarlett nastawiła uszu. Nie, tylko cisza. Wstrzymała oddech.

- Teraz! - powiedział Rett.

Dzwony u świętego Michała uderzyły najpierw raz, potem drugi... dźwięki wisiały w powietrzu jeszcze przez bardzo długo.

- Wpół do - mruknął z uznaniem, chowając zegarek do kieszeni.

Oboje łyknęli sobie nieco ponczu, znajdowali się więc w stanie określonym jako „wysokie loty”, gdy wszystkie bodźce dochodzą do świadomości znacznie wzmocnione. Ciemność była ciemniejsza, cisza głębsza, wspomnienie radosnego wieczoru jeszcze przyjemniejsze niż sam bal. Oboje czuli owo wewnętrzne ciepło błogostanu. Scarlett ziewnęła rozkosznie, wsunęła dłoń Rettowi pod ramię. Bez słowa ruszyli w stronę skrytego za ścianą ciemności domu. Odgłosy ich kroków, głośne tupanie czterech stóp o kamienne płyty chodnika, odbijało się od ścian mijanych po drodze domów. Scarlett rozejrzała się niepewnie to w jedną, to w drugą stronę, spojrzała przez ramię na jaśniejący z tyłu gmach Poczty. Niczego nie poznawała. Tak cicho - przemknęło jej przez myśl. - Zupełnie tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na ziemi.

Wysoka sylwetka Retta była fragmentem mroków, biały gors koszuli zakrywała czarna peleryna. Scarlett przywarła do jego ramienia, mocniej chwyciła jego zgiętą w łokciu rękę. Była jędrna i silna - potężne ramię prawdziwego mężczyzny. Przyłgnęła jeszcze bliżej jego boku. Czula ciepło jego ciała, czula jego ogrom i siłę.

- Czyż to nie piękny bal? - spytała, a jej głos zabrzmiał przykro i głośno w nocnej ciszy. Ściany odbiły jej słowa. Nazbyt donośnie - dźwięk niemile wibrował w uszach.

- Myślałam, że pęknę ze śmiechu patrząc, jak obnosi się Hannah. Ojej, a kiedy dowiedziała się, w jaki sposób Południowcy potrafią traktować ludzi, tak odwróciła głowę, że myślałam, że zaraz zacznę iść rakiem.

Rett zaniósł się śmiechem.

- Biedna Hannah... Może już nigdy w życiu nie poczuje się równie urocza i nigdy już nie będzie miała okazji, by błysnąć dowcipem. Ale Townsend to wcale nie jest głupiec. Zdradził się mi z zamiarem przeprowadzki na Południe. Po tej wizycie Hannah powinna wyrazić zgodę. W porównaniu z Filadelfią przeprawy, jakie muszą znosić w Charlestonie, to pestka.

Scarlett roześmiała się pogodnie, pogrążona w balsamicznej ciemności, po czym uśmiechnęła się w ciepłym zadowoleniu. Kiedy doszli do następnej plamy światła, otaczającej latarnię, spostrzegła, że i Rett był uśmiechnięty. Wobec tego nie musiała silić się na rozmowę. Wystarczyło, że czuli się dobrze, szli razem ramię przy ramieniu i, że nigdzie nie było im spieszo.

Szli obok basenów portowych. Trotuar graniczył z kamieniczkami dostawców towarów dla okrętów - wąskich budynków z małymi sklepikami ściśniętymi jeden przy drugim na poziomie ulicy, nad którymi widniały ciemne okna mieszkań. Wiele było otwartych, by wpuścić do wnętrza domu balsamiczne ciepło niemal letniego powietrza. Jakiś pies, słysząc szmer ich kroków, poszczekiwał leniwie. Rett stłumionym głosem rozkazał mu, by był cicho. Pies zawył, potem umilkł.

Szli przed siebie, mijając latarnie, rzadkie w tej okolicy. Rett machinalnie zwolnił kroku, starając się dostosować tempo marszu do drobnych kroczków Scarlett. Wkrótce odgłosy ich kroków wpadły w zgodne unisono - *stuk, stuk, stuk, stuk* - chwilowe świadectwo zgodnego współbrzmienia.

Któraś z mijanych po drodze latarni zgasła. W tym obszarze głębszej ciemności Scarlett po raz pierwszy zauważyła, że niebo jakby wisiało im nad głowami, rozświetlone blaskiem gwiazd bardziej niż kiedykolwiek - nie pamiętała, by kiedyś widziała je równie jasnym. Jedna z gwiazd wisiała prawie tak nisko, że można ją było dotknąć.

- Rett, spójrz na niebo - westchnęła lekko. - Gwiazdy są dziś tak blisko.

Zatrzymał się, dotknął ją dłonią na znak, by też stanęła.

- To sprawia bliskość morza - powiedział głosem niskim i ciepłym. - Minęliśmy już składy, teraz mamy z jednej strony tylko ocean. Posłuchaj... może usłyszysz, jak oddycha.

Stali w zupełnym milczeniu.

Scarlett wyteżęła słuch. Rytmiczne *plusk, plusk* wody uderzającej w niewidoczne filary falochronu przybierało na wyrazistości. Stopniowo zyskiwało na głośności, aż w końcu zdumiała się, że nigdy jeszcze tego nie słyszała. Plusk fal łączył się z odgłosami przyływu. Tak, to była muzyka, podniosły pochód zwiewnych dźwięków. Nieskazitelna czystość tego zjawiska sprawiła, że jej oczy zupełnie niespodziewanie napełniły się łzami.

- Słyszysz? - szepnęła trwożnie.

- Tak. To jakiś stęskniony za domem żeglarz zarzuca tu kotwicę. A melodia, którą nuci, to *Brzegiem szerokiej Missouri*. Te dźwięki, coś jakby gra na flecie, płyną z piszczałek, które sami wycinają w drewnie. Wielu żeglarzy to jednocześnie bardzo utalentowani muzycy. Ten nasz ma zapewne wachtę. Widzisz to światełko... to latarnia na rei, tam właśnie zatrzymał się stateczek. Światło ostrzega innych żeglarzy, by nie zbliżali się do miejsca, gdzie może im grozić zderzenie, ale na wszelki wypadek zawsze

wystawia się wachtę, by mieć pewność, że nikt nie nadpływa. Na tak uczęszczanych szlakach, jak ten, bywa, że czuwa dwóch strażników. Zawsze tu pełno łódeczek, prowadzonych przez ludzi, którzy wolą przepływać z jednego brzegu na drugi pod osłoną nocy.

- Dlaczego?

- Mają swoje powody, pewnie i tysiąc by się znalazło. Kierują się szlachetnymi porywami lub zwykłą nieuczciwością... ocena zależy już od tego, kto ci o tym opowiada.

Rett mówił tak, jakby rozmyślał głośno, jakby snuł własne myśli, a nie rozmawiał ze Scarlett.

Spojrzała na niego, lecz było zbyt ciemno, by mogła ujrzeć jego twarz. Potem spojrzała na latarnię na statku - jasny punkt na horyzoncie, który wzięła za gwiazdę - a potem znowu wsłuchiwała się w tęskną melodię graną przez nieznanego żeglarza. Dzwony u świętego Michała wybiły trzeci kwadrans.

Dotknęła koniuszkiem języka słonych warg.

- Bardzo brak ci tych dni, gdy jako kurier musiałeś przepływać przez jankeską blokadę?

Roześmiał się.

- Niech no tylko zacznę o tym mówić, a odmłodnieję o dobrych dziesięć lat.

Znowu się roześmiał, z lekką drwiną, jakby rozbawiony samym sobą.

- Bawiłem się w stateczki pod pozorem uprzejmości, ku zawstydzeniu innych mężczyzn w moim wieku. Być na wodzie, wystawiać się na wiatr... to mi dawało poczucie zadowolenia. Nic innego nie może tak szybko doprowadzić mężczyzny do przekonania, że jest młodym bogiem.

Dał krok naprzód, a Scarlett za nim. Szli nieco szybciej, lecz ciągle spacerkiem.

Scarlett rozkoszowała się rześkim powietrzem i myślała o wiatroskrzydłych żaglach małych stateczków kołyszących się na portowych wodach - sprawiających wrażenie, jakby w każdej chwili były gotowe zerwać się do lotu.

- Chcę tego dokonać - szepnęła. - Chcę żeglować i pływać. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Och, Rett, zabierzesz mnie ze sobą? Jest ciepło jak w lecie, wcale nie musisz wracać do Dunmore Landing. Powiedz, że mnie weźmiesz na morze!

Przez chwilę rozmyślał w ciszy: i tak przecież już bardzo niedługo na zawsze pozbędzie się jej ze swego życia.

- Dlaczego nie? To wstyd tracić tak dobrą pogodę.

Scarlett pociągnęła go za ramię.

- No to chodźmy, proszę, tylko szybko. Jest już późno, a chciałabym zacząć z samego rana.

Rett ostudził jej zapał.

- Nie będę w stanie uczyć cię żeglarstwa, jeśli przedtem skrećisz sobie kark. Scarlett, uważaj, jak idziesz. Jeszcze kilka przecznic i jesteśmy w domu.

Uśmiechnięta, zwolniła, dostosowując tempo marszu do niespiesznego kroku Retta. To cudowne uczucie - mieć coś, na co można czekać.

Tuż przed samym domem Rett przystanął. Stanęła i Scarlett.

- Poczekaj sekundę - powiedział podniósłszy głowę. Nasłuchiwał.

Scarlett zastanawiała się, co takiego usłyszał tym razem. Och, na miłość Boską, to znowu te dzwony od świętego Michała. Kuranty umilkły i rozległy się trzy pojedyncze, dźwięczne uderzenia. Odległe, lecz bardzo wyraźny w prawie letnim powietrzu głos stróża nocnego wzywał do snu całe miasto.

- Trzecia godzina na zegarze... śpijcie spokojnie, gospodarze!

Rett spojrział na kostium, który Scarlett z taką troską przysposobiła do podróży morskich, i jedną brew uniósł do góry, podczas gdy dolna warga w kąciku ust opadła mu na dół.

- Cóż... nie mam zamiaru znowu spalić się na słońcu - powiedziała tonem usprawiedliwienia. Miała na głowie ogromny słomkowy kapelusz, który Mrs. Butler zawsze trzymała w pobliżu drzwi do ogrodu, by chronić twarz przed słońcem, gdy wychodziła ścinać kwiaty. Dokoła denka kapelusza udrapowała dobrych parę jardów jasnobłękitnego tiulu, a oba końce szerokiej wstęgi zbiegały się jej pod brodą uwieńczone kokardą, nader foremną, jak sądziła. Miała przy sobie ulubioną parasolkę z bladobłękitnego jedwabiu, w kształcie pagody, z ciemnoniebieskimi chwaścikami dokoła. W ten sposób właściwa część kostiumu - z nudnego, brązowego, kiprowanego materiału - nie sprawiała przykrego wrażenia habitu świętego Franciszka.

Co ten Rett sobie myślał, jakim prawem krytykuje wszystkich i wszystko? W tych podkasanych starych bryczesach i spalonej słońcem koszuli - nawet bez kołnierza, nie mówiąc już o krawacie i płaszczu - wygląda zupełnie jak jaki chłopak. Scarlett puściła język w ruch.

- Mówiłeś, że o dziewiątej. Proszę bardzo, dziewiąta wybiła. Idziemy?

Rett wykonał niski i błazeński ukłon, a zarzuciwszy na ramię wypchany worek z brezentu mruknął:

- Idziemy.

W jego głosie dały się słyszeć jakieś podejrzane nuty. Pewnie coś knuje - pomyślała Scarlett. Ale ani myślę dać mu wolną rękę.

* * *

Nie przypuszczała, że łódka będzie aż tak mała. Ani, że aby dostać się na pokład, będzie musiała schodzić po długim, stromym i bardzo śliskim trapie. Rzuciła Rettowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Za chwilę odpływ - powiedział. - Dlatego nalegałem, żebyśmy byli tutaj nie później niż pół do dziesiątej. Kiedy za pół godziny zacznie się odpływ, trudno byłoby nam wpłynąć do portu... Oczywiście, dzięki temu szybciej popłyniemy w górę rzeki wzdłuż doków... o ile nadal jesteś pewna, że chcesz zostać żeglarzem.

- Jestem tego zupełnie pewna - skinęła głową Scarlett. - Dziękuję.

Co rzekłszy, położyła dłoń w białej rękawiczce na barierkę, zrobiła taki ruch, jakby

się chciała odwrócić i schodzić tyłem.

- Poczekaj! - krzyknął Rett.

Spojrzała nań z kamienną twarzą, twardym wzrokiem gotowej na wszystko kobiety.

- Nie jestem aż taki przebiegły i nie chcę dopuścić, byś skręciła sobie kark tylko po to, żeby zaoszczędzić sobie kłopotu wynoszenia cię z powrotem z łodzi. Trap jest bardzo śliski. Będę szedł o szczebel przed tobą, by się upewnić, że idąc w tych idiotycznych bucikach nie stracisz równowagi i nie złamiesz nogi. Poczekaj chwilę, muszę się przygotować.

Rozsznurował żeglarski worek, po czym wyjął parę płóciennych butów na gumowych podszwach. Scarlett, zacisnąwszy usta, spoglądała w niechętnym milczeniu. Tymczasem Rett zdjął pantofle, założył płócienne buty, schował pantofle do worka, zasznurował worek na węzeł - dość dziwne sprawiający wrażenie.

Nagle spojrzał na nią z uśmiechem, a zrobił to tak niespodziewanie, że aż zapomniała zaczerpnąć powietrza.

- Stań dokładnie w tym miejscu, Scarlett i przestań się dąsać. Mądra kobieta powinna wiedzieć, kiedy skapitulować. Ja tylko zniosę do łódki narzędzia i zaraz po ciebie wracam.

Jednym ruchem zarzucił worek na ramię. Był już w połowie trapu zanim Scarlett zdołała zrozumieć, o czym mówił.

- Obróciłeś piorunem - powiedziała ze szczerym podziwem, gdy Rett znowu był przy niej. - Pędzisz jak błyskawica.

- Albo mała - dodał. - Idziemy, kochanie, czas i przyływ nie mają zwyczaju czekać, nawet na kobietę.

Wspinaczka po drabinie nie była dla Scarlett pierwszozną, nie bała się też wysokości. Jeszcze jako dziecko wspinała się po drzewach, wchodząc na najwyższe, wiotkie gałęzie, wspinała się na kopy siana z taką łatwością, jakby nie wąskie drabiny prowadziły na szczyt, lecz szerokie schody. Była jednak wdzięczna Rettowi za silne ramię, którym obwiodł ją wokół bioder, gdy niepewnym krokiem schodziła po śliskich od wodorostów, zmurszałych deskach, wdzięczna też była losowi, gdy bez przygód stanęła na w miarę stabilnym pokładzie łodzi.

Spokojnie zajęła miejsce w krzeselku na rufie, podczas gdy Rett wciągał żagle na maszt i sprawdzał takielunek. Płaty białego płótna żaglowego leżały jedno na drugim, na dwóch stosach: jeden na osłoniętym dziobie, drugi w otwartym kokpicie.

- Gotowa?

- O, tak.

- To podnosimy cumy!

Zwolnił liny, które przytrzymywały łódeczkę przy nabrzeżu, po czym wiosłem odepchnął się od porośłego skorupiakami molo. Szybki prąd odpływu porwał łódeczkę w swe objęcia i cisnął w szerokie koryto rzeki.

- Pozostań na swoim miejscu. Głowę trzymaj na wysokości kolan! - polecił Rett. Podniósł kliwer, zaklinował fał, sprawdził linkę od kotwicy zapasowej. Wąski żagiel, złapawszy wiatr, załopotał łagodnie.

- To jeszcze nie koniec.

Rett usiadł teraz obok Scarlett, oparł łokieć na rumplu i zaczął wciągać główny żagiel. Hałas powstał ogromny, skrzypiały liny, turkotały przekładki. Nie podnosząc znad kolan głowy Scarlett udało się rzucić ukradkowe spojrzenie. Rett zmrużył oczy od słońca, zmarszczył brwi, do głębi pochłonięty tym, co robi. Sprawiał jednak wrażenie, że jest szczęśliwy - takim dawno go nie widziała.

Żagiel wydał się wydając odgłos, jakby strzelił z bicia. Rett wybuchnął śmiechem.

- Dobra dziewczynka! - zawołał.

Scarlett wiedziała, że to nie o niej mowa.

* * *

- Gotowa do pierwszej lekcji?

- Och, nie, Rett. Zupełnie nie.

Scarlett dała się porwać rozkoszy, wiatrowi i morzu, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że cała jest mokra, że ma wodę w butach, rękawiczki w strzępach, a z kapelusza Miss Eleonory pozostało zaledwie parę wiechci słomy. Co z parasolką, trudno było orzec. Nie myślała, żoddała się wrażeniom. Łódź miała zaledwie szesnaście stóp długości, burty wystawały niekiedy zaledwie parę cali nad poziom morza, lecz pruć wodę niczym żądny łupu młody drapieżnik, wspinała się na grzbiety fal, po czym z ogłuszającym pluskiem spadała w morską kipieli tak szybko i tak gwałtownie, że Scarlett żołądek podchodził do gardła, a słone kropelki zraszały jej twarz, wpadały do ust rozwartych w dziecięcym zachwyceniu. Rett spojrzał na jej zachwyconą twarz, uśmiechnął się, widząc oklapniętą, ciężką od wody kokardę, z uporem godnym lepszej sprawy tkwiącą na posterunku pod brodą.

- Schyl głowę - powiedział krótko, a następnie przełożył rumpel, tak że łódź ruszyła pod wiatr. Planował dłuższy rejs.

- Chcesz przejąć rumpel? - spytał, pokazując ręką, o co mu chodzi. - Nauczę cię, jak

się tym posługiwać.

Scarlett potrząsnęła głową. Wcale nie miała ochoty sterować - wystarczyło jej po prostu być.

Rett zdawał sobie sprawę z tego, jak znamienna była ta chwila, w której Scarlett odrzuciła następczą się możliwość objęcia dowództwa - rozumiał jej głęboką potrzebę odpowiedzenia spokojem na radość żeglugi. W latach młodości sam dał się porwać temu uczuciu, lecz jeszcze teraz czuł się nim owładnięty, a wtedy wyprawiał się na żeglugę w poszukiwaniu dopełnienia i całkowitości.

- Schył się - zawołał po raz drugi, po czym skierował jednomasztowiec na szerokie wody. Nagłe przyspieszenie spowodowało, że przez niskie burty zaczęła wdzierać się spieniona woda. Scarlett zapiszczała z uciechy. Jej krzyk pochwyliła mewa, krążąca gdzieś w górze - jasna, biała plama na bezchmurnym niebie. Rett zadarł głowę, uśmiechnął się. Słońce paliło mu plecy, ostry wiatr miotał w twarz drobiny soli. Zapowiadał się piękny dzień. Przycumował rumpel, chyłkiem przesunął się w stronę dzioba, chciał bowiem wziąć swój żeglarski worek. Swetry, które stamtąd wyjął, były bardzo porozciągane i dość już nadszarpnięte zębem czasu, sztywne od słonej wody. Utkane z grubej, ciemnoniebieskiej wełny sprawiały wrażenie niemal czarnych. Rett wrócił na czworaka na rufę, usiadł na pochyłym kancie kokpitu. Pod jego ciężarem burta nieco się przechyliła, lecz bystra łódeczka pruć fale niemal jak strzała.

- Załóż - podał jej jeden ze swetrów. - Powietrze jest ciepłe, ale nie woda. Mamy luty, zupełnie niezależnie od tego, czy nam się wydaje, że to czerwiec, czy lipiec. Pył wodny jest lodowatozimny, choć sama tego nie czujesz. Wkładaj bez gadania.

Scarlett zrobiła niezadowoloną minę, lecz bez słowa przyjęła sweter.

- Będziesz musiał potrzywać mi kapelusz.

- Proszę bardzo - mruknął, wciągając przez głowę drugi sweter, brudniejszy. Potem pomógł przebrać się Scarlett. Po chwili z kołnierza wynurzyła się jej głowa - wiatr porwał jej rozwichrzone włosy, zerwał grzebienie i spinki, dziko podrzucał długimi, ciemnymi pasmami. Krzyknęła. Obiema dłońmi usiłowała zebrać niesforną fryzurę.

- Zobacz, coś najlepszego narobił! - zawołała. Wiatr cisnął gruby kosmyk w otwarte do krzyku usta, zaczęła pluć i krztusić się. Gdy wreszcie odgarnęła włosy z twarzy, wiatr porwał je i splótł z resztą.

- Oddaj mi kapelusz, zanim wyłysię! - krzyknęła. - Ojej, ale ze mnie strach na wróble!

Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie: twarz rozpromieniona radością,

zaróżowiona wiatrem, jasna pod ciemną chmurą włosów. Zerwała z głowy śmieszny kapelusz, upchnęła lawinę niesfornych, lecz już poskromionych włosów pod sweter.

- Nie śmiem nawet marzyć o tym, że pomyślałeś, by włożyć do tego worka coś do jedzenia... a może?

- Tylko racje żeglarskie - odparł, kiwając głową. - Suchary i rum.

- Brzmi przepysznie. Nie jadłam i nie piłam ani jednego, ani drugiego.

- Dopiero parę minut po jedenastej. W domu będziemy tuż przed obiadem. Może jednak zdołasz okiełznać apetyt.

- A nie możemy pływać cały dzień? Tak dobrze się bawię.

- Innym razem. Dziś po południu mam spotkanie z prawnikami.

- Bierz diabli twoich prawników - mruknęła pod nosem. Powściągnęła jednak falę gniewu, by nie zepsuć sobie całej przyjemności. Spojrzała na wygładzoną wiatrem, wyłoczoną słońcem tafel wody, na białe grzywy piany, rozpryskujące się po obu burtach, wyrzuciła w górę ramiona i wygięła kark w rozkosznej pozie kocicy - sybarytki. Sweter miał tak długie rękawy, że wystawały daleko poza dłonie, zwisały, poruszane wiatrem.

- Ostrożnie, kochanie - roześmiał się Rett. - Bo wiatr cię zdmuchnie.

Zwolnił blokadę na rumplu, przygotował się do zmiany kursu, automatycznie potoczył wzrokiem dokoła, sprawdzając, czy żaden inny statek nie zamierza wejść im w drogę.

- Spójrz, Scarlett! - zawołał nagle. - Szybko. Tam od sterburty... na prawo. Założę się, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałaś.

Scarlett omiotła wzrokiem bagnisty brzeg. I wtedy - mniej więcej w pół drogi między lądem a łodzią - dostrzegła szarawy, błyszczący kształt, wynurzający się na chwilę nad powierzchnią wody, by zaraz szerokim łukiem zanurzyć się pod falami.

- Rekin! - krzyknęła. - Nie... dwa... trzy rekiny! Płyną prosto na nas. Czy one... czy one chcą nas pożreć?

- Moja droga, głupiutka dziewczynko, to delfiny, a nie rekiny. Pewnie płyną w stronę oceanu. Trzymaj się mocno i pochyl się, jak możesz. Zamierzam do nich podpłynąć, może dalszą część drogi zrobimy razem. To najmiłsza zabawa na świecie, znaleźć się pośród stada delfinów. Są bardzo dowcipne.

- Ryby? Dowcipne ryby? Sądzisz, że jestem na tyle łatwowierna, by ci uwierzyć?

Pochyliła się, inaczej uderzyłby ją szarpany wiatrem bom.

- To nie są ryby. Popatrz tylko, a sama się przekonasz.

W stadku było siedem delfinów. Zanim Rett zdążył wziąć ich kurs, były już daleko z przodu. Rett wyprostował się, dłonią osłonił oczy od słońca.

- Do diabła! - mruknął niechętnie. A wtedy, tuż przed dziobem, z wody wynurzył się delfin, dał susa na grzbiecie i z głośnym pluskiem zniknął wśród fal.

Scarlett stuknęła Retta w udo otuloną w za długi rękaw swetra piąstką.

- Widzałeś?

Rett usiadł.

- Widziałem. Przypłynął, aby nam powiedzieć, że powinniśmy ruszać się żwawiej. Reszta stada pewnie na nas czeka. Spójrz!

Z przodu dwa delfiny wynurzyły się z fal. Ich wdzięczne podskoki tak ucieszyły Scarlett, że aż zaczęła bić brawo. Za długie rękawy uniemożliwiały swobodę ruchów, toteż podwinęła je i klaskała dalej, tym razem już bez przeszkód. Z prawej strony, dwa jardy od burty pokazał się pierwszy delfin, strzelił z nozdrzy fontanną wody, po czym niespiesznie dał nura i zniknął.

- Zobacz, Rett. On się do nas uśmiecha! Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak uroczonego!

Rett też się uśmiechał.

- Zawsze sądziłem, że delfiny umieją się uśmiechać i zawsze odpowiadałem na ich uśmiech. Kocham je, zawsze je kochałem.

Delfiny wciągnęły ich oboje do zabawy - inaczej trudno byłoby określić to, co robiły. Płynęły obok łodzi, pod łodzią, przecinały kurs, pojedynczo, niekiedy parami lub trójkami. Nurkowały, wypływały na powierzchnię, wyrzucały fontanny wody, koziołkowały, podskakiwały, spoglądały na Scarlett i Retta niemal rozumnie, oczami, które sprawiały wrażenie ludzkich, które jakby się śmiały, wykrzywiały usta rozbawione niezdarnymi stworzeniami przykutymi do pokładu drewnianej łupiny, mężczyzną i kobietą...

- Tam! - Rett wskazał palcem wyskakujące z wody zwierzęta. - Tam!

Scarlett krzyknęła z uciechy, gdy z fal wynurzyły się dwa zabawne stwory i jednocześnie podskoczyły, każdy w przeciwną stronę.

- Tam! Tam! I tam! - wołał Rett wskazując miejsca, gdzie delfiny wynurzały się nad powierzchnię wody. Za każdym razem była to niespodzianka, za każdym razem działało się to zupełnie nie tam, gdzie spodziewali się, że je zobaczą.

- Tańczą! - upierała się Scarlett.

- Swawolą! - sugerował Rett.

- Dają przedstawienie - zgodzili się chórem. Czarujące przedstawienie.

Pochłonięty występami delfinów Rett zupełnie zapomniał o tym, co najważniejsze: żeby zachować czujność. Nie zauważył ciemnej ławicy chmur, wypływających zza linii horyzontu. Zorientował się dopiero wtedy, gdy świeża, lekka bryza nagle się załamała. Napięte płachty żagli nagle oklapły, a delfiny w tej samej chwili co do jednego dały nurka i znikły. Wtedy - o wiele za późno - spojrział przez ramię: nadciągała nawałnica.

- Kładź się na dno - polecił z zimną krwią. - I zachowaj spokój. Zaraz zacznie się burza. Nie bój się, nie takie przeżyłem na morzu.

Obejrzała się za siebie. źrenice poogromniały jej strachem. Jak to możliwe, że z przodu tak słonecznie i błękitno, a z tyłu prawie czarno? Bez słowa położyła się na dno łodzi, a pod krzeselkiem, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała z Rettem, znalazła uchwyt. Z całej siły zacisnęła na nim dłoń.

Rett tymczasem pospiesznie wprowadzał korekty kursu.

- Będziemy musieli jakoś się przedrzeć przez ten sztorm - powiedział, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zmokniesz do suchej nitki, ale przeżyjesz prawdziwie piekielny rejs.

W tej samej chwili zerwała się ulewa. Chmury błyskawicznie zakryły niebo, zrobiło się ciemno niemal jak w nocy, a w łódź uderzyły strugi deszczu. Scarlett otworzyła usta - chciała krzyczeć, lecz i usta zalała jej woda.

Mój Boże, chyba tonę - zaświtała jej groźna myśl. Dźwignęła się na kolana, zaczęła pluć i odkasływać, aż w końcu usta i gardło miała czyste. Usiłowała unieść głowę, zobaczyć, co się dzieje, zapytać Retta, co to za straszny huk, lecz postrzępiony kapelusz zsunął się jej na twarz i niczego nie mogła spostrzec. Albo ściągnę z głowy to świństwo, albo się uduszę... Wolną ręką sięgnęła do tiulowej kokardy pod brodą, podczas gdy drugą rozpaczliwie ścisnęła metalową klamrę. Łódź to wznosiła się, to opadała, trzeszczała, jakby lada chwila miała się rozpaść. Czowała jak łódź staje dęba... podnosi się coraz wyżej i wyżej, za chwilę zwali się w odmęty dnem do góry, wysypując do wody dwoje pasażerów... Najświętsza Panienko, nie chcę umierać!

W tej samej chwili łódź zadrzała w posadach. Karkołomne akrobacje na razie się skończyły. Scarlett gorączkowo przesuwiała mokrą kokardę przez brodę, nad nosem, przez czoło... nareszcie była wolna, pozbyła się duszących zwojów tiulu. Teraz mogła patrzeć bez przeszkód!

Spojrziała w dół... woda. Spojrziała w górę... woda. Spojrziała jeszcze wyżej... Otaczała ich ściana wody, wyższa niż maszt, ściana, która w każdej chwili gotowa była runąć w

dół, zmiażdżyć drewnianą łupinę jak zapalkę. Chciała krzyknąć, lecz strach ścisnął jej gardło, była jak sparaliżowana. Łódź trzęsła się i jęczała w wiązaniach. Wślizgnęła się na wodny wał w tempie tak szalonym, że przyprawiającym o mdłości, zawisała na samym szczycie, zadrżała... drżąc trwała tak przez chwilę, którą strach rozciągnął w nieskończoność.

Scarlett zacisnęła powieki, bowiem grube krople deszczu siekły ją w głowę, spływały po twarzy miotane strasznymi powiewami wiatru. Zewsząd otaczały ich rozszalałe, spienione fale wielkości górskich szczytów - białe wierzchołki chwiały się w powietrzu, rozpylając drobiny piany porywane przez wiatr, niesione strugami deszczu.

- Rett!

Boże, gdzież on się podział? Rozglądała się we wszystkie strony w nadziei, że przebije wzrokiem ścianę ołowianej szarości wody... i wtedy, dokładnie w chwili, gdy łódź zwała się z wierzchołka fali, wtedy go ujrziała.

Bóg niech potępi tę przewrotną duszę! Rett klęczał, plecy wyprostowane, głowę trzymał wysoko, podbródek dumnie wysunięty... klęczał i śmiał się, na przekór wiatrowi, nawałnicy i falom. Lewą wyprostowaną ręką trzymał rumpel, prawą miał wyciągniętą, oplótł wokół niej linę - od łokcia przez przedramię do nadgarstka - tę, którą regulował ustawienie głównego żagla, wezbranego wiatrem, przeraźliwie łopoczącego nad głowami. Był w swoim żywiole! Walka z wichurą, niebezpieczeństwo śmierci - to lubił!

Nienawidzę go!

Spojrzała na spiętrzoną, właśnie załamującą się nad nimi falę i przez sekundę - przez chwilę, przepelnioną dziką, bezbrzeżną rozpaczą - pragnęła, by lawina wody wtargnęła na pokład, porwała ją i zniszczyła. A zaraz później powiedziała sobie, że przecież nie ma powodów do strachu. Rett ze wszystkim sobie poradzi, nawet z oceanem. Podniosła głowę, tak jak on, i poddała się uczuciu dziwnego, groźnego podniecenia.

Scarlett nie zdawała sobie sprawy z druzgocącej siły wichru. Gdy łódeczka wspięła się na szczyt wysokiej na trzydzieści stóp fali, wiatr nagle ustał. Trwało to tylko kilka sekund - taki wybryk skorego do fantazji tajfunu - lecz było to dość czasu, by główny żagiel zdążył oklapnąć, a łódź przechyliła się na burtę, miotana prądem niebezpiecznie do góry. Scarlett spostrzegła, że Rett uwolniwszy prawe ramię od sflaczałej liny, lewą ręką wyczynia jakieś dziwne manewry z rumplem, nie pojęła jednak, że wszystko zmierza ku katastrofie i trwała w nieświadomości aż do chwili, gdy grzebień fali znalazł

się tuż pod kilem, a Rett rzucił się, zakrywając ją swym ciałem, krzyząc:

- Padnij! Padnij!

Usłyszała jakiś trzask i klekotanie tuż przy głowie, najpierw powolne, potem coraz szybsze, wreszcie błyskawiczne osuwanie się bomu. To wszystko stało się bardzo szybko, lecz Scarlett odnosiła wrażenie jakby nienaturalnej powolności wydarzeń, które dokonywały się tak wolno, jak gdyby cały świat stopniowo zamierał w bezruchu. Niczego nie rozumiejąc spoglądała na twarz Retta - tak blisko jej - ale po chwili i ona znikła. Rett znowu klęczał na dnie łodzi, znowu wykonywał jakieś czynności, których sensu nie pojmowała, poczuła tylko, jak spadły na nią ciężkie zwoje grubej liny.

Nie widziała jak sflaczały biały skrawek żagla nagle nappełnił się wiatrem i rzucił łódź, która właśnie zeskoczyła z fali, w stronę przeciwną do tej, w którą dotychczas płynęli, siła wiatru była tak ogromna, że rozległ się nagle trzask podobny trzaskowi błyskawicy, gruby maszt zwałił się w dół i porwany wiatrem runął w wodę. Łódź bryknęła, przechyliła się na sterburtę i powoli, złączona ze zwalonym masztem, resztkami takielunku, zaczęła przewracać się dnem do góry. A potem podryfowała gnana szkwalem w stronę oceanu.

* * *

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że coś podobnego w ogóle istnieje. Grube krople lodowatego deszczu siekły jej ciało, zewsząd otaczała ją zimna woda, napierała ze wszystkich stron. Cała była zziębnięta. Nie mogła powstrzymać szczękania zębów, od czego taki zamęt powstał w jej głowie, taki huk, że nie była w stanie zdobyć się na najprostszą refleksję o tym, co się stało. Jedna tylko myśl świdrowała jej umysł: jestem sparaliżowana. Nie mogła wykonać żadnego ruchu. I nawet gdy zdołała się poruszyć, podźwignąć omdlałą dłoń, zatoczyć falisty łuk ręką, czuła tylko straszliwe spadanie, spadanie, spadanie...

Umieram. Boże, nie dopuść, żebym umarła! Chcę żyć!

- Scarlett!

Głos, który wypowiedział jej imię, górował nad szczękaniem zębów, wsuwał się we wszystkie zakątki jej świadomości.

- Scarlett!

Tak, знаła ten głos. To głos Retta. A później poczuła na sobie jego ramię. Przytrzymał ją. Ale gdzie był? Woda zalewająca jej twarz, wdzierająca się do oczu, piekąca solą... niczego nie mogła dostrzec zza tej nieprzezroczystej szyby. Otworzyła usta do odpowiedzi, lecz natychmiast zalała je woda. Uniosła głowę, przynajmniej na tyle,

na ile była w stanie, wypłula słoną, mętną ciecz. Gdybyż tylko zęby przestały tak dzwonić,

- Rett!

- Bogu niech będą dzięki...

Jego głos dochodził z bardzo bliska, skądś z tyłu. Uświadomiwszy sobie aż tyle, powoli zaczęła dochodzić do innych spraw.

- Rett - powtórzyła.

- A teraz słuchaj mnie uważnie, kochanie, uważniej niż kiedykolwiek dotychczas. Mamy pewną szansę i powinniśmy ją wykorzystać. Łódź jest dokładnie tutaj. Trzymam za ster. Teraz musimy przedostać się na drugą stronę burty i wykorzystać łódź jako osłonę. To znaczy, musimy przepłynąć pod łodzią i wynurzyć się z drugiej strony burty. Zrozumiałaś?

Wszystko w niej krzyczało w proteście. Nie! Jeśli zanurzy się w wodzie, na pewno się utopi. Już teraz woda ją spychała, napierała na nią ze wszystkich stron. Jeśli zanurzy się w wodzie, nigdy z niej nie wyjdzie. Opadła ją panika. Nie mogła złapać oddechu. Chciała chwycić Retta, chciało się jej krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć...

Koniec z tym! - usłyszała gdzieś w głębi siebie wyraźne słowa. Wymówione jej głosem. Musisz jakoś przez to przebrnąć, a nigdy nie dokonasz tej sztuki, jeśli ciągle będziesz się zachowywać jak ostatnia idiotka.

- Cco... ppowinnam... zzrobić?

Diabli nadali to szczęknięcie zębami!

- Zaraz zacznę odliczać. Na „trzy” weź głęboki oddech i zamknij oczy. Pomogę ci. Przepchnę nas oboje na drugą stronę. Wszystko będzie w porządku. Gotowa?

Nawet nie czekał, aż odpowie, tylko od razu zaczął krzyczeć:

- Raz... dwa...

Scarlett oddychała szybko i nierówno. I nagle coś pchnęło ją w dół, w wodę, woda wypełniła jej nos i uszy, zalała oczy i świadomość. Trwało to kilka sekund. Potem się skończyło. Z wdzięcznością łyknęła pierwszy haust powietrza.

- Trzymam cię za rękę, Scarlett, bądź więc tak miła i nie ciągnij mnie za rękaw, bo w ten sposób oboje się utopimy.

Rett poruszył dłonią wokół jej nadgarstka. Po całym jej ciele rozlało się uczucie cudownego spokoju. Gdyby tylko palce nie były takie zlodowaciałe. Zaczęła pocierać je jeden o drugi.

- Tak, to właściwy sposób - usłyszała aprobujący głos Retta. - Podtrzymuj krążenie

krwi. Ale to jeszcze nie koniec. Chwyć za tę listewkę. Muszę cię opuścić na parę minut. Tylko bez paniki. Nie będę daleko stąd. Muszę zanurkować i odciąć takielunek, zanim maszt pociągnie łódź na samo dno. A poza tym muszę rozciąć sznurowadła w twoich butach. Nie kop, gdy poczujesz, jak coś chwyci cię za nogę. To będę ja. Te ciężkie spódnice i halki także musisz z siebie zrzucić. Tylko trzymaj się mocno. Zaraz wracam.

Zdało się, że jego nieobecność trwała wieczność.

Scarlett zabijała czas, obliczając szansę przeżycia. Nie było aż tak źle - żeby tylko nie ten ziąb. Przewrócona do góry dnem łódź tworzyła nad jej głową coś w rodzaju daszku, tak że nawet deszcz nie był jej straszny. Odniosła też wrażenie, że fale tak nie rzucają. Za to niczego nie widziała - we wnętrzu łodzi było zupełnie ciemno, lecz zdawała sobie sprawę z tego, iż tak już być musi. Chociaż drewniana łupina to wznosiła się, to opadała w tym samym rytmie fal, przyprawiając o zawrót głowy, pod osłoną łodzi powierzchnia wody była idealnie gładka, bez najdrobniejszej choćby zmarszczki fali.

Poczuła dotknięcie Retta u stopy. Wielki Boże, jednak nie jestem sparaliżowana! Wzięła głęboki oddech - spokojnie, dokładnie napełniła płuca powietrzem, po raz pierwszy od chwili, gdy rozszalała się burza. Dziwne uczucie... Nie zdawała sobie sprawy, jak ciężkie były te buty, jak bardzo ją uwierały. Och... dziwne uczucie, mieć czyjeś ramię wokół bioder, samej tkwiąc po szyję w wodzie. Czowała ruch noża. Nagle jakiś straszliwy ciężar zsunął się jej ze stóp, a ona sama podskoczyła nad powierzchnię wody. Zaskoczona, krzyknęła. Krzyk odbił się od drewnianych ścianek, powrócił do niej wibracjami, brzmiał tak donośnie, że omal nie puściła listwy.

A wtedy z wody wynurzył się Rett. Był bardzo blisko.

- Jak się czujesz? - zapytał, choć brzmiało to tak, jakby krzyknął.

- Sss... - szepnęła.

- Nie tak głośno!

- Jak się czujesz?

- Jeśli naprawdę cię to interesuje, to powiem, że zamarłam na śmierć.

- Woda jest co prawda zimna, ale nie aż tak. Kiedyś prąd zniósł nas na Północny Atlantyk...

- Recie Butlerze, jeśli chcesz mi opowiedzieć jakąś historyjkę z czasów blokady, to ostrzegam, ostrzegam... utopię cię!

Jego śmiech wypełnił całą przestrzeń zamkniętą skorupą łodzi. Wydawało się, że jak gdyby zrobiło się cieplej. Ale Scarlett nie mogła opanować ataku wściekłości.

- Jak możesz śmiać się po tym, cośmy przeżyli? Nie widzę nic śmiesznego w

dryfowaniu w lodowatej wodzie, niedaleko oceanu, w samym środku sztormu.

- Skoro już wszystko idzie jak po grudzie, droga Scarlett, jedyne, co nam pozostaje, to znaleźć coś, z czego można by się pośmiać. W ten sposób zachowasz spokój umysłu... i powstrzymasz to okropne szczęknięcie zębami.

Była zbyt rozdrażniona, by cokolwiek powiedzieć. Najgorsze, że on znowu ma rację. Szczęknięcie zębami ustało dokładnie w chwili, gdy przestała truć się myślami o rychłej śmierci.

- A teraz przetnę ci sznurówki przy gorsecie. W tej klatce nie możesz swobodnie oddychać. Tylko zachowaj się spokojnie, żebym cię nie zranił.

W tym dotknięciu jego palców, przebierających pod jej swetrem, rozdzierających plecionkę gorsetu, rozcinających bieliznę, była jakaś kłopotliwa intymność. Minęły już lata od dnia, gdy po raz ostatni czuła jego dłonie na swym ciele.

- A teraz weź głęboki oddech - polecił Rett, ściągając z niej rozcięty gorset i stanik. - Dzisiejsze kobiety zupełnie nie wiedzą, jak się to robi. Napelnij płuca powietrzem... o, tak. Teraz przygotuję dla nas wygodniejszy uchwyt z liny, którą właśnie uciąłem. Kiedy skończę, będziesz mogła puścić tę listewkę, rozmasujesz sobie dłonie i ramiona. I nie zapomnij oddychać głęboko. To podtrzymuje krążenie krwi po ciele, a krew, krążąc, rozgrzewa.

Scarlett usiłowała wypełnić polecenia Retta, lecz gdy chciała podnieść rękę okazało się, że są przeraźliwie ociężałe. Już znacznie łatwiej wejść w tę podobną do gniazda plecionkę z liny, przygotowaną przez Retta i dać odpocząć ciału, kołyszącemu się w rytm fal. Czuła się bardzo senna... Dlaczego Rett ciągle mówi tak dużo? Dlaczego zamiast dać jej spokój ciągle powtarza coś o rozcieraniu rąk?

- Scarlett! - jego głos brzmiał bardzo donośnie. - Scarlett! Nie możesz spać! Musisz się poruszać. Zginaj nogi w kolanach, jeśli chcesz, możesz mnie kopać, ale poruszaj nogami.

Zaczął rozcierać jej plecy, potem ramiona. Zachowywał się bardzo brutalnie.

- Przestań! To boli.

Mówiła bardzo słabym głosem, jej słowa brzmiały niczym miauczenie kociątka. Zamknęła oczy, a wtedy ciemność jeszcze się pogłębiła. Nie było jej już zimno, czuła się tylko bardzo zmęczona... i bardzo senna.

Bez ostrzeżenia Rett wymierzył jej policzek, tak mocny, że głowa odskoczyła jej do tyłu i uderzyła o burtę. W zamkniętej wrakiem łodzi przestrzeni rozległo się donośne klaśnięcie, powtórzone echem.

- Jak śmiesz? Niech no tylko stąd wyjdziemy, odpłacę ci tę zniewagę, Recie Butlerze. Przekonasz się, że nie straszę na darmo.

- To mi się bardziej podoba - mruknął, nie ustając masować jej pleców w ten sam sposób, co przed chwilą, to znaczy brutalnie. Scarlett usiłowała odepchnąć jego ręce.

- Mów coś - zachęcił ją, dalej robiąc swoje. - Mów, a ja będę masował. Daj mi swe dłonie, także trzeba je rozetrzeć.

- Co to, to nie. Własne dłonie zachowam dla siebie i będę ci wdzięczna, jeśli zrobisz to samo ze swoimi. Jeszcze chwila, a ciało zacznie mi odchodzić od kości.

- Lepiej niech sobie odejdzie, niż miałyby je zjeść kraby - powiedział chrapliwym głosem Rett. - Posłuchaj mnie: jeśli dasz do siebie przystęp zimnu, umrzesz. Wiem, że chce ci się spać, ale nie sen to, lecz śmiertelna śpiączka. A, na Boga, nawet gdyby przyszło mi obić cię tak, że posiniejesz, nie pozwolę ci umrzeć. Masz zachować przytomność, oddychać i być w ciągłym ruchu. Masz mówić: nie możesz ustawać w mówieniu. Nie obchodzi mnie, co będziesz mówić, mam tylko słyszeć, że żyjesz, choćbyś gderała mi nad uchem niczym handlarka rybami.

Dopiero gdy dzięki masażowi Retta życie powróciło w jej ciało, poczuła paralizujące działanie zimna.

- Wyjdziemy z tego? - spytała beznamiętnie. Starła się poruszyć nogami.

- Oczywiście.

- Jak?

- Prąd wyniesie nas na brzeg. Zaraz będzie przyływ. Wrócimy tam, skądżeśmy wypłynęli.

Scarlett pokiwała głową w ciemności. Przypomniała sobie całą tę krzątaninę, byleby tylko odbić od brzegu razem z odpływem. Lecz teraz, gdy Rett mówił o przyplywie nie w jego głosie nie zdradzało tej straszliwej wiedzy, że wobec sztormowego wiatru nawet prądy przyływu mogły stracić na znaczeniu. Burza mogła ich przepchnąć przez cieśninę i zagnać na bezgraniczne przestrzenie Atlantyku.

- Ile czasu mamy do przyływu? - w głosie Scarlett słychać było cierpienie, bowiem jej nogi wisiały bezwładnie, niczym dwie kłody drzewa, a plecy piekły pod masażem Retta.

- Nie wiem - padła odpowiedź. - Teraz tylko odwagi nam trzeba.

Brzmiało niczym kazanie! I to w ustach Retta, który zawsze z wszystkiego drwił. Mój Boże! - zmusiła nogi do ruchu, żelazną wolą przegnała z serca strach.

- Nie tyle odwagi mi potrzeba, co czegoś do jedzenia - westchnęła. - Gdzież, do

diabła, upchnąłeś ten stary brudny worek?

- Był na dziobie... Wielki Boże, Scarlett, twoja żarłoczność może być dla nas zbawienna. Na śmierć zapomniałem o worku. Módl się, żeby nadal był tam, gdzie go schowałem.

* * *

Rum rozlał się życiodajnym ciepłem wzdłuż ud, nóg i stóp, tak że mogła już wymachiwać nimi do woli, tam i z powrotem. Ból powracającego krążenia mocno dawał się we znaki, lecz im był dotkliwszy, tym bardziej się cieszyła. W tej chwili bowiem „cierpieć” znaczyło: mieć w sobie życie, czuć je w każdym, najdalszym nawet zakątku ciała. Poza tym rum jest chyba lepszy niż koniak - pomyślała, pociągnawszy drugi łyk. A już z pewnością rozprowadzał ciepło po całym ciele.

Szkoda tylko, że Rett się upierał, aby nie wypijać od razu wszystkiego - wiedziała jednak, iż ma rację. Przykro byłoby wysączyć z tej butelki wszystko ciepło, do ostatniej kropelki, zanim jeszcze nie znajdą się na suchym lądzie. Ale ponieważ nie było go jeszcze widać, przyłączyła się do pieśni pochwalnej ku czci rumu, zaintonowanej przez Retta: „*Jo, ho, ho, i butelka rumu!*” - powtarzała za nim, gdy kończył zwrotkę po zwrotce starej szanty.

Później Scarlett zaproponowała, żeby zaśpiewać „*Mój ty brązowy dzbaneczku, jak ja cię kocham*”.

W zamkniętej przestrzeni ich głosy brzmiały wystarczająco donośnie, by mogli udawać, że wcale nie opadli z sił, gdy chłód zaczął szczypać ich ciała. Rett objął Scarlett ramieniem, przytulił, dzieląc z nią własne ciepło. Śpiewali wszystkie ulubione piosenki - wszystkie te, które zdołali sobie przypomnieć, a tymczasem łyeczki rumu stawały się coraz mniejsze, dawały coraz słabszy efekt.

- Co powiesz o „*Żółtej róży Teksasu*”? - spytał Rett.

- Śpiewaliśmy to już dwa razy. Lepiej zanuć mi tę piosenkę, którą Papa zawsze tak bardzo lubił. Pamiętam, jak wy dwaj zataczaliście się po ulicy pijani niczym świnię.

- Tak, ale śpiewaliśmy niczym anieli - odparł, naśladowując irlandzką wymowę Geralda O'Hary.

- „*Gdy po raz pierwszy ujrzałem słodką Peggy, a było to w targowy dzień...*”

Prześpiewał pierwszą zwrotkę, po czym przyznał, że następnych nie ma.

- Ty, Scarlett, na pewno pamiętasz całą resztę, słowo po słowie. Śpiewaj dalej.

Chciałaby, ale nie mogła zebrać sił.

- Zapomniałam - skłamała, by ukryć własną słabość. Była taka zmęczona. Gdyby

tylko mogła złożyć głowę w ciepłych ramionach Retta i usnąć... Tak wspaniale czuła się w jego objęciach. Głowa jej opadła. Była za ciężka, by trzymać ją wyprostowaną.

Rett potrząsnął nią.

- Scarlett, słyszysz mnie? Czuję zmianę prądu, przysięgam, jesteśmy blisko brzegu. Teraz nie wolno ci kapitulować! Kochanie, dowiedz mi, że jednak masz trochę oleju w głowie... No, podnieś główkę, to już prawie koniec.

- ... zimno...

- Strasznie szybko się zniechęcasz, Scarlett O'Haro! Powiniennem być zostawić cię na łup Shermanowi wtedy, w Atlancie. Nie warto było cię ratować.

Wygasająca świadomość leniwie zarejestrowała te słowa, wytwarzając w reakcji jedynie bardzo tępawe ukłucia igiełek gniewu, ale i to wystarczyło. Otworzyła oczy i uniosła głowę, gotowa sprostać wyzwaniu, którego sens niejasno majaczył w jej umyśle.

- Weź głęboki oddech - polecił Rett. - Wychodzimy.

Wielką dłoń położył jej na usta i nos i pchnął pod wodę stawiające słabiutki opór ciało. Na zewnątrz, z drugiej strony burty, woda kipiała wysokimi falami.

- Jesteśmy prawie na miejscu, kochanie - wykrztusił Rett. Oplótł jej szyję ramieniem, położył jej głowę na zgięciu łokcia, zaś drugą ręką wiosłował, cierpliwie przebijając się przez huczące fale, całą swą energię skupiając na jednym: byleby szybciej do mielizny.

Padał gęsty deszcz, a miotany silnym wiatrem zacinał niemal poziomo. Klęcząc na brzegu, w pieniacej się wodzie, Rett przygarnął omdlałe ciało Scarlett do piersi. Grzywacz wzniosł się gdzieś z tyłu i pędził w stronę plaży, załamując się u własnej podstawy. Nagle szara ściana wody wybuchła białymi strzępami piany, rozlała się wzdłuż linii lądu, uderzając Retta w plecy, rycząc i obiegając jego osłaniające Scarlett ciało.

Gdy fala już minęła, wyczerpawszy zgromadzony w sobie zasób energii, Rett z trudem dźwignął się na nogi i potykając się, krok za krokiem ruszył w stronę plaży z ciałem Scarlett przyciśniętym do piersi. Jego bosa stopy i nogi w rozlicznych miejscach były poranione przez skorupiaki, niesione silnym prądem, ciskane fala za falą, on jednak niewiele się tym przejmował. Biegł, niezgrabnie potykając się w głębokim piasku, biegł ku otwarciu w ciągnących się chyba bez końca wydmach, szybko wspiął się na wygładzone przez wiatry, łukowato wygięte zbocze. Tu, na miękkim piasku, łagodnie złożył ciało Scarlett.

Głos mu się załamywał, gdy raz po raz powtarzając jej imię usiłował tchnąć życie w

jej zimne, białe ciało, gdy rozcierał obiema dłońmi każdy zziębnięty jego członek. Zmierzwił, lśniącoczarne włosy Scarlett, rozrzucone wokół głowy, karku i ramion, opadające na czarne brwi i na skronie żywo kontrastowały z bezbarwną, zlaną wodą twarzą. Rett rozcierał jej policzki koniuszkami palców, tyleż łagodnie, co niecierpliwie.

Kiedy podniosła powieki, na tle bladej twarzy jej oczy wyglądały jak dwa szmaragdy. Rett krzyknął, owładnięty uczuciem triumfu.

Scarlett ścisnęła palce wokół niestałej trwałości utwardzonego deszczem piasku.

- Ziemia - westchnęła, po czym wybuchła płaczem i łkała raz za razem.

Rett ujął ją pod ramię i podniósł, osłaniając swym pochylonym, zgiętym w pół, masywnym ciałem. Wolną ręką rozczesywał jej włosy, gładził jej policzki, usta i podbródek.

- Moje ty kochanie, ty moje życie - szeptał. - Już myślałem, że cię straciłem. - Już myślałem, że cię zabiłem. Myślałem... och, Scarlett, ty jednak żyjesz. Nie płacz, najdroższa, mamy to już za sobą. Jesteś bezpieczna. Nic ci nie grozi. Wszystko będzie w porządku. Wszystko...

Całował jej czoło, szyję, policzki. Bładość z wolna ustępowała miejsca kolorom życia, uniosła głowę, by odpowiedzieć pocałunkami na pocałunki.

Zimno nie było już jej straszne, ani deszcz, ani osłabienie - czuła tylko palące dotknięcie jego warg, jego ciała, ciepło jego dłoni. Czuła, palcami dotykając jego ramion, drzemiącą w nich siłę, a gdy jego wargi dotykały jej warg, czuła jak serce bije jej ciężko, jak jego rytm zlewa się z rytmem pracy jego serca, którego uderzenia czuła przesuając dłonią po gęsto owłosionej klatce piersiowej Retta.

Tak, pamiętam, to nie sen! Tak, ten ciemny wir porwał mnie i wydobyl na świat i przywrócił mnie życiu, darował mi wolność, podrzucił ku samemu sercu słońca.

- Tak! - wykrzykiwała raz za razem, łącząc swą namiętność z pożądaniem Retta, znajdując dla nich obu to samo zaspokojenie. W tym wirującym, spiralnym ruchu rozwiały się słowa, rozpierzchły myśli, było tylko zjednoczenie poza umysłem, poza czasem, poza światem.

32.

Kocha mnie! Jakże głupia byłam wątpiąc w coś, o czym dobrze wiedziałam. Obrzmiałe wargi Scarlett wygięły się w leniwym uśmiechu zaspokojenia. Powoli otworzyła oczy.

Rett siedział obok. Ręce założył wokół kolan, twarz ukrył pomiędzy ramionami.

Scarlett przeciągnęła się rozkosznie. Po raz pierwszy w życiu naprawdę czuła piasek ocierający się o jej skórę, po raz pierwszy w życiu zwracała uwagę na otoczenie. Do licha, ciągle pada. Przeżyliśmy własną śmierć. Teraz trzeba będzie znaleźć jakąś kryjówkę, a potem znowu można się kochać. Dołeczki w kącikach ust zadrgały jej ucieszenie, stłumiła chichot. Może jednak lepiej się powstrzymać, zważywszy jaką mamy pogodę...

Wyciągnęła rękę, przebiegła paznokciami po kręgosłupie Retta.

Drgnął, jakby liźnięty żywym ogniem, gwałtownie obrócił się ku niej, po czym zerwał się na równe nogi. Nie zdążyła odczytać wyrazu jego twarzy.

- Nie chciałem cię budzić - powiedział. - Jeśli możesz, spróbuj jeszcze trochę odpocząć. Muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy wyschnąć i rozpalic ognisko. Na tych wysepkach są jakieś chaty.

- Idę z tobą - powiedziała, starając się podnieść. Nogi miała otulone swetrem Retta, na sobie miała drugi. Pod ciężarem nasiąkniętej wodą wełny czuła się jak skrepowana.

- Nie. Zostaniesz tutaj.

Odszedł, wspinał się po wydmie. Scarlett spoglądała tępawo, jak odchodzi, nie wierząc własnym oczom.

- Rett, nie możesz mnie tak zostawić. Nie pozwalam!

Na szczycie wydmy przystanął. Powoli rozglądał się we wszystkie strony. Po chwili rozprostował zgarbione plecy. Zawrócił, ześlizgnął się po piaszczystym zboczu.

- Wdziałem chatę. Wiem, gdzie jesteśmy.

Wstawaj. Wyciągnął rękę, by pomóc jej dźwignąć się na nogi. Spiesznie wygrzebała się z piachu.

* * *

Chaty, które zbudowali na pobliskich wyspach co zasobniejsi charlestończycy, wzniesione były głównie z myślą o skwarnych dniach długiego na Południu lata - w tych letnich rezydencjach rozkoszowano się chłodem ciągnącej z Atlantyku świeżej bryzy. Odległe od miasta, z dala od formalności miejskiego życia, były jednak czymś

więcej niż tylko wiejskimi domkami bez żadnych ozdób: głębokie, ocienione ganki miały chronić od słońca, a impregnowane i szalowane ściany skutecznie chroniły przed wciskającym się w najwęższe szpary piaskiem. A chociaż w strugach zimnego deszczu owe budowle wydały się Rettowi opuszczone i nie dość solidne, by można w nich było znaleźć skuteczną osłonę przed hulającym wiatrem, wiedział jednak, że chaty stały tu od pokoleń, że miały kuchnie, gdzie dało się przygotować ciepłe posiłki. Tego właśnie najbardziej potrzebowali rozbitkowie.

Jednym kopnięciem wyważył drzwi. Scarlett weszła za nim. Dlaczego był taki milczący? Zaledwie mruknął do niej słowo. Nawet wtedy, gdy niósł ją w ramionach, gdy przedzierał się przez niskie zarośla u stóp wydmy, nawet wtedy nic nie powiedział. Chcę, żeby coś mówił - pomyślała. Chcę słyszeć jego głos, jak powtarza, że mnie kocha. Bóg jeden wie, ile trzeba było mi na to czekać.

W szafce znalazł kołdrę z pozszywanych skrawków materiału.

- Zdejmij te mokre rzeczy i owiń się w to - rzucił jej kołdrę na kolana. - Zaraz rozpalę ogień.

Scarlett rzuciła podarte majtki na mokry sweter i okręciła się w kołdrę. Była miękka, było w niej przytulnie. Owinęła się pamiętając, by nadać kołdrze fason szalowy, po czym usiadła na twardym krześle. Kołdra ścieliła się na podłodze, dając schronienie stopom. Po wielu godzinach spędzonych w wodzie i na deszczu znalazła się wreszcie w suchym miejscu. Ale zaczęły wstrząsać nią dreszcze.

Rett naznosił suchego drewna, poukładanego w wielkiej skrzyni na progu, przy wejściu do kuchni. Minęło jeszcze parę minut i pod blachą pełgał mały ogieniek. Był już bliski zgaśnięcia, gdy nagle liznął ustawione na kształt namiotu smolne szczapy i buchnął wysokim, pomarańczowym płomieniem. Oświetlił zadumaną twarz Retta.

Scarlett wstała i kuśtykając podeszła bliżej kuchni.

- Dlaczego nie zdejmiesz mokrego ubrania, Rett? Chętnie użyję ci kołdry, żebyś się wysuszył. To wspaniałe uczucie!

Spuściła wzrok, jakby zakłopotana własnym zuchwalstwem. Na policzki wypęzły krwawe rumieńce. Ale Rett nie odpowiadał.

- I tak zaraz przemoknę, gdy wyjdę na dwór - odezwał się w końcu. - Jesteśmy zaledwie parę mil od Fort Moultrie. Pójdę sprowadzić pomoc.

Po czym zniknął w małej spiżarni przylegającej do kuchni.

- Bierz diabli Fort Moultrie!

Niechby wreszcie przestał grzebać w tej spiżarni. Jak można mówić do kogoś w

drugim pomieszczeniu?

Po chwili Rett powrócił z butelką whisky.

- Półki są raczej pustawe - oznajmił, uśmiechnąwszy się krótko. - Lecz rzeczy do życia niezbędne można znaleźć.

Otworzył kredens i wyjął dwa kubki.

- Czyste - skonstatował. - Należę.

Postawił kubki i butelkę na stole.

- Nie chcę pić. Chcę...

Przerwał zanim zdążyła dokończyć.

- Muszę się napić.

Napełnił kubek do połowy i wypił jednym, długim haustem. Potrząsnął głową.

- Nic dziwnego, że zostawili tu tę butelczynę. Prawdziwe pomyje. Niemniej jednak...
- napełnił kubek ponownie.

Scarlett patrzyła nań z dobrotliwą pobłażliwością na twarzy. Biedne maleństwo, ależ to nerwowe... Kiedy odezwała się, jej głos pobrzmiwał czułą wyrozumiałością.

- Ależ nie musisz zachowywać się tak wstydliwie, Rett. Przecież nie kompromitujesz mnie swoim towarzystwem. Jesteśmy małżeństwem, kochamy się, ot i wszystko.

Spojrzał na nią znad kubka, potem ostrożnie postawił go na stole.

- Scarlett... - zaczął, powoli dobierając słówka. - To, co się stało tam, na plaży... to nie ma nic wspólnego z miłością. Określmy to jako „święto przeżycia”, które ma miejsce po każdej bitwie w czas wojny. Mężczyźni, którym cudem udało się uniknąć śmierci, rzucają się na pierwszą lepszą kobietę, chcą bowiem sprawdzić, czy nadal mają pożytek ze swego ciała. W tym przypadku ja posłużyłem się twoim ciałem, a ty moim, oboje bowiem byliśmy o włos od śmierci. Lecz z miłością nie miało to nic wspólnego.

Szorstkość tych słów sprawiła, że Scarlett zabrakło tchu w piersiach.

Ale potem przypomniała sobie, wypowiedane równie szorstko i chrapliwie, powtarzane setki razy słowa „kochanie”, „moje ty życie”, „kocham cię”... nieważne, co Rettowi akurat przyszło do głowy, bo i tak ją kochał. Wiedziała to w najgłębszej głębi swojej duszy, tam, gdzie nie ma miejsca na kłamstwa. Tak, ciągle się boi, że nie kocham go prawdziwie. To dlatego nie chce się przyznać do swego uczucia.

Owinięta kołdrą zaczęła posuwać się w jego kierunku.

- Możesz sobie mówić, co tam chcesz, Recie Butlerze, ale to i tak nie zmieni prawdy: kocham cię, a ty kochasz mnie, i kochaliśmy się chcąc dowieść naszej miłości jedno drugiemu.

Rett wypił whisky, po czym wybuchnął ochrypłym, niemiłym śmiechem,

- Nie przypuszczałem, że z ciebie taka romantyczka, Scarlett. Twoja głupia naiwność rozczarowuje mnie. Zwykłaś wszystko układać w swej zakutej lepetynie i opatrywać stosownymi etykietami, lecz pamiętaj... pocieranie genitaliów nie może być mylone z miłością. Choć Bóg jeden wie, że pomyłkę tę popełnia się wystarczająco często, by zapełniać kościoły parami nowożeńców.

Scarlett ciągle dreptała w jego stronę.

- Możesz sobie gadać aż spuchniesz, Recie Butlerze, ale to i tak niczego nie zmieni.

Grzbietem dłoni otarła płynące z oczu łzy. Teraz była już bardzo blisko niego. Czowała ostry zapach soli osiadłej na jego ciele, czuła ostrą woń whisky.

- Kochasz mnie - pociągnęła nosem. - Kochasz, kochasz.

Kołdra opadła jej z ramion, gdy wyciągnęła rękę chcąc dotknąć Retta.

- Weź mnie w ramiona, wtedy mi powiedz, że mnie nie kochasz, a być może, uwierzę.

Rett nagle wyciągnął ramiona, przyciągnął ją za głowę i gwałtownie pocałował. Jej ręce zamknęły się wokół jego szyi, podczas gdy jego dłonie przebiegały drogę od jej karku do ramion, aż oddała się mu w całkowitym samozapomnieniu.

Ale palce Retta zniemacka zamknęły się wokół jej nadgarstków, rozłożył jej ręce, odsunął je od swego karku. Odsunął ją od siebie, a jego usta już dłużej nie wybiegały na spotkanie jej ust, jego ciało odsunęło się od jej ciała.

- Dlaczego? - krzyknęła. - Przecież mnie pragniesz!

Odepchnął ją od siebie, puścił nadgarstki, potykając się dał kilka kroków do tyłu - po raz pierwszy widziała, jak stracił panowanie nad sobą.

- Tak, na Boga - zawołał. - Pragnę cię i tęsknię za tobą. Jesteś trucizną mojej krwi, chorobą mej duszy. Znałem mężczyznę, u którego opium wywoływało uczucie głodu równego temu, jaki we mnie wzbudzasz. Ale poza tym wiem, czym się to dla niego skończyło: najpierw stał się niewolniczo uzależniony, potem dopełnił dzieła samozagłady. Sam byłem tego bliski, lecz skoro już udało mi się przed tym uciec, nie będę ryzykował po raz drugi. Nie chcę się zniszczyć dla ciebie.

To rzekłszy rzucił się do drzwi i wypadł na dwór, w deszcz.

Przez otwarte drzwi wpadł lodowaty wiatr, Scarlett, naga, poczuła jak zimno szczypie jej ciało. Przepchnęła się pod wiatr ku progowi, lecz przez zasłonę deszczu niczego nie udało się jej wypatrzeć. Musiała użyć całej siły - a niewiele jej zostało - by zamknąć skrzypiące na wietrze skrzydło.

Jej wargi ciągle jeszcze były rozgrzane pocałunkami Retta, drżała jednak na całym ciele. Pochyliła się tuż nad ogniem opatulona w miękką i ciepłą kołdrę. Czowała się bardzo, ale to bardzo zmęczona. Zanim Rett wróci, utnie sobie króciutką drzemkę.

Zapadła w sen tak głęboki, że bliski stanowi śpiączki.

* * *

- Wyczerpanie - powiedział lekarz wojskowy, którego Rett sprowadził z Fort Moultrie. - Wyczerpanie i skrajne wyziębienie organizmu. To cud, Mr. Butler, że pana żona zdołała umknąć śmierci. Miejmy nadzieję, że nie straci czucia w nogach. W dolnych partiach ciała krążenie omal ustało. Proszę ją owinąć w te koce. Musimy ją zabrać do fortu.

Rett szybko otulił bezwładne ciało w derki, które przynieśli ze sobą, po czym wziął Scarlett w ramiona.

- Proszę, tędy. Niech pan ją przekaze sierżantowi. Z panem też nie najlepiej.

Scarlett podniosła powieki. Jej oczy zarejestrowały krzątanie błękitnych mundurów, po czym źrenice pobiegły w górę. Doktor zamknął jej powieki palcami biegłymi w medycynie polowej.

- Lepiej pospieszmy się - mruknął. - Bo odpłynie nam we śnie.

* * *

- Wypij to, skarbie - ten kobiecy głos brzmiał łagodnie, lecz stanowczo. Prawie go rozpoznała. Posłusznie otworzyła usta.

- Dobra dziewczynka, jeszcze jeden łyżeczek. Nie, nie chcę widzieć tej skrzywionej twarzy, to nieładnie. Nie wiesz, że jeśli będziesz się krzywić w ten sposób, może ci to pozostać na zawsze? Widzisz, po co więc te brzydkie miny? Ładna, grzeczna dziewczynka nagle się nam krzywi... a pfe. No, tak znacznie lepiej. A teraz otwieramy buzię. Szerzej. Będziesz grzecznie piła ciepłe mleczko i zażywała lekarstewka, nawet gdyby to miało trwać dobry tydzień. No, dziecino. Zaraz dodam więcej cukru.

Nie, to nie był głos Mammy. Taki podobny, prawie taki sam, lecz jednak nie ten sam. Dwie małe łezki spadły z kącików oczu Scarlett. Przez minutę tkwiła w złudzeniu, że oto znalazła się w domu, w Tarze, a Mammy ją pielęgnuje. Siłą podniosła powieki... pochylona nad nią czarna kobieta rozchyliła grube wargi w uśmiechu. Pięknie się uśmiechała. Współczująco. Mądrze. Z miłością. Cierpliwie. Jej uśmiech miał w sobie nieodpartą siłę. Scarlett odpowiedziała uśmiechem.

- No właśnie, a nie mówiłam? Ta dziewczyna potrzebuje rozgrzanej cegły do łóżka i

plastra musztardowego na piersi, a resztę już zrobi stara Rebeka, która wygoni całe zimno ciepłym mleczkiem i rozmowami ze słodkim Jezuskiem. Kiedy tak rozcierałam ci nóżki rozmawiałam z Nim, no i oddał nam cię z powrotem, jakem sobie myślała, że zrobi. Panie, mówiłam do Niego, to nie jest taki kawał roboty jak z tym Łazarzem, mamy tu tylko dziewczyneczkę, co nam się kiepsko czuje. Nawet minutki Ci nie zajmie rzucić okiem na to niebożę i przywrócić je życiu. No i zrobił, jakem Go prosiła, a teraz złożę Mu dzięki. Zaraz wypijesz mleczko... tylko proszę mi nie wybrzydzać, dwie łyżeczki cukru wsypałam do kubka. Wypij do końca. Chyba nie chcesz, żeby Jezus musiał czekać na podziękowanie Rebeki? W niebie na pewno spojrzeliby krzywym okiem na taką niewdzięczność?

Scarlett pociągnęła łyk mleka. Przełknęła. Posłodzone mleko smakowało lepiej niż najlepsze smakołyki, które ostatnio jadła. Kiedy dopiła do końca, obtarła białe wąsy grzbietem dłoni.

- Jestem okropnie głodna. Dostanę coś do jedzenia?

Rebeka pokiwała głową.

- Migiem - mruknęła. Ale przedtem zamknęła oczy i złożyła dłonie do modlitwy. Niemo poruszała wargami, kołysała się całym ciałem i obcując na osobności z Panem składała Mu swe szczególne podziękowania.

Kiedy otuliła Scarlett kołdrą, szczelnie upchnęła ją wokół ramion. Scarlett zasnęła. Lekarstwem, które otrzymała w mleku, było laudanum.

* * *

Spała kapryśnie. Kiedy zrzucała kołdrę, Rebeka starannie ją poprawiała i głaskała Scarlett po czole, aż zmarszczki niepokoju znikły. Ale wobec snów była bezradna.

Sny Scarlett były luźnymi, nie powiązаныmi ze sobą, chaotycznymi obrazami dawnych wspomnień i lęków. A zatem: głód, straszliwy, nie kończący się głód lat wojny w Tarze. Jankescy żołnierze, podchodzący do Atlanty coraz to bliżej, wynurzający się z półcienia werandy, znieważający ją, szepczący do uszu, że trzeba będzie odciąć jej nogi, że sikną z nich fontanny krwi, że krew zaleje podłogi domu w Tarze, tryskając, bluzgając, tworząc czerwony potok, który urośnie do wysokości górskich szczytów, a pod nim, krzycząc i płacząc, leżeć będzie mała Scarlett. A zatem: mróz. Straszliwy mróz, ścinający drzewa i kwiaty, osiadający na małej biednej Scarlett, tak że zakuta w lodowy pancerz nie mogła się poruszać, a jeśli nawet coś krzyczała, ze skutych lodem ust nikt nie słyszał, jak powtarzają: „Rett, Rett, wracaj”. Miast słów, z ust wypadały sople lodu. Wśród tych sennych obrazów przechadzała się matka: Scarlett czuła zapach

cytrynowej werbeny, lecz Ellen nie przemówiła do niej ani słowem. Gerald O'Hara przeskakiwał najpierw przez jeden płot, potem drugi i trzeci, i tak w nieskończoność, siedząc tyłem na lśniącobiałym rumaku, który razem z nim śpiewał ludzkim głosem o Scarlett na niskim wozie. Ich głosy zmieniały barwę, z męskich stawały się kobiece, cichły. Już nie słyszała, co do niej mówią.

Oblizwała wyschnięte wargi. Podniosła powieki. Coś takiego, przecież to Mela? Och, jaka zakłopotana, biedaczka.

- Nie bój się - wychrypiała Scarlett. - Wszystko w porządku. On nie żyje. Zabiłam go.

- Pewnie dręczy ją jakiś koszmar - powiedziała Rebeka.

- Koszmar już się skończył, Scarlett. Doktor twierdzi, że za niedługo wydobrzejesz - ciemne oczy Anny Hampton błyszczały najszczerzą powagą.

Nad jej ramieniem ukazała się twarz Eleonory Butler.

- Kochanie, przybyliśmy wziąć cię do domu.

* * *

- Śmieszne - zawołała Scarlett. - Przecież mogę iść o własnych siłach.

Rebeka położyła dłoń na jej ramieniu i wolno pchnęła wózek inwalidzki wzdłuż wysypanej muszelkami drogi.

- Czuję się idiotycznie - jęknęła Scarlett, chciała się podnieść, lecz ciężko opadła na oparcie fotela. W głowie czuła ostry ból, jakby ktoś dźgał mózg sztyletem, zmrużyła oczy, oślepiąca refleksami światła. Nie mogła uwierzyć, że to nadal dzień - ten sam dzień, w którym wcześniej rano wyszła z domu Butlerów przy Battery, mając na głowie słomkowy kapelusz Miss Eleonory. Z burzą przyszła odmiana pogody, która teraz bardziej już przypominała aurę stosowną na miesiąc luty. Lecz nawet teraz niebo było pogodne, bez chmurki, wyłoczone blaskiem wieczornego słońca, powietrze było rześkie, wiał lekki wiaterek. Wreszcie Eleonora przyniosła mi moją futrzaną rotundę - przebiegło jej przez myśl. Ale zachwyty wywołam pokazując się w futrze, o którym Mrs. Butler zawsze sądziła, że zbyt rzuca się w oczy!

- Gdzie Rett? Dlaczego nie odwozi mnie do domu?

- Nie pozwoliłabym wyjść mu na dwór - odpowiedziała Mrs. Butler, cedząc słowo po słowie. - Posłałam po naszego lekarza i kazałam Manigo położyć Retta do łóżka. Był siny z zimna.

Teraz nad Scarlett pochyliła się Anna - mówiła spokojnie, niemal szepcząc jej prosto do ucha:

- Gdy burza rozszalała się tak nagle, natychmiast zaalarmowano Mrs. Butler. Popędziłyśmy z domu prosto do przystani, a kiedy powiedzieli nam, że łódź nie wróciła, Eleonora z bólu omal od zmysłów nie odeszła. Wątpię, czy, jak sama twierdzi, przesiadła całe popołudnie na werandzie. Pewnie chodziła po balkonie tam i z powrotem, usiłując wypatrzeć coś w deszczu.

W każdym razie miała dach nad głową - pomyślała zniecierpliwiona tą gadaniną Scarlett. Jak to miło i szlachetnie, że Anna tak troszczy się o wszystko, co dotyczy Mrs. Butler, ale to w końcu nie ona omal nie zamarzyła na śmierć!

- Syn powiedział mi, że w swej trosce o jego żonę zdziałałaś prawdziwe cuda - Eleonora zwróciła się do Rebeki. - Nie wiem, jak zdołamy ci się odwdziżyć.

- To nie ja, szanowna pani, to Pan nasz. Wstawiłam się za nią do Jezusa... za tym drżącym z zimna kurczaczkiem. Powiedziałam Mu: Panie, to wcale nie tak poważna sprawa jak z Łazarzem...

Podczas gdy Rebeka opowiadała o wszystkim Mrs. Butler, Anna odpowiadała na pytania Scarlett o Retta. Siedział przy niej dopóki doktor nie stwierdził, że niebezpieczeństwo minęło, po czym wsiadł na prom do Charlestonu i pospieszył do domu, zdając sobie sprawę z tego, jak niepokoi się o niego matka.

- Omal nie zemdlałyśmy widząc, jak przez bramę wchodzi jankeski żołnierz - roześmiała się Anna. - Rett pożyczył mundur od sierżanta.

* * *

Gdy prom przybił do brzegu, Scarlett stanowczo odmówiła dalszej jazdy w wózku inwalidzkim. Upierała się, że równie dobrze może dojść do domu o własnych siłach i rzeczywiście - szła tak, jakby się nic nie stało.

Kiedy jednak weszli do środka, poczuła się tak zmęczona, że poprosiła Annę, aby pomogła jej wejść po schodach. Zjadłszy talerz grochówki z grzankami zapadła w głęboki sen.

Tym razem nie dręczył jej koszmar. Otulona w doskonałą, mięciutką pościel z lnu, wyciągnięta na piernatach wiedziała, że Rett leży zaledwie parę kroków dalej. Spała czternaście godzin.

* * *

Spostrzegła kwiaty zaledwie zdążyła otworzyć oczy. Cieplarniane róże. O flakon stała oparta koperta. Szybko wyciągnęła rękę.

Czarne litery, stawiane pewną ręką, kontrastowały z kremowym papierem. Zanim

zacęła czytać, pieszczotliwie przebiegła dłonią po sztywnej stronicy. Później spojrzała na list od Retta:

O tym, co się wczoraj stało nic więcej powiedzieć się nie da z wyjątkiem tego, że wstydzę się do głębi, i że bardzo mi przykro, że wystawiłem Cię na ból tak wielki, i na tak wielkie niebezpieczeństwo.

Scarlett z przyjemnością poprawiła się na posłaniu.

Twa odwaga i męstwo zaprawdę były heroiczne, zawsze wspominać Cię będę z czcią i szacunkiem.

Gorzko żałuję wszystkiego, co miało miejsce po tym, gdy zdołaliśmy wyjść cało z tej ciężkiej próby. Użyłem słów, jakich żaden mężczyzna nie może skierować do kobiety, a moje poczynania w pełni zasługują na potępienie.

Niestety, nie mogę odwołać niczego z tego, co powiedziałem. Nie powinienem się z Tobą widywać. Nigdy Cię już nie zobaczę.

Jak ustaliliśmy, masz prawo pozostać w domu mojej matki do początku kwietnia. Szczerze mówiąc, żywię jednak nadzieję, że nie skorzystasz z tej sposobności, ponieważ dopóki nie otrzymam wiadomości o Twoim powrocie do Atlanty, nie pokażę się w mieście ani w Dunmore Landing. Nie znajdziesz mnie, Scarlett. Nie próbuj mnie szukać.

Przekaz gotówkowy, w wysokości jak ustalono, otrzymasz natychmiast po swoim powrocie za pośrednictwem wuja Henryka Hamiltona.

Raz jeszcze proszę Cię o przyjęcie moich najszczerzych wyrazów ubolewania za wszystko, co przyniosło nam życie we dwoje. Nie tak to miało być. Życzę Ci szczęśliwszej przyszłości.

Retta.

Scarlett spoglądała na list początkowo zbyt oszołomiona, by odczuwać ból. Potem zbyt gniewna.

W końcu ujęła kartkę kremowego papieru w obie ręce i powoli, bardzo powoli, pedantycznie przedarła na dwie części, a te dwie na jeszcze dwie i tak dalej. Niszcząc list pożegnalny tak, żeby z zapisanych czarnym atramentem słów ślad nie pozostał, szeptała zawzięcie pod nosem:

- Tym razem to ci się nie uda, Recie Butlerze. Uciekłeś ode mnie wtedy, w Atlancie, gdyśmy się kochali. A ja opadłam z sił, chora z miłości do ciebie, czekająca, kiedy wreszcie wrócisz. Teraz jednak wiem znacznie więcej niż wtedy. Wiem, że nie zdołasz wyrzucić mnie z serca, nieważne, jak mocno będziesz się starał. Beze mnie nie możesz

żyć. Nie ma mężczyzny, który kochałby się z kobietą, jak ty ze mną, a potem powiedział, że nigdy już jej nie zobaczy. Wrócisz, tak jak wtedy. Ale ja nie będę na ciebie czekać. Będziesz musiał mnie znaleźć. I będziesz mnie szukał. Gdziekolwiek bym nie poszła, pójdziesz za mną.

Usłyszała, jak dzwony u świętego Michała wybijają godzinę... sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć. Co niedziela o dziesiątej szła na mszę do Panny Maryi. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj ma ważniejsze sprawy na głowie.

Wyślizgnęła się z pościeli. Podbiegła do dzwonka. Lepiej dla Pansy, gdyby się jednak pospieszyła. Muszę być spakowana i znaleźć się na stacji zanim przyjedzie pociąg do Augusty. Muszę wracać do domu. Muszę się przekonać, czy wuj Henryk odebrał pieniądze, a potem zajmę się Tarą...

- Dzień dobry, Miss Scarlett. Miło widzieć panienkę w tak dobrym nastroju po tym wszystkim, co się wczoraj stało...

- Przestań mleć ozorem, tylko przynieś walizy - przerwała jej Scarlett. - Wybieram się do Savannah. Dzisiaj są urodziny dziadka.

Na dworcu spotka się z ciotkami. Przy pociągu. O dwunastej dziesięć odjazd. Jutro odszuka Matkę Przełożoną i porozmawia z biskupem. Nie ma mowy o powrocie do Atlanty bez prawa własności do trzeciej części Tary w garści.

- Nie chcę już tych obrzydliwych starych sukien - krzyknęła, gdy Pansy podała jej tę, którą uszyła w Charlestonie. - Podaj mi jedną z tych, które przywiozłam z Atlanty. Będę się ubierać tak, jak uważam. Już mam dosyć tej konieczności podobania się wszystkim.

* * *

- No i po co cała ta wrzawa - westchnęła Rosemary, z ciekawością oglądając piękną suknię Scarlett. - Ty też gdzieś wychodzisz? Mama mówiła, że pewnie prześpisz cały dzień.

- Gdzie Miss Eleonora? Chciałabym się z nią pożegnać.

- Właśnie wyszła do kościoła. Ale możesz napisać kartkę. Albo powiedz, co mam przekazać mamie.

Scarlett zerknęła na zegar. Czasu niewiele. Dorożka czekała przed drzwiami. Szybkim krokiem przeszła do biblioteki. Wzięła pióro i kartkę papieru. Co by tu napisać?

- Panienko, powóz czeka - zameldował Manigo.

Scarlett w pośpiechu skreśliła kilka zdań: jedzie na urodziny do dziadka, bardzo jej przykro, że nie może się spotkać przed odjazdem, „Rett wszystko wyjaśni?” - dodała, a

na samym końcu dopisała drżącą ręką „Kocham Panią, Eleonoro”.

- Miss Scarlett - zawołała nerwowo Pansy.

Scarlett złożyła kartkę i zapieczętowała.

- Proszę, przekaż to matce - podała list Rosemary. - Muszę się spieszyć. Do widzenia.

- Do widzenia - powtórzyła siostra Retta. Stała w progu, spoglądając na Scarlett, Pansy i stos bagaży na chodniku. Kiedy tej nocy wyjeżdżał Rett, nie było to tak dobrze zorganizowane, jak teraz. Prosiła go, aby nie odjeżdżał, bo nie wyglądał najzdrowiej. Ale on pocałował ją na pożegnanie i zniknął w ciemności. Łatwo mogła sobie wyobrazić, że Scarlett miała coś wspólnego z tym nagłym zniknięciem brata.

Wróciła do salonu, powoli zapaliła zapalniczkę i podłożyła ogień pod list, który wręczyła jej Scarlett.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedziała, spoglądając przez okno na odjeżdżającą dorożkę.

KSIEGA TRZECIA
NOWE ZYCIE

Scarlett z radości aż klasnęła w dłonie, kiedy dorożka zatrzymała się przed domem dziadka Robillarda. Naprawdę różowy, Eleonora nie zmyślała. I pomyśleć, że w ogóle tego nie zauważyłam, choć byłam tu już przedtem! Ale nieważne, to dawne dzieje; liczy się tylko teraz.

Wyskoczyła z dorożki, pognąła po schodach obwiedzionych podwójną metalową poręczą. Wpadła przez otwarte drzwi. Ciotki i Pansy mogą zająć się bagażem - ona umierała z ciekawości, co znajdzie w środku.

Tak, wewnątrz też było na różowo - na różowo, białe i złote. Różowe były ściany, obicia krzeseł i zasłony. Do tego lśniącobiałe kolumny, biała stolarka, a wszystko obwiedzione złotymi lamówkami. Trzeba jednak przyznać, że dom prezentował się znakomicie - ani farba nie obłaziła, ani ściany nie były odrapane, czego nie można powiedzieć o większości domów w Charlestonie i Atlancie. Miejsce jak znalazł, zwłaszcza gdy pomyśleć o scenie pojednania z Rettem: ujrawszy te pokoje nie powinien wątpić, że jej rodzina w każdym calu dorównuje Butlerom gdy idzie o znaczenie i nobliwość.

Także zamożność. Przez otwarte drzwi salonu wodziła wzrokiem po meblach, oceniając wartość każdego z nich. Hm... za tę ilość pieniędzy, ile wydano na jeden złoty listek w sztukateryjnych gzymsach u sufitu, mogłaby wymalować dwór w Tarze z zewnątrz i od środka.

Stary sknera! Dziadek nie dał mi ani pensa, gdy klepałam biedę zaraz po Wojnie, nie mówiąc już o ciotkach, o które też nie zadbał w najmniejszym nawet stopniu.

Scarlett sposobila się do bitwy. Ciotki darzyły starego Robillarda respektem należnym ojcu, ale ona prócz złości nic do niego nie czuła. Przerażliwa samotność, jakiej zaznała w Atlancie, sprawiła, że stała się bojaźliwa, że bała się nawet własnego cienia, tym bardziej więc dała się uwieść urokom życia w Charlestonie. Teraz jednak ujęła swoje losy we własne ręce - czuła, jak cała emanuje energią. Ani człowiek, ni bestia, nie był w stanie napędzić jej stracha. Rett kochał ją, była więc królową świata. Jednym śmiałym ruchem zdjęła z głowy kapelusz, później zsunęła z ramion rotundę. Po czym zaczęła ściągać rękawiczki, zielone, w kolorze niedojrzałego jabłka. Czuła na sobie wzrok ciotek. Całą drogę się na nią patrzyły. Ale Scarlett bardzo była rada, mogąc wreszcie założyć kostium podróży w zielono - brązową kratę - wreszcie zrzuciła z siebie przymus ubierania się w monotonne, brunatne kitle. Rozwiązała kokardę z zielonej tafty, która - zawiązana pod brodą - przydawała oczom blasku. Gdy rękawiczki

wylądowały na kapeluszu, kapelusz na rotundzie, a rotunda na marmurowym blacie konsolki w hallu, Scarlett niedbałym ruchem wskazała na stertę ubrań:

- Pansy, zanieś to na górę i powieś w sypialni... W najładniejszej, jaką znajdziesz. I przestań kryć się po kątach. Nikt cię tu nie pogryzie.

- Scarlett, nie możesz...

- Musisz poczekać... - ciotki załamały ręce.

- Skoro dziadunio niełaskaw wyjść na spotkanie gości, same musimy o siebie zadbać. Na miłość Boską, ciociu Eulalio! Wychowałeś się tu, w tym domu, ciocia Paulina też, nie mówcie więc, że nie czujecie się tutaj jak u siebie.

Odważne były to słowa, śmiałe zachowanie, lecz gdy gdzieś z głębi domu zahuczało basem - Hieronimie! - nawet Scarlett poczuła, jak drżą jej ręce. Dziadek - dopiero teraz przypomniała sobie ten szczegół - jednym spojrzeniem potrafił przeszyć cię na wskroś i sprawić, że nagle zapragnęłaś znaleźć się gdziekolwiek, byle tylko poza zasięgiem tego spojrzenia.

Teraz pojawił się czarny lokaj bardzo słusznej postury i bez słowa wskazał otwarte drzwi po przeciwległej stronie hallu. Scarlett puściła ciotki przodem.

Dawny salon, ogromny i potwornie wysoki, został zamieniony na sypialnię. Pełno tu było mebli - wszystkich tych sof, krzeseł i stołów, które znajdowały się w tym pokoju już wcześniej - lecz ponadto stało tu teraz ogromne łóżko z baldachimem wspartym na czterech kolumnach, z których każdą wieńczył połączony orzeł. W kącie, w stojaku stała flaga francuska i bezgłowy manekin, a na nim obsypany medalami, błyszczący złotymi epoletami mundur Pierre'a Robillarda - ten sam, który nosił, gdy był jeszcze młody i służył w armii napoleońskiej jako oficer. Stary Pierre Robillard siedział w łóżku, wyprostowany, wsparty o piramidę poduszek, spoglądający na gości bezbarwnymi, szklanymi oczyma.

Ojej, ale z niego szczapa. I pomyśleć, że tyle miał kiedyś w sobie krzepy. Teraz jednak ledwie go było widać w tym ogromnym łóżku, nic tylko sama skóra i kości.

- Hello, dziadku! - zawołała. - Przyjechałam z życzeniami urodzinowymi. Jestem Scarlett, córka Ellen.

- Nie straciłem pamięci - powiedział głosem tak mocnym, że aż dziwne było, w jaki sposób może pochodzić z ciała tak słabowitego. - Ale najwidoczniej z twoją pamięcią jest nie w porządku. W tym domu, moja panno, dzieci nie mają prawa głosu, chyba że zostaną zapytane.

Scarlett ugryzła się w język. Nie jestem niedoroślą pannicą, żebyś mógł mnie

traktować w ten sposób, a poza tym i tak powinieneś się cieszyć, że w ogóle ktokolwiek chce się z tobą widzieć. Nic dziwnego, że Mama tak się ucieszyła, gdy pojawił się Papa i zabrał ją z tego domu!

- *Et vous, mes filles. Qu'est - ce - que vous voulez cette fois?* - warknął Pierre Robillard w stronę córek*.

Eulalia i Paulina rzuciły się w stronę łóżka, wykrzykując coś jedna przez drugą.

Coś takiego, mówią po francusku? Co ja tu robię? - Scarlett opadła na wybitą złotym brokatem, szeroką sofę, pragnąc gorąco znaleźć się możliwie daleko stąd, gdziekolwiek. Lepiej niech ten Rett pospieszy się z przyjazdem, inaczej szybko tu oszaleję.

Na dworze zapadał zmrok. W kątach sypialni zrobiło się nagle ciemno, jakoś niesamowicie. Bezgłowy żołnierz sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał ruszyć z miejsca. Scarlett zdało się, że kark jej ściskają czyjeś lodowato zimne palce, skarciła się jednak w duchu i zwymyślała od głupich pensjonarek. Mimo to ucieszyła się, gdy Hieronim i czarna kobieta, wyprostowana i sztywna jakby kij połknęła, weszli do sypialni niosąc lampę. Podczas gdy Murzynka zasłaniała okna, Hieronim zapalał gazowe kinkiety na ścianach. Uprzejmie zwrócił się do Scarlett, czy nie zechciałaby podnieść się na moment i przepuścić go za sofę. Kiedy wstała, poczuła na sobie wzrok dziadka. Szybko pobiegła spojrzeniem w inną stronę. Po chwili uświadomiła sobie, że spogląda na wielki obraz w złoconej, ozdobnej ramie. Hieronim zapalił jedną lampę, potem drugą, obraz jakby ożył.

Portret babki. Znając babkę z obrazu w Tarze, tutaj poznała ją na pierwszy rzut oka, choć malowidła były zupełnie różne. Tutaj czarne włosy Solange Robillard nie były upięte w wysoki kok, lecz opadały jej na plecy i odsłonięte ramiona ciemną kaskadą, ujęte jedynie perłową przepaską. Co prawda zgrabny nosek sterczał tu równie arogancko, ale na wargach błąkał się nieśmiały uśmiech, nie - szyderstwo - a spod wysoko uniesionych brwi ciemne oczy spoglądały tak wesoło, tak poufale, że każdy, kogo dotknęło to spojrzenie, czuł się wyzwany, spętany urokiem, któremu nie sposób było nie ulec. Na tym portrecie babka wyglądała młodziej, była już jednak kobiecej, nie dziewczęcej urody. Krągłe, pół odsłonięte na obrazie w Tarze piersi tu pozostawały ukryte pod stanikiem jedwabnej sukni: ukryte, lecz i widoczne zarazem, przebijające bielą i różem przez cieniutką warstewkę delikatnej materii. Scarlett poczuła, jak pieką ją policzki, jak twarz oblewa się szkarłatem. Hm... babka wcale nie wygląda jak dama -

***Et vous, mes filles. Qu'est - ce - que vous voulez cette fois?* (franc.) - A wy, moje córki, czegoż chcecie tym razem? (Przyp. tłum.)

pomyślała, automatycznie ganiąc się za samą myśl o tym, że tak właśnie wyglądać powinna. Mimo woli stanął jej przed oczyma obraz Retta trzymającego ją w ramionach, przypomniawszy sobie owo dzikie pragnienie, by czuć na własnym ciele dotyk jego dłoni. Babkę zżerał chyba ten sam dziki głód, przeżywała zapewne to samo uniesienie - wyraz jej oczu, uśmiech, mówiły same za siebie. Nie, nie mogę się mylić w tym, co czuję. Cóż by to mogło być innego? Czyżby więc to skażenie bezwstydem, które miała we krwi, pochodziło od kobiety uśmiechającej się do niej z obrazu? Scarlett zadarła głowę, spoglądała do głębi ujęta.

- Scarlett - ktoś szepnął jej do ucha. - To Paulina. - *Père* życzy sobie, byśmy go opuściły. Powiedz cichutko „dobranoc” i pójdz za mną.

* * *

Na kolację podano pieczeń. Nie dość, że porcje były głodowe, to jeszcze tak twarde, że chyba dorównywały twardością fantazyjnym płomiennopiórym ptakom wymalowanym na talerzach.

- To dlatego, że kucharka jest zajęta przygotowaniem do urodzin - wyjaśniła Eulalia ledwo słyszalnym szeptem.

- Na cztery dni przedtem? - huknęła Scarlett. - To chyba musi doglądać kurczaki, czy dobrze rosną.

Jezus Maria, jeśli w ten sposób będą je tu karmić aż do czwartku, to chyba zostanie ze mnie sama skóra i kości - westchnęła w duchu. Dlatego gdy cały dom pogrążył się we śnie, zeszła na palcach do kuchni w suterenie i zaspokoila głód chlebem z maślanką, bo to znalazła w spiżarni. Tym razem niech sobie służba pogłoduje - pomyślała z ponurą satysfakcją, iż jej podejrzenia okazały się stuprocentowo słuszne. Bo chociaż Pierre Robillard wymuszał głodem posłuszeństwo córek, to jednak nie mógł głodzić służby, w przeciwnym razie wszyscy służący by uciekli.

Następnego dnia rano kazała Hieronimowi przynieść sobie jajecznicę na bekonie i grzanki.

- Tylko nie mów, że nie ma - zgasiła pytające spojrzenie lokaja. - Widziałam w kuchni.

I otrzymała, co chciała. Zdegustowana własną potulnością, wymuszona na niej wczoraj wieczorem, teraz poczuła się znacznie lepiej. To nie jest w moim stylu, poddawać się tak bez walki - myślała. Jeśli nawet Paulina i Eulalia drżą ze strachu przed ojcem niczym osika, to jeszcze nie powód, żeby dać się obrażać złośliwemu starcowi. Nie dopuszczę, by powtórzyło się to raz jeszcze.

Niemniej jednak była zadowolona, że nie z dziadkiem ma do czynienia, tylko ze służbą. Spozrzęła obrażoną minę Hieronima i bardzo była tym ucieszona. Już od dłuższego czasu nie mogła sobie pozwolić na grę w otwarte karty, dlatego z radością korzystała z pierwszej nadarzającej się okazji - lubiła przecież wygrywać.

- Panie starsze też chciałyby otrzymać na śniadanie jajecznicę na bekonie - powiedziała do Hieronima. - Poza tym dostałam za mało masła do grzanek.

Hieronim sztywnym krokiem oddalił się wydać polecenia kuchni. Żądania Scarlett zdały się obrażać poczucie przyzwoitości całej służby, lecz wcale nie dlatego, że zmuszała ich do pracy, nie prosiła bowiem o wiele - zaledwie o to, co sami jedli na śniadanie. Nie, to nie żądania jako takie wywoływały niechętnie reakcje - kamieniem obrazy była młodość Scarlett, jej młodzieńcza werwa, zakłócająca zatęchłą, przytłumioną atmosferę tego domu. Służbie pozostawało jedynie ufać, że wkrótce stąd odjedzie, nie wprowadzając zbyt wiele zamętu w ustalony tryb życia.

Po śniadaniu Eulalia i Paulina oprowadziły Scarlett po całym parterze, pokazując każde pomieszczenie, rozprawiając z ochotą o wszystkich balach i przyjęciach, które przeżyły tu w latach młodości, poprawiając jedna drugą, kłócąc się zawzięcie o szczegóły. Scarlett przystanęła na dłużej przed portretem trzech dziewcząt, usiłując dostrzec w rysach twarzy pucułowatej pięcioletniej dziewczynki pierwsze zapowiedzi urody dorosłej Ellen O'Hary. W Charlestonie, gdzie wszyscy byli z wszystkimi w jakiś sposób skoligaceni, Scarlett czuła się osamotniona, dobrze więc jej zrobiło znaleźć się w domu, gdzie przysła na świat i dojrzewała jej matka, w mieście, w które wrosła.

- Pewnie macie miliony kuzynów w Savannah - zwróciła się do ciotek. - Opowiedzcie mi o nich.

Paulina i Eulalia zmieszały się lekko. Kuzynostwo? Owszem, żyli jacyś Prudhomme'owie, rodzina ze strony matki, ale tu, w Savannah, mieszkał tylko jeden leciwy dżentelmen, wdowiec po siostrze ich matki. Reszta rodziny już przed laty przeniosła się do Nowego Orleanu.

- W Nowym Orleanie wszyscy mówią po francusku - wyjaśniła Paulina. - Ale co się tyczy rodziny Robillardów, to jest bardzo nieliczna. - *Père* ma mnóstwo kuzynów we Francji, także dwóch braci, lecz do Ameryki przyjechał tylko on jeden.

Przerwała jej Eulalia.

- Ale w Savannah mamy naprawdę wielu przyjaciół, Scarlett. Chętnie cię przedstawimy. Razem z siostrzyczką będziemy dzisiaj oddawać wizyty i składać karty wizytowe. Możesz pójść z nami... o ile tylko *Père* nie będzie nas potrzebował.

- Dobrze - szybko zdecydowała się Scarlett. - Lecz muszę wrócić przed trzecią.

Chciała być w domu, gdy Rett przyjedzie, poza tym chciała się mu pokazać z najlepszej strony. Zanim przybędzie popołudniowy pociąg z Charlestonu, parę ładnych godzin minie jej na kąpieli i przy toalecie.

* * *

Ale Rett nie przyjechał. Za to kiedy Scarlett podniosła się z ławeczki w nieskazitelnie utrzymanym, bardzo konwencjonalnie urządzonym ogródku na tyłach domostwa Robillardów - sama troskliwie wybrała to miejsce, uznając, że tu najlepiej wypadnie scena powitania - czuła się przemarznięta do szpiku kości. Zrazu nie chciała przyjąć zaproszenia ciotek, które pragnęły ją zabrać wieczorem na koncert. Pomyślała sobie, że jeśli będzie to choćby z grubsza podobne do tego, co musiała przejść dziś po południu, jeśli znowu zbiorą się wiekowe damy i zaczną snuć smętne wspomnienia, to ani chybi zanudzi się na śmierć. Lecz gdy spoczęło na niej złowrogie spojrzenie dziadka, który przyjął - tak, przyjął! - rodzinę na dziesięć minut przed kolacją, natychmiast zmieniła zdanie. Wszystko gotowa znieść, byleby tylko nie pozostać ze starym Robillardem sam na sam w pustym domu.

* * *

Siostry Telfair - Maria i Małgorzata - były uznanymi w Savannah stróżkami życia kulturalnego miasta, a ich wieczorki muzyczne niczym nie różniły się od tych, które Scarlett dane już było poznać. Zwykle w ich domu spotykały się panie pragnące publicznie pokazać swe „talenta”: jedne śpiewały, drugie akompaniowały na fortepiano. Godziło się, by każda dama trochę śpiewała, trochę grała, trochę szyła, trochę malowała akwarelami i trochę haftowała lub robiła na drutach. Ale w domu Telfairównych przy skwerze świętego Jakuba wszystko to odbywało się na prawdziwie światowym poziomie. W pięknym i wielkim salonie, utworzonym z dwóch mniejszych, oddzielonych rozsuwanymi drzwiami, ustawiono w półkołu rzędy krzeseł o złożonych oparciach, a z przodu postawiono fortepianin, harfę oraz dodatkowo sześć krzeseł dla solistów - obok podstawki pod nuty - obietnica prawdziwego koncertu. Wielki, również złożony z dwóch pomieszczeń salon w domu Butlerów łatwo można było urządzić w ten sposób, ale na tym podobieństwa się kończyły - przyjęcia, jakie tam wydawano, były zupełnie innego rodzaju. Scarlett wprawdzie nie cieszyła się sławą eleganckiej gospodyni, nigdy jednak nie dałaby się poznać w roli starej, wyfiokowanej kobiety, a tak właśnie wyglądały obie Telfairówny. Ani też nie zaniedbałyby się do tego stopnia,

jak te młode osóbkę tutaj. Skąd, u Boga, wzięło się tutaj, na Południu, to osobliwe przekonanie, że aby dowieść własnej szacowności trzeba wyglądać jak ostatni nędzarz, który nie ma czym okryć grzbietu?

Kwartet smyczkowy nudził ją niepomiernie, a kiedy harfistka dobrała się do instrumentu, myślała, że już nigdy nie skończy. Za to śpiew bardzo jej się podobał, choć nigdy nie była w operze. Wreszcie jakiś mężczyzna. Co prawda śpiewał z kobietą, ale zawsze to lepiej niż dwie wyrośnięte panny. A kiedy skończyły się popisy wokalne w obcych językach, wykonano kilka śpiewów, które znała. Męski głos w *Pięknym Marzycielu* był cudownie romantyczny, drżał od uczucia, gdy śpiewał *Wracaj do Erim, Mavoureen, Mavoureen*. Musiała przyznać, że brzmiało to znacznie lepiej niż pijackie pienia Geralda O'Hary.

Ciekawe, jakby Papa zareagował na to wszystko? - Scarlett roześmiała się półgłosem. Pewnie podśpiewywałby sobie i zaprawiał poncz tym, co miałby w piersiówce. A potem poprosiłby o *Peggy na wozie*. Dokładnie tak, jak wtedy, gdy prosił, aby Rett mu zaśpiewał...

W jednej chwili znikł salon i ludzie, i słyszała głos Retta rozbrzmiewający w przewróconej łodzi, czuła jak obejmuje ją ramionami, czuła jego ciepło... Nie, beze mnie nie wytrzyma. Tym razem to on do mnie przyjdzie. To mój czas.

Scarlett nie zdawała sobie sprawy, że uśmiecha się słuchając przejmującej interpretacji *Nitek srebrnych między złotymi*.

Następnego dnia wysłała telegram do wuja Henryka, podając mu swój adres w Savannah. Na moment zawahała się, ale później postanowiła dodać jeszcze jedno pytanie: czy Rett przesłał jej jakieś pieniądze?

A co, jeśli usiłuje zagrać tę samą grę raz jeszcze i nie przysyła ani grosza na utrzymanie domu przy Brzoskwiniowej? Nie, to raczej niemożliwe. Prędzej już coś odwrotnego - z listu wynikało przecie, że przesłał jej pół miliona.

Nie, to nieprawda. Znowu się z niej naigrawał. To jak opium, sam tak twierdził. Nie, bez niej sobie nie poradzi. Przybędzie tu po nią. Niełatwo mu będzie powściągnąć własną dumę, trudniej niż któremukolwiek mężczyźnie, ale przyjdzie. Musi. Bez niej nie może przecie żyć. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się na plaży.

Scarlett poczuła ciepłą falę słabości przepływającą przez jej ciało, siłą musiała sobie przypomnieć, gdzie właściwie się znajduje. Zapłaciła za telegram, po czym uważnie przysłuchiwała się telegrafście, który instruował ją, jak dojść do klasztoru Sióstr Miłosierdzia. Zaledwie skończył, wybiegła z budynku poczty krokiem tak spieszonym, że

Pansy z trudem trzymała tempo. Czekając na przyjazd Retta powinna mieć wystarczająco dużo czasu, by wytropić Matkę Przełożoną i dostać się na audiencję u biskupa, zgodnie z zaleceniami Retta.

* * *

Klasztor Sióstr Miłosierdzia w Savannah był dużym białym budynkiem z krzyżem na wysokich, zamkniętych drzwiach; budynek otaczało metalowe ogrodzenie z zamkniętą bramą, zwieńczoną metalowymi krzyżkami. Scarlett, ujrawszy budowlę, zwolniła kroku - w porównaniu z wdzięcznym klaszturem charlestońskim wyglądało to całkiem inaczej.

- Miss Scarlett, chce panienka wejść tam do środka? - głos Pansy wyraźnie drżał. - To chyba lepiej, jak poczekam przed bramą. Jestem baptystką.

- Głupia gęś! - strachliwość Pansy dodała Scarlett odwagi. - To przecież nie kościół, tylko dom dla panien... dla miłych panienek, takich jak Miss Karina.

Leciutko pchnęła metalowe skrzydło. Brama otworzyła się.

* * *

Tak - powiedziała starsza mniszka, która otworzyła Scarlett drzwi - tak, charlestońska Matka Przełożona bawi w klasztorze w Savannah. Nie, nie może spytać, czy zgodziłaby się przyjąć teraz Mrs. Butler, ponieważ właśnie trwa kongregacja. Nie, nie wie, jak długo będzie trwało, ani też kiedy Matka Przełożona znajdzie sposobność na widzenie z Mrs. Butler. Ale może Mrs. Butler zechce obejrzeć szkołę - zakon jest bardzo dumny ze swoich osiągnięć. Można by też pomyśleć o zwiedzeniu nowej katedry. Może wtedy, gdy obrady się skończą, może wtedy nadarzy się sposobność powiadomienia Matki Przełożonej.

Scarlett zmusiła się do uśmiechu. Ostatnią rzeczą, którą mogłaby podziwiać, jest stado dzieciaków - pomyślała gniewnie. Albo jakiś kościół. Już chciała powiedzieć, że nie, że wróci tu później, lecz słowa zakonnicy nasunęły jej pewien pomysł. Aha, więc budują nową katedrę? Tak. A to kosztuje. Może więc jej oferta wykupienia posagu Kariny będzie tu widziana łaskawszym okiem niż w Charlestonie. Bo przecież w końcu Tara należała do Georgii, do diecezji, którą zarządzał biskup Georgii. A jeśli zaproponuje, że ufunduje do nowo budowanej katedry witraż w zamian za posag Kariny? Byłoby to warte znacznie więcej niż jedna trzecia udziału w dziedzictwie Tary, musi tylko wyraźnie zaznaczyć, że ofiaruje witraż w zamian, nie jako dodatek. Biskup na pewno pójdzie po rozum do głowy - już on powie Matce Przełożonej, co o tym

wszystkim ma myśleć.

Uśmiech Scarlett rozpromienił całą jej twarz, przybrał na sile.

- Będę zaszczycona mogąc obejrzeć katedrę, siostró. Ale czy siostra jest pewna, że nie przysporzy to jej zbyt wielu kłopotów?

* * *

Pansy rozdziawiła usta z podziwu spoglądając na strzeliste bliźniacze wieże neogotyckiej katedry. Robotnicy na rusztowaniach cienką pajęczyną obiegających niemal gotowe już iglice sprawiali wrażenie wiewiórek - mali i zwinni, krzątający się po gałęziach rosnących obok siebie drzew. Scarlett jednak nie obchodził rozgrywający się hen w górze, gdzieś wysoko nad jej głową spektakl. Serce żwawiej jej zabiło, gdy popatrzyła na znaną krzątanicę na dole, gdy usłyszała łomot młotów, jęk pił, a zwłaszcza gdy do jej nozdrzy dotarł znany, rześki zapach świeżo pociętych tarcic. Och, jakże brakło jej tartaku i składu drewna! Ręce ją swędziały, chciało się jej dotykać gładkich desek, chciała być czymś zajęta, sortować, zarządzać - cokolwiek, byleby tylko nie wypijać morza herbaty z filigranowych filiżanek, potakując żalonym wzdychaniom filigranowych, ciężko przez los doświadczonych staruszek.

Ledwo słyszała słowa młodego księdza, rozplywającego się w zachwytach nad przyszłym kształtem budowli. Nie zauważyła nawet ukradkowych, pełnych podziwu spojrzeń, jakie rzucali w jej stronę krzepcy robotnicy, rozstępujący się, by zrobić przejście księdzu i jego towarzysze. Zbyt była zajęta. Z jakich to prostych, wysmukłych drzew pochodziły te kolosy? To z pewnością najlepszy gatunek sosny, jaki zdarzyło się jej widzieć. Ciekawe, gdzie je rzną, jakie mają piły, jakiej mocy. Och, gdyby tak była mężczyzną! Wtedy przynajmniej mogłaby pytać bez skrępowania, mogłaby pójść oglądać tartak, nie kościół. Przebierała nogami wśród zwałów trocin, wdychając ostry zapach żywicy.

- Niestety, muszę wracać do szkoły na obiad - odezwał się przeproszającym tonem młody kapłan.

- Oczywiście, ojczu, już idę.

Wcale nie chciała wracać, lecz co miała mu powiedzieć? Wyszła za księdzem z katedry.

- Wybacz, ojczu - zwrócił się do przewodnika jakiś barczysty mężczyzna o czerwonej twarzy, w czerwonej koszuli, pokrytej grubą warstwą ceglanego pyłu - w porównaniu z nim ksiądz wyglądał niepozornie i blado.

- Gdyby tak ojciec zechciał wyrzec króciutkie błogosławieństwko... niecałą godzinę

temu położyliśmy nadproże w kaplicy Najświętszego Serca.

Hm... brzmi całkiem jak irlandzki akcent Papy - Scarlett schyliła główkę na słowa błogosławieństwa, naśladowując w tym grupę robotników. Aż oczy ją piekły od mocnego zapachu żywicy, co - wraz ze wspomnieniem ojca - wycisnęło jej z oczu parę łez.

Pojadę do braci Papy - postanowiła. Nieważne, czy mają po sto lat, czy może więcej. Papa na pewno chciałby, żebym ich odwiedziła i pożegnała już na zawsze.

W towarzystwie księdza wróciła do klasztoru, gdzie stara zakonnica po raz drugi odmówiła jej widzenia z Matką Przełożoną.

Scarlett zdołała się opanować, lecz oczy błysnęły jej groźnie.

- Proszę powiedzieć Matce, że będę tu dzisiaj po południu.

Kiedy żelazna furta zamknęła się za nią, gdzieś z odległości kilku przecznic dobiegło ją dudnienie dzwonów.

- Psiakość! - mruknęła ze złością. Spóźni się na obiad.

Zaledwie otworzyła drzwi do dużego różowego domu, poczuła zapach smażonych kurczaków.

- Weź to - z rekordową szybkością zrzuciła rotundę, zdjęła kapelusz, rękawiczki - Pansy wylapywała fruujące w powietrzu części garderoby. Scarlett była bardzo głodna.

Gdy weszła do jadalni, Eulalia musnęła ją aksamitnym spojrzeniem jak zwykle żalobnych oczu.

- *Père* pragnie się z tobą widzieć.

- Nie może poczekać aż skończę z obiadem? Jestem potwornie głodna.

- *Père* powiedział: „natychmiast, gdy się tu zjawi”.

Scarlett chwyciła w przelocie ciepłego, parującego jeszcze rogalika i obracając się na pięcie gniewnie klapnęła zębami. Zanim weszła do sypialni dziadka, rogalika już nie było.

Pochylony nad talerzem, niewidoczny niemal w ogromnym łóżu starszy człowiek podniósł głowę, gdy tylko usłyszał szmer jej sukni. Ujrzawszy Scarlett, zmarszczył brwi. Na talerzu, co spostrzegła, była zaledwie kartoflana papka i kawałki rozgotowanej marchewki.

Panie Święty! Nic dziwnego, że wygląda jakby go coś bolało. Przecież na tych ziemniakach nie ma nawet płątka masła. To już bezzębnych odżywia się lepiej.

- Nie toleruję, gdy ktoś zakłóca porządek tego domu.

- Przepraszam, dziadku.

- To dyscyplina pchnęła armię Cesarza ku wielkim czynom. Gdzie brak dyscypliny, tam lęgnie się chaos.

Mówił głosem niskim, silnym, przyprawiającym o strach. Ale Scarlett widziała kościste nogi, wystające zza ciężkiej, lnianej koszuli nocnej i niczego się nie bała.

- Powiedziałam, że przepraszam. Mogę już odejść? Jestem głodna.

- Nie bądź impertynencka, panno.

- O ile wiem, w fakcie bycia głodnym trudno doszukać się impertynencji, dziadku. Jeśli nie masz ochoty na obiad, nie znaczy to wcale, że inni też mają dać się zagłodzić.

Pierre Robillard gniewnie odsunął tacę.

- Kleik! - krzyknął - I świnię tego nie zjedzą.

Scarlett zawróciła w stronę drzwi.

- Nie powiedziałem, że możesz wyjść, moja panno.

W tej samej chwili zaburczało jej w żołądku. Rogaliki pewnie wystygły, a zważywszy apetyt ciotki Eulalii, z kurczaka zostały kości.

- Na miłość Boską, dziadku, przecież nie jestem twoją podkomendną! Ani się ciebie nie boję, w przeciwieństwie do moich ciotek, a twoich córek. Co ty sobie myślisz? Że może wolno ci rozstrzelać mnie za dezercję? Jeśli chcesz zagłodzić się na śmierć, Bóg z tobą. Gdy jednak o mnie chodzi, to jestem głodna i w tej chwili idę na obiad, a raczej to, co z niego zostało.

Już jedną nogą była za progiem, gdy dobiegły ją jakieś dychawiczne świsty i pochrapywania. Dobry Boże, czyżbym przyprawiła go o apopleksję? Nie dozwól, by ten starzec umarł przeze mnie.

Odwróciła się.

Pierre Robillard trząśł się od śmiechu.

Scarlett oparła dłonie o biodra, patrzyła się, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co widzi. Omal sama nie umarła ze strachu.

Pierre Robillard uniósł dłoń o wysmukłych, wychudzonych palcach. Odprawił ją machnięciem ręki.

- Idź jeść! - zawołał. - Jeść.

Po czym znowu wybuchnął śmiechem.

* * *

- Co się stało? - spytała Paulina.

- Czy mi się zdawało, czy słyszałam jakieś krzyki? - dopytywała się Eulalia.

Siedziały przy stole. Obiad już zjadły, teraz czekały na deser.

- Nic się nie stało - syknęła Scarlett z zaciśniętych zębów. Porwała za srebrny dzwoneczek i zaczęła nim wściekle potrząsać. Gdy w drzwiach ukazała się otyła czarna pokojówka, niosąc dwie miseczki budyniu, Scarlett podeszła do niej, położyła jej dłoń na ramię i odwróciła do siebie.

- A teraz - zaczęła drżącym z wściekłości głosem - biegiem do kuchni. Biegiem, a nie spacerkiem, chyba rozumiesz? Przyniesiesz mi obiad. Ciepły, dużo i szybko. Nie dbam, które z was ostrzyło sobie na to apetyt, ale będziecie musieli oddać, co moje, migiem. Chcę udko, pierś, ziemniaki polane sosem i ciepłe rogaliki z masłem. Jazda.

Opadła na krzesło, gotowa stoczyć walkę z ciotkami, jeśli pisną choćby słówkiem. W jadalni zrobiło się cicho. W ciszy podano obiad.

Paulina trzymała język na wodzy aż do chwili, gdy Scarlett zaspokoila pierwszy głód. Dopiero wtedy zdobyła się na odwagę:

- Co ci powiedział *Père*? - spytała bardzo grzecznie.

Scarlett otarła usta serwetką.

- Usiłował znęcać się nade mną, jak nad tobą, ciociu, i nad ciocią Eulalią, ale wyłożyłam mu, co o tym myślę. Bardzo go to rozśmieszyło.

Siostry wymieniły przerażone spojrzenia. Scarlett uśmiechnęła się, podlała resztę ziemniaków sosem. Ale że też takie głupie gęsi z tych - zdałoby się - wiekowych dam! Czyżby ciągle jeszcze nie zdołały się przekonać, że wobec tyranów w rodzaju ich ojca można przyjąć tylko dwie postawy: albo walczyć i wygrać, albo dać się wdeptać w ziemię?

Scarlett nigdy nie dała się styranizować i nigdy nawet nie musiała opierać się czymś zapędom w tym kierunku, a to dlatego, że sama pierwsza tyranizowała ludzi. Stary Robillard wybuchnął śmiechem, ponieważ zrozumiał, że tym razem trafił na równego sobie przeciwnika.

Kiedy podano deser, dało się odnieść wrażenie, jakoby czarka tapioki była nieco większa od tych, którymi musiały ukontentować się siostry. Eulalia uśmiechnęła się wdzięcznie do Scarlett.

- Właśnie rozmawialiśmy, jak to dobrze znowu znaleźć się w domu. Nie sądzisz, moja droga, że Savannah to milutkie miasteczko? Widziałaś fontannę na Chippewa Square? A teatr? Niewiele młodszy od charlestońskiego. Pamiętam, jak siedząc w ławie szkolnej zwykliśmy były zaglądać przez okno i spoglądać na przechadzające się aktorki. A ty, siostrzyczko, pamiętasz?

Paulina pamiętała. Pamiętała też, że Scarlett wyszła dzisiaj z samego rana bez opowiedzenia się, dokąd idzie, nie powiedziała także, gdzie była. Gdy zatem Scarlett zdała sprawę z wizyty na budowie nowej katedry, Paulina położyła paluszek na usta. *Père*, szepnęła, jest zagorzałym wrogiem Kościoła Rzymskiego. Ta jego niechęć wynika w jakiś sposób z historii Francji, nie wiadomo dokładnie, o co tu chodzi, w każdym razie wszystko, co wiąże się z Kościołem, bardzo irytuje Papę. Właśnie dlatego jadąc do Savannah wyjeżdżały z Charlestonu zawsze po niedzielnej mszy świętej i zawsze wracały do domu w sobotę, by zdążyć na niedzielną służbę Bożą. W tym roku trzeba będzie pokonać trudności szczególnego rodzaju, albowiem ze względu na wczesną Wielkanoc, Środa Popielcowa zastanie ich w Savannah. Oczywiście i tak pójdą na mszę, wyjdą z domu skoro świt, nikt ich nie zauważy, ale jak ukryć przed Papą ślady po popiele, widoczne przecież na czołach?

- Umyjcie się - westchnęła zniecierpliwiona Scarlett, zdradzając tym samym

całkowitą niewiedzę w kwestii świętych obrzędów i stosunkowo świeżej daty nawrócenia. Zgniotła serwetkę.

- Będę szczerą - zaczęła w przyływie świeżej energii. - Zamierzam... zamierzam odwiedzić ciotki i wujów O'Harów.

Nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, że usiłuje odkupić od zakonu posag Kariny. A zwłaszcza nie chciała, by dowiedziały się o tym ciotki. Za dużo plotkowały. Jeszcze napisałyby jakiś list do Zueli... Uśmiechnęła się najśłodziej, jak umiała.

- O której idziemy na mszę?

Pewna była, że wieść o jej pobożności dojdzie do Matki Przełożonej. A jeśli nawet zdążyła już zapomnieć, co to takiego ta Środa Popielcowa... nie ma potrzeby o tym wspominać.

Cóż z tego, że zostawiła różaniec w Charlestonie? Kupi sobie nowy. W sklepie wuja O'Hary. O ile dobrze pamięta, wszystko tam mają, mydło i powidło.

* * *

- Miss Scarlett, kiedy wracamy do Atlanty? Nie czuję się dobrze wśród tych ludzi w kuchni dziadka panienki. Wszyscy tacy starzy. No i buty mi się zdarły od tego biegania. Kiedy wrócimy do domu, gdzie tak dobrze i gdzie są takie wspaniałe powozy?

- Przestań wreszcie narzekać, Pansy. Wrócimy, gdy powiem, że wracamy.

Scarlett niewiele serca włożyła w tę odpowiedź, bowiem myślami błądziła zupełnie gdzie indziej: usiłowała przypomnieć sobie, gdzie znajduje się sklep wuja - bez powodzenia. Chyba już mnie ogarnęła starcza skleroza - pomyślała. Przynajmniej w tym, co się tyczy staruszków w kuchni u dziadka, Pansy ma rację. Rzeczywiście, wszyscy, których znam w Savannah, są starzy. Dziadek, obie ciotki, ich znajomi... Bracia Papy dożyli już pewnie wieku matuzalemowego. Wpadnę tylko na chwilę, powiem „dzień dobry”, nadstawię policzków do tych obmierzłych, wyschniętych starczych pocałunków, kupię różaniec i ucieknę. Nie ma powodu, żebym musiała spotkać się z ich żonami. Gdyby naprawdę obchodziło ich, co u mnie słychać, mieli dość czasu w ciągu tych wszystkich lat, by dać jakiś znak życia. Cóż, równie dobrze mogłabym umrzeć, zostać pogrzebana, a oni nawet nie zdobyliby się na depeszę kondolencyjną do męża i dzieci. Rzec by można, oto wzorowy przykład traktowania bliskich krewnych na odległość. A może by tak zapomnieć o nich, dać sobie spokój z tą wizytą? Ostatecznie wcale nie zasługują na dowody przywiązania z mojej strony po tym, jak zlekceważyli mnie, nie odpowiadając na moje listy, aż w końcu przestałam je wysyłać.

Ale w obliczu tego, co stać się miało, gotowa była puścić te zniewagi w niepamięć.

Uknuła pewien plan, skoncentrowała się na dwóch sprawach: po pierwsze, przejąć kontrolę nad Tarą; po drugie, wygrać z Rettem. Mniejsza z tym, że oba cele wzajemnie się wykluczały - już ona tak pokieruje wszystkim, że będzie miała w garści i jedno, i drugie. By tak się jednak stało, musiała wszystkie swe myśli skupić na obu sprawach. Muszę wytropić Matkę Przełożoną i biskupa. Och, jaka szkoda, że zostawiłam te różańce w Charlestonie... szybko obrzuciła spojrzeniem frontony domów po drugiej stronie Broughton Street - handlowej ulicy Savannah. Gdzieś blisko powinien znajdować się jubiler.

Prawie tuż naprzeciwko, na ścianie, nad pięcioma wypucowanymi do połysku oknami rozciągał się połączanymi literami wielki napis *O'Hara*. Boże ty mój - westchnęła w duchu Scarlett - w końcu jednak zdołali się wybić. Wcale nie wyglądało to jak składzik rupieci.

- Idziemy - rzuciła do Pansy, po czym obie przebiły się przez ruchliwą ulicę, pełną wozów, powozów i wózków.

Sklep O'Harów pachniał świeżą farbą, a nie starym kurzem. Wkrótce się wyjaśniło dlaczego: nad ladą unosił się wielki transparent z zielonego muślinu, zaś na nim, złotymi literami obwieszczano WIELKIE OTWARCIE. Scarlett rozejrzała się zazdrośnie: sklep był dobre dwa razy większy od tego, który miała w Atlancie, towar był świeższy i w większym wyborze. Obok poetykietowanych skrzyń i zwojów jasnych tkanin, pnących się na półkach w górę, aż do sufitu, w równym szeregu stały beczki z mięsem i mąką, obiegając pomieszczenie. Zaś niedaleko od brzuchatego pieca, na samym środku, na wysokim kontuarze stały wielkie, kuszące zawartością słoje z cukierkami. O, tak, zapewne wujowie się wybili. Sklep, który pamiętała z roku 1861 nie znajdował się w centralnej, eleganckiej części Broughton Street, był ciemny, pozostawiany czym się dało, nawet bardziej niż jej w Atlancie. Ciekawe, ileż to mogło kosztować... może dowie się tutaj czegoś, co da się wykorzystać we własnym interesie.

Szybko podeszła do lady.

- Chciałabym się widzieć z Mr. O'Harą, jeśli to możliwe - powiedziała do wysokiego mężczyzny w fartuchu, który właśnie mieszał coś w zbiorniczku lampy naftowej.

- Chwileczkę, będzie pani łaskawa poczekać - odparł, nie podnosząc wzroku znad lady. W jego głosie słychać było cień irlandzkiego akcentu.

Tak, to sensowne - pomyślała sobie. W sklepie prowadzonym przez Irlandczyków nawet subiecki mają irlandzką wymowę. Spojrzała na etykiety skrzyń spiętrzonych na wysokich półkach naprzeciwko - subiekt wylał resztki starej nafty na papier, po czym

zaczął wlewać nową. Hm... może by warto było samej w ten sposób układać rękawiczki: nie według koloru, lecz wielkości? Kiedy otworzysz skrzynkę, z wybraniem odpowiedniego koloru raczej nie masz trudności, ale w pudle pełnym jednokolorowych rękawiczek znaleźć odpowiedni rozmiar jest już dość trudno. Że też nie pomyślała o tym wcześniej!

Mężczyzna za ladą zaczął mówić, zanim jeszcze Scarlett zdążyła wrócić myślami do rzeczywistości.

- Ja jestem O'Hara - powtórzył, ponieważ za pierwszym razem do niej nie dotarło. - Czym mogę pani służyć?

Och, a jednak to nie był sklep jej wujów! No tak, pewnie nic się nie zmieniło i jest tam, gdzie zawsze się znajdował. Scarlett pospiesznie wyjaśniła, na czym polegał jej błąd. Szuka starszych panów O'Harów. Pana Andrzeja lub pana Jakuba.

- Mógłby mi pan wskazać, gdzie znajduje się ich sklep?

- To właśnie tutaj. Jestem ich bratankiem.

- Och... och, wielki Boże. W takim razie jesteś moim kuzynem... Kasia Scarlett, córka Geralda. Z Atlanty.

Scarlett wyciągnęła rękę. Kuzyn! Wysoki, dobrze zbudowany, do starości mu daleko! Czują się tak, jakby podarowano jej prezent - niespodziankę.

- A ja jestem Kuba - zawołał kuzyn ze śmiechem, ujmując jej dłonie w swoje. - Kuba do usług, Scarlett O'Hara. Dla zmęczonego kupca prezent z ciebie nie lada! Piękna jak Jutrzenka, spadasz nam z nieba niczym gwiazda. Powiedz, jak to się stało, że trafiłaś tu dokładnie na otwarcie nowego sklepu? Pozwól tutaj... zaraz przyniosę krzeselko.

W jednej chwili zapomniała o różańcu. O Matce Przełożonej też zapomniała. I o Pansy, która usadowiwszy się na niskim stołeczku w samym kącie sklepu zapadła w sen, głowę złożonywszy na końskich derkach.

Kuba O'Hara mruknął coś pod nosem, gdy wrócił z zaplecza z krzesłem dla Scarlett i ujrzał klientów, których trzeba było obsłużyć - mruknął coś tytułem usprawiedliwienia. W ciągu następnej pół godziny klientów pojawiała się coraz to więcej, tak że Kuba nie miał nawet chwili przerwy, by zamienić ze Scarlett bodaj słówko - tylko spoglądał na nią z niemą prośbą o wybaczenie. Scarlett jednak uśmiechała się i potrząsała głową: co tu wybaczać? Dobrze się tutaj czuła, w dobrze prowadzonym, ciepłym sklepie, nie narzekającym na brak klientów, ze świeżo odkrytym kuzynem, którego kompetencje i ogromny talent w pracy na tym stanowisku obserwowała z niekłamaną przyjemnością.

W końcu nadeszła krótka chwila, gdy w sklepie z klientów została tylko matka z trzema córkami - przeglądały pudła koronek.

- Dobrze, wobec tego będę mówił jak rwąca rzeka - zaczął Kuba. - Wuj Jakub bardzo będzie chciał cię zobaczyć, Kasiu. Jest co prawda wiekowy, ale ciągle aktywny. Codziennie wysiaduje tu w sklepie, od rana do obiadu. Może nie wiesz, ale jego żona... wieczne odpoczywanie... nie żyje, podobnie jak żona wuja Andrzeja. Jej śmierć złamała mu serce i, biedaczyna, przeniósł się za nią na łono Abrahama niespełna miesiąc później. Niech aniołowie zawiodą ich do raju. Wuj Jakub mieszka ze mną, z moją żoną i dziećmi. To niedaleko stąd. Może przyjdiesz do nas na herbatę jeszcze dzisiaj po południu? Zobaczysz się z wszystkimi. Daniel powinien zaraz wrócić, a wtedy możemy wyjść razem. Dobrze się składa, właśnie dzisiaj obchodzimy urodziny córki, będzie cała rodzina.

Scarlett odparła, że z największą przyjemnością, po czym - zdjęwszy kapelusz i rotundę - podeszła do pań, które ciągle oglądały koronki. Zatem z całego rodu O'Harów nie ona jedna wiedziała, jak prowadzić sklep. Zresztą nie tylko ten sklep był dla niej powodem radosnego podniecenia - zbyt silnego, by zdołała wytrzymać siedząc na jednym miejscu. Urodziny córeczki kuzyna. Zobaczymy! W każdym razie to pierwsza kuzynka z drugiego pokolenia. Chociaż Scarlett wyrosła w samotności, nie mając zbyt wielu okazji poprzestawać z liczną rodziną, która - co typowe dla tych stron - niczym sieć o wielu okach pokrywała cały obszar Południa, znała jednak wszystkie związki i powinowactwa do dziesiątego stopnia pokrewieństwa. Znajdowała przyjemność w przyglądaniu się, jak Kuba pracuje, ponieważ widziała w nim żywe potwierdzenie tego, co kiedyś o rodzinie O'Harów usłyszała od Geralda: ciemne kędzierzawe włosy, błękitne oczy, szerokie usta i krótki nos, twarz krągła i rumiana. Przede wszystkim jednak Kuba był mężczyzną dobrze zbudowanym, wysokim, szerokim w barach. Nogi miał smukłe i silne niczym drzewa, zdolne wytrzymać każdą burzę. Nie można było przejść obok niego obojętnie.

- Twój Papa to karzeł w rodzie olbrzymów - rzekł do niej kiedyś Gerald, nie tyle wstydząc się z powodu własnego wzrostu, ile raczej rosnąc w dumę wspomniawszy wielkość braci. - Ośmiu chłopaków miała matka, ja byłem ostatni i jedyny, który nie wyrósł na wysokość domu.

Scarlett zachodziła w głowę, któryż to z braci Geralda jest ojcem Kuby. Wkrótce jednak dała temu spokój. I tak wszystkiego dowie się przy herbacie... nie, to nie na herbatę ją zaproszono, lecz na przyjęcie urodzinowe... pierwszej kuzynki w drugim

pokoleniu.

Scarlett spojrzała na Kubę z troskliwie skrywaną ciekawością. Na ulicy, w świetle dnia zobaczyła zmarszczki na jego twarzy i worki pod oczami - dotychczas niewidoczne pod osłoną półmroku panującego w sklepie. Cóż... kuzynek był mężczyzną średniego wieku, najwyraźniej zaczynał przybierać na wadze i nabierać brzuszka. Scarlett uznała, że skoro był jej kuzynem, powinien też być w jej wieku, lecz gdy w sklepie zjawił się Daniel, doznała prawdziwego szoku: oto przedstawiono ją bynajmniej nie chłopcu, którego posyła się do miasta, by rozniósł jakieś paczki, lecz dojrzałemu mężczyźnie, w dodatku o ogniste rudych włosach. Było w nim coś bardzo... bardzo pospolitego.

Podobne zresztą wrażenie wywoływał w świetle dziennym jego ojciec. On... on nie był dżentelmenem. Scarlett nie potrafiłaby jasno określić motywów, dla których wydała tę opinię, lecz co do samego faktu nie miała wątpliwości - jasne jak słońce! Sposób, w jaki się ubierał - była w tym jakaś skaza. Miał na sobie granatowy surdut - ciemny, lecz nie dość ciemny, ponadto zbytnio opinał mu klatkę piersiową i plecy, zaś nazbyt luźno zwisał wszędzie indziej. Ubranie, które nosił Rett, było w każdym calu okazem doskonałego krawiectwa i - w tym, co się tyczy samego Retta - świadectwem dążenia ku doskonałości. Nie spodziewała się, że Kuba będzie naśladował niezrównany styl Retta - takiego mężczyzny jeszcze nie udało się jej spotkać - niemniej jednak mógłby chyba coś zrobić, by nie wyglądać tak... tak pospolicie. Gerald O'Hara zawsze wyglądał jak dżentelmen, niezależnie od tego, co na siebie założył lub jak wygnieciony miał płaszcz. Scarlett nie przyszło na myśl, że ta przemiana ojca w dostojnego ziemianina była nie tyle jego zasługą, ile raczej wynikiem długotrwałych, tyleż dyskretnych co usilnych zabiegów matki - wiedziała tylko jedno: ujrzawszy kuzyna w świetle dziennym bardzo się rozczarowała. Cóż, ostatecznie wypiję filiżankę herbaty i zjem kawałek ciasta, po czym wyjdę.

- Tak przejęta jestem samą myślą o spotkaniu z twoją rodziną, że aż postradałam zdrowy rozum - uśmiechnęła się promiennie. - Przecież siedząc tak długo w sklepie powinnam była kupić jakiś prezent dla twojej córeczki.

- Czyż nie ofiaruję jej najpiękniejszego podarunku wnosząc cię do domu w ramionach, droga Kasiu Scarlett?

Ma ten sam błysk w oku co Papa. I mówi z tym samym drażniącym akcentem. Gdyby tak jeszcze nie nosił melonika! Przecież nikt dziś nie nosi meloników.

- Będziemy musieli przejść obok domu twego dziadka - powiedział, siejąc przerażenie w jej sercu. Co, jeśli ciotki ich zobaczą... nie daj Bóg, by miała go

przedstawić. Paulina i Eulalia i tak zawsze twierdziły, że matka popełniła megalomanię, zaś Kuba będzie najlepszym potwierdzeniem słuszności ich sądów. Co tam on mówi?

- ...zostaw tutaj swoją pannę służącą. U nas w domu będzie się czuła niezręcznie. Nie mamy służby.

Jak to? Boże wielki, przecież wszyscy mają służbę, wszyscy! To gdzie oni mieszkają? W czynszówce? Scarlett zacisnęła usta. Dobrze. Kuba jest synem rodzonego brata Papy, wuj Jakub jest Papy bratem. Nie zhańbię pamięci Geralda O'Hary będąc zbyt małoduszna, by wypić z jego najbliższymi filiżankę herbaty, nawet gdyby po podłodze biegały szczury.

- Pansy! - zawołała. - Kiedy dojdziemy do domu Robillardów, wejdź tam i zostań. Zaraz wracam, przekaż to paniom starszym... Kuzynie, zechcesz odprowadzić mnie do domu, prawda?

Wstąpiła w nią taka dzielność, że nie spieszyłaby się widokiem szczura biegnącego tuż obok, nie chciała jednak zepsuć sobie na zawsze reputacji spacerując samotnie ulicami. Po prostu damom to nie uchodzi.

* * *

Ku wielkiej uldze Scarlett, przeszli obok domu dziadka tylną uliczką, nie skwerkiem, gdzie ciotki nader chętnie lubiły paradować wśród drzew lub - jak same zwykły się wyrażać - „zażywać przechadzek dla zdrowia”. Pansy z największą przyjemnością weszła do domu przez furtkę ogrodową, ziewnąwszy sobie w oczekiwaniu na ciąg dalszy przerwane snu. Scarlett usiłowała nie spoglądać za nią z zazdrością. Słyszała, jak Hieronim skarży się przed ciotkami na upadek domów w najbliższym sąsiedztwie, bowiem zaledwie parę przecznic dalej, idąc na wschód, stare, czcigodne domy wyrodziły się w nędzne ruiny, gdzie kwatrowali żeglarze, często zawijający do ruchliwego portu w Savannah. Hieronim biadał też nad coraz większą liczbą imigrantów, którzy wylewali się wprost falami z wielu zawijających do Savannah okrętów. Jak powiadają snobistycznie nastawieni elegancyjni czarni, w większości to irlandzki motłoch.

Kuba prowadził ją prosto, potem skręcił w uroczą, doskonale utrzymaną aleję zwaną Południową Szeroką. Scarlett westchnęła z ulgą.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Kuba, zatrzymując się przed wysokim domem z cegły.

- Jak tu ładnie! - zawołała Scarlett, ze szczerością równie wielką jak przerażenie i niepewność, które jeszcze przed paroma chwilami mroziły jej serce.

Były to jednak ostatnie słowa, jakie zdołała z siebie wykrztusić, zanim weszła do środka. Bowiem zamiast ruszyć po wysokich schodach na taras, Kuba pchnął wąskie drzwiczki na poziomie ulicy po czym wprowadził ją do kuchni. Zwalił się na nich tłum ludzi - wszyscy rudzi i głośno coś wykrzykujący. Kuba usiłował przekrzyczeć tę wrzawę, oznajmiając co sił w płucach:

- Oto Scarlett, urocza córka mojego wuja Geralda O'Hary. Przybyła do nas z Atlanty, by złożyć uszanowanie wujowi Jakubowi.

A to ci czereda - przemknęło przez myśl Scarlett, gdy wszyscy obecni rzucili się w jej stronę. Kuba wybuchnął gromkim śmiechem, gdy najmłodsza - na pierwszy rzut oka - dziewczynka i jakiś chłopczyk ujęli go pod kolana, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Teraz już zupełnie nie sposób było zrozumieć, co usiłował powiedzieć.

Wysoka i tęga kobieta, jeszcze bardziej ruda niż pozostali, wyciągnęła ku Scarlett spierzchnięte, czerwone ręce.

- Witaj w domu - powiedziała spokojnie. - Jestem Maureen, żona Kuby. Nie zwracaj uwagi na te dzikusy. Proszę, zechciej usiąść przy ogniu, rozgrzej się i bądź łaskawa wypić z nami herbatę.

Zdecydowanym ruchem ujęła Scarlett pod ramię, po czym wprowadziła ją do pokoju.

- Ucisz się, pogańska zgrajo! - krzyknęła. - Może dacie Papie złapać oddech? Proszę natychmiast się umyć, po czym grzecznie, jedno po drugim, macie przywitać ciocię Scarlett.

Zerwała z ramion „cioci Scarlett” podbitą futrem rotundę.

- Mario Katarzyno, połóż to w bezpieczne miejsce, w przeciwnym razie nasz najmłodszy barbarzyńca pomyśli sobie, że to kociątko i zechce wyrwać mu ogon, takie to miękkie.

Wyższa z dziewczynek dygnęła dwornie przed Scarlett i ochotnie wyciągnęła rękę po okrycie. Jej błękitne oczy aż zogromniały z podziwu. Scarlett uśmiechnęła się. Do Maureen też się uśmiechnęła, choć żona Kuby pchnęła ją na krzesło o rzeźbionym oparciu jak gdyby była jednym z jej dzieci, które można rozstawiać po kątach niczym uciążliwe toboły.

Nie minęła chwila, a Scarlett trzymała w ręku największą filiżankę z herbatą, jaką zdarzyło się jej widzieć w życiu. Drugą ręką potrząsała dłoń dziwnie pięknej dziewczyny, która szepnąwszy do matki - Wygląda jak księżniczka - przedstawiła się jej jako Helena.

- Powinnaś dotknąć futra - wtrąciła Maria Katarzyna z miną nader poważną.

- Czy to Helena jest tutaj gościem, żebyś ją zabawiała rozmową? - zwróciła jej uwagę matka. - Co za utrapienie mieć takie niezdolne dzieci - westchnęła, spoglądając na Scarlett, lecz w jej głosie pobrzmiwała tłumiona wesołość i prawdziwa czułość.

Maria Katarzyna oblała się szkarłatem. Dygnęła przed Scarlett po raz drugi, nieśmiało wyciągnęła rękę.

- Kuzynko Scarlett, błagam o wybaczenie. Zachwycona twą elegancją, zupełnie się zapomniałam. Jestem Maria Katarzyna i jestem dumna, że mam w rodzinie prawdziwie wielką damę.

Scarlett miała już na końcu języka, że nic się nie stało, że nie ma powodów prosić o wybaczenie, ale nie zdążyła, bo właśnie Kuba, który zdjął kapelusz, ściągnął surdut i rozpiął kamizelkę, zbliżył się przyciskając do prawego boku wierzgającego, piszczącego, pucułowatego i - oczywiście - rudowłosego malca.

- A ten tutaj diabełek to Jasio, nazwany tak jak każdy dobry Amerykanin zwać się powinien, ponieważ urodził się tu, w Savannah. Wołamy do niego Janek. No, Janku, powiedz kuzyneczce „dzień dobry”, przecież Bozia dała ci język.

- Hello! - wrzasnął Janek, po czym zawył z radości, ponieważ ojciec wziął go za nogi i odwrócił głową do podłogi.

- A to co znowu?

Cały hałas ucichł jak nożem uciął i tylko Janek ciągle chichotał. Zamiast dziecięcej wrzawy dało się słyszeć jakieś starcze gderanie. Tocząc wzrokiem dokoła, Scarlett spostrzegła wysokiego starca. Tak, to chyba wuj Jakub. U jego boku stała zgrabna dziewczyna o ciemnych, kręconych włosach - sprawiała wrażenie zaniepokojonej, jakby zaleknionej.

- Janek wyrwał wuja Jakuba z drzemki - szepnęła. - Czy coś się stało, że tak wyje i że Kuba wrócił tak wcześnie do domu? Może jest chory?

- Nie. Janek ma się aż nazbyt dobrze - wyjaśniła Maureen. - A wy macie gościa, wuju Jakubie - powiedziała, podniosłszy głos. - Przyjechała specjalnie do was. Kuba wcześniej wyszedł ze sklepu, żeby ją tu przyprowadzić. Niech wuj tu podejdzie, do pieca. Herbata gotowa. I Scarlett jest tutaj.

Scarlett wstała, uśmiechnęła się.

- Dzień dobry. Czy wuj mnie jeszcze pamięta?

Starzec spojrzał na nią.

- Kiedy widziałem cię po raz ostatni, nosiłaś żałobę po mężu - zawołał głośno, jak to

w zwyczaju głuchawych. - Znalazłaś już sobie drugiego?

Scarlett pospiesznie odkopywała pokłady pamięci. Wielki Boże, Jakub ma rację! Przecież zaraz gdy urodziła Wade'a, przyjechała do Savannah. Była wtedy jeszcze w żałobie po Karolu Hamiltonie.

- Tak, znalazłam - roześmiała się. - A nie zrzędnie ci mina, wścibski staruszk, jeśli powiem, że nawet dwóch?

- To dobrze - oznajmił z namaszczaniem w głosie wuj Jakub. - To bardzo dobrze. Zbyt wiele mamy dziś w tym domu niezamężnych kobiet.

Dziewczyna, która stała obok niego, krzyknęła i wybiegła z kuchni.

- Wuju Jakubie, jak można być tak złośliwym - pojednawczym tonem odezwał się Kuba.

Starzec podszedł do kuchni i wyciągnął ręce nad ogniem.

- Jak można być taką płaksą - powiedział. - Rodzina O'Harów nie płacze, nawet gdyby miała powód. Maureen, napiłbym się teraz herbaty... teraz, gdy będę rozmawiał z dziewczyną Geralda.

Zajął miejsce na krześle obok Scarlett.

- Powiedz mi, jak wyglądał pogrzeb - pochylił się ku niej. - Chcę usłyszeć, czy godnie pochowałaś ojca. Bo mój drugi brat Andrzej miał najwspanialszy pogrzeb, taki, jakiego miasto już od lat nie widziało.

Przed oczyma Scarlett stanął obraz garstki żałobników skupionych przy grobie ojca w Tarze. Niewielu ich było, niewielu. Ci, którzy być tam powinni i zapewne bardzo by chcieli, odeszli przed nim, umarli przed czasem.

Spojrzenie jej zielonych oczu spotkało chciwie wbity w nią wzrok bladobłękitnych oczu starego człowieka.

- Przeszklony z czterech stron karawan ciągnęła czwórka karych koni strojnych w czarne pióropusze - zaczęła. - Na trumnie leżał wieniec, dach karawanu uginał się od kwiatów, a w kondukcje ciągnęły dwie setki kirem spowitych żałobników. Ciało Geralda O'Hary spoczęło w marmurowym sarkofagu, nie w grobie, a nad blokiem marmuru rozkłada skrzydła wykuty w kamieniu anioł, wysoki na siedem stóp.

W jej głosie był jakiś chłód, mówiła lekko ochryple. Niech cię to zadowoli, starcze - pomyślała ponuro. Daj spokój biednemu Papie.

Jakub zatarł ręce - chude i pomarszczone.

- Panie, świeć jego duszy! - zawołał dziarsko. - Zawsze twierdziłem, że z nas wszystkich jeden Gerald ma wycucie stylu, wielkiego stylu. No, sam powiedz, Kuba,

nie mówiłem? Prawie karzełek, a jakeś go obraził, to pierwszy rzucał się z pięściami. Zwinny był z niego człowieczek, z tego Geralda... A wiesz, w jaki sposób wszedł w posiadanie plantacji? Grając w pokera, i to za moje pieniądze, taki był cwany. Oczywiście, nie odpałił mi ani pensa z wygranych.

Jakub wybuchnął śmiechem - zdrowym, gromkim śmiechem młodego mężczyzny. Pełen był życia, tryskał humorem.

- To powiedz teraz, wuju, jak to się stało, że opuścił Irlandię - prosiła Maureen, napełniając mu filiżankę. - Może nasza Scarlett nigdy o tym nie słyszała.

Tam do diabła! - Scarlett gniewnie rzuciła się w krzesło. Co to, stypa?

- Słyszałam o tym sto razy - oznajmiła. Trudno było nie słyszeć - Gerald O'Hara pasjami lubił się przechwalać i opowiadać o tym, jak to musiał opuszczać Irlandię świadom, że wyznaczono cenę za jego głowę po tym, jak jednym uderzeniem pięści ukatrupił angielskiego rządcę. W całym Powiecie nikt się nie uchował, kto by o tym nie słyszał bodaj ze sto razy, lecz nikt nie wyrzekł marnego słowa, słysząc tę opowiastkę po raz sto i pierwszy. Gerald, gdy się pieklił, głośno pokrzykiwał, ale cały świat wiedział o tym, że w gruncie rzeczy jest bardzo wrażliwy.

Maureen uśmiechnęła się.

- Prawdziwy mocarz wzrostu krasnała... zawsze tak mi o nim opowiadano. Ojciec, z którego córka może być dumna.

Scarlett poczuła, jak płacz ściska jej gardło.

- Tak, właśnie taki był Gerald - pokiwał głową Jakub. - No, Maureen, kiedy wreszcie dasz nam spróbować tortu urodzinowego? I gdzie Patrycja?

Scarlett spojrzała po purpurowych od gorąca twarzach. Nie, na pewno żadne z nich nie przedstawiło się jako Patrycja... może to ta ciemnowłosa dziewczyna, która uciekła.

- Patrycja właśnie szykuje ucztę - poinformowała Maureen. - Wuju, wiesz przecież, jaka z niej szczególna osóbka. Gdy Stefan powie, że już można, przejdziemy do pokoju.

Stefan? Patrycja? Drugi pokój?

Maureen dostrzegła zdziwienie na twarzy Scarlett.

- Jak to, Kuba ci nic nie mówił? Mamy tu teraz trzy gospodarstwa O'Harów. Co tutaj widzisz, to zaledwie początek.

* * *

W ogóle nie powinnam była dać się tu wciągnąć! - westchnęła w duchu Scarlett. Och, gdybyż tak mieszkali na jednym miejscu!

Płonne nadzieje. Patrycja wydawała przyjęcie urodzinowe w salonie złożonym z

dwóch pokoiów połączonych wspólnymi drzwiami, które teraz rozsunięto na całą szerokość. Dzieci - a wiele ich było - zajęły się zabawami wymagającymi wielkiej zręczności w gonitwach, wynajdywaniu kryjówek, wyskakiwaniu zza krzeseł i zasłon. Dorośli od czasu do czasu miotali groźne spojrzenia na te spośród nich, które stawały się zbyt hałaśliwe albo rzucali się podnosić z podłogi te, które właśnie upadło i, rozplakane, wymagało słów pociechy. Nikt nie zwracał uwagi na to, czyje to dziecko. Wszyscy dorośli bawili się w rodziców dla wszystkich dzieci.

Scarlett znajdowała pociechę w tym, że cała dzieciarnia Maureen była rudowłosa. Dzięki temu przynajmniej łatwo było je odróżnić od pozostałych: Patrycję, Daniela oraz jeszcze jednego dorastającego chłopca, którego imienia nie pamiętała. Pozostałe były podobne jedno do drugiego, a w całym tym zamęcie wprost nie do rozróżnienia.

Z rodzicami było wcale nie lepiej. Scarlett wiedziała, że jeden z mężczyzn ma na imię Gerald - ale który? Wszyscy byli wysocy, o ciemnych, kędzierzawych włosach, błękitnych oczach, wszyscy jak jeden mąż uśmiechali się ujmująco.

- Czy nie przyprawia cię to o oczopląs? - rozległ się obok jakiś kobiecy głos. Maureen. - Nie zadręczaj się zgadywaniem, które jest które. Z czasem jakoś rozwiążesz tę łamigłówkę.

Scarlett uśmiechnęła się. Uprzejmie pokiwała głową. Zresztą wcale nie miała zamiaru „rozwiązywania łamigłówek”. Chciała prosić Kube, by odprowadził ją do domu. Byle szybciej. Głowa jej pękała od hałasu. Chmara dzieci biegała dokoła wrzeszcząc, omal nie popękały bębenki w uszach. Cichy różowy domek przy skwerku zdał się jej teraz oazą spokoju. W ostateczności, gdy już koniecznie chciała z kimś porozmawiać, miała na podorędziu ciotki. Tutaj nie było do kogo otworzyć ust. Wszyscy byli zbyt zajęci uganianiem się za bachorami, ściskaniem i całowaniem Patrycji oraz - wielkie nieba! - wypytywaniem, jak się ma - ona oraz jej dziecko, właśnie w drodze. Jak gdyby nie wiedzieli, że wobec ciężarnej kobiety jedyne, co się godzi, to udawać, jakoby w ogóle nie widziało się jej brzucha. Czowała się tu jak raróg. Byleby wreszcie stąd uciec. A zresztą, niewarte splunięcia. Jak Atlanta. Jak Charleston. Tyle że to rodzina. Ta okoliczność pogarszała sprawę. Bodaj i stokrotnie.

- Teraz zaczniemy tort - rzekła Maureen, obejmując Scarlett ramieniem. - A potem troszeczkę muzycki.

Scarlett O'Hara zacisnęła zęby. Boże wielki, już przecież byłam na jednym koncercie w Savannah. Cała zdrętwiałam od tego siedzenia. Czy ci ludzie nie umieją się bawić w jakiś inny sposób? Podeszła z Maureen do kanapy obitej czerwonym pluszem,

przysiadła sztywno na samym brzeżku.

Ktoś zastukał nożem w kieliszek, zwracając powszechną uwagę. Niewiarygodne, lecz chyba prawie zapanowała cisza.

- Wdzięczny wam jestem tak bardzo, jak długo powstrzymacie się od mówienia - zawołał Kuba. Kiedy rozległy się śmiechy, pokiwał z przyganą nożem i ciągnął dalej.

- Zebraliśmy się tutaj, by uczcić urodziny Patrycji, choć tak naprawdę wypadają one dopiero w przyszłym tygodniu. Ale ponieważ dzisiaj mamy zapusty, lepsza to sposobność do uciecz niż sam środek Wielkiego Postu.

Znowu przerwały mu śmiechy i znowu pogroził nożem.

- Mamy też jeszcze jeden powód do świętowania. Nasza piękna Scarlett O'Hara, od której od dawna nie mieliśmy znaku życia, jest dziś wśród nas. Wznoszę więc ten kieliszek w imieniu całego rodu O'Harów, piję zdrowie naszej ślicznej kuzyneczki prosząc ją, by czuła się jak u siebie... w naszych sercach i w naszych domach.

Co rzekłszy, odchylił do tyłu głowę i wlał do ust ciemną zawartość kieliszka.

- Niech wniosą na stół poczęstunek! - zawołał, majestatycznie zakreślając łuk ramieniem. - Niech zabrzmie muzyka!

Przy drzwiach ktoś zachichotał. *Zaraz* rozległy się syki i wezwania o ciszę. Do kanapy podeszła Patrycja, usiadła tuż obok Scarlett. A wtedy, z kąta, ktoś zaczął grać na skrzypcach *Sto lat*. Piękna Helena, córka Kuby, pojawiła się z półmiskiem pełnym parujących kawałeczków mięsa. Schyliła się przed Patrycją i Scarlett, tak aby mogły zobaczyć, co dokładnie znajduje się na paterze, po czym ostrożnie ruszyła w stronę ciężkiego, okrągłego stołu, zajmującego sam środek salonu i postawiła ją na adamaszkowym obrusie. Za Heleną podążała Maria Katarzyna - ta śliczna dziewczyna, która towarzyszyła wujowi Jakubowi, za nią najmłodsza z O'Harównych. Obie w ten sam sposób prezentowały przed Scarlett i Patrycją zawartość półmisek, zanim postawiły je na stole. Rostbef, czosnkowana szynka, ogromny indyk. Potem znowu pojawiła się Helena z wielką miską pełną parujących ziemniaków, a za nią następne z *puree* z marchewki, pieczoną cebulą, *puree* ze słodkich patatów. Ta osobliwa procesja przesuwiała się w uroczystym rytmie, aż stół zaczął się uginać pod stosami jedzenia i wszelkiego rodzaju smakołyków. Skrzypce - Scarlett zauważyła, że to Daniel gra, ten, którego spotkała w sklepie - zachęcały do tańca skocznym *apregio*, a do salonu wkroczyła teraz Maureen, dźwigając kopiasty tort zwieńczony ogromnymi, jaskraworóżowymi różami z cukru lodowego.

- Tort z piekarni! - zawołał Tymoteusz.

Tuż za żoną pojawił się Kuba. Nad głową trzymał wyciągnięte ręce, a w każdej dłoni po trzy butelki whisky. Skrzypce zabrzmiały żywszą nutą, wszyscy zaczęli się śmiać i wyklaskiwać rytmicznie. Nawet Scarlett. Nawet ona nie potrafiła się oprzeć swoistemu czarowi procesjonalnego nakrywania do stołu.

- A teraz, Brian... - odezwał się Kuba. - Ty i Billy przenieście królowe na ich tronie do kominka.

Zanim Scarlett zdążyła się zorientować, o co tu właściwie chodzi, wraz z Patrycją zakołysały się na kanapie, razem z meblem poszybowały do góry i po chwili wylądowały przy żarzącym się palenisku kominka.

- A teraz wuj Jakub! - zarządził Kuba i moment później zasiadający na krześle z wysokim oparciem, trzęsący się od śmiechu starzec znalazł się naprzeciwko Scarlett i Patrycji.

Dziewczyna, która opiekowała się wujem, zaczęła zgarniać dzieci do drugiej części salonu, a robiła to tak, jakby miała do czynienia z drobiem. Maria Katarzyna tymczasem rozstawiała dla nich zastawę przed drugim kominkiem, wprost na podłodze.

W zaskakująco krótkim czasie tam, gdzie jeszcze przed chwilą był chaos, zapanowała cisza. Jedząc i rozmawiając Scarlett usiłowała „rozwiązać łamigłówkę”, która tym razem polegała na odgadnięciu, kim są dorośli.

Dwaj synowie Kuby byli tak bardzo do siebie podobni, że z trudem mogła dać wiarę, iż dwudziestoletni Daniel był o trzy lata starszy od Briana. Kiedy uśmiechnęła się do Briana i powiedziała, co właśnie sobie pomyślała, spiekł raka i to tak strasznie, jak to się tylko zdarza bladym rudzielcom. Siedzący obok jakiś chłopak natychmiast zaczął zeń drwić, dość przykro, lecz przestał zaraz potem, gdy jakaś dziewczyna o zaróżowionych policzkach położyła swą dłoń na jego dłoni i powiedziała:

- Daj spokój, Gerald.

Aha, to Gerald. Papa na pewno by się ucieszył, gdyby wiedział, że ten przystojny, rosły młodzieniec nosi jego imię. Do dziewczyny zwracał się *Polly*, a oboje tak promienieli miłością, że chyba byli świeżo po ślubie. Zaś Patrycja była bardzo apodyktyczna wobec mężczyzny, którego Kuba nazywał Billy, oni także byli więc chyba mężem i żoną.

Scarlett nie miała jednak zbyt wiele czasu na wsłuchiwanie się w imiona gości. Odnosiła wrażenie, że wszyscy koniecznie chcieli z nią rozmawiać, zaś wszystko, co powiedziała, natychmiast wywoływało jakieś okrzyki, prośby o powtórzenie, wzbudzało

podziw. Sama nawet nie wiedziała, jak to się stało, gdy oto stwierdziła, że rozmawia z Danielem i Kubą o sklepie w Atlancie, z Polly i Patrycją o krawcu, zaś z wujem Jakubem o Jankesach, którzy podłożyli ogień w Tarze. Głównie jednak rozprawiała na temat tartaku, opowiadała, jak to udało się jej rozbudować interes, mówiła o składzie drewna i o całym osiedlu nowych domów, które wznosi na przedmieściu Atlanty. Wszyscy głośno wyrażali jej aprobatę. Wreszcie zatem znalazła ludzi, którzy wcale nie sądzili, że rozmowa o pieniądzach jest tabu. Byli do niej podobni: chcieli ciężko pracować, ale i zgarniać ciężkie pieniądze. A ponieważ ona już zdążyła się wzbogacić, mówili jej prosto w oczy, że jest wspaniała. W ogóle nie mogła dopuścić myśli, że jeszcze przed chwilą chciała uciec z tego cudownego przyjęcia i wrócić do śmiertelnie spokojnego domostwa dziadka Robillarda.

- Danielu, kiedy już zjesz większą część tortu urodzinowego swojej siostry, może zechcesz nam coś zagrać? - zwróciła się do syna Maureen, podczas gdy Kuba odkorkowywał butelkę whisky. Nagle wszyscy zerwali się z miejsc i - z wyjątkiem jednego wuja Jakuba - zaczęli wirować w tanecznych figurach, co zdało się należeć do ustalonego porządku rzeczy. Daniel rozpoczął piskliwą, szybką melodię - nazbyt szybką, jak można było wywnioskować słuchając krytycznych głosów poniekąd, wszakże kobiety zaraz posprzątały ze stołu, mężczyźni odsunęli meble pod ściany, tak że tylko Scarlett oraz wuj Jakub pozostali na swych miejscach - wysepkach spokoju. Kuba podał wujowi szklaneczkę whisky i - na w pół pochyłony - czekał aż starzec wyda swój osąd.

- Ujdzie - brzmiał wyrok.

- Złośliwy starcze, bardzoś łaskawy - roześmiał się Kuba. - Zresztą, nie mamy innego wyjścia. To jedyna whisky w tym domu.

Scarlett usiłowała schwycić spojrzenie kuzyna, lecz po paru nieudanych próbach głośno zwróciła mu uwagę, że powinna wracać do domu. Oto bowiem wszyscy zaczęli ustawiać krzesła półkolem przy kominku, dorośli siadali, zaś dzieci zajmowały miejsca u ich stóp. Najwidoczniej zamierzano urządzić jakiś koncert, a gdy już muzyka raz zacznie grać, trudno będzie wstać i wyjść - okropny nietakt.

Kuba, przeskoczywszy nad rozłożonym na podłodze chłopcem, dobił w końcu do Scarlett.

- Tutaj jesteś? - westchnął, po czym, o zgrozo - podał jej szklaneczkę napelnioną na grubość kilku palców jasnozłocistym, ostro pachnącym płynem. Co on sobie myśli, że niby kim jestem? Dama nie pije whisky. Nie piła niczego, co byłoby mocniejsze od

herbaty, no - może poza szampanem, ponczem albo malutkim kieliszeczkiem sherry. Wątpliwe, by Kuba cokolwiek wiedział o koniaku, który zwykła popijać, a zatem - nie wiedząc - obrażał ją. Nie, to chyba tylko jakiś żart. Wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu.

- Czas na mnie. Znakomicie się bawiłam, lecz robi się późno i...

- Chyba nie zamierzasz wychodzić na samym początku przyjęcia? - zdumiał się Kuba, po czym, zwróciwszy się do syna, krzyknął głośno:

- Danielu, tym rzępoleniem płoszysz nam kuzyneczkę! Zagraj nam jakąś piosenkę, a nie w kółko tę kocia muzykę!

Scarlett usiłowała przemówić, ale jej słowa zostały zagłuszone przez okrzyki w rodzaju „graj przyzwoicie”, albo „my chcemy ballady” lub też „*reel*, daj nam *reel*”^{**}.

Kuba wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzisz - nachylił się nad Scarlett. - Nie mogę cię usłyszeć - przekrzyknął gwar. - Jestem głuchy jak kamień na prośby każdego, kto mi mówi coś o odejściu.

Scarlett czuła, jak puszczają jej nerwy. Toteż kiedy Kuba ponownie wyciągnął w jej kierunku szklaneczkę whisky, wściekle poderwała się z kanapy. Ale zanim zdążyła wytrącić Kubie szklanekę z dłoni, uświadomiła sobie, że melodia, którą zaczął grać Daniel, to *Peggy na wozie*.

Ulubiona piosenka Papy. Spojrzała na czerstwą twarz Kuby, jak to u Irlandczyka zaróżowioną, i dostrzegła w niej rysy ojca. Och, gdybyż tata mógł się tutaj znaleźć, jakżeby go kochała!

Usiadła. Na widok powtórnie proponowanego drinka potrząsnęła głową. Jej twarz rozjaśnił nieśmiały uśmiech. Spojrzała na Kubę - oczy Scarlett błyszczały łzami.

Ale muzyka nie dopuszczała smutku. Skoczny rytm zbyt był radosny, zbyt radośnie zarzął wesołością, tak że kto mógł, ten podśpiewywał sobie, wszyscy klaskali. Niewidoczna pod falbanami sukni stopa Scarlett zaczęła mimowolnie podrygiwać.

- Jazda, Billy! - śpiewnie, w takt granej melodii zawołał Daniel. - Zagraj razem ze mną.

Bill otworzył wieko skrzyni pod oknem, wyjął harmonijkę. Skórzane miechy, sapiąc, rozciągnęły się w obie strony. Bill podszedł do Scarlett, sięgnął ręką nad jej głowę i zdjął z gzymsu kominka coś błyszczącego.

- Pozwólmy sobie na nieco prawdziwej muzyki. Stefan... - rzucił lśniącą tulejkę w stronę ciemnego, milczącego mężczyzny. - Brian, ty też, łap! - w powietrzu poszybował

^{**}*Reel* - nazwa szkockiego tańca (Przyp. tłum.)

następny kawałek półkolistego zgiętego srebra. - A to dla ciebie, droga teściowo.

Z jego dłoni na podolek Maureen upadło coś błyszczącego.

Jakiś chłopak zaczął z zapalem klaskać w ręce.

- Kości! Kuzynka Maureen będzie grała na kościach.

Scarlett spoglądała w oczekiwaniu. Daniel przestał grać, a kiedy umilkła muzyka, znowu poczuła, jak nachodzi ją fala żalości. Ale już nie chciała wyjść stąd przy pierwszej sposobności. To, w czym uczestniczyła, nie miało nic wspólnego z wieczorkami muzycznymi u Telfairównych. Tu czuła swobodę, ciepło, radość. Zanim powstał cały ten galimatias, zanim zaczęło się przestawianie mebli, znoszenie krzeseł, rzec by można, że salon wyglądał bardzo gustownie. Teraz, gdy Maureen uniosła obie ręce i kiedy rozległ się suchy klekot, Scarlett przekonała się, że owe „kości” to w istocie kawałki wyklepanego drewna.

Kuba ciągle nalewał i roznosił szklaneczki whisky. Coś takiego! Kobiety też piją. I to nie w tajemnicy, nie chyłkiem. Bawiły się równie dobrze jak mężczyźni. Dobrze, też wezmę sobie coś do picia. Będę świętować O'Harów. Już prawie miała zawołać do Kuby, już - już chciała poprosić o szklaneczkę, gdy nagle się opamiętała. Tak, przecież wracam do dziadka. Nie mogę pić. Ktoś poczuje mój oddech. Zresztą, po co. Jest mi wewnątrz tak ciepło, że czuję się, jakbym łyknęła szklaneczkę. Więcej nie trzeba.

Daniel przeciągnął smyczkiem po strunach. *Dziewczyna za barem* - zapowiedział. Wszyscy zaczęli się śmiać, nawet Scarlett, choć sama nie wiedziała dlaczego. W jednej chwili cały ogromny salon rozbrzmiewał dźwiękami irlandzkiej melodii. Harmonia Billa kwiliła donośnie, Brian wygwizdywał melodię na cienkiej fujarce, Stefan dośpiewywał na swoim instrumencie drugim głosem, a kontrapunktując Briana to wpadał w ton, to odbiegał. Kuba wystukiwał rytm nogą, dzieci klaskały, Scarlett klaskała, wszyscy klaskali. Wszyscy z wyjątkiem Maureen, która potrząsając dłonią postukiwała „kości”, tak że trwale, monotonne *staccato* nadawało rytm całości, ujmując w rzy wielogłosową melodię. „Szybciej” - rozkazywały kastaniety. „Szybciej” - powtarzały instrumenty, dłonie i nogi. Fujarki wspięły się o ton wyżej, skrzypce zaśpiewały głośniejsze, harmonia, dysząc, usiłowała nadążyć za rytmem. Kilkoro dzieciaków zerwało się z miejsc - wybiegłszy na środek salonu zaczęły skakać po gołej podłodze. Scarlett poczuła jak ręce rozgrzewają się jej od klaskania, jak nogi zaczynają samoistnie podrygiwać, jak gdyby chciały skakać razem z dziećmi. Gdy *reel* dobiegł końca, opadła na kanapę, wyczerpana.

- Mateusz, rusz się, pokaż dzieciom, jak powinien wyglądać taniec! - zawołała

Maureen kusząco pobrzękując drewniakami. Starszy człowiek, siedzący obok Scarlett, podniósł się ze swego miejsca.

- Boże broń! - krzyknął błagalnie Billy. - Poczekajcie chwileczkę, muszę odpocząć. Kasieńko, zaśpiewaj nam coś.

Podał jej parę pierwszych dźwięków.

Scarlett zaczęła protestować. Nie, przecież nie może śpiewać tak z marszu, nie tutaj. Nie zna żadnych irlandzkich piosenek, poza *Peggy* oraz *Ubrana w zieleń* - ulubionych melodii ojca.

Okazało się jednak, że nie do niej zwracał się Bill, nie do Kasi Scarlett. Jakaś kobieta o nieładnej twarzy, ciemnych włosach i dużych, wystających zębach podała swoją szklankę Kubie, po czym wstała i zaczęła śpiewać *Był sobie dziki chłopak z kolonii* - głos miała czysty, wysoki i słodki. Zanim jeszcze zdążyła skończyć pierwszą zwrotkę, Daniel, Brian oraz Billy dołączyli z akompaniamentem. *Jack Duggan było mu na imię* - śpiewała Kasieńka. - *Urodził się i urósł w Irlandii...* - w tej właśnie chwili włączyła się fujarka Stefana - oktawę wyżej, dziwnie rozdzierającym, płaczliwym, kryształowej czystości tonem.

- ... w domu zwanym *Castelmaine*...

Teraz wszyscy podchwycili melodię - wszyscy, tylko nie Scarlett, która nie знаła słów. Nie przywiązywała jednak do tego faktu uwagi. I tak była częścią muzyki. Muzyka krążyła wokół niej, przepełniała ją bez reszty, a gdy smutna, zacna pieśń dobiegła końca, Scarlett spostrzegła, że wszystkim - tak, jak jej, dziwnie błyszczą oczy.

Następną, tym razem bardzo wesołą piosenkę, zaintonował Kuba, po niej przyszła kolej na następną - tak dwuznaczną, że kiedy Scarlett zrozumiała grę słów, jednocześnie i śmiała się, i czuła, jak policzki stają jej w ogniu.

- Teraz ja - powiedział Gerald. - Zaśpiewam mojej słodkiej Polly *Arię z Londonderry*.

- Och, Gerald - Polly ukryła zapłonioną twarz w dłoniach. Lecz Brian podał już pierwsze nuty, a potem Gerald zaczął śpiewać i Scarlett zapało dech w piersi. Słyszała co prawda o irlandzkim tenorze, nie spodziewała się jednak, że brzmi to tak, jak właśnie słyszała. Ten imiennik Papy śpiewał niczym anioł. W jego śpiewie słychać było wszystkie uczucia młodego serca Geralda, wszystkie one jawiły się na jego twarzy, drżały w czystym, silnym, wysokim głosie, wystawione na widok dla każdego. Piękno tego śpiewu sprawiło, że Scarlett oniemiała, że sama zapragnęła poznać miłość taką, jaką przeżywał Gerald - świeżą i prostą. Rett! - krzyczało jej serce, nawet wtedy, gdy

rozum wyśmiewał jej fantazje o tym, że jego ciemny, złożony charakter objawi się nagle w bezpośredniej prostocie.

Kiedy piosenka dobiegła końca, Polly zarzuciła Geraldowi ręce na szyję i ukryła twarz w jego ramionach. Maureen uniosła dłonie z kastanietami.

- A teraz jeszcze jeden *reel* - oznajmiła wyraźnie. - Już czuję, jak nogi rwą mi się do tańca.

Daniel roześmiał się. Popłynęły pierwsze takty muzyki.

Scarlett już ze sto razy tańczyła *Virginia reel*, lecz nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej widzieć czegoś podobnego do tego, co miało miejsce na urodzinach Patrycji. Zaczął Mateusz O'Hara. Wyprostowawszy plecy, ręce sztywno przyłożywszy do boków wyglądał niczym żołnierz, gdy tak oddalał się od rzędu krzeseł. A potem nagle jego nogi zaczęły udeptywać podłogę, strzelać, wirować i poruszać się tak szybko, że aż oczy nie mogły nadążyć w patrzeniu. Drewniana podłoga uderzana obcasami odpowiadała łomotem, była jak błyszcząca tafła lodu pod zadziwiająco szybkimi krokami to w przód, to do tyłu. Chyba najlepszy z niego tancerz na świecie - pomyślała Scarlett. Wówczas tanecznym krokiem zbliżyła się doń Kasieńka, dół sukni ująwszy w obie dłonie, tak że nogi mogły swobodnie wyczyniać taneczne akrobacje. Maria Katarzyna była następna, potem do córki dołączył Kuba. I piękna Helena też wyrwała się na środek salonu, pociągnąwszy za sobą kuzyna - chłopaczka ośmioletniego być może. Nie, nie wierzę własnym oczom - powtarzała w myśli Scarlett. To czary, wszystkich opętał czar. Muzyka - ona rzuciła urok. Czuła, jak nogi ruszają jej w tan, jak rwą się do płąsu, szybszego niż kiedykolwiek, jak usiłują naśladować to, co widzi, jak usiłują wyrazić muzyczne podniecenie. Muszę się nauczyć tańczyć w ten sposób, koniecznie. To jest jak... jakbyś wirował wokół słońca.

Dziecko, śpiące dotychczas pod kanapą, obudziło się na odgłos stukających stóp i uderzyło w płacz, który niczym zaraza, rozprzestrzenił się wśród innych dzieci. Tańce i muzyka ustały.

- Złóżcie parę kołder i zróbcie z nich materace - powiedziała Maureen. - I wytrzyjcie dzieciakom pupy. Ułożymy je w drugim salonie, po cichutku zamkniemy drzwi, powinny zaraz zasnąć. Kuba, twoja perkusistka ma straszne pragnienie. Mario Katarzyno, zechciej łaskawie podać Papie moją szklaneczkę.

Patrycja poprosiła Billy'ego, żeby pomógł jej przenieść trzyletniego syna.

- Ja zajmę się Betty - rzekła, sięgając pod kanapę. - No, cichutko, szsz... - uspokajała dziewczynkę, którą wyciągnęła spod mebla. - Helenko, zechciej zasłonić okna,

kochanie. Dzisiaj w nocy księżyc będzie świecił jasno.

Scarlett nadal pozostawała jakby w transie, owładnięta czarem muzyki. Bez określonego celu spojrzała na okno - to przywróciło ją rzeczywistości. Robiło się ciemno. Choć wpadła tu na herbatkę, wizyta przeciągnęła się i trwała już dobre parę godzin.

- Och, Maureen, jeszcze chwila, a spóźnię się na kolację - westchnęła. - Muszę wracać do domu. Dziadek wpadnie w furję.

- I niech tam... stary dureń. Zostań z nami. Przyjęcie ledwo się zaczęło.

- Pragnęłabym z całego serca - zawołała Scarlett. - Bo to najlepsze przyjęcie, jakie zdarzyło się mi widzieć. Ale muszę wracać. Obiecałam.

- Ach, skoro tak... Słowo to słowo. Ale odwiedzisz nas jeszcze?

- Z największą ochotą. Ale zaprosisz mnie jeszcze?

Maureen roześmiała się rozbawiona.

- Posłuchajcie tylko tej dziewczyny - zwróciła się do wszystkich. - Przecież żadne z was nie zostało zaproszone. Jesteśmy jedną rodziną, a ty, Scarlett, też do nas należysz. Przyjdź, gdy tylko będziesz miała ochotę. Kuchennych drzwi nigdy się nie zamyka, a pod kuchnią zawsze pali się ogień. Kuba też ma lekką rękę *do* skrzypiec... Kuba! Scarlett musi *już wracać*. Wskakuj w płaszcz, niezdaro, podaj ramię kuzynce!

* * *

Zaledwie doszli do rogu ulicy, Scarlett znowu usłyszała dźwięki muzyki. Dopływały stłumione, ale to dlatego, że wszystkie okna i drzwi szczelnie pozamykano przed zimą. Mimo to poznała pieśń śpiewaną w domu O'Harów: *Ubrana w zieleń*.

Znam wszystkie słowa... wszystkie, co do jednego... - westchnęła w głębi serca. Och, gdybym tak nie musiała wychodzić.

Szła krokiem z lekka tanecznym, nogi same jej płały. Kuba roześmiał się i wykonał kilka tanecznych *pas*.

- Następnym razem nauczę cię, jak się to tańczy.

36.

Scarlett z zupełnym lekceważeniem zniosła niemą przyganę ze strony ciotek, wyrażającą się w ponuro zaciśniętych wargach. Nawet wezwanie na dywanik do dziadka niewiele ją przejęło. Przypomniała sobie, jak otwarcie zbyła go Maureen O'Hara. Stary dureń - szepnęła sobie w duchu i zachichotała. W przypływie dobrego humoru starczyło jej odwagi oraz impertynencji, by pochylić się nad łóżkiem i pocałować dziadka w policzek.

- Dobranoc, dziadku - szepnęła pogodnie.

- Stary dureń - szepnęła pod nosem, gdy już znalazła się bezpieczna w hallu. Kiedy zajęła miejsce przy stole obok ciotek, ciągle się śmiała. Kolację podano z całą pompą. Jej talerz przykryty był srebrną pokrywą, by jedzenie nie wystygło - pokrywa lśniła tak jasno, jakby ją przed chwilą wyczyszczono, czego Scarlett była zupełnie pewna. Nawet w tym domu rzeczy mogą biec właściwym sobie torem - rozmyślała pochylona nad jadłem - gdy tylko znajdzie się ktoś, kto utrzymałby służbę w ryzach. Dziadek wszystko puszcza im płazem. Stary dureń.

- Co cię tak bawi, Scarlett? - spytała Paulina lodowatym tonem.

- Nic, cioteczko - Scarlett spojrzała na górę jedzenia, objawiającą się przed nią w miarę jak Hieronim uroczyście podnosił srebrną pokrywę. Roześmiała się w głos. Teraz, gdy chyba po raz pierwszy w życiu nie była głodna, teraz, po tej fecie u O'Harów, właśnie teraz postawiono przed nią tyle jedzenia, że wystarczyłoby na wykarmienie kilku głodomorów. Chyba więc udało się jej zaszcześcić w kuchni bo jaźń Bożą.

* * *

Następnego dnia z samego rana - a była to Środa Popielcowa - Scarlett razem z ciotkami udała się do kościoła i zajęła miejsce w ich ulubionej ławce. Miejsce było nierzucające się w oczy, całkiem z tyłu, prawie pod chórem, łatwo dało się tam dojść z bocznej nawy. Właśnie od klęczenia na zimnej posadzce zaczynały boleć ją kolana, gdy spostrzegła, że do kościoła wchodzi kuzynostwo. Oczywiście - przemknęło przez myśl Scarlett - wałą prosto przed siebie głównymi drzwiami, główną nawą, niemal pod sam ołtarz; zajęli prawie do ostatniego miejsca dwie ławki z przodu. Potężni, dobrze zbudowani, pełni życia... i barw. Głowy synów Kuby w czerwonym blasku słońca, padającym z witraży, sprawiały wrażenie rozżarzonych głowni, zaś promiennej czerwieni włosów Maureen i jej córek nie były w stanie ukryć nawet szerokoronde kapelusze. Scarlett do tego stopnia dała się pochłonąć pełnym zachwytem wspomnieniom z

wczorajszych urodzin, że omal nie przegapiła momentu, gdy w kościele pojawiły się zakonnice. A przecież sama poganiała ciotki, by przyjść na czas! Chciała się upewnić, czy charlestońska Matka Przełożona ciągle jeszcze przebywa w Savannah.

Tak, była. Scarlett puściła mimo uszu gorączkowe szepty Eulalii, która usiłowała przywołać ją do porządku i skupić jej uwagę na tym, co działo się przy ołtarzu. Uważnym okiem spoglądała na łagodny wyraz twarzy zakonnicy, która wolnym krokiem zdążyła wraz z innymi do wyznaczonego mniszkom miejsca przy ołtarzu. Tak, dzisiaj spotka się z Matką Przełożoną, bez dwóch zdań. Resztę czasu spędziła snując marzenia na jawie, wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało wielkie przyjęcie, które wyda przywróciwszy Tarę do stanu dawnej świetności. Będzie muzyka i tańce, będzie wesoło tak jak ostatniej nocy, zabawa będzie trwała dobrych parę dni.

- Scarlett! - syknęła Eulalia. - Przestań podśpiewywać podobne sprośności!

Scarlett, uśmiechnięta, wsadziła nos w mszalik. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że coś sobie podśpiewuje, a oczywiście musiała przyznać, że *Peggy na wozie* nie należała do repertuaru kościelnych pieśni.

* * *

- Niewiarygodne! - krzyknęła Scarlett. W jej z nagłą pobladłych oczach malowało się oszołomienie i boleść zawodu, naznaczone plamą popiołu czoło zmarszczyło się gniewnie, palce niczym szpony zacisnęły się na różańcu, który pożyczyła od Eulalii.

Starszawa mniszka powtórzyła to, co już raz powiedziała, z cierpliwością zupełnie wypraną z emocji.

- Matka Przełożona cały dzisiejszy dzień oddaje się rekolekcjom, postom i modlitwie.

Tu spojrzała z politowaniem na Scarlett i dodała wyjaśniającym tonem:

- Dzisiaj jest Środa Popielcowa.

- Wiem, proszę siostry - Scarlett omal nie krzyknęła z wściekłości. Zaraz jednak powściągnęła język.

- Proszę powiedzieć Matce, że jestem bardzo zawiedziona - dodała łagodnym tonem. - I że wrócę tu jutro.

Zaraz gdy weszła do domu, dokładnie umyła twarz.

Kiedy zeszła do salonu, Eulalia i Paulina były wyraźnie zszokowane, lecz nie wyrzekły ani słowa. Milczenie - oto jedyna broń, jaka im pozostała, gdy Scarlett była w złym usposobieniu. Kiedy jednak Scarlett oznajmiła, że zamierza zaordynować śniadanie, Paulina nie wytrzymała.

- Będziesz tego żałować, nim jeszcze dzień dobiegnie końca.

- A to dlaczego? - ze zdumienia Scarlett opadła szczęka.

Opadła i trwała tak, podczas gdy Paulina wyjaśniała jej powody. Nawrócenie Scarlett było tak świeżej daty, że nie zdążyła jeszcze się dowiedzieć, na czym właściwie polega post: w swej prostoduszności sądziła, iż wystarczy, gdy ograniczy się do jedzenia ryb w piątki. Lubiła ryby i wcale nie przeszkadzało jej, gdy raz w tygodniu musiała powstrzymać się od mięsa. Lecz to, co usłyszała od Pauliny, wzbudzało w niej zasadnicze zastrzeżenia.

Przez cały okres czterdziestodniowego Postu tylko jeden posiłek dziennie, a i to bezmięsny. Wyjątkiem niedziele: dozwolone jeść trzy razy dziennie, mięso wszakże zakazane.

- Niewiarygodne! - wykrzyknęła Scarlett, już po raz drugi w ciągu godziny. - U mnie w domu nigdy nie pościłam w ten sposób.

- Bo byłaś dzieckiem, moja droga - powiedziała Paulina. - Nie wątpię jednak, że twoja matka zachowywała wszystkie posty. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie nauczyła cię tego samego, gdy już dorosłaś. No tak, Ellen musiała mieszkać sama jedna na wsi, nie mogła poddać się duchowemu przewodnictwu kapłana, poza tym musiała jeszcze przeciwdziałać wpływom pana O'Hary... - głos jej się załamał.

Oczy Scarlett załśniły niebezpiecznie.

- A dokładnie, ciociu, o co ci chodzi, gdy mówisz o „wpływach pana O'Hary”.

Paulina spuściła wzrok.

- Wszyscy wiedzą, że ten Irlandczyk dość swobodnie interpretował prawa kościelne. A w dodatku, jak wszystkich Irlandczyków, trudno go potępiać... biedna, pogrążona w ciemnocie nacja... - przeżegnała się pobożnie.

Scarlett tupnęła nogą.

- Nie zamierzam siedzieć tu i brać udział w snobistycznej błazenadzie sfrancuziałych dewotek. Tatusz był dobrym człowiekiem, a jego „wpływ” to sama dobroć i szlachetność, czyli coś, o czym nie macie pojęcia. Ponadto pragnę was powiadomić, że całe wczorajsze popołudnie spędziłam na łonie rodziny O'Harów... wspaniali ludzie, wszyscy razem i każdy z osobna. Wolę już ulec ich „wpływowi” niż waszej wymoczkowatej pobożności.

Eulalia uderzyła w płacz. Scarlett spojrzała na nią spod oka. Tak, teraz ładnych parę godzin będzie musiała słuchać tych łkań. Nie, to nie do zniesienia.

Paulina zaszlochała głośno. Scarlett podskoczyła, spojrzała na ciotkę... Paulina

nigdy nie płakała.

Ogarnięta poczuciem bezbrzeżnej bezradności spojrzała na pochylone nad stołem siwe głowy i zgarbione plecy. Paulina sprawiała wrażenie szczególnie kruchej i dotkniętej.

Niesłychane! Nie wierząc samej sobie, podniosła się, podeszła do Pauliny i objęła ją za szyję.

- Bardzo przepraszam, ciociu. Wcale nie myślę tego, co powiedziałam.

* * *

Kiedy już przywrócono pokój, Eulalia zaproponowała Scarlett wspólny spacer wokół skweru.

- Siostra i ja zawsze byliśmy zdania, że przechadzka wielce pokrzepia - oświadczyła z promiennym uśmiechem. Zaraz jednak usta zadrżały jej w patetycznie powstrzymywanym grymasie bólu. - Nie mówiąc już o tym, że pozwala trzymać się z dala od wszelkiej myśli o jedzeniu.

Scarlett zgodziła się bez wahania. Musiała wyjść z domu. Była przekonana, że z kuchni dobiega ją zapach smażonego bekonu. Obeszła zatem z ciotkami wysepkę zieleni przed domem, potem przeszły na następny skwer, potem następny i tak dalej. Zanim jednak ruszyły w drogę powrotną do domu, z wyczerpania słaniała się na nogach niemal tak samo jak Eulalia, a także zdążyła nabrać przeświadczenia, że obeszły każdy z dwudziestu paru skwerów zdobiących Savannah, które dzięki nim zyskało sławę miasta o szczególnym uroku. Była też przeświadczona, że jeszcze chwila, a umrze z głodu i z nudów. Ale w końcu zbliżał się czas obiadu... Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek ryba smakowała jej tak wybornie.

Co za ulga! - westchnęła w duchu, gdy Eulalia i Paulina pomaszzerowały na górę, by zażyć poobiedniej drzemki. Ich wspomnienia dzieciństwa spędzonego w Savannah, podane w rozsądnej dawce, ostatecznie mogły się dłużyć. Większa ilość mogła pchnąć najbardziej nawet cierpliwego człowieka do rękoczynów. Scarlett ruszyła na przechadzkę po ogromnym domu, podnosiła na wysokość oczu piękne okazy chińskiej porcelany i stare srebra, spoglądała na nie nic nie widzącym wzrokiem, odstawiała i szła dalej, pogrążona we własnych myślach.

Dlaczego Matka Przełożona piętrzy trudności? Dlaczego w końcu nie przemówi do niej prosto i otwarcie? Dlaczego, na miłość Boską, kobieta taka jak ona spędza cały dzień w odosobnieniu, nawet jeśli to Środa Popielcowa? Na pewno Matka Przełożona była chodzącą doskonałością, na tyle przynajmniej, na ile jest to dane człowiekowi, po

co więc spędzać cały dzień na poście i modlitwie?

Post! Scarlett szybko pobiegła do jadalni. Rzuciła okiem na zegar. Niemożliwe, dopiero czwarta. A jednak. Nawet niepełna, bo dopiero za siedem minut. I pomyśleć, że aż do jutra, do obiadu, nie dostanie nic do jedzenia... Nie, to niemożliwe. Nonsens.

Podeszła do dzwonka, pociągnęła cztery razy za sznurek.

- Zakładaj płaszcz - powiedziała, gdy nadbiegła Pansy. - Wychodzimy.

* * *

- Miss Scarlett, dlaczego przyszłyśmy do piekarni? Niech pani spojrzy... ona mówi, że na wystawie są same atrapy i nie nadają się do jedzenia. I jeszcze mówi, że wszystko, co tutaj się znajduje, sama wypiekła.

- Niech sobie mówi, co chce. A jeśli puścisz parę z ust, gdzieśmy byli, żywcem obedrę cię ze skóry.

Na miejscu zjadła dwa ciastka i rogalika. Do domu wzięła dwie torebki pełne różnych wypieków: przemyliła je do sypialni, skrywając w obszernych fałdach rotundy.

Na biurku leżał telegram. Rzuciła torebki z ciastkami na podłogę. Podbiegła, chwyciła kopertę.

Henryk Hamilton - głosił podpis. Do diabła, a więc nie Rett! A już myślała, że to od niego, że błaga ją o powrót do domu, albo że sam wyprawia się do Savannah, by ją przywieźć. Wściekle zgniotła w dłoni kartkę lichego papieru.

Zaraz jednak wygładziła. Lepiej już wiedzieć, co ma do powiedzenia Henryk. Czytając depezę, powoli dochodziła do siebie. Na jej twarz z wolna zaczął powracać uśmiech.

TELEGRAM OTRZYMAŁEM STOP OGROMNY PRZEKAZ OD RETTA STOP CO ZA SZALEŃSTWA SIĘ ZA TYM KRYJĄ? STOP RETT PROSI MNIE O TWÓJ ADRES STOP LIST WYŚLAŁEM STOP HENRYK HAMILTON

A jednak Rett, szuka jej - tego dokładnie oczekiwała. Ha! Miała rację, że ściągnęła do Savannah. Teraz pozostawało tylko mieć nadzieję, że wuj Henryk wykazał się przytomnością i podał Rettowi jej adres telegraficznie, a nie listownie. Hm... może właśnie w tej chwili czyta depezę od Hamiltona, tak jak ona.

Nucąc walca zawirowała po pokoju, przycisnąwszy telegram do serca. A może Rett ruszył już w drogę? Pociąg z Charlestonu przyjeżdża o tej porze. Podbiegła do lustra. Gorączkowymi ruchami poprawiła fryzurę, powlekła policzki warstewką rózu. Zmieniać suknię? ... Nie, Rett na pewno by zauważył i jeszcze by sobie uroił, że nic nie ma tu do roboty, niż tylko czekać na niego. Natarła skronie i szyję wodą kolońską. Tak.

Teraz jest już gotowa. Spojrzała w lustro, że oczy jej płoną niczym kocie ślepie. Przystawiła do okna stół, usiadła tak, by z zewnątrz pozostała niewidoczna za zasłoną, sama jednak miała widok na wszystko.

Minęła godzina. Rett nie przyjeżdżał. Wyjęła z torebki rogalik. Post? Do licha z postem! Też mi coś, siedzieć ukryta w sypialni i po kryjomu wcinać rogaliki - bez masła. Gdy schodziła po schodach na dół, była w bardzo złym humorze.

A tu w dodatku spotkała Hieronima z tacą, a na niej kolacja dla dziadka! To chyba już wystarczający powód, by przejść do hugonotów lub prezbiterian, jak stary Robillard.

Scarlett zatrzymała lokaja w hallu.

- To wygląda ohydnie - skrzywiła się na widok jedzenia. - Jazda z tym z powrotem do kuchni. Na kartofle położyć duży kawałek masła. Na talerzu podać gruby plaster szynki... wiem, że macie tu szynkę, widziałam w spiżarni. Na budyń proszę położyć parę łyżeczek śmietanki... i łyżeczkę dżemu poziomkowego.

- Mr. Robillard nie przeżuje szynki - odparł z godnością służący. - A jego lekarz mówi, że powinien powstrzymać się od jedzenia słodczy, tak zresztą jak śmietanki i masła.

- Ale dieta nie służy zagłodzeniu pacjenta - odparła Scarlett. - Rób, co ci każe.

Odprowadziła go wzrokiem aż do samego końca schodów - zniknął w drzwiach do kuchni, ani razu nie zgiąwszy sztywnego karku.

- Nikt nie powinien głodować - mruknęła. - Nigdy.

Nagle poczuła świeży przypływ dobrego humoru. Roześmiała się pod nosem.

- Nikt. Nawet stary dureń.

Pokrzepiona rogalikami, radośnie podśpiewując, Scarlett schodziła po schodach w czwartek rano. Ciotki krzątały się nerwowo, przygotowując odświętny obiad w dzień urodzin dziadka. Podczas gdy Eulalia mocowała się z gałązkami ciemnozielonolistnej magnolii, która miała ozdobić kredens i okap kominka, Paulina przekopywała się przez stos sztywno wykrochmalonych obrusów i serwetek, usiłując znaleźć te, które - jak pamiętała - *Père* szczególnie lubił.

- A co to za różnica? - niecierpliwie mruknęła Scarlett. Burza w szklance wody! Pierre Robillard nawet nie dojrzy stołu, zakopany po uszy w pościeli. - Po prostu połóżcie ten obrus, który ma najmniej cer, i basta.

Eulalia opuściła naręcze szeleszczących gałązek magnolii.

- Nie słyszałam, jak nadchodzisz. Dzień dobry.

Paulina chłodno skinęła głową. Jak przystoi dobrej chrześcijance, z serca wybaczyła Scarlett jej grubiaństwo, lecz „przebaczyć” nie znaczy „zapomnieć”: wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy jej tego nie zapomni.

- W obrusach *Mère* nie ma cer - oznajmiła wyniośle. - Wszystkie są jak nowe.

Scarlett spojrzała na stosy obrusów, rozłożone na długim stole i przypomniała sobie zniszczoną, poplamioną serwetę, która zawsze widniała na stole w charlestońskim domu ciotek. Gdyby to od niej zależało, spakowałaby te stosy świetnej bielizny i zabrała w sobotę, gdy będą odjeżdżać, do Charlestonu. Dziadek i tak by nie zauważył, ciotki miałyby przynajmniej jakiś pożytek z tego. Nigdy w życiu nie będę się nikim przejmować tak wielce, jak one tym starym tyranem. Gdybym jednak zdradziła im, co myślę, Eulalia natychmiast zaczęłaby chlipać, zaś Paulina wygłosiłaby mi kazanie o obowiązkach wobec starszych i nie ustałaby, zanim by nie minęła godzina z okładem.

- Muszę wyjść - obróciła się na pięcie. - Chcę kupić dziadkowi prezent. Może mam zrobić jakieś zakupy dla was?

I nie ważcie się - dodała w duchu - nastroczać się mi z towarzystwem. Muszę pójść do klasztoru, do Matki Przełożonej. Przecież nie może przebywać dzień i noc w odosobnieniu. Jeśli trzeba, stanę u furty i złapię ją, gdy tylko wyjdzie. Już mnie nuży to ciągle odchodzenie z kwitkiem.

Zbyt są zajęte - usłyszała w odpowiedzi - by iść na zakupy i dziwią się, że Scarlett dotychczas jeszcze nie wybrała i nie zapakowała prezentu dla dziadunia. Scarlett wyszła, zanim zdołały ją wnikliwiej poinformować o naturze zajęcia, które trzyma je w domu i nim zdołały dać wyraz głębi swego zdziwienia.

- Stare idiotki - mruknęła półgębkiem. Uśmiechnęła się.

Pnie drzew na skwerze sprawiały wrażenie grubszych, trawa była jakby bardziej zielona niż poprzedniego dnia. I słońce też grzało intensywniej. Scarlett poczuła przypływ fali optymizmu - jak to zwykle, gdy wiosna daje pierwsze znaki życia. Dzisiaj wszystko się uda - tego była pewna. I to wbrew urodzinowemu przyjęciu dziadka.

- Szybciej, Pansy - już automatycznie ponagliła dziewczynę. - Nie wlecz się jak żółw. Co rzekłszy, przyspieszyła kroku, głośno wybijając rytm na trotuarze.

Stukot młotów i gwar męskich głosów rozdarły poranną ciszę. Budowa katedry. Scarlett przez chwilę pragnęła, by znowu pojawił się ten młody ksiądz i oprowadził ją po budowli. Ale przecież nie po to tu przysła. Ruszyła w stronę klasztornej furty.

Zadźwięczał dzwonek. Otworzyła ta sama starszawa zakonnica. Scarlett przygotowała się do walki. Zanim jednak zdążyła cokolwiek z siebie wykrztusić, usłyszała:

- Matka Przełożona oczekuje. Jeśli pani pozwoli...

Gdy dziesięć minut później wychodziła z klasztoru, była prawie pijana ze szczęścia. Wszystko poszło tak łatwo! Matka Przełożona zgodziła się na rozmowę z biskupem. Tak - powiedziała - wspomniała już o tym tam, gdzie trzeba i rozmowa odbędzie się wkrótce. Nie, nie może powiedzieć, kiedy, niewątpliwie jednak w ciągu najbliższych dni. W przyszłym tygodniu wraca do Charlestonu.

Jakby niesiona na skrzydłach dotarła do domu, gdzie od razu wpadła w wir ostatnich przygotowań do uroczystego obiadu w dzień urodzin Robillarda. Zabiegi, które jeszcze parę godzin temu zdały się jej przesadne, teraz, gdy dowiedziała się, że dziadek zasiądzie za stołem, uznała za nader niewystarczające. Co innego widzenia, które odbywała w sypialni starca - nie przykładła do tego specjalnej uwagi, ponieważ dziadek szybko ją odprawiał. Nie byłaby jednak w stanie odejść od stołu, gdy obiad składał się z pięciu czy sześciu dań - z drugiej jednak strony wysłuchiwanie gadaniny ciotek było równie trudne do zniesienia.

Cóż, w końcu to tylko jeden obiad. Może nie będzie aż tak strasznie. Zgryźliwy starzec w gruncie rzeczy niewielkie ma możliwości.

Nie były one aż tak niewielkie - przekonała się Scarlett. Cóż z tego, że postanowiła nie dopuścić, by konwersację przy stole prowadzono wyłącznie po francusku. Jej „wszystkiego najlepszego, dziaduniu” zostało absolutnie zignorowane, trafiło w próżnię, tak jak gdyby w ogóle niczego nie powiedziała. Z kolei życzenia ciotek przyjęto do wiadomości oziębłym skinieniem głowy. Po czym Pierre Robillard zasiadł w

ogromnym, jakby tronowym krześle u góry stołu.

Pierre August Robillard niczym nie przypominał wątłego, odzianego w koszulę nocną staruszka. Nieskazitelnie ubrany w staromodny surdut i wykrochmaloną koszulę, choć potwornie wychudzony, prezentował się nader imponująco, a jego wyprostowana postawa - dziedzictwo wielu lat spędzonych w wojsku - imponowała nawet wtedy, gdy siedział. Siwe włosy przywodziły na myśl lwią grzywę, spod krzaczastych, mlecznobiałych brwi spoglądały sokole oczy, zaś wielki kościsty nos wyglądał jak dziób drapieżnika. Cała pewność, że będzie to dobry dzień, opuściła Scarlett z szybkością zimnej wody spływającej w czas burzy. Rozłożyła więc bez słowa sztywno wykrochmaloną serwetkę, gotując się w duchu na coś, co przyjść miało, a czego jeszcze nie знаła.

Do jadalni wkroczył Hieronim. Na srebrnej tacy wielkości blatu stolika wniósł srebrną wazę. Źrenice Scarlett rozszerzyły się ze zdumienia: takiego srebra jeszcze w życiu nie widziała. Waza była inkrustowana, podstawa wyobrażała prawdziwą puszcze: drzewa, gałęzie i liście oplatały obrzeże. Na gałęziach siedziały ptaki, wśród pni drzew kryły się zwierzęta: niedźwiedzie, jelenie, dziki, zające, bażanty. Były nawet sowy i wiewiórki. Pokrywa wyobrażała pień drzewa, porośnięty grubymi pędami winorośli, dźwigającymi miniaturowe, acz oddane z doskonałą wiernością, winne grona. Hieronim ustawił wazę przed panem domu, po czym ręką w białej rękawiczce uniósł pokrywę. Buchnęły kłęby pary. Srebro zaparowało, całą jadalnię wypełniły wyborne aromaty zupy żółwiowej.

Paulina i Eulalia zgodnie pochyliły się nad stołem, uśmiechnięte na samą myśl o jedzeniu.

Hieronim wyjął z kredensu talerz na zupę, podstawił go pod wazę. Pierre Robillard uniósł srebrną chochlę i w milczeniu napełnił naczynie. Potem, wyprostowany, patrzył spod półprzymkniętych powiek, jak talerz wędruje do Pauliny.

Ceremonię powtórzono - najpierw dla Eulalii, następnie dla Scarlett, która już nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie jej wolno sięgnąć po łyżkę. Cierpliwie jednak, choć palce ją świerzbily, trzymała dłonie na kolanach spoglądając, jak dziadek napełnia swój talerz, po czym jak smakuje pierwszy łyk. Pierre Robillard wymownie wzruszył ramionami. Łyżka została w talerzu.

Eulalia załkała jakoś tak niesamowicie.

Ty stary potworze! - oburzyła się w głębi ducha Scarlett. Spróbowała zupy. Znakomita! Usiłowała złowić wzrok Eulalii, chciała dać jej do zrozumienia, że rzadko

zdarza się jeść coś równie smacznego, lecz ciotka, przygnębiona, wbiła wzrok w stół. Paulina także zostawiła łyżkę w talerzu. To wystarczyło, by Scarlett straciła całą sympatię dla ciotek. Skoro tak łatwo dały się styranizować, zasługiwały na to, by spędzić dzień o pustym żołądku. Co się jednak jej tyczy, nie miała zamiaru dać zepsuć sobie apetytu!

Paulina zapytała o coś ojca, lecz ponieważ Scarlett nie знаła słowa po francusku, nie wiedziała, o co. Ale odpowiedź dziadka była tak lakoniczna, zaś twarz Pauliny tak blada, że chyba powiedział coś strasznego. Powoli wzbierał w niej gniew. Ten człowiek znajduje przyjemność w zohydzaniu wszystkiego i robi to celowo. Ach, gdybym tak mówiła po francusku, nie siedziałabym jak na tureckim kazaniu, w milczeniu łykając wszystkie jego podłości.

Milczała jednak, gdy Hieronim zbierał talerze do zupy i srebrne podstawki, milczała, gdy roznosił płaskie talerze, a następnie rozkładał noże i widelce do ryb. Zdało się, że trwało to wieczność.

Lecz gdy wniesiono alożę *sauté*, okazało się, że warto było czekać tak długo. Scarlett zerknęła na dziadka - tak, nawet on nie ośmielił się udawać, że i drugie danie mu nie smakuje. Ugryzł... najpierw kęs, potem drugi. W śmiertelnej ciszy stukot noży i widelców zabrzmiał okropnie głośno.

Najpierw Paulina, potem Eulalia zostawiły na talerzach większą część nie dojedzonej ryby. Scarlett, za każdym razem, gdy unosiła do ust widelec, spoglądała wyzywająco na dziadka. Lecz nawet ona powoli traciła apetyt. Niezadowolenie starszego pana odbierało smak każdemu kęsowi.

Gotowane kapłony, podane jako trzecie danie, były tyleż kuszące co knedliki, którymi je obłożono, brązowa rzeka sosu opływała *purée* z ziemniaków i gniazdka z czarnej rzepy, gdzie złożono smaczne kęsy delikatnego mięsa. Pierre Robillard zanurzył czubek widelca w sosie, dotknął językiem i to był już koniec.

Scarlett myślała, że lada chwila wybuchnie. Tylko rozpaczliwe błaganie, widoczne w oczach ciotek, zmusiło ją do milczenia. Czy w ogóle ktokolwiek mógł przelicytować w swej niechęci ku rodzajowi ludzkiemu jej dziadka? To przecież niemożliwe, by nie smakował mu ten obiad. Sama smakowała te same dania, a każdy kęs rozpląwał się jej w ustach. Z pewnością jedzenie nie było za twarde, nawet jeśli starzec miał słabe zęby. Więcej, nawet jeśli nie miał żadnego. Wiedziała też, że dziadek lubi wykwintne dania. A kiedy wczoraj kazała połączyć papkę warzywną sosem i obłożyć kawałkami masła, talerz wrócił do kuchni czysty jakby go pies wylizał. Nie, Pierre Robillard musiał mieć inny

powód, dla którego nie jadł. Widziała to po jego oczach, płonących dziwnym blaskiem, gdy spoglądał na litość budzące rozczarowanie ciotek. Większą radość sprawiało mu przyprawianie ich o cierpienie niż przyjemność, której by doznał, jedząc obiad. Nawet jeśli był to uroczysty obiad urodzinowy.

Jakaż różnica w nastrojach, gdy porównać to ponure zgromadzenie z urodzinami kuzynki Patrycji. U O'Harów dom promieniał miłością, rozbrzmiewał śmiechem i muzyką. Tu, przy stole dziadka Robillarda, panowała cisza, strach i okrucieństwo.

Scarlett usiłowała skupić uwagę na subtelnym i bogatym aromacie sosu, lecz gniew odebrał jej całą przyjemność. Spoglądała na kościste ciało dziadka, na jego kamienną, ściągniętą w grymasie samozadowolenia twarz. Gardziła nim za to, że w ten sposób dręczył jej ciotki, a swoje córki. Ona, od czasu, gdy Wojna zdruzgotała światek, w którym czuły się bezpieczne, opiekowała się nimi i dbała, by miały środki do życia, teraz zaś gotowa była stanąć do walki z ich prześladowcą. Lecz im bardziej nim gardziła, tym większą pogardę odczuwała także i dla nich, które bez słowa skargi znosiły tortury, jakie im zadawał. Nie miały ni krzty oleju w głowie. Jak mogły tak siedzieć w absolutnym milczeniu u stołu ich ojca, w miłym różowym pokoju - jednym z wielu w ślicznym różowym domku? Ta sytuacja napawała ją obrzydzeniem do wszystkiego i wszystkich, nawet samej siebie. Jestem nie mniej okropna niż ci ludzie dokoła - myślała. Dlaczego nie otworzę ust i nie powiem mu, że jego zachowanie jest haniebne? Nie muszę zwracać się do niego po francusku, przecież mówi po angielsku równie dobrze jak ja. Jestem dojrzałą kobietą, nie muszę czekać, aż się do mnie odezwą. Co się ze mną dzieje? Zupełny idiotyzm!

Siedziała jednak w milczeniu, wyprostowana, plecami nie dotykając oparcia krzesła, z lewą ręką na kolanach, gdzie rozłożyła sztywną, wykrochmaloną serwetkę. Była niczym dziecko, które chce zdać egzamin z zachowania w towarzystwie starszych i dostać najwyższą ocenę. Nie widziała - nawet nie wyobrażała sobie - obecności swej matki, lecz Ellen Robillard O'Hara także tu była, była w domu, gdzie wyrosła, siedziała przy stole, przy którym siadywała po wielekroć, a gdzie siedziała teraz Scarlett, z lewą dłonią spoczywającą na wykrochmalonej serwetce na kolanach. I właśnie czując tę jej obecność - pomna na miłość ku niej - by zyskać uznanie w jej oczach - Scarlett nie była w stanie rzucić otwartego wyzwania tyranii Pierre'a Robillarda.

Siedziała więc, czując, jak mija wieczność, siedziała spoglądając na pełną godności krzątanicę Hieronima. Jedne talerze zastępowano drugimi, noże i widelce zamieniano na nowe noże i widelce, wyniesiono nie tknięte prawie kapłony i na półmiskach

przykrytych srebrnymi czaszami podano duszone mięso. Potem na stół wjechał apetyczny suflet z sera, a po głównym daniu mięsnym przyszła kolej na tort urodzinowy. Pierre Robillard z podziwu godną wytrzymałością smakował i oddalał każde danie. Zanim Hieronim postawił paterę z tortem na stole, cierpienie i napięcie nerwowe ciotek stały się niemal namacalne. Nawet Scarlett z trudem zdołała wysiedzieć na krześle, tak wielką miała ochotę zerwać się i uciec stąd byle dalej.

Tort był obłożony lśniącymi, zawijanymi w esy floresy bezami, szczodrze obsypanymi srebrzystym groszkiem. Filigranowa róża na szczycie spinała zawile sploty włosów anielskich, z których wyrastały miniaturowe jedwabne flagi Francji, armii napoleońskiej oraz regimentu, gdzie służył dziadek. Starzec chrząknął, gdy Hieronim postawił przed nim tort - niewykluczone, że z przyjemności. Po czym zwrócił się ku Scarlett. Obrzucił ją spojrzeniem na wpół przymkniętych oczu.

- Pokrój - rozkazał po angielsku.

Pewnie myśli, że uderzę nożem we flagi - pomyślała z ponurą satysfakcją. Otóż nie, nie wyświadczę mu tej przyjemności. Gdy prawą ręką przyjmowała od Hieronima szeroki nóż do krojenia tortu, lewą ręką szybko zdjęła srebrzystą różę i postawiła ją na stole. Spojrzała dziadkowi prosto w oczy, a następnie uśmiechnęła się, jak mogła najśłodziej.

Jego wargi zadrżały.

* * *

- I jak myślisz, zjadł? - wykrzyknęła Scarlett dramatycznie drżącym głosem. - Nie zjadł! Ten stary okrutnik wziął na czubek widelczyka nie więcej niż dwa okruchy... przedtem jednak zdrapał te piękne bezy jakby to było zeschnięte błoto albo i co gorszego... po czym włożył je do ust z taką miną, jak gdyby wyświadczał łaskę całemu światu. A potem oznajmił, że zbyt jest zmęczony, by otworzyć prezenty i zaszył się z powrotem w sypialni. Tylko czekałam, aż skręci ten swój patykowaty kark.

Maureen O'Hara, siedząca na fotelu na biegunach, zabujała się do tyłu i w przód, i roześmiała się ucieszenie.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - bąknęła Scarlett. - Był podły i zachowywał się grubiańsko.

Żona Kuby wyraźnie ją rozczarowała. Spodziewała się po niej współczucia, nie rozbawienia.

- Ależ oczywiście, Scarlett, że widzisz. Przecież to tylko lajdackie figle, nic więcej. Twoje stare, biedne ciotki wychodzą ze skóry, by zrobić mu przyjemność, a on,

wiecznie w tej swojej koszuli nocnej, niczym bezzębne dzieciątko, wychodzi ze skóry, by uknuć jakąś intrygę przeciwko nim. Stary huncwot. Zawsze miałam słabość dla takich szelm i ich matactw. Już go widzę, jak siedząc w łóżku czuje naciągające z kuchni zapachy i knuje swe plany... Czyż nie domyślasz się, że w swej przebiegłości schował się za zamkniętymi drzwiami sypialni i tam dopiero nasycił swój apetyt? Stary łobuz. To jego wyrachowanie bardzo mnie bawi.

Śmiech Maureen tak był zaraźliwy, że i Scarlett dała upust wybuchowi wesołości, teraz już przekonana, iż dobrze zrobiła przychodząc tutaj po tym fatalnym obiedzie - tu, do kuchni, której drzwi zawsze stały otworem.

- Pozwólmy sobie zatem na kawałek tortu - rzekła Maureen. - Ponieważ po urodzinach dziadka masz wprawę, zechciej zająć się krojeniem... tu, pod serwetką na kredensie. Ukrój parę kawałków więcej, bo za chwilę dzieci wrócą ze szkoły. Ja zaparzę herbatę.

Scarlett zaledwie zdążyła się usadowić w pobliżu ognia z filiżanką herbaty i ciastem na talerzyku, gdy nagle drzwi odskoczyły jakby trącone podmuchem huraganu i do kuchni wpadło pięcioro małych O'Harów. Scarlett zdołała rozpoznać rudowłose - Marię Katarzynę oraz Helenę - córki Maureen. Chłopiec, jak wkrótce się dowiedziała, miał na imię Michał, dwie młodsze dziewczynki - Klara i Peg - były jego siostrami. Ci troje mieli ciemne, kędzierzawe włosy, którym stanowczo przydałby się grzebień, błękitne oczy przesłonięte długimi rzęsami, małe rączki utyłane w czymś lepkiem - Maureen kazała im natychmiast się umyć.

- Ale my nie musimy mieć czystych rąk - zawołał Michał. - I tak zaraz idziemy do obory bawić się ze świniami.

- Świnie mieszkają w chlewiku - wtrąciła Peg, świadoma wagi tego, co mówi. - Prawda, Maureen?

Scarlett zaniemówiła. W jej świecie dzieci nie miały prawa zwracać się do dorosłych po imieniu. Ale Maureen zdała się nie dostrzegać w tym niczego złego.

- Świnie mieszkają w chlewiku dopóty, dopóki ich ktoś nie wypuści - rzekła, mrugnawszy porozumiewawczo okiem. - Chyba nie przyszło wam do głowy wypuszczać świnki z chlewika?

Michał oraz jego siostry wybuchnęli śmiechem, jak gdyby Maureen opowiedziała najzabawniejszy dowcip, jaki zdarzyło się im słyszeć. Po czym wybiegły z kuchni przez tylne drzwi na duże podwórko.

Scarlett powiodła wzrokiem po rozżarzonych węglach na palenisku, błyszczącej

miedzi czajniczka do herbaty zawieszono nad ogniem, po rondlach ustawionych na okapie. Śmieszne. I pomyśleć, że gdy minęły złe dni Tary, przyrzekła sobie, iż jej noga nigdy więcej nie postanie w kuchni. A jednak... Ale ta kuchnia była inna od wszystkich, tętniła życiem, jej przeznaczeniem było przeżywanie szczęścia, a nie jedynie gotowanie posiłków i zmywanie naczyń. Pragnęła, by mogła tu pozostać. Dostojne piękno salonu w domu jej dziadka, zaledwie o nim pomyślała, przyprawiało ją o dreszcze.

A jednak należała do świata salonu, nie kuchni. Była damą, przyzwyczajoną do służby i luksusów. Szybko dopiła herbatę, odstawiła filiżankę na spodek.

- Ocaliłaś mi życie - westchnęła. - Myślałam, że oszaleję, jeśli pozostanę z ciotkami choć chwilę dłużej. Ale teraz muszę się zbierać.

- Szkoda. Nawet nie spróbowałaś mojego tortu... wszyscy twierdzą, że moje wypieki są grzechu warte.

Helena i Maria Katarzyna podskoczyły do fotela matki, pokazując puste talerzyki.

- Dobrze - uśmiechnęła się Maureen. - Weźcie sobie jeszcze po kawałeczku, lecz nie zjedzcie wszystkiego, bo małeństwo zaraz przyjdzie.

Scarlett zakładała rękawiczki.

- Muszę uciekać - powtórzyła.

- Szkoda. Ale mus to mus. Mam nadzieję, że przyjdiesz w sobotę i zostaniesz na tańce? Kuba mi mówił, że chce nauczyć cię tańczyć *reela*. Może do tego czasu wróci Colum.

- Niemożliwe! Czyżbyś wydawała w sobotę następne przyjęcie?

- „Przyjęcie” to może zbyt wielkie słowo. Ale gdy kończy się tydzień i mężczyźni przynoszą do domu pliki banknotów, zawsze to dobrze pocieszyć się trochę przy muzyce i tańcach. Można na ciebie liczyć?

Scarlett potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Chętnie bym przyszła, lecz przecież nie pozostanę w Savannah na zawsze.

Ciotki sądziły, że razem z nimi wróci w sobotę do Charlestonu porannym pociągiem. Nie przypuszczała, by do tego doszło, nigdy nie sądziła, że tak się stanie. Do soboty na pewno zjawi się po nią Rett... może już teraz był u Robillardów? Nie, stanowczo nie powinna była wychodzić z domu.

Zerwała się na równe nogi.

- Uciekam. Dziękuję za wszystko, Maureen. Przed odjazdem na pewno do was wpadnę.

Może nawet przyprowadzi ze sobą Retta, żeby poznał rodzinę O'Harów. Całkiem by do siebie pasowali: jeszcze jeden rosły, ciemnowłosy mężczyzna w gronie tylu innych. Choć, z drugiej strony, niewykluczone, że oparłby się o ścianę, jak to u niego w zwyczaju, z elegancką niedbałością, która tak wielu działała na nerwy, i wyśmiewałby ich wszystkich, co do jednego. Zawsze naśmiewał się z pół - Irlandczyków, kpiąc z niej, gdy powtarzała to, co Papa mówił jej dobre sto razy: że O'Harowie byli od wieków wspaniałym rodem możnych posiadaczy ziemskich. Aż do bitwy nad Boyne.

Nie wiem, co on widzi w tym śmiesznego. Skoro niemal wszyscy, których znamy, stracili grunty na rzecz Jankesów, to chyba łatwo sobie wyobrazić, że krajanie Papy w ten sam sposób postradali ziemię, bodajże na rzecz Anglików, jeśli się nie mylę. Przy pierwszej sposobności zapytam o to Kubę lub Maureen... o ile Rett nie zabierze mnie stąd do tego czasu.

38.

Właśnie zaczynało zmierzchać, gdy do domu Robillardów dostarczono obiecany w telegramie list wuja Henryka Hamiltona. Scarlett chwyciła kopertę niczym linę rzuconą tonącemu. Już od godziny przysłuchiwała się sporom ciotek, które nie potrafiły rozstrzygnąć, kogo właściwie należałoby winić za to, co miało miejsce dzisiaj przy obiedzie.

- To dotyczy moich spraw w Atlancie - wyjaśniła, rzuciwszy okiem na kopertę. - Przepraszam, ale muszę na górę.

Nie czekała, aż łaskawie wyrażą zgodę.

Zamknęła drzwi do sypialni. Chciała delektować się każdym słowem zupełnie na osobności:

Jakich znowu dopuściłaś się głupstw? - zaczynał się list pytaniem zamiast pozdrowienia. Stary wyga tak czymś się przejął, że trudno było odczytać jego pismo. Scarlett zmarszczyła brwi i przysunęła kartkę bliżej lampy.

Jakich znowu dopuściłaś się głupstw? W poniedziałek złożył mi wizytę nadęty stary dureń, jeden z tych, którym z reguły schodzę z drogi, by nie narazić się na niemiłe spotkanie. Człowiek ten pokazał mi czek przesłany za pośrednictwem jego banku i płatny na ciebie. Kwota opiewa na pół miliona dolarów, czek został wystawiony przez Retta.

We wtorek zawziął się na mnie inny stary głupiec, tym razem jakiś adwokat, koniecznie pragnący uzyskać ode mnie twój adres. Jego klient - mąż twój - pragnie wiedzieć, gdzie przebywasz. Nie powiedziałem mu, że jesteś obecnie w Savannah...

Scarlett jęknęła. Jakim prawem Henryk Hamilton wymyśla ludziom od starych głupców, skoro sam jest jednym z nich? Nic dziwnego, że ciągle nie mogła doczekać się Retta. Spojrzała na pająkowane pismo wuja.

...ponieważ otrzymałem Twój telegram już po tym, jak wyszedł z mojego biura, a podczas jego wizyty sam nie wiedziałem, gdzie się podziewasz. I nie powiem mu tego teraz, ponieważ nie wiem, jakie pomysły zaległy się w Twojej głowie, a coś mi mówi, żeby trzymać się od tego wszystkiego z daleka.

W każdym razie informuję Cię, że ów prawnik zadał mi w imieniu Retta dwa pytania: po pierwsze, gdzie przebywasz. Po drugie - czy chcesz rozwodu.

Droga Scarlett. Nie wiem, doprawdy, jak zdołałaś omotać Retta, że dał Ci te pieniądze i wcale nie chce tego wiedzieć. Także nie obchodzi mnie, jakie dał Ci powody do rozwodu. Nigdy nie poplamilem sobie rąk, mieszając się w podobne

sprawy, tym bardziej więc nie będę się zajmować nimi na starość. Na marginesie dodam, że tracisz czas i pieniądze, gdyż w Południowej Karolinie nie przeprowadza się rozwodów, a w świetle prawa Rett zamieszkuje Południową Karolinę.

Jeśli jednak obstajesz przy tej błazenadzie, gotów jestem polecić Ci adwokata, dość szacownego, jak sądzę, choć z tego, co wiem, sam przeprowadził dwa rozwody. Ostrzegam Cię jednak, że będziesz musiała powierzyć mu - lub innemu, którego sobie znajdziesz - prowadzenie wszystkich Twoich interesów, albowiem ja nie chcę już mieć z tym nic wspólnego. Jeśli w głowie Ci rozwód z Rettem, a następnie poślubienie Ashleya Wilkesa, pozwól, że zasugeruję Ci, byś przemyślała tę sprawę ponownie, i to bardzo dokładnie. Ashley radzi sobie lepiej, niż można się było po nim spodziewać. Miss India i moja siostra - idiotka prowadzą mu dom, tak że niczego nie zbywa ani jemu, ani jego synowi. Jeśli chcesz wkroczyć w życie Ashleya, wszystko zepsujesz. Zostaw lepiej tego biedaka w spokoju.

W rzeczy samej, zostawić go w spokoju! Ciekawe, jak wyglądałoby życie „tego biedaka”, gdybym zostawiła go samemu sobie! Spośród wszystkich ludzi, których miałam szczęście i nieszczęście poznać, właśnie wuj Henryk powinien wykazać się tą odrobiną zdrowego rozsądku miast niczym swarliwa stara panna obciążać mnie winą za wszystkie zło tego świata. On jeden zna całą prawdę o osiedlu na peryferiach, a mimo to... Scarlett poczuła się bardzo dotknięta. Henryk Hamilton spośród wszystkich atlantycznych przyjaciół był jej najbliższy - poniekąd zastępował jej ojca - toteż jego oskarżenia bardzo bolały. Szybko przebiegła wzrokiem parę zdań na końcu listu, szybko wygotowała odpowiedź, którą Pansy miała natychmiast zanieść do telegrafu.

MÓJ ADRES W SAVANNAH NIE JEST TAJEMNICĄ STOP NIE CHCĘ ROZWODU STOP PIENIĄDZE W ZŁOCIE ZNAK ZAPYTANIA

Gdyby wuj Henryk nie kwęczał niczym kwoka na jajach, byłaby zupełnie pewna, że już dawno temu zamienił pieniądze na złoto i ulokował je w jej sejfie w banku. Ale czy ktoś, kto nie miał dość oleju w głowie, by podać Rettowi jej adres, mógł się wykazać tą odrobiną rozsądku i przeprowadzić tę prostą operację - tego już nie była pewna. Ssąc kciuk oddała się ponurym myślom. Pieniądze. Może by tak wrócić do Atlanty, porozmawiać z wujem, bankierami, Colletonem? Może dokupić jeszcze ziemi na peryferiach i wybudować więcej domów? Teraz, gdy do miasteczka dotarła pierwsza fala depresji wywołana krachem na giełdzie, ceny powinny spaść na łeb, na szyję.

Nie! To, co najważniejsze, trzeba załatwić najpierw. Rett wszczął poszukiwania. Uśmiechnęła się do samej siebie, wyjęła kciuk z ust i palcami prawej dłoni zaczęła

masować zmacerowaną skórę. Nie zwiedzie mnie tą gadaniną o rozwodzie. Ani nawet przekazem na pół miliona, czym dawał do zrozumienia, jakoby wszystko, co nas łączy, zostało zerwane. To, co ważne - to, co naprawdę ważne - sprowadza się do jednego: Rett chce wiedzieć, gdzie mieszkam. Gdy wuj Henryk poda mu mój adres, niedługo będzie zwlekał.

* * *

- Nie bądź śmieszna, Scarlett - powiedziała Paulina lodowatym tonem. - Oczywiście, że jutro odjedziesz z nami do Charlestonu. Zawsze w sobotę wracamy do domu.

- Jeśli nawet wy wracacie, to wcale nie znaczy, że i ja muszę. Powtarzam wam zatem po raz wtóry: postanowiłam zatrzymać się w Savannah.

Scarlett była zdecydowana nie pozwolić Paulinie naprzykrzać się zbyt długo - nikt nie mógł niepokoić jej teraz, gdy wiedziała, że Rett wszczął za nią poszukiwania. Przyjmie go tutaj, właśnie tutaj - w tym wytwornym, różowozłotym pokoju i przywiedzie go do takiego stanu, że będzie błagał, by zechciała wrócić. A kiedy w stosownych słowach poprosi ją o przebaczenie i dość się uniży, zgodzi się wrócić, a wtedy on weźmie ją w ramiona iłoży na jej ustach pocałunek...

- Scarlett, może łaskawie zechcesz odpowiedzieć na pytanie?

- O co chodzi, ciociu Paulino?

- O to, co zamierzasz z sobą zrobić. Gdzie chcesz się zatrzymać?

- Jak to? Oczywiście, że tutaj.

Nie mieściło się jej w głowie, iż ktoś miałby jej bronić gościny w domu dziadka. Na Południu ciągle jeszcze pielęgnowano tradycję gościnności. Nie do pomyslenia było, by gospodarz wyprosił gościa z domu wcześniej, niż on sam uznał, że czas już odjechać.

- *Père* nie lubi niespodzianek - smutno zauważyła Eulalia.

- Mam wrażenie, że jestem w stanie pouczyć Scarlett o obyczajach tego domu i bez twojej pomocy, siostrzyczko.

- Oczywiście, że jesteś, siostrzo. Tak jak i ja jestem zupełnie pewna, że nigdy nie twierdziłam aby było inaczej.

- Zapytam dziadka - rzekła Scarlett, podnosząc się z miejsca. - Chcecie mi towarzyszyć?

Na samą myśl o tym pobladły, przerażone, że wtargnięcie do sypialni dziadka bez jego wyraźnego zaproszenia przyprawi go o białą gorączkę. Tam, do licha. Jakiej jeszcze podłości mógł się wobec nich dopuścić, czy nie wyczerpał już całego

repertuaru? Ruszyła przez hall odprowadzana przez szepczące, ciekawe wyniku tej wizyty ciotki. Zapukała.

- *Entrez, Jerome.*

- To nie Hieronim, dziadku, to ja, Scarlett. Mogę wejść?

Chwila ciszy. Po czym zza drzwi dobiegł ją niski, silny głos Pierre'a Robillarda.

- Wejdz.

Scarlett podrzuciła główką i uśmiechnęła się triumfalnie w stronę ciotek. Pchnęła drzwi.

Straciła nieco na pewności siebie gdy spojrzała na jastrzębią twarz starca. Ale nie zwolniła kroku. Przebrnęła do połowy przez gruby dywan, przekonana, że się jej powiedzie.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, dziadku, że zamierzam tu zostać parę dni dłużej niż ciotki Eulalia i Paulina, które jutro rano wracają do Charlestonu.

- Dlaczego?

Scarlett poczuła się zakłopotana. Nie miała zamiaru przedstawiać dziadkowi swoich racji. Zresztą nie bardzo rozumiała, dlaczego miałyby to robić.

- Bo tak chcę.

- Dlaczego?

Spojrzenie jej zielonych oczu - tak, była gotowa stoczyć tę walkę, zdały się mówić - skrzyżowało się z podejrzanym bladoniebieskim wejrzeniem starca.

- Mam swoje powody - wykrztusiła w końcu. - A czy ty masz coś przeciw temu?

- A gdybym miał?

Nie, to nie do zniesienia. Nie może, za żadną cenę nie wróci do Charlestonu. Byłoby to tak, jakby poniosła bezwarunkową kapitulację. Musi pozostać w Savannah.

- Jeśli nie chcesz, żebym tu została, przeniosę się do kuzynostwa O'Harów. Właśnie mnie zaprosili.

Usta Pierre'a Robillarda skrzywiły się lekko na kształt uśmiechu.

- Jeśli ci obojętne, czy śpisz w salonie sama, czy ze świnią, sam też nie będę się tym przejmował.

Scarlett poczuła, jak twarz oblewa jej purpura. Zawsze wiedziała, że dziadek bardzo niechętnym okiem spoglądał na małżeństwo matki. Nigdy nie gościł Geralda O'Hary w swoim domu. Chciała bronić ojca i kuzynów od bezpodstawnych uprzedzeń starego Robillarda, któremu nienawistne było wszystko, co irlandzkie. Nie pozostawiłaby tej zniewagi bez odpowiedzi, gdyby sama nie tkwiła w straszliwym podejrzeniu, że dzieci

O'Harów naprawdę przynoszą do domu małe świnki i że bawią się ze zwierzętami.

- Nieważne - mruknął dziadek. - Zostań tu, jak długo chcesz. Gdy o mnie chodzi, nie przywiązuję do tej sprawy najmniejszej uwagi.

Zamknął oczy. Posłuchanie skończone.

Scarlett z trudem powstrzymała się od trzaśnięcia drzwiami. Co za upiorny starzec! Niemniej jednak uzyskała to, na czym jej tak zależało. Uśmiechnęła się do ciotek.

- Wszystko w porządku.

Tego samego dnia rano i po południu Scarlett towarzyszyła ciotkom, które roznosiły przyjaciółom i znajomym karty wizytowe z odręcznie wypisanymi w lewym dolnym rogu inicjałami „P.P.C.” - *pour prendre congé**. Zwyczaj ten, nie praktykowany w Atlancie, w starszych miastach Georgii i Południowej Karoliny stanowił coś w rodzaju rytuału, któremu należało się podporządkować, zaś zdaniem Scarlett był zwykłą stratą czasu - bo niby po co informować bliższych i dalszych znajomych, że wyjeżdża się z miasta? Zwłaszcza gdy jeszcze parę dni temu ciotki wypuściły się do miasta, by w tych samych domach złożyć bilety wizytowe informujące, że przyjechały. Poza tym była przekonana, iż większość z tych ludzi, którym ciotki dwukrotnie w ciągu tygodnia składały wizyty li tylko celem zostawienia wizytówki, nie odwzajemniała się, składając własne karty wizytowe. W domu Robillardów nie przyjmowano gości.

W sobotę uparła się odprowadzić ciotki na dworzec. Osobiście dopilnowała, by Pansy postawiła walizy dokładnie tam, gdzie sobie tego życzyły, na widoku, tak żeby nie dało się ich niepostrzeżenie ukraść. Ucałowała zmarszczone i suche niczym papier policzki, wróciła na peron i - wtopiona w tłum odprowadzających - machała im na pożegnanie aż pociąg wytoczył się ze stacji.

- Zanim wrócimy do domu, zatrzymamy się u piekarza na Broughton Street - powiedziała do dorożkarza. Zanim podadzą obiad, minie jeszcze kilka głodnych godzin.

Wysłała Pansy do kuchni, żeby przyniosła jej kawę, po czym zdjęła kapelusz i rękawiczki. Uff, nareszcie. Z odjazdem ciotek w domu zapanował miły sercu spokój. Ale na stole w hallu dostrzegła warstewkę kurzu. Tak, koniecznie trzeba powiedzieć coś do słuchu Hieronimowi. Reszcie służby, o ile okaże się to konieczne, też. Nie wolno jej dopuścić do sytuacji, że gdy Rett przyjedzie, dom będzie zapuszczony do granic możliwości.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Hieronim pojawił się ze srebrną tacą w rękach. Scarlett podskoczyła. Na miłość Boską, czy ten człowiek nie umie poruszać się ciszej?

***Pour prendre congé* (franc.) - formuła grzecznościowa umieszczana na biletach wizytowych składanych przy wyjeździe. (Przyp. tłum.)

- To do pani, Miss Scarlett.

Na tacy leżał telegram.

Rett. Scarlett sięgnęła po kopertę drżącymi palcami, nader szybko.

- Dziękuję. Zobacz, co tam z kawą.

Ten lokaj jest zbyt wścibski. Nie, nie pozwoli, by czytał znad pleców.

Gdy tylko odszedł, rozerwała kopertę.

- Do diabła! - syknęła.

Depesza od wuja Henryka.

Oszczędny zazwyczaj w słowach Henryk był chyba poruszony do głębi, skoro pozwolił sobie na takie krasomówstwo, i to w telegramie.

NIE MAM I NIE CHCĘ MIEĆ NIC WSPÓLNEGO Z PIENIĘDZMI KTÓRE PRZEKAZAŁ CI MAŻ STOP CAŁA SUMA SPOCZYWA NA TWOIM KONCIE W BANKU STOP CHYBA DOŚĆ JASNO WYRAZIŁEM MĄ NIECHEĆ WOBEC OKOLICZNOŚCI W JAKICH ODBYŁA SIĘ TA TRANSAKCJA STOP NIE OCZEKUJ ODE MNIE POMOCY STOP.

Przeczytawszy depeszę, Scarlett osunęła się na krzesło. Nogi miała jak z waty, serce biło jak oszalałe. Stary dureń! Pół miliona - to chyba więcej, niż widzieli w banku przez wszystkie te lata, które upłynęły od końca Wojny. Cóż mogło powstrzymać bankierów od zgarnięcia całej sumy do kieszeni i zamknięcia banku? W całym kraju banki ogłaszały bankructwa, gazety pisały o tym dzień w dzień. Musi więc wrócić do Atlanty, wymienić pieniądze na złoto i złożyć je do sejfu. Ale to potrwa. Nawet gdyby jeszcze dzisiaj odjeżdżał z Savannah jakiś pociąg, i tak nie zdąży dojechać wcześniej niż na poniedziałek. Dwa dni... to dość dużo czasu, by jej pieniądze rozplynęły się niczym dym w powietrzu.

Pół miliona dolarów. To więcej, niż zdołałaby osiągnąć, gdyby sprzedała wszystkie swe majątki po dwukrotnie wyższej cenie, niż były warte. Więcej, niż zdoła zarobić na sklepie, barze i nowych domach w ciągu najbliższych trzydziestu lat. Och, miała ochotę udusić tego Henryka!

Kiedy na schodach pojawiła się Pansy, dumnie niosąc srebrną tacę, a na niej cały serwis do kawy, jej wzrok spotkał się z dzikim spojrzeniem z nagła pobladył zielonych oczu Scarlett.

- Zostaw to i zakładaj płaszcz - przemówiła ochrypłym tonem Mrs. Butler. - Wychodzimy.

W zupełności panowała nad sobą, choć gdy wpadała do sklepu O'Harów, policzki

miała zaróżowione. Kuzyn, czy nie - lepiej żeby Kuba nie wiedział zbyt wiele o jej sprawach. Dlatego postarała się, by jej głosik brzmiał odpowiednio dziewczęco, gdy poprosiła kuzynka, by polecił jej zaufanego bankiera.

- Taka jestem roztargniona, że nawet nie zauważyłam, jak wydałam wszystkie pieniądze, a teraz postanowiłam zostać w Savannah parę dni dłużej. Muszę pobrać z banku w Atlancie, gdzie mam konto, kilka nędznych dolarów, ale nie znam tu żywej duszy. Pomyślałam więc sobie, że jako człowiek interesu, znany i szanowany dla swych sukcesów, wstawisz się za mną u solidnego bankiera.

Kuba uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Będę jedynie dumny, mogąc towarzyszyć ci do samego dyrektora banku, a za jego rzetelność głowę daję, bo wuj Jakub robił z nim interesy przez dobre pięćdziesiąt lat. Ale lepiej chyba uczynisz, Scarlett, gdy powiesz mu, że jesteś wnuczką starego Robillarda, niż gdybyś przyznała się do pokrewieństwa z naszą rodziną. Pierre Robillard to bardzo bogaty starszy pan, a przy tym człek nie w ciemną bitę. Czyż nie wykazał się nie lada sprytem, wysyłając do Francji całą forszę po tym, jak Georgia, za przykładem Południowej Karoliny, postanowiła wystąpić z Unii?

Zatem dziadek zdradził Południe! Nic więc dziwnego, że zachował wszystkie te wspaniałe srebra, a i dom miał nietknięty. Ciekawe, dlaczego go nie zlinczowano? I dlaczego Kuba traktował to z taką dozą humoru? Scarlett przypomniała sobie, że i Maureen śmiała się z dziwactw dziadka, choć miała wszelkie prawa czuć się tym zszokowana. Bardzo skomplikowane. Nie wiadomo, co o tym myśleć. W każdym razie, w tej chwili nie ma czasu na myślenie - szybko do banku, trzeba zrobić coś z pieniędzmi.

- Danielu, rzuć okiem na sklep. Ja wychodzę z kuzynką.

Kuba podał jej ramię, Scarlett wzięła go pod rękę i pomachała na pożegnanie do Daniela. Pozostawało mieć nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. Było prawie południe.

- Maureen, kiedy usłyszysz, że chcesz pozostać w Savannah parę dni dłużej, na pewno będzie zachwycona - rzekł Kuba, gdy tak szli Broughton Street, z Pansy drepczącą z tyłu. - Wpadniesz do nas wieczorem? Po drodze do domu mogę na ciebie krzyknąć.

- Chętnie.

Naprawdę miała na to ochotę, bo jeśli będzie musiała siedzieć sama jedna w tym wielkim różowym domu, jeśli nie będzie miała do kogo się odezwać - co najwyżej do dziadka, ale i to nie dłużej niż na dziesięciominutowych posłuchaniach - oszaleje. Jeśli do wieczora przyjedzie Rett, zawsze może posłać do sklepu Pansy z karteczką, że

zmieniła zdanie.

* * *

Jak się okazało, czekała na Kubę niecierpliwie. Gdy poinformowała dziadka, że dziś wieczorem ma wychodne, staruszek zrobił się bardzo, ale to bardzo niemiły.

- To nie hotel, moja panno. Nie możesz tu przychodzić i wychodzić wedle życzenia. W tym domu panuje pewna dyscyplina, a to znaczy, że masz być w łóżku nie później niż o dziewiątej.

- Jasne, dziadku - przytaknęła potulnie. Była pewna, że wróci znacznie wcześniej. Poza tym, po wizycie u dyrektora banku zaczęła spoglądać na starego Robillarda z rosnącym szacunkiem. Był bogaty - o tym wiedziała od dawna - lecz jego zamożność chyba przekraczała jej najśmielsze wyobrażenia. Gdy Kuba przedstawił ją jako jego wnuczkę, bankierowi omal spodnie nie pękły, tak się kłaniał i szurał nogą. A potem, gdy Kuba już wyszedł, kiedy zostali sami i gdy mu powiedziała, że pragnie wynająć sejf oraz dokonać przelewu pół miliona dolarów z konta w Atlancie, bankier omal nie rzucił się do jej stóp. Mniejsza o to, co mówią inni - pomyślała, pokrzepiona wspomnieniem tej wizyty. Nie ma to, jak siedzieć na górze złota.

- Nie mogę długo zabawić - powiedziała Kubie zaraz na powitanie. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, gdy cię poproszę, abys odprowadził mnie do domu już o pół do dziewiątej?

- Będę zaszczycony mogąc ci towarzyszyć wszędzie i o każdej porze - Kuba wygiął się w błazeńskim ukłonie.

Wtedy, gdy odchodzili sprzed domu dziadka, Scarlett nie miała pojęcia, że wróci prawie o świcie.

39.

Wieczór zaczął się spokojnie. Na tyle spokojnie, że Scarlett miała prawo czuć się rozczarowana. Oczekiwała muzyki, tańców, świętowania, lecz Kuba wprowadził ją do jakże dobrze znanej kuchni i na tym koniec. Maureen przywitała ją całusem w policzek i filiżanką herbaty, po czym wzięła się do gotowania kolacji. Scarlett przysiadła obok wuja Jakuba - staruszek w pół drzemał. Kuba zdjął płaszcz, rozpiął kamizelkę i zapalił fajkę, usiadł w fotelu bujanym i oddał się przyjemności palenia. Maria Katarzyna oraz Helena nakrywały do stołu w przyległej jadalni, szczebiocząc coś jedna do drugiej przez górę noży i widelców. Owszem, miła idylla rodzinna, lecz czym się tu ekscytować? Przynajmniej - myślała Scarlett - można znaleźć pociechę w tym, że u O'Harów jedzą kolację nawet w Poście. Wiedziała, ciotki nie miały racji prawiąc te wszystkie okropności o jednym posiłku dziennie, a i to bezmięsnym. Nikt nie przeżyłby tych kilku tygodni jedząc tylko raz dziennie.

Minęło parę minut. Do kuchni weszła jakaś wstydliwie uśmiechająca się dziewczyna z główką otoczoną chmurą ciemnych włosów. W ramionach trzymała Janka.

- Ach, tu jesteś, Kasiu - powitał ją Kuba. Scarlett, już niejako automatycznie, zapisała w pamięci jej imię - bardzo stosowne, jak ona łagodne i pełne świeżości. - Podrzuc tego urwisa tatusiowi.

Janek wyciągnął ramiona i podbiegł do ojca. W jednej chwili cały spokój prysnął. Scarlett aż krzywiła się, tak głośne okrzyki radości wydawał chłopiec. Nawet wuj Jakub zachrapał i momentalnie się obudził. Otworzyły się drzwi. Z ulicy weszli do kuchni Daniel oraz jego młodszy brat Brian.

- Zobacz, kogo znalazłem! - zawołał Daniel. - Węszył pod drzwiami.

- Och, jednak zdecydowałeś się zaszczycić nas swoją obecnością - wykrzyknęła Maureen. - Nic, tylko ogłosić to w gazetach na pierwszej stronie.

Brian objął matkę w niedźwiedzim uścisku.

- Chyba nie wydasz człowieka na śmierć głodową?

Maureen zrobiła taką minę, jakby bardzo się gniewała, oczy jednak skrzyły się jej dowcipem. Brian ucałował czubek góry rudawych włosów, spiętrzonych w wielkim koku. Puścił matkę.

- No i popatrz, co najlepszego zrobiłeś z moimi włosami, ty indiański dzikusie! - zrzędziła Maureen. - A w dodatku zawstydzasz mnie nie witając się z kuzynką Scarlett. Ty też, Danielu.

Brian, chłopak jak tyka, pochylił się niczym żuraw i rzucił Scarlett poro-

zumiewawczy uśmiech.

- Wybaczysz mi, kuzyneczko? Jesteś taka drobniutka i zachowujesz się tak cicho, że nawet cię nie zauważyłem.

Czerwony blask ognia jeszcze bardziej rozplómił jego i tak ogniste włosy, w jego błękitnych oczach czaiły się ogniki wesołości.

- Czy zechcesz wstawić się za mną do mej okrutnej matki, by jednak nie żałowała mi paru okruszków, które spadną z jej stołu?

- Dalej, dzikusie. Umyj ręce! - wypchnęła go z kuchni Maureen.

Gdy Brian zniknął w toalecie, jego miejsce zajął Daniel.

- Miło nam, że znowu jesteś wśród nas, kuzynko.

Scarlett uśmiechnęła się. Choć Janek, podskakując na kolanach Kuby, darł się niemilosiernie, jej także miło było znajdować się tutaj, gdzie tyle było życia. W porównaniu z tym domem zimna doskonałość domostwa jej dziadka zdała się martwa niczym grób.

Gdy zasiedli za stołem, gdy wzięli się do jedzenia, Scarlett poznała przyczyny, dla których Maureen tak zgryźliwie traktowała Briana. Ów młodszy syn jeszcze kilka tygodni temu dzielił jeden pokój z Danielem, zaś matka tylko pozornie pogodziła się z tym jego wybiciem się na samodzielność. Owszem, mieszkał tylko parę kroków stąd, w domu swej siostry Patrycji, a jednak było to tak, jakby na dobre go straciła. Dlatego niezmienną i złośliwą satysfakcją napawał Maureen fakt, że syn przekładał jej kuchnię nad wysublimowane *menu* Patrycji.

- No bo i czego tu się spodziewać - rzekła zadowolona z siebie samej - skoro Patrycja boi się, czy oby przypadkiem firanki nie przesiąkły zapachem ryby? - co rzekłszy, położyła na talerz syna kawałek smażonej na maśle ryby. - Trudno być taką damą w czasie Postu.

- Powstrzymaj swój język, kobieto - powiedział Kuba. - Przecież oczerniasz własną córkę.

- A któż ma do tego prawo jeśli nie ja, jej matka?

Wtrącił się Jakub.

- Dobrze mówi - wskazał na Maureen. - Pamiętam ostry język mojej matki... - tu z wyraźną lubością przywołał parę obrazów z przeszłości. Scarlett słuchała uważnie w nadziei, że wuj wspomni także jej ojca, co też się stało.

- Ale Gerald - ciągnął stary Jakub - Gerald był oczkiem w głowie matki. I jako dziecko, i jako dorosły.

Scarlett pochylała się, by lepiej słyszeć.

- Geraldowi, nawet gdy zasłużył na lanie, zawsze udawało się ujść co najwyżej z krótką połajanką...

Scarlett uśmiechnęła się. Tak, to wypisz wymaluj Papa - ten, którego znała. Któż mógłby się oprzeć urokowi jego gołębiego serca, niewprawnie skrywanemu pod zewnętrzną powłoką chwactwa? Jakże bardzo pragnęła, by mógł być tu z nimi, z całą rodziną.

- Pójdziemy po kolacji do Mateusza? - zapytał wuj Jakub. - Czy też wszyscy przyjdą tutaj?

- Idziemy do Mateusza - odparł Kuba.

Aha, to ten mężczyzna, który na urodzinach Patrycji dał początek tańcom - przypomniała sobie Scarlett czując, jak stopy zaczynają rytmicznie podskakiwać.

- Coś mi się wydaje, że ktoś ma ochotę na *reela* - uśmiechnęła się do niej Maureen. Po czym podniosła z talerza swoją łyżkę, sięgnęła Danielowi przez ramię i wzięła jego łyżkę, następnie ujęła je w rękę i zaczęła postukiwać o otwartą dłoń, nadgarstek, przedramię, wreszcie - o czoło Daniela. Stukot łyżek, uderzających jedną o drugą, przypominał rytmiczne uderzenia kastanietów - „kości” były jednak delikatniejsze w brzmieniu, a prostota, czy wręcz prostactwo tej muzyki, której źródłem była para sztucców, sprawiła, że Scarlett nie mogła powstrzymać się, by nie wybuchnąć śmiechem. Niewiele myśląc, zaczęła uderzać otwartą dłonią w stół, potęgując rytmiczne postukiwanie łyżek.

- Musimy już się zbierać - powiedział, tłumiąc śmiech, Kuba. - Tylko wezmę skrzypce.

- Musimy wziąć ze sobą krzesła - powiedziała Maria Katarzyna.

- Mateusz i Maria Katarzyna mają w całym domu tylko dwa sprzęty do siedzenia - wyjaśnił Daniel. - To najmłodsza odrośl rodu O'Harów w Savannah.

I bardzo dobrze. No bo koniec końców jakie to ma znaczenie, że w dwupokojowym salonie Mateusza i Marii Katarzyny nie było prawie wcale mebli. Były za to dwa kominki, było ciepło, na suficie wisiały szklane kule oświetlane płomieniem gazowym. Oraz - co najważniejsze - na ogromnej, lśniącej woskiem podłodze można było tańczyć do utraty tchu. Godziny mijały tutaj tak szybko, że Scarlett uznała ten sobotni wieczór za najszcześniejszy z tych, które dane było jej przeżyć.

W gronie rodziny O'Harów oddychało się atmosferą miłości i szczęścia niczym powietrzem - swobodnie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Scarlett odniosła

wrażenie, że oto dojrzewa w niej coś, co straciła już tak dawno temu, iż nawet wszelkie wspomnienia o tym się zatarły. Jak ci, którzy ją otaczali, stała się spontaniczna w uczuciach, zdało się jej, że odzyskała samą siebie, a wraz z tym posiadała umiejętność dzielenia beztrudnej radości. Teraz mogła strząsnąć z siebie całą tę powłokę sztuczności, wyzbyć się wyrachowania, niezbędnego w bataliach o zdobycze i dominację - stałego rytuału życia pięknej kobiety w społeczeństwie Południa.

Tutaj wdzięk nie był jej potrzebny, zdobycze tym bardziej. Akceptowano ją taką, jaka była - wystarczyło, że należała do rodziny. Po raz pierwszy w życiu wcale nie chciała czuć na sobie spojrzeń wszystkich - z radością przystała na to, by kto inny znalazł się w centrum uwagi. To inni byli dla niej źródłem fascynacji: po pierwsze dlatego, że odkryła ich dopiero teraz, ale też z tego powodu, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkała podobnych im ludzi.

Albo też: prawie nigdy. Spojrzała na Maureen, na Briana i Daniela, którzy stojąc za jej plecami przygrywali do tańca, na Helenę i Marię Katarzynę, klaszcząc w ręce w rytm wybijany przez „kości”, a wtedy przez ułamek sekundy odżył w jej pamięci obraz młodych Tarletonównych. Bliźniaczki - wysokie i przystojne dziewczyny, zwijające się z niecierpliwości w oczekiwaniu kolejnej przygody, którą życie trzymało dla nich w zanadrzu. Scarlett zawsze zazdrościła im, że tak swobodnie i zupełnie niewymuszenie zachowują się wobec matki. Tę samą swobodę widziała teraz między Maureen i jej dziećmi. I wiedziała, że ona też może śmiać się z Maureen, że wolno jej drwić z innych ale i sama może stać się przedmiotem drwin, że i ona może otrzymać ów dar uczucia, którym żona Kuby hojnie szafowała dla wszystkich.

W tej samej chwili owo bliskie prawdziwej czci uczucie, którym darzyła swą łagodną, zawsze zdolną okiełznać gniew matkę, ów ołtarzyk, który wzniosła jej w głębi serca zadrzał w posadach i pojawiła się w nim głęboka rysa. Jednocześnie poczucie winy, które dręczyło ją od momentu, gdy uświadomiła sobie, że nie potrafi żyć w myśl wskazówek matki, zaczęło powoli ją opuszczać. Może to właśnie lepiej, że nie jest w każdym calu damą... Obraz damy, przekazany jej przez Ellen O'Hare, był zbyt barwny, zbyt zawily. Tak, pomyśli o tym później. Teraz lepiej nie zaprzętać sobie głowy podobnymi problemami. Nie chciała wędrować myślami ani do „wczoraj”, ani do „jutra”. Teraz tylko jedno się liczyło: chwila szczęścia, muzyka i śpiew, klaskanie w dłonie i taniec.

Po rytuałach charlestońskich balów pełna spontaniczności atmosfera domowej zabawy miała w sobie nieodparty urok. Scarlett całą duszą chłonęła radość i śmiechy,

sama była przeniknięta śmiechem i radością.

Peggy - córka Mateusza - pokazała jej najprostsze kroki *reela* i - choć mogłoby się to wydawać dziwne - fakt, że dojrzała kobieta uczyła się od siedmioletniej dziewczynki zdał się być czymś zupełnie słusznym. Tak jak słuszną rzeczą było wysłuchiwać słowa zachęty, wypowiedane przez innych i w pogodzie ducha przyjmować żarty: i Scarlett, i Peggy znajdowały się w tej samej sytuacji. Tańczyła więc, dopóki nie zaczęła ślaniać się na nogach, dopóki śmiejąc się serdecznie nie osunęła się na ziemię, wprost do nóg starego Jakuba, który pogłaskał ją po głowie jakby była malutką dziewczynką, co przyprawiło ją o kolejny, gwałtowniejszy atak śmiechu. Śmiała się aż do utraty tchu, a w końcu wydyszała:

- Nigdy w życiu nie bawiłam się tak wspaniale.

Albowiem bardzo niewiele chwil wspaniałych było w życiu Scarlett, nic więc dziwnego w tym, że kiedy już nadeszły, całym sercem pragnęła, by wiecznie trwały owe czyste, proste radości. Spoglądała na dryblasowatych, wesołych jak dzieci kuzynów, była dumna, że wszyscy tacy silni, żywotni, z talentem do muzyki... i życia. „Pełno nas jest na świecie, nas, O'Harów, a pókiśmy razem, żaden zbój nie śmie nas choćby tknąć palcem” - zdało się, że słyszy, jak chępi się ojciec, jak wypowiada słowa, które powtarzał po wielekroć. Teraz jednak - dopiero teraz - zrozumiała, co one znaczą.

- Och, Kuba, jakaż to była wspaniała noc - westchnęła, gdy wsparta o ramię kuzyna wracała do domu. Tak się zmęczyła, że ledwo powłóczyła nogami, lecz świergotała bez chwili przerwy, zbyt rozbawiona, by pogodzić się ze spokojem pogrążonego we śnie miasta.

- Pełno na świecie O'Harów...

Kuba roześmiał się. Silnymi rękoma objął ją wokół talii i podniósł, i zawirował ze Scarlett w objęciach.

- I żaden zbój nie śmie nas tknąć - dokończył, gdy postawił ją na ziemię.

* * *

- Miss Scarlett!... Miss Scarlett! - pokrzykiwania Pansy obudziły ją o siódmej rano. Przyniosła wiadomość od *Père*. - Pan starszy chce się z panienką widzieć... Już, w tej chwili.

Stary żołnierz siedział przy stole, na wielkim, podobnym do tronu krześle, zapięty na ostatni guzik i świeżo ogolony. Z wysokości swego fotela spojrzął z dezaprobatą dla jej pospiesznie przyczesanych włosów i matinki.

- Śniadanie żadną miarą trudno uznać za satysfakcjonujące - oznajmił, dźwięcznie

wypowiadając każde słowo.

Scarlett wbiła weń zdumione spojrzenie, ziewnęła impertynencko. Do licha, a co ją to obchodzi? Czy on myśli sobie, że stała przy kuchni? Może postradał zdrowe zmysły, niczym Papa... choć nie, z Papą to było co innego. Gdy los go doświadczył tak, że nie mógł już tego znieść, odszedł do miejsca i czasu, gdzie nic straszego nie mogło się przydarzyć. Był jak dziecko, jak dziecko, które straciło orientację. Ale po dziadku nie było widać, by stracił orientację, nic w nim nie przypominało dziecka. Dobrze wiedział, kim jest, gdzie przebywa i co robi. Co to ma znaczyć, że zrywa mnie z łóżka zaledwie po paru godzinach snu, po czym żali się na śniadanie?

- Dziadku - jej głos był przeraźliwie spokojny. - Co ci się nie podoba w tym śniadaniu?

- Zimne i bez smaku.

- To dlaczego nie odeślesz do kuchni? Powiedz Hieronimowi, na co masz apetyt i dodaj, żeby było ciepłe.

- Ty to zrobisz. Kuchnia to babska sprawa.

Scarlett położyła ręce na biodra. Stalowe spojrzenie jej oczu omal nie prześwidrowało dziadka na wskroś.

- Czy wobec tego mam rozumieć, że wyrwałeś mnie z łóżka tylko po to, abym powiedziała kucharce, co chcesz jeść na śniadanie? Za kogo ty mnie masz? Za pokojówkę? Sam wydasz polecenia kuchni, albo skonasz z głodu. Dla mnie to wszystko jedno. Wracam do łóżka.

Odwróciła się na pięcie.

- To łóżko należy do mnie, moja panno, a jeśli śpisz na nim, to tylko za moją łaską i z mego upodobania. Dopóki przebywasz pod moim dachem, będziesz spełniała moje polecenia.

Teraz to już prawdziwa wściekłość ogarnęła Scarlett, wszelkie nadzieje na sen prysły. W tej chwili spakuję manele i zaraz mnie tu nie będzie - przemknęło jej przez myśl. Nie muszę znosić humorów tego starca.

Zanim jednak otwarła usta, by wypowiedzieć to, co miała już na końcu języka, zatrzymał ją kuszący aromat kawy. Tak, najpierw filizanka kawy, z dziadkiem jeszcze się zdąży... Lepiej się chwilę zastanowić. Jeszcze nie mogła wyjechać z Savannah. Rett pewnie już wie, że się tutaj zatrzymała. Poza tym w każdej chwili może jej dać znać Matka Przełożona.

Podeszła zatem do drzwi i pociągnęła za sznur dzwonka. Po czym zajęła miejsce na

krześle po prawicy dziadka. Wszedł Hieronim.

- Podaj mi filiżankę do kawy - utkwiała w lokaju piorunujący wzrok. - A potem zabierz stąd ten talerz. Co to ma być? Płatki owsiane? Jakkolwiek by się to nazywało, powiedz kucharce, niech sama to zje. A później niech migiem usmaży jajecznicę na szynce i bekonie, niech poda kaszę i grzanki. I niech wszystko poleje masłem. Dużo masła. Ja zaś w tej chwili chcę dostać dzbanuszek śmietanki do kawy.

Hieronim spojrział na pana domu. Pierre Robillard siedział wyprostowany, pilnie unikając spojrzenia lokaja, i tylko cisza ponaglała go, by czym prędzej spełnił polecenia Scarlett.

- No, nie stój tu jak posąg - ofuknęła go. - Zrób to, co ci kazano.

Scarlett była głodna.

Dziadek też był głodny.

A chociaż śniadanie minęło w ciszy równie głębokiej, jak onegdaj urodzinowy obiad, tym razem starzec zjadł wszystko, co mu podano. Scarlett spoglądała nań podejrzliwie kącikiem oka. Co znowu knuje ten stary lis? Trudno byłoby jej uwierzyć, że za tym wszystkim nic się nie kryje. Doświadczenie mówiło jej, iż nic łatwiejszego w wyegzekwowaniu od służby tego, na co miało się ochotę. Wystarczyło głośniejszy krzyknąć. A już Bóg świadkiem, że Pierre Robillard umie wywierać na ludziach odpowiednie wrażenie, wystarczy spojrzeć na ciotki. Zresztą i ona - Scarlett - też wyskoczyła z łóżka, zaledwie usłyszała, że ją wzywa. O nie, po raz drugi to się już nie powtórzy.

Dziadek położył serwetkę na pustym talerzu.

- Na przyszłość masz być stosownie ubrana do stołu - powiedział, spoglądając na drzwi. - Dokładnie za godzinę i siedem minut wychodzimy do kościoła. To chyba dość czasu na toaletę.

Scarlett nie w głowie było do kościoła. Teraz, gdy nie musiała przejmować się ciotkami, gdy od Matki Przełożonej dostała to, na czym jej zależało, pobożność Scarlett osłabła. Ale przecież ktoś musiał położyć kres despotyzmowi dziadka. Ciotki twierdziły, że jest zagorzałym antykatolikiem.

- Nie wiedziałam, że chodzisz na mszę - powiedziała głosem ociekającym słodyczą.

Grube, białe brwi Pierre'a Robillarda wygięły się w łuk.

- Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do swoich ciotek nie należysz do twardogłowych papistów?

- Jeśli myślisz o Kościele Rzymskim, to owszem, jestem dobrą katoliczką i idę na

mszę świętą z kuzynostwem O'Harami. Którzy, tak mimochodem, zapraszają mnie do siebie, gdy tylko będę miała ochotę i na tak długo, jak zechcę.

Co rzekłszy wstała, dumnym krokiem przeparadowała przez jadalnię i wyszła. Była już w połowie schodów, gdy przypomniała sobie, że przed mszą nie powinna niczego jeść. Ale trudno. Skoro tak, to najwyżej nie przystąpi do komunii. Ale dziadkowi zamknęła usta, to pewne. Gdy weszła do pokoju, wykonała kilka kroków *reela*, które poznała ostatniej nocy.

Ani przez chwilę nie sądziła, że starszy pan weźmie za dobrą monetę tę historyjkę z mieszkaniem u kuzynów. Bo chociaż lubiła chodzić do O'Harów na tańce, by posłuchać muzyki, to jednak mieli stanowczo za dużo dzieci. W tych warunkach nie mogłaby zamieszkać. Poza tym nie mieli służby. A jak tu się ubrać bez Pansy, kto zaciągnie sznurówkę, kto ułoży włosy?

Ciekawe, co też on knuje? - pomyślała po raz drugi, by za chwilę niedbale wzruszyć ramionami. Pewnie wkrótce i tak się dowie, czy chce, czy nie. W gruncie rzeczy to bez znaczenia. Zanim dziadek odkryje karty, Rett na pewno zdąży ją stąd zabrać.

40.

Godzinę i cztery minuty po tym, jak Scarlett zamknęła się w swoim pokoju na górze, Pierre August Robillard - żołnierz napoleoński - opuścił cudowny azyl swego domu i udał się do kościoła. Ubrał się w gruby i ciężki płaszcz, szyję zawinął w wełniany szalik, a rzadkie, białe włosy przykrył wysoką czapą z soboli, która kiedyś należała do rosyjskiego oficera, lecz biedak padł pod Borodino. Chociaż słońce wdziękowało się prawdziwie po wiosennemu, chociaż w powietrzu unosiła się zapowiedź wiosny, starcowi było zimno. Ale choć było mu zimno, szedł równym krokiem, sztywno wyprostowany, z rzadka tylko podpierając się laseczką trzcinową. Krótkimi ukłonami odpowiadał na pozdrowienia ludzi, których mijał. Nie było w Savannah nikogo, kto by go nie znał.

Wszedłszy do Niezależnego Kościoła Prezbiteriańskiego przy Chippewa Square, zajął miejsce w piątej ławce od ołtarza. Zawsze tu siadał, od czasu uroczystego poświęcenia świątyni, co odbyło się z górą pięćdziesiąt lat temu. Na uroczystości obecny był sam Jakub Monroe - prezydent Stanów Zjednoczonych - który prosił, by przedstawiono go żołnierzowi Napoleona od Austerlitz do Waterloo. Pierre Robillard łaskawie potraktował starszego jegomościa, choć prezydent nie mógł wywrzeć żadnego wrażenia na człowieku, który walczył u boku Cesarza.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca, zamienił kilka słów z ludźmi, którzy przywołani kiwnięciem dłonią zbiegli się wokół niego na schodach prowadzących do kościoła. Postawił kilka pytań, wysłuchał wielu odpowiedzi, po czym ruszył z powrotem do domu, a jego surowa zazwyczaj twarz prawie się rozpogodziła: tak, teraz utnie sobie króciutką drzemkę, aż do obiadu, który zje w łóżku, nie wychodząc z sypialni. Z upływem czasu to niedzielne chodzenie do kościoła stawało się coraz bardziej męczące. Zasnął lekko, jak to starzy ludzie, obudził się jeszcze nim Hieronim wniósł tacę z obiadem. Czekając, aż zjawi się lokaj, rozmyślał o Scarlett.

Nie interesowało go ani jej życie, ani jej charakter. Przez wiele lat nie poświęcił jej ani jednej myśli, a gdy znienacka zjawiała się przed nim w towarzystwie jego córek, ani się nie ucieszył, ani nie było mu przykro. Zwrócił na nią uwagę dopiero wtedy, gdy Hieronim poskarżył się, że swymi życzeniami sieje zamęt w kuchni. I że przyprawi Mr. Robillarda o śmierć, jeśli nadal będzie obstawała, by dodawać mu do posiłków masło, sos i słodycze.

Scarlett pojawiła się jako odpowiedź na modły starca. Niczego już nie spodziewał się w życiu, co najwyżej paru miesięcy - może lat - usatkwanej egzystencji,

odmierzanej niezmiennym rytmem posiłków, drzemek i cotygodniowych ekskursji do kościoła. Okoliczność, że jego życie było tak bezbarwne, niewiele mu przeszkadzało: ciągle miał przed oczami portret ukochanej żony, a w głębi duszy pewność, że w stosownym czasie połączy się z nią, tym razem na zawsze. Dni i noce mijały mu na snach o niej, kiedy spał, i na przywoływaniu obrazów wspomnień, kiedy czuwał. I tyle zdało się mu wystarczać. Gdyby nie pewien drobiazg. Dotkliwie odczuwał brak dobrego jedła. Już od lat podawano mu posiłki pozbawione smaku, jeśli nie przypalone, to zimne, poza tym śmiertelnie nijakie. Chciał, by Scarlett pomogła mu to zmienić.

Podejrzliwość Scarlett wobec dziadka była zupełnie bezpodstawna. Pierre Robillard natychmiast poznał w niej naturę sobie pokrewną, równie tyrańską, jak on sam. Pragnął teraz tak ułożyć sprawy, by siłą Scarlett udało się mu zaprząć do własnych celów, on bowiem nie miał już dość krzepy, by wywalczyć dla siebie to, czego potrzebował. Służba dobrze wiedziała, że zbyt już stary, zbyt znużony życiem, by zmusić ich do czegoś, czego sami by nie zechcieli. Ale Scarlett była młoda i silna. Pierre Robillard nie potrzebował ani jej towarzystwa, ani miłości. Chciał tylko, by prowadziła dom w ten sposób, jak sam kiedyś prowadził, to znaczy dostosowując wszystko do jego wymagań i podporządkowując się jego władzy. Zastanawiał się, jak by do tego doprowadzić, dlatego myślał o Scarlett.

- Poproś moją wnuczkę, żeby tu przyszła - powiedział, gdy w sypialni pojawił się Hieronim.

- Panienci nie ma w domu - odparł lokaj z lisim uśmiechem. Cieszył się, że pan Robillard lada chwila wybuchnie gniewem z powodu wnuczki, która odważyła się samowolnie wyjść z domu. Hieronim nienawidził Scarlett.

* * *

Scarlett poszła z O'Harami na Targowisko Miejskie. Po awanturze z dziadkiem ubrała się, dała wychodne Pansy i wymknęła się przez ogród - bez przyzwoitki - na ulicę. Szybko minęła dwie przecznice i zapukała do O'Harów.

- Szukam towarzystwa do kościoła - powiedziała Maureen, choć tak naprawdę to szukała miejsca, gdzie ludzie odnosiliby się do siebie miło.

Po mszy mężczyźni ruszyli w jedną stronę, kobiety i dzieci w drugą.

- W *Hotelu Pułaskiego* zbierają się na postrzyżyny i plotki - wyjaśniła Maureen. - A także, oczywista, na kwaterkę piwa albo i dwie. Z tego, co tam wygadują, lepiej się dowiesz, co się dzieje niż z gazet. My, kobiety, zbieramy się w tym samym celu na targu. Muszę kupić parę ostryg.

Targowisko Miejskie w Savannah niczym się nie różniło od targu w Charlestonie - przychodzono tu w tym samym celu, panowało to samo ożywienie. Dopiero gdy wpadła w jakże znajomy wir interesów, w gorączkę zakupów, gdy wszędzie wokół słyszała jak znajomi wymieniają pozdrowienia - dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo dawał się jej we znaki brak tego galimatiasu w okresie zimowego sezonu, gdy karnawałowe uciechy wzięły pierwszeństwo przed obowiązkami domowymi.

Szkoda, że jednak nie wzięła ze sobą Pansy: mogłaby wtedy wypełnić koszyk egzotycznymi owocami, których obfitość w Savannah tłumaczyła się bliskością morza. Dla wszystkich pań O'Hara spełniały tę posługę Maria Katarzyna i Helena. Scarlett poprosiła je w końcu, by wzięły dla niej kilka pomarańczy. I upierała się, by zapłacić za kawę i rogaliki karmelkowe, które kupiła przy jednym ze straganów.

Poza tym odmówiła, gdy Maureen zaprosiła ją do siebie na obiad. Przecież nie powiedziała kucharce, że jej nie będzie. Marzyła też o poobiedniej drzemce - niedostatki snu ciągle dawały się we znaki. Nie ma zamiaru wyglądać jak nie wystygły jeszcze nieboszczyk, gdy Rett przybędzie popołudniowym pociągiem.

Na progu domu Robillardów ucałowała więc Maureen, resztę kuzynów pożegnała wołając „do zobaczenia”, a kiedy prawie już znikli za rogiem - nie spiesząc się przez wzgląd na dzieci i ciężą Patrycji - od grupki oderwała się Helena, obarczona wypchaną torebką.

- Proszę nie zapominać o pomarańczach, kuzynko Scarlett.

- Ja to wezmę - zza pleców dobiegł ją głos Hieronima.

- Ach, to ty... Dobrze. I nie skradaj się tak za plecami, bo w końcu przyprawisz mnie o zawał. Nawet nie słyszałam, jak otwierasz drzwi.

- Wyglądałem, czy pani nie idzie, Miss Scarlett. Pan chciałby panią widzieć.

Hieronim spojrział na stadko O'Harów z nie tajonym lekceważeniem.

Scarlett poczuła, jak szczęki się jej zaciskają. Coś trzeba było w końcu zrobić z tą lokajską impertynencją. Pospieszyła do sypialni dziadka ze słowami skargi na końcu języka.

Pierre Robillard nie dał jej czasu nawet na otwarczenie ust.

- Masz potargane włosy - powitał ją chłodno już na samym progu. - I naruszyłaś obyczaje tego domu. Kiedy strzepiłaś język z tymi irlandzkimi przekupkami, minęła pora obiadowa.

Scarlett ani się obejrzała, jak połknęła przynętę.

- Będę ci wdzięczna, dziadku, jeśli zechcesz wyrażać się o mojej rodzinie w

kulturalny sposób.

Błysk w oczach starca tylko z trudem dał się skryć pod opuszczonymi na wpół powiekami.

- A jak zwykłaś nazywać człowieka, który trudni się kupiectwem?

- Jeśli masz na myśli Kubę O'Hare, to takich, jak on, zwykłam nazywać ludźmi sukcesu, którzy na to, co zdobyli, ciężko zapracowali, wobec czego darzę ich ogromnym szacunkiem.

Teraz starzec pociągnął haczyk.

- I niewątpliwie podziwiasz też tę jego krzykliwą połowicę?

- W rzeczy samej! To miła i szlachetna kobieta.

- Obawiam się, moja panno, że to tylko wrażenie, a sprawiać dobre wrażenie należało przecież do jej zawodu. Wiesz chyba, że była barmanką w irlandzkim barze.

Scarlett gwałtownie wciągnęła powietrze, niczym ryba wyciągnięta na piasek. Nie, to niemożliwe! W jej umyśle zaroilo się nagle od niechętnie przywoływanych obrazów wspomnień... Maureen podnosi szklaneczkę, żeby nalać jej kolejną porcję whisky ...wystukuje na kastanietach rytm sprośnych piosenek, zwrotka za zwrotką... odgarnia z nalanej, zarumienionej twarzy niesforne kosmyki jasnych włosów, nie usiłując nawet skromnie upiąć ich z tyłu... podnosi rąbek sukni aż do kolan, tańcząc *reela*...

Pospolitość. Maureen jest pospolita.

Wszyscy się spospolitowali.

Scarlett czuła, jak łyzy dławia jej gardło. Jakże szczęśliwa była z O'Harami, nie chciała ich utracić. Ale... tu, w tym domu, gdzie wyrosła jej matka, rozziw między rodziną Robillardów a O'Harów był zbyt szeroki, by go nie dostrzec. Nic dziwnego, że dziadkowi wstyd za mnie. Mamie pękłoby chyba serce gdyby widziała, z jakimi to ludźmi idę ulicą. I pomyśleć: kobieta w ciąży, wzdęty brzuch osłonięty zaledwie szalem, a mimo to ma czelność wystawiać się na widok publiczny. A wokół niej sfera dzieci, rozpuszczonych jak indiańskie dzikusy... a na domiar złego nie mają nawet służącej do noszenia zakupów. Pewnie wyglądałam równie tandetnie jak całe to towarzystwo, choć Mama tyle trudu sobie zadała, by wychować mnie na prawdziwą damę. Szczęście, że już nie żyje. Lepsze to, niż dowiedzieć się, że własna córka przyjaźni się z kobietą, która pracowała w barze.

Scarlett obrzuciła niespokojnym spojrzeniem wyciągniętego na łóżku starca: może on wiedział też o tym budynku w Atlancie, który wydzierżawiła oberżyscie?

Pierre Robillard leżał, zamknawszy oczy. Zdało się, że zapadł w ten dziwny rodzaj

przychodzącej zniemacka starczej śpiączki. Odwróciła się, po czym na paluszkach wyszła z sypialni. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, stary żołnierz wykrzywił pergaminowe usta w uśmiechu, a potem zasnął.

* * *

Na srebrnej tacy przyniósł Hieronim pocztę. Scarlett wzięła kopertę, podziękowała krótkim skinieniem głowy. Nie, nie powinno to wyrażać jej zadowolenia, najdrobniejszym gestem nie mogła się zdradzić, czy zamierza zatrzymać Hieronima na jego posadzie, czy też raczej go zwolnić. Poprzedniego wieczoru, po - zdałoby się - ciągnącym się w nieskończoność oczekiwaniu na Retta, który nadal nie dawał o sobie znaku życia, całej służbie wygłosiła takie kazanie, że chyba nigdy go nie zapomną. A zwłaszcza Hieronim. Dobrze się stało, że ten lokaj omal nie posunął się do impertynencji - trzeba jej było kogoś, na kim mogłaby wyładować swój gniew i rozczarowanie.

Wuj Henryk Hamilton miotał na nią pioruny za to, że przelała pieniądze do banku w Savannah. Niedobrze. Zmięła kartkę i cisnęła ją na podłogę.

Gruba koperta była zaadresowana ręką Pauliny. Nie ma się co spieszyć. Ukryte w gąszczu słów skargi i narzekania mogą poczekać - bo że skargi i narzekania list zawierał, tego była pewna. Odłożywszy na bok list od ciotki, wzięła sztywną, prostokątną kopertę zaadresowaną charakterem pisma, którego nie знаła.

Zaproszenie. Nazwisko osoby zapraszającej było jej zupełnie nieznane. Musiała dobrze się zastanawiać, nim sobie przypomniała. Tak, oczywiście „Hodgson” nazywała się jedna z tych starszych dam, było to nazwisko po mężu jednej z sióstr Telfair. Zapraszano ją na ceremonię otwarcia Hodgson Hall oraz na przyjęcie, które ma się odbyć tuż po uroczystości. „Nowa siedziba Towarzystwa Historycznego Georgii”. Brzmi jeszcze nudniej niż wzmianki o koncertach. Skrzywiła się, odrzuciła zaproszenie. Trzeba by znaleźć jakiś papier listowy i wysłać list z odmową oraz wyrazami szczerego żalu. Ciotki lubiły nudzić się aż do granic wytrzymałości. Ona nie.

Ciotki. Dobrze, lepiej już mieć to za sobą. Rozerwała kopertę z listem Pauliny.

* * *

...jestem dogłębnie zawstydzona Twym przerażającym zachowaniem. Gdybyśmy wiedziały, że wyjeżdżasz z nami do Savannah nie zostawiwszy Eleonorze Butler słowa wyjaśnienia, poprosiłybyśmy Cię o opuszczenie pociągu i natychmiastowy powrót do domu.

O czym znowu ona mówi? Czy to możliwe, by Miss Eleonora nie wspomniała nawet o liściku, który jej zostawiła? A może go nie otrzymała? Nie, to mało prawdopodobne. Ciotka Paulina jak zwykle szuka dziury w całym.

Szybko przebiegła wzrokiem dalsze narzekania, tym razem poświęcone szaleńczej brawurze Scarlett, która nie zawahała się ruszyć w podróż do Savannah mimo że poprzedniego dnia przeżyła katastrofę na morzu oraz skargi wywołane „nienaturalną powściągliwością”, której koronnym dowodem był fakt zatajenia przed ciotkami całego incydentu.

Że też Paulina nie pójdzie po rozum do głowy i nie napisze paru treściwych zdań o tym, co naprawdę warto było ceny papieru i atramentu. Dlaczego wciąż ani słówka na temat Retta? Przerzucała stronę po stronie, prześlizgiwała się wzrokiem przez gąszcz ciotczynych bazgrołów. Jezus Maria! Paulina ma większy talent kaznodziejski niż sam Jan Złotousty. A, nareszcie.

...Łatwo pojąć, że droga Eleonora w chwili obecnej myślami krąży wokół Retta, który powodowany koniecznością dopilnowania ekspedycji nawozów udał się do Bostonu. W tym miejscu trudno byłoby powstrzymać się od uwagi, że mąż Twój nie powinien wystawiać się na ostry klimat Północy zaraz po tym, gdy przez czas tak długi przebywał w lodowatej wodzie...

Kartki upadły jej na kolana. Oczywiście! Bogu niech będą dzięki. Teraz przynajmniej wiadomo, dlaczego Rett tak długo się nie pojawiał. Pytanie tylko, co było powodem tego, że wuj Henryk zataił przede mną wiadomość, iż telegram Retta przybył z Bostonu? W ten sposób zaoszczędziłby mi popadnięcia w szaleństwo tym ciągłym wyczekiwaniem, że lada chwila Rett stanie w drzwiach. A może jeszcze ciotka pisze, kiedy wraca? Wróciła do dżungli wykoślawionych liter. Zaraz, gdzie to skończyłam?

Wreszcie znalazła to miejsce i chciwie chłonąc słowo po słowie doczytała list do końca. Co tu robić? O Recie nie było już żadnej wzmianki. Mógł wrócić zaraz, albo za parę tygodni.

Podniosła z podłogi zaproszenie od Mrs. Hodgson. Niech tam. Zawsze dobrze jest mieć dokąd się wybrać. Dostanie spazmów, jeśli będzie musiała siedzieć zamknięta w tym domu dzień po dniu.

Gdyby tak mogła wybrać się teraz do Kuby na filiżankę herbaty. Nie. To nie do pomyslenia.

* * *

A mimo to, nie mogła nie myśleć o O'Harach. Następnego dnia z samego rana

wybrała się z ponurą kucharką na targowisko, by przekonać się, co kupuje i ile za to płaci. Nie mając nic innego do roboty była zdecydowana doprowadzić do porządku gospodarstwo dziadka. Gdy popijała kawę, usłyszała, jak ktoś za plecami, nieśmiało i jakby z oporem, szepce jej imię. Piękna, wstydliva Kasia.

- Nie znam się na amerykańskich rybach - rzekła, dygając grzecznie. - Może zechcesz pomóc mi wybrać najlepsze krewetki?

Scarlett była tak oszołomiona, że nie mogła się zorientować, o co chodzi dziewczynie, dopóki ta nie wskazała na stragan z krewetkami.

- Niebo mi cię zesłało - oznajmiła Kasia, gdy już ryby wylądowały w koszyku. - Bez ciebie byłabym zgubiona. Maureen posłała mnie po najlepsze krewetki, a ja nie mam o tym pojęcia... Wiesz, spodziewamy się przyjazdu Columa.

Colum... czy ja powinnam go znać? Maureen, czy może ktoś inny już kiedyś wymienił przy mnie to imię.

- Dlaczego to takie ważne?

Oczy Kasi aż poogromniały ze zdziwienia, że ktoś w ogóle mógł postawić Podobne pytanie.

- Dlaczego?... No bo to... no bo to Colum. On... on jest... - najwidoczniej nie mogła znaleźć właściwych słów. - To Colum, no i już. Dzięki niemu jestem tutaj, nie wiedziałaś o tym? Colum to mój brat, tak jak Stefan.

Stefan. Ten czarny. Scarlett nie wiedziała, że Stefan jest bratem Kasi. Może więc pokrewieństwem trzeba tłumaczyć fakt, że oboje byli bardzo nieśmiali. Może w całej rodzinie wszyscy są tak wstydlivi jak myszki polne.

- Powiedz mi, Kasiu, który z braci wuja Jakuba jest twoim ojcem?

- Mój ojciec nie żyje. Wieczne odpoczywanie.

Czy ta dziewczyna jest aż tak głupia?

- Jak miał na imię?

- Ach, chcesz wiedzieć, jak miał na imię! Patryk... Patryk było mu na imię. Patryk O'Hara. Po nim została nazwana Patrycja, pierwsze z dzieci Kuby. Imieniem ojca ją nazwał.

Scarlett aż czoło się zmarszczyło, tak intensywnie myślała. Zatem i Kuba to brat Kasi.

- Masz jeszcze jakieś rodzeństwo?

- Och, tak - dziewczyna rozpromieniła się w uśmiechu. - Mam braci, mam siostry... Czternaścioro nas. Chyba wszyscy żyją, Boże dopomóż - przeżegnała się naprędce.

Scarlett odeszła od kuzynki co sił w nogach.

Boże - myślała sobie. Nie dość, że kucharka słyszała, to i jeszcze dziadek dowie się o wszystkim. Tak, już widzę go, jak z fałszywym ubolewaniem kiwając głową mruczy o dziwnym katolickim obyczaju, którym jest rozmnażanie się jak króliki.

Ale Pierre Robillard w ogóle nie wspomniał o kuzynach Scarlett. Wezwał ją przed kolacją, oznajmił, że posiłki wyraźnie się polepszyły, po czym puścił ją wolną.

W hallu omal nie wpadła na Hieronima, który właśnie niósł panu kolację. Zatrzymała go, chcąc się naocznie przekonać, czy srebro lśni jak należy i czy lustrzanej powierzchni nie brukają oby tłuste odciski palców. Gdy odkładała łyżeczkę do kawy, przypadkowo uderzyła o srebrną łyżkę do zupy. Brzdęk!... Ciekawe, czy Maureen nauczyłaby mnie, jak się gra na łyżkach? Natychmiast jednak oddaliła od siebie tę myśl.

Tej nocy śnił się jej ojciec. Obudziła się rano z uśmiechem, lecz na policzkach miała ślady po zaschniętych łzach.

Na targowisku wystarczająco wcześnie usłyszała donośny śmiech Maureen, by zdążyć się schować za jakiś filar i pozostać nie zauważona. Za to ze swojej kryjówki miała dobry widok na Maureen i Patrycję - wielkie jak domy - oraz czeredę dzieci, którą za sobą ciągnęły.

- Twój ojciec jako jedyny z całej rodziny nie dał się porwać gorączce przygotowań na przyjazd Columa - powiedziała właśnie Maureen. - Za to bardzo lubi te smakołyki, które co wieczór przygotowuję w nadziei, że Colum zjawi się na kolację.

Też by mi smakowały - buntowniczo pomyślała Scarlett. Strasznie nudne są te potrawy gotowane dla dziadka, bo jedynym kryterium doboru jest to, czy są dość miękkie.

- Weź też parę kurczaków - zwróciła się do kucharki. - I usmaż mi na obiad kilka kawałków.

Ale choć wpadła w zły humor, przed obiadem spotkała ją niemała radość. Gdy wróciła do domu, oczekiwała na nią wiadomość od Matki Przełożonej. Biskup zamierzał przychylić się do petycji Scarlett i miał zamiar zezwolić jej na wykup wiana Kariny.

Tara! Odzyskam Tarę! Tak pochłonęły ją plany przywrócenia świetności Tarze, że nawet zapomniała o upływie czasu, a gdy przyniesiono jej obiad, nie wiedziała, co ma na talerzu.

Widziała to zupełnie wyraźnie: dom na wzgórzu, klujący w oczy bielą świeżo

pomalowanych murów, przycięty trawnik cieszy serce szmaragdową zielenią trawy gęsto poprząkanej żdźbłami koniczyny, pastwisko lśniące aksamitną zielenią faluje, kołysane podmuchami wiatru, niby dywan rozkładający się ze szczytu pagórka ku podnóża, by zatrzymać się w tajemniczo cienistej zieleni sosen porastających brzeg rzeki tak gęsto, że aż nie było jej widać. Wiosna, a z nią chmury ażurowych kwiatów derenia, mocny zapach wisterii, potem lato, rześki wiatr kołyszący białymi zasłonami w otwartych oknach, ciężka słodycz kapryfolium, którego woń przenikała w najodleglejsze nawet kąty całego domu - wszystko to, powołane na nowo do życia siłą jej wyobraźni, błyszczało i lśniło pewne własnej doskonałości. Tak, lato jest najpiękniejsze. Długie, leniwe, odmierzające dzień za dniem lato w Georgii, gdy zmierzch trwał do późnej nocy, a robaczki świętojańskie polatywały w kleistych, jakby smołowatych wysepkach gęstniejącej ciemności. A potem gwiazdy - obrzmiałe i bliskie na wyciągnięcie ręki - rozrzucone po aksamicie nieba, albo księżyc - biały i okrągły - bielą dorównujący nieskazitelnej białości pogrążonego we śnie domu, błyszczącego na szczycie ciemnego, łagodnie dźwigającego się ku górze pagórka.

Lato... oczy Scarlett poogromniały. Tak, to jest to! Że też nie wpadła na to wcześniej. Oczywiście. Lato - gdy uroki Tary najbardziej przypadły jej do serca - lato było tą porą roku, kiedy Rett musiał wyprowadzać się z Dunmore Landing ze względu na panoszącą się febrę. Nie mogła sobie wymarzyć szczęśliwszego zbiegu okoliczności. Od października do czerwca będą więc przebywać w Charlestonie, z utęsknieniem czekając na sezon zimowy, który by przerwał śmiertelną nudę nieśmiertelnych herbatek, by potem oczekiwać na lato w Tarze, które by przerwało monotonię sezonu. Dopóki w Tarze trwać będzie długie lato, gotowa znieść choćby i to.

Gdyby jeszcze biskup się pospieszył!

Na ceremonię otwarcia Hodgson Hall Scarlett odprowadził Pierre Robillard. W staromodnym stroju galowym złożonym z aksamitnych bryczesów, aksamitnego żakietu z rozetką Legii Honorowej dyskretnie błyszczącą w butonierce, z szeroką czerwoną szarfą ściśle opinającą wąskie biodra, dziadek wyglądał nader imponująco. Scarlett jeszcze nigdy w życiu nie widziała kogoś, kto wyglądałby równie dystyngowanie i arystokratycznie.

Nie ma co, dziadek też może być ze mnie dumny - myślała, drobiąc kroczi. Perły i diamenty miała pierwszej wody, suknia - przeświecna, niczym połyskliwa kolumna złotego, brokatowego jedwabiu, zdobna złotą koronką i złotym trenem z brokatu długim na cztery stopy. Dotychczas nie miała jeszcze okazji, by ubrać się w te wspaniałości, ponieważ w Charlestonie była zmuszona nosić się jak pokraka. Co za szczęście, że kazała uszyć całą nową garderobę. Miała tu parę sukien, które ledwo zdążyła przymierzyć. Nawet bez ozdób, odprutych pod wpływem Rettowych szyderstw, i tak były piękniejsze od wszystkiego, w co - jak widziała - ubierają się tutejsze panie. Gdy Hieronim pomagał jej zająć miejsce naprzeciwko dziadka w wynajętym powozie, mimowolnie zaczęła się wdzięczyc do lokaja.

Podróż na południowy kraniec miasta minęła w milczeniu. Zwieńczona białą grzywą głowa Pierre'a Robillarda kołysała się półsennie. Podskoczyła do góry na głośnie - Spójrz, dziadku! - wykrzyknięte przez Scarlett. Na ulicy, przed ogrodzoną metalowym płotem klasyczną budowlą tłoczyli się ludzie żądni widoku pań i panów z towarzyskiej elity Savannah. Jak na balu świętej Cecylii. Scarlett arogancko uniosła główkę i - nie spoglądając nawet na lokaja w liberii - dała się wyprowadzić z powozu. Od strony tłumu dobiegł ją pomruk podziwu. Podczas gdy dziadek wygrzebywał się z przepastnych głębi wielkiej kolasy, ona potrząsała główką, tak by brylantowe kolczyki rozsypywały na wszystkie strony drżące blaski, jednocześnie zbierając w garści tren sukni, by po chwili rozpuścić go na wysokich, wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach.

„Oooch...” - dobiegło ją od strony tłumu, po czym „aaach...” i „wspaniale”, „kim ona jest?”. Gdy zacisnęła dłoń w białej rękawiczce wokół spowitego w aksamit ramienia dziadka, spośród okrzyków tłumu dobiegł ją jakiś znajomy głos:

- Kasiu Scarlett, kochanie, jesteś oślepiająco piękna, dorównujesz Królowej Sabie!

Nagle ogarnięta strachem zerknęła spieszenie w lewą stronę, po czym - jeszcze szybciej - odwróciła twarz od Kuby i stadka, które przywłókł ze sobą, jakby go w ogóle

nie znała. Powoli statecznym krokiem odmierzanym przez Pierre'a Robillarda, zmierzała ku wejściu. Lecz widziany przez chwilę obraz głęboko zapadł jej w pamięć: Kuba stał obejmując ramieniem roześmianą żonę, melonik zsunął mu się na tył głowy, odsłaniając gęstwą kędzierzawych włosów. Po prawej stronie stał przy nim jakiś mężczyzna, dobrze widoczny w blasku latarni. Był szczupły jak ramię Kuby, spowity szczelnie w płaszcz wyglądał niczym tyka. Jego rumianą okrągłą twarz rozjaśniał uśmiech, miał błyszczące błękitne oczy, a odkrytą głowę otaczała aureola srebrzystych kędziorków. Był niczym żywy obraz Geralda O'Hary.

Od wewnątrz Hodgson Hall wyglądał elegancko i poważnie, stosownie do swego przeznaczenia. Błyszczące boazerie z rzadkich gatunków drewna biegly wzdłuż ścian, drewniane okładziny ramowały zbiór map i szkiców będący własnością Towarzystwa. Masywne mosiężne świeczniki wisiały u sufitu, a mlecznobiałe kule równomiernie rozsiewały jednostajny blask płomieni gazowych, niezyczliwie podkreślając bladość pociągłych, arystokratycznych twarzy. Scarlett, znalazłszy się nagle w ich otoczeniu, instynktownie rozejrzała się w poszukiwaniu cienia. Starość. Wszyscy dokoła wyglądali staro.

Opadło ją przerażenie. Obiegła ją fala strachu, że oto nagle się zestarzeje, że zarazi się od tych ludzi starością. Dzień jej trzydziestych urodzin nadszedł i minął zupełnie nie zauważony, w Charlestonie zbyt była zajęta, by się tym przejmować. Ale teraz uświadomiła sobie, że miała na karku czwarty już krzyżyk. Powszechnie znana to prawda, że kobieta po trzydziestce to jakby już pogrzebiona. Trzydzieści lat... nigdy nie sądziła, że i ją to spotka. Niemożliwe, aby to była prawda.

- Scarlett - usłyszała głos dziadka. Trzymając pod rękę pociągnął ją w stronę długiego ogonka oczekujących na oficjalne powitanie gości. Jego palce były zimne jak śmierć. Czowała ten chłód - przenikał przez cieniutką skórę rękawiczek, spowijających jej ręce niemal do barków.

Z przodu starszawi członkowie Towarzystwa Historycznego witali starszawych gości, jednego po drugim. Nie, nie mogę! - przemknęła jej przez głowę gorączkowa myśl. Nie mogę ścisnąć tych śmiertelnie zimnych dłoni, nie mogę się uśmiechać i mamrotać, że bardzo mi miło. Wcale mi tu nie miło. Chcę stąd uciec.

Opadła na sztywne ramię dziadka.

- Słabo mi - szepnęła. - Bardzo źle się czuję.

- Nie wolno ci źle się czuć - odparł, nie spojrzawszy nawet na nią. - Proszę zaraz mi się wyprostować i robić wszystko, co należy. Możesz wyjść po ceremonii, ale nie

wcześniej.

Scarlett wyprostowała kręgosłup i wykonała kilka sztywnych kroków do przodu. Co to za potwór! Nie dziw, że Mama tak mało mówiła o dziadku. Gdyby nawet chciała, niewiele miłych rzeczy dałoby się o nim powiedzieć.

- Dobry wieczór, Mrs. Hodgson - poruszyła wargami. - Miło mi, że mogę się tutaj znaleźć.

Pierre Robillard posuwał się znacznie wolniej. Sztywno zgiął głowę nad dłonią damy, podczas gdy Scarlett dawno już miała za sobą ceremonię powitania. Szybko przebiła się przez grupkę ludzi i pognąła w stronę drzwi.

Zaledwie znalazła się na dworze, chwyciła głęboki oddech. Kryształowo czyste nocne powietrze cudownie orzeźwiało. Potem zerwała się do biegu. W światłach rozstawionych wzdłuż schodów lamp tren jej sukni mienił się cudownie na tle czerwonego galowego chodnika, rozciągał się za nią niczym skrzydło, swobodnie łopoczące na wietrze.

- Powóz pana Robillarda! - zawołała. - Szybko!

Lokaj, widząc jej pośpiech, pobiegł tam, gdzie za rogiem czekały pojazdy. Scarlett gnała za nim, nie dbając, że tren sukni ciągnie się po wysypanym kruszoną cegłą chodniku. Musiała uciec, zanim ktokolwiek zdąży ją zatrzymać.

Bezpieczna w ciemnym wnętrzu powozu oddychała łapczywie, starając się uspokoić i wyrównać oddech.

- Na South Broad - wykrztusiła do stangreta. - Pokażę, który dom.

Mama też porzuciła tych ludzi - myślała, gdy stangret wdrapywał się na kozioł. Poślubiła Papę. Nie może mnie potępiać za to, że i ja uciekłam.

Przejeżdżając obok domu O'Harów, z kuchni usłyszała muzykę i śmiechy. Kazała woźnicy zatrzymać, wysiadła i odprawiła powóz z powrotem do Hodgson Hall.

Stanęła przed kuchennymi drzwiami. Nie bardzo wiedziała, czy po tym, co się stało, będzie mile widzianym gościem. W końcu jednak desperacko rzuciła się z pięściami na drzwi i waliła tak długo, dopóki Kuba jej nie otworzył.

- Scarlett! - wykrzyknął, wyraźnie zaskoczony. - Proszę, kochanie, pozwól do środka. Jest tu Colum, najlepsza odrośl z całego rodu O'Harów, poza tobą, kuzynko, rzecz jasna.

Teraz, gdy widziała go z bliska, mogła się przekonać, że Colum był o lata całe młodszy od Kuby, a jego podobieństwo do Papy - tak uderzające na pierwszy rzut oka - wcale nie było takie oczywiste i ograniczało się do krągłej twarzy oraz niskiego wzrostu,

co wśród wysokich kuzynów i bratanków szczególnie zwracało uwagę. Niebieskie oczy Columa były ciemniejsze, bardziej poważne, a jego krągły podbródek miał w sobie jakąś stanowczość - tę samą, którą zdarzało się jej widzieć u ojca, gdy jechał wierzchem i zmuszał konia, by ten wziął przeszkodę wyższą, niż zezwalał na to zdrowy rozsądek.

Uśmiechnął się, gdy Kuba ją przedstawił, a jego oczy niemal znikły w siateczce drobnych zmarszczek. Lecz ciepło, które promieniowało z jego spojrzenia sprawiło, że ów moment był jednym z najszcześniejszych w całym życiu Scarlett.

- Czyż nie jesteśmy najszcześniejszą rodziną na okręgu Ziemi mając wśród nas stworzenie takie, jak to? - rzekł, schylając lekko głowę. - Tylko korony ci brak, droga kuzynko, dla dopełnienia wspaniałego widoku, którym nas zachwycasz. I gdyby Królowa Wróżek mogła cię zobaczyć, czyż nie porwałaby w złości swych błyszczących skrzydeł? Maureen, pozwól dziewczynkom, niech przyjrzą się kuzynce. Ten widok powinien być im natchnieniem, powinien je tyleż podnieść na duchu, co zaprzeć dech w piersiach.

Scarlett uśmiechnęła się, a w kącikach ust zadrgały jej dołeczki - oznaka najwyższej przyjemności.

- Ani chybi dane mi było poznać słynną irlandzką sztukę komplementowania pań.

- W żadnym wypadku. Pragnąłbym tylko posiąść w tej chwili dar poetyckiego natchnienia, bym tym pełniej mógł wyrazić, co myślę.

Kuba rąbnął brata w ramię.

- I to wyszło ci to nie najgorzej, ty hultaju. A teraz odsuń się i daj Scarlett miejsce, gdzie mogłaby przysiąść. Ja zajmę się szklaneczką... Tułając się tyle po świecie, Colum zdobył dla nas baryłkę prawdziwego irlandzkiego piwa. Scarlett, kochanie, musisz tego skosztować.

Kuba wymawiał imię Scarlett i owo pieśzotliwe „kochanie” w ten sposób, w jaki wymawiał je Colum, to znaczy łącząc oba wyrazy, tak że powstawało coś w rodzaju: „Scarlechanie”.

- Och nie, dziękuję - odpowiedziała automatycznie. Ale potem zastanowiła się i zmieniła zdanie. - A właściwie, dlaczego by nie? Nigdy nie piłam irlandzkiego piwa.

Gdyby podano jej szampana, wypiłaby bez zastanowienia. Lecz ciemny, okryty grubym kołnierzem piany napój był cierpki. Umoczyła wargi i skrzywiła się.

Colum zabrał jej kufel.

- Do rozlicznych swych cnót dodaje także i tę, że wyrzeka się wspaniałego napoju na rzecz bardziej spragnionego.

Gdy wychylał zawartość kufła, jego oczy śmiały się do niej.

Scarlett odwzajemniła uśmiech. Nie mogła nie odwzajemnić. W miarę upływu czasu zauważyła, że wszyscy często uśmiechają się do Columa, jakby gwoli zaspokojenia jego potrzeby życia w radości. Ale i on sam umiał sobie znaleźć źródła przyjemności. Wygodnie rozłożywszy się na krześle, nogami wsparł się o ścianę w pobliżu kominka, lekko kołysał dłonią jak gdyby dyrygując i dodając odwagi Kubie i Maureen, z których jedno grało na skrzypcach, drugie wystukiwało rytmicznie rat - ta - ta na „kościach”. Zdjął buty, stopami w samych skarpetkach wybijał taneczny rytm. Mógł służyć za wzór mężczyzny zażywającego wytchnienia, zdjął nawet kołnierzyk, rozpiął koszulę, tak że śmiech mógł nieskrępowanie wibrować w gardle.

- Opowiedz nam, Colum, o swych podróżach - dawało się słyszeć od czasu do czasu, lecz Colum za każdym razem odmawiał. - Trzeba mi muzyki - odpowiadał - i kufła, by odświeżyć serce i przepłukać gardło. Jutro będzie dość czasu na opowieści.

Także i serce Scarlett odrodziło się za sprawą muzyki. Jednak ciążyła jej świadomość, że nie może zostać tu zbyt długo. Musi wracać do domu. Zanim wróci dziadek, musi już być w łóżku. Żywiła nadzieję, że stangret dotrzyma obietnicy i nie powie staremu Robillardowi, dokąd ją odwiózł. Gdyby się dowiedział, nigdy by jej tego nie wybaczył. Bo w końcu czy był w stanie zrozumieć, że musiała wyrwać się z tego mauzoleum i pozwolić sobie na chwilę radości?

Zaledwie zdążyła na czas. Tylko Kuba znikł z pola widzenia, gdy przed rezydencję Robillardów zatoczył się powóz. Szybko pobiegła po schodach, w dłoni trzymając pantofelki, tren sukni przyciskając łokciem do boku. Zaciskała wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Zabawa w wagary była nawet całkiem miła, pod warunkiem, że udało się umknąć pościgowi.

Nie do końca jednak udało się jej wybrnąć z tej przygody zupełnie cało. Bo chociaż dziadek nigdy się nie dowiedział, jak spędziła ów wieczór, ona jednak wiedziała, a wiedza ta poruszyła w niej uczucia, z którymi walczyła w głębi ducha przez całe życie. Sam rdzeń osobowości Scarlett przejęła bowiem po swym ojcu, podobnie jak odziedziczyła po nim nazwisko. Była jak on porywcza, miała silną wolę, jak on była z lekka nieokrzęsana, żywiołowa i odważna, jednym słowem posiadała te wszystkie cechy charakteru, dzięki którym Gerald O'Hara zdołał przepłynąć burzliwe wody Atlantyku i spełnić swe marzenia: zostać właścicielem wielkiej plantacji i mężem wielkiej damy.

Po matce przejęła kruchą budowę i śmietankową karnację - świadectwo wielkiej przeszłości rodu. Ellen Robillard wpoila jej także arystokratyczne zasady postępowania

oraz inne dogmaty, o których ludzie dobrze urodzeni nie powinni zapominać.

Teraz instynkty burzyły się przeciwko temu wszystkiemu, czego zdołała się nauczyć. O'Harowie przyciągali ją niczym magnes. Ich wigor, emanująca z nich wszystkich zwyczajna, ziemska radość przemawiała do najgłębszych, najlepszych pokładów jej osobowości. Ale nie miała swobody wyboru. Wszystko, czego nauczyła ją matka, wszystko, co ze względu na pamięć matki czciła, to wszystko wzbraniało jej tej swobody.

Rozrywał ją dylemat, lecz nie była w stanie pojąć, czym właściwie jest to, co przyprawia ją o ten pożałowania godny stan duszy. Bez chwili wytchnienia błąkała się po labiryncie pokojów, ślepa na ich surowe piękno, wyobrażając sobie muzykę i tańce w domu O'Harów, całym sercem pragnąc być razem z nimi, myśląc jednak - tak jak ją nauczono o tym myśleć - że tego rodzaju gwarne uciechy są wulgarne i stosowne jedynie dla ludzi niższego stanu.

W gruncie rzeczy nie obchodziło ją, że dziadek gardził jej kuzynami. To samolubny starzec - myślała - który gardzi wszystkimi bez wyjątku, włącznie z własnymi córkami. Ale to wszystko, czego nauczyła ją matka, wycisnęło znamię na całym jej życiu. Widząc, jak daje sobie radę w Charlestonie, Ellen powinna być z niej dumna. Wbrew drwiącym zapowiedziom Retta, została uznana i przyjęta jako dama. I bardzo to się jej podobało. Bo i jak? Czyż nie jest damą? Oczywista, że jest. Tego zatem pragnęła - damą być - i zdało się jej, że była damą. Czegóż więc zazdrościła irlandzkiej odrośli swej rodziny?

Nie będę teraz o tym myśleć - postanowiła. Później się zastanowię. Zamiast o tym, pomyślę sobie o Tarze. Po czym pogrążyła się w idylli wyobraźni - w takiej, jaką zawsze знаła, jaką zawsze snuła w głębi własnego serca.

Po czym przysła wiadomość z kurii i idylla wybuchła jej prosto w twarz. Biskup nie przychyłał się do jej prośby. Scarlett zupełnie straciła wątek, myśli rozpiechły się bez ładu i składu. Wetknęła kartkę za stanik i pobiegła - nie bacząc na nic, z gołą głową, zupełnie sama - pobiegła do domu Kuby O'Hary, tam, gdzie drzwi zawsze stały otworem. Oni rozumieją to, co czuje, rodzina O'Harów na pewno ją zrozumie. Przecież Papa zawsze powtarzał: „Dla każdego z kroplą irlandzkiej krwi w żyłach ziemia, na której przetrwał, jest jak matka. To jedyne, co pozostaje, co warte jest trudu, o co warto walczyć...”

Pchnęła drzwi, przebiegła przez próg słysząc ciągle głos Geralda O'Hary. Jej spojrzenie od razu zatrzymało się na szczupłym, jakby zbitym w sobie ciele Columa O'Hary i na siwiźnie, otaczającej jego głowę srebrzystą aureolą. Chyba właśnie on czuł

to, co ona czuła - tak, to całkiem pewne.

Colum stał w drzwiach, spoglądając do jadalni. Gdy drzwi trzasnęły i do kuchni jak burza wpadła Scarlett, odwrócił się.

Miał na sobie ciemny surdut. Oszłomiona bólem Scarlett nie do końca rozumiała, co rejestrują jej oczy. Spoglądała więc na białą linię okalającą jego szyję. Koloratka. Ksiądz! Nikt jej nie uprzedził, że Colum jest księdzem. Dzięki Bogu. Księdzu można zawierzyć wszystko, nawet najgłębsze tajemnice serca.

- Pomocy, ojcze! - zawołała przez łyż. - Ktoś musi mi pomóc.

42.

I do tego sprowadza się rzecz cała - podsumował Colum. - Teraz trzeba by odpowiedzieć na pytanie, co zrobić aby zaradzić złu. Ten problem musimy rozwiązać jako pierwszy.

Siedział przy długim stole w jadalni u Kuby, zajął miejsce przy krótszym końcu. Wszystkie miejsca były zajęte przez całą rodzinę O'Harów, przy stole zebrali się dorośli z trzech domów. Przez zamknięte drzwi do kuchni dobiegały głosy Marii Katarzyny i Heleny, karmiących dzieciarnię. Scarlett siedziała zaraz obok Columa, twarz miała lekko obrzmiałą i zaczerwienioną od długiego ataku płaczu.

- Czy to ma znaczyć, Colum, że w Ameryce całe gospodarstwo nie może przejść na własność najstarszego dziecka w nienaruszonym stanie?

- Na to wygląda, Mateuszu.

- No to bardzo głupio postąpił wuj Gerald nie zostawiając testamentu.

Scarlett drgnęła i rzuciła mu ostre spojrzenie. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, wtrącił się Colum.

- Biedaczyna, nie było mu dane dożyć złotego wieku, nie miał więc czasu pomyśleć o śmierci i o tym, co potem... świeć Panie jego duszy.

- Świeć Panie jego duszy - powtórzyli pozostali, czyniąc jak jeden mąż znak krzyża. Scarlett potoczyła wzrokiem po uroczystych twarzach, nie robiąc sobie złudnych nadziei. Irlandzcy imigranci. W czym mogli jej pomóc?

Wkrótce jednak przekonała się, że tkwi w błędzie. W miarę, jak posuwała się rozmowa, jej nadzieje rosły. Irlandzcy imigranci mieli niemało do powiedzenia.

Na przykład Billy Carmody, mąż Patrycji, był brygadzystą murarskim na budowie katedry i siłą rzeczy dobrze znał biskupa.

- Niestety, aż nazbyt dobrze - westchnął ciężko. - Ten człowiek trzy razy dziennie gotów przerywać pracę tylko po to, by ponarzekać, że roboty nie posuwają się wystarczająco szybko.

Biskupowi spieszyło się, bowiem na jesieni miał przybyć do Ameryki kardynał z Rzymu i można było żywić nadzieję, że zechce nawiedzić Savannah i dokonać konsekracji świątyni.

O ile do tego czasu katedra będzie gotowa.

Kuba pokiwał głową.

- O, tak. Ambitny człowiek, ten nasz biskup Gross, prawda? Wiele by zrobił, by kuria rzymska zwróciła na niego uwagę.

Po czym spojrzął na Geralda. To samo uczynili Billy, Mateusz, Brian, Daniel i stary Jakub. Podobnie kobiety - Maureen, Patrycja i Kasieńka. Także i Scarlett, chociaż nie wiedziała, czemu przypisać to nagłe zainteresowanie.

Gerald ujął dłoń swej młodej żony.

- Nie bądź taka wstydliva, słodka Polly - powiedział, przyciskając ją do boku. - Jesteś teraz panią O'Hara, jak my wszyscy. Powiedz więc, które z nas, twoim zdaniem, najbardziej się nadaje do rozmów z twoim Papą?

- Tomasz Macmahon, jej ojciec, jest głównym wykonawcą i koordynatorem prac przy budowie katedry - mruknęła Maureen do Scarlett. - Niechby tylko wspomniał, że praca mogą ulec opóźnieniu, a biskup gotów zgodzić się na wszystko. Gross boi się tylko Macmahona.

- Niech Colum z nim pomówi - zaproponowała Scarlett. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że był on właściwym człowiekiem do tego rodzaju misji. Już sam jego wygląd, jego rozbrajający uśmiech były wystarczającą rękojmią jego siły.

Chór głosów potwierdził jej wybór: Colum to jedyny, zdolny uczynić to, co potrzeba.

Uśmiechnął się do wszystkich siedzących przy stole, ostatni uśmiech zarezerwował dla Scarlett.

- Wszyscy ci pomożemy, droga moja. Czyż to nie wspaniałe, mieć taką rodzinę, Scarlett O'Hara? A zwłaszcza wtedy, gdy może pomóc. Odzyskasz tę swoją Tarę, poczekaj tylko, trochę cierpliwości.

- Tara? A co to takiego? - stary Jakub domagał się wyjaśnień.

- Gerald nazwał w ten sposób swoją plantację, wuju.

Starzec wybuchnął śmiechem i śmiał się, dopóki nie chwycił go kaszel.

- Ten Gerald - wykrztusił, gdy odzyskał mowę, jak na takiego niepozornego człowieczka, zawsze miał o sobie wygórowaną opinię.

Scarlett zdrętwiała. Nikt nie miał prawa wyśmiewać się z Papy, nawet rodzony brat.

Colum nachylił się ku niej i szepnął:

- Daj spokój, Scarlett. Jakub nie mówił tego w złej wierze, później ci wyjaśnię.

I wywiązał się z tej obietnicy, gdy parę godzin później odprowadzał ją do domu.

- Dla wszystkich Irlandczyków „Tara” to magiczne słowo, nazwa legendarnego miejsca. Tam było centrum Irlandii, siedziba królów. Bowiem na długo przedtem, zanim powstały Ateny i Rzym, dawno temu, gdy świat był jeszcze młody i pełen nadziei, Irlandią rządili potężni królowie, świetlane istoty, wspaniałe niczym słońce. Stanowili prawa rzadkiej mądrości, udzielali schronienia i nadawali bogactwa poetom.

Byli niczym dzielni giganci, karzący zło straszliwym gniewem, walczyli z wrogami prawdy, piękna i Irlandii krwią zbroczonymi mieczami i stalowymi sercami. Setki, tysiące lat rządili ukochaną zieloną wyspą, a cały kraj tonął w słodkich dźwiękach muzyki. Pięć dróg prowadziło na wzgórze Tara, po jednej z każdego zakątka wyspy, a co trzydzieści lat schodzili się tam wszyscy jej mieszkańcy, by ucztować i słuchać śpiewów poetów. To, co opowiedziałem, nie jest bynajmniej legendą, lecz szczerą prawdą, o której wspominają także dzieje innych krajów, a smutne słowa o upadku odnotowują klasztorne annały. W roku pięćset pięćdziesiątym czwartym od przyjścia Pana Naszego, w Tarze odbyła się ostatnia biesiada.

Głos Columa załamał się, gdy wypowiadał ostatnie słowo, Scarlett poczuła, jak oczy jej wypełniają się łzami. Cała ta opowieść, brzmienie głosu Columa przykuły jej uwagę bez granic.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Potem znowu odezwał się Colum:

- Było szlachetnym marzeniem twego ojca zbudować nową Tarę w Nowym Świecie.

Tak, chyba naprawdę wspaniały był z niego człowiek.

- O, tak. Bardzo go kochałam.

- Kiedy następnym razem będę w Tarze, pomyślę o nim i o jego córce.

- Będziesz w Tarze? Czy to ma znaczyć, że Tara nadal istnieje? Że to prawdziwe miejsce?

- Równie prawdziwe jak ta ulica, którą idziemy. To wzgórze o łagodnych zboczach, na których wypasają się owce, wzgórze promieniujące szczególnym czarem... Gdy wejdiesz na szczyt i rozejrzysz się wokół, ujrzysz ten sam wspaniały krajobraz, który rozciągał się przed oczami królów. Tara leży niedaleko od wioski skąd pochodzę, gdzie się urodzili nasi ojcowie, małej osady w Powiecie Meath.

Scarlett czuła się jakby rażona piorunem. Zatem Papa także dotykał ziemi Tary, stał tam, gdzie stawiali swe stopy królowie. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jak dumnie się pręży, jak sztywno wyrzuca nogi, stąpając uroczyście, jak zwykle wtedy, gdy był rad z samego siebie. Roześmiała się cichutko.

Gdy doszli do domu Robillardów, przystanąła niechętnie. Z największą przyjemnością jeszcze by sobie pospacerowała, wsłuchana w śpiewny głos Columa.

- Nie wiem, jak ci dziękować - szepnęła nieśmiało. - Teraz czuję się milion razy lepiej niż przed paroma godzinami. Jestem pewna, że uda ci się wpłynąć na biskupa, by zmienił swe postanowienie.

Uśmiechnął się.

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw musimy dogadać się z tym nieznośnym Macmahonem. Poza tym nie wiem, kuzynko, jakie nosisz nazwisko. Po obrączce na palcu zgaduję, że biskup nie zna cię jako O'Harę.

- Oczywiście. Po mężu nazywam się Butler.

Uśmiech Columa znikł na moment, ale zaraz powrócił.

- To możliwe nazwisko.

- Owszem, w Południowej Karolinie, ale nie tutaj. Mój mąż, Rett Butler pochodzi z Charlestonu.

- Jestem zdumiony, że nie chce ci pomóc w tej sprawie.

Scarlett uśmiechnęła się.

- Pomógłby, gdyby mógł, ale musiał wyprawić się na Północ w interesach. Jest bardzo przedsiębiorczy.

- Rozumiem. Cóż... jestem szczęśliwy, że mogę ci pomóc. Uczynię wszystko, co w mojej mocy.

Miała wrażenie, że dokładnie w tej samej chwili bierze go w objęcia i ściska, tak jak czyniła to z ojcem, gdy dostała od niego to, czego chciała. Wydawało się jej jednak, że nie uchodzi ściskać osób duchownych, nawet kuzynów. Dlatego powiedziała zwyczajne „dobranoc” i odeszła.

Colum też ruszył w swoją stronę. Gwizdał *Ubrana w zieleń*.

* * *

- Gdzie znowu byłaś? - warknął Pierre Robillard. - Kolacja zupełnie nie nadawała się do jedzenia.

- Byłam u kuzyna Kuby. Każę, niech ci przyniosą drugą kolację.

- Znowu widziałas się z tymi ludźmi? - starszerek zatrzęsł się z oburzenia.

W Scarlett także wezbrała wściekłość. Była gotowa na gniew odpowiedzieć gniewem.

- Tak, widziałam się z nimi i zamierzam widywać się z nimi zawsze. Bo bardzo ich lubię.

Po czym wyszła z sypialni. Zanim jednak wróciła do siebie na górę, poleciała kuchni, by dziadkowi podano kolację po raz drugi.

- A co z pani kolacją, miss Scarlett? - spytała Pansy. - Mam przynieść tutaj na tacy?

- Nie, wystarczy, jeśli pomożesz mi się rozebrać. Nie mam ochoty na kolację.

Śmieszne. Chociaż wypłam tylko filiżankę herbaty, wcale nie jestem głodna. Chce mi się tylko spać. To ten płacz tak mnie wyczerpał. Ledwo wspomniałam słówkiem o

biskupie, zaraz się rozbeczałam. Teraz gotowa jestem spać choćby i tydzień, jeszcze nigdy w życiu nie czułam takiego zmęczenia.

Głowę miała lekką, całe ciało ciężkie, lecz odprężone. Opadła na miękkie łóżko i natychmiast zapadła w głęboki, pokrzepiający sen.

Dotychczas, zawsze, gdy nadchodziły kryzysy, sama musiała stawiać im czoło. Bywało, że nie chciała przyznać przed samą sobą, że potrzebuje pomocy, lecz w większości wypadków po prostu nie miała do kogo się zwrócić. Tym razem było inaczej. Jej ciało wcześniej dostosowało się do nowej sytuacji, niż zdołał uczynić to umysł. Teraz miała u boku ludzi gotowych pospieszyć jej z pomocą. Rodzina ochnoczo zdejmowała jej z ramion brzemiona. Nie była zdana na samą siebie. Mogła sobie pozwolić na odejście w sen.

* * *

Tej nocy Pierre Robillard spał niewiele. Drażniło go nieposłuszeństwo Scarlett. W ten sam, dokładnie ten sam sposób buntowała się przeciwko niemu jej matka, tak dawno temu, i na zawsze ją stracił. Serce mu pękło. Ellen kochał najbardziej, najbardziej bowiem z wszystkich córek podobna była do matki. Nie kochał Scarlett. Wszystkie uczucia, jakie posiadał, pogrzebał razem z żoną. Ale nie miał zamiaru pozwolić odejść Scarlett bez walki. Chciał dożyć kresu swych dni w miarę wygodnie, a Scarlett mogłaby się tym zająć. Siedział wyprostowany w łóżku. Lampa naftowa w końcu zgasła, a on siedział, rozmyślając nad strategią, niczym generał spoglądający na twarze zwierzchników.

Tuż przed wschodem udało mu się zapaść w nierówny sen, a kiedy zbudził się po godzinie, decyzja została już podjęta. Gdy Hieronim przyniósł śniadanie, starzec właśnie podpisywał list. Złożył kartkę, zapieczętował, zanim jeszcze lokaj zdążył postawić przed nim tacę.

- Doręcz to - rzekł, podając mu sztywny biały prostokąt. - I poczekaj na odpowiedź.

* * *

Scarlett z trzaskiem otworzyła drzwi. Wetknęła przez szparę głowę.

- Chciałeś mnie widzieć, dziadku?

- Wejdz, Scarlett.

Widząc, że w pokoju jest ktoś jeszcze, nie mogła się powstrzymać od zdziwienia. Dziadek przecież nigdy nie przyjmował gości. Mężczyzna wygiął się w ukłonie. Schyliła główkę.

- Mój adwokat, Mr. Jones. Zadzwoń na Hieronima, Scarlett. Mój lokaj pokaże ci, którą do salonu, Jones. Poczekasz tam, dopóki nie przyślę po ciebie.

Zaledwie pociągnęła za sznur, Hieronim otworzył drzwi.

- Przystaw bliżej to krzesło. Mam zamiar poruszyć sprawy niezmiernej wagi, nie chciałbym nadwyręzać głosu.

Scarlett była zdumiona. Jeszcze trochę, a usłyszy z ust dziadka „proszę”. Starszy pan mówił bardzo słabiutkim głosem. Boże, mam nadzieję, że nie wpadnie mu do głowy umrzeć na moich rękach. Nie chcę mieć do czynienia z Eulalią i Pauliną przy urządzaniu pogrzebu. Zbliżyła się z krzesłem do głów łóżka.

Pierre Robillard spoglądał na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Scarlett - powiedział spokojnie, gdy już usiadła. - Mam prawie dziewięćdziesiąt cztery lata. Wziąwszy pod uwagę ten wiek, jestem w całkiem dobrym zdrowiu. Ale nie wynika z tego wcale, że pożyję jeszcze dość długo, bo z tym nie jest tak, jak w arytmetyce. Dlatego, moja wnuczko, proszę cię, byś została przy mnie, dopóki nie odejdę.

Scarlett natychmiast zebrała się do odpowiedzi, lecz starzec uniósł wątpliwą rękę i nakazał jej milczenie.

- Jeszcze nie skończyłem. Nie odwołuję się do twego poczucia obowiązków wobec rodziny, choć dobrze wiem, że już od wielu lat zajmujesz się zaspokajaniem najpilniejszych potrzeb twych ciotek... Jestem gotów złożyć ci słuszną, a nawet wspaniałomyślną ofertę. Jeśli zostaniesz w tym domu jako gospodyni, jeśli zgodzisz się doglądać moich wygod i zaspokajać moje życzenia, gdy umrę, odziedziczysz wszystko, co posiadam, a nie jest to mało.

Scarlett oniemiała. Proponował jej fortunę! Przypomniały się jej czołobitności dyrektora banku i znowu zaczęła się zastanawiać, ileż to dziadek mógł być wart.

Pierre Robillard źle zinterpretował to milczenie Scarlett. Podczas gdy ona kalkulowała, on sądził, że została przytłoczona ciężarem jego wspaniałomyślności. W informacjach, które otrzymał, nie było raportu dyrektora banku w Savannah, nic więc nie wiedział o fortunie w złocie. Jego poblądłe oczy roz błysły zadowoleniem.

- Nie wiem - podjął po chwili - ani nie chcę wiedzieć, co doprowadziło do rozkładu twojego małżeństwa...

Jego głos i postura przybrały na pewno siebie, sądził bowiem, że już wygrał tę partię.

- Ale wyrzekniesz się wszelkiej myśli o rozwodzie...

- Czytałeś moją pocztę!

- Mam prawo wiedzieć o wszystkim, co dzieje się pod moim dachem.

Scarlett taka była oburzona, że nawet nie mogła znaleźć słów, by to wyrazić. Tymczasem dziadek ciągnął swoje - dokładnie i chłodno. Słowa, które wypowiadał, padały niczym kryształki lodu.

- Gardzę nieroztropnością i głupotą, a ty wykazałaś się jednym i drugim, bo opuściłaś męża nie zastanawiając się, w jaki sposób wpłynie to na twoją pozycję. Gdybyś miała dosyć oleju w głowie, by zasięgnąć porady prawnika, tak jak ja to zrobiłem, dowiedziałabyś się, że prawo Południowej Karoliny nie dopuszcza rozwodów, niezależnie od powodu. Pod tym względem jest to stan wyjątkowy w całych Stanach Zjednoczonych. Owszem, przeniosłaś się do Georgii, lecz twój mąż, w świetle prawa, jest obywatelem stanu Południowa Karolina. Rozwód zatem nie wchodzi w rachubę.

Ale Scarlett niewiele obchodziły prawnicze dywagacje dziadka. Myślami nadal krążyła wokół faktu grzebania w jej korespondencji. Co za brak godności! To pewnie ta żmija Hieronim. Kładzie swe tłuste łapy na wszystkich moich rzeczach, buszuje po biurku, a mój własny dziadek jeszcze go do tego zachęca. Nagle zerwała się z krzesła, pochyliła się nad łóżkiem podparwszy się pięściami zaciśniętymi tuż obok wychudłej ręki Pierre'a Robillarda.

- Jak śmiesz kazać temu człowiekowi, żeby przetrząsał moje rzeczy? - krzyknęła, tłukąc pięściami w grube listwy łoża.

Dziadek z szybkością atakującego węża poderwał ręce, ujął jej nadgarstki w twarde chwyt kościstych palców.

- Moja panno, nie podnoś głosu w tym pokoju. Nie znoszę hałasu. I zechciej prowadzić się jak przystoi mej wnuczce. Nie jestem jednym z tych irlandzkich wieśniaków.

Uwolniła ręce z uścisku, po czym zrobiła parę kroków do tyłu, aż za plecami poczuła krzesło. Wtedy przystanęła.

- Nic dziwnego - szepnęła - że matka opuściła ten dom, by nigdy tu nie wrócić.

Była wściekła na samą siebie za to, że głos jej tak drżał.

- Dziewczynko, dajmy spokój tym cikliwym scenom z marnego romansu. Mężczy mnie to. Twoja matka opuściła ten dom, ponieważ była uparta i za młoda, by posłuchać głosu rozumu. Doznawszy miłosnego zawodu rzuciła się w objęcia pierwszemu lepszemu, który ją o to poprosił. Żyła z poczuciem żalu, ale przeszłości nie da się odwrócić. Ty, w przeciwieństwie do niej, nie jesteś już lekkomyślnym dziewczęciem i

umiesz używać rozumu. Kontrakt już gotowy. Przyrowadź tu Jonesa, podpiszemy i będziemy się zachowywać jak gdyby nigdy nic.

Scarlett odwróciła się do niego plecami. Aż trudno uwierzyć. Nie sposób go dłużej słuchać. Wzięła krzesło i odstawiła je na miejsce, tam gdzie zawsze stało. Zrobiła to tak dokładnie, że nóżki znalazły się w zagłębieniach w dywanie, wyciśniętych przez wiele lat stania w tym samym miejscu. Teraz już ani nie bała się dziadka, ani nie było jej przykro z jego powodu, ani nawet nie była na niego zła. Był jej po prostu obcy. Nudny, stary człowiek ze skłonnościami do tyranizowania słabszych od siebie, nieudolnie posługujący się resztkami przebiegłości, które mu pozostały z dawnych, zapewne lepszych czasów. Nie znała go. Wcale jej na nim nie zależało.

- Jeszcze nie wybito tyle pieniędzy, by skłonić mnie do pozostania w tym domu - odezwała się, jakby raczej głośno myśląc niż mówiąc do kogokolwiek. - Nawet góry złota nie ożywią złożonego do grobu.

Zwróciła się w stronę dziadka, oczy płonęły na tle śmiertelnie bladej twarzy szmaragdowymi ognikami.

- Twoje miejsce jest tutaj, w tym grobowcu. Umarłeś, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Natychmiast się stąd wynoszę.

Szybkim krokiem podeszła do drzwi i pchnęła je z całej siły.

- Hieronimie, skoro i tak wszystko słyszałeś, nie krępuj się i nie czekaj, aż pan cię wezwie. Możesz wejść.

43.

Nie bądź dziecinna, Pansy. Nie rycz. Przecież nic ci się nie stanie. Pociąg pojedzie prosto do Atlanty i tam się zatrzyma. Cała sztuka sprowadza się do tego, żeby wysiąść, jak stanie, a nie wcześniej. Zawinęłam ci trochę pieniędzy w chusteczkę do nosa, a chusteczkę przypięłam agrafką do kieszonki w palcie. Konduktor już dostał twój bilet, obiecał, że będzie cię pilnował. No, do licha! Tak biadoliłaś, aby czym prędzej wrócić do domu, więc masz, czego chciałaś. I proszę mi się tu nie mazać!

- Ale, Miss Scarlett, ja nigdy nie jechałam pociągiem samopas.

- Głupia, przecież nie pojedziesz sama. W pociągu będzie całe mnóstwo ludzi. Tylko wyglądaj sobie przez okno i wcinaj smakołyki, których pełen koszyk przygotowała ci dobra Mrs. O'Hara, a nim się spostrzeżesz, będziesz w domu. Wysłałam telegram. Ktoś wyjdzie po ciebie na dworzec.

- Ale Miss Scarlett, co ja bez pani pocznę? Jestem panną służącą. Kiedy pani wróci do domu?

- Kiedy wrócę, wtedy będę. To zależy. A teraz wskakuj do wagonu. Pociąg zaraz odjeżdża.

Wszystko zależy od Retta - pomyślała Scarlett. Który mógłby się nieco pospieszyć. Nie wiem, czy przyjmować tę gošcinę u kuzynów, czy lepiej nie. Odwróciła się do żony Kuby.

- Nie wiem jak ci dziękować, droga Maureen, że przygarnęłaś mnie pod swój dach. Na samą myśl o tym wzruszam się do głębi, ale i przerażam, że tyle będziesz mieć ze mną kłopotów.

Uśmiechnięta, szczebiotała salonowo, świeżym, dziewczęcym głosem.

Maureen wzięła ją pod ramię i poprowadziła byle dalej od wagonu, gdzie zza pokrytej grubą warstwą kurzu szyby, spoglądała beznadziejnie opuszczona Pansy.

- Wszystko układa się znakomicie - powiedziała, gdy już odeszły kilka kroków. - Daniel jest wprost zachwycony, że może oddać ci swój pokój, zresztą i tak razem z Brianem przeprowadza się do Patrycji. Od dawna na to czekał, tylko nie miał śmiałości się przyznać. A Kasia wręcz podfruwa z radości, że będzie twoją pokojówką. Od dawna o tym marzyła, a taką czią cię otacza, iż gotowa całować ślady twoich stóp. Od chwili, gdy tu przybyła, nigdy jeszcze nie była szczęśliwa, dopiero teraz. Należysz do nas, nie do tego starego durnia. Też mi znalazł sobie dziewczynę na posyłki! Co za czelność oczekiwać, że będziesz mu za gosposię. My niczego od ciebie nie wymagamy. Chcemy być z tobą, bo cię kochamy.

Scarlett poczuła się znacznie lepiej. Nie mogła oprzeć się Maureen, ciepłu emanującemu z jej słów. Ale szczerze mówiąc, miała nadzieję nie zabawić zbyt długo u O'Harów. Brrr... te bachory!

Niczym debiutantka przerażona publicznym występem - myślała Maureen, delikatnie ściskając dłoń Scarlett. Czowała, jak bardzo jest spięta. Najbardziej potrzeba jej kogoś, przed kim mogłaby otworzyć serce i wyrzucić się w starym, dobrym stylu. W przypadku kobiety jest rzeczą nienaturalną powstrzymywanie się od wszelkich bardziej osobistych wzmianek na swój temat, a Scarlett, co dziwniejsze, nie wspomniała nawet słówkiem o swoim mężu. Dziwna osoba... Maureen jednak nie zamierzała tracić czasu na zgadywanie. Gdy jeszcze jako młoda dziewczyna zmywała kieliszki w barze swego ojca zauważyła, że ci, którzy bywali tam często, prędzej czy później przed nią zwierzali się z kłopotów. Nie sądziła, by Scarlett była wyjątkiem.

* * *

Rodzina O'Harów zajmowała cztery wysokie kamieniczki z czerwonej cegły. Okna wychodziły na ulicę z tyłu, od strony podwórza, ściany boczne były wspólne. Wewnętrzne dziedzińce były identyczne. Na każdym piętrze znajdowały się po dwa pokoje: na parterze kuchnia i jadalnia, na pierwszym piętrze dwupokojowe salony, na drugim po dwie sypialnie. Od strony ulicy domy obiegały ganeczki z wdzięcznymi schodkami, z tyłu - duże podwórko i wozownia.

Scarlett dostała sypialnię na drugim piętrze w domu Kuby. W pokoju stały dwa pojedyncze łóżka - do czasu przeprowadzki mieszkali tu Brian oraz Daniel - i prawie nic więcej. Umebrowanie było skromne, jak się godzi w sypialni dwóch młodych mężczyzn: szafa, biurko i krzesło. Nad łóżkiem wisiały jednak kolorowe kilimy, na wyfroterowanej do połysku podłodze białe - czerwony dywanik. Nad biurkiem Maureen zawiesiła lustro, na biurku położyła koronkową serwetę, tak że Scarlett miała teraz dla siebie gotownię. Kasia zaskakująco dobrze dawała sobie radę z upinaniem fryzury, chętnie się uczyła i zawsze była skora do usług. Ona, Maria Katarzyna oraz Helena spały w pokoju naprzeciwko.

Jedynym brzdącem w domu Kuby był czteroletni Janek, ale najczęściej przebywał gdzieś w sąsiedztwie, spędzając czas na zabawach z rówieśnikami.

W dzień, gdy mężczyźni byli w pracy, a starsze dzieci w szkole, cztery kamieniczki zamieniały się w świat kobiet. Scarlett sądziła, że nie jest w stanie tego polubić. Ale nie było wydarzenia w jej życiu, które przygotowałoby ją do obcowania w kobiecym świecie O'Harów.

Nie miały między sobą tajemnic, nie musiały się ćwiczyć w powściągliwości. Mówiły to, co miały na myśli, zawierały sekrety, od wysłuchiwania których Scarlett oblewała się purpurą, kłóciły się, gdy nie mogły się pogodzić i padały sobie w ramiona z płaczem i pocałunkami, gdy konflikt był już zażegnany. Choć cztery były domy, zachowywały się tak, jakby był jeden, wpadały to do jednej, to do drugiej kuchni na filiżankę herbaty, jedna drugiej robiły zakupy, jedna drugą wyręczała w pieczeniu ciasta czy obrządzaniu zwierząt, które chowano w dawnych wozowniach zamienionych na chlewiki.

Przed wszystkim jednak cieszyły się samymi sobą, śmiechem, plotkami, tajemnicami i niegroźnymi intrygami przeciwko mężom. We wszystko wtajemniczały Scarlett zaraz, gdy tylko przybyła, uznając, że jest jedną z nich. Z upływem czasu sama Scarlett miała się przekonać, że naprawdę była. Codziennie w towarzystwie Maureen lub Kasi udawała się na targ w poszukiwaniu najlepszego jadała po najniższej cenie, chichotała z Polly i Katarzyną nad sztuczkami, których mogą dokonać sprawne ręce dysponujące żelazkiem do włosów i paroma kokardami, przekopywała się przez zwalę tkanin tapicerskich z czułą na punkcie urządzania mieszkania Patrycją, choć Maureen i Kasi już ręce opadły. Wypijała całe morze herbaty, wysłuchując opowieści o sukcesach i troskach, a chociaż sama nie zawierała żadnej z nich swoich sekretów, nikt jej do tego nie zmuszał ani nie zachowywał z tego powodu szczególnej powściągliwości.

- Nigdy nie przypuszczałam, że tak wiele ciekawych rzeczy przydarza się ludziom - wyznała Maureen, szczerze zaskoczona.

Wieczory mijały wedle innego rytuału. Mężczyźni pracowali ciężko i gdy wracali do domu, byli naprawdę wyczerpani. Chciało się im dobrze zjeść, wypalić fajkę i czegoś napić. Ich życzenia zawsze były zaspokajane w pierwszej kolejności, potem wieczór już sam się rozkręcał. Często cała rodzina przenosiła się do domu Mateusza, ponieważ musiał on dopilnować pięcioro małych dzieci śpiących piętro wyżej, podczas gdy Maureen i Kuba mogli powierzyć Janka oraz Helenę opiece Marii Katarzyny, zaś Patrycja mogła przynieść swoje dwu - i trzyletnie dzieci do Mateusza, bo i tak nic nie mogło wyrwać ich ze snu. Zanim zaczynało się dłużyć, dźwięki muzyki odpędzały nudę. Później, gdy już przybył Colum, on wszystkim dowodził.

Pewnego wieczoru Scarlett po raz pierwszy w życiu ujrzała *bodhran*. Początkowo myślała, że to taki duży tamburyn. Metalowa obręcz, na którą naciągnięto skórę, miała w średnicy ponad dwie stopy, lecz jak na tamburyn była cienką. Gerald trzymał ją jedną ręką. Gdy jednak usiadł, ułożył *bodhran* na kolanach i uderzył w napiętą skórę drewnianą pałeczką, podrzucając ją, tak że grał to jednym, to drugim końcem. Scarlett

usłyszała dźwięk jak gdyby prawdziwego bębna.

No, może z tym bębniem to przesada - pomyślała, sądziła tak jednak tylko do chwili, gdy do instrumentu przysiadł się Colum. Jego lewa dłoń musnęła napiętą skórę od spodu, jakby w pocałunku, nadgarstek jego prawej dłoni nabrał nagle płynności wody. Jego ramię błyskawicznie przemieszczało się od wierzchołka bębna do podstawy, od podstawy przepływało na sam środek, podczas gdy prawą ręką wyczyniał dziwne, pieszczotliwe ruchy, opadając na powierzchnię skóry stałym, ścinającym krew w żyłach rytmem. Barwa i natężenie bębnienia zmieniały się, lecz samo dudnienie - hipnotyczne, przykuwające uwagę - pozostało niezmiennie, choć i skrzypce, i fujarka, i harmonia dały się w nim słyszeć. Maureen trzymała „kości” w bezwładnej dłoni, zbyt porwana przez warkot bębna, by o nich pamiętać.

Także i Scarlett poddała się działaniu tej dziwnej muzyki, przyprawiającej to o śmiech, to łzy wyciskającej z oczu, to znowu zapraszającej do tańca i to takiego, o jakim nigdy w życiu nie śniła. Stan ten trwał jednak tylko do chwili, gdy Colum odłożył bęben na podłogę i poprosił o coś do picia.

- Wybęniłem się na śmierć - oznajmił. - Umieram z pragnienia.

Potoczywszy wzrokiem dokoła Scarlett przekonała się, że wszyscy - tak jak ona - dali się porwać działaniu muzyki. Spojrzała na niskiego, uśmiechniętego mężczyznę z perkatym nosem. Przebiegł ją dreszcz grozy. Ten człowiek nie był taki jak inni.

* * *

- Scarlett, kochanie, lepiej się znasz na ostrygach niż ja - powiedziała Maureen przy samym wejściu na targ. - Wybierzesz coś dla nas? Chcę zrobić Columowi do herbaty wspaniały bulion z ostryg.

- Do herbaty? Bulion z ostryg nadaje się na obiad lub na kolację.

- Wiem, ale dziś wieczorem ma przemawiać na zebraniu, czyli że przedtem nie zje kolacji, bo musi się przygotować.

- Co to za zebranie? My też tam pójdziemy?

- U Jaspera Greensa spotykają się ochotnicy, Amerykanie pochodzenia irlandzkiego, którzy tworzą oddział wojskowy. Kobiety nie mają tam czego szukać.

- A czego szuka tam Colum?

- Colum?... Colum najpierw przypomni im, że niezależnie od tego, jak długo mieszkają w Ameryce, do grobowej deski pozostają Irlandczykami, następnie przywiedzie ich do łez ckliwą opowieścią o miłości i tęsknocie za Starym Krajem, po czym, wzywając do ofiarności na rzecz biednej Irlandii, opróżni im kieszenie. Kuba

twierdzi, że zawołany z niego mówca.

- Łatwo mi to sobie wyobrazić - szepnęła nieswoim głosem Scarlett.

- Otacza go atmosfera jakiejś niesamowitości...

Maureen wybuchnęła śmiechem.

- No to wybierz specjalnie dla niego niesamowite ostrygi.

Scarlett także się roześmiała.

- Niestety, wątpię czy uda mi się znaleźć takie z perłami w środku - zawołała, naśladowując irlandzką wymowę Maureen. - Ale idę o zakład, że przysporzę chwały twojej kuchni.

* * *

Colum spojrział na pełną po brzegi, parującą miskę, po czym uniósł brwi zadziwiony.

- Przyznać muszę, droga Maureen, że podajesz bardzo zawieszistą herbatę.

- Dzisiaj na targu ostrygi były szczególnie okazałe - sapnęła Maureen z szelmowskim uśmiechem.

- Czy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nie drukuje się kalendarzy?

- Sza, Colum, zjadaj zanim wystygnie.

- Mamy Post, Maureen. Dobrze wiesz, co to znaczy: jeden posiłek dziennie, a i to bezmięsny.

Ciotki mają rację! - Scarlett powoli opuściła łyżkę na stół. Spojrzała na Maureen ze współczuciem: tyle dobra zmarnować. Musi odprawić srogą pokutę, pewnie czuje się strasznie nieswojo... Dlaczego taki człowiek jak Colum musi być księdzem?

Tym bardziej była więc zdumiona widząc, jak Maureen się uśmiecha i zanurza łyżkę, by wyłowić co ładniejsze kawałki.

- Nie strasz mnie piekłem, Colum - mruknęła ze złośliwym zadowoleniem. Mam dyspensę O'Harów. Ty też jesteś O'Hara, wcinaj więc te ostrygi i ciesz się, że smaczne.

Zdumienie Scarlett jeszcze bardziej urosło.

- O jakiej dyspensie ty mówisz?

Odpowiedział jej Colum, choć jemu, w przeciwieństwie do Maureen, humor wyraźnie nie dopisywał.

- Mniej więcej trzydzieści lat temu Irlandię dotknęła straszliwa klęska głodu - westchnął cicho. - Minął rok, a po nim drugi, gdy rzesze ludzi umierały z braku jedzenia. Żywiono się trawą, lecz i ona wreszcie się skończyła. Działy się straszne, potworne rzeczy. Wielu powoli konało, zaś ci, którzy jeszcze żyli, nie mieli jak im

pomóc. Tym, którzy przetrwali, kapłani w kilku parafiach udzielali dyspensy, uwalniającej od konieczności głodowania. Nasza rodzina mieszkała w jednej z tych parafii. Dlatego nie musimy pościć. Wystarczy, jeśli powstrzymamy się od spożywania mięsa.

Znowu spojrzął na wywar w misce, gęsto okraszony masłem.

Maureen podchwyciła spojrzenie Scarlett. Położyła paluszek na usta, a następnie, wymachując łyżką, dała jej do zrozumienia, że powinna się pospieszyć z jedzeniem.

Po dłuższej chwili także i Colum chwycił za łyżkę. Połykając soczyste ostrygi nie podnosił wzroku znad miski, a gdy skończył, podziękował półgębkiem. Szybko wstał od stołu i poszedł do domu Patrycji, gdzie mieszkał w jednym pokoju ze Stefanem.

Scarlett spojrzała na Maureen z ciekawością.

- Przeżyłaś ten głód?

Maureen kiwnęła głową.

- O, tak. Ojciec miał, *pub*, więc nie było z nami aż tak źle, jak z innymi. Ludzie zawsze zdołali wysupłać pensa na wypitkę, a to, co się zarobiło, wystarczyło na chleb i mleko. Biednym rolnikom wiodło się najgorzej. Boże, to było straszne.

Skrzyżowała ramiona i wzdrygnęła się, w oczach zalśniły jej łzy, a gdy usiłowała wydobyć z gardła słowa, głos jej się załamywał.

- Ci, którzy dzierżawili ziemię, mieli dla siebie tylko kartofle, bowiem to, co zdołali zarobić na zbożu, mleku i maśle, zaledwie wystarczyło na opłacenie dzierżawy. Zostawało im tylko trochę masła, nieco chudego mleka, parę kur, tak że od czasu do czasu, głównie w niedzielę, mogli sobie pozwolić zjeść jajko. Ale kiedy wygniły kartofle, to już nic im nie pozostało.

Umilkła, kołysząc się to w przód, to w tył. Usta jej drżały. Zaniósł się chrapliwym płaczem człowieka udręczonego wspomnianiem okrutnej przeszłości.

Scarlett podniosła się z krzesła, objęła Maureen ramionami.

Maureen wstrząsnęła kolejna fala płaczu.

- Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy, gdy nie ma nic do jedzenia.

Scarlett spojrzała na żar tłący się pod kuchnią.

- Wiem dobrze - szepnęła. Mocniej przytuliła Maureen i opowiedziała jej, jak to wracała do domu z płonącej Atlanty. W jej oczach nie błyszczały łzy, głos jej nie zadrżał, gdy mówiła o rozmiarach spustoszenia, o długich miesiącach twardej walki z głodem, której niemal nie przegrała. Gdy jednak dotarła do tego punktu opowieści, kiedy trzeba było powiedzieć o przybyciu do Tary, śmierci matki i ojca, który popadł w stan bliski

obłądu, głos jej się załamał.

Kiedy płakała, Maureen trzymała ją w ramionach.

Zdało się, że wystarczyła jedna noc, by drzewa dereniowe stanęły w kwiatach. Nagle, pewnego ranka, gdy Scarlett i Maureen wyszły rano przed dom, ich oczom ukazała się ulica cała w obłokach kwiecica.

- Czyż to nie piękny widok? - westchnęła rozmarzona Maureen. - Blask porannego słońca prześwituje przez kruche płatki kwiatów barwiąc je na różowo... Nim nadejdzie południe wybieleją, niczym łabędzie pióra. Do prawdy, wspaniale mieszka się w tym mieście, które szczepi piękno ku zachwyceniu wszystkich!

Wzięła głęboki oddech.

- Urządzimy sobie w parku piknik. Pooddychamy unoszącą się w powietrzu zielenią wiosny. Chodź, Scarlett, pospiesz się, trzeba zrobić wielkie zakupy. Dziś po południu ruszę z wypiekami, a jutro po mszy pójdziemy całą gromadą do parku.

Co to, czyżby sobota? Umysł Scarlett gorączkowo pracował, obliczał i porównywał obrazy niedalekiej przeszłości. Pomyśleć, że to już miesiąc mija od kiedy przyjechała do Savannah. Coś ścisnęło jej serce. Dlaczego Rett ciągle nie przybywa? Gdzie on się podziewa? Interesy w Bostonie nie mogły zatrzymać go na tak długo.

- ...Bostonu - dokończyła Maureen. Scarlett potknęła się. Chwyciła kuzynkę za ramię, odzyskała równowagę, zerknęła na nią podejrzliwie. Skąd to Maureen wie, że Rett jest w Bostonie? Skąd Maureen wie cokolwiek na jego temat? Pilnie się przecież wystrzeżała, by nie wspomnieć o nim choćby słowem.

- Co się stało, kochanie? Zwichnęłaś nogę?

- Co mówiłaś o Bostonie?

- O Bostonie?... Właśnie jedzie tam Stefan, dlatego nie będzie go z nami na pikniku. Na pewno drzewa jeszcze nie kwitną w Bostonie i Stefan wiele traci opuszczając Savannah o tej porze roku, ale za to zobaczy się z Tomaszem i jego rodziną, i przyniesie nam wieści od nich, co szczególnie ucieszy starego Jakuba. Pomyśl tylko... tylu braci rozsianych po całej Ameryce, a on ciągle o nich pamięta. Czyż to nie cudowne?

Scarlett szła w milczeniu. Było jej wstyd za samą siebie. Jak mogła dopuścić tę myśl? W Maureen miała oddaną przyjaciółkę, najbliższą spośród tych, jakie kiedykolwiek udało się jej pozyskać. Maureen w ogóle nie przyszłoby do głowy, by mnie szpiegować - myślała pełna skruchy. Maureen jest zbyt delikatna, by wtrącać się w moje życie. To chyba stąd się biorą te nedorzeczne myśli, że tak dużo czasu już minęło, a ja nawet nie zauważyłam tego. Chyba dlatego jestem taka nerwowa, chyba dlatego dręczą mnie złe myśli. Tak dużo czasu już minęło, a Retta ciągle nie ma w domu.

Mruknęła coś pod nosem - coś, co miało znaczyć, że w pełni podziela poglądy Maureen co do rodzaju prowiantu stosownego na piknik - podczas gdy jej umysł kulił się, zarzucany gradem pytań, niczym spłoszone ptaki zamknięte w klatce. Czyżby popełniła błąd nie wracając z ciotkami do Charlestonu? A może źle zrobiła opuszczając Charleston?

Te rozmyślenia przywiodą mnie w końcu do szaleństwa. Muszę natychmiast przestać o tym myśleć, w przeciwnym razie zacznę wyć!

Ale pytania ciągle ją opadały, coraz to inne.

Może powinna porozmawiać o tym z Maureen? Nie dość, że umiała podnosić na duchu, to jeszcze w pewnych sprawach dawała dowody zadziwiającej mądrości. Powinna to zrozumieć. Może potrafi pomóc.

Nie, porozmawiam z Columem! Jutro na pikniku będziemy mieć dużo czasu. Powiem mu, że chcę z nim mówić na osobności i zaproszę go na spacer. Colum na pewno będzie wiedział, co trzeba robić. W pewnym sensie jest podobny do Retta. Jak on jest sam w sobie obrazem skończonej doskonałości, a ktokolwiek stanąłby obok niego, zda się prawie zupełnie bez znaczenia. To tak, jak z mężczyznami w ogóle: pod pewnym względem nigdy nie wyrastają z chłopięctwa. Tak samo z Rettem - otoczony tłumem, zda się jedynym człowiekiem w pokoju. Colum sprawia, że rzeczy stają się, tak jak Rett. A gdy stanie się to, co miało się stać, wybucha śmiechem - jak Rett.

Scarlett uśmiechnęła się do własnych wspomnień o Columie, opowiadającym o ojcu Polly. „O tak, możny i śmiały z niego pan, wielki budowniczy Macmahon. Łapy niczym młoty kowalskie, omal nie rozerwą w szwach cennego płaszcza, niewątpliwie kupionego przez Mrs. Macmahon, by harmonizował z obiciami mebli w salonie, bo inaczej po cóżby fundować sobie coś tak pluszowego? Pobożny też z niego człowiek, a jakże, ze szczególnym upodobaniem w radości, która ozłaca duszę jego, gdy pomyśli, że wznosi Panu Bogu dom, tu, w Savannah, w Ameryce. Owszem, ja, niegodny sługa Pański pobłogosławiłem go i rzekłem: „Na Boga, Macmahon, masz gębę dobrego katolika. Założę się, że nie ciągniesz z parafii więcej niż czterdzieści procent dochodów”. A wtedy oczy jego rozbłysły, a mięśnie zadrżały mu, a szyte jedwabiem rękawy pluszowego płaszcza zaczęły lekko trzeszczeć. »Jasne, wszyscy inni, widząc, że biskup nie jest Irlandczykiem, wzięliby pięćdziesiąt procent«. Po czym nasz dobry i wielki Budowniczy całemu światu udowodnił, jak bardzo jest zaangażowany w to, co robi. - »Gross! « - ryknął, omal szyby nie wyleciały z okien. »Czy to katolickie nazwisko?« Po czym opowiedział mi co nieco o niegodziwościach biskupa, lecz sutanna

wzbrania mi wierzyć w te herezje. Wszak podzieliłem z nim jego smutek, i wypilem szklaneczkę, może dwie, a następnie zwierzyłem się mu z kłopotów, które dręczą moją biedną kuzyneczkę. Poczciwa dusza, szczerym gniewem zapalała, powiadam wam. Robiłem co mogłem, by powstrzymać go od zgruchotania wież jego własnymi rękoma. Sądzę, że nie ogłosi strajku generalnego, ale nie jestem tego pewien. Natomiast, jak sam mi powiedział, przy pierwszej sposobności da do zrozumienia biskupowi, co myśli na temat jego obojętności wobec sprawy Scarlett i to w terminach, których ów znerwicowany człowieczek na pewno nie będzie w stanie pojąć. Będzie jednak powtarzał to tak długo, aż przekona go co do wagi problemu”.

- Dlaczego uśmiechasz się do kapusty? - podejrzliwie spytała Maureen.

Scarlett odwróciła twarz od straganu z kapustą i, dla odmiany, uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Bo jestem szczęśliwa, że nadeszła wiosna i że pójdziemy na piknik.

I że wróci do Tary. Tego była pewna.

* * *

Scarlett nie miała jeszcze okazji obejrzeć Parku Forsytha. Co prawda Hodgson Hall leżał przy tej samej ulicy, lecz gdy brała udział w pamiętnej uroczystości zbyt było ciemno, by mogła cokolwiek dostrzec. Nieświadoma zatem tego, co ujrzy, gdy znalazła się na miejscu, z zachwyty zabrakło jej tchu w piersiach. Wejścia strzegły dwa kamienne sfinksy. Dzieci spojrzały z ciekawością na bestie, lecz ponieważ wspinaczki były surowo wzbronione, rzuciły się biegiem główną aleją, rozwijając pełną szybkość. Później zaczęły biegać dookoła Scarlett, która zatrzymała się, spoglądając przed siebie.

Fontanna znajdowała się o dwie kwatery dalej, lecz tak była wielka, że sprawiała wrażenie jakby stała tuż obok. Łuki i bicze wtedy to podnosiły się, to opadały, kropelki, jak żywe diamenty tryskały ze wszystkich stron. Scarlett stała oczarowana, niezdolna otworzyć usta - nigdy w życiu nie widziała czegoś równie widowiskowego.

- Podejdź bliżej - zachęcał Kuba. - Z bliska wygląda jeszcze ładniej.

Rzeczywiście. Światło słoneczne rozszczepiało się w tańczących kropelkach wody, siejąc tęczowe blaski. Wodne kryształki błyskały, znikaly, by za chwilę ponownie się ukazać. Pobielone wapnem pnie drzew dwoma szpalerami wiodące ku oślepiającej białości marmurowemu wodotryskowi, lśniły bielą w cętkowanym błyskami słońca cieniu listowia. Kiedy w końcu dotarła do metalowej barierki obiegającej podstawę fontanny, musiała tak głęboko odchylić głowę, by dostrzec nimfę na szczycie postumentu, że omal się nie przewróciła. Nimfa - był to posąg przewyższający

wysokością człowieka, z rękoma uniesionymi do góry, w dłoni trzymała laskę, z której ku błękitnemu niebu bił słupek wody.

- Chciałabym być trytonem - rzekła Maureen. - Wygląda mi na to, że dobrze się bawią.

Scarlett spojrzała w kierunku wskazanym przez kuzynkę. Brązowe trytony klęczały na podwiniętych w węzowych splotach, eleganckich ogonach, jedną rękę trzymając na biodrze, drugą przyciskając róg do ust.

Pod upatrzonym przez Maureen dębem mężczyźni rozciągnęli pledy, kobiety ustawiły kosze. Maria Katarzyna położyła najmłodszą dziewczynkę Patrycji i chłopczyka Kasieńki na trawę, żeby sobie porazkowały. Inne dzieci biegały i podskakiwały, bawiąc się wedle własnego upodobania.

- Wreszcie mogę dać nogom odpoczynek - westchnęła Patrycja. Bill pomógł jej usiąść. Oparła się plecami o drzewo.

- Idź już sobie - spojrzała na męża z ukosa. - Nie musisz spędzać całego dnia u boku żony.

Pocałował ją w policzek, rozpiął rzemienie harmonii, którą przydzwigał na plecach, odstawił instrument na ziemię.

- Zagram ci później coś miłego - zawołał, po czym ruszył spacerkiem w stronę grupy mężczyzn, grających w baseballa.

- Idź mu trochę podokuczać, Mateuszu - zaproponowała mężowi Kasieńka.

- Tak, idźcie sobie wszyscy - dodała Maureen. Wykonała przy tym taki ruch, jakby chciała przepłoszyć ptactwo. Kuba i jego wszyscy synowie rzucili się do biegu. Colum z Geraldem pomaszrowali za nimi.

- Kiedy wrócą, będą głodni jak wilki - mruknęła Maureen, nie bez przyjemności. - Dobrze, że wzięliśmy jedzenia jak dla armii.

Rzeczywiście, całe góry - początkowo zdziwiła się Scarlett. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że te masy prowiantu znikną najpewniej w ciągu godziny. Tak to już bywa w dużych rodzinach. Spojrzała prawdziwie tkliwie na kuzynki, wiedziała, że z uczuciem nie mniejszym spojrzy na ich mężów, synów i braci, gdy powrócą z paltami na ramionach, kapeluszami w dłoni, z rozpiętymi kołnierzykami, podwinąwszy rękawy. Odłożyła na bok całą swą dumę - nawet nie zauważyła, jak ją zupełnie odbiegła. Już nie pamiętała nawet swego zażenowania, gdy dowiedziała się, że jej powinowaci byli w Irlandii parobkami w wielkich majątkach. Mateusz był cieślą, Gerald pracował u niego w warsztacie, reperując dziesiątki domów i mile ogrodzenia. Kasieńka była mleczarką,

Patrycja pokojówką. I co z tego? Scarlett cieszyła się, będąc jedną z nich.

Uklękła obok Maureen, żeby jej pomóc.

- Mam nadzieję, że chłopcy nie zabawią długo - mruknęła. - Na świeżym powietrzu zdążyłam już zgłodnieć.

* * *

Gdy już zostały tylko dwa kawałki ciasta oraz jedno jabłko, Maureen zaczęła grzać wodę na maszynkę spirytusowej. Billy Carmody wziął harmonię, kiwnął w stronę Patrycji.

- Co to ma być?... Przecież obiecałem ci zagrać melodię. Wybieraj.

- Sza, jeszcze nie teraz - szepnęła Kasieńka. - Maleństwa już prawie śpią.

Pięcioro najmniejszych dzieci leżało na derce w najbardziej zacienionym miejscu. Billy zaczął więc gwizdać cichutko, bardzo miękko, a po chwili podchwycił melodię na harmonii, zaledwie jednak markował grę. Patrycja spojrzała i uśmiechnęła się doń czule. Odgarnęła Tomaszкови włosy z czoła, a potem zaczęła śpiewać kołysankę, tę, którą grał Billy.

*Na skrzydłach wiatru nad ciemnymi morzami
zbiegają aniołowie, by czuwać nad twym snem
zbiegają aniołowie wziąć w opiekę cię.
Słuchaj więc wiatru, jak bije wśród fal
słuchaj więc wiatru, co miłość niesie ci,
ułoż już główkę, słysz, jak duży wiatr
jak łódki gnają po błękicie.
Jak łódki gnają wzbudzając wśród fal
srebrne rozbłyski, co jak rybie łuski
jak srebro dla mnie, jak srebro dla ciebie
słuchaj więc wiatru, co miłość niesie ci,
ułoż już główkę, słysz, jak duży wiatr.*

Skończyła. Przez moment trwała cisza. Potem Tomaszek otworzył oczy.

- Jeszcze raz - szepnął zaspanym głosem.

- O, tak, panienko. Prosimy jeszcze raz.

Wszyscy podnieśli głowy, a kiedy się rozejrzeli, dostrzegli młodego mężczyznę, który stał w pobliżu. W brudnych, prostackich rękach trzymał postrzępiony beret, na

grzbiecie miał mocno połatany surdut. Po twarzy sądząc, dwudziestolatek, chociaż zarost miał ciemny i gęsty.

- Proszę o wybaczenie, panie i panowie - rzekł z najszczerzą powagą w głosie. - Wiem, że zbyt niemiłosiernie się pokazywać tak na waszym przyjęciu i tak dalej, ale tę samą kołysankę śpiewała mi matka... mi i mojej siostrze. Dlatego, kiedy ją usłyszałem, serce pchnęło mnie tutaj.

- Siadaj, chwacie - ośmieliła go Maureen. - Mamy jeszcze ciasto, którego nikt nie kwapi się zjeść, a w koszyku jest jeszcze trochę chleba i wspaniałe ser. Jak się nazywasz i skąd pochodzisz?

- Danny Murray, łaskawa pani.

Zarzucił czarne, pozlepiane włosy nad czoło, wytarł dłoń w rękaw i wyciągnął rękę po chleb, który Maureen właśnie wyjęła z koszyka.

- Mieszkam w Connemara, o ile akurat nie ma mnie, gdzie indziej.

Ugryzł ogromny kęs chleba.

Bill zaczął grać. Chłopak odjął chleb od ust.

- *Na skrzydłach wiatru...* - zanuciła Kasieńka. Chłopak, choć głodny, przełknął, co miał w ustach i połączył się z nią w śpiewie.

- *...słuchaj, jak wieje wiatr* - zakończyli, prześpiewawszy całą kołysankę równo trzy razy. Ciemne oczy chłopca lśniły niczym czarne klejnoty.

- A teraz jedz - rozkazała Maureen chrapliwym, nabrzmiałym uczuciem głosem. - Jedz, bo siły będą ci potrzebne. Zaraz zaparzę herbaty, później chciałabym jeszcze trochę posłuchać, jak śpiewasz. Masz głos jak anioł. To prawdziwy dar niebios.

I miała rację. Irlandzki tenor chłopca był tak czysty, jak brzmienie głosu Geralda.

Cała rodzina O'Harów zajęła się nalewaniem herbaty, tak że głodny Danny mógł jeść nieskrępowany.

- Myślę, że spodoba się wam nowa piosenka, którą poznałem, powiedział, gdy Maureen podała mu herbatę. - Jestem ze statku. Zanim przy płynęliśmy tutaj, mieliśmy postój w Filadelfii. Zaśpiewać?

- Jaki ma tytuł? - zapytał Billy. - Może i ja ją znam.

- *Zabiorę cię do domu.*

Billy potrząsnął głową.

- Chętnie się od ciebie nauczę.

Danny Murray uśmiechnął się łobuzersko.

- Chętnie udzielę ci lekcji.

Odgarnął z twarzy włosy, wziął głęboki oddech. Po czym otworzył usta i popłynęła melodia - jasna i mocna niczym srebrna nić.

*Zabiorę cię do domu, Kasiu
przez ocean szeroki i dziki
tam, gdzie zawsze było twe serce
od dnia, gdy narzeczoną, miła ma, zostałaś.
Róże policzki opuściły twe
patrzyłem - odpadają i giną,
głos twój smutny, gdy mówisz
lzy zaciemniają kochane oczy twe.
I zabiorę cię z powrotem, Katarzyno,
tam, gdzie serce nie zna bólu.
Gdzie pagórki świeże są zielenią
i zabiorę cię do domu, Kasiu.*

Scarlett biła brawo równie entuzjastycznie, jak inni - piękna pieśń.

- To było tak wspaniałe, że aż zapomniałem, że mam się uczyć - stwierdził ponuro Billy. - Zaśpiewaj jeszcze raz, Danny, żebym podchwycił melodię.

- Nie! - Kasia O'Hara zerwała się na równe nogi. Nawet w cieniu widać było, że twarz ma mokrą od łez. - Nie mogę tego słuchać po raz drugi. Po prostu nie mogę!

Pięstkami otarła łzy.

- Przepraszam - rzekła stłumionym łkaniem głosem. - Przepraszam, lecz muszę odejść.

Ostrożnie przeszła między śpiącymi na ziemi dziećmi, po czym pobiegła gdzieś aleją.

- Strasznie mi przykro - zaniepokoił się chłopak.

- Szs... - Colum położył palec na usta. - To nie twoja wina. A słuchać, jak śpiewasz, to prawdziwa rozkosz dla uszu. Ta biedna dziewczyna usychająca z tęsknoty za Irlandią jest przedstawiona bardzo wiernie w swym charakterze, a że przez przypadek też ma na imię Kasia... zdarza się. Powiedz, znasz może *Obóz pod Kildare*? To specjalność Billa... jego i tej harmonii. Rzadka byłaby to przyjemność móc słyszeć was razem.

Muzykowanie trwało aż do chwili, gdy słońce skryło się za drzewami i zaczął wiać chłodniejszy wiatr. Wtedy wrócili do domu. Danny Murray nie mógł przyjąć

zaproszenia na kolację, choć Kuba bardzo nastawał. Przed zapadnięciem zmroku musiał zameldować się na pokładzie statku.

* * *

- Kuba, myślę, że wracając powinienem zabrać ze sobą Kasię - powiedział Colum. - Jest już w Ameryce wystarczająco długo, by ukoić tęsknotę za domem, a mimo to serce ciągle jej krwawi. Scarlett omal nie wylała sobie wrzącej wody na rękę zamiast do dzbanka na herbatę.

- Gdzie się wybierasz, Colum?

- Wracam do Irlandii, kochanie. Jestem tu tylko z wizytą.

- Ale przecież biskup nie zmienił jeszcze decyzji co do Tary! No i jeszcze chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

- Dobrze. Nie odjeżdżam w tej chwili, moja droga. Na wszystko wystarczy nam czasu. A co podpowiada ci twoje kobiece serce? Powinna Kasia wrócić do Irlandii, czy raczej zostawić ją tutaj?

- Nie wiem, zapytaj Maureen. Ona się nią zajmuje.

Cóż to ma za znaczenie, co zrobi Kasia? Niech Colum się o nią martwi. Jak on może tak po prostu ruszyć w drogę, odpłynąć, podczas gdy ona ciągle potrzebuje jego pomocy? Och, dlaczego siedziałam tam wtedy z tym brudasem? Dlaczego podśpiewywałam, zamiast wziąć Columa na rozmowę na osobności, na spacer, jak planowałam?

Scarlett zaledwie skubnęła kanapkę z serem, zaledwie łyknęła łyżkę kartoflanki, które podano na kolację. Czowała się bliska płaczu.

- Uff - westchnęła Maureen, gdy doprowadzono kuchnię do ładu. - Dziś wieczorem wcześniej idę do łóżka. Trzeba dać odpocząć starym kościom. Od tego siedzenia na ziemi krzyże mi zeszywniały, jakbym cały dzień była u oraczki. Wam też radzę zrobić to samo, Mario Katarzyno i Heleno. Jutro musicie iść do szkoły.

Scarlett też czuła jakąś sztywność stawów. Przeciągnęła się przed kuchnią.

- Dobranoc - westchnęła.

- Poczekaj chwilkę - zatrzymał ją Colum. - Dotrzymaj mi towarzystwa, aż skończę fajkę. Kuba tak strasznie ziewa, że chyba też zaraz wyjdzie i zostanie sam.

Scarlett zajęła miejsce przy stole, naprzeciwko.

Kuba, idąc w stronę schodów, pogładził ją po głowie.

Colum pykał fajeczkę. Dym miał smak słodko - kwaśny.

- Węgłe żarzą się pod kuchnią - mruknął po chwili. - Trudno wymarzyć sobie lepszy

nastrój do rozmowy... Powiedz, Scarlett, co ci leży na sercu? Co cię trapi?

Westchnęła ciężko.

- Nie wiem, jak się zachować wobec Retta. Obawiam się, że mogłabym wszystko zniszczyć.

W kuchni było ciepło, tylko czerwony blask węgla mdławo rozświetlał półmrok... tak, w tej scenerii mogła otworzyć swe serce. Colum, jako ksiądz, zachowa dla siebie wszystko, cokolwiek usłyszy - taką miała niejasną nadzieję. To tak jak spowiedź w ciasnym, pogrążonym w półmroku wnętrzu konfesjonału.

Zaczęła od początku, wyjawiając całą prawdę o tym małżeństwie.

- Nie kochałam go, a w każdym razie nie wiedziałam, czy go Kocham. Byłam zakochana w kimś innym. A potem, gdy nabrałam pewności, że właśnie Retta Kocham, on już nie kochał mnie. Tak on przynajmniej twierdzi. Ale nie wierzę, że mówi prawdę. To niemożliwe.

- Rzucił cię?

- Tak. Ale potem ja rzuciłam jego. Zastanawiam się, czy to nie było nieporozumienie.

- Mów wszystko po kolei...

Z cierpliwością - zda się nieskończoną - Colum starał się rozwikłać zawile sploty opowieści Scarlett. Było grubo po północy, gdy wystukał dawno już wygasłą fajkę i schował ją do kieszeni.

- Zrobiłaś to, co do ciebie należało, moje dziecko - powiedział, gdy umilkła. - Ponieważ zapinamy kołnierzyki od tyłu, niektórym zdaje się, że księża nie są mężczyznami. Ci tkwią w błędzie. Dobrze rozumiem twój męża. A nawet mam dla niego współczucie, głębokie współczucie. To, co go dręczy, dotyka go głębiej i przysparza mu większych cierpień niż tobie, droga Scarlett. Walczy z samym sobą, a dla mężczyzny takiego, jak on, to ogromny wysiłek. Kiedyś jednak zjawi się, by cię odnaleźć, zaś gdy przybędzie, musisz być dlań wyrozumiała, albowiem będzie osłabiony niczym żołnierz, który odnosi rany w bitwie.

- Ale kiedy to się stanie?

- Nie mogę ci tego powiedzieć, choć wiem. W każdym razie to on musi cię szukać, nie ty jego. Musi walczyć sam z sobą, samotnie, aż zrozumie, że jesteś mu potrzebna i uzna, że dobrze mu być z tobą.

- Jesteś pewny, że wróci?

- Tak, A teraz idę do łóżka. Co i tobie radzę.

* * *

Scarlett przyłożyła głowę do poduszki. Było jej wygodnie. Usiłowała walczyć z ociążalnością powiek. Chciała rozciągnąć w czasie tę chwilę, chciała możliwie jak najdłużej cieszyć się radością, którą dała jej pewność Columa. Rett wróci - może nie tak prędko, jak sobie tego życzyła - ale dość ma cierpliwości, by czekać.

45.

Scarlett nie była zachwycona, gdy Kasia obudziła ją z samego rana. Po długiej rozmowie z Columem chętnie zostałyby w łóżku jeszcze trochę.

- Przyniosłam herbatę - szepnęła Kasia. - Maureen pyta, czy pójdziesz z nią na targ.

Scarlett przycisnęła głowę do poduszki, zamknęła oczy.

- Nie. Chyba jeszcze sobie pośpię.

Czuła, że Kasia ma jej jeszcze coś do powiedzenia, ale się waha. Czemu ta głupia dziewczyna nie pójdzie sobie stąd i nie zostawi jej wreszcie w spokoju?

- Chcesz jeszcze czegoś, Kasiu?

- Wybacz, kuzynko Scarlett, że zapytam, czy nie zechciałabyś się ubrać? Jeśli nie idziesz z Maureen na targ, będę musiała cię zastąpić, a nie wiem, kiedy wrócę.

- Maria Katarzyna może mi pomóc przy toalecie - niewyraźnie mruknęła Scarlett z twarzą w poduszce.

- O, nie. To niemożliwe. Maria Katarzyna od dawna jest już w szkole. Na zegarku mamy prawie dziesiątą.

Scarlett z wysiłkiem podniosła powieki. Czuła się tak, jakby mogła przespać wieczność.

- Dobrze - westchnęła. - Wyjmuj moje rzeczy. Założę czerwoną suknię i niebieski szal.

- Och, bardzo ci w tym do twarzy, kuzynko! - zawołała uszczęśliwiona Kasia. Powtarzała tę samą formułkę zupełnie niezależnie od tego, co postanowiła założyć na siebie Scarlett, albowiem w jej oczach była najelegantszą i najpiękniejszą kobietą na świecie.

Scarlett popijała herbatę, podczas gdy Kasia układała jej włosy w podwójny, podobny do ósemki kok upięty na karku. Wyglądam jak ofiara katastrofy - myślała, spoglądając na siebie w lustrze. Pod oczami sińce. Może lepiej założyć różową suknię, stosowniejszą do karnacji... no tak, ale wtedy Kasia będzie musiała po raz drugi wiązać sznurówkę, różowa jest węższa w talii, a drobiazgowość tej dziewczyny przyprawia mnie o szaleństwo.

- Tak dobrze - powiedziała, gdy Kasia wpięła we włosy ostatnią szpilkę. - Możesz odejść.

- Mam podać jeszcze jedną filiżankę herbaty?

- Nie, odejdz.

Tak naprawdę to mam ochotę napić się kawy - pomyślała Scarlett. Może jednak

powinam pójść na targ?... Nie, zbytnio jestem zmęczona, by chodzić od straganu do straganu, oglądając byle drobiazg. Zanim więc zeszła na dół do kuchni, by wygrzebać coś na śniadanie, przypudrowała cienie pod oczami i zrobiła do siebie minę.

- A to ci dopiero! - zawołała, gdy ujrzała, że w kuchni siedzi Colum i czyta gazetę. Myślała, że nikogo nie ma w domu.

- Przyszedłem prosić cię, byś wyświadczyła mi uprzejmość - powiedział.

Okazało się, że musi kupić prezenty dla krewnych w Irlandii, a wobec tego kobieca rada bardzo by mu się przydała.

- Z paniami i panami sam sobie poradzę, ale panny to dla mnie wielka niewiadoma. Pomyślałem sobie: bracie, kto jak kto, lecz Scarlett wie na pewno, jaki jest ostatni krzyk mody w Ameryce.

Roześmiała się, widząc zakłopotanie na jego twarzy.

- Chętnie ci pomogę, ale pod warunkiem, że odwdzięczysz mi się... filiżanką kawy i słodkim rogalikiem w cukierni przy Broughton Street.

Całe zmęczenie minęło jak ręką odjął.

* * *

- Nie mam pojęcia, po co prosiłeś mnie, bym ci towarzyszyła! Przecież nic z tego, co ci poleciłam, nie znalazło w twych oczach uznania.

Zirytowana Scarlett potoczyła spojrzeniem po stosach rękawiczek z kozłej skóry, obszywanych koronkami chusteczek, ozdobnych jedwabnych pończoch, obszywanych perełkami torebek, malowanych wachlarzy, kuponów jedwabiu, aksamitu i satyny. Subiekt najlepszego sklepu tekstylnego w całym Savannah rozłożył przed nimi wszystko, co miał najlepszego, a Colum ciągle potrząsał głową, że nie.

- Przepraszam, że sprawiłem panom tyle kłopotu - rzekł do subiektów, którzy stali z kwaśnymi uśmiechami na twarzach.

- Ciebie też przepraszam, droga kuzynko. Obawiam się, że nie dość jasno się wysłowiłem, czego oczekuję. Pójdźmy stąd. Najpierw spłacę dług, który zaciągnąłem wobec ciebie, a potem spróbujemy raz jeszcze. Filiżanka kawy istotnie przyda się nam obojgu.

O, filiżanka kawy to za mało, by zapomnieć o tej idiotycznej wyprawie! Scarlett ostentacyjnie nie przyjęła ramienia. Dumnie wyprostowana, szybkim krokiem opuściła sklep.

Humor jej się poprawił, gdy Colum zaproponował, by wstąpić na kawę do *Hotelu Pulaskiego*. Ogromna budowla imponowała wytwornością. Scarlett nigdy jeszcze tu nie

była. Gdy usiedli na obitej aksamitem kanapie w jednej z wielu sal zdobnych w marmurowe kolumny, potoczyła wzrokiem z zadowoleniem.

- Bardzo tu miło - rzekła, kiedy kelner w białych rękawiczkach postawił na marmurowym stoliku srebrną tacę zastawioną serwisem.

- Z całą swą elegancją wyglądasz tutaj jakbyś znalazła się we właściwym sobie świecie, wśród tych marmurów i palm - zauważył Colum, łagodnie uśmiechnięty. - Oto dlaczego nasze drogi zeszyły się tutaj, a nie gdzie indziej.

Po czym wyjaśnił, że Irlandczycy żyją nad wyraz skromnie - skromniej, niż przypuszczała Scarlett. A nawet skromniej niż - być może - jest w stanie sobie wyobrazić. Żyją w większości na wsi, na farmach, z dala od miast, w osadach, gdzie jest kościół, kowal i szynk - w tym ostatnim raz na parę dni zatrzymuje się dyliżans pocztowy. Jedyne sklepy mieści się na ogół gdzieś kątem w oberży, gdzie możesz wysłać listy, kupić tytoń i parę najprostszych artykułów żywnościowych. Co jakiś czas zdarza się, że przyjadą wędrowni kupcy sprzedający wstążki, świecidełka i żurnale mód. Jedyną rozrywką jest pójść w gości do sąsiadów.

- To tak jak na plantacji - ucieszyła się Scarlett. - Cóż, Tara leży o pięć mil drogi od Jonesboro, ale jak już się wybierzesz do miasteczka, to i tak nie znajdziesz tam niczego więcej prócz dworca i marnego sklepiku z jedzeniem.

- O, nie, Scarlett - żywo zaprzeczył Colum. - Na plantacjach można spotkać całkiem wystawne, murowane domy, małe pałace. W Irlandii farmerzy mieszkają w zwykłych, pobielonych wapnem chatach.

- Nie wiesz, co mówisz, Columie O'Haro! Dwanaście Dębów Wilkesów był w swoim czasie jedynym dworcem w całym Powiecie Clayton. Ludzie w większości zaczęli od kuchni i paru pokojów. Dopiero potem dom się rozrastał w miarę potrzeb.

Colum uśmiechnął się, przyznał jej rację. Niemniej jednak - powiedział - podarunki dla rodziny nie mogą być zbyt wielkomięjskie w charakterze. Dziewczynkom lepiej kupić kupon bawełny niż aksamitu, a gdyby im zawiózł ręcznie malowany wachlarz, nie miałyby pojęcia, co z tym zrobić.

Scarlett zdecydowanym ruchem odstawiła filiżankę na spodek. Szczęknęła porcelana.

- Perkal! - zawołała. - Założę się, że perkal przypadnie im do gustu. Pięknie drukowany, kolorowy, nadaje się na śliczne sukienki. U nas w domu nosiło się na co dzień rzeczy z perkalu.

- I buty - dodał Colum. Po czym wyjął z kieszeni plik kartek i rozłożył je. - Mam tu

imiona i rozmiary.

Scarlett, widząc wielkość tej listy, roześmiała się.

- Już one wiedziały, co robią, wysyłając cię do Ameryki - mruknęła pod nosem.

- Coś mówiłaś?

- Nic ważnego. Takie amerykańskie powiedzonko przyszło mi na myśl.

Cały Powiat Meath, każde dziecko i wszystkie kobiety wpisały się na tę listę - pomyślała. To dokładnie tak samo jak z ciotką Eulalią i jej wiecznym: „Kochanie, skoro już idziesz na zakupy, może weźmiesz przy okazji także coś dla mnie?” Po czym później okazywało się, że w nawale spraw ciotka zawsze zapomniała zapłacić. Scarlett była przekonana, że irlandzcy przyjaciele Columa mają równie krótką pamięć.

- Powiedz mi coś jeszcze o Irlandii - poprosiła. W dzbanku zostało dużo kawy.

- Cóż... to wyspa wyjątkowej urody - zaczął miękkim głosem Colum. Po czym ciągnął opowieść o zielonych wzgórzach zwieńczonych białymi zębami zamków, o szemrzących strumieniach pełnych ryb, obrośniętych kwiatami, o wędrownkach wśród wonnych krzewów w czas dżdżu i mgły, o muzyce, którą słycać wokół, o niebie wysokim i rozległym - wyższym i rozleglejszym niż gdziekolwiek indziej - o słońcu łagodnym i ciepłym jak pocałunek matki...

- Mówisz tak, jakbyś tęsknił za krajem niemniej niż Kasia.

Colum roześmiał się.

- Racja, nie zapłacę, gdy statek odbije od amerykańskiego brzegu. Trudno byłoby znaleźć kogoś, kto bardziej ode mnie podziwiałby Amerykę, zawsze się cieszę na każdą wizytę tutaj, ale nie uronię łzy, gdy statek skieruje się ku Irlandii.

- Za to ja chyba tak. Nie wiem, co pocznę bez Kasi.

- Nie musicie się rozstawać. Możesz popłynąć z nami, obejrzeć ziemię ojców...

- Nie mogę.

- Pomyśl, to mogłaby być wielka przygoda. Irlandia jest piękna o każdej porze roku, ale na wiosnę uroki tej ziemi każdemu kruszą serce.

- Tylko nie to. Nie chcę kruszyć sobie serca. Za to potrzeba mi pokojówki.

- Poślę ci Brygidkę, już od dawna tęskni za Ameryką. Moim zdaniem to ona, nie Kasia, powinna była tu przypląć, lecz koniecznie chcieliśmy wyprawić Kasię.

Scarlett zwietrzyła plotkę.

- Dlaczego chcieliście się pozbyć tego słodkiego dziecka?

Colum uśmiechnął się przebiegle.

- Kobiety i ich pytania - westchnął. - Jesteście jak brzegi oceanu. Ale gdy chodzi o

Kasię: nie podobał się nam człowiek, który pragnął zaręczyć się z nią. Żołnierz, a w dodatku poganin.

- Protestant, chciałeś powiedzieć. Kochała go?

- Mundur zawrócił jej w głowie, ot i wszystko.

- Biedaczka. Mam nadzieję, że zakochany będzie na nią czekał.

- Dzięki Bogu, jego oddział wrócił do Anglii. Już nie będzie jej dłużej dręczył.

Colum spochmurniał, rysy jego twarzy nabrały granitowej twardości. Scarlett ugryzła się w język.

- I co tam z listą sprawunków? - zapytała, choć nie to chciała wiedzieć. - Lepiej wracajmy do zakupów. Wiesz co, Kuba ma w swoim sklepie wszystko, czego ci potrzeba. Dlaczego nie pójdziemy do niego.

- Nie chciałbym nadużywać jego dobroci. Gdybym tam się pojawił, czułby się w obowiązku opuścić ceny.

- Wiesz co, Colum, do interesów to ty masz pchli mózdzek. Nawet jeśli specjalnie dla ciebie obniży ceny, jego obroty wzrosną tak, że następnym razem dostanie u hurtowników większe upusty.

Roześmiała się, widząc zdumienie na jego twarzy.

- Wiem, co mówię. Sama prowadzę sklep. Pozwól, że ci wyjaśnię...

Całą drogę mówiła jak najęta. Colum był zafascynowany, pozostawał pod silnym wrażeniem tego, co słyszy, stawiał pytanie za pytaniem.

- Colum! - zagrzmiał Kuba, zaledwie otworzyli drzwi. - Właśnie mówiliśmy, że dobrze by było, gdybyś się tu pojawił. Wuju, właśnie przyszedł.

Stary Jakub wyszedł z magazynu z naręczem tkanin.

- Jakby niebo cię nam zesłało - westchnął. - Który z kolorów jest najlepszy?

Rzucił kupony na ladę. Wszystkie próbki tkanin były zielone, lecz cztery w ciemniejszej tonacji.

- Ten jest najładniejszy - powiedziała Scarlett.

Kuba i wuj poprosili Columa, by zechciał dokonać wyboru.

Scarlett poczuła się urażona. Czyż nie powiedziała przed chwilą, który z kuponów wygląda najlepiej? Co tam się na tym znajdują jacyś mężczyźni, nawet Colum?

- Gdzie chcesz to powiesić? - pytał właśnie Colum.

- Nad oknem na zewnątrz i w środku.

- W takim razie zobaczymy, jak to wygląda w świetle dziennym.

Ma taką poważną minę, jakby wybierał kolor banknotów, zanim je zacznie

drukować - pomyślała ze złością Scarlett. Po co w ogóle cały ten kram?

Kuba dostrzegł jej kwaśną minę.

- Scarlett, kochanie, to wszystko na dekorację na dzień świętego Patryka. Colum jest tutaj jedynym człowiekiem, zdolnym określić, który z tych odcieni zieleni najbardziej przypomina zielen koniczyny. Wuj Jakub i ja już zdążyliśmy o tym zapomnieć.

Cała rodzina opowiadała o dniu świętego Patryka, i to od chwili, gdy spotkała ich po raz pierwszy.

- Kiedy to wypada? - spytała raczej z uprzejmości niż zainteresowania.

Trzech mężczyzn umilkło. Wbili w nią wzrok.

- Jak to, nie wiesz? - zapytał z niedowierzaniem Jakub.

- Gdybym wiedziała, po co miałabym pytać?

- To jutro! - zawołał Kuba. - Jutro! I powiadam ci, Scarlett kochanie, że zbliżają się najświetniejsze chwile twego życia.

* * *

Irlandzka kolonia w Savannah - jak Irlandczycy w całym świecie - zawsze uroczysto obchodzili siedemnasty marca. Był to dzień świętego patrona Irlandii, dzień uroczysty tak wedle kościelnego kalendarza, jak świeckiego. Choć był to Post, w dzień świętego Patryka jeść można było do woli - jeść, pić, grać i tańczyć. Szkoły katolickie zamykano, ustawał ruch w katolickich sklepach, bankach i warsztatach, tak że jedynie bary pozostawały otwarte, oczekując w tym największego obrotu.

Od najdawniejszych czasów w Savannah mieszkali Irlandczycy. Jasper Greens I walczył jeszcze w rewolucji amerykańskiej. Dzień świętego Patryka obchodzono z wielką podniosłością rokrocznie. Ale od czasu, gdy niebieskie kurtki zwyciężyły Południe, całe miasto włączało się do obchodów, święcąc siedemnastego marca Festiwal Wiosny. Tego dnia na krótki czas wszyscy w Savannah czuli się Irlandczykami.

Na każdym placu stały udekorowane stragany, gdzie sprzedawano jedzenie, lemoniadę, wino, kawę i piwo. Żonglerzy i właściciele tresowanych psów gromadzili na rogach ulic tłumy ciekawskich. Na stopniach ratusza grali skrzypkowie, całe małe miasto pękało z dumy. Zielone wstążki powiewały na gałęziach kwitnących drzew, przedsiębiorczy ludzie sprzedawali z obnośnych pudeł listki koniczyny wykonane z papieru lub jedwabiu, kobiety i dzieci przechodziły od placu do placu. Broughton Street była wprost zawieszona zielonymi tkaninami powiewającymi w oknach sklepowych, od latarni do latarni ciągnęły się girlandy żywej zieleni, wyznaczając

marszrutę uroczystej parady.

- Parada!?! - wykrzyknęła Scarlett, kiedy się o tym dowiedziała. Dotknęła rozety z zielonych jedwabnych wstążek, którą Kasia upięła jej we włosach. - Skończone? Dobrze wyglądam? Trzeba już iść?

Tak, trzeba było wychodzić. Najpierw na wczesną mszę, potem na zabawy i obchody, którym końca nie było od rana do późnej nocy.

- Kuba powiedział mi, że wieczorem będą puszczać nad parkiem fajerwerki - oczy i cała twarz Kasi lśniły z podniecenia. - Mówił, że aż w głowie ci się zakręci od patrzenia na wszystkie te wspaniałości.

Błyszczące oczy Scarlett nagle pociemniały. W jej spojrzeniu było jakieś wyrachowanie.

- Gdy wrócisz do Irlandii, nie będziesz mogła oglądać w swojej wiosce ani parad, ani fajerwerków. Będzie ci przykro, że nie zostałam w Savannah.

Dziewczyna rozbliły promiennym uśmiechem.

- Zapamiętam to na zawsze i opowiem po wszystkich domach, co tu widziałam. Dopiero w domu przekonam się, jakie wspaniałe chwile przeżyłam w Ameryce. Dopiero w domu...

Scarlett zrezygnowała z dalszych prób. Do niczego nie dojdzie z tą upartą głuptaską.

Wzdłuż Broughton Street ciągnęły się szpalery ludzi - wszyscy mieli na sobie coś zielonego. Scarlett aż roześmiała się w głos ujrawszy rodzinę: podrastające dzieci miały zielone kokardy, szelki lub piórka w kapeluszach, podobnie jak cała rodzina O'Harów. Z jednym tylko wyjątkiem - tu wszyscy ubrani byli na czarno.

- Czyż nie mówiłem ci, że dzisiaj wszyscy czują się Irlandczykami? - wyszczerzył zęby Kuba.

Maureen trąciła ją łokciem.

- Zobacz, nawet starzy durnie ubrali się na zielono - szepnęła, zerkając w stronę człowieka, w którym Scarlett poznała adwokata dziadka. Stał z jakimś chłopcem - chyba synem - napuszony i sztywny. Obaj mieli zielone krawaty. Spojrzała to w jedną, to w drugą stronę, szukając wśród roześmianych, radosnych ludzi znajomych twarzy. Tak, oto i Maria Telfair w otoczeniu stadka dam - wszystkie z zielonymi wstążkami na kapeluszach. Wielki Boże, a to Hieronim! Najświętsza Panienko, skąd on wytrzasnął ten zielony paltocik? Ale dziadka na pewno tu nie ma. Boże, spraw, aby go nie było. Jeszcze gotów sprawić, że zgaśnie słońce. Nie. Hieronim był sam, to znaczy tylko z tą Murzynką, która dzisiaj założyła zieloną szarfę. Też mi, pomarszczona jak suszona

śliwka twarz, a to ci sprawił sobie przyjaciółkę... dobre dwadzieścia lat młodszą!

Uliczny przekupień podawał właśnie lemoniadę i makaroniki każdemu z O'Harów. Zaczął od dzieci, jak zwykle najbardziej łakomych. Gdy podszedł do niej, wzięła ciastko i ugryzła kawałek. Jeść na ulicy! Dama nie ośmieliłaby się jeść na ulicy, nawet gdyby przymierała głodem. A masz, dziaduniu - pomyślała, znajdując przyjemność w złym zachowaniu, i to w miejscu publicznym. Makaronik był świeży, wilgotny, słodki. Bardzo jej smakował, choć cała ta prowokacja straciła na uroku, gdy Scarlett spostrzegła, że i Miss Telfair, dumna ze swych rękawiczek z koziej skóry, trzymała coś między palcami.

* * *

- A ja nadal twierdzę, że to ten kowboj w zielonym był najlepszy - upierała się Maria Katarzyna. - Wyczyniał niesamowite rzeczy tym swoim lassem, poza tym był bardzo przystojny.

- Mówisz tak tylko dlatego, że się do nas uśmiechnął - Helena pogardliwie wyduła wargi. Jako dziewczyna zaledwie dziesięcioletnia była za młoda, by rozumieć coś z romantycznych marzeń piętnastolatki. - Najpiękniejszy był wóz, a na nim tańczące skrzaty.

- Głupia, to nie skrzaty. W Ameryce nie ma skrzatów.

- Tańczyły wokół worka pełnego złota. Tylko skrzaty mogą mieć wór pełen złota.

- Heleno, ale z ciebie dziecko. To byli przecież przebrani chłopcy. Nie zauważyłaś, że te wielkie uszy były z papieru? Jednemu nawet odpadło...

Maureen zdecydowała się interweniować, nim obie dziewczynki sięgną po argumenty grubszego kalibru.

- Co by nie mówił, parada wyglądała wspaniale. Dzieci, idziemy. Trzymajcie Janka za rączki.

* * *

Obcy sobie w przededniu uroczystości, obcy sobie nazajutrz, w sam dzień świętego Patryka mieszkańcy Savannah podawali jeden drugiemu rękę, tańczyli, łącząc głosy śpiewali piosenki. Słońce, powietrze, muzyka i ulice - tego dnia wszystko należało do wszystkich.

- To cudowne - westchnęła Scarlett, wgrzyzając się w kurze udko kupione w jednym ze straganów z jedzeniem. - To cudowne - powiedziała także, gdy ujrzała wymalowane zieloną kredką listki koniczyny na wysypanych cegłą alejkach Chatham Square. - To

cudowne - zawołała, widząc wielką zieloną kokardę zawiązaną na szyi granitowego orła przy pomniku Pułaskiego.

- Jakiż to wspaniały, cudowny dzień! - wołała, podskakując dokoła na jednej nodze, zanim w końcu nie opadła na zwolnioną przed chwilą ławkę. Wylądowała tuż obok Columa.

- Spójrz, Colum, zdarłam zelówkę. Zawsze słyszę od wszystkich, że najlepsze przyjęcia są te, na których od tańca zdziera się buty. A to nie są przecież baletki, tylko prawdziwe, solidne buty. Wobec tego dzień świętego Patryka trzeba by uznać za najlepszy bal, na jakim kiedykolwiek byłam.

- Wspaniałe święto, to pewne - pokiwał głową Colum. - A przecież mamy jeszcze wieczór z ogniami sztucznymi i parę innych atrakcji. Nie tylko buty zedrzesz, moja droga, ale i zdrowie, jeśli nie dasz sobie choćby chwili odpoczynku. Już prawie czwarta. Wstąpmy na moment do domu.

- Nie chcę. Mam ochotę potańczyć jeszcze trochę, zjeść pieczeni prosięcej, skosztować tych zielonych lodów i spróbować tego okropnego zielonego piwa, które piją teraz Mateusz i Kuba.

- Do wieczora zdążysz. Chyba zauważyłaś, że nawet Mateusz i Kuba godzinę temu, czy nawet wcześniej, zwolnili nieco tempo?

- Baby z nich! - oznajmiła Scarlett. - Lecz ciebie to nie dotyczy. Jesteś najlepszym z O'Harów. Kuba tak mawia i ma rację.

Colum uśmiechnął się, spoglądając na jej zaróżowione policzki i błyszczące oczy.

- Kuba rzeczywiście tak mawia, zapomniałaś jednak dodać, że opatruje to zastrzeżeniem: „poza mną, który jestem jeszcze lepszy”. Tak... - westchnął przeciągle. - A teraz zdejmę ci ten dziurawy but. Podnieś nogę.

Rozsznurował czarny pantofelek z cielecej skóry, zdjął go, wysypał piasek i usunął podarte kawałki wkładki. Po czym podniósł z ziemi tekturowy rożek - opakowanie po lodach - złożył papier i umieścił wewnątrz buta.

- Mam nadzieję, że dzięki temu zdołasz jakoś dojść do domu. Prawdopodobnie nie była to twoja ostatnia para butów.

- Oczywiście! - zawołała Scarlett. - Och, teraz czuję się znacznie lepiej. Dziękuję, Colum. Ze wszystkim umiesz sobie dać radę. Zawsze wiesz, co robić.

- W tej chwili wiem tylko tyle, że powinniśmy pójść do domu, wypić filiżankę herbaty i odpocząć.

Scarlett nie była skłonna przyznać - nawet wobec samej siebie - że jednak jest

zmęczona. A była. Powoli, powłócząc nogami u boku Columa minęła Drayton Street, oddając uśmiechy ludziom, którzy uśmiechali się do niej.

- Dlaczego święty Patryk jest patronem Irlandii? - zainteresowała się nagle. - Czy gdzie indziej też go czczą jako świętego?

Colum rzucił jej zdziwione spojrzenie - niewiedza Scarlett w tym, co się tyczy religii, mogła zdumiewać.

- Święci - zaczął poważnie - doznają czci na całym świecie i u wszystkich ludzi. A święty Patryk dlatego cieszy się szczególnym nabożeństwem u Irlandczyków, bo przyniósł nam chrześcijaństwo, gdyśmy ciągle jeszcze dawali się zwodzić druidom. I wygnał z Irlandii wszystkie węże, by nasza ziemia stała się jak ogród Edenu przed grzechem.

Scarlett roześmiała się.

- To już zmyśliłeś.

- Jako żywo, nie. Jak Irlandia długa i szeroka, nie znajdziesz ani jednego węża.

- Znakomicie. Nie znoszę węży.

- Powinnaś wrócić ze mną do Starego Kraju, Scarlett. Na pewno byś go pokochała. Rejs do Galway trwa tylko dwa tygodnie i jeden dzień.

- Bardzo szybko.

- A widzisz. Wiatry wieją w kierunku Irlandii, niosąc stęsknionych podróżników tak szybko, jak chmury płynące po niebie. Wspaniały to widok: wszystkie żagle wciągnięte na maszt, statek wdzięcznie płąsa po oceanie, białe mewy odprowadzają nas aż do chwili, gdy ląd prawie już znika z oczu, potem kołują, raz odfruwają, raz wracają krzycząc, że dalej już nie pofruną. Potem eskortę przejmują delfiny, niekiedy wieloryb, wypuszczający niczym fontanna strugę wody ze zdziwienia, że ma za towarzysza białoskrzydłego pływaka. Żeglować... to cudowne. Czujesz się taka swobodna, że masz wrażenie, jakbyś mogła zerwać się do lotu.

- Wiem - odpowiedziała Scarlett. - To właśnie tak.

46.

Scarlett zdumiała Kasię zakładając na wieczorne parady w Parku Forsytha zieloną suknię z jedwabiu, przeraziła jednak dziewczynę upierając się, że na nogi założy baletki z zielonego marokinu.

- Ależ tyle tam kurzu, ścieżki wysypane gruzem, zedrzesz zelówki, kuzynko Scarlett!

- I dobrze. Chcę, przynajmniej raz w życiu, zdrzeć buty na tańcach. A teraz, Kasiu, ulóż mi włosy i ściągnij je zieloną aksamitną kokardą. Gdy będę tańczyć, chcę czuć, jak swobodnie wirują razem ze mną.

Przespała się dwadzieścia minut i teraz miała wrażenie, że może tańczyć do białego rana. Tańczono wokół fontanny, na granitowych płytach, którymi wyłożono sporych rozmiarów okrągły plac. Kropelki wody lśniły niczym klejnoty, szeptały w cudowny, porywający rytm *reela* i dostojny takt ballad. Jednego *reela* przetańczyła z Danielem - eleganckie baletki błyskały niczym zielone płomyki poddane zawrotnemu tempu tańca.

- Jesteś zdumiewająca! - zawołał, objąwszy ją wokół talii. Podniósł ją wysoko i wirował, wirował, wirował, stopami wystukując rytm wybijany przez *bodhran*. Scarlett rozłożyła ręce, zwróciła twarz ku księżycowi i dała się unosić otulona srebrnym woalem wodnego pyłu.

- Oto, co czuję dzisiejszej nocy - powiedziała kuzynom, gdy na niebie w migotliwej jasności rozbłysły pierwsze fajerwerki, przy których nawet księżyc zbladł.

* * *

Kiedy obudziła się w środę rano i wstała z łóżka, kulała na obie nogi. Stopy jej obrzmiały, całe były w sińcach.

- Nie bądź głupia! - mruknęła, gdy Kasia zaczęła coś wykrzykiwać o stanie jej stóp. - Wspaniale się bawiłam.

Odprawiła dziewczynę, gdy tylko pomogła jej zawiązać sznurówkę. Z nikim nie chciała jeszcze rozmawiać o przyjemnościach, których wczoraj doznała. Wolała w ciszy i spokoju odświeżyć miłe wspomnienia, powoli, krok po kroku, obraz po obrazie. Doprawdy, nie stanie się nic strasznego, gdy przyjdzie na śniadanie parę chwil później. I tak nie jest w stanie iść na rynek. Zrezygnowała z zakładania pończoch - domowe pantofle powinny wystarczyć.

Z drugiego piętra do kuchni trzeba było zejść po schodach - Scarlett nigdy jakoś nie miała czasu policzyć stopni. Teraz każdy schodek równał się porcji bólu, o ile tylko nie będzie schodzić ostrożnie. Ale nieważne. Warto było pocierpieć - dzień, nawet dwa - za

to wytańczyć się do upadłego. Może by tak poprosić Kasię, żeby zagnała krowę do obory. Krowy zawsze wzbudzały w niej lęk, całe życie. Gdyby Kasia zamknęła krowę, mogłaby sobie usiąść na podwórzu. Przez otwarte okna wiosna wpadała morzem zapachów tak rześkich, tak balsamicznych, że Scarlett cknęło się za wyjściem na dwór.

Tak... salon. To już pierwsze piętro. Ponad pół drogi zrobione. Gdyby tak jeszcze można było iść szybciej. Jestem głodna.

Gdy Scarlett, pełna werwy, postawiła pierwszy krok na odcinku schodów wiodących do kuchni, w nozdrza uderzył ją zapach smażonej ryby. Do diabła - sarknęła w duchu. Znowu ten Post. Gruby kawałek pięknego bekonu - na to mam teraz ochotę.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, żołądek podszedł jej do gardła. Przerazona wykonała raptowne w tył zwrot i doskoczyła do okna. Obiema dłońmi gorączkowo ściskając portierę wychyliła się za parapet i z wymiotowała na młode drzewko magnolii, zasadzone przed domem. A potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż zupełnie opadła z sił, aż jej twarz stała się mokra od łez i kropli gęstego potu. Wtedy opadła jak kłoda na podłogę.

Otarła usta grzbietem dłoni, lecz nie pozbyła się w ten sposób z ust przykryj goryczy. Gdyby choć łyżeczek wody... W odpowiedzi żołądek podjechał jej pod gardło. Kolejny skurcz.

Scarlett położyła dłonie na brzuchu i zapłakała. W tej wczorajszej gorączce musiałam się czymś zatruć. A teraz umieram tutaj, niczym pies. Wzięła krótki, płytki oddech. Gdyby tak poluzować gorset... uciskał żołądek, nie dopuszczał powietrza. W sztywnych fiszbinach czuła się jak zamknięta w żelaznej klatce.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak podle.

* * *

Z dołu dobiegły ją głosy rodziny. Maureen pytała, co się z nią dzieje, Kasia odpowiadała, że lada chwila powinna się pojawić. Potem trzasnęły drzwi. Usłyszała Columa. On także pytał, co się z nią dzieje.

Zacisnęła zęby. Musi wstać. Musi zejść na dół. Nie mogą jej tutaj zastać, gdy tak leży, płacząc jak dziecko, które brzusek rozboleł z przejedzenia. Skrajem sukni otarła łzy. Dźwignęła się na nogi.

- Nareszcie! - zawołał Colum, kiedy Scarlett stanęła w drzwiach. Gdy jednak spojrział na nią uważniej, zerwał się i podbiegł ku niej.

- Nasza biedna Scarlett... Kochanie, wyglądasz jakby kazano ci chodzić po rozbitym szkle. Tu, moja droga, pozwól, że pomogę ci usiąść.

Ujął ją wpół, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, po czym zaprowadził ją do krzesła, które Maureen pospiesznie ustawiła przy kuchni.

O śniadaniu zapomniano. Wszyscy zaczęli krzątać się wokół Scarlett, która w ciągu paru sekund została usadzona z poduszką pod nogami i filiżanką herbaty w dłoniach. W jej oczach migotały łzy - łzy słabości i szczęścia. Miło było być przedmiotem powszechnej troski, miło było doświadczać miłości. Teraz czuła się tysiąc razy lepiej. Ostrożnie pociągnęła łyżeczek herbaty. Herbata była dobra.

Po pierwszej filiżance przyszła kolej na drugą, potem na trzecią. Potem dostała grzanekę. Nie mogła jednak patrzeć na talerz z kartoflami i smażoną rybą. Zdało się, nikt tego nie zauważył, wszczęło się bowiem zamieszanie z wyprawieniem dzieci do szkoły - trzeba było zadbać o to, by każde dostało właściwą książkę i torebkę z drugim śniadaniem.

Gdy za dzieciarnią zamknęły się drzwi, Kuba pocałował Maureen w usta, Scarlett w czubek głowy, Kasię w policzek.

- Lecę do sklepu - powiedział. - Trzeba zdjąć dekoracje i wyłożyć na lady proszek od bólu głowy, żeby wszyscy cierpiący nie musieli długo szukać. Miło jest świętować, lecz dzień później trzeba się liczyć z totalną klapą.

Scarlett schyliła głowę, by ukryć rumieńce wypływające jej na policzki.

* * *

- Zostań tu, gdzie jesteś - poleciła jej Maureen. - Z Kasią sprzątanie kuchni pójdzie mi błyskawicznie. Później idziemy na rynek, a ty możesz tu sobie odpocząć. Columie O'Hara, ty także zostań na swoim miejscu. Nie chciałabym, aby twe wielkie buciska zostawiły ślady na mojej podłodze. Poza tym muszę cię mieć na oku, bo niedługo znikniesz mi z widoku. Gdybyś nie spieszył się na urodziny sędziwej Kasi Scarlett, prosiłabym cię, byś odwłókł nieco ten wyjazd.

- Kasia Scarlett?

Maureen rzuciła na podłogę namoczoną w mydlinach szmatę.

- Czyż nikt ci nie powiedział? - zdziwiła się Maureen. - W przyszłym miesiącu twoja babka, ta, po której odziedziczyłaś imiona, obchodzi setne urodziny.

- Ale języczek to ma ostry jak wtedy, gdy jeszcze była dzierlatką - zachichotał Colum. - Jeden z powodów do słusznej dumy całej rodziny.

- Zdążę na przyjęcie! - ucieszyła się Kasia. Widać było, że jest szczęśliwa.

- Sama bym chciała się tam znaleźć - westchnęła Scarlett. - Papa tyle mi opowiadał o babce.

- Nic nie stoi na przeszkodzie - powiedział Colum. - Pomyśl tylko, ile radości sprawisz staruszce.

Kasia i Maureen w jednej chwili przyskoczyły do Scarlett, ponagłając, dodając odwagi, przekonując, że Scarlett omal nie wybuchnęła śmiechem. Czemu nie? - spytała się w duchu.

Gdy Rett po nią przybędzie, wróci do Charlestonu. Dlaczego by nie przedłużyć tej chwili wolności? Nienawidziła Charlestonu: ponure suknie, nie kończące się wizyty i posiedzenia komitetów, mur grzecznej obojętności, którego przebić w żaden sposób nie mogła, porośnięte liszajem mury domów i poszczerbione mury ogrodów, w których czuła się zamknięta bez możliwości wyjścia. Nienawidziła języka charlestończyków - płaskiej, przeciąganej wymowy samogłosek, szczególnego sposobu wysławiania się kuzynów i innych powinowatych, słów i zdań po łacinie, francusku i Bóg jeden wie w jakich jeszcze językach, nie znosiła tego, w jaki sposób opowiadali o miejscach, gdzie nigdy nie była, o ludziach, o których nigdy nie słyszała, o książkach, których nigdy nie czytała. Nie cierpiała całej socjety - kajecików, gdzie zapisywano, kto z kim i kiedy ma tańczyć, kolejek ustawiających się do powitania, wszystkich tych nie pisanych reguł, które rzekomo znać powinna, niemoralnego prowadzenia się, które dopuszczano i hipokryzji potępiającej grzechy, których nigdy nie popełniła.

Nie chcę zakładać tych bezbarwnych sukni i szeptać „tak, proszę pani” do tych starych klemp, których dziadek ze strony matki był w Charlestonie jakimś sławnym bohaterem czy kimś w tym rodzaju. Nie chcę spędzać każdego niedzielnego poranka słuchając, jak ciotki prawią sobie złośliwości. Nie chcę być zmuszona do uwierzenia w to, że bal świętej Cecylii jest samą istotą życia. Wolę już dzień świętego Patryka.

Roześmiała się.

- Dobrze, popłynę!

Nagle poczuła się cudownie, nawet w żołądku zrobiło się lekko. Zerwała się, by ucałować Maureen - ból nóg był ledwo odczuwalny.

Charleston może poczekać aż wrócę z Irlandii. Rett też może poczekać. Bóg świadkiem, że czekała nań wystarczająco długo. Dlaczego miałyby nie odwiedzić irlandzkich powinowatych? Do tej drugiej Tary płynęło się wielkim żaglowcem zaledwie dwa tygodnie i jeden dzień. Zasłużyła na to, by przez chwilę poczuć się szczęśliwą Irlandką zanim na zawsze podporządkuje się sztywnym rygorom życia w Charlestonie.

Piekące, poranione stopy wystukiwały rytm *reela*.

* * *

Minęły zaledwie dwa dni, a już była w stanie tańczyć na przyjęciu wydanym dla uczczenia powrotu Stefana z Bostonu. Niedługo potem, z Columem i Kasią jechała otwartym powozem w stronę doków na brzegu rzeki.

Nie miała kłopotów z przygotowaniem się do podróży. Amerykanie nie musieli wyrabiać paszportów, by uzyskać prawo wstępu na Wyspy Brytyjskie. Nie potrzebowali nawet kart kredytowych, lecz Colum nastawał, by tak „na wszelki wypadek” postarała się o nie u bankiera. Nie zdradził jej, co miał na myśli, a i Scarlett niewiele się tym przejmowała. Nadzieja wielkiej przygody zawładnęła nią bez reszty.

- Jesteś pewny, że nie spóźnimy się na statek? - denerwowała się Kasia. - Późno po nas przyjechałeś. Kuba i pozostali mówili, że droga zajmie nam dobrą godzinę.

- Jestem, jestem - westchnął Colum. Mrugnął do Scarlett. - A jeśli nawet trochę się spóźniłem, nie moja to wina. Cóż miałem robić widząc, że wielki Tomasz Macmahon ma ogromną ochotę scementować swą obietnicę przyciśnięcia biskupa szklaneczką czegoś mocniejszego... a może nawet i dwiema szklaneczkami? Przecież nie mogłem go obrazić.

- Jeśli spóźnimy się na statek, umrę - jęknęła Kasia.

- Sza, przestań krakać, kochanie. Kapitan nie podniesie kotwicy bez nas. Seamus O'Brien to mój dobry kumpel. Ale nie masz co liczyć na jego przyjaźń, jeśli nie przestaniesz nazywać *Briana Boru* „statkiem”. To nie statek, to żaglowiec, zresztą wspaniały. Wkrótce sama się o tym przekonasz.

W tej samej chwili powóz skręcił pod jakimś łukiem, pasażerowie podskoczyli, zsunęli się, uderzyli jeden o drugiego, zaś wóz wtoczył się na ciemną, śliską, wybrukowaną kocimi łbami rampę. Kasia krzyknęła, Colum wybuchł śmiechem, Scarlett nie mogła złapać oddechu.

Znajdowali się nad rzeką. Gwar, barwy i zamieszanie były tu jeszcze bardziej podniecające niż zaskakujący finisz. Zakotwiczone przy drewnianych filarach stały statki wszystkich rodzajów, każdej wielkości - więcej, niż zdarzyło się jej widzieć w Charlestonie. Szeroką brukowaną ulicą w równym rytmie posuwały się wyładowane po brzegi wozy, poskrzypując drewnianymi lub metalowymi kołami. Głośno było od krzyków mężczyzn. Na drewniane pokłady z głuchym łoskotem toczyły się po pochylniach drewniane beczki. Powietrze przeszywał przenikliwy gwizd parowca. Inny statek wtórował mu biciem dzwonu. Szereg bosonogich ładowaczy przesuwiał się po trapie z belami bawełny i ze śpiewem na ustach. Bandery o jaskrawych barwach i

proporce gali masztowej radośnie powiewały na wietrze. Mewy piszcząc skrzekliwie, prućy powietrze.

Dorożkarz wstał i trzasnął z bata. Wóz potoczył się naprzód, roztrzając tłum przechodniów. Scarlett roześmiała się, wystawiając twarz na podmuchy porywczego wiatru. Bryczka okrążyła piramidę beczek oczekujących na załadunek, podjechała kawałek za wolno toczącą się dwukółką i potrząsnąwszy pasażerami, przystanęła.

- Mam nadzieję, że nie żądasz dodatkowej zapłaty za siwe włosy, o które mnie przyprawiłeś tą jazdą - rzekł Colum do woźnicy. Zeskoczył na ziemię i podał rękę Kasi.

- Nie zapomniałeś o moim kuferku, Colum?

- Wszystkie manatki przyjechały tu przed nami, kochanie. Lepiej idź teraz pożegnać się z kuzynami.

Wskazał miejsce, gdzie widać było Maureen.

- Nie możesz nie zauważyć tych rudych włosów błyszczących jak bekon.

Kiedy Kasia pobiegła, zwrócił się do Scarlett.

- Chyba nie zapomniałaś, co ci mówiłem o nazwisku?

- Nie zapomniałam i nie zapomnę - uśmiechnęła się, szczęśliwa z tej niewinnej konspiracji.

- Zatem powtarzam raz jeszcze: w Irlandii nazywasz się Scarlett O'Hara, a nie inaczej - mrugnął porozumiewawczo. - Co prawda nic nie ma to wspólnego ani z tobą, ani z twoją rodziną, lecz Butler to nazwisko dobrze znane na wyspie, niestety, wślawnie w bardzo haniebnym sposób.

Scarlett w ogóle nie zwracała na to uwagi. Miała zamiar cieszyć się swoją nowo - starą tożsamością tak długo, jak to tylko będzie możliwe.

* * *

Jak mówił Colum, *Brian Boru* był wspaniałym, błyszczącym bielą żaglowcem. Dziób aż raził oczy złoceniami. Złotem lśniła także pomalowana we wszystkie barwy tęczy osłona kół łopatkowych, od złota błyszczała nazwa statku wypisana na burcie literami wysokości dwóch stóp. *Union Jack* powiewał na drzewcu flagowym, lecz na maszcie kołysała się bandera z zielonego jedwabiu, a na niej wyszyta złotawa harfa. *Brian Boru* był luksusowym statkiem pasażerskim, zaspokajającym gusta bogatych Amerykanów, którzy powodowani sentymentem decydowali się odwiedzić Zieloną Wyspę: zobaczyć wioski, gdzie urodzili się dziadowie lub - gwoli teatralnego efektu - nawiedzić miejsca, gdzie sami kiedyś przyszli na świat. Tak kajuty, jak pomieszczenia użytku publicznego były przesadnie wielkie i przeładowane ozdobami. Załoga była

nauczona zaspokajać pragnienia każdego pasażera. Ładownie na statku też były przesadnie wielkie, ponieważ podróżni płynęli do Irlandii objuczeni masą podarków i wracali z nie mniejszą ilością pamiątek ze Starego Kraju. Bagażowi obnosili się z każdą walizą, z każdą paką jakby pełne były szkła. Często naprawdę szkło przeważało. Żony Amerykanów pochodzenia irlandzkiego, dorobiwszy się czegoś w trzecim - czwartym pokoleniu, miały zwyczaj zdobić każde pomieszczenie swych nowo wybudowanych domów kryształowymi świecznikami Waterforda.

Na rufie, nad kołem łopatkowym znajdowała się szeroka platforma ogrodzona mocnymi balaskami. Teraz stała tam Scarlett, Colum i cała grupa żądnych wrażeń pasażerów, wymachujących rękami w geście ostatniego pożegnania. Trzeba było się spieszyć. *Brian Boru* musiał wykorzystać falę odpływu. Scarlett posyłała wszystkim O'Harom gorące całusy. Dziś rano dzieci nie poszły do szkoły, a Kuba nawet zamknął sklep, tak aby i Daniel mógł przyjechać do portu i wziąć udział w pożegnaniu.

Nieco z tyłu, jakby na uboczu, cichutko stał Stefan. Podniósł do góry rękę - znak dla Columa.

W ten sposób dawał mu znać, że kufry Scarlett po drodze na statek zostały otworzone, a ich zawartość nieco się zmieniła. Wśród przełożonych bibułka sukien, wachlarzy i bonzurek ukryto naoliwione karabiny oraz skrzynie z amunicją, które Stefan przywiózł z Bostonu.

Jak ich ojcowie, ojcowie ich ojców i wcześniejsze pokolenia, Stefan, Kuba, Mateusz, Colum i wuj Jakub z bronią w ręku sprzeciwiali się angielskim rządóm na Zielonej Wyspie. Przez ponad dwieście lat liczni z rodu O'Harów ryzykowali życiem dla walki, a niekiedy nawet udawało się im zabić paru wrogów w małych, zaczepnych akcjach. Wszakże dopiero w ostatnim dziesięcioleciu organizacja zaczęła się powiększać. Zdyscyplinowani, niebezpieczni, finansowani z Ameryki, Fenianie*, zyskali sławę w całym kraju. Dla wieśniaków byli ucieleśnieniem bohaterstwa, dla angielskich ziemian prawdziwą plagą, dla angielskich żołnierzy rewolucjonistami gotowymi zwyciężyć albo zginąć.

Colum O'Hara był jednym z najbardziej obrotnych skarbników organizacji i jednym z jej głównych przywódców.

***Fenian* - potoczna nazwa członka zakonspirowanej organizacji (Fenian Society) walczącej o niepodległość Irlandii. (Przyp. tłum.)

Brian Boru ociężale sunął między brzegami Savannah River ciągnięty przez dwa parowe holowniki. Gdy wreszcie stanął na progu Atlantyku, głębokim gwizdem syreny pożegnał odpływające parowce. Wciągnięto żagle na maszt. Pasażerowie zaczęli pokrzykiwać na wiwat, gdy dziób statku przeciął pierwsze pasma zielonkawych wód oceanu i gdy pod łopatkami kół zapieniła się topiel.

Scarlett i Kasia stały obok siebie spoglądając, jak płaska linia brzegowa najpierw traci na wyrazistości, zredukowana do plamy bladej zieleni, potem - znika.

Co ja najlepszego zrobiłam? - zawołała w duchu Scarlett, kurczowo ściskając obiegającą pokład barierkę. Zaraz jednak potoczyła wzrokiem po bezgranicznych przestworzach migocącego plamami słońca oceanu i serce zabiło jej szybciej. Przeszedł ją dreszcz przygody.

- Och! - krzyknęła Kasia, Zaraz potem przeciągle jęknęła:

- Ooo...

- Co się stało?

- Ooo... Zapomniałam o chorobie morskiej - wydyszała dziewczyna.

Scarlett z trudem powstrzymała się od śmiechu. Objęła Kasię ramieniem i zaprowadziła do kabiny. Tego dnia krzesło Kasi przy kapitańskim stole pozostało puste. Za to Scarlett i Colum w pełni uczynili zadość gargantuicznym apetytom. Scarlett nie zapomniała jednak o kuzynce - po kolacji wzięła talerz rosołu i łyżeczką nakarmiła dziewczynę.

- Za dzień lub dwa wszystko będzie w porządku - zapewniała słabym głosem złożona chorobą morską kuzynka. - Nie trzeba będzie mnie karmić aż do domu.

- Cicho. Jeszcze łyżeczka - uspokoiła ją Scarlett, która sama wdzięczna była niebom, że jej żołądek nie wierzgał. Nawet po zatruciu w dzień świętego Patryka nie pozostało już ani śladu. Jakżeby inaczej była w stanie delektować się obfitym posiłkiem?

* * *

Obudziła się, gdy pierwsze smugi czerwieni kładły się na wschodnim horyzoncie. Zerwała się z łóżka. Pobiegła do małej zdobnej w chińskie kafelki, wyłożonej mahoniem wygodki. Uklękała i zwymiotowała.

Niemożliwe, by zapadła na morską chorobę. Jej nie mogło się to zdarzyć. Tak przecież lubiła żeglować. No, bo przecież i w Charlestonie, gdy ten maleńki jednomasztowiec wspinał się na fale w czas sztormu - nawet wtedy nie miała mdłości,

także w momentach, gdy łódeczka spadała ze szczytu fali w dół. Tymczasem *Brian Boru* był stateczny niczym skała. Wprost trudno zgadnąć, co to się dzieje...

...powolutku, powolutku, złożona mdłościami *Scarlett* zaczęła unosić głowę. Otworzyła usta, źrenice się jej rozszerzyły, tak niesłychane było to odkrycie. Dreszczyk emocji, fala ciepła, poczucie siły przebiegło ją od stóp do głów. Roześmiała się z całego serca.

Jestem w ciąży! Jestem w ciąży! Pamiętam, to było dokładnie tak samo.

Oparła się o ścianę, przeciągnęła się rozkosznie, szeroko rozłożywszy ramiona. Cudowne uczucie. Co tam żołądek, dość że ja czuję się wspaniale. Zdobyłam *Retta*. Jest już mój. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy będę mogła mu to powiedzieć.

Łzy szczęścia popłynęły jej po policzkach, rękoma osłoniła brzuch, jakby chciała obronić nowe życie, dojrzewające w jej łonie. Bardzo pragnęła tego dziecka. Pragnęła dziecka *Retta*. Pragnęła ich dziecka. Będzie silna - tego była pewna, już teraz czuła, jak wzbierają jej siły. Śmiała, nieustraszona, niczym *Bonnie*.

Jej umysł wypełniły obrazy wspomnień: główka *Bonnie* mieściła się na jej dłoni, nieco tylko większa od kociego lębka. W rękach *Retta* przypominała lalkę. Jakże ją kochał. Jego szerokie plecy pochylające się nad szkrabem, jego głęboki głos i bajdurzenie, którym raczył córeczkę - nigdy jeszcze mężczyzna nie przejmował się dzieckiem do tego stopnia... Kiedy mu powie, powinien podskoczyć ze szczęścia. W wyobraźni widziała jego ciemne oczy rozbłyskujące radością, błysk białych zębów rozjaśniający po piracku chmurną twarz. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się. Też jestem szczęśliwa - pomyślała. Tak to już jest, gdy ma się mieć dziecko: trzeba być szczęśliwą - zwykła mawiać *Melania*.

- Boże - szepnęła na głos. *Mela* umarła, bo chciała mieć dziecko, a doktor *Meade*, gdy poroniłam, powiedział, że mam całkiem popsute wnętrzności. Dlatego nawet nie zauważyłam w porę, że jestem w ciąży, nie zauważyłam nawet, że nie mam miesiączki, bo i tak od dawna jest nieregularna. A jeśli to dziecko mnie zabije? Boże wielki, nie pozwól, bym umarła i to wtedy, gdy wreszcie mam to, czego do szczęścia mi potrzeba. Żegnała się raz za razem w zmieszaniu pełnym błagania, w pokorze, w zabobonnej wierze w moc rytuału.

Wtem gniewnie potrząsnęła głową. Co ona właściwie robi? Siedzi w głupiej beczynności. Przecież jest silna i zdrowa. W niczym nie przypomina *Meli*. A *Mammy* powiadała nawet, że z bezwstydną wręcz łatwością wydała na świat dziecko, że nie wszczyniała wokół porodu większego zamieszania niż dzika kocica. Ot, tak, po prostu.

Teraz też jej się uda, a dziecko będzie w znakomitej kondycji. I życie wreszcie wróci do normalności, i Rett znowu obdarzy ją miłością - ją oraz ich dziecko. Będą najszczęśliwszą, najbardziej kochającą się rodziną na całym świecie. Wielkie nieba, że też nawet nie pomyślała o Miss Eleonorze. Te rozmowy o miłości do dzieci! Miss Eleonora pewnie pęknie z dumy. Już ją widzę, jak rozgłasza tę wieść po całym targu, jak mówi o tym każdemu, nawet zgarbionemu starcowi wymiatającemu śmieci. To dziecko, jeszcze zanim zacznie oddychać, znajdzie się na ustach całego Charlestonu.

...Charleston. To tam powinna była teraz pojechać, nie płynąć do Irlandii. Chce spotkać się z Rettem. Chce mu powiedzieć.

Może *Brian Boru* mógłby zawinąć do Charlestonu. Kapitan to dobry przyjaciel Columa - ten byłby w stanie go przekonać. Oczy jej rozbłysły. Zerwała się, umyła twarz, przepłukała usta. Ponieważ pora była zbyt wczesna na budzenie Columa, wróciła do łóżka, usiadła wsparta o poduszki, zaczęła snuć plany.

Kiedy Kasia wstała, Scarlett już spała z zadowolonym uśmiechem na ustach. Cóż, dlaczego by nie mieć wszystkiego? Nie będzie rozmawiać z kapitanem. Chce spotkać babkę i irlandzką gałąź rodziny. Chce przeżyć przygodę, chce przepłynąć przez ocean. Rett kazał jej czekać w Savannah. Dobrze - teraz to on może sobie poczekać na wiadomość o dziecku. Do porodu ma jeszcze parę dobrych miesięcy. Zanim osiadzie w Charlestonie, ma chyba prawo trochę się rozerwać. Oczywiście, w Charlestonie nie będzie mogła pozwolić sobie na tyle, na ile pozwalała sobie w Savannah. Damom w stanie błogosławnym wycinanie hołubców wszak nie przystoi - nic, tylko siedzieć w domu i nie wychylać nosa za drzwi.

Dlatego tym bardziej podobała jej się myśl o wizycie w Irlandii. Po raz drugi podobna szansa może jej się nie trafić.

Rejs na *Brianie Boru* także bardzo przypadł jej do gustu. Gdy była w ciąży z poprzednimi dziećmi, poranna słabość pojawiała się nie dłużej niż przez tydzień, po czym ją opuściła. Teraz także chyba nie będzie trwała dłużej. Za dzień lub dwa wyzdrowieje, jak Kasia.

* * *

Rejs luksusowym żaglowcem był jak sobotni wieczór u O'Harów - tyle, że trwał dłużej. I - jak wieczorynki u kuzynów - od razu spodobał się Scarlett.

Na pokładzie był komplet pasażerów, którzy zaokrętowali się w Bostonie i Nowym Jorku, lecz nie sprawiali wrażenia Jankesów. Byli Irlandczykami, co było widać już na pierwszy rzut oka, podobnie jak to, że są z tego dumni. Mieli w sobie tyle żywotności -

tej samej, która tak bardzo rzucała się w oczy u O'Harów. Korzystali ze wszystkiego, co im oferowano na statku. A było tu co robić od świtu do nocy: turnieje gry w warcaby, ekscytujące zawody w rzucaniu monetami do oznakowanej tarczy, zakłady w rodzaju ile mil pokona żaglowiec następnego dnia. Wieczorami śpiewało się przy akompaniamencie prawdziwej orkiestry i tańczyło na równi ochoczo irlandzkie *reele* i wiedeńskie walce.

Lecz nawet wtedy, gdy na tańce nie starczało już sił, zabawa trwała. W salonie do gry w karty dla pań zawsze można było rozegrać partyjkę wista, a Scarlett była wręcz rozchwytywana jako partnerka. W przeciwieństwie do charlestońskiego grywania o kawę, tutaj grało się o pieniądze - stawki były wysokie - tak wysokie, że każde odkrycie karty wzbudzało emocje. Podobnie jak wygrane Scarlett. Pasażerowie *Briana Boru* żyli w przekonaniu, że Ameryka to kraj nieograniczonych możliwości, nie przejmowali się zatem tracąc zdobyte bogactwo.

Także i Colum prosperował dzięki otwartym sakiewkom bogatych współpasażerów. Kiedy panie grały w karty, mężczyźni z reguły spędzali czas w barku przy whisky i cygarach. Tutaj Colum miał aż nazbyt wiele okazji, by wycisnąć z oczu - zazwyczaj przebiegłych i suchych - potoki łez. Opowiadał o nieszczęściach Irlandii gnębionej angielskimi rządami, wspominał męczenników sprawy wolności i przyjmował hojne datki na Bractwo Fenian. Rejs na *Brianie Boru* zawsze był dochodowym przedsięwzięciem, tak że Colum odbywał go dwa razy w roku, choć ostentacyjne luksusy statku i olbrzymie ilości podawanego jadła przyprawiały go o mdłości, gdy pomyślał o nędzy i potrzebach Irlandczyków żyjących w ojczyźnie.

Nie minął pierwszy tydzień żeglugi, gdy Scarlett także zaczęła spoglądać niechętnym okiem na współpasażerów. I kobiety, i mężczyźni przebierali się po cztery razy dziennie, byleby tylko w pełni zaprezentować bogactwo kosztownej garderoby. Jak żyła, nigdy jeszcze nie widziała takiej ilości biżuterii. Wmawiała sobie, że dobrze zrobiła zostawiając wszystkie swe klejnoty w sejfie banku w Savannah, zbladłyby bowiem w porównaniu z wspaniałościami, które można było podziwiać co wieczór w jadalni. Ale w gruncie rzeczy wcale się z tego powodu nie cieszyła. Wyrosła bowiem w przekonaniu, że posiada więcej niż wszyscy, którzy ją otaczają - większy dom, więcej służby, większy luksus, więcej rzeczy, więcej pieniędzy. Teraz, widząc jak niepozornie wygląda na tle bogactwa innych, musiała spuścić nos na kwintę. W Savannah Kasia, Maria Katarzyna i Helena nie kryły swej zazdrości, że cała rodzina O'Harów dostarczała pożywki dla jej potrzeby bycia podziwianą. Tymczasem ci, z którymi

przyszło jej odbywać ten rejs, nie tylko jej nie zazdrościli, ale nawet specjalnie nie podziwiali. W ich towarzystwie Scarlett nie czuła się dobrze. Jeśli wszyscy Irlandczycy są tacy, jak oni, trudno jej będzie znieść pobyt w kraju, który zamieszkują. Niech tylko jeszcze raz usłyszy *Ubraną w zieleń*, to chyba zaczną krzyczeć.

- Po prostu, moja droga, nie zwykłaś przestawać z amerykańskim nowobogactwem - westchnął Colum, gdy zwierzyła się mu z tego, co ją trapi. - Jesteś wielką damą.

Nie mógł wyrazić się lepiej. Wielka dama - miała nią zostać, gdy wakacje w Irlandii dobiegną końca. Gdy już po raz ostatni zachłyśnie się wolnością, pojedzie do Charlestonu, założy bezbarwne suknie, da się skuć w gorset obyczajów towarzyskich i pozostanie damą - dożywotnio.

Nareszcie nie będzie się czuła wyrzucona za nawias, gdy Miss Eleonora - czy ktokolwiek z charlestońskiego świątka - będą opowiadać o swych wjazdach do Europy, o tych podróżach odbytych przed laty, jeszcze przed Wojną. O, nie powie, że nie znajduje w tym niczego, co budziłoby jej zachwyt. Damy nie mówiły podobnych rzeczy. Scarlett westchnęła nie zdając sobie z tego sprawy.

- Och, nie wzdychaj, kochanie - powiedział Colum. - Nie będzie aż tak źle. Zechciej tylko dostrzec w tym jaśniejsze strony. Przy karcianym stoliku wręcz czyścisz im sakiewki.

Roześmiała się, Colum miał rację. Rzeczywiście, wygrywała fortuny. Były wieczory, że zgarniała nawet i po trzydzieści dolarów. Niech no tylko Rett o tym się dowie! A to będzie się śmiał. W końcu on też grywał w karty przez jakiś czas - wtedy, gdy pływał barkami po Missisipi. Skoro już o tym mowa, dobrze się składa, że ma przed sobą jeszcze tydzień żeglugi. W ten sposób nie będzie musiała sięgać po pieniądze Retta. Nie uszczknie z tego, co jej zostawił, ani pensa.

Jej stosunek wobec pieniędzy był niejednoznaczny - prawdziwa mieszanina skąpstwa i szlachetności. Pieniądze przez lata całe były dla Scarlett miernikiem jej osobistego bezpieczeństwa, tak że podejrzliwie spoglądała na każdego, kto wyciągnął rękę po drobną choćby część w pocie czoła zdobytej fortuny. A przecież - bez chwili wahania - wzięła na swoje barki obowiązek wspierania ciotek i rodziny Melanii. Wspierała ich, nawet wtedy gdy sama nie bardzo wiedziała, skąd weźmie środki na pokrycie własnych potrzeb. Także i wtedy, gdyby spadło na nią jakieś trudne do przewidzenia nieszczęście, także wtedy była zdecydowana ich wspierać, choćby miała zamorzyć się głodem. Nie zastanawiała się nad tym. Po prostu tak było trzeba.

Co do pieniędzy Retta, miały ją sprzeczne uczucia. Jako jego żona nie żałowała

pieniędzy na dom przy Brzoskwiniowej, na wszystkie - niemałe - koszty związane z jego utrzymaniem, na stroje i inne luksusy. Ale z tym pół miliona, które odeń otrzymała, sprawa wyglądała inaczej. Nie mogła tknąć ani pensa z tej sumy. Miała zamiar oddać mu te pieniądze, gdy już połączą się w prawdziwym małżeństwie, jako mąż i żona. Podarował jej te krocie jako cenę za separację. Nie mogła ich przyjąć, ponieważ na separację żadną miarą się nie godziła.

Dręczyło ją, że uszczknęła nieco z tej kwoty, by pokryć koszty podróży. Ale też wszystko stało się tak szybko, że nie miała czasu dokonać odpowiedniego przelewu z Atlanty do Savannah. Wystawiła jednak weksel na odpowiednią sumę i złożyła go do sejfów w banku wraz ze złotem, którego nie chciała brać w tę podróż. Była też zdecydowana wydawać tylko tyle, ile musi. Trzymała się więc prosto, schudła w talii, a tam, gdzie stalowe pręty gorsetu dawniej wrzynały się jej w ciało, teraz powstała próżnia. Lepiej było wygrywać w wista i mieć własne pieniądze do wydawania. Cóż, jeszcze tydzień, a sakiewka powiększy się o następnych sto pięćdziesiąt dolarów.

Mimo dobrej passy w kartach, na samą myśl o tym, że ten rejs już wkrótce dobiegnie końca, poczuła przyjemną ulgę. Chociaż wiatr dął we wszystkie żagle, *Brian Boru* był zbyt wielką korwetą, by mogła odświeżyć to podniecające uczucie przygody - to, które pamiętała z owego rejsu, gdy na malutkim jednomasztowcu wraz z Rettem uciekała przed burzą. Na domiar złego - mimo romantycznych obietnic Columa - nie widziała dotychczas ani jednego delfina.

* * *

- Tutaj są, tutaj! - spokojny zazwyczaj, melodyjny głos Columa drżał z podekscytowania. Pociągnął Scarlett za rękę i podprowadził do barierki. - Już mamy eskortę. Zaraz ujrzymy ląd.

Nad masztami krążyły mewy. Scarlett w pierwszym impulsie pocałowała Columa w policzek. A potem po raz drugi, gdy wskazał jej srebrzyste punkciki na wodzie. Delfiny. Wreszcie.

Już znacznie później, ubrana w ulubiony kapelusz, stała między Columem a Kasią, usiłując uchronić nakrycie głowy przed atakami porywistego wiatru. Wpływali do portu. Ze zdumieniem spoglądała Scarlett na skaliste nabrzeże. Zdało się jej zupełnie niemożliwe, by cokolwiek - nawet falochron ze skał - mogło się ostać przeciwko wściekłym uderzeniom fal, rozbijających się o głazy i powracających w pióropuszcach piany. Scarlett była przyzwyczajona do krajobrazu Powiatu Clayton - przysadzistych, leniwie toczących się niskich wzgórz i pagórków. Stromo wznosząca się skała była

najbardziej egzotycznym widokiem, jaki kiedykolwiek zdołały ujrzeć jej oczy.

- Ale chyba nikt tutaj nie mieszka? - chciała się upewnić Scarlett.

- W Irlandii nie marnuje się ani piędzi ziemi - odparł Colum. - Trudno jednak powiedzieć, by Inishmorowie czuli się tutaj jak w domu.

- Inishmorowie - powtórzyła Scarlett, zachwycając się pięknem obcego, melodyjnego brzmienia. Nigdy przedtem nie słyszała podobnie brzmiącego nazwiska.

Potem umilkła, jak Colum i Kasia. Spoglądali na błękitne, skrzące się wody Zatoki Galway, każde pograżone we własnych myślach.

Spoglądając na otwierającą się przed nimi Irlandię, Colum czuł, jak serce mu wzbiera miłością i bólem. Odmawiał - jak nieraz w ciągu dnia - przysięgę, że zgniecie ciemiężców swego kraju i podniesie go z gruzów ku pożytkowi Irlandczyków. Nie denerwował się z powodu broni ukrytej w bagażach Scarlett. Celnicy w Galway interesowali się głównie statkami handlowymi, pilnując, by cła należne rządowi brytyjskiemu były spłacone co do pensa. Na *Briana Boru* spoglądali z szyderstwem. Jak zawsze. Widok Amerykanów irlandzkiego pochodzenia powracających do Starego Kraju utwierdzał ich tylko w przekonaniu o dominacji tak nad Irlandią, jak nad Ameryką. W każdym razie - myślał Colum - dobrze się składa, że przekonałem Scarlett co do tej podróży. Jej wachlarze znacznie lepiej skrywają broń niż te tuziny amerykańskich butów i zwoje perkalu. Może nawet - myślał sobie dalej - Scarlett zechce poluzować nieco rzemyka u sakiewki, gdy ujrzy nędzę, w jakiej żyje jej naród. O, nie, nie czynił sobie złudnych nadziei. Colum był realistą, od razu, przy pierwszym spotkaniu poznał się na Scarlett. Ale nawet wiedza o tym, że jest tak niepoprawną egocentryczką nie pomniejszyła sympatii, którą dla niej żywił. Jako ksiądz wiele już widział - wiedział, że dla ludzkich słabości potrzebna jest wyrozumiałość. O ile tylko słabości nie dopuszczały się istoty ludzkie narodowości angielskiej. Niemniej jednak, nawet jeśli pozwolił sobie manipulować Scarlett, kochał ją, tak jak kochał wszystkich z rodu O'Harów.

Kasia mocniej ścisnęła barierkę. Jeśli nie uczepię się czegoś, przeskoczę i popłynę - myślała gorączkowo, wypatrując znajomych kształtów. Z tego szczęścia, że znowu jestem w domu, pewnie prześcignęłabym statek. Znowu w domu...

Scarlett zachłysnęła się powietrzem z zachwytu. Na małej, jakby przycupniętej do morza wysepce wznosił się zamek. Zamek. Tak, zwieńczone jakby zębami mury na pewno należały do zamku. Nieważne, że budowla znajdowała się w stanie rozpadu - nie pomniejszało to wagi faktu, iż miała przed sobą prawdziwy zamek, taki jak na

obrazkach w książeczkach dla dzieci. Z największą niecierpliwością czekała na następne odkrycia.

Gdy Colum sprowadził ją po trapie, wtedy pojęła, że oto wchodzi do zupełnie innego świata, jakże różnego od tego, który znała. W porcie kłębiło się od statków - jak w Savannah - przewijały się tłumy ludzi, wszędzie unosił się gwar, wozy pędziły przed siebie z groźną prędkością, jak mrówki roili się tragarze ładując lub rozładowując beczki, paki i bele. Ale pracowali tu wyłącznie biali mężczyźni, a ich pokrzykiwania były dla niej zupełnie niezrozumiałe - posługiwali się językiem, którego nie znała.

- To celtycki - wyjaśnił Colum. - Pradawny język Irlandii. Nie obawiaj się jednak, że trafiłaś wśród cudzoziemców. Rzadko kto zna ten język z wyjątkiem mieszkańców zachodniego wybrzeża. Wszyscy mówią tu po angielsku.

Jakby dla zadania kłamu jego słowom, przemówił doń jakiś mężczyzna, lecz wysławił się z takim akcentem, że Scarlett początkowo nie poznała, iż mówi po angielsku.

Gdy mu się przyznała do tego, Colum wybuchnął śmiechem.

- Owszem - pokiwał głową. - Pokrętna to wymowa, lecz człowiek ten na pewno mówił po angielsku, wierz mi na słowo. Anglicy wymawiają głoski bardzo nosowo, jakby się krztusili. Ten, z którym miałem do czynienia, to sierżant wojsk Jej Królewskiej Mości.

Scarlett zachichotała.

- A myślałam, że to sprzedawca guzików.

Krótką, obcisłą kurtkę mundurową sierżanta zdobiło kilkanaście grubych, złotych galonów ujętych między rzędami wypolerowanych na wysoki połysk mosiężnych guzików. Na Scarlett sprawiało to wrażenie stroju przebierańca.

Wsunęła Columowi rękę pod ramię.

- Strasznie się cieszę, że tu jestem - westchnęła.

Mówiła prawdę. Wszystko było takie inne, takie nowe. Nic dziwnego, że ludzie tak lubią podróże.

* * *

- Bagaze zawiozą nam do hotelu - oznajmił Colum, wracając do ławki, na której zostawił Scarlett i Kasię. - Załatwione. Jutro wyjeżdżamy do Mulingar.

- Dlaczego nie zaraz? - zdziwiła się Scarlett. - Jest jeszcze wcześniej. Dopiero południe.

- Pociąg odjechał o ósmej. Zamówiłem porządny hotel z dobrą kuchnią. Ten sam, co

zwykle.

- Tak, pamiętam - rozmarzyła się Kasia. - Tym razem nie popuszczę i opcham się słodczy.

Promieniała szczęściem. Wprost trudno w niej było poznać dziewczynę z Savannah.

- Kiedy opuszczałam Irlandię, zbyt byłam smutna, by zadbać o żołądek. Och, Scarlett, nie zdajesz sobie sprawy, co dla mnie znaczy mieć znowu irlandzką ziemię pod stopami. Jeszcze trochę, a rzucę się na kolana i zacznę ją całować.

- No, pora na nas - ponagłał, Colum. - Będą problemy z dorożką. W sobotę jest tutaj dzień targowy.

- Dzień targowy? - powtórzyła jak echo Scarlett.

Kasia klasnęła w dłonie.

- Dzień targowy, i to w takim wielkim mieście jak Galway. Och, Colum, to chyba coś wspaniałego!

Ponad wszelkie wyobrażenie było to „wspaniałe”, ekscytujące i - dla Scarlett - bardzo egzotyczne. Cały rozległy trawnik przed *Hotelem Kolejowym* tętnił życiem i kolorami. Gdy dorożkarz wysadził ich przed wejściem do hotelu, błagała Columa, by obejrzeli to wszystko, co tak bardzo kusilo oko powiewem nieznanego świata, mniejsza o to, jak wyglądają pokoje, mniejsza o obiad. Kasia przyłączyła się do prośb kuzynki.

- Jedzenia dość jest na straganach, ja zaś muszę kupić jeszcze jakieś prezenty dla dziewczynek. W Ameryce nie znajdziesz podobnych tym wspaniałości, w przeciwnym razie przywozłabym je stamtąd. Brygidka dość już się za mną wytęskniła, by móc spodziewać się, że coś jej podaruję.

Colum uśmiechnął się.

- Nie byłbym zdziwiony, gdyby jej tęsknota dorównywała twojej. Dobrze. Ja obejrzę pokoje, a ty będziesz dawać baczenie na kuzynkę Scarlett, żeby nam się nie zgubiła. Masz pieniądze?

- Pełną garść. Kuba mi podarował.

- To są amerykańskie pieniądze, Kasiu. W Irlandii niczego za nie nie kupisz.

Przestraszona Scarlett chwyciła Columa za łokieć. Co to ma znaczyć? Czy jej pieniądze naprawdę nic tu nie znaczą?

- Nie - uśmiechnął się Colum, jakby czytając w jej myślach. - Po prostu inna waluta. Przekonasz się, angielskie pieniądze są dość zabawne. Dokonam wymiany dla nas wszystkich. Co pani sobie życzy, *madame*?

- Mam tutaj wszystko, co wygrałam w wista. W zielonych.

Wypowiedziała te słowa pogardliwie i nie bez złości. Wszyscy wiedzieli, że zielone banknoty wcale nie są warte nominału, jaki na nich wypisywano. Świadoma tego powinna była zmusić wierzycieli, by płacili jej w srebrze lub w złocie. Otworzyła sakiewkę, wysupłała zwitek dziesięć - , pięć - i jednodolarówek.

- Wymień, jeśli ci się uda - rzekła, wciskając zwitek Columowi w garść.

Uniósł brwi.

- Aż tyle? Dzięki Bogu, że nie prosiłem cię o partyjkę. To chyba prawie dwieście dolarów.

- Dwieście czterdzieści dwa.

- Spójrz na to, Kasiu. Nigdy nie będzie ci dane ujrzeć takiej fortuny w jednym miejscu. Może chcesz potrzymać?

- Och, nie śmiałabym.

Cofnęła się, ręce wstydliwie schowała za plecami, wzrok utkwiała w Scarlett.

Chyba sobie myślisz, że to ja jestem zielona, a nie te pieniądze - pomyślała zaniepokojona Scarlett. Ostatecznie dwieście dolarów to przecież nie fortuna. Tyle płaci się za futro. Kuba na pewno zarabia przynajmniej dwieście na miesiąc, i to na czysto. Nie ma powodu, by zawracać tym Kasi głowę.

- Proszę - Colum wyciągnął rękę. - Macie tu po parę szylingów. Zajmijcie się przez moment zakupami, ja uwinę się szybko w banku i zaraz wracam. Spotkamy się tutaj, przy tym straganie.

Wskazał na żółtą flagę łopoczącą pośrodku pełnego ludzi placu.

Scarlett spojrzała we wskazanym kierunku. Serce jej zamarło: po ulicy między hotelem a placem wolno sunął strumień bydła. Za nic w świecie nie przejdzie tędy!

- Już ja to zrobię za nas obie - rzekła Kasia, podążając wzrokiem za spojrzeniem Scarlett. - Proszę, Colum. Oto moje dolary. A teraz, kuzynko, podaj mi rękę.

Nic już nie pozostało ze wstydliwego dziewczęcia, jakim Scarlett znała Kasię z Savannah. W tej chwili dziewczyna czuła się u siebie w domu. Jej policzki pałały. Oczy płonęły. Jej uśmiech był jasny jak słońce na niebie.

Scarlett usiłowała znaleźć jakąś wymówkę, zaprotestować, lecz do Kasi nie docierało ni jedno, ni drugie. Przeciskała się przez stado krów, wlokąc za sobą Scarlett. W ciągu paru sekund znalazły się na placu. Scarlett nie miała czasu, by krzyżeć ze strachu czy z gniewu na Kasię. A kiedy w końcu znalazły się tam, gdzie rozłożył się targ, zbyt była przejęta, by pamiętać o strachu lub gniewie. Lubiła chodzić na targ w Charlestonie, lubiła chodzić na targ w Savannah, lubiła targ za jego ruchliwość,

barwność i nagromadzenie wszystkiego. Nic jednak, co dotychczas widziała, nie wytrzymało porównania z dniem targowym w Galway.

Gdzie tylko skierowała wzrok, wszędzie coś się działo. Mężczyźni i kobiety targowali się, kupowali, sprzedawali, spierali się, śmiali, chwalili, krytykowali, rozprawiali o czymś z ożywieniem - zaś przedmiotem wszystkich tych zabiegów były owce, jagnięta, kurczaki, koguty, jaja, krowy, świnie, masło, śmietana, kozy i osły.

- Jakie milutkie - westchnęła Scarlett, widząc smukłonogie jagnięta... potem ujrzała różowe świnki w koszyku... potem osiołki o aksamitnym futrze i długich, różowych uszach... a także - coraz to nowe i nowe - barwne spódnice młodych kobiet i dziewcząt. Gdy ujrzała pierwszy okaz tutejszej mody, myślała że to przebierańce. Ale kiedy za pierwszą dziewczyną pojawiły się podobnie ubrane następne, zrozumiała, iż chyba wszystkie ubierają się tu tak samo. Nic dziwnego, że Kasia tyle mówiła o pończochach! Wszędzie, gdzie tylko wzrokiem sięgnąć, Scarlett widziała kostki i nogi w jasnych kolorach błękitu i żółci, czerwieni i bieli, to znowu żółci i czerwieni czy bieli z błękitem. Dziewczęta z Galway nosiły skórzane buciki na niskim obcasie, z króciutką cholewką, spódnice sięgały im od czterech do sześciu cali nad kostkę. Ale co to za spódnice! Obfite fałdy materiału wirowały wokół bioder przy każdym kroku, nasycone czerwieniem, błękity, zielenie czy żółcie - wesołe i jasne - harmonizowały z jasnymi pończochami. Staniki utrzymane w ciemniejszych tonacjach były jednak równie barwne, rękawy zapinały się na długie rzędy guzików, czyste, nakrochmalone białe chusteczki marszczyły się, spięte na szyi z przodu.

- Ja też chcę takie pończochy, Kasiu! I spódnicę. I stanik z chusteczką. Muszę je mieć. Są urocze!

Kasia uśmiechnęła się zadowolona.

- Widzę, kuzynko Scarlett, że podobają się ci irlandzkie stroje. Miło mi. Twoje ubrania są tak eleganckie... obawiałam się, że nasze po prostu wyśmiejesz.

- Pragnęłabym móc ubierać się w takie spódnice dzień w dzień. Czy kiedy jesteś w domu też nosisz coś takiego? Szczęśliwa, nie dziw, że chciałaś szybko wracać do kraju.

- Te tutaj to stroje odświętne, które zakłada się na rynek, albo żeby wpaść w oko chłopcu. Pokażę ci, jak ubieramy się na co dzień. Zechciej pójść za mną.

Kasia chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła przez tłum ludzi dokładnie tak samo, jak wcześniej przeprowadziła ją przez stado krów. Na środku placu rozstawiono na kozłach stoły, na nich rozłożono wszystko, o czym tylko może marzyć kobieta. Scarlett spoglądała w zdumieniu - najchętniej wykupiłaby wszystko od razu. Co za pończochy...

jakie szale, jak miękkie w dotyku... wielkie nieba, jakie koronki! Hm... krawcowa z Atlanty duszę zaprzedałaby diabłu byleby tylko móc potrzytać tę bogatą, ciężką koronkę. O, nareszcie, oto i spódnice! Boże drogi, ale by też wyglądała w tej ciemnoczerwonej... w tej błękitnej też nie najgorzej. Zaraz, zaraz... na sąsiednim stole także leży błękitna, tylko ciemniejsza. Która lepsza? O, a tutaj jasnoczerwona. Ta różnorodność mogła przyprawić o zawrót głowy. Trzeba by dotknąć każdą z nich - taka mięciutka wełna... taka gruba... choć dłoń miała obciśniętą rękawiczką, czuła ciepło barw. Scarlett bez zastanowienia jednym ruchem ściągnęła rękawiczkę. Teraz wyraźniej czuła sploty wełnianej przędzy. Nie, w niczym nie przypominało to tkanin, które dotychczas miała w ręku...

- Przepuściłem drugie danie, lecz czekałem, chociaż dostałem ślinotoku - zawołał Colum, kładąc dłoń na ramieniu Scarlett. - Nie martw się, wrócisz tu jeszcze.

Uniósł kapelusz i uklonił się rezydującej za stołami kobiecie w czerni. - Słońce niech zawsze będzie ci łaskawe - westchnął. - Przepraszam, ale jestem zmuszony porwać stąd na chwilę moją kuzynkę. Przybyła tutaj prosto z Ameryki i z zachwytu odebrało jej mowę. Chciałbym ją teraz nakarmić nieco, a wtedy może, za wstawiennictwem świętej Brygidy, przypomni sobie, jaki się robi pożytek z języka i będzie w stanie do ciebie przemówić.

Kobieta uśmiechnęła się do Columa, rzuciła ukradkowe spojrzenie na Scarlett, a kiedy pociągnął za sobą kuzynkę, zawołała:

- Dziękuję, ojczu.

- Kasia mówiła mi, że od tego patrzenia dostałaś hysia - zachichotał. - Mówiła, że z dziesięć razy ciągnęła cię za rękaw, ale diabli bierz to spojrzenie, które jej rzucałaś. Przybiegła po mnie przerażona.

- To prawda - przyznała Scarlett. - Całkiem o niej zapomniałam. Nigdy jeszcze nie widziałam w jednym miejscu tylu wspaniałych rzeczy. Myślałam, że kupię spódnice na przyjęcie, ale teraz nie wiem, czy starczy mi cierpliwości, żeby tak długo czekać. Powiedz, Colum, czy wypada mi ubierać się tutaj tak, jak irlandzkie dziewczyny?

- Nie godzi się inaczej, kochanie.

- Wspaniale! Cudowne wakacje. Jakże się cieszę, że tu przybyłam.

- My także, kuzynko Scarlett.

* * *

Zupełnie nie mogła zrozumieć, na czym polega płacenie angielskimi pieniędzmi. Funt był banknotem i ważył tyle, co skrawek papieru zużyty na wyprodukowanie go.

Jednopensówka była monetą, wielką jak srebrna jednodolarówka. Za to *tuppence* - czyli dwupensówka - mniejsza była od jednopensówki, choć miała jej dwukrotną wartość. Były też monety wartości pół pensa, szylingi... Doprawdy, bardzo było to wszystko skomplikowane. W głowie mogło się zakręcić. Poza tym wszystko tu było jak za darmo, bowiem pieniądze, które Scarlett miała zamiar wydać, pochodziły z wygranych w wista. Jedyne, na co zwracała uwagę, to ceny: spódnica kosztowała szylinga lub dwa, buty tylko szylinga. Za to pończochy - pensa. Scarlett oddała Kasi zawiązaną rzemieniem sakiewkę.

- Powstrzymaj mnie, nim wszystko wydam - szepnęła i rzuciła się robić zakupy.

Kiedy wracali do hotelu, cała trójka ugiwała się pod tobołami. Scarlett nakupiła spódnic we wszystkich kolorach, każdej wielkości. Kasia podpowiedziała jej, że z cieńszego materiału można było zakładać zamiast halki - dobrze, kupiła i te. Kupiła także tuziny pończoch: dla siebie, dla Kasi, dla Brygidki, dla wszystkich kuzynek, które miała spotkać. Bluzeczki też kupiła, jak również całe jarde koronek: szerokich i wąskich, koronkowych kołnierzy, chusteczek oraz uroczych czepeczków. Kupiła także niebieską pelerynę z kapturem, kupiła też i czerwoną, ponieważ żadną miarą nie potrafiła pogodzić się z myślą, że jej nie kupi. Kupiła także czarną pelerynę, usłyszała bowiem od Kasi, że większość kobiet nosi się na czarno niezależnie od pory dnia. Z tego samego powodu sprawiła sobie czarną spódnicę - ale mogła pod nią nosić kolorowe halki. Poza tym lniane chusteczki, także staniki, halki z płótna - jakiego nigdy jeszcze nie widziała - oraz sześć tuzinów chusteczek. Ile kupiła szali, trudno rzec. Przy szalach straciła rachubę.

- Teraz to już chyba wydałam wszystko, zawołała zupełnie bez żalu, padłszy ciężko na pluszową kanapę w salonie apartamentu, który wynajął Colum. Kasia wysypała całą zawartość sakiewki. Zostało więcej niż połowę.

- Coś takiego! - zdumiała się Scarlett. - Teraz to naprawdę zaczynam kochać Irlandię.

48.

Scarlett była zauroczona nowymi „ubiorami”. Usiłowała wciągnąć w szaleństwo „sprawunków” Kasię - nalegała, by wróciła z nią na placyk przed hotelem i dokończyła zakupów, ale dziewczyna grzecznie, lecz stanowczo odmówiła.

- W angielskich hotelach mają zwyczaj jadać obiad bardzo późno, kuzynko Scarlett, a jutro z samego rana musimy zbierać się do drogi. W Irlandii wiele dni to dni targowe, zaś w miasteczku niedaleko wioski też mamy rynek. Co tydzień.

- Sama jednak mówiłaś, że nic nie może równać się z Galway - przypomniała jej Scarlett, w której niechęć Kasi zasiała podejrzliwość. Owszem, przyznała dziewczyna, targ w Trim nie jest tak okazały, niemniej nie ma ochoty wychodzić z hotelu. Scarlett niechętnie poniechała namów.

Hotel Kolejowy znany był z wyśmienitego jada i znakomitej obsługi. Dwaj kelnerzy w liberii usadowili obie panie przy ogromnym stole obok wysokiego, zawieszzonego ciężkimi portierami okna, po czym stanęli wyprostowani z tyłu, za krzesłami, gotowi na każde skinienie. Zamówiono obiad z sześciu dań. Scarlett właśnie delektowała się kotлетem z łososia (który to gatunek ryb łowionych w tutejszej zatoce znany był z dobroci nie tylko w Galway), gdy dobiegły ją zza okna dźwięki muzyki. Odsunęła ciężką od złotych chwościków portierę, jedwabną zasłonę i firankę.

- A nie mówiłam! - wykrzyknęła tyleż z triumfem, co ze smutkiem. - A nie mówiłam, że powinniśmy byli tam wrócić! Właśnie zaczęły się tańce. Idziemy, i to zaraz.

- Kuzynko Scarlett, obiad zaledwie się zaczął - przypomniał Colum.

- Bzdura! Przez dwa tygodnie zapychaliśmy się omal do nieprzytomności. Chcę przebrać się w nową suknię i zatańczyć.

Nic nie mogłoby jej powstrzymać.

* * *

- Nie rozumiem cię, Colum - westchnęła Kasia. Siedzieli we dwoje na ławeczce przy placyku. Scarlett tańczyła. Nie chcieli jej spuszczać z oczu na wypadek, gdyby popadła w tarapaty. Ubrana w błękitną spódnicę i żółte halki tańczyła *reela* jakby została do tego stworzona.

- Czego nie rozumiesz?

- Dlaczego zatrzymaliśmy się w tym luksusowym angielskim hotelu, niby jaka rodzina królewska? Ale skoro już mamy tu przenocować, to dlaczego nie możemy dokończyć tego wyśmienitego obiadu? Wiem, po raz ostatni mam okazję jeść równie

dobrze. Nie mogłeś powiedzieć Scarlett, „nie, nie pójdziemy na tańce”, tak jak ja, gdy odmówiłam jej dotrzymania towarzystwa w dalszym robieniu zakupów?

Colum ujął ją za rękę.

- Rzecz cała polega na tym, moja ty mała siostrzyczko, że Scarlett nie jest jeszcze gotowa stanąć twarzą w twarz ani z prawdziwą Irlandią, ani z irlandzką rodziną O'Harów. Mam nadzieję, że te drobne radości pomogą jej przyjąć pełną prawdę. Chyba lepiej będzie, gdy rozerwie się nieco zakładając irlandzkie spódnice, niż ma płakać widząc, jak jej jedwabie walają się w gnoju. Tańcząc *reela* poznaje Irlandczyków i te spotkania są dla niej źródłem radości, choć jej nowi znajomi ubrani są siermiężnie i mają brudne ręce. Tak, to wspaniałe wydarzenie, choć przyznam, że wolałbym już pójść spać.

- Ale jutro będziemy w domu? - w głosie Kasi słychać było tęsknotę.

Colum ścisnął jej dłoń.

- Tak, obiecuję, jutro będziemy w domu. Pojedziemy wagonem pierwszej klasy i raczej nie powinnaś o tym wspominać. Proszę cię, byś zachowała milczenie także wtedy, gdy zaprowadzę Scarlett w gościnę do Molly i Roberta.

Kasia splunęła na ziemię.

- To za Molly i za Roberta. Dopóki jednak Scarlett będzie mieszkać z nimi, nie ze mną, nie pisnę ani słowa.

Colum zmarszczył brwi, lecz nie słowa siostry były tego przyczyną. Właśnie mężczyzna, z którym Scarlett teraz tańczyła, usiłował ukraść jej pocałunek. Colum nie wiedział, że Scarlett już od piętnastego roku życia była prawdziwą mistrzynią w doprowadzaniu męskiej krwi do stanu wrzenia tylko po to, by zaraz potem zręcznie umknąć. Colum zerwał się zatem z ławki i ruszył w stronę tancerzy. Zanim jednak do nich doszedł, Scarlett udało się uciec natarczywemu partnerowi. Podbiegła, widząc, że nadchodzi.

- Może wreszcie zatańczysz ze mną! - zawołała. - Po to przyszedłeś?

Ujął jej wyciągnięte ramiona.

- Przychodzę, żeby cię stąd zabrać. Czas do łóżka.

Westchnęła. W świetle lampionu, który wisiał nad jej głową, twarz Scarlett pałała żywą czerwienią. Lampiony rozwieszono na całym skwerze na rozłożystych konarach wysokich drzew. Wśród dźwięku skrzypiec, wśród głośnych śmiechów i nawoływań tańczącego tłumu nie mogła usłyszeć odpowiedzi Columa, lecz wyraz jego twarzy mówił za wszystko.

Wiedziała, ma rację, lecz nie chciała stąd odejść. Nawet szaleństwa dnia świętego Patryka nie przysporzyły jej tyle radości, co tańce w Galway. Irlandzka spódnica nie była przystosowana do fiszbinów, toteż Kasia zasznurowała gorset jedynie na tyle, by nie zsunął się jej w tańcu na kolana. Dzięki temu Scarlett miała wrażenie, że może tańczyć przez wieczność, a mimo to nigdy nie zbraknie jej oddechu. Czuła się tak, jak gdyby nic jej nie powstrzymywało, w żaden sposób.

Colum wyglądał na zmęczonego, co podkreślało różowe światło lampionu. Scarlett spojrzała na zmęczoną twarz, uśmiechnęła się, kiwnęła głową. Jeszcze nieraz nadarzy się okazja do tańca. Zamierzała pobyć w Irlandii do przyjęcia urodzinowego babki, tej pierwszej Katarzyny Scarlett, po której otrzymała imiona. Za nic w świecie nie przepuściłaby podobnej okazji.

* * *

Zdecydowanie bardziej mi się to podoba niż jazda pociągiem w Ameryce - pomyślała Scarlett, zaglądając przez otwarte drzwi przedziału. Jakże miłe wrażenie sprawiło to wydzielone z wagonu pomieszczenie - o wiele lepsze niż ogromne przedziały, w których trzeba było siedzieć wśród tłumu zupełnie obcych ludzi. Ani nie trzeba było przepychać się nieskończenie długim korytarzem, ani torować sobie drogi przez cizbę podróżnych, ani nie groziło niebezpieczeństwo, że ktoś przechodząc obok ciebie zwali ci się z nienacka na kolana. Scarlett, uszczęśliwiona, uśmiechnęła się do Columa i Kasi.

- Kocham te irlandzkie pociągi. Kocham wszystko, co irlandzkie.

Usadowiła się wygodnie w głębokim fotelu. Nie mogła się doczekać, kiedy pociąg wreszcie opuści stację, tak bardzo pragnęła ujrzeć irlandzki krajobraz. Na pewno był inny niż amerykański.

Irlandia nie rozczarowała jej.

- Wielkie nieba, Colum - zawołała, gdy już dobrą godzinę byli w drodze. - Przecież ten kraj jest dosłownie obsiany zamkami! Co wzgórze, to zamek. Na równinach też ich nie brak. Tylko dlaczego wszystkie się rozpadają? Dlaczego nie mieszkają tam ludzie?

- Te zamki są w większości bardzo stare, kochanie. Mają po czterysta lat, może więcej. Ludzie znajdują sobie wygodniejsze mieszkania.

Kiwnęła z uznaniem głową. Tak, to brzmi całkiem sensownie. W tych wielkich wieżach pewnie było potwornie dużo schodów. Najświętsza Panienko, co to za biegania! Tak, zamki są bardzo niewygodne do zamieszkania. Ale jak romantyczne są te zamki! Znowu przycisnęła nos do szyby.

- Och! - westchnęła. - Też mi... Koniec oglądania zamków. Pada deszcz.

- Przestanie - rzekł Colum tonem obietnicy.

I rzeczywiście - przestało, nim dojechali do następnej stacji.

- Ballinasloe - odczytała Scarlett na głos. - Ależ te wasze miasta pięknie się nazywają. A gdzie mieszkają O'Harowie?

- W Adamstown - odparł Colum. Roześmiał się, widząc minę Scarlett. - Tak, oczywiście, nazwa niezbyt irlandzka. Zmieniłbym ją specjalnie dla ciebie, zmieniłbym ją przez wzgląd na nas wszystkich, gdybym tylko mógł. Niestety, właściciel jest Anglikiem. Na pewno by mu się to nie podobało.

- Ktoś posiada na własność całe miasto?

- To nie jest miasto. Zwykła angielska chępliwość podyktowała tę nazwę. Trudno byłoby nazwać to nawet wsią. Osada, bo tak należałoby określić Adamstown, została nazwana po synu Anglika, który ją założył. Cały majątek miał być prezentem dla niego, takim małym podarunkiem. Od owej chwili posiadłość przechodziła z ojca na syna, wnuka, prawnuka. Ten, którego własnością jest obecnie, nawet jej nigdy nie widział, mieszka bowiem głównie w Londynie. Jego rządcą sprawuje dozór nad wszystkim.

W słowach Columa pobrzmiewała nuta gorzkości. Scarlett postanowiła o nic więcej nie pytać. Zajął się sobą, oglądając przez okno zamki.

Właśnie pociąg zaczął zwalniać przed następną stacją, gdy zauważyła coś niezwyklego: zamek bez najmniejszej nawet rysy w murach. Na pewno ktoś tutaj mieszka! Może rycerz? Książę?... Ani jeden, ani drugi - odparł zapytany Colum. Budowla, która tak zaintrygowała Scarlett, okazała się być koszarami regimentu Jej Królewskiej Mości.

Oho, tym razem to już na pewno zachowałam się jak słoń w składzie porcelany - pomyślała z przykrością Scarlett. Spojrzała na Kasię - policzki dziewczyny płonęły żywą purpurą.

- Proszę o herbatę - oznajmił Colum, gdy pociąg się zatrzymał. Opuścił okno i wychylił się na zewnątrz. Kasia wbiła wzrok w podłogę, Scarlett wstała, podeszła do Columa. Dobrze było rozprostować kości.

- Usiądź, Scarlett - powiedział Colum, cedząc słowa.

Usiadła. Lecz nawet ze swego miejsca mogła dostrzec grupkę w paradnych mundurach. Stali na peronie. Scarlett widziała, jak Colum, zapytany o to czy są w przedziale wolne miejsca, potrząsnął przecząco głową. Ale też cerber z niego. I jaki zapobiegliwy. Szerokie bary zupełnie przesłaniały okno. Nikt nie mógł spostrzec, że w

przedziale są jeszcze trzy wolne fotele i aż się proszą, by ktoś na nich usiadł. Scarlett postanowiła, że musi zapamiętać tę sztuczkę, bardzo przydatną, gdy następnym razem będzie jechała irlandzkim pociągiem, a Colum nie będzie mógł jej towarzyszyć.

Właśnie pociąg zaczął odjeżdżać, gdy przez okno podano trzy kubeczki herbaty i niedbale zwinięty obrus.

- Spróbuj - rzekł, teraz już uśmiechnięty. - To irlandzka specjalność.

W zwojach grubego płótna znajdowały się racuszki z owocami. Smakowały znakomicie. Scarlett i Kasia zjadły wszystko, co do okruszynki, po czym Scarlett spytała, czy gdy zatrzymają się na następnej stacji nie mogłaby otrzymać dokładki.

- Może jesteś w stanie przeżyć jeszcze pół godziny o pustym żołądku? - zapytał Colum. - Za pół godziny wysiadamy, a wtedy będzie czas na solidny posiłek.

Zgodziła się z radością. Już ani jazda irlandzkim pociągiem nie miała w sobie smaku czegoś zupełnie nowego, ani usiany zamkami krajobraz za oknem nie tchnął taką świeżością. Scarlett była gotowa zrobić to, co jej każą.

Ale napis na budynku stacji nie brzmiał „Adamstown”, lecz „Mullingar”. Biedaczka - rozczulił się Colum. Czy nikt jej nie mówił, że tylko część drogi mogą odbyć pociągiem? Po obiedzie ruszą w dalszą podróż, drogą. To tylko dwadzieścia mil. Zanim zrobi się ciemno, będą w domu.

Dwadzieścia mil! Hm... to tyle, co z Jonesboro do Atlanty. Ta jazda trwać będzie wieki. I tak siedzieli w pociągu sześć godzin. Zniechęcona, musiała zebrać wszystkie siły, by zdobyć się na uśmiech, gdy Colum przedstawiał ją Jimowi Daly. Ten jego przyjaciel nie sprawiał najlepszego wrażenia. Za to jego wóz - i owszem. Miał wysokie, pomalowane na czerwono koła, niebieskie, błyszczące burty z wyraźnym napisem J. Daly. Czegokolwiek by się ten człowiek nie imał - pomyślała Scarlett - na pewno robi to dobrze.

Jim Daly miał *pub* i browar. Scarlett, choć posiadała prawdziwy *saloon*, sama nigdy w nim nie bywała, z przyjemnością zatem, ale nie bez poczucia winy weszła do pachnącego słodem dużego pomieszczenia, z ciekawością spojrzała na długi, dębowy, lśniący czystością bar. Nie miała jednak czasu, by zanotować więcej szczegółów, ponieważ Daly otworzył drugie drzwi i wprowadził ją do jakiejś sieni. Mieli zjeść obiad z nim oraz jego rodziną w prywatnej części domu, nad gospodą.

Obiad był dobry, przy stole czuła się tak, jakby w ogóle nie wyjeżdżała z Savannah. Udo jagnięce w sosie miętowym i *puree* z kartofli smakowały jak powinny. Cała rozmowa krążyła także wokół O'Harów z Savannah - tego, jak się mają, co robią i tak

dalej. Przy okazji wydało się, że matka Jima Daly również była kuzynką O'Harów. W rezultacie Scarlett wcale nie miała wrażenia, że oto przebywa w Irlandii, w dodatku u oberżysty, w jego mieszkaniu nad irlandzkim *pubem*. Nikt z gospodarzy nie interesował się jej opinią o czymkolwiek. Zbyt byli zajęci rozmową między sobą.

Za to po obiedzie sytuacja uległa radykalnej poprawie. Jim Daly uparł się, że weźmie ją pod rękę i oprowadzi po Mullingar. Colum i Kasia ruszyli za nimi. Scarlett zgodziła się na spacer. Nie żeby było co oglądać - zastrzegła w myśli. Miasteczko małe, nędzne, wszystkiego jedna ulica, oberż z pięć razy więcej niż sklepów - nie, nie było tu czego oglądać. Zawsze jednak nie szkodzi rozprostować kości. Placyk w centrum miasta wielkością nie dorównywał nawet w połowie placowi w Galway i był pogrążony w zupełnym bezruchu. Jakaś młoda kobieta w czarnym szalu na głowie podeszła do nich, wyciągając rękę.

- Bóg niech was błogosławi, ciebie, panie, i ciebie, piękna pani! - zawołała jęśliwie.

Jim włożył w nadstawioną dłoń parę monet, a żebraczka, zginając się w ukłonie, powtórzyła słowa błogosławieństwa. I pomyśleć, żeby taka jedna żebrała, bezczelna! Scarlett nie dałaby jej złamanego szeląga. Zdrowa była, mogłaby sama zarobić na sobie, nie istniały żadne powody na usprawiedliwienie ohydny procederu.

Z tyłu gruchnęła salwa śmiechu. Scarlett obejrzała się, chcąc poznać przyczynę. Z bocznej uliczki na plac wyszła grupa żołnierzy. Jeden z nich naigrawał się z żebraczki, wyciągając dłoń z monetą wyżej, niż była w stanie sięgnąć. Bestia! Ale czego się ta dziewczyna spodziewa, skoro żebrząc na ulicy z własnej woli wystawia się na pośmiewisko? W dodatku od żołnierzy? Wszystkim wiadomo, że są prymitywni i nieokrzesani... Chociaż - musiała przyznać w duchu - ci tutaj raczej nie wyglądają na żołdaków. W tych swoich strojnych mundurach przywodzili na myśl wielkich ołowianych żołnierzyków. Wojaczka ograniczała się dla nich do maszerowania na paradach, to pewne. Dzięki Bogu w Irlandii nie ma prawdziwych żołnierzy, nie ma Jankesów. Nie ma węży i nie ma Jankesów. Żołnierz cisnął monetę do ohydnej, pokrytej szumowinami kałuży. I on, i jego towarzysze znowu wybuchnęli śmiechem. Scarlett widziała, jak Kasia obiema dłońmi z całych sił ścisnęła Columa za ramię... po chwili uwolnił się z jej uścisku i podszedł w stronę grupki. Boże, czy on zamierza wygłosić im kazanie o tym, jakie są obowiązki dobrych chrześcijan? Colum zakasał rękawy. Scarlett wstrzymała oddech. Boże, jak on jest podobny do Papy! Może chce wszcząć bijatykę? Colum tymczasem przyklęknął przy kałuży i z cuchnących szumowin wyłowił pieniążek. Scarlett wypuściła powietrze z westchnieniem ulgi. Gdyby kuzynek

zamierzał się z pięściami na jednego żołnierzyka, niewiele by się martwiła, lecz pięciu wojaków to już za dużo, nawet na O'Hare. Ale po co ta wrzawa o jedną żebraczkę?

Wstał, plecami odwrócony do żołnierzy, wyraźnie niezadowolonych, że ich żarty przybrały taki obrót. Gdy jednak Colum wziął kobietę za rękę i odprowadził na bok, zawrócili w przeciwną stronę, i to szybko.

Mogło być gorzej, ale na szczęście nic się nie stało - pomyślała Scarlett. Tylko bryczesy Columa jakby nie pierwszej świeżości, zwłaszcza na kolanach. Chyba jednak ubrań to tu nie braknie. Dla księdza nie powinni żałować. Śmieszne. Prawie już zapomniałam, że Colum jest księdzem. Gdyby Kasia skoro świt nie zgoniła mnie z łóżka, nawet bym zapomniała, że przed odjazdem pociągu trzeba iść na mszę.

Spacer po miasteczku wkrótce się skończył. Na Kanale Królewskim nie było widać ani jednej łodzi, zaś Scarlett w najmniejszym nawet stopniu nie interesowały pałające entuzjazmem wynurzenia Jima Daly o tym, że podróż do Dublina szlakiem wodnym jest wygodniejsza od jazdy pociągiem. Niby dlaczego miałyby się interesować podróżą do Dublina? Scarlett pragnęła być w drodze do Adamstown.

Nie minęło wiele czasu, a jej pragnienie zostało spełnione. Kiedy wrócili, przed oberżą stał mały, bardzo sfatygowany powozik. Jakiś człowiek w fartuchu i zarękawkach ładował bagaże na dach, bowiem z tyłu spięte rzemieniami tobołki zajęły już całe miejsce. Jeśli nawet kuferek Scarlett ważył teraz znacznie mniej niż na dworcu, gdy obaj - Jim Daly i Colum musieli znieść go z wagonu do wozu, nikt o tym nie pisał ani słowa. Gdy już uporano się z bagażami, człowiek w zarękawkach zniknął w *pubie*, by po chwili pojawić się w pelerynie woźnicy i w cylindrze.

- Jim mi na imię - mruknął krótko. - Jedźmy już.

Scarlett wsiadła do środka, zajęła miejsce na siedzeniu z tyłu. Kasia usiadła obok niej. Colum naprzeciwko.

- Bóg niech was prowadzi! - zawołała rodzina oberżysty. - Wszyscy wyszli przed budynek. Scarlett i Kasia pomachały przez okno chusteczkami. Colum rozpiął płaszcz i zdjął kapelusz.

- Nie chciałbym tu przemawiać za kogokolwiek prócz siebie samego, ale gdy o mnie mowa, to zamierzam się zdrzemnąć - ziewnął szeroko. - Mam nadzieję, że panie wybaczą moim nogom.

Co rzekłszy, zdjął buty i położył nogi na przeciwległym siedzeniu, między Scarlett a Kasią.

W milczeniu spojrziała jedna na drugą, po czym bez słowa zaczęły rozsznurowywać

buty. Po minucie, bez butów, bez kapeluszy, z nogami wyciągniętymi obok Columa, z głowami wciśniętymi w dwa kąty obie dały się kołysać równomiernemu podskakiwaniu powozu. Och, gdybym tak mogła się ubrać w tę irlandzką spódnicę, byłoby mi jak u Pana Boga za piecem - pomyślała Scarlett. Wypchany złotem gorset nieprzyjemnie uwierał żebra, niezależnie od jej prób zajęcia możliwie najwygodniejszej pozycji. Mimo tej niewygody, zasnęła łatwo i szybko.

Obudziła się, gdy deszcz zaczął stukać w okno, wkrótce jednak łagodny szum ulewy jak kołysanka ponownie uniósł ją w sen. Gdy obudziła się po raz drugi, świeciło słońce.

- Gdzie jesteśmy? - spytała sennie.

- Jeszcze mamy kawałek drogi do zrobienia - odparł Colum.

Scarlett wyjrzała przez okno. Zachwycona tym, co zobaczyła, aż klasnęła w ręce.

- Och, spójrzcie na te kwiaty. Wystarczy wyciągnąć rękę i zerwać. Colum, proszę, otwórz okno. Chciałabym zrobić bukiet.

- Otworzę, jak staniemy. Zbyttno się kurzy spod kół.

- Ale ja chcę nazrywać sobie kwiatów.

- To przecież tylko żywopłot, kochanie. Jak przyjedziemy do domu, będziesz mieć tego w bród.

- Spójrz, z tej strony to samo - powiedziała Kasia.

Scarlett spojrzała. Rzeczywiście. Dziwny gatunek bluszczu z różowymi kwiatkami był zaledwie na wyciągnięcie ręki. Jakaż to cudowna podróż, wśród ścian z kwiatów, i to po obu stronach drogi. Gdy Colum zamknął oczy, ostrożnie opuściła szybę.

Wkrótce Ratharney - powiedział Colum. - Stamtąd do Powiatu Meath już tylko parę mil.

Kasia westchnęła radośnie. Scarlett rozbłysły oczy. Powiat Meath. Papa zawsze mówił o tym jak o prawdziwym raj. Mam nadzieję, że wkrótce się przekonam, dlaczego. Przez otwarte okno wdychała słodkie wonie popołudnia, łagodny zapach różowego kwiecia i bogatą w odcienie mocną woń nagrzaną słońcem trawy z łąk ukrytych za grubym żywopłotem - wreszcie - ostrą ziołową gorycz z samego żywopłotu. Gdyby tak jeszcze Papa mógł być ze mną w tej chwili, do pełni szczęścia niczego by mi nie brakowało... ale tak będę się cieszyć w dwójnasób - za siebie i za niego. Wzięła głęboki oddech - jej nozdrza odnotowały świeżość deszczu w powietrzu.

- Chyba będzie padać...

- Ale nie długo - obiecał Colum. - A kiedy deszcz minie, wszystko będzie pachnieć jeszcze piękniej.

Przez Ratharney przemknęli takim pędem, że Scarlett ledwo co widziała. Żywopłot nagle zniknął, pojawiła się ściana, otwarte okno tej samej wielkości, co okno powozu, w nim czyjaś twarz. Czyjeś oczy spojrzały na Scarlett. Chociaż rząd domów dawno już zniknął, a na ich miejscu pojawił się żywopłot, Scarlett ciągle usiłowała otrząsnąć się z szoku, o jaki przyprawiło ją spojrzenie nieznanym oczu, pojawiających się znikąd i znikających w nicości. W swym pędzie powóz nawet w miasteczku nie zwolnił.

Wkrótce jednak zaczął wytracać szybkość. Droga nie była już taka prosta jak dotychczas, wyginała się w ostre i krótkie zakręty. Scarlett wystawiała głowę przez okno, usiłując dojrzeć, co z przodu.

- Czy już jesteśmy w Powiecie Meath?

- Wkrótce będziemy - odpowiedział Colum.

Przejeżdżali obok malutkiej chaty z szybkością niewiele większą od tempa niespiesznego spaceru, tak że Scarlett miała możliwość dokładnego przyjrzenia się wszystkiemu. Uśmiechała się i pomachała ręką do rudowłosej dziewczynki stojącej w drzwiach. Dziewczynka odwzajemniła uśmiech. Mleczne zęby z przodu właśnie jej wypadły, a ogromna szczerba przydawała uśmiechowi specyficznego uroku. Zresztą wszystko w tym domku zdało się Scarlett urocze: kamienne mury były jasne, framugi małych, prostokątnych okien pomalowane na czerwono. Drzwi też były czerwone, dwuskrzydłowe, jedno skrzydło było w pół uchylone, tak że Scarlett mogła dostrzec skryte w półmroku pomieszczenia rozświetlone czerwonym blaskiem ognia.

Najpiękniejsza z całej chaty była jednak słomiana strzecha - niczym obrazek z bajki. Scarlett odwróciła się z uśmiechem do Columa.

- Gdyby jeszcze to dziecko miało jasne włosy, teraz w każdej chwili oczekiwalabym na trzy niedźwiedzie.

Z wyrazu twarzy kuzyna mogła wnosić, że nie wie, do czego zmierza.

- Baśń o Złotowłosym Dziecku, głuptasku!

Potrząsnął głową.

- Wielki Boże, Colum, przecież to baśń. Nie znacie w Irlandii baśni?

Kasia wybuchnęła śmiechem.

Colum także wykrzywił usta w uśmiechu.

- Scarlett, kochanie - zaczął powoli. - Nic mi nie wiadomo o żadnych baśniach ani niedźwiedziach, jeśli jednak spodziewasz się spotkać czary, to trafiłaś na właściwe miejsce. W Irlandii roi się od czarów.

- Colum, zachowaj powagę.

- Jestem śmiertelnie poważny. Ty zaś albo wysłuchasz opowieści o irlandzkiej magii, albo wpadniesz w kłopoty. Większość z naszych czarów to nic więcej niż tylko drobne niedogodności w życiu codziennym, ale są też takie, z którymi każdy chętnie by miał do czynienia, jak na przykład szewc - skrzat.

Powóz nagle zahamował. Colum wystawił głowę przez okno. Gdy po chwili spojrzął na dwie kobiety w powozie, nie był już uśmiechnięty. Sięgnął po ramię i pociągnąwszy mocno, zamknął okno.

- Siedźcie tu spokojnie. Do nikogo się nie odzywajcie - jego głos brzmiał z lekka chrapliwie. - Pilnuj jej, Kasiu.

Szybko włożył nogi w buty, zręcznie zawiązał sznurowadła.

- Co tu się dzieje?... - zaczęła Scarlett.

- Bądź cicho - syknęła Kasia.

Colum otworzył drzwiczki, sięgnął po kapelusz, wysiadł z powozu, zamknął drzwi. Gdy wychodził, jego twarz była szara jak kamień.

- Kasiu?...

- Sza. To bardzo ważne, Scarlett. Bądź cicho.

Dało się słyszeć głucho, stłumione tąpnięcie. Skórzane ścianki powozu zadrżały. Choć okna były zamknięte, Scarlett i Kasia słyszały głośnie, jakby wyszczekiwane słowa pochodzące od mężczyzny stojącego gdzieś z przodu.

- Ty! Do ciebie mówię, woźnico! Ruszaj. Nie masz tu się na co gapić. A ty, klecho,

chwytaj za manele i już cię tu nie ma.

Dłoń Kasi zacisnęła się na ramieniu Scarlett.

Powóz zakołysał się na resorach, po czym wolno stoczył się na prawą stronę wąskiej drogi. Gałęzie i kolce żywopłotu kłuły w skórzane ścianki. Kasia odsunęła się od okna - gałęzie nieprzyjemnie zgrzytały pocierając o szyby - i przytuliła się do Scarlett. Znowu dał się słyszeć jakiś głuchy odgłos. Obie drgnęły. Scarlett dotknęła ramieniem Kasi. Co tu się dzieje?

Gdy powóz ruszył, po paru chwilach za oknami ukazała się chata - taka sama jak ta, o której Scarlett sądziła, że należy do Złotowłosego Dziecka. W otwartych drzwiach żołnierz w czarnym mundurze ze złotymi galonami ustawiał na stole dwa małe trójnogie stołeczki. Po lewej stronie na narowistym gniadoszu siedział umundurowany oficer, po prawej stronie stał Colum. Spokojnie mówił coś do niskiej, płaczącej kobiety w czarnym szalu, który zsunąwszy się z głowy odkrył jej rude włosy - rozsypały się na ramiona, poprzyklejały do mokrych od łez policzków. Kobieta trzymała w ramionach dziecko. Scarlett widziała, że ma błękitne oczy, na okrągłą główkę opadał strzęp samodziału. Druga dziewczynka - może siostra bliźniaczka stała w uchylonych drzwiach, szlochając matce w fartuch. I matka, i dziecko były na bosaka. Grupa żołnierzy stała na środku drogi obok ogromnego trójnogu z potężnych pniaków. Na górnej poprzeczce, przytrzymywany przez grube liny, wisiał czwarty pień.

- Ruszaj, kmiotku! - krzyknął oficer. Powóz zaskrzypiał i przejechał ocierając się o żywopłot. Scarlett czuła, jak Kasia cała drży. Tak, dzieje się tutaj coś strasznego. Ta biedna kobieta... wygląda jakby miała za chwilę zemdleć... albo popaść w szaleństwo. Cała nadzieja w tym, że Colum jest w stanie jej pomóc.

Kobieta upadła na kolana. Boże, przecież ona mdleje, upuści dziecko! Scarlett sięgnęła do klamki, lecz Kasia chwyciła ją za rękę.

- Zostaw...

- Cicho. Na miłość Boską, zachowuj się cicho.

Rozpaczliwie ponaglający szept Kasi sprawił, że porzuciła swój zamiar.

Coś podobnego! Scarlett spoglądała przez okno, nie wierząc własnym oczom. Płacząca matka chwyciła Columa za rękę i pocałowała go w dłoń. On zakreślił nad jej głową znak krzyża, po czym pomógł jej dźwignąć się na nogi. Dotknął główki dziecka, dotknął główki większej dziewczynki, położył dłonie na ramionach matki i odwrócił ją plecami od domku.

Powóz szarpnął. Powoli potoczył się wzdłuż drogi. Z tyłu znowu rozległo się głuche

dudnienie. Odbili się od żywopłotu, zjechali z pobocza, powóz znalazł się na środku drogi.

- Stać! Woźnica, stać! - krzyknęła Scarlett, zanim Kasia zdołała ją powstrzymać. Colum z każdą chwilą z wolna znikał im z oczu. Nie mogła do tego dopuścić.

- Nie, Scarlett, nie! - błagała Kasia, lecz Scarlett otworzyła drzwi, nim jeszcze wóz wyhamował. Wygramoliła się na drogę i pobiegła w kierunku, skąd dochodził stłumiony łoskot, nie dbając o to, że tren pięknej sukni wala się w rzadkim błocie.

To, co ujrzała, całkowicie ją sparaliżowało. Stała jak wryta, usta otwarta w krzyku protestu. Lecz podczepiony na linach do masywnego trójnogu pień znowu się zakołysał, znowu uderzył w ścianę. Mur zachwiał się, runął do wewnątrz domu, szyby w oknach pękły, sypiąc chmurą szklanego pyłu. Chwilę później same framugi upadły w zwały gruzu, na nie zwały się czerwone drzwi. Huk był potworny - zgrzyty... trzaski... krzyk jakby żywej istoty.

Na chwilę zapanowała cisza, potem znowu jakiś dźwięk - łomot, który przeszedł w huk - zaraz potem rozszedł się swąd jakby smolnego dymu. Scarlett ujrzała pochodnie w rękach trzech żołnierzy. Płomienie łapczywie liznęły słomianą strzechę. W tej chwili Scarlett przypomniały się wszystkie wyczyny armii Shermana, pomyślała o osmalonych ścianach i kikutach kominów w Dwunastu Dębach, w Dunmore Landing... Jęknęła, zdjeta żalem i trwogą. Gdzie Colum? Wielkie nieba, co się mu przytrafiło?

Ze smugi ciemnego dymu, rozciągającej się wzdłuż drogi, wyskoczył jakiś ciemno ubrany człowiek. To on. - Uciekaj! - krzyknął do Scarlett.

- Z powrotem do powozu.

Zanim zdążyła otrząsnąć się z bliskiego hipnotycznemu uśpieniu przerażenia, Colum był już obok niej. Pociągnął ją za rękę.

- Szybko, Scarlett, nie zwlekaj! - zawołał, a choć pośpiech go naglił, ciągle nie tracił opanowania. - Musimy jechać do domu.

Powóz wyrwał naprzód z całą szybkością, jaką konie mogły dać z siebie na krętej drodze. Scarlett, wciśnięta między Kasię a zamknięte okno, kołysała się z boku na bok, lecz ledwo zdawała sobie z tego sprawę. To, co widziała jeszcze przed paroma chwilami, wstrząsnęło nią do tego stopnia, że ciągle pozostawała pod wrażeniem straszego przeżycia. Dopiero gdy powóz zwolnił i spokojnie poturkotał po drodze, serce jej przestało walić jak młot. Teraz mogła złapać oddech.

- Co tam się dzieje? - spytała głosem, który zdał się jej obcy.

- Wyeksmitowali biedaczkę - wyjaśniła Kasia rwącym się z oburzenia głosem. - A

Colum ją pocieszał. Nie powinnaś była wtrącać się w ten sposób. Mogłaś tylko nam wszystkim napisać o biedzie.

- Spokojnie, Kasiu, nie zrzędz - odezwał się Colum. - Przecież Scarlett nie mogła o tym wiedzieć. Przybywa prosto z Ameryki.

Scarlett chciała już zaprotestować, przypomnieć, że z o wiele straszniejszymi rzeczami miała do czynienia, lecz ugryzła się w język. Bardziej jej zależało na tym, by zrozumieć, o co tu właściwie chodzi.

- A dlaczego ją wyeksmitowali? - spytała niecierpliwie.

- Bo nie mieli z czego płacić komornego - wyjaśnił Colum. - Lecz najgorsze z tego wszystkiego jest to, że jej mąż usiłował się przeciwstawić, gdy milicja pojawiła się tutaj za pierwszym razem. Uderzył żołnierza, więc wsadzili go do więzienia, zostawiając żonę z dziećmi na łasce losu.

- Smutne. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Co ona teraz pocnie?

- Ma siostrę. Mieszkają w domu przy drodze, niedaleko. Posłałem ją do niej.

Scarlett nieco odetchnęła. Pożałowania godne. Ta biedna kobieta... wyglądała na bardzo strapioną. W końcu jednak nic jej się nie stało. Siostra mieszka pewnie w tym domku z bajki, to całkiem niedaleko. Poza tym, Bogiem a prawdą, komorne jednak trzeba płacić. Gdyby jej dzierżawca nie płacił dzierżawy za bar, natychmiast znalazłaby sobie kogoś innego na jego miejsce. Sprawą równie niewybaczalną była bójka między mężem tej kobiety a żołnierzem. Przecież ów człowiek musiał wiedzieć, że podnosząc rękę na żołnierza trafi do paki. Nim dopuścił się czegoś równie głupiego, powinien był jednak pomyśleć o żonie i dzieciach.

- Ale dlaczego zniszczyli dom?

- By uniemożliwić mieszkańcom powrót.

Scarlett nie zastanawiała się długo - powiedziała to, co jej przyszło do głowy.

- Co za głupota! Przecież właściciel mógł wynająć dom komuś innemu.

Colum, z miną człowieka zmęczonego, wzruszył ramionami.

- Ale rzecz w tym, że on wcale nie chce wynajmować tego domu. Do domu należy też kawałek gruntu, a właściciel dokonuje właśnie operacji, która tutaj nazywa się „scalaniem gruntów”. To znaczy, że dołączy tę działkę do pastwiska, wypasie bydło i, utuczone, sprzeda na targu. To dlatego podniósł wszystkie czynsze, tak że nie sposób ich płacić. Dzierżawa ziemi już go nie interesuje. Mąż tej kobiety wiedział, na co się zanosi, wszyscy wiedzieli. Czekali dobre parę miesięcy, aż w końcu w domu nie zostało nic do sprzedania... nic, z czego mogliby opłacić komorne. Z upływem miesięcy w

mężczyźnie wzrastał gniew, on to pchnął go do tego, by spróbował dochodzić swego prawem pięści... A kobiety, jak to kobiety... rozpacz wyciska im łzy z oczu, gdy widzą, jak ich mężowie są bezsilni. Ta biedaczka z dzieckiem u piersi usiłowała wejść między taran a ścianę. Dom był ostatnią rzeczą, dzięki której jej mąż mógł się czuć mężczyzną.

Scarlett nic nie powiedziała, bo nic nie przychodziło jej na myśl. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że coś podobnego w ogóle może się wydarzyć. Podłość, ostatnia podłość. Owszem, Jankesi dopuszczali się gorszego, ale to była wojna. Nie burzyli domów tylko dlatego, aby stado krów miało większe pastwisko. Biedna kobieta. Hm... przecież na jej miejscu równie dobrze mogła się znaleźć Maureen z Jankiem przy piersi kiedy był jeszcze mały.

- Jesteś pewny, że ona uda się do siostry?

- Zgodziła się mnie posłuchać, a nie należy do tego rodzaju osób, które miałyby czelność okłamywać księdza.

- Ale nic jej nie będzie, prawda?

Colum uśmiechnął się.

- Nie trap się tym, kochanie. Na pewno jakoś da sobie radę.

- Dopóki nie zaczną „scalać gruntów” na farmie jej siostry - ponuro mruknęła Kasia.

Spadł deszcz. Zakurzone szyby najpierw pokryły się warstwą lepkiej mazi, potem przejaśniały. Woda pociekła z dachu do wnętrza powozu, kropla za kroplą spadały niemal na głowę Kasi - ostre gałęzie żywopłotu wydarły dziurę w skórzanym poszyciu.

- Colum, czy pożyczysz mi swoją wielką chustkę do nosa, żebym mogła zatrzymać ten potop? - spytała rozbawiona Kasia. - Mógłbyś też odmówić księżowską zdrowaśkę na intencję powrotu słońca.

Jak to możliwe, że po tym wszystkim, czego świadkami byli przed chwilą, z ogromną dziurą w dachu tuż nad głową, Kasia znalazła powód do śmiechu. Patrzcie! Colum śmieje się razem z nią.

Powóz toczył się teraz szybciej, znacznie szybciej niż przed paroma minutami. Woźnica chyba oszalał. Przez ścianę deszczu trudno było cokolwiek dostrzec, droga wąska i kręta. Jeszcze tak kilka chwil, a ze skózanego poszycia zostaną strzępy.

- Scarlett, kochanie, czy nie sądzisz, że koniki naszego Jima opadła wielka ochota do jazdy? Pewnie sobie myślą, że są końmi wyścigowymi. Skoro jednak Jim pozwolił sobie na taką gonitwę, znak to niechybny, że dom już niedaleko. Wobec tego opowiem ci o naszych domowych duszkach, tak, byś spotkawszy przedstawicieli tego małego ludku wiedziała, z kim masz do czynienia.

Nagle przez zbryzgane wodą szyby przebiły się pierwsze promienie słońca, rozszczepiając się w kropelkach deszczu w tęczowe rozbłyski. Dziwne - pomyślała Scarlett. To przez chwilę pada deszcz, to słońce wychodzi zza chmur, by zaraz potem znowu spadła ulewa. Odwróciła wzrok od okna iskrzącego się wszystkimi kolorami tęczy i spojrzała na Columa.

- Widziałaś te irlandzkie skrzaty na paradzie w Savannah - zaczął Colum. - I widziałaś, jak sobie z nich kpiono. Bogu niech będą dzięki, że w Ameryce nie ma krasnali, bowiem natychmiast zawrzałyby gniewem i skrzyknęły się, by wyrzucić zemstę, a zemsta ich jest straszna. Wszakże w Irlandii, gdzie wszyscy darzymy je należytym respektem, nie szkodzą nikomu, o ile nikt nie wchodzi im w drogę. Znajdują sobie miłe miejsce na pomieszkanie i osiadają, by wykonywać swój fach łączeni butów. Ale nie w grupie. Skrzaty to samotniki z natury, każdy więc zajmuje miejsce dla siebie i tak, jeden za drugim, zaludniają całą okolicę. Jeśli wysłuchałaś dość opowieści o krasnalach, nie powinnaś mieć kłopotu ze znalezieniem ich nad każdym strumieniem, przy każdym kamieniu. Dowiesz się, gdzie są, wsłuchując się w „stuk - stuk” młotka, wyklepującego podeszwy i obcasy. A jeśli umiesz podpełzać cichutko niczym gąsienica, może ci się uda spostrzec skrzata, gdy nawet nie będzie zdawał sobie sprawy z twojej obecności, wtedy możesz go schwytać. Niektórzy mówią, że najlepiej łapać skrzaty za rękę lub kostkę, większość jednak zgodnie twierdzi, że wystarczy skupić na takim wzroku, a już go masz... Wtedy zacznie cię błagać, byś go puściła wolno, musisz jednak mieć twarde serce i odrzucać wszystkie prośby. Oczywiście zaraz zacznie ci obiecywać spełnienie najtajniejszych nawet pragnień, lecz nie wierz mu, bo to notoryczne kłamczuchy. Gdy zacznie grozić, nie masz się czym przejmować, nie może cię bowiem skrzywdzić, najlepiej wszystko zlekceważyć. W końcu poczuje się zmuszony okupić swą wolność jednym ze skarbów, których wiele zgromadził w bezpiecznej kryjówce gdzieś w pobliżu... Cenne to są skarby. Na przykład garniec złota, niewiele wart dla niewprawnego oka, dzięki skrzaciej przebiegłości może się okazać garncem bez dna, tak że do końca swych dni będziesz czerpać z niego cenny kruszec, a będzie go coraz to więcej... Odda ci wszystko, byleby tylko odzyskać wolność, skrzaty bowiem nie lubią towarzystwa. Samotniki z natury, za prawo do samotności zapłacą każdą cenę. Są jednak okropnie sprytnie, tak że ten, kto je schwyta, strzec się musi, by nie umknęły mu, odwracając jego uwagę. Bo jeśli choć na chwilę zwolnisz chwyt lub bodaj na moment spuścisz ze skrzata wzrok, nijak się nie wzbogacisz, chyba że tylko o opowieść, którą będziesz mogła zabawiać znajomych.

- Gdy w grę wchodzi skarby, nie jest wielką sztuką trzymać mocno zaciśniętą dłoń lub patrzeć uważnie - odezwała się Scarlett. - To, co opowiedziałeś, nie brzmi rozsądnie.

Colum roześmiał się.

- Moja droga córuchno, praktyczna i z głową do interesów, najwidoczniej sama jesteś podobna do skrzaciego ludka i jak on znajdujesz przyjemność w zastawianiu pułapek. Skrzaty nie muszą się ciebie obawiać, mogą liczyć na to, że zostawisz ich w spokoju, ponieważ z zasady nie wierzysz w baśnie. Gdybyś szła dróżką i usłyszała postukiwania skrzacich młoteczków, na pewno byś się nie zatrzymała i nie rozejrzała się w poszukiwaniu przyczyny.

- Zrobiłabym to, gdybym wierzyła w bzdury.

- A, tu cię mam. Skoro nie wierzysz, to się nie zatrzymasz.

- Trele morele! Zabawiasz mnie jakimiś opowiastkami o czymś zupełnie pozbawionym znaczenia i jeszcze mnie krytykujesz!

Powoli rosła w niej wściekłość. Zabawy w słówka oraz łamigłówki z rodzaju tych, które wszczął Colum, były nieuczciwością, a poza tym do niczego nie prowadziły.

Za to nie przyszło jej do głowy, że kierując rozmową na temat irlandzkich skrzatów, Colum odwrócił jej uwagę od eksmisji.

- Czy już opowiedziałeś kuzynce Scarlett o Molly? - spytała Kasia. - Uważam, że należy ją przed nią ostrzec.

Scarlett zapomniała o skrzatach. Zwietryła plotki, a na to zawsze miała ochotę. Z lubością pociągnęła nosem.

- Kto to jest Molly?

- To pierwsza z rodu O'Harów, którą spotkasz w Adamstown - wyjaśnił Colum. - Siostra Kasi i moja.

- Przyrodnia siostra - poprawiła go Kasia. - Czyli jakby półsiostra. Zresztą o połowę za dużo.

- Mów! - zażądała Scarlett.

Opowieść trwała tak długo, że gdy dobiegła końca, podróż też prawie już się kończyła, lecz zasłuchana w rodzinnych historiach Scarlett ani nie zauważyła upływu czasu, ani drogi.

Colum i Kasia byli zatem przyrodnim rodzeństwem - tyle dowiedziała się już na początku. Ich ojciec Patryk O'Hara - jeden ze starszych braci Geralda - żenił się trzy razy. Owocem pierwszego małżeństwa był Kuba - syn, który wywedrował do Ameryki i

osiedlił się w Savannah, oraz Molly - kobieta, jeśli wierzyć Columowi - wielkiej urody...

W latach wczesnej młodości - jeśli wierzyć Kasi.

Patryk ożenił się po raz drugi, gdy pierwsza żona umarła. Z tego związku urodziła się Kasia oraz Stefan.

Ten mruk - nie omieszkała dodać w myśli Scarlett.

W Adamstown mieszkało obecnie dziesięcioro kuzynów, z których wielu miało dzieci, a paru nawet doczekało się wnuków. Patryk, Panie świeć jego duszy, zmarł piętnaście lat temu, rocznica będzie jedenastego listopada.

Osobno wspomnieć wypada o wuju Danielu - jeszcze żyje - oraz jego dzieciach i wnukach. Z nich Mateusz i Gerald przenieśli się do Savannah, lecz sześcioro pozostało w Irlandii.

- Chyba nigdy nie dojdę z nimi wszystkimi do ładu - westchnęła Scarlett, zaniepokojona liczebnością rodziny. Już w Savannah ciągle jej się myliły imiona dzieci.

- Colum postanowił ułatwić ci początek - powiedziała Kasia. - W domu Molly nie znajdziesz żadnego z O'Harów, poza nią jedną, ale i ona czyni wszystko, by wyprzeć się własnego nazwiska.

Colum, z pomocą Kasi, opowiedział Scarlett koleje losu Molly. Wyszła za mąż za Roberta Donahue, człowieka, by rzec potocznie, „nadzianego”, właściciela wielkiego, kwitnącego gospodarstwa o powierzchni stu akrów z kawałkiem. Był, jak to się w Irlandii mówi, „panem na zagrodzie”. Początkowo Molly pracowała u niego jako kucharka, lecz gdy umarła pierwsza żona Roberta, po należytej żałobie zajęła jej miejsce. Tak oto została drugą żoną Donahue'a i macochą dla jego czworga dzieci.

Molly nie była specjalnie lubianą przez krewnych - powiedział Colum tonem dość neutralnym, na co Kasia chrząknęła znacząco. Niewykluczone jednak - ciągnął - że niechęć owa brała się stąd, iż Robert Donahue był właścicielem ziemi dzierżawionej przez O'Harów - podnajmował im niewielką farmę.

Po czym Colum przystąpił do wyliczania dzieci i wnuków Roberta, lecz przytłoczona strumieniem imion i dat urodzenia Scarlett zupełnie się w tym pogubiła, tak że przestała słuchać i pilnie nastawiła uszu dopiero w chwili, gdy Colum wspomniał o jej babce.

- Twoja wiekowa imienniczka mieszka w domku, który zbudował jej mąż, gdy się pobrali, a więc w 1789. Nic nie jest w stanie jej skłonić do przeprowadzki. Mój i Kasi ojciec, po raz pierwszy ożeniony w 1815, zabrał żonę do domu, gdzie nie było już jak wetknąć szpilki. Kiedy zaczęły na świat przychodzić dzieci, obok dawnego domu

postawił nowy, większy, z ogromnym pokojem, gdzie przy kominku stało wielkie łoże, specjalnie ogrzewane ze względu na sędziwy wiek jego matki. Ale staruszka nie dała się skusić. Tak tedy Sean mieszka w jednej chatce z babką, a dziewczynki, Kasia także, pomagają im w gospodarstwie.

- O ile nijak nie można się od tego wywinąć - uzupełniła Kasia. - Babcia właściwie niczego nie potrzebuje, wystarczy przebiec miotłą po izbie, a potem poprawić wilgotną ścierką, za to Sean znajdzie ślady błota nawet i na najczystszej podłodze. A ileż roboty z cerowaniem przysparza ten człowiek! Potrafi przetrzeć nową koszulę, jeszcze zanim zdążysz przyszyć do niej guziki. Sean jest bratem Molly, czyli naszym przyrodnim. Żaden z niego mężczyzna, prawie takie zero, jak Tymoteusz, chociaż dwadzieścia lat od niego starszy, a może nawet dwadzieścia z okładem.

Scarlett była całkiem oszołomiona. Już nawet nie śmiała pytać, kim jest ten Tymoteusz, w obawie, że odpowiedź pociągnie za sobą następną lawinę imion.

Tak czy inaczej, na pytanie nie było już czasu. Colum otworzył okno i krzyknął do woźnicy:

- Zwolnij, Jim, jeśli łaska. Dosiąde się do ciebie na kozioł. Zaraz skręcamy w boczną drogę, tam z przodu. Muszę ci pokazać, gdzie.

Kasia chwyciła go za łokieć.

- Och, Colum, pozwól, że i ja z tobą wyjdę. Chcę pójść do domu na piechotę. Scarlett to i tak obojętne, czy ze mną pojedzie do Molly, czy sama, prawda?

Uśmiechnęła się do Scarlett z taką nadzieją w oczach, że Scarlett musiała się zgodzić, nawet jeśli wcale nie chciała tych paru minut dla siebie.

Ale i tak wcale nie miała zamiaru wchodzić do domu rodzinnej piękności - nieważne, jak już wyblakłej - nie zwilżywszy chusteczki i nie otarłszy kurzu z twarzy i z butów. Parę kropli wody toaletowej ze srebrnej flaszeczki w sakiewce i nieco pudru bardzo by się przydało. No i może jeszcze bardzo, bardzo cieniutka warstewka różu.

50.

Ścieżka do domu Molly biegła przez mały sad jabłkowy. W mrocznej poświacie zwiewne, koronkowe kwiaty zdały się fiołkowe na tle ciemnego, niskiego nieba. Gęste rabaty pierwiosnków okalały kanciastą bryłę domu. Wszystko było utrzymane we wzorowym porządku.

W środku dom wyglądał równie schludnie. Obite sztywną plecionką z końskiego włosia meble w salonie przykrywały białe, wykrochmalone pokrowce, każdy stół przykryty był wykończonym sztywną, białą koronką obrusem, w kominku lśnił doskonale wypolerowany mosiężny ruszt nie skażony choćby drobiną popiołu.

Także Molly była osobą nieskazitelnych manier i ubioru. Suknię w kolorze czerwonego wina zdobił rząd srebrnych, błyszczących guzików, ciemne, starannie utrzymane włosy o pięknym połysku zwijały się w zgrabne pukle pod misternej roboty mereżkowym czepeczkiem wykończonym fałdami koronek. Molly nadstawiła Scarlett do pocałunku prawy policzek, Columowi lewy i gdy jej przedstawiono kuzynkę z Ameryki, wytrajkotała nieśmiertelne, „serdecznie witamy”.

I pomyśleć, nawet nie spodziewała się gości. Scarlett była mile zaskoczona niezaprzeczalną urodą Molly. Cery równie aksamitnej nigdy jeszcze nie widziała, jej jasnyniebieskich oczu nie szpeciły ni cienie, ni worki. Kurzych łapek też nie miała, jak również śladu zmarszczek, no, może poza niewielką bruzdą biegnącą od nosa do kącika ust, lecz nawet dziewczętom to się zdarza - podsumowała Scarlett pierwsze, powierzchowne wrażenia. Nie, Colum na pewno się pomylił - Molly nie mogła dźwigać szóstego krzyżyka.

- Taka szczęśliwa jestem. że cię widzę - wyszczebiotała Scarlett. - I taka wdzięczna za gościnę, że słów nie dość, by radość wyrazić. Co za cudowne uczucie, znaleźć się w takim pięknym domu.

No, no. Aż taki piękny to on znowu nie był. Pewnie, czysto tu i ściany świeżo pomalowane, ale salon wcale nie większy od najmniejszego pokoju w rezydencji przy Brzoskwiniowej.

* * *

- Wielki Boże, Colum, jak mogłeś wyjść i zostawić mnie samą? - poskarżyła się następnego dnia. - Ten Robert to największy nudziarz na świecie. Nic, tylko opowiada o swoich krowach i o tym... litości!... ile która mleka daje. Myślałam, że nim obiad dobiegnie końca, nie wytrzymam i zacznę jęczeć. Obiad, nie kolacja. Powtarzali mi to z

pięćdziesiąt osiem razy. A cóż to za różnica?

- W Irlandii Anglicy wieczorem jedzą obiad. Irlandczycy kolację.

- Ale oni nie są Anglikami.

- Za to mają takie ambicje. Robert wypił kiedyś we dworze szklaneczkę whisky z rządcą hrabiego, gdy płacił mu dzierżawę.

- Colum! Żartujesz.

- Śmieję się z tego, Scarlett, ale nie żartuję. W każdym razie nie masz co się tym przejmować. W tej chwili ważne jest tylko to, czy dostałaś wygodne łóżko.

- Tak przypuszczam. Mogłabym zasnąć i na sienniku z kukurydzy, taka byłam zmęczona. A teraz chętnie bym się gdzieś przeszła, tyle się wczoraj wyjeździłam. Daleko stąd do babci?

- Gościńcem będzie dobre ćwierć mili, nie więcej.

- „Gościńcem”, dobre sobie. Co za wyszukane słowa. W Ameryce powiedzielibyśmy raczej „ścieżka”. Tylko że w Ameryce nie rosną przy drogach takie piękne żywopłoty. Chyba wprowadzę w Tarze zwyczaj sadzenia żywopłotu zamiast budowania ogrodzeń. Długo trzeba czekać, aż urosnie?

- To zależy, jakiego rodzaju krzewy posadzisz. A co najlepiej rośnie w Powiecie Clayton, jakie krzaki? Może znasz jakiś gatunek drzewek, które można przycinać?

Jak na osobę duchowną, Colum jest zadziwiająco dobrze poinformowany w tym, co się tyczy sadzenia i pielęgnacji roślin - myślała Scarlett, podczas gdy on wyjaśniał jej, jak trzeba dbać o żywopłot. Zupełnie jednak nie umiał oceniać odległości. Droga do domu starszej Kasi Scarlett ciągnęła się znacznie ponad ćwierć mili.

Nagle żywopłot się skończył. Znaleźli się na otwartej przestrzeni. Ich oczom ukazała się kryta strzechą chata o pobielanych ścianach, małych, pomalowanych na niebiesko oknach, błyszczących czystością. Gruba smuga dymu z niskiego komina ciągnęła się bladą linią po jasnobłękitnym, opromienionym południowym słońcem niebie, w otwartym oknie, na niebieskim parapecie spał szarobury kot.

- Jaki wdzięczny widok! Jak to możliwe, żeby chaty lśniły taką nieskazitelną bielą? Czy to zasługa deszczu?

W nocy padało trzy razy, jeszcze zanim poszła spać, a błoto na drodze kazało Scarlett przypuszczać, że i później też były jakieś przelotne opady.

- O, niewątpliwie, jest w tym także trochę zasługi deszczu - odparł Colum z uśmiechem. Był mile zaskoczony, że mimo długiego spaceru nie usłyszał słowa skargi na błotnistą drogę, po której spacer w długiej sukni niekoniecznie mógł się zdać rzeczą

przyjemną, co zresztą w równym stopniu dotyczyło butów.

- Ale w większej części należy przypisać zasługę temu, że odwiedzasz nas w stosownym czasie. My, Irlandczycy, bezwarunkowo robimy wielkie porządki dwa razy w roku: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Wtedy to malujemy domy wewnątrz, a zewnątrz świeżo bielimy. Wejdziemy zobaczyć, czy babcia nie ucięła sobie drzemki?

- Jestem zdenerwowana - przyznała Scarlett. Nie powiedziała jednak, dlaczego. W rzeczy samej obawiała się ujrzeć osobę, która ma prawie sto lat. A jeśli na jej widok żółądek odmówi jej posłuszeństwa? Co wtedy?

- Nie zabawimy tu długo - powiedział Colum, jakby czytając w jej myślach. - Zostaliśmy zapowiedzeni na herbatkę, nic więcej.

Scarlett, idąc jego śladem, obeszła chatę od frontu. Górna połowa niebieskich drzwi była otwarta, lecz w półmroku niczego nie sposób spostrzec. Było jedynie czuć dziwny zapach, jakby ziemisty i gorzki. Scarlett zmarszczyła nos, czy to tak śmierdzi starość?

- Czujesz dym z palonego torfu? - zapytał Colum. - Tak oto pachnie gorejące serce Irlandii. Molly pali węglem. Ciepło nie to, ale tak bardziej po angielsku. W Irlandii ogień z brykietów torfowych, to jakby synonim domowego ogniska. Maureen mówiła mi, że śni o tym po nocach i budzi się pełna tęsknoty. Gdy będziemy wracać do Savannah, zawiozę jej w prezencie parę brykietów.

Scarlett pociągnęła nosem, ciekawa, co szczególnego czuć w tym zapachu. Śmieszne. Niby dym, a jednak nie tak zupełnie... Przez niskie drzwi weszła za Columem do chaty. Zamrugnęła, przyzwyczajając oczy do ciemności.

- Czy to wreszcie ty, Columie O'Haro? Hm... ciekawe, czy przyprowadziłeś tu Molly zamiast obiecanego przez Brygidkę prezentu w postaci córki mego Geralda? - odezwał się przykry, najwidoczniej zaprawiony do swarów głos, ani jednak nie drżący ze starości, ani nie słaby. Scarlett ulżyło. Zdenerwowanie ustąpiło miejsca ciekawości: oto wreszcie pozna matkę Papy, o której tylekroć jej opowiadał.

Przebisnęła się obok Columa, przyklękła przed siedzącą na fotelu tuż obok kominka staruszką.

- To ja, babciu, córka Geralda. Jestem Kasia Scarlett. Papa dał mi imiona po tobie.

Babka była osobką szczupłą, brązowej karnacji - cera, sto lat prawie wystawiana na słońce i deszcz, i wiejskie świeże powietrze, pociemniała i nabrała barwy miodu. Twarz miała okrągłą, jak jabłuszko, za długo trzymane w spiżarni. Lecz spojrzenie jej bladoniebieskich oczu jasne było i przenikliwe. Plecy otuliła grubym jasnoniebieskim wełnianym szalem, spadającym z ramion na piersi, długimi frędzlami dotykającym

podółka. Spod czerwonego włóczkowego czepeczka wykradały się pasemka rzadkich, siwych włosów.

- Niech no na ciebie spojrzę, dzieciątko - rzekła, ujmując Scarlett pod brodę.

- Na Świętych Pańskich, ten łobuz nie kłamał - przeżegnała się. - A nie wierzyłam mu, gdy w którymś z listów przeczytałam, że masz zielone kocie oczy. Niby po kim, pomyślałam sobie wtedy i doszłam do wniosku, że kiedy to pisał, musiał być zalany. Powiedz, dziecko, czy twa droga mateczka była wiedźmą?

Scarlett wybuchnęła śmiechem.

- Powiedzieć o niej, że święta, to za mało!

- Czy być może? I taka kobieta wyszła za mąż za mojego Geralda? A może zyskała laur męczeński dopiero, gdy za niego wyszła? To bardziej prawdopodobne. Powiedz, dziecko, czy aż do końca swych dni pozostał pieniactwem, Panie świeć jego duszy?

- Obawiam się, że tak, babciu.

Kościstym palcem odepchnęła ją lekko do tyłu.

- „Obawiam się...”? I dzięki Bogu! Modliłam się, żeby Ameryka nie zepsuła tego chłopca. Colum, jako wotum ode mnie zapalisz przed ołtarzem świecę.

- Zapalę.

Znowu obiegła ją badawczym spojrzeniem.

- Nie poczytuję ci tego za złe, Kasiu Scarlett. I przebaczam.

Uśmiechnęła się - nareszcie. Małe ściągnięte usteczka rozpromieniły się serdeczną czułością, ukazując różowe, bezzębne dziąsła.

- Drugą świecę każę zapalić za łaskę ujrzenia cię, nim jeszcze zamknęłam oczy. Oczy Scarlett rozbłysły łzami.

- Dziękuję, babciu.

- Proszę bardzo, proszę bardzo - wyszeptwała staruszka. - A teraz, Colum, zabierz ją stąd. Czuję, że czas na drzemkę.

Zamknęła oczy. Broda opadła jej na piersi.

Colum dotknął Scarlett za ramię.

- Idziemy.

* * *

Z pobliskiego domu wybiegła Kasia, wprawiając kury w popłoch i wywołując pełne trwogi gdakanie.

- Witamy w domu! - krzyknęła radośnie. - Herbata paruje w dzbanku, znajdą się też świeże, drożdżowe racuszki, specjalnie dla ciebie.

Scarlett była zdumiona zmianami, które zaszły w wyglądzie Kasi. Sprawiała wrażenie osoby niezmiernie szczęśliwej. Jakby sił jej przybyło. Ubrana była w coś, co - jak sądziła Scarlett - było spódnicą, brązową, długą do kostek, na niebieskich i żółtych halkach. Z jednej strony podciągnięta, rąbkiem zaczepiona za domowy fartuszek, tym wyraźniej ujawniała barwne falbany. Tak foremnej spódnicy Scarlett nie posiadała, dziwiła się tylko, dlaczego Kasia nie założyła pończoch i butów - pończochy dopełniałyby efektu.

Zamierzała poprosić Kasię, żeby przeniosła się do Molly. Bo nawet jeśli serdecznie jej nie znosiła i nie kryła swej niechęci, przecież jednak mogłaby wytrzymać te cztery dni - bardzo jej była potrzebna. Wprawdzie Molly miała pannę służącą, zdatną też jako pokojówka, ale włosy to układała beznadziejnie. Ale ta Kasia - szczęśliwa, że znajduje się wreszcie u siebie w domu, pewna własnego miejsca na ziemi - już nie była tym wystraszoną dziewczątkiem, szczęśliwym, że może skakać na czyjeś rozkazy, jak zapewne powiedziałaby Scarlett. Nawet w ruchach Kasi nie dostrzegłbyś śladu, że była pokojówką. Scarlett nie pozostawało nic innego, niż tylko układać włosy w niezgrabny kok lub ukrywać pod siateczką. Westchnęła ciężko i weszła do domu.

Dom był malutki. Większy wprawdzie od chaty, gdzie mieszkała babcia, lecz za mały na mieszkanie dla całej rodziny. Gdzie oni wszyscy śpią? Z dworu wchodziło się wprost do kuchni - pomieszczenia dwukrotnie większego od kuchni w chacie Kasi Scarlett, lecz mimo to o połowę mniejszego od sypialni Scarlett w Atlancie. Rzeczą przyciągającą uwagę był tutaj wielki kamienny kominek na środku ściany po prawej stronie. Z lewej strony kominka niebezpiecznie strome schody prowadziły do jakiegoś otworu w ścianie. Drzwi z prawej strony prowadziły do pokoju.

- Weź krzesło przy ogniu - poprosiła Kasia.

Na kamiennej płycie paleniska płonął niski ogień podsycany kawałkami wysuszonego torfu. Ciepło płomienia ogrzewało kamienne płyty podłogi. Ogień był błądy i niepozorny, a wszechobecny zapach mydła mieszał się z ostrą wonią dymu płonących brykietów.

Wielki Boże - pomyślała Scarlett. Ależ ta moja rodzina klepie biedę. Jak to możliwe, żeby Kasia wypłakiwała oczy z tęsknoty za tą nędzą? Zmusiła się do uśmiechu, zajęła miejsce na krześle z wysokim oparciem, które Kasia przysunęła do kominka.

W ciągu następnych paru godzin Scarlett miała okazję przekonać się na własne oczy, dlaczego Kasia nad rozrzutne, względnie luksusowe życie w Savannah przekładała ubogi żywot w bielonej wapnem, krytej strzechą chacie w Powiecie Meath.

O'Harowie w Savannah stworzyli sobie wysepkę szczęścia odtwarzając życie takim, jakim je zapamiętali z Irlandii. Tu był oryginał.

W otwartej górnej połowie drzwi co rusz ukazywały się jakieś głowy, co chwilę ktoś wykrzykiwał „Panie Boże, dopomóż”, co moment Kasia wołała „A wejdźcie, usiądźcie u kominka” i wtedy w kuchni pojawiali się właściciele głów i głosów. Kobiety, dziewczęta, dzieci, chłopcy, mężczyźni wchodzili i wychodzili pojedynczo, parami, po troje. Dźwięczne irlandzkie głosy witały i pozdrowiały Scarlett, po czym witały i pozdrowiały Kasię, ciesząc się, że znowu jest w domu, a było w nich tyle ciepła i serdeczności, że zdało się, iż mógłbyś objąć je dłońmi, tak były namacalne. Ten świat tak różnił się od tego, gdzie przejmowano i oddawano wizyty, jak dzień jest różny od nocy. Przybysze mówili Scarlett, że są z nią spokrewnieni, a następnie wyjaśniali rodzaj i stopień powinowactwa. Mężczyźni i kobiety mówili o jej ojcu - wspomnienia, które przekazali im rodzice, dziadkowie - a które teraz przywoływali z pamięci. Scarlett miała wrażenie, że widzi rysy Papy na twarzach wielu tu obecnych, że słyszy brzmienie jego głosu w ich głosach. To tak, jakby Gerald był tu we własnej osobie... Teraz już wiem jak wyglądał - myślała - kiedy był młodszy, gdy jeszcze nie opuścił Irlandii.

Goście opowiadali Kasi ostatnie plotki ze wsi i z miasta, tak że niewiele czasu minęło, a Scarlett wydawało się, jakby знаła kowala i proboszcza, właściciela *pubu* i kobietę, której kura prawie codziennie zносиła jajko z podwójnym żółtkiem. Dlatego gdy w drzwiach ukazała się łysina ojca Danahera, zdało się to czymś najnaturalniejszym pod słońcem, a kiedy wszedł, wraz z innymi, niejako automatycznie, spojrzała na jego sutannę, by upewnić się, czy zacerowano już dziurę wyrwaną przez ostry pręt w cmentarnej bramie.

Jak to w Powiecie - pomyślała, spoglądając po twarzach. Wszyscy znają wszystkich, nic się przed nikim nie ukryje. Ale tu jest jakby ściślej, bliżej, przytulniej. Słyszała i czuła - choć nie potrafiłaby tego nazwać słowami - że ten światek, gdzie się znalazła, jest jej życzliwszy, niż jakikolwiek inny. Wiedziała jedynie tyle, że dobrze jej tu.

To najlepsze wakacje, jakie w ogóle można by sobie wyobrazić. Ależ będę miała Rettowi do opowiadania. Może kiedyś przyjedziemy tu razem... Paryż czy Londyn nigdy mu nie imponowały. Oczywiście nie będziemy wtedy żyć jak ci tutaj... to zbyt po... chłopsku. Ależ też bardzo to oryginalny tryb życia, uroczy i bardzo zabawny. Jutro trzeba by się ubrać w te spódnice, które kupiłam w Galway, o gorsecie mowy nie ma. Ciekawe... czy będzie mi lepiej w błękitnej spódnicy z żółtą halką, czy może w czerwonej...

Z daleka dobiegł głos dzwonu, a wtedy dziewczyna, która właśnie pokazywała Scarlett ząbkując niemowlę, zerwała się ze stołka.

- Anioł Pański! I któżby uwierzył, że tak się zagadałam, że zapomniałam o Kevinie? Biedak, sam siedzi w domu, a ja nawet nie nastawiłam obiadu!

- To weź od nas królika w potrawce, Mario Heleno. Czyż Tomasz nie zasłużył na nią? Sam złapał te cztery tłuste sztuki! To miało być na powitanie - odezwała się Kasia.

Nie minęła minuta, a Maria Helena ruszyła do domu z dzieckiem w jednej ręce, z owiniętym w serwetkę garnkiem w drugiej.

- Colum, zechcesz pomóc mi w nakrywaniu do stołu? Zaraz przyjdą mężczyźni na obiad. Nie wiem, gdzie się podziała Brygidka.

Jeden za drugim mężczyźni wracali z pola. Scarlett poznała jednego z braci ojca - Daniela - wysokiego, pełnego życia, szczupłego i nieco kanciastej budowy ciała staruszka w wieku lat osiemdziesięciu oraz jego synów. Było ich czterech: najmłodszy miał dwadzieścia lat, najstarszy czterdzieści cztery, Mateusza i Geralda poznała już w Savannah. W domu chyba wszystko biegło utartą koleją, dokładnie tak, jak wtedy, gdy Papa był jeszcze młody. Wśród wysokich jak dęby mężczyzn Colum sprawiał wrażenie zaskakująco niskiego.

Brygidka wbiegła zdyszana właśnie w chwili, gdy Kasia nakładała potrawkę z królika do biało - niebieskich misek. Była cała mokra. Suknia przywarła jej do ramion. Mokre włosy spadały na plecy. Scarlett zerknęła przez uchylone drzwi - na dworze dzień był słoneczny i suchy.

- A cóż to, wpadłeś do studni, Brygidko? - spytał najmłodszy z braci, Tymoteusz. Korzystał z okazji, by odwrócić uwagę od siebie, bowiem bracia kpili z jego słabości do niewymienionej z imienia dziewczyny, którą określali jako „złotowłosa”.

- Myłam się w rzece - odpowiedziała, po czym wzięła się do jedzenia, ignorując wrzawę wywołaną tym krótkim stwierdzeniem. Nawet Colum, nieskory do gniewu, podniósł głos i stuknął pięścią w stół.

- Spójrz na mnie, Brygido O'Haro, oderwij wzrok od królika. Czy nie wiesz, że Boyne co roku domaga się ofiary z ludzkiego życia, i to bez mała na każdej mili swej długości?

Boyne.

- Czy to ta sama Boyne, nad którą stoczono bitwę? - spytała Scarlett.

Zgiełk przy stole ucichł, jak nożem uciął.

- Papa opowiadał mi o niej setki razy. Wiem, że w wyniku tej bitwy nasza rodzina

straciła całą ziemię.

W przykrej ciszy pracowicie szczękały noże i widelce.

- Tak, to ta rzeka - odparł Colum. - Ale chociaż straciliśmy przez nią ziemię, rzeka ma się dobrze i płynie, znacząc granicę tego kraju. Pokażę ci ją kiedyś, jeśli zechcesz ją zobaczyć, pod warunkiem jednak, że nie przyjdzie ci do głowy korzystać z niej jako cebrzyka do kąpieli. Brygidko, znałem cię jako całkiem rozsądną dziewczynę. Co cię dziś opętało?

- Kasia powiedziała, że przyjechała kuzynka Scarlett, a Eileen postraszyła mnie, że zanim pokojówka wielkiej damy dotknie jej sukni lub włosów, to przedtem musi dokładnie się wyszorować. No to poszłam i się wyszorowałam.

Podniosła głowę. Po raz pierwszy spojrzała na Scarlett.

- Chcę znaleźć uznanie w twoich oczach, kuzynko, bo chcę, żebyś wzięła mnie ze sobą do Ameryki.

Jej błękitne oczy pełne były powagi, wysunęła podbródek, co oznaczało stanowczość i upór. Scarlett spodobała się na pierwszy rzut oka. Ta dziewczyna na pewno nie będzie wylewać łez z tęsknoty za domem. Cóż z tego - pożytku z niej tyle, co do końca podróży. Damy z Południa nie mogą mieć białych pokojówek. Zaczęła szukać w myśli właściwych słów, tak, by odmawiając, nie urazić dziewczyny.

Colum ją w tym wyręczył.

- Owszem, postanowiliśmy właśnie, że popłyniesz z nami do Ameryki, lecz ryzykując życiem...

- Hurra! - przerwała mu Brygidka. Zaraz jednak spiekła raka. - Jako pokojówka nie będę taka hałaśliwa - zapewniła Scarlett z najszczerzą powagą, a następnie zwróciła się do Columa.

- Kąpałam się przy brodziku, wody tam po kolana, a i to zaledwie. Nie jestem aż taka głupia.

- Już my się przekonamy, jakiego rodzaju głupota cię opadła - powiedział i uśmiechnął się. Scarlett powie ci, jak trzeba chodzić koło wielkiej damy, ale nie wcześniej, nim wybierzemy się w rejs. Dwa tygodnie i jeden dzień podróży to dość czasu, by nauczyć się wszystkiego. Zanim jednak nie odpłyniemy, lepiej pozostań z Kasią w domu i czyń, co należy.

Brygidka westchnęła ciężko.

- Jak widać, być najmłodszą w domu to cała góra problemów.

Wszyscy zaczęli gwałtownie jej zaprzeczać. Wszyscy z wyjątkiem Daniela, który

podczas całego obiadu nie odezwał się ani słowem. Gdy posiłek dobiegł końca, Daniel odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Najlepiej osuszać rowy, kiedy jest sucho - powiedział. - Kończcie jeść i wracajcie do pracy.

Skłonił się ceremonialnie przed Scarlett.

- Droga Kasiu Scarlett O'Haro. Wielki to dla mnie zaszczyt, że mogę cię gościć pod moim dachem. Witaj! Ojciec twój wielce był tu przez wszystkich umiłowany. Jego nieobecność kładła się kamieniem na moim sercu przez lat pięćdziesiąt, a nawet dłużej.

Scarlett, zaskoczona, nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Nim cokolwiek przyszło jej na myśl, Daniel zniknął gdzieś za stodołą w drodze na pole.

Colum odsunął swoje krzesło od stołu i przeniósł je bliżej kominka.

- Trudno ci może to docenić, kochanie - odezwał się do Scarlett - ale wywarłaś wielkie wrażenie w tym domu. Pierwszy raz w życiu słyszałem, żeby Daniel skorzystał z języka w innym celu niż do rozmowy o gospodarstwie. Lepiej pilnie uważaj na każdy krok, w przeciwnym razie wdowcy i starzy kawalerowie z okolicy zmówią się i rzucą na ciebie urok, żebyś została tu na zawsze. Daniel, jak wiesz, jest wdowcem i nowa żona bardzo by mu się przydała.

- Ależ to starzec!

- A czy jego matka nie dożyła setki? Ma jeszcze przed sobą szmat czasu. Dobrze byłoby mu przypomnieć, że jednak zostawiłaś w domu męża.

- Dobrze będzie przypomnieć memu mężowi, że nie jest jedynym mężczyzną na świecie. Powiem mu, że w Irlandii zyskał sobie rywala.

Na samą myśl o tym uśmiechnęła się. Rett zazdrosny o irlandzkiego chłopca! Właściwie dlaczegóżby nie? Któregoś dnia będzie mogła wspomnieć mu o tym, oczywiście nie mówiąc, że chodzi o jej wuja, starego jak irlandzkie wzgórza. Och, jakże wspaniale będzie, gdy wreszcie Rett znajdzie się tam, gdzie być powinien, gdzie od dawna oczekiwała, że będzie. Niespodziewana fala tęsknoty uderzyła w nią z taką siłą, że ból tym wywołany niemal równy był fizycznemu cierpieniu. Nie, wcale nie miała ochoty drażnić Retta opowiadaniem o miłości Daniela O'Hary ni kogokolwiek innego. Jedyne, czego pragnęła, to być razem z nim, kochać go, mieć dziecko, które mogliby razem kochać.

- Colum ma rację przynajmniej co do jednego - wtrąciła Kasia. - Daniel udzielił ci błogosławieństwa głowy domu. Dlatego kiedy już nie będziesz mogła wytrzymać z Molly ani chwili dłużej, zawsze znajdziesz tu dach nad głową, o ile tego zechcesz.

Scarlett dojrzała w tym pewną możliwość. Zzerała ją jednak ciekawość.

- Gdzie ty upychasz tych wszystkich ludzi w takim maleńkim domu? - spytała bez ogródek.

- Mamy tutaj poddasze podzielone na dwie części: z jednej strony śpią chłopcy, z drugiej Brygidka i ja. A ponieważ babcia nie chce spać na łóżku przy kominku, zajął je Daniel.

Kasia podniosła siedzenie sofy stojącej przy ścianie pod schodami, a wtedy okazało się, że pod drewnianą pokrywą leży gruby materac, a na nim wełniany czerwony koc w kratkę.

- Powiedział, że przeniósł się tutaj, aby pokazać babci, ile traci, ja jednak zawsze byłam zdania, że czuł się samotnie w swoim pokoju od czasu śmierci ciotki Teresy.

- W swoim pokoju?

- Tak. To tutaj - Kasia wskazała drzwi. - Ponieważ nie było sensu zostawiać jednego pokoju bezużytecznym, urządziliśmy tam salon. Jeśli jednak zechcesz się do nas przenieść, łóżko już czeka.

Scarlett nie mogła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek do tego doszło. Siedmioro ludzi w małej wiejskiej chacie to o pięcioro lub czworo za dużo jak na jej gust. Zwłaszcza gdy byli to ludzie tak wyrośnięci. Nic dziwnego, że wśród nich wszystkich Papa zyskał sobie miano karzelka... jak też trudno się dziwić temu, że zachowywał się tak, jakby był z dziesięć stóp wyższy.

Zanim Colum odprowadził ją do domu Molly, odwiedzili jeszcze starą Kasię Scarlett, lecz babka spała przy kominku.

- Myślisz, że dobrze się czuje? - szepnęła Scarlett.

Colum tylko kiwnął głową. Odezwał się dopiero, gdy wyszli z domu.

- Widziałem na stole garnek z potrawką, już prawie pusty. Przygotowała obiad dla Seana i dla siebie, zjadła, a teraz ucięła sobie drzemkę jak zawsze.

Wysoki żywopłot po obu stronach ścieżki słodko pachniał kwiatami głogu, na wyższych gałęziach roiło się od świergocących ptaków, cudownie było iść tak, czując, jak wilgotna ziemia lekko ugina się pod stopami.

- Czy tą ścieżką można dojść nad Boyne? Mówiłeś, że mnie tam zaprowadzisz.

- I zaprowadzę. Ale jutro, jeśli łaska - odpowiedział Colum. - Obiecałem Molly, że będziemy u niej na czas. Żeby cię uczyć, wydaje dzisiaj uroczystą herbatkę.

Herbatka! Na moją cześć! Doprawdy, pyszny był to pomysł odwiedzić irlandzkich krewnych przed charlestońskim wygnaniem.

Nie ma co, na jedzenie narzekać nie można, ale to wszystko - myślała Scarlett, uśmiechając się promiennie i potrząsając dłonie zbierających się do wyjścia gości. Panienko Najświętsza! Czy te kobiety nie mają siły w rękach? Wszystkie ścisnęły ją tak mdławo, jakby za chwilę miały opaść bez ducha na ziemię. Na domiar złego mówią tak, jakby utkwiała im kość w gardle. Jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałam równie bezkrwistych figur.

Przesadne wyrafinowanie prowincjonalnych form życia towarzyskiego było Scarlett obce. Wśród ziemian Powiatu Clayton panowała absolutna prostota obyczajów, a i prawdziwa charlestońska arystokracja oraz grono „przyjaciół Meli” w Atlancie gardziło wszystkim, co pretensjonalne. Dlatego uchylanie małych paluszków przy picu herbaty oraz rzekoma wykwintność mikroskopijnej wielkości paluszków i kanapek zdały się Scarlett śmiechu warte - bo i tylko na to zasługiwały. Dlatego też jadła znakomite przysmaki z ogromnym apetytem i udawała, że nie rozumie aluzyjnych zachęt do ubolewania nad prostactwem biedaków, kalających sobie ręce brudną farmerską robotą.

- Kochanie - zwróciła się do Molly. - A jak sobie radzi z tym Robert? Pracuje w rękawiczkach?

Roześmiała się w duchu i doznała złośliwej satysfakcji widząc, że kiedy Molly marszczy brwi, doskonale gładziutka twarz pokrywa się siateczką zmarszczek.

Już ja widzę, że zaraz pobiegnie do Columa, aby na osobności zamienić z nim kilka słów o czarnej niewdzięczności amerykańskiej przybłądy, ale co tam! Dobrze jej tak! Niech ma za swoje, w końcu mówiła o mnie w ten sposób, jakbym nie była jedną z O'Harów, ona też zresztą. I skąd ten pomysł, że plantacja to jakby to samo, co - zaraz, jak ona się wyraziła? - angielski dwór. Sama powinnam zamienić na ten temat parę słów z Columem. Ale też zrobili miny, kiedy im powiedziałam, że cała służba i wszyscy najemni robotnicy byli u nas zawsze dobierani spośród czarnych. Nie sądzę, żeby zdarzyło się im słyszeć o ludziach innego koloru skóry, a cóż znowu widzieć... Dziwne miejsce. Wszystko tu dziwne.

- Jakie miłe przyjęcie, droga Molly - wytrajkotała, otrząsnąwszy się z własnych myśli. - Tak się objadłam, że chyba pęknę. Muszę trochę odpocząć.

- Oczywiście, masz pełną swobodę, kuzynko. Wprawdzie kazałam chłopcu zaprzęgać konie, bo myślałam, że dobrze byłoby zażyć przejażdżki, ale skoro wolisz się zdrzemnąć...

- Och, nie. Z przyjemnością wyjdę na świeże powietrze. Czy sądzisz, że przejażdżka nad rzekę byłaby możliwa?...

Najchętniej to uciekłaby byle dalej od Molly, szkoda byłoby jednak przegapić taką szansę. Nie dało się bowiem ukryć, że przejażdżka nad Boyne bardziej ją pociągała niż spacer. Teraz już za grosz nie wierzyła Columowi, kiedy mówił, że to niedaleko.

Jak się okazało, przecucie miała dobre. Molly w żółtych rękawiczkach - kolorem dobranych do żółtych szprych - skierowała dwukółkę ku głównej drodze. Jechały przez wieś. Scarlett z ciekawością spoglądała na rząd przycupniętych do ziemi chat.

Dwukółka przetoczyła się przez jakąś bramę - największą, jaką Scarlett dotychczas zdarzyło się widzieć - żelazne monstrum zwieńczone połączanymi szpicami, z obu stron ozdobione ujętymi w złote esy - floresy płytami pomalowanymi w intrygujące wzory.

- Herb hrabiego - czule westchnęła Molly. - Pojedziemy do dworu i przyjrzymy się rzece z ogrodu. Nie obawiaj się, wszystko w porządku, hrabia właśnie wyjechał, zaś Robert otrzymał pozwolenie od Mr. Aldersona.

- Kto to?

- Pan rządcą. Trzyma pieczę nad całym majątkiem hrabiego. Robert go zna.

Scarlett usiłowała przybrać minę osoby przejętej wagą zasłyszanej nowiny. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że takiej reakcji po niej oczekiwano, choć trudno rzec, dlaczego. Rządcą?... Dobrze, niech będzie rządcą, cóż w nim takiego niezwykłego? Najemny pomocnik, ot i tyle.

Jeszcze teraz miała otrzymać odpowiedź na swe wątpliwości. Przedtem jednak musiała odbyć dłuższą podróż idealnie prostą, szeroką, wysypaną grysem drogą wśród rozległych połaci pięknie przystrzyżonych trawników, przypominających przez chwilę opadające ku jeziorom terrasy Dunmore Landing. Gdy jednak oczom Scarlett ukazały się pierwsze zręby dworu, odsunęła na bok wszelkie myśli o podobieństwie obu posiadłości.

To było olbrzymie. Nie sposób było nazwać tego budowlą - był to raczej zlepek zakończonych blankami dachów i wieżyczek, wyrastających z murów. Przypominało to całe miasteczko. Scarlett, która nigdy czegoś podobnego nie widziała, ani nawet nie znała ze słyszenia, ujrawszy dwór natychmiast zrozumiała, dlaczego Molly tak wielkim szacunkiem darzyła rządcę. Sprawowanie pieczy nad czymś podobnym wymagało ogromnej pracy wielkiej rzeszy ludzi, większej niż na największej nawet plantacji. Zadarła głowę, podziwiając kamienne mury wykładane marmurem, wąskie gotyckie okna. Ów dom, który Rett kazał wznieść pewnie dla niej był - największą i

najznakomitszą rezydencją w całej Atlancie, lecz przeniesiony do dworu zmieściłby się gdzieś w kącie i nawet trudno byłoby go zauważyć. O, jakże chciałyby móc zajrzeć do środka...

Molly była przerażona samym pytaniem Scarlett.

- Otrzymałyśmy pozwolenie wejścia do ogrodu - odpowiedziała. - Przywiążę konia do słupa, potem zaś wejdziemy tędy, tą bramą... - wskazała na wyniośle sklepiony łuk. Żelazne skrzydło bramy było uchylone.

Z bramy wchodziło się na wyżwirowany taras. Po raz pierwszy w życiu Scarlett ujrzała żwir wysypany we wzory. Wprost bała się po tym chodzić. Ślady stóp na pewno zepsują doskonale symetryczne esy - floresy, które czyjeś pracowite dłonie wygrabiły na piasku. Bojaźliwie zerknęła na rozciągający się poniżej ogród: tak, ścieżki też były wyżwirowane. I wygrabione. Nie w esy - floresy, dzięki Bogu, ale i tak nie było widać śladów stóp. Ciekawe, jak oni to robią? Wzięła głęboki oddech i śmiało postawiła stopę na gładkiej powierzchni. Zachrzącił żwir. Szybkim krokiem przeszła przez taras do marmurowych stopni wiodących do ogrodu. Chrząszczenie żwiru pod stopami zdało się jej głośnie niczym rewolwerowe wystrzały. Żałowała, że dała się namówić na tę wycieczkę.

Swoją drogą, co z Molly? Odwróciła się błyskawicznie, by ujrzeć, jak kuzynka ostrożnie stąpa za nią, krok w krok po odciskach jej stóp. Na ten widok jej samopoczucie znacznie się polepszyło - Molly była jeszcze bardziej onieśmielona od niej. Przystanęła, czekając, aż kuzynka do niej dojdzie, spojrzała na dom. Od strony ogrodu dwór wyglądał bardziej po ludzku. Na taras prowadziły oszklone drzwi, wprawdzie zamknięte i zasłonięte, lecz nie aż tak wielkie, by człowiek bał się dać krok przez próg, nie tak przytłaczające, jak drzwi od frontu. Patrząc na nie można było uwierzyć, że w tym domu mieszkają ludzie, nie giganty.

- Którędy do rzeki? - zawołała do kuzynki - w pustym ogrodzie przy opustoszałym domu nie było powodów, by zniżyć głos do szeptu.

Nie miała zamiaru zwlekać. Odrzuciła sugestię Molly, by przed spacerem nad rzekę obeszły ogród.

- Interesuje mnie tylko rzeka. Ogrody śmiertelnie mnie nużą. Mój mąż, Rett, zbyt wiele uwagi im poświęca.

Ruszyły główną aleją w stronę drzew, znaczących krańce ogrodu. Scarlett uprzejmie lecz stanowczo odmówiła wszelkich dalszych wynurzeń na temat swego małżeństwa, choć widać było, że Molly zżera ciekawość.

Wtem, zupełnie znieca, między drzewami tworzącymi w tym miejscu naturalny, lecz niezwykle interesująco ukształtowany prześwit, błysnęły złotobrazowe łuski fal. Scarlett nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała. Blask słońca kładł się na lustrze wód, niby strumień płynnego złota, obracany przez spirale wirów jak ciemne krople koniaku rozpuszczonego w wodzie.

- Piękne - westchnęła głosem dziwnie miękkim i łagodnym. Nie spodziewała się piękna.

Wnosząc z tego, co mówił Papa, wody Boyne powinny błyszczeć czerwienią przelanej tutaj krwi, dziko pędzić przed siebie w spienionym nurcie fal. Tymczasem rzeka płynęła leniwie, prawie niedostrzegalnie. Tyle się o niej nasłuchiwała, teraz zaś była tak blisko, że tylko się schylić i dotknąć. Obiegło ją uczucie dotychczas nieznanne. Czowała coś, czego nie sposób nazwać. Owszem, chciałaby to ująć w słowa, określić, zrozumieć: to ważne, gdybyż tylko przyszło jej na myśl...

- To ci dopiero! - powiedziała Molly tonem najwyższej sztuczności. - Najszykowniejsze posiadłości mają w perspektywie widok na rzekę.

Scarlett najchętniej zderzyłaby ją po głowie. Nigdy nie znajdzie właściwego określenia tego uczucia, cokolwiek by ono było. Podążyła spojrzeniem w kierunku wskazanym przez Molly i na drugim brzegu rzeki ujrzała wieżę. Wyglądem nie różniła się od tych, które widziała z okien pociągu, wzniesiona z kamienia, nadgryzionego zębem czasu. Fundamenty były mocno omszałe, w górze kołysały się pędy dzikiego wina. Wieża była znacznie większa, niż to zdawało się Scarlett, widziała ją bowiem z dużej odległości. Przypuszczała, że ma około trzydzieści stóp u podstawy i drugie tyle wysokości. Nie mogła zgodzić się z Molly, że widok to romantyczny.

- Wracajmy - powiedziała, gdy rzuciła dłuższe spojrzenie na rzekę. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

* * *

- Colum, ja chyba zabiję tę Molly. Gdybyś mógł słyszeć, co ten Robert wygadywał wczoraj wieczorem przy obiedzie... no, jaki to zaszczyt nas spotkał, że wolno nam było spacerować się po ogrodzie hrabiego i musnąć parę kamyków z tych jego głupich ścieżek. A za każdym razem, gdy o tym wspomniał, Molly dobrze dziesięć minut szczebiotała, cóż to był za horror... A dzisiaj rano, kiedy mnie zobaczyła ubraną w te kiecki z Galway, omal nie zemdląca. A jak się potem rozświergotała, damulka, jakie kazanie wygłosiła mi nad głową o tym, że ją skompromituje, że wpędzę Roberta w poważne kłopoty... Roberta! Przecież ten człowiek powinien czuć się zakłopotany za

każdym razem, gdy widzi w lustrze swoją tłustą, nalaną gębę o głupawym spojrzeniu. Jak śmie Molly twierdzić, że ja moimi pięknymi spódnicami wstyd przynoszę podobnej kreaturze!?

Colum pogłaskał jej dłoń.

- W rzeczy samej, droga Scarlett, nie jest to najlepsze towarzystwo, jakiego mógłbym ci życzyć, ale nawet taka Molly ma swoje zalety. Obiecała, że pożyczycy nam na jeden dzień dwukólkę, będziemy więc mogli wyruszyć na pyszną wycieczkę i żadna myśl o jej wstrętnym charakterze nie zaćmi nam uroków eskapady. Spójrz na kwiaty głogu w żywopłocie i na dzikie wiśnie, jak na podwórzu otwierają swe białe - różowe serca... Dzień jest zbyt piękny, by psuć go sobie na rozpamiętywanie urazów. W tych prążkowanych pończochach i czerwonej halce wyglądasz jak milutka irlandzka dziewczyna.

Scarlett wysunęła nogę, spojrzała i wybuchnęła śmiechem. Colum ma rację - dlaczego pozwalać Molly zepsuć sobie dzień?

Pojechali do Trim - starego miasta o barwnej historii. Colum wiedział, że historyczne szczegóły nie zainteresują Scarlett, toteż miast o dawnych dziejach, opowiedział jej o targu, który odbywał się tutaj w każdą sobotę, choć w porównaniu z wielkim rynkiem w Galway, był znacznie skromniejszy. Można tu było jednak spotkać wróża - atrakcja w Galway nader rzadka - który za dwa pensy przepowiadał szczęście wręcz niesłychane, za jednego pensa wróżył umiarkowaną pomyślność, lecz gdy wysupłałeś z kieszeni zaledwie pół pensa, mogłeś się spodziewać opowieści o straszliwym fatum, które nad tobą zawisło.

Scarlett roześmiała się - opowieści Columa zawsze były jej do śmiechu - i dotknęła sakiewki kołyszącej się na piersiach, ukrytej pod bluzeczką i błękitnym stanikiem. Nikt nie zgadnie, że zamiast gorsetu dźwiga dwieście dolarów w złocie. Uwolniona od ucisku sznurówki czuła się aż nieprzyzwoicie swobodnie - od jedenastego roku życia nie przestąpiła progu domu, nie założywszy gorsetu.

Colum pokazał jej ruiny zamku - udała, że ją to interesuje. Potem pokazał jej sklep, gdzie przedtem pracował Kuba aż do czasu, gdy przeniósł się do Savannah, czyli od szesnastego do dwudziestego drugiego roku życia - to akurat zdołało wzbudzić zainteresowanie Scarlett. Pogawędzili z właścicielem. Oczywiście nie pozostawało im nic innego, niż pozwolić mu zamknąć sklep i zaprowadzić się na pięterko, do mieszkania. Żona kupca umarłaby z żalu, gdyby nie usłyszała ostatnich nowin z Savannah wprost z ust Columa, nie mówiąc już o tym, że nie podarowałyby sobie,

gdyby nie poznała kuzynki irlandzkich O'Harów, o której urodzie i amerykańskim wdzięku krążyły po okolicy niesamowite opowieści.

Kiedy sąsiedzi się zwiedzieli, jaka to uroczysta okazja i kto przybył, tłumnie pospieszyli do domu kupca i kupcowej, aż Scarlett zaczęła podejrzewać, że ściany są z gumy.

- Mahoneyowie poczują się dotknięci, gdy dojdzie ich wieść, że byliśmy w Trim i nie wpadliśmy do nich - powiedział Colum, kiedy już w końcu udało się im wymknąć z mieszkania dawnego pracodawcy Kuby.

- Kto?

Okazało się, że była to rodzina Maureen, właściciele najwspanialszego *pubu* w całym miasteczku. Ciekawe, czy Scarlett choć próbowała, jak smakuje porter? Nie? No to trzeba spróbować.

Tym razem zbiegło się więcej gości. Co gorsza, z każdą minutą było ich coraz więcej. W końcu na stół wjechało jedzenie i rozległy się skoczne dźwięki skrzypiec. Ani się obejrzeni, kiedy minęło parę godzin. Już zmierzchało, gdy ruszyli w drogę powrotną do Adamstown. Pierwszy tego dnia deszczyk - zjawisko natury świetlistej raczej niż wodnej, jak powiedział Colum - sprawił, że kwiaty głogu na żywopłocie pachniały intensywniej niż zawsze. Scarlett postawiła kołnierz. Śpiewali całą drogę.

* * *

- Chciałbym wstąpić do *pubu* - powiedział Colum. - Może są do mnie jakieś listy.

Obwiązał lejce wokół pompy. W tej samej chwili w uchylonych drzwiach i oknach ukazały się głowy ciekawskich.

- Kuzynko Scarlett! - zawołała Maria Helena. - Dzidziusiowi wyrzyna się już drugi ząbek. Daj się skusić na filiżankę herbaty. Wstąp i podziwiał!

- Nie, Mario Heleno - zawołała Klara O'Gorman z domu O'Hara. - Kuzynka Scarlett przyjdzie do mnie, a ty, dzidzius, twój mąż i wszyscy inni możecie się dołączyć. Mój biedny Jakub umiera z tęsknoty za nią. W końcu to moja kuzynka w pierwszej linii.

- I moja też! - krzyknęła Peggy Monaghan. - Mam już na kuchni racuchy drożdżowe, wiem bowiem, że nasza droga Scarlett je uwielbia.

Scarlett sama już nie wiedziała, co począć.

- Colum! - krzyknęła co sił w płucach.

Okazało się, że to zupełnie proste. Wystarczy, jeśli obejdą po kolei wszystkie domy, poczynając od tych, gdzie mieszkają najbliżsi z przyjaciół. Kiedy cała wioska zbierze się w jednym z domów, zatrzymają się tam na chwilę.

- Oczywiście nie nazbyt długo, bo przecież musisz się przebrać na obiad u Molly. Owszem, ta kobieta nie jest wolna od wad, jak wszyscy śmiertelni, nie możesz jednak grać jej na nosie korzystając z gościny pod jej własnym dachem. I tak srodze została doświadczona widokiem tych halek, by teraz przysparzać jej dodatkowych cierpień, zasiadając w tym stroju do stołu.

Scarlett położyła dłoń na jego ramieniu.

- Jak sądzisz? - spytała. - Mogłabym przeprowadzić się do Daniela? Mieszkanie u Molly to coś ponad moje siły... Dlaczego się śmiejesz?

- Ponieważ zachodziłem w głowę, co by tu zrobić, by Molly pożyczyła nam dwukółki na jeszcze jeden dzień. Teraz jednak myślę, że odda nam ją do dyspozycji do końca twojej wizyty tutaj. Zatem idź teraz podziwiać nowy ząbek, a ja udam się odbyć krótką rozmowę z Molly. Nie bierz mi tego za złe, moja droga, jeśli ci powiem, że ta kobieta jest skłonna obiecać mi wszystko, bylebym tylko zabrał cię z jej domu. Nigdy ci nie zapomni tego, co powiedziałaś o eleganckich rękawiczkach do dojenia krów, tych, które ma zakładać Robert. Od Adamstown do Mullingar jest to w tej chwili najzabawniejsza anegdotka szeptana po wszystkich kuchniach.

Jeszcze przed kolacją Scarlett zainstalowała się w pokoju przy kuchni. Nawet wuj Daniel się uśmiechnął, gdy Colum powtórzył opowieść o rękawiczkach Roberta. Ten drobny szczegół dodawano później do anegdoty, dzięki czemu tym bardziej była smakowita dla kolejnych słuchaczy.

* * *

Scarlett z zadziwiającą łatwością przyzwyczała się do mieszkania w dwuizbowej chacie Danielów. Mając własny pokój, wygodne łóżko, otoczona dyskretną, lecz stałą opieką Kasi, ciągle zajętej przy kuchni lub porządkach, mogła się oddać zażywaniu odpoczynku. Co też czyniła.

W następnym tygodniu Scarlett była bardziej zajęta - i szczęśliwsza - niż kiedykolwiek. Czowała wprost, jak ją rozpira energia - jeszcze nigdy nie doświadczała tego uczucia. Nie uciskana wytwornie obcisłymi sukniemi, wolna od klatki gorsetu, poruszała się tak szybko i oddychała tak głęboko jak za czasów dzieciństwa. Należała bowiem do tego rodzaju kobiet, w których ciąża wyzwalała dodatkowe zasoby witalności, jak gdyby w odpowiedzi na potrzeby nowego życia. Spała mocno i budziła się z pianiem koguta, czując potężny apetyt na śniadanie i na wszystko, co przyniesie dzień.

Nie brakowało jej coraz to nowych przyjemności życia na łonie rodziny, nie mogła uskarżać się na niedostatek nowych doświadczeń, tym bardziej pobudzających głód nowości. Colum chętnie zabierał ją na wyprawy, „w poszukiwaniu przygód”, jak zwykł był określać wycieczki łaskawie pożyczoną przez Molly dwukółką. Ale wyprawy pozbawiały ją radości przebywania wśród nowych przyjaciół. Stawali w progu domku Daniela z samego rana, zaraz po śniadaniu, a to żeby złożyć wizytę, a to, żeby zaprosić kuzyneczkę z wizytą do siebie, a to żeby opowiedzieć o czymś, o czym jeszcze na pewno nie słyszała, albo znowu żeby pokazać list, który właśnie przyszedł z Ameryki i poprosić ją o wyjaśnienie pewnych słów lub całych zdań, bowiem nie zawsze wszystko rozumieli. W ogóle w tym, co się tyczy Ameryki, zyskała sobie sławę eksperta. Ciągłe ktoś ją prosił, żeby opowiedziała, jak wygląda tam życie. A ponieważ była też Irlandką, biedaczką, na tym swoim amerykańskim wygnaniu zupełnie nie wiedziała, jak wygląda prawdziwe życie w kraju - następna okazja, by coś opowiedzieć, czegoś nauczyć, coś pokazać.

Irlandzkie kobiety były rozbijająco szczere, jakby się wzięły z innego świata - tego, gdzie, jak wierzyły, mieszkają wszelkiego rodzaju wróżki - pełnego dziwów i czarów. Otwarcie się śmiała widząc, jak co wieczór Kasia stawia na progu spodeczek mleka oraz talerzyk z pokruszonym chlebem - tak na wszelki wypadek, gdyby „mały ludek” - przechodząc obok chaty - poczuł się głodny. A kiedy co rano spodeczek i talerzyk były puste, wyjaśniała, że to zapewne któryś z kotów przechodził i poczuł się głodny, lecz jej zdrowy sceptycyzm w niczym nie ranił Kasi. Ów cowieczorny poczęstunek dla „małego ludka” zapamiętała Scarlett jako najbardziej urokliwy epizod z okresu, gdy mieszkała pod jednym dachem z Danielami.

Zupełnie inaczej wyglądały chwile, które spędzała z babką. Żyłasta jak podeszwa - myślała spoglądając na staruszkę. W głębi ducha czuła się jednak dumna, że w jej żyłach płynie krew starej Kasi Scarlett. To dzięki temu zdołała jakoś pokonać ciężkie

koleje życia. Często biegła do chaty babuni, a gdy staruszka akurat nie spała i miała ochotę na rozmowę, siadała na stołku i wypytywała ją o szczegóły z dzieciństwa Papy.

Dawała się też namówić Columowi. Oboje zajmowali miejsca w dwukółce, by wyruszyć na codzienne wyprawy w poszukiwaniu przygód. Ubrana w wełniane spódnice, okutana w płaszcz, w kapeluszu na głowie potrzebowała zaledwie paru dni, by dać się przekonać, że ani zachodnie wiatry, ani kapuśniaczek nie są znowu aż tak groźne.

Właśnie siąpiło, gdy Colum postanowił pokazać jej „prawdziwą Tarę”. Płaszcz wzdymał się na wietrze, kiedy po nierównych kamiennych stopniach wchodziła na szczyt niskiego wzgórza, skąd rządzą królowie Irlandii, gdzie grali, kochali i nienawidzili, gdzie świętowali, walczyli i - w końcu - polegli.

Nawet zamku tu nie było. Scarlett rozejrzała się wokół - wszędzie, jak okiem sięgnąć, nic poza pastwiskami, a na nich stada wypasających się owiec. Szare runo pod szarym niebem w szarości siąpiącego deszczu... Zadrżała i zdziwiła się samej sobie. Aha, gęsia skórka... To dziecinne wytłumaczenie przyczyny dziwnego dreszczu przywołało jej uśmiech na twarz.

- Podoba ci się? - spytał Colum.

- Tak, bardzo ładne.

- Nie kłam, moja droga. Nie doszukuj się w Tarze piękna, bo go nie znajdziesz. Chodź.

Podał jej rękę. Razem powędrowali wśród wysokich traw, mijając dziwne wybrzuszenia - jakby bryły ziemi. Colum minął kilka takich nierówności, po czym przystanął przy jednej z nich.

- Święty Patryk stał kiedyś tutaj, gdzie my teraz stoimy - powiedział. - Był człowiekiem, zwykłym misjonarzem, niewiele większym ode mnie. Świętość przyszła później. Wyrósł więc na giganta w umysłach ludzi, oni uczynili go niezwyciężonym, zbrojnym w Święte Słowo Boga. Lepiej jednak, jak sądzę, pamiętać, że przede wszystkim był człowiekiem. Pewnie się bał: sam jeden, w sandałach, w cienkiej oponczy, twarzą w twarz wobec Króla i jego czarów. Patryk miał tylko swoją wiarę, posłannictwo i potrzebę, by mówić o tym, z czym przyszedł. Chyba wiał zimny wiatr. Ale wiara zżerała go niczym płomień. Właśnie złamał prawo Króla rozpalając w nocy ognisko pod gołym niebem, podczas gdy prawo mówiło, że wszystkie ogniska mają być wygaszone. Mogli go za to zabić, wiedział o tym. Podjął jednak to ryzyko, by zwrócić na siebie uwagę Króla i przedstawić mu ogrom posłania, z którym przybył. Śmierci się nie

bał. Obawiał się jedynie tego, że zawiedzie Boga. Ale nie zawiódł. Król Laoghaire z wysokości swego wysadzanego wiekowymi klejnotami tronu nadał śmiałemu misjonarzowi prawo głoszenia posłania, z którym przyszedł. W ten sposób Irlandia stała się chrześcijańska.

Było coś w spokojnym głosie Columa, co zmusiło Scarlett do posłuchu. Było to coś, co kazało jej podjąć próbę zrozumienia jego słów, a także czegoś więcej. Nigdy przedtem nie myślała o świętych jako ludziach, którzy byliby zdolni do strachu. Tak naprawdę to w ogóle nie myślała o świętych - istnieli dla niej jedynie jako imiona w kalendarzu. Lecz teraz, spoglądając na niewysoką, kościstą postać Columa, na jego zwykłą twarz, siwiejące włosy targane wiatrem - teraz mogła wyobrazić sobie twarz i sylwetkę innego zwykłego człowieka, także w tej samej postawie godności. Colum również nie obawiał się śmierci. Jak to możliwe, żeby człowiek nie bał się umrzeć? Jakie to uczucie? Poczula ukłucie żądła zazdrości. Zazdrościła świętemu Patrykowi, wszystkim świętym, a nawet, w pewnym sensie, Columowi. Nie pojmuję, nigdy tego nie pojmę - pomyślała. Świadomość tego przypląwała powoli, jakby ogromna fala. Poznała wielką, straszną i poruszającą prawdę - zbyt głęboką, wszechobejmującą i dlatego sprzeczną wewnątrz, toteż niemożliwą do przełożenia na język dnia powszedniego. Scarlett poczuła się samotna, wystawiona na poddmuchy zachodniego wiatru.

Colum poprowadził ją parę kroków dalej, po czym przystanął.

- Widzisz? - zapytał.

- Ten rząd niskich kopczyków?

Scarlett kiwnęła głową.

- Powinnaś tu przyjść z muzyką i szklanką whisky, by odwrócić od siebie ten wiatr, ale ponieważ nie mogę ci dać ani jednego, ani drugiego, może stojąc bliżej ujrzysz wszystko dokładnie. Oto masz przed sobą resztki po wielkiej sali balowej na tysiąc świeczników. I O'Hawowie tu bywali, i inne Scarlett, i wszyscy, których zdążyłaś poznać, a zatem rody Monaghanów, Mahoneyów, Macmahonów, O'Gormanów, O'Brienów, Danaherów, Danahue, Carmodych, a także inne, które jeszcze poznasz. Spotykali się tutaj wszyscy nasi dawni bohaterowie. Jedzenie było wspaniałe i obfite, także i picie. Cudowna muzyka podnosiła na duchu. Równo tysiąc gości mieściło się tutaj, w tej sali, opromienionej blaskiem świec z tysiąca świeczników. Widzisz to, Scarlett? Płomienie palają dwudziesto - , trzydziestokrotnym blaskiem, odbijając się w złotych bransoletach na ich rękach, w złotych pucharach, wędrujących do ich warg, w krwistoczerwonych, szmaragdowych i błękitnych kamieniach szlachetnych,

spinających purpurowe płaszcze opadające z ramion. A jakież wspaniały apetyt mieli biesiadnicy... sarnina, dziczyzna, pieczone gęsi... miód i wódka... pod tym wszystkim stoły wprost się uginały. Nie mniejszy apetyt mieli na muzykę, walili więc pięściami w stoły, na których podskakiwały i szczękały złote talerze. Widzisz Papę? A Kubę? I tego gałgana, młodego Briana, zezującego na kobiety? Och, co za uczta! Widzisz to, Scarlett?

Roześmiała się razem z nim. Papa pewnie ryczał *Peggy na wozie* i żądał, by napełniono mu kielich raz jeszcze, bowiem od śpiewania człowiekowi dokuczają pragnienie. Tak, jakże lubił Papa podobne okazje.

- Jeszcze powinny tu być konie - szepnęła poufale. - Papa zawsze musiał mieć konia.

- Silnego i pięknego jak fale, uderzające w morski brzeg.

- Oraz ciepłego przyjaciela, który po wszystkim odprowadziłby go do łóżka.

Colum roześmiał się, objął ją ramionami, pocałował, po czym pozwolił odejść parę kroków dalej, samemu zdążając lekko z tyłu.

- Wiedziałem! - zawołał, a słowa jego dźwięczały dumą. - Wiedziałem, że ty też jesteś w stanie objąć uczuciem chwałę minionych wieków.

Scarlett uśmiechnęła się doń - oczy jej rozbłysły, niczym żywe szmaragdy.

Wiatr zdmuchnął jej kapelusz na ramiona, odkrytą głowę musnął ciepły powiew. Dreszcze już minęły. Spojrzała na obmyte deszczem, czyste, błękitne niebo: oslepiająco białe chmury płynęły, miotane mocnymi podmuchami wiatru, jakby w tanecznym korowodzie. Zdały się być tak blisko, irlandzkie niebo sprawiało wrażenie promieniującego ciepłem, ofiarującego schronienie.

A później opuściła wzrok i ujrzała przed sobą Irlandię - zieleń pól, świeżość młodych listków, pełne życia żywopłoty, porastające pobocza dróg. Daleko sięgało jej spojrzenie, aż po ginącą we mgle wygiętą linię horyzontu. Czują, jak gdzieś w głębi niej poruszyło się coś dawnego, coś, czego pogańską naturę przeczuwała, coś, co rozlewało się po całym ciele niesione przez gorącą krew, a czego nieokiełznaną dzikość z trudem zdołała zatamować. Oto, co znaczy być królem, górować nad światem, być blisko nieba i słońca. Otworzyła ramiona, chcąc zamknąć w objęciu wszystko, co żyje, całe to wzgórze, cały świat, który legł u jej stóp.

- Tara - szepnął Colum.

* * *

- Dziwnie się czuję, Colum, zupełnie jakbym nie była sobą - wspięła się po żółtych szprychach dwukółki i opadła na siedzenie.

- Bo przeżyłaś wieki - odparł, wchodząc za nią. - Przeszłość tu żyje swym własnym życiem, całą swą radością i smutkiem, uctami i bitwami, całe życie przeszłości unosi się w powietrzu dokoła ciebie. To czas, lata sprzed naszej ery, które się kładą na naszej epoce ciężarem nieodczuwalnym, a jednak przeważającym. Nie możesz tego dostrzec, nie możesz tego powąchać, ni usłyszeć, ni dotknąć, lecz czujesz, jak muska cię tchnienie wieków, jak szepce, choć bezgłośnie. To czas, kochanie. Wielka tajemnica.

Choć świeciło słońce, Scarlett szczerze otuliła się płaszczem.

- To było jak nad rzeką - szepnęła. - Gdy wstąpiłam w jej wody, dość osobliwie się poczułam. Już prawie znalazłam właściwe słowo, by nazwać to uczucie, już prawie jej miałam, gdy nagle wymknęło mi się z rąk.

Opowiedziała mu o przeżyciach w ogrodzie hrabiego, o rzece i o widoku wieży.

- Najznamienitsze rezydencje mają ogrody z widokiem na rzekę? - zapytał Colum drżącym z gniewu głosem. - Czy tak wyraziła się Molly?

Scarlett cała schowała się w fałdach ciepłego płaszcza. Cóż znowu za gafę strzeliła, że tak się rozeźlił? Jeszcze nigdy go takim nie widziała. W niczym nie przypominał samego siebie - tego, którego znała.

Nagle spojrział na nią - uśmiechnięty - a wtedy pomyślała sobie, że tkwi w błędzie.

- Scarlett, kochanie, co byś zrobiła, by dodać mi odwagi w mej słabości? - spytał, znowu spokojny. - Dzisiaj otwierają wyścigi w Trim. Chętnie bym sobie obejrzał zawodników i wybrał tego, na którego postawiłbym skromny zakładzik. Właściwa gonitwa jest w niedzielę.

Ta słabość Columa znalazła w jej oczach pełne uznanie.

* * *

Do Trim było prawie dziesięć mil - zupełnie niedaleko, zdaniem Scarlett. Ale droga wiła się i zawracała, brała jeden zakręt za drugim i to zupełnie nie w tę stronę, gdzie - jak sądziła - powinna. Wiła się zatem i zawracała, lecz w końcu zawiiodła ich tam, gdzie chcieli dojechać. Kiedy Colum zaproponował, by zatrzymali się na chwilę w jakiejś wiosce i napili się herbaty, Scarlett zgodziła się wręcz entuzjastycznie. Pokrzepili się, wrócili do dwukółki, dojechali do krzyżówki, skąd drogę mieli już szerszą i nie tak krętą. Colum smagnął kucyka batem - teraz można było pozwolić sobie na szybszą jazdę. Minęło parę minut - Colum smagnął kucyka po raz drugi, ale mocniej, toteż przemknęli przez dużą osadę tak szybko, że aż wózek huśtał się na wysokich kołach.

- Ta osada sprawiała wrażenie opustoszałej - zauważyła Scarlett, kiedy zwolnili. - Dlaczego?

- Bo nikt nie chce mieszkać w Ballyhara... to ponura opowieść.

- Wielka szkoda. Całkiem miła wioseczka.

- Byłaś już kiedyś na wyścigach konnych?

- Na prawdziwej gonitwie byłam tylko raz, w Charlestonie, ale w domu ciągle urządzaliśmy wyścigi. Papa był najgorszy. Sama jazda mu nie wystarczała, musiał jeszcze gderać coś do tego, kto jechał najbliżej niego. Kiedy jechałeś z nim konno, mogłeś być pewny, że co mila, to wyścig.

- Czemu nie?

Scarlett roześmiała się. Od czasu do czasu Colum bardzo jej przypominał Papę.

- Chyba zamknęli Trim - zawołała, widząc tłumy na torze wyścigowym. - Wszyscy są tutaj.

Ujrzała mnóstwo znajomych twarzy.

- Adamstown też chyba zamknęli - dodała, odpowiadając na uśmiechy i powitania chłopców z rodziny O'Harów. Niechby ich tu zobaczył stary Daniel... przecież jeszcze nie oczyścili rowów.

* * *

Owal miał trzy mile długości. Robotnicy właśnie kończyli przygotowania do ostatniej gonitwy - miał to być bieg z przeszkodami. Colum przywiązał kucyka do drzewa, po czym oboje zaczęli przepychać się przez tłum.

Wszyscy byli podekscytowani. Wszyscy znali Columa i wszyscy chcieli poznać Scarlett, ową „kobitkę, która miała odwagę spytać Roberta Donahue o zwyczaj zakładania rękawiczek do pracy w oborze”.

- Czuję się tutaj niczym ostatnia piękność na balu - szepnęła do Columa.

- Któż bardziej by się do tego nadawał?

Zatrzymując się co chwilę, zmierzali ku tej części toru, gdzie dżokeje lub trenerzy oprowadzali konie.

- Colum, one są znakomite - zawołała Scarlett, ujrawszy zwierzęta. - Skąd tak świeże okazy wzięły się na takiej nędznej, malutkiej gonitwie?

Wyjaśnił jej, że gonitwa ani nie jest „mała”, ani „nędzna”. Zwycięzca otrzymywał nagrodę w wysokości pięćdziesięciu funtów - suma większa od rocznych dochodów niejednego sklepikarza czy farmera. Także bieg z przeszkodami był dla zawodników prawdziwym sprawdzianem umiejętności. Zwycięzca z Trim mógł stawać w szranki w bardziej znanych wyścigach w Punchestown, Galway czy nawet w samym Dublinie i mieć pewność, że dotrzyma pola.

- Albo zwycięży o dziesięć długości na dowolnej gonitwie w Ameryce - dodał Colum ze złośliwym uśmiechem. - Irlandzkie konie są najlepsze w świecie, wszyscy to wiedzą.

- Podobnie jak irlandzka whisky - dodała córka Geralda O'Hary. Od wczesnego dzieciństwa musiała słuchać podobnych przechwałek. W każdym razie ustawione na torze przeszkody wyglądały imponująco, może Colum ma rację. Wyścigi powinny być ekscytujące, ale jeszcze zanim się zaczęły, na brak wrażeń nikt nie mógł się skarżyć. Przecież właśnie był dzień targowy! Doprawdy, nikt nie mógłby sobie wymarzyć lepszych wakacji.

Przez tłum przebiegł pomruk. Wśród rozmów, śmiechów i krzyków coraz częściej dało się słyszeć słowo „Walka”. Colum wdrapał się na barierkę - a wtedy jego twarz przeciął szeroki uśmiech. Zaciśniętą w kułak prawą dłoń uderzył w otwartą dłoń lewej ręki.

- A może by tak niewinny zakładzik? - zagadnął go sąsiad.

- Chętnie. Pięć szylingów na O'Harów.

Scarlett omal nie przywiodła go do upadku, tak mocno pociągnęła go za kostkę.

- Co się dzieje?

Ludzie pobiegli od barierki okalającej tor w stronę, gdzie powstało jakieś zamieszanie. Colum zeskoczył z ogrodzenia, chwycił Scarlett za rękę i rzucił się wraz z tłumem.

Kilkudziesięciu mężczyzn, młodych i starych, kłębiło się w zwartej masie, mrużąc i pokrzykując, migają puszczane w ruch pięści, buty i łokcie. Tłum otoczył ich nierównym kołem, krzykami zagrzewając do walki. Dwa zwały zrzuconych w pośpiechu płaszczy zdały się świadczyć, że bójka wybucha nagle i niespodziewanie. O pośpiechu przekonywało także i to, że rękawy pozostały wywrócone do wewnątrz, przynajmniej w niektórych. Wciągnięci do bójki mężczyźni mieli koszule zbroczone krwią - swoją lub przeciwnika. Walczono bez ładu i składu, chaotycznie. Każdy brał się za tego, kto był w zasięgu ręki, a kiedy pojedynek został rozstrzygnięty, rozglądał się za następnym. Pokonanych ciągnięto za fraki, ratując przed stratowaniem w ferworze walki.

Scarlett jeszcze nigdy nie widziała potyczki na pięści. Głuchy łomot ciosów, widok krwi tryskającej z ust i nosów - wszystko to ją przerażało. Czterej synowie Daniela dali się wciągnąć w wir walki. Kiedy ich ujrzała, prosiła Columa, by jakoś ich powstrzymał.

- I stracił moje pięć szylingów? - roześmiał się. - Nie bądź głupia, kobieto.

- Columie O'Haro, jesteś okropny! Po prostu okropny!

To samo powtórzyła później wobec synów Daniela oraz Michała i Józefa - braci Columa, których w Trim spotkała po raz pierwszy. Siedzieli w kuchni u Danielów. Kasia z Brygidką spokojnie obmywały im rany, nie zwracając uwagi na syki bólu i oskarżenia o brutalne traktowanie. Colum nalewał do szklanek whisky.

- Nie widzę w tym nic zabawnego, czegokolwiek nie usiłowałiby mi wmówić - powiedziała sobie. Nie mieściło się jej w głowie, że podobne bijatyki stanowiły nieodłączną część każdego jarmarku, a dla O'Harów oraz ich przyjaciół były czymś w rodzaju publicznego występu. „To tylko dowód dobrej zabawy” - powtarzali jej winowajcy. Dobrze sobie! A dziewczęta były jeszcze gorsze od chłopców, no bo proszę sobie wyobrazić: dręczyły Tymoteusza, że wyszedł z bójki zaledwie ze śliwką pod okiem!

Następnego dnia Colum zaskoczył ją z samego rana, jeszcze przed śniadaniem: przyjechał konno, prowadząc ze sobą drugiego konia.

- Mówiłaś, że lubisz konną jazdę - przypomniał jej. - Pożyczyłem więc dla nas parę koni, ale ponieważ muszę je odprowadzić do właściciela jeszcze zanim zadzwonią w południe na Anioł Pański, pakuj do torby, co zostało z wczorajszej kolacji i zwijaj się, nim przybędą pierwsi goście.

- Ale tu nie ma siodła...

- Do licha, to w końcu umiesz jeździć konno, czy nie? Bierz coś do jedzenia, a Brygidka podsadzi cię.

Nie jeździła na oklep od dzieciństwa. Zdążyła już zapomnieć, jak to się siedzi na końskim grzbiecie, zaledwie jednak zebrała lejce, przypomniała sobie o wszystkim, co powinien umieć jeździec, jakby przez całe życie nic innego nie robiła. Wystarczyło lekko stuknąć konia kolanami, a ruszył z kopyta.

- Dokąd jedziemy? - znajdowali się na ścieżce, której jeszcze nie zdążyła poznać.

- Nad Boyne. Muszę ci coś pokazać.

Zatem nad rzekę. Serce zabiło jej żwawiej. Było w rzece coś, co jednocześnie przyciągało ją i odpychało. Zaczęło padać. Wdzięczna była Brygidce, że ją zmusiła do założenia szala. Okryła głowę, po czym bez słowa podążyła za Columem, słuchając, jak krople deszczu szmerzą ściekając po liściach, słuchając niespiesznego stukotu końskich podków. Tak spokojnie. Nie czuła się zaskoczona, gdy deszcz nagle ustał. Teraz ukryte w gęstwinie żywopłotu ptaki mogły wyfrunąć i podjąć na nowo swe trele.

Ścieżka się skończyła. Stanęli nad rzeką. Brzegi były tak niskie, że woda omal nie podmywała końskich kopyt.

- To brodzik, gdzie Brygidka zrobiła sobie kąpiel - powiedział Colum. - Może i ty chciałabyś się popluskać?

Scarlett otrząsnęła się z najwyższą niechęcią.

- Nie mam na tyle odwagi. Woda jest prawie lodowata.

- Możesz się o tym przekonać. Pobrodzimy przez chwilę. Płytko tu, przejdziemy na drugi brzeg. Mocno trzymaj lejce.

Na drugim brzegu Colum zeskoczył z końskiego grzbietu.

- Zsiadaj, pora na śniadanie! - zakrzyknął raźnie. - Przywiążę konie.

Prawie na samym brzegu rosły trzy drzewa. W blasku prześwitującego przez listowie słońca twarz Columa wyglądała jakby pokryta złotymi cętkami. Scarlett

zsunęła się na ziemię, podała mu lejce, następnie rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie najcieplej: tam usiadła oparta plecami o brunatny pień drzewa. Zamknęła oczy. Cała zamieniła się w słuch, chłonęła monotony szmer rzeki, szelest trącanych wiatrem liści, ptasi świergot. Usłyszała, jak obok przysiadł Colum. Powoli podniosła powieki. Przełamał pół chleba na dwa nierówne kawałki - jej dał ten większy.

- Kiedy będziemy jedli, opowiem ci pewną historię - westchnął, żując pierwszy kęs. - Okolice, gdzie się znajdujemy, to Ballyhara. Dwieście lat temu, może parę lat mniej, może więcej, ta ziemia należała do twojej rodziny... naszej rodziny. To ziemia O'Harów.

Scarlett wyprostowała się, zaskoczona, tocząc wzrokiem to w tę, to w tamtą stronę.

- Spokojnie, lepiej nie przerywaj sobie jedzenia, to długa opowieść - uśmiech Columa wyciszył pytania, które cisnęły się jej na usta. - A zatem dwa tysiące lat temu z okładem pierwszy z rodu O'Harów osiedlił się tutaj i wziął tę ziemię w posiadanie. Tysiąc lat temu... widzisz, coraz bardziej zbliżamy się do naszych czasów... wikingowie, czy Norwegowie, jak ich teraz zwiemy, odkryli zielone bogactwo Irlandii i podjęli próbę zawładnięcia tymi skarbami. Irlandczycy, a wśród nich ród O'Harów, strzegli więc rzek, na których w każdej chwili mogły się pojawić długie, smoczogłowe łodzie najeźdźców i budowali umocnienia wzdłuż brzegów.

Colum odłamał kawałek chleba, z namysłem włożył go do ust. Scarlett czekała niecierpliwie dalszego ciągu. Tyle czasu... nie mogła objąć umysłem tych wieków. Co będzie za tysiąc lat?

- Wikingowie odплыnęli - podjął po chwili opowieść - a O'Harowie uprawiali ziemię i hodowali bydło przez dwieście lat, nawet dłużej. Wybudowali potężną wieżę z mieszkaniami dla siebie i służby, ponieważ, jak wszyscy Irlandczycy, mieli długą pamięć. Tak, jak kiedyś wikingowie, w każdej chwili mógł ich napaść ktoś inny, co zresztą się stało. Tym razem jednak nie byli to wikingowie, lecz Anglicy, którzy przedtem byli Francuzami. Zdobyli więcej niż pół kraju, a O'Harowie, ukryci za wytrzymałymi murami, zdołali się im oprzeć i tak oto mogli w spokoju uprawiać ziemię przez następne pięćset lat, aż do bitwy nad Boyne, której historia jest ci znana. Po dwóch tysiącleciach sprawowania opieki nad tą ziemią przez naszą rodzinę, rozpanoszyli się tutaj Anglicy. Ci z naszych, którzy ocaleli, kobiety i dzieci, przeprawili się przez tę płyciznę na drugi brzeg. Jedno z tych dzieci, gdy wyrosło, wydzierżawiło od Anglika ziemię nad rzeką. Jego wnuk pracujący na tych samych polach, poślubił naszą babkę, Kasię Scarlett. Jako mały chłopak, siedząc na rękach u ojca, spoglądał na brunatne wody Boyne, widział, jak wieża O'Harów rozpada się w gruzy, widział, jak na

tym miejscu buduje się angielski dom, lecz mimo tych wszystkich zmian, imię pozostało. To miejsce zwie się Ballyhara.

Papa też widział ten dom, wiedział, że ziemia ta jest własnością jego rodu... Scarlett uroniła łzę za ojca, teraz już dobrze rozumiała, skąd brały się gniew i smutek na jego twarzy, te same, które dały się słyszeć w jego głosie, gdy grzmiał o bitwie nad Boyne. Colum podszedł ku rzece, nachylił się, zaczerpnąwszy w dłonie wody napił się i umył twarz. Później raz jeszcze nabrał wody i przyniósł ją Scarlett. Gdy piła, on delikatnie ocierał jej z policzków łzy.

- Nie chciałem ci tego opowiadać...

Scarlett przerwała mu w pół słowa.

- Mam prawo wiedzieć o wszystkim.

- Też tak sędzę.

- A więc opowiedz mi do końca. Wiem, że to nie wszystko. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

Colum był blady na twarzy, jak człowiek cierpiący ból nie do zniesienia.

- Tak - powiedział. - To jeszcze nie koniec. Angielska Ballyhara została zbudowana dla pewnego młodego lorda. Jasne miał włosy i piękny był jak Apollo, sam zresztą sądził, że jest bogiem. Jego największym marzeniem było to, aby uczynić z Ballyhara najznakomitszą posiadłość w całej Irlandii. Jego wieś... albowiem Ballyhara należała do niego w całości, po najmniejszy kamień... miała być wspanialsza od wszystkiego, jak kraj długi i szeroki, bogactwem miała przyćmiewać nawet Dublin. Dopiął swego. Może wioska nie dorównywała Dublinowi we wszystkim, ale główna ulica była szerszą od najszerszej stołecznej. Stajnie wielkością przywodziły na myśl katedry, okna lśniły czystością niby diamenty, ogrody niczym miękkie dywany spływały aż po brzegi Boyne. Pawie rozkładały ogony jak kobierce z klejnotów na trawnikach, a piękne damy obsypane drogimi kamieniami zaszczęcały przyjęcia młodego pana. Był prawdziwym dziedzicem na Ballyhara... Jego jedynym smutkiem było to, że miał tylko jednego syna, a i on sam był jedynym spadkobiercą swego rodu. Bardzo jednak pragnął ujrzeć wnuka, zanim diabli go wezmą. Ale i wnuk, kiedy przyszedł na świat, pozostał sam jeden, bez braci i sióstr. Jasne miał jednak włosy i był piękny, i stał się panem na Ballyhara, właścicielem stajen niczym katedry i wspaniałej posiadłości. A po nim jego syn... Pamiętam go, młodego dziedzica Ballyhara. Był jednak dzieckiem, dzieciom zaś wszystko wydaje się cudowne i piękne. Jeździł na smukłym dereszku, a kiedy myśliwi goniąc za lisem, stratowali nam zboże, zawsze rozrzucał między dzieciarnię monety. W

swym różowym płaszczu, białych bryczesach, wysokich, wypolerowanych na ostatni połysk butach cudownie trzymał się na koniu, prosto i lekko. Nie rozumiałem, dlaczego ojciec zabierał nam te monety, łamał je i przeklinał młodego lorda za to, że nam je dawał.

Colum wstał, wolnym krokiem ruszył wzdłuż brzegu. Gdy zaczął dalszy ciąg opowieści, jego głos był napięty, tyle wysiłku musiał włożyć, by nie stracić kontroli nad sobą.

- I przyszły lata niedostatku, z nimi głód i śmierć. „Nie mogę wytrzymać patrząc na niedolę tych dzierżawców”, rzekł pan na Ballyhara. „Zbuduję dwa mocne statki. Na ich pokładach wolno i bezpiecznie popłyną do Ameryki, gdzie jedzenia jest pod dostatkiem. Nie dbam, że krowy zaczną mi ryczeć, bo nie będzie komu je doić, nie dbam, że pola przestaną przynosić zysk, bo nie będzie komu je uprawiać. Bardziej leży mi na sercu dobro ludu z Ballyhara niż troska o hodowlę bydła czy uprawę roli”... Farmerzy i wieśniacy po rękach go całowali za jego łaskawość, wielu wszczęło przygotowania do drogi. Nie wszyscy jednak byli w stanie opuścić Irlandię, rozpacza rozstania była bowiem zbyt wielka. „Choćby nam przyszło pomrzeć z głodu, zostaniemy”, powiedzieli niektórzy z mieszkańców wioski młodemu panu. Wtedy on dał znać wzdłuż i wszerz, że wystarczy poprosić, wolne koje na obu statkach będą rozdawane za darmo... I wówczas mój ojciec przeklął go po raz drugi. Zawrzał gniewem na Mateusza i Briana, gotowych przyjąć szatański upominek Anglika, lecz oni byli zdecydowani płynąć... I oni, i wszyscy inni, utonęli, gdy statki zmierzyły się z pierwszą falą. Z goryczą wspomina się o nich dzisiaj jako o „statkach - trumnach”... Pewnego dnia w stajniach Ballyhara zaczął się mężczyzna, nie dbając, że były piękne jak katedra. A kiedy pojawił się młody pan, by dosiąść wierzchowca, pojmał go i powiesił złotowłosego młodzieńca na wieży przy brzegu Boyne, w baszcie zbudowanej przez O'Harów dla obrony przed smoczogłowymi łodziami.

Scarlett zakryła usta dłońmi. Colum był blady, chodził tam i z powrotem, mówił nieswoim głosem. Wieża! Na pewno ta sama. Mocniej przycisnęła dłoń do ust. Nie, teraz nie powinna się odzywać.

- Nikt nie wie - podjął po chwili Colum - kim był ten mężczyzna. Niektórzy wymieniają to nazwisko, inni owo... Kiedy przybyli angielscy żołnierze, ci spośród mieszkańców Ballyhara, którzy pozostali, nie potrafili nikogo wskazać. Zatem Anglicy, w odwecie za śmierć młodego pana, powiesili ich wszystkich.

W złotawych blaskach prześwitującego przez listowie słońca twarz Columa była

biała jak mleko. Z jego gardła dobył się stłumiony krzyk, nieartykułowany, nieludzki.

Odwrócił się do Scarlett. Aż się cofnęła na widok dzikiego spojrzenia jego oczu i umęczonej twarzy.

- WIDOK? - krzyknął głosem donośnym jak armatni wystrzał, po czym opadł na kolana wśród kępy złotawych kwiatów i zgiął się w pół, by ukryć twarz. Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Scarlett już wyciągnęła ku niemu rękę, zaraz jednak cofnęła ramię. Dłoń bezwładnie opadła jej na kolana. Nie wiedziała, co by tu zrobić.

- Wybacz mi, moja droga - odezwał się Colum, głosem znowu znajomym. Uniósł głowę.

- Moja siostra Molly jest wprost stworzona do wygadywania podobnych bzdur. Zawsze umiała doprowadzać mnie do wściekłości.

Uśmiechnął się - prawie przekonywająco.

- Jeśli chcesz, mamy jeszcze dość czasu na obejrzenie Ballyhara. Choć już przed trzydziestu laty wioska wymarła, chuligani omijają ją z daleka. Nikt nie podchodzi bliżej, niż musi.

Wyciągnął ku niej rękę, a wtedy uśmiech, który pojawił się na jego spopielalej twarzy, był już zupełnie szczerzy.

- Chodź. Konie czekają.

Jego koń przecierał drogę przez jeżyny i wybudujące zarośla, a wkrótce Scarlett ujrzała kamienne mury ogromnej wieży. Colum uniósł rękę, by zwrócić jej uwagę, po czym ściągnął lejce. Złożył dłonie w tubę wokół ust.

- *Seachain!* - krzyknął. - *Seachain!*

Obco brzmiące sylaby odbiły się od kamiennych murów.

Odwrócił się - w jego oczach błyszczały iskierki radości, na policzki powróciły rumieńce.

- To celtycki. Tak mówiono w dawnej Irlandii. Gdzieś tu w pobliżu mieszka *cailleach*, znachorka. To wiedźma, stara jak Tara, powiadają jedni. Inni znowu twierdzą, że to żona Paddy'ego Flynnna z Trimu, która uciekła od niego przed dwudziestu laty. Krzyczę tak, aby ją ostrzec, że nadjeżdżamy, aby nie czuła się zaskoczona. Co bynajmniej nie znaczy, bym wierzył w istnienie wiedźm, lecz ta odrobina szacunku nikomu nie zaszkodzi.

Wjechali na podbaszcie. Z bliska Scarlett mogła się przekonać, że kamienie nie były łączone zaporą, a mimo to leżały jeden na drugim, z dokładnością co do cala. Ileż to

miała lat, ta wieża? Dwa tysiące? Nieważne. Gdyby tylko Colum nie opowiadał o tym w tak niezwykle sposób, jak jeszcze przed kilkoma minutami miała okazję słyszeć, niewiele by to ją obchodziło. W końcu wieża to tylko budowla, choć owszem, budowniczkowie wykonali tu kawał dobrej roboty - nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie starego w równie dobrym stanie. Czas w ogóle nie odcisnął na murach swych śladów. Aż się prosi, żeby dotknąć. Podjechała bliżej, przeciągnęła palcami po spojeniach.

- Jesteś bardzo odważna, moja droga - posłyszała z tyłu głos Columa. - Przecież ostrzegałem cię, że są tacy, którzy mówią, że wieżę nawiedza duch powieszzonego tutaj człowieka.

- Bzdury. Nie ma duchów. Poza tym, gdyby nawet istniały, koń nie podszedłby tak blisko. Wszyscy wiedzą, że zwierzęta potrafią wyczuć podobne rzeczy.

Colum uśmiechnął się.

Scarlett położyła dłoń na kamień. Był zupełnie gładki, wygładzony przez stulecia i zmienną pogodę. Czowała, jak promieniuje słonecznym ciepłem, czowała w nim wilgoć deszczu i powiew wiatru. Niezwykła błogość przepełniła jej serce.

- Mówisz, że jest stara... - szepnęła, choć wiedziała, iż jej słowa nie wyrażają tego, co chciałaby powiedzieć, wiedziała jednak, że to bez znaczenia.

- Przetrwa - odparł Colum. - Jak potężne drzewo z korzeniami sięgającymi środka ziemi, jak drzewo dobrze zakorzenione.

„Dobrze zakorzenione”... gdzie to już kiedyś słyszała? Oczywiście. Rett powiedział tak o Charlestonie. Scarlett uśmiechnęła się, głaszcząc wiekowe kamienie. Ona też mogłaby mu powiedzieć to i owo o zapuszczaniu korzeni, o wrastaniu korzeniami głęboko w ziemię. Niech no tylko zacznie kiedyś się rozwodzić nad starodawną charlestońską tradycją.

Dwór w Ballyhara także został wzniesiony z kamienia, lecz obłożonego granitem - każdy blok przykrywała doskonale prostokątna płyta. Wyglądem świadczył, że wiele jest w stanie wytrzymać. Wybite szyby i obdrapane framugi okien wprowadzały dysharmonię w tym świecie, gdzie panował niezniszczalny kamień. Dom był ogromny, z bocznymi skrzydłami, z których każde przewyższało wielkością największe z budowli, jakie Scarlett miała okazję widzieć. Zbudowany, by trwał - szepnęła w duchu. Hańba, że nikt tu nie mieszka, co za marnotrawstwo!

- Czy ostatni pan na Ballyhara nie miał dzieci? - spytała Columa.

- Nie - odpowiedział, jak się zdawało, z mściwą satysfakcją. - Miał tylko żonę, ale po

jego śmierci wróciła do rodziny. Albo poszła do przytułku. Niektórzy mówią, że oszalała.

Scarlett zrozumiała, że w obecności Columa lepiej nie wyrażać głośnych zachwyków nad domem.

- Rzućmy okiem na wioskę - powiedziała.

Było to raczej miasteczko, w każdym razie sądząc po wielkości. W ani jednym oknie nie zachowała się szyba, ani jedne drzwi nie uchowały się w całości. Na ten widok zupełnego opuszczenia i zaniedbania Scarlett poczuła, jak cierpnie jej skóra: nienawiść dokonała dzieła spustoszenia.

- Którędy najkrócej do domu?

- Jutro są urodziny babci - powiedział Colum, gdy odprowadził Scarlett do chaty Daniela. - Człowiek z odrobiną rozsądku w głowie powinien zadbać o to, by do tego czasu był nieuchwytny, ja zaś uważam się za rozsądnego człowieka. Powiedz rodzinie, że będę tu jutro rano.

Czego on tak się boi? - zachodziła w głowę Scarlett. Przecież w związku z urodzinami staruszki chyba nie będzie zbyt wiele do roboty. Owszem, tort, ale żeby coś ponadto? Sama postanowiła, że podaruje babce ten piękny koronkowy kołnierz, który kupiła w Galway. Gdy będzie wracała do domu, kupi sobie drugi. Wielkie nieba, przecież to już koniec tygodnia!

Zaledwie jednak przestąpiła próg, zorientowała się, że czeka na nią mnóstwo żmudnej roboty. Wszystko, cały dom starej Kasi Scarlett miał przejść gruntowne porządki, szorowanie i polerowanie na wysoki połysk, nawet jeśli coś było już czyste. To samo dotyczyło domu Daniela. Za czym wypleniono podwórze z chwastów i gruntownie zamieciono, tak żeby można było stawiać ławki, krzesła i stołki przeznaczone dla tych z gości, którzy nie zdołają wcisnąć się do chaty. A i stajnię wymyto, wyszorowano i natrzęsiono świeżego siana dla wszystkich, którzy mieli tu jutro nocować. Najwyraźniej szykowało się wielkie przyjęcie. W końcu nie każdemu jest dane obchodzić setne urodziny.

- Zjedzcie co rychlej i już was tu nie ma - powiedziała Kasia do mężczyzn, którzy przyszedli na obiad. Postawiła na stole dzbanek z maślanką, maselniczkę, położyła cztery bochenki chleba. O dziwo, mężczyźni zachowywali się potulnie jak baranki i zjedli wszystko, co im podano, i wyszli chyłkiem, nie pisnąwszy ani słowa.

- No, a teraz możemy zaczynać - oznajmiła Kasia, gdy ostatni z nich zniknął. - Scarlett, trzeba mi będzie dużo wody. Wiadra znajdziesz przy drzwiach.

Scarlett, podobnie jak mężczyźni, nie była skora do kłótni. Posłusznie chwyciła za wiadra.

Po kolacji ściągnęły do chaty kobiety z całej wsi. Z dziećmi na rękach przyszły, by pomóc w robocie. Wrzało jak w ulu, pot kapał dużymi kroplami, Scarlett nabawiła się odcisków na dłoniach. Ale za to znajdowała w tej pracy znakomitą zabawę - lepszą, niż mogłaby się spodziewać. Bosonoga, jak inne kobiety, rąbek długiej spódnicy zatknął u pasa, w wielkim fartuchu wokół bioder, rękawy podkasawszy do łokci, czuła się niczym dziecko - owa mała Scarlett, która bawiąc się w kuchni potrafiła doprowadzić Mamę do białej gorączki, nie dość bowiem, że cały fartuszek był powalany

śluzem, to jeszcze zdejmowała buty i pończoszki. I pomyśleć: musiała czekać prawie do trzydziestki, by znowu się zabawić, lecz nie sama, bo z towarzyszkami zabawy, które, jak ona, znajdowały w niej przyjemność, w przeciwieństwie do ryczącej z byle powodu Zueli oraz Kariny - w swoim czasie zbyt małej, by można ją było wciągnąć.

Ile to już czasu minęło... inaczej myśli się o tym niż o czymś równie starym jak wieża... korzenie głęboko zapuszczone w ziemię... Colum był dzisiaj straszny... ta potworna opowieść o statkach... utonęli także moi wujowie, bracia Papy. Bierz diabli tego angielskiego lorda. Chyba dobrze, że spotkał go stryzyk?...

Nigdy jeszcze nie było przyjęcia dorównującego wspaniałością temu, które wydano z okazji setnych urodzin starej Kasi Scarlett. Z całego Powiatu zjechali się O'Harowie, na wózkach zaprzężonych w osły, w bryczkach, konno i na piechotę. Do Adamstown zważyło się prawie pół Trim i, oczywiście, wszyscy mieszkańcy wioski. Każdy miał jakiś prezent, jakąś potrawę lub opowieść przygotowaną specjalnie na tę uroczystość, choć Scarlett sądziła, że gospodarze przygotowali jedzenia wystarczająco dużo, by wyżywić całą armię. Mahoneyowie przywieźli z Trim parę beczek irlandzkiego piwa, podobnie jak Jim Daly z Mullingar. Seamus - najstarszy syn Daniela - pojechał konno do Trim i wrócił ze skrzynką glinianych fajek, ulokowaną na mierzwinie z tyłu, niczym kanciasty garb, dwa worki tytoniu wisiały z boku, niby ogromne torby z obrokiem. Zwyczaj kazał, by z okazji świąt tego rodzaju każdy mężczyzna, a także niejedna kobieta, otrzymywali nowe fajeczki.

Babka przyjmowała nieprzerwany potok gości i prezentów niczym królowa - siedziała w krześle o wysokim oparciu, ubrana w czarną suknię z dobrego jedwabiu, nowy koronkowy kołnierzyk, drzemiac, gdy przysła jej na to ochota i popijając herbatę mocno zakropioną whisky.

Kiedy zadzwoniono na wieczorny Anioł Pański, przed chatą kłębiły się ze trzy setki gości.

Wiekową Kasię Scarlett wypytywano „jak to dawniej bywało”, a naprzeciwko niej, na honorowym miejscu przy kominku zasiadł sędziwy mężczyzna. Stary, o długich sękatych palcach, miał przy sobie jakiś wysoki, podłużny przedmiot zasłonięty lnianym pokrowcem. Gdy odsłonił zwoje burej materii, trzysta - a może i więcej - głosów westchnęło w zachwycie: harfa. Mężczyzna nazywał się Maccormac i teraz, po śmierci wielkiego O'Carolana, był jedynym spadkobiercą muzycznej tradycji bardów. Odezwał się, a nawet w jego głosie słychać było melodyjny zaśpiew:

- Powiem wam, co kiedyś usłyszałem od mistrza Turlowgha O'Carolana. Otóż wielki

ten muzyk rzekł mi kiedyś: „Szczęśliwie mijają mi żywoty w Irlandii, wielce z niego rad, piję bowiem z mężczyznami o mocnych głowach, którzy oprócz skłonności do butelki żywią też wielką namiętność do muzyki”. Do tych słów pragnąłbym teraz dorzucić moje własne. Powiadam zatem: piję z mężczyznami, którzy głowy mają mocne, ale i nie pogardzę szklaneczką whisky z kobietą, która jest w stanie dotrzymać mi towarzystwa, a nasza Kasia Scarlett O'Hara jest taką właśnie kobietą.

Tu skłonił się przed staruszką.

- Rzekę to, bowiem pora wypić.

Kilkanaście rąk jednocześnie napełniło kilkanaście szklaneczek - wybrał największą, uniósł lekko w stronę starej Kasi Scarlett, skłonił się raz jeszcze i wypił.

- A teraz zaśpiewam wam, jak to przybył Finn Maccool.

Jego mocne, pokrzywione palce dotknęły strun i czar muzyki wypełnił chatę.

Od tej chwili muzyka nie ustawała. Skrzypków było bez liku, kilkunastu fletnistów, harmoniści; towarzyszyły im twarde uderzenia „kości” i pobudzający, hipnotyzujący warkot *bodhranów*. Colum O'Hara pewną ręką prowadził tę grę.

Kobiety nakładały jedzenie na talerze, Daniel O'Hara urzędował przy baryłkach piwa, na podwórku trwały tańce i nikt nie miał ochoty spać, z jednym może wyjątkiem starej Kasi Scarlett, przysypiającej, gdy nasza ją ochota na drzemkę.

- Nie przypuszczałam, że w ogóle istnieją takie przyjęcia - wydyszała Scarlett, dosłownie porywana do tańca. Tancerze nie ustawali, dopóki na wschodnim horyzoncie nie pojawiły się pierwsze różowe smugi brzasku.

- Czy to znaczy, że nigdy nie obchodziłaś urodzin? - wyjąkali zdumieni jacyś kuzyni nie wiadomo skąd.

- Musisz zostać na pierwszą zabawę w maju - powiedział Tymoteusz O'Hara, poparty przez chór błagalnych głosów.

- Nie mogę. Muszę złapać statek.

- Czy nie ma innych statków do Ameryki?

Scarlett zerwała się z ławki. Dość już odpoczęła, a skrzypki właśnie zagrały pierwsze takty nowego *reela*. Kiedy tak znowu tańczyła aż do utraty tchu, wraz ze skoczną melodią pobrzmiwało w jej głowie pytanie: czy nie ma innych statków do Ameryki? Oczywiście na pewno jakieś są. Dlaczego by tak nie zostać na dłużej, czemu by nie pozwolić sobie na parę dni zabawy, a jakby tak potańczyć *reela* w kolorowych pończochach, choćby do samego maja? Charleston nie ucieknie - w uszkodzonych odłamkami pocisków domach za wysokimi murami zawsze będą odbywać się wiecznie

te same, nieśmiertelne herbatki.

Rett też poczeka. Niech się trochę poniecierpliwi. Ona także musiała długo czekać - wtedy, w Atlancie - ale teraz sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Teraz nosiła w łonie jego dziecko. Teraz Rett mógł być jej w każdej chwili, gdy tego zapragnie.

Tak, przesądzone. Zostanie na pierwsze majowe tańce. Doskonale się bawi - czy można psuć sobie równie wspaniałe wakacje?

Zaraz następnego dnia spytała Columa, czy jest mu coś wiadome o innym terminie rejsu do Ameryki.

Owszem, był taki statek, który wypływał nieco później. Tyle że najpierw zawijał do Bostonu, ale to nawet dobrze się składa, bowiem Colum i tak musiałby tam pojechać. Ona oraz Brygidka mogą w tym czasie ruszyć w drogę do Savannah.

- Wypływa wieczorem o dziewiątej - powiedział Colum. - Jeśli wybierzesz ten statek, musisz się liczyć z tym, że na zakupy w Galway zostanie ci zaledwie pół dnia.

O, to aż za dużo. Właśnie niedawno uświadomiła sobie, że przecież nikt w Charlestonie nie ośmieli się ubrać w pończochy z Galway, czy kolorowe halki. Były zbyt jaskrawe... i raziły oko pospolitością. Zatem nikomu nie mogła ich kupić w prezencie.

Potrzebowała jedynie tyle, co dla siebie, a kilka z tych, które już kupiła, zupełnie jej wystarczy. Resztę odda Kasi i nowym przyjaciółkom z Adamstown. Dla nich będą to wspaniałe prezenty.

- Dziewiąty maja... to znacznie później, niż było zaplanowane.

- To zaledwie osiem dni po *May Day*. Cóż znaczy w porównaniu z wiecznością?

Tak. Colum ma rację! Przecież nigdy więcej nie będzie jej dana podobna okazja. Poza tym, wybierając rejs dziewiątego maja, wyświadczy niemałą przysługę Columowi, który w przeciwnym razie, musiałby jechać z Savannah do Bostonu i z powrotem. Winna jest mu tę drobną uprzejmość za wszystko, co dla niej zrobił...

* * *

Dwudziestego szóstego kwietnia *Brian Boru* wypłynął z Galway. Dwie kabiny zostały wolne.

Do portu w Galway zawinął dwa dni wcześniej, czyli dwudziestego czwartego kwietnia. Przywiózł pasażerów i pocztę. Listy posegregowano w sobotę. Niedziela jak to niedziela - dzień Pański, poczta nie pracuje, mała paczuszka do Mullingar została odłożona do poniedziałku. We wtorek dyliżans z Mullingar do Drogheda zostawił pakiet listów w Navan, a w środę kurier pocztowy wysłał listy do poczmistrza w Trim. W poczcie znajdowała się wielka gruba koperta wysłana w Savannah, Georgia,

adresowana do Columa O'Hary. Colum zawsze otrzymywał ogromną pocztę od wielkiej kochającej rodziny amerykańskich O'Harów, a ponieważ huczne przyjęcie urodzinowe wszyscy jeszcze mieli świeżo w pamięci, pocztylion zamiast wieźć przesyłkę do Trim, zostawił ją w *pubie* w Adamstown.

- Myślę sobie, nie ma sensu zwlekać cały dzień - powiedział do Mateusza O'Toole, który prowadził zajazd i mały sklepik przyklepione do budynku poczty. - W Trim włożyliby to wszystko do właściwej przegródki i czekali do jutra, aż inny pocztylion przywiezie to do Adamstown.

Skwapliwie przyjął szklaneczkę portera, którą właściciel *pubu* postawił na rachunek Columa. Chociaż bowiem sam lokal był niewielki i krzyczał o remont, szklanka była duża, a napój ciemny, jak należy.

Mateusz O'Toole zawołał żonę, która właśnie rozwieszała na podwórzu pranie.

- Klara, rzuć no okiem na interes. Idę do Danielów odnieść pocztę.

Ojciec Mateusza był bratem Teresy, świętej pamięci żony Daniela O'Hary. Panie, świeć jej duszy.

* * *

- Colum, to cudownie! - w liście, który otrzymał Colum od Kuby była też kartka od Tomasza Macmahona, budowniczego katedry. Donosił, że biskup - odpowiednio „przygotowany” - zgodził się odstąpić Scarlett część Tary, którą Karina wniosła w posagu zakonowi. Tara. Moja Tara - westchnęła w duchu Scarlett. Ileż pracy mnie czeka. Ale Tara rozkwitnie.

Co? Niesłychane!

- Colum, widzisz to, co ja? Ten prałacki kutwa żąda pięć tysięcy dolarów za ustąpienie posagu Kariny! Wielkie nieba! Za taką fortunę można by kupić cały Powiat. O, nie! Będzie musiał opuścić.

Księżę Kościoła nigdy się nie targuje - powiedział Colum. Jeśli więc chce odkupić posag, a ma pieniądze, powinna zapłacić i już. W ten sposób łoży przecież na dzieło religijne, co powinno jej pochlebiać.

- Nie, nie pochlebia mi płacenia takiego haraczu, sam wiesz najlepiej. Przepraszam, jeśli cię uraziłam, ale tak właśnie sprawy się mają. Tara, moje serce, jakże za tobą tęsknię. Co za idiotka ze mnie, że dałam ci się namówić i zostałam, przecież moglibyśmy już być w połowie drogi do Savannah!

Colum nie kwapił się prostować ewidentnej nieprawdy. Wyszedł. Zostawił Scarlett spoglądającą na kartkę papieru i pióro.

- Trzeba napisać do wuja Henryka Hamiltona - szepnęła, potarłszy skronie. - I to zaraz. Stary wszystko załatwi. Zanim wrócę do domu, Tara powinna być moja.

W czwartek Scarlett pojechała do Trim. Sama. W domu wszystko stało na głowie. Kasia i Brygidka były urobione po łokcie przy gospodarstwie, Colum zniknął bez słowa, nie mówiąc żywej duszy, ani dokąd się wybiera, ani kiedy wróci. Irytujące. Ostatecznie jednak, nawet, gdyby się zjawił i tak by jej nie mógł pomóc. Tyle spraw pozostało do załatwienia. Chciała sobie kupić kilka ładnych garnków z rodzaju tych, jakich Kasia używała do gotowania, no i jeszcze masę koszyczków - każdego kształtu i rozmiaru, a wybór był wielki - i, oczywiście, stopy grubych lnianych serwet i serweteczek, bo w domu tego gatunku lnu nie uświadczysz. Chciała, by kuchnia w Tarze była ciepła i miła oku, taka, jak kuchnie w Irlandii. Bo w końcu czyż sama nazwa „Tara” nie była tak irlandzka, jak to możliwe?

Co zaś się tyczy Willa i Zueli, zamierzała być wobec nich wielce wspaniałomyślna, zwłaszcza wobec Willa, bo na to zasłużył. W Powieście dość było dobrej ziemi proszącej się dobrego gospodarza. Wade i Ella pojedą do Charlestonu, zamieszkają razem z nią i Rettem, który szczerze ich kochał. Znajdzie się jakąś dobrą szkołę, taką, gdzie wakacje są krótkie. Rett pewnie jak zwykle krzywym okiem będzie patrzył na jej metody wychowawcze, ale kiedy dzidzius przyjdzie na świat, kiedy przekona się, jak wielką miłością go darzy, da spokój krytykanctwu, raz na zawsze. A w lecie pojedą do Tary, która odrodzi się i rozkwitnie jak za dawnych lat, i znowu będzie prawdziwym domem.

Scarlett zdawała sobie sprawę z tego, że buduje zamki w powietrzu. Może Rett w ogóle nie zechce opuszczać Charlestonu i wobec tego będzie musiała zadowolić się krótkimi wypadami do Tary?... Może. Ale czyż nie można pomarzyć w piękny wiosenny dzień jadąc zgrabną dwukółką, spoglądając na pończochy w czerwone i niebieskie pasy? Dlaczego nie?

Zachichotała, musnęła biczykiem kucyka po karku. No, słuchaj mnie! Mówię po irlandzku.

* * *

May Day - pierwszy dzień maja z tradycyjnymi zabawami - wyglądał dokładnie tak, jak zapowiadano. Na każdej ulicy w Trim tańczono, jedzenia było w bród, w murach zamkowych ruin ustawiono ogromne słupy umajone zielenią - naprawdę, strasznie wielkie. Scarlett wpięła we włosy czerwoną wstążkę, założyła wianuszek z kwiatów, a pewien angielski oficer zaprosił ją na spacer w dół rzeki, lecz ona odburknęła mu coś, czego do końca nie mógł zrozumieć.

O wschodzie słońca trzeba było zbierać się do domu. Scarlett zrobiła sobie czteromilowy spacer z resztą rodziny, ponieważ nie chciała, by noc tak szybko dobiegła końca, nawet zastąpiona przez nowy dzień. A ponieważ prawie już zapomniała, kto jest jej kuzynem, kto obcym, szła czując się tak, jakby odprowadzała wszystkich przygodnych znajomych. Szła i czuła, jak ogarnia ją tęsknota za Tarą. Tak, dobrze byłoby już wrócić do domu, zająć się ustalaniem szczegółów, przystąpić do pracy... dobrze jednak, że została w Trim na *May Day*. Teraz ma już tylko tydzień do odjazdu. To wcale nie tak długo.

* * *

W środę Franek Kelly - pocztylion z Trim - zatrzymał się u Mateusza O'Toole na fajeczkę i pół kwaterki.

- Mam tutaj wypchaną kopertę dla Columa O'Hary - zawołał od progu. - Jak sądzicie, co tam w środku może być?

Z przyjemnością popuścili wodze wyobraźni. W Ameryce wszystko przecież może się spełnić. Tym bardziej więc warto pospekulować. Ojciec O'Hara to miły człowiek, każdy się zgodzi, i doskonały mówca. Gdy jednak wszystko już zostanie powiedziane, nie doda marnego słowa.

Mateusz O'Toole tym razem nie pobiegł do Danielów. Nie było takiej potrzeby. Wiedział, że dziś po południu jego żona - Klara O'Gorman - wybiera się z wizytą do babki. Ona doręczy list, o ile przedtem sam Colum nie wpadnie do *pubu*. Mateusz zważył kopertę w rękę. Chyba zawiera niesłychane nowiny, skoro ktoś wydał tyle pieniędzy na opłacenie porto. Pewnie jakieś niesamowicie dobre wiadomości. Albo doniesienie o bardzo wielkim nieszczęściu.

* * *

- Jest do ciebie poczta, Scarlett. Colum położył na stole obok herbaty. - Miłą miałaś wizytę u Molly? - głos Kasi drżał z niecierpliwości.

Scarlett nie rozczarowała jej. Chichocząc, opowiedziała, jak wyglądały odwiedziny.

- Molly podejmowała właśnie panią doktorową herbatką. Kiedy stanęłam w drzwiach, omal nie wypuściła filiżanki z dłoni. Widać było, że nie wie, jak z tego wybrnąć. Mogła powiedzieć, że albo jestem nowo przyjętą pokojówką, albo udać, że mnie nie poznaje. Ale kiedy doktorowa zaszczębiotała cieniutkim głosikiem: „Ach, oto ta bardzo bogata kuzynka z Ameryki, co za zaszczyt”. Molly ani nie mrugnęła okiem na strój, tylko zerwała się jak opętana i dała mi dubeltowego całusa. Przysięgam ci Kasiu,

ły miała w oczach, gdy usłyszała, że przyszedłam tylko, aby wyjąć z kufra mój kostium podróżny. Wprost błagała mnie, bym została na dłużej, mniejsza o ubranie. Kiedy zbierałam się do wyjścia, też zrobiłam jej buzi - buzi. I doktorowej, dla równowagi. Nie ma to, jak iść na całego.

Kasia aż zgięła się wpół ze śmiechu, robótkę, nad którą ślęczała, upuściła na podłogę. Obok upadł kostium podróżny Scarlett, przekonanej, że strój wymaga poszerzenia w talii. Gdyby nie dziecko, noszenie luźnych sukien i spożywanie tak sutych posiłków byłoby rzeczą naganną. Skoro jednak była przy nadziei, nie zamierzała spędzać długiego rejsu zasznurowana w gorsecie.

Usiadła przy stole, podniosła kopertę i odwróciła się, tak by światło od drzwi padało na adres. Pełno tu było adnotacji i stempli pocztowych. Doprawdy, dziadka miała najpodlejszego pod słońcem, chyba że to Hieronim był odpowiedzialny za tę długą zwłokę, co bardzo prawdopodobne. Z urzędowych zapisków wynikało bowiem, że list, przesłany do rezydencji starszego pana w Savannah, był tam przetrzymywany kilka tygodni, zanim w końcu został odesłany do Maureen, a potem do Irlandii. Niecierpliwie rozdarła kopertę. Nadawcą było biuro gubernatora w Atlancie, list został pierwotnie adresowany na Brzoskwiniową. Ojej, chyba nie zapomniała zapłacić jakichś rachunków!... Nie dość, że musiała płacić za utrzymanie domu w Atlancie, nie dość, że była winna biskupowi za Tarę, to jeszcze budowała osiedle domków... niedobrze, rezerwy topnieją, nie może wyrzucać pieniędzy na płacenie kar za zwłokę. A przecież odnowienie Tary pochłonie fortunę! No i jeszcze trzeba kupić ziemię dla Willa. Odruchowo pomacała sakiewkę. Nie, pieniądze Retta są nietykalne.

* * *

Dokument był datowany na dwudziesty szósty marca 1875 roku, a więc został wystawiony dnia, gdy na pokładzie *Briana Boru* odpłynęła z Savannah. Przebiegła wzrokiem kilka pierwszych linijek. Zatrzymała się. Nie, to brzmi zupełnie bez sensu. Wróciła zatem do pierwszego zdania, zaczęła czytać powoli. Krew odpłynęła jej z policzków.

- Kaśka, gdzie Colum?

Hm... zaczynam wyrażać się pospolicie, Ciekawe.

- Chyba u starej. Klara miała się tam z nim spotkać. Nie możesz chwileczkę poczekać? Właśnie kończę przeróbkę sukienki. Przeszłam ją dla Brygidki na podróż, a wiem, że chciałaby się w nią ubrać i usłyszeć, jak ci się podoba.

- Nie mogę czekać.

Musi zobaczyć Columa. Stało się coś strasznego. Trzeba wyjeżdżać, jeszcze dzisiaj, zaraz, w tej chwili. Trzeba wracać do domu.

Colum był na podwórku.

- Nie pamiętam tak słonecznej wiosny - zawołał, kiedy ją zobaczył. - Kot i ja właśnie grzejemy sobie grzbiety.

Gdy go ujrzała, jej nienaturalny spokój prysnął jak bańka mydlana. Wybuchła płaczem.

- Colum, ja chcę do domu! - szlochała. - Diabli bierz ciebie, wszystkich O'Harów i całą tę Irlandię. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Dłoń zacisnęła aż do bólu, paznokcie wryły się w skórę, oto bowiem wolny stan Georgia stwierdził, że do archiwów stanowych wpłynął dekret o rozwodzie, którego udziela się Rettowi Kinnicut Butlerowi, z powodu ucieczki jego małżonki Scarlett O'Hary Butler. Dekret wydaje Zarząd Wojskowy Południowej Karoliny działający z upoważnienia Rządu Federalnego Stanów Zjednoczonych.

- Nie ma rozwodów w Południowej Karolinie - powtarzała Scarlett. - Dwaj prawnicy mi to powiedzieli.

Powtarzała te słowa raz za razem, aż ochrypła i nie była w stanie wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Ale i wtedy układała usta jak gdyby wypowiadała to, co dyktował jej umysł. Słowo po słowie.

Colum wziął ją pod ramię i zaprowadził do ogródka. Tam usiedli oboje na ławce w cichym kąciku. Coś do niej mówił, ale ponieważ nie mógł zmusić jej do posłuchu, ujął jej zaciśnięte pięści w swoje dłonie, głaskał i razem z nią trwał w milczeniu. Zaczęło się ściemniać. Spadł ciepły deszczyk, a oni siedzieli. Deszcz ustąpił miejsca olśniewającej purpurze zachodu słońca, a oni nie podnosili się z ławki. Zrobiło się ciemno. Brygidka przyszła zawołać ich na kolację, lecz Colum kazał jej odejść.

- Scarlett nie posiada się z bólu - rzekł. - Powiedz wszystkim w domu, że nie ma powodu do zmartwienia, potrzebuje trochę czasu, by otrząsnąć się z szoku. Dostała list z Ameryki. Jej mąż jest poważnie chory. Nasza Scarlett obawia się, że umrze, nim go zobaczy.

Brygidka pobiegła podzielić się hiobową wieścią z resztą rodziny. Scarlett się modli - powiedziała. A więc rodzina też wzięła się do modlitwy. Nim wreszcie zasiedli za stołem, kolacja zdążyła wystygnąć.

- Powieś przed domem latarnię - powiedział Daniel do Tymoteusza.

Światło odbiło się od szklistych oczu Scarlett.

- Kasia posyła szal - szepnął Tymoteusz. Colum kiwnął głową, okrył ramiona Scarlett, pomachał dłonią, żeby Tymoteusz już sobie poszedł.

Minęła kolejna godzina. Na ciemnym, prawie bezksiężycowym niebie rozbliły gwiazdy, jaśniejsze niż blask latarni. Z pobliskiego pola dobiegł jakiś krótki, zduszony krzyk. Załopotały skrzydła. Sowa dopadła swoją ofiarę.

- Co robić? - ochryply głos Scarlett brzmiał niezwykle donośnie w nocnej ciszy. Colum westchnął z ulgą „Bogu niech będą dzięki”, Najgorsze minęło.

- Wracamy do domu, jak ustaliliśmy - powiedział. - Jeszcze nie stało się nic, czego nie można odwrócić.

Mówił spokojnym, zdradzającym pewność siebie, kojącym głosem.

- Rozwiedziona!

W tym krzyku słychać było alarmujący ton hysterii. Colum żwawo rozcierał jej rękę.

- Nie jest prawdą, kochanie, że co się stało, to się nie odstanie. Zło zawsze można naprawić.

- Powinnam była siedzieć w domu. Nigdy sobie nie wybaczę tej lekkomyślności.

- Sza! Rozpamiętywanie przeszłości do niczego nie doprowadzi. Teraz trzeba pomyśleć o tym, co jest do zrobienia.

- On nigdy mnie nie przyjmie! Nigdy, skoro ma takie kamienne serce, że się ze mną rozwiódł. I pomyśleć, że cały ten czas czekałam, aż po mnie przybędzie. Colum, ja żyłam w przekonaniu, że lada dzień się zjawi, by mnie wziąć do siebie. Skąd ta naiwność? Ale jeszcze nie wiesz wszystkiego. Jestem w ciąży. Jakże mogę mieć dziecko, skoro nie mam męża?

- Cicho, cicho - uspokajał ją Colum. - Czyż to nie jest już wyjście? Wystarczy, że mu o tym powiesz.

Scarlett objęła dłońmi brzuch. Tak, oczywiście, idiotka ze mnie, że nie pomyślałam o tym wcześniej. Z gardła wyrwał się jej głośny, urwany śmiech. Kawałek papieru - nawet zapisanego - nie skłoni Retta Butlera, by wyrzekł się swego dziecka. Może przecież unieważnić rozwód, wyrwać akt rozwodowy z ksiąg notarialnych. Rett może wszystko. Właśnie przed chwilą otrzymała dowód jego wszechmocy. Bo nie ma rozwodów w Południowej Karolinie. A mimo to Rett się rozwiódł.

- Colum, ale ja naprawdę chciałabym natychmiast ruszyć w drogę. Przecież muszą być jakieś wcześniejsze rejsy. Oszaleję, siedząc tak tutaj i czekając.

- Wyjeżdżamy w piątek rano. Statek odpływa w sobotę. Jeśli wyruszymy w drogę jutro, i tak będziemy musieli czekać cały dzień. Czy, wobec tego, nie lepiej byłoby

spędzić ten czas u rodziny?

- Och, nie. Muszę być w ruchu, muszę wiedzieć, że wyjeżdżam. Nawet jeśli to tylko drobna część drogi. Muszę wrócić do Retta, i to zaraz. Wszystko jakoś nagle zaczęło zmierzać do końca... ja doprowadzę sprawę do szczęśliwego finału. Wszystko będzie dobrze... czy nie tak, Colum? Powiedz, że wszystko będzie dobrze.

- Bo będzie. Ale teraz zjedz coś, a przynajmniej wypij kubek mleka. Może byłoby dobrze wziąć kropelki? Musisz się wyspać. Musisz podtrzymywać siły... dla dobra dziecka.

- Och, tak. Oczywiście, że tak. Już ja o siebie zadbam. Najpierw jednak muszę zająć się kostiumem podróżnym, kufer też wymaga naprawy. Aha... powiedz, skąd tu wziąć powóz, który podwiózłby nas do pociągu?

Jej głos znowu brzmiał dźwięcznie. Colum wstał z ławeczki, pomógł Scarlett dźwignąć się na nogi.

- Już ja się wszystkim zajmę - uspokoił ją. - Dziewczęta pomogą mi przy kufrze... Ale wszystko to pod warunkiem, że coś zjesz.

- Tak, oczywiście.

Choć spokój jej powrócił, ciągle była zdenerwowana. Colum musiał dopilnować, by przybywszy do domu wypić jeden kubek mleka i przełknąć parę kropelek whisky. Bidula! Gdybyż tylko lepiej się znał na kobietach i dzieciach, miałby większą swobodę osądu. Scarlett kilka nocy nie spała, za to tańczyła jak szalony derwisz. Czy to nie przyspieszy porodu? Gdyby tylko doszło do poronienia, nie był pewien, czy Scarlett nie postrada zmysłów.

Jak wielu ludzi przed nim, Colum nie doceniał siły swojej kuzynki. Scarlett uparła się, by jeszcze tej nocy przywieźć od Molly jej rzeczy i kazała Brygidce zająć się pakowaniem, podczas gdy Kasia poszerzała kostium podróży.

- Zobacz, jak trzeba obchodzić się ze sznurówką - powiedziała ostrym tonem do Brygidki, wyciągnąwszy z kufra gorset. - Będziesz musiała ją sznurować na statku, ale wtedy nie będę mogła oglądać się do tyłu i mówić ci, jak to się robi.

Gwałtowność zachowania i podniesiony głos Scarlett wpędziły Brygidkę w przerażenie. A kiedy jeszcze głośno rozplakała się z bólu, gdy Kasia dociągała sznurówkę, Brygida też wybuchła płaczem.

Nieważne, że boli - przypomniała sobie Scarlett. Przecież zawsze bolało. Zawsze. Tylko już zapomniałam. Zakładam gorset po dłuższym okresie nienoszenia. Nie, to nie zaszkodzi dziecku. Zawsze nosiłam sznurówkę tak długo, jak się dało, tak, w ciąży. O, nosiłam w znacznie późniejszym stadium niż teraz. Przecież to jeszcze nawet nie dziesiąty tydzień. Muszę się ubrać we właściwe mi suknie, muszę znowu być sobą. Nawet gdybym miała od tego umrzeć, umrę w pociągu, w drodze do domu.

- Ścisłej, Kasiu - syknęła zza zaciśniętych zębów. - Ścisłej.

* * *

Colum udał się do Trim i zamówił powóz na dzień wcześniej. Potem obszedł całą rodzinę, wszystkim napomykając o straszliwym nieszczęściu, które dotknęło Scarlett. Gdy skończył, było już późno, ledwo stał na nogach. Ale teraz przynajmniej nikt nie będzie zdziwiony, dlaczego ta amerykańska kuzynka wymknęła się chyłkiem, niczym złodziej, bez pożegnania.

Za to pożegnanie z Danielem minęło bardzo spokojnie. Straszliwy szok, który przeżyła dzień wcześniej, uzbroił ją jakby w pancerz odrętwienia. Załamała się jedynie przy pożegnaniu z babką.

- Bóg z tobą, drogie dziecko - rzekła stara. - Święci Pańscy niechaj strzegą twe kroki. Szczęśliwam, że byłaś na moich urodzinach... Szkoda, że nie będziesz czuwać przy mojej trumnie... No i czego płaczesz? Czyżbyś nie wiedziała, że żadne przyjęcie dla żywych nawet w połowie nie równa się wspianiałości stypy? Wstyd, że cię przy tym nie będzie.

W powozie do Mullingar i w pociągu do Galway Scarlett siedziała w milczeniu, nie odezwała się ani słowem. Brygidka też była zbyt zdenerwowana, by mówić, lecz błysk

oczu i rozszerzone źrenice wyraźnie świadczyły o tym, że jest radośnie podniecona. Choć miała piętnaście lat, nigdy jeszcze nie była dalej od domu niż o dziesięć mil drogi.

Kiedy dotarli do hotelu, stanęła z rozdziawionymi ustami, zachwycona wspaniałością budowli.

- Odprowadzę was do pokoju - powiedział Colum. - Wrócę, żeby zaprowadzić was na obiad. Tymczasem idę do portu dopilnować załadunku bagażu. Muszę jeszcze obejrzeć kabiny. Jeśli nie dostaliśmy najlepszych, dzisiaj można je zmienić. Jutro będzie już za późno.

- Idę z tobą - powiedziała Scarlett. Odezwała się po raz pierwszy od chwili, gdy wyjechali z Adamstown.

- Nie trzeba.

- Muszę. Chcę zobaczyć ten statek. W przeciwnym razie nie uwierzę, że naprawdę wracam do domu.

Colum zgodził się, żeby poszła. Zaraz jednak Brygida zapytała, czy ona też może. Hotel przytłaczał ją wystawnością. Nie chciała zostać sama.

Wiatr znad morza niósł smak soli. Scarlett wzięła głęboki oddech. Tak, w Charlestonie powietrze też było słone. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że po policzkach wolno spływają jej łzy. Gdybyż wreszcie mogli odpłynąć, choćby i zaraz, tego wieczoru. Ciekawe, czy kapitan by się zgodził?... Dotknęła wypchanej sakiewki, ciężko kołyszącej się na piersi.

- Szukam *Gwiazdy Wieczornej* - zwrócił się do jednego z robotników portowych.

- Tam - pokazał palcem. - Właśnie przed godziną zawięła do portu.

Colum ściągnął twarz, by ukryć zaskoczenie. Statek powinien był przyplłynąć dobre trzydzieści godzin temu. Lepiej nie mówić Scarlett, że to opóźnienie może oznaczać pewne kłopoty...

Ekipy robotników powoli wchodziły na pokład *Gwiazdy Wieczornej*. Po drugim trapie ładowacze schodzili na ląd, objuczeni ciężarem ładunków. Dało się widzieć, jak na brzeg schodzą ostatni pasażerowie.

- Scarlett, moja droga, obawiam się, że w tej chwili kobiety nie mają tu nic do roboty - przemówił łagodnym tonem. - Wracajmy do hotelu. Przyjdę tu później.

Scarlett zacisnęła szczękę.

- Nie. Chcę rozmawiać z kapitanem.

- Na pewno jest zbyt zajęty i nie ma czasu na rozmowę z kimkolwiek, nawet z piękną kobietą.

Nie była w nastroju do przyjmowania komplementów.

- Znasz go, prawda, że znasz kapitana? - zwróciła się do Columa. Jej oczy błyszczały gorączkowo. - Zrób coś, bym mogła się z nim spotkać.

- Nie, moja droga, nie znam go. Nigdy w życiu go nie widziałem. Skąd miałbym go znać? To Galway, kochanie, a nie Powiat Meath.

Właśnie na trapie pojawił się jakiś umundurowany mężczyzna. Na plecach dźwigał dwa wypchane worki z płótna żaglowego, lecz szedł lekko i szybko, co było dość niezwykle, zważywszy jego wzrost i tuszę.

- Ojciec Colum O'Hara, niech mnie drzwi ścisną! - zagrział, gdy zbliżył się do nich. - Co ty tu robisz, tak daleko od *pubu* Mateusza O'Toole?

Zrzucił jeden worek na ziemię, zerwał z głowy kapelusz i pochylił się przed Brygidą i Scarlett.

- Czyż nie twierdziłem zawsze, że każdy O'Hara ma cholerne szczęście do kobiet? - ryknął śmiechem, zadowolony z własnego dowcipu. - Powiedz no, bratku, czy ty chociaż im mówisz, żeś klecha?

Scarlett, przedstawiona Frankowi Mahoney, uśmiechnęła się blado i w ogóle nie zwracała uwagi na jego wywody, z których miało wynikać, jaki to stopień pokrewieństwa łączył go z rodziną Maureen. Chciała rozmawiać z kapitanem!

- Właśnie niosę pocztę z Ameryki - wyjaśnił, po chwili Mahoney. - Jutro będę sortować. Może zechcesz rzucić okiem, Colum, czy nie ma tam czego do ciebie? Chyba, że wolisz przeczytać te perfumowane liściki dopiero po powrocie do domu...

Znowu zagrział śmiechem, zachwycony własnym poczuciem humoru.

- To bardzo miło z twojej strony - skwitował dowcip Colum, po czym rozwiązał leżący u jego stóp worek, przyciągnął go bliżej lampy gazowej, pochylił się i bez trudu znalazł kopertę z Savannah.

- Szczęście sprzyja mi dzisiaj - powiedział. - Brat zapowiadał w ostatnim liście, że następny wyśle już wkrótce, ale nie mogłem się go doczekać i nawet już straciłem nadzieję. A tu, proszę. Serdeczne dzięki, Franku. Pozwolisz, że postawię ci kufel? - sięgnął do kieszeni.

- Nie trzeba - powstrzymał go Mahoney. - Zrobiłem to dla czystej przyjemności łamania angielskich przepisów.

Zarzucił sobie worek na plecy.

- No, ale teraz to już muszę się zbierać. Mój wszechwładny kontroler na pewno spogląda na swój złoty zegarek, nie mogę się spóźnić. Dobranoc paniom.

* * *

W kopercie znajdowało się kilka liścików - Colum szybko przerzucił je, szukając wyraźnego charakteru pisma Stefana.

- O, tutaj jest coś dla ciebie - mruknął, podając Scarlett niebieską kopertę. Znalazł też w końcu list od Stefana. Właśnie rozerwał papier, wyjął parę złożonych kartek i zaczął czytać, gdy tuż obok rozległ się wysoki, długi krzyk... poczuł, jak czyjeś ciało zsuwa się na ziemię. Zanim zdążył otworzyć ramiona, Scarlett leżała u jego stóp. W jej bezwładnej dłoni spoczywała niebieska koperta i kilka cienkich karteczek, które porwane wiatrem, poszybowały nad brukowanym nabrzeżem. Gdy Colum uniósł Scarlett i palcem usiłował wyczuć puls na jej szyi, Brygidka pobiegła złapać kartki.

Dorożka, podskakiwała na kocich łbach, z wyścigową szybkością wiozła ich do hotelu. Głowa Scarlett ciężko kołysała się z boku na bok, choć Colum usiłował trzymać ją w ramionach. Powóz zatrzymał się przy podejździe. Colum wyniósł Scarlett, szybkim krokiem wszedł do hotelowego hallu.

- Lekarza! - krzyknął w stronę tłoczących się przy wejściu lokajów w liberii. - I zejdźcie mi z drogi.

Wszedł do pokoju, położył Scarlett na łóżku.

- Szybko, pomóż mi ją rozebrać! - rzucił w stronę Brygidy.

Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął nóż w skórzanej pochwie. Palce Brygidki zwinnie przebiegły po rzędzie guzików.

Teraz Colum mógł rozciąć sznurówki gorsetu.

- Pomóż mi podłożyć poduszkę pod głowę - polecił. - I przykryj ją czymś.

Sam żwawo zabrał się do rozcierania dłoni Scarlett, później delikatnie poklepał ją po policzkach.

- Masz jakieś sole trzeźwiące?

- Nie - jęknęła Brygidka. - O ile wiem, w bagażu kuzynki też ich nie ma.

- Lekarz na pewno przyniesie coś w tym rodzaju. Mam nadzieję, że to tylko zemdlenie.

* * *

- Zasłabła, to wszystko - powiedział doktor, gdy opuścił sypialnię. - Ale dość poważnie. Dałem jej coś na wzmocnienie. Gdy się ocknie, dziewczyna powinna jej podać. Ach, te damy... - westchnął ciężko. - Żeby zgrabnie wyglądać, gotowe są odciąć sobie krążenie. Cóż, ojczy, nie ma się co martwić. Wróci do siebie.

Colum podziękował, zapłacił, odprowadził go do drzwi. Gdy wrócił, rzucił się na krzesło przy stole i złapał się rękoma za głowę. Miał aż nadto powodów do zmartwienia. „Wróci do siebie”? - pytanie tylko, kiedy, o ile w ogóle „wróci”. W łagodnym świetle lampy ujrzał przed sobą pomięte, pochłapane brudną wodą kartki. List Scarlett! Przysunął bliżej plik zapisanego papieru - między kartkami leżał wycinek z gazety. „Wczoraj wieczorem” - czytał - „podczas skromnej ceremonii w Konfederackim Domu Wdów i Sierot Mr. Rett Butler pojął za żonę Annę Hampton.”

56.

Umysł Scarlett wznosił się w górę wirując po spirali, płynął, zakręcał spiralne sploty, wylaniał się z czerni ku świadomości, lecz jakiś instynkt podpowiadał mu, by nie wracał, ścigał go w dół, tak że ten co chwila ześlizgiwał się, zapadał w ciemności, byle dalej od nieznośnej ciężkości prawd, które przed nim leżały. To do góry, to w dół, zmagania z dwiema przeciwstawnymi siłami tak ją wyczerpały, że leżała zmęczona bez ruchu, blada, maleńka na wielkim łóżku, jakby bez ducha.

Śniła. Senne obrazy pełne były ruchu, narzucały się z nieodpartą siłą. Śniła, że znajduje się w Dwunastu Dębach, w pełni rozkwitu, pięknych, takich, jakimi były zanim liznęły je płomienie pochodni ciskanych rękoma żołnierzy z armii Shermana. Piękne kręte schody wiły się, jakby zawieszane w przestrzeni, a jej stopy, stąpały delikatnie, jakby nieważkie. Przed nią szedł Ashley, piął się do szczytu schodów, nie zdając sobie sprawy z tego, że krzyczy za nim, aby się zatrzymał.

- Ashleyu! - wołała. - Ashleyu, poczekaj na mnie!

Rzuciła się za nim biegiem.

Długie były te schody. Nie sądziła, że są aż tak długie, nie pamiętała ich takimi. Zdało się, że im dalej biegnie, im bardziej Ashley się oddala, tym bardziej rozciągają się schody, tym wyżej rosną. Musi do niego dobiec. Nie wiedziała, dlaczego, po prostu tak trzeba, musi. Biegła więc, biegła coraz szybciej, z każdą chwilą szybciej, aż serce waliło jej młotem.

- Ashleyu! - krzyczała. - Ashleyu!

Przystanął. A wtedy ona znalazła w sobie siły, których istnienia nawet nie podejrzewała. Rzuciła się przed siebie, biegła - choć trudno to sobie wyobrazić - jeszcze szybciej niż przedtem.

Gdy czubkami palców dotknęła jego łokcia, uczucie błogości opłynęło jej ciało i duszę. Lecz kiedy on odwrócił się ku niej, jej usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku. Nie miał twarzy, tylko bladą, bezkształtną maskę.

I wtedy zaczęła spadać, jak liść wirowała w bezgranicznej przestrzeni ze wzrokiem utkwionym w postaci u szczytu schodów, z ustami otwartymi do krzyku. Ale jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był dobiegający z dołu straszliwy śmiech, otaczający ją niczym obłok, który szydził z jej niemocy.

Umieram - pomyślała. Straszliwy ból zgniecie mnie i umrę.

Nagle poczuła, jak obejmują ją czyjeś mocne ramiona. Już nie spadała. Znała te objęcia, wiedziała, czyje ręce układają jej głowę na poduszce. To Rett. Rett ją ocalił. W

jego objęciach była bezpieczna. Odwróciła głowę, uniosła lekko, by spojrzeć w jego oczy. Lodowate przerażenie skłuło jej całe ciało. I jego twarz była bezkształtna, jak mgła lub dym, jak twarz Ashleya. A wtedy z pustki, gdzie powinna być twarz Retta, huknęło śmiechem.

Umysł Scarlett, wstrząśnięty tym odkryciem, w ucieczce od strachu przebudził się w świadomości. Otworzyła oczy. Ciemność ją otaczała, ciemność niewiedzy. Na stole płonęła lampa. Na krześle siedziała Brygidka. Spała. Skulona w dalekim kącie ogromnego pokoju była prawie niewidoczna. Scarlett wyciągnęła ręce, badając przestrzeń wielkiego, obcego łóżka. Palcami dotknęła czegoś miękkiego. Prześcieradło - cóżby innego? Nie mogła dosięgnąć krańców materaca, za daleko. Miała wrażenie, jakby porzucono ją na dziwnie miękkim pustkowiu, nie była w stanie nazwać miejsca, gdzie się znajduje. Może nadal trwa zagubiona gdzieś w cichej ciemności - gardło ścisnął jej strach. Była sama, zagubiona w ciemności.

Dość tego! Umysł wzbraniał strachowi wstępu, obwarował się przed uczuciem lęku, żądał, by wzięła się w garść. Ostrożnie podciągnęła nogi, kucnęła. Jej ruchy były bardzo powolne, bezgłośnie. Bo przecież coś mogło czatować w ciemności, wyczekując, aż się poruszy. Z największą przezornością podczołgała się do brzegu łóżka, dotknęła twardej drewnianej ramy.

Cóż za idiotka z ciebie, Scarlett O'Haro - westchnęła w duchu, kiedy łyzy ulgi zaczęły jej spływać po policzkach. Jasne, i łóżko nie twoje, i sypialnia. Zemdlałaś, niczym głupawy podlotek, a Colum i Brygida zanieśli cię do hotelu. No, dość już tych straszliwych bzdur.

A wtedy, jakby za jednym ciosem, szturm przypuściła pamięć. Straciła Retta... porzucił ją... poślubił Annę Hampton. Nie mogła dopuścić do siebie tej myśli, ale musiała, bo taka była prawda.

Dlaczego, dlaczego mi to uczynił? Tak go kochała, pewna, że i on ją kocha. Nie mógł jej tego uczynić, to nie do wiary.

A jednak.

Nigdy go nie zdołałam poznać. Scarlett tak wyraźnie słyszała, jak słowa te rozbrzmiewają gdzieś w głębi niej, jak gdyby wypowiedziała je na głos. Wcale go nie znałam. Kim zatem był ten, którego kochałam? Czyjego dziecka jestem matką?

Co się ze mną stanie?

* * *

Tej nocy w przerażających ciemnościach prawie niewidzialnego pokoju hotelowego,

tysiące mil od domu, Scarlett O'Hara uczyniła najodważniejszą rzecz w życiu: stawiała czoło klęsce.

To wszystko moja wina. Powinnam była wracać do Charlestonu zaraz, gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Zamiast tego wybrałam przyjemność. Te kilka tygodni beztrudnie spędzonych w Irlandii kosztowało mnie wszystko, do czego naprawdę przywiązywałam znaczenie. Nawet nie zadałam sobie trudu i nie zastanowiłam się, co Rett sobie pomyśli, gdy dowie się, że odpłynęłam. Dzień mijał za dniem, a ja nic, tylko tańczyłam *reele* i w ogóle o niczym nie myślałam.

Nigdy nie myślałam.

W cichych ciemnościach nocy zdało się, że Scarlett obiegły wszystkie błędy, jakie zdarzyło się jej nieświadomie popełnić w życiu. Zmusiła się, by spojrzeć im w oczy. Karol Hamilton - poślubiła go chcąc dokuczyć Ashleyowi - tak naprawdę w ogóle jej nie interesował. Frank Kennedy - obeszła się z nim ohydnie, nakłamała mu o Zueli, tak że w końcu ożenił się z nią i dał jej pieniądze na ocalenie Tary. Rett... och, tutaj popełniła tyle błędów, że trudno zliczyć. Poślubiła go, kiedy go nie kochała, a potem nawet nie zadała sobie trudu, aby uczynić go szczęśliwym, co więcej - nic ją nie obchodziło to, że był nieszczęśliwy... dopóki nie było za późno.

Boże, wybac mi, nigdy nie zastanawiałam się, ile krzywd im wyrządziłam, nigdy nie interesowało mnie, co oni czują. Potrafiłam tylko ból im przynosić - bo nie umiałam się zmusić do chwili zastanowienia.

Z Melanią nie inaczej - o, zwłaszcza wobec niej dopuściłam się niegodziwości. Na samo wspomnienie o tym, jaka byłam wobec niej podła, robi mi się niedobrze. Nawet nigdy nie czułam do niej wdzięczności za to, że mnie tak kocha i zawsze gotowa trzymać moją stronę. Nawet nie zdążyłam powiedzieć jej, że ją Kocham, ponieważ do samego końca o tym nie pomyślałam, a gdy nadszedł, nie było już możliwości.

Czy, jak długo żyję, zwracałam uwagę na to, co robię? Czy bodaj raz w życiu pomyślałam o konsekwencjach moich czynów?

Rozpacz i wstyd ścisnęły jej serce. Jak mogła być aż tak głupia? Przecież gardziła głupcami.

Nagle zbiła dłonie w garści, zacisnęła zęby, podniosła głowę. Nie, nie będzie się pławić w brudach przeszłości, nie będzie rozpamiętywać własnych win, nie będzie skomleć z żalu nad samą sobą, nad innymi także.

Suchymi oczyma zapatrzyła się w ciemność wokół niej. Nie będzie płakać - nie teraz. Na łzy ma jeszcze dość czasu - może płakać do końca swych dni. Teraz trzeba się

zastanowić - i to bardzo gruntownie - zanim podejmie decyzję, co dalej.

Trzeba pomyśleć o dziecku.

Na chwilę dała się owładnąć fali nienawiści: nienawidziła dziecka, nienawidziła sterczącego brzucha, tego niezgrabnego, ciężkiego cielska. Dziecko miało zwrócić jej Retta - a tymczasem go odebrało. O, tak, kobieta w jej sytuacji wcale nie była zupełnie bezradna - słyszała o takich, które umiały się pozbyć nie chcianego brzemienia...

... ale Rett nigdy by jej tego nie podarował. Hm... w końcu jakie to ma znaczenie? Przecież odszedł, na zawsze.

Chociaż wzbroniła sobie płaczu, chociaż całą siłą woli nakazywała sobie milczenie, z jej ust wyrwał się stłumiony szloch.

Stracony. Na zawsze go straciłam. Przegrałam. Rett zwyciężył.

Płomień gniewu przyżegł jej ból, tchnął w wyczerpane ciało i ducha nowe siły.

- Choć pokonana, potrafię dać radę nawet tobie, Recie Butler. Uderzę mocniej, bardziej dotkliwie.

Delikatnie złożyła dłonie na brzuchu. O, nie. Nie pozbędzie się dziecka. Przeciwnie - otoczy je taką opieką, jakiej jeszcze nie miało żadne dziecko na świecie.

Jej umysł wypełniły obrazy Retta i Bonnie. Zawsze kochał ją bardziej niż mnie. Oddałby wszystko - nawet życie - byleby tylko ją odzyskać. Teraz mam nową Bonnie - moją własną. A kiedy już urośnie - gdy mnie pokocha, mnie jedną, tylko mnie, bardziej niż kogokolwiek - wtedy pozwolę Rettowi ujrzeć ją, niech zobaczy, co stracił...

O czym znowu ja myślę? Chyba oszalałam. Jeszcze przed minutą trwałam w najgłębszym przekonaniu, że go straciłam, nienawidziłam się za własną bezmyślność, a teraz nienawidzę jego i kuję plan zemsty, chcę zadać mu cios jeszcze bardziej dotkliwy. Nie mogę sobie na to pozwolić, nie powinnam dawać przystępu podobnym myślom, nie wolno...

Rett odszedł, tak, to prawda, przyznaję. Nie mogę popaść w rozpacz, nie mogę dać się porwać nienawiści, to przecież do niczego nie prowadzi. Muszę zacząć życie od nowa. Trzeba znaleźć jakąś nową ideę, coś ważnego, coś, dla czego warto żyć. Dokonam tej sztuki, niech no tylko zacznę o tym myśleć.

Przez resztę nocy jej myśli wędrowały różnymi szlakami, zgłębiając liczne możliwości, badając, która byłaby najkorzystniejsza. Wpadała w ślepe uliczki, napotykała liczne przeszkody - te pokonywała - odkrywała, zaskoczona, nie znane dotychczas zaułki pamięci, dziwne drogi wyobraźni, pokłady dojrzałości, których istnienia nie podejrzewała.

Wspominała młodość. Powiat, dni sprzed wybuchu Wojny. Wspomnienia były jakby nieco spłaszczone, nie wywoływały bólu, bo odległe w czasie i przestrzeni. Wtedy rozumiała, że już nie jest tą samą Scarlett, że najlepiej zrobi, gdy pozwoli jej odejść, gdy da umrzeć przeszłości, a zmarłych gdy zostawi w spokoju.

Skoncentrowała się na przyszłości, na tym, co się dopiero stanie, na konsekwencjach. Najpierw zaczęło jej pulsować w skroniach, potem dzwonić, potem strasznie rozboliła ją głowa, nie przestawała jednak myśleć.

Dopiero gdy na ulicach wszczął się poranny ruch, wszystkie fragmenty myśli złożyły się w jedną całość w jej umyśle - wtedy już wiedziała, co począć. Ledwo przez zaciągnięte zasłony zaczęło mżyć światło dnia, podniosła się i zawołała.

- Brygidko?

Dziewczyna zerwała się z krzesła, mrużąc oczy.

- Dzięki Bogu, doszłaś do siebie, kuzynko Scarlett! - Zawołała, choć sen nie zszedł jeszcze z jej powiek. - Doktor zostawił krople na wzmocnienie. Zaraz, tylko znajdę łyżeczkę, gdzieś tutaj leży na stole...

Scarlett potulnie otworzyła usta.

- Proszę bardzo - rzekła mocnym głosem, gotowa przełknąć gorzkie lekarstwo. - Już nie zamierzam dłużej chorować. Odsłoń okna, niech wejdzie dzień. A później śniadanie. Głowa mnie boli, muszę odzyskać siły.

Padało. Prawdziwy deszcz, nie mżawka, jak zazwyczaj w głębi łądu. Scarlett uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją.

- Colum na pewno chciałby się dowiedzieć, że już ci lepiej. Czy mogłabym mu powiedzieć, żeby wszedł i przekonał się na własne oczy?

- Jeszcze nie teraz. Powiedz mu, że zechcę spotkać się z nim później. Musimy porozmawiać. Idź. Obudź go. I poproś, żeby ci powiedział, jak się tutaj zamawia śniadanie.

Scarlett zmusiła się do przełknięcia paru kęsów, choć nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co je. Ale, jak powiedziała Brygidce, musiała odzyskać siły.

Po śniadaniu odesłała dziewczynę z poleceniem, by wróciła za dwie godziny. Usiadła przy biurku w pobliżu okna, w skupieniu zmarszczyła brwi, po czym w szybkim tempie zapisała arkusz grubego, kremowego papieru, a po nim jeszcze jeden, i jeszcze jeden.

Gdy oba listy były już gotowe, zgięła kartki w pół, włożyła do kopert i zapieczętowała. Westchnęła ciężko, zapatrzyła się w czystą kartkę i trwała tak przez dłuższy czas ze wzrokiem utkwionym w biel papieru. Całą noc rozmyślała o tym, dobrze wiedziała, co ma napisać, nie mogła jednak zmusić się do tego, by ująć w palce pióro i postawić pierwszą literę. Całą sobą wzdragała się przed tym.

Drgnęła, oderwała spojrzenie od czystego, nie zapisanego arkusza. Pobieгла wzrokiem do ślicznego porcelanowego zegara, który stał na stole. Przestraszona, wstrzymała oddech: już tak późno! Brygidka wróci za niespełna trzy kwadransy.

Nie mogę zwlekać ani chwili dłużej, choćbym myślała nie wiadomo jak długo i tak niczego to nie zmieni. Nie ma innego wyjścia. Muszę napisać do wuja Henryka, przeprosić go i zwrócić się o pomoc. Tylko jemu mogę zaufać.

Zacisnęła zęby, sięgnęła po pióro. Chociaż zwykła pisać starannie i równo, tym razem spod stalówki wychodziły słowa mało czytelne, jakby przenoszone na papier w ostatnim, rozpaczliwym wysiłku: resztką sił prosiła Henryka Hamiltona, by zechciał przejąć kontrolę nad jej interesami w Atlancie i zdeponowanym w banku złotem.

Było to tak, jakby ziemia gwałtownie usunęła się jej spod nóg. Źle się czuła,omal nie dostała zawrotów głowy. Nie, nie żywiła obaw, że stary wyga ją oszuka, wiedziała jednak, że nie będzie dbał o każdego centa tak jak ona. Bo powierzyć mu pieczę nad odprowadzaniem do banku dochodów ze sklepu i baru to jedno, ale oddać mu kontrolę nad inwestycjami, cenami i opłatami dzierżawnymi, to coś zupełnie innego.

Kontrola. Pisząc ten list, wyrzekała się kontroli nad pieniędzmi, własnym bezpieczeństwem, nadzieją na sukces, i to właśnie w chwili, gdy osobisty nadzór z jej strony był potrzebny jak nigdy dotychczas. Wykupując dział Kariny w Tarze wyrwała wielką dziurę w zasobach, lecz sprawy poszły już za daleko, by można było odwrócić tę transakcję z biskupem, zresztą gdyby nawet miała taką możliwość, i tak by z niej nie skorzystała. Wprawdzie marzenie o wakacjach z Rettem rozwiało się w jednej chwili, lecz Tara to Tara - była zdecydowana zdobyć ją na własność.

Budowa osiedla na peryferiach miasta pożerała znaczną część jej zasobów, ale nie mogła się z tego wycofać. Gdybyż tylko miała bodaj cień pewności, że wuj Henryk zgodzi się na wszystkie propozycje Colletona, nie pytając o koszty.

Co najgorsze, nie miała pojęcia, w którą stronę zmiierzają sprawy. Wszystko może się wydarzyć. - Nie, nie zniosę tego! - jęknęła na głos, lecz nie przerywała pisania. Musi dokończyć ten list. Pisała zatem, że zamierza zrobić sobie dłuższe wakacje, wyjechać w podróż, że wobec tego będzie nieosiągalna, także listownie, nie zna bowiem miejsc, gdzie się zatrzyma, nie może podać adresów. Spojrzała na czerniejące na papierze słowa. Obraz zamazał się, łyzy zamglily ostrość widzenia. O, nie, tylko nie to - jęknęła w duchu. Musi zerwać wszystkie więzi, w przeciwnym razie Rett gotów ją wysledzić. A przecież nie może dowiedzieć się o dziecku wcześniej, niż sama uzna to za stosowne.

Ale jak tu pogodzić się z myślą, że nie będzie wiedziała, co wuj Henryk robi z jej majątkiem? A jeśli panika przybierze na sile i zagrozi bezpieczeństwu jej oszczędności? A jeśli dom stanie w płomieniach? Albo, co gorsza, w sklepie wybuchnie pożar?

Nie ma wyjścia. Musi się z tym pogodzić. Pióro w pośpiechu przebiegało po papierze, kreśląc szczegółowe zalecenia i rady, do których wuj Henryk i tak się nie zastosuje.

Kiedy wróciła Brygidka, listy leżały na bibularzu, zapieczętowane i zaadresowane. Scarlett siedziała w fotelu, na kolanach trzymała rozpruty gorset.

- Och, na śmierć zapomniałam, kuzynko Scarlett - jęknęła od progu. - Musieliśmy rozciąć sznurówkę, bo byłaś bliska utraty tchu. I co ja mam teraz zrobić? Może gdzieś jest tu w pobliżu jakiś sklep.

- Mniejsza z tym - powiedziała Scarlett. - Nieważne. Sfastryguje się z tyłu, założy płaszcz i nie będzie widać. No, do roboty. Już późno, a tyle mam spraw do załatwienia.

Brygidka wyjrzała przez okno. Przyzwyczajona do życia na wsi instynktownie czuła, że jeszcze nie było dziewiątej. Późno? Szybko jednak rzuciła się do pudełka z niemi - podarunek od Kasi, szczerze pragnącej, by jak najlepiej wywiązała się z nowej roli pokojówki.

Pół godziny później Scarlett zapukała do drzwi pokoju Columa. Po bezsennej nocy dostała sińców pod oczami, była jednak nieskazitelnie ubrana i absolutnie spokojna. Wcale nie czuła zmęczenia. Najgorsze miała już za sobą. Teraz trzeba było przystąpić do działania. Siły jej wróciły.

Kiedy otworzył drzwi, uśmiechnęła się.

- Czy jeśli wejde, koloratka osłoni twoją reputację? - przywitała kuzyna. -

Chciałabym pomówić o ściśle prywatnych sprawach.

Colum uklonił się i szerzej uchylił drzwi.

- Serdecznie witamy - mruknął szastając nogą. - Miło znowu widzieć cię uśmiechniętą.

- Mam nadzieję, że nie minie dużo czasu, nim będę zdolna uśmiechnąć się po raz drugi... Czy ten list z Ameryki... ten, który czytałam... zaginął?

- Nie. Ja go mam. Ściśle prywatnie. Rozumiem, co się stało.

- Czyżby? - uśmiechnęła się Scarlett. - W takim razie jesteś ode mnie tysiąckroć mądrzejszy... Bo ja, co prawda, wiem, co się stało, lecz nigdy chyba tego nie zrozumieję. Hm... ale to nie ma nic do rzeczy.

Rzuciła na stół listy, które napisała.

- Będę wyrażać się zwięźle. Zatem, po pierwsze, muszę ci powiedzieć, że nie płynę z tobą i Brygidką. Zamierzam zostać w Irlandii.

Podniosła dłoń, uprzedzając ewentualny protest.

- Nie, nic nie mów. Przemyślałam to bardzo dokładnie. W tej chwili nie mam czego szukać w Ameryce.

- O, nie, tylko nie to. Jesteś zbyt porywcza, droga Scarlett. Czyż nie powiedziałem ci, że nie ma takiego zła, którego nie dałoby się naprawić? Skoro twój mąż rozwiódł się z tobą, rozwiedzie się i ze swoją obecną żoną, gdy tylko się dowie, że nosisz jego dziecko.

Scarlett zacisnęła pięści.

- Mylisz się, Columie. Rett nigdy nie rozwiedzie się z Anną. To dziewczyna w jego typie, z jego sfery, to kobieta z Charlestonu. W dodatku podobna do Melanii... Tak, wiem, to imię nic dla ciebie nie znaczy, nie znałeś Meli, za to Rett ją poznał. Na długo przede mną zrozumiał, jaka to wyjątkowa istota. Szanował ją. Była jedyną kobietą, którą darzył szacunkiem, może za wyjątkiem swojej matki. Podziwiał ją tak, jak na to zasługiwała. Dziewczyna, którą teraz poślubił, jest warta dziesięć takich, jak ja, jest warta tyle, co Mela, a to bardzo dużo i Rett zdaje sobie z tego sprawę. Owszem, jest też warta dziesięciu takich mężczyzn, jak Rett, ale go kocha. Niechże więc dźwiga ten krzyż.

Tyle było goryczy w jej słowach!

- Cierpienie, znowu cierpienie - westchnął Colum, spoglądając na pobladłą Scarlett. Chyba jednak istnieje jakiś sposób, żeby ją od niego uwolnić.

- Posłuchaj mnie dobrze, Kasiu Scarlett - zaczął z ogromną cierpliwością w głosie. - Masz teraz całą Tarę dla siebie, tyle o tym marzyłaś, tyle snułaś planów. Czy zatem

Tara nie zdoła cię pocieszyć, czy nie mogłabyś tam zamieszkać, dopóki serce nie ukois się z bólu? Mogłabyś zacząć budować dom, ba! cały świat dla dziecka, które nosisz, mogłabyś zacząć odbudowywać tę plantację, w którą jego babka i matka włożyły już tyle wysiłku. Jeśli to będzie chłopiec, daj mu na imię Gerald!

Scarlett uśmiechnęła się blado.

- Nie myśl, Columie - powiedziała - że przyszło ci do głowy coś, o czym bym wcześniej nie pomyślała. Dziękuję za troskę, lecz jeśli ja nie potrafiłam znaleźć właściwej odpowiedzi, ty też jej nie znajdziesz, uwierz mi. Cóż z tego, że... być może... będę mieć syna, skoro nawet nie wiadomo, czy przysługuje mu prawo do dziedziczenia po ojcu? Ale mniejsza o syna, najważniejsze, że będę miała dziecko. I co dalej? Nie mogę wrócić do Tary, aby je tam urodzić. Nawet kiedy już przyjdzie na świat, nie będę mogła go tam zawieźć, bowiem ludzie nigdy by nie uwierzyli, że poczęłam je z moim prawowitym mężem. Niech no się tylko o nim dowiedzą, zawsze będą sobie myśleć, tak w Powiecie, jak w Atlancie, że jestem dokładnie taka, za jaką mnie uważali. Pamiętaj: opuściłam Charleston dzień po tym, gdy zostałam brzemienna.

Scarlett zbladła, ogarnięta bolesną tęsknotą.

- Co więcej - ciągnęła - nikt nigdy nie uwierzy, że to dziecko Retta. Od lat spaliśmy oddzielnie. Nazwą mnie dziwką, a dziecko bękartem. Z lubością będą powtarzać te słowa.

Jej usta wygięły się, bezgłośnie wymawiając obelgi.

- Och - zachnął się Colum. - Przesadzasz, wcale nie będzie aż tak źle. Twój mąż zna prawdę. Uzna dziecko.

W źrenicach Scarlett rozblęły ognie.

- O, tak! - zawołała. - Uzna, żeby mi je odebrać. Nawet nie wyobrażasz sobie, Colum, jak szaleńczo Rett kocha dzieci, swoje dzieci. Niechby się tylko dowiedział, że został ojcem, zaraz by odebrał mi to swoje dziecko, najpiękniejsze, najukochańsze. Zabrałby je, ledwo zdołałoby ujrzeć świat, wziąć pierwszy oddech. Nie myśl, że nie byłby do tego zdolny. Sam mogłeś się przekonać, co potrafi: prawo nie uznaje rozwodów, a on jednak się rozwiódł. Jakkolwiek stanowiłoby prawo, on jest w stanie je obejść, albo uchwalić nowe. Nie ma takiej rzeczy pod słońcem, której nie potrafiłby zdobyć, gdy jej zabraknie.

Mówiła chrapliwym szeptem, jakby czegoś się bała. Jej twarz ściał grymas dzikiego, instynktownego, przemieszanego z nienawiścią przerażenia.

Wtem, jakby za zrzuceniem maski, wyraz twarzy Scarlett uległ radykalnej zmianie.

Łagodna, opanowana, była uosobieniem spokoju - tylko jej zielone oczy miały błyskawice. Na usta wypłynął uśmiech, którego widok sprawił, że Colum O'Hara poczuł, jak chłód przenika go do szpiku kości.

- To moje dziecko...

Spokojny, niski głos Scarlett był niczym koci pomruk.

- To moje dziecko - powtórzyła. - Wyłącznie moje. Rett nie dowie się o nim wcześniej, niż tego zechcę, ale wtedy będzie dla niego za późno. Będę się modlić o dziewczynkę. Śliczną, błękitnooką dziewczynkę.

Colum przeżegnał się.

Scarlett wybuchnęła chrapliwym śmiechem.

- Biedaczysko! Na pewno widziałeś odrzuconą kobietę, nie rób takiej przerażonej miny. Nie obawiaj się, już więcej nie dam ci powodów do strachu. Uśmiechnęła się, a wtedy gotów był prawie przysiąc, że to, co widział na jej twarzy chwilę wcześniej, było wytworem jego wyobraźni.

Uśmiech Scarlett był szczery i tkliwy.

- Wiem, że usiłujesz mi pomóc - powiedziała. - I jestem ci za to bardzo wdzięczna, naprawdę. Byłeś dla mnie taki dobry, byłeś takim dobrym przyjacielem, chyba nawet najlepszym, jakiego miałam, poza Melą, rzecz jasna. Jesteś mi jak brat... zawsze chciałam mieć brata. Ufam, że zawsze będziesz taki.

Colum zapewnił ją, że nigdy się nie zmieni. W głębi serca zaś pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział duszy, która tak rozpaczliwie potrzebowałaby pomocy.

- Chciałabym cię prosić - przerwała ciszę Scarlett - byś zabrał te listy do Ameryki. Ten jest dla mojej ciotki Pauliny, której donoszę, że otrzymałam jej list, tak że teraz do woli może sobie powiadać wszystkim znajomym „A nie mówiłam”. Ten jest adresowany do mojego prawnika w Atlancie, powierzam mu załatwienie pod moją nieobecność pewnych spraw. Oba powinny zostać wysłane w Bostonie. Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, gdzie naprawdę przebywam. Trzeci list powinienes doręczyć do rąk własnych adresata. Co prawda będzie to dla ciebie uciążliwe, bo związane z dodatkową podróżą, lecz sprawa, której ten list dotyczy, jest niezwykle ważna. To do banku w Savannah. Mam tam w sejfie górę złota i biżuterii. Liczę na to, że przywieziesz mi je tutaj. Czy Brygidka dała ci sakiewkę, którą miałam na szyi? Dobrze. Na początek powinno mi to wystarczyć. A teraz znajdź mi w Galway prawnika, któremu mogłabym zaufać, o ile w ogóle można ufać komukolwiek. Zamierzam korzystać z pieniędzy Retta Butlera, chcę kupić Ballyhara, gdzie ród O'Harów bierze początek. Moje dziecko

otrzyma dziedzictwo, o jakim jego ojciec nie mógłby nawet marzyć. Już ja mu dam do myślenia o korzeniach sięgających głęboko pod ziemię.

- Scarlett, moja droga, zaklinam cię. Poczekaj chwileczkę. Przecież nie ma pośpiechu, możemy zatrzymać się na parę dni w Galway, Brygidka i ja będziemy się tobą opiekować, powinnaś wyjść z szoku, w którym tkwisz do tej pory. Zbyt wiele spraw tu się spiętrzyło, jedna na drugiej, wszystkie zwały się na twoją biedną głowę, w tym stanie nie można podejmować decyzji tak poważnych.

- Chyba myślisz, że zwariowałam. Możliwe. Tak to już ze mną bywa. Mimo wszystko dopnę swego. Z twoją pomocą lub bez. Nie ma powodów, byście ty i Brygidka zwlekali z odjazdem. Wracam do Danielów jutro, poproszę, bym mogła u nich zamieszkać, dopóki Ballyhara nie będzie moja. Jeśli, jak sądzisz, potrzebuję opieki, chyba możesz zaufać Kasi i pozostałym. A teraz daj już spokój i weź te listy. Wygrałam na argumenty.

Colum wyciągnął rękę, wziął trzy koperty. Później towarzyszył jej w drodze do biura pewnego angielskiego prawnika, cieszącego się opinią, że jakiej sprawy się dotknie, zawsze wygrywa. W ten sposób wszczęto poszukiwania obecnego właściciela Ballyhara.

Następnego dnia z samego rana, zaledwie rozstawiono pierwsze stoły, Colum wybrał się na targ. Zrobił sprawunki, które zleciła mu Scarlett, po czym wrócił do hotelu.

- Bardzo proszę, Mrs. O'Hara - powiedział, rozkładając przed nią paczki z zakupami. - Czarne spódnice, czarne pończochy, czarny szal i czarne bluzeczki. Wszystko jak znalazł dla młodej, biednej wdowy. Powiedziałem Brygidce, że to wiadomość o śmierci Mr. Butlera tak tobą wstrząsnęła. Twój mąż umarł złożony straszliwą niemocą, zanim zdołałaś stanąć u jego boku. Tutaj zaś... proszę... oto prezencik ode mnie. Coś mi się wydaje, że gdy ciężka żałoba zupełnie osłabi ci ducha, świadomość, że możesz ubrać się w te szmatki, przywróci ci dawny wigor.

Co rzekłszy, położył jej na kolanach naręczce kolorowych halek.

Scarlett uśmiechnęła się. Oczy rozbliły jej serdecznym uczuciem.

- Skąd wiesz, że biłam się z myślami, czy nie oddać wszystkich irlandzkich spódnic, moim kuzynkom w Adamstown?

Machnęła dłonią w stronę, gdzie w kącie stały walizy i kufer.

- Już nie będzie mi to potrzebne. Możesz je zabrać do Ameryki, niech Maureen rozdzieli to wszystko między rodzinę.

- Głupia ekstrawagancja i porywczość, której później będziesz żałować.

- Bzdury. Już wyrzuciłam buty i halki. Te suknie do niczego nie będą mi potrzebne.

Nigdy też nie zamierzam dać się wcisnąć w gorset. Jestem Scarlett O'Harą, irlandzką dziewczyną i stosownie do tego będę się ubierać w luźną, zwiewną spódnicę, a pod nią niewidoczną czerwoną halkę. Wolna, Colum! Zamierzam stworzyć dla siebie świat rządony prawami, które sama ustalę, ja, i nikt inny. Nie bój się, nie ma powodów do strachu. Chcę się nauczyć, jak żyć szczęśliwie.

Colum odwrócił wzrok od wykrzywionej w grymasie rozpaczliwej jakiejś stanowczości, bladej twarzyczki Scarlett.

58.

Statek miał odpłynąć z dwudniowym opóźnieniem, tak że Colum i Brygidka, mogli odprowadzić Scarlett na dworzec kolejowy - odjeżdżała porannym pociągiem w niedzielę. Najpierw jednak poszli na mszę.

- Musisz z nią porozmawiać - szepnęła mu do ucha Brygidka, gdy tylko spotkali się w korytarzu. Potoczyła wzrokiem w stronę Scarlett.

Colum chrząknął, by ukryć uśmiech: Scarlett ubrała się jak owdowiała wieśniaczka, nawet płaszcz nie założyła, tylko długi czarny szal.

- Pójdziemy razem z nią - powiedział wyraźnie. - Scarlett ma prawo wyrażać swój żal w sposób, jaki uzna za stosowny.

- Ale Colum... - gorączkowała się Brygidka. - Przecież to wykwinnty angielski hotel. Wszyscy będą się na nią gapić i szeptać po kątach.

- Bo i mają do tego prawo, chyba zgodzisz się ze mną? Niech sobie patrzą i plotkują do woli. Nas to nie obchodzi.

Mocno ścisnął Brygidkę za rękę, drugie ramię podał Scarlett, która przyjęła je z elegancją prawdziwej damy, właśnie wchodzącej do sali balowej.

Kiedy Scarlett usadowiła się w przedziale pierwszej klasy, Colum z rozbawieniem, Brygidka z prawdziwą trwogą patrzyli przez szybę, jak grupka angielskich podróżnych otworzyła drzwi do przedziału, lecz ujrawszy kobietę w czerni szybko wycofała się na korytarz.

- Władze nie powinny pozwalać tym ludziom na kupowanie biletów do pierwszej klasy - powiedziała jakaś dama do swego męża.

Scarlett wyciągnęła rękę, zatrzymując przeszkłone drzwiczki, które Anglik w pośpiechu starał się zasunąć.

- To ci pech! - krzyknęła. - Na śmierć zapomniałam o koszyku z gotowanymi kartoflami. Ojczulku, westchnij do Najświętszej Pani, żeby pojawił się w pociągu jakiś przekupień z jedzeniem, dobrze?

Mówiła po irlandzku aż do przesady - nawet Colum miał trudności ze zrozumieniem słów, toteż w odpowiedzi tylko się roześmiał i śmiał się jeszcze wtedy, gdy zawiadowca stacji zatrzasnął drzwi i pociąg zaczął biec. Grupka Anglików, co skonstatował z przyjemnością, straciła wszelką godność gramoląc się do następnego przedziału.

Scarlett pomachała ręką na pożegnanie, a po chwili jej wagon zniknął z zasięgu wzroku.

Gdy pociąg wytoczył się ze stacji, Scarlett wygodnie wyciągnęła się w fotelu, rozluźniła, na jej twarzy pojawił się wyraz uspokojenia, przymknęła oczy i pozwoliła sobie uronić jedną jedyną łezkę. Była śmiertelnie znużona, sama myśl o powrocie do Adamstown budziła w niej przerażenie. Dwuizbowa chata Danielów - przyjemna odmiana w porównaniu ze wszystkim, do czego przywykła w Ameryce, choć dobra na krótki wakacyjny pobyt, teraz zdała się jej ciasna i przepelniona. W tym domu bez żadnych wygód miała mieszkać Bóg wie, jak długo - miał to być jej dom, tylko tam mogła znaleźć schronienie. Ten angielski prawnik, choć przyrzekł szukać właściciela Ballyhara, może go nie znaleźć, a nawet gdyby do niego dotarł, może się okazać, że ten wcale nie zechce odsprzedać majątku. Poza tym cena może przewyższać sumę, którą otrzymała od Retta.

W całym tym planie, zdałoby się, tak drobiazgowo opracowanym, roilo się od niewiadomych. Nie mogła być pewna niczego.

Nie, teraz nie będę myśleć o tym, i tak na nic nie mam wpływu. Dobrze, że chociaż nikt nie wszedł do przedziału i nie wszczął podróźnej pogawędki. To byłoby nie do zniesienia.

Scarlett podniosła poręczę oddzielające trzy miękkie fotele, wyciągnęła się wygodnie na całej długości, westchnęła i zapadła w sen. Bilet rzuciła na podłogę, tak żeby konduktor mógł go widzieć nie budząc jej. Ukuła pewien plan. Była zdecydowana doprowadzić go do końca, o ile będzie to możliwe. Byłoby jednak dobrze, gdyby przy tej okazji nie zamęczyła się na śmierć.

* * *

Pierwszy etap planu udało się zrealizować bez komplikacji. W Mullingar kupiła dwukólkę i kucyka. Wózek nie był tak elegancki jak ten, który miała Molly, mocno był już sfatygowany, za to kucyk był młodszy, roślejszy i silniejszy. Poza tym zrobiła dobry początek.

Na jej widok cała rodzina oniemiała. Zaraz jednak wszyscy, jak mogli, pospieszyli z dowodami współczucia wobec losu, który ją spotkał. Ponieważ raz już zapewnili ją o swych do niej uczuciach, nie powtarzali czcnych słów, nie mieli tego zwyczaju. Każdy natomiast pytał, w czym może być jej pomocny.

- Uczcie mnie - poprosiła Scarlett. - Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o irlandzkiej farmie.

Daniel i jego synowie wprowadzili ją w rytm codziennych zajęć. Zacisnęła zęby i zmusiła się do nauki, jak obrządzać bydło. Sztuka dojenia także nie została jej

oszczędzona. Kiedy dowiedziała się wszystkiego o gospodarstwie Danielów, znalazła w sobie dość sił, by oczarować Molly i jej wstrętnego Roberta, bowiem prowadzili farmę pięć razy większą od tej, którą miał Daniel. Po nich przyszła kolej na samego Mr. Aldersona, rządcę całego majątku pana hrabiego. Nawet w owych dniach, kiedy w Powiecie Clayton podbiła serca wszystkich mężczyzn, nie była Scarlett osobą tak czarującą jak teraz, w Powiecie Meath. Ani nie odnosiła tak wielu sukcesów. Nie miała czasu zawracać sobie głowy ubóstwem chaty, w której przyszło jej mieszkać. Po długim, długim letnim dniu, od świtu do zmierzchu pełnym coraz to nowych zajęć, ważne było jedynie to, by leć na miękkim posłaniu - nic więcej.

Minął miesiąc. Teraz wiedziała o Adamstown równie dużo, co Alderson. Poznała także część sposobów ulepszenia tutejszej gospodarki. Wtedy to otrzymała list od swego prawnika z Galway.

Wdowa po zmarłym tragicznie ostatnim właścicielu Ballyhara wyszła ponownie za mąż zaledwie rok po jego śmierci - donosił Anglik - i sama zmarła przed pięciu laty. Jej dziedzic, najstarszy syn, obecnie w wieku lat dwudziestu siedmiu, mieszka w Anglii, gdzie ma pierwszeństwo do objęcia spadku po swym żyjącym jeszcze ojcu. Człowiek ten kazał donieść, że rozważy poważnie każdą ofertę około piętnastu tysięcy funtów. Do listu została dołączona mapka całej posiadłości. Scarlett przyjrzała się uważnie.

Ballyhara była znacznie większa, niż przypuszczała. Usadowiona przy drodze do Trim, z jednej strony odgraniczona rzeką - zerknęła na drobne literki - Knightsbrook, z drugiej Boyne. Cóż za szykowna nazwa: Knightsbrook. Dwie rzeki. Będą moje. Ale... piętnaście tysięcy funtów!

Właśnie dowiedziała się od Aldersona, że dziesięć tysięcy funtów można zapłacić za majątek z ziemią pierwszej klasy, a i to była cena wygórowana. Osiem tysięcy to raczej suma bliższa rzeczywistości, zaś jeśli ktoś umiał się targować, mógł to samo kupić za siedem i pół. A przecież niemalą część obszaru Ballyhara stanowiły bagna, wprawdzie dostarczające paliwa torfowego w ilościach, które mogłyby starczyć na najbliższe stulecie, ale pod względem rolniczym zupełnie bezużyteczne. Poza tym okoliczne pola były zbyt zakwaszone, by można było myśleć o uprawie pszenicy. Warto też zwrócić uwagę, że przez ostatnie trzydzieści lat ziemia leżała odłogiem, wymagała gruntownego odchwaszczenia i karczunku. Nie, nie zapłaci więcej niż cztery, góra cztery i pół tysiąca. Za tysiąc dwieście czterdzieści akrów. Owszem, był też dom, duży, a nawet olbrzymi, lecz nie ma tu czym się wzruszać. Zabudowania w miasteczku były znacznie ważniejsze. W sumie czterdzieści sześć, plus dwa kościoły. Pięć domostw przedstawiało się nawet

całkiem niczego, reszta to chaty.

Ale wszystkie wyludnione. Opustoszałe jak cała posiadłość, nikt nie miał ochoty się nimi zająć. Uwzględniwszy tę oraz inne okoliczności, dziesięć tysięcy funtów, to całkiem godziwa zapłata. Obecny właściciel powinien się cieszyć, jeśli dostanie i tyle. Dziesięć tysięcy funtów... zaraz, zaraz... ależ to pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Scarlett opadło przerażenie. Boże drogi, powinnam się przestawić na rachunki w funtach i szylingach, w przeciwnym razie lekką ręką pozbędę się całej fortuny. Dziesięć tysięcy - to brzmi całkiem niewinnie, ale pięćdziesiąt tysięcy, to już zupełnie co innego. To fortuna! Choćbym przez dziesięć lat ciułała cent do centa, oszczędzała, harowała przy tartaku i w sklepie... włączając w to dochody ze sprzedaży tartaku... i należności z dzierżawy za bar... i choćbym nie wydała złamanego szeląga, i tak nie uzbierałabym więcej niż trzydzieści tysięcy dolarów. Ba! Nie miałabym i połowy tej sumy, gdyby przez ostatnie siedem lat Rett nie płacił wszystkich rachunków. Wuj Henryk powiada, że jestem bogata. Pewnie, ma rację. Domy, które buduję, nie będą kosztować mnie więcej niż może sto dolarów. Hm... co za skończonego głupca by trzeba, żeby zgodził się wyłożyć pięćdziesiąt tysięcy gotówką za widmowe miasteczko i kawał nieurodzajnej ziemi?

O, tak. Ludzie w rodzaju Retta Butlera - ci byli zdolni do czegoś podobnego. Dostałam od niego pięćset tysięcy dolarów. Skorzystam z tego, by odkupić ziemię ukradzioną mojej rodzinie. Ballyhara to nie zwykły kawałek nieużytków, to gniazdo rodowe O'Harów. Teraz, kiedy podjęła to postanowienie, w głowie jej się nie mieściło, że jeszcze przed chwilą targały nią wątpliwości: płacić czy nie płacić. Wzięła więc papier listowy i pióro, po czym napisała list, w którym składała wyraźną ofertę kupna Ballyhara za piętnaście tysięcy funtów - niech się teraz ten Anglik decyduje: tak, albo nie.

Kiedy już była z listem w ręku na poczcie, zadrżała od stóp do głów: a co zrobi, jeśli Colum nie przybędzie na czas ze złotem z Savannah? Trudno zgadnąć, ile czasu zajmują formalności, nie mogła też przewidzieć, kiedy powróci Colum. Zatem zaledwie oddała list Mateuszowi O'Toole, wypadła z *pubu* jakby bies ją gnał. Było jej bardzo spieszno.

Szła tak szybko, jak tylko było to możliwe ze względu na bardzo nierówną drogę. Modliła się o deszcz. Wąska steczka, z obu stron obrośnięta gęstym żywopłotem, trzymała czerwcowy skwar niczym szczelny piekarnik. Scarlett w pośpiechu zapomniała nałożyć kapelusz - i głowa, i odkryta twarz wystawione były na palące

promienie słońca. Od kiedy przybyła do Irlandii, prawie zapomniała nosić kapelusz - ciągle deszcze i zachmurzone niebo znakomicie go zastępowały. Co zaś się tyczy parasolek, te używano tu tylko dla ozdoby.

Kiedy dotarła do brodu, podkasła suknię, weszła do Boyne i stała tak dopóty, dopóki ciało nie ochłodziło. Potem poszła do wieży.

Miesiąc już minął od dnia, gdy Scarlett wróciła do Adamstown i w tym czasie wieża nabrała dla niej szczególnego znaczenia. Zawsze tu przychodziła, gdy czymś była zmartwiona, gdy coś przysparzało jej trosk lub przyprawiało o smutek. W tych olbrzymich głazach kumulowało się i ciepło, i chłód. Gdy przyłożyła do nich dłoń, gdy przytuliła się policzkiem, znajdowała pocieszenie i ulgę emanujące z solidnych, wytrzymałych, starych murów, Niekiedy przemawiała do nich jakby do ojca. Niekiedy, choć rzadziej, obejmowała je ramionami i wyplakiwała się w powłokę szarego kamienia. Nigdy tu nie słyszała niczego poza swym własnym głosem, śpiewem ptaków czy szemraniem fal. Nigdy nie wyczuwała spojrzenia śledzących ją oczu.

* * *

Colum wrócił do Irlandii osiemnastego czerwca. Z Galway wysłał telegram. PRZYJEŹDŹAM DWUDZIESTEGO PIĄTEGO Z TYM, CO PRZYWIOZŁEM Z SAVANNAH. Cała wieś trwała w radosnym podnieceniu. Nigdy jeszcze nie widziano telegramu w Adamstown. Nigdy jeszcze kurier pocztowy nie wykazał tak małego zainteresowania portierem Mateusza O'Toole, nigdy jeszcze nie widziano konia równie bystrego.

Tymczasem dwie godziny później przez osadę przegalopował drugi jeździec na wierzchowcu jeszcze bardziej godnym uwagi, wprowadzając mieszkańców w bezgraniczną już ekscytację. Scarlett otrzymała drugi telegram, też z Galway. OFERTA PRZYJĘTA STOP KONTRAKT WYSYŁAM.

Zanim mieszkańcy Adamstown zgodzili się, co w tym wypadku należałoby zrobić, wszczęła się krótka dyskusja, w końcu jednak i tak postanowiono uczynić to, co zdało się jedynie rozsądne. O'Toole zamknął *pub*, kowal zamknął kuźnię, doktor zamknął dom. Ojca Danahera mianowano rzecznikiem delegacji, która udała się do chaty Daniela O'Hary celem zasięgnięcia języka.

Dowiedzieli się, że Scarlett wyjechała wózkem zaprzężonym w kucyka. Tylko tyle mogła powiedzieć im Kasia, sama bowiem nie była mądrzejsza od reszty. Wszyscy jednak mogli wziąć do rąk własnych i przeczytać telegramy. Scarlett zostawiła je na stole, tak aby cały świat mógł je zobaczyć.

Choć jazda do Tary przysparzała prawdziwych mąk, Scarlett jechała z sercem przepelnionym radością. Teraz mogła na serio zaczynać. Cały plan wyraźnie widniał jej przed oczyma, każdy etap całego przedsięwzięcia logicznie wynikał z poprzedniego. Wszystko to zaświtało jej w głowie, gdy tylko otrzymała drugi telegram, zrodzone bardziej z konieczności niż impulsu. W dzień tak wspaniale słoneczny, jak ten, zdało się jej nieodpartą koniecznością pojechać do Tary i spojrzeć ze wzgórze na szmaragdową zieleń krainy, która teraz była jej domem i ojczyzną z wyboru.

Dzisiaj więcej owiec wypasało się na łące, niż kiedy była tu po raz pierwszy. Spoglądając na szerokie grzbiety, pomyślała o wełnie. W Adamstown nikt nie prowadził hodowli owiec - zakładając owczarnię będzie musiała dowiedzieć się o problemach i zyskach z innego źródła.

Ściągnęła lejce. Po zielonych kurhanach, tam, gdzie kiedyś znajdowała się wielka sala biesiadna, spacerowali jacyś ludzie. Miała nadzieję znaleźć tu samotność. Do licha, to Anglicy, bierz diabli to ich natręctwo. Niechęć wobec wszystkiego, co angielskie, w pewnym stopniu stanowiła o charakterze każdego Irlandczyka - Scarlett wchłonęła ją jedząc irlandzki chleb, dała się jej przeniknąć porwana rytmem irlandzkiej muzyki. Ci miłośnicy pikniku nie mają prawa rozkładać tych swoich pledów i obrusów w miejscu, gdzie dawniej biesiadowali irlandzcy królowie, tak jak nie wolno im podnosić ich piskliwych głosów tu, gdzie kiedyś brzmiały dźwięki harf.

Drażniła ją obecność intruzów, tym bardziej że usadowili się dokładnie w miejscu, gdzie sama miała zamiar się zatrzymać, by w samotności podziwiać piękno swego kraju. Z największą niechęcią spojrzała zatem na wystrojonych mężczyzn w słomkowych kapeluszach i na kobiety, osłaniające się przed słońcem parasolkami z kwiecistego jedwabiu.

Nie pozwolę im zepsuć sobie dnia - pomyślała gniewnie. Odjadę tam, gdzie nie będą widoczni. Podeszła do obwiedzonego podwójnym murem kurhanu, tam, gdzie kiedyś znajdował się dom króla Cormaca - budowniczego sali biesiadnej. To tutaj był *Lia Fail* - kamień przeznaczenia. Scarlett oparła się o głaz. Gdy przyjechała tu po raz pierwszy i uczyniła to samo, Colum aż zaniemówił z wrażenia. *Lia Fail* był bowiem kamieniem probierczym królów dawnej Irlandii. Przed koronacją obrany królem mężczyzna musiał się oprzeć o skalny złom, a kiedy kamień krzyknął, był to znak, że człowiek ów może włożyć na skronie koronę.

Scarlett znajdowała się w nastroju tak podniosłym, że nic nie mogłoby jej zadziwić,

nawet gdyby granitowy słup wykrzyknął jej imię. Choć, rzecz jasna, nie wykrzyknął. *Lia Fail* prawie dorównywał jej wysokością. Na szczycie znajdowało się miejsce odpowiednie do wypoczynku, a to ze względu na wklęsnięcie wielkości człowieka. Rozmarzonym wzrokiem spoglądała więc Scarlett na obłoki goniące po błękitnym niebie, czuła wiatr rozgarniający pukle włosów, podrywający je z czoła i ze skroni. Głosy Anglików dobiegały teraz z bardzo daleka, tworząc zaledwie tło dla łagodnie dźwięczących dzwoneczków na sztychach owiec. Tak spokojnie. Może to właśnie dlatego chciałam odwiedzić Tarę. Do tego stopnia byłam zajęta, że aż zapomniałam, co znaczy być szczęśliwą.

Tak, szczęśliwą, bo kiedy odzyskała wolność, szczęście zagościło w jej życiu. O ileż bardziej będę szczęśliwa - myślała sobie - gdy urzeczywistnię swój plan. W każdym razie najgorsze mam już za sobą. Teraz wszystko zależy już tylko ode mnie, inni ludzie nie mogą mi przeszkodzić. Zawsze tego chciałam. A ile jest jeszcze do zrobienia! Musnął ją ciepły powiew wiatru. Uśmiechnęła się.

Promienie słońca wyslizgiwały się z chmur, wkradały się w pierzaste obłoki, bujna, wysoka trawa pachniała bogato, intensywnie. Scarlett ześliznęła się z kamienia na murawę. Może uda się jej znaleźć listek koniczyny, Colum mówił, że koniczyna rośnie jak Irlandia długa i szeroka. Wydeptała w trawie niejedną ścieżkę, lecz nie znalazła. Powodowana nagłym impulsem ściągnęła czarne pończochy. Jakże ma białe nogi. Uff! Zadarła spódnicę powyżej kolan, wystawiła na słońce stopy i nogi. Na widok żółtej i czerwonej halki uśmiechnęła się. Tak, Colum miał rację.

Poruszyła palcami.

Co to? Czujnie podniosła głowę.

Znowu poczuła w sobie lekkie drżenie życia.

- Och - szepnęła. - Och!

Delikatnie położyła dłonie na małej wypukłości, jeszcze z trudem wyczuwalnej pod spódnicą i halkami. Jedyne, co dało się wymacać, to grubo przędzona wełna. Nic dziwnego, że dzidzius jeszcze nie dał się wyczuć. Wiedziała: musi minąć kilka tygodni, zanim za przyłożeniem palców będzie mogła stwierdzić, czy kopie.

Wstała, twarzą zwrócona w stronę wiatru, wypinając brzuch, który teraz był jak kołyska. Zielono - złote pola, drzewa o soczyście zielonym listowiu ciągnęły się długimi pasami jak wzrokiem sięgnąć.

- To wszystko twoje, malutkie Irlandziatko - szepnęła. - Mama da ci to w podarunku. Od siebie samej!

Pod stopami czuła chłodną, oziębłą ciągłym kołysaniem wiatru trawę, a pod nią wygrzaną letnim słońcem ziemię.

Potem uklękła i urwała pęczek trawy. Niezwykły miała wyraz twarzy, gdy paznokciami wryła się w ziemię, gdy sypała wilgotny, pachnący czarnoziem na brzuch, gdy powtarzała.

- Twoja jest zielona Tara.

* * *

W chacie Danielów ciągle rozmawiano o Scarlett. Nic w tym nowego - była głównym tematem rozmów mieszkańców Adamstown od dnia, gdy po raz pierwszy pokazała się w wiosce. Kasia nie czuła się tym dotknięta, niby dlaczego miałaby się obrażać? Także ona czuła się zafascynowana i zaabsorbowana jej niezwykłą osobowością. Nie miała problemów ze zrozumieniem jej decyzji pozostania w Irlandii.

- Czyż i mnie serce nie pękało z tęsknoty za mgłami i miękką ziemią, czyż nie dusiłam się w tym dusznym, zamkniętym w sobie mieście? - zawołała, gdy roztrząsano motywy nagłego powrotu Scarlett. - Także i ona ujrzawszy co lepsze, nie chciała z tego zrezygnować.

- A czy nie jest prawdą, Kasiu, że mąż ją bił i że uciekła, by uchronić dziecko?

- Ani trochę, Klaro O'Gorman, kto śmie rozpuszczać te straszne kłamstwa? - oburzyła się Peggy Monaghan. - Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że gdy Scarlett odpływała z Ameryki, choroba, która w końcu zabrała jej męża, już się rozwijała, dlatego wysłał Scarlett do Irlandii, aby uchronić dzieciątko przed zarażeniem.

- Jakie to straszne - westchnęła Katarzyna O'Toole. - Być wdową z dzieckiem w drodze.

- Ależ takie straszne to wcale znowu nie jest - odpowiedziała Kasia tonem osoby dobrze poinformowanej. - W każdym razie nie wtedy, gdy jesteś bogatsza od angielskiej królowej.

Wszyscy, jak na komendę zaczęli się poprawiać na swych krzesłach przy kominku. Nareszcie poruszono sedno sprawy! Albowiem z wszystkich intrygujących dociekań na temat amerykańskiej kuzynki najwięcej przyjemności sprawiały rozważania o jej majątku.

Czyż to nie wielka rzecz widzieć, że taka fortuna spoczywa wreszcie w irlandzkich rękach, nie w angielskich?

Ale żadne z nich nie zdawało sobie jeszcze sprawy z tego, że dni najbardziej płodne w materiał do ploteczek dopiero nadchodziły.

* * *

Scarlett zacięła kucyka lejcami.

- No, ruszaj się - mruknęła. - Dzidzius chce do domu.

Była w drodze do Ballyhara. Dopóki nie miała ostatecznej pewności, że transakcja dojdzie do skutku, nie wyprawiała się dalej niż do wieży. Teraz jednak mogła pozwolić sobie bliżej przyjrzeć się temu, co i tak miało do niej należeć.

- Moje domy w miasteczku... moje kościoły i *puby*, i moja poczta... moje bagna i moje pola, i moje dwie rzeki... ależ ja tego mam!

Była zdecydowana wydać dziecko na świat w domu, który będzie jego prawdziwym domem - w dworze w Ballyhara. Co jednak wcale nie miało znaczyć, że wyrzekła się myśli o wszystkim innym. Pola, tak, pola były najważniejsze. No i kuźnia w miasteczku, bo trzeba nareperować zawiasy i wykuć lemiesz do pługów. Załatać dziury, powstawić szyby w okna, wstawić drzwi. Teraz, gdy to wszystko należało do niej, proces powolnego upadku zostanie natychmiast powstrzymany.

Tak, oczywiście, dziecko też było ważne. Scarlett skupiła całą uwagę w poszukiwaniu oznak budzącego się w niej życia, lecz niczego nie mogła wyczuć, ni śladu ruchu.

- Mądry brzdąc - mruknęła. - Dobrze robisz, dziecino. Śpij, póki możesz. Bo od tej chwili, od zaraz, będziemy mieli huk zajęć na głowie.

Do rozwiązania pozostawało około dwadzieścia tygodni - pięć miesięcy ciężkiej pracy. Nie było trudno ustalić tę datę: od czternastego lutego należało doliczyć dziewięć miesięcy i mamy... dzień świętego Walentego. Scarlett aż się skrzywiła. A to ci dopiero dowcip... Zresztą nie ma co myśleć o tym teraz... ani później. Trzeba się skoncentrować na czternastym listopada i na pracy, którą przedtem należało wykonać. Uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać.

* * *

Gdy po raz pierwszy ujrzałem słodką Peggy

A było to w targowy dzień

Wozem jechała na stercie siana

Lecz gdyby siano kwieciem rozkwitło

Kwieciem pachnącej wiosny

Dziewczyna, o której śpiewam byłaby piękniejsza,

Dziewczyna na wozie.

*Nawet stróż u roгатki
O pieniądze nie pyta
Tylko łysinę pociera
I za wozem spoziera
Za moją słodką Peggy*

* * *

Wspaniała to rzecz być szczęśliwą! Pełen radosnego niepokoju nastrój oczekiwania i całkiem niespodziewany przyływ fali dobrego humoru spotęgowały uczucie szczególnej błogości, które opadło Scarlett. Wtedy, w Galway, powiedziała, że zamierza być szczęśliwa. Teraz, w drodze do Ballyhara, była szczęśliwa.

- Jak dwa a dwa to cztery - mruknęła i roześmiała się do samej siebie.

Colum był zaskoczony spotkawszy Scarlett oczekującą na pociąg, którym miał przybyć do Mullingar. Scarlett była zaskoczona, widząc, że Colum wychodzi z wagonu bagażowego. Tym większe było jej zaskoczenie, kiedy poznała jego towarzysza podróży.

- To Liam Ryan - przedstawił go Colum. - Brat Jima Ryana.

Liam był wysoki jak wszyscy z rodu O'Harów - z wyjątkiem Columa - i był ubrany w mundur Królewskiej Policji Irlandzkiej. A cóż to za nowe znajomości zawiera Colum? - pomyślała zdumiona. Paramilitarne formacje Policji były w Irlandii w jeszcze większej pogardzie niż sama milicja angielska, a to dlatego, że należący do niej Irlandczycy nadzorowali, aresztowali i karali swój własny naród, rzecz jasna na rozkazy swych angielskich mocodawców.

Przede wszystkim jednak Scarlett pragnęła się dowiedzieć, czy Colum przywiózł złoto. Przywiózł, a Liam Ryan, uzbrojony w karabin, został wynajęty do ochrony.

- Wiele i różnego rodzaju ładunków eskortowałem - przyznał Colum. - Ale jeszcze nigdy nie denerwowałem się tak bardzo, jak teraz.

- Wzięłam ludzi z banku, żeby pomogli nam przewieźć - powiedziała Scarlett. - Wybrałam Mullingar ze względów bezpieczeństwa. To chyba tutaj jest największy garnizon w okolicy.

Nauczyła się nienawidzić żołnierzy, lecz jeśli w grę wchodziło bezpieczeństwo jej złota, spoglądała na nich bardzo łaskawym okiem. Bank w Trim wybrała do przechowywania mniejszych sum - dojazd był dogodniejszy.

* * *

Gdy tylko przekonała się, że złoto zostało złożone w bezpiecznym miejscu w sejfie, gdy podpisała kontrakt kupna Ballyhara, wzięła Columa pod rękę i szybkim krokiem wyszła z banku na ulicę.

- Mam wózek z kucykiem, możemy jechać choćby i zaraz - powiedziała tonem osoby, której bardzo się spieszy. - Tyle mam spraw do załatwienia... Muszę natychmiast znaleźć dobrego kowala, robota w kuźni nie może czekać ani chwili dłużej. O'Gorman nie nadaje się, jest za leniwy. Pomożesz mi znaleźć odpowiedniego człowieka? Zapłacę mu za samą gotowość przeprowadzki, a kiedy już przybędzie na miejsce, na brak pieniędzy nie będzie mógł się skarżyć. W Ballyhara jest tyle do zrobienia! Kupiłam kosy, siekiery i łopaty, ale trzeba to wszystko naostrzyć. Boże wielki, przecież potrzebuję jeszcze robotników do odchwaszczania pól, cieśli do

naprawy domów, szklarzy, dekarzy i malarzy... wszystkiego mi potrzeba!

Policzki aż się jej zarumieniły z przejęcia, oczy rozbłysły. W swym wiejskim czarnym ubraniu wyglądała niewiarygodnie pięknie.

Colum uwolnił się z jej objęcia, po czym sam silnie wziął ją pod łokieć.

- Wszystko będzie zrobione, Scarlett, i to tak szybko, jak sobie życzysz, ale niczego nie zaczynaj z pustym żołądkiem. Teraz udamy się do Jima Ryana. Bracia rzadko się widują, toteż kiedy się zejdą, jest okazja do wspaniałej uczy. A niewiele kobiet gotuje tak wyśmienicie, jak Mrs. Ryan.

Scarlett niecierpliwie szarpnęła rękę, zaraz jednak zmusiła się do zachowania spokoju - powaga Columa nakazywała posłuch. Poza tym nie mogła zapominać, że powinna też jeść godziwie i pić dużo mleka ze względu na dziecko. Delikatne ruchy z dnia na dzień przybierały na wyrazistości, były coraz bardziej częste.

Ale gdy po obiedzie Colum oświadczył, że bynajmniej nie wybiera się z nią w drogę do Adamstown, nie potrafiła pohamować gniewu. Tyle miała mu do pokazania, tyle spraw trzeba było omówić, zaplanować, i to właśnie teraz, nie zwlekając ni chwili dłużej!

- Mam do załatwienia parę spraw w Mullingar - rzekł Colum stanowczym, niewzruszonym tonem. - Do domu wracam za trzy dni, daję ci słowo. Nawet mogę podać dokładny czas: o drugiej po południu spotkamy się u Danielów.

- Spotkamy się w Ballyhara - sprostowała Scarlett. - Właśnie się przeprowadziłam. Szukaj żółtego domu w połowie drogi.

Po czym odwróciła się do niego plecami i nerwowym krokiem pospieszyła tam, gdzie zostawiła dwukólkę.

* * *

Późnym wieczorem Jim Ryan zamknął *pub*, lecz wystarczyło nacisnąć klamkę, by drzwi się otwarły. Wiedzieli o tym mężczyźni, którzy jeden po drugim wślizgiwali się do środka i po cichutku skradali się do pokoju na piętrze. Gdy wszyscy się zgromadzili, Colum przystąpił do wyjaśniania szczegółów swego planu.

- Sam Bóg zesłał nam tę okazję - zaczął głosem drżącym z przejęcia. - Wystarczy zechcieć, a miasteczko będzie nasze. Wszyscy ludzie Fenian, wszystkie ich umiejętności skoncentrowane na jednym miejscu, gdzie Anglikom nawet na myśl nie przyjdzie zajrzeć. Cały świat uważa, że moja kuzynka na głowę upadła kupując tę posiadłość za taką cenę, zwłaszcza że korzyści z tych nieużytków prawie żadne, a jedyny pożytek z transakcji odniósł ten Anglik, oszczędzając pieniądze, które dotychczas wydawał na

podatki. Pamiętajcie jednak, że Scarlett O'Hara to Amerykanka, a naród ten znany jest ze szczególnych umiejętności. Anglicy zbyt będą zajęci wyszydzaniem wszystkiego, czego Scarlett się podejmie, żeby cokolwiek podejrzewać. Oto nareszcie mamy kwatere główną, od dawna poszukiwaną. Scarlett wprost błaga nas, byśmy przyjęli od niej ten prezent, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy.

* * *

Colum wjechał na porośniętą chwastami główną ulicę Ballyhara o drugiej trzydzieści po południu. Scarlett stała przed wejściem do swego domu wzięwszy się pod boki.

- Spóźniłeś się - zauważyła oskarżycielskim tonem.

- Ach, rzeczywiście - zawołał Colum. - Ale na pewno mi to wybaczysz, gdy powiem, że zaraz za mną jedzie twój kowal z wozem, na którym i kowadło, i miechy, i wszystko inne, czego kowalowi potrzeba.

* * *

Dom Scarlett był jakby żywym obrazem jej samej: najpierw praca, to, co najbardziej potrzebne, przyjemności i luksus na ostatku, o ile w ogóle. Colum spoglądał na wszystko starając się przybrać minę pobłażliwego lekceważenia. Wybite szyby w oknach salonu zastąpiły arkusze pociągniętego olejem papieru, rozpięte na framugach. W kącie leżały narzędzia rolnicze - nowiutkie, ze lśniące stali. Podłoga była umyta, lecz nie wywoskowana. W kuchni stało proste, wąskie łóżko, na nim gruby siennik, lniane prześcieradło i wełniana derka. W wielkim kamiennym kominku płonął ogień z kilku brykietów. Z kuchennych naczyń dało się zauważyć jedynie żelazny kociołek i garnek. Na półce nad okapem stały słoiczki z herbatą, mąką owsianą, dwa kubki, spodeczki, łyżki i pudełko zapalek. Jedyne w całym pomieszczeniu krzesło stało przy stole pod oknem. Na stole leżała otwarta wielka księga rachunkowa, a w niej pierwsze zapiski w czystym, równym charakterze pisma Scarlett. Przy oknie, z tyłu, dwie duże lampy naftowe, kałamarz, piórniki, pudełko z bibułą i ryza papieru. Jeszcze większy stos kartek leżał z przodu, zaraz przy księdze - arkusze poczerwione kolumnami cyfr, kalkulacji, notatek, przyciśnięte wielkim, wymytnym kamieniem. Na ścianie wisiał plan Ballyhara. Obok lusterko, wyżej półka, a na niej oprawne w srebro grzebienie i szczotki do włosów, srebrne szkatułki ze spinkami, pudrem, różem i kremem z gliceryny i wody różanej. Widząc to, Colum powściągnął uśmiech. Gdy jednak zaraz obok ujrzał pistolet, gniewnie odwrócił się ku Scarlett.

- Za posiadanie broni możesz trafić do więzienia - powiedział podnieconym tonem.

- Tere fere - zawołała. - Sam kapitan milicji dał mi go. - Powiedział, że samotna kobieta, o której wiadomo, że siedzi na złocie, nie powinna mieszkać zupełnie bez opieki. Gdybym mu pozwoliła, nawet postawiłby mi przed drzwiami jednego z tych swoich żołnierzyków.

Uniosła brwi, widząc, jak Colum krztusi się ze śmiechu. Nie wydawało się jej, żeby powiedziała coś śmiesznego.

Na półkach w spizarni stała faska masła, dzban mleka, suszarka, na niej dwa talerze, z sufitu zwieszał się sznur z hakiem, a na nim kawał szynki, na ostatniej półce bochen czerstwego chleba. W kącie stało wiadro wody, puszka nafty i umywalka, na którą składały się: miednica, dzban, mydelniczka, w niej kawałek mydła, wieszak, a na nim jeden ręcznik. Na gwoździach wbitych w ścianę wisiała garderoba Scarlett.

- Jak widzę, nie używasz pomieszczeń na górze - zauważył Colum.

- Po co? - zdziwiła się. - Przecież mam tutaj wszystko, czego mi potrzeba.

* * *

- Dokonałeś prawdziwych cudów, jestem pod wrażeniem - Scarlett stała na środku sławnej z szerokości głównej ulicy Ballyhara, spoglądając, jak wzdłuż drogi wre praca. Prawie zewsząd dobiegało stukanie młotów, czuć było zapach świeżej farby, w kilkunastu domach lśniły nowe szyby w oknach, a tuż przed nią jakiś robotnik na drabinie przybijał właśnie złocony szyld nad drzwiami budynku, który Colum wskazał jako pierwszy do renowacji.

- Czy *pub* jest naprawdę najważniejszy? - spytała Scarlett po raz już nie wiadomo który od dnia, gdy ustalono, że tutaj najpierw skoncentrują się wysiłki ściągniętych przez Columa rzemieślników.

- Jeśli będzie tu miejsce, gdzie można napić się dobrego piwa, znajdziesz więcej robotników chętnych do pracy w Ballyhara - powtórzył po raz tysięczny.

- Mówisz tak, gdy tylko otworzysz usta, lecz ja ciągle nie mogę pojąć, dlaczego *pub* miałby akurat skłonić ich do pracy, nie zaś jeszcze bardziej rozleniwic. Gdybym nie pilnowała tych ludzi na każdym kroku, niczego nie zrobiliby w porę. Spójrz tylko na tych tutaj! - Scarlett wskazała kciukiem grupkę widzów, z zainteresowaniem rozglądających się po ulicy. - A niech już sobie wracają, skąd przyszli. Może tam wezmą się do roboty zamiast spoglądać, jak pracują inni.

- Moja droga - uśmiechnął się Colum. - Taki to już jest narodowy charakter Irlandczyków, że najpierw korzystają z przyjemności, które życie im niesie, a dopiero

potem martwią się o wypełnienie swoich powinności. Na tym polega cały nasz urok. To daje nam poczucie szczęścia.

- Cóż, gdy o mnie chodzi, nie widzę w tym niczego czarującego i ani trochę mnie to nie uszczęśliwia. Mamy już prawie sierpień, a jeszcze żadne pole nie zostało do końca odchwaszczone. Jak ja mogę myśleć o siewach na wiosnę, skoro na jesieni ani nie zaorzę, ani nie nawiozę gnojem?

- Przed tobą jeszcze kilka miesięcy. Spójrz tylko, co zrobiłaś w ciągu ostatnich tygodni.

Scarlett spojrzała. Mars zniknął z czoła, uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście.

Colum także się uśmiechnął. Już wolał niczego nie mówić o tym, ile przekonywania, ile nacisków z jego strony trzeba było, żeby ci ludzie porzucili swe warsztaty i przyszedli do Ballyhara. Nie byli zachwyceni, że trafili pod rozkazy kobiety, zwłaszcza tak wymagającej, jak Scarlett. Gdyby tajni kurierzy Bractwa Fenian nie zobowiązali ich do pracy przy odbudowie miasteczka, trudno byłoby przewidzieć, ilu by tu zostało, nawet jeśli Scarlett płaciła znacznie powyżej ogólnie przyjętych stawek.

On także spojrzał na wrzącą pracą ulicę. Pomyślał, że kiedy wszystko już będzie odnowione, ludzie ci otrzymają dobre warunki życia - ci oraz inni. Właśnie prosił dwóch oberżystów, żeby zechcieli zająć się świeżo odremontowanym *pubem* i właściciela sklepiku z towarami kolonialnymi, żeby zechciał przenieść się z Bective, gdzie mieszkał dotychczas, do Ballyhara. Tutejsze domy, nawet te najskromniejsze, były wprost luksusowe w porównaniu z chatami, w których w większości mieszkali sprowadzeni do pracy robotnicy. Równie ochoczo, jak Scarlett, brali się do łatania dachów i wstawiania szyb w okna, tak że bez żalu opuszczali farmerów, u których dotychczas pracowali i pełni zapału przywracali życie opuszczonemu miasteczku i zaniedbanym polom.

Scarlett zniknęła na chwilę w domu, a kiedy znowu się pokazała, miała na dłoniach rękawiczki, trzymała kankę na mleko.

- Mam nadzieję - spojrzała na Columa - że potrafisz dopilnować pracy i że nie w głowie ci wielki festyn z okazji otwarcia *pubu*. Jadę do Danielów po chleb i mleko.

Obiecał, że dopilnuje roboty i że nie w głowie mu święto. Nic już nie mówił, co myśli o jeździe na oklep na kucyku kobiety w prawie piątym miesiącu ciąży. Jeszcze by oberwał po głowie. A już na pewno usłyszałby coś w rodzaju:

- Na miłość Boską, Colum, piąty miesiąc dopiero minął. Właściwie trudno byłoby

mówić o mnie, że jestem brzemienna.

* * *

Ale w głębi ducha Scarlett bardzo się niepokoiła - bardziej niż dała to po sobie poznać. Jeszcze żadna ciąża nie przyprawiała jej o tyle zmartwienia. Ciągłe łupało ją w krzyżu. Bywało też, że na bieliźnie lub na prześcieradle odkrywała plamy krwi, a wtedy serce jej drżało. Starła się je wywabić używając w tym celu szarego mydła, przeznaczonego do szorowania podłogi i mycia ścian, jakby wraz z plamami zdolna była usunąć przyczynę krwawienia. Po poronieniu doktor Meade wyraźnie ją ostrzegął, że w wyniku tego wypadku narządy wewnętrzne zostały poważnie uszkodzone oraz że okres rekonwalescencji będzie trwał niezwykle długo, lecz odsuwała od siebie każdą myśl o tym, że cokolwiek mogłoby jej zagrozić. Gdyby dziecko nie było w znakomitej kondycji, nie kopałoby z taką siłą. Poza tym na hipochondryczne rozmyślania nie miała czasu.

W wyniku częstych podróży Scarlett z Ballyhara do brodu Boyne w chaszczach powstała ścieżka. Teraz już nie trzeba było pilnować kucyka, czy zmierza właściwą drogą - mogła popuścić wodze myślom. Wkrótce powinna kupić sobie prawdziwego konia, robiła się za ciężka na możliwości kucyka. Tak, to coś nowego. Nigdy jeszcze, ilekroć była w ciąży, nie przybierała tyle na wadze. A może ma bliźniaki! Przecież to się zdarza, prawda? No, wtedy to Rett by oniemiał. I tak już ma dwie rzeki przepływające przez jej majątek, podczas gdy przez plantację Retta płynęła tylko jedna. Teraz brakowałoby jej tylko bliźniąt, i to właśnie wtedy, gdy Anna zapewne urodzi jedno dziecko. Ale już na samą myśl o tym, że Anna da Rettowi potomka, Scarlett poczuła ukłucie bólu. Nie, samo wyobrażenie Anny Hampton jako matki Rettowych dzieci było nie do zniesienia. Tak więc skierowała spojrzenie i popłynęła myślami ku polom Ballyhara. Byleby tylko coś się zaczęło na nich dziać, byleby ruszyć z poważniejszą robotą, nie oglądając się na to, co powie Colum.

Jak zwykle, zanim pojechała nad brodzik, zatrzymała się przy wieży, Nie najgorsi byli budowniczości z tych dawnych O'Harów, w dodatku jacy sprytni. Właśnie niedawno u Danielów wspomniała, jaka to szkoda, że po zewnętrznych schodach wieży nie zostało ani śladu, na co stary Daniel całą minutę poświęcił na przemowę o tym, że na zewnątrz wieży nigdy nie było schodów, tylko wewnątrz. Do drzwi znajdujących się na wysokości dwunastu stóp nad ziemią, prowadziła drabina. Kiedy nadciągało niebezpieczeństwo, ludzie chowali się w wieży, wciągali drabinę do środka i z wąskich, podłużnych okienek miotali strzały, rzucali kamieniami albo polewali nieprzyjaciela

wrzącym olejem, sami bezpieczni.

Któregoś dnia muszę ściągnąć tę drabinę i zajrzeć do środka. Mam nadzieję, że nie roi się tam od nietoperzy. Dlaczego ten święty Patryk, uwalniając Irlandię od plagi wężów, nie pomyślał o tych przebrzydłych czarnoskrzydłych stworzeniach?

* * *

Najpierw zajrzała do babki, lecz przekonawszy się, że śpi, stanęła w progu chaty Danielów.

- Scarlett? - zawołała Kasia. - Co za szczęście, że cię widzę. Wejdz, mów, jakie nowe cuda działałaś w Ballyhara.

Sięgnęła po czajniczek z herbatą.

- Właśnie spodziewałam się, że przyjdiesz. Mam ciepłe placuszki.

W kuchni siedziały trzy kobiety z Adamstown. Scarlett przyniosła sobie stółek i zajęła miejsce obok.

- Jak dzidzius? - spytała Maria Helena.

- Dziękuję, doskonale.

Rozejrzała się po znajomej kuchni. Miła dla oka, wygodna, to niewątpliwie. Z trudem jednak mogła się doczekać chwili, gdy Kasia przeniesie się wreszcie do swojej nowej kuchni w jednym z największych domów w Ballyhara.

Scarlett już bowiem obmyśliła, jaki dom komu przydzielili. Dla najbliższej rodziny przeznaczyła te najpiękniejsze, najbardziej przestronne. Tylko Colum otrzymał maleńką stołówkę zbudowaną w miejscu, gdzie majątek graniczy z miasteczkiem. Sam sobie wybrał ten domek, toteż nie było obawy, że będzie narzekał na brak miejsca, zresztą i tak przecież nigdy nie założy rodziny, bo jest księdzem, a dla jednej osoby powinno wystarczyć i tyle. W miasteczku było jednak kilka o wiele większych domów. Największy i najlepszy wybrała Scarlett dla Daniela, oczywiście ze względu na Kasię. Poza tym Danielowie zechcą pewnie wziąć do siebie babkę. Trzeba było także pomyśleć o dodatkowym pokoju dla rodziny Kasi, która kiedyś wyjdzie za mąż, a wzięwszy pod uwagę to, jak wielki posag Scarlett przeznaczyła dla niej, no i sam dom - nie powinna mieć kłopotów ze znalezieniem odpowiedniej partii. Każdy z synów Daniela i Patryka miał otrzymać oddzielną zagrodę, nawet ten upiorny Sean, który dotychczas dzielił mieszkanie z babką. I, oczywiście, ziemię - tyle, ile tylko zapragną, żeby nie mieli problemów ze znalezieniem żon. Zawsze była zdania, że to potworne, aby młodzi chłopcy i zgrabne dziewczęta musieli żyć w przymusowym celibacie, bowiem nie mieli ani ziemi, ani pieniędzy na jej kupno. Angielscy ziemianie byli doprawdy bezduszni -

choćby nie wiem co, i tak nie zmusiłbyś żadnego, by zrzekł się na korzyść Irlandczyka bodaj piędzi irlandzkiej ziemi. A nie kto inny, lecz właśnie Irlandczycy doglądali pszenicy i owsa, wypasali bydło i owce, by potem sprzedać je Anglikom po angielskich cenach, dla Anglików, którzy potem odsprzedawali wszystko do Anglii, by inni Anglicy mieli okazję się wzbogacić. Po opłaceniu dzierżawnego, niewiele z zarobionych pieniędzy mogli sobie zatrzymać, a i to tylko pod warunkiem, że powodowany kaprysem właściciel ziemi nie podniósł czynszu. Warunki dzierżawienia ziemi w Irlandii były dla Irlandczyków gorsze niż wówczas, gdy prawo gospodarowania trzeba było opłacać połową plonów w naturze, gorsze niż w Ameryce pod rządami Jankesów w czasie Wojny, gdy żołnierze armii Shermana mogli brać to, czego chcieli, by potem podnieść podatki tak niebotycznie, jak wysoko rozciągało się niebo nad Tarą. Nic dziwnego, że Irlandczycy nienawidzili wszystkiego, co angielskie. Tak, jak Scarlett miała nienawidzić Jankesów aż po kres swych dni.

Wkrótce jednak, przyrzekała sobie, rodzina O'Harów uwolni się od tego wszystkiego. Ale się zdziwią, gdy im o tym powie! Nie powinni czekać zbyt długo. Kiedy domy zostaną wyremontowane, kiedy pola będą gotowe do pierwszych siewów... co to, to nie - nie miała zamiaru wręczać prezentów tylko w połowie gotowych, pragnęła, by wszystko, co ofiaruje, było w doskonałym stanie. Bo przecież tacy byli dla niej dobrzy... Poza tym, to w końcu najbliższa rodzina.

Owe dary były jej skrycie hołubionym sekretem. Nikomu się z tym nie zdradziła, nawet Columowi. Sama pieściła się z myślami o wspaniałościach, którymi obdarzy rodzinę - już od pierwszych chwil, gdy tamtej nocy w Galway ukuła swój plan, owe wyobrażenia nie dawały jej spokoju. Za każdym razem, gdy spoglądała na ulicę w Ballyhara, czuła tym większą radość wiedząc, który z domów do kogo będzie należał. Tyle tu było do rozdania, tyle kominków, przy których przysunąwszy stółek będzie można się ogrzać, tyle izb zamieszkanych przez kuzynów bliższych i dalszych, z którymi jej dziecko będzie się bawić, chodzić do szkoły i obchodzić święta we Dworze.

Oto miejsce dla niej i dla jej dziecka. Dwór. Ogromny, wielki wręcz niesłychanie, niezwykle wytworny Dwór. Większy od domu przy East Battery, większy niż dom w Dunmore Landing, większy nawet od tego, jaki był, nim Jankesi spalili go w dziewięciu dziesiątych. A Dwór otaczają pola - ziemia, która należała do O'Harów jeszcze w czasach, nim ktokolwiek słyszał o Dunmore Landing, Charlestonie, Południowej Karolinie czy Recie Butlerze. Jakby mu źrenice poogromniały, jakby mu serce zabiło, gdyby ujrzął swą cudowną córkę - Boże, niech to będzie córka - w jej wspaniałym

domu. Ja, córkę Scarlett O'Hary - córkę samotnej matki.

Scarlett pieściła te marzenia na jawie, pielęgnowała myśl o słodkiej zemście. Cóż - to wszystko dopiero się stanie, to dopiero odległa perspektywa przyszłości. A tymczasem domy rodziny O'Harów będą gotowe już wkrótce, zaraz, gdy tylko skończy się remont.

60.

Sierpień miał się już ku końcowi, gdy pewnego dnia, kiedy niebo na wschodzie było zaróżowione świtem, Colum stanął u progu domu Scarlett, a za nim, w mgławej poświacie, dziesięciu krzepkich i milczących mężczyzn.

- Ludzie do odchwaszczania pól - oznajmił, wskazując za siebie głową. - Jesteś zadowolona? Scarlett aż pisnęła z zadowolenia.

- Wilgotno, pozwól, że założę szal - powiedziała. - Poczekaj, zaraz się ubiorę. Zaprowadź ich na pierwsze pole pod bramą.

Jeszcze nie dokończyła toalety, włosy miała w nieładzie, bosa stopy. Chciała się pospieszyć, ale z wrażenia wszystko leciało jej z rąk. Tak długo czekała! Poza tym z każdym dniem miała coraz większe trudności przy zakładaniu butów. Coś takiego, wielkam jak kamienica. Pewnie mam trojaczki.

Bierz to diabli! Scarlett upięła potargane włosy w kok, wbiła w to kilka szpilek, w biegu chwyciła szal i na bosaka wybiegła na ulicę.

Mężczyźni o bardzo ponurym wejrzeniu zgromadzili się wokół Columa na zachwaszczonym podjeździe pod bramą.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem... - dobiegły ją z daleka wzburzone głosy. - To raczej drzewa niż chwasty... moim zdaniem to nawet nie pokrzywy... można by tu siedzieć do końca życia, a i tak się nie skończy...

- Ładna z was banda - zawołała Scarlett głośno i wyraźnie. - Co, boicie się pobrudzić sobie rączki?

Spojrzeli na nią z niesmakiem. Dobiegły do nich wieści o tej kobiecie o manierach woźnicy, w której nie było ni krzty kobiecości.

- Dyskutowaliśmy, od czego byłoby najlepiej zacząć - wtrącił Colum pojednawczym tonem.

Ale Scarlett wcale nie była pokojowo usposobiona.

- Nigdy nie zaczniecie, jeśli wdacie się w dyskusję. Pokażę wam, od czego zacząć.

Lewą ręką przytrzymała wyдутy brzuch, po czym schyliła się i prawą ręką chwyciła garść pokrzyw, zaraz przy korzeniach. Z głośnym westchnieniem wyrwała je z ziemi.

- Oto one - rzekła z pogardą w głosie. - Oto wasz początek.

Po czym rzuciła parzące chwasty mężczyznom do stóp. Z małych ranek na jej ramieniu sączyła się krew. Scarlett splunęła w otwartą dłoń, otarła ją o czarną, żalobną spódnicę, a następnie, ciężko kołysząc się na bosych, białych i jakby nieproporcjonalnie małych stopach odeszła.

Mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem. Po czym jeden, drugi, a wreszcie wszyscy zdjęli kapelusze z głów.

Nie oni jedni nabrali respektu wobec Scarlett O'Hary. Malarze, na przykład, nie bez zdumienia stwierdzili, że ta kobieta potrafi wspinać się na najwyższe nawet drabiny, poruszając się niczym krab, by tym zwinniej przenieść ciężar ciała z jednej strony na drugą, a wszystko po to jedynie, by wskazać nie domalowane lub nierówno pokryte farbą fragmenty ścian. Cieśle, którzy bardzo by chcieli „zaoszczędzić” na gwoździach, pewnego dnia, gdy przyszedli do pracy, znaleźli ją dobijającą niedokładnie przybite deski. Albo znowu zatrzęsnęła ledwo co osadzone na zawiasach drzwi z hukiem, „który i umarłego mógłby obudzić” po to tylko, by sprawdzić solidność roboty. A kiedy zdun nareperował kominy, weszła do środka z zapalonym wiechem słomy, aby przekonać się, czy dobrze ciągnie. Z kolei dekarze opowiadali ze zgrozą, że tylko „silne ramię ojca O'Hary powstrzymało ją od wejścia na dach i policzenia dachówek”. Od wszystkich wymagała wiele, od siebie najwięcej.

A kiedy wieczorem było już zbyt ciemno, żeby pracować, w *pubie* wydawano za darmo po trzy kwaterki piwa każdemu, kto mimo zmroku nie przerywał pracy, ale nawet, gdy późno w nocy pili, przechwalali się i narzekali, przez kuchenne okno mogli widzieć Scarlett, jak przy świetle lampy pochylona nad papierami coś czyta i coś podlicza.

* * *

- Umyłaś ręce? - zapytał Colum wchodząc do kuchni.

- Tak, i natarłam balsamem. Popeliłam głupstwo. Ale czasami taka wściekłość mnie ogarnia, że wpadam w szal i nie wiem, co robię. Śniadanie gotowe. Chcesz jeść?

Colum pociągnął nosem.

- Owsianka bez soli? Wolałbym gotowane pokrzywy.

- To idź i sobie urwij - roześmiała się. - A zimna, nie posolona owsianka zastosowana w formie okładów na nogi powinna złagodzić tę straszną opuchliznę... chociaż wkrótce to i tak będzie bez znaczenia. Już w tej chwili sznurując buty robię to po omacku, a za tydzień lub dwa w ogóle nie będę mogła się schylić. Imaginuję sobie, że mam cały miot młodych, nie dziecko.

- „Imaginuję sobie”, by tak rzec, to samo. Potrzeba ci kobiety do pomocy.

Spodziewał się, że za chwilę usłyszy głośne protesty, Scarlett bowiem automatycznie odrzucała każdą sugestię, z której miałyby wynikać, że nie jest w stanie sama podołać wszystkiemu. Tym razem jednak łatwo się zgodziła, Colum aż się uśmiechnął. Właśnie

ma na oku kobietę poszukującą pracy - wyjaśnił - osobę, która umie poradzić sobie ze wszystkim, nawet może prowadzić rachunki, jeśli będzie potrzeba. Starsza niewiasta, lecz nie na tyle stara, by wzdragać się przyjąć rządy twardej ręki, które zaprowadziła Scarlett w Ballyhara, a jednocześnie osoba z kręgosłupem, gotowa bronić własnego zdania. Ma doświadczenie w kierowaniu pracą, zarządzaniem ludźmi i obchodzeniu się z pieniędzmi. Była gospodynią we dworze niedaleko Laracor, to z drugiej strony od Trim. Zna się na położnictwie, choć sama nie jest akuszerką z zawodu. Ma sześcioro dzieci. Może przystać do Scarlett już od zaraz, chętnie zajmie się nią i jej domem dopóty, dopóki Dwór nie zostanie wyremontowany. A potem, kiedy już nie będzie potrzebna, odejdzie, bowiem mnóstwo kobiet potrzebuje jej pomocy, ona zaś zawsze gotowa jest pomagać.

- Przekonasz się, droga Scarlett, że prowadzenie domu w Ameryce niczym nie przypomina gospodarowania w irlandzkim dworze. Tu trzeba pewnej, wprawionej ręki. Będziesz potrzebowała ochmistrza, który by zarządzał lokajami i służbą, stajennego, który by dowodził zgrają parobków, no i oczywiście kilkunastu ogrodników, a na ich czele...

- Przestań! - Scarlett wściekle potrząsnęła głową. - Nie zakładam tu królestwa. Owszem, potrzeba mi kobiety do pomocy, przyznaję, ale w tej piramidzie z kamienia zamierzam mieszkać zaledwie w paru pokojach. Dlatego zechciej zapytać tę swoją chodzącą doskonałość, czy jest gotowa spuścić z tonu. Szczerze mówiąc, to wątpię.

- Dobrze, zapytam.

Colum był pewny, że się zgodzi, nawet gdyby miała szorować podłogi. Rosaleen Mary Fitzpatrick była siostrą jednego z Bractwa Fenian. Jej brata powiesili Anglicy. Jej ojciec i dziadek mieszkali dawniej w Ballyhara - utonęli podczas sławetnej wyprawy do Ameryki. Rosaleen Mary Fitzpatrick należała do Bractwa Fenian - była jednym z najzagorzalszych, gotowych na największe poświęcenia powstańców, a zarazem członkinią najtajniejszych struktur Bractwa.

Scarlett wyjęła z garnka trzy jajka, wodę wlała do czajniczka z herbatą.

- Możesz otrzymać jajko lub dwa, jeśli дума nie pozwala ci jeść mojej owsianki... oczywiście bez soli.

Colum pokiwał głową.

- Boże, ale jestem głodny.

Nałożył na talerz owsianki, obrał jajka ze skorupki i położył obok białej, gęstej masy. Nie dogotowane żółtka rozlały się po talerzu. Colum sięgnął po łyżkę. Jadł

patrząc w sufit.

Scarlett wcinała owsiankę z jajkiem szybko i z apetytem, co bynajmniej nie przerywało potoku słów, wyrzucanych między jedną łyżką a drugą. Właśnie postanowiła zdradzić się mu ze swym planem przeniesienia całej rodziny do umiarkowanych luksusów Ballyhara.

Colum poczekał, aż skończy jeść, po czym odezwał się:

- Wątpię, czy zgodzą się na twój plan. Uprawiają tę ziemię już prawie przez dwieście lat.

- Oczywiście, że się zgodzą. Każdy chce mieć lepiej, niż ma.

Potrząsnął głową.

- Zapewniam cię, że się mylisz. Zresztą natychmiast ich zapytam. Albo nie, inaczej to sobie planowałam. Dowiedzą się o tym dopiero gdy wszystko będzie gotowe.

- Scarlett, sprowadziłem ci farmerów. Dzisiaj z samego rana.

- Tych leniwców!

- Nie zdradzałaś się mi z planami. Wynająłem tych ludzi. Ich żony i dzieci wprowadzają się właśnie do chat na końcu ulicy. Wymówili swoim dotychczasowym pracodawcom.

Scarlett przygryzła wargę.

- Dobrze - powiedziała po chwili. - Niech i tak będzie. Zamierzam osiedlić rodzinę w domach, nie w chatach. Ci ludzie mogą pracować dla moich kuzynów.

Colum otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz zrezygnował. Nie było o co się spierać. Poza tym i tak był przekonany, że Danielowie nie ruszą się z Adamstown.

* * *

Colum zawołał Scarlett z drabiny, na którą właśnie się wspięła, by sprawdzić, czy dobrze położono świeży tynk.

- Chodź, pokażę ci, do czego zdolni są ci „leniwczy”!

Scarlett tak się ucieszyła, że aż łzy popłynęły jej z oczu. W gąszczu chwastów wycięto i wykarczowano ścieżkę, dość szeroką, by można przejechać dwukółką tam, gdzie dotychczas zaledwie zmieścił się kucyk. Teraz znowu będzie mogła odwiedzać Kasię, przywozić mleko do herbaty i na owsiankę. Już od dobrego tygodnia czuła się nazbyt ociężała do jazdy na oklep.

- Natychmiast wyjeżdżam.

- Pozwól, że przynajmniej zawiążę ci buty.

- Nie, za bardzo uciskają mi stopy. Teraz, kiedy mam wózek i drogę, mogę jeździć na bosaka. Ale możesz zaprząć kucyka.

Colum z uczuciem ulgi spoglądał, jak Scarlett odjeżdża. Gdy dwukółka znikła mu z oczu, poszedł do stróżówki, gdzie mieszkał, do swych książek, fajki i szklaneczki dobrej whisky, której napił się z przekonaniem, że dobrze na to zasłużył. Spośród wielu ludzi, jakich zdarzyło się mu spotkać, niezależnie od płci, wieku i narodowości, Scarlett O'Hara przyprawiała go o największe zmęczenie.

Tylko dlaczego - zachodził w głowę - za każdym razem, gdy o niej myślę, coś podszeptuje mi, by do każdego sądu, jaki o niej wydaję, dodawać owo nieśmiertelne „bidula”?

* * *

Rzeczywiście zasługiwała na ten przydomek, gdy po zapadnięciu zmroku wpadła do stróżówki Columa. Rodzina - grzecznie, lecz zupełnie otwarcie - odrzuciła zaproszenie do Ballyhara i żadne wezwania na nic się tu nie zdały.

Colum zaczął już wierzyć, że Scarlett nie jest zdolna do łez, nie płakała, gdy otrzymała akt rozwodowy, nie uroniła łzy nawet wówczas, kiedy się dowiedziała o ślubie Retta i Anny Hampton. Ale tej ciepłej deszczowej nocy sierpniowej chlipała dobrych parę godzin, aż w końcu usnęła na wygodnym tapczanie Columa - luksus nieznanym w jej po spartańsku urządzonej domu. Przykrył ją cienkim kocem i poszedł do sypialni. Był zadowolony, że dała upust swemu żalowi, obawiał się jednak, że kiedy się obudzi, w jej oczach będzie to wyglądało zupełnie inaczej. Dlatego zostawił ją samą, pewnie przez najbliższe kilka dni nie będzie chciała widywać się z nim. Ludzie o silnym charakterze nie lubili mieć świadków swej słabości.

Ale był w błędzie. Nie po raz pierwszy - czego nie omieszkał zauważyć. Czy w ogóle można przejrzeć tę kobietę? Gdy rano wszedł do kuchni, Scarlett siedziała przy stole i jadła jajko - ostatnie, które miał.

- Wiesz, Colum, masz rację. Z solą smakuja znacznie lepiej... A teraz możesz zacząć się rozglądać za dobrymi lokatorami do moich domów. Muszą być zamożni, ponieważ otrzymają luksusowo wyposażone mieszkania i wobec tego spodziewam się wysokich czynszów.

* * *

Scarlett czuła się do głębi urażona, chociaż ani nie okazywała tego po sobie, ani nikomu nie zwierzała się ze swych rozczarowań. Nadal jeździła wózkiem do Danielów

parę razy w tygodniu, nadal pracowała przy odbudowie Ballyhara tak ciężko, jak dotychczas, choć ciąża powoli coraz bardziej dawała się we znaki. Ale z końcem września wszystko było gotowe. Zabudowania lśniły czystością, świeżo odmalowane wewnątrz i zewnątrz, zaopatrzone w mocne drzwi, dobre kominy i szczelne dachy. Ludności przybywało z dnia na dzień.

Przybyły także dwa *puby*, zakład szewski, gdzie można było nie tylko załatać buty, ale i naprawić uprząż, sklep z towarami kolonialnymi, który przeniósł się z Bective. Przyjechał staruszek ksiądz do obsługi katolickiego kościółka, dwie nauczycielki do szkoły, w której miały się zacząć lekcje, gdy tylko nadejdzie pozwolenie od władz szkolnych w Dublinie, nerwowy młody prawnik z nadzieją otworzenia praktyki oraz jego jeszcze bardziej nerwowa żona lubiąca wystawać w oknie i podglądać ludzi zza firanek. Dzieci farmerów bawiły się na ulicy, żony siedziały na schodkach i plotkowały, z Trim co dzień przyjeżdżał pocztylion z listami i uczonym dżentelmenem, który w jednoizbowej przybudówce obok sklepu kolonialnego otworzył kramik z książkami, papierem i atramentem. Z Trim nadeszła też obietnica, że z początkiem nowego roku zostanie otworzony w Ballyhara urząd pocztowy. Największy dom wynajął doktor - w pierwszym tygodniu października miał rozpocząć praktykę.

Ta ostatnia wiadomość najbardziej ucieszyła Scarlett, bowiem jedyny szpital w całej okolicy znajdował się w Domu Pracy w Dunshauglin, czternaście mil drogi. Stanowczo wierzyła w pracę, nie w żebranię, jednakowoż wcale nie miała ochoty spoglądać na nieszczęśników, którzy czekali tam końca swych dni. A już na pewno nie było to odpowiednie miejsce dla dzidziusia, który wkrótce miał pojawić się na świecie.

Własny lekarz. To już bardziej w jej stylu. Niech no tylko złączą się tarapaty z krupem, wietrzną ospą i wszystkimi chorobami, przez które zwykle muszą przejść dzieci, doktor będzie jej prawą ręką. Teraz jeszcze trzeba było dać znać po okolicy, że w połowie listopada chętnie widziałyby w Ballyhara jakąś zręczną położną.

No i dokończyć dom.

- Gdzie ta twoja Mrs. Fitzpatrick? - spytała Columa. - Wydawało mi się, że miała tu być już miesiąc temu. Przecież się zgodziła.

- Owszem - pokiwał głową Colum. - Zgodziła się miesiąc temu i dała miesięczne wypowiedzenie, jak każda odpowiedzialna osoba. Będzie tu dopiero pierwszego października, czyli w przyszły czwartek. Zaproponowałem jej, żeby zamieszkała u mnie.

- Czyżby? A ja myślałam, że to moje gospodarstwo ma prowadzić. Dlaczego nie miałyby mieszkać u mnie?

- Ponieważ, moja droga, twój dom to jedyny budynek w miasteczku, który nie przeszedł gruntownego remontu.

Scarlett, zaskoczona, potoczyła wzrokiem po kuchni. Nigdy przedtem nie przywiązywała znaczenia do tego, jak mieszka, miała to być tylko prowizorka, wygodna, ze względu na konieczność doglądania roboty w miasteczku.

- Paskudna nora, prawda? - spojrzała na Columa. - Dobrze byłoby doprowadzić dom do ładu jeszcze gdy będę mogła się poruszać.

Uśmiechnęła się, choć z trudem.

- To nie żarty, Colum. Jestem już prawie bez sił. Dobrze byłoby skończyć to wszystko tak, żebym mogła jeszcze trochę odpocząć przed rozwiązaniem.

Dla siebie jednak zachowała wiadomość, że praca stała się tak nużąca dopiero wówczas, gdy kuzyni odrzucili jej propozycję. Skoro rodzina O'Harów nie chciała zamieszkać w Ballyhara i wziąć w uprawę ziemię swoich ojców i dziadów, cały wysiłek odbudowy przestał przynosić radość. Scarlett nie ustawała w dociekaniach, jakie były prawdziwe przyczyny tej odmowy. Jediną sensowną odpowiedzią, która się jej nasunęła, była ta, że kuzyni nie chcieli łączyć się z nią, bo jej nie kochali, mimo całej uprzejmości i ciepła, którymi ją otaczali. Znowu czuła się sama, choć ciągle była razem z nimi, choć była z Columem, Sądziła, że może na niego liczyć jak na przyjaciela, ale to on pierwszy jej powiedział, iż nie skorzystają z jej oferty, znał ich, a więc był jednym z nich.

Ból pleców nie ustawał. Nogi też ją bolały, stopy i kostki tak były spuchnięte, że każdy krok przysparzał jej cierpienia. Już wolałaby nie mieć tego dziecka, ono uczyniło ją chorą, ono podsunęło jej pomysł kupna Ballyhara. Ale nie mogła pozbyć się go wcześniej niż za sześć - nie, sześć i pół - tygodnia.

Gdybym miała dość sił, zaczęłabym głośno kląć - pomyślała przybita. Skrzesała jednak w sobie tyle energii, by wystarczyło na jeden słaby uśmiech dla Columa.

Wygląda tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie może znaleźć słów. Hm... już ja mu w tym nie pomogę. Zupełnie brak mi sił na dłuższą rozmowę.

Ktoś zapukał do frontowych drzwi.

- Ja otworzę - powiedział Colum. I dobrze. Hycy, jak królik.

Wrócił do kuchni z paczuszką w dłoni i z mało przekonującym uśmiechem na twarzy.

- Była Mrs. Flanagan ze sklepu. Przyniosła tytoń, który zamówiłaś dla babki. Zawiozę to jej od ciebie.

- Nie, dziękuję - Scarlett dźwignęła się na nogi. - Babka chciała, żebym jej przywiozła paczuszkę tytoniu... odkąd tu jestem, tylko ten jeden raz o coś mnie poprosiła. Zaprzęgnij kucyka i pomóż mi wsiąść na wózek. Sama jej to zawiozę.

- Pojadę z tobą.

- Colum, przecież miejsca ledwo wystarczy dla mnie, sam wiesz najlepiej. Zaprzęgnij więc kucyka i pomóż mi wsiąść, to zupełnie dosyć.

A jak zejdem z wózka, to już Bóg jeden wie.

* * *

„Upiorny Sean”, jak zwała go Scarlett, siedział w domu wraz z babką. Pomógł jej zsiąść i ofiarował ramię.

- Nie trzeba - zawołała wesoło. - Sama dam sobie radę.

Sean zawsze przyprawiał ją o zdenerwowanie. Wszystko, co miało w sobie coś z nieudacznictwa, bardzo ją denerwowało, a Sean był największym nieudacznikiem wśród O'Harów. Był trzecim synem Patryka. Najstarszy umarł, Kuba w swoim czasie zamiast pracy na roli wybrał kupiectwo i przeniósł się do Trim, tak że kiedy w roku 1861 zmarł stary Patryk, Sean odziedziczył po nim gospodarstwo. Miał „zaledwie” trzydzieści dwa lata, a owo „zaledwie”, jak sądził, powinno starczyć na wytłumaczenie wszystkich jego niepowodzeń. Przywiódł gospodarstwo do stanu tak podłego, że pojawiła się groźba, iż w końcu straci dzierżawę.

Daniel, jako najstarszy, traktował syna Patryka na równi z własnymi dziećmi. Ale chociaż miał już sześćdziesiąt siedem lat, bardziej pokładał wiarę w siebie i własne siły niż w Seana czy Seamusa, który też miał „zaledwie” trzydzieści dwa lata. Pracował równie ciężko, jak brat, całe swoje życie. Teraz, gdy Patryk umarł, nie zamierzał milczeć i patrzeć, jak dzieło jego życia popada w ruinę. Jeśli już, to wołał, żeby Seana spotkała zasłużona klęska.

Sean spokojnie przyjął cios. I odszedł. Ale niedaleko. Już od dwunastu lat mieszkał z babką, godząc się na jej opiekę. Konsekwentnie odmawiał wszelkiej pracy na farmie u Daniela. Na sam jego widok Scarlett czuła, jak świerzbią ją ręce. Dlatego wołała odejść byle dalej od niego i to tak szybko, jak tylko pozwalały na to jej bosa, spuchnięte stopy.

- Dziewczyna Geralda - przywitała ją babka. - Miło cię widzieć, młoda Kasiu Scarlett.

Scarlett wierzyła, że jest jej miło. Zawsze wierzyła babce.

- Przyniosłam ci tytoń, starsza Kasiu Scarlett - powiedziała pogodnie.

- Wielka to rzecz. Wypalisz ze mną fajeczkę?

- Nie, dziękuję, babciu. Nie jestem jeszcze stuprocentową Irlandką.

- Och, co za szkoda. Cóż, ja jestem Irlandką do szpiku kości. Zechciej zatem nabić mi fajkę.

W maleńkiej chacie zapanowała zupełna cisza, przerywana jedynie łagodnymi odgłosami pykania fajki. Scarlett usiadła, nogi położyła na niskim stołeczku i zamknęła oczy. Cisza działała na nią kojąco, toteż gdy na dworze usłyszała jakieś krzyki, opadła ją wściekłość. Czyż nie dane jej było spędzić bodaj pół godziny w spokoju? Wybiegła na podwórze, gotowa zbesztać każdego, kto zakłócił ciszę.

Ale to, co ujrzała, było tak przerażające, że zapomniała o złości, łamaniu w krzyżu, bólu w stopach - zapomniała o wszystkim z wyjątkiem strachu. Bo na podwórzu u Danielów grasowali żołnierze i konstable, a dowodził nimi oficer na koniu z obnażoną szablą w ręku. Żołnierze właśnie składali trójnóg z kłocem na linach. Pokuśtykała przez podwórko, by dołączyć do Kasi, która stała w drzwiach płacząc.

- O! - zawołał jeden z żołnierzy. - Mamy tu jeszcze jedną. Spójrzcie tylko na nią. Ci irlandzcy nędzarze mnożą się jak króliki. Tylko czemu nie mogą nauczyć się nosić butów?

- W łóżku nie trzeba mieć butów na nogach - odpowiedział mu drugi. - W łóżku albo w krzakach.

Anglicy wybuchnęli śmiechem. Irlandzcy konstable wbili wzrok w ziemię.

- Ty! - krzyknęła Scarlett. - Ty tam, na koniu. Co robicie na tej farmie, ty i te nędzne kreatury?

- Zwracasz się do mnie, dziewczyno? - oficer spojrzał, celując w nią swym długim nosem.

Wysunęła podbródek i obrzuciła go chłodnym spojrzeniem zielonych oczu.

- Taka ze mnie dziewczyna, jak z ciebie dżentelmen, panie... nawet jeśli zdaje ci się, żeś oficer.

Zastygł bez ruchu otwarte usta, tak że nawet sam nos nie rzucał się w oczy. Tak - mściwie pomyślała sobie Scarlett. Zgaduję, że nos mu zniknął, bo ryby nie mają nosów, a on wygląda właśnie jak wyrzucona na piasek ryba. Porwana w wir walki poczuła, jak wracają jej siły.

- Nie jesteś tutejsza - mruknął po dłuższej chwili milczenia oficer. - Czy to nie ty jesteś tą Amerykanką?

- Kim ja jestem, to nie twoja sprawa. Za to bardzo mnie interesuje, co ty tu robisz. Wytłumacz się.

Dopiero teraz oficer przypomniał sobie, kim jest. Zamknął usta, usztywnił kark. Scarlett zauważyła, że wszyscy żołnierze jakby usztywnili postawę, spoglądając to na nią, to na swego dowódcę. Konstabe zerkali tylko kącikiem oka.

- Zgodnie z rozkazem rządu Jej Królewskiej Mości eksmituję dzierżawców tej farmy za niepłacenie czynszu - pomachał zwojem papieru.

Scarlett serce podeszło do gardła. Jeszcze wyżej zadarła brodę. Za plecami żołnierzy dostrzegła Daniela z synami - biegli przez pole z widłami i pałkami, gotowi do walki.

- To na pewno jakieś nieporozumienie - zawołała. - Jakąż to sumę są rzekomo winni moi kuzyni?

Na miłość Boską, pospiesz się, ty nochalu, zanim będzie za późno. Jeśli którykolwiek z O'Harów uderzy kogoś z żołnierzy, pójdą do więzienia, albo i gorzej.

Tymczasem, jak na złość, wszystko zdało się dziać jakby w zwolnionym tempie. Wieczność chyba minęła, zanim oficer rozwinął swój pergamin. Daniel, Seamus, Tomasz, Patryk i Tymoteusz biegli jakby zanurzeni w wodzie. Scarlett zaczęła rozpinać koszulkę. Palce miała niczym serdelki, guziki wymykały się niby grudy tłuszczu.

- Trzydzieści jeden funtów osiem szylingów i dziewięć pensów - wyrecytował oficer, przeciągając każde słowo, tak że zanim je wypowiedział, zdało się, mija godzina.

A potem od pół dobiegły Scarlett złowrogie pokrzykiwania mężczyzn - biegli co sił w nogach, wygrażając pięściami i potrząsając tym, co każdemu udało się schwycić. Szybko sięgnęła do rzemienia na karku, gorączkowo chwyciła za wypchaną pieniędzmi sakiewkę, drżącymi palcami rozsuplując szczelnie obwiązany wylot mieszka.

Poczuła chłód monet, potem wymacała zwinięte w plik banknoty. Zbielałymi wargami wyszeptała słowa dziękczynienia. Szczęśliwie miała przy sobie pieniądze na wypłatę dla robotników pracujących w Ballyhara. Ponad pięćdziesiąt funtów. Gdy upewniła się, że jest w stanie opłacić dzierżawę, stała się zimna jak lód, gorączka ją opuściła, mogła sobie pozwolić na pewną flegmatyczność.

Zdjęła sakiewkę przez głowę, zadzwoniły monety.

- Proszę... a tu masz ekstra za fatygę, ty grubianinie.

Ramię miała silne, nie chybiła celu. Sakiewka uderzyła oficera prosto w usta. Szylingi i pensy brzęcząc posypały się po mundurze, po czym wylądowały na ziemi.

- Posprzątać ten bałagan! - zawołała Scarlett. - I zabrać mi te śmiecie, któreście przywlekli!

Odwróciła się plecami do żołnierzy.

- Na miłość Boską - szepnęła do Kasi. - Pędź na pole i zatrzymaj mężczyzn, bo

naprawdę gotowi są napytać nam wszystkim biedy.

* * *

Minęło kilka minut, zanim Scarlett stanęła twarzą w twarz ze starym Danielem. Była wściekła. A gdyby tak nie uparła się, że osobiście przywiezie babce ten tytoń? A gdyby zwlekała z przyjazdem? Posłała wujowi niedobre spojrzenie i wybuchła:

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że potrzebujesz pieniędzy? Z przyjemnością bym ci je dała.

- Rodzina O'Harów nie przyjmuje jałmużny.

- Jałmużna? A jakaż to jałmużna od najbliższej rodziny, wuju Danielu?

Daniel spojrzał na nią starymi, bardzo starymi oczami.

- To, czego nie zarobisz pracą własnych rąk, jest jałmużną - powiedział ponurym tonem. - Znamy twoją historię, młoda Kasiu Scarlett. Gdy Gerald popadł w obłąd, dlaczego nie zwróciłaś się do jego braci w Savannah? To przecież też rodzina.

Scarlett zadrżały wargi. Tak, stary ma rację. Nie prosiła o pomoc nikogo, bo od nikogo by jej nie przyjęła. Sama musiała dać sobie radę z własnymi kłopotami. Duma nie pozwoliłaby jej skamleć o wsparcie, duma nie pozwoliłaby jej okazać żadnej oznaki słabości.

- A w czasie głodu? - spytała, gwałtownie poszukując argumentów ku własnej obronie. - Papa posłał wam wszystko, co miał. Wuj Jakub i wuj Andrzej też wam pomagali.

- Źle zrobiliśmy, żeśmy się na to zgodzili, ale myśleliśmy, że to się szybko skończy. Gdy jednak zrozumieliśmy, o co tu chodzi, było już za późno na odesłanie tych pieniędzy.

Scarlett spojrzała na proste jak deska plecy wuja, na dumnie uniesioną głowę. I zrozumiała. Tak, na jego miejscu uczyniłaby to samo. Zrozumiała też, że popełniła gafę, usiłując ich namówić, by przyjęli od niej Ballyhara jako namiastkę tego, czemu poświęcili całe życie. Gdyby się zgodzili na przeprowadzkę, przyznaliby, że cała ich praca była bezwartościowa - praca Daniela, jego synów i braci jego ojca, i ojca jego ojca.

- Robert podniósł dzierżawne, prawda? - spytała, chcąc poznać przyczynę eksmisji.

- A podniósł je w odwecie za moją dowcipną uwagę na temat jego rękawiczek, mam rację? Chciał się zemścić na mnie uderzając w was.

- Robert to człowiek chciwy - mruknął Daniel. - Nie można powiedzieć, żeby to miało związek z twoim poczuciem humoru.

- Ale pozwolisz, że ci pomogę? - zawołała bez mała błagalnym tonem. - Poczytywałabym to sobie za prawdziwy zaszczyt.

W oczach starego Daniela dostrzegła przyzwolenie. A potem przebłyski dowcipu.

- Mamy tu Michała, syna Patryka. Pracuje w dworskich stajniach. Chłopak świetnie się zna na hodowli koni i mógłby terminować w Curragh, gdyby tylko miał pieniądze na czesne...

- Dziękuję - sucho ucięła Scarlett.

- Czy ktoś ma ochotę na kolację, czy mam wszystko wyrzucić świniom? - wtrąciła się Kasia, udając, że gniewna.

- Z głodu chce mi się wyc - jęknęła Scarlett. - A do gotowania mam dwie lewe ręce, jak pewnie wiesz.

Jestem szczęśliwa - przemknęło jej przez myśl. Wszystko mnie boli, od stóp do głów, ale jestem szczęśliwa. Jeśli ten dzidzius nie będzie dumny z nazwiska, które po mnie otrzyma, to chyba kark mu ukreczę.

- Trzeba nam będzie kucharza - powiedziała Mrs. Fitzpatrick. - Kiepsko gotuję.

- Ja też - przyznała Scarlett. Mrs.

Fitzpatrick obrzuciła ją bystrym spojrzeniem.

- Ja także nie gotuję najlepiej - dodała Scarlett pośpiesznie.

Chyba nie polubię tej kobiety - westchnęła w duchu. I to niezależnie od wszystkich pochlebnych słów, którymi obdarza ją Colum. Już na samym początku, gdy spontanicznie spytała ją, jak się nazywa, usłyszała „Mrs. Fitzpatrick”, choć obie dobrze wiedziały, że nie o nazwisko tu chodzi, lecz o imię. Nigdy nie zwracała się do służby per „Mrs.”, „Mister” czy „Miss”. Nigdy jednak nie miała białej służby. Kasia i Brygidka w roli pokojówek nie liczyły się jako służące, bo to rodzina. Dobrze, że ta Mrs. Fitzpatrick nie jest jakąś kuzynką.

Mrs. Fitzpatrick była kobietą wysoką, przynajmniej o pół głowy wyższą od Scarlett. Nie była szczupłą, ale nie była tłustą. Dobrze zbudowana, wyglądem przywodziła na myśl rosłe drzewo. Nie sposób było stwierdzić, ile ma lat. Jak większość irlandzkich kobiet, mogła się poszczycić cerą bez zmarszczek - wskutek dobroczynnego działania lekko wilgotnego powietrza i stałej temperatury. Karnacja przypominała kremową barwę gęstej śmietany, z wyjątkiem dramatycznie czerwonych rumieńców na policzkach, te jednak głębią koloru przywodziły na myśl raczej ciemną purpurę róży niż chorobliwie ceglaste wypieki. Nos miała perkaty, wieśniaczy, lecz z wyraźnie zaznaczoną czubatą chrząstką, wargi jak dwie bladoczerwone kreski. Najbardziej jednak zwracały uwagę, najbardziej rzucały się w oczy ciemne, zaskakująco subtelne brwi, tworzące doskonale regularny łuk nad niebieskimi oczami, w mocnym kontraście do śnieżnobiałych włosów. Ubrana była w prostą szarą suknię ze śnieżnobiałym, niewyszukanym kołnierzem z lnu i takimiż mankietami. Silne, zwinne ręce trzymała złożone na podołku. Spoglądając na swe chropowate, zniszczone pracą dłonie, Scarlett czuła się jak prostaczka - dłonie Mrs. Fitzpatrick były wysmukłe, krótkie paznokcie starannie wypolerowane, skórki u nasady paznokci, równo przycięte, przywodziły na myśl białe półksiężycy.

Gdy mówiła, dało się wychwycić ślady angielskiego akcentu, wprowadzie łagodne, lecz odbierające wymowie muzyczną śpiewność, zwłaszcza ostatnim sylabom.

Wiem! - uświadomiła sobie Scarlett. Stara się sprawiać wrażenie osoby rzeczowej. Na samą myśl o tym od razu poczuła się lepiej. Z rzeczowymi kobietami umiała dać sobie radę, zupełnie niezależnie od tego, czy darzyła je sympatią, czy tylko tolerowała.

- Tuszę, że znajdzie mnie pani użyteczną, Mrs. O'Hara - rzekła Mrs. Fitzpatrick, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że żyła w przeświadczeniu, iż czegokolwiek by się podjęła, cokolwiek by powiedziała, zawsze znajdowała to użytecznym. Scarlett aż podskoczyła zirytowana. Czy ta paniusia chce ją sprowokować? Czy ona naprawdę ma zamiar przejąć ster spraw w swoje ręce? Mrs.

Fitzpatrick nie przerywała potoku słów:

- Radam, że mogę wyrazić osobistą satysfakcję z poznania pani, jako też moją radość, która płynie z faktu, że dane mi jest pracować u pani, Mrs. O'Hara. Zaszczyt to dla mnie nie lada, że zostałam gospodynią w domu głowy rodu O'Harów. **Tej O'Hary.**

Co to ma znaczyć?

Ciemne brwi uniosły się jakby z niedowierzaniem.

- Jak to? To pani nie wie? Przecież wszyscy nie mówią o czym innym! - wąskie usteczka Mrs. Fitzpatrick rozchyliły się w olśniewającym uśmiechu. - Jak długo sięga pamięć żyjących, żadnej kobiecie nie udało się tego dokonać, prawdopodobnie też na przestrzeni minionych wieków nie znajdzie się kobiety, która dokonałaby tej sztuki. W każdym razie otrzymała pani miano głowy rodu O'Harów, wszystkich jego gałęzi i rozwidleń. W czasach królów na czele każdej rodziny stał swego rodzaju przywódca, reprezentant, włodarz. Dalecy przodkowie szanownej pani uosabiali godność i dumę całego rodu. Dzisiaj przypominano sobie o tym szczególnym wyróżnieniu i obdarzono nim panią, Mrs. O'Hara.

- Nie rozumiem - zmieszała się Scarlett. - To co ja mam robić?

- Wszystko, co było do zrobienia, już pani zrobiła - uśmiechnęła się Mrs. Fitzpatrick. - I zasłużyła pani na podziw, zaufanie oraz cześć. Tę godność zdobywa się, nie dziedziczy. Teraz wystarczy, jeśli pozostanie pani sobą, Mrs. O'Hara.

- Chyba muszę napić się herbaty - wykrztusiła cieniutkim głosikiem Scarlett. Nie miała pojęcia, o czym plecie ta Fitzpatrick. Żartuje sobie? Drwi? Nie. Ta osoba nie należała do rodzaju ludzi, którzy prawią bliźnim niewczesne żarty. Cóż zatem miało to wszystko znaczyć? **Ta O'Hara?** Scarlett spróbowała wymówić to po cichutku... **Ta O'Hara...** Jak bicie w bęben. Coś się w niej obudziło, coś ukrytego głęboko, coś zapomnianego, pierwotnego. **Ta O'Hara.** W jej bladych, zmęczonych oczach rozblęskło jakieś światelko, tak że zalśniły niczym ogniste szmaragdy. **Ta O'Hara.**

Jutro trzeba będzie o tym pomyśleć... jutro i każdego dnia, aż do końca życia. Och, jakże dziwnie się czuję, pełna mocy... „Wystarczy, jeśli pozostanie pani sobą...” - powiedziała ta kobieta. Jak to rozumieć?

- Pani herbata, Mrs. O'Hara.

- Dziękuję, Mrs. Fitzpatrick.

Już jej nie irytowała ta onieśmielająca początkowo pewność siebie starszej pani, przeciwnie - zaczęła ją podziwiać. Wzięła filiżankę i spojrzała Mrs. Fitzpatrick w oczy.

- Proszę, niech pani też zrobi sobie herbatę. I proszę usiąść. Musimy porozmawiać o kuchni i wszystkim innym. Mamy przed sobą tylko sześć tygodni i huk rzeczy do załatwienia.

* * *

Scarlett nigdy jeszcze nie była w swoim Dworze. Mrs. Fitzpatrick starała się ukryć zdziwienie i ciekawość. Bywała gospodynią w domach znakomitych rodzin, prowadziła ogromne niekiedy gospodarstwa, lecz żadne z nich bodaj w przybliżeniu nie mogło się równać wspaniałości Dworu w Ballyhara. Pomogła Scarlett przekreślić wielki zmatowiały mosiężny klucz w ogromnym zardzewiałym zamku, po czym oparła się całym ciężarem ciała o ciężkie skrzydło.

- Pleśń - skrzywiła się, gdy drzwi ustąpiły i na zewnątrz uderzyła fala ciężkiego powietrza. - Będziemy potrzebowały całej armii kobiet ze szczotkami i cebrami wody. No, obejrzymy sobie najpierw kuchnię. Żadna porządna kucharka nie wejdzie do kuchni, jeśli nie będzie urządzona pierwsza klasa. Tę część domu można wyremontować później. Nie warto zawracać sobie głowy odpadającą tapetą i tymi zwierzątkami na podłodze. Kucharka nawet tutaj nie zajrzy.

Półkoliste kolumnady łączyły boczne skrzydła budowli z korpusem. Najpierw wybrały się do wschodniej części Dworu. Znalazły się w ogromnym pokoju narożnym. Otworzywszy drzwi wyszły na wewnętrzny korytarz prowadzący do kolejnych pomieszczeń - tutaj, po schodach, wchodziło się do drugiej amfilady pokoiów.

- Tutaj może pracować rządca - powiedziała Mrs. Fitzpatrick, gdy wróciły do pierwszego narożnego pokoju. - Tamte pokoje w skrzydle można oddać służbie i przeznaczyć na spiżarnie. Rządca nie powinien mieszkać w samym Dworze, proszę przeznaczyć dla niego któryś z domów w miasteczku, duży, jeśli to możliwe, jak na to zasługuje wódarz takiego majątku. Tu, oczywiście, będzie biuro rządcy.

Scarlett nie odezwała się ani słowem. Oczyma wyobraźni widziała inne biuro, skrzydło innego dworu, zajmowane zwykle przez „kawalerskich gości”, jak mawiał Rett. Cóż, nie zamierzała przeznaczać kilkunastu pomieszczeń ani na „kawalerskich gości”, ani na żadnych innych. Z pewnością jednak przyda się jej biuro, podobne do tego, jakie miał Rett. Polecie cieśli, żeby zrobił jej biurko, dwa razy takie, jak biurko Retta. Na

ścianach powiesi plany majątku i będzie wyglądać z okna, tak jak Rett to zwykł czynić. Lecz w przeciwieństwie do niego, który miał widok na sterty wypalonych cegieł i chaszcze zdziczałych kwiatów, ona będzie spoglądać na równo przycięte kamienie budowli w Ballyhara i łąny pszenicy.

- Ja będę zarządzać majątkiem, Mrs. Fitzpatrick. Nie mam zamiaru powierzać mojej własności w obce ręce.

- Proszę nie poczytać mi tego za brak szacunku - odezwała się Mrs. Fitzpatrick - ale pani nie wie, co pani mówi. Przecież to zajmie pani cały czas, od świtu do nocy. Bo nie tylko sklepami i dostawami towaru będzie się pani musiała zajmować, ale też wysłuchiowaniem skarg i rozstrzyganiem sporów między robotnikami, farmerami oraz mieszkańcami miasteczka.

- Chętnie. W hallu ustawimy ławki i w każdą pierwszą niedzielę miesiąca po sumie będę tym się zajmować.

Z wyrazu twarzy Scarlett można było odczytać, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

- Aha... Mrs. Fitzpatrick. Żeby mi tu nie było żadnych spluwaczek, jasne?

Gospodyni kiwnęła głową, choć nie rozumiała znaczenia słowa „spluwaczka”. W Irlandii nie było zwyczaju żucia tytoniu.

- Dobrze - westchnęła Scarlett. - A teraz zajrzemy do kuchni, o którą pani tak się martwiła. To chyba w drugim skrzydle.

- Czuje się pani na siłach?

- Siła wyższa - odpowiedziała Scarlett z rezygnacją.

To prawda, chodzenie było dla niej torturą, bolały ją stopy, darło w krzyżach, ale co z tego, skoro musiała obejrzeć kuchnię? Stan domu był przerażający. Trudno sobie wyobrazić, by w ciągu sześciu tygodni dało się tu przeprowadzić i ukończyć generalny remont. Ale - siła wyższa. Dziecko winno przyjść na świat we Dworze.

- Wspaniała - zawyrokowała Mrs. Fitzpatrick ujrzawszy kuchnię.

W rzeczy samej, pomieszczenie było otchłannie wielkie, wysokie na dwa piętra, ze świetlikami w dachu (szyby, oczywiście, wybite). Scarlett z wszelką pewnością nigdy w życiu nie zdarzyło się widzieć sali balowej choćby w połowie tak olbrzymiej. Ogromny kominek z ciosanego kamienia zajmował niemal całą ścianę po przeciwległej stronie kuchni, a było to bardzo daleko. Po lewo i po prawo znajdowały się wysokie drzwi: te od północy wiodły do wyłożonego marmurową kostką pomieszczenia przeznaczonego do zmywania naczyń, te od południa do pustego pokoju niewiadomego przeznaczenia.

- Tutaj może spać kucharka, zaś to - Mrs. Fitzpatrick zadarła głowę - jest

najbardziej pomysłowym wynalazkiem kuchennym, jaki w życiu widziałam.

Przez całą długość kuchni na wysokości pierwszego piętra biegła otwarta galeria.

- Pokoje nad sypialnią kucharki i nad zmywalnią należą do mnie. Ni kucharka, ni dziewczki kuchenne nie będą znać dnia ani godziny, gdy zechcę z góry przyjrzeć się ich pracy. To powinno utrzymywać całą kuchnię w stanie gotowości. Galeria pewnie łączy się z innymi pokojami pierwszego piętra, tak że pani też będzie mogła przejść niepostrzeżenie i przyjrzeć się kuchennej robocie. Ale się będą zwijać!

- A dlaczego nie miałabym po prostu wejść do kuchni i rzucić okiem?

- Ponieważ z uprzejmości rzucą całą robotę i będą oczekiwać na nowe polecenia, gdy tymczasem wszystko w garnkach się przypali.

- Hm... - zasepiła się Scarlett. Ciągle pani mówi „oni” i „dziewki”. A co z kucharką? Chyba powinnyśmy zatrudnić jakąś kobietę, i na tym koniec.

Mrs. Fitzpatrick potoczyła wzrokiem po bezmiernych przestrzeniach podłogi, oknach wielkości kościelnych, dwupiętrowej wysokości ścianach.

- Jedna kobieta nie da sobie z tym rady. Nikt odpowiedzialny nie podejmie się tego zadania. Chętnie bym jeszcze obejrzała spiżarnię i pralnię, chyba znajdują się w suterenie. Chce pani zejść ze mną na dół?

- Szczerze mówiąc, raczej nie. Wolałabym usiąść gdzieś na dworze, byle dalej od tego zaduchu.

Znalazła jakieś drzwi. Prowadziły do otoczonego murem, zarośniętego ogrodu. Scarlett wróciła do kuchni. Z drugich drzwi wychodziło się na korytarz w kolumnadzie. Przykucnęła na kamiennej podłodze, oparła się o kolumnę. Zmęczenie dawało o sobie znać. Nie przypuszczała wcześniej, że ten dom wymaga tyle pracy, z zewnątrz wyglądał bowiem jakby nietknięty zębem czasu.

Dzidzius kopnął. Machinalnie przyłożyła dłoń do brzucha, usiłując wepchnąć nóżkę czy czymkolwiek by to nie było, na swoje miejsce.

- Ejże, dzidzius - mruknęła. - A co ty sądzisz o tym? Nazwali ci matkę **Tą O'Hara**... Mam nadzieję, że jesteś pod wrażeniem. Jestem pewna, że jesteś.

Zamknęła oczy. Chciała przetrwać w sobie wydarzenia ostatnich dni.

W drzwiach stanęła Mrs. Fitzpatrick, omiatając się z pajęczyn.

- Ujdzie - zawyrokowała zwięźle. - Teraz zaś przydałoby się uciszyć żaby w żołądkach. Idziemy do *pubu*.

- Do *pubu*? - zdziwiła się Scarlett. - Damy nie mają wstępu do *pubu*, chyba że w towarzystwie mężów.

Mrs. Fitzpatrick uśmiechnęła się.

- Przecież ten *pub* należy do pani. Może tam pani wchodzić i wychodzić do woli. W gruncie rzeczy wszędzie może pani wchodzić, o każdej porze dnia i nocy. Jest pani **Ta O'Harą**.

Te słowa Scarlett dobrze zapamiętała. Tak, to przecież ani Charleston, ani Atlanta. Dlaczego miałyby stronić od *pubu*? Czyż nie własnoręcznie zbijała podłogę? I czyż każdy nie twierdził, że Mrs. Kennedy - żona oberżysty - zrobi dla niej pasztet palce lizać!

* * *

Pogoda zrobiła się deszczowa. To już nie kapuśniaczki czy mgliste dni, do których Scarlett zdążyła przywyknąć, lecz prawdziwe strugi deszczu, lejące się z nieba trzy, czasami cztery godziny bez przerwy. Farmerzy skarżyli się, że ziemia zbija się w grudę, gdy rozrzucają na świeżo odchwaszczone pola fury nawozu zakupionego przez Scarlett. Lecz ona, zmuszając się codziennie do pieszych wycieczek do Dworu - w celu doglądania postępu prac remontowych - błogosławiła błoto, mając bowiem spuchnięte nogi chodziła po nie wyźwirowanej drodze jak po puchowej poduszce. Zupełnie zrezygnowała z noszenia butów. Przed drzwiami stawiała cebrzyk wody, by mieć w czym umyć zabłocone nogi nim wejdzie do domu. Colum, kiedy to zobaczył, wybuchnął śmiechem.

- Z dnia na dzień rośnie z ciebie prawdziwa Irlandka. Skąd się tego nauczyłaś? Od Kasi?

- Podpatrzyłam to u powracających z pola kuzynów - odpowiedziała. - Zawsze przed wejściem do domu obmywają nogi z błota... pewnie dlatego, że Kasia by się wściekła, gdyby ujrzała, jak deptają jej zawsze nieskazitelnie czystą podłogę.

- Nic podobnego - pokręcił głową. - Czynią tak dlatego, że wszyscy Irlandczycy, jak daleko sięgniesz pamięcią, zawsze tak czynili. A krzyknęłaś *seachain* zanim wylałaś wodę?

- Nie bądź głupi, oczywiście, że nie. Podobnie jak nie stawiam co wieczór na progu miseczki z mlekiem. Ani nie dam się omamić żadnym wróżkom, ani nie zamierzam ich karmić. To wszystko to dziecinny przesąd.

- Tak powiadasz?... Zobaczysz, pewnego dnia przyjdzie *pooka* i ukarze cię za twe zuchwalstwo...

Nerwowo zajrzał pod łóżko i pod poduszkę.

Scarlett znowu miała okazję do śmiechu.

- W porządku, Colum, obiecuję poprawę. Tylko co to takiego ten *pooka*? Przypuszczam, że kuzyn w drugiej linii skrzaciego ludka?

- Skrzaci ludek zatrząsłby się ze zgrozy słysząc, co wygadujesz. *Pooka* to stworzenie straszliwe, złowrogie i przebiegłe. W jednej chwili może sprawić, że śmietanka ci skwaśnieje albo pomota ci włosy własnym grzebieniem.

- Albo sprawi, że nogi spuchną mi w kostkach - dodała zgryźliwie. - Tak, to ostatnie jest straszne jak nic, czego dotychczas dane mi było doświadczyć.

- Bidula. Jak długo jeszcze?

- Około trzech tygodni. Już kazałam Mrs. Fitzpatrick, żeby posprzątała dla mnie pokój i zamówiła łóżko.

- Myślisz, że jest ci pomocna?

Tak, Scarlett musiała przyznać, że wielce się jej przydała. Mrs. Fitzpatrick nie miała o sobie aż tak wygórowanego mniemania, by gardziła pracą fizyczną. Niejeden raz Scarlett widziała, jak szoruje kamienną podłogę i marmurowe zlewy, by pokazać dziewczkom kuchennym, jak to się powinno robić.

- Ale z jednym zastrzeżeniem, drogi kuzynie - Scarlett uniosła do góry palec. - Ta kobieta wydaje pieniądze, jakby czerpała z worka bez dna. Musiałam nająć trzy dziewczyny i to tylko po to, by posprzątały kuchnię, tak żeby kucharka zechciała przyjąć u mnie posadę. Ponadto musiałam kupić kuchenkę, jakiej sama nigdy w życiu nie widziałam, z fajerkami wszystkich rozmiarów, piekarnikami i podgrzewaczami wody. W sumie kosztowało mnie to sto funtów i jeszcze dziesięć za przewiezienie ze stacji kolejowej tutaj. A teraz, jakby nie było nic innego do roboty, kowal kuje wszelkiego rodzaju windy do przesyłania potraw z parteru na piętro, różny i pogrzebacz. To tak na ewentualność, gdyby kucharka nie uznawała pieczenia w piecykach i wolała pieczone z różna. Kucharki są bardziej rozpieszczone niż sama królowa.

- Oraz, prawdopodobnie, więcej z nich pożytku. Zobaczysz, będzie ci miło, gdy zasiądziesz do stołu we własnej jadalni i zjesz coś smacznego.

- To ty tak twierdzisz... Ja jestem zadowolona ze sztuki mięsa u Mrs. Kennedy. Wczoraj wieczorem zjadłam trzy porcje: jedną za siebie, dwie za tego słonia, który załagał się mi w brzuchu. Mój Boże, jaka ja będę szczęśliwa, kiedy to wszystko się skończy... Colum?

Colum odpłynął myślami gdzieś daleko. Teraz nie był taki przystępny jak dawniej, rozmowa z nim szła nieco opornie.

- Colum, słyszałeś coś o czymś, co tu nazywają **Ta O'Hara**?

Słyszał, był dumny i uważał, że na to zasłużyła.

- Nadzwyczajna z ciebie kobieta, Scarlett O'Hara. Nikt z tych, którzy cię znają, nie myśli inaczej. Przejechałaś przez nawał strzał, z których niejedna zdołałaby powalić kobietę większego formatu, mężczyznę zresztą też. I nigdy nie wydarł ci się z ust jęk, ni prośba o litość...

Uśmiechnął się po szelmowsku.

- I prawie dokonałaś cudu, zmusiwszy tych wszystkich Irlandczyków, by wzięli się za robotę tak, jak sobie tego życzysz. A jeszcze miałaś dość odwagi, by plunąć w twarz angielskiemu oficerowi... cóż, powiadają, że pocelowałaś z odległości stu kroków i pozbawiłaś go jednego oka.

- To nieprawda!

- A niby dlaczego wspomniałaś ma zmatowieć w roztworze prawdy? Stary Daniel pierwszy nazwał cię **Tą O'Hara**, a przecież tam był.

Stary Daniel? Scarlett aż uniosła się z dumy.

- Pilnie słuchając tego, co mówią, dochodzę do wniosku, że niedaleko jest już ten dzień, gdy ty i duch Finna Maccoola podacie sobie ręce w tej samej legendzie. Wzbogaciliśmy się, mając cię tutaj.

Jasna barwa głosu Columa jakby ściemniała.

- Na jedno tylko chciałbym ci zwrócić uwagę, droga Scarlett. Nie zadzieraj nosa na to, co mówi lud. W ten sposób obrażasz wszystkich.

- Przenigdy! - aż podskoczyła na krześle. - Chodzę na sumę co niedziela, choć ojciec Flynn wygląda tak, jakby za chwilę miał zasnąć przy ołtarzu.

- Nie mówię o kościele. Mam na myśli czary i *pooka*... Ludzie między innymi sławią cię za to, że sprowadziłaś się na dawne ziemie O'Harów, podczas gdy każdy wie, iż ciągle straszy tu duch młodego lorda.

- Nie mówisz serio...

- Owszem, mówię. Tu nie możesz pozwolić sobie na wiarę lub niedowiarstwo. Irlandzki lud twierdzi, że tak się rzeczy mają. Jeśli kpisz z jego przekonań, plujesz mu prosto w oczy.

Teraz Scarlett wreszcie mogła zrozumieć, jak nieroztropnie się zachowywała.

- Dobrze - zasepiła się. - Powstrzymam język na wodzy i nie będę się śmiać, chyba że sam na sam z tobą. Ale nie będę krzyczeć, zanim wypróżnię wiadro.

- Nie musisz. Mówi się, że darzysz *pooka* szacunkiem tak wielkim, iż zaklęcie

wypowiadasz szeptem.

Scarlett parsknęła śmiechem i śmiała się aż do chwili, gdy dzidzius ją kopnął bardzo mocno.

- Zobacz, co zrobiłeś - zawołała oskarżycielskim tonem, spoglądając na Columa. - Wnętrznosci mam pewnie całe w sińcach, ale co tam... Najważniejsze, że nie śmiałam się tak serdecznie od chwili, gdy wprowadziłeś się do stróżówki. Zostań ze mną, dobrze?

- Chętnie. Będę jednym z pierwszych, którzy zobaczą to słoniowate dziecko. Mam nadzieję, że poprosisz mnie na chrzestnego ojca.

- Możesz zostać chrzestnym ojcem? Myślałam, że ochrzczisz ją... jego... je...

Uśmiech zniknął z twarzy Columa.

- Nie mogę go ochrzcić. Proś mnie o cokolwiek, tylko nie o gwiazdkę z nieba. Nie mogę udzielać sakramentów.

- Dlaczego? Przecież to twój zawód?

- Nie, Scarlett, to zawód księdza parafialnego, biskupa, arcybiskupa albo kogo tam jeszcze przy specjalnych okazjach. Ja jestem księdzem misyjnym, pracuję nad ulżeniem cierpienia nędzy. Nie sprawuję świętych sakramentów.

- Możesz zrobić wyjątek.

- Nie mogę, koniec kropka. Ale za to chętnie zostanę najwspanialszym ojcem chrzestnym, jakiego mogłabyś sobie wymarzyć, o ile tylko mnie poprosisz. Już ja dopilnuję, żeby wielebny Flynn nie upuścił dziecka na schody, ani na podłogę, a katechizmu nauczę je z wymową tak słodką, że będzie miało wrażenie, jakoby uczyło się na pamięć limeryku. Tylko mnie poproś na chrzestnego, droga Scarlett, i nie łam mi mego skamlącego serca.

- Oczywiście. Proszę cię, zostań ojcem chrzestnym.

- No, to i mam to, po co przyszedłem. A teraz pójdę, zajrzę do domów, gdzie do jedzenia dodają soli, może da się co wyzebrać.

- To idź. Ja sobie odpocznę, a kiedy deszcz przestanie padać, pójdę odwiedzić babkę i Kasię, o ile przejdę przez bród, bo woda już bardzo wysoka.

- Jeszcze jedna obietnica, a przestanę cię dręczyć. Zostań w domu w środę wieczorem, zamknij dobrze drzwi i zapuść zasłony. To wigilia Wszystkich Świętych. Irlandczycy wierzą, że wszystkie wróżki, jakie tylko istniały od zarania dziejów, pojawiają się tego wieczoru na świecie. I, oczywiście, chochliki, upiory i duchy z głowami pod pachą, i w ogóle wszystko, co tajemnicze i niezwykle. Dostosuj się do

zwyczaju, zamknij dom i uważaj, by żadne z nich nie nawinęło ci się na oczy. Tego dnia powinnaś zrezygnować ze sztuki mięsa u Mrs. Kennedy. Raczej zechciej się zadowolić jajkami na twardo. A jeśli chcesz się wprawić w prawdziwie irlandzki nastrój, zrób sobie kolację z whisky i popijaj piwem.

- Hm... teraz to już się nie dziwię, że po takiej wieczerzy Irlandczycy widzą zjawy. Lecz dobrze, uczynię tak, jak każesz. Tylko dlaczego nie chcesz zostać na noc?

- Z taką kuszącą dziewczyną jak ty? Musiałbym zdjąć koloratkę.

Scarlett pokazała mu język. Też mi coś, „kusząca dziewczyna”. Kusząca, w rzeczy samej, chyba dla słonia.

* * *

Dwukółka niepokojąco kołysała się na boki, gdy przejeżdżała przez bród na Boyne. Kiedy przybyła do Adamstown i rozejrzała się po kątach, postanowiła nie zabawić tu dłużej: babka wyglądała na senną, tak że nawet nie usiadła przy kominku.

- Ach, dziękuję, babciu - zawołała, gdy staruszka wskazała jej stołek. - Wpadłam tylko na chwilkę, nie chcę pozbawiać cię drzemki.

- No to podejź tu, młodsza Kasiu Scarlett, i pocałuj mnie na do widzenia. Miła z ciebie dziewczyna.

Scarlett nachyliła się nad babką, delikatnie objęła suche, starcze ciało i złożyła pocałunek na pergaminowym policzku. Prawie natychmiast potem broda babki obwisła na piersi.

- Kasiu, nie mogę zatrzymać się na dłużej, rzeka przybiera. Zanim wody opadną, wątpię, czy będę w stanie wdrapać się na wózek. Widziałaś kiedy dzidziusia tak gigantycznych rozmiarów?

- Tak, widziałam, ale na pewno nie zgodzisz się ze mną. Bo moim zdaniem, każda matka uznaje swoje dziecko za wyjątkowe, gdy tymczasem wiele jest takich. A może znajdziesz chwilkę na filiżankę herbaty i coś do tego?

- Nie powinnam ci ulec, ale chętnie. Mogę usiąść na krześle Daniela? Jest największe.

- Proszę bardzo. Stary Daniel żadnego z nas nie obdarzał takimi względami, jak ciebie.

Ta O'Hara - pomyślała Scarlett. Ta myśl rozgrzała ją bardziej niż filiżanka herbaty i wesoły ogień, trzaskający na kominku, napełniający całą izbę żywiczną wonią palonych szczap.

- Odwiedziłaś babkę? - Kasia przysunęła stołek z zastawą do herbaty i ciastem na

talerzyku bliżej wielkiego krzesła Daniela.

- Poszłam tam najpierw. Teraz babka śpi.

- To wspaniale. Byłoby szkoda, gdyby odeszła bez pożegnania z tobą. Z kufierka, gdzie trzyma swe skarby, wyjęła całun. Niebawem umrze.

Scarlett spojrzała na twarz Kasi - niezmiennie pogodną. Jak ona może mówić o czyjejś śmierci takim samym tonem, jakby mówiła o pogodzie czy czymś równie banalnym. No i proszę, jeszcze przy tym popija herbatkę i zagryza ciastem.

- Mamy nadzieję, że jednak nie wcześniej, niż przestanie padać - ciągnęła Kasia. - Drogi zrobiły się bardzo błotniste i ludzie będą mieć problemy z dojściem na stypę. Ale cóż, dziej się wola Boska.

Zauważyła przerażenie Scarlett, lecz nie odgadła jego prawdziwej przyczyny.

- Nam wszystkim będzie jej brakować, kochanie, lecz ludzie, którzy przeżyli taki kawał życia, zdają sobie sprawę z tego, kiedy wybija godzina odejścia. Pozwól, doleję ci herbaty, ta już chyba wystygła.

Ale Scarlett odstawiła filiżankę. Szczęknął spodeczek.

- Dziękuję, Kasiu, naprawdę nie mogę. Muszę jakoś przejechać przez bród.

- Cóż... w każdym razie dasz nam znać, gdy zaczną się bóle? Chętnie bym była przy tobie w czas porodu.

- Dam ci znać. I dziękuję za herbatę. Pomożesz mi wsiąść na wózek?

- A może weźmiesz ze sobą resztę ciasta? Migiem zapakuję.

- Nie, nie. Dziękuję. Boję się o poziom wody w rzece.

* * *

A jeszcze bardziej się boję, że oszaleję - myślała Scarlett, jadąc podmokłą drogą. Colum miał rację, wszyscy Irlandczycy mają bzika na punkcie upiorów. Ale kto by pomyślał, że Kasia też? W dodatku babka, choć żyje jeszcze i ma się dobrze, trzyma w kuftrze gotowy całun. Bóg jeden wie, co oni wyprawiają w wigilię Wszystkich Świętych. O, pewnie, że zamknę drzwi, jeszcze zabiję gwoździami. Od tych opowieści aż ciarki przechodzą człowiekowi po plecach.

Przy przechodzeniu brodu kucyk stracił na chwilę równowagę... straszny, nieskończenie długi moment. A chociaż w końcu dał sobie radę i wyciągnął wózek na brzeg, Scarlett postanowiła nie odbywać żadnych podróży do Adamstown do czasu rozwiązania.

Dość już tych jazd - zadecydowała. I ja, i dzidzius, mamy tego po dziurki w nosie. Szkoda, że nie dałam się namówić na to ciasto.

W drzwiach pokoju, który Scarlett wybrała na sypialnię, stały trzy wiejskie dziewczyny. Ubrane w wielkie fartuchy i suto marszczone czepeczki tylko strojem były do siebie podobne, poza tym wszystkim się różniły. Aneczka Doyle była niskiego wzrostu i okrągłutka jak prosiaczek, Marysia Moran, wysoka i niezgrabna jak strach na wróble, Peggy Quinn malutka i ładniutka jak laleczka. Rączki trzymały wzorowo wyprostowane, ale tłoczyły się jedna przez drugą.

- Już byśmy sobie poszły, Mrs. Fitzpatrick - zaczęła błagalnym tonem Peggy. - Chciałybyśmy zdążyć przed deszczem. Pozostałe żywo potakiwały.

- Dobrze - powiedziała Mrs. Fitzpatrick. - Ale macie mi tu być w poniedziałek z samego rana i odrobić stracony czas. - Tak jest, psze pani - zawołały chórem, dygając niezgrabnie.

Pognały po schodach stukając butami jakby grad dudnił.

- Przychodzą takie chwile, że człowieka ogarnia czarna rozpacz - westchnęła Mrs. Fitzpatrick. - Ale nie z takiego materiału robiło się dobre pokojówki. Te przynajmniej są robotne. Nawet deszcz nie przeszkadzałby im w pracy, gdyby nie wigilia Wszystkich Świętych. Pewnie sobie myślą, że jak niebo zaciąga się chmurami, to tak samo, jakby noc już zapadła.

Spojrzała na złoty zegarek wpięty w suknię na piersi.

- Parę minut po drugiej... No, dobrze. Na czym to stanęłyśmy, Mrs. O'Hara? Aha. Obawiam się, że ta deszczowa pogoda spowoduje znaczne opóźnienia w pracy. Przyznaję to z przykrością, ale nie mam zwyczaju kłamać. Zdarłyśmy stare tapety, umyły ściany i doprowadziły je do jako takiego porządku, ale tu i ówdzie trzeba będzie położyć nowy tynk, to zaś oznacza, że ściany muszą być suche. Później należy poczekać, aż tynk wyschnie, zanim położy się nowe tapety lub pomaluje na nowo. Dwa tygodnie nie wystarczą.

Scarlett zacisnęła szczękę.

- Mam zamiar urodzić w tym domu, Mrs. Fitzpatrick. Powtarzam to pani od początku.

Ale ta fala złego humoru spłynęła po gospodyni jak woda po kaczce.

- Mam pewien pomysł...

- Proszę bardzo. Gotowam rozważyć wszystko, o ile nie opóźni to przeprowadzki.

- Całkiem przeciwnie - uśmiechnęła się Mrs. Fitzpatrick. - Przypuszczam, że gdy porządnie rozpali się na kominku, a w oknach powiesi się jakieś ładne, grube zasłony,

nagie ściany wcale nie powinny razić oczu.

Scarlett ponurym wzrokiem obrzuciła szare plamy mokrego, popękanego tynku.

- Wygląda ohydnie.

- Kilim i meble na pewno poprawią efekt. Mam dla pani niespodziankę. Znalazłyśmy to na strychu. Proszę tylko popatrzeć.

Otworzyła drzwi do pokoju obok.

Scarlett ciężkim krokiem podeszła do progu, zajrzała i huknęła śmiechem.

- Wielki Boże, a co to?

- To się nazywa „pańskie łóże”. Czyż nie cudowne?

Także Mrs. Fitzpatrick wybuchnęła śmiechem i teraz obie chichotały, spoglądając na niezwykle mebel zajmujący cały środek niemałego przecież pokoju. Łóże było ogromne, długie przynajmniej na dziesięć, szerokie na osiem stóp. Cztery grube dębowe kolumny wyrzeźbione w kształcie greckich bóstw podtrzymywały na uwieńczonych laurem głowach ciężki drewniany baldachim. U wezłowia i w nogach znajdowały się drewniane płaskorzeźby, a na nich mężczyźni w togach i heroicznym pozach wynurzali się z gęstych splotów winorośli i bluszczu. Wysokie wezłowie wieńczyła kula, na niej zaś korona ze złożonych listków.

- Co za wielkolud spał w tym łóżku? - zdziwiła się Scarlett.

- Wydaje mi się, że ten mebel sprowadzono tu specjalnie z okazji wizyty wicekróla.

- Kto to?

- W Irlandii na czele rządu stoi wicekról.

- Hm... całkiem jak znalazł dla gigantycznego dzidziusia - zamyśliła się Scarlett. - O ile doktor będzie w stanie sięgnąć.

- Wobec tego mogę zamówić materace? - ucieszyła się Mrs. Fitzpatrick. - W Trim znam człowieka, który uwinie się z robotą dwa dni.

- Tak, może pani zamówić. I odpowiednio duże prześcieradła, albo proszę zszyć parę mniejszych. Panienko Najświętsza, przecież można wylegiwać się w tym okrągły tydzień i ani razu nie zasnąć na tym samym miejscu.

- Z baldachimem i zasłonami to łóżko będzie jak oddzielny pokój...

- Pokój? - zawołała Scarlett. - Jak dom! Ma pani rację, kochana. Gdy się położę do łóżka, wcale nie będę widzieć tych paskudnych ścian. Prawdziwy z pani skarb, Mrs. Fitzpatrick, teraz potrafię to docenić lepiej niż parę miesięcy temu. Proszę sobie tylko wyobrazić, jak to łóżko podzielała na dzidziusia, kiedy już przyjdzie na świat: wyrośnie mi przynajmniej na dziesięć stóp!

Ich przyjacielski śmiech ciągle rozbrzmiewał, gdy po świeżo wymytych granitowych schodach schodziły na parter.

Tak - myślała Scarlett. Schody trzeba będzie wyłożyć chodnikiem, i to zaraz. A może po prostu należałoby zamknąć piętro? Po co taki ogromny dom dla jednej kobiety? Oczywiście, o ile Mrs. Fitzpatrick i kucharka łaskawie wyrażą zgodę. Czemu nie? W końcu jaki pożytek być **Tą O'Hara** i nie móc mieszkać wedle własnego gustu?

Odsunęła się nieco, przepuszczając Mrs. Fitzpatrick, która miała otworzyć ciężkie drzwi frontowe.

Wyjrzały na dwór.

- Do diabła! - warknęła Scarlett.

- Rzeknę, to nie deszcz, to potok - zaszcebiotała gospodyni. - Ale długo tak nie popada. Może by się tak napić herbatki? W kuchni jest ciepło i sucho, kazałam palić dziś cały dzień pod piecem, żeby sprawdzić, czy dobrze ciągnie.

- Dobrze.

Zadumana, powoli ruszyła za gospodynią w stronę kuchennych drzwi.

- O, to coś nowego! - zawołała z podejrzliwością w głosie. Nie lubiła, gdy ktoś wydawał jej pieniądze nie zapytawszy ją o zdanie. A obite krzesła przy piecu wyglądały zbyt dobrze, by miały zasiąść kucharki i dziewczki kuchenne.

- Ile to kosztowało? - postukała w ciężki, drewniany stół.

- Tyle, co mydło zużyte na wymycie. Znalazłam go w spiżarni, okropnie brudny. Krzesła wzięłam z domu Columa. Sam zaproponował, by najpierw olśnić kucharkę luksusem, a potem dopiero pokazać resztę domu. Zrobiłam też spis mebli, które trzeba kupić do jej pokoju. Leży na stole. Zechce pani zatwierdzić?

Scarlett opadło poczucie winy. Zaraz jednak zrodziło się w niej podejrzenie, że Mrs. Fitzpatrick wie, że czuje się winna, i wtedy łupnęło ją w krzyżu.

- A co ze spisem, który zatwierdziłam w ubiegłym tygodniu? - spytała ostrym tonem. - Kiedy nadejdą te rzeczy?

- Większość już jest, w spiżarni. Mam zamiar trzymać je tam aż do przyszłego tygodnia. Rozpakujemy je razem z kucharką. Większość tych pań ma własne sposoby urządzania kuchni i ustawiania statków.

Scarlett znów łupnęło w krzyżu. Ból w plecach dawał się we znaki bardziej niż kiedykolwiek. Roztarła dłońmi bolące miejsce. A wtedy kolejna fala bólu przebiegła jej przez bok i zatrzymała się w nodze, tak że ból w plecach zdał się teraz dziecinną igraszka. Chwyliła palcami za brzeg stołu, by nie osunąć się na podłogę i tępym

wzrokiem spojrzała na lepłą ciecz spływającą jej po nogach - na świeżo wyszorowanej podłodze utworzyła się sporych rozmiarów kałuża.

- Wody puściły - powiedziała w końcu. - Z krwią.

Spojrzała na okno - ciągle lało.

- Bardzo mi przykro, Mrs. Fitzpatrick - wysapała - ale będzie się pani musiała zamoczyć. Proszę mnie przenieść na stół i podsunąć jakąś miskę do zbierania wód... czy też krwi. Potem proszę pobiec do *pubu* lub do sklepu. Niech ktoś pędzi na łeb, na szyję po doktora. Właśnie zaczął się poród.

* * *

Przeszywający ból już się nie powtórzył. Z dużymi poduszkami pod głową, z mniejszymi poduszeczkami podłożonymi pod plecy, Scarlett było zupełnie wygodnie. Żeby tylko dostać szklankę wody... Wolała jednak nie schodzić ze stołu. Gdyby bóle wróciły, mogłaby się przewrócić i napytać sobie prawdziwej biedy.

Chyba nie powinnam była ponaglić Mrs. Fitzpatrick, a już na pewno nie trzeba było kazać popędzać ludzi w miasteczku. Miałam zaledwie trzy skurcze od chwili, gdy wybiegła, a i to niezbyt silne. Gdyby nie ta krew, czułabym się zupełnie dobrze. Ale za każdym razem, gdy dochodziło do skurczu lub kiedy dziecko kopało, miała upławy. Nigdy dotychczas z tym się nie spotkała. Kiedy wody puszczają, są czyste, nie krwawe.

Coś tu nie tak.

Gdzie doktor? Gdyby choć tydzień później, miałabym na podorędziu własnego lekarza. Ale tak, trzeba będzie sprowadzić jakiegoś obcego z Trim, jak zgaduję. Ładna historia, doktorku, kto by przypuszczał, że to się tak skończy, przecież miałam zamiar rodzić na łożu wicekróla, zwieńczonym złocistą koroną, a tu tymczasem zległam na stole wyciągniętym skądś z rupieciarni. Nieźle początki, jak na dzidziusia. Trzeba go będzie nazwać „Żrebię”, „Skoczek” lub jakoś tak.

Znowu ta krew. To mi się wcale nie podoba. Dlaczego Mrs. Fitzpatrick jeszcze nie wraca? Na miłość Boską, wyschłam jak wiór, przydałoby się tak szklankę wody... Ej, dzidzius, przestań wierzyć, nie masz prawa zachowywać się jak źrebię tylko dlatego, że leżymy na stole z rupieciarni. Przestań! Krew mi upuszczasz. Poczekaj z tym fikaniem - o, jak łaskocze - aż doktor przyjdzie. Wtedy to już możesz sobie wychodzić. Szczerze mówiąc, chętnie będę z tobą jeździć konno.

O, łatwiej było cię począć niż wydać na świat... Nie, nie powinnam myśleć o Recie, jeszcze mi tego brakowało. Oszaleję!

Dlaczego ten deszcz ciągle pada? Potop... nawet gorzej niż potop. Wiatr też sobie

nie żałuje. Prawdziwa wichura. W sam raz odpowiednia pogoda na poród, na zejście wód... skąd ta krew? Wykrwawię się na śmierć leżąc tak na tym stole i - na miłość Boską - nikt mi nie poda bodaj filiżanki herbaty? O, kawa byłaby jeszcze lepsza. Czasami tak mi się chce kawy, że gotowa jestem wyć... płakać... Boże, znowu odpływ. Cóż, w każdym razie to nie boli. Prawie ustały skurcze... to zaledwie szarpnięcie, jakoś tak... tylko skąd tyle krwi? A co będzie, gdy ruszy łożysko? Dobry Boże, przecież trzeba się spodziewać rzeki krwi, zaleje całą posadzkę. Wszyscy będą musieli myć nogi. Ciekawe, czy Mrs. Fitzpatrick też trzyma cebrzyk do wody do obmywania stóp. Ciekawe, czy zamawia, zanim wyleje wodę? Ciekawe, gdzie, u diabła, podziewa się ta kobieta? Niech no tylko się to wszystko skończy, a przegonię ją, gdzie pieprz rośnie - żadnych referencji, ani słowa, ani skrawka papieru, niczego, co mogłaby komukolwiek pokazać. Też coś: wybiec z domu i zostawić mnie tak na stole, umierającą z pragnienia.

Tylko nie kop. Jakie tam z ciebie źrebię, raczej osioł. Ojej, znowu krew... Nie zamierzam wykończyć się przy tym porodzie, nic z tych rzeczy. **Ta O'Hara** nie zejdzie ze sceny w ten sposób. **Ta O'Hara**. Jestem podobna do... Co to? Doktor?

Weszła Mrs. Fitzpatrick.

- Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym.

- Przyniosłam parę prześcieradeł, koce i miękkie poduszki. Mężczyźni przyniosą materace. Może w czymś pani pomóc?

- Wody.

- W tej chwili.

Scarlett uniosła się na łokciu i chciwie pociągnęła parę łyków.

- Kto pojechał po doktora?

- Colum. Chciał przejechać przez bród, żeby sprowadzić lekarza z Adamstown, lecz nie dał rady. Musiał zawrócić do Trim.

- Pewnie. Poproszę jeszcze szklanek wody i świeży podkład. Ten jest już całkiem mokry.

Mrs. Fitzpatrick usiłowała ukryć przerażenie, gdy ujrzała przesiąknięty ręcznik między nogami Scarlett. Szybko go wyjęła i podbiegła do zlewu, żeby wyżyć krew. Scarlett patrzyła, jak na posadzkę spadają jasnoczerwone krople. To część mnie - powtarzała w myśli, lecz nie mogła dać temu wiary. Niejeden raz była ranna, czy to podczas zabaw dziecięcych, czy w czasie zbioru bawełny, czy wreszcie całkiem niedawno, gdy rwała pokrzywę. Ale gdyby tak zebrać tę ilość krwi, która wtedy z niej

uszła, nie byłoby tego nawet w połowie tyle, ile wyciekło z ręcznika. Znowu skurcz i znowu świeża struga krwi na stole.

Głupia baba, przecież mówiłam jej, żeby mi dała suchy ręcznik.

* * *

- Która godzina u pani na zegarku, Mrs. Fitzpatrick?

- Piąta szesnaście.

- No tak, w taką nawałnicę nie da się pędzić co koń wyskoczy. Poproszę jeszcze jedną szklanek wody i suchy ręcznik. Albo nie. Poproszę herbaty z dużą ilością cukru.

Może jak ta kobieta czymś się zajmie, przestanie wystawać nade mną niczym kolek. Źle się czuję i nie mam już sił na grzeczną rozmowę i miłe, dzielne uśmiechy. Obawiam się, że już niespełna rozumu. Skurcze ani nie przybierają na sile, ani na częstotliwości. Nie, nigdzie nie dam się przenieść. Wprawdzie na materacach wygodniej niż na stole, ale jeśli przesiąkną krwią, co wtedy? Czy to ulewa przybrała na sile, czy tylko tak mi się zdaje?

* * *

Krople deszczu, miotane wściekłymi zrywami wiatru, tłukły w szyby. Colum O'Hara omal nie spadł z konia, potracony przez gałąź, którą wiatr ułamał z drzewa w pobliżu domu. Przystanął, wdrapał się po konarze zwalonym w poprzek drogi, ruszył przed siebie, pochylony przeciwko huraganowi. Zaraz jednak rozmyślił się, zawrócił, pchnięty porywem wiatru na sosnę omal nie stracił równowagi, lecz kiedy już znalazł punkt oparcia w grząskim błocie, z całej siły nacisnął na konar tarasujący drogę i odsunął go na pobocze. Potem znowu ruszył przed siebie, schylony w pół.

- Która godzina? - spytała Scarlett.

- Już prawie siódma.

- Następny ręcznik, proszę.

* * *

- Bardzo z tobą niedobrze?

- Ach, to ty! - Scarlett dźwignęła się do półprzysiadu. - Przyjechał z tobą doktor? Najgorsze, że dzidzius już nie kopie tak mocno, jak przedtem.

- W Dunshauglin znalazłem akuszerkę - odparł Colum. - Nie sposób przedostać się do Trim. Rzeka zalała drogę. No, połącz się, kochanie, jak dobra matka. Nie zadawaj sobie zbędnego trudu.

- Gdzie ta kobieta?

- W drodze. Mój koń był szybszy, ale niewiele ją wyprzedziłem. Przyjęła setki porodów, jesteś w dobrych rękach.

- Wiesz, Colum, to nie jest moje pierwsze dziecko... stąd wiem, że coś tu nie tak... przeczuwam coś złego.

- Już ona będzie wiedziała, jak temu zaradzić, moja ty bidulo.

* * *

Akuszerka wpadła do kuchni tuż po ósmej. Jej nakrochmalona suknia oklapła przemoknięta do suchej nitki, lecz już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie osoby kompetentnej, pełnej energii, wcale nie utrudzonej długą i ciężką drogą.

- Mamy dzidziusia? - zwróciła się do Scarlett. - Proszę się odprężyć, paniusiu. Wiem wszystko, co trzeba, by pomóc wydostać się temu małemu stworzeniu i osiąść bezpiecznie na tym leż padole.

Zdjęła pelerynę, podała ją Columowi.

- Proszę powiesić to gdzieś w pobliżu ognia, żeby wyschło - rzekła głosem nawykłym do wydawania poleceń. - Wy zaś, dobra kobieta, podajcie mi mydło i miskę z ciepłą wodą, muszę umyć ręce. Aha, tutaj... - podbiegła do zlewu.

Na widok mokrych od krwi ręczników zatrzymała się w pół ruchu, po czym kiwnęła ręką na Mrs. Fitzpatrick. Obie nachyliły się i coś tam długo szeptały.

Scarlett nagle pociemniało w oczach. Czując, że lada chwila popłyną łzy, zacisnęła powieki.

- Zobaczmy, co my tutaj mamy - zaszczebotała akuszerka z udaną słodyczą.

Uniosła spódnicę Scarlett, pomacała brzuch.

- No, no, silne, dobrze zbudowane dziecko. Na powitanie dało mi kopniaczka. Dobrze. A teraz niech sobie mamusia odpocznie, a my naradzimy się, jak przywitać bobaska.

Zwróciła się do Columa.

- Wy, panie, lepiej wyjdźcie i nie przeszkadzajcie nam w babskiej robocie. Zawołam was, gdy syn już się urodzi.

Scarlett zachichotała.

Colum rozpiął kołnierzyk kurtki. W świetle lampy naftowej błysnęła koloratka.

- Och! - jęknęła mamka. - Niech mi ojciec wybaczy.

- Bowiem zgrzeszyłam myślą, mową i uczynkiem - pisnęła Scarlett.

- Moja droga... - rzekł Colum.

Mamka pociągnęła go w stronę zlewu.

- Niech ksiądz tu stoi, bo chrzcic trzeba będzie szybko.

Mówiła za głośno. Scarlett dosłyszała ostatnie słowa.

- Och, Boże - jęknęła.

- Proszę mi pomóc - zwróciła się akuszerka do Mrs. Fitzpatrick. - Pokażę pani, jak trzeba jej trzymać nogi. Scarlett zawyła, gdy kobieta sięgnęła dłonią do łona.

- Stop! - krzyknęła. - Boli!

Kiedy badanie dobiegło końca, pojękiwała z bólu. Krew zalała materace, uda miała Scarlett całe zakrwawione, suknia Mrs. Fitzpatrick była czerwona, biały fartuch akuszerki nosił z przodu wielkie czerwone plamy, posadzka w promieniu trzech stóp od stołu lepka była od krwi. Po chwili odpoczynku akuszerka podwinęła lewy rękaw. Prawe ramię już miała czerwone po łokieć.

- Muszę spróbować obiema rękami...

Scarlett jęknęła. Mrs. Fitzpatrick, która dotychczas trzymała się z tyłu, stanęła twarzą w twarz wobec akuszerki.

- Mam sześcioro dzieci - powiedziała. - Niech pani natychmiast opuści ten dom... Colum, proszę zabrać tę rzeźniczkę, nim zdąży zabić Mrs. O'Hare, bo wtedy ja ją zabiję, tak mi Panie Boże dopomóż.

Niebo nagle przeciął ogromny zygzak błyskawicy - krótki przebłysk oślepiającej jasności wypełnił na moment kuchnię. Zaraz potem o szyby zadudniła nowa fala deszczu.

- Nie wyjdę na taką burzę! - pisnęła nagle pobladła akuszerka. - Przecież jest całkiem ciemno.

- Colum, niech ojciec zabierze ją do innego pokoju, byleby tylko zaraz znikła mi z oczu - powiedziała przerażająco spokojnym tonem Mrs. Fitzpatrick. - A potem proszę pójść po kowala. Przyjmuje porody zwierząt. Kobieta niewiele się różni.

Colum ujął przestraszoną akuszerkę za ramię. Błyskawica po raz drugi rozdarła niebo. Akuszerka krzyknęła. Potrzęsnał ją niczym workiem.

- Tylko spokojnie...

Po czym spojrzał na gospodynię ciemnymi oczami, w których nie było wiele nadziei.

- Kowal nie przyjdzie, Rosaleen. Nikt nie wyjdzie na te ciemności. Zapomniała pani, co za noc dzisiaj mamy?

Mrs. Fitzpatrick otarła skronie i policzki Scarlett mokrą ściereczką.

- Jeśli ojciec nie chce po niego pójść, to ja pójdę. W szufladzie biurka w domu ojca mam nóż i pistolet. Jeśli kowal boi się duchów, tym bardziej powinien się zląknąć

czegoś, co bardziej namacalne.

Colum skinął głową.

- Dobrze, zaraz wychodzę.

* * *

Kowal Józef O'Neil przeżegnał się naprędce. Ciemne włosy kleiły się mu do czoła, a chociaż szedł przez deszcz, kropelki potu były całkiem świeże.

- Owszem, raz odbierałem poród u kobyły, ale kobiecie nie mogę zadać takiego gwałtu...

Spojrzał na Scarlett, potrząsnął głową.

- To przeciwne naturze, nie mogę...

Na krawędziach zlewów paliły się poustawiane jedna przy drugiej lampy naftowe, przez okna wpadał co chwilę blady błysk błyskawicy, które teraz rozdzierały granatowe ciemności nocy jedna za drugą. W przepastnej wielkości kuchni jaśniej było niż w dzień, tylko w najdalszych kątach czaiły się cienie. Zdało się, że burza przypuszcza szturm na grube ściany Dworu.

- Człowieku, musisz to zrobić, w przeciwnym razie ta kobieta umrze.

- A umrze - pokiwał głową Józef. - Dziecko też umrze, o ile już nie umarło. Nie widać żadnych ruchów.

- No to na co czekacie, kowalu? Na miłość Boską, człowieku, przecież jesteście jedyną nadzieją - odezwał się Colum spokojnym, władczym głosem.

Scarlett rzuciła się na pokrzwawionych materacach. Rosaleen Fitzpatrick zwilżyła jej spieczone wargi wodą, kilka kropli wycisnęła z sączka do ust. Scarlett zamrugła, otworzyła oczy, błyszczące od gorączki. Jęknęła żałośnie.

- Józefie, rozkazuję ci.

Kowal drgnął. Uniósł nad brzuchem Scarlett uzbrojone w nóż silne ramię. Na szerokim ostrzu odbiło się upiorne światło błyskawicy.

- Kto to? - spytała jakby nagle oprzytomniała Scarlett.

- Święty Patryku, miej mnie w opiece! - ryknął kowal.

- Columie, kim jest ta piękna pani w białej sukni?

Józef O'Neil upuścił nóż na posadzkę i uciekł, trzymając ręce wyciągnięte przed sobą, rozcapierzonymi palcami jakby broniąc się przed czymś, co przyprawiło go o śmiertelną trwogę.

Wiatr zawył. Silny wir powietrza pochwycił jakąś gałąź, zbił szybę i cisnął ją na posadzkę w pobliżu zlewu. Odłamki szkła ugodziły kowala w wyciągnięte ręce. Skulony,

zdołał uniknąć ciosu grubego konara. Rzucił się na ziemię, krzycząc przeraźliwie, a wiatr, wpadający przez wybite okno, krzyczał razem z nim. Krzyki podniosły się wszędzie - na dworze, w każdym kącie kuchni, mieszały się z krzykiem kowala, łączyły się z wyciem wiatru, wpadały z rykiem wichury, podnosiły się gdzieś w dali za ścianą deszczu, za ścianą płaczącego wichru.

Płomienie lampy podskoczyły, zadrżały, kilka lamp zgasło. Nagle, gdy zdało się, że huragan całą siłą wpadnie do kuchni, drzwi wejściowe zaskrzypiały cichutko, otworzyły się i zamknęły. W drżącym blasku lamp ukazała się jakaś krępa, cała spowita w szeroki szal postać. Spokojnym krokiem przeszła obok skamieniałych ze strachu ludzi, zatrzymała się przy oknie. Teraz można było rozpoznać w niej kobietę o krągłej, pociętej siateczką zmarszczek twarzy. Sięgnęła do zlewu, wyjęła jeden z mokrych ręczników, wyżeła krew.

- Co to ma znaczyć? - Rosaleen Fitzpatrick przezwyciężyła strach i podskoczyła ku niczym nie zrażonej kobiecie. Lecz Colum wyciągnął rękę i zatrzymał ją w pół kroku - poznał w nieznanym *cailleach* - wiedźmę, która mieszkała w pobliżu wieży.

Stara kobieta utykała krwią przesiąknięte ręczniki jeden za drugim, aż dziura w oknie została zatkana. Wtedy odwróciła się.

- Zapalcie resztę lamp - powiedziała zachrypniętym głosem, brzmiącym tak, jak gdyby miała rdzę w gardle.

Za czym zdjęła z głowy mokry od deszczu czarny szal, złożyła go równo i położyła na krześle. Okazało się, że pod czarnym miała jeszcze jeden - brązowy. Ten także zdjęła, złożyła i położyła. Po nim następny, granatowy, z dziurą na plecach. A po nim jeszcze jeden, czerwony, w którym było więcej dziur niż wełny.

- Nie zrobiłeś tego, co ci kazałam - zbesztła Columa.

Następnie podeszła do kowala i odepchnęła go pod ścianę.

- Tylko zawadzasz, kowalu. Wracaj do kowadła.

Znowu spojrzała na Columa, który właśnie zapalił jedną lampę, sięgnął po drugą i trzymał zapalną przy knocie dopóty, dopóki nie zapłonął równym, jasnym płomieniem.

- Dziękuję, ojczulku - powiedziała grzecznie. - Odeślij Józefa do domu, nawałnica minęła. Potem przyjdź tutaj, do stołu, i poświeć mi dwiema lampami. A ty - zwróciła się do Mrs. Fitzpatrick - zrób to samo. Już ja się zajmę **Tą O'Hara**.

Na sznurku wokół bioder miała kilkanaście, może dwadzieścia mieszków ze skrawków kolorowego płótna. Sięgnęła do jednego z nich i wyciągnęła flaszeczkę z jakąś gęstą, ciemną cieczą. Wyjęła korek i lewą ręką uniósłszy głowę Scarlett, prawą

wlala jej do ust zawartość buteleczki. Scarlett oblizala się. *Cailleach* roześmiała się, położyła głowę rodzącej na poduszkę.

Po chwili ochryplym głosem zaczęła coś nucić - śpiew, a zarazem nieśpiew, melodię, która nie była melodią. Guzowate, sztywne palce dotknęły najpierw gardła Scarlett, potem czoła, potem uniosły i opuściły powieki. Stara kobieta wyjęła z któregoś z mieszczków złożony liść i położyła go na wzdęty brzuch. Potem wyjęła z innej sakiewki cieniutką tabakierkę - tę położyła obok liścia. Colum oraz Mrs. Fitzpatrick stali trzymając wysoko w górze lampy nieruchomi niczym posągi, śledząc każdy ruch znachorki.

Po rozłożeniu liścia okazało się, że zawiera jakiś proszek. Stara rozsypała go po brzuchu. Z tabakierki zaczerpnęła jakiegoś mazidla, które wtarła wraz z proszkiem w napiętą skórę.

- A teraz przywiążę ją, żeby sama nie wyrządziła sobie jakiejś krzywdy - wyjaśniła kobieta, po czym sznurem, który zdjęła z bioder, przywiązała nogi i ręce Scarlett do masywnego blatu.

Jej małe czarne oczka zerknęły najpierw na Mrs. Fitzpatrick, potem na Columa.

- Będzie krzyczeć - powiedziała. - Ale nie będzie czuć bólu. Nie ruszajcie się. Światło jest bardzo potrzebne.

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, stara wyjęła ostry nóż, zwilżyła go płynem z jakiejś flaszeczki wyciągniętej z któregoś mieszka i przeciągnęła ostrzem wzdłuż brzucha. Scarlett krzyknęła jak potępiona dusza.

Nim straszny krzyk zdążył przebrzmieć, *cailleach* trzymała już w dłoniach skąpane we krwi dziecko. Kobieta splunęła czymś, co miała w ustach, na posadzkę, po czym dmuchnęła dziecku w twarz raz, drugi i trzeci. Niemowlę poruszyło rączkami, potem drgnęły nóżki.

Colum zaczął odmawiać szeptem *Ave Maria*.

Jednym cięciem noża znachorka przecięła pępowinę - teraz już można było położyć dziecko na prześcieradle. Pozostawiwszy niemowlę samemu sobie, *cailleach* przyskoczyła do Scarlett.

- Blżej lampy.

Ręce i palce starej pracowały zwinnie, nóż błyskał od czasu do czasu, w końcu na posadzkę opadły pokrwawione strzępy błony płodowej. Teraz kobieta wlala między wargi Scarlett jeszcze trochę ciemnego likworu, po czym straszliwą ranę w brzuchu skropiła jakąś bezbarwną cieczą. Mocno napięta nie aż brzęczała, kiedy zszywała brzegi

otworu.

- Otulcie ją w prześcieradło, potem w wełnianą derkę - poleciła, odstępując od stołu.

- Ja tymczasem wykąpię dziecko.

Zanim odeszła, przecięła sznur krępujący Scarlett.

Kiedy wróciła, Colum i Mrs. Fitzpatrick już skończyli. Niemowlę było owinięte w miękki biały kocyk.

- Akuszerka zapomniała zabrać - roześmiała się gardłowym śmiechem *cailleach*. Dziewczynka odpowiedziała wydając równie gardłowy odgłos, po czym otworzyła oczy. Błękitne tęczęwki wyglądały jak obwódki z bladego atramentu, otaczające wielkie, czarne źrenice. Niemowlę miało długie rzęsy, w miejscu brwi dwie cieniutkie kreseczki. Nie było czerwone i pomarszczone jak większość noworodków, ponieważ nie przeszło przez kanał rodny. Na tle białego kocyka oliwkowa karnacja dziewczynki sprawiała wrażenie wyjątkowo ciemnej.

63.

Scarlett przebijała się ku głosom i światłu, które niejasno odbierał jej oszołomiony umysł. Coś ją niepokoiło... coś ważnego... jakiś problem... Czyjeś silne dłonie obejmowały jej głowę, czyjeś delikatne palce rozchyłały jej wargi, kojący, słodki płyn zwilżył jej język, spłynął do przełyku, usnęła.

Kiedy następnym razem walczyła o powrót do przytomności, uświadomiła sobie jaki to problem nie dawał jej spokoju - kwestia niezwyklej wagi, najważniejsza ze wszystkich. Dziecko. Czy umarło? Jej dłonie niezdarnie dotknęły brzucha, piekący ból przeszył poruszone palcami miejsce. Zęby zwarły się na wargach, ręce nacisnęły mocniej, by zaraz potem opaść bezwładnie. Nie czuła kopania. Nie wyczuwała twardej krągłości stopy. Dziecko umarło. Z ust Scarlett wyrwał się słaby krzyk, niewiele głośniejszy od krzyku mewy, a wtedy kojąca słodycz znowu rozlała się w ustach. A chociaż ponownie zapadła w narkotyczną drzemkę, spod zamkniętych powiek wolno stoczyły się dwie łzy.

Kiedy za trzecim razem była już półprzytomna, z wszystkich sił trzymała się ciemności, chciała pozostać w uśpieniu, chciała odepchnąć świat, który natrętnie drażył jej zmysły. Ale ból rósł, rozdzierał ją, zmuszał do ucieczki, tak że zdołała zebrać w sobie tyle sił, by zdobyć się na cichy, rozpaczliwy jęk. Mały flakonik znów powędrował ku jej wargom, krótkie doznanie kojącej słodyczy i znowu była wolna. Później, gdy po raz czwarty otarła się o brzeg świadomości, sama otworzyła usta gotowa przyjąć napój bezsennej ciemności. Lecz miast znajomej już słodyczy poczuła chłód sączka i woda zwilżyła jej wargi, i posłyszała głos, którego brzmienia nie była w stanie sobie przypomnieć.

- Scarlett, kochanie... Katarzyno Scarlett O'Hara... otwórz oczy...

Szukała, wyteżała pamięć z wszystkich sił, wspomnienia napływały i bladły... Colum. Tak, to Colum. Kuzyn. Przyjaciel. Skoro przyjaciel, to dlaczego nie da jej spać? Dlaczego nie poda lekarstwa, które złagodzi ból?

- Scarlett...

Lekko uniosła powieki, lecz zaraz potem zacisnęła, bo światło raziło ją w oczy.

- Grzeczna dziewczynka - odezwał się Colum przymilnym, ale i natarczywym tonem. - No, otwórz oczy, mam tu coś dla ciebie.

Scarlett ponownie uniosła powieki. Ktoś uniósł do góry lampę, półmrok ustąpił.

Colum, mój przyjaciel... Usiłowała uśmiechnąć się, lecz świadomość, zaatakowana falami pamięci, skurczyła się, a z jej ust wyrwał się dziecinny szloch.

- Dziecko... dziecko nie żyje. Pozwól mi zasnąć, proszę. Daj mi zapomnieć.

Mokra ściereczka otarła jej policzki, przebiegła po ustach.

- Nie, ależ nie, skądże znowu... żyje, mamy je tutaj.

Powoli uświadomiła sobie znaczenie tych słów. Nie umarło...

- Nie umarło?

Widziała twarz Columa, widziała, jak się uśmiecha.

- Nie, nie umarło, bidulo. Tutaj je mamy, spójrz tylko.

Scarlett przekreśliła głowę w bok. Hm... dlaczego tak trudno przekreślić głowę?

Spostrzegła w czyichś rękach blade zawiniątko.

- Masz córeczkę - powiedział Colum.

Rozsunął fałdy kocyka, ujrzała pogrążoną we śnie twarz.

- Och... - wyrwało się jej z piersi. Taka mała, taka piękna, taka bezbronna. Tylko spójrzcie na jej skórkę - niczym płatki róży, jak śmietanka... nie, bardziej kremowa, taki odcień różu mają tylko różane pączki. Wygląda jak opalona, jak... jak mały korsarz. Wygląda dokładnie jak Rett.

Rett! Dlaczego nie ma go tutaj, dlaczego nie przybył obejrzeć córeczki? Dlaczego nie przybył podziwiać tej ciemnej skóry?

Moja cudowna czarna córuchno, spójrz na mnie!

Nagle poczuła dziwną, przerażającą słabość, jakby przez jej ciało powoli przetoczyła się fala ognia, który grzejąc, nie przyprawiał o ból.

Dziecko otworzyło oczy. Spoglądało wprost na nią. I Scarlett poczuła, co to miłość.

Miłość bezwarunkowa, nie stawiająca wymagań, nie pytająca o przyczynę, w ogóle nie pytająca, bezgraniczna, całkowita, nieegoistyczna.

- Hej, dzidzius...

- Wypij lekarstwo - powiedział Colum.

Ciemna twarzyczka znikła.

- Nie! Oddajcie mi moją córeczkę. Gdzie się podziała?

- Kiedy następnym razem się obudzisz, znowu będziesz ją miała. A teraz otwórz usta.

Usiłowała zaprotestować, powiedzieć, że nie otworzy, ale ciemne kropelki w mgnieniu oka znalazły się na języku i za chwilę ciemność zamknęła się nad nią. Zasnęła uśmiechnięta - iskierka życia na tle śmiertelnie bladej twarzy.

Może dlatego się uśmiechała, że córeczka była podobna do Retta, może dlatego, że zawsze najbardziej ceniła to, o co najciężej walczyła, może dlatego, że tak dużo czasu

spędziła wśród uwielbiających dzieci Irlandczyków. Ale najpewniej dlatego, że był to jeden z cudów, które sprawia samo życie bez żadnej zasługi człowieka. Mniejsza o przyczynę: czysta, doskonała miłość zamieszkała w sercu Scarlett po latach pustki, po latach bląkania się bez celu.

* * *

Odmawiała przyjmowania wszelkich środków przeciwbólowych. Długa czerwona blizna w poprzek brzucha piekła jakby pod dotknięciem rozżarzonego do białości żelaza, lecz ból ustępował tłumiony falą radości, ogarniającą Scarlett za każdym razem, gdy mogła dotknąć córeczki lub choćby na nią spojrzeć.

- Odesłać! - zawołała, gdy zobaczyła młodą, zdrową mamkę. - Po każdym porodzie musiałam obwiązywać piersi i znosić cierpienia, gdy zbierał się pokarm, a wszystko dlatego, że jako dama powinnam była dbać o figurę. Koniec z tym! Mam zamiar własną piersią wykarmić to dziecko, chcę mieć je przy sobie. Karmiąc, chcę widzieć, jak nabiera siły i rośnie.

Gdy niemowlę po raz pierwszy znalazło jej sutek i chciwie przysunęło usteczka, po czym zaczęło ssać marszcząc w skupieniu brwi, Scarlett uśmiechnęła się triumfalnie.

- Prawdziwa z ciebie córa swojej matki, głodna jak wilk i zmierzająca prosto do celu.

Ceremonii chrztu dopełniono w sypialni, ponieważ Scarlett nie czuła się na siłach chodzić. Ojciec Flynn stanął przy łożu wicekróla, gdzie na obszytych koronkami poduszkach wysoko spoczywała Scarlett z córeczką w ramionach aż do chwili, gdy zgodnie z rytuałem musiała oddać dziecko Columowi, który był ojcem chrzestnym. Kasia i Mrs. Fitzpatrick zostały matkami chrzestnymi. Dziecko było ubrane w lniany haftowany kaftanik, cienki od prania, bowiem z pokolenia na pokolenie zakładały go do chrztu setki niemowląt z rodu O'Harów. Córnica Scarlett otrzymała imiona Kasia Colum. Wymachiwała rączkami i podrzucała do góry nóżki, gdy woda dotknęła jej główki, lecz nie płakała.

Kasia założyła swoją najlepszą niebieską suknię z koronkowym kołnierzykiem, chociaż właściwie to powinna być w żałobie, bo babka umarła. Wszyscy jednak zgodzili się, że nie trzeba o tym mówić Scarlett, przynajmniej dopóki nie wydobrzeje.

Rosaleen Fitzpatrick nie spuszczała jastrzębiego wzroku z ojca Flynn, gotowa złapać dziecko, gdyby stary potknął się po raz drugi. Kiedy Scarlett poprosiła ją, aby została chrzestną matką, na dłuższą chwilę zaniemówiła.

- Skąd pani wie, co ja czuję wobec tego dziecka? - spytała, gdy mowa jej powróciła.

- Nie wiem, co pani czuje - odparła Scarlett. - Ale wiem, że gdyby pani nie

powstrzymała tej strasznej kobiety, nie miałabym córeczki. Cokolwiek jeszcze pamiętam.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Colum wziął Kasię od ojca Flynnna i podał ją w wyciągnięte ramiona Scarlett. Następnie nalał po kapeczce whisky duchownemu oraz rodzicom chrzestnym i wznosił toast:

- Zdrowia i pomyślności dla matki i dziecka. Za **Te O'Hare** i najmłodszą z rodu.

Po czym odprowadził trzęsącego się świątobliwego staruszka do *pubu* Kennedy'ego, gdzie zamówił parę kolejek, by dodać splendoru skądinąd cichej ceremonii. Wbrew nadziei ufał, że w paru kropelkach czegoś mocniejszego utopią się niesłychane plotki, które obiegiły cały Powiat Meath.

Józef O'Neil - kowal - przeczekał zaszywszy się w najciemniejszym kącie kuchni aż do świtu, po czym czmychnął do kuźni i upił się, by dodać sobie odwagi.

- Bądź co bądź, nawet sam święty Patryk potrzebowałby czegoś mocniejszego niż modlitwy, by ostać się sam jeden przeciwko diabelskim mocom tej strasznej nocy w Dworze - mówił do wszystkich, którzy dawali mu posłuch, a tych było niemało.

- Jużem był gotów ocalić życie pani, gdy wiedźma przeniknęła przez ścianę i z mocą wielką ciepnęła mnie na ziemię. A potem jeszcze mnie kopnęła, a zaś czułem w nodze, że to nie ludzka stopa w ciało mi się wraziła, ale kopyto. A potem rzuciła czary na O'Hare i wyrwała jej dziecię z łona. Całe krwawe było to dziecko, krew sikała na podłogę, ściany, krew była w powietrzu. Człek pośledniejszej odwagi zamknąłby oczy, żeby nie patrzeć na straszne widowisko, powiadam wam, ale nie Józef O'Neil. Dziecię więc ujrzałem pod krwi powłoką, a rzekę wam, chłopak to był, męskość miał na wierzchu... „Zmyję z bachora krew”, powiedział demon, kiedy zaś wrócił, pokazał ojcu O'Harze wątłe, niemal bez życia stworzenie... płci niewieściej, brunatne, niczym ziemia na grobie. No i kto zgadnie teraz? Jak inaczej nazwać to, com widział owej straszliwej nocy, jeśli nie czarcią podmianą? Nic z tego dobrego nie wyniknie, ani dla **Tej O'Hary**, ani dla nikogo, na kim cień swój położy piekielny pomiot, który zajął miejsce wykradzionego chłopaka.

* * *

Opowieść z Dunshauglin dotarła do Ballyhara po upływie tygodnia. O'Hara umierała - mówiła akuszerka - i można było ją uratować jedynie z poświęceniem życia dziecka. Któż mógłby lepiej znać się na tych, jakże współczucia godnych sprawach niż akuszerka, która rozumie się na wszystkim, co jest do rozumienia przy porodzie? Wtem cierpiąca matka podniosła się na swym łożu boleści. „Widzę ją!” - jęknęła. „Widzę

banshee! Smukła, cała w bieli, z czerwonym piętnem na twarzy”*. A wtedy diabeł rzucił włócznią z samego serca piekieł, zbił szybę i *banshee* uciekła, by płaczem zwiastować śmierć. Opłakiwała tak duszę zmarłego dziecka, lecz piekło przywróciło je życiu, wykradając duszę poczciwej staruszce, która była babką **Tej O'Hary**. Diabelska to robota, a córeczka pani z Ballyhara niczym jest niż tylko upiorem.

* * *

- Chyba powinienem ostrzec Scarlett - powiedział Colum do Rosaleen Fitzpatrick. - Tylko co mam jej rzec? Że ludzie są przesądni? Że wigilia Wszystkich Świętych to niebezpieczna pora na odbywanie porodu? Nie wiem, jaką mógłbym dać jej radę. Nie ma sposobu, by uchronić Kasię przed ludzkim gadaniem.

- Ja znam taki sposób - odezwała się Mrs. Fitzpatrick. - Nikt nie będzie miał prawa wejść do tego domu bez mojej zgody. Ludzie z czasem zapomną te bujdy, wiesz dobrze, Colum, jak to jest. Znajdą sobie kogoś innego do obgadywania, poza tym przekonają się, że Kasia jest dziewczynką jak wszystkie inne.

* * *

Gdy tydzień później Mrs. Fitzpatrick zaniósła Scarlett tacę z kanapkami i herbatą, już w progu została zasypana gradem skarg i narzekań - tych samych, których cierpliwie wysłuchiwała od paru dni.

- Nie pojmuję, dlaczego mam tu tkwić niczym kłoda, chyba na zawsze. Czuję się na tyle dobrze, bym mogła wstać i pokrzętać się trochę po domu. Spójrz tylko, jak słoneczny mamy dzień dzisiaj! Najchętniej siadłabym z Kasią do wózka i gdzieś pojechała, ale jeśli to niemożliwe, chciałabym usiąść przy oknie i patrzeć, jak liście spadają. Jestem przekonana, że Kasia pilnie baczy na wszystko. O, spójrz tylko! Zobacz! Spójrz na jej oczka tu, w świetle... tęczęwki wyraźnie zmieniają barwę z błękitnej. Tak sobie myślałam, że zmienią się na orzechowe, bo takie ma Rett, a Kasia i Rett to jak dwie krople wody. Ale widzę pierwsze plamki zieleni... najwyraźniej będzie miała oczy po mnie.

Scarlett potarła nosem szyję dziewczynki.

- Jesteś mamina, słyszysz, Kasiu O'Haro? Nie, nie Kasiu. Każda dziewczynka może tak się nazywać. Ja będę mówić do ciebie „Kicia”, no bo, gdy spojrzeć na te zielone oczy...

Uroczyście podniosła dziewczynkę, żeby gospodyni mogła lepiej jej się przyjrzeć.

***Banshee* ang. - w Irlandii zjawia zwiastująca śmierć. (Przyp. tłum.)

- Mrs. Fitzpatrick, chciałabym pani przedstawić Kicię O'Harę - uśmiechnęła się promiennie.

Rosaleen Fitzpatrick jeszcze nigdy w życiu nie była tak przerażona.

64.

Wymuszona bezczynność okresu połogu stworzyła Scarlett świetną okazję do przemyślenia wielu spraw, dziecko bowiem spędzało większą część dnia i nocy śpiąc, jak inne dzieci. Początkowo Scarlett usiłowała zabijać nudę czytaniem książek, ale ponieważ nigdy jej to nie interesowało, także teraz szybko przestała.

Zmianie uległy tylko jej myśli.

Przede wszystkim więc, wiele czasu poświęciła myślom o miłości do Kici. Wprawdzie nie odwzajemnionej, bowiem siedmiodniowe niemowlę było zbyt małe, by odwzajemniać jakiegokolwiek uczucia, zdolne było jedynie zaspokajać głód, w czym ciepła pierś i mleko Scarlett okazywały się zupełnie wystarczające. Jednak nawet w tym zaspokajaniu najpierwotniejszych potrzeb tak było urocze, że potrafiło uczynić Scarlett szczęśliwą, choć sama zdawała sobie sprawę, że z miłością niewiele to ma wspólnego. Chętnie wyobrażam sobie, że Kicia mnie kocha - myślała. Ale w gruncie rzeczy nie mnie kocha, lecz kocha jeść.

Dowcipkując tak sama z siebie, zdołała nawet zdobyć się na uśmiech. Oto bowiem Scarlett O'Hara - ta, która dla sportu rozkochiwała w sobie mężczyzn - była teraz dla osoby, którą pokochała jak nikogo innego, niczym więcej niż tylko źródłem pokarmu.

Tak, jej miłość do Ashleya była udawana, nie kochała go naprawdę, od dawna o tym wiedziała. Chciała mieć Ashleya, bowiem zawsze pragnęła zdobywać to, czego osiąść nie mogła, i nazwała to miłością.

Dziesięć lat życia zmarnowałam tkwiąc w złudzeniu, a kochając własne wyobrażenia, straciłam Retta - mężczyznę, którego naprawdę darzyłam miłością.

... albo?

Mimo bólu, jaki jej to sprawiało, dokładnie przeszukała wszystkie, najodleglejsze nawet zakątki pamięci. Tak, zawsze, gdy myślała o nim, bolało. Musiała znosić ból myśląc o tym, jak go straciła, o błędach, które zdarzyło się jej popełnić. Ból nieco zelżał, gdy przypomniawszy sobie, jak Rett ją potraktował - wtedy nienawiść wypaliła ognisko boleści. Rzadko jednak oddawała się podobnym rozmyśleniom. Najczęściej starała się nie dopuszczać do siebie wszelkiej o nim myśli. Tak było wygodniej.

Ale dni, spędzone na bezczynności, dłużyły się w nieskończoność. Myślami przebiegała całe świadome życie, odsłaniała wszystkie obrazy pamięci. Nie mogła uciec przed Rettem.

Czyżby go kochała?

Pewnie tak - odpowiadała sobie. Pewnie ciągle go Kocham, w przeciwnym bowiem

razie serce by mi nie krwawiło, gdy pamięć podsuwa mi jego obraz, gdy w uszach rozbrzmiewa mi jego głos.

No tak. Ale dokładnie w ten sam sposób, i to przez dziesięć lat, siłą wyobraźni wyczarowywała obraz Ashleya, przedstawiała sobie jego uśmiech, słyszała jego głos.

I także Retta najbardziej pragnęłam, gdy mnie opuścił - uświadomiła sobie gwoli uczciwości.

Strasznie to wszystko poplątane. Od tych rozmyślań rozboleła ją głowa, przyprowadzając o ból bardziej dotkliwy niż serce. Lepiej już było myśleć o Kici, o tym, jakże była z nią szczęśliwa. Myśleć o szczęściu?

* * *

Byłam szczęśliwa jeszcze nim pojawiła się Kicia. Byłam szczęśliwa już w owym dniu, gdy sprowadziłam się do Kuby. Oczywiście, nie byłam wtedy taka szczęśliwa jak teraz, gdy spoglądając na Kicię, trzymając ją w ramionach, karmiąc ją, nie umiem wyobrazić sobie nikogo, kto byłby szczęśliwszy ode mnie. Ale byłam szczęśliwa mimo wszystko, ponieważ rodzina O'Harów z Savannah przyjęła mnie taką, jaką byłam. Nigdy nie żądali ode mnie, bym w jakiś sposób upodobniła się do nich, nigdy nie dawali mi do zrozumienia, że powinnam była się zmienić, nigdy nie dali mi odczuć, że postępowałam niewłaściwie.

Chociaż właśnie tak postępowałam. Nie miałam bowiem prawa oczekiwać, że Kasia będzie układać mi włosy, cerować ubrania, słać łóżko. Wzięłam to sobie z powietrza. I to wśród ludzi, którzy nigdy nie budowali niczego na własnych rojeniach. Ale też nigdy nie powiedzieli mi: „Droga Scarlett, przestań żyć rojeniami”. Nie. Po prostu pozwolili mi żyć tak, jak mi się podoba, tkwić we własnych urojeniach i tak dalej. Po prostu dali mi być sobą.

Potwornie się myliłam rojąc sobie, że Danielowie zechcą przeprowadzić się do Ballyhara. Usiłowałam uzależnić ich od siebie, wziąć ich na kredyt. Chciałam, by zamieszkali we wspaniałych domach i byli wielkimi farmerami bogatymi w ziemię uprawianą przez najemnych robotników. Chciałam ich zmienić, a nigdy nie zadałam sobie trudu, by zastanowić się, czego właściwie oni chcą. Nie chciałam ich zaakceptować takimi, jakimi byli.

Och, wobec Kici nie powtórzę tego błędu. Nigdy nie będę się starała zmienić jej natury. Zawsze będę ją kochała tak, jak teraz - całym sercem - niezależnie od tego, co z niej wyrośnie.

* * *

Matka nigdy nie darzyła mnie taką miłością, jaką kocham Kicię. Ani Zueli, ani Kariny. Zawsze chciała, żebym była inna, niż byłam, zawsze chciała, żebym upodobniła się do niej. Tego żądała od nas trzech. I była w błędzie.

Scarlett wzdragała się przed wypowiedzeniem myśli, które kłębiły się jej w głowie. Zawsze bowiem sądziła, że matka była uosobieniem wszelkiej doskonałości. Było wprost nie do pomyślenia, by Ellen O'Hara mogła w czymś nie mieć racji.

Ale te myśli nie chciały odpłynąć. Powracały, nękały ją, nachodziły, choć nie była przygotowana, by głośno je wykrzyzczyć. Powracały jednak w różnych przebraniach, upiękzone na rozmaite sposoby, powracały nie dając jej spokoju.

Matka była w błędzie. Życie będąc damą, tak jak ona, to nie jedyny bynajmniej sposób na życie. To nawet nie najlepszy sposób. A w każdym razie bardzo niedobry sposób na życie, jeśli czujesz, że nie jesteś szczęśliwa. Życie tak, by być szczęśliwą - oto najlepsza droga życia, bowiem sama będąc szczęśliwa, potrafisz uszczęśliwiać także innych. To twoja własna droga.

Cóż to powiedział kiedyś dziadek? Że jego córka Ellen poślubiła Geralda O'Hare, by zapomnieć o zawodzie miłosnym. Czy to była główna przyczyna jej nieszczęścia? Czy żyła tęsknotą za kimś, kogo nie mogła osiągnąć, tak jak ja żyłam usychając z miłości do Ashleya? Tak, jak teraz wzdycham za Rettem i nic nie mogę na to poradzić?

Cóż to za marnotrawstwo! Jakie straszliwe, bezsensowne marnotrawstwo! Skoro szczęście tak jest cudowne, jakże można kurczowo trzymać się miłości, która unieszczęśliwia? Scarlett uroczyście sobie przyrzekła, że nigdy więcej nie popełni tego błędu. Wiedziała, co znaczy szczęście. Skoro już raz je posiadała, nie miała ochoty go stracić.

Wzięła w ramiona śpiącą córeczkę. Pocałowała ją w czołko. Kicia obudziła się i zamachała rączkami w bezradnym proteście.

- Och, Kiciu, jakże mi przykro. Ale czułam, że muszę cię pocałować.

* * *

Wszyscy się mylili! Ta myśl przyszła tak nagle, że wyrwała Scarlett z krzepkiego snu. Wszyscy tkwili w błędzie! Wszyscy - ci, którzy w Atlancie odwracali się do mnie plecami, ciotka Eulalia i ciotka Paulina oraz dokładnie wszyscy w Charlestonie. Chcieli, żebym się do nich upodobniła, a ponieważ byłam inna niż oni, potępiali mnie, dali mi odczuć, że coś jest ze mną nie w porządku, wmówili mi, że jestem zła, że zasługuję na

pogardę.

A przecież niczego strasznego nie uczyniłam. Ukarali mnie za to, że nie przestrzegałam ich reguł. Pracowałam ciężiej niż na roli - zarabiałam pieniądze, a to nie przystoi damie. Nieważne, że utrzymywałam Tarę, że za moją sprawą ciotki jakoś dawały sobie radę, że wspomagałam Ashleya i jego rodzinę, że prawie każdy kęs ze stołu ciotki Pitty był zapłacony z mojej kieszeni, nie mówiąc już o dachu i węglu na zimę. Mimo to wszyscy sądzili, że nie powinnam była czernić sobie rąk atramentem przy prowadzeniu rachunków sklepowych, ani uśmiechać się, gdy sprzedawałam tartak Jankesom. Wiele było rzeczy, które mi nie uchodziły, lecz zarabiane pieniądze były najcięższym kamieniem obrazy i za to najsrożej mnie potępiano. Chociaż nie, to jeszcze nie wszystko. Najgorsze z wszystkiego było to, że pracując ciężko, odnosiłam sukcesy.

Tak. Sukcesy w zarabianiu pieniędzy. Oraz to, oczywiście, że kiedy Ashley o mały włos stoczyłby się do grobu i skręcił sobie kark, odciągnęłam go w bezpieczne miejsce. Gdyby sytuacja się odwróciła i nie Ashleya uratowałabym od śmierci, lecz Melę, o! - wtedy wszystko byłoby w porządku. Hipokryci!

Jak to się dzieje, że ludzie, których całe życie od kolebki po grób, to jedno wielkie kłamstwo, czują się w prawie być moimi sędziami? Co im daje to prawo? A cóż w tym złego, gdy harujesz aż pot ci spływa z czoła, czasami nawet ciężiej? Cóż w tym strasznego, że rzucasz się, by powstrzymać od życiowej klęski jakiegoś człowieka, zwłaszcza gdy jest on przyjacielem?

Mylili się. Tu, w Ballyhara, pracowałam ile sił, zyskując za to podziw. Dzięki mnie wujek Daniel nie stracił farmy, zyskałam sobie miano **Tej O'Hary**.

Oto, dlaczego nazwana **Tą O'Harą** czuję się zarazem tak dziwnie i tak szczęśliwie. Uhonorowano mnie tą godnością za to wszystko, co - jak sądziłam od lat - było złe i godne potępienia. **Ta O'Hara** całymi latami prowadziła księgi sklepowe. **Ta O'Hara** powstrzymała Ashleya przed stoczeniem się do grobu.

Cóż to powiedziała Mrs. Fitzpatrick? „Nie musi pani niczego robić. Wystarczy być sobą”. Jestem Scarlett O'Harą, jestem osobą, która czasami popełnia błędy, czasami zrobi coś dobrego, lecz nigdy nie ma pretensji być kimś innym niż tym, kim jest. **Ta O'Hara** - nigdy by mnie tak nie nazwano, gdybym naprawdę była taka zła, jaką mnie przedstawiano w Atlancie. Wcale nie jestem zła. Święta też nie jestem, Bóg o tym wie. Ale nie pragnę być inna - chcę być tym, kim jestem i nie zamierzam udawać, że jestem inna, niż jestem.

Ta O'Hara - jestem nią i jestem z tego dumna. To daje mi szczęście i poczucie

harmonii z samą sobą.

Kicia wydała dźwięk podobny do bulgotania - znak że się obudziła i oczekuje karmienia. Scarlett wyjęła ją z wiklinowego kosza, gdzie spała, i położyła ją na łóżku. Jedną ręką uniosła małą, bezbronną główkę, drugą wskazała na pierś.

- Daję ci słowo honoru, córko, możesz sobie wyrosnąć na kogo chcesz i różnić się ode mnie tak, jak dzień różni się od nocy. Jeśli zechcesz być wielką damą, pokażę ci, jak się to robi, zupełnie niezależnie od tego, co sama o tym myślę. Bo w końcu znam wszystkie zasady, tyle że nie chce mi się żyć zgodnie z nimi.

65.

- Wychodzę. Wszelkie komentarze są zbyteczne - Scarlett spojrzała na Mrs. Fitzpatrick, a z miny jej można było wyczytać, że za nic w świecie nie zmieni postanowienia.

Ale gospodyni stała w drzwiach niewzruszona niczym góra.

- Nie. Nigdzie pani nie wyjdzie.

Scarlett postanowiła zmienić taktykę.

- Proszę, niech mnie pani przepuści - zaszcebiotała milutko, dobywając z całego arsenału uśmiechów najśłodszy, na jaki było ją stać. - Świeże powietrze może zdziałać prawdziwe cuda. Poza poprawą zdrowia zaostrza apetyt, a sama pani narzekała, że jem tyle, co kot napłakał.

- To się poprawi i bez powietrza. Właśnie przyjechała kucharka.

Scarlett zapomniała o swoich sztuczkach.

- Czas najwyższy! Może zechciałaby się usprawiedliwić, dlaczego tak długo zwlekała?

Mrs. Fitzpatrick uśmiechnęła się.

- Wyjechała o czasie, ale hemoroidy tak jej dokuczały, że musiała robić postój co dziesięć mil i spędzać noce w zajazdach. Zdaje mi się, że nie będzie się wylegiwać w fotelu na biegunach, bowiem najbardziej jej służy praca na stojąco.

Scarlett usiłowała powstrzymać się od śmiechu, ale nie była w stanie. Zresztą nie potrafiłaby się gniewać na Mrs. Fitzpatrick, bo w ciągu tych paru miesięcy zbyt się zżyły. Starsza pani wprowadziła się do przeznaczonego dla siebie pokoju w dzień po urodzinach Kici, a podczas choroby Scarlett niezmiennie stała u jej boku, podtrzymując ją na duchu. Później, gdy Scarlett się polepszyło, ich zażyłość nie osłabła.

W ciągu długich tygodni ciężkiego połogu Scarlett przyjmowała wizyty wielu znajomych. Colum zaglądał do Dworu prawie codziennie, Kasia także, mężczyźni z klanu O'Harów wpadali co niedziela po sumie. Nawet Molly przychodziła w odwiedziny, i to znacznie częściej niżby Scarlett sobie tego życzyła. Ale Mrs. Fitzpatrick zawsze była u jej boku. Panie podejmowała ciastem i herbatą, mężczyźni ciastem i whisky, a gdy goście wychodzili, przysiadła w sypialni, by wysłuchać najświeższych nowin i dojeść to, czego nie zjedli. Sama też przynosiła wiadomości - o tym, co się wydarzyło w Ballyhara i w Trim - ploteczki zasłyszane w sklepach, jednym słowem, robiła wiele, by Scarlett nie czuła się samotna.

Scarlett poprosiła Mrs. Fitzpatrick, by zwracała się do niej po imieniu i zapytała, jak

jej na imię.

Ale Mrs. Fitzpatrick nigdy jej tego nie zdradziła. Wyraźnie oświadczyła, że nie dopuści do zadzierzgnięcia jakichkolwiek nieformalnych związków, po czym wygłosiła dłuższy wykład o hierarchii obowiązującej w irlandzkim dworze. Jej pozycja jako gospodyni - wyjaśniła - niebezpiecznie by się zachwiała, gdyby należny jej respekt został naruszony przez jakąkolwiek poufałość ze strony domowników, wliczając w to samą panią. A może nawet zwłaszcza panią domu.

To było nazbyt subtelne dla Scarlett, lecz uprzejma nieustępliwość Mrs. Fitzpatrick unaoczniała jej, że tego rodzaju sprawy posiadają niemałe znaczenie. Dlatego poprzestała na formach, które zaproponowała jej gospodyni: Scarlett miała zwracać się do niej „Mrs. Fitz”, gospodyni do niej per „Mrs. O.”, ale tylko wtedy, gdy były same. W obecności innych ludzi miały się trzymać sztywnych form towarzyskich.

- A Colum? - spytała Scarlett.

Mrs. Fitz pomyślała i zawyrokowała, że w obecności Columa mogą sobie pozwolić na formy bardziej swobodne, ale tylko w tym jednym wyjątkowym wypadku.

Scarlett podjęła próbę zdyskontowania szczególnej zażyłości łączącej kuzyna z gospodynią.

- Chcę się przespacerować do Columa, nie dalej - przypuściła szturm na nieustępliwość Mrs. Fitz. - Nie widziałam go od wieków i bardzo za nim tęsknię.

- Colum wyjechał gdzieś we własnych interesach, a pani, Mrs. O., wie o tym równie dobrze, jak ja. Słyszałam, jak mówił pani, że go nie będzie.

- Bierz to diabli! - mruknęła Scarlett. - Wygrała pani.

Wróciła na krzesło przy oknie.

- Proszę, niech sobie pani wraca do Mrs. Hemo.

Mrs. Fitz wybuchnęła śmiechem.

- A tak zupełnie mimochodem - powiedziała, gdy już stała w progu - kucharka nazywa się Mrs. Keane. Ale może pani nazywać ją Mrs. Hemo. I tak pewnie nigdy jej pani nie zobaczy. Stosunki z kuchnią to wyłącznie moja dziedzina.

Scarlett poczekała, aż Mrs. Fitz odejdzie, po czym przygotowała się do wyjścia. I tak była zanadto potulna. Przyjęło się, że po porodzie położnica odbywała mniej więcej miesięczny okres połogu, większość tego czasu spędzając w łóżku, i na tyle Scarlett była gotowa przystać. Teraz już miesiąc minął. Nie mieściło się jej w głowie, dlaczego miałyby dokładać do przepisanego zwyczajem miesiąca jeszcze trzy dodatkowe tygodnie tylko dlatego, że Kicia przysła na świat z pewnymi komplikacjami. Doktor z

Ballyhara sprawiał na niej wrażenie pocziwego człeka, nawet troszeczkę przypominał doktora Meade, lecz sam przyznał, że nie zna się na porodach odbywanych metodą cesarskiego cięcia i nie wie, co w tym wypadku byłoby najsluszniejsze. Dlaczego więc miałyby go słuchać? Zwłaszcza w sytuacji, gdy miała pewną sprawę do załatwienia.

Mrs. Fitz opowiedziała jej o starej kobiecie, która pojawiła się w Dworze jakby za sprawą czarów, by w samym środku upiornej nawałnicy pomóc przyjść na świat Kici. Colum powiedział jej, kim jest ta kobieta - *cailleach* z wieży. Scarlett zawdzięczała jej życie - swoje i Kici. Winna jej była podziękowanie.

* * *

Była zaskoczona, że jest tak zimno. Październik był dość ciepły - pomyśleć, jeden miesiąc, a taka różnica temperatur. Tym szczerzej otuliła fałdami obszernego palta okutane w kocyki dziecko. Kicia nie spała, wielkimi oczami spoglądała na twarz matki.

- Śliczne maleństwo - zagruchała Scarlett. Bądź tak miła i nie płacz, nigdy nie płacz. Dobrze?

Przecięła wysypane tłuczoną cegłą podwórko, po czym ruszyła drogą, którą tyle razy pokonywała jadąc dwukółką.

* * *

- Wiem, że gdzieś tutaj jesteś! - krzyknęła w gęste zarośla wśród drzew otaczających polankę, gdzie stała wieża. - Bądź tak miła i pokaż się, bo zmarznę na śmierć, nim się namyślisz. Dziecko też, o ile cię to obchodzi.

Czekała z nadzieją. Kobieta, która pomogła przyjść na świat Kici, na pewno nie dopuści, by przeziębila się, wystawiona na wilgoć i zimno w cieniu wieży.

Kicia spuściła wzrok z twarzy Scarlett i błędziła spojrzeniem to w tę, to w tamtą stronę jakby czegoś szukając. Kilka minut później z prawej strony, w gęstwinie ostrokrzewu dał się słyszeć głośny trzask. Po chwili ukazała się znachorka.

- Tędy - rzekła, odstępując krok do tyłu.

Kiedy Scarlett podeszła bliżej, okazało się, że za krzakami znajduje się ścieżka. Nigdy by jej nie znalazła, gdyby stara kobieta nie odciągnęła na bok ostrych gałęzi, posługując się w tym celu jednym ze swoich szali. Scarlett szła aż do momentu, gdy drogę zagroziły drzewa o gałęziach sięgających ziemi.

- Daję za wygraną - wysapała. - Którędy teraz?

Z tyłu rozległ się chrapliwy śmiech.

- Tędy - powiedziała stara kobieta. Obeszła Scarlett i pochyliła się, po czym przeszła

pod gałęziami. Scarlett uczyniła to samo. Po kilku krokach mogła się wyprostować: znajdowała się na małej polance. Pośrodku stała lepianka z trzciniową strzechą. Z komina unosiła się cienka smuga dymu.

- Wejdz - powiedziała kobieta.

Otworzyła drzwi.

* * *

- Zdrowe dziecko - powiedziała, po dokładnym obejrzeniu Kici, od stóp do głów. - Jakie imię jej dałaś?

- Kasia Colum - odpowiedziała Scarlett. Podczas całej tej wizyty odezwała się dopiero po raz drugi. Za pierwszym razem, jeszcze w progu, zaczęła dziękować kobiecie, lecz ta natychmiast jej przerwała.

- Pozwól mi wziąć ją na ręce - rzekła, wyciągnawszy ramiona. Scarlett bez wahania podała jej Kicię, po czym w milczeniu przyglądała się, jak znachorka bada córeczkę.

- Kasia Colum - mruknęła po dłuższej chwili ciszy. - Słabo i nazbyt łagodnie brzmią te imiona jak na dziecko tak silne. Ja mam na imię Grainne. Mocne imię.

Swym chrapliwym głosem wypowiedziała to celtyckie imię, jakby rzucała wyzwanie. Scarlett aż drgnęła na swoim stołeczku. Nie miała pojęcia, czy i jak powinna odpowiedzieć.

Kobieta zawięła Kasię w pieluchy, po czym okręciła ją w kocyki. Następnie podniosła ją i zaczęła jej coś szeptać do uszka, lecz tak cicho, że Scarlett niczego nie dosłyszała, chociaż usiłowała wyłowić przynajmniej poszczególne słowa. Kicia złapała starą kobietę za włosy.

- Nawet gdybyś coś usłyszała, O'Haro - powiedziała znachorka - i tak niczego nie zrozumiesz. Mówiłam po celtycku. Wypowiedziałam słowa zaklęcia. Słyszałaś przecież, że znam się zarówno na ziołach, jak na czarach.

Scarlett przyznała, że słyszała co nieco.

- Może i rzeczywiście umiem rzucać czary - zamyśliła się wiedźma. - Posiadam znajomość dawnych słów i recept, choć nie nazwałabym tego czarami. Patrę, słucham, wyciągam wnioski. Niektórym zda się cudem, gdy ślepiec przejrzy, a głuchy odzyska słuch. Wszystko jednak sprowadza się głównie do wiary i zaufania. Nie sądzę, bym mogła coś wyczarować dla ciebie.

- Przecież ja wcale nie twierdzę, że przyszłam tu po czary.

- To po co? Żeby podziękować, to wszystko?

- Tak. A skoro już ci podziękowałam, muszę wracać, nim w domu zauważą, że się

wymknęłam.

- Proszę o wybaczenie - rzekła starucha. - Nieliczni żywią wobec mnie wdzięczność za to, że pojawiłam się w ich życiu. Dziwię się, że nie jesteś na mnie zła za to, co wyrządziłam twemu ciału.

- Ocaliłaś mi życie - zdziwiła się Scarlett. - Skąd to zdziwienie? Dzięki tobie żyję i ja, i to dziecko.

- Żeby ocalić życie temu dziecku, musiałam je odebrać innym. Doktor może umiałby je ocalić.

- Cóż, gdybym mogła wezwać doktora, na pewno bym to zrobiła! - krzyknęła Scarlett i zaraz powstrzymała niebaczny język. Przyszła, żeby dziękować, nie po to, by prawić impertynencje. No dobrze, ale dlaczego ta kobieta mówi jak sfinks? Od tych słów zagadkowych wypowiedzianych starczym, skrzypiącym głosem człowiek dostaje gęsiej skórki.

- Przepraszam, odezwałam się po grubiańsku - dodała po chwili. - Jestem przekonana, że doktor nie poradziłby sobie lepiej. Najprawdopodobniej nie dokonałby pewnie i tego. Nie wiem tylko, jak mam rozumieć twe słowa o innych dzieciach. Czy z tego, co powiedziałaś, należy wnioskować, że miałam dwojaczki i to drugie zmarło?

To całkiem możliwe - przemknęło jej przez myśl. Miała przecież tak wielki brzuch... ale Mrs. Fitz lub Colum powinni byli wspomnieć o tym bodaj słowem. Chociaż, z drugiej strony... o śmierci starszej Kasi Scarlett dowiedziała się dopiero po upływie dwóch tygodni.

Ogarnęło ją poczucie straty nie do naprawienia.

- Czy miałam jeszcze jedno dziecko? Musisz mi powiedzieć!

- Szs... obudzisz małą Kasię Colum - szepnęła Grainne. - Nie, nie miałaś drugiego dziecka. Nie przypuszczałam, że nie jesteś w stanie zrozumieć tego, co do ciebie mówię... ta siwowłosa kobieta sprawiała wrażenie bardziej pojętnej, myślałam, że wszystkiego się domyśla i w odpowiednim czasie powie ci, co należy. Wyjęłam dziecko razem z łonem... a nie jestem na tyle biegła, by naprawić to, co zostało zniszczone. Nigdy więcej nie będziesz miała dzieci, O'Haro.

W jej słowach brzmiała jakaś straszliwa ostateczność - Scarlett zdawała sobie sprawę z tego, że Grainne mówi prawdę i że niczego nie da się odwrócić. A mimo to nie mogła się z tym pogodzić, a mimo to wiedziała, że nigdy nie przyjmie tego wyroku. Nigdy więcej dzieci? Teraz, gdy wreszcie odkryła całą radość matkowania, gdy pojęła - o, jakże późno, co znaczy miłość? To niemożliwe. Prawda jest zbyt okrutna.

Dotychczas nigdy nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że Mela świadomie zaryzykowała własne życie, byleby tylko mieć drugie dziecko, ale teraz nie miała już z tym problemu. Na jej miejscu postąpiłaby tak samo. Zaryzykowałyby i ból, i strach, i krew, oddałyby wszystko za tę jedną chwilę, gdy po raz pierwszy widzi się twarz dziecka.

Kicia wydała dźwięk jakby krzyk mewy. Ostrzegła, że zaraz będzie głodna. Zaraz potem Scarlett poczuła, jak w piersi zaczyna wzbierać pokarm. Czego ja jeszcze chcę? Czyż nie mam najcudowniejszego dziecka na świecie? Nie dam zmarnować się pokarmowi snując fantazje o urojonych dzieciach, podczas gdy to jedno - to prawdziwe - domaga się jeść.

- Muszę już iść - powiedziała. - Zbliża się pora karmienia.

Wyciągnęła rękę po Kicię.

- Tylko słówko - rzekła Grainne. - Pozwól, że cię ostrzegę.

Scarlett przelekła się. Lepiej byłoby nie przynosić tu Kici. Dlaczego ta stara kobieta po prostu nie odda jej dziecka?

- Bacz pilnie na tę dziewczynkę, albowiem są ludzie, którzy powiadają, że skoro wiedźma przyniosła ją między ludzi, sama musi być wiedźmą.

Scarlett drgnęła.

Sztywne ze starości, sękaty palec Grainne łagodnie rozluźniły kurczowy uścisk dziecięcej dłoni. Stara kobieta pogładziła niemowlę po główce i złożyła na czole pocałunek.

- Odejdę szczęśliwa, Daro. Oddała dziecko Scarlett.

- Będę ją nazywała „Dara”. Po celtycku znaczy to „dąb”. Jestem ci wdzięczna, że pozwoliłaś mi ją ujrzeć, wdzięcznam ci też za słowa podziękowania. Ale nie przynos tutaj dziewczynki po raz drugi. Nie byłoby rzeczą mądrą, gdyby miała ze mną cokolwiek wspólnego. A teraz idź. Ktoś tu się zbliża, nie powinien cię widzieć... Nie, ścieżka, którą chodzą inni, nie jest ścieżką dla ciebie. Wiedzie z północy i chętnie korzystają z niej szalone kobiety, pragnące kupić ziele miłości, eliksir piękna lub środek przeciwko tym, których nienawidzą. Idź. Strzeż dziecko przed ludźmi.

Scarlett z największą przyjemnością dała posłuch temu wezwaniu. Wytrwale przedzierała się przez szarą zasłonę zimnego deszczu - właśnie zaczęło padać. Sunęła nisko schylona, by osłonić niemowlę przed ciężkimi kroplami.

Pod osłoną obszernego palta Kicia głośno cmokała.

* * *

Mrs. Fitzpatrick oczywiście zauważyła mokre palto powieszona obok kominka, ale nie odezwała się ani słowem.

- Miss Hemo zda się mieć zwinne ręce do ciasta - oznajmiła, stawiając tacę na stole.
- Przyniosłam placuszki do herbaty.

- Boże, ale zgłodniałam - westchnęła Scarlett. Nakarmiła Kicię, ucięła sobie krótką drzemkę, zaś kiedy się obudziła, znowu świeciło słońce. Teraz już na pewno wiedziała, że krótka przechadzka może zdziałać cuda. Kiedy następnym razem zechce wyjść na spacer, nie ma zamiaru uważać na czyjekolwiek protesty.

Ale Mrs. Fitz wcale nie miała ochoty jej powstrzymywać. Kiedy zrozumiała, że jej prośby trafiają w próżnię, po prostu przestała odwozić Scarlett od myśli o przechadzce.

Gdy wrócił Colum, Scarlett poszła do niego na herbatę i po radę.

- Chciałabym kupić mały kryty powóz, Columie. Za zimno już na jazdy wózkiem, a przecież ciągle mam coś do załatwienia. Może coś dla mnie wybierzesz?

Chętnie, odpowiedział Colum, lecz zaraz dodał, że jeśli chce, sama może sobie wybrać coś stosownego, bowiem rzemieślnicy, kiedy usłyszą, że pragnie dokonać zakupu, przyjadą ze swymi wyrobami do Ballyhara. Zresztą wszyscy inni kupcy też chętnie pofatygują się do niej. Była panią na Dworze.

- Hm... że też wcześniej o tym nie pomyślałam - westchnęła Scarlett.

Nie minął tydzień, a była właścicielką zgrabnego powozu, czarnego, z żółtymi pasami z boku, ciągniętego przez zgrabnego bułanka, który zgodnie z obietnicą kupca, ciągnął żwawo, rzadko potrzebując zachęty w postaci uderzenia biczyskiem.

Weszła też w posiadanie zestawu „mebli salonowych”, dębowych, pociągniętych zieloną bejcą, na wysoki połysk, ponadto dziesięciu krzeseł, które zawsze można było ustawić półkolem naprzeciwko kominka oraz okrągłego stołu z marmurowym blatem, przy którym mogło zasiąść sześć osób. I stół, i krzesła ustawiono na puszystym dywanie w pokoju przylegającym do sypialni, niezależnie bowiem od przerażających opowieści Columa o francuskich damach, przyjmujących tłumy gości bez wstawania z łóżka, Scarlett chciała mieć godne miejsce do przyjmowania wizyt. I niezależnie od tego, co twierdziła Mrs. Fitz, Scarlett nie widziała powodów, dla których miałaby przenosić salon na parter, skoro na piętrze było mnóstwo nie wykorzystanych, za to bardziej poręcznych pokoiów.

Mimo że meble salonowe stały już na swoim miejscu, wielkie biurko i krzesło nie były jeszcze gotowe - stolarz w Ballyhara dopiero je robił. Bo w końcu co z tego, że było

się właścicielką miasteczka, jeśli nie pomyślało się odpowiednio wcześniej o wspieraniu osiadłych w nim rzemieślników? Tylko pod warunkiem, że dało się zarobić ludziom, można było mieć pewność, iż dzierżawne wpłynie w odpowiednim czasie.

Dokądkolwiek Scarlett wybierała się z wizytą, wymoszczony kocykami koszyk z Kicią zawsze stawiała obok siebie na siedzeniu. Obie gaworzyły po dziecinnemu, obie puszczały bańki, a Scarlett była przekonana, że w drodze stanowią zgrany duet. Pokazała Kici każdy sklep, każdy dom w Ballyhara. Kiedy ludzie widzieli ciemnoskóre niemowlę o zielonych oczach, wszyscy czynili naprędce znak krzyża, co niezwykle cieszyło Scarlett, przekonaną, że lud błogosławi jej dziecko.

Kiedy święta były już blisko, poczuła, jak opuszcza ją owo uniesienie, jakże cudownie pozwalające znosić areszt domowy nałożony na nią w okresie połogu.

- Choćby obdarowano mnie wszystką herbatą Chin, choćbym została zaproszona na wszystkie przyjęcia w Atlancie lub Charlestonie, z ich przebrzydłymi kajecikami do tańca i kolejkami gości, ustawiających się do powitania, za skarby nie chciałabym tam się znaleźć - powiedziała do Kici. - Ale chętnie pojechałabym gdzieś, gdzie nie jest tak wilgotno.

Scarlett sądziła, że miło jest mieszkać w chacie, jeśli położą się nowe tynki i pobielą ściany tak, jak to czyniła Kasia oraz kuzyni. Kazała więc pomalować chaty, także te w Adamstown i przy drodze. A kiedy dwudziestego drugiego grudnia jechała do *pubu* i ujrzała wszystkie sklepy i domy pociągnięte świeżą warstwą wapna i odnowione, kiedy ujrzała, jak wiele zrobiono na jesieni, podczas jej choroby, aż pokraśniała z zadowolenia. Radość, którą odczuwała widząc kwitnące miasteczko, pozwalała na chwilę zapomnieć o smutku opadającym ją zawsze wtedy, gdy wchodząc do *pubu* w poszukiwaniu towarzystwa odnosiła wrażenie, że wszystkie rozmowy nagle cichną.

* * *

- Musimy pomyśleć o przystrojeniu domu na Boże Narodzenie - oznajmiła Mrs. Fitz. - Jak to się robi w Irlandii?

Gałązki ostrokrzewu na okapach, nad drzwiami i w oknach. I wielka świeca, najczęściej czerwona, stawiana w jednym oknie dla oświetlenia drogi Bożemu Dzieciątku - powiedziała gospodyni.

Postawimy świece we wszystkich oknach - zarządziła Scarlett, lecz Mrs. Fitz była nieugięta. Jedno okno. Jeśli Mrs. O. ma takie życzenie, może sobie poustawiać tyle świec, ile dusza zapragnie - na stołach, na podłodze - wszędzie, gdzie tylko chce. Ale w oknie - w jednym oknie - może stać tylko jedna świeca, którą zapala się na Wigilię,

kiedy wieczorem dzwonią na Anioł Pański.

Mrs. Fitzpatrick osłodziła surowy ton miłym uśmiechem.

- Tradycja każe, by najmłodszy domownik, gdy tylko da się słyszeć dzwon na Anioł Pański, odpalił źdźbło sitowia od ognia na kominku i płonącym sitowiem zapalił świecę w oknie. Myślę, że będzie pani musiała trochę pomóc naszemu maleństwu.

* * *

Dzień Bożego Narodzenia Scarlett i Colum spędzili u Danielów. Kicia wzbudziła tyle zachwytów, że nawet wymagająca pod tym względem Scarlett była zadowolona. I tyle ludzi przewinęło się przez otwarte drzwi, że przypomniała sobie o tym, jak dawniej spędzano święta w Tarze, gdy po śniadaniu rodzina i cała służba wychodzili na dużą werandę w odpowiedzi na okrzyk „Kolęda”. Wtedy to Gerald O'Hara dawał każdemu robotnikowi szklaneczkę whisky, prymkę tytoniu, czasem nowe buty i płaszcz. Wtedy też Ellen O'Hara, po odmówieniu krótkiej modlitwy za wszystkie kobiety i dzieci, obdarowywała je kuponami perkalu oraz flaneli, zaś dzieci otrzymywały pomarańcze i cukierki. Czasami tęsknota Scarlett za ciepłym gwarem niskich głosów i błyskiem białych zębów na czarnych twarzach stawała się prawie nie do zniesienia.

* * *

- Chce mi się iść do domu.

- Czyż nie jesteś u siebie w domu, w ziemi swoich dziadów, która za twoją sprawą znowu powróciła do O'Harów?

- Och, Colum, nie bądź taki irlandzki w rozmowie ze mną! Wiesz, co mam na myśli. Tęsknię za Południem, za głosami ludzi z Południa, za słońcem Południa i tamtejszym jedzeniem. Chce mi się chleba z mąki kukurydzianej, smażonych kurczaków i kaszy. W Irlandii ludzie nawet nie wiedzą, co to kukurydza. To samo dotyczy kaszy.

- Wiem, wiem, moja droga, i przykro mi, że cierpisz. Czemużby nie? Możemy się wybrać w podróż, niech no tylko powieją przychylne wiatry. Możesz zostawić Kicię. Mrs. Fitzpatrick i ja potrafimy o nią zadbać.

- Co? To niemożliwe. Nigdy nie rozstanę się z Kicią.

Nic więcej nie było do dodania. Ale od czasu do czasu myśl o przeprawie przez wielką wodę zaprzętała całą uwagę Scarlett. To tylko dwa tygodnie i jeden dzień rejsu. A u kresu podróży można ujrzeć delfiny pływające wśród fal.

* * *

W dzień Nowego Roku Scarlett po raz pierwszy dane było zrozumieć, co tak

naprawdę znaczy być **Tą O'Hara**. Mrs. Fitz. osobiście podała jej poranną herbatę do łóżka, zamiast, jak zwykle, wysłać z tacą ze śniadaniem Peggy Quinn.

- Błogosławieństwo Świętych Pańskich niech spocznie na matce i córce, i niech towarzyszy im przez cały rok - rzekła jeszcze w progę. - Zanim podam śniadanie, muszę pouczyć panią o obowiązkach, które musi pani wypełnić.

- Szczęśliwego Nowego Roku Mrs. Fitz - odpowiedziała Scarlett. - I, na miłość Boską, co znaczy ta sfinksowa mowa?

Tradycja, obyczaj, powinność - wyrecytowała jednym tchem gospodyni. Bez zadośćuczynienia starym zwyczajom szczęście nie zawita do Dworu w nowym roku. Zatem Scarlett, jeśli chce, może się napić herbaty, ale na więcej nie ma co liczyć. W pierwszy dzień Nowego Roku na śniadanie podaje się specjalne ciasto drożdżowe, z którego należy ugryźć trzy kęsy, a to na cześć i chwałę Trójcy Przenajświętszej.

- Zanim jednak napocznie pani ciasto, proszę przejść do pokoju, który specjalnie przygotowałam na tę okazję - powiedziała Mr. Fitz. - Bowiem zaraz po spożyciu trzech kawałków ku czci Świętej Trójcy musi rzucić ciastem o ścianę, z całej siły, tak aby rozsypało się na części. I ścianę, i podłogę wymyłam jeszcze wczoraj.

- Nigdy w życiu nie słyszałam o czymś równie szalonym - obruszyła się Scarlett. - Po co miałabym rozbijać znakomity placek? A w ogóle, czy ktoś słyszał, żeby jeść na śniadanie ciasto?

- Czy słyszał, czy nie, należy spełnić to, czego wymaga od nas tradycja. Proszę, O'Haro, niech pani uczyni to, co do pani należy, nim wszyscy domownicy umrą z głodu. Bowiem tradycja mówi, że w całym domu należy powstrzymać się od jedzenia i czekać, aż ciasto zostanie rozbite.

Scarlett narzuciła na ramiona wełnianą podomkę i posłusznie podreptała do przygotowanego specjalnie na tę okazję pokoju. Upiła łyk herbaty, by zwilżyć usta, po czym ugryzła trzy kawałki ciasta, tak, jak kazała jej gospodyni - ciasto było wyborne, kucharka nie pożałowała bakalii. Następnie musiała oburącz podnieść placek z tacy, był bowiem tak wielki, że jedną ręką by go nie uniosła, później - z ciastem w dłoniach - odmówiła modlitwę „Panie, od głodu nas zachowaj”, której Mrs. Fitzpatrick nauczyła ją parę dni temu, za czym obiema rękami, z całej siły, rzuciła kołaczem o ścianę. Kawałki ciasta rozsypały się po podłodze.

Scarlett parsknęła śmiechem.

- Ale naśmieciałam!

- Cieszę się, że irlandzkie zwyczaje przypadły pani do gustu - powiedziała

gospodyni. - Ale to jeszcze nie wszystko. Przed panią pięć razy tyle rzeczy do zrobienia. Zwyczaj każe, by każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, którzy mieszkają w Ballyhara, otrzymali po kawałeczku ciasta na szczęście. Całe miasteczko już czeka przed drzwiami. Zatem teraz pójdzie pani się ubrać, dziewczęta pozbierają kawałeczki na tacę, a potem możemy zaczynać.

- Mój Boże - westchnęła Scarlett. - Nie powinnam była nadgryzać tak wielkich kęsów.

* * *

Po śniadaniu przyszedł Colum, który towarzyszył jej w drodze do miasteczka, gdzie miała uczestniczyć w następnym obrzędzie. Było bowiem przyjęte, że gdy w Nowy Rok jako pierwsza do domu zawita osoba o ciemnych włosach, szczęście będzie sprzyjało wszystkim mieszkańcom. Tradycja jednak wymagała, by potem odprowadzić ją do następnego domu, następnie do domu sąsiadów i tak dalej.

- I niech do głowy ci nie przyjdzie wybuchnąć śmiechem - przestrzegął ją Colum. - Każda ciemnowłosa osoba jest dobra, ale ciemnowłosa głowa klanu przynosi szczęścia w dwójnasób.

Kiedy tradycji stało się zadość, Scarlett słała się na nogach.

- Bogu dzięki nie wszystkie domy w Ballyhara są zamieszkane - wydyszała ostatnim tchem. - Omal się nie utopiłam w morzu herbaty, a od ciasta aż brzuch mi pęka. Czy naprawdę musieliśmy jeść i pić w każdym domu?

- Moja droga - zmarszczył brwi Colum. - Chyba wiesz dobrze, że wizyta polega na ofiarowaniu i przyjmowaniu gościny. Gdybyś była mężczyzną, zamiast herbaty musiałabyś pić whisky.

Scarlett uśmiechnęła się.

- Kici na pewno bardzo to się podobało.

* * *

Pierwszy lutego otwierał w Irlandii rok pracy na roli. W towarzystwie wszystkich mieszkańców Ballyhara Scarlett udała się na pole, stanęła pośrodku otoczona kręgiem ludzi, a kiedy odmówiono modlitwę o urodzaj, wbiła w ziemię ostrze szpadla, podniosła i przerzuciła pierwszą grudę ziemi. Teraz można już było zaczynać pracę w polu. Oczywiście przedtem wszyscy wzięli udział w poczęstunku, składającym się z szarlotki i mleka, ponieważ pierwszy lutego był także dniem świętej Brygidy, która wspólnie ze świętym Patrykiem patronowała Irlandii, a przy okazji była też patronką mleczarzy.

Kiedy wszyscy po skończonej ceremonii wzięli się do jedzenia i picia, Scarlett uklękała przy świeżo zruszonej ziemi i zaczerpnęła dłonią żyznego, tłustego łu.

- To dla ciebie, Papo - szepnęła. - Spójrz na mnie: Kasia Scarlett nie zapomniała żadnego z twych słów, nie zapomniała o tym, że Powiat Meath ma najlepszą ziemię ze wszystkich, lepszą nawet od gleby w Georgii, a nawet w Tarze. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uprawiać ją jak należy. Będę kochać tę ziemię tak, jak mnie tego uczyłeś. To ziemia O'Harów. Znowu należy do nas.

* * *

Stara jak świat, zawsze ta sama kolejność orki, bronowania, siewów i modlitwy miała w sobie jakąś prostą, z ciężkiej pracy płynącą godność. Ów już od wieków ustalony rytuał pracy na roli zyskał sobie podziw i szacunek Scarlett, którymi darzyła wszystkich rolników. Jeszcze gdy mieszkała u Danielów czuła, jak wzbierają w niej te uczucia - teraz żywiła je wobec wszystkich mieszkańców Ballyhara. Także wobec siebie je żywiła, bowiem - na swój sposób - była jedną z nich. Wprawdzie nie starczało jej sił na prowadzenie pługa, lecz dzięki niej pługi wyjechały na pole. Także ona postarała się o konie, które ciągnęły pługi. Ona też kupiła ziarno, które farmerzy rzucali w wyorane bruzdy.

W biurze majątku czuła się bardziej u siebie niż we Dworze. Obok biurka postawiła kołyskę dla Kici, taką samą, jak w sypialni, tak że pochylona nad księgami i rachunkami mogła kołysać ją nogą. Także dysputy z Mrs. Fitzpatrick nie nastrecały jej tyle kłopotów, co przedtem. W końcu była **Tą O'Harą** - jej słowo stanowiło tu prawo. Dotychczas musiała tyranizować ludzi, by w końcu zrobili to, czego chciała - teraz wystarczyło odezwać się spokojnie i po wszystkim. Pierwszej niedzieli miesiąca, kiedy w ogromnym hallu Dworu sprawowała sądy, zawsze wyczekiwała z radosnym zniecierpliwieniem. Z wolna zaczęła uświadamiać sobie, że także inni mają pewne poglądy, których warto wysłuchać. Farmerzy z wszelką pewnością znali się na rolnictwie lepiej niż ona, zawsze więc mogła się nauczyć czegoś nowego. Chciała się uczyć. Wiedza była jej potrzebna. Trzysta akrów ziemi należało do niej. Farmerzy obrabiali te grunty, a jako dzierżawne płacili jedynie połowę tego, co zwykle było przyjęte jako czynsz. Scarlett umiała radzić sobie z plantacją, gdzie pracowali najemni robotnicy, jak to było w zwyczaju na amerykańskim Południu - zarządzanie majątkiem ziemskim ciągle było dla niej czymś nowym. Uparła się jednak, że będzie najlepszą ziemianką w całej Irlandii.

- Ale farmerzy też się ode mnie uczą - zwierzała się Kici. - Dotychczas nigdy nie

słyszeli o nawozach sztucznych, ujrzeli je dopiero wtedy, gdy wydałam im worki z fosfatami. Może w ten sposób zwrócę Rettowi parę groszy z tego, co mi zapłacił, oczywiście pod warunkiem, że plony się poprawią.

W obecności córeczki nigdy nie używała słowa „ojciec”. Bo i kto zgadnie, ile z tego, co dociera do uszu małego dziecka, pozostaje w pamięci na całe życie? Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z dzieckiem pod każdym względem doskonalszym od wszystkich dzieci świata.

W miarę, jak dnia przybywało, deszcze padały coraz rzadziej, wiały cieplejsze wiatry. Kicia O'Hara z każdym dniem stawała się stworzeniem coraz bardziej fascynującym. Wyrastała na prawdziwą indywidualność.

- Z pewnością nadałam ci właściwe imię - mówiła do niej Scarlett. - Jesteś najbardziej niezależną istotą pod słońcem.

Wielkie zielone oczy Kici uważnie spojrzały na monologującą Scarlett, lecz po chwili wróciła do równie uważnego studiowania paluszków. Dziewczynka nigdy nie grymasiła, posiadała natomiast niczym nie ograniczoną zdolność zabawiania samej siebie. Gdy Scarlett musiała zaprzestać karmienia piersią, ciężko to przeżywała. Kicia jednak zupełnie się tym nie przejęła. Znakomicie się bawiła badając paluszkami i usteczkami butelkę z kaszką. Można było odnieść wrażenie, że wszystko, co ją otacza, znajduje nader interesującym. Była krzepkim, zdrowym dzieckiem - szyję trzymała wyprostowaną, główkę wysoko uniesioną. Scarlett wprost uwielbiała córeczkę. Oraz w pewien sobie tylko właściwy sposób darzyła ją szacunkiem. Uwielbiała brać Kicię w ramiona, delikatnymi pocałunkami okrywać jej włosy i szyję, policzki, rączki i stópki, lubiła sadzać ją na kolanach i kołysać. Ale dziecko znosiło to przytulanie jedynie kilka minut, po czym nóżkami i piąstkami zaczynało walczyć o uwolnienie. A na ciemnej twarzączce pojawiał się wówczas wyraz takiego niesmaku, że Scarlett nie mogła powstrzymać się od śmiechu, chociaż to właśnie ona była przedmiotem tak dobitnie wyrażanej niechęci.

Ale najszcześniejsze chwile przeżywały zawsze pod koniec dnia, kiedy Kicia odbywała kąpiel razem ze Scarlett. Biła rączkami wodę, śmiała się, gdy słyszała, jak pluska. Scarlett zaś przytrzymywała ją, podrzucała i śpiewała. Później nadchodziły równie uroczne chwile, gdy trzeba było wytrzeć do sucha każdy paluszek z osobna, natrzeć pudrem jedwabistą skórkę, każdą najmniejszą nawet fałdkę.

Gdy Scarlett miała dwadzieścia jeden lat, wojna w ciągu jednej nocy zrabowała jej młodość. Wtedy to wyrobiła w sobie stalową wolę, wtedy nabrała żelaznej

wytrzymałości, wtedy stwardniały jej rysy twarzy. Wiosną tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego roku, gdy miała lat trzydzieści jeden, czuła, jak stopniowo wraca jej łagodna lekkość nadziei, delikatna wrażliwość. Ale przeczuwała to zaledwie, świadomie nie zdawała sobie z tego sprawy. Gospodarstwo i dziecko pochłonęło całą uwagę Scarlett, dotychczas skoncentrowaną wyłącznie na jej własnej próżności.

* * *

- Musi pani pomyśleć o nowych sukniach - powiedziała pewnego dnia Mrs. Fitz. - Słyszałam, że pewna krawcowa chętnie wynajęłaby dom, w którym pani mieszkała, ale pod warunkiem, że pomaluje się go od wewnątrz. To wdowa, ale na tyle posażna, że stać ją na płacenie godziwego czynszu. Kobiety z miasteczka na pewno się ucieszą, a i pani źle na tym nie wyjdzie, chyba że zamierza pani znaleźć jakąś krawcową w Trim.

- A cóż złego w moim wyglądzie? - zdumiała się Scarlett. - Ubieram się skromnie i na czarno, jak wdowie przystoi. Wprawdzie zakładam kolorowe halki, ale spod spódnicy wystaje zaledwie rąbek.

- Nic podobnego. To, co pani nosi, w żadnym wypadku nie zasługuje na miano „skromnej czerni”. To powalane błotem wieśniacze suknie, na domiar złego z podwiniętymi rękawami. A przecież, Mrs. O., jest pani damą, panią na Dworze.

- Bzdury i jeszcze raz bzdury, Mrs. Fitz. Jakże inaczej mogłabym wyprawić się konno, żeby zobaczyć, czy tymotka już weszła? W sukniach wielkiej damy? Poza tym cenię sobie wygodę. A o plamy zacznę się martwić dopiero wtedy, gdy wrócę do moich kolorowych spódnic i staników. Zawsze nienawidziłam nosić się na czarno. Nie znoszę żałoby i dlatego nie będę dbać o świeży wygląd tych wstrętnych czarnych sukien. Zresztą cokolwiek by pani o tym sobie myślała, czarne to czarne.

- Zatem nie jest pani zainteresowana wynajęciem domu krawcowej?

- Oczywiście, że jestem. Zawsze to o jeden czynsz więcej. I już wkrótce sprawię sobie coś nowego. Niech tylko siewy się skończą. Jeszcze w tym tygodniu powinniśmy przygotować pola pod pszenicę.

- Skoro o czynszach mowa... - zaczęła ostrożnie Mrs. Fitzpatrick, bardziej niż kiedykolwiek zaskoczona uległością Scarlett. - Brendan Kennedy jest zdania, że mógłby obok *pubu* urządzać zajazd... przydałoby mu się w tym celu wynająć dom w sąsiedztwie.

- A któż, na miłość Boską, zechce tłuc się na koniec świata, żeby zamieszkać w zajazdzie u Kennedy'ego? - zdziwiła się Scarlett. - To szalony pomysł. Poza tym, jeśli Brendan Kennedy chce wynająć ode mnie ten dom, niech weźmie kapelusz w rękę i pofatyguje się osobiście, zamiast korzystać z pani pośrednictwa.

- Och, ja tylko tak sobie - poczerwieniała Mrs. Fitz. - Kennedy wspomniał mi wprawdzie o swych planach, ale to nie zobowiązująco.

Gospodyni wręczyła Scarlett księgę rozchodów i postanowiła odłożyć rozmowę o zajeździe na bardziej stosowny moment. Chyba Colum powinien wziąć się za to - miał większy dar przekonywania.

- Służby mamy więcej niż sama angielska królowa - mruknęła Scarlett, jak zwykle przynajmniej raz w tygodniu.

- Jeśli chce pani trzymać krowy, trzeba też postarać się o ręce, które będą je doić... - cierpko odparła gospodyni.

Ale Scarlett nieraz słyszała tę odpowiedź, więc dokończyła sama:

- ... i zbierać z mleka śmietankę, z której potem robi się masło... Wiem, wiem, droga Mrs. Fitz. Poza tym masło robi się po to, żeby je sprzedać. Tak, zajmiemy się tym później. Szczerze nie znoszę krów. W tej chwili chciałabym zabrać Kicię na łąkę i pokazać jej, jak się wycina brykiety z torfu.

- Lepiej dokończmy to teraz. Kuchnia już nie ma pieniędzy, zaś jutro dziewczętom trzeba dać wypłatę.

- Panienko Najświętsza! No to muszę wycisnąć trochę gotówki z banku. Natychmiast jadę do Trim.

- Na miejscu bankiera nigdy nie dałabym złamanego grosza osobie ubranej tak, jak pani.

Scarlett roześmiała się.

- No, no... Proszę powiedzieć tej krawcowej, że każę odnowić dom od wewnątrz.

Ale o zajeździe ani słowa - zauważyła Mrs. Fitzpatrick. Trudno. Jeszcze dziś wieczorem pójde do Columa.

* * *

Bractwo Fenian stale rosło w liczbę i siłę, jak Irlandia długa i szeroka. W postaci Ballyhara spiskowcy otrzymali to, czego najbardziej było im potrzeba: bezpieczne miejsce, gdzie przywódcy Bractwa z każdego Powiatu mogli się zbierać, kuć dalsze plany i obmyślać taktykę, a w razie potrzeby znaleźć bezpieczne schronienie przed milicją. Oczywiście, przybysze z zewnątrz nazbyt rzucali się w oczy w miasteczku niewiele większym od wsi, a chociaż patrole z Trim docierały do Ballyhara nader rzadko, bystre oko mogło wypatrzeć coś, czego ujrzeć nie powinno i zepsuć choćby najlepiej opracowane plany.

- Zajazd jest nam bardzo potrzebny - rzekła Rosaleen Fitzpatrick. - Nawet Anglicy

są w stanie zrozumieć, że człowiek interesu, który ma coś do załatwienia w Trim, chętniej zatrzyma się na noc w Ballyhara, gdzie pokoje są tańsze niż w mieście.

- Masz oczywiście rację, Rosaleen - westchnął Colum. - Powiem Scarlett, co trzeba, ale nie zaraz. Zbyt bystra z niej osóbką, od razu by się domyśliła, że coś knujemy. Niech o tym zapomni. Za kilka tygodni nie będzie się dziwić.

- Ale my tracimy czas...

- Przez pośpiech możemy stracić jeszcze więcej. Powiedziałem: zrobię, co trzeba, ale dopiero gdy uznam, że nadszedł odpowiedni moment.

Mrs. Fitzpatrick musiała na to przystać - Colum odpowiadał za tę sprawę. Pocieszała się przynajmniej myślą, że zdołała ulokować w miasteczku Małgorzatę Scanlon. I nawet nie musiała uciekać się do żadnych wybiegów, bowiem Scarlett naprawdę potrzebowała nowej garderoby. Swoją drogą, hańba, jak ta kobieta żyje: ubiera się jak najgorsze pospólstwo, z dwudziestu pokoi, w których mogłaby zamieszkać, wybrała sobie dwa... Gdyby nie to, że знаła Columa z prawdomówności, szczerze powątpiewałaby w jego opowieści o tym, jaką to szykowną damą była Scarlett jeszcze kilka miesięcy temu.

* * *

- ...*A jeśli ten pierścionek w mosiądz się zamieni, mama kupi ci lusterko* - śpiewała Scarlett. Kicia znowu pluskała rączkami w wodzie, ubijając z mydlin pianę.

- Mama kupi ci także piękne sukienki. I sobie też kupi. A potem popłyniemy wielkim statkiem.

Tak, nie ma sensu odkładać tego na później. Musi wracać do Ameryki. Jeśli wyjedzie zaraz po Wielkiejnocy, dość będzie mieć czasu na załatwienie wszystkiego i powrót do Irlandii zanim zaczną się żniwa.

Scarlett cofnęła się pamięcią do owego dnia, gdy na polu, gdzie przerzuciła pierwszy sztych ziemi, ujrzała delikatną mgiełkę zieleni. Ogarnięta nagłym przypływem wzruszenia i dumy chciała krzyczeć, krzyczeć w głos: „to moja ziemia, moje nasiona budzą się do życia”. Oczyma wyobraźni spoglądała na ledwo jeszcze widoczne kiełkowanie zieleni, wyobraziła sobie, jak to wszystko rośnie, coraz wyżej i wyżej, jak roślinki krzepną, potem kwitną, przesycając powietrze aromatami, wonnymi pyłkami, tak ciężkimi, że przenoszące je na odwłokach pszczoły z trudem wznosiły się w powietrze. A potem zetną je srebrem mieniące się ostrza kos i ludzkie ręce ułożą je w wysokie snopy słodkiej złości. I tak, rok po roku - siew po siewie, żniwa po żniwach - powtarzać się będzie doroczny cud narodzin i dojrzewania. Trawa, która

urośnie, zmieni się w siano. Pszenica, która dojrzeje, zamieni się w chleb. Z owsa zrobi się mąkę. Kicia też urośnie - najpierw będzie raczkować, potem chodzić, zacznie tworzyć pierwsze sylaby, potem mówić, jeść chleb i owsiankę i skakać będzie po stogu siana na strychu stodoły tak, jak skakała Scarlett dzieckiem będąc. Ballyhara to jej dom.

Scarlett spojrzała na słońce, na obłoki, które gnają przed siebie, pomyślała, że zaraz spadnie deszcz, lecz już wkrótce się przejaśni, a słońce znowu będzie ogrzewać pola, aż do następnego deszczu, po nim znowu wyjrzy zza chmur.

Chcę poczuć spiekotę letnich upałów w Georgii... mam do tego prawo. Przychodzą chwile, gdy bardzo za tym tęsknię. Gdy jednak myślę o Tarze, to - co dziwne - zda mi się marzeniem bardziej niż wspomnieniem. Tara należy do przeszłości, podobnie jak ta Scarlett, którą kiedyś byłam. Tamto życie, ta Scarlett, którą byłam jeszcze kilka miesięcy temu, nie mają niczego wspólnego ze mną, taką, jaką jestem teraz. Dokonałam wyboru. Tara Kici znajduje się w Irlandii. Moja także. Jestem **Tą O'Hara**, panią na Ballyhara. Mój dział w amerykańskiej Tarze zachowam jako spadek dla Wade'a i Elli, ale sprzedam wszystko, co posiadam w Atlancie, przetnę ostatnie więzy. Teraz moim domem jest Ballyhara. Głęboko wrosły w tę ziemię korzenie O'Harów: Kici, moje i Papy. Kiedy popłynę do Ameryki, wezmę ze sobą garść ziemi stąd: niechaj się zmiesza z gliną Georgii, z ziemią na grobie Geralda.

Przebiegła pamięcią wszystkie sprawy, które domagały się załatwienia. Trudno, mogą poczekać. Przede wszystkim muszę się zastanowić, jak tu powiedziec Wade'owi i Elli o ich wspaniałym nowym domu. Nie uwierzą, że naprawdę za nimi tęskni... niby dlaczego mieliby w to uwierzyć? Bogiem a prawdą, nigdy za nimi nie tęskniła. Dopóki nie zrozumiała, czym jest miłość matki do dziecka.

Ciężko będzie - powtarzała sobie po wielekroć. Ciężko, ale powinno się udać. Naprawię błędy przeszłości. Mam w sobie tyle miłości... tryskam miłością. Chcę ofiarować coś z tego uczucia także Wade'owi i Elli. Może na początek Irlandia nie przypadnie im do gustu - tak tu inaczej niż w Ameryce - ale kiedy pójdziemy na targ, na wyścigi, gdy kupię im po kucyku... W irlandzkich spódnicach i kolorowych halkach Ella powinna wyglądać uroczo. Wszystkie dziewczynki w jej wieku kochają stroje... Miliony kuzynów, cały klan O'Harów, dzieci w miasteczku... ileż to towarzyszy zabaw. Na pewno im się spodoba.

- Nie możesz wyjechać wcześniej niż po Wielkiejnocy - powiedział Colum. - W Wielki Piątek musi się odbyć ceremonia, której tylko ty, moja droga, możesz przewodniczyć.

Scarlett nie oponowała. Jako głowa klanu miała do wypełnienia pewne obowiązki - było to dla niej bardzo ważne, chociaż zdarzało się, że przyprawiało o irytację. Bo w końcu co za różnica, kto zasadzi pierwszego ziemniaka? Irytował ją także Colum, który nie chciał jej towarzyszyć w podróży do Ameryki, mimo że ostatnio bardzo często wyprawiał się nie wiadomo dokąd.

- W interesach - odpowiadał, kiedy go o to pytała. Hm... dlaczego nie miałyby udać się po kweście do Savannah? Czy to nie wszystko jedno, gdzie zbiera się pieniądze?

W rzeczy samej wszystko ją irytowało. Kiedy już zdecydowała się na tę podróż, najchętniej natychmiast wsiadłaby na statek i niechby to wreszcie miała za sobą. No i wściekła była na Małgorzatę Scanlon - nową krawcową - która strasznie guzdrała się z robotą. Nie od rzeczy byłoby tutaj dodać, że ta Mrs. Scanlon była osobą wścibską - niechby kto widział, jaką minę zrobiła, gdy Scarlett zamówiła u niej suknie z kolorowych jedwabi i lnu, równocześnie każąc sobie uszyć pełną toaletę w żałobnej czerni.

- W Ameryce chciałabym się spotkać z siostrzyczką - rzekła tonem jak najbardziej niedbałym. - Te kolorowe to prezent dla niej.

Mam w nosie, czy w to uwierzysz, czy nie - pomyślała gniewnie. Nie jestem wdową, nie zamierzam wrócić do Ameryki zaniechana, w sukniach koloru ziemi.

Nagle czarna spódnica, jakże wygodna, pończochy, staniczek i szal, z którymi nie rozstawała się od tyłu miesięcy, nagle to wszystko zaczęło przyprawiać ją o przygnębienie. Wprost nie mogła doczekać się chwili, kiedy będzie mogła założyć suknię z zielonego lnu, zdobną w szerokie żaboty z kremowej koronki. Albo tę różową jedwabną, wykończoną haftami... O ile Małgorzata Scanlon wreszcie ją uszyje.

- Będiesz zdumiona, kiedy ujrzysz, jak pięknie wygląda mamusia w nowych strojach - powiedziała do Kici. - Także dla ciebie zamówiłam kilka ślicznych sukieneczek.

Dziecko uśmiechnęło się, pokazując niewielki zbiór nowych żąbków.

- Na pewno spodoba ci się ten wielki statek - rzekła tonem obietnicy, bowiem na pokładzie *Briana Boru* zarezerwowała najlepszą, największą kajutę. Miały odpłynąć z Galway w piątek w okresie Wielkiejnocy.

W Niedzielę Palmową zrobiło się zimno. Deszcz padał bez przerwy aż do Wielkiego Piątku. Gdy długa ceremonia na polu dobiegła końca, Scarlett była mokra i zziębnięta do szpiku kości.

Wróciła do Dworu w niesamowitym pośpiechu, marząc o gorącej kąpieli i filiżance herbaty. Okazało się jednak, że nie zdąży się przebrać w suchą suknię - w domu czekała na nią Kasia.

- Wzywa cię stary Daniel - zawołała tonem nie cierpiącym zwłoki. - Położył się. Jest umierający.

* * *

Scarlett aż zachłysnęła się powietrzem, kiedy ujrzała starego Daniela. Kasia uczyniła znak krzyża.

- Śpi - szepnęła.

Zapadnięte oczy, zapadnięte policzki sprawiały wrażenie, że głowa starca to tylko czaszka obciągnięta pergaminowej cienkości skórą. Scarlett uklękła przy prostym posłaniu, ujęła starca za rękę - gorącą, suchą jak pergamin, omdlała.

- Wuju Danielu, to ja.

Otworzył oczy. Na jaki wysiłek woli zdobyć się musiała Scarlett, by nie wybuchnąć płaczem.

- Chciałbym cię prosić o łaskę - powiedział Daniel, jego oddech był płytki i urywany.

- Czego tylko chcesz.

- Pochowaj mnie w ziemi O'Harów.

Co za gadanie, przeżyjesz nas wszystkich - miała już na końcu języka Scarlett, nie była jednak w stanie okłamywać starca.

- Pochowam - odpowiedziała zwięźle i krótko, stanowczo, irlandzkim zwyczajem.

Daniel zamknął oczy. Scarlett wybuchnęła szlochem. Kasia wzięła ją pod rękę i podprowadziła ku krzesłu przy kominku.

- Pomożesz mi przy herbacie? - spytała. - Zaraz wszyscy tu się zejdą.

Scarlett tylko skinęła głową, niezdolna wykrztusić bodaj słowa. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ważną osobą w jej życiu był wuj Daniel.

Odzywał się rzadko, prawie nigdy z nim nie rozmawiała, ot, wystarczyło, że był, zasługujący na zaufanie, spokojny, stały, silny charakterem. Głowa domu. Scarlett myślała o Danielu jako Tym O'Harze.

Kasia odesłała Scarlett do domu nim zmierzch zapadł.

- Musisz zająć się dzieckiem. Tutaj w niczym nie możesz mi pomóc. Wróc jutro.

W sobotę wszystko było inaczej. Przez cały dzień w domu Danielów rojno było od ludzi, którzy przybywali, by oddać cześć umierającemu. Scarlett z trudem nadążyła gotować herbatę, kroić ciasto, które goście przynosili ze sobą, smarować kromki chleba masłem.

W niedzielę, kiedy Kasia i kuzyni poszli na sumę, sama musiała czuwać przy wuju. Gdy wrócili, pojechała do Ballyhara, przystało jej bowiem święcić Wielkanoc w tamtejszym kościele. Zdało się, że ojciec Flynnn nigdy nie skończy kazania, kiedy zaś wreszcie skończył, Scarlett nie mogła opędzić się od mieszkańców miasteczka, wypytyjących o zdrowie Daniela, wyrażających nadzieję, że choroba nie potrwa długo. W końcu, kiedy już zasiadła przy obiedzie, mimo czterdziestu dni ścisłego postu - dla Ballyhara nie było dyspensy - wcale nie miała apetytu.

- Proszę zawieźć to wszystko do Danielów - zasugerowała Mrs. Fitzpatrick widząc, jak wodzi widelcem po talerzu. - Mężczyzn tam wielu, roboty przy gospodarstwie huk. Jeść wszyscy muszą, a biedna Kasia zajęta chorym Danielem.

Zanim wyjechała, uściskała i wycalowała Kicię, która drobnymi rączkami pogłaskała ją po mokrych od łez policzkach.

- To bardzo miło z twojej strony, córeczko - powiedziała, tuląc ją do piersi. - Dziękuję, skarbieńku. Mamusia już wkrótce odzyska humor, a wtedy znowu będziemy śpiewać i bawić się w kąpieli. A potem wybierzemy się w cudowny rejs na wielkim statku.

Scarlett gardziła sobą za tę myśl, miała jednak nadzieję, że nie będą musiały przesunąć daty wyjazdu.

Tego dnia po południu Daniel jakby poczuł się lepiej. Wrócił do przytomności, poznawał ludzi, zwracał się do wszystkich po imieniu.

- I dzięki Bogu - powiedziała Scarlett do Columa. Dziękowała Bogu także dlatego, że Colum wreszcie się zjawiał. Czemu wyjeżdżał tak często, tak daleko? Zwłaszcza teraz, pod koniec tego tygodnia, gdy czas dłużył się tak niesłychanie, bardzo dotkliwie dawała się we znaki jego nieobecność.

To właśnie Colum przyszedł z samego rana w poniedziałek z wiadomością, że Daniel zmarł w nocy.

- Kiedy pogrzeb? - denerwowała się Scarlett. - Chciałabym odpłynąć w ten piątek.

Dobrze było mieć przyjaciela takiego, jak Colum. Mogła mu powiedzieć wszystko nie obawiając się, że źle ją zrozumie czy potępi.

Colum w odpowiedzi wolno potrząsnął głową.

- Chyba nic z tego, moja droga - rzekł, patrząc jej prosto w oczy. - Daniel był powszechnie znanym i szanowanym człowiekiem. Wielu przybędzie, by oddać mu ostatni hołd, wielu O'Harów wyprawi się do Adamstown, a drogi rozmokłe. Dlatego czuwanie przy zwłokach potrwa odpowiednio długo... trzy, może cztery dni. Dopiero potem pogrzeb.

- Och, tylko nie to. Nie chcę uczestniczyć w czterodniowej stypie, to zbyt ponure. Chyba tego nie zniosę.

- Ale musisz. Będę przy tobie.

* * *

Śpiewy i lamentacje dobiegały ją, jeszcze zanim dom Danielów pojawił się w polu widzenia. Scarlett rozpaczliwie spojrzała na Columa, lecz jego twarz zastygła w uroczystym skupieniu.

Przed niskimi drzwiami kłębiło się od ludzi. Żałobników zebrało się tylu, że już nie mieścili się w domu. Scarlett usłyszała poszeptywania - O **Ta O'Hara** - a po chwili tłum rozstał się przed nią. Z całego serca życzyłaby sobie, aby ten honor został jej oszczędzony, lecz cóż było robić - przeszła ze spuszczoną głową, pragnęła bowiem, by Daniel został pochowany tak, jak należy.

- Jest w salonie - powiedział Seamus.

Scarlett skamieniała na chwilę - z pokoju dobiegały dziwne zawodzenia. Zaraz jednak wzięła się w garść, weszła.

Na stołach, ustawionych u stóp i głów wielkiego łoża, płonęły grube gromnice. Daniel leżał na prześcieradle, cały w bieli i w czerni. Pomarszczone od pracy dłonie skrzyżowane na piersi oplatał różaniec.

Dlaczego nas opuściłeś? Ochón

Ochón, Ochón, Ullagón Ó!

Lamentująca kobieta kołysała się z boku na bok. Scarlett poznała kuzynkę Peggy - tę ze wsi. Uklękła przy łóżku, by odmówić modlitwę, lecz żałobne zawodzenia tak ją zmieszały, że nie mogła zebrać myśli.

Ochón, Ochón.

Żaloszny, pierwotny lament ścisnął jej serce, przeraził ją do głębi duszy. Podniosła się, poszła do kuchni.

Z niedowierzaniem spojrzała na masę ludzi, tłoczących się w pomieszczeniu. Jedli, pili, rozmawiali, jak gdyby nie wydarzyło się nic szczególnego. Choć okna i drzwi były otwarte, w kuchni gęsto było od dymu z glinianych fajeczek. Scarlett podeszła do grupy

skupionej wokół ojca Danahera.

- Tak, wrócił do przytomności, zwracał się do każdego po imieniu i oddał Panu duszę w jasności umysłu - mówił duchowny. - I odbył spowiedź z całego życia, wspaniałą, lepszej nigdy jeszcze nie słyszałem. Dobry był z niego człowiek, z tego Daniela. Podobnego już nie spotkamy za naszych dni...

Odeszła w inną stronę.

- A pamiętasz, Jim, jak Daniel i jego brat Patryk, Panie świeć jego duszy, zagnali angielską lochę medalistkę na bagna, żeby się oprosiła? Miała dwanaście małych, wszystkie tak piszczały, zaś locha najgłośniej, jakby jaka dzika świnia. Rządca był przerażony. Anglicy kleli, na czym świat stoi, poza tym wszyscy mieli dobrą zabawę.

Jim O'Gorman wybuchnął śmiechem, klepnął opowiadającego mężczyznę raczej mizernej budowy, wielką łapą kowala.

- Nie pamiętam, ani tym bardziej ty nie pamiętasz, bo nas obu nie było, wtedy jeszcze na świecie, taka to prawda. Dobrze o tym wiesz. Słyszałeś tę opowieść od swego ojca, tak jak ja słyszałem ją od mojego.

- Ale czy nie byłoby wspaniale móc widzieć to na własne oczy? Twój kuzyn Daniel był wielkim człowiekiem, taka to prawda.

O, tak - westchnęła w duchu Scarlett. Krążyła po kuchni, to tu, to tam przysłuchując się anegdotom z życia Daniela. Wreszcie ktoś ją zauważył.

- Opowiedz nam, Kasiu Scarlett, jak twój wuj odmówił przyjęcia nowej farmy z setką sztuk bydła, chociaż mu ją ofiarowałaś ze szczerego serca.

Szybko przypomniała sobie, jak to z tym naprawdę było. W jednej chwili otoczyła ją grupka ciekawskich słuchaczy.

- Hm... - zaczęła.

Co by tu powiedzieć?

- Powiedziałam... powiedziałam mu: „Wuju Danielu, chcę ci dać prezent”...

Może tak będzie dobrze.

- I powiedziałam: „Mam farmę... sto akrów... strumień... trochę moczarów... i sto wołów... pięćdziesiąt mlecznych krów, trzysta gęsi, dwadzieścia pięć świń... i sześć zaprzęgów końskich.” Wszyscy aż westchnęli, oszołomieni wspaniałością daru. - I powiedziałam: „Wuju Danielu, to wszystko należy do ciebie, a ponadto jeszcze wór złota”. Lecz on huknął na mnie, aż się zatrzęsłam: „Kasiu Scarlett, nawet tego nie dotknę.”

Colum wziął ją pod rękę i przepychając się przez tłum, wyciągnął na dwór, za

stodołę. Dopiero gdy byli poza zasięgiem ludzkiego wzroku, prychnął śmiechem.

- Wiesz co, Scarlett, zawsze mnie zaskakujesz. Przed chwilą przedstawiłaś Daniela niczym giganta... choć sam nie wiem, czy był z niego gigantyczny głupiec, czy człek o gigantycznej wprost szlachetności, zbyt dobry, by wykorzystywać wspaniałomyślność szalonej kobiety.

Scarlett też wybuchnęła śmiechem.

- To był dopiero początek - powiedziała. - Nie powinienes mi przerywać.

Nagle zakryła usta dłonią - jak mogła pozwolić sobie na śmiech, gdy w domu leżały zwłoki Daniela?

Colum ujął ją za nadgarstek, siłą opuścił rękę.

- W porządku - rzekł uspokajającym tonem. - Nic się nie stało. W Irlandii czuwanie przy zmarłym ma na celu czcić go takim, jakim był za życia, przedstawiać, jak ważną osobą był dla wszystkich żałobników. Śmiech jest tu równie stosowny, jak lamentacje.

Pogrzeb Daniela O'Hary odbył się w czwartek. Była to uroczystość prawie tak okazała jak pochówek starej Kasi Scarlett. Kondukt prowadziła Scarlett. Grób wykopano na starym, otoczonym kamiennym murem cmentarzu w Ballyhara, znalezionym i oczyszczonym z chwastów przez nią i przez Columa.

Z grobu Daniela Scarlett zaczerpnęła ziemi do skórzanego mieszka - kiedy wysypie ją na grób Geralda będzie to tak, jakby bracia zostali pochowani obok siebie.

Kiedy uroczystości żałobne dobiegły końca, cała rodzina udała się do Dworu na stypę. Kucharka Scarlett była zachwycona - wreszcie miała okazję pokazać, co potrafi. W wielkim, nie używanym salonie i w bibliotece ustawiono na kozłach długie stoły, uginające się pod sztukami szynki, gęsiami, kurczakami, górą chleba i ciasta, baryłkami porteru i whisky, dzbanami z herbatą. Mimo że drogi były rozmokłe, na pogrzeb zwały się setki O'Harów.

Scarlett przyniosła Kicię - niech pozna rodzinę. Powszechne uwielbienie dla dziewczynki było równe temu, jakiego matka się spodziewała, a nawet jeszcze większe.

Colum wyciągnął skrzypce i bębenek, trzej inni kuzyni wydobyli z zanadru flety, muzykowano parę bitych godzin. Kicia wymachiwała rączkami aż do zupełnego wyczerpania. Potem zasnęła matce na kolanach. Cieszę się, że nie zdążę na statek - pomyślała Scarlett. To wspaniale. Gdyby nie ta śmierć Daniela...

Podeszli do niej dwaj kuzyni - wysocy jak dęby, kiedy zginali się w ukłonie sprawiali wrażenie, że się złamią. Pochylili się, by nie musieć krzyżeć.

- Potrzebowaliśmy głowy rodu - powiedział Tomasz, syn Daniela. - Dobrze, że

mamy **Te O'Hare**.

- Przyjdiesz jutro do nas, po śniadaniu? - spytał Joe, syn Patryka.
- Po co?
- Powiem ci jutro, jak będzie trochę spokojniej.

* * *

Trzeba było rozstrzygnąć kwestię, kto ma dziedziczyć gospodarstwo Daniela. W związku z długotrwałym kryzysem, który wywołała w rodzinie śmierć Patryka, teraz, po śmierci Daniela, dwaj kuzyni rościli sobie prawo do dziedziczenia. Daniel, podobnie jak Gerald, umarł nie sporządziwszy testamentu.

Scarlett przypominało to sytuację, w jakiej znalazła się po śmierci Papy. Wypisz, wymaluj to samo, co kiedyś z Tarą. Tym łatwiej przyszło jej podjąć decyzję. Syn Daniela Seamus pracował na gospodarce lat ponad trzydzieści, podczas gdy Sean, syn Patryka, mieszkał razem ze starą Kasią Scarlett i nie robił niczego. Wobec tego cała farma przypadła Seamusowi. Tak, jak kiedyś Tara powinna była przypaść w udziale Scarlett - cała Tara.

Decyzja **Tej O'Hary** była ostateczna. Scarlett ogarnął bardzo podniosły nastrój, była bowiem przekonana, że postąpiła wobec Seamusa sprawiedliwiej, niż ktokolwiek postąpił z nią.

Następnego dnia z samego rana niemłoda już kobieta zostawiła przy drzwiach Dworu kosz pełen jaj. Mrs. Fitz ustaliła, że była to narzeczona Seamusa, biedaczka, musiała czekać prawie dwadzieścia lat, żeby w końcu oświadczył się jej. A oświadczył się, wczoraj, w godzinę potem, jak Scarlett przyznała mu farmę.

- To bardzo miło z jej strony - westchnęła Scarlett. - Ale mam nadzieję, że nie ogłoszą ślubu w przyszłym tygodniu. W ten sposób nigdy nie dotrę do Ameryki.

Już zamówiła miejsce w kabinie. Miała odpłynąć dwudziestego szóstego kwietnia - dokładnie w rocznicę dnia, kiedy to powinna była zakończyć swe krótkie „wakacje” w Irlandii.

Statek nie był tak luksusowy jak *Brian Boru* - ba, nawet nie był to statek pasażerski. Ale Scarlett nie mogła czekać, żywiła bowiem przesąd, że gdy będzie zwlekać z odjazdem dłużej niż do pierwszego maja, już na zawsze zostanie w Irlandii. Poza tym Colum znał i statek, i kapitana. Owszem, statek służył do przewozu ładunków, nie ludzi, ale zabierał jedynie bele najlepszego irlandzkiego lnu, żadnej drobnicy. Z kapitanem zawsze podróżowała jego żona, tak że Scarlett nie będzie mogła narzekać na brak damskiego towarzystwa, kapitanowa od biedy może zastąpić przyzwoitkę. A już

najbardziej na korzyść statku przemawiało to, że nie był to parowiec. Całą drogę z Irlandii do Ameryki przebywał pod żaglami.

Już ponad tydzień utrzymywała się piękna pogoda. Drogi wyschły, żywopłoty pokryły się kwiatami. Kicia od paru dni nie mogła w nocy zasnąć, gorączkowała, lecz wkrótce okazało się, że to tylko wyrzyna się jej nowy ząbek. Dzień przedtem Scarlett tanecznym krokiem pospieszyła do miasteczka, żeby odebrać od krawcowej ostatnie sukieneczki, które kazała uszyć dla córki. Czowała, że teraz, przy takiej pogodzie, wszystko pójdzie jak z płatka.

Kiedy Małgorzata Scanlon pakowała sukienki, Scarlett wyjrzała przez okno. Jak to w porze obiadowej, miasteczko było wyludnione, spostrzegła jednak, że po drugiej stronie szerokiej ulicy idzie Colum. Wyraźnie zmierzał w kierunku opuszczonego kościoła anglikańskiego.

O, nareszcie - pomyślała zadowolona. A już zdawało się, że nigdy nie posłucha głosu rozsądku. Jaki to sens, by co niedziela wszyscy mieszkańcy Ballyhara tłoczyli się na sumę w ciasnej kaplicy katolickiej, skoro parę kroków dalej świeci pustkami ogromny kościół. Fakt, że kiedyś zbudowali go protestanci nie jest wystarczającym powodem, dla którego teraz nie mieliby go przejąć katolicy. Trudno wprost pojąć, dlaczego Colum upierał się przy swoim tak długo, ale nie zamierzam go teraz za to besztać. Po prostu powiem mu, że jestem szczęśliwa widząc, iż w końcu zmienił zdanie.

- Zaraz wracam - powiedziała do Mrs. Scanlon, po czym wybiegła na wydeptaną wśród chwastów ścieżkę, wiodącą do bocznych drzwi. Zapukała, a następnie, nie czekając na odpowiedź, pchnęła drewniane skrzydło. Nagle rozległ się głośny huk, po nim drugi, coś ostrego uderzyło ją w łokieć, spod nóg bryznęły drobiny żwiru, w kościele zadudniło głuchym echem.

Smuga światła z uchylonych drzwi padała wprost na twarz nieznanego człowieka, wykrzywioną w dzikim grymasie. Jego ciemne, podkrążone sińcami oczy błyszczały niesamowicie, niczym ślepiec rannego zwierza.

Stał w półrozkroku, uniesiony pistolet był wycelowany wprost w nią - broń trzymał w brudnych, nieruchomych jakby wykutych z kamienia rękach, postrzępione rękawy zwisały niczym u ostatniego obdartusa.

Strzelił do mnie - w jednej chwili cały umysł Scarlett skoncentrował się na tej jednej myśli. Zabił Columa, a teraz zabije mnie. Kicia! Nigdy już jej nie zobaczę. Fizycznie obezwładniona chwilowym szokiem odzyskała swobodę ruchów w momencie, gdy ogarnęła ją fala wściekłości. Podniosła zbitą w kulak pięść, dała krok naprzód i...

Grzmot drugiego wystrzału, który głośnym echem odbił się od kamiennego

sklepienia świątyni, zdał się trwać nieskończenie długo. Scarlett, krzycząc, rzuciła się na posadzkę.

- Uprasza się zachować spokój - usłyszała głos Columa. Tak, to był on, zna przecież brzmienie jego głosu, chociaż... dało się w nim słyszeć coś obcego, stalowego, lodowatego.

Uniosła głowę. Ujrzała, jak Colum stoi przy nieznanym, prawą ręką obejmuje go za kark, lewą ściskając go za prawy nadgarstek. Zaciśnięty w skurczonych palcach pistolet wycelowany był w sufit.

Scarlett powoli dźwignęła się na równe nogi.

- Co się tu dzieje? - spytała, odzyskawszy pewność siebie, lecz ciągle ostrożna.

- Zamknij za sobą drzwi, jeśli łaska - powiedział Colum. - Dość światła pada z okien.

- Co... tu... się... dzieje...

Ale Colum nie kwapił się z odpowiedzią.

- Rzuć tę zabawkę, chłopaku Daveyów - powiedział do nieznanego.

Pistolet z metalicznym szczękiem opadł na posadzkę. Teraz Colum powoli zwolnił chwyt wokół nadgarstka, po czym nagle, bardzo szybko, zdjął ramię z jego szyi, zacisnął dłoń w pięść i ogłuszył mężczyznę, który, nieprzytomny, zwałił się u jego stóp.

- Do diabła z nim - mruknął Colum. Szybkim krokiem podszedł do drzwi, zamknął je i zaryglował.

- Dobrze. A teraz możemy wyjść - powiedział, obejmując Scarlett za ramię. Ale Scarlett odskoczyła i odwróciła się twarzą do niego.

- Jacy „my”? - zakrzyknęła. - Wyjdziemy, ale nie wcześniej, nim wyjaśnisz mi, o co tu właściwie chodzi.

Gdy się odezwał, jego głos brzmiał znowu ciepło, bez mała radośnie.

- To nieszczęśliwy zbieg okoliczności, moja droga...

- Tylko nie „moja droga” - przerwała mu w pół zdania. - Nie dam się oczarować. Ten człowiek usiłował mnie zabić. Kto to? Dlaczego się skradałeś na to spotkanie? Co tu się dzieje?

W półmroku twarz Columa wyglądała jak biała plama rozlana w ciemności. Koloratka upiornie błyszczała.

- Przejdźmy do światła - rzekł spokojnie. Pierwszy dał kilka kroków i stanął w miejscu, gdzie zza zabitych deskami okien sączyło się jasne światło dnia.

Scarlett nie wierzyła własnym oczom - Colum się uśmiechał.

- Och, co za szkoda - mruknął. - Gdybyśmy otworzyli zajazd, to pożałowania godne

zdarzenie nigdy nie miałyby miejsca. Chciałem trzymać cię od tego z daleka, moja droga. Wiedza tego rodzaju nie czyni kobiety szczęśliwą.

Jakże on może się uśmiechać? Jak śmie? Spoglądała bez słowa, zbyt przerażona, by dobyć głosu.

Colum powiedział jej o Bractwie Fenian.

* * *

Kiedy skończył, odzyskała głos.

- Judaszu! - zawołała. - Ty podły, kłamliwy zdrajco. Ufałam ci. Myślałam, że mam w tobie przyjaciela.

- Mówiłem, że wiedza tego rodzaju nie uszczęśliwia kobiet.

Zbyt była przybita, by gniewać się za tę odpowiedź, spokojną, podaną z wesołością w głosie. Co jednak nie zmieniało faktu, że wszystko było zdradą, od początku do końca. Wykorzystywał ją, okłamywał od chwili, gdy się poznali. Wszyscy ją okłamywali - Kuba i Maureen, kuzyni w Savannah i w Irlandii, farmerzy i mieszkańcy Ballyhara. Nawet Mrs. Fitz. Jej szczęście było tylko ułudą. Wszystko było ułudą.

- Chcesz słuchać mnie dłużej?

Nie, nie chciała. Nienawidziła jego głosu, nienawidziła tej śpiewności, tego wdzięku, które z niego emanowały. Nie, nie będę dłużej go słuchać. Usiłowała zatkać uszy, lecz jego słowa wciskały się między palcami.

- Przypomnij sobie Południe - mówił Colum. - Przypomnij sobie ziemię deptaną buciorami najeźdźców, pomyśl o Irlandii, o jej pięknie, o bogactwie kraju, który cały krwawi w piekielnym uścisku nieprzyjaciela. Anglicy ukradli nam język... w tym kraju uczenie dzieci celtyckiego jest zbrodnią. Czy nie możesz tego zrozumieć, Scarlett? Wyobraź sobie, jakby to było, gdyby ci twoi Jankesi mówili słowami, których nie rozumiesz, których musisz się uczyć pod groźbą miecza. Język, twój własny język ma być zapomniany, złożony na samym dnie twej świadomości, a jeśli nie zgodzisz się zapomnieć, miecz spadnie na twą głowę! Wyobraź sobie, co byś czuła, gdyby twa córka uczyła się jankeskiej mowy i odzywała się do ciebie w języku, którego nie rozumiesz, i sama nie rozumiała słów miłości, którymi zwracasz się do niej, gdybyś nie była w stanie pojąć, czego pragnie, bo zwraca się do ciebie po jankesku i gdybyś nie mogła spełnić jej pragnień, bo nie potrafisz ich odgadnąć. Anglicy obrabowali nas z naszego języka, a wraz z nim zrabowali nam dzieci... Pozbawili nas ziemi, naszej matki. Kiedy zaś człowiek traci matkę i dzieci, nic mu nie pozostaje. Dlatego musimy walczyć o nasze dusze. Przypomnij sobie, Scarlett, co czułaś, gdy zabrano ci Tarę. Mówiłaś mi, że

walczyłaś, by ją odzyskać, walczyłaś z wszystkich sił, z całego serca, zaangażowałaś cały swój spryt, wszystkie umiejętności. Gdy trzeba było kłamać, kłamałaś, gdy trzeba było uciec się do zdrady, zdradziłaś, gdyby trzeba było zamordować, i do tego byłabyś zdolna. Podobnie rzecz się ma z naszą walką o Irlandię... Wszakże szczęśliwsi jesteśmy niż ty w swoich zmaganiach, możemy bowiem korzystać z przyjemności życia. Mamy czas na muzykę, taniec i miłość. Wiesz, czym jest miłość, sama wiesz to najlepiej. Patrzyłem, jak spoglądasz na swoją córkę, jak śledzisz jej dojrzewanie i rozkwit. Czyż nie rozumiesz, że ta miłość karmi, nie wyczerpując się, że jest niczym pełen po brzegi puchar, z którego ludzie piją i nigdy nie ujrzą dna?... Tak też jest z naszą miłością do Irlandii. Kochamy cię, droga Scarlett, i ja, i wszyscy tutejsi, a chociaż kochamy także Irlandię, jedna miłość nie wyklucza drugiej. Czyż troszcząc się o dziecko, nie możesz przejmować się sprawami swych przyjaciół? Jedno nie wyklucza drugiego. Myślałaś, mówisz, że mój przyjaciel, mój brat. I dobrze myślałaś, bo mój przyjaciel i mój brat. Aż do końca moich dni. Cieszę się twoją radością, twój smutek jest moim smutkiem. A chociaż Irlandia jest dla mnie niczym dusza, w niczym, co czynię dla przywrócenia jej wolności, nie dopuszczam się zdrady. Irlandia nie wzbrania mi żywić miłości ku tobie... ona ją jeszcze potęguje.

Scarlett z własnej woli odsłoniła uszy, ręce opadły jej bezwładnie. Colum rozbroił ją, jak zwykle, gdy mówił do niej w ten sposób - może właśnie dlatego docierała do niej zaledwie połowa z tego, co słyszała. Czuli się tak, jakby spowiła ją pajęczyna dźwięków, ogrzewająca, lecz jednocześnie krępująca swobodę ruchów.

Nieprzytomny mężczyzna, leżący dotychczas na posadzce bez śladu życia, jęknął. Scarlett bojaźliwie spojrzała na Columa.

- On też należy do Bractwa?

- Tak - kiwnął głową. - Ucieka przed Anglikami. Zdradził go człowiek, którego miał za przyjaciela.

- To ty dałeś mu ten pistolet - rzekła tonem nie pozostawiającym cienia wątpliwości.

- Tak, ja. Widzisz, nie mam przed tobą żadnych tajemnic. Ukryłem broń w tym angielskim kościele. Jestem zbrojmistrzem Bractwa. Kiedy nadejdzie dzień, tysiące Irlandczyków chwycą za broń, o paradoksie, ukrytą w świątyni kościoła anglikańskiego. I wtedy rozpocznie się powstanie.

- Kiedy?

- Jeszcze nie ustalono. Musimy mieć więcej broni. Pięć transportów, może nawet sześć...

- To dlatego tak często bywasz w Ameryce.

- Tak. Z pomocą mych braci zbieram pieniądze, potem inni bracia zakupują broń, a ja przewożę ją do Irlandii.

- Na *Brianie Boru*.

- Nie tylko.

- I chcesz zabijać Anglików.

- Chcę. Ale my będziemy bardziej miłosierni niż oni. Bo oni zabijali kobiety i dzieci. My tylko żołnierzy. A śmierć to żołnierski los. Za to im płacą.

- Ale jesteś księdzem - zauważyła. - Nie wolno ci zabijać.

Colum nic nie odpowiedział. Mijała minuta za minutą, a on trwał w milczeniu. W smugach światła wokół jego zwieszanej głowy krążyły drobiny kurzu. Kiedy się wyprostował, Scarlett ujrzała, że oczy jego pociemniały od smutku.

- Gdy miałem osiem lat - zaczął - patrzyłem wtedy na wozy pszenicy i stada bydła ciągnące drogą z Adamstown do Dublinu, patrzyłem jak stoły Anglików uginają się pod górami jedzenia. Widziałem też, jak moja siostra umiera z głodu, miała bowiem zaledwie dwa lata i nie starczyło jej sił, by wytrzymać bez jedzenia. Mój brat miał wtedy trzy lata, także jemu nie starczyło sił. Najmłodszy zawsze umierali najpierwsi. Płakali, bo byli głodni, zbyt młodzi, by zrozumieć, co to znaczy, że po prostu nie ma co jeść. Ja rozumiałem, bo miałem osiem lat i byłem mądrzejszy. I nie płakałem, bo wiedziałem, że płacz odbiera siły, których człowiek potrzebuje, by przetrwać bez jedzenia. Umarł także mój drugi brat, siedmioletni, a potem sześcioletni, zaś ja, ku wiecznemu pożałowaniu, zapomniałem, jak mieli na imię. Potem umarła mi matka, chyba jednak nie z powodu pustego żołądka, ale z bólu, bo serce jej pękło, gdy patrzyła, jak umierają jej dzieci, w każdym razie zawsze tak sądziłem... Z głodu nie umiera się od razu, droga Scarlett, umiera się powoli, kilka miesięcy, nie jest to szybka śmierć, nie jest to śmierć miłosierna. Ale przez wszystkie te miesiące wyładowane jedzeniem wozy ciągnęły przez wieś.

Głos Columa zamarł, ucichł, jakby z niego życie uciekło. Po chwili jednak znowu zaczął mówić.

- Byłem pojętym chłopcem. Kiedy miałem lat dziesięć, gdy lata głodu minęły, gdy żołądek znowu był syty, wziąłem się za naukę, pochłaniałem wprost książki. Nasz proboszcz widział we mnie dobrze zapowiadającego się młodzieńca i pewnego razu powiedział ojcu, że być może, jeśli tak dalej będę przykładał się do pracy, zostanę przyjęty do seminarium. Ojciec dał mi wszystko, na co było go stać. Bracia harowali na

farmie ciężej niż powinni, tak że ja nie musiałem wykonywać żadnej pracy, mogłem bez przeszkód ślezczyć nad moimi książkami. Nikt nie spoglądał na mnie z tego powodu krzywym okiem, albowiem wielki to honor dla wszystkich, gdy mają księdza w rodzinie. Brałem od nich wszystko, co mi dawali, byłem bowiem czystego serca, całą nadzieję pokładałem w dobroci Boskiej i mądrości Matki naszej Świętego Kościoła Rzymskiego, co jak sądziłem, było dowodem, że mam powołanie, wezwanie do kapłaństwa.

Podniósł głos.

- Wreszcie poznam odpowiedź na wszystkie pytania... tak sobie wtedy myślałem. Bo w seminarium tyle jest ksiąg świętych i świętych mężów, i cała mądrość Kościoła też tam jest. Uczyłem się, modliłem się, poszukiwałem. Modlitwa dawała mi zapomnienie, nauka wiedzę. Ale nie wiedzy szukałem. „Dlaczego”, pytałem moich nauczycieli, „dlaczego dzieci muszą ginąć z głodu?” Ale na wszystkie me pytania otrzymywałem jedną i tę samą odpowiedź: „Zaufaj Bogu, zawierz Jego miłości”.

Colum zakrył umęczoną twarz dłońmi, jego głos podniósł się do krzyku.

- Boże, mój Ojcze! - zawołał. - Czuję Twą obecność, doświadczam Twej wszechmocy, ale czemu nie mogę ujrzeć Twego oblicza? Dlaczego odwróciłeś się od ludu irlandzkiego?

Opuścił ręce.

- Na to pytanie nie ma odpowiedzi - rzekł rwącym się ze wzruszenia głosem. - I nigdy jej nie było. Ale miałem widzenie. Poszedłem jego tropem. W mojej wizji widziałem głodujące dzieci, a ich osłabienie, choć wielkie, mniejsze było od nieprzeliczonej ich rzeszy. Podnosiły się z ziemi, wznosiły wychudłe, patykowate ramiona i otaczały wozy uginające się pod jedzeniem i nie umarły z głodu. W tym obrazie ujrzałem moje powołanie: zawrócić karawanę wozów, które wywożą z Irlandii płody jej ziemi, przegnać Anglików od stołów, dać Irlandczykom miłość i miłosierdzie, których Bóg im poskapił.

Scarlett jęknęła, słysząc to bluźnierstwo.

- Pójdiesz do piekła!

- Już jestem w piekle! Kiedy żołnierze drwią z matki, zebrzącej o jedzenie dla swego dziecka, to przecież wizja piekiel. Kiedy widzę starca, spychanego z chodnika w błoto, żeby żołnierze mogli przejść nie brudząc butów, to przecież obraz z piekła rodem. Kiedy widzę eksmisję, chłosty, wyładowane zbożem wozy przejeżdżające obok rodzin, których od śmierci głodowej ratuje zagon kartofli, mówię sobie, że Irlandia to piekło.

Chętnie umrę, chętnie zgodzę się na wieczne cierpienia, byleby tylko oszczędzić Irlandczykom bodaj godzinę ich piekielnej doli.

Jego gwałtowność wstrząsnęła Scarlett. Po omacku poszukiwała zrozumienia. Tak... bo i przypuśćmy, co by się stało, gdyby przypadkowo nie znalazła się u Danielów wtedy, gdy przybyli Anglicy z taranem? A gdyby tak straciła wszystkie pieniądze, a Kicia była głodna? Gdyby Anglicy zaczęli postępować po jankesku, ukradli jej bydło i spalili pola?

Wiedziała, co znaczy być bezradną w obliczu watahy żołdaków. Znała uczucie głodu. Były to wspomnienia, których nie mogła zasypać choćby i górą złota.

- Jak mogę ci pomóc? - spytała. Colum walczył za Irlandię - tu była jej ojcowizna, tu była ojczyzna jej córeczki.

68.

Żona kapitana statku - tęga kobieta o czerwonej, nalanej twarzy - tylko rzuciła spojrzenie na Kicię i zaraz wyciągnęła ramiona.

- Zechcesz przyjść do mnie?

Kicia w odpowiedzi wyciągnęła rączki.

Scarlett była przekonana, że Kicię najbardziej interesują okulary, wiszące na łańcuszku na szyi kapitanowej, zachowała to jednak dla siebie. Lubiła słuchać, jak ludzie zachwycają się córeczką, a kapitanowa właśnie to robiła.

- Jakie śliczne maleństwo... dziecko, okulary zakłada się na nos, nie wkłada do buzi... a jaka śliczna oliwkowa cecereczka... Czy jej tatuś jest może Hiszpanem?

Scarlett szybko się zastanowiła.

- Nie - odpowiedziała z reflekssem. - Babka.

- Też miło.

Kapitanowa wyjęła Kici z rączek okulary i w zamian obdarowała ją sucharkiem.

- Mam czworo wnuków - wyjaśniła, nie spuszczać spojrzeń z dziecka. - To najcudowniejsze uczucie pod słońcem. Zaczęłam wyprawiać się w rejsy z moim panem kapitanem, ponieważ nie mogłam znieść ciszy w pustym domu. Ale teraz mam niejaką pociechę właśnie z wnuków. Z Savannah płyniemy po ładunek do Filadelfii, gdzie mieszka moja córka z dwójką dzieciaków.

Nim wypłyniemy z Zatoki, zdąży zagadać mnie na śmierć - pomyślała Scarlett. I jak tu wytrzymać z taką dwa tygodnie.

Wkrótce jednak przekonała się, że jej obawy były bezpodstawne. Kapitanowa gadała wprawdzie jak najęta, ale ponieważ ciągle powtarzała to samo, wystarczyło, że Scarlett przytakiwała i co pewien czas powtarzała „Mój ty Boże” - nie musiała zwracać uwagi na wszystko, co do niej mówiono. Poza tym starsza pani cudownie bawiła się z dzieckiem. Scarlett mogła zajmować się swoimi sprawami na pokładzie, nie przejmując się, co tam z Kicią.

Zatem, wystawiając twarz na słone podmuchy wiatru, dawała spokojnie płynąć myślom. Przede wszystkim snuła plany. Tyle miała do zrobienia, tyle spraw do załatwienia. A więc: znaleźć kupca na sklep. Uregulować sprawy z domem na Brzoskwiniowej. Wprawdzie Rett płacił za utrzymanie, lecz było rzeczą śmieszną mieszkać w Irlandii i mieć pusty dom w Ameryce - dom, w którym już nigdy nie zamieszka...

Tak tedy: sprzedać sklep, dom i bar. Hm... pomysł sam w sobie nie najlepszy. Z

baru miała znakomite dochody, samej nie troszcząc się o nic. Postanowiła jednak przeciąć wszystkie więzi łączące ją z Atlantą, to zaś oznaczało, że i baru trzeba się będzie pozbyć.

A co z kwartałem domów w budowie? Niczego nie wiedziała o tym projekcie. Trzeba więc sprawdzić, upewnić się, że ta budowa na przedmieściach Atlanty pomaga Ashleyowi związać koniec z końcem.

Kiedy już wszystko załatwi w Atlancie, wybierze się do Tary. Tarę zostawi sobie na sam koniec, bowiem, gdy Wade i Ella dowiedzą się, że mają razem z nią popłynąć do Irlandii, mogą się bardzo niecierpliwić. Trudno byłoby ich powstrzymać. Poza tym pożegnanie z Tarą nie przyjdzie jej łatwo. Lepiej byłoby zrobić to szybko - pośpiech oszczędzi bólu rozstania. Och, jakże pragnęła ujrzeć Tarę!

* * *

Te parę mil w górę Savannah River, z pełnego morza do portu, zdały się dłużyć w nieskończoność. Statek ciągnęły przez kanał holowniki. Scarlett niespokojnie przechadzała się po pokładzie, od burty do burty, z Kicią w ramionach, usiłując znaleźć przyjemność w śledzeniu reakcji dziecka na nagłe podrywanie się do lotu bagiennych ptaków. Ameryka pozostaje ciągle tak daleko. Scarlett pragnęła postawić wreszcie stopę na amerykańskiej ziemi, usłyszeć dźwięki znajomej mowy.

Wreszcie. Oto i miasto. Oto doki. Och, Kiciu, słuchaj... słuchaj, jak śpiewają. To murzyńskie pieśni, to Południe, czy czujesz to słońce? Spędzisz tu dobrych parę dni. Kochanie, tu mamusia spędziła całe swoje życie, tu jest jej dom.

* * *

W kuchni u Maureen nic się nie zmieniło, wszystko zostało po staremu. Rodzina jak zwykle. Uczucia te same. Ta sama rozwrzeszczana dzieciarnia. Patrycja urodziła syna, dobiegał już prawie roku. Kasieńka była w ciąży. Kicia w jednej chwili została wciągnięta w niezmienny rytm życia trzech sąsiadujących ścianami domów. Z ciekawością spoglądała na inne dzieci, ciągała je za włosy, godziła się z tym, że i ją ciągnano, stała się jedną ze stadka.

Scarlett poczuła ukłucie żądła zazdrości. Kicia wcale nie będzie za mną tęsknić - myślała sobie. Za to ja nie zniosę tej rozłąki, ale cóż, muszę ją tu zostawić. Zbyt wielu ludzi w Atlancie zna Retta, mogą mu donieść. Prędzej bym go zabiła, niżbym zgodziła się na to, by mi ją zabrał. Nie mogę wziąć jej ze sobą, nie mam wyboru. Im szybciej wyjadę, tym wcześniej powrócę. W prezencie przywiozę jej braciszka i siostrzyczkę.

Na adres biura wuja Henryka Hamiltona wysłała telegram. Zadepeszowała też do Pansy, na Brzoskwiniową. Dwunastego maja wsiadła do pociągu do Atlanty. Była i wzruszona, i zdenerwowana. Tak długo trwała jej nieobecność - różne rzeczy mogły się zdarzyć. Ale co tam, lepiej nie martwić się na zapas, wkrótce i tak dowie się wszystkiego. Tymczasem lepiej po prostu rozkoszować się wiosennym słońcem Georgii, znajdować radość w tym, że oto znowu mogła się ubrać w to, co ma najlepszego. Na statku musiała nosić żałobę, teraz jednak założyła piękną, szmaragdowej zieleni suknię, zieloną, jak Irlandia.

Niestety, zapomniała, że pociągi w Ameryce są strasznie brudne. Spluwaczki, poustawiane na każdym końcu wagonu, gdy tylko pociąg ruszył pełne były cuchnącego soku tytoniowego. Przejścia między siedzeniami, jeszcze nim zdążyli ujechać dwadzieścia mil, zamieniły się w cuchnące śmietniki. Jakiś pijak ślaniał się tuż za jej siedzeniem, i wtedy nagle przypomniała sobie, że przecież nie powinna była samotnie wypuszczać się w tę podróż. Panienko Najświętsza! - aż wzdrygnęła się ze strachu. Przecież byle hultaj może przestawić tę walizeczkę i usiąść tuż przy mnie! W Irlandii kolej mamy o wiele lepszą. Pierwsza klasa to pierwsza klasa. Żaden nicpoń nie śmie zająć miejsca w maleńkim przedziale! Otworzyła kupioną na dworcu w Savannah gazetę i płachtą papieru zasłoniła twarz, niczym tarczą. Jej piękna zielona suknia była już zakurzona i pomięta.

* * *

Ruch i gwar atlanckiego dworca, śmiałe pokrzykiwania woźniców, nieprzerwany strumień pojazdów w Pięciu Znakach - wszystko to sprawiło, że serce Scarlett zabiło żywiej, że zapomniała o nieprzyjemnościach podróżowania w brudnym wagonie. Jaki tu ruch, jak żwawo płynie tu życie, jak wszystko się zmienia. Mijała budowle, których, gdy odjeżdżała, jeszcze nie było, patrzyła na nowe szyldy starych sklepów, rozkoszowała się hałasem, pośpiechem, ogólną krzątaniną.

Wyglądała z okna powozu na ulicę, oglądała domy na Brzoskwiniowej, półgłosem wymawiała nazwiska właścicieli, rejestrowała widoczne oznaki dobrobytu. U Merriwetherów był nowy dach, dom Meade'ów został pomalowany na nowo. Oba niczym nie przypominały owych podupadłych, chylących się ku ruinie budowli, jakimi były półtora roku temu, w dniu jej wyjazdu.

O, a oto i jej dom! Coś takiego! Nie przypominam sobie, żebym miała tak liczne sąsiedztwo. Cała ulica zabudowana, że szpilki nie wetkniesz. Czy to nowe budowle, czy zawsze tak było? Na miłość Boską, chyba zgłupiałam przez ten czas. W końcu, co to za

różnica? I tak to wszystko sprzedam. Klamka zapadła.

* * *

- To nie jest odpowiedni moment na wyprzedaż - powiedział wuj Henryk Hamilton. Gospodarka wcale nie wychodzi z depresji, interesy wszędzie idą jak po grudzie. Najcięższy cios ugodził w rynek nieruchomości, i to zwłaszcza tych wielkich, takich, jakie posiada Scarlett. Ludzie gorączkowo szukają najtańszego sposobu przeżycia, nie na odwrót.

Najlepiej sprzedają się teraz małe domy, takie, jak te, które kazała budować na peryferiach. Przeczucia ją nie myliły - zrobi na tym fortunę. Zresztą, dlaczego chce się pozbyć rezydencji na Brzoskwiniowej? Rett i tak pokrywa wszystkie koszty.

Henryk spogląda tak, jakby szedł ode mnie niemiły zapach - pomyślała Scarlett. Wini mnie za ten rozwód... Przez chwilę chciała zaprotestować, opowiedzieć, co naprawdę się stało. Wuj Henryk zawsze był jedynym, który trzymał moją stronę. Poza nim nie znalazłbyś w Atlancie żywej duszy, która by mną nie gardziła.

Zresztą, kto by się tym przejmował... - ta myśl rozgorzała w jej umyśle niczym fajerwerk. Henryk Hamilton myli się co do mnie, myli się, jak wszyscy w Atlancie. Nie jestem taka, jak oni, wcale nie chcę być do nich podobna. Jestem inna. Jestem **Tą O'Harą**.

- Jeśli nie chcesz zawracać sobie głowy likwidowaniem moich nieruchomości, nie zamierzam cię do tego zmuszać, Henryku - odezwała się po dłuższej chwili milczenia. - Po prostu powiedz mi, a dam ci spokój.

W jej słowach kryła się jakaś pełna godności prostota.

- Jestem już stary... Chyba byłoby lepiej, gdybyś zatrudniła do tego kogoś młodszego.

Scarlett podniosła się z krzesła, wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się z prawdziwym uczuciem.

Zaledwie zamknęła za sobą drzwi, stary wyga mruknął pod nosem:

- Scarlett wydorosłała. Już nie nazywa mnie „wujem Henrykiem”.

* * *

- Mrs. Butler w domu?

Scarlett natychmiast poznała brzmienie głosu Ashleya. Zerwała się i popędziła z salonu do hallu. Niecierpliwym machnięciem dłoni odprawiła pokojówkę, która otworzyła drzwi.

- Ashleyu, mój drogi, taka jestem szczęśliwa, że cię widzę.

Wyciągnęła ku niemu obie ręce. Mocno uścisnęła jej dłonie, spojrzał na nią i powiedział:

- Jeszcze nigdy nie wyglądałaś tak ślicznie, widać zamorski klimat dobrze ci służy. Powiedz mi, gdzie byłaś, co robiłaś. Od wuja Henryka wiem, że pojechałaś do Savannah, lecz potem wszelki ślad po tobie zaginął. Wszyscy zachodziliśmy w głowę, co też się z tobą dzieje.

Założyła się, żeście zachodzili, a zwłaszcza twoja siostrunia o języku żmii - odpowiedziała w myśli, głośno zaś rzekła:

- Proszę, wejdz i zechciej spocząć. Umieram z ciekawości, co nowego.

Pokojówka wytknęła głowę zza drzwi. Widząc ją, Scarlett powiedziała w drodze do salonu:

- Podaj kawę i ciasto.

Zaprowadziła Ashleya do pokoju, sama usiadła w rogu kanapy i poklepała miejsce tuż obok.

- Proszę, zechciej usiąść tu przy mnie. Chcę cię dobrze widzieć.

Bogu dzięki, stracił ten wyraz twarzy szubienicznika, którym straszyl dwa lata temu. Henryk Hamilton nie mylił się twierdząc, że Ashley przyjdzie do siebie. Sprzątając ze stołu przyglądała się mu kącikiem oka. Ashley Wilkes nadal był mężczyzną przystojnym. Z upływem czasu jego subtelne, arystokratyczne rysy twarzy jeszcze bardziej wyszlachetniały. Wyglądał jednak na starszego, niż był w istocie. Nie ma więcej niż czterdziestkę - myślała Scarlett - lecz jego włosy to już raczej srebro niż złoto. Pewnie spędza w tartaku znacznie więcej czasu, aniżeli kiedyś, bo cerę ma teraz zdrowszą, nie taką szarą jak wtedy, gdy całymi dniami wysiadywał w biurze. Spojrzała nań z uśmiechem - dobrze znowu widzieć Ashleya. Zwłaszcza, gdy wyglądem zdradza, że wiedzie się mu nie najgorzej. Zobowiązanie, które kiedyś złożyła wobec Melanii, nie powinno przysparzać jej nazbyt wielu trosk.

- Co słyhać u ciotki Pitty? Co z Beau? Chyba już wyrósł na prawdziwego mężczyznę!

U Pitty oraz Indii nic się nie zmieniło - odparł Ashley, lekko się krzywiąc. Wystarczy, by cień przemknął przez pokój, a Pitty dostaje waporów, co zaś się tyczy Indii, to jest bardzo zajęta pracą w komitecie moralnej naprawy Atlanty. Jak to zwykle niezamężne kobiety, rozpieszczają go do granic zepsucia, stając w zawody o to, która z nich jest lepszą matką. Usiłują też zepsuć Beau, lecz chłopak im się nie daje - tu szare

oko Ashleya błysnęło iskierką dumy. Beau wyrósł na młodego mężczyznę. Wkrótce będzie już miał dwanaście lat, lecz z wyglądu można by go wziąć za piętnastolatka. Jest prezydentem czegoś w rodzaju klubu założonego przez chłopców z sąsiedztwa. Na podwórku u ciotki Pitty zbudowali sobie drewniany domek, jak się później okazało, z najlepszych tarcic, jakie znaleźli na składzie. Beau je wybrał. W tej chwili chłopak zna się na drewnie lepiej niż jego ojciec - rzekł Ashley tonem, w którym dźwięczały jednocześnie smutna rezygnacja i podziw. Ale - dodał z tym większą dumą - chłopak ma szansę wyrosnąć na uczonego. Właśnie zdobył szkolną nagrodę za najlepsze wypracowanie łacińskie, a poza tym czyta książki, po które chłopcy w jego wieku nawet nie sięgają i...

- Oj, chyba cię nudzę, Scarlett. Dumni ze swych dzieci ojcowie bywają monotematyczni.

- Ani trochę, Ashleyu - skłamała Scarlett. Oczywiście, że ją nudził. Nic, tylko te książki, książki i książki - oto przyczyna nieszczęść całej rodziny Wilkesów. Oni wszyscy żyli książkami, a prawdziwe życie płynęło sobie obok. Ale może z tym chłopcem wszystko potoczy się normalnie. Jeśli zna się na drewnie, jeszcze nie wszystko stracone. Teraz zaś, jeśli Ashley nie będzie taki uparty, może uda się jej spełnić jeszcze jedną z obietnic, które złożyła Meli.

Scarlett ujęła Ashleya za łokieć.

- Chciałabym cię prosić o pewną przysługę... o wielką łaskę - zaczęła, spoglądając nań błagalnym wzrokiem.

- Wszystko, czego tylko zapragniesz - Ashley złożył swą dłoń na jej dłoni.

- Chciałabym cię prosić, byś mi przyrzekł, że pozwolisz, bym posłała Beau na uniwersytet... a potem jeszcze w podróż, razem z Wadem. Bardzo wiele to dla mnie znaczy... bo w końcu, myślę o nim właściwie jak o własnym synu... Byłam przy jego narodzinach. A ponieważ w ostatnim czasie zarobiłam górę pieniędzy, nawet nie zauważę związanych z tym wydatków. Mam nadzieję, że nie będziesz na tyle okrutny, by mi odmówić.

- Scarlett... - wyjąkał Ashley.

Uśmiech zniknął mu z ust, wyglądał nader poważnie.

O, do licha, najwyraźniej nie obędzie się bez trudności. Dzięki Bogu, właśnie wchodzi ta ślamazarna dziewczucha z kawą. W jej obecności Ashley nie piśnie ani słówka, gdy zaś dziewczyna wyjdzie, natychmiast na niego naskoczę tak, że nie będzie miał szansy powiedzieć „nie”.

- Ile słodzisz, Ashleyu? Pozwolisz, że ci nasypię?...

Ashley przyjął od niej filiżankę kawy, postawił ją na stole.

- Poczekajmy z tą kawą chwileczkę - powiedział, ujmując ją za rękę. - Spójrz na mnie, kochanie.

Jego oczy pały łagodnym blaskiem, a widząc to, Scarlett wpadła w oszołomienie. Panienko Najświętsza - westchnęła w duchu. - Przecież to wypisz, wymaluj stary Ashley, on wygląda jak Ashley Wilkes z Dwunastu Dębów.

- Wiem, jak doszłaś do tych pieniędzy, wuj Henryk wspomniał o tym i o owym... Rozumiem, co teraz czujesz. Ale nie trzeba. On nie był cię wart. Dobrze, że się od niego uwolniłaś - mniejsza z tym, w jaki sposób. Daj temu spokój, zapomnij o tym, jak gdyby nic się nie stało.

Boże wielki, on chyba chce się oświadczyć!

- W każdym razie - podjął po chwili Ashley - jesteś teraz wolna. Powiedz, że wyjdiesz za mnie, a poświęcę me życie, by uczynić cię szczęśliwą, tak, jak na to zasługujesz.

Tak, tak... był taki czas, że duszę bym oddała, by móc usłyszeć te słowa... niedobrze, to niesprawiedliwe wobec Ashleya, że przysłuchuję się mu niczego przy tym nie czując. Och, dlaczego on to uczynił?

Zanim jednak pytanie zdążyło wyłonić się z chaosu myśli, Scarlett już знаła odpowiedź. To wszystko z powodu plotki, nieważne, jak starej. Ashley był zdeterminowany oczyścić ją w oczach towarzystwa. Tak, to cały Ashley. Dżentelmen w każdym calu, nawet gdyby miał postawić na głowie całe swe dotychczasowe życie.

Nawiasem mówiąc, także moje - dodała sarkastycznie. Założę się, że nawet nie zadał sobie trudu, by rozważyć ten aspekt swej propozycji. Scarlett ugryzła się w język - jeszcze chwila, a gotowa była ciskać w Ashleya gromy gniewu. Biedaczek. Ale to przecież nie jego wina, że jest taki, jaki jest. Czy to nie Rett powiedział; Ashley należy do świata sprzed Wojny... W dzisiejszym świecie nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Nie powinnam gniewać się na niego, nie mogę czynić mu wymówek. Po cóż mi tracić kogoś, kto był częścią mojego świata, świata owych wspaniałych dni przeszłości? Wszystko, co mi po nim zostało, to wspomnienia i ludzie.

- Najdroższy Ashleyu - rzekła Scarlett. - Nie chcę wyjść za ciebie za mąż. To wszystko. Nie zamierzam grać z tobą w gry tyleż piękne, co złudne, nie chcę kłamać, patrząc, jak mnie łakniesz. Jestem już na to za stara i zbyt mi na tobie zależy. Jesteś dla mnie częścią mego życia, na zawsze nią pozostaniesz. Powiedz, że pozwolisz mi na to.

- Oczywiście, moja droga. Czuję się zaszczycony, że traktujesz to w ten sposób.

I uśmiechnął się. Teraz wyglądał młodo, tak młodo, jak ów Ashley z Dwunastu Dębów, który kiedyś zawrócił jej w głowie. Najdroższy Ashley. Pewnie nawet nie domyślał się, że wyraźnie słyszała ulgę w jego głosie. Zatem wszystko było w jak najlepszym porządku. A nawet lepiej niż w porządku. Teraz mogli być prawdziwymi przyjaciółmi. Pewien rozdział przeszłości został zamknięty. Z wdziękiem.

- Jakie masz plany, Scarlett? Chyba na dobre zjechałaś do domu, mam nadzieję?

Odpowiedź na to pytanie przygotowała jeszcze nim statek odbił od nabrzeża portu w Galway. Musiała uzyskać pewność, że nikt, żaden człowiek w Atlancie nie będzie wiedział, gdzie jej szukać, w przeciwnym razie Rett zbyt łatwo mógłby ją znaleźć, a wtedy straciłaby Kicię.

- Pożegnuję, drogi Ashleyu, nigdzie nie chcę osiąść na stałe, nawet na chwilkę. Najpierw byłam w Savannah, złożyłam wizytę rodzinie Papy w Irlandii, a potem podróżowałam.

Musiała być pewna tego, co mówi. Ashley wiele przebywał za granicą, w jednej minucie przyłapałby ją na kłamstwie, gdyby zaczęła opowiadać, że zwiedziła miejsca, których nigdy nie widziała.

- Co zaś się tyczy przyszłości - ciągnęła - jakoś nigdy nie mogłam pozbyć się myśli o zobaczeniu Londynu. Wyobrażam sobie, że mogłabym osiedlić się tam na czas jakiś... Pomóż mi, Ashleyu, i wyraż swoją opinię, czy Londyn to dobry pomysł?

Jeszcze od Melanii wiedziała, że Ashley uważa Londyn za najwspanialsze miasto pod słońcem. Zatem chciała mu dać okazję się wygadać. W ten sposób zapomni o innych pytaniach.

* * *

- Cudownie minęło to popołudnie, Ashleyu. Odwiedzisz mnie jeszcze, prawda? Pomieszkać tu trochę, muszę załatwić parę spraw.

- Będę cię odwiedzał tak często, jak tylko mogę. Rzadka to przyjemność, być razem z tobą.

Ashley wziął od pokojówki kapelusz i rękawiczki.

- Do zobaczenia zatem, mój drogi. Aha, Ashleyu... chyba przychyłasz się do mojej prośby? Bardzo byłabym niepokieszona, gdybyś...

- Nie sądzę...

- Przysięgam ci, Ashleyu Wilkesie, jeśli nie pozwolisz mi zebrać skromnego funduszu dla Beau, zacznę płakać, a wtedy będzie gorzej, niżby rzeka wystąpiła z

brzegów. A wiesz równie dobrze jak ja, że dżentelmen nigdy świadomie nie przyprawia damę o łzy.

Ashley skłonił się nad jej dłonią wyciągniętą do pocałunku.

- Myślałem, że bardzo się zmieniłaś, kochanie, lecz widzę, że tkwiłem w błędzie. Nadal umiesz owijać sobie mężczyzn wokół małego paluszka... byłbym złym ojcem, gdybym miał wzbraniać Beau przyjęcia tego prezentu.

- Ashleyu! - wykrzyknęła. - Kocham i będę kochać. Dzięki, dzięki najszczerze.

Po czym poleci do kuchni i zaraz wszystko rozpaple pomyślała Scarlett, patrząc, jak dziewczyna zamyka drzwi za Ashleyem. Ba, starym kociakom ploteczki zawsze służą. Poza tym, ja naprawdę kocham Ashleya i zawsze będę go kochać, tyle że w sposób, o jakim służba nie ma pojęcia.

* * *

Porządkowanie spraw w Atlancie zajęło więcej czasu, niż oczekiwała. Nie mogła wyjechać do Tary przed dziesiątym czerwca.

I pomyśleć, miesiąc z dala od Kici! Wprost trudno to sobie wyobrazić. Może wyróżnął się jej nowy ząbek, albo i dwa. Może była bardzo niespokojna, a nikt w Savannah nie wie, że najlepiej czuje się, gdy może poplaskać się w wodzie. Poza tym, te upały! Mogła dostać potówek. Irlandzkie dziecko nie jest przyzwyczajone do żaru amerykańskiego Południa.

Podczas ostatniego tygodnia swego pobytu w Atlancie Scarlett miała nerwy tak napięte, że nocami nie spała. Dlaczego nie spadnie deszcz? Można było ciągle biegać po domu ze ściereczką, a czerwony pył pokrywał wszystko w pół godziny od zrobienia porządków.

Dopiero gdy wsiadła do pociągu do Jonesboro, mogła się odprężyć. Bo chociaż sprawy się przeciągały, załatwiła wszystko po własnej myśli, a już na pewno o wiele lepiej, niż przewidywali to Henryk Hamilton oraz ten nowy prawnik, którego zatrudniła.

Oczywiście, z barem poszło najlepiej. Depresja wpłynęła na wzmożenie ruchu w interesie, podnosząc jego wartość. Za to sklep przysporzył jej niemało smutku. Sama działka była więcej warta niż budynek. Nowi właściciele zamierzali zburzyć budowlę, a na jej miejsce postawić ośmiopiętrową kamienicę. W końcu Pięć Znaków to zawsze Pięć Znaków. Te dwie transakcje nauczyły ją wystarczająco dużo, by w ostatniej chwili zdążyła kupić pięćdziesięcioakrową parcelę na przedmieściu, gdzie kazała zbudować kolejne sto domów. W ten sposób Ashley miał zapewniony zbyt na swoje drewno przez

najbliższe kilka lat. Wreszcie sam budowniczy powiedział jej, że całe miasto kupuje drewno prawie wyłącznie od Ashleya, mogli mu bowiem ufać, iż sprzedaje towar wyłącznie w najlepszym gatunku, czego nie dało się powiedzieć o innych właścicielach tartaków. Wyglądało więc na to, że Ashley był skazany na sukces jakby wbrew samemu sobie.

Także Scarlett zarobiła na domkach prawdziwą fortunę. Henryk Hamilton mówił prawdę: tanie mieszkania na peryferiach sprzedawały się na pniu.

I przynosiły zysk. Wielki zysk. Było dla niej prawdziwym wstrząsem, gdy przekonała się, ile pieniędzy wpłynęło na jej konto w banku. Było to dość, by pokryć wszystkie wydatki związane z kupnem i odbudową Ballyhara, gdzie wydatki ciągle były ogromne, a przychody niewielkie. Teraz wyszła na czysto. To co uzyska ze sprzedaży plonów, przyniesie jej czysty dochód, z którego będzie mogła zakupić nasiona i ziarno siewne na rok następny. Z czynszów może pozwolić sobie na finansowanie bieżących inwestycji. Zanim wyjechała, jakiś bednarz pytał o możliwość wynajęcia jednej z pustych chat. A Colum zdążył ją poinformować, że pewien krawiec chętnie wynająłby drugą.

Nawet bez tych pieniędzy mogłaby sobie pozwolić na to wszystko, lecz skoro już je miała, życie stało się o wiele prostsze. Budowniczy został poinformowany, by wszystkie przyszłe zyski wysłał do Stefana O'Hary w Savannah. W ten sposób nie zabraknie pieniędzy na wcielenie w życie planów Columa.

Śmieszna historia z tym domem na Brzoskwiniowej - myślała sobie Scarlett. Można by przypuszczać, że przy sprzedaży nie obędzie się bez przykrych przeżyć. W końcu spędziłam tam z Rettem parę niezłych lat, tam urodziłam Bonnie, tam dopełniło się jej króciutkie życie. Ale pozbywając się tego domiszcza czułam jedynie ulgę nic więcej. Kiedy ta pensja dla dziewcząt złożyła mi ofertę, myślałam, że wycaluję dyrektorkę w oba policzki, pomarszczone i przywiedle niczym suszona śliwka. Czułam się tak, jakby opadły mi z rąk kajdany. Teraz jestem wolna. Nie mam w Atlancie żadnych zobowiązań. Nic mnie nie łączy z tym miastem.

Uśmiechnęła się pod nosem. To tak, jak z gorsetem. Od owego pamiętnego dnia w Galway, gdy Colum i Kasia rozcięli jej sznurówkę, nigdy więcej jej nie założyła. Wprawdzie przybyło jej w talii parę cali, ale i tak była szczuplejsza od spotykanych na ulicy kobiet, które w swych gorsetach ledwo mogły oddychać. Różniła się od nich tym, że było jej wygodnie - na tyle wygodnie, na ile może się czuć kobieta w czerwcowy upał. Dodatkowe korzyści czerpała z faktu, że teraz mogła ubierać się sama, bez pomocy

pokojówki. Włosy też układała sobie sama, zgrabny koczek nie wymagał wielu zabiegów. Rozkoszowała się świadomością, że teraz jest już zupełnie samowystarczalna. Wspaniałe to uczucie nie zaprzętać sobie głowy myślami o tym, co robią inni, albo czego nie robią, czego nie akceptują, wspaniałe to uczucie jechać w tym stanie ducha do Tary, żeby zabrać dzieci do drugiego domu. Równie wspaniałe, jak pewność, że już wkrótce zobaczy się z Kicią, że już niedługo wróci do tchnącej świeżością, obmywanej deszczami, uroczej pod każdym względem, lekko zamglonej Irlandii, do chłodu, w którym można oddychać. Scarlett dotknęła miękkiej skóry mieszka, tak, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, to zanieś na grób ojca ziemię z Ballyhara.

Papo, czy widzisz mnie stamtąd, gdzie teraz jesteś? Papo, czy wiesz? Powinieneś być dumny ze swojej Kasi Scarlett. Zostałam **Tą O'Hara**.

69.

Will Benteen oczekiwał jej na dworcu w Jonesboro. Scarlett spojrzała na jego pooraną wiatrem, ogorzałą od słońca twarz i pozornie wątłe ciało, po czym uśmiechnęła się od ucha do ucha. Will był chyba jedynym człowiekiem na tym świecie, który wyglądał tak, jakby Bóg wprost stworzył go do życia z drewnianą protezą zamiast nogi. Wyściskała go gorąco.

- Do licha, Scarlett, powinnaś była mnie ostrzec. Omal nie przetrąciłaś mi kulasa. Miło cię widzieć.

- I wzajemnie. Z wszystkich, z którymi dane było mi się spotkać, ciebie witam z największą radością.

To nie była czcza uprzejmość. W rzeczy samej Will był jej droższy nawet od O'Harów z Savannah. Może dlatego, że przetrwał razem z nią ciężkie czasy, może dlatego, że kochał Tarę prawie tak samo, jak ona. A może po prostu dlatego, że był dobrym, uczciwym człowiekiem.

- Gdzie twoja pokojówka?

- Och, już nie wygłupiam się wlokąc za sobą tabuny służby, Willu. W ogóle zerwałam z całą tą błazenadą, do jakiej przywykłam.

Will podniósł słomkę do kącika ust.

- Zauważyłem - skwitował lakonicznie. Scarlett roześmiała się. Nigdy przedtem nie myślała o tym, co czuje mężczyzna, gdy ni z tego, ni z owego jest wyściskany przez dziewczynę, która nie ma na sobie gorsetu.

- Tak! - zawołała. - Koniec z tymi klatkami.

Chciałaby móc mu powiedzieć, dlaczego jest taka szczęśliwa, chciałaby móc mu powiedzieć o Kici, o Ballyhara... gdyby miała przed sobą Willa, człowieka równie wolnego, jak ona, powiedziała mu o tym w jednej sekundzie. Ale Will był mężem Zueli. O ile jemu ufała całkowicie, do siostry nie miała żadnego zaufania, przynajmniej dopóty, dopóki była z nią związana, i to mocnym postronkiem. Will mógł czuć się w obowiązku poinformować żonę o wszystkim, toteż Scarlett musiała trzymać język na wodzy. Wdrapała się na kozła. Will nieodmiennie przyjeżdżał po nią wozem, nigdy nie używał kabrioletu, bowiem wyprawę do Jonesboro zawsze traktował jako okazję do zrobienia zakupów - także teraz z tyłu wozu piętrzyły się worki i skrzynie.

- Powiedz, co nowego? - spytała, gdy już wyjechali na drogę. - Już od tak dawna nie miałam od was żadnych wiadomości.

- Hm... - chrząknął Will. - Przypuszczam, że w pierwszym rzędzie chcesz dowiedzieć

się czegoś o dzieciach. Ella i Susie rozumieją się jak para złodziei. Ponieważ Susie jest młodsza, oddała inicjatywę w ręce Ellen i wyszło jej to na dobre. Gdy ujrzyś Wade'a, z trudem go poznasz. W strzelaniu zaprawia się dokładnie od dnia, gdy zaczął czternaście lat i chyba nigdy już nie przestanie. Chociaż wysoki i chudy jak tyczka od grochu, jest silny jak muł. Pracuje też jak muł. To dzięki niemu mamy w tym roku pod uprawą dwadzieścia akrów więcej.

Scarlett uśmiechnęła się. Będzie miała z niego pociechę w Ballyhara. Nowy dom powinien mu się spodobać. Urodzony rolnik... nigdy przedtem nie przysłoby jej do głowy. Pewnie ma to po Papie. Skórzany miśzek z ziemią, który trzymała na kolanach, zrobił się ciepły.

- Marta ma teraz siedem lat, Jane we wrześniu zaczęła drugi roczek. Zuela rok temu poroniła... miała być córeczka.

- Och, Willu, bardzo mi przykro.

- Tak... i postanowiliśmy już więcej nie próbować. Mamy przecież trzy zdrowe dziewczuchy. To i tak więcej, niż większości ludzi do szczęścia potrzebne. Pewnie, chciałbym mieć chłopaka, każdy mężczyzna by chciał, ale ja się nie skarżę. Poza tym Wade zastępuje mi syna i to tak, że każdy mógłby mi go pozazdrościć. Dobry z niego chłopiec, Scarlett.

Szczęśliwa była, mogąc to słyszeć. I zaskoczona. Will miał rację - nie znała własnego syna. A w każdym razie nie znała go z tej strony, z jakiej Will go przedstawił. W jej pamięci pozostał tchórzliwym, wiecznie przestraszonym, bladym chłopczykiem.

- Chociaż z zasady nie wtykam nosa do nie swoich spraw - odezwał się Will - tak pokochałem Wade'a, że chciałbym się za nim wstawić... Chłopak zawsze się ciebie bał, sama wiesz. A tymczasem ostatnio na wszelkie sposoby stara się dać mi do zrozumienia, że nauka mu obrzydła. Nie chce się uczyć. Właśnie w czerwcu skończył szkołę i nie ma takiej siły na ziemi, która zmusiłaby go dalszego kształcenia.

Scarlett stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie, Willu. Albo ty mu o tym powiesz, albo ja, w każdym razie jego ojciec studiował na uniwersytecie i on pójdzie w jego ślady. Nie obraż się, mój drogi, ale bez wykształcenia trudno dziś cokolwiek osiągnąć.

- Nie obrażam się. Nie mam powodu do obrazy. I nie obraż się, jeśli powiem, że tkwisz w błędzie. Wade umie czytać i pisać, zna rachunki na tyle, że może przeprowadzić wszystkie kalkulacje niezbędne w gospodarstwie. Tego mu potrzeba, niczego więcej. Jego powołaniem jest rolnictwo, gospodarowanie w Tarze. Powiada, że

jego dziadek zbudował Tarę, choć odebrał wcale niewiele więcej nauk niż on, dlatego nie rozumie, czemu miałby wgryzać się w te książkowe mądrości bardziej niż Gerald. Dobrze mnie zrozum, Scarlett, ten chłopak w niczym nie jest do mnie podobny. Bo ja, u diabła, ledwo umiem się podpisać, gdy on cztery lata spędził w dobrej szkole w Atlancie i jeszcze trzy w tutejszej szkole. Wie wszystko, czego wiejskiemu chłopakowi do szczęścia potrzeba. Bo on, droga Scarlett, jest wiejskim chłopakiem i to daje mu poczucie szczęścia. Nie chciałbym widzieć, jak rujnujesz mu życie.

Scarlett najeżyła się wewnątrz. Kto natchnął Willa Benteena podobnymi myślami? Jako matka Wade'a sama wie najlepiej, co jest dla niego dobre.

- Nim złość ci minie - rzekł po chwili Will - chciałbym dokończyć to, co mam jeszcze do powiedzenia.

Mówił powoli, jakby cedząc słowa, zaciął się, najwyraźniej czymś wzruszony.

- Pokazali mi jakieś dokumenty z Sądu Powiatowego. Wygląda na to, że odkupiłaś dział Kariny. Nie wiem, co zamierzasz, i nawet nie mam zamiaru o to pytać, ale jedno ci powiem: jeśli ktoś zajdzie mi drogę, wymachując jakimś świstkiem papieru, z którego miałyby wynikać, że zabierają mi Tarę, zamierzam spotkać się z nim przy zakręcie z pistoletem w ręku.

- Will, przysięgam na Biblię... na sto Biblii... że nie mam żadnych planów wobec Tary.

Szczęśliwie się złożyło, że nie musiała kłamać. Miękka, nosowa wymowa Willa miała w sobie coś przerażającego - przyprawiała ją o strach większy, niż gdyby ktoś krzyknął jej nad uchem, jak mógł najgłośniejszy.

- Miło mi to słyszeć. Uważam, że Tara powinna należeć do Wade'a. To jedyny wnuk Geralda, a ziemia przechodzi do dziedziczenia w obrębie rodziny. Mam nadzieję, że pozwolisz mu zostać takim, jakim jest, niech będzie mi prawą ręką i synem, tak, jak teraz. Ale, rzecz jasna, uczynisz, co zechcesz. Jak zawsze. Ja mogłem dać tylko chłopakowi słowo, że pomówię z tobą o tym, co też się stało. Poprzestańmy na tym, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Zrobiłem, co do mnie należało.

- Przemyślę to - obiecała Scarlett.

Wóz skrzypiąc toczył się po znajomej drodze. Wkrótce ujrzała rozległe pola Tary. Lecz ziemia, którą zachowała we wspomnieniach jako zadbane, troskliwie uprawione zagony teraz była porośnięta krzakami i zielskiem. Poczwała, jak smutek ściska ją za gardło. Will widział, że nagle się schyliła, widział, jak głowa obwisła jej na piersi.

- Co się z tobą działo przez ostatnie lata? Gdyby nie listy od Kariny, w ogóle niczego

byśmy nie wiedzieli, potem jednak wszelki słuch po tobie zaginął.

Scarlett zmusiła się do uśmiechu.

- Miałam parę przygód, podróżowałam po całym świecie. Odwiedziłam rodzinę. Okazało się, że mam krewnych w Savannah, powiadam ci, najmiłsi ludzie pod słońcem. Zatem zabawiłam u nich czas pewien, potem popłynęłam do Irlandii, gdzie spotkałam jeszcze więcej O'Harów. Nawet do głowy by ci nie przyszło, ilu ich jest.

Nie mogła mówić, łzy zatykały jej gardło. Podniosła mieszek z kolan.

- Willu, przywiozłam coś dla Papy. Bądź tak miły, wysadź mnie przy cmentarzu i poproś wszystkich, żeby zechcieli chwilkę zaczekać, dobrze?

- Z przyjemnością.

* * *

W pełnym słońcu Scarlett uklękła przy grobie Geralda O'Hary. Czarna irlandzka ziemia żwawo przesypywała się jej między palcami, by połączyć się z wypaloną na czerwony pył glebą Georgii.

- Tatusiu - szepnęła, przydając swym słowom irlandzki akcent. - Wspaniały jest Powiat Meath, to pewne. Dobrze cię tam wspominają, Tatusiu, najlepiej spośród twych braci. A nie wiedziałam, Papo... przykro mi, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie wiedziałam, że gdy umarłeś, trzeba było wyprawić po tobie porządną stypę i wspominki, ze wszystkimi opowieściami o tym, jak to bywało, gdy byłeś jeszcze chłopcem.

Uniosła głowę, w blasku słońca załśniły łzy na jej twarzy. Głos jej się załamywał, słowa przeszły w szlochanie lecz śpiewnym lamentem zaniósła się jak mogła najtkliwiej, a żal jej był wielki:

*Dlaczego mnie opuściłeś?
Ochón! Ochón, Ochón, Ullagón Ó!*

* * *

Rada była, że nikomu z Savannah nie zdradziła swych planów zabrania Wade'a i Elli do Irlandii. Teraz przynajmniej nie musiała się tłumaczyć, dlaczego ostatecznie zostawiła ich w Tarze. Prawda była dla niej upokarzająca: własne dzieci wyrzekły się jej, były jej obce, tak jak ona im była obca. Przed nikim, nawet przed samą sobą nie mogłaby przyznać, jakże głęboko czuła się tym zraniona, jak bardzo czuła się winna. Czuła się taka maleńka, taka podła, że z trudnością zachowywała wobec syna i córki pozory uprzejmości, choć oni, rzecz jasna, z obowiązku udawali, iż cieszą się na jej

widok.

W ogóle stan rzeczy w Tarze przyprawiał ją o gorycz. Czowała się tu obco. Poza portretem babci Robillard wszystko w domu było inne. Zuela za pieniądze, które od niej otrzymywała, co miesiąc kupowała jakieś nowe meble i sprzęty domowe. Oczy Scarlett raziły niepokalanie błyszczące blaty stołów na wysoki połysk, nazbyt jaskrawe kolory obić i zasłon. Serdecznie nie znosiła czegoś podobnego. Ponadto upały bardzo dawały się jej we znaki. Tęskniła za irlandzkimi deszczami przez cały tydzień swego pobytu tutaj - bardzo nużący, nużący aż do bólu głowy tydzień.

Wizyta u Tonia i Sally Fontaine przysporzyła jej niemało radości, lecz kiedy ujrzała ich nowe dziecko, natychmiast zaczęła tęsknić za Kicią. Jedynie u Tarletonów spędziła miłe chwile. W gospodarstwie wiodło się dobrze, zaś Mrs. Tarleton bez przerwy mówiła o klaczy, która się ożrebiła i o swych oczekiwaniach związanych z trzylatkiem.

Zwykle, nie wymagające zaproszeń i rewizyt sąsiedzkie odwiedziny zawsze były najbardziej urokliwym elementem powiatowego trybu życia.

Ale wyjeżdżała z Tary z uczuciem ulgi, szczęśliwa, że opuszcza to miejsce, które teraz przysparzało jej tyle bólu. Gdyby nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo Wade pokochał Tarę, serce by jej pękło i nie mogłaby się doczekać dnia odjazdu. Ale wyjeżdżając wiedziała przynajmniej tyle, że syn zajmie jej miejsce. W Atlancie spotkała się ze swym nowym prawnikiem i notarialnie przekazała swoje dwie trzecie Tary Wade'owi. Sporządziła testament. W przeciwieństwie do Papy i wuja Daniela nie chciała zostawić po sobie bałaganu. A gdyby Will umarł pierwszy, nie zaufałyby Zueli ani na krztę. Złożyła na dokumencie zdobny w długi zawijas podpis, po czym odetchnęła. Teraz była wolna.

Mogła wracać do Kici. Wiedziała: już na sam widok córeczki wszystkie rany się zasklepią. Gdy ją ujrzała, twarz Kici momentalnie się rozjaśniła, wyciągnęła rączki w jej stronę i nawet zniosła kilkanaście pocałunków - chciała być obejmowana i ściskana.

- Taka opalona... wygląda zdrowo...

- Nic dziwnego - odpowiedziała Maureen. - Ledwo się odwrócisz, a już zrzuca czapeczkę. Jest jak mała Cyganka, cieszy się każdą godziną...

- Dnia i nocy - uroczyście dokończyła Scarlett, jeszcze mocniej przyciskając Kicię.

* * *

Stefan udzielił Scarlett kilku instrukcji na drogę powrotną. Nie bardzo się to jej spodobało. Szczerze mówiąc, sam Stefan nie bardzo się jej podobał. Ale Colum powiedział, że on odpowiada za całą akcję, tak więc ubrała się w żałobę, a narzekania

zostawiła dla siebie.

Statek nazywał się *Złote Runo*, był świadectwem ostatnich dokonań sztuki skutniczej, gdy chodzi o komfort i luksus. Scarlett nie mogła powiedzieć marnego słowa na standard i wielkość kabiny, ale w końcu nie to stanowi o istocie rejsu przez Atlantyck. Podróż miała trwać o tydzień dłużej niż zazwyczaj. Scarlett zaś z niecierpliwością wyglądała Ballyhara - żniwa się zaczęły.

Właśnie przechadzała się po pokładzie, gdy zobaczyła szczegółowy Rozkład Rejsu. Rzut oka wystarczył, by opadło ją przekonanie, że nie powinna była wyprawiać się w drogę na pokładzie tego statku, nieważne, co mówił Stefan: *Złote Runo* zabierało pasażerów w Savannah, Charlestonie i Bostonie, zatrzymywało się w Liverpoolu i Galway.

Scarlett uległa panice do tego stopnia, że gotowa była zbiec po trapie z powrotem do portu. Przecież nie może płynąć do Charlestonu, to po prostu niemożliwe! Rett z pewnością się dowie, że przebywa na pokładzie statku - już on ma swoje sposoby i zawsze wie o wszystkim - a potem wdrze się do jej kajuty i porwie Kicię.

O, nie. Najpierw go zabiję. Strach ustąpił pod naporem wściekłości. Scarlett, już gotowa do zejścia, zawróciła na pokład. Rett Butler nie zmusi jej, by wzięła sromotny odwrót. Cały bagaż znajdował się już w luku, nie miała wątpliwości, że w jej walizach Stefan przemyca broń dla Columa. Polegali na niej. Zatem wróci do Ballyhara tak szybko, jak to tylko możliwe i nie pozwoli, by ktokolwiek wszedł jej w drogę.

Zanim wróciła do kajuty, jej wściekłość na Retta osiągnęła punkt kulminacyjny. To już ponad rok od dnia, gdy wziął rozwód i poślubił Annę Hampton. W tym czasie Scarlett tak była zajęta, tylu zmianom uległo jej życie, że nawet nie miała wolnej chwili, by dać upust bólowi, o jaki Rett ją przyprawił. Teraz jednak ból rozdzierał jej serce, a razem z bólem pojawił się głęboki strach przed niemożliwą do przewidzenia potęgą Retta. Ból i strach umiała przekuć na wściekłość. Wściekłość zawsze dodawała siły.

* * *

Z Savannah do Bostonu towarzyszyła Scarlett w rejsie Brygidka, dla której znaleziono w Bostonie posadę pokojówki. Dopóki Scarlett nie wiedziała że *Złote Runo* zawija do portu w Charlestonie, dopóty była z tego zadowolona. Teraz jednak na samą myśl o krótkim pobycie w Charlestonie zrobiła się tak nerwowa, że nieustanne szczebiotanie kuzyneczki przyprawiało ją o białą gorączkę. Czemuż ta Brygidka nie zostawi jej w spokoju? Pod wprawnym okiem Patrycji kuzynka nauczyła się wszystkiego, co należy do obowiązków dobrze ułożonej dziewczyny w służbie wielkiej

damy i teraz Brygidka usiłowała wypróbować wszystkie swe nowo nabyte umiejętności na Scarlett. Była więc srodze zawiedziona, gdy dowiedziała się, że Scarlett już nie zakłada gorsetu, tak jak o głębokie rozczarowanie przyprawił ją fakt, iż żadna z sukni Scarlett nie wymaga zacerowania. W końcu niewiele brakowało, by Scarlett pouczyła ją, że pierwszym obowiązkiem pokojówki jest mówić tylko wtedy, gdy ją zapytają, zmytygowała się jednak, bo podróż z Brygidką była dla niej - mimo wszystko - źródłem nieustannej radości, a przecież to nie wina dziewczyny, że statek zawija do Charlestonu. Zatem pilnie baczyła, by z twarzy nie schodził jej uśmiech i usiłowała zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

* * *

Statek popłynął wzdłuż wybrzeża nocą i o pierwszym świcie zawinął do charlestońskiego portu. Scarlett nie zmrużyła oka. O wschodzie słońca wyszła na pokład. Nad szerokimi wodami zatoki unosiła się różowa mgielka. Za nią, rozmazane i bezcielesne, rysowały się budowle miasta, jakby miasta ze snu. Biała iglica Świętego Michała zdała się być koloru najbledszego różu. Scarlett dała się porwać złudzeniu, że wśród miarowego dudnienia turbin słyszy znajomą grę kurantów z kościelnej wieży. Przy targu rybacy pewnie rozładowują ciężkie od ryb barki... chociaż nie, jeszcze za wcześnie, chyba dopiero dobijają do nabrzeża. Zmrużyła oczy, usiłując dostrzec coś we mgle, lecz jeśli nawet kutry rybackie cumowały przy brzegu, zasłona różu była zbyt gęsta, by je dostrzec.

Skupiła się na przywoływaniu z pamięci nazw różnych gatunków ryb, warzyw, imion kawiarek, nazwiska kielbaśnika - błahych wydarzeń i nieistotnych faktów. Chciała czymś się zająć, chciała czymś zatrudnić umysł, byleby tylko zatrzymać z dala od siebie wspomnienia, do których nie śmiała się zbliżyć.

Ale zaledwie słońce wspięło się nad linię horyzontu, różowa mgielka podniosła się i Scarlett ujrzała z jednej strony poorane kulami mury Fort Sumter. *Złote Runo* wpłynęło na wody, gdzie w pamiętnym dniu żeglowała z Rettem, gdzie oboje śmiali się z delfinów i gdzie zaskoczyła ich burza.

Diabli nadali! Nienawidzę go... jego i tego przeklętego miasta... jego Charlestonu...

Przykazywała sobie, że powinna pójść do kajuty, ukryć się, zabarykadować się z Kicią, tkwiła jednak przy burcie, jakby wrosła w pokład. Miasto z wolna przybierało na wielkości, budowle stawały się coraz to wyraźniejsze, w migotliwym powietrzu wczesnego ranka lśniły bielą, różem i zielenią, kładły się plamami pastelu. Teraz już naprawdę słyszała kuranty z wieży u Świętego Michała, czuła ciężką tropikalną słodycz

rozkwitłych kwiatów, widziała palmy w ogrodach White Point, opalizujące błyski muszelek, którymi wysypane były ścieżki. Potem statek przepłynął wzdłuż promenady przy East Battery. Z wysokiego pokładu Scarlett mogła sięgnąć wzrokiem nad falochronem. Ujrzała wysokie jak drzewa kolumny domu Butlerów, ukryte w cieniu balkony, drzwi frontowe, okna salonu, okna sypialni, gdzie spała... okna! I teleskop w pokoiku karcianym. Zawinęła suknię i uciekła.

Śniadanie poleciła podać do kajuty, nastawała, by Brygidka została razem z nią i Kicią. Tylko tu były bezpieczne, za zamkniętymi drzwiami, ukryte przed spojrzeniem niepowołanych oczu. Tu, gdzie Kicia była poza zasięgiem wzroku Retta, który - nie wiedząc o niej - nie mógł jej porwać.

Steward zasłał stół w saloniku olśniewająco białym obrusem, po czym wjechał wózkami, zastawionymi dwiema warstwami srebrnych nakryć. Brygidka chichotała, gdy steward precyzyjnie ustawiał talerze wokół umieszczonego pośrodku stołu flakonu pełnego kwiatów, bez chwili przerwy rozwodząc się nad Charlestonem. W jego opowiadaniu było jednak tyle błędów, że Scarlett nawet nie chciało się prostować. Zresztą steward był Szkotem, statek też był szkocki, któż by więc mógł wymagać, by dokładnie znał Charleston.

- Odpływamy o piątej po południu - powiedział. - Gdy tylko weźmiemy ładunek i zabierzemy nowych pasażerów. W tym czasie szanowne panie mogą się wybrać na wycieczkę do miasta.

Zaczął ustawiać półmiski i podnosić pokrywki.

- W porcie znam dorożkarza. Ma dobry wóz i wie, co warte obejrzenia. Wszystko za jedyne pięćdziesiąt pensów, albo, jak kto woli, dwa dolary pięćdziesiąt centów. Zbiórka u zejścia z trapu. A jeśli wolą panie zaczerpnąć świeżego powietrza, przy południowym nabrzeżu czeka statek spacerowy, który płynie w górę rzeki. Jakies dziesięć lat temu była w Ameryce wielka wojna domowa. Mogą panie obejrzeć sobie ruiny rezydencji spalonych przez walczące armie. Lecz jeśli mają panie na to ochotę, wskazany jest pośpiech. Statek odpływa za czterdzieści minut.

Scarlett próbowała zmusić się do przełknięcia kawałka grzanki, lecz stanął jej kością w gardle. Połączany zegar na biurku tykał, odmierzając minutę za minutą. Scarlett zdało się, że tyka zbyt głośno. Kiedy wreszcie minęło pół godziny, zerwała się z krzesła.

- Wychodzę - zawołała do Brygidki. - Ale niech ci nie przyjdzie do głowy przestąpić progu choćby o pół kroku. Otwórz luki, weź sobie wachlarz z liści palmowych, ale nie wychodź na pokład pod żadnym pozorem, choćby żar był niczym w piekarni. Każ sobie

podać do kabiny jeść i pić, na cokolwiek będziesz miała ochotę.

- A ty dokąd idziesz, Scarlett?

- Nieważne. Wrócę na czas.

* * *

Łódź spacerowa okazała się małym stateczkiem o napędzie na koło łopatkowe, pomalowanym w jasne kolory, czerwony, biały i niebieski. Na burcie było wypisane złotymi literami ABRAHAM LINCOLN. Tak, Scarlett dobrze pamiętała ten widok. Wtedy, stojąc na brzegu Dunmore Landing, widziała ten sam statek.

Lipiec nie był miesiącem, gdy ludzie chętnie podróżowali po Południu, dlatego Scarlett była jednym z kilkunastu zaledwie pasażerów. Siedziała w cieniu markizy na górnym pokładzie, wachlując się i klnąc w duchu, bowiem suknia poranna z jej długimi rękawami i wysokim karczkiem w południowym upale potęgowała jeszcze efekt piekarnika.

Mężczyzna w wysokim kapeluszu pomalowanym w białe i czerwone pasy wygłaszał przez tubę jakieś komentarze. Gniew Scarlett rósł z minuty na minutę.

Spójrzcie tylko na tych Jankesów o nalanych tłuszczem gębach - myślała z wściekłością. Biorą wszystko za dobrą monetę. A ten tutaj plecie im o okrutnych właścicielach niewolników! Dobre sobie! Bajaj sobie ile chcesz, mój ty panie gaduło. Kochaliśmy naszych czarnych jak własną rodzinę, a wielu z nich posiadało nas nie w mniejszym stopniu niż my ich. *Chata wuja Toma*. Też mi coś! Nikt przyzwoity nie czyta tego plugastwa.

Już żałowała, że za porywem uczucia dała się skusić na tę przejażdżkę. Tylko stargała sobie nerwy. A przecież jeszcze nie wypłynęli z portu, jeszcze nie wpłynęli w koryto Ashley River.

Szczęśliwie, komentator szybko wyczerpał temat i przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, było dudnienie tłoków oraz pochłupywanie spadającej z łopatek wody. Bagienna trzcina stała się przed brzegami zielono - złotym dywanem, wzdłuż brzegów rosły dęby. Ważki przesywały ciężkie upałem powietrze nad sitowiem, niekiedy srebrnołuska ryba zatoczyła łuk nad wodą i znikła w głębinach. Scarlett siedziała jak posąg, z dala od reszty pasażerów, w ciszy hołubiąc swój gniew. Plantacja Retta obrócona w perzynę, a on nic, tylko te kamelie! Kamelie! W Ballyhara, tam, gdzie przed rokiem zastała dzikie chaszczce, teraz ma setki akrów urodzajnej ziemi. Dźwignęła z ruin całe miasto... a on nic, tylko siedział i patrzył na wypalone kominy.

Oto i cała przyczyna, dla której zdecydowała się wsiąść na ten stateczek. Dobrze jej

zrobi, kiedy naocznie się przekona, jak bardzo go wyprzedziła. Scarlett z napięciem spoglądała na brzeg za każdym razem, gdy rzeka brała zakręt, lecz gdy stwierdziła, że to jeszcze nie Dunmore Landing, oddychała z ulgą.

I pomyśleć, zapomniała o Gnieździe Ashleyów. Wielki, kanciasty dom Julii Ashley wyłonił się nagle na którymś zakręcie, posepny, wspaniale górujący nad gładką płaszczyzną trawnika.

- To jedyna plantacja, której nie zniszczyły dzielne wojska Unii - wrzasnął człowieczek w groteskowym kapeluszu. - Nadto czułe serce miał dowódca naszych dzielnych chłopaków, by znęcać się nad kruchą kobietą, właścicielką posesji, która wówczas chora leżała w domu. Słabowita stara panna.

Scarlett wybuchła śmiechem. Też mi... „Słabowita stara panna”! Niechbyś tylko zobaczył Miss Julię, gawędziarzu!

Pasażerowie zerknęli w jej stronę, lecz Scarlett nawet nie zauważyła ich ciekawskich spojrzeń. Już wkrótce Dunmore Landing...

Tak, oto i kopalnia. O, znacznie większa niż wtedy, gdy ją widziała po raz pierwszy! Właśnie ładowano fosforyt, u brzegu czekało zacumowanych pięć barek. Na nabrzeżu stał jakiś mężczyzna w kapeluszu o szerokim rondzie. Spojrzała, usiłując dostrzec twarz. Tak, to ten żołdak... jak mu tam, nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska... może Hawkins... nieważne. Za tym zakrętem, za tym wielkim dębem...

Słup promieni słonecznych przebił się zza chmur, a w strudze światła wielkie trawiaste tarasy Dunmore Landing sprawiały wrażenie gigantycznych schodów obitych zielonym aksamitem, na których dwa jeziora w kształcie motyli skrzydeł wyglądały niczym cekiny. Mimowolny okrzyk zachwytu, który wyrwał się z piersi Scarlett, zginął wśród krzyków tłoczących się przy okalającej burtę barierce Jankesów. U szczytu tarasów opalone kominy sprawiały wrażenie smukłych wartowników, nad których głowami było już tylko niebo, jasnoblękitne aż do bólu. Na grobli między jeziorami wygrzewał się krokodyl. Dunmore Landing było jak jego właściciel: zadbane, zranione, niebezpieczne. I nieosiągalne. W oknach skrzydła ocalałego z pożaru, tego, gdzie Rett miał biuro i dom, widać było zamknięte okiennice.

Scarlett chciwie wodziła wzrokiem z miejsca na miejsce, porównując obrazy pamięci z tym, co widziała. Najbardziej rzucał się jej w oczy ogród, w większej części oczyszczony z chwastów - sprawiał wrażenie uprawianego. Za ruinami widać było jakąś nową budowlę. Scarlett dobiegł ostry zapach ciętych tarcic, z miejsca, gdzie stała, widziała szczyt dachu. Także tutaj widać było okiennice, mocno osadzone na

zawiasach, może nawet nowe. Nie wisały bezwładnie, jak kiedyś, lśniły zielenią farby. Tak, na jesieni i w zimie zrobił kawał dobrej roboty.

On... albo oni. Scarlett usiłowała oderwać wzrok od Dunmore Landing. Nie chciała oglądać wypielegnowanego ogrodu. Anna kochała kwiaty nie mniej niż Rett. Nowe, mocne okiennice świadczyły o trwałości domu, gdzie oboje mieszkali. Ciekawe, czy Rett robił śniadanie dla żony?

- Nic pani nie jest? - usłyszała, przepychając się przez tłumek podróżnych.

- Ach, ten upał... - westchnęła mocno niepewnym głosem. - Muszę schronić się w cieniu.

Resztę podróży spędziła spoglądając jedynie na nierówno pomalowane deski pokładu. Dzień zdał się nie mieć końca.

Wybiła piąta, gdy Scarlett zbiegła z trapu *Abrahama Lincolna*. W głowie miała zupełny chaos. Przekłęta łajba! Na nabrzeżu przystanęła dla złapania oddechu. Widziała, że na *Złotym Runie* jeszcze nie podniesiono trapu. W porządku, nic się nie stało. W każdym razie człowieka odpowiedzialnego za tę przejażdżkę należałoby rozwłóczyć koźmi. Od czwartej odchodziła od zmysłów, przerażona, że *Złote Runo* odpłynie bez niej.

- Dziękuję, że zechciał pan na mnie poczekać - wydyszała do oficera pokładowego, kiedy już była u szczytu trapu.

- Och, nie pani jedna się spóźniła - odparł. W tej samej chwili Scarlett obróciła swój gniew na kapitana *Złotego Runa*. Jeśli mówił, że statek odpłynie o piątej, to znaczy, że o piątej i ani minuty później. Im wcześniej opuszczą Charleston, tym lepiej dla niej. Chyba nie ma takiego miejsca na powierzchni ziemi, gdzie żar z nieba dotkliwiej dawałby się we znaki. Przysłoniła oczy dłonią i zadarała głowę do góry. A ni chmurki. Ni deszczu, ni śladu wiatru. Tylko upał. Spojrzała na drzwi swojej kabiny. Biedna Kicia. Chyba się ugotowała. Gdy tylko wypłyną z portu, wyniesie ją na pokład. Chyba można mieć nadzieję na leciutki podmuch wiatru, w końcu statek będzie w ruchu.

Jej uwagę zwróciło stukanie podków i kobiecy śmiech. Może to właśnie ktoś, na kogo czekali. Spojrzała na nabrzeże, gdzie właśnie zatrzymał się otwarty powóz. Bajeczne kapelusze. Trzy. Nawet z tej odległości mogła stwierdzić, że bardzo drogie. Nigdy jeszcze takich nie widziała: szerokie rondo zdobne w pióra powiązane w pęki, ułożone w pióropusze spięte połyskującymi klejnotami, otoczone mgiełką zwiewnych tiuli. Z perspektywy Scarlett kapelusze wyglądały niczym cudowne parasole lub fantastyczne ozdoby na tortach, podanych na tacach wielkości młyńskich kół.

Ależ bym wyglądała w czymś takim na głowie! - westchnęła w duchu. Lekko wychyliła się przez barierkę, chciwa widoku twarzy ukrytych w cieniu. Choć upał okropny, kobiety były ubrane elegancko w bladą organdybę, woale przytrzymywane wstążkami - czyżby z jedwabiu?... może to kryza? - na gorsach i - tu Scarlett zmrużyła oczy - ani śladu tiurniury, nawet bez trenu. Nigdy nie widziała czegoś podobnego, ni w Savannah, ni w Atlancie. Kim są te kobiety? Aż pożerała wzrokiem bladokremowe rękawiczki, złożone parasolki... to chyba z koronki - pomyślała, lecz nie była tego pewna. Kimkolwiek były te osoby, niewątpliwie dobrze się bawiły: śmiały się i chociaż statek z ich powodu nie mógł odpłynąć nie było widać, żeby się spieszyły.

Wraz z nimi wysiadł mężczyzna w panamie. Lewą dłonią zdjął z głowy kapelusz,

prawą rękę wyciągnął w stronę pierwszej z pań.

Scarlett zacisnęła palce wokół barierki. Jezus Maria, to Rett. Muszę się ukryć w kabinie. Albo nie. Kiedy wejdzie na pokład, zabiorę Kicię, znajdę jakąś kryjówkę... albo jeszcze lepiej, wsiądę na inny statek. Tylko że to niemożliwe. Przecież mam w ładowni dwa kufry z plisowanymi spódnicami, między którymi Stefan poukładał broń dla Columa. Na miłość Boską, co tu począć? W głowie kłębiło się jej od pomysłów, jeden bardziej nieprawdopodobny od drugiego. Jak zahipnotyzowana spoglądała na grupę na nabrzeżu.

Do jej świadomości powoli docierał sens sceny rozgrywającej się u wejścia na trap: Rett kłaniał się, całował rączki pięknie ubranych pań, jedną po drugiej. Do Scarlett docierało powtarzane przez kobiety „do widzenia, dziękuję”. Zatem to one odpływały, on tylko je odprowadzał. Kicia była bezpieczna.

Ale nie Scarlett. Fala wściekłości odpłynęła, razem z nią opuściła ją także przezorność. Głos serca wziął górę.

Nie widzi mnie. Mogę patrzeć sobie na niego do woli. Proszę, proszę, Rett, nie zakładaj kapelusza, nie zasłaniaj twarzy.

Jak dobrze wygląda, opalony na brązowo, w olśniewającym uśmiechu ukazywał białe zęby - równie białe jak lniany garnitur. To chyba jedyny mężczyzna na świecie, który tak umie nosić lniane rzeczy, że zawsze wyglądają jak prosto spod żelazka. Aha... ten pukiel włosów, ten sam, który zawsze przyprawiał go o irytację, znowu opadł mu na czoło. Rett odgarnął go dwoma palcami, gestem jakże dobrze znanym Scarlett, wyzwalającym tyle obezwładniających wspomnień. Co on mówi? Coś nad wyraz czarującego, tego była pewna, lecz niczego nie mogła dosłyszeć, ponieważ mówił tym miękkim, aksamitnym głosem, cichutko, jak zwykle, gdy rozmawiał z kobietami. Bierz go diabli. Bierz diabli te kobiety. Chciałaby słyszeć, jak mówi szeptem do niej, wyłącznie do niej.

Kapitan statku zszedł po trapie, poprawiając w drodze błyszczący złotymi epoletami mundur. „Nie ponaglaj ich!” - chciała krzyknąć. Pozwól im porozmawiać trochę dłużej. Niech stoją, niech jeszcze trochę postoją. To moja ostatnia szansa. Nigdy go już nie zobaczę. Niechaj ten widok na zawsze odcisnie się w mej pamięci.

Chyba właśnie był u fryzjera, nad uszami ma cieniutką, bladą linię świeżo przystrzyżonych włosów. Siwe... czy bardziej siwe niż nad skroniami? Wygląda to bardzo nobliwie - srebrne niteczki na kruczoczarnym tle. Kiedy ich dotykałam, były zarazem sztywne i miękkie. I te mięśnie grzbietu i ramion, łagodnie drgające pod

gładką powierzchnią skóry, napinającej się, gdy twardniały. Chcę...

Powietrze przeszył przenikliwy ryk syreny. Scarlett drgnęła. Usłyszała szybki tupot stóp, potem dudnienie wciąganego trapu. Nie spuszczała oczu z Retta. Uśmiechał się, spoglądał gdzieś na prawo od niej, spoglądał na górny pokład. Widziała jego czarne oczy, ostro zarysowane brwi i nieskazitelnie utrzymany wąs. Twarde, emanujące męskością, niezapomniane rysy twarzy pirata.

- Kochany - szepnęła. - Ma miłości.

Rett uklonił się. Statek odpływał od nabrzeża. Rett założył kapelusz, pomachał dłonią, kciukiem przesunął panamę bardziej do tyłu.

Nie odchodź! - krzyczało jej serce.

Odwrócił się, zrobił parę kroków i nagle obejrzał się przez ramię, jakby posłyszał czyjś krzyk. Skrzyżowali się spojrzeniami, jego gibkie ciało jakby zamarło w pół ruchu. Przez długą, bezmiernie długą chwilę, spoglądali na siebie, podczas gdy odległość między nimi rosła z każdą sekundą. A potem Rett uniósł dwa palce do ronda kapelusza i wyraz łagodnej uprzejmości rozjaśnił mu twarz. Scarlett uniosła dłoń.

Ciągle tak stał na brzegu, nawet jeszcze wtedy, gdy statek skierował się w stronę kanału, skąd droga wiodła na otwarte morze. Gdy Scarlett straciła go z widoku, bezwładnie opadła na krzesło.

* * *

- Nie bądź głupia, Brygidko, steward usiądzie tuż przed drzwiami. Jeżeli Kicia będzie się wiercić, przyjdzie i nam powie. Nie rozumiem, dlaczego miałabyś nie pójść do salonu. Przecież trudno co wieczór jeść obiad w kajucie.

- Mam swoje powody, kuzynko Scarlett. Nie czuję się swobodnie wśród tych wytwornych dam i dżentelmenów, zwłaszcza gdy mam udawać, że jestem jedną z nich.

- Powiadam ci, moja droga, wcaleś od nich nie gorsza.

- Słyszę, kuzynko Scarlett, słyszę, tylko ty nie chcesz mnie wysłuchać. Wolę zjeść tutaj, w kabinie, z talerzy przykrytych srebrnymi pokrywami, tak, jak umiem. Już niedługo będę musiała iść tam, gdzie moja pani mi rozkaże i robić to, co każe mi zrobić. Jest więcej niż pewne, że niewiele będę miała okazji jadać na osobności, dlatego chcę się tym nacieszyć, póki czas.

Scarlett nie mogła nie uwzględnić tego rodzaju argumentacji. Sama jednak nie mogłaby znieść myśli o obiedzie w kabinie, w każdym razie nie teraz. Wiedziała, że jeśli w tłumie podróżnych nie znajdzie tych kobiet, które Rett odprowadzał na statek, to chyba oszaleje.

To są Angielki - przemknęło jej przez myśl, zaledwie przestąpiła próg okrętowego salonu. Angielska wymowa dominowała przy kapitańskim stole.

Poprosiła stewarda o zmianę miejsca. Wolała usiąść przy stoliku pod ścianą, skąd dobrze było widać stół kapitański.

Siedziało przy nim czternaście osób: dwunastu Anglików, kapitan i pierwszy oficer. Choć Scarlett miała czułe ucho i jej zdaniem wymowa pasażerów odbiegała nieco od akcentu, z jakim mówili oficerowie, uznała, że wszyscy są Anglikami, wobec czego każdy, w którego żyłach płynęła choć kropla irlandzkiej krwi, był w obowiązku mieć ich w głębokiej pogardzie.

Rozmawiano o Charlestonie. Szybko zorientowała się, że miasto na nikiem nie wywarło wielkiego wrażenia.

- Boże drogi - westchnęła jedna z kobiet - nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie ponurego. Jak to możliwe, by moja droga mama opowiadała mi, że jest to jedyne cywilizowane miejsce w całej Ameryce! Aż mi przykro, że nie zwróciliśmy uwagi na tę ich chorobliwą obsesję.

- Ależ Saro - odezwał się mężczyzna z lewej. - Nie zapominaj, że całkiem niedawno temu trwała tu wojna. Uważam, że mężczyźni zachowują się tu nader przyzwoicie. Spłukani do ostatniego szylinga nawet słówkiem ci o tym nie wspomną. No i likier mają tu pierwszej klasy. Piwo słodowe w klubie też było znakomite.

- Geoffreyu, mój drogi, w twoich oczach to i Sahara zasługiwałaby na miano miejsca cywilizowanego, gdybyś tylko znalazł tam klub, gdzie podają zdatną do picia whisky. Bóg jeden wie, czy jest na ziemi miejsce, gdzie bywają większe upały niż tam. Okropny klimat.

Rozległy się zgodne potakiwania.

- Z drugiej jednak strony - wtrącił jakiś młody kobiecy głos - ten zabójczo atrakcyjny Butler twierdzi, że zimy w Charlestonie bywają urocze. Zapraszał nas do powtórnych odwiedzin.

- Jestem pewna, że zaproszenie wystosował zwłaszcza pod twoim adresem, Felicyno - powiedziała starszawa pani. - Zachowywałaś się haniebnie.

- Ależ Franciszko, co ja takiego zrobiłam? - zaprotestowała oskarżona. - Po prostu chciałam się dobrze zabawić, a była to pierwsza i jedyna okazja podczas tej okropnej podróży. Nie pojmuję, po co papa wysłał mnie do Ameryki. Obrzydliwy kraj.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Wysłał cię, droga siostrzyczko, żebyś trzymała się z dala od szponów tego łowcy

posagów.

- Ale on taki przystojny... Nie pojmuję, dlaczego miałbyś dawać kosza każdemu przystojnemu Anglikowi tylko dlatego, że nie jest dość bogaty.

- W ostateczności to nie on miałby dawać mu kosza, lecz ty, droga Felicyto - zauważyła któraś z dziewcząt. - Zresztą nic w tym trudnego. Pomyśl tylko o swoim biednym braciszku. Łowi bogate Amerykanki niczym muchy na miód i poślubia, by napęłniać rodzinne szkatuły.

Roger jęknął. Wszyscy się roześmiali.

No, powiedzcie jeszcze coś o Recie - milcząco domagała się Scarlett.

- Dla uczciwej szlachty nie ma tu rynku - zauważył Roger. - Bogate Amerykanki domagają się od razu księżęcych tiar. Niestety, papa nie może w to uwierzyć.

Starszawa dama o imieniu Franciszka oświadczyła, że są niewdzięczni wobec ojca i że nie może zrozumieć, czego właściwie chcą dzisiaj młodzi ludzie.

- Gdy byłam podlotkiem... - zaczęła.

Felicyta złośliwie zachichotała.

- Czcigodna Franciszko - przerwała jej w pół zdania. - Gdy byłaś podlotkiem, na świecie nie było jeszcze młodych ludzi. Twoje pokolenie rodziło się od razu z czterdziestką na karku i potępiało w czambuł wszystko jak leci.

- Felicyto, trudno mi dłużej tolerować twoje impertynencje. Porozmawiam na ten temat z twym ojcem.

Nagle zapadła cisza. Dlaczego ta Felicyta nie powie czegoś więcej na temat Retta?

Z pomocą pospieszył jej Roger. Butler - powiedział - zaprasza na jesieni na łowy. Na zarośniętych trawą polach ryżowych wprost roi się od kaczek, właściwie to pchają się pod lufę.

Do Scarlett docierały fragmenty rozmów, które usiłowała skleić w całość. Kto to płaci po dwa centy za kaczkę? Chyba inni Anglicy. O polowaniu rozprawiano przez większą część wieczoru. Scarlett już myślała, że chyba byłoby lepiej, gdyby została z Brygidką, gdy do jej uszu dotarły strzępy prowadzonej przyciszonym głosem rozmowy między Felicytą a jej siostrą, której na imię było Małgosia. Obie były zdania, że Rett to najbardziej intrygujący mężczyzna, jakiego zdarzyło się im spotkać. Scarlett słuchała tego z mieszanymi uczuciami, wśród których raz brała górę ciekawość, raz duma.

- Szkoda, że tak uwielbia swą żonę - rzekła Małgosia. Scarlett serce omdlało.

- Mdława istotka - dodała Felicyta. Scarlett od razu poczuła się trochę lepiej.

- Rozwodnik, jak słyszałam. Ożeniony po raz drugi. Mówił ci ktoś o tym? Był już

żonaty, miał za żonę absolutną piękność, ale uciekła z jakimś innym i Rett został na lodzie. Nigdy nie mógł się z tego otrząsnąć.

- Na Boga, Małgosiu, to jak przystojny musiał być ten drugi, skoro rzuciła dla niego Butlera?

Scarlett uśmiechnęła się pod nosem. Była niezwykle szczęśliwa słysząc, jak wieść gminna głosi, że to ona porzuciła Retta, a nie odwrotnie.

Teraz czuła się o wiele lepiej. Mogła sobie nawet pozwolić na deser.

* * *

Następnego dnia angielskie towarzystwo odkryło istnienie Scarlett. Trójka młodych ludzi zgodziła się, że jest to osoba cudownie romantyczna, taka tajemnicza młoda wdowa.

- Piekielnie śliczniutka - dodał Roger. Na co siostry zawołały, że chyba oczy postradał. Błada karnacja, ciemne włosy, szmaragdowe oczy... nie dość, że „śliczniutka”. Porywająco piękna! Gdyby tylko ubrała się w coś porządnego, wszystkim mężczyznom mogłaby zawrócić w głowie, dokądkolwiek by się udała. Postanowili, że „przyjmą ją do towarzystwa”. Pierwszego zbliżenia dokonała Małgosia, głośno wyrażając swój zachwyt dla Kici, która na pokładzie zażywała wraz ze Scarlett świeżego powietrza.

Scarlett bardziej niż chętnie dała się „przyjąć”. Chciała bowiem poznać wszystkie szczegóły ich pobytu w Charlestonie, prześledzić każdą godzinę. Nie przyszło jej z trudem wymyślić odpowiednio tragiczną historię swego małżeństwa i ciężkiej żaloby, czym zaspokoila melodramatyczne gusta Anglików. Roger zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Matka uczyła Scarlett, że jedną z cnót prawdziwej damy jest dyskrecja we wszystkim, co się tyczy spraw rodzinnych. Nie bez przerażenia zatem przysłuchiwała się Felicycie i Małgosi Cowperthwaite'ównym, które już pierwszego dnia znajomości odsłoniły przed nią najskrytsze, zdałoby się, tajniki życia rodzinnego. Ich matka - jeśli im wierzyć - to kobieta piękna i na tyle sprytna, że udało się jej podstępem przywieść swego obecnego męża do małżeństwa. Udała bowiem, że została stratowana przez konia, którym wybrała się na przejażdżkę.

- Biedny Pa ma tak słaby wzrok - roześmiała się Małgosia - że od razu obieżyły go najczarniejsze myśli i poczuł się mordercą. Mama miała bowiem rozerwaną suknię, było jej widać gołe piersi. Ale my obie jesteśmy przekonane, że sama ją sobie rozdarła, jeszcze nim wyszła z plebanii. Poślubiła go piorunem, jeszcze nim zdążył zrozumieć, co

się właściwie stało.

Ku tym większemu zmieszaniu Scarlett, Felicyta i Małgosia były damami. Ale nie takimi zwykłymi „ladies” w opozycji do „kobiety”. Przysługiwały im tytuły „Lady Felicyty” i „Lady Małgosi”, były bowiem córkami Jego Lordowskiej Mości.

Także Franciszka Sturbridge - ich przyzwoitka - była „Lady”, ale zaledwie Lady Sturbridge, nie Lady Franciszką, albowiem była żoną „zaledwie baroneta”.

- Nawet gdybym wyszła za mąż za lokaja, a Małgosia zbiegłaby z domu z czyścibutem, i tak pozostałybyśmy Lady Felicytą i Lady Małgosią, choćby przyszło nam mieszkać w bristolskich kloakach, gdzie nasi mężowie, dla utrzymania rodziny, okradaliby puszkę z ofiarami dla biednych.

Scarlett mogła odpowiedzieć jedynie perlistym śmiechem.

- Dla mnie to zbyt skomplikowane - przyznała.

- Ależ moja droga - zdumiała się Felicyta. - To i tak jeszcze pestka. Cóż znaczy nasza nudna rodzinka w porównaniu z wszystkimi gałęziami wielkiego rodu. Kiedy zaczniesz się zagłębiać w szczegóły w rodzaju, kto jest wdową lub wdowcem po kim, gdy zaczniesz brać pod uwagę wszystkie wicehrabiątka i żony wnuków to tak, jakbyś weszła do labiryntu. Mama, nim wyda proszony obiad, zawsze musi zasięgać rady, gdzie kogo posadzić przy stole, w przeciwnym razie popełni gafę i obraza murowana. Po prostu nie godzi się sadzać młodszego syna Jego Lordowskiej Mości, czyli na przykład Rogera, na gorszym miejscu niż taką Franciszkę. No tak. Słów brak na te bzdury.

Panny Cowperthwaite były bardziej niż trochę lekkomyślne i roztrzepane, zaś Roger odziedziczył po ojcu krótkowzroczność, stanowili jednak urocze i bardzo miłe trio i na pierwszy rzut oka Scarlett przypadła im do gustu. Zabawiali ją przez całą drogę, a gdy wysiedli w Liverpoolu, szczerze żałowała.

Do Galway miała jeszcze dwa dni rejsu. Teraz już nie mogła odkładać na potem myśli o spotkaniu z Rettem - spotkaniu, które właściwie wcale nie było spotkaniem.

Ciekawe, czy i on przeżył podobny wstrząs, gdy skrzyżowali się spojrzeniami? Scarlett czuła to tak, jakby cały świat poza nimi przestał istnieć, jak gdyby byli sami w tej przestrzeni i czasie, oddzieleni od wszystkiego i wszystkich. Wprost niemożliwe, by nie odwzajemniał tego samego przywiązania, które ona poczuła zaledwie go ujrawszy. A może?...

Rozmyślała i martwiła się, a ukojenie przyszło dopiero w chwili, gdy dała się ponieść złudzeniu, że to wszystko był tylko sen lub fantazja.

Dopiero, gdy *Złote Runo* wpłynęło na wody Zatoki Galway, była w stanie dołączyć

to wspomnienie do innych, jakże cennych wspomnień o życiu razem z Rettem. W ten sposób odsunęła je do głębokich pokładów pamięci - teraz czym innym musiała się zająć. Czekala Ballyhara, zbliżał się czas próby.

Najpierw jednak musiała zdobyć się na uśmiech i jakoś przemknąć obok celników z walizami pełnymi broni. Colum czekał.

Po miłych chwilach, które spędziła z Cowperthwaite'ami, trudno było przypomnieć sobie, że Anglicy to tacy źli ludzie.

Colum czekał przy zejściu z trapu. Nie spodziewała się, że to on po nią wyjdzie, wiedziała jedynie tyle, iż ktoś ma na nią czekać, by po zejściu ze statku przejąć opiekę nad walizami. Widząc jego szczupłą sylwetkę w czarnej sutannie, widząc jego uśmiechniętą twarz, Scarlett na dobre poczuła, że jest w domu. Kontrola celna minęła bez przygód. Jedyne pytania, na które musiała odpowiedzieć, były w rodzaju „I co tam słyhać w Ameryce?” oraz „Ile ma lat ta śliczna dziewczynka?” na co Scarlett odpowiedziała, że w Ameryce upał nie do wytrzymania, że Kicia za trzy miesiące skończy roczek i że właśnie próbuje stawiać pierwsze kroczki.

Bitą godzinę trwała jazda z portu na stację kolejową. Scarlett nigdy jeszcze nie widziała takiego ruchu, nawet w Pięciu Znakach nie zdarzały się podobne korki. Colum wyjaśnił, że to z powodu Wyścigu Galway. Zanim Scarlett zdołała sobie przypomnieć, co przeżyła w Galway rok temu, Colum zarzucił ją szczegółami: zatem co roku, w lipcu, przez pięć dni odbywały się zwykle gonitwy i biegi z przeszkodami. Dzięki temu milicja i konstable zbyt byli zajęci w mieście, by zbijać baki w porcie i okolicach. Oprócz tej dobrej, miał jeszcze złą wiadomość: podczas Wyścigu za żadną cenę nie można dostać miejsca w hotelu. Dlatego popołudniowym pociągami pojedą do Ballinasloe, gdzie spędzą noc. Scarlett wołała pojechać prosto do Mullingar. Bardzo stęskniła się za domem.

- Jak tam pola, Colum? Pszenica dojrzała? Już po sianokosach? A ładne mieliście słońce? Co z brykietami? Starczyło? Dobrze wyschły? Dobrze się pałą?

- Poczekaj, a przekonasz się na własne oczy, droga Scarlett. Jestem przekonany, że stan rzeczy w Ballyhara uznasz za zadowalający.

Scarlett była bardziej niż zadowolona. Mieszkańcy miasteczka wystawili bramy powitalne, umajone zielenią, przybrane złotymi wstążkami. Sami stali obok, powiewając chustkami do nosa, wymachując kapeluszami.

- Och, dziękuję, dziękuję, dziękuję - wykrzykiwała z powozu, oczy mając mokre od łez.

We Dworze Mrs. Fitzpatrick, trzy źle dobrane pokojówki, cztery mleczarki i stajenni stanęli w powitalnym szpalerze. Scarlett z trudem zdołała się pohamować, by nie wyciskać Mrs. Fitz. Ale zgodnie z wszelkimi regułami potraktowała gospodynię jak należy, to znaczy z godnością. Za to Kicia nie musiała się trzymać żadnych reguł. Wyciągnęła rączki do Mrs. Fitz i natychmiast została porwana w czułe objęcia.

Nie minęła nawet godzina, gdy Scarlett, przebrana w swe wieśniacze suknie, z Kicią

w ramionach wybiegła zobaczyć, co słyhać na polach. Ruch na świeżym powietrzu dobrze jej służył, wreszcie mogła rozprostować kości. Zbyt wiele godzin, dni, tygodni spędziła siedząc, a to na statkach, a to w pociągach, w biurach i przy stołach u różnych ludzi. Teraz chciało się jej chodzić, schylać się, biegać, tańczyć. **Ta O'Hara** wróciła do domu. Zza postrzępionych obłoków wyglądało irlandzkie słońce, płoszone od czasu do czasu przez chłodzące, łagodne deszczyki.

Na łąkach stały pachnące stogi siana wysokie na siedem stóp. Scarlett wygrzebała w jednym z nich grootę i wczłogała się do środka wraz z Kicią - bawiły się „w dom”. Kicia krzyczała radośnie, gdy zepchnęła na głowę mamy część „dachu”. Potem, gdy od wirujących w powietrzu pyłków zaczęło kręcić ją w nosie, rozkichała się głośno. Wreszcie zachciało się jej spróbować, jak smakuja wyschnięte źdźbła siana. Skrzywiła się z niesmakiem tak wielkim, wypluła je tak szybko, że aż Scarlett wybuchła gromkim śmiechem. Kicia zrobiła bardzo niezadowoloną minę, Scarlett roześmiała się tym głośniej.

- Dobrze zrobisz, Miss Kiciu, gdy przyzwyczaisz się, że się z ciebie śmieją - powiedziała. - Mała głupiutka dziewczynka uszczęśliwia mamusię, a kiedy ludzie są szczęśliwi, głośno się śmieją. Kiedy Kicia zaczęła ziewać, Scarlett zabrała ją z powrotem do domu.

- Póki śpi, wyjmij jej z włosów źdźbła siana - poleciła Peggy Quinn. - Wrócę w samą porę, by zdążyć ją nakarmić i wykapać.

Poszła do stajni, przerwała koniom pełne głębokiego spokoju przeżuwanie, siadła jednemu na grzbiet - na oklep, bez siodła - i wyjechała na drogę do Ballyhara.

Zmierzch już zapadał, leniwy i senny. Pola pszenicy ciągnęły się złotym pasem, choć wieczór kładł się błękitną poświatą. Ciężkie od ziarna kłosa zapowiadały dobry urodzaj. Scarlett objechała miasteczko i uprawy, a gdy obejrzała całą posiadłość, wróciła do domu zadowolona. Ballyhara prawdopodobnie nigdy nie przyniesie jej zysku tak wysokiego, jaki czerpała ze sprzedaży domów na peryferiach Atlanty, lecz w końcu nie tylko pieniądze dostarczają powodów do zadowolenia. Ziemia O'Harów znowu przynosiła owoce. Odzyskała własność swego rodu - wprawdzie na razie tylko częściowo, lecz w przyszłym roku pod uprawą znajdzie się parę akrów więcej, w następnym jeszcze parę i tak dalej.

* * *

- Dobrze jest wrócić w końcu na stare śmiecie - rzekła Scarlett do Kasi, do której wpadła zobaczyć, co słyhać, następnego dnia rano. Usiadła, zadowolona z samej

siebie, tuż przy piecu, Kicia raczkowała po podłodze, poznając coraz to nowsze kąty. Wkrótce w półotwartych drzwiach zaczęły się pokazywać głowy mieszkańców Adamstown, ciekawych, co słychać w Ameryce, u Brygidki i wszystkich innych.

- Przywiozłam dobry milion wiadomości i pozdrowień dla każdego - oznajmiła Scarlett.

Nim w południe zadzwonili na Anioł Pański, kobiety rzuciły się steżką do osady, zaś na drodze z pola ukazali się mężczyźni, powracający na obiad. Do chaty Danielów przyszli wszyscy z wyjątkiem Seamusa i, oczywiście, Seana, który zawsze jadał w małym domku obok, tam, gdzie kiedyś mieszkała babka. Scarlett nawet nie zauważyła ich nieobecności, pochłonięta witaniem się z Tomaszem, Patrykiem i Tymoteuszem. Później jeszcze musiała przekonać Kicię, żeby jednak zrezygnowała z pomysłu jedzenia zupy wielką łyżką dla dorosłych.

Zaledwie jednak mężczyźni wstali od stołu, Kasia zaczęła opowiadać, jak wiele się zmieniło podczas jej nieobecności.

- Przepraszam, że to mówię, ale Seamus wziął ci za złe, że nie poczekałaś do jego ślubu.

- Sama tego żałuję - odpowiedziała Scarlett. - Ale nie mogłam dłużej zwlekać z podróżą. Seamus powinien o tym wiedzieć. Miałam w Ameryce wiele spraw do załatwienia.

- Mam wrażenie... - dodała Kasia - że to nie tyle Seamus, ile raczej jego Gochna nie może ci tego zapomnieć. Zauważyłaś, że nie było jej wśród odwiedzających?

Rzeczywiście, przyznała Scarlett, nawet nie zauważyła. No tak, ale tylko raz w życiu widziała się z Gochną, na dobrą sprawę wcale jej nie znała. Jaka jest ta żona Seamusa?

Kasia bardzo ważyła słowa. Gochna, to jest Maria Małgorzata, to kobieta bardzo obowiązkowa, dom utrzymuje we wzorowym porządku, gotuje wyśmienicie, a choć chatka, gdzie zamieszkała z mężem i Seanem, jest bardzo mała, dba o wszelkie wygody dla obu mężczyzn. Scarlett wyświadczyłaby im trojgu ogromną uprzejmość, gdyby pierwsza poszła złożyć wizytę, nie zapomniawszy wyrazić podziwu dla doskonałości gospodarstwa i pewnej ręki gospodyni. Maria Małgorzata tak jest czuła na punkcie swej godności osobistej, że nim kogokolwiek odwiedzi, czeka, aż samemu przyjdzie się do niej z wizytą.

- Mój ty Boże - zdumiała się Scarlett. - To bardzo głupio z jej strony. Dobrze, pójde do niej w gości, ale będę musiała obudzić Kicię.

- Zostaw ją u mnie, rzucę na nią okiem. Muszę pocerować ubrania. Lepiej będzie,

gdy sama tam pójdziesz.

Oj, coś mi się wydaje, że Kasia nie kocha tej panny - pomyślała Scarlett. Ciekawe. W dodatku Gochna, choć mieszka o kilka kroków, prowadzi osobne gospodarstwo, a przecież wygodniej byłoby gotować w chacie Danielów, gdzie jest miejsce, żeby się swobodnie ruszać. W każdym razie mogłyby przynajmniej razem gotować obiad. Też mi coś, punkt honoru! Jaka to strata czasu i energii, gotować dwa obiady zamiast jednego. Przyszło jej do głowy, że chyba też nie polubi Gochny, ponieważ jednak nie chciała niczego z góry przesądzać, postanowiła być uprzedzająco miła. W końcu to wcale nie takie łatwe wejść do rodziny, w której wszyscy od lat już się zżyli, zaś sama aż nazbyt dobrze poznała na własnej skórze, jak się czuje człowiek uznany za intruza.

Trudno jednak było zachować sympatię dla Marii Małgorzaty. Żona Seamusa wszelkie oznaki dobrej woli ze strony Scarlett przyjmowała nader cierpko, z wyrazem twarzy jakby przed chwilą napiła się octu. Poczęstowała ją herbatą, lecz tak mocną, że właściwie nie nadawała się do picia. Aha, chce mi dać do zrozumienia, że przeze mnie musiała poczekać...

- Bardzo żałuję, że nie byłam na waszym ślubie - wypaliła prosto z mostu, wedle zasady, że najlepiej chwycić byka prosto za rogi. - Za to przywożę najlepsze życzenia od wszystkich amerykańskich O'Harów i dodaję je do moich własnych, równie serdecznych. Z całego serca życzę wam szczęścia.

Była zadowolona z siebie. Ładnie powiedziane. Gochna sztywno kiwnęła głową.

- Przekażę Seamusowi - odparła półgębkiem. - A teraz zawołam go, bo ma słówko do ciebie. Kazałam mu czekać w pobliżu.

Dobrze, niech i tak będzie - westchnęła w duchu Scarlett. Znam domy, gdzie jestem witana z większym entuzjazmem. Tylko wcale nie była przekonana, czy ma ochotę na „słówko” z Seamusem. Od dnia, gdy po raz pierwszy stanęła na irlandzkiej ziemi, zamieniła z najstarszym synem Daniela może dziesięć słów wszystkiego, ale nie więcej.

Gdy wreszcie usłyszała, jakie to „słówko” ma do niej Seamus, nabrała całkowitej pewności, że jednak wołałaby go nie „zamieniać”. Ni mniej, ni więcej, Seamus spodziewał się, że zapłaci za niego dzierżawne, bowiem po śmierci Daniela zajął jego miejsce, no a za Daniela przecież zapłaciła. Poza tym nie mieszkał w dużej chacie Danielów, lecz w chatynce, a przecież ma prawo do większego domu.

- Maria Małgorzata już się zgodziła gotować i prać dla mnie i braci. Kasia, jako siostra Seana, zadba o niego.

- Chętnie zapłacę - odparła Scarlett, chociaż wołałaby, żeby ją o to poproszono, nie

rozkazywano. - Nie rozumiem jednak, dlaczego mówisz mi o tym w imieniu innych. Ty i Gochna... to znaczy, chciałam powiedzieć Maria Małgorzata... powinniście przedyskutować tę sprawę z Kasią oraz braćmi.

- Przecież jesteś **Tą O'Hara** - omal nie krzyknęła Gochna. - Do ciebie należy ostatnie słowo.

- I miała rację - odpowiedziała Kasia, gdy Scarlett tonem skargi zdała jej sprawę z wszystkiego, co zaszło. - Jesteś **Tą O'Hara**.

Po czym, nim Scarlett zdołała się odezwać, uśmiechnęła się i powiedziała, że jest jej właściwie wszystko jedno. Wkrótce pożegna się z chatą Daniela - ma chłopca w Dunsany i chce wyjść za mąż. W Trim, w dzień targowy, prosił ją o rękę. Nie odmówiła.

- Jeśli nie rozgłosiłam tego wszem i wobec to tylko dlatego, że chciałam, byś dowiedziała się o tym pierwsza.

Scarlett wyściskała Kasię.

- To cudownie! Ale pozwolisz, żebym ci wyprawiła wesele? Urządzimy sobie wspaniałą ucztę.

- I w ten sposób zdołałam jakoś z tego wybrnąć - rzekła Scarlett do Mrs. Fitz, gdy opowiedziała jej o wszystkim, co zaszło.

- Ale niewiele brakowało i dałabym się wciągnąć w niezłą kabałę. Podejrzewam, że być głową rodu nie jest dokładnie tym, czego się spodziewałam.

- A czego się pani spodziewała, Miss O.?

- Sama już nie wiem... Chyba sądziłam, że to będzie bardziej zabawne.

* * *

W sierpniu były wykopki. Kartofle obrodziły jak nigdy - tak w każdym razie twierdzili farmerzy. Potem zaczęła się zbiórka pszenicy. Scarlett uwielbiała przyglądać się zniwom. Sierpy błyskały w słońcu, a złote kłosy padały na ziemię lawą, niczym wstęga pomarszczonego jedwabiu. Niekiedy Scarlett stawiała za żencem. Pożyczyła sobie długą laskę z zagiętym końcem zwaną powszechnie „podbieraczem” i zagarniała padające pod ostrzem sierpa kłosy i małe snopki. Wprawdzie nie udało się jej osiągnąć biegłości w przewiązywaniu snopa powrósem, lecz z podbieraczem radziła sobie całkiem, całkiem.

Gdyby porównać tę pracę ze zbiorem bawełny - powiedziała Columowi - to pod względem trudności bije go na głowę. I chociaż pilnowała się, by nie myśleć o złotym słońcu Południa, niekiedy dawała się zaskoczyć przyływowi tęsknoty. Colum powiedział, że bardzo dobrze ją rozumie. Scarlett mogła być pewna, że nie kłamał. Tak,

Colum był jej bratem i to dokładnie takim, jakiego zawsze pragnęła.

Sprawiał wrażenie czymś zatroskanego. Zapytany odparł, że nic go nie gnębi, tylko niecierpliwi się, bowiem żniwa wzięły pierwszeństwo przed pracami przy wykończeniu zajazdu, który Brandon Kennedy miał zamiar założyć w budynku sąsiadującym z *pubem*. A wtedy Scarlett przypomniała sobie przerażonego i gotowego na wszystko mężczyznę z kościoła, tego, o którym Colum powiedział, że „ucieka”. Zaczęła się zastanawiać, czy wielu jemu podobnych ukrywa się w Ballyhara oraz jak Colum im pomaga. W końcu jednak zachowała te pytania dla siebie - lepiej o niczym nie wiedzieć.

Wolała myśleć o czymś pogodniejszym, na przykład o zamążpójściu Kasi. Kevin O'Connor nie był akurat tym mężczyzną, którego wybrałaby dla kuzynki, ale nie ulegało wątpliwości, że zakochany jest w niej bez pamięci, poza tym miał porządne gospodarstwo, łąki i dwadzieścia krów, zatem należało go uznać za „dobrą partię”. Kasia miała całkiem pokaźny posąg, składający się z pieniędzy zarobionych na sprzedaży masła i mleka oraz wszystkie sprzęty kuchenne, których dotychczas używała w kuchni u Danielów. Umiała docenić wartość prezentu otrzymanego od Scarlett, a mianowicie stu funtów gotówką, lecz konspiracyjnie mrugnawszy okiem szepnęła, że nie jest rzeczą konieczną włączać tę sumę do wiana.

Niestety, ku ogromnemu rozczarowaniu Scarlett, uczta weselna nie mogła odbyć się we Dworze. Zgodnie z tradycją, wesele urządzone w domu, gdzie po ślubie mieli mieszkać państwo młodzi. Jedyne, co mogła zrobić, to ofiarować kilka gęsi oraz parę beczulek portera, ale i to jedynie wtedy, gdy postawiła sprawę na ostrzu noża, przed czym ostrzegł ją Colum. Bowiem gospodarzami uczyty byli krewni pana młodego.

- Trudno - odpowiedziała. - Jeśli już stawiam sprawy na ostrzu noża, to może wreszcie uda mi się przeciąć któryś z tych strasznych przesądów.

Po czym, tak na wszelki wypadek, ostrzegła Kasię:

- Myśl sobie, co chcesz, moja droga, ale zrzucam żałobę. Od tego ubierania się na czarno cała już jestem chora.

Na weselu nie opuściła żadnego *reela*, wirowała do utraty tchu ubrana w jasnoniebieską i czerwoną halkę, ciemnozieloną spódnicę oraz pończochy w żółte i zielone pasy.

A w drodze powrotnej do Ballyhara nie mogła powstrzymać się od płaczu.

- Bardzo będzie mi brakowało Kasi - chlupała wsparta na ramieniu Columa. - Bardzo mi będzie brakowało chaty Danielów i ludzi, którzy zawsze przychodzili pogawędzić... Nigdy już tam nie zajrzę, bo i do kogo: do tej podłej Gochny, żeby dostać

wstrętnej zimnej herbaty?

- Dunsany nie leży na końcu świata - pocieszał ją, jak mógł. - To tylko dwanaście mil drogi z Ballyhara. Kup sobie dobrego konia i jeźdź wierzchem, zamiast tłuc się w bryczce. Droga minie ci jak z bicza strzelił.

Scarlett uznała, że to całkiem rozsądny pomysł, chociaż dwanaście mil to mimo wszystko kawał drogi. Jeśli jednak zgodziła się zastanowić nad tym pomysłem, to następną propozycję uznała za szczyt niedorzeczności: Colum radził jej, by pomyślała o powtórnym zamążpójściu.

Czasami budziła się w nocy, a wtedy panująca w pokoju ciemność zdała się jej niczym mroczna tajemniczość oczu Retta, tych oczu, których spojrzenie żegnało ją, gdy odpływała z Charlestonu. Co też on wtedy czuł?

Samotna w ciemnościach nocy, samotna na wielkim ozdobnym łożu, sama jedna w nieprzeniknionej czerni niczym nie oświetlonej sypialni pozwalała płynąć myślom, marzyła o rzeczach niemożliwych, a niekiedy, przeniknięta bólem oczekiwania, uroniła łez parę.

* * *

- Kicia - powiedziała zupełnie wyraźnie, ujrawszy w lustrze swe odbicie.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołała Scarlett, która już się obawiała, że dziewczynka nigdy nie zacznie mówić. Kicia, w przeciwieństwie do większości dzieci, rzadko gaworzyła, a kiedy ktoś zaczął przemawiać do niej „po dziecinnemu”, spoglądała nań z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy. Chodzić zaczęła wcześniej, bo już w dziesiątym miesiącu życia, lecz jeszcze miesiąc później była właściwie niemową - co najwyżej można było usłyszeć, jak się śmieje.

- Powiedz ma - ma - błagała Scarlett. Bez rezultatu. - Powiedz ma - ma - próbowała podejść ją po raz drugi, lecz Kicia wyrwała się jej z objęć i rzuciła się raczkować po podłodze. W chodzeniu bowiem wykazywała więcej entuzjazmu niż umiejętności.

- Ty zarozumiała potworze! - krzyknęła Scarlett. - Wszystkie dzieci jako pierwsze wypowiadają słowo „ma - ma”, a nie swe własne imię.

Kicia obróciła się i zatrzymała. Spojrzała z uśmiechem, który Scarlett określiła potem jako „wprost diaboliczny”, powiedziała po prostu - Mama - i ślaniając się na niepewnych nogach, ruszyła dalej przed siebie.

- Najpewniej mogła to powiedzieć już dawno temu, gdyby tylko chciała - przechwalała się Scarlett przed ojcem Flynn. - Po prostu rzuciła mi to jak kość psu.

Stary kapłan uśmiechnął się wyrozumiale. Już tylu dumnych z dzieci matek

nasłuchał się w swym długim życiu.

- Wspaniały dzień - zaproponował tę formułę w nadziei, że wystarczy.

- Wspaniały dzień, pod każdym względem wspaniały, ojcze - krzyknął Tomaszek Doyle, najmłodszy z farmerów. - Takiego plonu nigdzie i nigdy nie zebrano, to pewne.

Napełnił swoją szklaneczkę, nalał też do pełna szklaneczkę ojca Flynn. W Dożynki każdy miał prawo odpocząć i odprężyć się.

Także Scarlett pozwoliła mu nalać sobie szklaneczkę porteru. Wkrótce miały się zacząć toasty i zła to by była wróżba, gdyby nie umoczyła choć warg. Po tym, jak rok pracy w Ballyhara minął szczęśliwie, nie chciała ryzykować ściąganiem pecha pod swój dach.

Spojrzała na długi rząd stołów na kozłach ustawionych wzdłuż całej długości szerokiej drogi - każdy udekorowany przewiązany kokardą snopem złotej pszenicy. Każdy wyłożony uśmiechami zadowolonych z siebie ludzi. Tak, dzisiaj cieszyła się, że jest O'Harą. Wszyscy pracowali, każdy tak, jak potrafił, teraz zaś byli razem, wszyscy mieszkańcy miasteczka, by cieszyć się z plonów swej pracy.

Było co jeść, było co pić, były słodczyce i mała karuzela dla dzieci, a także podłoga do tańców, ułożona przed jeszcze nie wykończonym zajazdem. Powietrze drżało przesycone złotawym blaskiem popołudnia, na stole leżały złote kłosa pszenicy, złote uczucie szczęścia przepelniało każdego aż do przesyty. Czyli było tak właśnie, jak być powinno w Dożynki.

Dobiegający z oddali tętent końskich kopyt sprawił, że matki zaczęły się rozglądać za młodszymi dziećmi. Scarlett serce zamarło na chwilę, lecz Kici nigdzie nie było widać, wreszcie dostrzegła ją na kolanach u Columa - daleko, przy drugim krańcu stołu. Colum rozmawiał z jakimś mężczyzną. Kicia słuchała poważnie i potakiwała główką, jakby rozumiała każde słowo. Scarlett uśmiechnęła się - los ją obdarzył córeczką z poczuciem humoru.

Na drodze ukazał się oddział milicji. Trzej żołnierze, trzej oficerowie, złote mosiężne guziki lśniły na mundurach bardziej niż złote kłosa. Ściągnęli lejce, konie zwolniły, a jednocześnie zamarł gwar rozmów przy stołach. Kilku mężczyzn zerwało się z ławek.

- Przynajmniej raz w życiu zachowali się przyzwoicie i nie przegalopowali wzdłuż drogi, wzbijając tumany kurzu - powiedziała Scarlett do ojca Flynn. Kiedy jednak żołnierze zatrzymali się przed nie używanym kościołem, ona także straciła ochotę do rozmów.

- Którędy do Dworu? - spytał jeden z oficerów. - Chcę mówić z właścicielką. Scarlett

wstała.

- Ja jestem właścicielką - oświadczyła, zadowolona, że mimo nagłej suchości w ustach mogła wykrztusić te parę słów.

Oficer spojrział na jej związane w kok włosy i wieśniacze suknie. Wykrzywił usta w grymasie drwiny.

- Bardzo śmieszne, dziewczyno... Ale my nie jesteśmy tu dla zabawy.

Scarlett oładnęło uczucie, które z biegiem czasu stawało się dla niej coraz to bardziej obce: dziki, porywający gniew. Weszła na ławkę, gdzie siedziała, po czym wzięła się pod boki - wyglądała bardzo zuchwale, zdawała sobie z tego sprawę.

- Bo też i nikt cię tu nie zapraszał... żołnierzu... na zabawę ani też w innym celu. Mów, z czym przybywasz. Jestem Mrs. O'Hara.

Drugi oficer wysforował się na koniu kilka kroków do przodu. Zsiadł, podszedł do stołu, przy którym, na ławce, stała Scarlett. Stanął przed nią, o dwie - trzy głowy niższy.

- Mamy rozkaz dostarczyć pani ten dokument - rzekł, zdejmując kapelusz i jedną z białych rękawiczek. Podał Scarlett zwój pergaminu. - Ci żołnierze zostaną w Ballyhara. Będą stanowić garnizon ku ochronie miasteczka.

W Scarlett jakby uderzył grom z jasnego nieba. Rozwinęła dokument i powoli odczytała, najpierw raz, potem drugi. Czytając czuła, jak napięte mięśnie z wolna się odprężają, czuła przyływ ogromnej ulgi, tym większej, im jaśniej rozumiała znaczenie dokumentu. Podniosła głowę, uśmiechnęła się, tak, by każdy mógł widzieć jej uśmiech. Po czym przywoławszy na twarz całą głębię swego czaru, zwróciła się do oficera, który ciągle spoglądał na nią z zadartą głową.

- Niezwykle to miłe ze strony pana pułkownika, że tak dba o nasze bezpieczeństwo - zaczęła - ale nie jestem zainteresowana jego pomocą, a bez mojej zgody nie może założyć garnizonu w miasteczku. Zechce mu pan to przekazać? W Ballyhara życie biegnie nam zupełnie spokojnie.

Podawała mu zwitek papieru.

- Wygląda pan na zdrożonego, może wypije pan kufel piwa?

Zachwycający wyraz jej twarzy czarował mężczyzn dokładnie takich, jak on, od dnia, gdy ukończyła piętnaście lat. Oficer spiekł raka.

- Dziękuję, łaskawa pani - zaczął się jąkać jak wielu przed nim, jeszcze w czasach, gdy Scarlett zdobywała serca mężczyzn Powiatu. - Dziękuję, lecz regulamin... to znaczy, osobiście bardzo chętnie, ale pułkownik... hm... na pewno by sobie pomyślał...

- Rozumiem - rozpromieniła się Scarlett. - Wobec tego może innym razem?

* * *

Pierwszy dożynkowy toast wzniesiono za **Tę O'Hare**. Stało się tak nie tylko dlatego, że zwyczaj kazał - toastowi towarzyszyła salwa gromkiego śmiechu.

Na zimę Scarlett zrobiła się niespokojna. Nie miała nic do roboty - co najwyżej mogła jeździć konno - a przecież pracy potrzebowała jak powietrza. Odchwaszczono i wysiano nawóz na nowych polach jeszcze nim nastał środek listopada, no i co teraz? O czym by tu pomyśleć? W pierwsze niedziele miesiąca też nie miała nic do roboty, ani skarg nie wnoszono zbyt wielu, ani nie zgłaszano się ze sprawami, które wymagałyby rozstrzygnięcia. Owszem, Kicia na tyle była już dorosła, że mogła przejść przez duży pokój i własnoręcznie zapalić świecę, którą zgodnie z tradycją, stawiano w oknie na Boże Narodzenie, owszem, noworoczna ceremonia rzucania ciastem o ścianę i odwiedzanie wszystkich domów w miasteczku (bo ciemnowłosy gość w dzień Nowego Roku przynosi szczęście) były przyjemnym urozmaiceniem codziennej nudy, lecz mimo to dni zdały się jej zbyt długie. W *pubie* Kennedy'ych witano ją nad wyraz serdecznie jako protektorkę Bractwa, lecz szybko poczuła się zmęczona wysłuchiwaniami pieśni opiewających męczenników za wolność Irlandii, szybko poczuła się znudzona słuchaniem głośnych nawoływań, by przegnać Anglików z kraju. Zatem do *pubu* chodziła jedynie wtedy, gdy głód towarzystwa szczególnie dawał się jej we znaki. Ucieszyła się dopiero wtedy, gdy nastał pierwszy lutego - dzień świętej Brygidy - i kiedy zaczął się rok pracy na roli. Przerzuciła pierwszą łopatę z entuzjazmem tak wielkim, że grudy ziemi rozsypały się szerokim kołem.

- No, to już wiemy, że ten rok będzie lepszy od minionego - zawołała zuchowato.

Wkrótce jednak okazało się, że powiększenie upraw przysporzyło farmerom pracy nad miarę. Nikt nie miał dość czasu by zrobić to, co należało. Scarlett zwróciła się do Columa, by sprowadził do miasteczka kilku dodatkowych robotników, ciągle bowiem wiele chat stało nie zamieszkanym. Ale Colum nie zgodził się na osiedlanie nieznajomych, zaś Scarlett nie nastawała, rozumiała bowiem, że Bractwo musi pracować w konspiracji. W końcu Colum znalazł kompromisowe wyjście: na okres lata można było wynająć kilku parobczaków. Obiecał Scarlett, że razem pojedą na targ w Drogheda, gdzie dokonywało się podobnych transakcji. Poza tym odbywał się tam także koński jarmark - dobra okazja, by kupić konie, które, jak sądziła, też by się przydały.

- Ejże, Columie O'Haro. Musiałam być ślepa i nie mieć oleju w głowie, gdy wydałam pieniądze na te konie, któreśmy kupili poprzednim razem. Przecież one nie jeżdżą szybciej niż żółw po kamiennej drodze. Tym razem nie dam się okpić.

Colum uśmiechnął się pod nosem. Scarlett to zadziwiająca kobieta, zaskakująco

dobrze zna się na wielu rzeczach. Ale nie ma mowy, żeby mogła się mierzyć z irlandzkim koniarzem, tego był pewny.

Zaraz jednak przypomniał sobie, że bywały już sytuacje, kiedy był do czegoś przekonany, a potem okazywało się, że tkwi w błędzie. Zatem jarmark w Drogheda może być interesującym doświadczeniem.

* * *

- Scarlett, moja droga, wyglądasz jak wiejska dziewczyna, nie właścicielka ziemiska. Nikt nie uwierzy, że stać cię na kupno karuzeli, nie mówiąc już o koniu.

Zmarszczywszy brwi usiłowała go przestraszyć i uciszyć. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że naprawdę wyglądała jak wiejska dziewczyna ubrana na jarmark. Zielona spódnica podkreślała szafir jej oczu, niebieska bluzka przywodziła na myśl błękit wiosennego nieba.

- OJCZE O'Haro - zawołała, kładąc nacisk na pierwsze słowo.

- Może zechce OJCIEC wyświadczyć mi tę uprzejmość i ruszyć wreszcie w drogę? Wiem, co robię. Jeśli będę wyglądać zbyt bogato, handlarz od razu pomyśli sobie, że może mnie spławić byle szkapą, starą i połamaną. W wiejskim stroju lepiej dam sobie radę. A teraz jedźmy już. Czekałam na ten dzień dobrych parę tygodni. Nie pojmuję, dlaczego ten jarmark, kiedy to można nająć sobie parobków, nie odbywa się na Świętą Brygidę, gdy roboty ruszają.

Colum uśmiechnął się.

- Niektórzy z parobczaków chodzą w tym czasie do szkoły - trzasnął lejcami. Powozik wytoczył się na drogę.

- Też mi pożytek mają z tego - wzruszyła ramionami. - Tylko psują sobie wzrok nad książkami, gdy tymczasem pracując w polu nie dość, że przebywają na świeżym powietrzu, to jeszcze nie za darmo.

Scarlett gotowała się z niecierpliwości.

Miła mijala za milą. Żywopłot wyglądał przepięknie - wszędzie pełno kwiatów tarniny. Kiedy wyjechali na właściwą drogę, Scarlett, miast się niecierpliwić, zaczęła przeżywać przyjemności podróży.

- Nigdy nie byłam w Drogheda. Spodoba mi się?

- Myślę, że tak. To naprawdę wielki jarmark, większy od tych, które zdarzyło ci się widzieć.

Od razu wiedział, że pytając o Drogheda Scarlett ma na myśli nie miasto, lecz jarmark. Lubiała jarmarczną wrzawę. Intrygujące możliwości, które stwarzały sklepy

rozrzucone wzdłuż krętych uliczek starego miasta, zdały się jej czymś zgoła niezrozumiałym. Scarlett lubiła rzeczy proste i łatwe do zrozumienia. Ta szczególna jej cecha przyprawiała Columa o niepokój - wiedział bowiem, że Scarlett nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie naraziła się przystając na współpracę z Bractwem. Ta niewiedza mogła doprowadzić do katastrofy.

Dzisiaj jednak Colum oferował się na usługi Scarlett, nie odwrotnie. Chciał cieszyć się jarmarczną zabawą nie mniej niż kuzynka.

* * *

- Spójrz, Colum, to niesłychane! Ależ wielki ten jarmark...

- Obawiam się, że za duży. Chcesz najpierw nająć parobków, czy kupić konie? Ludzi najmuje się na jednym końcu placu, konie kupuje się na drugim.

- Ojej! Pewnie najlepsze sztuki zwinęto mi sprzed nosa zaraz po otwarciu targowiska, jak zwykle. Dobrze. Posłuchaj, Colum, coś ci powiem. Najlepiej zrobimy, jeśli ty wybierzesz mi kilku parobków, a ja pójdę targować się o konie. Gdy skończysz, przyjdiesz do mnie. Jesteś przekonany, że ci chłopcy zechcą przyjść do Ballyhara na piechotę?

- Są tu do wynajęcia, a długie marsze to dla nich nie pierwszozna. Niektórzy z nich przywędrowali tutaj na piechotę z odległości dobrych stu mil.

Scarlett uśmiechnęła się.

- To nim cokolwiek podpiszesz, dobrze obejrzyj im stopy. Ja będę oglądać zęby. Którędy powinnam pójść?

- Tam, do rogu, gdzie powiewają chorągwie. Na jarmarku w Drogheda masz okazję obejrzeć najlepsze konie irlandzkie. Słyszałem, że za niektóre okazy płacono po sto gwinei i więcej.

- Absurd. Co za bazarz z ciebie, mój drogi. Przekonasz się, że niżej tej sumy kupię ze trzy pary.

Na drugim końcu placu, w samym rogu, rozbito wielki brezentowy namiot jako prowizoryczne stajnie. Ba! - pomyślała Scarlett. Już ja nie będę taka głupia i nie kupię niczego, czego wpierw nie obejrzę w świetle dziennym. Wcisnęła się w rozkrzyczany tłum.

Boże wielki, nigdy w życiu nie widziałam tylu koni w jednym miejscu! Dobrze, że Colum mnie tu przywiózł. Mam z czego wybierać.

Pomagając sobie łokciami przesuwała się z jednego miejsca na drugie, dokładnie oglądała sztukę po sztuce.

- Jeszcze nie teraz - powiedziała kupcom.

Irlandzki system ubijania interesów nie znalazł w jej oczach uznania. W Irlandii nie mogłaś po prostu przechadzać się od kupca do kupca, pytając o cenę. Nie, to byłoby zbyt łatwe. Co minutę któryś z handlarzy przy jednym lub drugim końcu liny wykrzykiwał cenę, a potem już kupiec i kupujący musieli się trochę pomęczyć, żeby dobić targu. Scarlett nie bez trudu poznała niektóre sztuczki nieuczciwych handlarzy. Na przykład mogli cię złapać za rękę i uderzyć dłonią o dłoń tak mocno, że aż bolało - na tym jednak nie koniec, bo nie dość, że wycierpiałeś ból, to jeszcze stawałeś się właścicielem konia, którego wcale nie chciałeś kupić.

Scarlett zachciało się dokładniej obejrzyć parę dereszów, zachwalanych jako trzylatki w znakomitej kondycji i to za jedyne siedemdziesiąt funtów. Najpierw założyła ręce do tyłu.

- Niech pan je wyprowadzi na światło, żebym mogła się przyjrzeć.

Właściciel, sprzedawca i stojący w pobliżu ludzie żywo zaprotestowali.

- Tylko bez popisowych numerów, panienko - powiedział niskiego wzrostu mężczyzna w bryczesach i swetrze.

Scarlett, acz łagodnie, upierała się przy swoim. Na łyżkę miodu złapiesz każdą muchę - powtarzała sobie dbając o słodziutki wyraz twarzy. Spojrzała na lśniąca sierść, pociągnęła ręką i zobaczyła warstwę pomady na palcach. Później, wprawnym ruchem chwyciła konia za pysk i zajrzała mu w zęby. Wybuchła śmiechem. Trzylatki, też mi coś!

- Proszę je sobie zatrzymać - mrugnęła do handlarza. - To już mój dziadek jest młodszy od nich.

I była bardzo z siebie zadowolona.

Po godzinie znalazła zaledwie trzy konie, które odpowiadały jej, zarówno jako zwierzęta, jak i z handlowego punktu widzenia. Za każdym razem, gdy chciała przekonać właściciela, by zechciał jej pokazać konie w pełnym świetle dnia, musiała uciekać się do miłych słówek i przymilnych minek. Z zazdrością spoglądała na ludzi, którzy chcieli kupić konie do polowania: ci bez przeszkód mogli popatrzeć, jak biegają po otwartym terenie, także dobrze wiedzieli, co kupują. Zresztą same zwierzęta były prześliczne. Na wygląd koni roboczych nikt nie zwracał uwagi. Ponieważ jednak musiała kupić jeszcze trzy, odwróciła wzrok od miejsca, gdzie biegała końska arystokracja. Przyzwyczajając oczy do panującego w namiocie półmroku, oparła się o słup - powoli ogarniało ją zmęczenie, a tu zaledwie połowa pracy wykonana.

- Gdzie jest twój Pegaz, Bart? - dobiegł ją nagle czyjś głos, jakby znajomy. - Nie widzę go na wybiegu...

Scarlett musiała chwycić dłonią za gruby pał, żeby pał, żeby nie upaść. Chyba odchodzę od zmysłów... - pomyślała, zaniepokojona. Przecież to głos Retta...

- Jeśli przywiodłeś mnie tu na darmo...

Tak, tak, to on. Nie mogę się mylić. Nikt nie mówi tak, jak Rett. Szybko odwróciła się, spojrzała na skąpany w blasku słońca placyk.

Tak, to jego plecy. A może?... Nie, to na pewno jego plecy. Gdyby jeszcze się odezwał, odwrócił głowę... Ale to nie może być Rett. Niby czego mógłby szukać Rett w Irlandii? W każdym razie nie myłę się, słyszałam jego głos.

Odwrócił się, by coś powiedzieć do szczupłego mężczyzny o jasnobłond włosach. Tak, to on. Kłykcie aż pobiełały, tak mocno zacisnęła dłonie. Drżała.

Ten drugi coś odpowiedział, wskazał biczem na placyk, Rett pokiwał głową. Po czym jasnowłosy mężczyzna odszedł, zniknął z pola widzenia, zaś Rett pozostał sam. Scarlett stała w cieniu.

Nie ruszaj się! - krzyknęła bezgłośnie poruszając wargami, gdy Rett zrobił pierwszy krok. Ale nie usłuchał. Błyskawicznie wybiegła ze swej kryjówki, rzuciła się za nim.

- Rett!

Momentalnie przystanął, omal się nie potknął, on, który zawsze był taki zręczny. Odwrócił się. Jego twarz przybrała trudny do określenia wyraz, jego ciemne oczy, tym ciemniejsze, że skryte w cieniu rzucanym przez daszek czapki, nagle zapalały. A potem uśmiechnął się, jak dobrze znanym, drwiącym uśmiechem.

- Droga Scarlett - rzekł - że też zawsze pojawiaasz się w najdziwniejszych miejscach.

Drwi sobie ze mnie, niech tam. Nie dbam o nic, dopóki zna moje imię i stoi obok mnie. Odniosła wrażenie, że słyszy, jak serce jej wali.

- Witaj, Rett - odpowiedziała. - Jak się masz.

Zdawała sobie sprawę z tego, że to, co mówi, jest głupie i wcale nie pasuje do sytuacji, lecz przecież musiała coś powiedzieć.

Rettowi zadrżały wargi.

- Zdziwiająco dobrze jak na nieboszczyka - wycodził słowo po słowie. - Bo chyba się nie myłę, wszak wdowę widziałem w charlestońskim porcie.

- O, tak. Muszę ci coś powiedzieć. Nie wyszłam za mąż, to znaczy nie miałam męża...

- Tylko nie próbuj niczego wyjaśniać, Scarlett. To nie jest twoja silna strona.

- Silna strona? A o czymże ty mówisz?

Co takiego miał Rett na myśli? Och, nie bądźże podły.

- Nieważne. Co cię sprowadza do Irlandii? Myślałem, że jesteś w Anglii.

- Co cię skłoniło ku temu przypuszczeniu?

A o czym my tutaj mówimy? Stoimy tak, plotąc od rzeczy. Dlaczego nie mogę pozbierać myśli? Dlaczego mówię same bzdury?

- Nie wysiadłaś w Bostonie.

Serce Scarlett gwałtowniej zabiło. Aha, więc jednak zadał sobie trudu, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa, troszczył się o nią, nie chciał stracić jej z oczu. Oblała ją fala błogości.

- Czy z tego, że wystroiłaś się w tak urocze szatki mogę wnioskować, że już zrzuciłaś żałobę po mnie? - zapytał Rett. - Wstydz się, Scarlett, jeszcze nie ostygłem w grobie.

W przerażeniu spojrzała na swe wieśniacze spódnice, po czym na nieskazitelnie skrojony tweedowy surdut i doskonale zawiązany szeroki biały krawat. Dlaczego on zawsze musi robić z niej idiotkę? I dlaczego ona nie czuła przypływu złości?

Ponieważ go kocha. Nieważne, czy on w to wierzy, czy nie. Taka jest prawda.

Nie myśląc o tym, jakie konsekwencje może to wywołać, Scarlett spojrzała na mężczyznę, z którym żyła przez lata kłamstw jako żona, i powiedziała:

- Kocham cię.

W jej słowach dała się słyszeć prosta godność.

- To bardzo nieszczęśliwie się dla ciebie składa, moja droga. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zawsze zakochujesz się w mężach innych kobiet.

Uprzejmie uniósł daszek czapki.

- Wybacz, jeśli cię opuszczę, lecz wzywają mnie inne zatrudnienia. Żegnaj.

Odwrócił się i odszedł. Scarlett odprowadziła go wzrokiem. Czuła się tak, jakby przed chwilą ją spoliczkował.

Zresztą bez powodu. Przecież nie rościła sobie do niego żadnych praw, a był to dar największy z wszystkich, jakimi mogła go obdarzyć. On zaś wdeptał ją w błoto. Zrobił z niej idiotkę.

Nie, to ona zrobiła z siebie idiotkę.

Stała tak, drobna postać w jaskrawo kolorowych szatkach, samotna pośród wrzawy i ruchu. Stała tak w samym centrum końskiego targu przez nieskończenie długie chwile. Potem nagle odzyskała ostrość widzenia, by ujrzeć Retta i jego przyjaciela w pobliżu namiotu, w gronie przejętych widzów. Ten drugi mężczyzna, także ubrany w

tweed, trzymał za uzdę nieustannie przebiegającego nogami gniadosza, a kupiec o nalanej czerwonej twarzy, w kamizelce w kratkę, uderzał otwartą dłonią w wyciągniętą dłoń - tradycyjny znak dobijania interesów na końskim targu. Scarlett zdało się, że słyszy kłaśnięcie dłoni, głośne przekonywania przyjaciela Retta i kupca, jak zwykle poprzedzające transakcję.

Nogi niosły ją jakby same z siebie, pospiesznie pokonując przestrzeń dzielącą ją od Retta. Gdzieś na jej drodze stali jacyś ludzie, lecz ona nie zdawała sobie z tego sprawy, a oni, widząc, że nadchodzi, szybko usuwali się na boki.

Głos handlarza brzmiał niby pieśń rytualna, rytmiczny, hipnotyczny.

- ...sto dwadzieścia, sir. Wiecie przecież, panie, że piękna to cena, nawet za taką bestyjkę, jak ta... A wy, sir, by włączyć do stadniny zwierzę tak szlachetne, jak to, dalibyście nawet i sto dwadzieścia pięć... sto czterdzieści? Jasne, panie, choć przecieżeście rozsądni, dżentelmenowi przystoi jednak popuścić wodze rozsądku i zrobić siup przez sto dwadzieścia pięć... no, to tylko jeden kroczek. Powiedzmy, że te sto czterdzieści to tyle, coście panie wytargowali ze stu czterdziestu dwóch, a wtedy dobijemy targu nim dzień się skończy... sto czterdzieści, to jest moja cena, daj, panie, poznać swą szlachetną naturę, podbij stawkę, prawda, sir, że podbijesz? No to powiedzmy sto trzydzieści, sto trzydzieści zamiast stu dwudziestu pięciu... Och, panie, tylko oddech dzieli was od stu trzydziestu, te pięć to niewiele więcej niż kufel piwa albo dwa.

Scarlett weszła do trójkąta, który tworzyli właściciel konia, sprzedawca i kupujący. Jej twarz była trupioblada, co jeszcze podkreślała zieleń spódnicy i zieleńsza od szmaragdowej zieleń jej oczu.

- Sto czterdzieści - powiedziała wyraźnie.

Kupiec spojrział na nią zupełnie zmieszany, rytm licytacji wyraźnie się załamał. Scarlett plunęła w prawą dłoń, po czym głośno przybiła w półotwartą dłoń sprzedającego. Następnie splunęła powtórnie, spoglądając na właściciela. Ten podniósł rękę, splunął, przybił najpierw raz, potem drugi, jak nakazywała stara tradycja dobijania targów - sprzedawca mógł spluwać i przybijać jedynie za przyzwoleniem właściciela zwierzęcia.

Scarlett spojrzała na przyjaciela Retta.

- Mam nadzieję, że nie rozczarowałam pana zbyt - powiedziała jak mogła najśłodziej.

- Nie, oczywiście, że nie, to znaczy...

Włączył się Rett.

- Bart, chciałbym ci przedstawić...

Urwał na chwilę.

Scarlett wcale na niego nie patrzyła.

- Jestem Mrs. O'Hara - powiedziała, wyciągając rękę w stronę zdumionego towarzysza Retta. - Wdowa.

- Jan Morland - odparł, ściskając jej mokrą od śliny, brudną dłoń. Pochylił się, pocałował, po czym spojrzał prosto w jej pałające oczy i uśmiechnął się smutno.

- Jest pani chyba z rodzaju kobiet, które od razu biorą każdą przeszkodę. Proszę więc nam powiedzieć, co zostawiła pani za sobą. Poluje pani gdzieś w okolicy?

- Hm... ja...

Na miłość Boską, co ona najlepszego zrobiła? Co ma odpowiedzieć temu człowiekowi? I wreszcie, po co jej ten koń czystej krwi w Ballyhara?

- Wstyd mi, Mr. Morland, lecz wyznaję, dałam się ponieść kobiecemu afektowi. Po prostu musiałam mieć tego konia.

- Właśnie odniosłem podobne wrażenie... ale, jak mi się zdaje, nie dość szybko - rzekł, wymawiając słowa starannie, jak na wykształconego Anglika przystało. - Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani przyjechać kiedyś do mnie i zapolować. To w pobliżu Dunsany, o ile zna pani tę część Powiatu.

Scarlett uśmiechnęła się. Pewnie, że znała. Była tam całkiem niedawno temu na ślubie Kasi, nic więc dziwnego, że nazwisko Jana Morlanda nie było jej obce. Słyszała niejedno o „sir Janie Morlandzie” od męża Kasi. „To wspaniały człowiek, mimo że wielki z niego pan” - powtarzał Kevin O'Connor kilkanaście razy. „Sam mi powiedział, żebym opuścił sobie pięć funtów z czynszu jako podarunek ślubny”.

Pięć funtów... doprawdy, bardzo wspaniałomyślnie. Zwłaszcza ze strony człowieka, który gotów był wydać na konia trzydzieści razy tyle.

- Znam Dunsany - powiedziała. - To niedaleko od domu przyjaciół, których niedawno odwiedziłam. Z największą ochotą wybrałabym się z panem na łowy. Proszę tylko podać dzień.

- Przyszła sobota?

Scarlett uśmiechnęła się figlarnie.

- Załatwione!

Jan Morland roześmiał się. On też splunął w dłoń i przybił najpierw raz, potem drugi.

- Załatwione. Strzemiennego o siódmej, potem śniadanie.

Dopiero teraz Scarlett zerknęła na Retta. Spoglądał na nią tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ją zobaczył. W jego oczach tliły się ogniki rozbawienia, lecz dostrzegła w nich coś jeszcze - coś, czego nie umiała określić. Ha, można by pomyśleć, że nigdy w życiu mnie nie widział.

- Mr. Butler, miło mi spotkać pana - rzekła z całym wdziękiem, na jaki było ją stać. Eleganckim ruchem wyciągnęła oplutą dłoń.

Rett uniósł urękawiczoną rękę w jej kierunku.

- Mrs. O'Hara - mruknął, schylając głowę do pocałunku.

Scarlett kiwnęła do sprzedawcy i byłego właściciela konia.

- Mój stajenny wkrótce się tu pojawi i załatwi resztę - zawołała beztrosko.

Zadarła spódnicę, zza podwiązki przytrzymującej pończochę w czerwone i zielone pasy wydobyła zwitek banknotów.

- Gwinee, czy nie tak?

Odliczyła pieniądze.

Odwróciła się i odeszła, tylko halki zawirowały.

- Osobliwa kobieta - szepnął Jan Morland.

Rett wygiął wargi w szerokim uśmiechu.

- Zadziwiająca - przyznał.

* * *

- Colum? A już myślałam, że się zgubiłeś.

- Nic podobnego. Za to jestem głodny. Jadłaś coś?

- Nie. Zapomniałam.

- Jesteś zadowolona z zakupów?

Spojrzała nań z wysokości żerdzi biegnącej wzdłuż wybiegu i zaczęła się śmiać.

- Chyba kupiłam słonia! Powiadam ci, nigdy nie widziałeś większego konia. Kupiłam, bo musiałam... tylko ciągle nie wiem, dlaczego.

Colum w geście uspokojenia, położył dłoń na jej ramieniu. Śmiech Scarlett był histeryczny, a oczy aż poblady jej od bólu.

- Kicia wyjdzie na spacer - zaszemrał dziecinny głosik.

- O nie, kochanie, nie dzisiaj. Już niedługo, ale nie dzisiaj.

Scarlett czuła się bardzo niepewnie. Jak mogła postępować tak niebacznie? Jakże mogła zignorować wiszące nad Kicią niebezpieczeństwo? Dunsany było niedaleko stąd, nie aż na tyle daleko, by mieć pewność, że ludzie stamtąd nie słyszeli o właścicielce Ballyhara i jej ciemnoskórej córeczce. Nie opuszczała Kici za dnia i w nocy, trzymała ją przy sobie na piętrze, w dwóch należących do niej pokojach. Prawie nie wychodziła na dwór, tylko zatroskana, wyglądała przez okno na gościniec.

Mrs. Fitz załatwiała za nią sprawy, które domagały się załatwienia, które trzeba było załatwiać szybciej niż szybko. Krawcowa spieszyła z miasteczka do Dworu i z powrotem, byleby szybciej wykończyć dla Scarlett strój do konnej jazdy, szewc z łąką skrzacią pilnością szył jej do późnej nocy buty, stajenny za pomocą unurzanych w oliwie gałganów usiłował przywrócić połysk popękanemu, wyschniętemu na wiór siodłu, które porzucono w wozowni dobre trzydzieści lat temu, zaś jeden z parobczaków najętych w Drogheda - ten, który miał zwinne dłonie i bardzo wytrzymałe siedzenie - starał się ujeździć wielkiego gniadosza. Kiedy w sobotę wstał świt, Scarlett miała wszystko dopięte na ostatni guzik, jakby zawsze jeździła na polowania.

* * *

Gniadosz był wytrzebiony i nazywał się Półksiężyc. Jak już mówiła Columowi, był naprawdę wielki, długi na prawie siedemnaście dłoni, miał nisko sklepioną klatkę piersiową, okazały zad i wspaniale umięśnione uda. Wielki koń dla rosłego mężczyzny. Scarlett, w porównaniu z nim, wyglądała szczególnie niepozornie i wątło, taka drobna kobietka. Obawiała się, że wygląda śmiesznie.

I była przekonana, że znowu z własnej winy wyjdzie na idiotkę. Nie znała ani temperamentu Półksiężyc, ani jego charakteru, zresztą nie miała szans ich poznać, ponieważ musiała jechać w damskim siodle, jak damie przystało. Dzieckiem będąc, uwielbiała taką jazdę, bo suknia się jej wydymała, podkreślając zgrabną talię, ale żeby teraz... Poza tym, w owych dniach rzadko jeździła szybciej niż stępa, bo takie tempo było najlepsze do uprawiania flircików z mężczyznami jadącymi z boku.

Teraz jednak damskie siodło było prawdziwym utrudnieniem, uniemożliwiało porozumiewanie się z koniem przez naciśnięcie kolanami, ponieważ jedną stopą wspierała się o kulę, drugą musiała trzymać sztywno, bowiem tylko naciskając stopą na

jedno ze strzemion mogła zachować równowagę.

Pewnie spadnę, nim jeszcze dojadę do Dunsany - obieży ją najczarniejsze myśli. Ale jeśli przyjdzie mi skakać przez płot, niechybnie skrucę sobie kark. Jeszcze z opowiadań Papy pamiętała, że najbardziej mrozącym krew w żyłach elementem polowania było właśnie owo skakanie przez płoty, rowy, żywopłoty, przełazy i mury. Colum nie uspokoił jej opowiadaniem o tym, że panie nader rzadko na równi z mężczyznami brały aktywny udział we właściwym polowaniu. Śniadanie było częścią towarzyską imprezy, okazją do pokazania się i obejrzenia pięknych strojów myśliwskich, na ogół do tego ograniczała się rola płci pięknej. Damy jeździły w damskich siodłach, na czym poprzestawały, a nikt nie śmiał winić je za to, że są wrażliwe.

O, tak - pomyślała sobie Scarlett. Na pewno Rett chętnie by mnie ujrzał słabą i przestraszoną. Ale nie ujrzy. Lepiej już skrucić sobie kark, niż dać mu tę satysfakcję. Scarlett smagnęła biczyskiem kark Półksiężycy.

- Zaczniemy od truchtu. Ciekawe, czy zdołam utrzymać równowagę, siedząc na czymś równie głupio skonstruowanym, jak to siodło.

* * *

Wprawdzie Colum opisał Scarlett, jak wygląda polowanie na lisa, jednak nie była przygotowana na pierwsze zetknięcie. Morland Hall był osobliwym połączeniem budowli, które narastały tu jedna na drugiej, w ciągu ponad dwóch wieków, każda ze swymi skrzydłami, kominami, oknami i ścianami, bezładnie otaczającymi brukowany podwórzec - pozostałość z warownego zamku wzniesionego tu przez pierwszego baroneta Morland w 1615 roku. Prostokątny dziedziniec pełen był konnych jeźdźców, rozbrzmiewał poszczekiwaniami niespokojnych psów. Na ten widok Scarlett zapomniała o wszystkich obawach. Colum nie wspomniał o tym, że mężczyźni będą ubrani w „pinkie”, jak powszechnie i błędnie nazywano czerwone frakowe surduty. Nigdy w życiu nie widziała równie pysznego stroju.

- Mrs. O'Hara! - sir Jan Morland podjechał do niej, ściskając w dłoni błyszczący cylinder. - Witam panią. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że nas pani zaszczyci.

Scarlett zmrużyła oczy.

- Czy może Rett tak twierdził?

- Rett?... Nie, wręcz przeciwnie. Od niego słyszałem, że dzikie konie nie zdołają pani zniechęcić.

W głosie Morlanda nie dało się wyczuć ni krzty przebiegłości.

- Jak się pani podoba Półksiężyc! - baronet poklepał konia po lśniącym karku. - Ależ to piękne zwierzę.

- Co?... Aha, rzeczywiście - Scarlett szybko obiegała wzrokiem myśliwych, w nadziei, że wypatrzy gdzieś Retta. Ależ tłum! Diabli bierz tę woalkę na kapeluszu, przez nią wszystko wygląda nieostro. Ubrała się tak konserwatywnie, jak to tylko możliwe: suknia z czarnej wełny, śmiertelnie nudna, niski czarny cylinder przewiązany woalką, której oba końce zbiegały się na karku, opadając na gruby kok.

Gorsze niż żałoba - pomyślała. Za to nobliwe. Dobre antidotum na wspomnienie jaskrawych spódnic i pończoch w kolorowe paski. W swym stroju Scarlett tylko pod jednym względem pozostała wierna buntowniczym ideałom: nie założyła gorsetu. Damskie siodło było jej wystarczającą torturą.

Oho, Rett na nią patrzy. Gdy tylko wpadł jej w oko, natychmiast odwróciła głowę w drugą stronę. Pewnie myśli, że wystawię się na pośmiewisko... Już ja ci pokażę, Mister Butler. Dobrze, mogę połamać wszystkie kości, co do jednej, lecz nikt nie śmie traktować mnie niepoważnie, a już zwłaszcza ty, Mister.

„Przejeżdż się powolutku tam i z powrotem, zobacz, co robią inni” - poradził jej Colum. Postanowiła skorzystać z jego rady. Czowała, jak ręce się jej poca, choć w rękawiczkach. Z przodu jeźdźcy ruszyli stępa, co widząc, jakaś kobieta obok roześmiała się i uderzyła konia szpicrutką, wpadając od razu w galop. Scarlett ogarnęła szeroką ławę czerwieni i czerni, spadającą w dół zbocza, zobaczyła, jak piękne zwierzęta bez trudu przeskakują niski kamienny murek u podnóża pagórka.

No właśnie - westchnęła, rozgorączkowana. Już za późno, żeby się zastanawiać. Choć wcale nie wiedziała, że dokładnie tak powinna postąpić, instynktownie przeniosła ciężar ciała w bok, a wtedy poczuła, jak Półksiężyc porusza się coraz szybciej i szybciej, jak stąpa pewnie - weteran setek torów. Ledwo zdążyła zauważyć skok, murek był już za nią. Nic dziwnego, że Jan Morland tak bardzo pragnął kupić tego gniadosza. Scarlett wybuchnęła głośnym śmiechem. No i co z tego, że nigdy w życiu nie brała udziału w polowaniu, i co z tego, że nie siedziała w damskim siodle od ponad piętnastu lat. Dobrze się czuła, nawet lepiej niż dobrze. Miała dobrą zabawę. Teraz już nie dziwiła się, dlaczego Papa, jadąc konno, nigdy nie otwierał bramy. Bo i po co? Co się stanie, gdy zamiast wyjechać przez bramę przeskoczysz płot?

Upiory ojca i Bonnie, prześladowające ją już od kilku dni, gdzieś zniknęły. Strach też gdzieś zniknął. Jedyne, co pozostało, to uczucie podniecenia wywołanego pędem przez lekko zamglone powietrze, głaszczące ją po twarzy i siłę zwierzęcia, nad którym

panowała.

A także gorące pragnienie, by przegnać i zostawić daleko z tyłu Retta Butlera.

* * *

Scarlett stała z kieliszkiem szampana w prawej ręce, w lewej ściskając zabłocony tren sukni. Lisi ogon, który zdobyła, zostanie przytwierdzony do srebrnej podstawy, jeśli łaskawie zezwoli - oświadczył Morland.

- Z największą przyjemnością, sir Janie.

- Proszę mówić do mnie Bart. Wszyscy przyjaciele tak się do mnie zwracają.

- Proszę mówić do mnie Scarlett. Wszyscy zwracają się do mnie po imieniu, przyjaciele i wrogowie.

Była w znakomitym nastroju, policzki pały jej różem - to z radości wywołanej polowaniem, lecz także sukcesem, który udało się jej odnieść.

- Nigdy nie miałam lepszego dnia - zwróciła się do Barta. I prawie powiedziała prawdę. Pozostali myśliwi tłumnie spieszyli z gratulacjami: w oczach mężczyzn widziała nieklamane uwielbienie, a w oczach kobiet - zazdrość. Gdziekolwiek by spojrzała, wszędzie widziała przystojnych mężczyzn i piękne kobiety, srebrne tace z kieliszkami szampana, służących, bogactwo, ludzi, którzy świetnie się bawili i na dobrej zabawie zwykli spędzać życie od kolebki po grób. Było to tak jak przed wybuchem Wojny, tyle że teraz była dorosła, mogła mówić, co chciała, mogła robić, na co jej przyszła ochota. Ona - Scarlett O'Hara, wiejska dziewczyna z Północnej Georgii - była podejmowana w hrabiowskim zamku na równi z wielkimi damami i wielmożnymi panami, a nawet z książętami. Takie historie zdarzają się właściwie tylko na kartach romansów. Z wrażenia aż kręciło się jej w głowie.

O mały włos, a zapomniałyby, że i Rett jest tuż obok, jeszcze trochę, a zapomniałyby o lekceważeniu i pogardzie.

O mały włos... ale nie zapomniała. Zaś jej perfidna pamięć zbierała wszystkie strzępy przelotnie zasłyszanych rozmów, gromadziła wszystkie obrazki, jakie kącikiem oka złowiła w drodze do zamku: Rett, zachowujący się zupełnie tak, jak gdyby nic się nie stało, jakby go nie pobiła na głowę... Rett dogadujący księżniczce, jakby była pierwszą lepszą... Rett, taki swobodny, odpreżony, niczym nie przejęty... taki... taki... no, taki jak to on być potrafi. A bierz go licha.

- Gratulacje, moja droga - Rett jechał tuż obok, nawet nie zauważyła, jak się zbliża. Ręka Scarlett zadrżała, szampan wylał się jej na suknię.

- Do diabła, Rett, musisz zbliżyć się do ludzi niczym wąż?

- Przepraszam - podał jej chusteczkę. - Jak również przepraszam za to, że na jarmarku zachowałem się wobec ciebie niczym ostatni gbur. Tylko jedno mnie tłumaczy: ujrzawszy cię, byłem do głębi wstrząśnięty.

Scarlett wzięła chusteczkę i pochyliła się, by zetrzeć plamę. Prawdę mówiąc, nie było po co, bo i tak cała suknia lepiała się od błota pozbieranego w dzikiej gonitwie po moczarach. Udając, że zajmuje się plamą, miała jednak okazję zebrać myśli i chociaż na moment ukryć twarz przed Rettem. Nie, nie pokaże mu, jak się tym przejęła - przysięgła w duchu. Nie dam mu do zrozumienia, jak bardzo mnie zranił.

Podniosła głowę - oczy jej błyszcząły, wargi wygięły się w uśmiechu.

- Powiadasz, że byłeś wstrząśnięty! - zawołała. - No to wyobraź sobie, co ja czułam. Co robisz w Irlandii?

- Kupuję konie. Nieodwołalnie postanowiłem wygrać przyszłoroczne wyścigi. Stajnie Jana Morlanda mają znakomitą opinię ze względu na jego jednolatki. W przyszły wtorek wyjeżdżam do Paryża, żeby obejrzeć sobie jeszcze więcej. Powiedz, Scarlett, co cię napadło, by ubrać się na jarmark w Drogheda w tutejszy strój ludowy?

Scarlett roześmiała się.

- Och, Rett, sam przecież wiesz, że uwielbiam podobne stroje. Ten, który miałam na sobie wtedy, pożyczyłam od jednej ze służących znajomych. Rozejrzała się z boku na bok w poszukiwaniu Jana Morlanda.

- No, muszę się pożegnać i w drogę - rzuciła przez ramię. - Przyjaciele ukręcą mi szyję, gdy się spóźnię.

Rzuciła przelotne spojrzenie w stronę Retta, po czym oddaliła się tak szybko, jak tylko mogła. Nie miała odwagi zostać z nim dłużej. Nie tak blisko. Nawet w jednym pokoju bałaby się być razem z nim... nawet w tym samym domu.

* * *

Gdy była w odległości nieco ponad pięciu mil od Ballyhara, zaczął padać deszcz. I dobrze. Teraz Scarlett miała przynajmniej wytłumaczenie, dlaczego ma takie mokre policzki.

* * *

W środę wzięła Kicię do Tary. Dawne kopce były dość wysokie, by Kicia mogła poczuć radość triumfu, kiedy wdrapywała się to na jeden, to na drugi. Scarlett spoglądała, jak brawurowo dziecko zbiega w dół zbocza i pilnowała się, by nie zrzędzić zwyczajem matek, przestrzegając przed konsekwencją upadku.

Później opowiedziała Kici o Tarze, o swej rodzinie, o wielkich ucztach, które dawniej wydawali tu irlandzcy królowie. Zanim ruszyła w drogę powrotną, wzięła dziewczynkę na ręce i uniosła tak wysoko, by mogła widzieć jak największe połacie kraju, gdzie się urodziła.

- Jesteś małą irlandzką Kicią... głęboko zapuściłaś w tę ziemię swoje korzenie. Ale czy ty rozumiesz cokolwiek z tego, co ja ci mówię?

- Nie - odpowiedziała Kicia.

Scarlett z powrotem postawiła ją na ziemię, tak żeby mogła sobie pobiegać, bowiem mocne małe nóżka ciągle były w biegu, nie wytrzymały spacerowego kroku. Kicia często się przewracała - porośnięte wysoką trawą, choć niewidoczne, bieg utrudniały pozostałości dawnych budowli. Ale Kicia nigdy nie płakała. Dźwigała się i biegła dalej.

Spoglądanie na córeczkę było dla Scarlett swego rodzaju czynnością uzdrawiającą. Sycąc się tym widokiem, odnajdywała się w swej całości.

* * *

- Colum, kim jest Parnell? Wszyscy o nim mówili przy śniadaniu, lecz ja zupełnie nie mogłam zrozumieć tej gadki.

To protestant - odparł Colum. - I Anglik. Osoba, której nie warto poświęcać szczególnej uwagi.

Scarlett już chciała pociągnąć Columa za język, lecz nauczona doświadczeniem wiedziała, że to zwykła strata czasu. Colum nigdy nie dawał się wciągać w rozmowy o Anglikach, zwłaszcza zaś o angielskim ziemiaństwie w Irlandii, o ludziach znanych jako Angloirowie. Nim Scarlett zdążyła się zorientować, Colum już zmienił przedmiot rozmowy. Raziło ją bardzo, że nie chciał nawet przyznać, iż co niektórzy Anglicy to mili ludzie. Scarlett polubiła dwie siostry, z którymi spędziła cały rejs z Ameryki do Europy, a i na polowaniu doznała od Anglików wcale niemało życzliwości. Nieprzejednana wrogość Columa wobec wszystkiego, co angielskie, boleśnie przypominała jej o dystansie, który ich dzieli. Gdyby choć jeszcze powiedział cokolwiek miast gniewnie potrząsać głową.

Mrs. Fitz zadała inne pytanie, równie zajmujące jej umysł jak kwestia tożsamości Mr. Parnella: kim, mianowicie, są ci irlandzcy Butlerowie, powszechnie znienawidzeni?

Gospodyni przyniosła mapę Irlandii.

- Widzi pani? - przebiegła ręką po całym powiecie, wielkim jak Meath. - To Kilkenny, ziemia Butlerów. Wprawdzie nazywają się Butlerowie, lecz pochodzą z domu książąt Ormonde. To prawdopodobnie najsilniejszy angielski ród w Irlandii.

Scarlett uważniej przyjrzała się mapie. Niedaleko od miasta Kilkenny ujrzała nazwę posiadłości „Dunmore Cave”. A plantacja Retta nazywała się „Dunmore Landing”. Tu musi istnieć jakiś związek.

Po chwili zastanowienia wybuchła głośnym śmiechem. Tak, jeszcze przed paroma sekundami była przekonana o niewątpliwej wielkości rodu O'Harów, do którego należało tysiąc dwieście akrów ziemi, a tu okazuje się, że Butlerowie posiadają na własność cały powiat. Rett znowu wygrał, choć nawet nie kiwnął palcem. Bo Rett zawsze wygrywał. Jak można winić kobietę, że kocha mężczyznę takiego, jak on?

- Co tak panią rozbawiło, Mrs. O.?

- Z siebie się śmieję, Mrs. Fitz. Dzięki Bogu, nie zapomniałam, jak się to robi.

* * *

Marysia Moran wetknęła głowę przez uchylone drzwi nie zadając sobie trudu, by zapukać. Scarlett też nie zadawała sobie trudu, by napiętnować złe zachowanie. Jeśli ktokolwiek zwrócił jej uwagę, zahukana, nerwowa dziewczyna robiła się jeszcze bardziej trudna do wytrzymania, i to na całe tygodnie. Wiadomo, służba, nawet gdy ograniczysz ją do niezbędnego minimum i tak nie uciekniesz od problemów.

- Co takiego, Maryś?

- Dżentelmen chce się z panią widzieć - wyciągnęła rękę, w której trzymała kartę wizytową. Jej oczy, i tak wielkie, teraz omal nie wyszły z orbit.

Sir Jan Morland, Bart

* * *

Scarlett zbiegła po schodach.

- Bart, co za niespodzianka! Wejdz, możemy usiąść na stopniach schodów. Jak widzisz, nie mam mebli.

Była szczerze zadowolona widząc go tutaj, ale nie mogła zaprosić go do salonu. W pokoju obok właśnie spała Kicia.

Bart Morland zajął miejsce na schodach z naturalnością człowieka, który przynajmniej raz dziennie jest gościem w domu bez mebli. Długo musiał błądzić, zanim ją tutaj znalazł - powiedział - w końcu jednak pojechał do poczmistrza, urzędującego w *pubie*. Tylko tym może tłumaczyć, dlaczego przybył tak późno, by dostarczyć jej trofeum myśliwskie.

Scarlett spojrzała na srebrną tabliczkę, na której wygrawerowano jej nazwisko oraz datę łowów. Lisi ogon, doczepiony do srebrnej blaszki, nie był już zakrwawiony jak w

dniu polowania, owszem, wyglądał tak sobie, trudno byłoby jednak rzec, że pięknie.

- Niesmaczne, prawda? - zapytał Bart miękkiem, miło dla ucha brzmiącym głosem.

Scarlett roześmiała się. Niezależnie od tego, co głosił Colum, lubiła Jana Morlanda.

- Może chciałbyś przywitać się z Półksiężycem?

- Nigdy mi tego nie proponowałaś. Już kilka razy zastanawiałem się, jakby ci dać do zrozumienia, że bardzo chciałbym go zobaczyć. Co tam u niego?

Scarlett zrobiła minę.

- Obawiam się, że narzeka na brak ruchu. Moja wina. Niestety, mam zbyt dużo zajęć.

- A żniwa?

- Nie najgorzej. O ile nie zacznie padać.

Kolumnadą wyszli na dziedziniec, po czym skierowali się w stronę stajni. Scarlett już chciała przejść obok i wyjść na pastwisko, gdzie właśnie znajdował się Półksiężyc, lecz Bart ją zatrzymał. Co to, czyżby chciał wejść do środka? O, tak, jej stajnie były znane w okolicy, a on nigdy nie miał okazji ich obejrzeć. Choć zaskoczona, zgodziła się bez oporów. Wprawdzie wszystkie zwierzęta są w polu lub na pastwisku, nie ma niczego do oglądania prócz pustych kopców, lecz skoro tego pragnie...

Kojce były oddzielone granitowymi kolumnkami w porządku doryckim. Kolumny te podtrzymywały ażurowe łuki, z nich zaś wyrastało kamienne sklepienie, zdałoby się lekkie i nieważkie jak powietrze i niebo.

Jan Morland strzelił z palców, zaraz jednak przeprosił. Robił to bezmyślnie, zawsze wtedy, gdy był czymś wzruszony.

- Czyż to nie jest niezwykle, mieć stajnię jak katedra? Na pani miejscu zainstalowałbym tutaj organy i grał koniom Bacha od świtu do nocy.

- Pewnie by im to przypominało bzyczenie gżów.

Morland zaniósł się śmiechem tak zaraźliwym, że i Scarlett się roześmiała. Nie sposób było się nie roześmiać, to brzmiało tak komicznie. Napelniła woreczek owsem, żeby jej przyjaciel miał czym nakarmić Półksiężyc.

Idąc z nim na pastwisko gorączkowo poszukiwała takiego tematu do rozmowy, który zmusiłby Jana, żeby wreszcie przestał się zachwycać stajniami i zaczął mówić o Recie.

Ale nie było potrzeby.

- Powiadam, szczęściarz ze mnie, że zyskałem przyjaciółkę w osobie, która zna Retta Butlera - oznajmił ni z tego, ni z owego Bart. - Gdyby nas nie przedstawił, nie mógłbym

rzucić okiem na te wspaniałe stajnie.

- Bardzo byłam zaskoczona tym spotkaniem - szybko odpowiedziała Scarlett. - Jak pan go poznał?

W gruncie rzeczy, wcale go nie zna, rzekł Bart. Miesiąc temu paru jego dawnych przyjaciół przysłało mu list z informacją, że ma się u niego zjawić Rett Butler i obejrzeć konie. Potem przyjechał Rett zaopatrzonego w list polecający.

- To człowiek godny uwagi - ciągnął swą opowieść sir Jan. - Naprawdę zna się na koniach, nie wspominając już o tym, że i na innych sprawach też zna się wcale dobrze. Chętnie zatrzymałbym go tu na dłużej. Dawno się znacie? Jakoś nigdy nie chce podjąć tego tematu...

I dzięki Bogu - pomyślała Scarlett.

- Mam rodzinę w Charlestonie. Poznałam go, gdy byłam tam z wizytą.

- W takim razie musi też pani znać mych dobrych przyjaciół Brewtonów! - zawołał Jan. - Gdy studiowałem w Cambridge, specjalnie wyprawiałem się do Londynu na święta, tylko w nadziei, że uda mi się spotkać Sally Brewton. Szalałem za nią, jak zresztą wszyscy.

- Sally Brewton? Ta małpiatka? - niewiele myśląc wykrzyknęła Scarlett.

Bart wyszczerzył zęby.

- Dokładnie ta. Czyż nie cudowna? Jaka z niej oryginalna istota.

Scarlett entuzjastycznie przytaknęła. Uśmiechnęła się. Lecz w głębi duszy nie potrafiła zrozumieć, jak to się dzieje, że mężczyźni szaleją z miłości do kogoś równie brzydkiego.

Jan Morland był przekonany, że wszyscy, którym zdarzyło się poznać Sally, muszą ją uwielbiać. Mówił o niej przez następne pół godziny oparłszy się o ogrodzenie, do którego usiłował zwabić Półksiężycyca, by w końcu zjadł tę garstkę owsa, którą trzymał w wyciągniętej dłoni.

Scarlett, pogrążona we własnych myślach, słuchała jednym uchem, gdy nagle imię Retta z powrotem przykuło jej uwagę. Bart zachichotał. Właśnie opowiadał ploteczkę, którą Sally podała mu w ostatnim liście. Wprawdzie Rett to chłop nie w ciemną bitę, lecz, jak się wydaje, wpadł w sidła, które kobiety zwykły zastawiać jak świat stary. Otóż, jakiś sierociniec wybrał się na wycieczkę do jego wiejskiej posiadłości, a kiedy przyszła pora powrotu, okazało się, że jedna sierotka gdzieś zginęła. Cóż było począć? Rett wybrał się z wychowawczynią na poszukiwania. Ostatecznie wszystko skończyło się szczęśliwie, dziecko znaleziono, ale dopiero gdy zmrok zapadł. Wychowawczyni, jako

panna, została więc skompromitowana w oczach towarzystwa i Rett, by oszczędzić jej hańby, musiał ją poślubić.

Najlepsze zaś z tego wszystkiego było to, że kiedyś, przed laty, Rett uciekł z miasta, gdy przyszło mu dopełnić podobnego zobowiązania wobec innej dziewczyny, z którą także dopuścił się niedyskrecji.

- I pomyśleć, że ta pierwsza przygoda powinna go czegoś nauczyć! - zarechotał Bart.
- Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, ten człowiek niewiele przebywa myślami w rzeczywistości. Czyż to nie roztkliwiający, Scarlett? Scarlett?

Otrząsnęła się z zamyślenia.

- Jako kobieta uważam, że Mr. Butlerowi do twarzy z tym zagubieniem. Wygląda mi on na człowieka, który, gdyby twardo chodził po ziemi, przysporzyłby dziewczętom o wiele więcej kłopotów.

Jan Morland zaniósł się śmiechem. Ten dźwięk zwabił Półksiężycy, który ostrożnie podbiegł do ogrodzenia. Bart potrząsnął workiem z owsem.

Scarlett była w podniosłym nastroju - szczęśliwa, choć jednocześnie bliska płaczu. To dlatego Rett tak się pospieszył z rozwodem i ślubem. Cóż to za przebiegła żmija z tej Anny Hampton, wystrychnęła mnie na dudka. Albo i nie. Może to po prostu moje pieskie szczęście tak mnie urządziło, że sierotka się zgubiła i że poszukiwania trwały zbyt długo. No i pamiętać też trzeba, że ta Anna zawsze była szczególnie łaskawie traktowana przez Miss Eleonorę. Poza tym wygląda jak Melania.

Półksiężyc odstał od worka z owsem. Jan Morland sięgnął do kieszeni surduta i wyjął jabłko. Koń zarżał w oczekiwaniu pierwszego kęsa.

- Droga Scarlett - powiedział Bart, przełamując jabłko. - Muszę teraz podnieść pewną... dość drażliwą kwestię.

Wyciągnął do Półksiężycy otwartą dłoń z ćwiartką jabłka.

„Drażliwa kwestia!” - też mi coś. Gdybyż on tylko wiedział, jak wysoce drażliwe sprawy poruszał przed chwilą.

- Wszystko mi jedno, czy karmisz to zwierzę zgniętymi owocami, czy dobrymi.

Na nieba, nie! Szare oczy Barta poogromniały ze zdumienia. Jak mogła jej przyjść do głowy podobna myśl.

O, tak - wyjaśnił - musi poruszyć pewną sprawę dość delikatnej materii. Otóż Alicja Harrington... to ta zwalista blondynka, no, ta, która pod koniec polowania wylądowała w rowie... wydaje przyjęcie z okazji wiosennej równonocy. Bardzo by chciała zaprosić Scarlett, lecz nie starczyło jej nerwów. Wobec czego wysłała Barta, by jakoś

dyplomatycznie załatwił sprawę.

Scarlett od razu przemknęła przez głowę setka pytań, które jednak dałyby się sprowadzić do trzech zasadniczych: kiedy, gdzie, w co się ubrać. Colum wpadnie we wściekłość, nie miała najmniejszych wątpliwości, ale nie zamierzała brać sobie tego do serca. Chciała się ubrać, pić szampana i pędzić konno niczym wiatr nad strumykami i płotkami, za sobą mając sforę psów, przed sobą lisa.

Dom Harringtonów był wielką, zwalistą budowlą z bloków portlandzkiego kamienia. Posiadłość nie leżała daleko od Ballyhara, tuż za Pike Corner - maleńką osadą przy skrzyżowaniu dróg. Trudno było znaleźć wjazd, bo ani bram nie było, ani stróżówki, jedynie dwie proste, nie oznakowane kolumny. Wysypana żwirem droga biegła brzegiem rozległego jeziora, po czym rozszerzała się, by przejść w wyźwirowany plac tuż przed samą rezydencją.

Słyszając turkot powozu, przez frontowe drzwi wyszedł lokaj. Pomógł zejść Scarlett, po czym wprowadził ją na korytarz, gdzie przekazał ją pod opiekę pokojówki.

- Nazywam się Wilson, Miss - szepnęła, dygnawszy zrećcznie. - Zechce pani zażyć odpoczynku po podróży, czy raczej woli pani od razu dołączyć do towarzystwa?

Scarlett wybrała to drugie, wobec czego lokaj poprowadził ją przez całą długość korytarza do otwartych drzwi, skąd było wyjście na trawnik.

- Mrs. O'Hara! - wykrzyknęła Alicja Harrington. Scarlett przypomniała ją sobie bez trudu. Ani sformułowanie, że to ta, która „wylądowała w rowie”, ani wzmianka o jej niezgrabnej „klocowatej” figurze nie były konieczne, by przywołała z pamięci jej obraz. Wystarczyło, że jest tłusta i mówi strasznie głośno. Ale kiedy Alicja wyrwała się w kierunku Scarlett, pomykała zaskakująco lekkim krokiem, z daleka pokrzykując, jak jest szczęśliwa, mogąc ją tutaj widzieć.

- Mam nadzieję, że lubi pani grać w krykieta. Bo ja gram okropnie i moja drużyna z największą przyjemnością by się mnie pozbyła.

- Nigdy w życiu nie grałam w krykieta - powiedziała Scarlett.

- Tym lepiej! Będzie pani sprzyjać szczęście nowicjuszek.

Wyciągnęła w jej kierunku młotek.

- Zielone pończochy! Doskonale harmonizują z pani oczyma. Jakie niezwykle. Proszę, pani pozwoli, że ją przedstawię reszcie towarzystwa. I zaczniemy wreszcie tę grę. Może dzięki pani moja drużyna będzie miała trochę więcej szczęścia.

Drużyna Alicji - teraz także Scarlett - składała się ze starszego pana w tweedach, przedstawionego jako „generał Smythburns” oraz dwóch panniek w wieku lat dwudziestu, obu w okularach, przedstawionych jako Emma i Chizzie Fulwich. Generał przedstawił jej drużynę przeciwników: Karolinę Montague, - wysoką, szczupłą kobietę o cudownie ułożonych siwych włosach, kuzyna Alicji Desmonda Grantleya - równie okrągłych kształtów jak ona - oraz elegancką parę Genowefę i Ronalda Bennetów.

- Uważaj na Ronalda - ostrzegła ją Emma Fulwich. - Oszukuje.

Zabawna gra - pomyślała Scarlett. A zapach świeżo skoszonej trawy przewyższa intensywnością woń kwiatów. Jej instynkt współzawodnictwa ujawnił się w pełni, jeszcze nim trzecia runda dobiegła końca. Zebrała od wszystkich gratulacje za „dobrą robotę”, a kiedy wybiła piłkę Ronalda Benneta daleko za trawnik, sam generał poklepał ją po plecach.

Gdy gra dobiegła końca, gospodyni grzmiącym głosem zaprosiła wszystkich na herbatę. Stół ustawiono w cieniu wielkiego buka, co widząc, wszyscy westchnęli z radością, zaś najgłośniejszy Jan Morland, który grzecznie przysłuchiwał się jakiejś młodej kobiecie, lecz ujrawszy Scarlett pomachał na powitanie. Na ławkach przy stole spotkało się całe towarzystwo: Franciszek Kinsman - typ przystojnego hulaki oraz jego żona. Był także mąż Alicji - Scarlett przekonywająco udała, że ależ tak, doskonale pamięta go z polowania u Barta.

Towarzyszka Jana Morlanda - ta gadatliwa kobieta, siedząca przy nim u stołu, najwyraźniej nie była zadowolona, gdy Alicja przerwała jej potok wymowy, by przedstawić Scarlett, niemniej stać ją było na lodowatą uprzejmość.

- Czcigodna Luiza Fernliff - rzekła Alicja jakoś tak rozpaczliwie słodko. Scarlett uśmiechnęła się, powiedziała - Miło mi, jak się pani miewa - i dała na tym spokój. Szczęśliwie w samą porę wpadło jej do głowy, że Czcigodna nie będzie zachwycona, gdy tak ni stąd, ni zowąd zacznie się do niej zwracać *per* „Luizo”, no, a przecież trudno byłoby ją tytułować „Czcigodna pani”. Zwłaszcza wówczas, gdy całym swym zachowaniem daje do zrozumienia, że byłaby zachwycona, gdyby Jan Morland złożył jej propozycję nieco bezczeszczonego całusa w krzakach za ławką.

Desmond Grantley przytrzymał Scarlett krzesło i zapytał, czy łaskawie pozwoli mu podać sobie tacę z kanapkami i ciastem. Scarlett wspaniałomyślnie pozwoliła. Potoczyła wzrokiem po zebranych, którzy, w myśl pogardliwego określenia Columa, tworzyli „świątek” i pomyślała, że jednak kuzyn nie powinien tak obstawać przy swoich uprzedzeniach. Ci ludzie są przecież w gruncie rzeczy bardzo mili. Była przekonana, że będzie się dobrze bawić.

* * *

Po herbacie Alicja Harrington zaprowadziła Scarlett do sypialni. Była to długa droga. Najpierw przeszła przez raczej mało elegancki salon, potem po szerokich, wyściełanych chodnikiem schodach na górę, wreszcie minęły przestronny hall, gdzie w ogóle nie było dywanów. Sypialnia mogła imponować wielkością, ale umeblowana była skromnie, tapety na ścianach mocno poblądły.

- Sara już cię rozpakowała, moja droga. Pomoże ci przy kąpieli i toalecie. Chyba o siódmej nie będzie za późno? Obiad podajemy o ósmej.

Scarlett zapewniła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Na biurku masz przybory do pisania, na stole parę książek, lecz jeśli wolałabyś coś innego...

- Wielkie nieba, Alicjo, niczego więcej mi nie trzeba. Nie zwracaj sobie mną głowy, masz przecież gości i jakieś ważniejsze sprawy...

Na chybił trafił wzięła ze stołu jakąś książkę.

- Wprost nie mogę się doczekać, kiedy zatopię się w lekturze. Nie czytałam od wieków.

Tak naprawdę, to już od wieków czekała, kiedy wreszcie Alicja uwolni ją od wysłuchiwania litanii cnót jej tłustego kuzyna Desmonda. Nic dziwnego, że tak się denerwowała i w końcu nie miała odwagi osobiście mnie tu zaprosić - pomyślała Scarlett. Chyba doskonale wie, że nic takiego nie ma w Desmondzie, co sprawiłoby, że serduszko dziewczyny zaczyna bić szybciej. Jak zgaduję, widząc we mnie bogatą wdowę, Alicja chce pomóc biednemu chłopcu, by jako pierwszy schwytał tłusty kasek, nim dowie się o mnie ktokolwiek inny. Oj, Alicjo, nie masz najmniejszej szansy, choćbyś przez milion lat bawiła się w swatkę.

Ledwo Alicja wyszła, do drzwi zapukała dziewczyna przeznaczona Scarlett na pokojówkę. Zgrabnie dygnęła, uśmiechnęła się ochotczo.

- Mam zaszczyt ubierać **Tę O'Hare** - powiedziała. - Kiedy przywiozą kufry?

- Kufry? - zdumiała się Scarlett. - Jakie znowu kufry?

Dziewczyna jęknęła i zakryła usta dłonią.

- Lepiej usiądź - powiedziała Scarlett. - Bo coś mi się wydaje, że będę musiała zadać ci parę pytań.

Dziewczyna z przyjemnością spełniła to polecenie. W miarę, jak odpowiadała na pytania, serce Scarlett biło coraz ciężiej - dowiedziała się rzeczy, o których dotychczas nie miała najmniejszego pojęcia.

Najgorsza wiadomość to ta, że tak naprawdę, nie brała udziału w żadnym polowaniu. Polowania odbywały się tylko w zimie i na jesieni. Jedynym wytłumaczeniem całej tej maskarady było pragnienie sir Jana Morlanda, by pokazać bogatemu gościowi z Ameryki wszystkie konie ze swojej stadniny.

Prawie równie zła jak ta była nowina, że panie musiały się specjalnie ubierać na śniadanie, lunch, herbatkę i na obiad, i nie miały prawa dwa razy założyć tej samej

sukni. Scarlett miała dwie suknie dzienne, jedną toaletę wieczorową oraz strój do konnej jazdy. Ale nawet gdyby chciała posłać do Ballyhara, i tak nie było po co. Mrs. Scanlon, krawcowa, nie spała po nocach, byleby tylko wykończyć toalety, które ze sobą wzięła. Wszystkie suknie uszyte specjalnie na wizytę w Ameryce, okazały się beznadziejnie niemodne.

- Coś mi się wydaje, że pierwsze, co zrobię jutro z samego rana, to spakuję się i wyjadę.

- Och, tylko nie to - krzyknęła dziewczyna. - Nie powinna pani. W końcu kim są ci inni? To zwykli Anglicy.

Scarlett uśmiechnęła się.

- Aha, więc my przeciwko nim, to mi chciałaś powiedzieć, Saro, prawda? Skąd wiesz, że jestem **Tą O'Hara**?

- Wszyscy w Powiecie o tym wiedzą - dumnie rzekła dziewczyna. - Wszyscy Irlandczycy.

Scarlett znowu się uśmiechnęła. Od razu zrobiło się jej lepiej na duszy.

- Wobec tego - zaczęła - opowiedz mi o tych Anglikach.

Była przekonana, że w każdym domu cała służba wie wszystko o wszystkich. Zawsze tak było.

Sara jej nie rozczarowała. Toteż gdy Scarlett schodziła na obiad, była doskonale uzbrojona przeciwko wszelkiemu snobstwu, z którym mogła się spotkać. Wiedziała o innych gościach więcej niż ich matki rodzone.

A mimo to czuła się jak drwal w mateczniku. I była wściekła na Jana Morlanda. Bo chociaż wyraźnie go pytała, jaki strój obowiązuje, powiedział zaledwie coś o „lekkich sukniach na dzień i jakimś miłym dekolceku na wieczór”. I proszę, oto rezultat: wszystkie kobiety były wystrojone, błyszcząły obsypane klejnotami, niczym królowe, podczas gdy jej perły i diamentowe kolczyki leżały w szkatułce w domu. Ponadto pewna była, że jej suknia krzyczy wniebogłosy, iż została uszyta przez wiejską partaczkę.

Zazgrzytała zębami. Trudno. I tak będzie się dobrze bawić. Tyle że po tym występie nikt nigdy jej nie zaprosi.

W rzeczy samej, wiele miała okazji do dobrej zabawy. Po krykiecie przysła kolej na pływanie łódkami po jeziorze, później konkurs w strzelaniu z łuku do tarczy, następnie gra zwana „tenisem”, obie ostatni krzyk mody.

Po sobotnim obiedzie wszyscy rzucili się do szperania w wielkich pudłach, które wniesiono do salonu. Wyglupiano się, wybuchano nieskrępowanym śmiechem i do

tego stopnia zapomniano o dobrych manierach, że aż Scarlett pozazdrościła tej swobody. Henryk Harrington ustroił Scarlett w jedwabną suknię z długim trenem błyszczącą świecidełkami, na głowę włożył jej koronę ze sztucznych klejnotów.

- O! - westchnął. - Dzisiaj wieczorem będzie pani jak prawdziwa Tytania.

Pozostali także nakładali na siebie stroje z pudeł, przebierali się, wykrzykiwali, kogo udają i biegali po ogromnym pokoju, bawiąc się w chowanego.

- Wiem, że to bardzo głupie - rzekł przeproszającym tonem Jan Morland ustrojony w wielką głowę lwa z *papier mache*.

- Ale dziś mamy wiosenną równonoc, wszyscy możemy sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa.

- Bardzo mnie pan rozgniewał, Bart - powiedziała Scarlett. - Nie podał pan damie pomocnej dłoni. Dlaczego mi pan nie powiedział, że powinnam tu przywieźć ze sobą przynajmniej tuzin sukien?

- Boże, naprawdę? Nigdy nie zwracam uwagi na to, w co nasze damy się ustroją. W ogóle nie rozumiem, po co to całe zamieszanie.

Zanim wszyscy zmęczeni się zabawą, zapadł długi zmierzch, jak to w Irlandii.

- Już ciemno! - krzyknęła Alicja. - Wyjdźmy zobaczyć, jak zapalają pierwsze ogniska.

Scarlett poczuła się nagle winna. Powinna być teraz w Ballyhara. Wiosenna równonoc była nie mniej ważna niż dzień świętej Brygidy. Ognie świętego Jana płonęły, by wskazać punkt zwrotny w dorocznym cyklu upływu czasu: ta noc była najkrótsza w roku, dawała tajemniczą ochronę nowym plonom i bydłu.

Kiedy wszyscy przenieśli się na trawnik, spostrzegli, że gdzieś w ciemności zapala się mały punkcik ogniska, z dala dobiegły ich dźwięki irlandzkiego *reela*. Scarlett pomyślała, że to chyba z Ballyhara. Tak, ona, **Ta O'Hara**, powinna wziąć udział w tej ceremonii. I jeszcze jutro rano, o wschodzie słońca, gdy bydło będzie przeganiane po zgliszczach świętojańskich ogni. Czyż nie mówił jej Colum, że nie należało przyjmować zaproszenia na to angielskie przyjęcie? Mogła z nich drwić, mogła podchodzić do nich ze świętą powagą, lecz dawne zwyczaje były nader ważne dla Irlandczyków. Klóciła się z Columem. Przesady nie mogły rządzić jej życiem. Teraz jednak opadło ją podejrzenie, że się myliła.

- Dlaczego nie jest pani teraz w Ballyhara, przy ognisku? - spytał Bart.

- A pan? - gniewnie odbiła piłeczkę.

- Bo mnie tam nie chcą - odparł Jan Morland. W zapadającym mroku jego głos

zabrział szczególnie smutno. - Kiedyś brałem udział w tej ceremonii. I pomyślałem sobie, że w ludowych przesądach tkwi ziarno mądrości. Choćby w zwyczaju przeganiań bydła po popiołach. To bardzo dobrze robi na kopyta. Chciałem nawet zastosować tę metodę na koniach.

- Poskutkowało?

- Nigdy się nie dowiedziałem. Zaledwie się pojawiłem wśród ludzi, cały czar przysł.

- Chyba powinnam stąd odejść - wygadała się Scarlett.

- Absurd. Przecież jest pani tutaj jedynym człowiekiem, z krwi i kości. W dodatku Amerykanką. Jak egzotyczny kwiat wśród zagonu chwastów.

W ten sposób to jeszcze o sobie nie myślała, lecz dostrzegła w tym pewien sens. Dla gości z daleka gospodarze zawsze stają na głowie. Czuli się znakomicie aż do momentu, gdy usłyszała Czcigodną Luizę.

- Czyż nie mają w sobie żyłki przedsiębiorczości? - mówiła Czcigodna. - Uwielbiam Irlandczyków, kiedy wskrzeszają swe pogańskie, pierwotne obrzędy. Gdyby jeszcze nie byli tacy leniwi i głupi, to nawet bym się nie przejmowała tym, że mieszkam w Irlandii.

Scarlett poprzysięgła sobie w duchu, że gdy tylko wróci do domu, natychmiast przeprosi Columa. Nigdy, ale to nigdy, nie powinna opuszczać domu i swego ludu.

* * *

- Czy inni ludzie są bez winy? Musisz się uczyć na własnych błędach, bo i jak tu inaczej? No, otrzyj teraz oczka i pojedź zobaczyć pola. Parobcy zaczęli układać stogi.

Scarlett pocałowała kuzyna w policzek. Nie, jednak nie usłyszała od Columa: „A nie mówiłem?”

* * *

W najbliższych tygodniach Scarlett dwukrotnie została zaproszona na przyjęcia do wiejskich rezydencji przez ludzi, których spotkała u Alicji Harrington. Na dwa zaproszenia odpowiedziała liścikami nader grzecznymi, lecz wyraźnie odmownymi. Gdy zwózka siana się skończyła, kazała parobczakom zająć się zrujnowanym trawnikiem za domem. Jeszcze nim nadejdzie następne lato, trawa powinna ładnie wyrosnąć, zaś Kicia powinna uwielbiać grę w krykieta. Ta część pobytu u Alicji Harrington bardzo przypadła Scarlett do gustu.

Pszenica już zażółciła się jak należy, prawie gotowa do żniw, gdy konny posłaniec przywiózł pilną wiadomość i sam zaprosił się do kuchni na filiżankę herbaty „lub coś bardziej męskiego”, spodziewał się bowiem, że natychmiast dostanie odpowiedź, którą

będzie mógł zawieźć.

Karolina Montague rada byłaby złożyć jej wizytę, o ile nie nastreczy to nazbyt wielu kłopotów.

Kimże, święty Boże, jest ta osoba? Scarlett niemal przez dziesięć minut musiała przetrząsać pamięć, nim wreszcie przypomniała sobie miłą, dyskretną starszą panią z przyjęcia u Harringtonów. Mrs. Montague - przypomniała sobie - nie biegała po trawniku w noc Sobótki niczym dziki Indianin. Znikła gdzieś zaraz po obiedzie. Co, oczywista, w niczym nie umniejszało faktu, że jest Angielką.

Ale czego ona może chcieć? Bilecik powiadała: „w sprawie interesującej nas obie”.

Osobiście poszła do kuchni, by wręczyć posłańcowi Mrs. Montague liścik, w którym zapraszała ją na herbatę jeszcze dziś po południu. O, tak, weszła na terytorium Mrs. Fitz, która uparcie twierdziła, że kuchnię to sobie może oglądać z podobnej do mostu galeryjki, inaczej wstęp surowo wzbroniony. Ale to przecież w końcu jej kuchnia. Poza tym Kicia od niedawna spędzała tu dzień w dzień całe godziny.

* * *

Na herbatkę z Mrs. Montague Scarlett omal nie założyła różowej sukni, przewiewniejszej od tych, które kupiła w Galway, co tego popołudnia było nie bez znaczenia, bowiem żar lał się z nieba, było bardzo gorąco jak na Irlandię. Ostatecznie jednak powiesiła ją z powrotem do szafy. Nie, nie będzie udawać osoby, którą nie jest.

Zamówiła racuszki drożdżowe zamiast zwykłych placków, podawanych w Ballyhara do codziennej herbaty.

Karolina Montague ubrała się w szary płócienny zakiecik i suknię z koronkowym żabotem, tak cudnej roboty, że Scarlett aż palce świerzbiły, aby go dotknąć. Nigdy bowiem nie widziała koronki tak grubej i tak starannie wykonanej.

Nim starsza pani zajęła miejsce w pokrytym pluszem krześle przy stoliczku z herbatą, zdjęła szare rękawiczki i szary, zdobny w pióra kapelusz.

- Dziękuję, że mnie pani przyjęła, Mrs. O'Hara. Ponieważ, jak sędzę, nie zwykła pani tracić czasu na pogaduszki o pogodzie, będzie chyba lepiej, jeśli od razu wyłożę, z czym przyszedłam, prawda?

- Umieram z ciekawości - powiedziała Scarlett, na której wstęp Karoliny zrobił dobre wrażenie.

- Otóż, dowiedziałam się, że jest pani kobietą interesu i że szczęście pani sprzyja, tak tutaj, jak w Ameryce... Nie, proszę się nie niepokoić, to, co wiem, zachowam dla siebie, dyskrecja to jeden z mych najcenniejszych nabytków. Te inne, jak sobie pani

zapewne wyobraża, to umiejętności wykonywania pewnych działań, o których inni nie mają zielonego pojęcia. Ja też jestem kobietą interesu. Chętnie bym pani opowiedziała coś o tym, jeśli mogę.

Scarlett tylko niemo pokiwała głową. Cóż ta kobieta wie na jej temat? I w jaki sposób się dowiedziała?

By ująć to w najprostszy sposób - zaczęła Mrs. Montague - jej interesy polegają na tym, że aranżuje pewne sprawy. Urodziła się jako najmłodsza córka najmłodszego syna dobrej rodziny, wyszła za mąż za młodszego syna innej dobrej rodziny. Nim jej mąż zmarł w wyniku ran odniesionych na polowaniu, doszła do przekonania, że życie na marginesie wszystkiego, co ważne, jest bardzo męczące, że nudzi ją owo ciągłe baczenie, by zachować twarz, prowadzić się jak przystało dobrze urodzonym damom i dżentelmenom, zawsze potrzebującym pieniędzy. Gdy owdowiała, stwierdziła, że bieda zagląda jej do oczu. Z podobną sytuacją nie mogła się pogodzić.

Jej atuty w owym czasie to inteligencja, wykształcenie, dobry smak i koneksje z najlepszymi domami w Irlandii. Zatem zaczęła budować na tym, dodając do atutów, którymi dysponowała na początku, dyskrecję oraz informacje.

- Jestem... jak to się mówi... zawodowym przyjacielem domu. Wspaniałomyślnie udzielam rad w tym, co się tyczy ubrania, urządzania przyjęć, aranżacji wnętrz, małżeństw lub spadków. Modniarki i krawcowe, szewcy i jubilerzy, właściciele sklepów meblowych i sprzedawcy dywanów płacą mi niemały procent od każdej transakcji, którą dzięki mnie przeprowadzą. Jestem zdolna i taktowna, wątpliwe, by ktokolwiek podejrzewał, że od każdej wyświadczonej przysługi mam swój dział, a jeśli nawet w kimś zrodziły się jakieś podejrzenia, to tak był zadowolony ostatecznym rezultatem mego doradztwa, że wcale się tym nie przejął. Ostatecznie, nie on za to płacił.

Scarlett była tyleż wstrząśnięta, co zachwycona. Tylko dlatego właśnie ją wybrała ta kobieta na swą spowiedniczkę?

- Opowiadam pani o tym, Mrs. O'Hara, ponieważ jestem przekonana, że nie jest pani głupia. Zdziwi się pani... i zupełnie słusznie... jeśli ofiaruję pani moją pomoc, jak to się mówi, nie z dobroci serca. Tak, nie przejęczyłam się. W moim sercu nie ma ni krzty dobroci, chyba że nagle jest mi ona potrzebna w interesach... o, tak, wtedy ją znajduję. Przyszłam do pani z propozycją transakcji: zasługuje pani na coś lepszego niż marne przyjęcia wydawane przez podupadłe arystokratki w rodzaju Alicji Harrington. Ma pani urodę, dobrze poukładane w głowie i pieniądze. Może pani zrobić karierę jako zjawisko nader oryginalne w tutejszym świecie. Jeśli powierzy pani swoje sprawy w

moje ręce, pod moją kuratelę, uczynię z pani najbardziej uwielbianą, najbardziej rozchwytywaną kobietę w całej Irlandii. Potrzebuję na to dwóch, może trzech lat. A wtedy cały świat stanie pani otworem, będzie sobie mogła z nim pani wyczyniać, co dusza zapragnie. Ja zaś będę mieć dość pieniędzy, by znowu móc sobie pozwolić na dostatnie życie.

Mrs. Montague uśmiechnęła się.

- Prawie dwadzieścia lat czekałam na taką okazję.

Gdy tylko za Karoliną Montague zamknęły się drzwi, Scarlett wpadła na galeryjkę kuchenną i co sił w nogach pobiegła do pokoju Mrs. Fitzpatrick. Właściwie powinna była posłać po gospodynię, samej nie ruszając się z salonu, ale nie dbała o to - musiała z kimś porozmawiać.

Mrs. Fitzpatrick wyszła z gabinetu nim Scarlett zdążyła zapukać.

- Powinna była pani posłać po mnie, Mrs. O'Hara - powiedziała zduszonym głosem.

- Wiem, wiem, ale to trwałoby zbyt długo, a to, z czym do pani przychodzę, nie ścierpi ani chwili zwłoki.

Chłodne spojrzenie gospodyni momentalnie zbiło ją z tropu.

- Jednak będzie musiało - oznajmiła Mrs. Fitz. Kuchenne usłyszą każde słówko i powtórzą całą historię, dodając co nieco od siebie. Proszę iść za mną, tylko powoli. Pani pozwoli, że poprowadzę.

Scarlett poczuła się jak skarcone dziecko. Uczyniła to, co jej kazano.

W połowie drogi przez galeryjkę Mrs. Fitzpatrick zatrzymała się. Scarlett także musiała stanąć i wysłuchać, jakie to ulepszenia zostały ostatnio wprowadzone w kuchni. Gotowała się z niecierpliwości, lecz Mrs. Fitz mówiła, mówiła i mówiła. Balustrada jest na tyle szeroka, że bez trudu można by sobie wygodnie usiąść - pomyślała Scarlett, którą nic a nic nie obchodziła opowieść gospodyni. Stała więc, wyprostowana tak jak ona, spoglądając obojętnie na wyjątkowo żwawo krzątające się kuchenne.

W końcu Mrs. Fitz ruszyła z miejsca, powoli, lecz postęp wyraźnie był widoczny. Gdy dotarły do zamieszkałej części skrzydła, Scarlett zaczęła mówić, ledwo drzwi na galerię się zamknęły.

- Oczywiście, to śmieszne - podsumowała swą opowieść o wizycie Karoliny Montague. - I tak jej też odpowiedziałam, „Jestem Irlandką - rzekłam. - Wcale nie pragnę, by wzdychali za mną Anglicy”.

Scarlett mówiła bardzo szybko, z wypiekami na twarzy.

- I bardzo dobrze jej pani odpowiedziała, Mrs. O. Sądząc po tym, co sama o sobie mówi, ta kobieta gorsza jest niż złodziej.

Powściągliwość Mrs. Fitzpatrick działała na Scarlett uspokajająco, i to do tego stopnia, że już nie zadała sobie trudu, by powtórzyć, co usłyszała w odpowiedzi od Mrs. Montague: „Ta pani irlandzkość - rzekła Karolina - to jedna z bardziej intrygujących cech pani osobowości. Pończochy w pasy i gotowane kartofle jednego dnia, jedwabie i

kuropatwy dnia następnego. O, proszę się nie martwić, może pani zachować i jedno, i drugie. To tylko doda uroku do pani legendy. Kiedy się pani zdecyduje, Mrs. O'Hara, proszę do mnie napisać”.

* * *

Sprawozdanie Rosaleen Fitzpatrick o wizycie Karoliny Montague wprawiło Columa w furie.

- Dlaczego Scarlett wpuściła ją do domu?

Rosaleen usiłowała go uspokoić.

- Bo jest samotna. Poza mną i tobą nie ma przyjaciół. Dziecko może wprowadzić zastąpić matce cały świat, lecz nie towarzystwo. Myślę, że jacyś mili ludzie mogliby na nią wyrzucić zbawienny wpływ... także i nam by się przydali. Zajazd Kennedy'ego już wkrótce będzie gotowy. Zaczną zjeżdżać tu najróżniejsi ludzie. Co nam szkodzi, gdy pojawi się ich paru więcej, zwłaszcza takich, których obecność zwiedzi Anglików? Na pierwszy rzut oka oceniłam tę Montague: to wyrachowana, zachłanna kobieta. Zapamiętaj moje słowa, pierwsze, co zrobi, to powie Scarlett, że Dwór trzeba umeblować i gruntownie odnowić. Ta Montague będzie wyprawiała najróżniejsze sztuczki z cenami i rachunkami, zaś Scarlett nie powie jej marnego słowa, bo może sobie na wiele pozwolić. Dlatego zaraz z Trim do Ballyhara złączą ciągnąć pielgrzymki kupców z malowidłami, aksamitem i francuskim zepsuciem. W ten sposób będziemy bezpieczniejsi: nikt nie zwróci uwagi na jednego czy dwóch podróżnych więcej... Sam wiesz, wszyscy tutaj dziwią się tej młodej amerykańskiej wdowie. Wszyscy zachodzą w głowę, dlaczego nie szuka sobie męża. Moim zdaniem, lepiej już niech sobie jeździ po tych angielskich przyjęciach. W przeciwnym razie angielscy oficerowie złączą nachodzić ją w domu.

Colum obiecał, że „rozważy tę sprawę”. Wieczorem wyszedł z domu i zrobił sobie kilkumilowy spacer zastanawiając się, jak byłoby najlepiej dla Scarlett, co byłoby najlepsze dla Bractwa, jak pogodzić jedno z drugim.

Ostatnie nowiny tak go trapiły, że nie mógł zdobyć się na trzeźwe myślenie. Doszły go bowiem słuchy, iż co niektórzy z braci zrywali więzi z organizacją. Dwa lata pod rząd był urodzaj, ludzie czuli się bezpieczniej, niewielu chciało stawiać wszystko na jedną kartę. Doniesiono też że informator, który zdołał się wślizgnąć w szeregi policji, słyszał o angielskim agencie w Bractwie. Podziemie żyło w nieustannym strachu przed zdrajcami. Już dwakroć w przeszłości zdarzyło się, że zdrada przesądziła o klęsce powstania, toteż obecnie wszystkie plany obmyślano co do najdrobniejszego szczegółu,

powoli i metodycznie. Nie zaniechano żadnych środków ostrożności. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Nie mogło się nie udać. Byli tak blisko celu. Rada główna postanowiła dać sygnał do działania już najbliższej zimy, gdy trzy czwarte angielskiej milicji wychodzi z garnizonów, by wziąć udział w polowaniach na lisy. A teraz nagle ta wiadomość: odłożyć wszystko, dopóki zdrajca nie zostanie zidentyfikowany i unieszkodliwiony. To oczekiwanie zżerało mu nerwy.

O wschodzie słońca zawrócił i usłaną różową mgiełką drogą ruszył w stronę Dworu. Miał własny klucz od drzwi frontowych - otworzył sobie i od razu skierował się do pokoju Rosaleen.

- Chyba masz rację - powiedział prosto z progu. - Zasłużyłem na filiżankę herbaty?

Parę godzin później Mrs. Fitzpatrick udała się do Scarlett z przeprosinami. Przyznała, że wczoraj była zbyt popędliwa i niesprawiedliwie osądziła Karolinę Montague. Zatem teraz, by naprawić swój błąd, usilnie namawia Scarlett do skorzystania z pomocy Angielki. W końcu należy się jej trochę godziwej rozrywki.

- Uważam, że to głupi pomysł - odpowiedziała Scarlett. - I tak mam za mało czasu dla siebie.

Gdy późnym wieczorem Rosaleen opowiadała o tym Columowi, ten skwitował ją wybuchem śmiechu. Wyszła bez słowa z hukiem zamykając za sobą drzwi.

* * *

Nadeszły żniwa, po nich dożynki, później złota jesień. Z drzew zaczęły opadać złote liście. Scarlett cieszyła się dobrymi plonami, żałowała, że rok tak urodzajny dobiega końca. We wrześniu płacono dzierżawy za pierwsze półrocze. Wiedziała, że wszyscy mają z czego zapłacić i jeszcze im zostanie. Być **Tą O'Hara** - jakie to piękne.

Na drugie urodziny Kici wydała wielkie przyjęcie. Wszystkie dzieci z Ballyhara poniżej dziesięciu lat bawiły się na podłodze w kilku ogromnych i pustych pokojach, jadły - chyba po raz pierwszy w życiu - lody, racuszki nadziewane porzeczkami i rodzynkami. Każde wróciło do domu z lśniącą, nowiutką dwupensówką w kieszeni. Scarlett zadbała, by rozeszły się przed zapadnięciem zmroku, a to z powodu wszystkich przesądów związanych z wigilią Wszystkich Świętych, po czym wzięła Kicię na piętro, bo czas było spać.

- Podobały ci się urodziny, skarbie?

Kicia uśmiechnęła się sennie.

- Tak. Ale Kicia chce spać.

- Wiem, wiem, mój aniele. Już dawno powinnaś leżeć w łóżeczku. No, chodź...

dzisiaj, w dzień urodzin, możesz spać w wielkim łóżu mamusi.

Ale ledwo Scarlett ją położyła, natychmiast usiadła.

- A gdzie prezent Kici?

- Już, chwileczkę, kochanie.

Scarlett wyjęła z pudła dużą chińską lalę.

Kicia potrząsnęła głową.

- Nie tę. Chcę inną.

Na brzuszku ześlizgnęła się z wysokiego łóżka nie ściągając jednak z ramion puchowej kołderki. Bach! - wylądowała na podłodze, po czym zgrabnie wczołgała się pod łóżo, a kiedy wyszła z powrotem, miała w ramionach burego kotka.

- Wielkie nieba, córeczko, a skąd ty to masz? Oddaj mamie natychmiast, zanim cię podrapie.

- Ale dostanę z powrotem?

- Oczywiście, skoro chcesz... Ale to kot podwórzowy, nie może ciągle przebywać w domu.

- Lubi mnie.

Scarlett ustąpiła. Kot nie wyrządził dziecku krzywdy, a Kicia była z nim bardzo szczęśliwa. W końcu, co szkodzi trzymać w domu kota? Oboje wzięła do łóżka. Skończy się pewnie na tym, że będę spać z setkami pcheł - pomyślała. Trudno. Urodziny to urodziny.

Kicia wymościła sobie gniazdko w poduszkach. Choć ciężkie od snu powieki już opadały, nagle otworzyła oczy.

- Kiedy Aneczka przyniesie dla mnie mleczko, niech je odda mojemu kotkowi - powiedziała.

Teraz powieki opadły już na dobre. Zasnęła.

Zapukała Aneczka. Przyniosła kubek ciepłego mleka. Kiedy wróciła do kuchni, opowiedziała służbie, jak to Mrs. O'Hara śmiała się i śmiała, nie wiedzieć, czemu. Coś tam mówiła o kotku i mleczku. Na co Marysia Moran, że jeśli by już ją kto pytał o zdanie, to uważa, że dziecko, Święci Pańscy niech je strzegą, powinno mieć przyzwoite, chrześcijańskie imię. Trzy kuchenne, z kucharką na czele, przeżegnały się po trzykroć.

Mrs. Fitzpatrick widziała i słyszała wszystko z galerii nad kuchnią. Sama też się przeżegnała, a odmówiwszy po cichu modlitwę, z niepokojem pomyślała, że już wkrótce Kicia będzie za duża, by ustrzec ją przed wszystkim. Ludzie bali się czarcich podrzutków, a tak już bywa, że czego ludzie się boją, to usiłują zniszczyć.

W Ballyhara, w miasteczku, matki szorowały dzieci w wodzie, w której przez cały dzień moczył się korzeń dzięgiela. Bo, jak wiadomo, dzięgiel jest doskonałym środkiem przeciwko wiedźmom i złym duchom.

* * *

To róg, Scarlett właśnie trenowała na Półksiężycu, Gdy oboje usłyszeli dźwięk rogu i ujadanie psów. Gdzieś niedaleko odbywało się polowanie. Słyszała, że nawet Rett miał tam być. Półksiężyc pokonał właśnie trzy rowy i cztery żywopłoty, ale skoki przez przeszkody w Ballyhara to nie to samo, co prawdziwe Tory. Następnego dnia napisała do Karoliny Montague.

Dwa tygodnie później trzy ciężkie wozy z trudem pokonały zakręt. Właśnie przywieźli meble do apartamentów Mrs. Montague. Karolina przybyła zaraz potem w małym powozie, razem z pokojówką.

Wydała polecenie, jak ustawić meble w sypialni i saloniku zaraz obok pokoju Scarlett, po czym zostawiła dziewczynę, żeby doglądała rozładunku.

- Możemy zaczynać - rzekła do Scarlett.

* * *

- Równie dobrze mogłoby mnie tu nie być - narzekała Scarlett. - Jedyne, co pozwalają mi robić, to podpisywać czeki na jakieś bająnskie sumy.

Skarżyła się do Ocras - kota Kici. Imię to znaczyło po celtycku tyle, co „Głodómór” i wymyśliła je kucharka w chwili szczególnej irytacji. Ocras ignorował Scarlett, nie miała jednak innego partnera do rozmowy. Karolina Montague i Mrs. Fitzpatrick rzadko zasięgały jej opinii, obie bowiem dobrze wiedziały, jak powinien wyglądać Dwór. Scarlett nie wiedziała.

Ani specjalnie się tym nie interesowała. Przez większą część życia Scarlett, domy, w których mieszkała, po prostu były, to wszystko. Tara to Tara, dom ciotki Pittypat, to dom ciotki Pittypat, chociaż w połowie był jej własnością. Osobiście Scarlett zajmowała się jedynie domem, który zbudował dla niej Rett. Kupowała najnowsze i najdroższe meble i ozdoby, cieszyła się, gdy każdy drobiazg świadczył o jej bogactwie. Dom jako taki nie dawał jej radości, ledwo go widziała. Podobnie z trudem zaledwie dostrzegała Dwór w Ballyhara. Osiemnasty wiek, naśladownictwo z Palladia - cmokała Karolina. I dobrze. Powiedźcie tylko, co z tego? Dla Scarlett liczyła się jedynie ziemia, bogactwa ziemi, plony, miasteczko, dzierżawne, wszystkie usługi, do których byli zobowiązani jego mieszkańcy. Miasteczko było też ważne dlatego, że nikt, kogo znała, nawet Rett,

nie miał własnego miasteczka.

Jednak doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że przyjmując zaproszenia, sama będzie musiała zaprosić tych, którzy ją gościli, a przecież nie mogła spraszać gości do domu, gdzie tylko dwa pokoje były umeblowane. Szczęśliwie się składa - tak sądziła - że Karolina Montague zechciała podjąć się zadania przeistoczenia dworu specjalnie dla jej potrzeb. Może teraz uda się ciekawiej spożytkować czas.

Scarlett miała tylko dwa życzenia: Kicia powinna posiadać własny pokój przylegający tuż do jej apartamentów, a nie gdzieś tam w skrzydle, gdzie mieszkała niania. Dalej - Scarlett pozostawiono zatwierdzanie wszystkich rachunków, rządcą nie miał tu nic do gadania. Poza tym Karolina i Mrs. Fitz mogły wyprawiać, co dusza zapragnie. Na widok rachunków Scarlett się krzywiła, zgodziła się jednak dać Karolinie wolną rękę, a skoro już roboty ruszyły, trudno było się wycofywać. Poza tym cel wart był kosztów, które poniosła.

Zatem Scarlett schroniła się w biurze, zaś robotnicy starali się doprowadzić do końca trwające już parę miesięcy dziwne, drogie, strasznie hałaśliwe i brzydko pachnące roboty. Przecież ktoś musiał prowadzić gospodarstwo, ktoś musiał wypełniać obowiązki głowy klanu. Wśród wielu zajęć znalazła czas na jeszcze jedno:

- Wiem o koniach niewiele lub tyle, co nic - powiedziała Karolina Montague. Scarlett aż uniosła brwi. Niewiele brakowało, a zaczęłaby sądzić, że Karolina zna się na wszystkim.

- Potrzebne pani przynajmniej cztery konie do jazdy, sześć na polowanie... choć osiem byłoby lepiej... ale w tym, co się tyczy wyboru i kupna musi pani zdać się na rady sir Jana Morlanda.

- Sześć na polowanie! Karolino, czy pani wie, o czym pani mówi? Przecież to wydatek rzędu pięciuset funtów! - krzyknęła Scarlett. - Pani jest szalona?

Zaraz jednak zmusiła się, by mówić normalnym tonem, gdyż z doświadczenia wiedziała, że podnoszenie głosu na Karolinę to zwykle marnotrawstwo energii - nic nie mogło jej zbić z tropu.

- Dobrze - powiedziała z jadowitą słodyczą. - Skoro nie zna się pani na koniach, to dam pani lekcję. Otóż koń, droga Mrs. Montague, to takie zwierzę, na którym się jeździ. Jeździć można tylko na jednym koniu. Szóstkę można ewentualnie zaprząć do powozu lub pługa.

Karolina zbijała wszystkie jej argumenty, jeden po drugim. Nie kłóciłam się, bo chciałam mieć pretekst, żeby spotkać się z Bartem - powiedziała do samej siebie. Jan

Morland powinien wiedzieć, co z Rettem, dlatego pojechała do Dunsany już następnego dnia. Morland aż się ucieszył, gdy poprosiła go o pomoc. Oczywiście - powiedział - z największą przyjemnością pomoże jej kupić najlepsze konie myśliwskie, jakie tylko są do dostania w Irlandii...

- Ma pan jakieś wieści o swoim amerykańskim przyjacielu? - przerwała mu, mając nadzieję, że to pytanie wypadło jakby nigdy nic i że wystarczająco długo czekała, by je zadać. Musiała mu wejść w słowo. Jan Morland mógłby opowiadać o koniach dłużej niż Papa, a nawet Beatrice Tarleton.

- Ma pani na myśli Retta?

Scarlett aż podskoczyła na sam dźwięk tego imienia.

- Owszem, mam. W korespondencji jest znacznie bardziej obowiązkowy niż ja.

Jan wskazał na stertę listów i rachunków, zalegających biurko.

Czy ten człowiek wykrztusi wreszcie parę sensownych słów? Co z Rettem?

Bart wzruszył ramionami, odwrócił się plecami do biurka.

- Uparł się, że wejdzie z tą źrebicą, którą ode mnie kupił, na wyścigi w Charlestonie. Mówiłem mu, że jest trenowana do gonitw z przeszkodami, nie do zwykłych wyścigów, ale Rett jest przekonany, że jej szybkość zrekompensuje braki w technice. Byle się nie rozczarował. Może za trzy, cztery lata dopnie swego, gdy jednak wspomnieć, że jej matka...

Scarlett przestała słuchać. Wiedziała: Jan Morland zacznie rozwodzić się nad genealogią zwierzęcia i doprowadzi ją aż do czasów potopu! Dlaczego nie może zwyczajnie powiedzieć już tego, czego chciałaby się dowiedzieć? Rett szczęśliwy?... Może choć z raz o niej wspomniał?...

Spojrzała na młodą, wyraźnie ożywioną twarz baroneta i przebaczyła mu. Choć dziwak, był jednak w całej swej ekscentryczności jednym z najbardziej czarujących mężczyzn, jakich spotkała.

Życie Jana Morlanda bez koni nie miałooby sensu. O, tak, sumiennie wypełniał wszystkie swe obowiązki, dbał o majątek, troszczył się o dzierzawców. Ale jego prawdziwą pasją była stadnina i szkółka koni wyścigowych. Zaraz następne miejsce zajmowały zimowe polowania na lisy, na które wyprawiał się na najlepszych koniach myśliwskich, trzymany na własny użytek.

Może to zamiłowanie do koni miało zrekompensować romantyczną tragedię miłosną, którą przeżył? Scarlett słyszała, że niejaka Gracja niepodzielnie władała sercem Jana Morlanda już wówczas, gdy oboje byli jeszcze dziećmi. Ale Gracja bez

mała dwadzieścia lat temu poślubiła Juliana Hastingsa i została panią Hastings. Jana i Scarlett łączył ten sam los nieszczęśliwych kochanków.

Karolina nie omieszkała podzielić się z nią tym, co „każdy w Irlandii” wiedział: sir Jan był względnie bezpieczny przed zakusami łowczyń mężów, ponieważ miał mało pieniędzy. Jego tytuł szlachecki i posiadłości były stare - niezwykle stare - nie miał jednak żadnych dochodów poza dzierżawnym, a wszystko, prawie co do szylinga, wydawał na konie. A jednak, jakby daleki rzeczywistości, był na swój sposób uroczy, wysoki, emanujący ciepłem, o interesujących szarych oczach i dech w piersi zatykającym anielsko słodkim uśmiechem, tak dobrze oddającym jego dobroduszny charakter. Jak na człowieka, który spędził swe czterdzieści kilka lat w światowych kręgach brytyjskiego „dobrego towarzystwa” był zadziwiająco niewinny. Zdarzało się niekiedy, że kobieta posiadająca własne pieniądze, jak na przykład Czcigodna Luiza, zakochiwała się w sir Janie i ściagała go po wszystkich kątach - niczego nie wskórała. Tylko Morland był zakłopotany, a wszyscy mieli wyśmienitą zabawę. W takich momentach jego oderwanie od rzeczywistości graniczyło z apatią, miał wówczas często źle pozapinane kamizelki, jego zaraźliwy śmiech wybuchał w niewłaściwych chwilach, a obrazy George'a Stubbsa, których niemały zbiór miał w domu, zmieniały miejsce tak często, że ściany były usiane dziurami.

Wspaniały portret Eclipse - bardzo sławnego konia - zakołysał się na stosie książek. Lada chwila, a spadnie - przemknęło Scarlett przez myśl, ale nic się tym nie przejęła. Teraz chciała dowiedzieć się czegoś na temat Retta. Nie ma co, trzeba prosto z mostu. Inaczej Bart w ogóle nie przypomni sobie, o co go pytałam.

- Czy Rett mówił coś na mój temat?

Morland zerknął. Oderwany od rozpamiętywania genealogii źrebicy początkowo nie był w stanie zrozumieć, o co jej chodzi. Dopiero po dłuższej chwili pytanie dotarło do niego.

- Ach, tak. Prosił mnie, żebym zapytał, czy nie zechce pani odsprzedać Półksiężycy. Zamierza wznowić w Dunmore polowania. Prosił mnie też, bym pilnie patrzył, czy nie ma gdzie podobnego konia.

- Jeśli jest, pewnie zechce wrócić do Irlandii i dokonać transakcji - zasugerowała Scarlett, modląc się, by Bart potwierdził jej przypuszczenia. Ale odpowiedź pograżała ją w rozpacz.

- Nie, zda się zupełnie na mnie. Otóż jego żona spodziewa się dziecka i nie chciałby jej opuszczać. Ponieważ jednak obiecałem, że pomogę pani zebrać samą śmietankę

irlandzkich stadnin, nie będę mógł służyć pomocą Rettowi. Napiszę mu o tym, niech no tylko znajdzie czas.

Scarlett tak się przejęła ostatnią nowiną, że Jan Morland musiał potrząsnąć ją za ramię, by zwrócić jej uwagę. A właśnie pytał, kiedy chce zacząć poszukiwania.

- Dzisiaj - odpowiedziała.

Przez całą zimę co sobotę jeździła z Janem Morlandem na polowania po całym Powiecie, wypróbowując konie, które były na sprzedaż. Nielatwo było znaleźć odpowiednie okazy, ponieważ domagała się, by zwierzęta nie znały, co to strach - tak, jak ona. Jeździła jakby piekła ją ścigały, bo w pędzie zdarzało się jej zapomnieć o tym, że Rett może być ojcem innego dziecka niż jej Kicia.

Kiedy przesiadywała w domu, starała się poświęcić dziewczynce jeszcze więcej uwagi i uczucia niż dotychczas. Jak zwykle, Kicia na wszelkie sposoby starała się uciec przed pieczytami. Za to chętnie przysłuchiwała się opowieściom o koniach - słuchała dopóty, dopóki Scarlett nie zaschło w gardle.

W lutym, jak zwykle, Scarlett przerzuciła pierwszą łopatę ziemi - z tym samym, co od lat, uczuciem błogości. Niech no tylko Karolina i Mrs. Fitz skończą wreszcie to, co zaczęły, wtedy wyda przyjęcie. Tęskniła za Kasią oraz resztą rodziny. Niestety, obecność Gochny w domu Danielów sprawiała, że każda wizyta była prawdziwą udręką. Zatem Scarlett prawie nie widywała się z kuzynami.

Ale z tym mogła poczekać, nawet musiała. Zbliżały się siewy.

* * *

Pewien czerwcowy dzień był dla Scarlett szczególnie długi i bardzo wyczerpujący. Oto bowiem od rana do wieczora spędziła czas na mierzeniu. Mrs. Sims - krawcowa, którą Karolina Montague sprowadziła do Ballyhara specjalnie z Dublina - była niemiłosierna. Scarlett musiała podnosić ręce, rozkładać, wyciągać przed siebie, w bok, jedną podnieść, drugą opuścić, jedną unieść w przód, drugą w tył, następnie zaś musiała przyjmować najdziwniejsze pozycje. Nawet nie przypuszczała, że niektóre w ogóle istnieją. Zdało się, że godziny dłużą się w nieskończoność. Potem druga runda, na siedząco: następnie figury taneczne, zatem kadryl, walc, kotylion.

- Wszystko może mi teraz uszyć - jęknęła Scarlett. - Tylko zapomniała o wzięciu miary na całun.

Karolina Montague wykrzywiła usteczka w bladym uśmiechu, co zdarzało się jej nader rzadko.

- Może i o całunie pomyślała, tylko pani nie zauważyła. Daisy Sims jest bardzo

gruntowna.

- Nigdy w życiu nie uwierzę, że ta starsza kobieta ma na imię „Daisy”.

- A Bóg panią broń przed zwracaniem się do niej w ten sposób. Chyba że sama panią o to poprosi. Tylko księżniczki mogą pozwolić sobie na podobne poufałości wobec Daisy. To najlepsza krawcowa. Nie znajdziesz kobiety, która śmie ją obrazić.

- Ale pani mówiła do niej po imieniu...

- Bo ja też jestem najlepsza w swoim fachu.

Scarlett roześmiała się. Lubiała i szanowała Karolinę Montague, chociaż nie przyszyłoby jej do głowy zwracać się do niej po imieniu, jak do przyjaciółki.

Kiedy krawcowa uznała, że już wie o niej wszystko, ubrała się w swój wieśniaczy strój i zasiadła do kolacji, o której Karolina ciągle twierdziła, że to obiad i nigdy nie omieszkała jej o tym przypomnieć. Później poszła na wzgórze, niedaleko Kingsbrook River, by wziąć udział w paleniu świętojańskich ogni. Tańcząc przy dźwiękach jakże znanych melodii wygrywanych na skrzypcach, piszczałkach i *bodhranie* Columa myślała o tym, ile szczęścia dane jej było ostatnio doznać. Jeśli teraz spełni się obietnica Karoliny, będzie królową dwóch światów: irlandzkiego i angielskiego. Biedny Bart. We własnej posiadłości był źle widziany przy paleniu ogni w noc świętego Jana.

* * *

O tym, że los się do niej znowu uśmiechnął, myślała Scarlett ponownie, siedząc na honorowym miejscu przy stole na Dożynkach. Zebrała dobre plony - może nie tak dobre jak w ciągu ostatnich dwóch lat, lecz było to dość, by zabręczały sakiewki. Wszyscy w Ballyhara święcili dobry rok. Wszyscy, tylko nie Colum, który zdaniem Scarlett wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia. Chętnie spytałaby go, co się stało, lecz już od tygodni pozostawali w stanie kłótni. Zgodnie z tym, co mówiła Mrs. Fitz, Colum nigdy nie odwiedzał *pubu*, nie było więc okazji.

Cóż, nie pozwoli popsuć sobie dobrego humoru. Dożynki to przecież święto.

Poza tym wkrótce zaczną się polowania, zaś jej nowy strój do konnej jazdy wyglądał tak czarująco, jak jeszcze żaden z tych, które zdarzyło się jej widzieć. Mrs. Sims istotnie posiadała wszystkie zalety krawcowej najlepszej w swoim fachu, jak zachwalała ją Karolina.

* * *

- Jeśli jest pani gotowa, możemy zrobić sobie przechadzkę - powiedziała Karolina Montague. Scarlett odstawiła filiżankę z herbatą. Na tej przechadzce zależało jej

bardziej, niż chciałyby przyznać.

- To niezwykle miłe z pani strony, Karolino, zwłaszcza gdy się pomyśli, że prawie przez rok wszystkie drzwi w tym domu były przede mną zamknięte, z wyjątkiem tych pokoi, gdzie mieszkałam - starała się, by w głosie jej wyraźnie dało się słyszeć niezadowolenie, chociaż podejrzewała, że Karolina zbyt jest przebiegła, by dać się na to nabrać. - Chwileczkę, tylko znajdę Kicię.

- Jak pani sobie życzy, moja kochana, ale dziewczynka widziała już wszystko, co jest do zobaczenia. Osobliwe dziecko. Wystarczy zostawić otwarte drzwi czy okno, a ona hyc, już jest. Malarze, znajdując ją na samej górze rusztowań, bardzo się denerwowali.

- Tylko niech mi pani o tym nie opowiada, bo dostanę apopleksji. Ta małpeczka wspina się na wszystko.

Scarlett zawołała na Kicię, lecz dziewczynka nie dała znaku życia. Niekiedy ta jej niezależność przyprawiała Scarlett o irytację, jak choćby teraz. Na ogół jednak była z niej dumna.

- Chyba i tak dojdzie do nas, gdy ta wycieczka wzbudzi jej ciekawość - rzekła po paru chwilach bezskutecznych nawoływań. - Idźmy już. Umieram z ciekawości.

Lepiej już się przyznać. I tak nikogo nie zmyli.

Karolina najpierw poprowadziła ją długim korytarzem - po obu stronach sypialnie dla gości - po czym schodami zeszły na dół, na piętro zwane tutaj „pierwszym”, choć w Ameryce powiedzieliby, że jest to drugie piętro (ta piekielna kwestia przysparzała Scarlett wiecznych kłopotów). Karolina szła aż na sam koniec długiego skrzydła, z dala od zamieszkanego pokoi.

- Pani sypialnia, łazienka, buduar, gotownia. Pokój do zabaw dla Kici, jej sypialnia, pokój dziecienny.

Tylko trzaskały otwierane drzwi, gdy Karolina odsłaniała przed jej oczyma rezultaty swych prac. Scarlett była oczarowana subtelnym pięknem bladozielonych, połączonych mebelków w swoich pokojach i fryzem w postaci alfabetu przedstawianego przez powykrzywiane cudacznie figury zwierząt w pokoju do zabaw Kici. Na widok małych krzesełek i stolika wielkością dostosowanego do wzrostu dziecka aż klasnęła. Dlaczego sama o tym nie pomyślała? Na stole stał dziecienny serwis do herbaty, przy kominku fotelik.

- Pani prywatne apartamenty są w stylu francuskim - powiedziała Karolina. - Ludwik XVI, jeśli to panią interesuje. Jest to jak gdyby ukłon w stronę tej części osobowości, którą odziedziczyła pani po Robillardach. To, co przyjęła pani w spadku

po O'Harach, odcisnęło swe piętno na reprezentacyjnej części domu na parterze.

Jedyne pomieszczenie na parterze, jakie знаła Scarlett, to hall z marmurową posadzką. Wygodnie było przechodzić przez hall, gdy miała w planie konną przejażdżkę; szerokie kamienne schody wiodły na wyższe piętra. Ale Karolina Montague przemknęła po schodach niczym burza. Wpadła do hallu i otworzyła wysokie podwójne drzwi. Jadalnia.

- Wielkie nieba! - westchnęła Scarlett. - Nie mam tylu znajomych, żeby wypełnić wszystkie miejsc przy tym ogromnym stole.

- Pozna pani wkrótce - lakonicznie stwierdziła Karolina. - A tutaj, proszę, pokój śniadaniowy i poranny. Przy mniejszej liczbie gości można podawać tu obiad.

Podeszła do następnych drzwi.

- Wielki salon i sala balowa - obwieściła. - Przyznaję, jestem bardzo zadowolona z ostatecznego efektu.

Długa ściana otrzymała lepsze proporcje za sprawą ślepych drzwi, między którymi wstawiono wysokie poślacane lustro. Ściana naprzeciwko zyskała dominantę w postaci kominka, na którym także wisiało zwierciadło w złotej oprawie. Wszystkie lustro były leciutko przechylone ku górze, tak że odbijały nie tylko pomieszczenie, lecz również wysoko sklepiony sufit, a na nim freski ze scenami z bohaterskiej przeszłości Irlandii. Choć trzeba przyznać, że domniemany dwór królewski na szczycie wzgórze wyglądał raczej jak rzymska świątynia. W każdym razie była to Tara. Scarlett od razu się spodobała.

- Całe wyposażenie na parterze jest wykonane wyłącznie z irlandzkich materiałów - wyjaśniła Mrs. Montague. - Obicia wełniane i lniane. Srebro, porcelana, szkło... prawie wszystko z Irlandii. To tutaj gospodarzyć będzie **Ta O'Hara**. Proszę za mną. Mamy jeszcze do obejrzenia bibliotekę.

Scarlett bardzo spodobały się obite skórą krzesła i skórzana kanapa. Przyznała też, że w skórę oprawne tomy wyglądają prześlicznie.

- Zrobiła pani kawał dobrej roboty, Karolino - przyznała z całą powagą.

- Tak. Ale nie było to takie trudne, jak obawiałam się początkowo. Dawniejsi właściciele skorzystali zapewne z metody Lancelota Browna w tym, co się tyczy urządzania ogrodów, toteż musieliśmy tylko poprzycinać drzewa i wyrwać chwasty. Z ogrodu warzywnego korzyść będzie już w przyszłym roku, ale rośliny pnące zaowocują dopiero za dwa lata. Trzeba je było przyciąć aż do pędu szczytowego.

Scarlett nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówi Karolina i wcale ją to nie

obchodziło. Szkoda tylko, że Gerald O'Hara nie mógł zobaczyć malowideł w sali balowej, zaś Ellen O'Hara nie mogła ujrzeć mebli w buduarze.

Karolina otworzyła jakieś drzwi.

- No i znowu jesteśmy w hallu! - obwieściła radośnie. - Doskonały pomysł, dzięki temu na wielkich przyjęciach przechadzający się goście zawsze trafią do punktu wyjścia. Ci architekci z epoki króla Jerzego dobrze wiedzieli, co robią... A teraz proszę do drzwi wejściowych.

Zawiodła Scarlett do zewnętrznych schodów, prowadzących na wyźwirowany podjazd.

- Oto i pani personel, Mrs. O'Hara.

- Panienko Najświętsza! - słabo jęknęła Scarlett.

Przed nią, w dwóch szeregach, stała służba - wszyscy w stosownych ubiorach. Mrs. Fitzpatrick wysunęła się na czoło drużyny złożonej z kucharki, czterech kuchennych, dwóch pokojówek przeznaczonych do obsługi salonu, czterech pokojówek przeznaczonych do obsługi wyższych pięter, trzech mleczarek, głównej praczki i trzech pomocnic pralni.

Po lewej stronie ujrzała człowieka o hardym spojrzeniu, po którym od razu poznała, że to lokaj, ośmiu lokajczyków, dwóch nerwowo przestępujących z nogi na nogę chłopców, koniuszego, którego już znała, sześciu stajennych oraz pięciu mężczyzn, w których po uwalanych ziemią rękach odgadła ogrodników.

- Ale najpierw proszę się uśmiechnąć i powitać ich w Ballyhara - powiedziała Karolina. Ton, jakim to wyrzekła, wyraźnie zdradzał, że wszelki opór będzie daremny. Zatem Scarlett posłusznie uczyniła to, co jej kazano.

Z powrotem w domu - który teraz stał się rezydencją - Scarlett zaczęła chichotać.

- Ten tłum dziwolągów był lepiej ubrany niż ja - wykrztusiła, spoglądając na Karolinę. Twarz Mrs. Montague była jak zwykle bez wyrazu.

- Karolino, proszę mnie nie zwodzić tą kamienną maską, jeszcze chwila, a wybuchnie pani śmiechem. Pewnie planowała to pani z Mrs. Fitz już od paru miesięcy.

- Tak jakby - przyznała Mrs. Montague. I uśmiechnęła się. Ponieważ nie zdarzało się jej „wybuchać śmiechem”, uśmiech był najbardziej zbliżony do owej czynności, której spodziewała się po niej Scarlett.

* * *

Scarlett zaprosiła wszystkich, od Ballyhara po Adamstown, by przyszli zobaczyć, jak odżył Dwór. Długi stół w jadalni uginał się pod jedzeniem, zaś Scarlett krążyła z pokoju

do pokoju ponaglając wszystkich, by nie ociągali się, lecz pełną garścią czerpali z tego, co ofiarowano, nastając, by koniecznie każdy obejrzał malowidło w sali balowej. Karolina Montague w milczeniu podpierała ścianę na wielkiej klatce schodowej, a choć nie powiedziała marnego słowa, całą swą postacią dawała do zrozumienia, że to wszystko bardzo się jej nie podoba. Scarlett udawała, że jej nie widzi. Usiłowała też udawać, że nie zauważyła niepewności i zakłopotania kuzynów i mieszkańców miasteczka, nie minęło jednak pół godziny od ich przybycia, gdy była bliska płaczu.

- To wszystko podważa naszą tradycję - mruknęła Rosaleen Fitzpatrick. - Ci ludzie nie mają z panią nic wspólnego. Jak świat światem, żaden farmer nie przestąpił progę irlandzkiego dworu. Rządzimy się starymi prawami i nie jesteśmy podatni na zmiany.

- A ja myślałam, że Bractwo chce wszystko zmienić.

Mrs. Fitz westchnęła ciężko.

- Bo i chce. Ale zmiana ma się dokonać poprzez powrót do praw jeszcze starszych niż te, które dzisiaj wzbraniają wieśniakom wstępu do dworów. Szkoda, że nie potrafię wyjaśnić tego prościej.

- Proszę się nie przejmować, Mrs. Fitz. Popełniłam błąd, to wszystko. Na przyszłość będę mądrzejsza.

- To z nadmiaru wielkoduszności, Mrs. O. Zaszczyt to pani przynosi.

Scarlett zmusiła się do uśmiechu, lecz była zakłopotana, a nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Bo i po co urządzać po irlandzku wszystkie te pokoje, skoro Irlandczycy źle się w nich czują? I dlaczego kuzyni traktowali ją jak intruza w jej własnym domu?

Kiedy goście już wyszli, zaś służba uprzątnęła wszelkie ślady po przyjęciu, Scarlett zaczęła wędrować z pokoju do pokoju, samotna.

Hm... nawet mi się to podoba. Nawet bardzo. Bo - pomyślała sobie - Dwór w Ballyhara wygląda o niebo lepiej niż Dunmore Landing, tak w przeszłości, jak w czasach, które nadejdą.

Stała pośrodku sali balowej, spojrzała na malowidło przedstawiające królów i Tarę - zwielokrotnione odbiciami zwierciadeł - wyobrażając sobie, że jest z nią Rett, pełen zazdrości i zachwyty. Popuszczając wodze fantazji przeniosła się w daleką przyszłość, w czasy, gdy Kicia będzie już dorosła. Nagle w sercu ją ukłuło. Jak to, zapomniała zajrzeć do Kici, zapomniała rzucić okiem, sprawdzić, jak córeczka wyrasta na piękną dziedziczkę domu O'Harów.

Rzuciła się do schodów, pobiegła na piętro, potem korytarzem do dziecinnego

pokoju.

- Hello! - przywitała ją dziewczynka. Właśnie siedziała przy stoliku i ostrożnie nalewała mleko do spodeczka. Ocras nie spuszczał z niej czujnego wzroku, zajmąwszy strategiczną pozycję na samym środku pokoju.

- Usiądź sobie, mamusiu - zaprosiła ją Kicia. Scarlett usiadła na niskim krzeselku.

Gdyby tak jeszcze Rett mógł się do nich przyłączyć i wypić razem filiżankę herbaty. Ale Retta nie było we Dworze i nigdy go nie będzie. Gdyby nawet przyszedł, i tak by go nie przyjęła. Niech tam sobie pije herbatę z tym drugim dzieckiem - z tymi innymi dziećmi, które da mu Anna. Scarlett stłumiła w sobie pragnienie porwania Kici w ramiona.

- Dwa kawałki cukru, proszę - powiedziała. - Pani będzie tak dobra i osłodzi moją herbatę, Miss O'Hara.

* * *

Tej nocy Scarlett nie mogła zasnąć. Usiadła na swym wytwornym francuskim łóżku, narzuciła na ramiona obleczonej jedwabiem kołdrę, żeby było jej ciepło. Ale tego ciepła, tego uczucia przytulności, którego pragnęła, mogłaby doświadczyć jedynie wtedy, gdyby czuła, jak Rett trzyma ją w ramionach, gdyby słyszała go, jak drwi z nieudanego przyjęcia, aż sama by się roześmiała, uznając, że błędem było spraszać tu wszystkich tych ludzi.

Im większe było jej rozczarowanie, tym większe było pragnienie otuchy. Pragnęła być kochaną, żyć w poczuciu, że ktoś się o nią troszczy, że ktoś ją rozumie. Jej serce nauczyło się kochać, miłość wypełniała je po brzegi, a nie miała nikogo, komu mogłaby ofiarować uczucie.

Przeklęty Rett! Że też zawsze musi wejść w drogę! Dlaczego nie miałyby pokochać Barta Morlanda? Miły, pociągający, miło być razem z nim. Gdyby naprawdę go pragnęła, nie wątpiła ani minutę, że wybiłaby mu z głowy tę Grację Hastings.

Ale wcale go nie pragnęła. I w tym sęk. Nie pragnęła nikogo prócz Retta.

To niesprawiedliwe! - pomyślała, jak dziecko czując się skrzywdzona przez los. I, jak dziecko, rozplakała się, a potem zasnęła.

Kiedy się obudziła, panowała nad sobą. I cóż z tego, że nikomu nie podobano się jej przyjęcie! I cóż z tego, że Colum zabawił nie dłużej niż dziesięć minut? Poza nim miała innych przyjaciół. Wkrótce zdobędzie ich jeszcze więcej. Teraz, gdy dom już wyglądał jak się patrzy, Karolina pracowicie niczym pajak tkala nić przyszłości. No i pogoda była w sam raz na polowanie, a ta nieoceniona Mrs. Sims uszyła jej bardzo udatny strój do

konnej jazdy.

Na polowanie do sir Jana Scarlett zajęła w prawdziwie pańskim stylu. Siedziała w damskim siodle, a dwóch stajennych prowadziło Półksiężycę i Kometę. Fałdy nowej sukni do konnej jazdy elegancko trzepotały nad nowym siodłem, zaś z miny amazonki można było wnioskować, że jest bardzo zadowolona z siebie. Jak tygrysica walczyła z Mrs. Sims, ale wygrała: żadnych gorsetów. Karolina była zaskoczona. Jeszcze nikomu - powiedziała - nie udało się wygrać z Daisy Sims. Nikomu, prócz mnie - myślała Scarlett. I wygrała także z Karoliną.

Albowiem Mrs. Montague była zdania, że posiadłość Jana Morlanda to nieodpowiednie miejsce na premierę Scarlett w irlandzkim towarzystwie. Wprawdzie właściciel Dunsany był człowiekiem nieskazitelnym i gdyby nie ten brak pieniędzy, mógłby być jedną z najlepszych partii w okolicy, ale Bart nie prowadził domu na wysokiej stopie. Lokaje, którzy podawali do śniadania to w istocie stajenni przebrani na parę godzin w liberie. Zamiast więc wybierać się do dworu Morlanda, powinna Scarlett wybrać na swój towarzyski debiut w wielkim świecie miejsce bardziej stosowne - o, proszę - Karolina Montague nawet postarała się o zaproszenie. Tam znajdzie to, czego naprawdę jej potrzeba.

- Co to, to nie! - uparła się Scarlett. - Bart jest moim przyjacielem.

Powtarzała to tyle razy, aż Karolina dała jej spokój. Ale Scarlett, wysuwając swe argumenty na rzecz wzięcia udziału w tym polowaniu, nie powiedziała Mrs. Montague wszystkiego. Otóż najbardziej zależało jej na tym, by znaleźć się tam, gdzie czuła się dobrze, choćby tylko przez chwilę. Teraz, gdy widoki na wejście do stołecznego światka przybrały na wyrazistości, owa wspaniała perspektywa nie tyle wabiła Scarlett, co raczej przerażała. Stale miała w pamięci słowa, które wypowiedziała do niej Mammy: „Nadajesz się do towarzystwa jak wół do kieratu”. Toteż gdy przywieziono inspirowaną paryską modą nową garderobę - prawdziwy majstersztyk Mrs. Sims - Scarlett coraz częściej wracała myślą do tych słów. Oczyma wyobraźni widziała setki szlachetnie urodzonych dam i kawalerów, księżniczek i książąt, nachylających się ku niej i szepczących owo zdanie właśnie wtedy, gdy szła na swoje pierwsze ważne przyjęcie.

* * *

- Bart, miło mi, że pana widzę.

- Mnie też, droga Scarlett. Półksiężycę rwie się do galopu. Chodź, wypijesz strzemiennego z moim specjalnym gościem, z którym polowałem na lwy i jestem z tego

powodu pyszny jak sam Lucyfer.

Scarlett uśmiechnęła się wdzięcznie do młodego posła sejmiku powiatowego. Bardzo przystojny, przemknęło jej przez myśl, chociaż na ogół nie lubiła brodatych mężczyzn, nawet o tak dobrze przyciętej bródce jak ta Mr. Parnella. Nazwisko nie było jej obce, słyszała je kiedyś - o, tak, na śniadaniu u Barta. Teraz pamięta. Colum wprost go nie znosił. Tym bacniejszą uwagę zamierzała na niego zwracać, by później podzielić się z kuzynem własnymi spostrzeżeniami. Ale dopiero po polowaniu. Półksiężyc rwał się do galopu. Scarlett też.

* * *

- Do końca życia nie pojmem, skąd u ciebie ten upór! - pełne entuzjazmu opowiadanie Scarlett zamieniło się w wybuch wściekłości. - Na miłość Boską, przecież nigdy nawet nie zadałeś sobie trudu, ażeby wysłuchać tego człowieka. Ale ja go słuchałam. Wszyscy go słuchali, wszyscy wprost pili słowa płynące z jego ust. Mr. Parnell dąży do tego samego celu, co ty, Columie: chce Irlandii dla Irlandczyków, żąda zaprzestania eksmisji, nawet chce znieść dzierżawne i zlikwidować stan ziemiański. Czego tu jeszcze?

Cierpliwy dotychczas Colum wybuchł.

- Czy mógłbym cię prosić o mniej naiwności w ocenie ludzi? Czyż nie wiesz, że sam ten Mr. Parnell posiada majątek? Na domiar złego jest protestantem! I studiował w Oksfordzie, a to angielski uniwersytet, kochanie. Zależy mu na głosach wyborców, nie na sprawiedliwości. To politykier. Naczelną zasadą, którą się kieruje, jest uprzejmość. Dałaś się złapać na lep słodkich słówek, dobrych manier i miłej twarzy, gdy tymczasem człowiek ten jest marionetką w rękach Anglików i marchewką na pokuszenie biednych irlandzkich osłów.

- Wprost nie da się z tobą rozmawiać! A przecież on powiedział, że popiera Bractwo.

Colum chwycił ją za nadgarstek.

- Coś jeszcze?

Odskoczyła.

- Nie! Bierzesz mnie za głupca i wygłaszasz mi kazanie, jakbym była ostatnim prostaczkiem, ale ja nie jestem ni głupia, ni prostoduszna. I dobrze o tym wiem. Wiem też, że nie ma sensu chwycić za broń i rozpętywać wojnę, skoro możecie otrzymać wszystko, czego się domagacie, bez jednego wystrzału. Przeżyłam wojnę rozpętaną przez paru w gorącej wodzie kapanych durniów, którym szło o jakieś napuszone zasady. I co osiągnęli? Zabili moich przyjaciół, obrócili kraj w perzynę. Ot, tak sobie, za

nic. Powiadam ci, Columie O'Haro, jest taki sposób, żeby Irlandię oddać z powrotem w ręce Irlandczyków, bez mordowania ludzi, bez palenia domów, i za tym się opowiadam. Koniec z pieniędzmi dla Stefana, koniec z przemytem broni. Koniec, słyszysz? Dość już ukrywania broni w moim mieście. Macie mi wynieść karabiny z kościoła. Niewiele mnie obchodzi, co z nimi zrobisz, najlepiej byłoby utopić to wszystko w bagnach. W każdym razie chcę uwolnić się od tego. I to natychmiast.

- I ode mnie też chcesz się uwolnić, jeśli dobrze rozumiem?

- Skoro nastajesz... - oczy Scarlett wypełniły się łzami. - Co ja właściwie mówię? Co ty mówisz, Columie? Och, nie dozwól, by to się stało. Jesteś mym najlepszym przyjacielem, jesteś mi prawie bratem, nie bądź więc, nie bądź taki uparty. Nie chcę walczyć.

Trysnęły łzy.

Colum ujął jej dłoń w swoje dłonie, trzymał bardzo mocno.

- Droga Scarlett, to irlandzki temperament przemawia przez nas, to nie my. Wielce boleję, że patrzymy na siebie krzywym okiem i mówimy podniesionym głosem. Przebacz mi, *aroon*.

- *Aroon*? Co to znaczy? - wykrztusiła między jednym szlochem a drugim.

- To znaczy „kochanie”. Po celtycku jesteś dla mnie *aroon*, Scarlett.

- Miłe.

- Tym miłsze jako imię dla ciebie.

- Colum, znowu zwodzisz mnie pięknymi słówkami, ale tym razem nie dam ci się oczarować. Obiecuj mi, że pozbędziesz się tej broni. Nie proszę cię, byś głosował na Karola Parnella, proszę cię, abyś mi obiecał, że nie będziesz wszczynał wojny.

- Obiecuję ci, Scarlett, *aroon*.

- Dziękuję. Czuję się o niebo lepiej. A teraz muszę już iść. Może odprowadzisz mnie do domu i zjesz ze mną obiad w moim ślicznym pokoju porannym, chociaż wieczór już zapadł?

- Nie mogę, Scarlett *aroon*, spodziewam się przyjaciela.

- To i jego przyprowadź. Skoro kucharka nadaży z gotowaniem dla tych dziewięciu milionów służby, jestem pewna, że poradzi sobie z nakarmieniem ciebie i twego przyjaciela.

- Chętnie, ale nie dzisiaj. Innym razem.

Scarlett nie nastawała. Uzyskała to, na czym najbardziej jej zależało. Zanim jednak wróciła do domu, przystanąła przy kaplicy i wyspowiadała się ojcu Flynn. Wśród

grzechów, które wymieniła, znalazł się też grzech popędliwości, czego klótnia z Columem była najlepszym dowodem. Nie to jednak najbardziej ciążyło jej na sumieniu. Chciała uzyskać rozgrzeszenie z winy, której samo wspomnienie mroziło jej krew w żyłach. Otóż, gdy Jan Morland powiedział jej, że pół roku temu Rett stracił dziecko, nie mogła się pohamować od dziękczynnego westchnienia.

* * *

Prawie zaraz potem do konfesjonału przystąpił Colum O'Hara. Okłamał Scarlett - grzech ciężki. Kiedy odprawił pokutę, poszedł do składu broni w kościele anglikańskim. Chciał się upewnić, czy w razie, gdyby Scarlett zamierzała przeszukać arsenał, broń jest wystarczająco dobrze ukryta.

* * *

Karolina Montague i Scarlett, pani na Ballyhara, wyjechały w niedzielę rano. Najpierw jednak Scarlett wysłuchała pierwszej porannej mszy. Debiut towarzyski Mrs. O'Hary miał się odbyć w pewnej wiejskiej rezydencji, dokąd zaproszono ją na cały tydzień. Nie chciała aż tak długo pozostawać z dala od Kici, lecz przecież przyjęcie urodzinowe było całkiem niedawno - Mrs. Fitz ciągle jeszcze chodziła surowo zacisnąwszy usta, zdenerwowana z powodu szkód jakich doznał parkiet w sali balowej, niemiłosiernie stratowany przez czeredę rozwydrzonych dzieciaków - wyjeżdżała więc w przekonaniu, że Kicia nie będzie za nią tęsknić. Obarczona obowiązkiem sprawdzania stanu nowych mebli, śledzenia, jak się sprawują nowi służący, Kicia była bardzo zajęta dziewczynką.

Scarlett, Karolina i Evans - pokojówka Mrs. Montague - pojechały nowym, eleganckim powozem na stację kolejową w Trim. Powiat Monaghan był zbyt daleko, by ważyć się na podróż konno.

Scarlett była raczej podekscytowana, niż zdenerwowana. Pomysł, by najpierw pojechać do Jana Morlanda okazał się wcale nie taki głupi. Za to Karolina denerwowała się za siebie i za nią, chociaż usiłowała tego po sobie nie okazywać. Cała przyszła kariera Scarlett w eleganckim świecie zależała od tego, jakie wrażenie zdoła wywrzeć w tym tygodniu. Od tego zależała także cała przyszłość Karoliny Montague. Co i rusz zatem spoglądała na swą pupilkę, by nabrać wiary w siebie. O, tak, pięknie wygląda w tym swoim zielonym kostiumiku podbitym merynosami. Te jej oczy to prawdziwy skarb dany od Boga - tak wyraziste, że aż nie do zapomnienia. A jej zgrabna, nie opięta gorsetem figura na pewno zdoła wywrzeć takie wrażenie, że wszystkie babskie języki

pójdą w ruch, zaś męskie serca zabiją żwawiej. Wygląda dokładnie tak, jak opisywała ją kilku wybranym przyjaciółom: piękna, nie nazbyt młoda Amerykanka, wdowa, o świeżym wyglądzie i wdzięku typowym dla mieszkanki kolonii. Może brak jej oglądy, ale to tylko potęguje efekty świeżości. Romantyczna Irlandka, tak romantyczna, jak to tylko zdarza się cudzoziemkom. Bardzo, może nawet fenomenalnie bogata, w każdym razie na tyle, że może wieść życie istoty niezależnej. Dobrze urodzona z przymieszką krwi francuskiej arystokracji, lecz pełna wigoru, który zawdzięcza swemu amerykańskiemu pochodzeniu. Nieprzewidywalna w swych reakcjach, lecz obyta, naiwna, a zarazem doświadczona. Koniec końców intrygujący i zabawny nabytek do kółka ludzi znających się aż za dobrze i dlatego tęskniących do widoku kogoś, o kim mogliby rozmawiać.

- Może powinnam pani raz jeszcze powiedzieć, kogo należy oczekiwać...

- Proszę, Karolino, i tak znowu zapomnę. Poza tym najważniejsze pamiętam: ksiązę jest ważniejszy od markiza, potem hrabia, wicehrabia, baron i baronet. Mogę się zwracać do wszystkich mężczyzn „sir”, jak na Południu, zatem nie muszę pamiętać o wszystkich tych „milordach” i „waszych miłościach”. W żaden sposób nie wolno mi zwracać się do dam „Pani”, ponieważ jest to forma zastrzeżona dla samej królowej Wiktorii, a jej tam z pewnością nie będzie. Tak. I kiedy mnie poproszą, żebym zwracała się po imieniu, mam się uśmiechać i za nic w świecie tego nie robić. Stary, brzydki „Mister” czy „Miss” nie są warci zachodu, chyba że są „czcigodni”. Wydaje mi się to wszystko bardzo śmieszne. Dlaczego „czcigodni” a nie „szanowni”, czy jakoś inaczej?

Karolina wzdrygnęła się wewnątrz. Scarlett jest zbyt poufała, zbyt spontaniczna.

- Nie zwracała pani należytej uwagi, Scarlett. Pewne nazwiska, nie okraszone żadnym tytułem, nawet nie „czcigodne” są jednak równie ważne jak książęce. Herbertowie, Burke'owie, Clarke'owie, Lefroy'owie, Blennerhassetowie... Scarlett roześmiała się prosto w nos.

Karolina umilkła. Co ma być, to będzie.

* * *

Dom był w stylu gotyckim - tak wielki, że aż nie do ogarnięcia wzrokiem - z wszystkimi iglicami i wieżami, oknami strzelistymi, jak katedralne, korytarzami, które ciągnęły się i po sto jardów. Nawet Scarlett straciła pewność siebie, gdy ujrziała to monstrum. „Jesteś O'Hara” - napominała się, po czym maszerowała po kamiennych schodach tak wysoko uniósłszy podbródek, że nikt nie śmiał jej wyzwać.

Lecz gdy obiad dobiegł końca, Scarlett uśmiechała się do wszystkich - nawet do

lokaja, który stał za jej krzesłem o bardzo wysokim oparciu. Jedzenie było doskonałe, bardzo obfite, wytwornie podane, ale Scarlett ledwo przełknęła parę kęsów. Za to chłonęła powszechny podziw, którego była przyczyną. Do stołu zasiadło czterdzieści sześć osób i wszyscy, jak jeden mąż, chcieli ją poznać.

- ... a na Nowy Rok muszę pukać do wszystkich drzwi w miasteczku, wchodzić i wychodzić, i znowu wchodzić, pić herbatę i znowu wychodzić, żeby ponownie wypić filiżankę herbaty. Publicznie oświadczam: nie pojmuję, dlaczego po wypiciu połowy rocznej produkcji herbaty w Chinach, jeszcze nie zżółkłam na podobieństwo Chińczyka - zaszczebiotała do mężczyzny z lewej strony, który z zapartym tchem słuchał opowieści o obowiązkach głowy rodu O'Harów.

Kiedy „zmieniano stół”, Scarlett oczarowała generała w stanie spoczynku, siedzącego po jej prawicy, sprawozdaniem z bitwy pod Atlantą, z wszystkimi szczegółami, dzień po dniu. Jej południowy akcent w niczym nie przypomina wymowy amerykańskiej - opowiadali sobie później słuchacze. No i jaka to inteligentna kobieta.

Była też kobietą „diabelnie atrakcyjną”. Olbrzymi diament i szmaragd z pierścienia, który dostała od Retta, a który za radą Karoliny kazała przerobić na medalion, rzucały jasne błyski, mieniając się kolorami na jej wydekoltowanej, acz bez przesady odkrytej piersi, zawieszona na złotym łańcuszku tak cienkim, że prawie niewidocznym.

Po obiedzie Scarlett zasiadła do wista. Szczęście i umiejętności nie zawiodły. Dobrze, że jej partner wygrał na poprzednich tego rodzaju przyjęciach trzykroć pod rząd, miał zatem z czego zapłacić. W ten sposób Scarlett stała się osobą, której towarzystwo było równie upragnione tak przez damy, jak przez dżentelmenów.

Nazajutrz z samego rana - i co rano przez pięć następnych dni - wszyscy jechali na polowanie. A chociaż Scarlett dosiadła konia ze stajni gospodyni, był zwinny i nieustraszony, tak że sukcesu mogła być pewna. Niczego bowiem tak wysoko nie ceniła anglo - irlandzka arystokracja, jak dobrego trzymania się w siodle.

Karolina Montague musiała się pilnować, by nie wyglądać jak kocur, który właśnie wychleptał pełną miskę tłustej śmietanki.

* * *

- Dobrze się pani bawiła? - spytała Scarlett w drodze powrotnej do Ballyhara.

- Znakomicie, Karolino, każda minuta była urocza! Wielkie dzięki za to zaproszenie. Wszystko było wspaniałe. Bardzo rozsądnie z pani strony, że zostawiała pani kanapki w sypialni. Kiedy wracałam późną nocą, zawsze byłam głodna... Chyba wszystkie kiszki marsza grały.

Karolina parsknęła śmiechem i śmiała się tak serdecznie, że aż lzy ciurkiem pociekły jej z oczu, co bardzo zirytowało Scarlett.

- Nie rozumiem, co w tym śmiesznego, że apetyt mi służy. Grając do późna w nocy w karty wracałam do łóżka dobrą parą godzin po obiedzie. W tym czasie każdy by zgłodniał.

Gdy Karolina odzyskała mowę, wyjaśniła, co ją tak rozbawiło. W co bardziej wyrafinowanych domach w damskich sypialniach zostawiało się tace z kanapkami, które w razie potrzeby można było wykorzystać jako sygnał dla amanta. Jeśli dama miała życzenie przyjąć nocnego gościa, wystawiała tacę na korytarz, na podłodze przed drzwiami.

Scarlett oblała się purpurą.

- Panienko Najświętsza, a ja zjadałam wszystko, co do okruszyny. Co też sobie myślą pokojówki!

- Nie tylko pokojówki - zachichotała Karolina. - Pewnie wszyscy goście łamią sobie głowę, kim jest ów szczęśliwy mężczyzna... albo mężczyźni. Oczywiście żaden dżentelmen publicznie nie zgłosi się po ów wawrzyn, w przeciwnym razie nie byłby dżentelmenem.

- Nie będę miała odwagi po raz drugi spotkać tych ludzi - jęknęła Scarlett. - To najbardziej skandaliczny zwyczaj, o jakim zdarzyło mi się słyszeć. A jakie to niesmaczne. I pomyśleć, sądziłam, że przebywam w tak miłym towarzystwie.

- Ależ drogie dziecko, właśnie ci są mili, którzy zachowują te sprawy do własnej wiadomości. Wszyscy znają reguły tej gry, nikt nie uczyni nawet najdrobniejszej aluzji. Radości tych ludzi pozostaną w tajemnicy, chyba że zdecydują się je ujawnić.

Scarlett już chciała powiedzieć, że tam, skąd pochodzi, ludzie są uczciwi i przyzwoici, gdy nagle przypomniała sobie, co usłyszała od Sally Brewton. Ona też wysławiała się w podobny sposób jak Karolina, mówiąc o „dyskrecji” i „radościach”, jak gdyby wiarołomstwo było czymś normalnym, powszechnie uznanym.

Karolina Montague uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jeśli nawet legenda Scarlett O'Hary była niepełna, zabawne nieporozumienie z kanapkami powinno ją dopełnić. Teraz będzie znana nie tylko jako wnosząca ożywczy powiew przybyszka z kolonii, ale również jako kobieta uświadomiona w tym, co należy.

Karolina zaczęła przygotowywać wstępny plan odwrotu. Jeszcze tylko kilka miesięcy, a nie będzie się nudzić na żadnym przyjęciu w eleganckim świecie.

- Zadbam, żeby codziennie dostarczano do Ballyhara *Irish Times* - powiedziała do

Scarlett. - Pani zadaniem będzie wczytywać się w każde słowo. Gdy pojedziemy do Dublina, wszyscy będą się spodziewać, że jest pani na bieżąco z ostatnimi nowinkami.

- Dublin? Nie mówiła mi pani, że pojedziemy do Dublina.

- Naprawdę? A byłam święcie przekonana, że mówiłam. Przepraszam, moja droga. Ale sama pani wie, że dla nas Dublin to pępek świata. Na pewno się pani spodoba. To prawdziwe miasto, nie jakaś zarośnięta chaszczami wieś w rodzaju Galway czy Drogheda. A Zamek wygląda tak wzruszająco, jak jeszcze nic, co zdarzyło się pani widzieć.

- Zamek? Prawdziwy, nie ruiny? To i królowa tam mieszka?

- Nie, dzięki Bogu nie. Wprawdzie królowa jest dobrą władczynią, lecz jako kobieta jest śmiertelnie nudna. Nie, Zamkiem w Dublinie rządzi przedstawiciel Jej Wysokości, wicekról. Będzie mu pani przedstawiona... jemu i wicekrólowej... w sali tronowej.

Tu Mrs. Montague nakreśliła Scarlett obraz wspaniałości i splendoru ponad wszelkie pojęcie. Wspaniałość charlestońskiej sali świętej Cecylii zdała się być przy tym niczym. Słyszac tę opowieść, Scarlett z całego serca zapragnęła odnieść sukces towarzyski w stołecznym mieście. Może wreszcie w ten sposób zdoła osadzić Retta na właściwym miejscu, pozbawić go wszelkiego znaczenia.

Tak, teraz już można jej to powiedzieć bez obaw - pomyślała Karolina. Po tym sukcesie, jaki odniosła w ubiegłym tygodniu, zaproszenie na pewno nadejdzie. Dobrze zrobiłam, że jeszcze w ubiegłym roku, gdy tylko otrzymałam list od Scarlett, zamówiłam na karnawał apartament w *Shelbourne*. Na pewno nie stracę zadatku.

* * *

- Gdzież moja droga Kicia? - zawołała Scarlett, gdy tylko wbiegła do domu. - Mamusia wróciła, kochanie.

Po półgodzinnych poszukiwaniach znalazła Kicię w stajni - siedziała na Półksiężycu. W porównaniu z ogromnym gniadoszem zdała się okropnie mała. Scarlett, chociaż od zmysłów odchodziła z trwogi, tak ustawiła głos, by nie przestraszyć konia.

- Kochanie, chodź do mamusi, daj mamusi buziaka.

Serce biło jej młotem, gdy spoglądała, jak Kicia zeskakuje na wiązkę słomy, tuż obok ogromnych, podkutych żelazem kopyt. Po czym dziewczynka znikła z pola widzenia aż do momentu, gdy jej ciemna twarzyczka ukazała się nad górną połówką drzwiczek. Kicia wspięła się, nie weszła do stajni, bowiem drzwi były zamknięte.

Scarlett przyklękała, by schwytać Kicię w objęcia.

- Aniołku ty mój, jaka jestem szczęśliwa, że cię widzę. Okropnie stęskniłam się za

tobą. A ty?

- Też - powiedziała, wywijając się z objęć. Cóż - pomyślała Scarlett - przynajmniej usłyszałam, że za mną tęskni, nigdy dotychczas nie przyznawała się do tego. Gdy ciepła fala miłości przeszła w całkowite uwielbienie dla Kici - jak dobrze znane uczucie - Scarlett podniosła się z klęczek.

- Nie wiedziałam, że lubisz konie, Kiciu - kociu.

- Lubię. Kicia lubi wszystkie zwierzęta.

Scarlett bardzo się starała, by to, co powie, brzmiało pogodnie.

- A może chcesz kucyka? To taki konik odpowiedniej wielkości dla dziewczynki.

Nie mogę dopuścić do siebie tych myśli o Bonnie - powtarzała w duchu. Nie mogę. Przecież obiecałam sobie, że nie będę pozbawiać Kici swobody, że nie będę otaczać jej szczelnym kokonem matczynej opieki jedynie dlatego, że straciłam Bonnie w wypadku. Obiecałam Kici, gdy tylko przyszła na świat, że pozwolę jej być taką, jaką jest, że dam jej wolność niezbędną do ukształtowania się niezależnego umysłu. Wprawdzie nie wiedziałam wówczas, że będzie to takie trudne, że będę musiała walczyć z własnym pragnieniem zapewnienia jej bezpieczeństwa, ale dotrzymam tej obietnicy, muszę jej dotrzymać. Tak będzie dobrze. Skoro chce kucyka, będzie go miała. Będzie uczyła się skakać, forsować przeszkody, a jeśli na ten widok serce mi zadrży, nie ją, lecz siebie będę musiała pilnować. Zbyt kocham Kicię, by zamykać ją w czterech ścianach.

Scarlett nie mogła wiedzieć, że gdy jej nie było, Kicia samotnie wyprawiała się do miasteczka. Tak, w wieku trzech latek nagle zainteresowała się innymi dziećmi oraz ich zabawami, poszła więc z myślą, że znajdzie kompanów, których poznała na urodzinach. Na szerokiej ulicy bawiła się grupka czterech, może pięciu chłopców. Gdy Kicia podeszła w ich stronę, zerwali się i uciekli. Przystanęli jednak wystarczająco blisko, by mogły ją dosięgnąć kamienie, którymi zaczęli rzucać w jej kierunku.

- *Cailleach!* - krzyczeli - *Cailleach!*

Słowa tego nauczyły ich matki. Po celtycku znaczyło tyle, co „wiedźma”.

Kicia podniosła wzrok na matkę.

- Tak, chcę kucyka.

Chciała kucyka, bo kuczki nie rzucają w ludzi kamieniami. Zastanawiała się, czy powiedzieć matce o chłopakach z Ballyhara. Chciałaby ją zapytać, co znaczy to nieznanne słowo, które wykrzykiwali. Kicia lubiła poznawać nowe słowa. Ale to nie podobało się jej. Dlatego nie zapytała. Powiedziała tylko:

- Chcę kucyka. Dzisiaj.

- Córeczko, mamusia nie może znaleźć kucyka jeszcze dzisiaj. Ale jutro zobaczymy, co się da zrobić. Obiecuję. A teraz idźmy do domu na herbatę.

- Z ciastkami?

- Tak, z ciastkami.

Gdy tylko Scarlett weszła do swojego pokoju, ogarnęło ją nieprzezwyciężone pragnienie, by jak najszybciej zdjąć z siebie ten bardzo piękny kostium podróżny. Czowała niejasną potrzebę ubrania się w spódnicę i bluzeczkę, może jeszcze kolorowe pończochy?

* * *

Jakoś w połowie grudnia Scarlett zaczęła się przechadzać ciężkim krokiem po długich korytarzach Dworu niczym zwierzę zamknięte w klatce. Już zdążyła zapomnieć, jak serdecznie nie znosi ciemnych, krótkich, wilgotnych zimowych dni. Nieraz przychodziło jej na myśl, czy aby może nie pójść do *pubu* Kennedy'ego, lecz od owego nieudanego przyjęcia dla mieszkańców miasteczka nie czuła się w ich obecności równie swobodnie, jak kiedyś. Troszkę jeździła konno. Nie było to konieczne, bowiem stajenni sami dbali, by zwierzęta się wybiegały, ale Scarlett czuła potrzebę wyjechania gdzieś dalej, poza Dwór, nawet w lodowaty deszcz. Gdy się zdarzyło parę słonecznych godzin, spoglądała, jak Kicia na swym szetlandzkim kucyku zakreśla wielkie ósemki po zamarzniętym trawniku. Scarlett zdawała sobie sprawę z tego, że w ten sposób dziewczynka niszczy trawę, lecz Kicia musiała gdzieś się wybiegać. Za to przynajmniej udało się ją przekonać, by nie wychodziła poza dworskie zabudowania, nawet jeśli miało to znaczyć, że będzie hasać po stajni lub przeszkadzać w kuchni.

W wigilijny wieczór Kicia zapaliła świecę w oknie, potem zaś świece na choince - do tej wysokości, do jakiej mogła dosięgnąć. Colum wziął ją na ręce, żeby sięgnęła wyżej.

Cudzoziemski zwyczaj rodem z Anglii - mruknął z niechęcią. - Zobaczysz, któregoś roku dom ci od tego spłonie.

Scarlett spojrzała na drzewko błyszczące od ozdób, jaśniejące płomykami świec.

- Myślę, że to bardzo piękny zwyczaj, nawet jeśli sama angielska królowa go zapoczątkowała - powiedziała zadziornie. - Poza tym nad oknami i drzwiami powiesiłam gałązki ostrokrzewu, także w całym Dworze jest po irlandzku, jedynie za wyjątkiem tego pokoju. Nie bądź więc taki zrzędlivy, mój kuzynie.

Colum wybuchnął śmiechem.

- Kiciu O'Haro, czy wiedziałaś, że twój ojciec chrzestny jest zrzędą?

- Dzisiaj tak.

Tym razem śmiech Columa nie był wymuszony.

- No to mam, czego chciałem! Sam sobie jestem winny. Pytałem i otrzymałem odpowiedź.

Gdy Kicia zasnęła, pomógł Scarlett wnieść do sypialni prezent... kucyka na biegunach, i to naturalnej wielkości kucyka!

W dzień Bożego Narodzenia, ledwo się przebudziła, dziewczynka spojrzała na niego z pogardą.

- To nie jest prawdziwe.

- Bo to zabawka, kochanie. Żebyś się nie nudziła, gdy w brzydką pogodę trzeba będzie zostać w domu.

Kicia wspięła się kucykowi na grzbiet. Wypróbowała, jak to jest z tym bujaniem. Przyznała, że jak na nieprawdziwego kucyka zabawa jest przednia.

Scarlett westchnęła z ulgą. Przynajmniej nie będzie ją dręczyć to straszne poczucie winy, gdy wyjedzie do Dublina. W dzień po Nowym Roku, po rzucaniu ciastem o ścianę i picciu herbaty, miała się spotkać z Karoliną w stolicy w *Gresham Hotel*.

Scarlett nawet nie przypuszczała, że Dublin leży tak blisko. Zdało się, że ledwo wsiadła do pociągu w Trim, a tu konduktor już oznajmił Dublin. Na peronie spotkała Evans - pokojówkę Karoliny Montague. Przyszła razem z bagażowym, który zaraz zajął się walizami Scarlett.

- Proszę za mną, Mrs. O'Hara - rzekła Evans, gdy wstępne formalności zostały załatwione. I ruszyła przed siebie. Scarlett tylko z trudem dotrzymywała jej kroku, bowiem dworzec pełen był spieszących się ludzi. Dworzec dubliński zdał się Scarlett największą budowlą, jaką widziała w życiu. Nigdy też jeszcze nie trafiła w taki wir ludzki.

Zaraz jednak okazało się, że to jeszcze nic w porównaniu z ruchliwymi ulicami. Przejęta widokiem stołecznego życia, Scarlett, jadąc dorożką, nie mogła oderwać nosa od szyby. Karolina miała rację: pokocha Dublin.

Zaledwie dorożka przystanęła, Scarlett wyrwała się do drzwiczek. Przy wysiadaniu pomógł jej strojny w bogato złożony mundur portier. Od razu zapatrzyła się w konny tramwaj, który właśnie ciągnął ulicą.

- Tędy, proszę - dotknęła jej ramienia Evans.

Karolina oczekiwała przy stoliku z herbatą w salonie wynajętego apartamentu.

- Karolino! - zawołała od progu Scarlett. - Widziałam piętrowy tramwaj, po brzegi wypchany przez ludzi.

- Dzień dobry pani, droga Scarlett. Cieszę się, że Dublin przypadł pani do gustu. Proszę dać Evans wierzchnie okrycia i przyłączyć się do mnie na herbatkę. Mamy do załatwienia coś wielkiego.

Tego wieczoru do hotelu przybyła Mrs. Sims z trzema pomocnicami. Przywiozły muślinowe suknie. Scarlett stała lub poruszała się dokładnie tak, jak jej kazano, gdy tymczasem Mrs. Sims i Mrs. Montague omawiały każdy szczegół toalety. Jedna suknia była piękniejsza od drugiej. Gdy - co zdarzało się rzadko - Mrs. Sims akurat nie poszturchiwała jej i nie szczypała, Scarlett wdzięczyła się do własnego odbicia w wielkim lustrze.

Kiedy krawcowa i jej pomocnice wyszły, Scarlett nagle odkryła, że jest zupełnie wyczerpana. Z radością przystała na propozycję Karoliny, by obiad zjeść w pokoju, i rzuciła się na jedzenie z wilczym apetytem.

- Scarlett, proszę uważać, żeby nie przybrać w talii choć o milimetr - ostrzegła Karolina. - W przeciwnym razie trzeba będzie powtórzyć przymiarkę.

- Zrzucę wszystko podczas robienia zakupów - uspokoiła ją Scarlett, smarując masłem następną kromkę chleba. - W drodze ze stacji do hotelu widziałam przynajmniej osiem cudownych witryn.

Karolina uśmiechnęła się pobłaźliwie. Otrzyma upragnioną prowizję od każdego sklepu, w którym Scarlett da się poznać jako stała klientka.

- Obiecuję, że kupi tu pani wszystko, czego dusza zapagnie. Ale zakupy dopiero po południu. Z rana będzie pani pozować do portretu.

- Nonsens. Po co mi portret? Już kiedyś kazałam sobie zrobić jeden i serdecznie go nie znoszę. Wysłałam na nim podle jak żmija.

- Tym razem nie wyjdzie pani podle jak żmija, damę słowo. *Monsieur* Hervé jest specjalistą od damskich portretów. A portret jest nader ważny. Musimy namalować portret.

- Dobrze, skoro pani tak mówi... ale nie jestem zachwycona, Bóg mi świadkiem.

Następnego dnia Scarlett obudziły odgłosy ruchu ulicznego. Było jeszcze ciemno, lecz w świetle lampy ujrzała cztery rzędy wozów, wózków i powozów wszelkiego rodzaju, przeciągających tuż pod oknem jej sypialni. Nie dziw, że w Dublinie ulice są takie szerokie - pomyślała, szczęśliwa. Można tu spotkać prawie wszystko, co jeździ po Irlandii i ma koła. Dobiegł ją jakiś zapach. Pociągnęła nosem raz, potem drugi... chyba zmysły postradam. Przysięgłabym, że czuję kawę.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

- Śniadanie w salonie - zawołała Karolina. - Odprawiłam lokaja, wystarczy, jeśli otuli się pani w matinkę.

Scarlett tak gwałtownie otworzyła drzwi, że omal nie przewróciła Mrs. Montague.

- Kawa! Gdyby tak pani wiedziała, jak bardzo brakowało mi kawy! Karolino, dlaczego nie powiedziała mi pani, że w Dublinie pije się kawę? Przecież gotowa bym była dojeżdżać tu każdym porannym pociągiem, tylko żeby zjeść śniadanie z kawą!

Kawa pachniała rozkosznie, lecz smakowała jeszcze lepiej. Siłą rzeczy Karolina musiała poprzestać na herbacie, ponieważ cały dzbanek kawy wypła Scarlett.

Posłusznie założyła jedwabne pończochy i kombinacje, które Karolina wyjęła z jakiegoś pudełka. Czuła się dość nizeczemnie. Leciutka, prawie przezroczysta, śliska w dotyku bielizna bardzo różniła się od tej, którą całe życie nosiła, batystowej lub muslinowej. Tym dokładniej owinęła się w wełnianą matinkę. Za chwilę do pokoju weszła Evans, a za nią kobieta, której nigdy w życiu nie widziała.

- To Serafina - wyjaśniła Mrs. Montague. - Włoszka. Proszę się nie przejmować,

jeśli zacznie mówić coś, czego nie da się zrozumieć. Przyszła, żeby ułożyć pani fryzurę. Wystarczy, jeśli będzie pani spokojnie siedzieć, a ona niech tam sobie plecie do woli.

Minęła prawie godzina. Serafina odbyła jednokierunkową konwersację chyba z każdym pojedynczym włoskiem na mojej głowie - jęknęła w duchu Scarlett. Kark jej zeszywniał, a że nie miała przed sobą lustro, nawet nie mogła sobie wyobrazić, co gadatliwa Włoszka wyprawia z jej głową, bowiem Karolina kazała jej usiąść przed oknem w salonie, gdzie wpadało najwięcej światła.

Mrs. Sims i jej pomocnica sprawiały wrażenie równie zniecierpliwionych jak Scarlett. Przybyły dwadzieścia minut temu.

- *Eccco!* - zawołała w końcu Serafina.

- *Benissimo!* - zawołała Mrs. Montague.

- Teraz my! - zerwała się Mrs. Sims.

Pomocnica krawcowej zdjęła z sukni, którą trzymała pryncypała, muślinowy pokrowiec. Scarlett aż dech zaparło w piersi. W bladym świetle zimowego poranka błysnęła lśniaco - biała satyna, srebrne hafty rozbłysły jak żywe. To nie suknia, to marzenie! Scarlett wstała, wyciągnęła ręce, nie mogąc doczekać się chwili, gdy będzie mogła jej dotknąć.

- Najpierw rękawiczki! - władczym tonem zarządziła Mrs. Sims. - Inaczej będzie znać dotknięcie każdego palca.

Wtedy Scarlett spostrzegła, że krawcowa ma na dłoniach białe rękawiczki. Założyła więc staromodne, długie po łokcie rękawiczki, które podała jej Karolina, już rozwinięte i napudrowane, by się nie rozciągnęły przy nakładaniu.

Gdy Scarlett wciągnęła rękawiczki, Karolina z niezwykłą wprawą zapięła srebrnym haczykiem małe guziczki, Serafina nakryła jej włosy jedwabną chusteczką, zdjęła wełnianą matinkę, a wtedy Scarlett podniosła ręce i Mrs. Sims przez głowę włożyła na nią suknię. Po czym krawcowa wzięła się za zapinanie guzików, zaś Włoszka, zgrabnie zdjawszy chusteczkę, kilkoma delikatnymi dotknięciami poprawiła uczesanie Scarlett.

Ktoś zapukał do drzwi.

- W samą porę - zauważyła Mrs. Montague. - To na pewno Hervé. Mrs. Sims, pani O'Hara będzie nam potrzebna tutaj... o, tutaj - zaprowadziła Scarlett na sam środek salonu.

Scarlett usłyszała, jak ktoś otworzył drzwi, potem dobiegł ją niski męski głos. Mr. Hervé pewnie mówi po francusku i ani chybi spodziewa się, że i ja mówię. Nie, Karolina powinna poznać mnie lepiej. Żebym tak jeszcze miała lusterko. Ciekawe, jak

wyglądam w tej sukni.

Uniosła jedną nóżkę, potem drugą, zaś asystentka krawcowej włożyła jej na stopy pantofelki. Nawet nie mogła ich sobie obejrzeć, bowiem Mrs. Sims ciągle szturchała ją w łopatki i syczała, żeby trzymała się prosto. Pomocnica coś tam manipulowała z dołu sukni.

- Mrs. O'Hara - powiedziała Karolina Montague - pani pozwoli, że jej przedstawię... *monsieur Francois Hervé*.

Scarlett spojrzała na łysawego, okrągłego jegomościa, który wtoczył się do pokoju i zgiął w ukłonie.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jak się pan miewa?

Czy powinna podać malarzowi rękę?

- *Fantastique* - odpowiedział tłustawy jegomość i strzelił palcami. Dwóch mężczyzn wniosło do pokoju ogromne zwierciadło i ustawiło je przy ścianie między oknami. Gdy odstąpili, Scarlett ujrzała siebie.

Suknia z białej satyny była bardziej *décolleté*, niż przypuszczała, spojrzała na odważnie odsłonięte piersi i plecy. Później na całą postać kobiety, w której z trudem rozpoznała siebie. Włosy miała tak wysoko spiętrzone, w tak kunsztownej piramidzie loczków i kosmyków, że zdało się graniczyć z cudem, jak to wszystko może się utrzymać. Suknia z białej satyny opinała jej ciało długim wąskim pancerzem, srebrem haftowany biały satynowy tren opadał półkolem wokół białych satynowych baletek na srebrnych obcasikach.

W tym stroju bardziej przypominam babcię Robillard z portretu, aniżeli samą siebie.

Lata dziewczęcego życia jakby nagle odpłynęły. Teraz wyglądała jak kobieta, a nie jak skora do flircików powiatowa piękność. Osoba, którą pokazywało jej zwierciadło, bardzo jej się podobała. Łagodnie wygięte usta delikatnie drżały w kącikach, wyraziste oczy pały głębszym, bardziej tajemniczym blaskiem niż zazwyczaj. Uniesiony podbródek zdradzał największą pewność siebie, spoglądała sobie prosto w oczy z wyzwaniem i aprobatą.

- Otóż i ona - szepnęła Karolina Montague. - Kobieta, która przebojem zdobędzie Irlandię. A nawet cały świat, jeśli przyjdzie jej taka ochota.

- Sztalugi - mruknął artysta. - No, szybciej, głupcy. Portret, który teraz namaluję, uczyni mnie sławnym.

- Nie rozumiem - mówiła Scarlett do Karoliny po skończonym seansie. - Patrzyłam w lustro i czułam się tak, jakbym nigdy w życiu nie widziała tej osoby, ani nawet nie znała... Jestem bardzo zmieszana, Karolino.

- Drogie dziecko, zaczynasz mądrzeć.

* * *

- Karolino, zróbmy sobie przejażdżkę tramwajem - wzdychała Scarlett. - Chyba zasłużyłam na jakąś nagrodę po tylu godzinach stania niczym posąg.

O, tak, seans był długi - przyznała Mrs. Montague. Następny chyba będzie krótszy. Albo wcale się nie odbędzie. Kiedy pada, światło się psuje, a bez dobrego światła mistrz nie jest w stanie malować.

- A więc zgoda? - zawołała Scarlett. - Pojedziemy tramwajem?

Karolina twierdząco skinęła głową. Scarlett przez chwilę jakby chciała ją wycalować, ale zaraz uświadomiła sobie, że Karolina Montague nie jest osobą w rodzaju tych, które chętnie przyjmują objawy spontanicznych uczuć. Miała też niejasne podejrzenia, że i ona nie jest już tego rodzaju człowiekiem. Widok siebie samej - nie dziewczyny, lecz kobiety - zaniepokoił ją i zatrwożył. Trzeba będzie się przyzwyczaić.

Po krętych metalowych schodach weszły na piętro. Hulał tu wiatr i było bardzo zimno, ale też widok, jaki roztaczał się z górnej platformy, wspaniałością przekraczał wszelkie oczekiwania. Scarlett rozglądała się we wszystkie strony: patrzyła na szerokie, lecz zatłoczone ulice, na tłumy ludzi spieszących po szerokich chodnikach. Dublin był pierwszym miastem z prawdziwego zdarzenia, jakie ujrzała. Mieszkało tu prawie ćwierć miliona ludzi. W Atlancie, choć się rozrastała, dwadzieścia tysięcy.

Tramwaj pędził po szynach nieubłaganie wymuszając pierwszeństwo przejazdu. Kiedy się zbliżał, piesi i pojazdy w ostatniej chwili rozbiegali się na boki. Te ucieczki, gorączkowe i z towarzyszeniem głośnych wrzasków, bardzo się podobały Scarlett.

A potem ujrzała rzekę. Tramwaj zatrzymał się na moście, skąd rozciągał się widok na brzegi Liffey. Most następował po moście, jeden inny od drugiego, wszystkie pulsujące ruchem. Nabrzeża nęciły witrynami sklepów, tłumami przechodniów. W falach odbijało się słońce.

Wkrótce Liffey zostawili z tyłu za sobą. Tramwaj wtoczył się w mroczną ulicę, z obu stron zabudowaną wysokimi budynkami. Scarlett przeniknął chłód.

- Wsiadamy na następnym przystanku - powiedziała Karolina. - Potem skierujemy się w tę ulicę - wskazała ręką.

Kiedy przeszły przez rojne od ludzi i pojazdów skrzyżowanie, Mrs. Montague

wskazała na skręcającą z przodu ulicę.

- Grafton Street - rzekła tonem osoby, która bierze się do wygłoszenia jakiegoś wstępu. - Z powrotem weźmiemy dorożkę, lecz jedyną metodą obejrzenia sklepów jest spacer na piechotę. Czy życzy sobie pani filiżankę kawy, nim zaczniemy? Powinna pani poznać magazyny Bewleya.

- Sama już nie wiem, Karolino. Chciałabym po prostu zajrzeć do pierwszego lepszego sklepu. Ten wachlarz na wystawie... niech pani spojrzy, tam w rogu, ten z różowych piór... jakie to wdzięczne. Och, i ten porcelanowy Chińczyk, początkowo go nie zauważyłam. I ten kunsztowny futerał na pachnidełka! Proszę tylko spojrzeć na haft na tych rękawiczkach. Widziała pani kiedyś coś podobnego? Panienko Najświętsza, ile tu wszystkiego!

Karolina skinęła na odźwiernego w liberii. Ten skłonił się i otworzył drzwi.

Mrs. Montague nie wspominała o tym, że na jednej tylko Grafton Street są przynajmniej cztery takie sklepy z setkami wachlarzów i rękawiczek. Była przekonana, że Scarlett na własnej skórze przekona się, iż najważniejszą cechą wielkiego miasta jest nieskończona ilość pokus, które roztacza.

Po dziesięciu dniach, które spędziła na pozowaniu do portretu, przymiarkach i zakupach, Scarlett wróciła do Ballyhara. Wiozła ze sobą tuziny prezentów dla Kici, parę podarków dla Mrs. Fitz oraz Columa, dziesięć funtów kawy i ekspres do parzenia kawy - to ostatnie specjalnie dla siebie. Zakochała się w Dublinie. Niecierpliwie czekała, kiedy będzie mogła tam powrócić.

W Ballyhara czekała na nią Kicia. Gdy tylko pociąg wytoczył się z miasta, Scarlett popadła w gorączkowe oczekiwanie - kiedy wreszcie będzie w domu? Tyle miała do opowiedzenia córeczce, tyle planów zdążyła już ułożyć, rozmyślając jak to będzie, gdy zabierze swą wychowaną na wsi małpę do wielkiego miasta. W domu musiała odrobić swój comiesięczny dyżur, kiedy to zawsze w pierwszą niedzielę miesiąca, po sumie, przyjmowała interesantów. Właśnie tydzień temu wypadał termin. Zaniedbała się w obowiązkach. No i wkrótce już Świętej Brygidy. Na ten dzień zawsze czekała z największą radością, lubiła ów moment, gdy przerzuciwszy pierwszą łopatę ziemi mogła uznać, że rok naprawdę się zaczął. Tak, teraz była bardzo, bardzo szczęśliwa. Miała dla siebie wszystko - i miasto, i wieś. Była **Tą O'Hara** - głową rodu - a jednocześnie ową ciągle nie znaną kobietą, którą widziała w zwierciadle.

* * *

Scarlett zostawiła Kicię zauroczoną książką z obrazkami zwierząt. Inne prezenty

leżały na podłodze, ciągle nie rozpakowane. Pobiegła alejką do stróżówki, gdzie mieszkał Colum, chciała podarować mu piękny kaszmirowy szal i podzielić się wrażeniami z wizyty w Dublinie.

- Och, bardzo przepraszam, że tak wpadłam - wyjąkała, widząc, że kuzyn ma gościa. Nie znała tego mężczyzny.

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi - powiedział Colum. - Pozwól, że ci przedstawię: Jan Devoy. Przybywa prosto z Ameryki.

Devoy był człowiekiem uprzejmym, dobrze ubranym, lecz najwyraźniej niezadowolonym jej nagłym wtargnięciem. Scarlett raz jeszcze wyjąkała słowa przeprosin, zostawiła Columowi prezent i uciekła do domu. Po drodze zastanawiała się, jakież to Amerykanin przybywa specjalnie do zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka w rodzaju Ballyhara, a widząc rodaczkę nawet nie stara się udawać, że to spotkanie sprawiło mu przyjemność? Oczywiście może to być tylko jeden z Bractwa, nie inaczej. A jego irytację należałoby przypisać odmowie Columa wzięcia udziału w tej zwariowanej rewolucji.

Ale prawda wyglądała dokładnie na odwrót. Jan Devoy poważnie wspierał wysiłki Parnella, co tym większe miało znaczenie, że będąc jednym z najbardziej wpływowych amerykańskich Fenian miał niemało do powiedzenia także w irlandzkich ogniwach Bractwa. Gdyby wycofał swe poparcie dla rewolucji, myśl o powstaniu umarłaby śmiercią naturalną. Był zwolennikiem autonomii Irlandii. Colum spierał się z nim zażarcie do późna w nocy.

- Ten człowiek chce władzy i nie zaniecha zdrady, byle ją dostać - rzekł O'Hara, mając na myśli Parnella.

- A co z tobą? - odparował Devoy. - Odnoszę wrażenie, że nie możesz znieść konkurencji, która zabiera ci pracę i wykonuje ją o wiele lepiej niż ty.

Colum nie był mu dłużny z odpowiedzią.

- Będzie wygadywał brednie w Londynie na każdym rogu ulicy, aż przymrozki go złapią, trafi do tytułów gazet, ale to w niczym nie zmieni faktu, że Irlandczycy nadal będą głodować pod angielskim obcasem. Naród irlandzki nie skorzysta na jego krasomówstwie. Zaś kiedy Irlandczycy znudzą się pokrzykiwaniem Mr. Parnella, zrobią rewolucję, tyle że nie zorganizowaną, bez żadnych widoków na zwycięstwo. Dlatego powiadam ci, Devoy: i tak już czekamy za długo. Parnell mówi, ty mówisz, ja mówię... wszyscy wylewamy strumienie słów, a Irlandczycy jak cierpieli, tak cierpią.

Gdy Devoy poszedł przenocować do zajazdu Kennedy'ego, Colum zaczął spacerować

ciężkimi krokami z kąta w kąt, aż nafta wypaliła się w lampie. Wtedy usiadł na stołku przed kominkiem, spoglądając na dogasające drwa. Myślał o wybuchu gniewu Devoya. A może on ma rację? Czy to żądza władzy była motywem jego walki, nie miłość do Irlandii? Czy człowiek może poznać prawdę o własnej duszy?

* * *

Gdy Scarlett przerzuciła pierwszą łopatę ziemi w dzień świętej Brygidy, zza chmur błysnęły nieśmiało, blade promienie słońca. Dobry znak. Dla godniejszego uczczenia uroczystości, zaprosiła wszystkich mieszkańców miasteczka do Kennedy'ego na szklaneczkę portera i sztukę mięsa. Ten rok będzie najlepszy spośród tych, które tu przeżyła. Następnego dnia pojechała na sześć tygodni do Dublina, by spędzić tam Karnawał Zamkowy.

Tym razem Karolina i Scarlett zamieszkały w apartamencie w *Shelbourne Hotel*, nie u *Greshama*. *Shelbourne* był bowiem tym właściwym miejscem, gdzie należało się zatrzymać w Dublinie na czas karnawału.

- Musimy skorzystać z okazji i dać się poznać - powiedziała do Scarlett Karolina. Teraz, gdy ogarnęła wzrokiem ogromny hall zrozumiała, o czym myślała Mrs. Montague. Wszystko w *Shelbourne Hotel* było imponujące - przestrzeń, służba, goście, interesy, o których mówiło się szeptem. Scarlett uniosła główkę, wysunęła podbródek i ruszyła za portierem na pierwsze piętro - najlepsze z najlepszych - kroczkiem lekkim, posuwistym, jakby płynęła po schodach. Chociaż nie wiedziała o tym, wyglądała dokładnie tak, jak Karolina opisała ją odźwiernemu: „Od razu ją zauważysz. Jest bardzo piękna, a głowę trzyma jak cesarzowa”.

Oprócz apartamentu dla Scarlett zarezerwowano salon - na jej wyłączny użytek. Zanim zeszły na dół na herbatę, Mrs. Montague oprowadziła ją po pokoju: ogromny, o ścianach wybitych zielonym brokatem. W kącie, na sztalugach z brązu, stał ukończony portret. Scarlett spojrzała na obraz zdziwiona. Czy naprawdę tak wyglądała? Ta kobieta w sukni z białej satyny sprawiała wrażenie nieustraszonej, choć jednocześnie nerwowej, niczym kocica. Oszołomiona, podążyła za Karoliną na dół.

Mrs. Montague wymieniała nazwiska ludzi siedzących przy stolikach we wspólnym hallu.

- W swoim czasie i tak pozna pani ich wszystkich, Mrs. O'Hara. Kiedy zostanie pani przedstawiona, kawę i herbatę będą przynosić do salonu, gdzie będzie pani podejmować gości. Jedni będą przyprowadzać ze sobą drugich, w ten sposób pozna pani wszystkich.

Kogo? - chciała zapytać Scarlett. Kto będzie przyprowadzał kogo? Ostatecznie nie warto się tym zajmować. Karolina zawsze wiedziała, co robi. Jedyne, co do niej należało, to nie zaplątać się w tren sukni, kiedy cofała się po dopełnieniu prezentacji. Ale Karolina i Mrs. Sims zamierzały codziennie ćwiczyć ją w tej sztuce - dzień w dzień, aż do Wielkiego Debiutu.

* * *

Ciężką białą kopertę opatrzoną pieczęcią marszałka dworu dostarczono do hotelu w dzień po przyjeździe Scarlett. Karolina nie dała po sobie zauważyć, jak wielką ulgę poczuła na jej widok. Bo chociaż była pewna, że zaproszenie do dworu przybędzie,

nawet najlepsze plany mogą nie wypalić. Pewną ręką złamała pieczęć.

- Pierwsza audyencja - przeczytała. - Tego się spodziewałam. Pojutrze.

* * *

Scarlett czekała w grupce na biało ubranych dziewcząt na schodach przed podwójnymi i jeszcze zamkniętymi drzwiami do sali tronowej. Miała wrażenie, że czeka tak już dobre sto lat. Do licha, na co ona przystała? Choć sama sobie postawiła to pytanie, odpowiedzi nie potrafiła znaleźć, bowiem cały problem był zbyt złożony. Jako **Ta O'Hara** chciała podbić Anglików. Jako mała amerykańska dziewczynka czuła się onieśmielona pełnym blaskiem Imperium Brytyjskiego. W gruncie rzeczy nigdy nie cofała się przed żadnym wyzwaniem.

Znowu wywołano czyjeś nazwisko. Znowu nie jej. Panienko Najświętsza, czy ma zostać przyjęta na szarym końcu? Karolina nie uprzedziła jej przed tą straszną ewentualnością. Karolina aż do ostatniej chwili nie uprzedziła jej, że cały czas będzie sama jak palec.

- Znajdę panią w jadalni, gdy audyencja dobiegnie końca.

Nieźle ją potraktowała, rzuciła samą między wilki. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na toaletę. Była przerażona, że może się przewrócić i to właśnie w tej głęboko wciętej sukni. Tak, to naprawdę byłoby... zaraz, jak to powiedziała Karolina?... „przeżycie godne zapamiętania”.

- Pani Scarlett O'Hara.

Boże, to przecież ja. Powtórzyła litanie, którą Karolina Montague wbijała jej do głowy na korepetycjach z etykiety dworskiej: najpierw naprzód, stanąć przed drzwiami. Paź uniesie tren, który przedtem powinnaś przerzucić sobie przez lewe ramię i rozłożyć za sobą. Mistrz ceremonii otworzy drzwi. Poczekaj, aż cię zaanonsuje.

- Scarlett O'Hara, pani na Ballyhara.

Scarlett spojrzała na salę tronową. No i co, tatusiu, co teraz sobie myślisz o twojej Kasi Scarlett? Za chwilę, po dłuższym spacerku czerwonym chodnikiem (długi chyba na pięćdziesiąt mil!), pocałuję wicekróla Irlandii, kuzyna królowej Anglii. Zerknęła na mistrza ceremonii w przepysznej liberii i wykonała coś, co można by nazwać porozumiewawczym perskim okiem.

Scarlett O'Hara niczym cesarzowa pomaszerowała, by stanąć przed obliczem Jego Wysokości rudobrodego wicekróla i, jak należało, nadstawić policzek do ceremonialnego pocałunku na przywitanie.

Teraz obrót do wicekrólowej. Znowu ukłon. Prosto trzymać plecy. Nie za nisko

głowę. Wstać. Teraz do tyłu, jeszcze kroczek i jeszcze jeden, w sumie trzy kroki, w tren się nie zaplączesz, bo własnym ciężarem opada do tyłu. Teraz wyciągnij lewą rękę. Poczekaj. Daj paziowi trochę czasu, żeby zdążył ułożyć tren na ramieniu. Obrót. Wychodzimy.

Nogi zaczęły jej się trząść dopiero wtedy, gdy zasiadła przy stole do kolacji.

* * *

Karolina nawet nie usiłowała ukrywać, że jest zadowolona. Weszła do sypialni Scarlett, ściskając w dłoni sztywny wachlarz białych kart wizytowych.

- Moja Scarlett, odniosła pani olśniewający sukces. Zaproszenia posypały się jeszcze nim wstałam i zdążyłam się ubrać. Bal państwowy... to coś zupełnie specjalnego. Bal świętego Patryka... no, tego należało oczekiwać. Druga audyencja... o, tu będzie pani miała okazję zobaczyć, jak inni się męczą podczas ceremonii przedstawienia u dworu. Jest też zaproszenie na wieczorek tańczący w sali tronowej. Trzech czwartych irlandzkich parów nigdy nie spotkał ten zaszczyt.

Scarlett roześmiała się. Strach minął, odniosła sukces!

- Teraz chyba już nie będę żałować, że wydałam pieniądze z ostatnich zbiorów na nowe suknie! - zawołała. - Pójdźmy dzisiaj na zakupy, a wydam wszystko, co dopiero zarobię w tym roku.

- O, to niemożliwe, droga Scarlett. Nie starczy pani czasu. Jedenastu dżentelmenów, a wśród nich mistrz ceremonii dworu królewskiego, przysłało bileciki z prośbą o możliwość złożenia pani uszanowania. Do tego czternaście dam z córkami. By przyjąć tylu gości, popołudniowe herbatki nie wystarczą. Trzeba będzie urządzać kawki i herbatki także rano. Pokojówki właśnie otwierają salon. Kazałam ustawić bukiety różowych kwiatów, zatem dobrze byłoby, gdyby pani założyła tę suknię z tafty w brązowo - różową kratę teraz, a po południu aksamitną zieloną z różowymi wyłogami. Gdy tylko pani wstanie, Evans zaraz ułoży pani fryzurę.

* * *

Scarlett była gwiazdą karnawału. Panowie tłumnie gromadzili się, by poznać ową amerykańską wdowę, która nie dość, że bogata, to jeszcze - *mirabile dictu** - była fantastycznie piękna. Matki ciągnęły do salonu Scarlett ciągnąc za sobą tabuny córek, a to dlatego, by spotykały dżentelmenów, których nigdy tam nie brakowało. Po pierwszym dniu przyjęć Karolina już nigdy nie zamawiała kwiatów, bo wielbiciele

**Mirabile dictu* - mówiąc oględnie (Przyp. tłum.)

przysyłali tyle bukietów, że nie było dość miejsca, by je ustawić. Do wielu biletów dołączano skórzane *etui*, a w nich cudowne okazy sztuki jubilerskiej najlepszych dublińskich mistrzów, ale Scarlett, choć niechętnie odsyłała wszystkie te brosze, bransolety, pierścionki i kolczyki.

- Nawet nie obeznana ze światowym życiem przeciętna Amerykanka z Powiatu Clayton w stanie Georgia doskonale wie, że obdarowujący oczekują rewanżu - powiedziała do Karoliny. - Nie chcę zaciągać zobowiązań wobec nikogo, a zwłaszcza w ten sposób.

Wszystko, cokolwiek zrobiła, opisywano wiernie, czasem zaś nawet dokładnie, w rubryce życia towarzyskiego w *Irish Times*. Właściciele sklepów wyciągali z szaf zakłady i osobiście pojawiali się w hotelu, by pokazywać jej wybór towarów, tak że Scarlett w końcu kupiła sobie kilka sztuk biżuterii - właśnie te, które odesłała ofiarodawcom. Wicekról dwa razy tańczył z nią na balu.

Wszyscy goście, licznie przybywający na kawki lub herbatki, podziwiali jej portret. Scarlett oglądała go codziennie rano i po południu, zanim w salonie zrobiło się tłoczno. Uczyła się siebie samej. Karolina Montague zauważyła, że z dnia na dzień robi się jakaś inna - z zainteresowaniem oglądała tę metamorfozę. Skłonności do flirciku znikły bez śladu zastąpione przez osobliwą łagodność, słodkie zadziwienie kobiety, która wystarczy, że zwróci swe zamglone zielone oczy na mężczyznę, niewiastę lub dziecko, by natychmiast - jakby za sprawą fluidów magnetycznych - przyciągnąć je do swego boku.

Harowałam jak muł, byleby tylko wydać się czarującą - myślała Scarlett. Teraz zaś nie robię niczego, a osiągam swój cel. Nie potrafiła zrozumieć, jak to się dzieje, przyjęła jednak ten dar z prostoty pełną wdzięcznością.

* * *

- Karolino, powiedziała pani „dwieście osób”? To się nazywa „wieczorkiem tańczącym”?

- Wszystko jest względne. Na balu państwowym i balu świętego Patryka jest zawsze sześciuset gości, zaś na każdą audiencję z przedstawieniem u dworu przychodzi zwykle po tysiąc osób. Nie powinna się pani obawiać: połowę z tych, którzy tam będą, i tak już pani poznała, a może nawet więcej.

- Nadal jednak uważam, że źle się stało, iż pani nie zaprosili.

- Tak to już bywa. Nie obrażam się.

Karolina rzeczywiście nie czuła się obrażona - z radością oczekiwała tego wieczoru,

gdy wreszcie będzie mogła zostać sama. Zamierzała sprawdzić rachunki. Sukces Scarlett i jej skłonności do ekstrawagancji przerastały najśmielsze nawet oczekiwania Karoliny. Czuła się niczym nabab. Czas już najwyższy zerknąć na własne przychody. Za same zaproszenia na kawę zbierała żniwo w postaci „prezentów” wartości około stu funtów tygodniowo. A przecież do końca karnawału zostało jeszcze dwa tygodnie. Z lekkim sercem odprowadzi Scarlett na ten wieczorek tańczący, bo i sama nie będzie się nudzić.

* * *

Scarlett zatrzymała się w drzwiach sali tronowej, mrużąc oczy, olśniona wspaniałością widowiska.

- Wie pan, Jeffrey, nigdy nie przyzwyczaję się do tego miejsca - rzekła do mistrza ceremonii. - Jestem jak Cinderella na balu.

- Nigdy by mi nie przyszło kojarzyć pani z Cinderellą - odparł pełnym uwielbienia głosem. Scarlett zdobyła sobie jego serce owym pamiętnym perskim okiem, gdy wchodziła do sali tronowej, by zostać przedstawiona u dworu.

- To jeszcze będzie pan zaskoczony - odpowiedziała mu, nieobecna duchem kiwając na wszystkie strony główką w odpowiedzi na ukłony i uśmiechy znajomych twarzy. Urocze. Tak urocze, że aż chyba nierzeczywiste, nie chce się wierzyć, że znalazła się tutaj, pośród tych wspaniałości. Wszystko stało się tak szybko. Trzeba czasu, by mogła w sobie przetrwać to, co tak nagle stało się jej udziałem.

Ogromna sala rozpościerała się przed nią, cała w złotych błyskach. Złocene kolumny podtrzymywały sklepienie, złocene pilastry wypełniały przestrzeń między wysokimi oknami udrapowanymi w purpurowe story ze złotymi frędzlami. Złocene krzesła obite purpurą otaczały stoły pod ścianami - na środku każdego z nich złoty kandelabr. Złote też były ciężkie, masywne gazowe świeczniki i złoty był baldachim nad złotem i czerwienią przetykanymi tronami. Złote koronki zdobiły męskie stroje dworskie: surduty z brokatowego jedwabiu i białe satynowe bryczesy. Złote klamerki połyskiwały na pantoflach z białej satyny. Złote guziki, złote epolety, złote *pendent*, złote galony błyszcząły na oficerskich mundurach i dworskich strojach królewskich notabli.

Wielu mężczyzn było przepasanych szarfami, na których lśniły wysadzone klejnotami ordery. Wicekról miał nad kolanem Order Podwiązki. W ogóle, męskie stroje zdały się przyćmiewać wspaniałością damskie toalety.

Prawie, lecz niezupełnie, albowiem panie nosiły klejnoty na piersiach, szyjach, w

uszach i wokół nadgarstków. Wiele pań założyło diademy. Same suknie mogły zachwycać bogactwem materiałów - satyna, aksamit, brokat, jedwab - często przetykane nitkami złotymi lub srebrnymi, albo z połyskującego jedwabiu.

Od samego patrzenia można oślepnąć. Lepiej pójść się przywitać - jak pomyślała, tak zrobiła. Właśnie złożyła ukłony przed królewskim gospodarzem i jego królewską małżonką, gdy zabrzmiały pierwsze takty muzyki.

- Czy mogę? - czyjaś ręka w czerwieni ze złotymi galonami zgięła się, uprzejmym gestem ofiarowując jej wsparcie. Scarlett uśmiechnęła się. Charles Ragland. Kiedyś spotkała go na przyjęciu, a gdy zamieszkała w Dublinie, nie było dnia, by nie złożył jej wizyty. Nie ukrywał swego uwielbienia. Jego piękna twarz oblewała się purpurą za każdym razem, gdy się doń zwróciła. Był strasznie miły i bardzo, bardzo pociągający - choć przecież Anglik, w dodatku oficer. Ale Anglicy w niczym nie przypominali Jankesów, niezależnie od tego, co mówił Colum. W każdym razie przynajmniej jednym różnili się od „niebieskich kurtek”: byli nieskończenie lepiej ubrani. Dłoń Scarlett lekko spoczęła na wyciągniętym ramieniu Raglanda, który wprowadził ją wśród tańczących kadryla.

- Jest pani dzisiaj bardzo piękna...

- Pan także, Charles. Właśnie pomyślałam sobie, że tutejsi mężczyźni są szykowniej ubrani niż damy.

- Nic, tylko Bogu dziękować za to, że dał nam mundury. Bryczesy są okropne. Mężczyźni w tych satynowych bucikach czują się jak ostatni głupcy.

- Mają za swoje. I tak zawsze przyglądają się damskim nóżkom, niech chociaż teraz przekonają się, jaka to przyjemność, gdy ktoś stara się dociec, co masz pod rąbkiem sukni.

- Scarlett, pani mnie szokuje.

Właśnie zmieniła się figura i Charles musiał odejść.

Chyba ma rację - pomyślała Scarlett. Czasem zda się niewinnością dorównywać uczniowi *primy*. Podniosła wzrok, by przekonać się, kim jest jej nowy partner.

- Boże wielki! - wyrwało się jej z piersi.

Przed sobą miała Retta.

- Pochlebiasz mi - powiedział, rozchylając usta w tym swoim półuśmiechu. Nikt nie uśmiechał się tak jak on. Scarlett czuła się przepelniona światłem, jasnością. Czuła, jakby płynęła nad błyszczącą od wosku podłogą, lekka od szczęścia.

I wtedy, nim zdążyła przemówić bodaj słowem, następną zmianą figur kadryla

zabrała jej Retta. Machinalnie uśmiechnęła się do nowego partnera. Na widok jej oczu, płonących miłością, w pierwszej chwili aż stracił oddech. Tymczasem umysł Scarlett, ogarnięty gorączkową gonitwą myśli, usilnie starał się odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: czemu przypisać tę obecność Retta? Czy przybył tutaj - zastanawiała się Scarlett - bo mnie pożąda? Ponieważ zżera go pragnienie, by mnie ujrzeć, ponieważ nie może wytrzymać z dala ode mnie?

Kolejne figury kadryla rozwijały się statecznie, wprawiając Scarlett w stan gorączkowej niecierpliwości. Gdy taniec dobiegł końca, znowu stanęła twarzą w twarz z Charlesem Raglandem. Musiała zebrać wszystkie siły, by nie stracić panowania nad sobą i zdobyć się na wdzięczny uśmiech, zaraz jednak niewyraźnie mruknęła parę słów przeprosin i odwróciła się, by szukać Retta.

Spostrzegła go prawie natychmiast. Stał tuż obok, zaledwie na wyciągnięcie ręki.

Duma powstrzymała ją od wyciągnięcia ramienia. Wiedział, że będę go szukać - przemknęła jej gniewna myśl. Ale cóż on sobie myśli, że niby kim jest, by mógł tak sobie wpadać do mojego świata, przystawać obok i czekać, aż rzucę się mu w ramiona? Tyłu jest mężczyzn w Dublinie - a nawet tutaj, w tej sali - którzy poświęcali mi uwagę, dosłownie wisieli na kłamce u drzwi mego salonu, codziennie posyłali mi kwiaty, bileciki, nawet klejnoty. Co uprawnia Jego Wysokość Mister Retta Butlera do tej myśli, że wystarczy, gdy kiwnie palcem, a ja natychmiast do niego pobiegnę.

- O, jaka miła niespodzianka - powiedziała, mile zaskoczona chłodnym tonem swego głosu.

Rett wyciągnął rękę, a ona, bez zastanowienia, podała mu dłoń.

- Czy mogę liczyć na ten taniec, Mrs... hm... O'Hara?

Scarlett, przerażona, wstrzymała oddech.

- Rett, chyba mnie nie wydasz? Tu wszyscy myślą, że jestem wdową.

Uśmiechnął się, a gdy muzyka zaczęła grać, wziął ją w ramiona.

- Gdy o mnie chodzi, nic ci nie grozi.

Jego chrapliwy głos zdał się trzeć o jej policzki, czuła na twarzy ciepło jego oddechu. Omal nie zasłabła.

- Co, u diabła, tu robisz? - spytała, bowiem musiała znać odpowiedź.

Czuła ciepło jego dłoni, trzymającej ją w talii, czuła, jak silny jest, jak ją wspiera, jak ją prowadzi w kolejnych obrotach tańca. Nie zdając sobie z tego sprawy, upajała się jego siłą, lecz stawiała opór wobec jego władzy nad jej ciałem, choć przecież nie zapomniała jeszcze radości płynącej z podążania za nim w rozkosznych wirujących

figurach walca.

Rett roześmiał się cichutko.

- To wszystko dlatego, że nie mogłem się oprzeć ciekawości. Właśnie bawiłem w Londynie w interesach, gdy wszyscy nagle zaczęli mówić o Amerykance, która szturmem zdobyła dubliński Zamek. „Czy to możliwe, by była to Scarlett w pończochach w pasy?” Skoro już postawiłem pytanie, musiałem znaleźć odpowiedź. Bart Morland potwierdził me podejrzenia. Nie mogłem go powstrzymać: nic, tylko mówił o tobie i mówił... Nawet zmusił mnie na przejażdżkę po twym miasteczku, które rzekomo własnymi rękami dźwignęłaś z ruin.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Zmieniłaś się, Scarlett - wyrzucił z siebie nader szybko. - Z czarującej dziewczyny wyrosła nam elegancka, dojrzała kobieta. Podziwiam cię, naprawdę podziwiam.

Nieklamana szczerłość tych słów, ciepło jego głosu sprawiły, że Scarlett zapomniała o urazach.

- Dziękuję, Rett.

- Jesteś szczęśliwa w Irlandii?

- Tak.

- To się cieszę.

W jego słowach pobrzmiwało coś więcej niż samo zadowolenie.

Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, Scarlett rozumiała Retta, przynajmniej częściowo. Przybył tu, żeby mnie ujrzeć, myślał o mnie cały ten czas, niepokoił się, dokąd uciekłam i co się ze mną dzieje. Nigdy nie byłam mu obojętna, nieważne, co mówił. Zawsze mnie kochał, zawsze będzie mnie kochać, jak ja kochałam, Kocham i będę go kochać.

Ta myśl rozlała się po niej falą błogości, delektowała się nią jak szampanem, sączyła, piła do ostatniej kropli, by w pełni poznać jej smak. Rett jest tu, obok, są sobie bliscy - bliżsi niż kiedykolwiek.

Gdy przebrzmiały ostatnie takty walca, do Scarlett zbliżył się *aide de camp*.*

- Jego Ekscelencja prosi o zaszczyt następnego tańca, Mrs. O'Hara.

Rett uniósł brwi w zabawnym grymasie drwiny, tak dobrze znanym Scarlett. Jej wargi wygięły się w uśmiechu przeznaczonym wyłącznie dla niego, a zwracając się do dworaka, rzekła:

- Proszę przekazać Jego Ekscelencji, że służę mu z największą przyjemnością.

***aide de camp* (franc.) - adiutant (Przyp. tłum.)

Zanim jednak wsparła się na usłudźnie podstawionym ramieniu, mruknęła do Retta:

- W Powiecie Clayton mówiło się w takich wypadkach, że mamy się ku sobie.

Jego śmiech towarzyszył jej przez całą ogromną salę.

Jestem w łaskach - westchnęła w głębi ducha i obejrzała się przez ramię, bo chciała ujrzeć, jak się śmieje. To naprawdę zbyt wiele - pomyślała. Tak dużo, że aż niesprawiedliwie. Nawet ładnie wygląda w tych idiotycznych satynowych bryczesach i pantoflach. Jej zielone oczy strzelały iskrami, gdy kłaniała się przed wicekrólem, nim taniec się zaczął.

Kiedy znowu zaczęła szukać go wzrokiem i nie znalazła, nie była zaskoczona. Jak długo go znała, zawsze pojawiał się i znikał bez słowa wyjaśnienia. Właściwie nawet wcale nie powinnam czuć się zaskoczona tym, że ujrzałam go dzisiaj. Skoro czułam się jak Cinderella, dlaczego miałby się tu nie zjawić jedyny Uroczy Książę, którego obecności mogłabym pragnąć? Ciągle jeszcze czuła dotyk jego ramion, jakby zostawił na niej znamię. Z drugiej strony, łatwo dałaby sobie wmówić, że wszystko to wyśniła: połączane komnaty, muzykę, Retta, nawet siebie.

* * *

Kiedy wróciła do apartamentu w hotelu, zapaliła wszystkie lampy gazowe i stanęła przed wysokim zwierciadłem, w pełnym blasku spoglądając na postać, którą widział Rett. Wyglądała cudownie, jak kobieta pewna samej siebie, jak ta kobieta na portrecie, jak babcia Robillard.

W sercu ją ukłuło. Dlaczego wyglądem nie przypominała babci z tego drugiego portretu? Tej o twarzy łagodnej, opromienionej miłością, przyjmowaną i udzielaną.

Albowiem w przepojonych troską słowach Retta, wiedziała, pobrzmiwał też smutek i ostateczne pożegnanie.

W środku nocy, w luksusowym pokoju, na najlepszym piętrze najlepszego z dublińskich hoteli, Scarlett O'Hara obudziła się, wstrząsana konwulsyjnymi szlochami.

„Gdyby tylko...” huczała jej w głowie myśl powracająca raz za razem, niby uderzenia tarana.

Nocne udręki nie zostawiły śladów na twarzy Scarlett. Następnego dnia rano jej oblicze promieniało tą samą łagodnością, co zwykle, słała urocze uśmiechy, jak zawsze, gdy nalewała kawę lub herbatę gościom licznie zebranych w salonie. Podczas tych długich nocnych godzin nadszedł moment odwagi: tak, ma w sobie dość siły, aby pozwolić Rettowi odejść.

Skoro go kocham - myślała sobie - nie powinnam go zatrzymywać. Muszę nauczyć się darzyć go wolnością, tak jak Kici dałam pełną wolność właśnie dlatego, że ją kocham.

Gdybym tak mogła powiedzieć Rettowi o niej, byłby z niej dumny.

Gdyby tak Karnawał Zamkowy dobiegł końca. Strasznie tęsknię za Kicią. Ciekawe, czy podrosła.

* * *

Kicia biegła przez zarośla, a rozpacz dodawała jej sił. Poranne mgły ciągle snuły się nad ziemią, nie wiedziała, dokąd biegnie. Potknęła się i upadła, zaraz jednak dźwignęła się na nogi. Bowiem musiała biec, nawet jeśli z trudem łapała oddech. Instynktownie poczuła, że leci następny kamień - przywarła plecami do drzewa. Chłopcy, którzy ją ścigali, pokrzykiwali i kpili. Prawie ją dopadli, choć jeszcze nigdy przedtem nie zapuszczali się do lasu przy Dworze. Ale teraz mogli to robić bezkarnie. Wiedzieli, że **Ta O'Hara** bawi w Dublinie, w towarzystwie Anglików. Ich rodzice nie mówili o niczym innym.

- Jest tutaj! - wrzasnął jeden, drugi zaś podniósł dłoń z kamieniem, gotowym do uderzenia.

Ale osoba, która wyszła zza drzewa, to nie była Kicia. To była *cailleach* - wykrzywionym palcem wskazywała prosto na nich. Krzyknęli, przerażeni, i uciekli.

- Chodź ze mną - powiedziała Grainne. - Dostaniesz herbaty.

Kicia podała jej rączkę. Grainne wyszła zza krzaków, po czym ruszyła bardzo powoli ścieżką wśród drzew, tak by dziewczynka mogła za nią nadążyć.

- A będą ciastka? - spytała Kicia.

- Będą - odpowiedziała *cailleach*.

* * *

Choć tęsknota za domem rosła w niej z każdym dniem, Scarlett dotrzymała słowa danego Karolinie i pozostała w Dublinie do końca karnawału. Zimowy sezon w

Dublinie niczym się nie różnił od tego, co widziałam w Charlestonie - myślała. Dziwię się, dlaczego elegancyjny ludzie tak ciężko pracują, by tak długo się bawić? Od jednego sukcesu wzniosła się do następnego, jeszcze większego. Mrs. Fitz chytrze wykorzystywała fakt, że rubryka towarzyska *Irish Times'a* opisywała publiczne występy Scarlett i co wieczór nosiła gazetę do Kennedy'ego, by pokazać mieszkańcom miasteczka, jaką sławą cieszy się ich pani. A chociaż początkowo utyskiwano, że **Ta O'Hara** tak chętnie przestaje z Anglikami, z czasem niechęć zamieniła się w dumę z tego, że większego doznaje uwielbienia niż jakakolwiek Angielka.

Colum nie zachwycał się sprytem Rosaleen Fitzpatrick. Był w zbyt posępnym nastroju, by widzieć w tym bodaj iskierkę dowcipu.

- Anglicy uwiodą ją dokładnie tak, jak przekabacili na swoją stronę Devoya.

Colum i miał rację, i nie miał. Bo nikt w Dublinie nie domagał się, by Scarlett wyrzekła się swej irlandzkości - w niej właśnie należałoby poszukiwać przyczyn jej atrakcyjności. **Ta O'Hara** na dworze angielskiego wicekróla to oryginalne zjawisko. Scarlett zdawała sobie z tego sprawę - odkryła jedną niezaprzeczalną prawdę. Otóż Angloirowie, których wielu mieszkało w Dublinie, uważali się za nie mniej irlandzkich niż rodzina O'Harów w Adamstown.

- Przecież oni mieszkali w Irlandii jeszcze nim Ameryka została zaludniona - powiedziała pewnego dnia Karolina Montague, gdy czymś ją zirytowała. - Jak pani może odmawiać im miana Irlandczyków?

Scarlett nie była w stanie rozsypać wszystkich tych zawiloci, tak że nawet przestała próbować. Zresztą wcale nie musi łamać sobie tym głowy. Może mieć dla siebie dwa światy: Irlandię taką, jaka była w codziennym życiu Ballyhara oraz Irlandię dublińskiego Zamku. Kicia, gdy dorośnie, też będzie je posiadać. I tak będzie o wiele lepiej, niż gdyby miała to tylko, co mogłabym jej podarować pozostając w Charlestonie - powiedziała sobie wyraźnie.

* * *

Gdy bal świętego Patryka zakończył się o czwartej nad ranem, Karnawał Zamkowy dobiegł końca. Następne wydarzenie miało mieć miejsce parę mil dalej w Powiecie Kildare - rzekła Karolina. Wszyscy wybierają się na wyścigi w Punchestown. I wszyscy oczekują, że i ona też tam będzie.

Scarlett pokręciła głową.

- Kocham wyścigi konne, Karolino, ale sposobie się w drogę powrotną do domu. I tak opuściłam comiesięczne godziny przyjęć. Zapłacę hotel za ciebie.

Nie trzeba - odpowiedziała Karolina. Rezerwację w *Shelbourne Hotel* można odsprzedać z poczwórnym zyskiem. Jeśli zaś mowa o koniach, to wcale ją nie interesują.

- Pani, droga Scarlett, jest równie niezależna, dlatego nie potrzebuje mnie pani. Proszę słuchać dobrych rad Mrs. Sims i pozwolić jej się ubierać. W *Shelbourne* już zarezerwowano apartament dla pani na przyszłoroczny karnawał. Ma pani dom, w którym można pomieścić każdą ilość gości, zaś pani gospodynini to właściwa osoba na właściwym miejscu, jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam na tym stanowisku równie fachowej kobiety. Ma pani miejsce w świecie. Reszta to już nie moja sprawa.

- Co z panią Karolino?

- Pozwolę sobie na coś, o czym zawsze marzyłam: apartamencik w rzymskim *palazzo*. Dobre jedzenie, dobre wino, codziennie śródziemnomorskie słońce. Nie cierpię deszczu.

* * *

Nawet Karolina nie mogłaby narzekać na tę pogodę! - przemknęło Scarlett przez myśl. Słońce tej wiosny grzało tak cudownie, że nawet najstarsi ludzie nie pamiętali, by o tej porze roku było równie słonecznie. Trawy urosły wysoko i pachniały bogato, a posiana trzy tygodnie przed Świętym Patrykiem pszenica właśnie okryła pola jasnozielonym puszkciem. Tegoroczne plony winny wyrównać rozczarowania ubiegłego roku, i to z nawiązką.

- Co słyhać u Ree? - spytała Kicię. To bardzo do niej podobne nazwać małego szetlandzkiego kucyka „Król”, w dodatku po celtycku - pobleźliwie pomyślała Scarlett. Kicia bardzo wysoko ceniła swą miłość. A jeśli ukochane osoby i zwierzęta obdarzała celtyckimi imionami, to chyba miło. Scarlett lubiła myśleć o Kici jak o prawdziwie irlandzkim dziecku. Nawet jeśli z wyglądu przypominała Cyganiątko. Jej czarne włosy niesfornie wymykały się zza wstążek, słońce jeszcze bardziej przybrązowiło jej twarz. Kicia zdejmowała buciki i kapelusik, ledwo wychodziła poza granice Dworu.

- Ree nie lubi, kiedy zakładam mu siodło. Ja też nie lubię jeździć w siodle. Na oklep lepiej.

- Nie powinnaś jeździć na oklep, słoneczko. Powinnaś nauczyć się jeździć w siodle i Ree też powinien się przyzwycząić. Dzięki Bogu, córeczko, że nie musisz używać damskiego siodła.

- Tego, które zawsze zakładasz, gdy jeździsz na polowanie?

- Tak. Ty też spróbujesz jazdy w damskim siodle, ale na pewno nie prędko.

W październiku Kicia będzie obchodzić czwarte urodziny - niewiele młodsza od Bonnie, gdy spadła z kucyka. Damskie siodło może jeszcze poczekać. Gdybyż tak Bonnie mogła jeździć na oklep miast stale ćwiczyć jazdę bokiem... nie, nie powinna o tym myśleć. Owo „gdybyż” boleśnie kłuło ją w serce.

- Pojedźmy do miasteczka, dobrze? Wpadniemy do Columa. Co na to powiesz, Kiciu?

Scarlett bardzo niepokoiła się o kuzyna - ostatnimi dniami był jakiś rozstrojony wewnętrznie, czego nie dało się nie zauważyć.

- Kicia nie chce jechać do miasteczka. Chce nad rzekę.

- Dobrze. To nawet niezły pomysł. Od dawna nie byłam nad rzeką.

- Mogę się wspiąć na wieżę?

- Nie możesz. Drzwi są za wysoko, a w środku pewnie roi się od nietoperzy.

- Pójdziemy odwiedzić Grainne?

Scarlett ścisnęła lejce.

- Skąd Kicia zna Grainne?

Stara kobieta kazała trzymać dziewczynkę z dala od tych stron, kazała dobrze strzec jej w domu. Kto zatem przyprowadził tutaj Kicię? I po co?

- Grainne dała Kici mleka.

Scarlett nie przejmowała się tym, że Kicia mówi w trzeciej osobie, bowiem zawsze tak mówiła, gdy była czymś zdenerwowana lub rozeźlona.

- Dlaczego nie chcesz opowiadać o Grainne, córeczko?

- Bo Grainne myśli, że Kicia to inna dziewczynka. Dara. Kicia powiedziała jej o tym, ale ona wcale nie chciała słuchać.

- Skarbeńku, Grainne bardzo dobrze wie, kim jesteś. „Dara” to takie wyjątkowe imię, które nadała ci, gdy jeszcze byłaś maleńka. To imię celtyckie, podobnie jak Ree czy Ocras. „Dara” to po celtycku „dąb”, najlepsze, najmocniejsze drzewo.

- Głupie. Dziewczynka nie może być drzewem. Nie ma liści.

Scarlett westchnęła. Zawsze bardzo się cieszyła, gdy córeczka wykazywała ochotę do rozmowy, bo niepokojąco często pozostawała przez długi czas zamknięta sama w sobie, ale rozmowa z Kicią nie była łatwa. Kicia miała w większości kwestii ustalone poglądy, a kiedy usiłowano zbyć ją niczym, zawsze umiała się zorientować. Prawda, cała prawda i tylko prawda - moment zapomnienia, a Kicia posyłała ci spojrzenia jak dwa sztylety.

- Spójrz, Kiciu. To wieża. Opowiadałam ci kiedyś jej historię.

- Tak.

Scarlett miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Nie byłoby prawdą stwierdzenie, że dziewczynka kłamie, ale niekiedy trudno było się powstrzymać od zarzutu, że cygani.

- Lubię więź - powiedziała Kicia.

- Ja też, słoneczko.

Scarlett zaczęła się zastanawiać, dlaczego od tak dawna nie przychodziła tutaj. Już prawie zapomniała, jak dziwne uczucie budziło w niej dotknięcie pradawnych kamieni. Było w nich coś niesamowitego, a jednocześnie kojącego. Bo przecież w końcu to tutaj biło serce Ballyhara, od tego miejsca wszystko się zaczęło.

* * *

Głogi właśnie zakwitły, choć przecież kwiecień jeszcze nie minął. Co to za wiosna! Scarlett, jadąc bryczką, specjalnie zwolniła, by móc w pełni rozkoszować się cudownym zapachem. Nie ma po co się spieszyć. Suknie mogą poczekać. Była w drodze do Trim, gdzie miała odebrać paczkę z ubraniami na lato - dzieło pracowni krawieckiej Mrs. Sims. Na biurku leżało sześć zaproszeń do wiejskich rezydencji - wszystkie na czerwiec. Wprawdzie nie miała pewności, czy jest już gotowa rozpocząć sezon towarzyski, ale z przyjemnością spotkałaby się z dorosłymi osobami... O, tak! Kicia niepodzielnie królowała w jej sercu, ale... No i Mrs. Fitz tak była zajęta prowadzeniem wielkiego domu, że nawet nie miała chwili czasu, by przysiąść i wypić razem z nią filiżankę herbaty. Colum pojechał do Galway przywitać Stefana. Nie była pewna, jakie uczucia ją ogarną, gdy ujrzy go w Ballyhara. Mrukliwy Stefan. Może w Irlandii nie będzie taki mrukliwy. Może dlatego był w Savannah taki dziwny i mrukliwy, że został wplątany w całą tę sprawę przemytu broni. No, ale z tym już koniec! Miło było dostawać z Ameryki ekstra przychody ze sprzedaży domków. Chyba podarowała Bractwu fortunę! Którą, zamiast na strzelby, lepiej byłoby przeznaczyć na suknie. Bo suknie nikogo nie zranią.

Stefan przywiezie ostatnie nowiny z Savannah. Z utęsknieniem wyczekiwała wiadomości, co u kogo słyhać. Maureen równie była nieskora do pisania listów, jak i ona. Już od miesiący nie słyszała żadnych nowin z Savannah. Niczego: ani od O'Harów, ani od nikogo innego. Dobrze więc zrobiła sprzedając wszystko w Atlancie. Dobrze zrobiła podejmując decyzję przecięcia wszystkich więzów, które łączyły ją z Ameryką i nieoglądania się do tyłu.

Zawsze jednak miło byłoby usłyszeć, co tam nowego w Atlancie. Z wysokości dochodów ze sprzedaży domów mogła się domyślać, że Ashleyowi dobrze się powodzi. Ale co z ciotką Pittypat? Co z Indią? Czy już wyschła na proszek? Co z tymi wszystkimi, którzy przez wszystkie te lata byli dla niej tak ważni? Wolałabym osobiście pozostawać

w kontakcie z charlestońskimi ciotkami, miast przesyłać im pieniądze za pośrednictwem tego prawnika z Atlanty. Owszem, dobrze zrobiłam nie zostawiając im mego adresu, bo w ten sposób uchroniłam Kicię od Retta, lecz może teraz wszystkie te środki ostrożności są zbyteczne. Wystarczy przypomnieć sobie, jak zachowywał się wtedy, na Zamku. Gdybym napisała do Eulalii, dowiedziałabym się, co nowego w Charlestonie. Usłyszałabym co nieco o Recie. Tylko czy zniosłabym wiadomość, że on i Anna żyją szczęśliwie, jak to tylko możliwe, hodując konie wyścigowe i małe Butlerzątka? Chyba nie chciałabym usłyszeć czegoś podobnego. Lepiej więc zostawić ciotki samym sobie.

Najchętniej wzięłabym się za czytanie, ale kazania Mrs. Fitz zupełnie wypełniają tę wyrwę w edukacji. Może zresztą Mrs. Fitz ma rację zrzedząc, że to wstyd mieć taki dom, tyle służby i nie wydać ani jednego przyjęcia, pozostawiając wszystko i wszystkich w gnuśnej beczynności. Ale co do Kici, to Mrs. Fitz się myli. Ani nie będę stroić dziecka angielską modą, ani nie dopuszczę, by jakaś niańka wtrącała się do jej życia. Troszeczkę rozumiem własne dziecko. Widzę, jak chętnie spędza czas w stajniach, w kuchni, albo jak włóczy się po okolicy lub wspina na drzewa. Pomysł, by takie dziecko wysłać do szkoły klasztornej to wprost niedorzeczność! Gdy podrośnie, szkółka w Ballyhara będzie dla Kici jak znalazł. Znajdzie tu sobie jakichś przyjaciół... Martwi mnie, że nigdy nie chce bawić się z innymi dziećmi... Co się dzieje? To przecież nie dzień targowy. Dlaczego na moście tyle ludzi?

Scarlett wychyliła się z bryczki. Chwyciła za ramię pędzącą obok kobietę.

- Co tu się dzieje?

Kobieta podniosła ku niej głowę. Oczy jej lśniły, widać było, że bardzo podniecona.

- Wymierzają chłostę. Pospiesz się, paniusiu, bo wszystko przegapisz.

Chłosta. Wcale nie miała ochoty przyglądać się, jak chłoszczą jakiegoś żołnierza - nieboraka. Sądziła bowiem, że chłostą karano żołnierzy. Chciała zawrócić, lecz tłum tak napierał, omal nie poturbował konia i nie przewrócił dorożki. Jedyne, co pozostawało, to zejść na dół, wziąć konia za uzdę i starać się uspokoić zwierzę poklepywaniem i łagodnymi słowami. Chcąc nie chcąc, musiała iść tam, gdzie popychał ją ludzki potok.

Gdy tłum się zatrzymał, mogła usłyszeć świst bicia i przeraźliwy plask rzemienia, spadającego na skórę. Chciała zakryć uszy, ale musiała przytrzymywać za uzdę nerwowego, przestraszonego konia. Zdało się jej, że te okropne odgłosy rozciągają się w nieskończoność.

- ...sto. To byłoby na tyle - usłyszała, po czym dobiegł ją jęk rozczarowania gawiedzi.

Mocniej chwyciła za uzdę - rozchodzący się tłum cisnął i popychał jeszcze gorzej niż w drodze na widowisko.

Nie zamknęła oczu, a kiedy chciała zacisnąć powieki, było już za późno. Właśnie ujrzała okaleczone ciało i widok ten mocno wraził się jej w pamięć. Skazaniec był przywiązany do wielkiego, ustawionego pionowo koła: kostki i nadgarstki mocno ścisnęły rzemienie. Zatknięta za spodnie koszula z grubego samodziału czerwona była od krwi i odsłaniała coś, co kiedyś było plecami. Teraz jednak w tym miejscu ziała ogromna czerwona rana, z czerwonymi strzępami skóry i mięsa zwisającymi po brzegach.

Scarlett wtuliła twarz w końską grzywę. Czowała się słabo. Koń nerwowo podrzucił głowę, odepchnął ją. Pociągnęła nosem, w powietrzu unosił się dziwny, słodkawomdławy zapach.

Słyszała, że ktoś obok wymiotuje. Czowała, że w żołądku robi się jej ciężko. Pochyliła się, tak by nie wypuszczać z dłoni uzdy, zwymiotowała na brukowaną końskimi łbami drogę.

- W porządku, chłopcze. To nie wstyd pozbyć się śniadania po obejrzeniu chłosty. Idź do *pubu* i każ sobie nalać szklanek whisky. Marbury pomoże mi go odciąć.

Scarlett podniosła głowę. Brytyjski żołnierz w mundurze sierżanta Gwardii mówił do szeregowca o szarej jak popiół twarzy. Żołnierz, potykając się, ruszył w stronę zajazdu. Zastąpił go inny szeregowiec. Przy jego pomocy sierżant przeciął rzemienie. Ciało upadło w czerwone od krwi błoto.

Jeszcze tydzień temu była w tym miejscu zielona trawa - przypomniała sobie Scarlett. To niemożliwe. Tutaj powinna zielenić się trawa.

- Co z tą kobietą, sierżancie?

Dwóch żołnierzy przytrzymało za ramiona spokojną, wyprostowaną kobietę w czarnym płaszczu z kapturem.

- Puśćcie ją. Już po wszystkim. Niech sobie idzie. Później przyślą podwody, żeby go zabrać.

Kobieta pobiegła za grupą mężczyzn. Chwyciła sierżanta za obszywany złotymi galonami rękaw.

- Pański oficer obiecał, że będę mogła go pochować! - krzyknęła. - Dał mi słowo.

Sierżant odepchnął ją.

- Miałem rozkaz go wychłostać, reszta to nie moja sprawa. Kobieto, zostaw mnie w spokoju.

Postać w czerni samotnie stała na drodze spoglądając na żołnierzy, którzy właśnie wchodzili do *pubu*. Potem załkała - raz - jeden jedyny raz. Odwróciła się, pobiegła do koła, przy którym leżało pokrwawione ciało.

- Danny, mój drogi Danny...

Przykucnęła, po chwili przyklęła w krwawym błocie, usiłując podnieść do krwi poszarpane ramiona, utulić na podolku głowę. Z głowy opadł jej kaptur, ukazała się blada, subtelna twarz, upięte w kok złote włosy, błękitne oczy podkrążone żalobnymi obwódkami. Scarlett skamieniała, zamarła w miejscu. Zrobić choć jeden krok, zastukać obcasami po kamiennej nawierzchni, byłoby świętokradztwem, naruszeniem tragicznej wielkości tej sceny.

Przez placyk przebiegł brudny, bosonogi chłopczyk.

- Mógłbym dostać guzik albo coś takiego, paniusiu? Moja mama chciałaby mieć jakąś pamiątkę.

Potrząsnął kobietę za ramię.

Scarlett zerwała się z miejsca, jej kroki szybko zastukały po kamieniach, wbiegła na krwią zbroszoną trawę, zatrzymała się przy krwawym błocie. Chwyciła chłopca za rękę. Spojrzał na nią, zapatrzył się z szeroko otwartymi ustami. Scarlett z całej siły wymierzyła mu policzek. Rozległ się suchy trzask, jakby karabinowy wystrzał.

- Wynoś się, ty nikczemny brudasio! Wynoś się!

Chłopak pobiegł, głośno krzycząc ze strachu.

- Dziękuję - powiedziała żona na śmierć zakatowanego człowieka.

Scarlett zdawała sobie sprawę, że teraz także i ona otarła się o śmierć tego mężczyzny. Nie mogła zaniechać niczego, co dałoby się jeszcze zrobić, nawet jeśli niewiele pozostawało do zrobienia.

- Znam w Trim doktora - powiedziała. - Mogę go przywieźć.

- Doktora? - Z goryczą w głosie powtórzyła kobieta. - Może zechce mu krwi upuścić?

Mówiła z angielskim akcentem, jak panie, które Scarlett zdarzyło się słyszeć na dworskich balach.

- Przygotuje pani męża do pogrzebu - ze spokojem w głosie powiedziała Scarlett.

Kobieta podniosła zakrwawioną dłoń do rąbka spódnicy Scarlett, przycisnęła do niej wargi i ucałowała w akcie wdzięczności. Żrenice Scarlett zamglily się łzami. Mój Boże - westchnęła. Przecież nie zasłużyłam na to. Gdybym mogła, zawróciłabym i odjechała.

- Proszę, niech pani tego nie robi.

* * *

Kobieta nazywała się Harriet Stewart, jej mąż Daniel Kelly. To wszystko, co wiedziała Scarlett do momentu, gdy ciało zostało złożone w trumnie i przeniesione do katolickiej kaplicy. Po czym wdowa, która dotychczas w mówieniu ograniczała się jedynie do odpowiedzi na słowa księdza, rozejrzała się, utkwiała w niej spojrzenie niespokojnych, ściemniałych oczu.

- Billy... - szepnęła. - Gdzie jest Billy? Powinien być tutaj!

Ksiądz zdołał się dowiedzieć, że Billy to jej syn zamknięty w pokoju hotelowym, by nie przyglądał się chłóście.

- Właściciele hotelu to bardzo mili ludzie - powiedziała kobieta. Przyjęli w zapłacie moją obrączkę ślubną, choć wiedzieli, że nie jest złota.

- Przyprowadzę go - zdecydowała Scarlett. - Ojczy, niech ojciec rzuci okiem na Mrs. Kelly.

- Oczywiście. Proszę jeszcze przynieść butelkę koniaku, Mrs. O'Hara. Nasza biedna Mrs. Kelly jest bliska załamania.

- Ale się nie załamie - dokończyła kobieta. - Nie mogę. Muszę się opiekować synem. Jeszcze dziecko z niego, zaledwie osiem lat.

Mówiła kruchym, jak lód łamliwym głosem.

Scarlett szybko pobiegła do hotelu. Billy Kelly był zaciętym w sobie blondynkiem, jak na swój wiek wyrośniętym, pałającym gniewem z powodu konieczności przebywania w areszcie domowym, pałającym gniewem na angielskich żołnierzy.

- Każę sobie sprawić żelazną różgę i będę tłukł ich po głowach, aż mnie zastrzelą - krzyknął. Właściciel hotelu musiał użyć całej swej siły, by uniemożliwić chłopcu ucieczkę.

- Nie bądź głupcem, Billu Kelly!

Ostre słowa Scarlett podziałały na niego jak kubeł zimnej wody.

- Matka cię potrzebuje, a ty chcesz jeszcze przysporzyć jej żalu? Co z ciebie za mężczyzna?

Właściciel hotelu mógł zwolnić chwyt. Chłopak ucichł.

- Gdzie moja mama? - spytał głosem małego, przestraszonego chłopca, jakim naprawdę był.

- Chodź ze mną.

Opowieść Harriet Stewart Kelly snuła się bardzo powoli. Już ponad tydzień przebywała wraz z synem w Ballyhara, a Scarlett zdążyła poznać dopiero ogólne zarysy jej losów. Dziewiętnastoletnia córka anglikańskiego duchownego - znakomicie, jak na kobietę, wykształcona, i absolutnie nie obeznana w sprawach tego świata - objęła posadę młodszej guwernantki przy rodzinie barona Witley'a.

Jednym z jej obowiązków było dotrzymywanie towarzystwa dzieciom podczas ich codziennych przejażdżek konno, które odbywały się zawsze przed śniadaniem. I tak zakochała się w promiennym uśmiechu i melodyjnym głosie jednego ze stajennych, który także brał udział w tych przejażdżkach. Toteż, kiedy ją zapytał, czy nie miałaby ochoty uciec razem z nim, od razu pomyślała sobie, że czeka ją najbardziej romantyczna przygoda, jaka tylko może się zdarzyć.

Przygoda zakończyła się na małej farmie ojca Daniela. Ponieważ nie mieli referencji, nie mogli znaleźć pracy w swoim zawodzie. Daniel obrabiał więc kamieniste pola razem z ojcem i braćmi, Harriet spełniała polecenia jego matki, czyli najczęściej szorowała podłogę i cerowała bieliznę. A także haftowała - bardzo pięknie - tak, jak przystoi młodej damie. Billy, jedyne jej dziecko, był świadkiem umierania romantycznej miłości. Daniel bowiem nie mógł żyć bez swoich pięknych koni, wielkich stajni, fantazyjnie wyszywanej kamizelki, cylindra i wysokich skórzanych butów, które nosili stajenni. Oskarżał Harriet, że przez nią wypadł z łask pana barona i pocieszał się whisky. Jego rodzina nienawidziła jej, ponieważ była Angielką i protestantką.

Danny został aresztowany, gdy w *pubie* rzucił się na angielskiego oficera. Gdy został skazany na sto batów, rodzina uznała go za zmarłego. Właśnie już odbywali stypę, gdy Harriet wzięła Billy'ego za rączkę, w drugą rękę wzięła kawał chleba i udała się do odległego o dwadzieścia mil Trim, gdzie stacjonował regiment obrażonego oficera. Błagała o darowanie mężowi życia. Otrzymała obietnicę wydania ciała.

- Jeśli pożyczysz mi pani na bilet, Mrs. O'Hara, wrócę z synem do Anglii. Rodzice już nie żyją, lecz mam kuzynów, którzy może użyczą mi dachu nad głową. Oddam wszystko z zarobków. Chyba znajdę jakieś zajęcie.

- Bzdura - prychnęła Scarlett. - Czyż nie zauważyła pani, że mam córeczkę biegającą po okolicy jak młode źrebię? Kici potrzeba guwernantki. A poza tym zdaje mi się, że polubiła Billy'ego i chodzi za nim jak cień. Bo prócz guwernantki potrzeba jej przyjaciół, i to bardzo jej potrzeba. Droga Mrs. Kelly, wyświadczyłaby mi pani ogromną uprzejmość, gdyby zgodziła się pani przyjąć gościnę we Dworze.

Nie powiedziała jednak wszystkiego, co myśli. W gruncie rzeczy nie sądziła, by Harriet miała dość sił na przeprawę do Anglii, a już zupełnie wątpiła w jej umiejętności przeżycia. Ma dużą wiedzę, ale ani za grosz sprytu - podsumowała swe refleksje o Mrs. Kelly. Umie tylko tyle, ile zdołała nauczyć się z książek.

Pomijając jej zupełny brak zmysłu praktycznego, towarzystwo Harriet dobrze służyło Scarlett. Od momentu, gdy powróciła z Dublina, wielki dom zdał się nieznośnie pusty. Scarlett nie przypuszczała, by kiedykolwiek zatęskniła za Karoliną Montague, lecz jej nieobecność dotkliwie dawała się we znaki. Harriet przyjemnie wypełniała tę lukę. Pod wieloma względami była lepszą damą do towarzystwa niż Mrs. Montague, bowiem zwracała uwagę na wszystko, co robiły dzieci, nawet najmniejszą błahostkę. W ten sposób Scarlett dane było usłyszeć o wielu przygodach Kici, które sama zainteresowana uznałaby za niewarte wzmianki.

Billy Kelly był dla Kici dobrym towarzyszem, toteż zaniepokojenie Scarlett, że dziecko wzrasta w izolacji, powoli opadło.

Jedyną ujemną stroną obecności Mrs. Kelly w Ballyhara była zdecydowana wrogość, z jaką odnosiła się do niej Mrs. Fitz. „Tu nie ma miejsca dla Anglików” - rzekła, gdy Scarlett przyjechała z Trim z Harriet i Billy'm. „Ta Montague była wprost nieznośna, ale przynajmniej zrobiła coś pożytecznego”.

„Cóż, może istotnie nie życzy sobie pani obecności Mrs. Kelly w tym domu, ale to mój dom!” - krzyknęła wtedy Scarlett, srodze zmęczona tym ciągłym powtarzaniem, co jej wypada, a czego nie wolno. Najpierw celowała w tym Karolina, teraz zastąpiła ją w tej roli Mrs. Fitz. Za to Harriet nigdy jej nie krytykowała. Przeciwnie. Tak była wdzięczna za dach nad głową i używane sukienki, że Scarlett czasami miała ochotę ją zrugać za tę potulność i „do rany mnie przyłóż”.

Scarlett najchętniej zrugałaby każdego, kto jej się pod rękę nawinał. Wstydziła się samej siebie, bowiem absolutnie nikt nie dawał jej powodów do wpadania w zły humor. Nigdy, jak długo wszyscy ją znali, nikt nie mógł rozsierdzić ją do tego stopnia. Zboże wybujało o połowę wyżej niż zwykle, na polach zieleniły się grube, soczysto - zielone krzaczki kartofli. Jeden słoneczny dzień podążał za drugim, a huczne targi w Trim odbywały się regularnie co tydzień i trwały do późnej nocy, jasnej i cieplej. Scarlett tańczyła, póki butów i pończoch nie zdarła, lecz muzyka i śmiech jeszcze długo dodawały jej sił. Gdy Harriet na widok splecionych ramionami młodych par, wędrujących brzegiem rzeki, wzdychała romantycznie, Scarlett odwracała się od niej, niecierpliwie wzruszając ramionami. Dzięki Bogu - myślała - że poczta przyniosła

zaproszenia. Już wkrótce zaczną się zjazdy na wsi. Zdało się, że elegancki świat Dublinu i pokusy dublińskich sklepów odebrały targowi w Trim resztkę uroku.

* * *

Z końcem maja wody Boyne opadły tak nisko, że było widać ogromne głazy przed wiekami rzucone na dno rzeki dla udogodnienia przeprawy na drugi brzeg. Rolnicy niecierpliwie spoglądali na obłoki gnane zachodnim wiatrem po niebie koloru ultramaryny. Pola potrzebowały deszczu. Krótkie deszczyki poprawiały powietrze, lecz ziemię zwilżały jedynie na tyle, by korzenie pszenicy i tymotki w poszukiwaniu wilgoci wyszły nad powierzchnię ziemi, co hamowało wzrost źdźbeł.

Pewnego dnia Kicia stwierdziła, że porośnięta chwastami droga do chaty Grainne została wydeptana i przypomina regularnie używaną ścieżkę.

- Ma więcej masła, niż może zjeść - rzekła Kicia, która właśnie smarowała masłem bułkę. - Ludzie kupują uroki na deszcz.

- Postanowiłaś zaprzyjaźnić się z Grainne?

- Tak. Billy ją polubił.

Scarlett uśmiechnęła się. Cokolwiek powiedział mały Kelly, dla Kici było prawem. Dobrze, że chłopak ma taki dobry charakter i cierpliwość świętego, bowiem w przeciwnym razie, jako przedmiot uwielbienia Kici, mógł się czuć niczym wystawiony na męki. Po ojcu odziedziczył Billy „dobrą rękę do koni”. Kształcił więc Kicię na prawdziwą amazonkę i dziewczynka umiała już o wiele więcej niż Scarlett. Ale musi dorosnąć, by przesiąść się na prawdziwego konia - postanowiła Scarlett i uparcie trzymała się tej zasady. Doszło w końcu do tego, że Kicia przynajmniej dwa razy dziennie wspominała, iż kucyki są dla małych dziewczynek, a ona jest już dużą dziewczynką. Dzięki Bogu, Billy zawyrokował: „za smarkata”. Kicia nigdy nie pogodziłaby się z podobnym wyrokiem, gdyby usłyszała go z ust Scarlett.

* * *

Scarlett wyjechała do Roscommon w gości na początku czerwca, pewna, że nie wydaje Kici na pastwę samotności. Chyba nawet nie zauważy mego wyjazdu... jakże to ponizające.

- Czyż nie wspaniała pogoda? - pytali wszyscy goście. Po obiedzie, w łagodnym świetle długiego zmierzchu grali w tenisa na trawniku.

Scarlett cieszyła się na to spotkanie z ludźmi, z których większość zdołała polubić podczas swego pobytu w Dublinie. Jedynie Charlesa Raglanda powitała bez

entuzjazmu.

- To ludzie z pana regimentu zaćwiczyli na śmierć tego biedaka. Nigdy nie zapomnę, nigdy nie przebaczę. Nawet jeśli teraz jest pan po cywilnemu, w niczym nie zmienia to faktu, że przede wszystkim pozostaje pan angielskim żołnierzem. A żołnierze to potwory.

Ku jej zaskoczeniu, Charles nie wykazał najmniejszych nawet objawów skruchy.

- Szczerze boleję nad tym, że widziała pani scenę tak okropną, Scarlett. Chłosta to ohydna robota. Ale byliśmy już świadkami scen o wiele bardziej ohydnych i musimy robić wszystko, by się nie powtórzyły.

Odmówił przykładów. Z ogólnej rozmowy towarzystwa Scarlett mogła się zorientować, że chodziło o zorganizowany bunt przeciwko właścicielom ziemskim - bunt rozprzestrzeniający się po całym kraju. Palono pola, podrzynano gardła krowom, w pobliżu Galway urządzono zasadzkę na rządcę wielkiego majątku, schwytano go i poćwiartowano. Wśród ludu dało się słyszeć pogłoski o wskrzeszeniu Białych Chłopców - band maruderów, które już przed laty dały się poznać w roli bicza Bożego na ziemian. To niemożliwe - twierdzili dobrze poinformowani. Te ostatnie incydenty nie pozostają w żadnym ze sobą związku, są sporadyczne, w większości należałoby je wpisać na rachunek pospolitych podżegaczy. Z byle powodu nie ma co chować głowy w piasek, gdy taki dzierzawca, jeden z drugim, zajrzy do jadącego drogą powozu.

Scarlett przebaczyła Charlesowi. Ale - zapowiedziała sobie - przebaczyć nie znaczy zapomnieć.

- Chętnie przyjmę wobec pani odpowiedzialność za tę chłostę, o ile tylko będzie to pani mnie przypominać! - zawołał zapalczywie, by zaraz zaczerwienić się po czubki uszu.

- Do licha! - wyjąkał. - Kiedy w koszarach myślę o pani, przychodzą mi do głowy mowy godne Lorda Byrona, gdy jednak stoję przed panią, wygaduję brednie. Chyba domyśla się pani, że jestem w niej beznadziejnie zakochany?

- Tak, wiem. I wszystko w porządku, Charles. Nie sądzę, żebym mogła polubić Lorda Byrona, ale pana lubię, i to bardzo.

- Naprawdę, aniele? Czy zatem mogę mieć nadzieję, że...

- Nie sądzę. Proszę nie robić tak zrozpaczonej miny. To nie dlatego odmawiam, że nie chcę z panem. Z nikim nie chcę.

Kanapki w pokoju Scarlett schły i kiedy noc minęła, cienkie kromki chleba zwijały brzeżki do góry.

* * *

- Jak dobrze znowu być w domu! Wiesz, Harriet, mam paskudny charakter. Zawsze, gdy wyjeżdżam, zaraz mnie korci, by wrócić do domu, nieważne, jak świetnie bym się bawiła. Ale założę się, że nim minie tydzień, zacznę myśleć o następnym wyjeździe... Powiedz, Harriet, co tu się działo, gdy mnie nie było. Czy Kicia zamęczyła twojego syna na śmierć?

- Na śmierć jeszcze nie. Ale wymyślili nową zabawę, którą nazwali „Topienie wikingów”... nie wiem, skąd pomysł z tą nazwą. Kicia twierdzi, że pani będzie wiedziała i wszystko wytłumaczy, bo ona pamiętała jedynie tyle, by ukuć nazwę. Przyczepili do wieży sznurkową drabinę. Billy wciąga na górę kamienie, później oboje zrzucają je przez okienka do rzeki.

Scarlett roześmiała się.

- Co za bezczelność! Od lat już mnie męczy, żeby pozwolić jej wspiąć się na wieżę. A teraz widzę, że zwała na Billy'ego czarną robotę i dopięła swego, chociaż jeszcze nie ma czterech lat. Nim dorośnie do sześciu, będzie tyranem. Przypuszczam, Mrs. Kelly, że alfabet będzie jej pani musiała wbijać do głowy przy pomocy kija.

- Prawdopodobnie nie. Właśnie zainteresowała się tym, co ma na ścianach w swoim pokoju.

Scarlett uśmiechnęła się na ukrytą w tym zdaniu zupełnie wyraźną sugestią, jakoby jej córeczka była geniuszem. O, tak. Była skłonna uwierzyć, że Kicia potrafi zrobić wszystko szybciej i lepiej niż jakiegokolwiek inne dziecko w historii rodzaju ludzkiego.

- Zechce mi pani opowiedzieć, jak było na przyjęciu? - zapytała Harriet głosem pełnym tęsknoty. Prawda życia nie przywiodła jej do rozstania z romantycznymi marzeniami.

- Było miło - odparła Scarlett. - Było nas... och, pewnie trzydzieścioro. Przynajmniej na jednym takim zjeździe nie było generała w stanie spoczynku, który zanudzałby wszystkich opowiadaniem, czego to on się nie nauczył, służąc pod księciem Wellingtonem. Mielśmy za to zawody w krykieta, ktoś tam przyjmował zakłady i wypłacał wygrane, całkiem jak na wyścigach konnych. Byłam w jednej drużynie z...

- Mrs. O'Hara! - przerwał jej czyjś krzyk. Scarlett zerwała się z krzesła. Wbiegła pokojówka. Dyszała, poczerwieniała na twarzy.

- Kuchnia... - wysapała. - Kicia... poparzona...

Scarlett wybiegła tak szybko, że omal jej nie przewróciła.

Jeszcze gdy biegła przez kolumnadę, w połowie drogi ze skrzydła mieszkalnego do

kuchni, mogła usłyszeć płacz Kici. Wtedy przyspieszyła. Kicia nigdy nie płakała.

- Nie wiedziała, że patelnia jest rozgrzana... właśnie posmarowałyśmy jej rączkę masłem... ledwo chwyciła, zaraz upuściła...

- Mamusiu... mamusiu...

Zewsząd dobiegały ją jakieś okrzyki, lecz Scarlett słyszała jedynie płacz Kici.

- Kochanie, mama jest przy tobie. Ani mrugniesz oczkiem, a wszystko będzie dobrze.

Porwała w ramiona rozplakane dziecko, rzuciła się ku drzwiom. Na dłoni Kici dostrzegła okropną, czerwoną pręgę. Ból był tak wielki, że Kicia szeroko rozcapierzyła paluszki.

Droga ze Dworu do miasteczka jakoś dziwnie się wydłużyła, była dwa razy dłuższa niż normalnie, mogłaby przysiąc. Biegła szybko, ile tylko miała sił w nogach, cały czas uważała, by nie potknąć się i nie przewrócić. Jeśli doktora Devlina nie ma w domu - powtarzała gorączkowo - gdy wróci, nie ma co liczyć na dach nad głową. Wyrzucę mu na ulicę wszystkie meble, co do sztuki, a z nimi jego rodzinę.

Szczęśliwie, doktor był na miejscu.

- Mrs. O'Hara, ależ nie ma powodu tak się gorączkować. Dzieciom zdarzają się różne rzeczy, taki to już ich los. Proszę mi pokazać oparzeliznę.

Gdy dotknął dłoni, Kicia krzyknęła. Scarlett miała wrażenie, jakby ktoś pchnął ją nożem prosto w serce.

- Brzydkie oparzenie, w rzeczy samej, brzydkie - pokiwał głową doktor Devlin. - Trzeba będzie posmarować rączkę czymś tłustym i poczekać, aż utworzą się pęcherze. Potem przekłujemy je i wypuścimy ropę.

- Ale ją teraz boli, doktorze. Może pan jakoś uśmierzyć ból?

Łzy z oczu Kici kropla za kroplą spadały Scarlett na rękę.

- Najlepsze byłoby masło. Na pewien czas powinno ochłodzić dłoń i ukoić ból.

- Na pewien czas?

Scarlett odwróciła się i wybiegła. Przypomniała sobie o likworze, którym poiła ją Grainne, gdy urodziła Kicię, przypomniała sobie, jak szybko i skutecznie koił ból.

Zaniesie dziecko do wiedźmy.

Tylko że to tak daleko... już zdążyła zapomnieć, że wieża i rzeka są tak daleko od miasteczka. Słaniała się na nogach ze zmęczenia... to nie powinno być aż tak daleko. Scarlett biegła, jakby piekła ją ścigały.

- Grainne! - krzyknęła, gdy dotarła do zarośli ostrokrzewu. - Grainne, pomóż! Na

miłość Boską, pomóż! Z cienia wyłoniła się *cailleach*.

- Usiądźmy tutaj - powiedziała spokojnie. - Już nie potrzeba biec.

Usiadła na ziemi, wyciągnęła rękę.

- Chodź do Grainne, Daro. Już ja tak zrobię, że cały ból zniknie, jak ręką odjął.

Scarlett posadziła jej Kicię na kolanach. Później sama przykucnęła obok, gotowa znowu porwać córkę w ramiona i znowu biec... wszędzie, gdzie tylko może znaleźć pomoc. Jak gdyby miała na myśli jakieś konkretne miejsce lub osobę.

- Chcę wziąć twoją rączkę w moją - odezwała się Grainne. - Nie dotknę jej, nie będzie bolało. Najlepiej sama połóż swą dłoń na mej dłoni. Teraz będę przemawiać do oparzenia, a ono mnie usłucha. I ból zniknie.

Głos Grainne emanował spokojem, jakąś pewnością siebie. Kicia utkwiała spojrzenie swych zielonych oczu w pooranej zmarszczkami twarzy starej kobiety. Po czym bez słowa położyła oparzoną dłoń na suchej, poplamionej sokami ziół dłoni Grainne.

- Masz duże, silne poparzenie, Daro. Będę musiała je zamówić. To zajmie nam trochę czasu, ale potem poczujesz się znacznie lepiej.

Lekko dmuchnęła na oparzone miejsce, najpierw raz, potem drugi i trzeci. Zbliżyła usta do dłoni Kici i zaczęła coś szeptać.

Trudno było zrozumieć jej słowa. Jej głos przywodził na myśl szmer opadających liści albo szemranie płytkiej wody, ocierającej się o kamyki, odbijającej promienie południowego słońca. Minęło parę minut - nie więcej niż trzy - a Kicia przestała płakać, Scarlett zaś opadła na ziemię, zupełnie rozluźniona. Kicia kiwnęła głową, a po chwili spuściła główkę na piersi Grainne, która ciągle coś szeptała głosem niskim, monotonnym, kojącym. Scarlett wsparła głowę na rękę, lecz po chwili głowa ześlizgnęła się na ziemię, ociężała od snu. A Grainne nie przestawała przemawiać do oparzenia, choć Kicia już spała, i Scarlett spała, a opuchlizna powoli, bardzo powoli ustępowała, a czerwona pręga bladła, aż w końcu dłoń Kici wyglądała zupełnie normalnie, jakby oparzenie i ból były tylko złym snem. Wtedy Grainne podniosła głowę, językiem zwilżyła spierzchnięte wargi. Położyła oparzoną rączkę Kici na zdrowej, następnie objęła ją ramionami i zaczęła kołysać, mrucząc coś niewyraźnie. Po dłuższej chwili przestała.

- Dara!

Kicia otwarła oczy.

- Muszę odejść. Powiesz mamie, że Grainne jest zmęczona i musi spać. Zabierz mamę do domu.

Cailleach postawiła dziewczynkę u stóp matki, po czym znikła w gęstwinie ostrokrzewów.

- Mama. Czas wracać do domu.

- Kicia? Jak to możliwe, że tak nagle zapadłam w sen? Och, mój aniołku, bardzo przepraszam. Co się stało? Jak się czujesz, dziecko?

- Kicia miała drzemkę. Rączka nie boli. Mogę wspiąć się na wieżę?

Scarlett spojrzała na dłoń. Zdrowa, bez śladu oparzelizny.

- Och, Kiciu Kociu, mamie należy się całus, proszę...

Jeszcze przez chwilę zatrzymała dziewczynkę przy sobie, po czym pozwoliła jej odejść. Był to jej prezent dla Kici.

Kicia przycisnęła usteczka do policzka Scarlett.

- Chyba mam większą ochotę na herbatkę z ciasteczkami niż na spacer do wieży - szepnęła. To był jej prezent dla matki. - Chcę do domu.

* * *

- **Ta O'Hara** była pod działaniem uroku, a wiedźma i jej podrzutek rozmawiali w języku dla ludzi niezrozumiałym.

Nell Garrity widziała wszystko na własne oczy i z tego strachu przeszła przez Boyne w pierwszym lepszym miejscu, zapominając, że przecież powinna udać się do brodu. Jak nic by utonęła, gdyby w rzece był taki poziom wody, jak zwykle. Chwała Bogu, wody opadły, bo susza.

- Czy nie rzuciła uroku na chmury, żeby nas omijały?

- Czy nie odjęła mleka krowie Aneczki Mcgionty, najlepszej mlecarki w całym Trim?

- Dan Houlihan z Navan miał kurzajkę na stopie, tak go to męczyło, że nie mógł zrobić kroku.

- Podrzutek jeździ na wilku, który za dnia przybiera skórę kucyka.

- Ci, co się na tym dobrze znają, mówią, że podrzutek widzi w ciemnościach, a kiedy skrada się w poszukiwaniu łupu, ślepie płoną mu jak latarnie.

- Mr. Reilly, a nie słyszał pan, jak to przyszło na świat? W wigilię Wszystkich Świętych się urodziło, gdy niebo rozrywały ognie komet, sprawiedliwie powiadam, ognie komet...

Te i inne opowieści krążyły po całej okolicy od chaty do chaty.

Mrs. Fitzpatrick była tą osobą, która pierwsza natknęła się na kocie szczątki położone na schodach przy frontowych drzwiach Dworu. Ocras został uduszony i

wypatroszony. Zebrała pozostałości w ręcznik, zaniosiła do swego pokoju, a kiedy była pewna, że nikt jej nie widzi, udała się nad Boyne i wrzuciła je do wody.

* * *

Rosaleen Fitzpatrick wpadła do stróżówki Colum bez pukania. Słyszając trzask otwieranych drzwi, Colum odwrócił się, spojrział na Rosaleen, lecz nie podniósł się z krzesła.

- No, oto i obrazek, jakiegom się spodziewała! - krzyknęła z progu. - Bo, oczywiście, nie możesz jak każdy porządny człowiek, pójść do *pubu* i tam się upić, tylko musisz ukrywać tę swoją słabość w czterech ścianach, a za wymówkę, nędzną wymówkę, masz tego oto człowieka.

W jej głosie dźwięczała pogarda, także pogarda była w jej ruchach, gdy czubkiem buta szturchnęła parę razy bezwładną nogę Stefana O'Hary, drzemiącego na krześle. Nierówno pochrapywał, a z półotwartych ust wydobywała się ostra woń whisky, którą przesycone było także jego ubranie.

- Daj mi święty spokój - powiedział słabowitym głosem Colum. - Razem z kuzynem oplakujemy śmierć irlandzkiej nadziei.

Rosaleen wzięła się pod boki.

- A co sądzisz, wielbny Columie O'Haro, o nadziejach, które wszyscy pokładamy w twojej kuzynce? Czy kiedy Scarlett pograży się w żałobie po stracie córeczki, ty utopisz swój smutek w następnej, nie wiem już, której, butelczynie whisky? Czy może będziesz towarzyszył w żałobie Scarlett? Albowiem powiadam ci, Columie O'Haro, ta dziewczynka znajduje się w śmiertelnym zagrożeniu.

Rosaleen rzuciła się na kolana przed krzesłem, na którym siedział.

- Na Jezusa i Najświętszą Panię, Colum, przecież musisz coś zrobić! Ja próbowałam już wszystkiego, ale ludzie mnie nie słuchają. Może jest już nawet za późno, żeby wysłuchali ciebie, ale musisz podjąć się tej próby. Nie możesz uciekać przed światem. Ludzie czują, że wzięłaś nogi za pas, podobnie Scarlett.

- Kasia Colum O'Hara... - wybełkotał Colum.

- Jej krew na twoją głowę! - powiedziała Rosaleen kryształowo dźwięcznym, chłodnym głosem.

Następnego dnia Colum wybrał się na obchód okolicy. Nie spiesząc się obszedł każdy dom, chatę i *pub* w Ballyhara i w Adamstown. Trwało to do wieczora. Pierwszą wizytę złożył jednak we Dworze - zastał Scarlett w biurze, studiującą rachunki. Gdy go ujrziała w progu, gniew jej minął, zaraz jednak znowu zrobiła srogą minę, Colum

bowiem domagał się, by wydała ucztę na cześć powrotu Stefana z Ameryki.

W końcu skapitulowała, jak się tego spodziewał, tak że obchodząc domy i chaty, i *puby* miał przynajmniej jakiś pretekst. Podczas rozmów usiłował znaleźć jakieś wskazówki na to, że niepokój Rosaleen Fitzpatrick był uzasadniony, lecz ku swej ogromnej uldze, nie usłyszał niczego, co kazałoby zachować czujność.

* * *

Po sumie wszyscy mieszkańcy miasteczka, cała rodzina O'Harów, wszyscy kuzyni i powinowaci z Powiatu przybyli do Dworu, by powitać Stefana i dowiedzieć się, co w Ameryce. Na trawniku przed Dworem ustawiono na kozłach długie stoły, a na nich dymiące talerze z peklowanym mięsiwem, koszyki pełne gorących, gotowanych kartofli i zwieńczone białymi grzywami piany dzbany z porterelem. Drzwi do salonu zostały otwarte. Każdy mógł wejść i obejrzeć malowidła irlandzkich bohaterów - każdy, kto miał na to ochotę.

Przyjęcie było prawie udane.

Później Scarlett pocieszała się myślą, że przecież zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Najbardziej cieszyła się z możliwości dłuższego obcowania z Kasią.

- Tak za tobą tęskniłam - powiedziała do kuzynki. - Od kiedy wyjechałaś z Adamstown, wszystko się zmieniło. A niechby nawet w brodzie było wody na dziesięć stóp i tak za żadne skarby nie zawitam do domu Gochny.

- A gdyby nawet wszystko pozostało po starym, czy byłby powód do zadreczania się do utraty tchu? - odparła Kasia - matka zdrowego chłopca i prawdopodobnie równie krzepkiego jego braciszka, którego spodziewała się za sześć miesięcy.

Scarlett ze smutkiem uświadomiła sobie, że Kasia wcale za nią nie tęskniła.

Stefan w Irlandii nie był bardziej rozmowny niż w Ameryce, ale rodzina zdała się nie przejmować jego milczeniem.

- Mrukiem był i mrukiem pozostanie - kwitowano jego zachowanie.

Scarlett, jak mogła, starała się go unikać. Dla niej pozostał „mrukliwym Stefanem”. Z domu przywiózł jednak miłą wiadomość: dziadek Robillard zmarł, a cały swój majątek zostawił Paulinie i Eulalii. Siostry zamieszkały więc w różowym domku, codziennie odbywały spacerki dla zdrowia i cieszyły się opinią osób zamożniejszych niż same Telfair'ówne.

* * *

Zebrani na przyjęciu usłyszeli nadciągający z dala huk gromu. Wszystkie rozmowy

się urwały, wszyscy przestali jeść, umilkły śmiechy, każdy zadarł głowę do góry, spoglądając z nadzieją na drwiąco lazuruwe niebo. Ojciec Flynn odprawiał codziennie wotywę na intencję deszczu, ludzie palili w kaplicy świece i do księżyich modłów dołączali własne.

Na Świętego Jana chmury, niesione zachodnim wiatrem, miały rozbić się po niebie i zniknąć bez śladu, zaczęły się zbierać nad zachodnim horyzontem. Zanim nadeszło popołudnie, nad zachodnim horyzontem zawisła ciężka, czarna zasłona. Ludzie, którzy właśnie znosili drwa na świętojańskie ognie, podnieśli głowy. Urywane podmuchy wiatru niosły ze sobą wilgotny zapach deszczu. Jeśli deszcz spadnie i ocali zbiory, prawdziwe będzie to święto.

Burza rozpętała się, gdy zapadł pierwszy zmierzch. Nadciągała poprzedzona kanonadą błyskawic, od których niebo zrobiło się jaśniejsze niż w dzień. Ludzie rzucili się na ziemię, osłaniając głowy czym kto miał. Z ciężkich, ołowianych chmur posypał się grad, lodowe kulki dochodziły wielkości orzechów włoskich. W ciszy między dudnieniem gromu i trzaskaniem błyskawic dały się słyszeć okrzyki bólu i trwogi.

Scarlett wyszła ze Dworu w nadziei na muzykę i tańce. Zaledwie jednak przestąpiła próg, w ciągu paru sekund przemokła do suchej nitki. Natychmiast rzuciła się z powrotem do domu, szybko wbiegła po schodach, rozejrzała się po korytarzu, zastanawiając się, gdzie najpierw szukać Kici. Znalazła. Dziewczynka stała przy oknie, spoglądając na burzę rozszerzonymi strachem oczami. Uszy zakryła dłońmi. Harriet Kelly kuliła się w kącie przyciskając do siebie Billy'ego. Scarlett uklękła obok Kici - obie spoglądały przez to samo okno na rozpętane żywioły.

Trwało to pół godziny, a potem przejaśniło się, czyste niebo zabłysło gwiazdami, nad którymi dominował księżyc w trzeciej kwadrze. Przygotowane na świętojańskie ognie drwa wiatr porozrzucił, deszcz przemoczył, tak że tej nocy ogniska nie mogły zapłonąć. Trawa na pastwiskach, pszenica na polach wyłożyła się, przygnieciona dywanem szarych lodowych kulek. Lamenty wyrwały się z gardeł mieszkańców Ballyhara, a ich przejmujące dźwięki przeniknęły przez kamienne mury i okienne szyby do pokoju Kici. Scarlett zadrżała i silniej objęła swe ciemne dziecko. Kicia cichutko zakwiliła. Jej dłonie nie były jeszcze dość wielkie, aby zdusić ten dźwięk.

* * *

- Straciliśmy tegoroczne plony - powiedziała Scarlett. Stała na stole na szerokiej głównej ulicy miasteczka, spoglądając na zgromadzonych wokół mieszkańców. - Ale na tym nie koniec. Wiele da się ocalić. Trawa wyschnie na siano, ze zbóż mieć będziemy

słomę, chociaż nie ziarno, które dałoby się przemleć na mąkę. Jadę teraz do Trim, Navan i Drogheda skupować zapasy na zimę. Nie będzie głodu w Ballyhara, obiecuję wam to jakem O'Hara.

Zaczęli krzyczeć na wiwat.

Ale wieczorem, kiedy zasiedli w domach przy kominkach, nie mówili o niczym innym niż tylko o piekielnym podrzutku i o wieży, gdzie podrzutek pobudził ducha zmarłego lorda do zemsty.

Wieczorem, zaraz po burzy, niebo się roz pogodziło, a nazajutrz z samego rana powróciły upały i trwały bez przerwy. Cała pierwsza strona *Irish Times* poświęcona była wyłącznie doniesieniom o pogodzie i prognozom, jak też rozwinięciu sytuacji. Stronę drugą i trzecią zajmowały relacje o zamachach na właścicieli ziemskich oraz rządców. Niepokoje z dnia na dzień przybierały na sile.

Scarlett codziennie przeglądała gazetę, by po chwili odrzucić ją na podłogę. Ostatecznie, dzięki Bogu, ona nie musi się bać swych dzierżawców. Przecież wiedzą, jak o nich dba.

Co jednak nie było wcale takie proste. Niepokojąco często zdarzało się, że gdy zajeżdżała do wsi lub miasta, gdzie rzekomo miały się znajdować góry worków mąki, stopy beczek z mięsivem, okazywało się, że bajeczne zapasy istnieją jedynie w ludowej wyobraźni, a jeśli nawet naprawdę istniały, już dawno temu zostały wykupione. Początkowo bardzo się targowała, bo ceny okropnie poszły w górę, potem jednak, kiedy z zapasami zrobiło się bardzo skąpo, płaciła bez słowa tyle, ile zażądano, szczęśliwa, że w ogóle znalazła cokolwiek, nawet pośledniego gatunku.

Jak w Georgii po Wojnie - myślała. A nawet jeszcze gorzej. Na Wojnie walczyliśmy z Jankesami, którzy kradli i puszczali z dymem wszystko, co się dało. Teraz walczę o przeżycie ludzi, którzy są ode mnie zależni, a więcej ich, niż kiedykolwiek miałam w amerykańskiej Tarze. W dodatku nie wiem, kto jest wrogiem. Jakoś trudno mi uwierzyć, że Bóg przeklął Irlandię.

A jednak za sto dolarów kupiła świece, które ludzie zapalali, gdy się schodzili na suplikacje do kaplicy. I ostrożnie objeżdżała stopy kamieni, które jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać na poboczach dróg lub zgoła na polach. Nie wiedziała, jakich to dawnych bóstw gniew miały odwrócić, lecz jeśli za ich przyczyną spadnie deszcz, gotowa była poświęcić im wszystkie kamienie w Powiecie. Gdyby okazało się to niezbędne, chętnie własnymi rękami usypałaby wielki kopiec.

Czuła się zupełnie bezradna - uczucie tyleż nowe, co przerażające. Łudziła się, że zrozumiała, na czym polega praca na roli tylko dlatego, że wyrosła na plantacji. Tymczasem tłuste lata w Ballyhara nie wzbogaciły jej o żadne nowe doświadczenie, jak zwykle, harowała ciężko i tego samego wymagała od innych. Cóż jednak począć teraz, gdy nie dość było samej gotowości do pracy? Jeździła w gości, bywała na przyjęciach, na które zgodziła się przyjąć zaproszenie jeszcze nim głód zajrzał do oczu. Ale teraz nie rozrywki się spodziewała, lecz informacji - chciała zasięgnąć języka u innych ziemian.

* * *

Scarlett przybyła do Opaćstwa Kilbawney z jednodniowym opóźnieniem.

- Strasznie przepraszam - powiedziała do Lady Gifford, która zaprosiła ją w gości. - Gdybym była osobą dobrze wychowaną, natychmiast wysłałabym telegram, że się spóźnię. Prawda jednak jest taka, że chodziłam od Annasza do Kajfasza w poszukiwaniu dostawców mąki i mięsa i tak skołowaciałam, że zupełnie zapomniałam o kalendarzu.

Przyjazd Scarlett, choć spóźniony, tak ucieszył gospodynię, że zapomniała się obrazić. Lady Gifford wreszcie mogła odetchnąć: wszyscy goście przyjęli zaproszenia tylko dlatego, że wystawiła Scarlett na przynętę. W przeciwnym razie na pewno wybraliby się gdzie indziej.

- Długo czekałem na okazję, gdy będę mógł uścisnąć rączkę szanownej pani, młoda kobieto - mężczyzna w krótkich, zapiętych nad kolanami, bufiastych spodenkach energicznie potrząsnął dłonią Scarlett. Markiz Trevanne był pełnym wigoru staruszką z rozwichrzoną na wszystkie strony białą brodą i zatrzważająco purpurowym haczykowatym nosem.

- Dziękuję, sir - rzekła Scarlett, w duchu zastanawiając się, dlaczego?

Lecz markiz zaraz jej to wyjaśnił, wyjaśnił jej to z wszystkimi szczegółami i bardzo głośno, mówił bowiem, jak to głusi, nieomal krzyżąc. Jego usta się nie zamykały, mówił przez cały czas, nieważne, czy ktoś go słuchał, czy nie. A że głos miał donośny, jego pokrzykiwania docierały do trawnika, gdzie grano w krykieta.

Zasługuje na wyrazy uznania - krzyżał - ponieważ przywróciła do życia Ballyhara. A mówił przecie Arturowi, by nie był takim głupcem i nie kupował za niebotyczne sumy tych statków z rąk złodziei, którzy zdołali mu wmówić, że wręgi są w dobrym stanie. Ale Artur nie słuchał, uparł się, żeby się wpędzić w ruinę. No i zapłacił. Osiemdziesiąt tysięcy funtów zapłacił, ponad połowę spadku. Za tę sumę można by wykupić ziemię w całym Powiecie Meath. Bo był głupcem. Zawsze był skończonym głupcem, ten człowiek nie miał za grosz oleju w głowie, poznał się na nim, gdy obaj byli jeszcze szczeniakami. No tak, psiakość, no tak, co zrobić, zawsze kochał Artura jak brata, choć zawsze wiedział, że dureń z niego. Nie znajdziesz wierniejszego przyjaciela nad Artura. Ryczał jak baba... tak, droga pani... ryczał jak baba kiedy usłyszał, że Artur się powiesił. No, bo dureń z niego, to wiedział... ale żeby aż taki... Artur kochał tę ziemię, oddał jej serce, a w końcu życie. To zbrodnia, że Konstancja porzuciła Ballyhara i dopuściła, by tak zniszczała. Powinna zachować wszystko ze względu na pamięć o Arturze, jako pomnik.

Markiz był wdzięczny Scarlett, bo uczyniła to, na co wdowie po Arturze zabrakło przyzwoitości, żeby uczynić.

- Jeszcze raz chciałbym uściskać pani dłoń, Mrs. O'Hara.

Scarlett podała mu rękę zastanawiając się, co też on wygaduje. Młody pan przecież nie popełnił samobójstwa, to ktoś z miasteczka zaciągnął go do wieży i powiesił. Tak twierdził Colum. Markiz tkwi w błędzie. Starszym ludziom często miesza się pamięć... Albo to Colum się myli. Był wówczas dzieckiem, mógł wiedzieć jedynie to, ile usłyszał od starszych, nawet nie mieszkał w Ballyhara, jego rodzina wywodzi się z Adamstown. Markiz też nie był świadkiem tych wydarzeń, wiedział jedynie tyle, co ludzie mówili. Nie, to wszystko jest zbyt skomplikowane.

- Scarlett, witaj!

To Jan Morland. Scarlett miło się uśmiechnęła do markiza i zdołała uwolnić dłoń z jego uścisku. Ujęła Morlanda pod ramię.

- Bart, cieszę się, że pana widzę. Szukałam pana na każdym przyjęciu w karnawale, ale nigdy go nie widziałam.

- W tym roku spasowałem. Dwie oźrebione klacze za każdym razem dystansowały najlepsze konie wicekróla. Co tam u ciebie?

Wieki już chyba minęły od dnia, kiedy widziała go po raz ostatni. Nie bardzo wiedziała, od czego by tu zacząć.

- Wiem, co pana interesuje, Bart - powiedziała. - Spośród koni, które pomógł mi pan kupić, jeden już przewyższa w umiejętnościach Półksiężycy. To Kometa. Stało się to zupełnie niespodziewanie, tak jakby pewnego dnia rozejrzał się i uznał, że skakanie przez przeszkody to nie praca, tylko zabawa.

Powędrowali do cichego zakątka, gdzie mogli rozmawiać nie skrępowani obecnością innych. W stosownym czasie Scarlett dowiedziała się, że Bart nie ma żadnych nowin od Retta. Dowiedziała się nawet więcej niżby sobie tego życzyła: jak postępować z klaczą, której płód niebezpiecznie przekręcił się w macicy. Ale nie zwracała na to uwagi. Bart należał do grona ludzi, których szczególnie lubiła i na zawsze miał tam pozostać.

Goście Lady Gifford nie rozmawiali o niczym innym, tylko o pogodzie. Irlandia nigdy w swojej historii nie ucierpiała wskutek suszy, a jak inaczej nazwać te suche dni bez kropli deszczu? Nigdzie, w najodleglejszym nawet zakątku wyspy ani nie pokropiło. O, na pewno pojawią się niemałe kłopoty, gdy wrzesień nadejdzie i trzeba będzie zbierać opłaty dzierżawne za pierwsze półrocze.

Scarlett dotychczas nie zastanawiała się nad tym, toteż gdy uświadomiła sobie wagę problemu, serce zaciążyło jej niczym bryła ołowiu. Oczywiście, farmerzy nie będą mieli z czego zapłacić. A jeśli nie zapłacą farmerzy, swoich czynszów nie zapłacą też inni mieszkańcy miasteczka. Bo dochody sklepów, *pubów*, a nawet doktora zależały od tego, czy i jak wielkie będą zyski rolników. W ostatecznym rozrachunku do kasy Dworu nie wpłynie nawet pół pensa.

Mając podobne myśli trudno było zachować pozory wesołości, ale musiała. Och, jakże będzie szczęśliwa, kiedy ten tydzień wreszcie się skończy.

Ostatnia noc gościny u Lady Gifford przypadała na czternasty lipca - rocznicę zburzenia Bastylii. Gościom zasugerowano, by na ten szczególny wieczór przygotowali jakieś zabawne ubrania - Scarlett wzięła ze sobą najlepszą, najbardziej jaskrawą ze spódnic, które kupiła w Galway, pod nią cztery halki (każda innego koloru). Sama spódnica była czerwona. Założenie grubych pończoch w paski w upał tak straszny, jak ten, nie było zapewne pomysłem najszcześniejszym, lecz ubiór ten wywołał taką sensację, że efekt zdał się wyrównywać drobne niewygody, nawet jeśli pończochy fałdowały się na mokrych od potu nogach.

- W najśmielszych snach nie przyszłoby mi do głowy, że wieśniacy są tak uroczo ubrani pod tą skorupą brudu, która zawsze ich okrywa! - oznajmiła Lady Gifford. - Kupię sobie coś podobnego i wezmę w przyszłym roku do Londynu. Na pewno wszyscy błagać mnie będą, żebym zdradziła nazwisko mej krawcowej.

Głupia jędrza - sarknęła w myśli Scarlett. Dzięki Bogu, to już ostatnia noc.

Po obiedzie zaczęły się tańce, na które przybył Charles Ragland. Przybył prosto z przyjęcia, które załamało się tego samego dnia nad ranem.

- Ale i tak bym stamtąd uciekł - powiedział Scarlett. - Gdy usłyszałem, że jest pani tak blisko, nie mogłem nie przyjechać.

- Tak blisko? Przecież zrobił pan pięćdziesiąt mil.

- I sto mil nie byłoby za dużo.

Scarlett pozwoliła mu złożyć na ustach pocałunek w cieniu wielkiego dębu. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy czuła pocałunek mężczyzny, ileż to czasu minęło, gdy czuła się bezpieczna w męskich objęciach. Otoczona ramionami Charlesa Raglanda rozplynęła się w cudownym uczuciu błogości.

- Ukochana - szepnął chrapliwym głosem Charles.

- Szszsz... Całuj mnie aż do zawrotów głowy, Charles.

No i dostała zawrotów głowy. Musiała mocno chwycić się jego muskularnych

ramion, by nie upaść. Ale kiedy powiedział, że przyjdzie do jej sypialni, odwróciła się od niego i natychmiast oprzytomniała. Bo pocałunki to jedno, lecz dzielenie wspólnego łóżka, to zupełnie co innego.

Spaliła prześlągalny liścik, który wsunął jej pod drzwi i wyjechała tak wcześnie, że nie musiała z nikim się żegnać.

* * *

Ledwo wpadła do domu, natychmiast zaczęła szukać Kici. Nie była zaskoczona, gdy dowiedziała się, że oboje z Billy'm poszli do wieży. W całym majątku było to jedyne miejsce, gdzie można było znaleźć trochę chłodu. Za to przyjemnym zaskoczeniem była dla niej wiadomość, że Colum oraz Mrs. Fitzpatrick oczekują na tyłach Dworu z herbatką na trawniku w cieniu drzew.

Bardzo była uradowana. Colum już od tak dawna trzymał się na uboczu, tak stronił od Dworu, że odzyskanie tego prawie - brata sprawiło jej niemało radości.

- Mam ci do opowiedzenia coś bardzo osobliwego - rzekła od razu na wstępie. - Kiedy to usłyszałam, omal nie oszalałam z ciekawości. Co o tym sądzisz, Colum? Czy to możliwe, żeby młody pan na Ballyhara sam powiesił się w wieży?

Po czym opowiedziała, co usłyszała od starego markiza, parszkając śmiechem, dowcipnie naśladowując jego sposób wysławiania się.

Colum siedział nad swoją filiżanką herbaty, sztywny, starannie kontrolując każdy swój gest, każde swoje słowo.

- Nie wiem, Scarlett - odparł, gdy skończyła, a jego głos znowu brzmiał lekko i wesoło, jak za najlepszych czasów ich przyjaźni. - W Irlandii wszystko jest możliwe, w przeciwnym razie, jak na całym świecie, mielibyśmy na wyspie węże.

Uśmiechnął się i wstał.

- Muszę już iść. Oderwałem się od codziennych obowiązków tylko po to, by nacieszyć oczy twym wdziękiem. A poza wszystkim, by napęłnić żołądek ciasteczkami, które podają u ciebie do herbaty... ta kobieta może ci niejedno powiedzieć o moim łakomstwie.

Odszedł tak szybko i niespodziewanie, że Scarlett nawet nie miała czasu, by zawiązać mu w serwetkę kilka ciasteczek.

- Zaraz wracam! - zawołała Mrs. Fitz i pobiegła za Columem.

- Hm... - westchnęła Scarlett, a widząc, że na skraju brunatnego, spalonego przez słońce trawnika stoi Harriet Kelly, pomachała ręką i krzyknęła:

- Proszę na herbatę!

Bo dużo herbaty zostało w czajniczku.

* * *

Rosaleen Fitzpatrick musiała zakasać spódnicę i biec co sił w nogach, by dopaść Columa w połowie długiego podjazdu. Kiedy dobiegła do niego, zwolniła kroku i szła obok, dopóki nie złapała oddechu.

- I co teraz? - spytała. - Wracamy do butelczyny, prawda?

Colum przystanął, zwrócił ku niej twarz.

- Nieprawda. Nic nie jest prawdą, co pani mówi, ani źdźbła prawdy nie znajdziesz w tym, co mówiła tamta. Dlatego boleje moje serce. Bo chyba słyszała pani, co wygadywała? Same angielskie łgarstwa! Na domiar złego daje im wiarę. Podobnie jak Devoy i jemu podobni uwierzyli w piękne słówka tego Parnella. Nie mogłem dłużej wysiedzieć przy stole, Rosaleen, w obawie, że porozbijam te jej filizaneczki z angielską herbatą i zacznę wyć w proteście, niczym pies przykuty do łańcucha.

Rosaleen spojrzała na umęczone oczy Columa, na jej twarzy pojawił się wyraz jakiejś surowości. Zbyt długo współczuciem chciała koić jego zranioną duszę - nie pomogło. Przekonanie, że idee, którym służył, zbankrutowały, pewność, że wszędzie zakrada się zdrada były dla Columa źródłem okropnej udręki. Po ponad dwudziestu latach pracy na rzecz wolności Irlandii, po spełnieniu nałożonej na siebie misji, teraz, gdy podziemia anglikańskiego kościoła pełne były broni - teraz Colum usłyszał, że to wszystko jest pozbawione wszelkiego sensu. Bo polityczne działania Parnella mają większe znaczenie. Colum zawsze był gotów umrzeć za ojczyznę. Nie mógł żyć z przekonaniem, że niczym nie może się jej przysłużyć.

Rosaleen Fitzpatrick podzielała jego nieufność wobec Parnella, w nią także boleśnie uderzyły ostatnie decyzje zwierzchności Bractwa, dobrze jednak opanowała sztukę odsuwania własnych uczuć na plan dalszy i wypełniania rozkazów. Jej zaangażowanie w walkę było równie wielkie jak jego, a może nawet większe, bowiem bardziej niż sprawiedliwości łaknęła zemsty.

A mimo to - teraz, w tej szczególnej chwili - na bok odsunęła nie uczucia, lecz posłuszeństwo. Cierpienia Columa więcej dla niej znaczyły niż męka Irlandii, albowiem kochała go miłością, która wzbroniona jest kobiecie wobec kapłana i nie mogła dopuścić, by zniszczyło go zwątpienia i gniew.

- Cóż z ciebie za Irlandczyk, Columie O'Haro? - spytała surowym tonem. - Dopuszczysz, żeby Devoy i spółka zagarnęli dla siebie władzę, rządzą źle i samowolnie? Chyba słyszysz, co się dzieje. Ludzie powstają i walczą na własną rękę, płacąc straszliwą

cenę za brak przywódcy, który skoordynowałby ich wysiłki. Ludzie nie chcą Parnella, nienawidzą go równie jak ty. Zebrałeś broń, która uzbroi całą armię. Dlaczego więc teraz nie pójdziesz w lud, nie rozdasz broni i nie stworzysz prawdziwego wojska, miast siedzieć i zapijać się aż do utraty wzroku niczym lada jaki pijaczyna w byle jakiej oberży?

Colum spojrział na nią, potem skierował wzrok gdzieś obok, lecz w jego oczach zalśniły iskierki nadziei.

Rosaleen dokładnie oglądała czubki swoich trzewików. Nie mogła dopuścić, by zauważył, jakim to uczuciem pałają jej oczy.

* * *

- Nie pojmuję, jak pani znosi tę spiekotę - powiedziała Harriet Kelly. Choć parasolka chroniła ją od słońca, jej delikatna twarzyczka lśniła kropelkami potu.

- Lubię, jak jest ciepło - odparła Scarlett. - Czuję się jak u siebie w kraju. Czy już mówiłam pani kiedyś, że jestem z amerykańskiego Południa?

Nie, okazało się, nie mówiła.

- Lato zawsze było moją ulubioną porą roku - ciągnęła. - Upał i bezdeszczowe dni to właśnie to, czego zawsze najbardziej pragnęłam. Było wtedy cudownie. Zieleniły się krzaki bawełny, pękały owoce, zagon po zagonie, jak okiem sięgnąć. Murzyni śpiewali przy pracy, śpiew roznosił się daleko, rozlegał się w promieniu paru mil od pól, zdałoby się, wisiał w powietrzu.

Przysłuchiwała się własnym słowom nie bez przerażenia. Co ona właściwie mówi: „dom”? Tu ma swój dom, w Irlandii.

Oczy Harriet zaszyły mgielką.

- Jakie to romantyczne - westchnęła.

Scarlett spojrzała na nią z niesmakiem. Skłonność do marzycielstwa ściągnęła na głowę Harriet Kelly więcej kłopotów, niż mogła im podołać, a mimo to nie zmądrzała.

Ale ja zmądrzałam. Nie musiałam się męczyć, żeby odrzucić cały balast Południa. General Sherman zrobił to za mnie. A poza tym jestem za stara, żeby udawać, że nic się nie stało.

Sama nie wiem, co się ze mną dzieje, nic tylko sześć albo siedem punktów. Może to wina upału, może ze zmęczenia straciłam siłę uderzenia.

- Muszę przejrzeć księgi - powiedziała, przerywając grę w krykieta. Rzut oka na kolumny cyfr zawsze ją uspokajał, a czuła się teraz tak, jakby lada chwila miała wyskoczyć ze skóry.

Okazało się, że na widok rachunków jej przygnębienie jeszcze się pogłębiło. Jedyne wpływy pochodziły ze sprzedaży domków na peryferiach Atlanty. Cóż, teraz przynajmniej pieniądze nie przepadły w kieszeniach handlarzy bronią, u których zaopatrywał się Colum, a za jego pośrednictwem ów rewolucyjny ruch, do którego należał. Te sumy powinny cokolwiek poprawiać bilans - a nawet więcej niż cokolwiek. A jednak i to ciągle było za mało. Utrzymanie domu i miasteczka pożerało niewiarygodnie dużo. No i jeszcze wydatki w Dublinie. Nie mogła wprost uwierzyć, że była aż tak rozrzutna, a jednak równe rzędy cyfr dowodziły tego ponad wszelką wątpliwość.

Gdyby tak Colleton zechciał nieco zacisnąć pasa i zaoszczędzić co nieco. Domki nadal sprzedawałyby się jak ciepłe bułeczki, za to zyski byłyby znacznie większe. O, nie, nie poleci mu kupować tańszego drewna - cały sens przedsięwzięcia sprowadzał się przecież do tego, by utrzymać Ashleya na powierzchni. O, nie! Istniały jeszcze inne metody obcinania wydatków. Fundamenty... kominy... w końcu cegły nie muszą być najwyższej jakości.

Scarlett niecierpliwie potrząsnęła głową. Joe Colleton nigdy tego nie uczyni tak po prostu, z własnej woli. On i Ashley są jak dwie krople wody - z gruntu uczciwi, idealisci, dla których interesy nigdy nie były najważniejsze. Przypomniała sobie, jak wtedy, na parceli, zatopili się w rozmowie o czymś. Jeśli w ogóle istnieje pokrewieństwo dusz, to ci dwaj są duchowymi braćmi. Nie byłaby zaskoczona, gdyby dowiedziała się, że nagle przerwali dyskusję o cenach drewna, by zająć się jakąś bzdurną książką, którą obaj ostatnio przeczytali.

Scarlett zatopiła się we własnych myślach, jej oczy przybrały wyraz zadumania.

Powinna wysłać do Atlanty Harriet Kelly.

Będzie z niej znakomita żona dla Ashleya. Tych dwoje dobrało się jak dwa ziarenka w korcu maku: oboje żyją książkami, bezradni wobec prawdziwego życia. Harriet w wielu sprawach była naiwna jak pierwsza lepsza pensjonarka, ale z pewnością dotrzymywała zobowiązań - prawie dziesięć lat udało się jej wytrzymać z tym okropnym mężem. Ponadto nie sposób odmówić jej swego rodzaju sprytu. Niemniej trzeba było odwagi, żeby w podartych butach pójść do dowódcy Gwardii i prosić o darowanie życia Danny'emu Kelly. Ashleyowi potrzeba tego rodzaju oparcia. Potrzeba mu kogoś, kto by się o niego troszczył. Wprawdzie India i ciotka Pitty nadskakują mu jak mogą, lecz niewiele dobrego mu z tego przyjdzie. A o tym, jaki to wpływ wywrze na Beau, lepiej nie myśleć. Billy Kelly nauczy go tego i owego. Scarlett uśmiechnęła się złośliwie.

Wysyłając do Atlanty synka Harriet powinna zaopatrzyć go w szkatułkę z solami trzeźwiącymi dla ciotki Pitty.

Zaraz jednak uśmiech jej zgasł. Wszystko na nic. Cały plan do niczego. Co by powiedziała Kicia na odjazd Billy'ego? Gdy zniknął Ocras, przez tydzień nie odezwała się ani słowem, a przecież kotek nie był dla niej i w dziesiątej części tak ważny, jak Billy.

No i Harriet nie wytrzyma upałów Południa.

Nie, to wszystko nie ma sensu. Żadnego.

Scarlett znowu pochyliła głowę nad rachunkami.

- Musimy ograniczyć wydatki - mruknęła gniewnie Scarlett, potrząsając księgą z rachunkami. - Nie znam powodów, dla których miałabym utrzymywać w domu armię darmozjadów, teraz, gdy mąka na chleb kosztuje bająnskie sumy. Musimy odprawić przynajmniej połowę służby. Zresztą jaki my mamy pożytek z tych ludzi? I proszę mi tylko nie powtarzać w kółko znanej śpiewki o konieczności trzymania w domu gromady ludzi, którzy, gdy trzeba, zajmą się ubijaniem masła, ponieważ jeśli już można mówić, że czegoś mamy w nadmiarze, to właśnie masła jest za dużo. Nie sprzeda go pani nawet po pół pensa za funt.

Mrs. Fitzpatrick poczekała, aż Scarlett skończy tyradę. Po czym spokojnie wyjęła jej z dłoni księgę i odłożyła na stół.

- Wyrzuci ich pani na ulicę? - spytała, spoglądając jej prosto w oczy. - Jeśli tak, to znajdą się w liczonym towarzystwie, bo nie ma dnia, żeby w którymś z irlandzkich dworów nie odprawiano służby. Nie ma dnia, żeby u drzwi kuchennych nie pojawiła się gromada żebraków proszących o łyżkę zupy. Chce pani powiększać ten zastęp nieboraków?

Scarlett niecierpliwym krokiem podeszła do okna.

- Nie, oczywiście, że nie. Niech pani nie będzie śmieszna, ale na pewno istnieje jakaś możliwość ograniczenia wydatków.

- Więcej kosztuje wykarmienie pani koni niż służby - chłodno zauważyła Mrs. Fitzpatrick.

Scarlett odwróciła się twarzą do gospodyni.

- Dziękuję pani - zawołała, z trudem hamując gniew. - To wszystko. Proszę zostawić mnie samą.

Porwała ze stołu książkę i podeszła do biurka. Była jednak zbyt zdenerwowana, by skupić się na rachunkach. Jak Mrs. Fitz mogła być aż tak podła? Przecież na pewno wie, że polowanie cieszy mnie bardziej niż cokolwiek innego. Jeśli w ogóle coś podtrzymuje mnie na duchu i pozwala przetrwać te okropne upały, jest to niezbita pewność, że po lecie przyjdzie jesień i zaczną się łowy.

Scarlett zamknęła oczy, usiłowała wyobrazić sobie chłodny, rześki poranek, lekko oszronione pola, nad którymi snuły się poranne mgły, dźwięk rogu, oznajmującego początek gonitwy. Choć zacisnęła szczęki, poczuła, jak mimowolnie drgnął mięsień policzka. O, tak. Marzenia nie były jej najmocniejszą stroną. O wiele lepsza była w działaniu.

Otworzyła oczy i wróciła do rachunków. Uparcie liczyła. Nie mając ziarna, które mogłaby sprzedać, bez wpływów z dzierżaw, trzeba będzie pogodzić się z deficytem w tym roku. Świadomość tego faktu bardzo ją dręczyła - zawsze dotychczas udawało się jej osiągać zyski. Strata to doświadczenie zupełnie nowe. I bardzo niepożądane.

Ale Scarlett wyrosła w świecie, gdzie nikt się nie dziwił, jeśli czasami zbiory były gorsze, albo gdy burza dokonała spustoszeń. Taka to kolej rzeczy. Wiedziała, że następny rok będzie inny - ponad wszelką wątpliwość lepszy. Nie zamierzała załamać rąk z powodu suszy i gradu. Uprawa roli nie dawała się porównać z tartakiem czy sklepem, które - jeśli nie przyniosły zysku - to tylko i wyłącznie z jej winy.

Tegoroczne straty zaledwie nadgryzą kawałeczek jej fortuny. Na rozrzutność może sobie pozwolić choćby i do końca życia, zbiory w Ballyhara mogą być co roku równie złe, a mimo to na brak pieniędzy nigdy nie będzie narzekać.

Westchnęła. Przez tyle lat harowała, ciułała grosz do grosza, oszczędzała, myśląc sobie, że jeśli tylko będzie miała dość pieniędzy, będzie szczęśliwa. Teraz, gdy dzięki Rettowi ma dosyć, czuła się tak, jakby to właściwie było bez znaczenia. Tyle że już nie musi urabiać się po łokcie, planować i zabiegać.

O, nie, aż taka szalona to ona nie jest, by pragnąć ubóstwa, by znowu rozpaczliwie ciułać grosik do grosza, potrzebowała jednak czegoś w rodzaju wyzwania, które poruszyłoby jej inteligencję, zmusiło do pokonywania przeszkód. Dlatego z utęsknieniem wyglądała chwili, gdy na ujarzmionym siłą jej woli potężnym koniu będzie można skakać przez płoty i przez rowy, zdobywając to, co los jej podsunie.

Gdy podliczyła rachunki, z cichym jękiem zwróciła się w stronę listów. Sama nienawidziła pisania. A co do zawartości tych kopert i tak nie miała złudzeń: zaproszenia. Zebrała listy i ułożyła je w stos. Harriet napisze za nią uprzejme odmowy, i tak nikt się nie domyśli, że to nie ona, zaś Mrs. Kelly bardzo lubi być użyteczną.

Aha, jeszcze listy z oświadczeniami - w tym tygodniu dwa, co tydzień przynajmniej jeden. Ilu już to mężczyzn wysyłało jej elaboraty, które w ich oczach uchodziły za liściki miłosne. Scarlett jednak doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby nie była bogatą wdową, nie otrzymałaby ani jednego - w każdym razie większości.

Na pierwszy odpowiedziała często gęsto wplatając wygodne sformułowania w rodzaju „zaszczycona Pańską uwagą”, „niezdolna odwzajemnić uczucia Szanownego Pana w stopniu, na jaki zasługuje” oraz „z pełnym szacunkiem dla nieoszacowanych a przyjaznych uczuć Drogiego Pana”.

Z drugim listem sprawa nie była tak prosta. List wysłał Charles Ragland. Spośród

wszystkich mężczyzn, jakich spotkała w Irlandii, Charles zdał się najlepszą partią. Jego uwielbienie dla niej przekonywało, w niczym nie przypominało owego wyszukanego płaszczenia się przed bogatą wdową, w czym celowała reszta zalotników. Nie pragnął jej pieniędzy, tego mogła być pewna, miał dosyć własnych. Jego rodzice byli możnymi ziemianami w Anglii, jako młodszy syn wybrał armię zamiast kariery kościelnej. Ale pieniądze ma własne, to nie ulega wątpliwości. Jego mundur kosztował więcej niż wszystkie suknie balowe, jakie kupiła.

Cóż więcej? Jest przystojny. Wysoki, jak Rett, tylko że jasny blondyn. Ale jego włosy nie są takie spłowiałe, jakby sprane, jak u wielu mężczyzn można widzieć. Włosy Charlesa to złoto z lekkim miedzianym odcieniem, co przy opaleniznie szczególnie rzucało się w oczy. Wygląd znakomity. Kobiety wprost pożerają go wzrokiem.

Dlaczego więc go nie kocha? Myślała o tym nie jeden raz, myślała o tym często i długo. Ale nie mogła się zakochać, nie dość jej na nim zależało.

Chcę kogoś pokochać. Wiem, co to miłość, to najpiękniejsze z możliwych uczuć. Nie zniosę tej niesprawiedliwości, która dotknęła mnie przez to, że zakochałam się za późno. Charles mnie kocha, a ja chcę być kochana, potrzeba mi tego, chcę wiedzieć, że ktoś mnie kocha, bo pozostawiona sobie samej dręcę się w samotności. Dlaczego więc, dlaczego nie mogę go pokochać?

Ponieważ kocham Retta, ot i cała odpowiedź. Oto dlaczego nie pokocham ani Charlesa, ani nikogo innego. Nikogo poza Rettem.

Lecz rozum jej podpowiadał: nigdy go nie odzyskasz.

A serce jej krzychało: co, myślisz, że nie wiem? Myślisz, że nie cierpię, kiedy za każdym razem, gdy spojrzę na Kicię, widzę w niej Retta? Myślisz, że nawet gdy sędzę, iż moje życie do mnie wyłącznie należy, fala miłości nie opływa mnie, choć sama nie wiem, skąd przybywa?

Scarlett formułowała odpowiedź w możliwie najbardziej oględny sposób. Dobierała słów najdelikatniejszych, jakie знаła - wszystko po to, by Charles Ragland usłyszał od niej „nie”. Nigdy by nie zrozumiał, gdyby mu odpisała, że naprawdę go lubi, a nawet, poruszona jego miłością ku niej, troszeczkę go kocha, lecz właśnie ów serdeczny afekt jest przyczyną, dla której nigdy nie będzie mogła go poślubić. Życzyła mu wszystkiego, co najlepsze - szczerze pragnęła jego szczęścia - bardziej, niż jakakolwiek kobieta, która na zawsze należeć będzie do niego.

* * *

Ukoronowaniem letniego sezonu wizyt była parodniowa wizyta w wiejskiej

rezydencji niedaleko Kilbride, kawałeczek drogi od Trim. W związku z czym Scarlett postanowiła wziąć bryczkę, zamiast jechać z kilkoma przesiadkami koleją. Wyjechała z domu wcześniej rano, jeszcze nim słońce zaczęło przypiekać. Konie strasznie męczyły się w upał, choć cztery razy dziennie były pławione. Nawet Scarlett czuła się nie najlepiej w tym skwarze całą noc wierciła się, spocona, na gorącym łóżku, nie mogła zasnąć. Dzięki Bogu, to już sierpień. Lato dobiegało końca - gdyby tak jeszcze samo chciało się z tym pogodzić.

Niebo ciągle jeszcze pałało różem przedświtu, a już dało się odczuć tchnienie żaru w powietrzu. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że dobrze obliczyła czas podróży. Gdy słońce pojawi się nad horyzontem, wolałaby być gdzieś w cieniu - ona i konie.

Ciekawe, czy Nan Sutcliffe przyjedzie przede mną. Nigdy nie sprawiała wrażenia rannego ptaszka. Ale nieważne. Dopóki nie wezmę chłodnej kąpieli i nie zmienię sukni, nie chcę widzieć nikogo. Mam nadzieję, że wyznaczyli mi jakąś porządną pokojówkę, a nie taką, jak ten niezgrabny kloc o dwóch lewych rękach u Giffordów. Omal nie rozerwała rękawów matinki, kiedy wieszala ją do szafy. A może Mrs. Fitz ma rację, jak zwykle. Ale ja nie chcę pokojówki, która chodziłaby za mną krok w krok, minuta po minucie, aż do grobowej deski. Peggy Quinn w domu zupełnie mi wystarczy, a jeśli ktoś chce, żebym przyjechała z dłuższą wizytą, niech od razu zaznaczy, że mam przyjeżdżać bez pokojówki. Prawdę mówiąc, to chyba sama powinnam wydać jakieś przyjęcie, trzeba się zrewanżować za całą tę gościnność, jakiej doznałam. Wszyscy byli dla mnie tacy mili... Ale to jeszcze nie teraz. W przyszłym roku. Mogę się wytłumaczyć, że lato za gorące, że tak się martwiłam, co z gospodarstwem...

Z cienia, z obu stron drogi wyłonili się dwaj mężczyźni. Jeden wymierzył w nią z karabinu, drugi chwycił konia za uzdę. Scarlett serce załomotało, w głowie zakłębiło się od myśli. Dlaczego nie wzięła pistoletu? A może tylko zabiorą kufry z sukniami, a gdy przysięgnie, że nikomu nie powie, jak wyglądają, puszczą ją wolno do Trim. Idioci! Czemu nie założyli na twarze masek, jak ci, o których czytała w gazetach?

Na Boga żywego! Mają na sobie mundury, więc to nie bandziory!

- Psiakrew, przeraziliście mnie, omal ducha nie wyzionęłam.

Ledwo ich widziała - zielone mundury Policji Królewskiej stapały się z zielenią żywopłotu.

- Jesteśmy zmuszeni prosić panią o podanie nazwiska - powiedział ten, który trzymał konie za uzdę. - Kevin, spójrz no tam z tyłu.

- Niech wam do głowy nie przyjdzie dotykać moich rzeczy! Co sobie myślicie, że kim

jestem? Macie przed sobą Scarlett O'Harę z Ballyhara, jadę do Sutcliffe'ów z Kilbride. Mr. Sutcliffe jest sędzią, już on dopilnuje, żebyście obaj skończyli na galerach!

Tak naprawdę to wcale nie była pewna, czy Ernest Sutcliffe jest sędzią, ale z tym swoim bujnym, rzywym wąsem wyglądał na takiego.

- Mrs. O'Hara?

Ów Kevin, który miał przeszukać jej bryczkę, podszedł bliżej i stanął obok kozła. Zdjął kapelusz.

- Słyszeliśmy o pani w koszarach, psze pani. Właśnie parę tygodni temu rozmawiałem z Johnny'm... to ten, tutaj... czy nie powinniśmy aby wybrać się do pani z wizytą.

Scarlett spojrzała nań z niedowierzaniem.

- Z wizytą? Do mnie? A po co?

- Mówili, że pani prosto z Ameryki, co teraz, słysząc, jak pani mówi, mogę tylko potwierdzić. I mówili też, że pani z tego wielkiego stanu, z Georgii. Stan Georgia to miejsce, które obaj szczególnie tkliwie wspominamy, bo obaj walczyliśmy tam w sześćdziesiątym trzecim i później.

Scarlett uśmiechnęła się.

- Naprawdę?

I pomyśleć, że na drodze do Kilbride spotka kogoś z domu!

- A gdzie dokładnie byliście? W jakiej części Georgii? Byliście pod generałem Hoodem?

- Nie, szanowna pani. Ja byłem u Shermana, a Johnny był u Konfederatów, to tam zyskał sobie imię Johnny Reb.

Scarlett potrząsnęła głową. Nie, chyba się przesłyszała. Ale następne pytania i następne odpowiedzi potwierdziły ten absurd: ci dwaj mężczyźni, obaj Irlandczycy, walczyli w Wojnie po przeciwnych stronach, a teraz byli najlepszymi przyjaciółmi, dzielącymi wspomnienia lat okrucieństwa, każdy z innego punktu widzenia.

- Nie rozumiem - przyznała w końcu. - Piętnaście lat temu każdy z was usiłował zabić drugiego, teraz zaś jesteście w najlepszej zgodzie. To już nie kłóćcie się, kto miał rację Północ czy Południe?

„Johnny Reb” roześmiał się.

- A czym jest dla żołnierza słuszność lub jej brak? Żołnierz jest po to, aby walczyć, oto, co lubi żołnierz. Dopóki jesteś dobrym przeciwnikiem i stwarzasz możliwość dobrej bijatyki, nieważne, ani jakie są twe poglądy, ani kim jesteś.

* * *

Gdy Scarlett przybyła do rezydencji Sutcliffe'ów, omal nie wytrąciła lokaja z profesjonalnej równowagi, prosząc go o filiżankę kawy z koniakiem. Była bowiem tak wewnętrznie rozproszona, że już nie potrafiła nad sobą zapanować.

Kiedy się wykąpała, przebrała i zeszła na parter, równowaga jej powróciła i trwała w nienaruszonym stanie aż do chwili, gdy ujrzała Charlesa Raglanda. Nie, on nie powinien być tu zaproszony! Ale skoro już był, zachowywała się tak, jak gdyby go nie zauważyła.

- Nan, jak ślicznie wyglądasz! Zdążyłam już się zakochać w twoim domu. Taki piękniutki pokój mi dałaś, że mogłabym tam zostać na zawsze.

- Nic bardziej by mnie nie ucieszyło. Prawda, że znasz pana Johna Grahama?

- Tylko ze słyszenia. I ze sławy, która go otacza. Od dawna pragnęłam pana poznać, Mr. Graham...

- Mrs. O'Hara...

John Graham był wysokim szczupłym mężczyzną, poruszał się z naturalną swobodą urodzonego atlety. Był wielkim łowczym Bractwa Galwajskich Kurtek - organizatora zapewne najślawniejszego polowania na lisa w całej Irlandii. Wszyscy myśliwi na Wyspach żyli tajoną nadzieją, że w końcu i oni zostaną zaszczytzeni zaproszeniem do wzięcia udziału w tej gonitwie. Graham dobrze o tym wiedział i Scarlett też dobrze wiedziała, że on wie. Nie było sensu owijać sprawy w bawełnę.

- Mr. Graham, da się pan przekupić?

Czemuż wreszcie Charles nie przestanie patrzeć się na nią w ten sposób? Co on tutaj robi?

John Graham roześmiał się, odrzucił wysrebrzoną siwizną głowę do tyłu. W jego oczach też zalśniły jakieś srebrzyste blaski, gdy spojrzał na Scarlett.

- Zawsze słyszałem, że wy, Amerykanie, od razu chwyacie byka za rogi, a teraz widzę, że to prawda. Mrs. O'Hara, proszę nam jednak dokładnie wyjawić, co miała pani na myśli mówiąc o przekupstwie?

- Utrzymam się na damskim siodle mając oparcie dla jednej tylko nogi... i mogę jechać jedną tylko dłonią ściskając cugle... To już chyba wszystko, co dobrego o damskim siodle mogę powiedzieć. Czy wystarczy?

Łowczy uśmiechnął się.

- Bardzo ekstrawagancka propozycja. Ale też słyszałem o Amerykankach, że mają ekstrawaganckie skłonności.

Scarlett była już zmęczona tą potyczką na słówka. A obecność Charlesa bardzo ją irytowała.

- Może jednak umknęło pana uwadze, Mr. Graham, że Amerykanki skaczą przez mur nawet tam, gdzie Irlandczycy wolą przejechać przez bramę, zaś Anglicy zbierają się do domu. Jeśli pozwoli mi pan polować z Kurtkami, dam panu w łapę, albo na oczach wszystkich zjem stado kruków... bez soli.

- Na Boga, szanowna pani, osóbką z pani charakterem zawsze będzie mile widziana na naszych polowaniach.

Scarlett uśmiechnęła się.

- Trzymam pana za słowo.

Splunęła w dłoń. Graham uśmiechnął się szeroko i też splunął w dłoń. Kiedy oboje przybili, w długiej galerii poniosło głośnym echem.

Po czym Scarlett podeszła do Charlesa Raglanda.

- W moim ostatnim liście zaznaczyłam wyraźnie, drogi Charles, że na to jedno przyjęcie... jedno jedyne w całym kraju... nie powinien pan przychodzić. To podłość, że się pan zjawił.

- Nie przybyłem, by wprawiać panią w zakłopotanie, Scarlett. Jestem, by osobiście, nie na drodze listownej, powiedzieć, co mam do powiedzenia. Proszę się nie obawiać, że będę na panią nastawał lub narzucał się z moim towarzystwem. Rozumiem, że „nie” znaczy „nie”. Mój regiment przenosi się w przyszłym tygodniu do Donegal, toteż pragnąłem skorzystać z tej ostatniej okazji, by rzec do pani kilka słów... oraz, przyznaję, by raz jeszcze panią ujrzeć. Obiecuję nie czyhać na panią w ukryciu, ani rzucać sentymentalnych spojrzeń.

Uśmiechnął się melancholijnie.

- Ćwiczyłem to przemówienie. Dobrze wypadło.

- Całkiem niczego. A co pana ściąga do Donegal?

- Kłopoty z bandami Białych Chłopców. Chyba w Donegal jest ich największe zatrzęsienie.

- Dwaj konstable zatrzymali mnie na drodze i chcieli przeszukać mi kabriolet.

- Tak, drogi roją się od patroli. Chyba już wkrótce do właścicieli powinny wpłynąć opłaty dzierżawne... ale to sprawa wojska, nie chciałbym teraz mówić o tym. Co takiego powiedziała pani Johnowi? Już od lat nie widziałem, żeby się tak śmiał.

- Zna go pan?

- Bardzo dobrze. To mój wuj.

Scarlett parsknęła śmiechem i śmiała się, aż ją boki rozbolały.

- Wy, Anglicy! - zawołała, gdy w końcu odzyskała zdolność mówienia. - Czyż nie to właśnie znaczy „nieśmiałość”? Gdyby pan miał choćby lekkie skłonności do przechwałek i opowiedział mi co nieco o swojej rodzinie, zaoszczędziłby mi pan masę kłopotów. Już od roku usiłuję wcisnąć się do Galwayskich Kurtek, ale nie znalazłam nikogo, kto by mnie tam wprowadził.

- Z całego towarzystwa na pewno przypadnie pani do serca moja ciotka Letycja. Ta kobieta potrafi na śmierć zagonić wuja i ani się nie obejrzy. Chodźmy, przedstawię panią.

* * *

Dało się słyszeć wielce obiecujące dudnienie grzmotu, lecz nie spadła ani kropla deszczu. W południe powietrze zastygło w bezruchu i prawie nie było czym oddychać. Ernest Sutcliffe uderzył w gong obiadowy, by zwrócić uwagę towarzystwa. Głosem drżącym ze zdenerwowania zapowiedział, że on i jego żona planują na popołudnie coś niezwykłego.

- Bo wszędzie nic tylko krykiet i strzelanie z łuku, he? Albo czytanie książek i... he, tego panie... bilard. Albo takie tam różne, panie tego...

- Erneście, do rzeczy - przynaglała go żona.

Kilka razy musiał zaczynać i kilka razy przerywał sobie, w końcu jednak wyłuszczył, w czym rzecz. Przygotowano więc dla wszystkich kostiumy kąpielowe i przeciągnięto przez rzekę liny. Jeśli kto chce, może się ochłodzić w rwącej wodzie.

- Rwąca to może ona nie jest - uzupełniła Nan Sutcliffe - w każdym razie płynie. Służba poda na brzegu mrożonego szampana.

Scarlett jako jedna z pierwszych zgodziła się wziąć udział w zabawie.

Było to jednak o wiele zabawniejsze od zimnego prysznica, mimo że woda była cieplejsza, niż się spodziewano. Scarlett, trzymając jedną ręką za linę, krok po kroku zmierzała na środek rzeki, gdzie było głębiej. Niespodziewanie znalazła się w samym nurcie, wcale wartkim. Tu woda była chłodniejsza niż w pobliżu brzegu, a różnica temperatur tak znaczna, że momentalnie wystąpiła gęsia skórka. Prąd cisnął Scarlett o linę, potem nagle straciła grunt pod nogami. Trzymała za gruby sznur, trzymała obiema dłońmi - jeśli puści, jej życie będzie w niebezpieczeństwie. Porwana w mocne objęcia prądu obracała się, zakreślając półkola, nie mogła zapanować nad nogami i zmusić je, by dotknęły dna - wirowała całym ciałem, nie mogła odzyskać oparcia. Coś ją kusilo, by puścić linę i dać się unosić prądowi, dokądkolwiek ją zabierze. Nie czując

gruntu pod stopami, wreszcie oderwawszy się od ziemi, nie zamknięta w czterech ścianach domu, nie ograniczona poboczami drogi, wolna od czegokolwiek, co by ją kontrolowało, sama też nie sprawująca kontroli, przez długie, mrożące krew w żyłach chwile oczyma wyobraźni widziała siebie, jak rzeka ją niesie, a ona nic, tylko daje się nieść.

Cała drżała od wysiłku utrzymania się przy linie. Powoli, w pełnym skupieniu, zdecydowana, przełożyła najpierw jedną dłoń, potem drugą i tak jeszcze parę razy, aż - posuwając się wzdłuż przecinającej rzekę liny w stronę brzegu - wyrwała się z zimnego uścisku prądu. Odwróciła się twarzą od innych, pokrzykujących, pluskających się w wodzie i zapłakała, sama nie wiedząc, dlaczego.

Opływały ją małe wiry - jakby palce silnego nurtu - opływały ją cieplejsze prądy. Scarlett z wolna zorientowała się, że reszta uczestników zabawy nie uświadamia sobie, w jakim niebezpieczeństwie jeszcze przed chwilą była. Wpłynęła między gości. Ciepłe macki wzburzonej ruchem wody uderzały ją w nogi, gładziły po udach, muskały ciało i piersi, oplatały się wokół jej bioder i kolan, wślizgiwały się pod wełnianą tunikę i pantalon. Przepelniała ją tęsknota do czegoś, czego nie potrafiła nazwać, czuła w sobie krzyczącą pustkę - pustkę, która wzywała, by coś ją wypełnić.

- Rett - szepnęła, dotykając do liny, pocierając wargami o surowy paździerz, smakując jego szorstkość, czując słodki smak krwi.

- Czyż nie szampańska zabawa? - krzyknęła Nan Sutcliffe. - A komu szampana?
Scarlett z wysiłkiem potoczyła wzrokiem.

- Scarlett, nieustraszona kobietko, nie balaś się wypuścić na głębokie wody! Ale teraz wracaj. Żadnemu z nas nie starczy odwagi, by podejść tam do ciebie z kieliszkiem.

O, tak - potwierdziła w myśli. Muszę wracać.

Po obiedzie skierowała się tam, gdzie przy stole siedział Charles Ragland. Twarz powlekła jej bladość, tylko oczy dziwnie błyszczały.

- Czy dziś wieczorem zechce pan przyjąć ode mnie sandwicza? - spytała śmiertelnie spokojna.

* * *

Charles był wytrawnym kochankiem o łagodnym dotyku dłoni, jędrnych i gorących wargach. Scarlett zamknęła oczy, niech ciało chłonie jego dotyk tak, jak przyjmowało pocałunki rzeki. Ale gdy wymówił jej imię, cały czar prysł. Nie - przemknęło jej przez myśl. Nie chcę stracić całego tego uniesienia, nie powinnam. Tym mocniej zacisnęła powieki. Myślała o Recie, wyobrażała sobie, że pieszczą ją jego dłonie, jego wargi, że to

ciepło, to uczucie zaufania, wypełniająca dręczącą ją pustkę, pochodzą od Retta.

Lecz nie było jej dobrze. Bo i nie miała przy sobie Retta. Świadoma tej smutnej prawdy zapragnęła umrzeć. Odwróciła się od poszukujących jej ust warg Charlesa i płakała, dopóki nie skończył.

- Kochanie - szepnął. - Kocham cię.

- Proszę - załkała. - Odejdź!

- Kochanie, co się stało? Coś nie tak?

- To ze mną, ze mną nie tak. Proszę, zostaw mnie samą.

Mówiła tak wątlwym głosem, tak przepojonym rozpaczą, że Charles zrozumiał, iż nie jest w stanie jej pocieszyć, że tylko jedno może dla niej uczynić. Szybko więc pozbiierał rozrzucone po sypialni części ubrania i zamknął za sobą drzwi tak cicho, jak tylko umiał.

83.

Odjechałem, by dołączyć do regimentu. Zawsze będę Panią kochał.

Pani Charles

* * *

Scarlett z pietyzmem złożyła liścik, po czym zamknęła go do szkatułki, gdzie spoczął wśród pereł. Gdybyż tak...

Ale w jej sercu nie było nawet skrawka miejsca dla nikogo, prócz Retta. Dla tego Retta, który drwił z niej, przechytrzał ją, wyzywał i zaskakiwał, chciał ją okiełznać i obronić.

* * *

Zeszła na śniadanie z podkrążonymi oczyma, wokół których całonocny płacz wycisnęła sine obwódki. W sukni koloru mięty sprawiała wrażenie oziębłej. Czuła się jak skuta lodem.

Powinna się uśmiechać, rozmawiać, słuchać, wybuchać śmiechem. Do obowiązków gości należało robić wszystko, by przyjęcie było udane. Spojrzała na ludzi siedzących przy długim stole. Uśmiechnięci, rozmawiający, słuchający, wybuchający śmiechem. Ciekawe, ilu z nich w tej chwili cierpi z powodu głębokich ran? Ilu z nich czuje się tak wypalonymi od środka, że aż zmarłymi i ilu jest wdzięcznych za tę duchową śmierć? Dzielni ludzie!

Skinęła na lokaja, który na ruchomym barku trzymał specjalnie dla niej nakrycia. Na jej znak zaczął zdejmować pokrywy z wielkich srebrnych talerzy, pytają wzrokiem, które z dań zechce wybrać. Wybrała parę plasterków bekonu oraz łyżkę kremu z kurczęcia.

- Tak, i pieczony pomidor - dodała. - Nie, niczego zimnego.

Szynka, konserwowana gęsina, jajeczka przepiórcze w galarecie, pieczeń z ziołami, sałatka rybna, lody, owoce, sery, różne rodzaje chleba, przystawki, dżemy, sosy, wina, węgorz, jabłecznik, kawa - nie, nic z tych rzeczy.

- Proszę herbatę.

Była przekonana, że jest w stanie przełknąć parę łyków herbaty. Potem będzie mogła wrócić do pokoju. Całe szczęście, że przyjęcie należało do tych z rodzaju wystawnych, pomyślane głównie dla miłośników strzelania. Mężczyźni w większości już wyszli na dwór z bronią. W domu cały czas podawano lekkie przekąski, także na zewnątrz, gdzie zabawiali się amatorzy strzeleckich sportów. W domu i na dworze

podawano herbatę. Każdy mógł sobie wybrać, co bardziej mu odpowiada. Do obiadu wszyscy zajmowali się sobą, nie było obowiązku przebywania w określonym miejscu. Z programu, który znalazła na stole u siebie w pokoju, wynikało jedynie, że goście powinni się zbierać w salonie po pierwszym uderzeniu gongu o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Obiad równo o dwudziestej.

Wzrokiem wskazała krzesło obok nieznanej kobiety. Lokaj ulokował jej talerz na małej tacy, obok serwisu do herbaty - oddzielnego dla każdego z gości. Później odsunął krzesło, podsunął, gdy siadała, strzepnął złożoną w harmonijkę serwetkę i położył ją na kolanach. Scarlett skinęła głową w stronę kobiety.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Scarlett O'Hara.

Nieznajoma wdzięcznie odwzajemniła uśmiech.

- Dzień dobry. Od dawna pragnęłam panią poznać. Moja kuzynka Lucynka Fane mówiła mi, że spotkała panią u Barta Morlanda. Wtedy, gdy był tam też Parnell. Proszę mi powiedzieć, czyż nie znajduje pani rozkosznie buntowniczym przyznać tak wszem i wobec, że popiera się ideę autonomii? Aha, nazywam się May Taplow.

- Mój kuzyn twierdzi, że nigdy bym nie poparła tej idei, gdyby Parnell był mężczyzną niskiego wzrostu, otyłym i miał kurczawkę - odpowiedziała Scarlett, nalewając sobie herbaty.

May Taplow roześmiała się. Dokładnie mówiąc, „Lady” May Taplow, tak, Scarlett zdawała sobie z tego sprawę. Ojciec May był prawdziwym księciem, jej mąż był synem wicehrabiego. Zabawne, jak w miarę upływu czasu i udzielania się na przyjęciach człowiek łatwo zapamiętuje te rzeczy. A jeszcze zabawniejsze, jak pojętnie uczy się tego wszystkiego zwykła dziewczyna z Georgii. Pewnie następną umiejętnością, którą opanuje, będzie sztuka mówienia półgębkiem, tak że lokaj ze skąpych wzmianek będzie musiał odgadnąć, czego chce. Chyba niewiele to się różni od zwyczaju, by mówić czarnemu, że chce się „kamyczków”, gdy w istocie chodzi o orzeszki ziemne.

- Obawiam się, że pani kuzyn wykazałby się całkowitym brakiem wyczucia, gdyby oskarżył mnie o to samo - wyznała May. - Gdy Bertie zaczął przybierać na wadze, zupełnie straciłam zainteresowanie do spraw tego rodzaju.

Teraz przyszedł czas na wyznanie Scarlett.

- Nie wiem, kto to Bertie.

- Ach, rzeczywiście, co za brak domyślności z mojej strony. Oczywiście, że pani nie wie, nie była pani w zimowym sezonie w Londynie, prawda? Lucynka mi mówiła, że sama zarządza pani majątkiem. Myślę, że to cudowne zajęcie. A jak przy pani blado

wyglądają ci mężczyźni, którzy najprostszej decyzji nie potrafią podjąć bez pomocy rządcy, w każdym razie co drugi... Ale, wracając do tematu, Bertie to księżę Walii. Kochany, naprawdę poczciwa dusza, zachwycony, gdy może pozwolić sobie na nieprzyzwoitość, ale to dopiero początki. Za to jego żona Aleksandra na pewno by panią zachwyciła. Głucha jak pień, nie można jej niczego powiedzieć w sekrecie, chyba, że się napisze, ale piękna, że słów brak, i równie miła jak śliczna.

Scarlett roześmiała się.

- Droga May, gdyby pani wiedziała, co teraz czuję, umarłaby pani ze śmiechu. W Georgii, gdy jeszcze byłam mała, kiedy się chciało poplotkować o osobach z najwyższych sfer, mówiło się o właścicielu nowej linii kolei żelaznych: wszyscy się dziwili, gdy zaczął chodzić w butach, nie na bosaka. Proszę więc się nie dziwić, że wprost trudno mi uwierzyć, iż plotkujemy sobie o następcy tronu, przyszłym królu Anglii.

- Lucynka mówiła mi, że doprowadzi mnie pani do szaleństwa, lecz zupełnie nie miała wyczucia. Proszę mi obiecać, że gdy wybierze się pani do Londynu, zatrzyma się pani u nas, dobrze? Proszę jednak dokończyć to o właścicielu kolei. Jakie buty nosił? Czy kiedy chodził, to utykał? Ameryka na pewno wprawiałaby mnie w zachwyt.

Scarlett ze zdziwieniem odkryła, że zjadła całe śniadanie. I że ciągle jest głodna. Skinęła więc na lokaja, który stał za jej krzesłem.

- Przepraszam, May, lecz muszę poprosić o dokładkę - powiedziała. - Poproszę ryż z potrawką z ryb, a do tego kawę ze śmietanką. Dużo śmietanki.

Życie biegnie ciągle do przodu, i to jeszcze jakie życie! Postanowiłam, że będę szczęśliwa i, jak zgaduję, jestem. Trzeba mieć tylko oczy i uszy otwarte, aby to zauważyć. Uśmiechnęła się do swej nowej przyjaciółki.

- Ten człowiek od kolei był kulasem...

Na twarzy May pojawił się wyraz zmieszania.

- Aha, rzeczywiście - zreflektowała się w samą porę Scarlett. - W Ameryce „kulasem” nazywamy białego człowieka, który najpewniej nigdy w życiu nie miał na nogach butów. Nie należy go mylić z białym biedakiem. Ten nie nosi butów, bo go na to nie stać, podczas gdy kulas...

Oczarowała księżęcą córkę.

* * *

Tego wieczoru podczas obiadu spadł deszcz. Wszyscy wybiegli na dwór i podskakiwali z radości. To nieznośne lato wkrótce wreszcie się skończy.

Scarlett ruszyła w drogę do domu następnego dnia w południe. Było chłodno. Zakurzone żywopłoty, wymyte wczorajszym deszczem, cieszyły oko świeżą zielenią. Wkrótce rozpoczną się polowania. Galwayskie Kurtki! Trzeba będzie coś postanowić z końmi. Będę musiała wysłać je pociągiem. Najlepiej byłoby najpierw do Trim, potem do Dublina, a potem do Galway. Albo do Mullingar, tam krótki popas, potem do Galway, chociaż to dłuższa droga. Ciekawe, czy obrok też powinnam wysłać? Będę musiała wynająć jakieś stajnie. Już jutro napiszę list do Johna Grahama...

Ani się obejrzała, a zajęła do domu.

* * *

- Takie dobre nowiny! - zawołała z samego progu Mrs. Kelly. - Takie dobre nowiny!

Scarlett nigdy jeszcze nie widziała Harriet w stanie takiego wzruszenia. No, no - pomyślała. Jest znacznie ładniejsza, niż mi się zdawało. Gdyby tak jeszcze ubrała się odpowiednio...

- Gdy pani nie było, otrzymałam list od jednego z mych angielskich kuzynów. Chyba mówiłam pani, że napisałam do wszystkich o tym, jakie to szczęście mnie spotkało i o pani dobroci? No właśnie. I teraz odpisał do mnie kuzyn, Reginald Parsons, w rodzinie zwany Reggie, odpisał, że postarał się, ażeby Billy został przyjęty do tej samej szkoły, do której chodzi jego syn, to znaczy syn Reggie'go. Ma na imię...

- Chwileczkę, Harriet. O czym pani właściwie mówi? Myślałam, że Billy chodzi do szkoły w Ballyhara, i koniec.

- Oczywiście, gdyby nie było innych możliwości, chodziłby do szkoły w Ballyhara. Właśnie o tym napisałam do Reggie'go.

Scarlett zacisnęła szczęki.

- Chętnie usłyszałabym od pani, droga Harriet, co złego pani widzi w tutejszej szkółce?

- Nic. To dobra irlandzka szkółka wiejska. Ale chciałabym dla Billy'ego czegoś lepszego, chyba pani rozumie?

- Chyba na pewno nie rozumiem.

Była gotowa bronić szkoły w Ballyhara, bronić irlandzkich szkół, samej Irlandii do ostatniego tchnienia. Spojrzała na zwykle łagodną twarzyczkę Billy'ego, zawsze jakby nieco zakłopotaną i bezradną. Lecz teraz na twarzy chłopca nie mogła doszukać się tego wyrazu łagodności, nie było na niej ni śladu słabości. Podobnie z Harriet. Jej oczy, zawsze zamglone marzeniem, teraz spoglądały przenikliwie i ostro - kłuły spojrzeniami niczym dwa sztylety. Harriet była gotowa do walki z każdym, dla swego syna była

gotowa na wszystko. Scarlett już kiedyś widziała podobną metamorfozę, już kiedyś na jej oczach jagnię zmieniło się w lwa. Było to wtedy, gdy Melania Wilkes stawiała w obronie czegoś, co uważała za słuszne.

- Co z Kicią? Gdy Billy ją opuści, będzie bardzo samotna.

- Przykro mi, Scarlett, ale muszę myśleć o tym, co jest najlepsze dla mego syna.

Scarlett westchnęła.

- Dobrze. Ja jednak proponowałabym pani coś jeszcze innego. I pani, droga Harriet, i ja dobrze wiemy, że w Anglii Billy zawsze będzie prześladowany przez rówieśników jako syn Irlandczyka i piętnowany jako irlandzki pacholek. W Ameryce może być tym, kim chcesz, żeby był...

* * *

Z początkiem września Scarlett wzięła na ręce stoicko milczącą Kicię i obie pomachały na pożegnanie Billy'emu oraz jego matce, gdy statek wypływał z portu w Kingstown kierując się do Ameryki. Billy płakał. Twarz Harriet promieniała nadzieją i stanowczością. Jej oczy zaszyły mgłą marzeń. Scarlett pozostawało ufać, że przynajmniej w części się spełnią. Wysłała list do Ashleya i wuja Henryka Hamiltona, w których - oprócz krótkiej historii życia Harriet - była też prośba, by zechcieli się nią zająć, znaleźli jakiś dom i posadę nauczycielki. Żywiła przekonanie, że przynajmniej tyle dla niej zrobią. Reszta zależała już od Harriet i od okoliczności.

- A teraz pójdziemy zobaczyć zoo, Kiciu - kociu. Są tam żyrafy, lwy, niedźwiedzie i wilki, wielki słoń.

- Kicia najbardziej lubi lwy.

- Może zmienisz zdanie, gdy zobaczysz małe niedźwiedziątka.

W Dublinie zabawiły przez tydzień. Do zoo chodziły codziennie, po czym w kawiarni Bewleya jadły ciastka z kremem, by następnie już w hotelu obejrzeć przedstawienie teatryku kukielkowego, po czym podawano uroczystą herbatę, a do niej całe góry kanapek i ciastek na srebrnych tacach, srebrne pucharki z bitą śmietaną i stosy, stosy eklerów. Scarlett mogła się przekonać, że jej córeczka niezamordowanie może uczestniczyć w życiu towarzyskim, a system trawienny tak ma wytrzymały, że i żelazo by zmógł.

* * *

Po powrocie do Ballyhara pomogła Kici zamienić więź w miejsce ściśle prywatne, gdzie wstęp jest tylko za zaproszeniem. Kicia wymiotła za próg pajęczyny i to wszystko,

co zdążyło się zebrać w wieży przez stulecia, po czym Scarlett naniósła wody z rzeki, a wtedy obie wzięły się do szorowania ścian i podłogi. Kicia miała przy tym wyborną zabawę: śmiała się, brodziła w kałużach i puszczała bańki mydlane. Zachowaniem przypominała Scarlett samą siebie, gdy była jeszcze malutką dziewczynką i gdy razem brały kąpiele. Nie niecierpliwiła się, kiedy się okazało, że aby doprowadzić wieżę do porządku trzeba będzie harować ponad tydzień. Nie złościła się, chociaż schody na wyższe piętra były bardzo zdewastowane i trudno było tu robić porządki. Życzeniem Kici było wyszorować całą wieżę, aż po dach.

Skończyły mniej więcej wtedy, gdy w normalnym urodzajnym roku przychodził czas na dożynki, na święto plonów. Colum poradził jej, żeby nie zadawała sobie trudu i nie urządzała fety, bo i nie było czego świętować. Pomógł jej za to rozwozić worki z mąką, solą i cukrem, ziemniakami i kapustą, z wszystkimi zapasami, które zaczęły przybywać na furgonach dostawców, z takim trudem znalezionych przez Scarlett.

- Nawet nie podziękowali - zauważyła z goryczą, kiedy już wszystko zostało rozdane.
- A jeśli nawet ktoś się na to zdobył, to dziękował takim tonem, jakby chciał powiedzieć coś całkiem innego. A przecież przynajmniej paru z nich mogłoby przyjść do głowy, że i mnie dotknęła susza. Moja pszenica, moje pastwiska też ucierpiały, tak samo, jak ich, straciłam czynsze, a na dodatek kupiłam to wszystko, by nie pomarli z głodu.

Nie mogła znaleźć słów, by wyrazić, jak bardzo czuła się dotknięta. Ziemia - jej ziemia - obróciła się przeciwko niej. Ziemia i ludzie - mieszkańcy Ballyhara.

Całą energię skierowała na urządzenie wieży dla Kici. Ta sama kobieta, która nie miała dość czasu, by zajrzeć przez okno i zobaczyć, co się dzieje w domu, teraz całymi godzinami przemierzała wszystkie pokoje, uważnie przeglądając mebel po meblu, każdy dywan, każdy kilim, każdą kołdrę i poduszkę, wybierając najlepsze. Ostateczna decyzja należała do Kici, która przejrzała wszystko, co zebrała matka, by wskazać trzy jasne, kwieciste dywaniki, trzy kołderki z aplikacjami oraz jedną wazę z Sèvres - na pędzelki. Kilimy i kołderki powędrowały do głębokiej i szerokiej niszy w grubej, masywnej ścianie - to miejsce, gdzie Kicia będzie ucinać sobie drzemkę - powiedziała. Po czym cierpliwie krążyła między Dworem a wieżą, znosząc ulubione książeczki z obrazkami, książeczki do kolorowania, zbiór liści oraz pudełko z okruszynami ciastek, które szczególnie lubiła. Miała zamiar zwabić do siebie ptaki i zwierzęta, które potem chciała uwiecznić na obrazkach malowanych na ścianach.

Scarlett słuchała planów Kici i przyglądała się jej przygotowaniom z dumą. Była dumna z tego, że jej córeczka z uporem usiłuje powołać do życia świat, gdzie byłaby

szczęśliwa nawet bez Billy'ego. O, tak - pomyślała z żalnością. W tym to niejednego mogłabym się od Kici nauczyć.

W wigilię Wszystkich Świętych odbyło się przyjęcie urodzinowe - takie, jakie sobie umyśliła Kicia. Były więc cztery małe torciki, każdy z czterema świeczkami. Pierwszy torcik zjadły same, siedząc na wymytej podłodze w sanktuarium Kici. Drugim podzieliły się z Grainne. Potem poszły do domu, dwa następna zostawiwszy ptakom i zwierzętom.

Nazajutrz Kicia oznajmiła wzruszona, że ani kruszynki po torcikach nie zostało. Ale nie zaprosiła matki, by przekonała się na własne oczy. Teraz wieża należała wyłącznie do niej.

* * *

Jak wszyscy tej jesieni, Scarlett czytała gazetę z trwogą przeradzającą się w oburzenie. Trwogę wzbudzała w niej wzrastająca liczba eksmisji. Wysiłki farmerów, by jakoś przeciwstawić się zajęciom, były dla Scarlett zupełnie zrozumiałe, bo zaatakowanie rządcy czy kilku konstabli gołymi pięściami lub parą wideł zdały się jej jedynie ludzką reakcją na nieludzkie potraktowanie. Pozostawało tylko żałować, że nie powstrzymało to fali eksmisji, jakże niesprawiedliwych, bo czyż rolników należało obciążać winą za nieurodzaj i za to, że nie mieli pieniędzy ze sprzedaży zboża, wobec czego nie mogli opłacić dzierżawnego? Sama doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Na polowaniach, które wkrótce się rozpoczęły, nie rozmawiano o niczym innym. Ale ziemianie nie byli aż tak tolerancyjnie usposobieni jak Scarlett, za to bardzo zaniepokojeni próbami stawiania oporu przez rolników.

- Do diabła - mówiono. - Czego oni się spodziewają? Jeśli nie opłacą dzierżawnego, stracą domy. Chyba zdają sobie z tego sprawę, zawsze tak było. No a teraz grożą nam tym cholernym powstaniem... och, przepraszam panie za język.

Lecz gdy do akcji ruszyli Biali Chłopcy, reakcja Scarlett niewiele się różniła od reakcji innych ziemian. Wprawdzie już latem dało się słyszeć to i owo o bandach, dotychczas jednak wszystko ograniczało się do drobnych incydentów. Jesienią bandy były już lepiej zorganizowane i brutalniejsze. Noc nie minęła, żeby nie podpalono jakiejś stodoły lub stogu siana. Zabijano bydło i owce, zarzynano świny, wołom i koniom łamano nogi lub podcinano ścięgna. Wybijano witryny w sklepach, wrzucano do środka płonące pochodnie lub gnój. A im bliżej zimy, tym częściej zdarzały się skrytobójcze ataki na wojskowych, angielskich żołnierzy lub irlandzkich konstabli, na ziemianstwo. Dlatego Scarlett, wybierając się gdzieś z wizytą, brała ze sobą dwóch

stajennych dla eskorty.

Stałym powodem zmartwienia była dla Scarlett Kicia. Odjazdu Billy'ego dziewczynka nie przeżyła tak ciężko, jak można było się tego obawiać. Nie była z tego powodu ani przygnębiona, ani skora do płaczu. Za to była czymś zajęta, jakimiś planami, jakimiś zabawami, które w większości sama wymyślała. Ale miała przecież zaledwie cztery latka - Scarlett niepokoiła się, czy dziecko nie jest zbyt samodzielne. O, tak, nie zamierzała pozbawić Kici swobody, lecz nagle zapragnęła, by dziewczynka była mniej ruchliwa, mniej niezależna, nieco mniej nieustraszona niż dotychczas. Kicia z równą swobodą spacerowała po stajniach i stodołach, co po spiżarni i mleczarni, ogrodach i szopach. Wspinała się po drzewach, biegała po polach niczym dzikie zwierzątko - czuła się tam u siebie. W domu natomiast widziała miejsce, gdzie w sprzątanym, lecz nie używanym pokoju można było próbować nowych zabaw, gdzie na regałach stały książki i pełne butelki, gdzie w suterrenach półki zastawione były winem, baryłkami z zapasami, gdzie znajdowały się oddzielne pomieszczenia dla służby, osobne schowki na srebra, mleko, ser, lód, miejsca wydzielone na prasowanie, szycie, roboty stolarskie, czyszczenie butów i jeszcze miliardy różnych spraw, którymi żył Dwór.

Szukając Kici nigdy nie można było mieć pewności, od czego zaczynać. Kicia mogła być wszędzie. Do domu przychodziła na posiłki i żeby się wykąpać. Scarlett nigdy nie mogła zrozumieć, w jaki sposób to dziecko wie, która godzina, ale Kicia nigdy się nie spóźniła.

Codziennie po śniadaniu matka i córka wybierały się na konną przejażdżkę. Ponieważ jednak Scarlett w obawie przed bandami nie chciała wyjeżdżać na drogę, nie chciała też zakłócać intymnej atmosfery tych przejażdżek przez obecność eskorty, stałym szlakiem ich spacerów stała się ścieżka wiodąca od wieży do brodu - ta sama, którą przed paroma laty tak często jeździła do Danielów. Gochnie O'Hara może to się nie spodobać - myślała - ale będzie musiała pofatygować się do Dworu, jeśli chce, żebym płaciła za Seamusa dzierżawne. Bardzo pragnęła, by najmłodszy syn Daniela nie tracił tyle czasu w poszukiwaniu narzeczonej. Gdy Tymoteusz już znajdzie sobie żonę, będzie mógł zamieszkać w tej małej chacie, a obecność nowej O'Hary będzie dla Gochny okazją do wydoskonalenia duchowego. Scarlett bardzo dotkliwie odczuwała brak owej swobodnej poufałości, panującej wśród jej kuzynów z Adamstown do chwili, gdy u Danielów zamieszkała żona Seamusa.

* * *

Za każdym razem, gdy wybierała się na polowanie, Scarlett pytała Kicię, czy bardzo będzie się martwić, kiedy zostanie sama. Na co brązowe czółko marszczyło się w zakłopotaniu, a w jasnych, zielonych oczach pojawiało się zdziwienie.

- A dlaczego ludzie się martwią? - pytała Kicia i wtedy Scarlett od razu czuła się znacznie lepiej. W grudniu wyjaśniła córeczce, że będzie musiała zostać sama na dłużej, ponieważ mamusia wybiera się w dłuższą podróż pociągiem, lecz Kicia odpowiedziała to samo.

Scarlett przygotowywała się na od dawna oczekiwane polowanie Galwayskich Kurtek, które miało odbyć się w najbliższy czwartek. Wyruszyła już we wtorek - chciała mieć dzień odpoczynku - dla siebie i dla koni. Nie była zmęczona - wręcz przeciwnie. Nie chciała jednak zmarnować bodaj najmniejszej szansy. Musi dać z siebie wszystko - nawet więcej niż wszystko. Jeśli w czwartek odniesie triumf, zostanie na piątek i sobotę.

* * *

Kiedy pierwszy dzień łowów dobiegł końca, John Graham podarował Scarlett zbroszoną krwią łapę upolowanego przez nią lisa. Przyjęła dar z prawdziwie dworską uprzejmością.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo.

Wszyscy zaczęli bić brawo.

Oklaski przybrały na sile, gdy dwaj kucharze wniesli olbrzymie talerze pełne parującego gulaszu.

- Wszystkim opowiedziałem o pani sportowym zakładzie, Mrs. O'Hara - rzekł Graham. - I obmyśliliśmy specjalnie dla pani niewinny żarcik. Oto i gulasz cielęcy. Najpierw spróbuję ja, potem reszta towarzystwa, choć, szczerze mówiąc, spodziewałem się, że będzie to pani jeść bez naszej pomocy.

Scarlett uśmiechnęła się najpromienniejszym z uśmiechów.

- Chętnie. Ale dla pana, sir, dodam szczyptę soli.

* * *

Tego mężczyznę o jastrzębiej twarzy spotkała już pierwszego dnia łowów. Ale widziała go już wcześniej, nie sposób było go nie zauważyć. Pędził na swoim karym rumaku z brawurą pełną tak wyniosłej buty, że spoglądanie na niego groziło popadnięciem w niebezpieczną fascynację. Scarlett omal nie spadła z siodła, gdy dzień przedtem wykonał tuż przed nią nieprawdopodobnie ryzykowny i bardzo piękny skok,

a ona musiała gwałtownie ściągnąć lejce, by na niego nie wpaść.

Podczas śniadania otaczało go grono ludzi - wszyscy mówili jeden przez drugiego, on jeden zachowywał powściągliwość. Był na tyle wysoki, by znad głów innych mogła dostrzec jego ciemne oczy i włosy tak czarne, że prawie granatowe.

- Kim jest ten mężczyzna, ten, który sprawia wrażenie, jakby cały świat go nudził? - spytała znajomą.

- Ach, to Luke Fenton! Najbardziej fascynujący niegodziwiec na Wyspach.

Scarlett nie dodała ni słowa komentarza, jednak w głębi ducha myślała sobie, że dobrze byłoby temu człowiekowi przytrzeć nosa.

* * *

Fenton podjechał tak, że jego zwierzę szło teraz krok w krok z koniem Scarlett. Dobrze, że wzięłam Półksiężycą - westchnęła. Teraz przynajmniej dorównywała wzrostem Fentonowi.

- Dzień dobry - powiedział Luk Fenton, dotykając czubkami palców runda cylindra.

- Jak rozumiem, jesteście sąsiadami, Mrs. O'Hara. Jeśli pani pozwoli, zajrzę kiedyś do Ballyhara z wyrazami uszanowania.

- Będzie mi bardzo miło. A gdzie pan mieszka?

Fenton uniósł grube czarne brwi, wyraźnie zdziwiony.

- Jak to, pani nie wie? Na drugim brzegu Boyne, w Adamstown.

Ach, zatem to hrabia Kilmessan. Scarlett bardzo była rada, że nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Ten zarozumialec spodziewał się pewnie, że wszyscy go znają. Co za potworna pycha!

- O, tak, dobrze znam Adamstown - powiedziała. - Mam tam wielu kuzynów, pańskich dzierżawców, O'Harów.

- Czy być może? Nigdy nie wiedziałem, jak nazywają się moi dzierżawcy.

Uśmiechnął się, odsłaniając olśniewającego połysku białe zęby.

- To czarujące, że Amerykanka szczerze mówi o swym marnym pochodzeniu. Nawet w Londynie o tym wspominało. Jak widać, szczerść dobrze służy pani celom.

Dotknął końcem szpicruty runda cylindra i odjechał.

Bezczelny! I źle wychowany - nawet się nie przedstawił.

Kiedy wróciła do domu, pierwsze, co zrobiła, to powiedziała Mrs. Fitz, że dla hrabiego Kilmessan nie ma jej w domu. Dopiero gdy złoży wizytę po raz trzeci, lokaj może go wpuścić.

Po czym pochłonęły ją świąteczne przygotowania. W tym roku postanowiła mieć

naprawdę wielką choinkę.

Kiedy dotarła do niej paczka z Atlanty, natychmiast ją rozpakowała, jeszcze w biurze. Harriet Kelly przysłała worek mąki kukurydzianej - pocziwa dusza. Od razu pomyślała, że najwidoczniej częściej żaliła się na brak kukurydzianego chleba, niż sobie zdaje z tego sprawę. W paczce był jeszcze prezent od Billy'ego dla Kici. Otworzy, gdy przyjdzie do domu na herbatę - postanowiła. Aha, jeszcze list, całkiem gruby. Ściskając opasłą kopertę wygodnie usadowiła się w fotelu, naląła ciepłej kawy i przygotowała na amerykańskie nowinki - listy Harriet zawsze pełne były zaskakujących wiadomości.

I tak w pierwszym liście, który wysłała po przybyciu do Atlanty, na ośmiu zapisanych maczkiem stronach - wśród wielu peanów dziękczynnych, bardzo poetyckich - znalazła się także niewiarygodna wprost opowieść o romansie Indii Wilkes. Tak. India Wilkes miała kawalera. Poważnego mężczyznę, świeżo przybyłego do Atlanty, pastora metodystów. I to Jankesa. Nader smakowite: Szlachetna Panna Konfederatka we własnej osobie - z Jankesem. Wystarczy, że pojawi się Jankes w spodniach i zwróci na nią uwagę, a ta gotowa zapomnieć, że w ogóle była Wojna.

Przebiegła wzrokiem stronicę poświęconę sukcesom Billy'ego - przeczyta na głos Kici, powinno to ją zainteresować. W końcu znalazła wiadomość, której szukała: Ashley poprosił Harriet o rękę.

Czyż nie tego pragnęłam? Byłoby nieroztropne z mojej strony czuć teraz ukłucie żądła zazdrości. Dobrze się stało. Kiedy ślub? Wyślę im wspaniały prezent. O, u diaska! Ciotka Pitty, po ślubie Indii, nie może mieszkać sama w jednym domu z Ashleyem, ponieważ tak nie wypada. Trudno wprost dać temu wiarę! Tak. Nie mogę w to uwierzyć. Ale to przecież dokładnie w jej stylu: mdleć z rozpaczy, co ona robi, jak ona będzie wyglądać w oczach świata, sama jedna z mężczyzną w domu. Br... najstarsza w świecie stara panna! Powinno to przyspieszyć ślub Harriet z Ashleyem. Może to nie najlepsza partia, jaką mogłaby sobie wyobrazić, lecz śniąc ciągle o koronkach i pączkach róż na pewno przyda temu wszystkiemu odpowiednio romantyczny posmak. Szkoda tylko, że wesele w lutym. Bo już dałabym się skusić na wyjazd, ale zimowy sezon w Dublinie jest jeszcze bardziej kuszący. I pomyśleć: kiedyś byłam przekonana, że Atlanta to wielkie miasto. Ciekawe, co sobie pomyśli Kicia, gdy zaraz po Nowym Roku zabiorę ją do Dublina. Mrs. Sims obiecuje, że przymiarki zajmą jedynie parę godzin z samego rana. Ciekawe, co oni robią na zimę z tymi biednymi zwierzątkami w zoo?

- Mrs. O'Hara, może znajdzie pani dla mnie jeszcze jedną filiżankę kawy? Zmarzłem

jadąc tutaj.

Scarlett podniosła głowę znad papieru. Otworzyła w zdumieniu usta. Przed sobą miała hrabiego Kilmessan. Boże, chyba okropnie wyglądam! Dzisiaj rano zaledwie przebiegłam szczotką po włosach.

- Kazałam powiedzieć lokajowi, że nie ma mnie w domu - wypaliła, nerwowo trzępiąc kartkami listu o kolana.

Luke Fenton uśmiechnął się.

- Tak, ale ja wszedłem kuchennym wejściem. Mogę usiąść?

- Dziwię się, że pan czeka, aż go poproszę. Oczywiście, niech hrabia siądzie. Najpierw jednak proszę zadzwonić na pokojówkę. Mam tylko jedną filiżankę. Jak pan widzi, nie spodziewałam się gości.

Fenton pociągnął za sznur od dzwonka, wziął krzesło i postawił je bliżej fotela Scarlett.

- Jeśli to pani nie przeszkadza, chętnie napiję się kawy z pani filiżanki. Zanim przyniosą tu drugą, tydzień minie.

- Owszem, przeszkadza mi! - syknęła Scarlett. - Przeszkadza. Koniec, kropka!

Po czym nagle wybuchnęła śmiechem.

- Chyba już od dwudziestu lat nie mówiłam: „koniec, kropka!”. Pozostaje mi tylko się dziwić, że nie pokazałam panu języka. Bardzo irytujący z pana człowiek, Milordzie.

- Luke.

- Scarlett.

- Mogę prosić o filiżankę kawy?

- Nie ma już kawy w dzbanku... koniec, kropka!

Gdy i Fenton wybuchnął śmiechem, nie wyglądał już tak wyniośle.

Tego samego dnia po południu Scarlett odwiedziła Molly. Aspirująca do życia wyższych sfer kuzynka tak bardzo starała się przyjąć ją uprzejmie, że w gorączkowej krzątaninie jej otwarte pytania o hrabiego Kilmessan pozostały właściwie nie zauważone. Dlatego i wizyta Scarlett była bardzo krótka. Molly w gruncie rzeczy niczego nie wiedziała, poza tym, że decyzja pana hrabiego spędzenia w Adamstown paru dni wpędziła w osłupienie rządcę i służbę. Bo chociaż i dom, i stajnie cały czas trzymano w pełnej gotowości - tak na wszelki wypadek, gdyby hrabia zdecydował się przyjechać - zdarzyło się to dopiero po raz pierwszy od pięciu lat.

Służba przygotowuje dom do podjęcia gości - opowiadała Molly. Ostatnim razem, gdy urządzano tu zjazd, przybyło czterdzieści osób - wszyscy z własną służbą i końmi. Przyprowadzono także sforę pana hrabiego, przyjechał cały zastęp lokajów. Dwa tygodnie trwać będą łowy, które uwieńczy wielki bal myśliwski.

W chacie Danielów skwitowano przyjazd hrabiego z humorem zaprawionym sporą dozą goryczy. Źle wybrał czas pan hrabia - mówili mężczyźni. Pola są za suche i zbyt twarde, nie nadają się do tratowania końskimi kopytami, jak to było podczas ostatnich łowów. Susza uprzedziła pana hrabiego i jego przyjaciół.

Scarlett wróciła do Ballyhara niewiele mądrzejsza niż parę godzin temu, gdy wyjeżdżała dla zasięgnięcia języka. Luke Fenton nie wspominał jej nawet słówkiem ni o polowaniu, ni o przyjęciu. Jeśli rzeczywiście miały się odbyć łowy i bal, a ona nie dostała zaproszenia, może się czuć, jakby została publicznie spoliczkowana.

Po obiedzie napisała kilka listów do swych dublińskich przyjaciół. *Taka tu u nas ostatnio wrzawa wokół osoby Luke'a Fentona...* - pospiesznie wodziła piórem po ćwiartkach papieru - *i o hucznych przygotowaniach, które idą pełną parą w jego posiadłości niedaleko stąd. Nie było go tutaj już od tak dawna, że i sklepikarze zdążyli zapomnieć, kto zacz.*

Pieczętując koperty uśmiechała się pod nosem. Jeśli w odpowiedzi na te listy nie dowie się czegoś bliższego o panu hrabim, to już przyjdzie rozłożyć ręce.

* * *

Następnego dnia rano ubrała się starannie w jedną z sukni, które zakładała, gdy wybierała się z wizytą do Zamku. Nie obchodzi mnie, czy wyglądam pociągająco dla tego irytującego człowieka, czy też nie, ale nie dopuszczę, by wśliznął się tutaj po raz drugi i zastał mnie zupełnie nie przygotowaną - powtarzała sobie w duchu.

Kawa wystygła w dzbanku.

Fenton znalazł ją, gdy po południu ujeżdżała Kometę. Scarlett miała na sobie swój zwykły strój irlandzkiej wieśniaczki, a na ramionach rozpięte palto, bo jechała na oklep.

- Wrażliwa z pani osóbką - rzekł, mierząc ją butnym spojrzeniem ciemnych oczu. - Zawsze byłem zdania, że damskie siodła psują dobre konie, ten zaś wygląda całkiem nieźle. Odważy się pani wystawić swego wierzchowca w zawody i stanąć do krótkiej gonitwy?

- Z największą rozkoszą - odparła Scarlett, grubo smarując słowa miodem - ale słońce tak wypaliło pola, że jadąc za mną udusi się pan od kurzu.

Fenton uniósł brwi.

- Tak? Wobec tego kto przegrywa, stawia szampana, byśmy oboje mieli czym przepłukać gardła.

- Zakład stoi. Do Trim?

- Niech będzie do Trim.

Fenton ubódł konia ostrogami i nim Scarlett zdołała się zorientować, co właściwie się stało, ruszył do gonitwy. Była pokryta grubą warstwą kurzu, kiedy dognała go na drodze, krztusiła się, kiedy z wszystkich sił starała się dotrzymać mu kroku, kasłała, gdy łeb w łeb przegalopowali przez most przy rogatkach.

Ściągnęli cugle, gdy dotarli do krzaków przy murach Trim.

- Mam u pani szampana - powiedział Fenton.

- Absurd! Był remis.

- W takim razie ja stawiam pani. Wypijemy dwie butelki, czy raczej woli pani rozstrzygnąć gonitwę w drodze powrotnej?

Scarlett pchnęła Kometę kolanem w bok i ruszyła z ostrego startu. Zza pleców dobiegł ją śmiech Fentona.

Wyścig zakończył się na podjeździe do Dworu. Scarlett wygrała, lecz z niewielką przewagą. Uśmiechnięta potoczyła wzrokiem, zadowolona z siebie, zadowolona z Komety, zadowolona z rywala, bo dzięki niemu miała wspaniałą zabawę.

Luke dotknął czubkami palców siwego od kurzu ronda cylindra.

- Przywiozę szampana na obiad - powiedział. - Proszę mnie oczekiwać o ósmej.

Po czym uderzył w galop i odjechał.

Scarlett spojrzała, jak znika w chmurze pyłu. Bezczelny! Kometa, bojaźliwie drobiąc kroki, posuwał się lekko bokiem, aż w końcu zdała sobie sprawę z tego, że popuściła

lejce. Zebrała je i poklepała spieniony kark Komety.

- Dobry jesteś - powiedziała na głos.

- Teraz trzeba ci trochę odsapnąć, nakarmić cię i napoić. Mnie też. Myślę, że chociaż zastawiłam pułapkę, postępowałam honorowo i przyzwoicie.

Wybuchnęła śmiechem.

* * *

- Po co to? - spytała Kicia, zafascynowana błyskami diamentów w kolczykach, które właśnie zakładała matka.

- Dla ozdoby - odpowiedziała Scarlett. Podrzuciła głową, a wtedy długie diamentowe sople zakołysały się i rozbłysły.

- Jak choinka - zauważyła Kicia.

Scarlett roześmiała się.

- Coś w tym rodzaju. Ale że też nigdy nie przyszło mi to do głowy!

- Mnie też ubierzesz tak na święta?

- Tak, ale dopiero jak będziesz bardzo, bardzo duża, Kiciu - kociu. Małe dziewczynki mogą nosić sznur perełek albo zwykłą złotą bransoletkę, ale diamenty są dla dorosłych pań. Może mam ci podarować na Gwiazdkę coś z biżuterii?

- Nie. Jeśli to nie dla dziewczynek, to nie. Ale dlaczego już się stroisz? Przecież do świąt jeszcze daleko.

Scarlett, słysząc te pytania, z wolna zaczęła pojmować, że przecież Kicia nigdy przedtem nie widziała jej w stroju wieczorowym. Gdy były w Dublinie, zawsze jadały w hotelowym apartamencie.

- Bo przychodzi gość na obiad - odpowiedziała. - Bardzo strojny gość.

Pierwszy gość z prawdziwego zdarzenia w Ballyhara - pomyślała. I, oczywiście, Mrs. Fitz znowu miała rację. Powinna była zaprosić kogoś znacznie wcześniej. Miło jest mieć towarzystwo i mieć się dla kogo stroić.

* * *

Hrabia Kilmessan był bardzo uroczym i miłym gościem. Scarlett ani się obejrzała, a rozgadała się bardziej, niżby tego pragnęła. Mówiła o wszystkim: o polowaniach, o tym, jak jeszcze dzieckiem będąc uczyła się jazdy konno, o Geraldzie i jego irlandzkim upodobaniu do koni. Luke Fenton był jedną z tych osób, z którymi łatwo się rozmawiało.

Tak łatwo, że zapomniała o pytaniu, które miała mu zadać. Dopiero gdy kończyli

ostatnie danie, pamięć jej powróciła.

- Przypuszczam, że pańscy goście przyjadą lada minuta - rzekła, gdy służba nakrywała do deseru.

- Jacy goście? - Luke Fenton podniósł kieliszek z szampanem, sprawdzając kolor musującego trunku.

- Jak to?... Ci zaproszeni na polowanie.

Fenton skosztował wina i z aprobatą pokiwał głową, co było znakiem dla lokaja, że można podawać.

- Skąd ten pomysł droga Scarlett? Ani polowania nie urządzam, ani nie spodziewam się gości.

- To co pan robi w Adamstown? Słyszałam, że nigdy pan tu nie bywa.

Napełniono oba kieliszki. Luke uniósł swój w stronę Scarlett.

- Czy możemy wznieść toast za wspólną dobrą zabawę?

Scarlett poczuła, jak oblewa się szkarłatem. Była prawie pewna, że za tą propozycją kryło się coś więcej. W odpowiedzi uniosła swój kieliszek.

- Wypijmy za to, że umie pan z wielką klasą przegrywać szampany - rzekła uśmiechnięta, spoglądając nań zza opuszczonych rzęs.

* * *

Później, gdy przygotowywała się na spoczynek, roztrząsała słowa Luke'a raz za razem. Czyżby przybył do Adamstown tylko po to, by ją ujrzeć? Czyżby zamierzał ją uwieść? Jeśli tak, to musi się przygotować na niespodziankę całego życia. W tej rozgrywce poniesie sromotną klęskę, nie mniej wyraźną niż w dzisiejszej gonitwie.

Z drugiej jednak strony zabawnie byłoby widzieć, jak ten zadowolony z siebie arogant popada w beznadziejną miłość do kobiety, która nigdy jej nie odwzajemni. O, mężczyźni nie powinni być do tego stopnia przystojni i bogaci, od razu bowiem sądzą, że mogą zdobyć wszystko, czego tylko zapragną.

Scarlett wspięła się na wysokie łóżko i wymościła sobie wygodne gniazdko wśród kółder. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wstanie nowy dzień, bowiem Fenton obiecał, że z samego rana wybiorą się na konną przejażdżkę.

* * *

Znowu się ścigali. Tym razem do Pike Corner. Fenton był pierwszy. Potem z powrotem do Adamstown. I znowu Fenton wygrał. Scarlett chciała zmienić konie i ruszyć do trzeciej gonitwy, lecz hrabia Kilmessan roześmiał się i odmówił.

- Z całej tej determinacji gotowa pani skrócić kark, a jak wtedy odbiorę wygrane?

- Jakie wygrane? Przecież nie robiliśmy zakładów.

Uśmiechnął się i nic nie odpowiedział, za to wzrokiem powędrował po jej ciele.

- Jest pan nieznośny, Fenton!

- Owszem, słyszałem o tym co nieco. Lecz nigdy nie mówiono mi tego tak gwałtownie. Czyliż wszystkie Amerykanki to kobiety równie porywczej natury jak pani?

Ode mnie nigdy się tego nie dowiesz - pomyślała Scarlett, lecz jak przed chwilą ściągnęła lejce, tak i język powstrzymała na wodzy. Popełniła błąd dając mu się wyprowadzić z równowagi, bowiem bardziej była zirytowana sobą niż nim. O, tak, już my się dobrze na tym znamy - uśmiechnęła się z przekąsem.

Rett zawsze najpierw wyprowadzał mnie z równowagi, co w chwilach kłótni niezmiennie dawało mu przewagę. Rett... Scarlett spojrzała na kruczoczarne włosy Luke'a Fentona, na jego czarne, drwiące oczy i znakomicie skrojone ubranie. Nic dziwnego, że wypatrzyła go w tłumie jeźdźców. Miał w sobie coś, co przywodziło na myśl Retta, lecz tylko za pierwszym, powierzchownym spojrzeniem. Bo miał w sobie coś, czym bardzo różnił się od Retta, coś, czego nie potrafiła nazwać.

- Dziękuję panu za przyjemność ścigania się - schyliła głowę. - Dziękuję, mimo że tym razem nie wygrałam. Lecz teraz muszę już pana opuścić. Mam huk zajęć na głowie.

Na ułamek sekundy jego twarz zastygła w grymasie zaskoczenia, zaraz jednak się uśmiechnął.

- Spodziewałem się, że zechce pani zjeść ze mną śniadanie.

- Spodziewałam się, że się pan spodziewa - odwzajemniła uśmiech.

Gdy zawróciła i skierowała się w stronę Ballyhara, czuła na plecach palące spojrzenie jego oczu. Nie była zaskoczona, gdy po południu zjawił się posłaniec na koniu z bukietem cieplarnianych kwiatów i zaproszeniem do Adamstown na obiad. Napisała grzeczną odmowę, którą posłaniec zabrał i natychmiast dostarczył panu hrabiemu.

Zaledwie odjechał, chichocząc pobiegła na piętro, by przebrać się w swój strój do konnej jazdy. Gdy Luke stanął w drzwiach salonu, właśnie wkładała kwiaty do wazonu.

- O ile się nie mylę, chce pani jeszcze raz ścigać się do Pike Corner - powiedział.

W Scarlett śmiały się tylko oczy.

- Co do tego, istotnie, nie myli się pan - odpowiedziała.

* * *

Colum zasiadł na wysokim stołku przy barze w *pubie* u Kennedy'ego.

- Przestańcie wreszcie ujadać, wy wszyscy. No bo was pytam, cóż więcej mogła zrobić ta biedna kobieta? Czyż nie zaopatrzyła was w jedzenie na zimę? Czyż w spizarni nie czeka na was jeszcze więcej ziarna i mąki, gdybyście wcześniej przejedli to, co macie? Hańba mi, że widzę dorosłych mężczyzn, jak dąsają się niczym dzieci i wynajdują coraz to nowe krzywdy, by mieć jeden więcej powód do wypitki. A zapijcie się do upadłego... męskie to prawo zatruwać żołądek i tumanić głowę... tylko nie obciążajcie winą za waszą słabość **Tej O'Hary**, bo ona niczemu nie winna.

- ...Całkiem już trzyma z panami... całe lato jej nie było, tak jej się spodobały pańskie zabawy... prawie dnia nie ma, żeby nie harcowała po drodze z tym czarnym diabłem z Adamstown...

Pub trząsł się od gniewnych okrzyków.

Colum przekrzyczał wszystkich.

- Cóż z was za mężczyźni, skoro plotkujecie niczym gromada kobiet o strojach, przyjęciach i romansach innej kobiety? Przyprawiacie mnie o obrzydzenie... tak, wy wszyscy.

Splunął na kontuar.

- No, który z was to zliże? Bo jeśliście nie mężczyźni, to powinno wam posmakować.

Zapadła cisza, z której wyłonić się mogła każda reakcja - trudno byłoby przewidzieć, jaka.

Colum stanął szeroko rozstawiwszy nogi, ręce opuścił swobodnie, w każdej chwili gotów złożyć dłonie w pięści.

- Och, Columie, to dlatego, że niespokojni jesteśmy, gotowiśmy podpalać i strzelać jak chłopcy w innych miasteczkach, choć tak naprawdę to nie mamy powodu - rzekł najstarszy z farmerów. - Zajmij swe miejsce, dobądź *bodhranu*, ja wezmę flet a Kennedy skrzypce. Zaśpiewajmy o powstaniu, napijmy się razem, jak dobrzy żołnierze Bractwa.

Colum chwycił się ostatniej szansy uspokojenia nastrojów dosłownie jak tonący brzytwy się chwyta. Zaśpiewał, wybijając obcasami rytm.

U brzegu szemrzącej rzeki ciemne mężczyźni

mrowia stały

Nad lśniącymi dzid ostrzami zieleń

flagi łopotą

Śmierć wrogowi! Biada zdrajcy! Niech

marszowa zabrzmiała nuta
Hurra, chłopcy! Naprzód wiara!
Już wstał księżyc! To za wolność ta ofiara!

* * *

Prawdą było, że Scarlett i Luke Fenton urządzali sobie wyścigi konne na drogach w pobliżu Adamstown i Ballyhara. Skakali przez płoty, rowy, żywopłoty, przeprawiali się przez Boyne. Już od tygodnia prawie dnia nie było, by hrabia nie przeszedł brodem przez rzekę i nie pojawił się w pokoju porannym Scarlett, żądając gorącej kawy i rzucając wyzwanie do następnego wyścigu. Scarlett zawsze czekała na niego pozornie opanowana, w istocie jednak Fenton przyprawiał ją o rozstrój nerwów. Był to bowiem człowiek o żywej inteligencji, w rozmowie nie do przewidzenia, tak że nawet przez chwilę nie mogła sobie pozwolić na rozproszenie czy zawieszenie gotowości do odpierania ataków z jego strony. Luke przyprawiał ją o dobry humor, irytował, jednym słowem sprawiał, że żyła pełnią życia.

Wyścigi pozwalały Scarlett odprężyć się nieco: stale spięta, w obecności Fentona, ścigając się mogła ukoić nerwy. Tu otwarcie współzawodniczyli, tu nie znali litości, walczyli wprost i bez pardonu. Gdy jednak w swej brawurze posuwała się aż do szaleństwa, opadało ją podniecenie - groźne i przerażające. Scarlett czuła, że jest w tym coś potężnego, coś, czego natury nie znała, coś ukrytego w głębi jej, stale zagrażającego, że przełamie zapory i wymknie się spod kontroli.

* * *

Mrs. Fitz ostrzegła ją, że mieszkańców miasteczka niepokoi jej zachowanie.

- **Ta O'Hara** traci respekt - powiedziała surowym tonem. - Co innego pani stosunki z Anglikami... czego nie widać, w oczy nie kole. Ale te galopady z hrabią Kilmessan działają im na nerwy, bo wyobrażają sobie, że darzy pani względami wroga.

- Nie obchodzi mnie, co ich kłuje w oczy, a co nie. Może ich kłuć, aż oślepną. Moje życie należy do mnie.

Gwałtowność, z jaką wypowiedziała te słowa, przeraziły Mrs. Fitzpatrick.

- A więc to tak? - spytała, a w jej głosie nie było już ani śladu surowości. - Kocha go pani?

- Nie, nie kocham. I nie zamierzam pokochać. Dlatego proszę zostawić mnie samą i powiedzieć innym, żeby też dali mi święty spokój.

Rosaleen Fitzpatrick zachowała swe podejrzania dla siebie, lecz kobiecy instynkt

podszepetywał jej, że te gorączkowe przebliski w oczach Scarlett mogą być zapowiedzią niemałych kłopotów.

* * *

Zakochana? Zakochana w Fentonie? Pytanie Mrs. Fitzpatrick zmusiło Scarlett, by sama je sobie zadała i poszukała odpowiedzi. A jej odpowiedź brzmiała: „nie!”.

To dlaczego tak źle się czuję w te dni, gdy Luke mnie nie odwiedza?

Trudno było jej znaleźć przekonującą odpowiedź.

Pomyślała o tym, czego dowiedziała się z listów przyjaciół. Hrabia Kilmessan - twierdzili zgodnie - to osoba powszechnie znana, właściciel jednego z największych majątków w Brytanii, do którego należały ogromne dobra ziemskie w Anglii, Szkocji i w Irlandii. Zaufany przyjaciel księcia Walii, posiadacz ogromnej rezydencji w Londynie - znanej z hucznych bibek, które odbywały się tam na zmianę ze sławnymi z wykwintności przyjęciami - cała śmietanka towarzyska wprost biła się o zaproszenia. Hrabia Kilmessan od ponad dwudziestu lat był człowiekiem, ku któremu kierowały się najgłośniejsze westchnienia matek pragnących dobrze wydać za mąż córki - już w wieku lat osiemnastu, kiedy to dziedziczył tytuł i majątek, stał się upragnionym celem wszystkich rajfurek - lecz jak dotychczas żadna go nie usidliła, choć wśród kandydatek było kilka znanych z urody i wysokości posagu. Tym zatem chętniej szeptano po kątach o złamanym sercach, plamach na honorze, a nawet samobójstwach. Niejeden mąż stawał z hrabią do pojedynku. Luke Fenton był człowiekiem bez zasad, okrutnym, niebezpiecznym, a niektórzy nawet mawiali, że szatańsko złym. Tym bardziej więc był tajemniczy, tym chętniej uznawano go za najbardziej fascynującego mężczyznę na świecie.

Scarlett już sobie wyobrażała, jaką sensację zdołałaby wywołać, gdyby udało się jej - wdowie z czwartym krzyżykiem na karku - osiągnąć powodzenie tam, gdzie tyle utytułowanych angielskich piękności ponosiło klęskę. Na samą myśl o tym jej usta wygięły się w sekretnym uśmiechu, który jednak zaraz spełził i zniknął.

Luke Fenton w niczym nie przypominał rozpaczliwie zakochanego mężczyzny. Chciał ją osiągnąć. Ale nie miał zamiaru jej poślubić.

Zmrużyła oczy. O, nie! Nie dopuszczę, by moje imię znalazło się na długim spisie jego ofiar.

Nie mogła jednak powstrzymać się od dociekań, jak smakuje pocałunek z mężczyzną takim jak on.

85.

Luke Fenton tak zacinał konia szpicrutą, aż zwierzę rozwinęło pełną szybkość, na jaką było je stać. Przegalopował obok Scarlett i zostawił ją w tyle, śmiejąc się głośno.

Scarlett, mocno pochylona do przodu, krzyknęła na Półksiężycu, żeby przyspieszył. Lecz prawie natychmiast musiała ściągnąć lejce: droga skręcała między wysokimi ławami z kamienia, zaś Luke postawił konia w poprzek, blokując przejazd.

- Co to za dowcipy! - krzyknęła. - Niewiele brakowało, a wpadłabym na pana.

- Właśnie do tego zmierzam - wyjaśnił Fenton.

Nim Scarlett zdążyła zrozumieć, co się dzieje, chwycił Półksiężycu za grzywę zmuszając oba konie, aby jechały obok siebie. Jego druga dłoń zamknęła się na szyi Scarlett - unieruchomiona, czuła, jak jego usta spieszą do jej ust. Całował mocno, zmuszając, by uchyliła zaciśniętych warg, usiłując wcisnąć język między zaciśnięte zęby. Zmusił ją, by mu uległa. Serce biło jej z zaskoczenia, strachu i - gdy pocałunek zdał się trwać nieskończenie długo - przerażenia, jak zniewalająca jest siła, którą posiada. Gdy zwolnił uścisk, była wstrząśnięta i osłabiona.

- Wreszcie przestaniesz mi przysyłać bileciki z odmową, gdy zapraszam cię na obiad - powiedział Luke. Jego czarne oczy błyszczały zadowoleniem.

Scarlett zebrała myśli.

- Obawiam się, że zbyt wiele pan sobie roi - rzekła, wściekła, że tchu brakuje jej w piersiach.

- Czyżby? Szczerze mówiąc, wątpię.

Objął ją ramieniem i przytulił mocno, i znowu pocałował. Jego dłoń doszukała się jej piersi - ścisnął aż do granicy bólu. Scarlett poczuła, jak wzbiera w niej potrzeba odpowiedzi, tęsknota za dotykiem jego dłoni, które chciała czuć na całym ciele, za dotykiem jego warg - jakże brutalnym - który chciała chłonać całą skórą.

Ale nerwowe konie nagle dały parę kroków do przodu, rozrywając uścisk. Scarlett omal nie spadła z siodła. Chwyliła za lejce, walcząc o utrzymanie równowagi ciała i ducha. Nie powinna tego robić. Nie powinna mu się poddawać, nie powinna oddawać się temu mężczyźnie. Jeśli mu się podda, przestanie interesować się nią tak szybko, jak szybko ją zdobył, zdawała sobie z tego sprawę.

Ale nie chciała go stracić. Pożądała go. Tutaj nie miała do czynienia z chorym z miłości chłopcem w typie Raglanda. Tu miała do czynienia z mężczyzną. W takim jak on zdolna byłaby się zakochać.

Scarlett pogłaskała Półksiężycu, uspokajała go, w sercu dziękowała mu za to, że tym

jednym szarpnięciem uratował ją przed popadnięciem w szaleństwo. Gdy odwróciła się do Fentona, jej nabrzmiałe usta rozciągały się w szerokim uśmiechu.

- Dziwię się tylko, dlaczego nie założy pan zwierzęcej skóry i nie ściągnie mnie za włosy z konia? - powiedziała głosem, w którym dowcip i pogarda zostały wymieszane w doskonałych proporcjach. - Wtedy przynajmniej nie spłoszyłby pan koni.

Stuknęła Półksiężycą kolanem w bok, ponaglając go do truchtu, potem puściła konia w kłus. Ruszyła z powrotem drogą, którą tu przybyli.

Odwróciła głowę i zawołała przez ramię:

- Nie przyjdę na obiad, Luke, ale pan może jechać za mną do Ballyhara na kawę. Jeśli to panu za mało, może pan dostać wczesny lunch lub późne śniadanie.

Szepnęła coś do Półksiężycy, namawiała go do pośpiechu. Nie mogła z tej odległości widzieć nachmurzonej miny Fentona, czuła jednak, że coś się święci.

* * *

Właśnie zsiadła z konia, gdy na podwórzu pojawił się Luke. Szybko przełożył nogę przez koński grzbiet i zaraz ześlizgnął się z siodła, lejce rzucając stajennemu.

Scarlett udała, że nie zauważa, iż Luke zajął jedyne miejsce, który był w pobliżu. Osobiście zaprowadziła konia do stajni w nadziei znalezienia kogoś, kto by się nim zajął.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, zatrzymała się nagle, w obawie, by nie wywołać hałasu. Przed sobą miała Kicię. Dziewczynka stała na bosaka na grzbiecie Komety, rączki wyciągnęła w bok, by utrzymać równowagę. Miała na sobie grubego sweter jednego ze stajennych - wisiał na niej zakrywając rąbek spódnicy, rękawy sięgały końców paluszków. Jak zwykle jej czarne włosy wymykały się splotom wstążek i spadały na plecy ciemną lawiną. Wyglądała jak dziecko ulicy, jak Cyganiatko.

- Co ty robisz, Kiciu? - spytała możliwie najspokojniejszym głosem Scarlett. Dobrze wiedziała, jak narowisty jest Kometa. Wystarczyło podnieść głos, a gotów był ponieść.

- Cyrk - odpowiedziała Kicia. - Tak jak w mojej książeczce na obrazku pani stoi na koniu. Kiedy wyjdę na arenę, będzie mi potrzebny parasol.

Scarlett starała się, by jej głos brzmiał jak najspokojniej, bo to, co tu widziała, przerażało ją bardziej niż wspomnienie wypadku Bonnie. Kometa mógł zrzucić Kicię i stratować.

- Byłoby chyba lepiej, gdybyś poczekała do lata. Pewnie nóżki ci zmarzły.

- Och...

Kicia ześlizgnęła się na posadzkę, zaraz obok podkutego kopyta.

- Nawet o tym nie pomyślałam.

Jej głos dobiegał gdzieś z głębi ogrodzonego kojca. Scarlett wstrzymała oddech. Po chwili Kicia wspięła się na barierkę, ściskając w dłoni buciki i wełniane pończochy.

- Myślałam, że w bucikach będzie Kometę bolało...

Scarlett siłą woli musiała się powstrzymać, by nie porwać córeczki w ramiona, nie zamknąć jej w bezpiecznych objęciach. Kicia poczułaby się tym dotknięta. Spojrzała więc na prawo, szukając stajennego, któremu mogłaby oddać Półksiężycy. Spozobiegła Fentona. Stał i spoglądał na Kicię.

- To moja córka Kasia Colum O'Hara...

A zrób sobie z tym fantem, co ci tylko przyjdzie do głowy - pomyślała.

Kicia, skupiona na sznurowaniu butów, podniosła głowę, przez dłuższą chwilę studiowała twarz Luke'a Fentona, po czym odezwała się pierwsza:

- Mam na imię Kicia. A ty?

- Luke - powiedział hrabia Kilmessan.

- Dzień dobry, Luke. Lubisz żółtka jajek? Właśnie zamierzam zjeść śniadanie.

- Bardzo lubię żółtka - odparł Luke.

* * *

Tworzyli dziwaczny pochód: do domu prowadziła Kicia, obok szedł Luke Fenton, starając się dostosować swój krok do jej drobniutkich kroczków.

- Już jadłam dzisiaj śniadanie - wyznała mu Kicia. - Ale znowu jestem głodna. Dlatego zjem jeszcze jedno śniadanie.

- Odnoszę wrażenie, że to bardzo rozsądne z twojej strony - odparł, lecz bez szyderstwa w przenikniętym troską głosie.

Scarlett szła za nimi dwojgiem. Ciągle jeszcze nie mogła wrócić do równowagi przerażona tym, czego świadkiem była w stajni, ciągle jeszcze nie otrząsnęła się z gwałtownych namiętności, które wzbudziły w niej pocałunki Luke'a. Była oszołomiona i zmieszana. Fenton to ostatni człowiek na ziemi, o którym mogłaby pomyśleć, że kocha dzieci, a tu tymczasem wszystko wskazywało na to, iż Kicia go fascynowała. Traktował ją dokładnie tak, jak należało: poważnie. Nie przybierał wobec niej protekcyjnej pozy tylko dlatego, że była od niego mniejsza. Kicia nie miała wiele cierpliwości dla ludzi, którzy zachowywali się wobec niej infantylnie, przekonani, że z dziećmi trzeba po dziecinnemu. Luke wyczuł to tym swoim siódmym zmysłem i potrafił to uszanować.

Scarlett poczuła, jak lzy napływają jej do oczu. O, tak. Byłaby zdolna pokochać tego

mężczyznę, Kicia zyskałaby w nim cudownego ojca... Szybko zamrugała. O, to nie czas na sentymentalizmy. Dla dobra Kici - i dla swego dobra - musi być silna i mieć przytomny umysł.

Spojrzała na przyzlane czarne włosy Fentona pochylonego ku Kici. Sprawiał wrażenie wyższego niż był, szerokiego w barach, mocnego. Nie do pokonania.

Wzdrygnęła się wewnętrznie, zdecydowana bronić się przed napierającą falą słabości. Zwycięży. Musi wygrać, i to teraz. Pragnęła go. Dla siebie. Dla Kici.

* * *

Na widok Luke'a i Kici Scarlett omal nie roześmiała się w głos. Kicia była do głębi pochłonięta precyzyjnym odcinaniem czubka jajka na miękko, tak, żeby nie zniszczyć całej skorupki, Fenton - równie skupiony - obserwował jej manewry.

Wtem nagły przypływ żalości zniweczył jej radość. Te ciemne oczy śledzące każdy ruch dziecięcej rączki powinny być oczami Retta, nie hrabiego Fentona. To Rett powinien z zapartym tchem przypatrywać się córce, Rett powinien być tym jedynym, któremu byłoby wolno dzielić z nią jajka na miękko. On to powinien z nią spacerować, dostosowując długie kroki swych długich nóg do dzieciennego drobienia.

Bolesna tęsknota wyżłobiła dziurę w miejscu, gdzie powinno być serce, a fala cierpienia - któremu tak długo stawiała czoło - wpłynęła, by zapełnić lukę. Przepelniało ją bolesne pragnienie widoku Retta, tęsknota za jego głosem i jego miłością.

Gdybyż tak powiedziała mu o Kici, dopóki nie zrobiło się za późno... Gdyby została w Charlestonie... Gdyby...

Kicia pociągnęła ją za rękaw.

- Chcesz jajko, mamusiu? Otworzę ci, jeśli chcesz.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała do dziecka.

Nie bądź głupia - dodała w duchu do siebie samej. Uśmiechnęła się do córeczki, uśmiechnęła się do hrabiego. Zostawmy przeszłość jej cieniom. Teraz trzeba myśleć o przyszłości.

- Obawiam się, Luke, że będzie pan musiał zjeść jeszcze jedno jajko na miękko! - zawołała ze śmiechem.

* * *

Po śniadaniu Kicia się pożegnała i wybiegła, lecz Luke Fenton został.

- Przynies jeszcze kawy - powiedział do pokojówki, nawet nie zadając sobie trudu, by na nią spojrzeć. - Opowiedz mi o swojej córce - zwrócił się do Scarlett.

- Kicia z jajek na miękko lubi tylko białko - odpowiedziała, uśmiechem maskując zakłopotanie. Bo i co powinna mu powiedzieć, na przykład, o ojcu Kici? A jeśli Luke zapyta o nazwisko, to co ma mówić o okolicznościach jego rzekomej śmierci, co ma powiedzieć, gdy zapyta, kim był?

Ale Fenton skupił uwagę na samej Kici.

- Ile lat ma to niezwykle stworzenie?

Nie krył zdumienia, kiedy dowiedział się, że dziecko ma zaledwie cztery lata, później zapytał, czy zawsze była taka opanowana, dojrzała, czy zawsze była taka wrażliwa... Widząc jego szczere zainteresowanie, Scarlett znowu zapłonęła do niego sympatią i z entuzjazmem opowiadała o swym zdumiewającym dziecku, aż ochrypla.

- Powinien ją pan sobie obejrzeć na kucyku, Luke... jeździ konno lepiej ode mnie, czy od pana... I wspina się na wszystko niczym małpka. Malarze musieli ją zdejmować z drabiny... Wie, gdzie rośnie każde drzewo, ma w sobie jakiś wewnętrzny kompas, tak że nigdy się nie zgubi... „Wrażliwa?” Ależ ona jest zupełnie pozbawiona nerwów. To dziecko jest tak odważne, że jego nieustraszonosc czasami mnie przeraża. Nie dba, gdy nabije sobie guza albo się zadrapie. Już jako niemowlęciu rzadko zdarzało się jej płakać, zaś kiedy zaczęła chodzić i się przewracała, po prostu spoglądała ze zdziwieniem, a potem podnosiła się i szła dalej... Oczywiście, zdrowa jak rzadko które dziecko! Chyba pan widział, jak prosto się trzyma, ile ma w sobie siły? Ma wilczy apetyt i jeszcze nigdy nie chorowała. Nie uwierzy pan, ile eklerów i ptysiów potrafi uprzętnąć bez mrugnięcia okiem...

Gdy Scarlett zaczęła chrypnąć, spojrzała na zegar i roześmiała się.

- Wielki Boże, wieki mijają, a ja się tu przechwalam. Ale to pańska wina, Luke. To pan mnie do tego podkusił. Niemniej jednak powinien mnie pan w porę uciszyć.

- Skądże znowu. Słuchałem z zainteresowaniem.

- Oj, niech pan uważa, bo zaraz zrobię się zazdrosna. Wygląda pan tak, jakby zakochał się w mojej córce.

Fenton uniósł brwi.

- Miłość to uczucie znane sklepikarzom i autorom groszowych romansideł. Ja jestem zainteresowany pani córką.

Wstał, pochylił głowę, podniósł dłoń Scarlett i wycisnął na niej delikatny pocałunek.

- Wyjeżdżam jutro do Londynu, gdzie chcę spędzić święta, zechce więc pani wybaczyć, że ją teraz opuszczę.

Scarlett podniosła się z krzesła - jak blisko siebie stali.

Będzie mi brakować naszych wyścigów - powiedziała, akcentując każde słowo. - Wróci pan wkrótce?

- Gdy tylko wrócę, dam znać pani i Kici.

Bardzo dobrze! - przemknęło Scarlett przez myśl, gdy drzwi zamknęły się za Fentonem. Nawet nie usiłował mnie pocałować na pożegnanie... Sama nie wiedziała, czy widzieć w tym pochlebstwo, czy obrazę. Chyba żałuje, że zachował się tak obmierźle, gdy mnie całował... Pewno stracił opanowanie. A już na pewno panicznie boi się słowa „miłość”.

Uznała w końcu, że Luke Fenton zachowuje się jak mężczyzna, który potrafi się zakochać mimo woli. To odkrycie bardzo ją uradowało. Byłby dla Kici cudownym ojcem... Łagodnie koniuszkiem palca dotknęła pogryzionych warg. Co za fascynujący mężczyzna.

W ciągu tygodni, które minęły od rozstania, Scarlett nie przestawała myśleć o Fentonie. Była niespokojna. Skoro świt wyprawiała się na przejażdżki i objeżdżała drogi, którymi razem się ścigali. Gdy razem z Kicią stroiła choinkę, przypomniawszy sobie, ile to radości miała, zakładając wieczorową suknię w ów wieczór, kiedy po raz pierwszy, odwiedził ją w Ballyhara. A kiedy w dzień Bożego Narodzenia rozrywały z Kicią obojczyk kurczęcia, w duchu wyraziła życzenie, by Luke wrócił z Londynu możliwie szybko.*

Zdarzało się, że zamykała oczy i usiłowała przypomnieć sobie, co czuła, gdy jego ramiona oplatały się wokół niej, lecz każda taka próba doprowadzała ją do łez bezsilnej wściekłości, bo zawsze miast twarzy Luke'a widziała Retta, czuła jego objęcia, słyszała jego śmiech. To dlatego - powtarzała sobie - że Fentona znam za krótko. Gdy już będzie przy mnie, wszelkie wspomnienie o Recie wygaśnie, to przecież logiczne. Wieczorem na Sylwestra Dwór przeżył prawdziwy zjazd: na czele pochodu szedł Colum bijąc w *bodhran*, za nim dwóch skrzypków i Mrs. Fitzpatrick, która grała na „kościach”. Scarlett pisnęła w radosnym zaskoczeniu, wybiegła, by wycałować kuzyna.

- Już straciłam wszelką nadzieję na to, że kiedykolwiek zobaczę cię w domu, Columie. Skoro jednak przyszedłeś, rok, który nadchodzi, musi być szczęśliwy, bo dobrze się zaczyna.

Wyrwała Kicię ze snu i tak pierwsze chwile nowego 1880 roku spędziły przy dźwiękach muzyki, otoczone miłością wszystkich zebranych w Dworze.

Dzień Nowego Roku rozpoczął się śmiechami, gdy potężna bryła ciasta rozbiła się, ciśnięta o ścianę, a okruchy i rodzyunki posypały się na Kicię, płasającą z głową zadartą do góry. Później jednak niebo zasnuło się chmurami, a lodowaty wiatr zrywał z głowy Scarlett szal, gdy chodziła od domu do domu, składając noworoczne wizyty. Colum, który jej towarzyszył, wszędzie wychylał szklaneczkę - whisky, nie herbaty - i rozprawał z mężczyznami o polityce, tak długo, że Scarlett miała ochotę krzyczeć.

- Nie wpadniesz do *pubu*, Scarlett, kochanie i nie wypijesz szklaneczki za pomyślność Nowego Roku i za świeży powiew nadziei dla Irlandii? - zapytał Colum, gdy odwiedzili ostatnią chatę.

Nozdrza Scarlett gniewnie zadrżały, gdy uderzyła w nią fala przesyconego ostrym odorem whisky powietrza.

**Zgodnie ze starym zwyczajem dłuższa część rozrywanego przez dwie osoby kurzego obojczyka ma wskazać, czyje świąteczne życzenie się spełni. (Przyp. tłum.)

- Nie. Jestem zmęczona, zziębnięta i wracam do domu. Chodź ze mną. Usiądziemy sobie w spokoju przed kominkiem.

- Spokój jest tym, czego najbardziej się obawiam, Scarlett *aroon*. Gdy cisza wokół, ciemność sączy się w duszę mężczyzny.

Po czym, nierównym krokiem, przestąpił próg gospody Kennedy'ego, zaś Scarlett stąpając ciężko, ruszyła w stronę Dworu, mocno przyciskając do piersi szal, co i rusz targany podmuchem lodowatego wiatru. W styczniowej szarówce nawet jej czerwona spódnica i żółto - niebieskie pasy na jej pończochach straciły soczystość barw, zmętniały i wyblakły.

Filizanka gorącej kawy, a potem gorąca kąpiel - obiecywała sobie, pchając ciężkie frontowe drzwi. Gdy weszła do hallu, usłyszała stłumiony śmiech. Serce jej się ścisnęło. To pewnie Kicia bawi się w chowanego. Postanowiła udawać, że niczego nie zauważyła. Zamknęła drzwi, rzuciła szal na krzesło i rozejrzała się.

- Szczęśliwego Nowego Roku, O'Haro - powiedział Luke Fenton. - Chociaż może się mylę... może mam do czynienia z Marią Antoniną? Czy ten wieśniaczy strój to najlepsza z karnawałowych kreacji londyńskich krawców?

Stał na półpiętrze.

Scarlett zadarła głowę. Wrócił. Tylko dlaczego musiał przyłapać ją w tym stroju? Inaczej to sobie wyobrażała. Hm... teraz to już bez znaczenia. Luke wrócił, nie musiała nań czekać zbyt długo, już nie czuła zmęczenia.

- Szczęśliwego Nowego Roku - odpowiedziała, przekonana, że Nowy Rok i tak już przyniósł jej szczęścia niemało.

Fenton usunął się na bok. Za nim na podeście stała Kicia. Stała z rękoma do góry, bowiem musiała podtrzymywać świecący złotem diadem opadający na jej zmierzwione ciemne włosy. Zaczęła schodzić na dół - jej zielone oczy nie przestawały się śmiać, musiała zaciskać usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Za nią ciągnęła się barwna smuga - purpurowy tren z aksamitu, bramowany szerokimi pasami gronostajów.

- Kicia ma na sobie oznaki pani szlachectwa, hrabino - powiedział Luke. - Przybyłem by urządzić nasz ślub.

Scarlett nogi odmówiły posłuszeństwa - usiadła na marmurowej posadzce w kręgu czerwieni, spod której wyzierały zielono - błękitne falbany halek. Iskierka gniewu... zaraz potem przejmujący dreszcz triumfu. Nie, to nie mogło być prawdą. Za prosto. Za łatwo. Wygrała tak szybko, że przestało to być zabawne.

- Wygląda na to, że niespodzianka nam się udała, Kiciu - powiedział Luke. Rozwiązał ciężki jedwabny chwost spinający tren, wyjął diadem z jej dłoni. - Możesz już sobie iść. Muszę porozmawiać z mamą.

- Ale mogę otworzyć pudełko?

- Możesz. Zanim ci je do pokoju.

Kicia spojrzała na Scarlett, uśmiechnęła się, po czym pobiegła na górę. Luke zarzucił sobie tren na lewe ramię, przewiesił diadem przez nadgarstek i zszedł na dół. Stał przy Scarlett, wyciągnął ku niej prawą rękę. Sprawiał wrażenie wysokiego, bardzo wysokiego, rosłego mężczyzny, jego oczy sprawiały wrażenie niemal czarnych. Podała mu dłoń, a on pomógł jej dźwignąć się na nogi.

- Przejdźmy do biblioteki - zaproponował Fenton. - Mamy tam ogień na kominku i butelkę szampana, żeby oblać interes.

Scarlett pozwoliła mu zaprowadzić się do biblioteki. Chciał ją poślubić. Trudno w to uwierzyć. Wstrząśnięta, oniemiała. Gdy Luke napełniał kieliszki, grzała się przy ogniu.

Luke podał jej szampana. Scarlett przyjęła. Z wolna zaczęła pojmować, co się stało. Odzyskała głos.

- Dlaczego powiedziałeś „interes”, Luke?

Dlaczego po prostu nie powiedział, że ją kocha i że chce pojąć ją za żonę?

Fenton dotknął brzegiem swojego kieliszka jej kieliszek.

- Czymże jest małżeństwo, droga Scarlett, jeśli nie interesem. Nasi prawnicy spiszą kontrakt, ale to tylko pusta forma. Ty, jak jestem przekonany, dobrze wiesz, czego się możesz spodziewać. Nie jesteś już podlotkiem ni niewiniątkiem.

Scarlett ostrożnie odstawiła kieliszek na stół. Po czym, równie ostrożnie, przysiadła na brzeжку krzesła. Było w tym wszystkim jakieś straszliwe nieporozumienie. Coś tu się nie zgadza. Twarz Luke'a chłodna, równie oziębła jego mowa. Nawet na nią nie patrzy.

- Byłaby wdzięczna - rzekła, powoli cedząc słowa - gdybyś łaskawie zechciał mi powiedzieć, czego mogę się spodziewać.

Fenton niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Skoro nalegasz... Przekonasz się, że jestem bardzo bogaty. Przypuszczam, że to cię żywo interesuje.

Jest najbogatszym człowiekiem w Anglii - mówił - i spodziewał się, że sama zdaje sobie z tego sprawę. Szczerze podziwia jej przebiegłość we wspinaniu się ku coraz wyższym sferom życia towarzyskiego. O, tak, może zatrzymać sobie swoje pieniądze. Z jego strony może się spodziewać, że będzie jej dostarczał wszystkiego, czego potrzeba

hrabinie Kilmessan: wytworne toalety, powozy, biżuterię, służbę i tak dalej. Po niej spodziewa się, że będzie mu przynosić zaszczyt. Miał okazję się przekonać, że potrafi sprostać temu zadaniu.

Dopóki żyje, Ballyhara pozostanie jej własnością. Zda się, że prowadzenie gospodarstwa ją bawi. Skoro tak, skoro lubi babrać się w błocie, może sobie wziąć i Adamstown. Ale po jej śmierci Ballyhara przejdzie na własność ich syna, zaś po jego śmierci, ich syn odziedziczy Adamstown. Bo łączenie sąsiadujących majątków zawsze było jednym z głównych powodów zawierania małżeństw.

- Choć, oczywiście, cały interes sprowadza się głównie do tego, byś urodziła mi męskiego potomka. Jestem ostatnim w tej linii mego rodu i nie mogę umrzeć bez dziedzica. Gdy dasz mi syna, twe życie należy do ciebie, rzecz jasna przy zachowaniu wszelkich pozorów i należytej dyskrecji.

Napełnił kieliszek, wypił. Diadem hrabiowski - dodał - zawdzięcza Scarlett Kici i jej to powinna być wdzięczna.

- Bo chciałbym mimochodem wspomnieć, że pierwotnie nie zamierzałem cię uczynić hrabiną Kilmessan. Jesteś kobietą z rodzaju tych, z którymi lubię się bawić. Im bardziej uparte, tym większą mam radość w naginaniu ich woli do mojej woli. O, tak. To powinno być interesujące. Lecz nawet w połowie nie tak ciekawe, jak ta twoja córeczka. Chciałbym, żeby mój syn był taki, jak ona: nieustraszony, krzepki, pełen wigoru. Zbyt dużo zawierano małżeństw w obrębie jednej rodziny i krew Fentonów jest zepsuta. Twa wiejska witalność powinna ją odświeżyć. Zauważyłem, że twoi kuzyni, rodzina O'Harów z Adamstown, dożywają sędziwego wieku. Jesteś więc cennym nabytkiem, moja droga. Dasz mi potomka, z którego będę dumny i nie zhańbisz w towarzystwie ani mnie, ani jego.

Scarlett spoglądała nań niczym zwierzę zahipnotyzowane przez węża. Teraz jednak, gdy skończył mówić, czar prysnął. Wzięła ze stołu swój kieliszek.

- Zostanę twoją żoną - powiedziała - gdy ogień piekielny zamarznie! Po czym wylała zawartość kieliszka do kominka. Buchnęło płomieniem.

- Oto i toast na oblanie interesu, hrabio. A teraz wynoś się z mego domu. Twa obecność już mi obmierzła.

Fenton roześmiał się. Scarlett zamarła w napięciu, gotowa w każdej chwili zerwać się i wymierzyć mu policzek.

- Myślałem, że bardziej ci zależy na przyszłości twego dziecka - wykrzywił usta w szyderstwie. - Ale chyba się myliłem.

Słyszając te słowa, Scarlett zatrzymała się w pół ruchu.

- Rozczarowujesz mnie, moja droga... bardzo mnie rozczarowujesz - powtórzył Luke Fenton. - Spodziewałem się po tobie więcej przebiegłości, niż mogę zauważyć. Zapomnij o zranionej pysze. Dobrze się zastanów, co trzymasz w garści: niezachwiana pozycja w świecie dla ciebie i dla twojej córki. Zaadoptuję ją, zostanie Lady Katarzyną. Oczywiście „Kaśka”, „Kasia” czy „Kicia” to imiona, z którymi będzie się musiała pożegnać, dobre dla dziewczek kuchennych, nie dla hrabianki. Jako moja córka natychmiast i bez żadnych ceregieli otrzyma wszystko, co najlepsze, czego tylko zapragnie, czego będzie jej trzeba. Szkoły, przyjaciółki, mąż... wszystko będzie najlepszego gatunku, wystarczy, niech tylko kiwnie palcem. Chcesz pozbawić ją tego wszystkiego jedynie dlatego, że nie zaspokoilem twego pragnienia romantycznej miłości, jakże typowego dla kobiet niższych sfer? Chyba nie...

- Kicia nie potrzebuje twych cennych tytułów, ani „wszystkiego, co najlepsze”, Luke'u Fentonie. Ani ja. Dobrze radziłyśmy sobie bez ciebie, tak więc i teraz jakoś sobie damy radę.

- Jak długo? Nie trzymaj zbyt wiele o swym sukcesie w Dublinie. Byłaś tam nowością, spadłaś jak meteoryt, a meteoryty mają krótki żywot. I małpa mogłaby zostać w prowincjonalnym Dublinie gwiazdą sezonu, byleby tylko była dobrze ubrana. Przed tobą jeszcze jeden sezon, może dwa, a potem odejdiesz w zapomnienie. Kicia potrzebuje tarczy ochronnej w postaci ojca i dobrego nazwiska. Jestem jednym z bardzo niewielu mężczyzn, którzy są władni zdjąć z dziecka piętno bastarda... och, proszę, oszczędź sobie protestu. Nie obchodzi mnie, jaką wymyślną opowieścią na temat pochodzenia Kici zechcesz mnie uraczyć. Gdybyś mogła mieszkać razem z córką w Ameryce, nie zaszywałabyś się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku Irlandii. I na tym chciałbym na razie skończyć. Zaczyna mnie to wszystko nudzić, a nudy nie znoszę. Daj mi znać, gdy zastanowisz się nad moją propozycją. Kiedy dojdiesz do siebie, zgodzisz się dobić targu. Zawsze dopinałem swego.

Ruszył w stronę drzwi.

Scarlett krzyknęła, żeby się zatrzymał. Było jeszcze coś, o czym nie wiedział, a czego powinien się dowiedzieć.

- Nie możesz zmusić całego świata, by był ci posłuszny, Luke'u Fentonie. Czyżby nie przyszło ci do głowy, że twoja żona, którą chciałbyś traktować jak klacz rozplodową, może ci urodzić dziewczynkę, a nie chłopca?

Odwrócił się ku niej.

- Jesteś silną, zdrową kobietą. W końcu urodzisz mi chłopaka. Lecz jeśli nawet, w najgorszym wypadku, będę miał same dziewczynki, jedna z nich poślubi mężczyznę, który gotów będzie wyrzec się swego nazwiska i przyjąć moje. W ten sposób zyskam w nim dziedzica rodu Fentonów, spadkobiercę tytułu i kontynuatora linii. Moje zobowiązania zostaną wypełnione.

Chłód w głosie Scarlett dorównywał jego oziębłości.

- Wszystko sobie przemyślałeś, prawda? A jeśli jestem bezpłodna, albo ty nie jesteś w stanie spłodzić potomka, co wtedy?

Fenton uśmiechnął się.

- O mojej męskości niech świadczy krocie bękartów rozrzuconych po wszystkich miastach Europy, zatem nie czuję się dotknięty twą zniewagą. Co zaś się tyczy ciebie... Kicia najlepszym dowodem.

Nagle na jego twarzy zagościł wyraz zaskoczenia. Szybkim krokiem podszedł do Scarlett. Cofnęła się, przerażona gwałtownością tego zbliżenia.

- No, daj spokój, tylko bez dramatów. Czyż nie mówiłem, że lubię kruszyć kobietki, nie kobiety? Wcale nie mam ochoty cię dotknąć. Po prostu zapomniałem diademu. Do dnia ślubu będzie spoczywał w bezpiecznym miejscu. To klejnot rodzinny. Założysz go w stosownym czasie. Gdy będziesz gotowa się poddać, daj mi znać. Wyjeżdżam do Dublina, otwieram dom i przygotowuję się do karnawału. List proszę wysłać pod moim adresem na Marion Square.

Skłonił się kwieciście i dworsko. Wyszedł, a jego śmiech długo jeszcze było słychać.

Scarlett wysoko i dumnie trzymała głowę aż do chwili, gdy usłyszała, jak zamykają się za nim frontowe drzwi. Potem zerwała się z krzesła, podbiegła i zatrzęsnęła drzwi do biblioteki. Bezpieczna od ciekawskich oczu służby rzuciła się na gęsty dywan i załkała. Jak mogła mylić się tak straszliwie, jak mogła tkwić w błędzie co do wszystkiego? Jak mogła sobie wmawiać, że kocha mężczyznę, w którym nie ma ni krzty uczucia? I co teraz pocnie? W pamięci miała obraz Kici stojącej u szczytu schodów, w diademie na głowie, zadowolonej i roześmianej. Co tu robić?

- Rett - zawołała rwącym się od płaczu głosem. - Rett, jakże mi cię potrzeba!

Na zewnątrz Scarlett niczym nie zdradzała swego wstydu, lecz w głębi ducha potępiała się za uczucia, którymi jeszcze niedawno darzyła Luke'a Fentona. Gdy była sama, rozdrapywała obrazy pamięci niczym świeżo zagojone rany, ale ból miał być jej karą.

Jakże głupia była, wyobrażając sobie życie razem z nim w szczęśliwej rodzinie, budując całą swą przyszłość na podstawie tego, co zobaczyła wtedy, przy śniadaniu, gdy Kicia raczyła ich troje jajkami na miękko. Cóż to za śmieszny pomysł, że mogła go przywieść do miłości. Gdyby wszyscy się dowiedzieli, cały świat by ją wyśmiał.

Snula myśli o zemście; rozpowie wszystkim, rozgłosi po całej Irlandii, że prosił ją o rękę i dostał kosza. Napisze do Retta, a wtedy on przybędzie i zabije go za to, że nazwał bękartem jego córkę. Roześmieje się Fentonowi w twarz przed ołtarzem i powie mu, że biorąc ją za żonę zrobił z siebie durnia, albowiem nigdy już nie będzie mieć dzieci. Zaprosi go na obiad i poda mu truciznę...

Nienawiść płonęła w jej sercu. Colum rozciągał ją na wszystkich Anglików, zatem Scarlett znowu z pełnym oddaniem zaczęła wspierać Bractwo.

- Ale ja nie wiem, jak wydać te pieniądze - odparł, gdy zaproponowała mu, że wznowi przelewy. - W tej chwili cała nasza działalność ogranicza się do planowania poczynań Ligi Krajowej. Chyba słyszałaś, o czym rozmawialiśmy w Nowy Rok.

- Powiedz mi to raz jeszcze. To niemożliwe, żebym w niczym nie mogła pomóc.

Ale istotnie, nie mogła znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Członkostwo w Lidze było zastrzeżone dla dzierżawców, i aż do wiosny, do chwili, gdy przyjdzie płacić pierwszą część czynszu, wszelkie akcje były odwołane. Planowano natomiast, że na wiosnę w każdym majątku jeden farmer zapłaci dzierżawne, inni odmówią. Jeśli właściciele ich wyeksmitują, przeniosą się do tej chaty, gdzie czynsz został zapłacony.

Scarlett nie mogła w tym dostrzec ładu ni składu. Jeśli farmerzy nie zapłacą, właściciel puści ich chaty w dzierżawę komu innemu.

Właśnie że nie - powiedział Colum. - Bo w tym momencie do akcji włącza się Liga, która jest w stanie powstrzymać napływ nowych dzierżawców. Bez farmerów ziemianie nie tylko stracą czynsze, ale też i nowe zasiewy, ponieważ nie będzie komu ich doglądać. Wymyślił to geniusz - przyznał. Niestety, nie on.

Zatem pojechała do kuzynów do Adamstown i zaczęła ich naciskać, by przyłączyli się do Ligi. Jeśli zostaną wyeksmitowani - obiecywała - mogą natychmiast przenieść się do Ballyhara.

Jak jeden mąż odmówili.

Wróciła z goryczą w sercu. Zaraz poskarżyła się Columowi.

- Nie wiń siebie za ślepotę innych, moja droga - odparł jej z łagodnym uśmiechem. - Tym, co robisz, z nawiązką odpłacasz ich małą wiarę. Czyż nie jesteś **Tą O'Hara**, czyż nie przynosisz chluby naszemu nazwisku? Nie wiem, czy wiesz, ale w każdym domu w Ballyhara i w połowie domów w Trim ludzie wycinali z gazet wzmianki o tobie, te, w których można było wyczytać, że ich O'Hara jest irlandzką gwiazdą wschodzącą w zamku angielskiego wicekróla. Przechowują je między kartkami Biblii, wśród modlitewek i obrazków świętych.

* * *

Na Świętą Brygidę spadł lekki deszczyk. Scarlett odmawiała modlitwę o pomyślne plony z tak wielkim zapalem, z jakim nikt nigdy nie odmawiał żadnej modlitwy, a kiedy przerzucała pierwszą łopatę ziemi, łzy ciekły jej po policzkach. Ojciec Flynn pokropił pole wodą święconą, po czym kociołek z wodą przechodził z rąk do rąk - każdy upijał nieco i podawał dalej. Farmerzy opuszczali pole w ciszy, ze spuszczonej głowami, wiedzieli bowiem, że teraz to już tylko w Bogu ratunek. Nikt nie przeżyje najbliższego roku, jeśli ten będzie taki, jak ostatni.

Scarlett wróciła do domu. Zdjęła uwalane w błocie buty, po czym zaprosiła do buduaru Kicię na filiżankę kakao - sama pakowała swe rzeczy i wyprawiała je w drogę do Dublinu. Za niespełna tydzień wyjeżdża. Nie miała na to ochoty - w Dublinie czeka na nią Luke Fenton, jak spojrzę mu w oczy? Znalazła tylko jedną odpowiedź: z podniesioną głową. Tego oczekiwał po niej jej lud.

* * *

Drugi dubliński karnawał był dla Scarlett jeszcze większym sukcesem niż pierwszy. Odniosła prawdziwy triumf. W *Shelbourne Hotel* oczekiwały na nią zaproszenia na wszystkie uroczystości zamkowe, pięć wieczorków tańczących i dwie późne kolacje w prywatnych apartamentach wicekróla. W zapieczętowanej kopercie przesłano dowód najwyższej łaski: jej powóz może wjeżdżać na Zamek tylną bramą - drogą zastrzeżoną dla nielicznych. Wreszcie koniec z wyczekiwaniem na Dame Street w długim sznurze pojazdów, które po cztery naraz wpuszczano na dziedziniec zamkowy, gdzie mogły się zatrzymać tylko na czas potrzebny do wysadzenia gości.

Były też zaproszenia na przyjęcia i obiady do prywatnych domów - znacznie bardziej szykowne niż uroczystości zamkowe, z setkami gości przewalającymi się po

ogromnych salonach. Scarlett roześmiała się z głębi serca: mała dobrze ubrana, czyż nie tak, panie hrabio? Nie, właśnie że nie, a ten stos zaproszeń dowodził, że miała słuszość. Była O'Hara, panią na Ballyhara, dumną z siebie Irlandką. Była osobą oryginalną! Nieważne, że Luke Fenton właśnie bawi w Dublinie. Niech szydzi z wszystkiego do woli. Może mu spojrzeć prosto w oczy bez cienia wstydu, będzie wobec niego bezczelna.

Przebijała się przez stos zaproszeń, odrzucała jedne, wybierała drugie, a jej serduszek zaczęło wrzeć podnieceniem. Miło, gdy jest się osobą powszechnie lubianą, oczekiwaną, podejmowaną, miło, gdy można ubierać się w ładne suknie i tańczyć w pięknych salach. Cóż z tego, że życie towarzyskie Dublina jest zdominowane przez Anglików, przebiega na wzór i modłę londyńską. Była już wystarczająco mądra, by wiedzieć, że wszystkie te uśmiešky i groźne marszczenie brwi, reguły i rozmaite ich odmiany, zaszczyty i ostracyzm towarzyski, zwycięstwa i klęski to tylko różne odsłony tego samego spektaklu, to część gry. W gruncie rzeczy niczym nie należało się przejmować, bo wszystko to było nieważne, pozbawione znaczenia, nieistotne dla prawdziwego życia w prawdziwym świecie, który zaczynał się dopiero za progiem lśniącej złoceniami sali balowej. Czy jednak są po to, by w nie grać - ona, Scarlett O'Hara była dobrym graczem. Mimo wszystko była zadowolona, że przybyła do Dublina. Lubiała zwyciężać.

* * *

Zaraz po przyjeździe dowiedziała się, że obecność Luke'a Fentona wywołała nerwowe podniecenie i falę spekulacji.

- Moja droga - rzekła do niej May Taplow. - Nawet w Londynie nie mówi się o niczym innym. Wszyscy wiedzą, że jak świat światem Fenton zawsze uważał Dublin za trzeciorzędą prowincjonalną miejscinę. Jego dom stał zabity deskami od dziesięcioleci. Co, na miły Bóg, sprowadza go tutaj w tym roku?

- Doprawdy, nie mogę pojąć - odparła Scarlett, smakując w myśli, jak też zachowałyby się May, gdyby jej powiedziała prawdę.

* * *

Zdałoby się, że Fenton ukazywał się wszędzie tam, gdzie poszła. Scarlett witała go poprawnie i chłodno, ignorując ów błysk wzgardliwej poufałości w jego oczach. Po pierwszym spotkaniu mogła nawet spotykać jego spojrzenie i nie czuła przy tym gniewu. Luke Fenton już nie mógł jej zranić.

On nie. Ale za każdym razem, gdy spoglądała na plecy wysokiego ciemnowłosego mężczyzny w aksamicie lub brokacie, ból ją przeszywał, myślała bowiem, że to Rett, a okazywało się, że to Fenton. Szukała Retta wszędzie, w każdej grupce ludzi. Rok temu był na Zamku, czemu w tym roku miałyby go zabraknąć... tej nocy... w tej sali?

Ale za każdym razem trafiała na Fentona. Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, w każdej rozmowie, na szpalcie każdej gazety, którą czytała. W ostateczności powinna być mu wdzięczna, że nie zwracał na nią specjalnej uwagi, bo wtedy zaraz dotknęłoby ją żądło plotek. Nieba jednak mogłyby sprawić, by imię jego nie było na ustach wszystkich, i to każdego dnia.

Z wolna z plotek i poszeptywań wyłoniły się dwie teorie wyjaśniające pobyt Luke'a Fentona w Dublinie. Jedna głosiła, że przygotowywał swój bardzo zaniedbany dom na nieoficjalną wizytę księcia Walii. Druga mówiła, że to Lady Zofia Dudley rzuciła nań urok - kobieta, o której głośno było w maju w Londynie, a która w Dublinie powtarzała swój londyński sukces. Historia stara jak świat - mawiano. Mężczyzna sady dzikie dęby po całym świecie i jak długo może wymyka się kobiecym siłom, aż tu nagle - trach! - i czterdziestka na karku. Wtedy traci głowę i oddaje serce w niewolę niewinnej piękności.

Bo Lady Zofia Dudley miała lat siedemnaście. Jej włosy były złote jak złote jest dojrzałe siano, jej oczy były błękitne niczym lazur letniego nieba, a jej białe - różowa karnacja bielą mogłaby zawstydzić porcelanę. W każdym razie tak opiewały ją ballady specjalnie napisane ku jej czci i sprzedawane na rogach ulic po pensie za sztukę.

W rzeczy samej była piękną, wstydliwą dziewczyną, nazbyt poddaną kontroli chorobliwie ambitnej matki, często jakże ślicznie pałającą purpurą, a to z powodu całej uwagi i uprzejmości, którymi ją darzono. Scarlett miała niemało okazji, by się jej przyjrzeć, bowiem prywatny salon Zofii sąsiedował z jej salonem. Co do wyposażenia i widoku na St. Stephen's Green był to apartament drugiej kategorii, doskonały jednak dla kogoś, komu bardzo zależało na stałym dopływie dużej liczby gości. Co, oczywiście, żadną miarą nie znaczy, by Scarlett pozostawała nie zauważona - jako bogata, przyjmowana w najlepszym towarzystwie, zielonooka wdowa cieszyła się stałym powodzeniem, po prostu salon Zofii Dudley był bardziej na widoku.

Nie powinnam czuć się zaskoczona - rozmyślała Scarlett. W końcu jestem dwa razy od niej starsza, a w wielkim świecie pojawiłam się dopiero rok temu. Czasem jednak miała kłopoty z powstrzymaniem języka na wodzy, gdy imię Zofii nazbyt często łączono z Fentonem. Powszechnie wiedziano, że sam książę prosił Zofię o rękę, wszyscy jednak

byli zgodni co do tego, że Fenton byłby dla niej lepszą partią. Wprawdzie księżę ma pierwszeństwo przed hrabią, ale Fenton był od niego ze czterdzieści razy bogatszy i ze sto razy przystojniejszy. „Niechbym tylko zechciała, a mój byłby” - cisnęło się Scarlett na usta. Kimże były te, o których pisano ballady?

Zbeształa się za nadwrażliwość. Uznała za niedorzeczność ciągle rozmyślanie o przepowiedni Luke'a, według której za rok lub dwa popadnie w całkowite zapomnienie. I usiłowała nie martwić się tymi maleńkimi zmarszczkami pod oczami, które codziennie rano i wieczorem widziała w lusterku przy toalecie.

* * *

W pierwszą niedzielę miesiąca wróciła do Ballyhara - był to dzień, gdy tradycyjnie przyjmowała farmerów. Cieszyła się, że wreszcie może opuścić Dublin. Ostatni tydzień karnawału dłużył się w nieskończoność.

Dobrze było znowu znaleźć się w domu, dobrze było znów skupić myśli na czymś rzeczywistym i zamiast zastanawiać się, jaką suknię założyć na następne przyjęcie, pomyśleć o prośbie Paddy'ego O'Fadaina, który domagał się większego przydziału brykietów. A już czystą rozkoszą było czuć rączki Kici, która omal nie udusiła Scarlett, tak mocno objęła ją za szyję w gorącym powitalnym pocałunku.

Kiedy już odbyła ostatnią dyskusję, gdy obiecała spełnić ostatnią prośbę, Scarlett udała się do pokoju porannego na herbatkę z Kicią.

- Zostawiłam dla ciebie połowę - powiedziała, odwracając ku niej twarzyczkę umorusaną w czekoladzie z eklerów, które Scarlett przywiozła dla niej z Dublina.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie jestem głodna. Zjesz jeszcze parę?

- Tak.

- Tak, dziękuję.

- Tak, dziękuję. Mogę już zacząć jeść?

- Proszę bardzo, Panno Prosiaczek.

Eklery zniknęły z talerza, nim Scarlett zdążyła wypić herbatę. Gdy chodzi o jedzenie eklerów to Kicia wykazywała w tej dyscyplinie niemałe zdolności.

- Gdzie pójdziemy na spacer? - spytała córeczkę.

Kicia oznajmiła, że ma ochotę odwiedzić Grainne.

- Ona cię lubi, mamusiu. Bardziej od ciebie lubi mnie, ale ciebie też lubi.

- Dobry pomysł - odpowiedziała Scarlett. Z przyjemnością zobaczy wieżę. Spodziewała się, że widok tego miejsca ją ukoi, a jakże bardzo potrzebowało ukojenia jej serce.

* * *

Scarlett zamknęła oczy i przytuliła się policzkiem do starego, gładkiego kamienia. Trwała tak przez dłuższą chwilę, Kicia niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

Później Scarlett pociągnęła za sznurkową drabinę wiodącą do drzwi. Chciała sprawdzić, czy jest dość wytrzymała. Grube liny, choć sieczone deszczem, palone przez słońce i targane przez wiatr, sprawiały wrażenie, że są mocne. W każdym razie - pomyślała - byłabym o wiele spokojniejsza, gdyby wymieniono ją na nową. Bo niechby sznur się przerwał i Kicia spadła... nie, nie mogła znieść tej myśli. Za to opadło ją silne pragnienie odwiedzenia córeczki w jej samotni. Dlaczego jej nie zaprosi? Jeszcze raz, jakby dopominając się zaproszenia, pociągnęła za drabinkę.

- Grainne powinna na nas czekać, mamusiu. Narobiłyśmy strasznego hałasu.

- Już, już, słoneczko. Mamusia już idzie.

Znachorka wcale się nie zmieniła od chwili, gdy widziała ją po raz pierwszy, trudno byłoby stwierdzić, że się postarzała. Gotowam się założyć, że nawet nosi te same szale, co wtedy - pomyślała Scarlett.

Kicia tymczasem krzątała się po małej, ciemnej chatynce: zdjęła z półki filizanki, podgarnęła stare, nadpalone ułamki brykietów do paleniska. Widać było, że czuje się tutaj jak u siebie w domu.

- Pójdę do strumienia i wezmę wody na herbatę - powiedziała, wzięła mały kociołek i wyszła. Grainne tkliwie spojrzała na nią.

- Dara często mnie odwiedza - wyjaśniła. - To bardzo miło z jej strony wobec samotnej duszy. Nie mam serca, żeby ją odprawić. Odchodzi, dopiero gdy sama uzna, że już czas. Dwie samotne dusze zawsze dobrze się rozumieją.

Scarlett aż podskoczyła.

- Kicia lubi być sama! - zawołała. - Lubi, choć wcale nie musi. Tyle razy już ją pytałam, czy chce jakieś dzieci na towarzyszy zabaw, lecz ona zawsze odpowiadała mi, że nie chce.

- To mądre dziecko. Bachory z miasteczka chciały ją ukamienować, ale Dara była szybsza i zdołała się im wymknąć.

Scarlett myślała, że się przesłyszała.

- Bachory z miasteczka chciały... czego chciały?

Grainne pozostawała niewzruszona. Jacyś chłopcy z miasteczka - spokojnie wyjaśniła - ścigali Darę wśród drzew niczym zwierzynę. Słyszała, jak biegną, znacznie wcześniej, nim zdołali dobiec w pobliże jej chaty. Pewnie były to jakieś podrostki - małe

dzieci nie podeszłyby aż tak blisko, by rzucać kamieniami, które tamci przynieśli ze sobą. A podeszli tak blisko jedynie dlatego, że mogli biec szybciej niż Dara, na swoich dłuższych, starszych niż jej, bardziej wytrzymałych nogach. Sprytna dziewczynka. Wiedziała, jak się im wymknąć. Wiedziała, że w wieży będzie bezpieczna, że nie śmia wejść do środka, przerażeni opowieściami o duchu złego pana, który tam został powieszony.

Scarlett słuchała, zupełnie osłupiała. Jej droga Kicia dręczona przez dzieciaki z Ballyhara? Każdego bachora stłucze własnymi rękami, wyrzuci na bruk ich rodziców, porozbija ich meble na kawałki! Już, już chciała zerwać się z krzesła i przystąpić do zemsty.

- Chcesz złożyć na barki Dary ciężar winy za zrujnowanie Ballyhara? - spytała Grainne. - Usiądź, kobieto. Nawet jeśli sprowadzisz sobie innych farmerów, uczynią to samo, bowiem boją się wszystkiego i wszystkich, co się od nich różni. A to, czego się boją, usiłują usunąć ze swej drogi.

Scarlett opadła na krzesło. Wiedziała - wiedźma ma rację. Sama już niejednokrotnie płaciła cenę za to, że jest inna od innych. Tylko że w nią rzucono kamieniami oziębłości, plotkami i złą milczeniem. Jeśli jednak musiała cierpieć, sama na siebie to cierpienie ściągnęła, gdy tymczasem Kicia była zaledwie małą dziewczynką. Była niewinna. I była w niebezpieczeństwie.

- Ależ przecież nie mogę tak siedzieć i czekać! - wykrzyknęła Scarlett. - To nie do zniesienia. Muszę jakoś ich powstrzymać.

- Och, ciemnoty nie sposób powstrzymać. Dara znalazła dla siebie własną drogę, pójdzie nią, i to jest dla niej dosyć. Plotki i bzdurne opowieści nie dotkną jej duszy. W wieży jest bezpieczna.

- Ale to nie dosyć! - zawołała Scarlett. - Bo jeśli jednak kamienie ją dosięgną? Jeśli zostanie ranna, co wtedy? I dlaczego wcześniej nie powiedziała mi o tym? Wprost nie mogę znieść myśli, że źle jej się dzieje.

- Posłuchaj starej kobiety, O'Haro. Posłuchaj mnie dobrze, z całego serca daj mi posłuch. Istnieje ziemia, którą ludzie znają jedynie z pieśni *seachain*. Nazywa się *Tir na nog* i leży wśród wzgórz. Znaleźli się jednak mężczyźni, a i kobiety, którzy potrafili odkryć drogę wiodącą do tego kraju. Poszli tam i od tej pory wszelki słuch o nich zaginął. Nie ma tam śmierci ni zniszczenia. Nie ma tam smutku ni bólu, ni nienawiści, ni głodu. Wszyscy tam żyją w pokoju jedno z drugim, a chociaż nikt nie pracuje, wszyscy mają wszystkiego w bród... I najpewniej, gdybyś mogła, O'Haro, wyprawilibyś

Darę do *Tir na nog*. Ale dobrze mnie posłuchaj, niewiasto: ponieważ w tej krainie ludzie nie znają smutku, nie wiedzą także, co to radość... Czy dostrzegasz sens w śpiewaniu pieśni *seachain*?

Scarlett potrząsnęła głową.

- Wobec tego nie mogę ukoić twego serca - westchnęła Grainne. - Dara posiada więcej mądrości. Pozwól jej być taką, jaka jest.

I jakby stara kobieta ją wezwał, w tej samej chwili w progu stanęła Kicia. Nie spojrziała ani na matkę, ani na Grainne - jej cała uwaga skupiała się na pełnym po brzegi kociołku. Scarlett i Grainne w milczeniu obserwowały, jak Kicia wiesza kociołek na żelaznym trójnogu, nad paleniskiem, po czym podgarnia do ognia jeszcze więcej brykietów.

W końcu Scarlett musiała odwrócić głowę. Wiedziała, że jeśli będzie tak patrzeć jeszcze chwilę dłużej, nie potrafi powstrzymać się, by nie porwać Kici w ramiona i nie zamknąć jej w opiekuńczym uścisku. A Kicia nie znosiła podobnych czułości. Nie mogę się rozplakać - powtarzała w duchu Scarlett. Tylko bym ją przestraszyła. Mogłaby poczuć, jak bardzo sama jestem przerażona.

- Spójrz, mamusiu - powiedziała Kicia. Po chwili, bardzo ostrożnie, napełniła wrzątkiem stary, osmalony czajniczek z chińskiej porcelany. Z czajniczka buchnęła para. Po izbie rozeszła się słodka woń. Kicia uśmiechnęła się.

- Nasypałam samych dobrych listków - roześmiała się dziewczynka. Sprawiała wrażenie dumnej i szczęśliwej.

- Powinnaś czynić to, co ci zadano. Już Bóg zadba o dziecko.

Nie rozumiem niczego z tego, co ona mówi - westchnęła Scarlett. Ale strach - początkowo tak silny - z wolna ją opuszczał. Wypiła to, co w filiżance podała jej Kicia, chłonąc przyjazną ciszę i ciepło przesyconej zapachem ziół izby, zadowolona, że Kicia lubiła tu przychodzić.

Równie była zadowolona z tego, że Kicia lubiła przebywać w wieży. Zanim wróciła do Dublina, kazała wykonać nową, mocniejszą drabinkę sznurkową.

W tym roku na wyścigi wybrała się Scarlett do Punchestown. Została zaproszona na dwór biskupi, do siedziby hrabiego Clonmell znanego jako „Hrabiątko”. Ku jej radości także Jan Morland otrzymał zaproszenie. Ku jej wielkiemu niezadowoleniu, wśród gości znajdował się także Luke Fenton.

Scarlett rzuciła się w stronę Morlanda, ledwie zdążyła go zauważyć.

- Bart! Co u pana słyhać? Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takiego piecucha, jak pan. Wszędzie, gdzie byłem, rozglądałem się, czy i pana nie zobaczę, ale nigdzie się pan nie pokazywał.

Morland rozpromienił się ze szczęścia i głośno pstryknął palcami.

- Byłem bardzo zajęty - odparł. - I to czymś bardzo szlachetnym. Muszę wygrać, jestem tego pewny. Po tych wszystkich latach wreszcie zwyciężę.

Mówił o tym samym, co zawsze. Bart tak kochał swe konie, że zawsze, co roku, „najmniejszej wątpliwości” nie podlegało, iż każde źrebię z tych, które wystawił, zdobędzie Wielki Puchar. Scarlett miała ochotę go uściskać. Kochała Morlanda, choć w niczym nie przypominał jej Retta.

- ...imieniem Diana, bystra, zwinna, ma w sobie wszystko, co trzeba, sama pani wie, droga Scarlett. Ode mnie John. Pomijając kwestie natury biologicznej, czuję się właściwie jej ojcem. Dijon od nich pochodzi. Musztarda, tak sobie myślałem, do niczego się nie przyda. Zbyt francuska jak na irlandzkiego ogiera. Ale potem jeszcze raz przemyślałem sobie całą tę sprawę. Gorąca, ognista, taka szybka, że jak patrzysz, to aż obraz ci się rozmazuje, nie nadążasz z oczami. To nie najgorszy charakter. Jeden z rodzaju tych, do których nigdy nie miałem szczęścia: wyjdę z nią na cało, no i już. Taka jest Dijon. Wywalczy dla mnie fortunę. Postaw na nią piątaka, to pewny typ.

- Postawię dziesiątaka, Bart.

Właśnie zaczęła się zastanawiać, jakby tu zmusić go, żeby wspomniał o Recie. Na to, co mówił dotychczas, w ogóle nie zważała.

- ...będzie naprawdę ciężko, jeśli się nie mylę. Moi dzierżawcy ogłosili mi strajk i nie płacą dzierżawnego... wymyśl tej Ligi. Zostawili mnie bez pieniędzy, tak że nie mam za co kupić owsa. Dziwię się teraz, jak mogłem tak wysoko trzymać o Parnellu. Nigdy nie sądziłem, że ten człowiek poda rękę temu barbarzyńskiemu Bractwu.

W Scarlett zakrzepła krew. Nigdy by nie przypuszczała, że Liga może się zwrócić przeciwko człowiekowi takiemu jak Bart.

- Aż trudno w to uwierzyć. I co teraz pan zrobi?

- Jeśli wygra tutaj, albo zdobędzie któreś z punktowanych miejsc, zabiorę ją do Galway, a potem do Phoenix Park. Może jednak zdążę się jeszcze wcisnąć na jakieś małe gonitwy w maju i w czerwcu, żeby dać jej przedsmak tego, co ją czeka.

- Bart, ale ja pana nie pytam o Dijon. Chciałabym wiedzieć, co zamierza pan w związku z tym strajkiem.

Morland jakby poszarzał na twarzy.

- Sam nie wiem... Żyję jedynie z czynszów. Nigdy nie przeprowadzałem eksmisji, nawet do głowy by mi nie przyszło. Teraz jednak, kiedy przyparli mnie do muru, mogę zostać do tego zmuszony. Co za hańba!

Scarlett myślała o Ballyhara. Przynajmniej tyle kłopotów zostało jej oszczędzone. Podarowała wszystkie czynsze, zrezygnowała z dzierżawnego aż do końca zniw.

- Aha... byłbym zapomniał. Od pani amerykańskiego przyjaciela otrzymałem dobre wiadomości... o Recie Butlerze mówię.

Scarlett aż serce zamarło.

- I co? Przyjeżdża?

- Nie. Chociaż się go spodziewałem. Bo napisałem do niego o Dijon, no, rozumie pani... Ale odpisał mi, że niestety nie może przybyć. W czerwcu zostanie ojcem. Tym razem postanowił zachować szczególną ostrożność, już od miesiąca nie pozwala żonie wychodzić z łóżka, aż minie wszelkie niebezpieczeństwo. Nie chce, żeby powtórzyło się to, co już raz musiał przeżyć. Jednak wszystko wskazuje na to, że tym razem wszystko pójdzie jak po maśle. Ona jest zdrowa i szczęśliwa jak skowronek. On, rzecz jasna, też. Jak żyję nigdy jeszcze nie widziałem mężczyzny, który tak bardzo byłby dumny ze swego ojcostwa, jak Rett.

Scarlett musiała wesprzeć się o poręcz krzesła. Jeśli bowiem aż po dziś dzień pozwalała sobie śnić na jawie, oddawała się utopijnym marzeniom, żywiła nadzieję, teraz wszystkie one zniknęły, rozwiały się i przepadły.

* * *

„Hrabiątko” zarezerwował dla swoich gości całą trybunę, oddzieloną od reszty miejsc kratami z kutego żelaza. Scarlett stała jak inni, spoglądając na tor przez *lorgnon* w oprawie z macicy perłowej. Murawa toru lśniła szmaragdowo, długi owal tętnił życiem, pełen ruchów i barw. Ludzie stali na wozach, na ławkach, na dachach powozów, przechadzali się dookoła pojedynczo i w grupach, cisnęli się przy wewnętrznej barierze.

Zaczęło padać. Scarlett dziękowała Bogu, że nad lożą jest jeszcze drugie piętro. W

ten sposób uprzywilejowani bywalcy nie dość, że mogli sobie usiąść, to jeszcze mieli dach nad głową.

- Dobre widowisko - roześmiał się Bart Morland.

- Uważasz, że jest w tym coś zabawnego? - ktoś szepnął Scarlett do ucha. Poznała ten głos.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji, Luke.

Gdy dżokeje wyszli na murawę, Scarlett pokrzykiwała i biła brawo wraz z innymi. Dobre dwadzieścia razy zgodziła się z Janem Morlandem, że nawet gołym okiem można wyłowić jego Dijon spośród całej stawki jako najpiękniejsze zwierzę. I gdy tak sobie rozmawiała, gdy tak się uśmiechała, w głębi ducha rozważała wszystkie wybory, jakich musiała dokonać w życiu, wszystkie „za” i „przeciw”. Poślubić Fentona? Bardzo niehonorowo. Chciał dziecka, ona zaś nie mogła mu urodzić potomka. Mogła mu dać tylko Kicię, która z nim byłaby bezpieczna i pewna przyszłości. Nikt nigdy nie śmiałby kwestionować jej pochodzenia. No, może ci i owi półgębkiem wyrażaliby pewne wątpliwości, to jednak zupełnie się nie liczy. W ostateczności zostanie **Tą O'Hara**, panią na Ballyhara, hrabiną Kilmessan.

Zresztą cóż jestem winna Luke'owi Fentonowi? Honorowe postępowanie? Sam nie ma za grosz honoru, dlaczego ja miałabym postępować wobec niego honorowo?

Dijon wygrała. Jan Morland był zachwycony. Wszyscy tłoczyli się wokół niego, coś krzyczeli, poklepywali go po plecach.

Wykorzystując chwilę radosnego zamieszania Scarlett zwróciła się do Fentona.

- Proszę powiedzieć swemu adwokatowi, żeby porozumiał się z moim co do intercyzy - rzekła. - Ślub odbędzie się pod koniec września. Po Dożynkach.

* * *

- Columie, zamierzam poślubić hrabiego Kilmessan - powiedziała Scarlett.

Roześmiał się.

- A ja poślubię Lilit. Żeby było wesoło na weselu, gdzie gości będzie bawić czarica czereda.

- To nie żart.

Jego śmiech ucichł jak ucięty mieczem, spojrzał na bladą twarz Scarlett, na jej zdecydowanie zaciśnięte usta.

- Nie pozwalam! - krzyknął. - Ten mężczyzna to diabeł wcielony i Anglik.

Scarlett wystąpiły czerwone plamy na policzkach.

- Co? Ty... ty nie pozwalasz? - spytała, mocno akcentując ostatnie słowo. - Co ty

sobie myślisz, że kim niby jesteś? Bogiem?

Podeszła do niego. Oczy jej płonęły, stanęła tuż przed nim, omal nie dotykając jego twarzy.

- Posłuchaj mnie, Columie O'Haro, dobrze mnie posłuchaj! Ani ty, ani ktokolwiek inny nie śmie mówić do mnie w ten sposób. Nie zniosę tego!

Stali tak przez nieskończenie długą chwilę próbując, które dłużej wytrzyma: dorównywali sobie siłą spojrzenia, dorównywali siłą gniewu. Wreszcie Colum odchylił głowę nieco w bok i uśmiechnął się.

- Och, Scarlett, kochanie - powiedział - czyż to nie porywczosć właściwa charakterowi O'Harów wkłada nam do ust słowa, których wcale nie chcielibyśmy wyrzec? Proszę cię o wybaczenie. Omówimy tę sprawę w spokoju.

Scarlett zrobiła krok do tyłu.

- Nie czaruj mnie, Columie - rzekła ze smutkiem w głosie - bo i tak ci nie wierzę. Przyszłam porozmawiać z moim najlepszym przyjacielem, a cóż widzę, nie mam go... i może nigdy go nie miałam.

- Nie, Scarlett, to nie tak.

Jej plecy zgarbiły się na moment, przygnębiona wzruszyła ramionami.

- Nieważne. Postanowiłam. Wychodzę za mąż za Luke'a Fentona. We wrześniu przenoszę się do Londynu.

- Hańbisz swój lud - w głosie Columa dźwięczała stal.

- To kłamstwo - zmęczonym głosem odpowiedziała Scarlett. - Powiedz to Danielowi pochowanemu w ziemi O'Harów... w tej ziemi, która była już od stuleci w obcych rękach. Albo powiedz to swym drogim przyjaciółom z Bractwa, którzy odkąd tu jestem wykorzystują mnie, jak tylko mogą. Ach, nie obawiaj się, Columie, do głowy nie przyszła mi myśl o zdradzie. Ballyhara pozostanie w stanie nie naruszonym, z zajazdem, gdzie uciekinierzy mogą znaleźć schronienie, i z *pubam*, gdzie możecie zmawiać się przeciwko Anglikom. Zostaniesz moim rządcą, zaś Mrs. Fitz będzie prowadziła Dwór tak, jak w tej chwili. Oto, o co naprawdę się troszczysz: miasteczko i gospodarstwo, nie ja.

- Nie! - z ust Columa wydarł się okropny krzyk. - Och, Scarlett, tkwisz w strasznym błędzie. Jesteś mi dumą i radością, a Kasia Colum trzyma me serce w swoich małych dłoniach. Irlandia jest moją duszą. Jej należy się pierwszeństwo.

Wzniósł ku niej ręce w geście błagania.

- Powiedz, że mi wierzysz, bo mówię szczerą prawdę.

Scarlett zmusiła się do uśmiechu.

- Wierzę. Ale ty musisz uwierzyć mnie. *Cailleach* powiedziała: „Rób, co do ciebie należy”. Sam postępujesz nie inaczej, Columie. Pozwól więc, że i ja będę podobnie postępować z moim życiem.

* * *

Scarlett wracała do Dworu powłócząc nogami. Było to tak, jak gdyby całe brzemie, które czuła na sercu, obciążało jej stopy. Scena z Columem głęboko ją zraniła. Poszła do niego, by mu się zwierzyć, by znaleźć schronienie, poszła w poszukiwaniu zrozumienia i współczucia, wbrew nadziei ufała, że Colum wymyśli coś, co pozwoli jej zejść ze ścieżki, na którą wkroczyła. Colum ją zawiódł i teraz była bardzo samotna. Bała się powiedzieć Kici, że muszą rozstać się z drzewami wokół Dworu, z wieżą, która tyle dla niej znaczyła.

Ale reakcja Kici podniosła ją na duchu.

- Lubię miasta - krótko stwierdziła dziewczynka. - Lubię, bo tam są ogrody zoologiczne.

Dobrze zrobiłam - pomyślała Scarlett. Teraz wiem to na pewno. Po czym poszła do Dublina, żeby przywieźli dla Kici książeczkę z londyńskimi widokami, jednocześnie prosząc Mrs. Sims o wyznaczenie terminu miary. Musi uszyć sobie suknię ślubną.

Kilka dni później przybył posłaniec od Fentona, z listem i paczką. W liście hrabia donosił, że pozostanie w Anglii aż do tygodnia przez ślubem. Zapowiedzi ukażą się nie wcześniej, niż w Londynie skończy się sezon zimowo - wiosenny. Suknia ślubna Scarlett winna dostosować się krojem go garniturem biżuterii, który posyła przez posłańca.

Ach, zatem ma dla siebie jeszcze całe trzy miesiące! Trzy miesiące spokoju. Nikt nie będzie zasypywał jej pytaniami, nikt nie będzie narzucał się z zaproszeniami, dopóki nie zostaną ogłoszone zaręczyny, a to jeszcze ciągle trzy miesiące!

W paczuszcze znalazła prostokątne, płaskie pudełko opięte wołową skórą delikatnie wytłaczaną w złote ornamenty. Scarlett uniosła wieczko... i westchnęła. Wewnątrz szkatułka była wysłana szarym aksamitem, tak udrapowanym, by poukładane w osobnych przegródkach naszyjnik, dwie bransoletki i para kolczyków rozblęły pełnym blaskiem.

Oprawne w ciężkie stare złoto, matowe, prawie brązowe, krwistoczerwone rubiny, każdy wielkości paznokcia u kciuka, doskonale harmonizowały z oprawą. Kolczyki były to po prostu dwa owalne rubiny zwieszane u zawiłych kształtów złotych guzów. W

bransoletkach kamieni było po kilkanaście, naszyjnik zaś tworzyły dwa sznury rubinów spojonych wyzywająco grubymi złotymi ogniwami. Po raz pierwszy w życiu Scarlett naocznie mogła się przekonać, czym różni się biżuteria od klejnotów. Nikomu bowiem nie przyszłoby do głowy określić te rubiny mianem „biżuterii”. Były to niewątpliwie klejnoty. Gdy zapinała bransolety na przegubach dłoni, palce jej drżały. Sama nie mogła zapiąć naszyjnika - musiała zadzwonić po Peggy Quinn. A kiedy wreszcie rzuciła pierwsze spojrzenie do lusterka, aż westchnęła. Ciemna purpura rubinów podkreśliła alabastrową biel jej skóry. Włosy zdały się ciemniejsze i bardziej błyszczące. Usiłowała przywołać z pamięci obraz diademu... tak, również złoto wysadzone rubinami. Przedstawiana na dworze królewskim sama będzie wyglądać jak królowa. Zmrużyła oczy. Londyn obiecywał zabawę bardziej wymagającą niż Dublin, wyzwanie było większe. Kto wie, może nauczy się lubić to miasto, i to nawet bardzo lubić...

* * *

Peggy Quinn nie traciła czasu: z szybkością błyskawicy rozpowiadała służbie i rodzinie w miasteczku, co zamyśla jej pani. Cudowny garnitur klejnotów, bramowany gronostajami szkarłatny tren, no i przede wszystkim te tygodnie wspólnych wyścigów i porannych kawuś mogły oznaczać tylko jedno: **Ta O'Hara** zamierza poślubić tego zdziercę i łotra hrabiego Kilmessan.

A co się z nami stanie? Owo pytanie, z nim zaś strach o przyszłość, jak pożar przeskakiwało z chaty do chaty.

* * *

W kwietniowy dzień Scarlett i Kicia jechały wśród pszenicznych pól. Dziewczynka marszczyła nos - w powietrzu unosił się ostry zapach świeżo rozrzuconego nawozu. Stajnie nigdy nie pachniały w ten sposób, bo gnój uprzątno codziennie. Scarlett, widząc niezadowoloną minę córeczki, roześmiała się.

- Nigdy mi nie krzyw noska na nawóz, Kiciu O'Haro. Dla rolnika ten zapach to niby słodka perfuma, a przecież w twoich żyłach płynie krew rolnika. Chciałabym, żebyś nigdy o tym nie zapomniała.

Potoczyła wzrokiem po zaoranych, obsianych i użyźnionych akrach. Czowała, jak rośnie w niej duma. To moje. Ja przywróciłam tę ziemię do życia. Zdawała sobie sprawę z tego, że gdy przeprowadzi się do Londynu, bardzo jej będzie brakowało tego wszystkiego, co wiązało się z pracą na roli. Zawsze jednak zachowa ten epizod swego życia we wdzięcznej pamięci, zawsze będzie z tego zadowolona. W sercu na zawsze

pozostanie **Tą O'Hara**. A pewnego dnia, gdy już podrośnie i sama będzie mogła się bronić, powróci tu Kicia.

- Nigdy, nigdy nie zapominaj, skąd pochodzisz - przykazywała dziecku. - Zawsze bądź z tego dumna.

* * *

- Musi mi pani przysiąc na Biblię, że żywej duszy nie zdradzi pani, z czym do niej przychodzę - rzekła Scarlett, nim jeszcze wyjawiała Mrs. Sims prawdziwe powody swej wizyty.

Najlepsza krawcowa w Dublinie zmierzyła Scarlett lodowatym spojrzeniem.

- Mrs. O'Hara, nigdy nikomu nie dałam powodu do powątpiewania w moją dyskrecję.

- Dobrze - westchnęła Scarlett. - Otóż, Mrs. Sims, wychodzę za mąż, a pani uszyje mi suknię ślubną.

Wyjęła szkatułkę z klejnotami, uniosła wieczko i pokazała Mrs. Sims rubinowy garnitur.

- Taką suknię, żeby pasowała do tych klejnotów. Mrs.

Sims szeroko otworzyła oczy i usta, które ułożyły się w jedno wielkie *Ooo!* Ta krótka i bardzo jednoznaczna reakcja była Scarlett zapłatą za godziny tortur, w które zawsze zamieniały się długie przymiarki pod dyktatorskim okiem krawcowej. Na widok rubinów Luke'a Fentona Mrs. Sims przeżyła prawdziwy wstrząs - taki, jakiego doznaje kobieta raz na dziesięć lat.

- Czy nie myślę się w swym przypuszczeniu, że do tych klejnotów założy pani gronostaje, Mrs. O'Hara?

- Oczywiście, założę gronostaje.

- To przesądza o wszystkim - westchnęła Mrs. Sims. - Suknia musi być z białego aksamitu, a na nim koronkowa narzutka. Koronki galwaiskie będą najodpowiedniejsze. Ile mam czasu? Bo najpierw trzeba zrobić koronki, po czym każdy kwiat wszyć w aksamitny spód, każdy jeden z osobna. To potrwa.

- Trzy miesiące wystarczą?

- Tak krótko?... - Mrs. Sims wypielegnowanymi palcami rozwichrzyła starannie ułożoną fryzurę. - Chwileczkę, muszę pomyśleć... jeśli zatrudnię dodatkowo dwie szwaczki... jeśli zakonnice zdążą z koronką... no tak, ale to będzie najśłynniejszy ślub w całej Irlandii... na Wyspach w ogóle... Nie ma co, robota musi być zrobiona na czas...

Nagle uświadomiła sobie, że głośno myśli i dłonią zakryła usta. Za późno.

Scarlett z serca jej wybaczyła. Wstała i wyciągnęła rękę.

- Powierzam zatem losy mojej sukni w pani ręce, Mrs. Sims. Zawsze w panią wierzyłam. Proszę mi dać znać, kiedy mam przyjechać do pierwszej miary.

Mrs. Sims ścisnęła jej dłoń.

- O, nie, Mrs. O'Hara. To ja do pani przyjadę. I, jeśli pani tak łaskawa, proszę mówić do mnie „Daisy”.

* * *

Słoneczne dni nikogo już nie cieszyły. W Powiecie Meath rolnicy obawiali się, że i ten rok będzie podobny do minionego. W Ballyhara potrząsano głowami i przepowiadano wszystko, co najgorsze. Czyż nie widziano, jak podrzutek wychodził z chaty wiedźmy? Molly Keenan widziała na własne oczy. A innym znowu razem Paddy Conroy widział diabelski pomiot, ale że sam szedł do wiedźmy, nie zdradził się z tym nikomu, tylko w świętej spowiedzi ulżył swemu sercu. A czy nie słyszano, jak puszczyki hukają w biały dzień w pobliżu Pike Corner, a to znowu Mrs. Macgruder zdechł w nocy cielak - medalista, tak zupełnie bez powodu. I mimo że w ciągu następnych dni padało, deszcze nie zatrzymały plotek.

* * *

W maju Colum udał się wraz ze Scarlett do Drogheda, na jarmark, żeby wynająć parobczaków. Pszenica dobrze wzeszła, trawa prawie już na tyle podrosła, że można było myśleć o sianokosach, kartofle pięknie się zieleniły zdrowymi listkami. Całą drogę Colum i Scarlett przebyli w niezwykłym milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Colum martwił się niezwykłą ruchliwością oddziałów milicji w Powiecie. Cały regiment miał przybyć do Navan - mówili informatorzy. Działalność Ligi Krajowej należało ocenić bardzo wysoko - sam Colum byłby ostatnim człowiekiem, który nie chciałby uznać zwycięstwa, jakim było obniżenie dzierżawnego. Ale strajki bardzo wzburzyły ziemian. Teraz, jeśli dokonywano eksmisji, to już bez uprzedzenia i podpalano strzechy, zanim mieszkańcy zdążyli wynieść dobytek. Słyszało się, że w płomieniach zginęło dwoje dzieci. Następnego dnia jacyś żołnierze zostali w odwecie pokiereszowani. W Mullingar aresztowano trzech członków Bractwa, wśród których znalazł się Jim Dały. Namawianie do stawiania oporu byłoby rzeczą daremną, choćby nawet przesiadywał w *pubie* dzień i noc, i to przez okrągły tydzień.

Scarlett zachowała w pamięci jarmark tylko z jednego powodu - gdy była tam rok temu, spotkała Retta i Barta Morlanda. Teraz jednak bała się choćby spojrzeć w stronę

końskiego targu. Kiedy zaś Colum zaproponował jej przechadzkę po jarmarku, tak tylko, żeby wzrok nacieszyć, omal nie krzyknęła, że nie, że chce wracać do domu. Od dnia, gdy zdradziła się mu z zamiarem poślubienia Luke'a Fentona, między nimi ziała niewidoczna przepaść. Wprawdzie Colum zachowywał się poprawnie, lecz jego oskarżycielskie, gniewne spojrzenia mówiły wszystko.

To samo z Mrs. Fitz. Cóż oni sobie myślą, że niby kim są, by ją osądzać? Cóż oni wiedzą o smutkach i niepokojach, które ją trapią? Czyż nie dość im, że gdy przeniosę się do Londynu, zostawię im Ballyhara? Przecież w gruncie rzeczy tylko na tym im zależało. Nie, to niesprawiedliwe. Colum był jej prawie bratem, Mrs. Fitz była jej przyjaciółką. Ale tym bardziej zatem powinni jej okazywać współczucie. To niesprawiedliwe. Scarlett zdało się nagle, że wszędzie, w oczach wszystkich widzi dezaprobatę, że wszyscy spoglądają na nią z wyrazem potępienia na twarzach, nawet sklepikarze z miasteczka, choć przecież aż w głowę zachodziła, co by tu można u nich kupić, by zasilić ich kasy w tych chudych miesiącach przednówka. Nie bądź głupia - karciała się czasami. Wszystko to sobie wmawiasz, ponieważ nie jesteś przekonana o słuszności tego, co robisz. A dobrze robisz. Dobrze ze względu na Kicię, dobrze ze względu na siebie. Poza tym niech każdy pilnuje swego i nie wtyka nosa w nie swoje sprawy. Wszystko ją irytowało - wszystko i wszyscy z wyjątkiem Kici, ale ją akurat rzadko ostatnio widziała. Pewnego razu nawet wspięła się po paru stopniach sznurkowej drabiny, zaraz jednak zrezygnowała i zawróciła. No nie, przecież jestem dojrzałą kobietą - napomniała się. Nie będę ganiała za własnym dzieckiem, żeby się wypłakać i znaleźć pocieszenie. Wobec tego rzuciła się w wir zajęć. Pracowała przy sianokosach, szczęśliwa, że ma jakieś zajęcie, szczęśliwa, że wieczorami, po pracy, bołą ją ręce i łamie w nogach. Szczęśliwa, że siano się udało. Z wolna opuszczały ją obawy, że w tym roku, jak w poprzednim, grozi nieurodzaj.

Noc Świętego Jana dopełniła radości. Ognisko rozpalono większe niż kiedykolwiek, a muzyka i tańce były dokładnie tym, czego potrzebowały jej napięte nerwy i nadwreżona dusza, by odprężyć się i odzyskać siły. Gdy nad polami Ballyhara gromkim echem przetoczył się toast na cześć **Tej O'Hary**, Scarlett poczuła, że wszystko wróciło na swoje miejsce.

Niemniej jednak było jej nieco przykro, że odrzuciła wszystkie zaproszenia tego lata i że nigdzie nie pojedzie w gości. Ale nie było innego wyjścia, bała się zostawić Kicię samą. Teraz jednak czuła się bardzo samotna, miała za dużo czasu wolnego, za dużo czasu, żeby myśleć i martwić się. Była więc bez mała szczęśliwa, gdy dostała utrzymany

w tonie prawie histerycznym telegram od Mrs. Sims: klasztor w Galway nie dostarczył na czas koronki, a chociaż słała listy i telegramy, nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Scarlettomal się nie uśmiechnęła, gdy zajeżdżała bryczką na stację kolejową w Trim. Miała już niejaki doświadczzenie w toczeniu bojów z Matkami Przełożonymi i była zadowolona, że tym razem nie brak jej jasnego powodu do walki.

89.

Czasu było akurat tyle, by wpaść do pracowni Mrs. Sims, uspokoić krawcową, chwycić kartkę z wymiarami i wzory koronek, a następnie pognać na stację na pierwszy poranny pociąg do Galway. Scarlett wygodnie usadowiła się w fotelu, otworzyła gazetę.

Panienko Najświętsza, więc to już. *Irish Times* wydrukował właśnie zapowiedzi, i to na tytułowej stronie. Scarlett zerknęła w stronę towarzyszy podróży, by upewnić się, czy i oni czytają tę gazetę. Ubrany w sportową marynarkę mężczyzna wetknął nos w magazyn sportowy. Jakaś ładnie ubrana kobieta grała z jakimś chłopcem - chyba synem - w karty. Tylko ona, Scarlett, czytała *Timesa*. Obok krótkich zawiadomień, kto i kiedy zamierza wstąpić w związek małżeński, znajdowały się obszernie komentarze gazety. Scarlett uśmiechnęła się, czytając o Mrs. O'Harze, pani na Ballyhara, która jest „cudowną ozdobą najściślejszego grona gości Jego Ekscelencji” oraz „wyborną, pełną polotu i fantazji amazonką”.

Wzięła ze sobą tylko jedną niewielką walizeczkę, więc w drodze do pobliskiego hotelu towarzyszył jej tylko jeden bagażowy.

W recepcji kłębiło się od ludzi.

- Co tu się dzieje, u licha? - spytała Scarlett.

- Wyścigi - odpowiedział bagażowy. - Chyba nie była paniusia na tyle nierozważna, żeby przyjechać tutaj o niczym nie wiedząc? W całym mieście nie ma jednego wolnego łóżka.

Bezczelny - pomyślała Scarlett. Poczekaj, już ja ci dam napiwek.

- Proszę zaczekać - powiedziała.

Przebiła się przez tłum do recepcji.

- Chcę mówić z właścicielem.

Zaniepokojony recepcjonista zmierzył ją od stóp do głów.

- Tak, oczywiście - bąknął. - Pani będzie łaskawa zaczekać chwilkę.

Zniknął za mleczną, zdobną w bogate ornamenty kryształową szybą. Wrócił z łysawym mężczyzną w czarnym surducie i w spodniach z lampasami.

- Jakieś skargi, *madame*? Przypuszczam, że służba hotelowa w czas wyścigów stara się jak może, powiedzmy, wszyscy dwoją się i troją, byleby nie zaniedbać się w doskonałości. Jeśli łaskawa pani narzeka na niewygody...

Scarlett przerwała mu.

- Istotnie, pamiętam ten hotel ze względu na doskonałą obsługę.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

- I dlatego pragnęłabym zatrzymać się w pańskim hotelu. Tylko na dzisiejszą noc. Jestem Mrs. O'Hara, pani na Ballyhara.

Obłudna grzeczność łysawego człowieczka wyparowała jak sierpniowe rosy.

- Pokój na noc? Dzisiaj? To jest po prostu...

Recepcjonista pociągnął go za rękaw. Mężczyzna w surducie zerknął, nachylił się, a wtedy recepcjonista szepnął mu coś do ucha, postukując palcem w leżącą na kontuarze gazetę, *Irish Times*.

Człowieczek skłonił się przed Scarlett. Usteczka aż mu drżały, tak ochoczo chciałby jej usłużyć.

- Wielki to dla nas zaszczyt, Mrs. O'Hara. Mam nadzieję, że zechce pani przyjąć gościnę w naszym specjalnym apartamencie, najznamienitszym w Galway, jako honorowy gość naszego hotelu. Czy ma pani jakiś bagaż? Boy natychmiast zanieś na górę.

Scarlett wskazała na bagażowego. Rzeczywiście, zostać hrabiną to nie byle co.

- Proszę to wstawić do pokoju. Ja przyjdę później.

- Natychmiast, *madame*.

W głębi ducha Scarlett żywiła cichą nadzieję, że wcale nie będzie musiała nocować w *Hotelu Kolejowym* i że jeszcze popołudniowym pociągiem zdąży wrócić do Dublina - kto wie, może nawet wczesnym popołudniem, a wtedy zdąży na pociąg do Trim. Bogu dziękować, dni są długie, Jeśli trzeba, można jechać i do dziesiątej wieczorem. A teraz przekonajmy się, czy i na mniszkach nazwisko „Fenton” wywiera odpowiednie wrażenie. Niedobrze, że Luke jest protestantem. Chyba nie powinnam żądać od Daisy Sims przysięgi milczenia.

Pogrążona we własnych myślach ruszyła w stronę drzwi.

Pfuj, jaki śmierdzący tłum. Na torze pewnie padało i te wszystkie tweedy im pomokły, a teraz schną i cuchną. Scarlett wepchnęła się między dwóch żwawo gestykulujących mężczyzn o nalanych czerwienią twarzach. Zderzyła się z Janem Morlandem, lecz gdy podniosła wzrok, z trudem go poznała. Sprawiał wrażenie człowieka ciężko chorego. Jego rumiana zazwyczaj twarz była blada, w jego ciepłych, inteligentnych oczach daremnie szukać by isierki dowcipu.

- Bart, mój drogi, nic się panu nie stało?

Sprawiał wrażenie osoby, która ma trudności ze skupieniem wzroku w jednym punkcie.

- Och, przepraszam panią, Scarlett. To moja wina. Jeden kieliszek za dużo i skutki

widać.

O tej porze? Jan Morland z wszelką pewnością nie należał do osób, które z upodobaniem zaglądają do kieliszka, a już na pewno nie przed *lunchem*. Mocno chwyciła go pod rękę.

- Proszę, niech pan się ze mną pofatyguje, Bart. Najpierw filiżanka mocnej kawy, potem coś do jedzenia.

Skierowali się do jadalni. Morland stąpał bardzo niepewnie. Scarlett za to była już pewna, że jednak przenocuje w Galway. Co tam koronki! Bart był dla niej ważniejszy. Co też mu się stało? Gdy wypił kilka filiżanek bardzo mocnej kawy, poznała przyczynę całego nieszczęścia. Jan Morland załamał się i rozplakał.

- Spalili mi stajnie... - powtarzał głośno chlipiąc. - Spalili mi stajnie. Wziąłem Dijon na gonitwę w Balbriggan, taką zupełnie prowincjonalną... myślałem sobie: niech tam pobiega po piaseczku, jeśli lubi. A kiedy wróciliśmy, ze stajni zostały pogorzeliiska. Boże, ależ śmierdzą! Jak strasznie śmierdzą... Śnią mi się żywcem palone konie... kwiczą ze strachu... słyszę je nawet za dnia, kiedy nie śpię.

Scarlett zaniemówiła. Usta jakby jej zakneblowało. Odstawiła filiżankę na spodeczek. To niemożliwe, żeby ktoś rozmyślnie podłożył ogień. Niemożliwe, żeby człowiek był w stanie popełnić coś równie okropnego. To na pewno nieszczęśliwy wypadek.

- To zrobili moi dzierżawcy. Rozumiesz, wszystko z powodu czynszów. Ale jak to możliwe, że tak bardzo mnie znienawidzili? Zawsze usiłowałem być dobrym gospodarzem, zawsze... Dlaczego nie spalili mi dworu? Bo na przykład takiemu Edmundowi Barrow to właśnie dom spalili. Mogliby nawet spalić mnie w środku, wcale bym się tym nie przejął. W ogóle niczym bym się nie przejął, gdyby oszczędzili konie. Na miłość Boską, Scarlett, może pani wie, co złego zrobiły im moje biedne, spalone konie.

Cóż mogła mu odpowiedzieć? Stajnie i konie były dla Barta wszystkim. Ale, ale... przecież Dijon była wtedy na wyścigach. Ocalił więc Dijon, która tyle dumy i radości mu przysparzała.

- Przecież ocalił pan Dijon - powiedziała. - Przecież może pan wystawiać ją do wyścigów, może się pan nią zajmować. To piękna klacz, najpiękniejsza, jaką widziałam. Jeśli chcesz, możesz zająć stajnie w Ballyhara. Już pan nie pamięta? Sam pan powiedział, że są jak katedra. Możemy zainstalować tam organy. Będzie pan wychowywał swoje konie na muzyce Bacha. Nie wolno dopuścić, by los nami pomiatał,

trzeba iść ciągle do przodu. Wiem coś o tym, kiedyś życie tak mną pomiatało, że znalazłam się na samym dnie. Nie powinien pan ot tak, zrezygnować. Nie wolno panu się poddać.

Oczy Jana Morlanda były niczym wystygły na popiół żar.

- Dzisiaj o ósmej wieczorem odpływam do Anglii. Nigdy w życiu nie chcę widzieć irlandzkiej twarzy, ni słyszeć głosu Irlandczyka. Gdy przyszło do licytacji za długi, ukryłem Dijon w bezpiecznym miejscu. Dziś po południu występuje w „gonitwie z pretensjami”, a gdy wyścigi się skończą, pożegniam się z Irlandią, na zawsze.

Spojrzenie jego oczu, tak tragiczne, nareszcie mogło się skupić w jednym punkcie. Oczy Barta wreszcie wyschły. Scarlett już by wolała, żeby się rozplakał, niż tkwił tak, odrętwiały. Gdy płakał, mogła być pewna, że coś czuje. Teraz wyglądał tak, jak gdyby w ogóle nie był zdolny do uczucia. Wyglądał niczym trup.

Spoglądając tak stała się świadkiem zadziwiającej przemiany. Bo oto, wysiłkiem woli, sir Jan Morland powrócił do życia. Baronet Jan Morland. Ramiona, dotychczas obwisłe, napęczniały grą mięśni, jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

- Biedna Scarlett, obawiam się, że czuje pani się niczym przepuszczona przez wyżymaczkę. Oczywiście, to moja wina. Nie powinienem był pani mówić o tym, to było nieludzkie z mojej strony. Proszę o wybaczenie. Ale jakoś to naprawię. Niech pani będzie dobrą dziewczynką, wypije kawę i pójdzie ze mną na tort. Postawię za panią piątaka na Dijon, a za wygraną, gdy pokaże ogon reszcie stawki, kupi pani sobie szampana.

Z wszystkich ludzi, których spotkała w życiu, nie było nikogo, kogo darzyłaby szacunkiem tak wielkim jak Jana Morlanda w tej chwili. Znalazła w sobie dość sił, by się uśmiechnąć, tak by jego uśmiech nie pozostał nieodwzajemniony.

- Do pańskiego piątaka, Bart, dorzucę jeszcze mojego, żeby było na kawior. Interes stoi?

Splunęła na dłoń, wyciągnęła rękę. Morland splunął w garść, przybił i uśmiechnął się raz jeszcze.

- Grzeczna dziewczynka.

* * *

W drodze na tor Scarlett zastanawiała się, cóż to takiego te „wyścigi z pretensjami”. Drażąc głęboko w pamięci zdołała przypomnieć sobie, że wszystkie konie, które biorą udział w gonitwie, są wystawione na sprzedaż po cenie wyznaczonej przez właścicieli. Po wyścigu każdy miał prawo do kupna takiego konia, a właściciel miał obowiązek go

sprzedać. W przeciwieństwie do końskich jarmarków, tutaj nie można było się targować. Konie, o które nikt nie zgłosił „pretensji”, pozostawały przy właścicielach.

Scarlett ani przez chwilę nie wierzyła, żeby konie naprawdę mogły zostać sprzedane jeszcze przed rozpoczęciem gonitwy, niezależnie od reguł tego wyścigu. Dlatego gdy dotarli do toru, zapytała Barta o numer boksu, gdzie stała Dijon. Chce - jak twierdziła - sprawdzić, czy wszystko w porządku, a w razie potrzeby uporządkować.

Zaledwie odszedł, znalazła porządkowego i poprosiła go, by jej wskazał miejsce, gdzie może zgłaszać „pretensje” o wybranego konia. Miała nadzieję, że Bart wyznaczył odpowiednio wysoką cenę za Dijon. Chciała kupić tę klacz, a gdy osiedli się w Anglii, miała zamiar mu ją posłać.

- Co to znaczy, że Dijon jest już zajęta? Przecież to niemożliwe, by ktoś kupował konia przed rozpoczęciem wyścigu.

Biuraliście w cylindrze na pewno nie było do śmiechu.

- Nie pani jedna potrafi być przewidująca, *madame*. Przeworność to chyba cnota wszystkich Amerykanów, bowiem dżentelmen, który zamówił Dijon, także pochodzi z Ameryki.

- Podwajam stawkę.

- Ależ to niemożliwe, Mrs. O'Hara.

- A jeśli odkupię klacz od baroneta przed rozpoczęciem gonitwy?

- Wykluczone.

Scarlett ogarnęła czarna rozpacz. Musi zdobyć tę klacz dla Barta.

- Gdybym mógł coś zasugerować...

- Proszę, niech pan mówi. To dla mnie bardzo ważne.

- Może pani zapytać nowego właściciela, czy zgodzi się sprzedać Dijon.

- Rzeczywiście. Tak też i zrobię.

Jeśli trzeba, wyłoży bająnskie sumy. Amerykanin - twierdzi urzędnik. Tym lepiej. W Ameryce pieniądze mają siłę przekonywania.

- Może jeszcze zechce mi pan powiedzieć, gdzie mam szukać tego człowieka?

Mężczyzna w cylindrze przerzucił stos kartek.

- Tak, mam. Znajdzie go pani w *Jury's Hotel*. Ten adres mi podał. Nazywa się Butler.

Scarlett, która już chciała odejść, zatrzymała się w półobrocie. Omal nie straciła równowagi. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał dziwnie cieniutko.

- Chyba to niemożliwe, żeby ten pan nazywał się Rett Butler.

Minęło nieznośnie dużo czasu, nim urzędnik zdołał odnaleźć karteczkę i sprawdzić imię, zanim je odczytał, zanim się odezwał.

- Tak. Właśnie tak brzmi imię i nazwisko tego dżentelmena.

Rett! I to tutaj! Bart chyba napisał do niego list, napisał o pożarze stajni, o licytacji, o Dijon. Zrobił to, co i ona zrobiłaby na jego miejscu: przypląnął z Ameryki, by pomóc przyjacielowi.

Albo żeby zostać zwycięzcą w następnej gonitwie charlestońskiej. Nieważne. Nawet ten biedny, drogi i tragiczny Bart - Boże, wybacz - stracił na znaczeniu. Nic już się nie liczyło, byleby tylko ujrzeć Retta. Dopiero po paru chwilach Scarlett uświadomiła sobie, że biegnie, że przepycha się przez tłum bez słowa przeprosin. Diabli bierz wszystko i wszystkich. Rett jest tutaj. I to zaledwie w odległości stu jardów.

- Boks ósmy - wysapała do porządkowego. Wskazał jej ręką kierunek. Scarlett zmusiła się, by oddychać powoli, bo przecież musi się zjawić, jakby nigdy nic. Nikt nie może się domyślić, że serce wali jej jak młotem, nikt, prawda? Wspięła się po dwóch schodkach do ozdobionego kolorowymi wstążkami boksu. Na zewnątrz, na wielkim, wyłożonym murawą owalu toru dwunastu dżokejów w jaskrawo kolorowych ubrankach poganiało konie, byle szybciej do mety. Wszyscy wokół krzyczeli, ponaglali konie do jeszcze większego wysiłku, ale Scarlett niczego nie słyszała. Przed sobą miała Retta. Oglądał wyścig przez lornetkę polową. Chociaż stała w odległości dziesięciu stóp od niego, mogła poczuć ostry odór whisky. Chwiał się na nogach. Pijany? Nie, to nie w jego stylu. Zawsze miał mocną głowę. Czyż zatem nieszczęście Barta tak go zdenerwowało?

Spójrz na mnie! - błagało jej serce. Odłóż lornetkę i spójrz na mnie. Zwróć się do mnie po imieniu. A kiedy będziesz do mnie mówił, pozwól mi ujrzeć oczy twe. Pozwól mi dostrzec coś, co jest przeznaczone tylko dla mnie. Przecież kiedyś mnie kochałeś.

Okrzyki radości i jęki zawodu zakończyły wyścig. Rett drżącą ręką odsunął lornetkę od oczu.

- Bierz diabli, Bart, to już moja czwarta przegrana z rzędu - wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

- Witaj, Rett - powiedziała.

Raptownie odwrócił głowę. Ujrzała jego czarne oczy.

- Witaj, hrabino.

Przebiegł ją spojrzeniem od stóp do głów, od trzewików z kozłej skóry zaczynając na zdobnym w czaple pióra kapeluszu kończąc.

- Wyglądasz bardzo... kosztownie.

Nagle odwrócił się do Jana Morlanda.

- Powinieneś być mnie ostrzec, Bart. Zostałbym przy barze. Bywaj.

I zostawiwszy oszołomionego tą sceną Barta sam szybko wybiegł z boksu, prześlizgując się obok Scarlett.

Jej oczy rozpaczliwie ścigały znikającą w tłumie sylwetkę. Potem łyzy rozmyły ostrość widzenia.

Jan Morland niezgrabnie pogłaskał ją po ramieniu.

- Ja, droga Scarlett... ja cię przepraszam za Retta. Za dużo wypił. Że też jednego dnia musiałaś natknąć się na nas obu. Niewiele masz z nas pociechy.

„Niewiele pociechy”... chyba tak się wyraził? „Niewiele pociechy”... dobre mi określenie, gdy cię traktują z ciałem i duszą. Nie żądałam zbyt wiele. Tylko chciałam się przywitać, chciałam usłyszeć, jak wypowiada me imię. Co daje Rettowi prawo do gniewu i obrażania innych? Czyż nie mogę znowu wyjść za mąż po tym, jak mnie odrzucił niczym śmieć? A niech go piekło pochłonie. A niech go diabli porwą! Dlaczego tak się dzieje, że gdy on się ze mną rozwiedzie, to wszystko jest grzecznie, pięknie i Rett może poślubić przyzwoitą charlestoniankę i mieć porządne charlestońskie dzieci z prawego łóża, które kiedyś wyrosną na porządnym charlestońskim mieszczan, ale gdy ja chcę wyjść za mąż, to och! - jaka to hańba - i jaki to wstyd, gdy wydaję na świat jego własne dziecko, któremu daję wszystko to, co on mu dać powinien.

- Mam nadzieję, że potknie się o własne nogi i skręci sobie kark - powiedziała do Barta Morlanda.

- Niech pani nie będzie wobec niego nazbyt sroga, Scarlett. Tej wiosny Rett przeżył prawdziwą tragedię. Gdy widzę ludzi cierpiących, tak jak Rett, aż się rumienię, że rozpaczam nad pożarem stajni. Chyba mówiłem pani o jego nadziejach? Spodziewał się, że zostanie ojcem. Niestety, stało się coś potwornego, aż trudno uwierzyć. Najpierw, przy porodzie, odumarła go żona. Dziecko żyło cztery dni, potem zaś i ono poszło śladami matki.

- Co? Co? Proszę, niech pan to powtórzy.

Tak mocno potrząsnęła go za ramię, że aż kapelusz spadł mu z głowy. Jan Morland spoglądał na nią z konsternacją, niemalże z trwogą. Było w niej bowiem coś tak dzikiego, jakaś siła, coś, co gwałtownością przerastało wszystko, czego doświadczył. Powtórzył zatem, że żona Retta oraz jego dziecko nie żyją.

- Dokąd on poszedł? - krzyknęła Scarlett. - Bart, przecież pan musi wiedzieć,

przecież ma pan przynajmniej jakieś wyobrażenie co do tego, dokąd Rett mógł się udać.

- Nie wiem, Scarlett. Do baru... do hotelu... do *pubu*... dokądkolwiek.

- Czy miał zamiar odpłynąć z panem dzisiaj wieczorem do Anglii?

- Nie. Mówił mi natomiast, że chciałby wpaść odwiedzić paru przyjaciół. Zadziwiający z niego człowiek... wszędzie ma przyjaciół. Czy wie pani, że kiedyś był na safari z wicekrólem? Jakiś maharadża pełnił honory domu. Szczerze wyznam, jestem zaskoczony, że tak się upił. Nie pamiętam nawet, jak ostatniej nocy zaciągnął mnie do hotelu, położył na łóżku i tak dalej... Był w dobrej formie, siły na pewno mu dopisywały. Liczyłem na to, że jakoś pomoże mi przebić się przez ten dzisiejszy dzień. Ale kiedy rano zszedłem do hallu, usłyszałem od portiera, że Mr. Butler, czekając na mnie, kazał sobie podać kawę i gazetę, a potem nagle zerwał się i wybiegł z hotelu, nawet nie zapłaciwszy. Poszedłem więc do baru, żeby na niego poczekać... Scarlett, co się z panią dzieje? Nie mogę dzisiaj pani zrozumieć. Dlaczego pani płacze? Czy może powiedziałem coś niestosownego?

Scarlett świata nie widziała przez łzy.

- Och, nie, nie, nie, najdroższy, najukochańszy Barcie. Wcale nie powiedział pan niczego niestosownego. On mnie kocha. Kocha! To najlepsza, najstosowniejsza wiadomość, jaką mogłam usłyszeć.

Rett przybył po mnie. Oto i całe wytłumaczenie jego podróży do Irlandii. Nie przyplłynął tu z Ameryki, żeby od Barta kupić klacz, bo gdyby tylko na tym mu zależało, mógłby to zrobić przez pocztę. Przybył po mnie, gdy tylko znowu był wolny. Luke Fenton nie wejdzie mu w drogę. Niech sobie czeka na mnie tak długo, jak ja na niego czekałam. Muszę wracać do domu. Jeśli nawet nie wiem, gdzie go szukać, on mnie na pewno znajdzie. Rett Butler nie da się zauroczyć tytułami, gronostajami i diademami - to nie robi na nim żadnego wrażenia. Pożąda mnie i już on da sobie radę, żeby do mnie dotrzeć. Znam go, wiem, że mnie kocha. Cały czas miałam rację. Wiem, przybędzie do Ballyhara. Muszę być tam przed nim.

- Do zobaczenia, Bart, pora na mnie - powiedziała Scarlett.

- Nawet nie popatrzysz, jak Dijon wygrywa? A co z naszymi piątakami?

Jan Morland potrząsnął głową. Odeszła. Ci Amerykanie! Fascynujący ludzie, lecz on nigdy ich nie zrozumie.

* * *

Spóźniła się na pociąg do Dublina. Całe dziesięć minut za późno! Następny dopiero

o czwartej. Scarlett, sfrustrowana, przygryzła wargę.

- O której odjeżdża jakikolwiek pociąg w kierunku na wschód?

Mężczyzna za brązową kratą był potwornym flegmatykiem.

- Może pani jechać do Ennis, jeśli wola... Najpierw na wschód do Athenry, potem na południe. W składzie pociągu są dwa nowe wagony, bardzo ładne, jak mówią damy... Albo może pani jechać do Kildare... ale nie zdąży pani na ten pociąg, zawiadowca właśnie gwizdże na odjazd... Albo do Tuam, o, to bardzo krótka przejażdżka, tylko że to raczej na północ niż na wschód, ale lokomotywa jest najlepsza z wszystkich na linii Great Western... paniusiu?

Ale Scarlett właśnie wyplakiwała się w mundur mężczyzny, który stał przy szlabanie zamykającym drogę na peron.

- ... Zaledwie dwie minuty temu dostałam telegram... mąż wpadł pod wóz z mlekiem. Muszę zdążyć na pociąg do Kildare!

Kildare to już więcej niż pół drogi do Trim i Ballyhara. Jeśli trzeba, resztę drogi pokona na piechotę.

Każdy postój był dla niej męczarnią. Dlaczego ten pociąg tak się wlecze? Szybciej, szybciej, szybciej - powtarzała bezgłośnie w takt stukotu kół uderzających o szyny. Walizkę zostawiła w najlepszym apartamencie *Hotelu Kolejowego*, w klaszorze wstrętne zakonnice dziergają szydełkami, wykańczając ostatnie ornamenty szykownego haftu, lecz ani jedno, ani drugie nie miało w tej chwili najmniejszego znaczenia. Musi być w domu. Gdy Rett przybędzie, musi na niego czekać. Gdyby Jan Morland nie rozwodził się tak straszliwie, nim wreszcie powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć, zdążyłaby na pociąg do Dublina. Może nawet Rett jechał tym pociągiem? Gdy tak wypadł z boksu Barta, mógł pojechać dokądkolwiek, gdzie go oczy poniosą.

Trzy i pół godziny - prawie tyle czasu trwała podróż do Moate, gdzie Scarlett musiała wysiąść. Było już po czwartej, ale przynajmniej była w drodze - gdyby zdecydowała się czekać, dopiero teraz wyjeżdżałaby z Galway.

- Gdzie tutaj mogę kupić dobrego konia? - spytała zawiadowcę. - Nieważne, ile kosztuje, byleby tylko miał siodło, uzdę i wigor.

Przed sobą miała pięćdziesiąt mil drogi.

Właściciel konia koniecznie chciał się targować, bo czy nie w targowaniu tkwi połowa radości z udanej transakcji? Pytanie takie zadał swoim przyjaciółom w *pubie* Pod Tronem, gdzie każdemu postawił po kuflu piwa. A tu tymczasem ta szalona

kobieta rzuciła weń mieszkciem pełnym złotych suwerenów i odjechała, jakby ją piekło ścigało. Na oklep! Już nie wspomniał o tych koronkach, które nieskromnie mu ukazała, ani o nogach - prawie gołych, okrytych jedynie jedwabnymi pończoszkami - nawet buciki miała cieniśnieńkie, takie cienkie, że i po podłodze nie dałoby się w nich chodzić, co tam mówić o utrzymaniu się w strzemionach!

Koń już powłóczył nogami i dochodziła siódma wieczorem, gdy Scarlett wchodziła na most w Mullingar, konia prowadząc za sobą. W stajni, gdzie wynajmowano konie, podała lejce stajennemu.

- On nie jest kulawy - rzekła, wskazując na swego wierzchowca. - Zdyszany i zdrożony. Napój go, tylko ostrożnie, a będziesz miał z niego jeszcze sporo pożytku, chociaż nigdy nie był to koń wyścigowy. Daję ci go, jeśli sprzedasz mi jednego z tych koni myśliwskich, które trzymacie tutaj specjalnie dla panów oficerów z fortu. I tylko nie mów mi, że nie masz, bo polowałam z tymi dżentelmenami, dlatego dobrze wiem, gdzie wypożyczają wierzchowce. Aha... i jeszcze załóż mu to siodło, a jak uwiniesz się w pięć minut, dostaniesz gwineę więcej.

Dziesięć po siódmej znowu była w drodze. Przed sobą miała dwadzieścia sześć mil, lecz gdyby udało się jej pojechać na skróty, nie drogą, mogłaby zaoszczędzić czasu.

O dziewiątej minęła zamek w Trim i wjechała na drogę do Ballyhara. Każdy miesiąc w jej ciele był ogniskiem bólu, czuła się tak, jakby miała pogruchotane kości. Teraz jednak od domu dzieliły ją nieco ponad trzy mile, przesycona purpurą zmierzchu mgła łagodnie osiadała na jej powiekach i skórze. Wkrótce zaczęło mżyć. Scarlett pochyliła się do przodu, poklepała konia po karku.

- Dobre natarcie i piękny finisz, a dostaniesz najlepsze tłuczone kartofle, jakie dają w całym Powiecie, ty... jak ci tam na imię. Wziąłeś ten kawałek jak prawdziwy koń wyścigowy. Teraz możemy sobie dojechać do domu truchcikiem, bo zasłużyłeś na odpoczynek.

Oczy jej się zamykały, głowa sennie kiwała. O, dzisiejszej nocy będzie spała kamieniem. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze rano była w Dublinie i w ciągu jednego dnia przejechała Irlandię tam i z powrotem.

Teraz jeszcze drewniany most nad Knightsbrook, a potem to już prawie w domu. Do miasteczka jedna mila, potem pół mili do krzyżówek, potem nieco pod górkę i Dwór. Jeszcze tylko pięć minut, nie dłużej. Wyprostowała się, mlasnęła, stuknięciem obcasami usiłowała namówić konia do pośpiechu.

Coś nie w porządku. Widziała już miasteczko, lecz w oknach nie paliło się światło. Zwykle o tej porze rzęsiście oświetlony *pub* przypominał księżyc w pełni. Scarlett dźgała konia w boki obcasami swych delikatnych, choć bardzo już zniszczonych, miejskich trzewików. Minęła pierwsze pięć ciemnych domów, kiedy na skrzyżowaniu, skąd droga wiodła do Dworu, zauważyła grupkę mężczyzn. Czerwone kurtki. Milicja. Cóż oni sobie myślą, coż oni robią w jej miasteczku? Czyż już raz nie powiedziała, że nie chce ich tutaj widzieć? Że też musieli przypomnieć sobie o niej akurat tego wieczoru, gdy dosłownie nosem się podciera ze zmęczenia. No, tak. Teraz to już wiadomo, dlaczego w *pubie* ciemno - nie ma wyszynku dla Anglików. Zaraz się ich pozbędę, a potem wszystko potoczy się własną koleją. Och, żebym jeszcze nie wyglądała tak nieporządnie. Trudno zapanować nad zgrają mężczyzn, gdy spod sukni wystaje ci bielizna. Lepiej by było, gdybym szła na piechotę. Przynajmniej kolana miałabym zakryte.

Ściągnęła cugle. Trudno było nie jęknąć z bólu, gdy przekładała nogę przez koński grzbiet. Dostrzegła, jak od grupki angielskiej milicji odrywa się żołnierz - nie, to oficer - i szybkim krokiem zmierza w jej stronę. Cóż, niech i tak będzie. Już ona zaraz mu wyłoży, co sobie myśli o tego rodzaju nie zapowiedzianych wizytach, jest w idealnym usposobieniu, by palnąć mu to kazanie. Jego ludzie byli w jej miasteczku, weszli jej w drogę i bronili jej wstępu do jej własnego domu.

Zatrzymał się przed pocztą. Hm... mógłby przynajmniej zdobyć się na tę grzeczność i podejść do damy, nie czekać, aż ona podejdzie do niego. Utykając, na sztywnych nogach Scarlett szła szeroką ulicą ku centrum miasteczka.

- Ej, ty, z koniem! Zatrzymaj się, albo strzelam!

Scarlett zatrzymała się w pół kroku. Ale nie dlatego, że posłuchała rozkazu. To z powodu głosu oficera. Znała ten głos. Boże w niebiesiech, to przecież głos człowieka, którego - jak sądziła - nigdy w życiu już nie usłyszy. Nie, chyba się myli. To zmęczenie daje się jej we znaki. Coś się jej zwiduje, coś sobie wymyśla, śni na jawie, i to koszmary.

- A wy, ci, którzy schowaliście się w domach! Obiecuję, że nic się wam nie stanie, jeśli wydacie księdza Columa O'Hare. Mam nakaz aresztowania. Nikomu włos z głowy nie spadnie, jeśli on się podda.

Scarlett chciała wybuchnąć szalonym śmiechem. To nie mogło być prawdą. Ale dobrze słyszała, tak, to ten głos, znała go, kiedy ostatnim razem go słyszała, sączył jej do ucha słowa miłości. To Charles Ragland. Raz, jeden jedyny raz w życiu zgodziła się dzielić łóżko z mężczyzną, który nie był jej mężem, a który teraz przybył z drugiego

końca Irlandii tylko po to, by aresztować jej kuzyna. Idiotyczne, absurdalne, niemożliwe! Cóż, ostatecznie mogła być jednego pewna - jeśli nie umrze ze wstydu przy pierwszym spojrzeniu, Charles Ragland był jedynym oficerem armii brytyjskiej, który uczyni to, co mu rozkaże. Odejdź, zostaw mnie, mego kuzyna i moje miasteczko w spokoju.

Opuściła lejce, zrobiła krok naprzód.

- Charles?

Zaledwie jednak wypowiedziała jego imię, ten znowu krzyknął - Stać! - i oddał strzał w powietrze.

Scarlett skrzywiła się z niesmakiem.

- Charlesie Raglandzie, czyś ty oszalał? - krzyknęła, a wtedy rozległ się huk drugiego wystrzału, który zagłuszył jej słowa. Zaraz potem zdało się, jakby Ragland podskoczył, po czym zwałił się na ziemię. Scarlett rzuciła się w jego stronę.

- Charles, Charles!

Słyszała coraz więcej strzałów, jakieś krzyki, lecz puszczała to wszystko mimo uszu.

- Charles!

- Scarlett! - dobiegł ją czyjś głos.

- Scarlett! - usłyszała z przeciwnej strony.

- Scarlett! - szepnął Charles, gdy przy nim uklęknęła. Ze straszliwej rany w szyi szybko ciekła krew, czerwony strumień wsiąkał w czerwoną kurtkę oficerskiego munduru.

- Scarlett, kochanie, odejdź stąd - dobiegł ją głos Columa. - Scarlett, *aroon*, odejdź.

Słyszała go, ale nie mogła zmusić się, by na niego spojrzeć.

- Charles, och, Charles, zaraz sprowadzę doktora. Albo lepiej, przyprowadzę Grainne, ona na pewno ci pomoże.

Charles uniósł rękę. Ścisnęła jego dłoń. Czowała, jak łzy spływają jej po policzkach, lecz nie wiedziała, że płacze. Nie może umrzeć. Każdy, ale nie Charles, drogi, kochany Charles. Był dla niej taki czuły. Nie, nie może umrzeć. Dobry z niego był człowiek, wrażliwy. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wokół niej dzieje się coś niedobrego. Jakieś świsty... tuż obok niej coś świsnęło nad głową. Panienko Najświętsza, co się dzieje? Te strzały, te krzyki... Aha, angielscy żołnierze chcą zabić jej ludzi. Nie pozwoli. Ale przedtem musi pomóc Charlesowi... stukot butów, ktoś przebiegł. Colum krzyczy i - Boże, ty jeden wiesz! - Co ja mam robić, jak to zatrzymać, och, jego dłoń jest już całkiem zimna.

- Charles! Charles! Nie umieraj!

- Tu jest ksiądz! - ktoś zawołał. Strzały padały z ciemnych okienek okolicznych chat. Jakiś żołnierz zatoczył się i upadł.

Czyjeś ramię objęło ją od tyłu. Scarlett podniosła rękę - nieprzewidziany atak, ale będzie się bronić.

- Później, moja droga, później będziemy walczyć - usłyszała głos Retta. - To najlepszy moment, drugiego takiego nie będzie. Zabiorę cię stąd, wystarczy, jeśli nie będziesz stawiała oporu.

Zarzucił ją sobie na plecy, jedną ręką chwycił za nogę na wysokości kolan i zgięty wpół pobiegł w stronę ocienionego miejsca.

- Jak się stąd wydostać?

- Postaw mnie, to ci pokażę - odpowiedziała Scarlett.

Rett delikatnie opuścił ją na ziemię. Jego wielkie dłonie zacisnęły się wokół jej ramion, niecierpliwym ruchem przyciągnął ją ku sobie, pocałował - szybko, mocno - i puścił.

- Nie chciałbym, żeby mnie zastrzelili wcześniej, niżbym otrzymał to, po co przybyłem - rzekł, ale Scarlett zdało się, że słyszy śmiech w jego głosie. - Ale teraz lepiej stąd znikajmy.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła w ciemną wąską uliczkę między domami.

- Tędy. Zaraz wejdziemy w zarośla. Stamtąd nikt nas nie dojrzy.

- Prowadź - powiedział Rett. Uwolnił dłoń z jej uchwytu, pchnął ją lekko do przodu. Scarlett najchętniej nie pozwoliłaby mu na to, żeby się odłączył, chciała trzymać jego dłoń w swojej dłoni, nigdy jej nie wypuszczać. Ale strzelanina była tuż - tuż, kule świstały głośno i niebezpiecznie blisko, pobiegła więc w stronę żywopłotu, gdzie spodziewała się znaleźć schronienie.

Żywopłot był wysoki i gęsty. Wystarczyło wbiec między krzaki, dać parę kroków, a odgłosy walki dobiegały jakby z dużej odległości, stłumione i niewyraźne. Scarlett zatrzymała się dla złapania tchu, żeby spojrzeć na Retta, żeby przekonać się, jak bardzo zmienił się od owego dnia, gdy widziała go po raz ostatni. Serce jej przepelniała euforia.

Zaraz jednak tylko pozornie odległa strzelanina skupiła jej uwagę. Przypomniała sobie o wszystkim, co się przed chwilą wydarzyło. Charles Ragland nie żyje, widziała, jak któryś z żołnierzy został raniony, może nawet zabity. Milicja urządziła pościg za Columem, strzelała do mieszkańców miasteczka, może już kogoś zabiła. Ją także mogła dosięgnąć kula - także i Retta.

- Musimy przebiec się do Dworu - powiedziała. - Tam będziemy bezpieczni. Musimy uprzedzić służbę, żeby trzymała się z dala od miasteczka, dopóki to się nie skończy. Szybko, Rett. Niewiele mamy czasu.

Już zrywała się do biegu, gdy chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Poczekaj, Scarlett. Może lepiej trzymać się z dala od domu. Właśnie stamtąd wracam. Ciemno tam, żywej duszy nie uświadczysz. Wszystkie drzwi stoją otworem. Służba uciekła.

Scarlett wyrwała rękę z jego dłoni. Szybko podkasła spódnicę, jęknęła, zdjęta trwogą i rzuciła się pędem w stronę Dworu - szybciej niż kiedykolwiek. Kicia. Gdzie jest Kicia? Słyszała głos Retta, który ciągle coś mówił, lecz nie zwracała na niego uwagi. Musi natychmiast zobaczyć Kicię.

* * *

Kiedy z tunelu żywopłotu wypadli na szeroką ulicę Ballyhara, spostrzegli pięć ciał w czerwonych kurtkach i trzy w codziennym, zgrzebnym ubraniu farmerów. Księgarz leżał przerzucony przez parapet okna, w którym znowu nie było szyby, z jego ust kapąły kropelki krwi na przemian ze słowami modlitwy. Colum O'Hara, klęcząc obok, modlił się razem z nim, a kiedy księgarz wyzionął ducha, zrobił mu na czole znak krzyża. W odłamkach szyb odbijał się mdły blask księżyca, który z wolna wschodził nad wschodnim horyzontem szybko ciemniejącego nieba. Deszcz przestał kropić.

Columowi wystarczyły trzy kroki, by przeciąć pokój. Chwycił spod ściany miotłę i włożył do kominka, na którym jeszcze żarzyły się węgle. Strzeliło. Suche pręty wybuchły jasnym płomieniem.

Gdy Colum wybiegł na ulicę, z wysoko uniesionej pochodni na czarną sutannę sypał się warkocz iskier. Siwe włosy Columa zdały się jaśniejsze niż biel księżyca.

- Za mną, wy angielscy rzeźnicy! - krzyknął, gdy jak wichur wpadł do opuszczonej angielskiej świątyni. - Za mną, jeśli macie odwagę. Razem zginiemy za wolność Irlandii.

Dwie kule ugodziły go w szeroką pierś. Upadł. Zaraz jednak dźwignął się i zrobił siedem nierównych kroków, a wtedy następne trzy strzały rzuciły go w prawą stronę, potem w lewą, potem znowu w prawą, a potem na ziemię.

* * *

Scarlett błyskawicznie wbiegła po schodach i wpadła do mrocznego hallu, Rett zaraz za nią.

- Kiciu! - krzyknęła głosem drżącym od płaczu. - Kiciu!

Słowa potoczyły się echem po kamiennych schodach, odbiły się od marmurowych posadzek.

- Kiciu!

Rett potrząsnął ją za ramię. W mroku było widać tylko jego białą twarz i palające oczy.

- Kiciu!

Rett potrząsnął ją, tym razem jeszcze mocniej.

- Moja droga, przestań wreszcie z tym kotem. Gdzie są stajnie? Potrzeba nam nie kotów, lecz koni.

- Ach, ty głupcze! - szepnęła Scarlett głosem nabrzmiałym pełnym współczucia politowaniem. - Sam nie wiesz, co mówisz. Muszę znaleźć Kicię... Kasię O'Hara zwaną Kicia. To twoja córka.

Palce Retta boleśnie zamknęły się wokół ramienia Scarlett.

- Co ty, u diabła, mówisz?

Usiłował spojrzeć jej w oczy, lecz w półmroku jej twarz pozostawała prawie niewidoczna.

- Odpowiedz mi, Scarlett! - zawołał, ponownie ją potrząsając.

- Puść mnie, ty głupcze! To nie czas na wyjaśnienia. Kicia na pewno gdzieś tutaj jest, ale pozostawiona samej sobie boi się ciemności. Puść mnie, Rett, pozwól mi jej szukać, później odpowiem ci na wszystkie pytania. W tej chwili zaspokojenie twojej ciekawości naprawdę nie jest najpilniejszą sprawą.

Usiłowała uwolnić się z jego chwytu, lecz Rett górował nad nią siłą.

- Dla mnie to jest najważniejsze - powiedział chrapliwym, pełnym przejęcia, zdradzającym niecierpliwość głosem.

- Dobrze, dobrze, proszę bardzo. To się stało, gdy żeglowaliśmy i zaskoczyła nas burza. Pamiętasz. W Savannah odkryłam, że jestem w ciąży, ale wtedy nie przyjechałeś po mnie i byłam strasznie na ciebie zła, dlatego o niczym ci nie powiedziałam. Jak mogłam się domyślać, że zanim ci powiem o dziecku, ty ożenisz się z Anną?

- Boże litościwy! - jęknął Rett i puścił rękę Scarlett. - Gdzie ona jest? Musimy ją znaleźć!

- Znajdziemy - starała się go uspokoić. - Na stole przy drzwiach stoi lampa. Zapal zapalkę. Niczego nie widać w tych ciemnościach.

Żółty płomycek płonął wystarczająco długo, by Rett znalazł stół, lampę i zdążył ją

zapalić. Podniósł promieniejący żółtym blaskiem szklany klosz w ciężkiej obudowie z brązu.

- Gdzie najpierw?

- Kicia może być wszędzie. Ale zacznijmy od tego...

Szybkim krokiem przeszła przez jadalnię i pokój poranny - Rett z lampą za nią.

- Kiciu! - wołała co chwilę. - Kiciu - kociu, gdzie jesteś?

Wołała donośnym głosem, pełnym napięcia, lecz nie histerycznych tonów, tak żeby nie przestraszyć dziewczynki.

- Kiciu!...

* * *

- Colum! - krzyknęła Rosaleen Fitzpatrick. Rzuciła się ze stopni schodów *pubu* Kennedych i wbiegła między żołnierzy. Rozpychała się, walczyła łokciami, byleby tylko przedostać się tam, gdzie na środku szerokiej ulicy leżało zbroczone krwią ciało Columa O'Hary.

- Nie strzelać! - krzyknął oficer. - To kobieta.

Rosaleen rzuciła się na kolana, dłońmi zakryła rany na ciele Columa.

- *Ochón!* - zapłakała. Kołysała się z boku na bok, płaczącym głosem wykrzykując słowa lamentacji. Strzelanina ucichła. Głębia i siła jej rozpaczki domagała się uszanowania. Mężczyźni bładzili wzrokiem, byleby tylko nie patrzeć na jej żal.

Unurzany w jego krwi palcami delikatnie zamknęła mu oczy i po celtycku wyszeptła słowa ostatniego pożegnania. Po czym chwyciła pełgającą resztkami ognia pochodnię, zakołysała nią raz i drugi, by wzniecić płomień. Czerwonym blaskiem oświetlona jej twarz wyglądała upiornie. Zerwała się do biegu tak szybko, że gdy dotarła do dróżki wiodącej do anglikańskiej świątyni, żaden z żołnierzy nie zdążył oddać strzału.

- Za Irlandię i jej męczennika Columa O'Harę - krzyknęła z triumfem, po czym wbiegła do arsenału wywijając pochodnię. Przez chwilę trwała cisza. Potem kamienne ściany kościoła z ogłuszającym hukiem runęły na ulicę, a w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała wyniosła budowla, teraz unosił się słup ognia i dymu.

* * *

Niebo było jaśniejsze niż w dzień.

- Boże wielki! - szepnęła Scarlett. Strach zaparł jej dech w piersi. Zakryła uszy dłońmi i rzuciła się do biegu wołając Kicię, gdy z oddali dobiegały grzmoty kolejnych

wybuchów, gdy Ballyhara zalało morze ognia.

Wbiegła na schody. Rett zaraz obok. Wpadła na korytarz, tam, gdzie znajdowały się pokoje dziewczynki.

- Kiciu! - wołała, starając się, by nie było śladu grozy w jej głosie. - Kiciu!

Wymalowane na ścianie zwierzątka lekko drżały w pomarańczowym blasku wpadającym przez okna, na świeżo wyprasowanym obrusie stał serwis do herbaty, kołderka w łóżku leżała równo, starannie wygładzona.

- Kuchnia! - wydyszała Scarlett. - Kicia kocha być w kuchni. Możemy zawołać ją z galeryjki.

Wypadła na korytarz. Rett za nią, deptał jej po piętach. Wbiegła do salonu. Krótki rzut okiem: książki kucharskie, książki z rachunkami, lista gości, których chciała zaprosić na ślub. Teraz drzwi wejściowe na galerię, po przeciwnej stronie drzwi do pokoju Mrs. Fitzpatrick. Scarlett zatrzymała się na środku długiego pomostu, przechyliła się przez balustradę.

- Kiciu - kociu! - zawołała łagodnym głosem. - Proszę, jeśli tu jesteś, odpowiedz mamie. To bardzo ważne, serduszko.

Bardzo się starała zachować spokój w głosie.

Pomarańczowa poświata odbijała się na miedzianych patelniach, które wisiały na ścianie nad zlewem. Na kominku żarzył się ogień. W olbrzymim pomieszczeniu zaległa cisza, tylko cienie tańczyły na posadzce, na suficie, na ścianach. Scarlett wyteżyła słuch i wzrok. Ciągle nic. Już chciała zawrócić, gdy dobiegł ją cichutki głosik.

- Kicię bolą uszy.

- Och, Bogu niech będą dzięki! - westchnęła Scarlett z całego serca. Teraz tylko spokojnie, cichutko...

- Wiem, dziecino, straszny tu hałas, a Kicia ma bardzo wrażliwe uszka. Teraz mamusia obejdzie galeryjkę i zejdzie na dół. Poczekasz na mnie?

Mówiła normalnym głosem, zupełnie jakby nigdy nic, ale palce tak mocno zacisnęła na barierce, że aż cała balustrada zadygotała.

- Poczekam.

Scarlett krótkim ruchem dłoni wskazała drogę. Rett szedł za nią spokojnie, krok za krokiem, przez galerię w stronę drzwi. Zamknął je za sobą, dokładnie i cicho. A wtedy Scarlett zaczęła się trząść od płaczu.

- Byłam... taka przerażona. Myślałam, że ją zabrali. Albo zranili.

- Scarlett, spójrz - powiedział Rett. - Musimy się spieszyć.

Za otwartymi oknami stała ściana ognia - jeszcze daleka, lecz z każdą chwilą podpełzająca bliżej Dworu.

- Biegiem! - krzyknęła.

Światło z gorejącego purpurą nieba wpadało przez otwarte okna. W krwawopomarańczowym blasku Scarlett mogła widzieć twarz Retta - trzeźwą, opanowaną. Teraz znowu mogła na niego spojrzeć, wesprzeć się o jego ramię. Kicia była bezpieczna. Rett ujął ją pod rękę, podtrzymywał ją nawet wtedy, gdy prawie biegła.

Po schodach zbiegli. Wpadli do sali balowej. Irlandzcy bohaterowie z fresków, oświetleni luną ogromnego pożaru, zdali się jakby żywi. Biegając przez kolumnadę mieli wrażenie, że to biały dzień, nie późny wieczór - tak mocno luna biła nad Ballyhara. Dobięły ich stłumione odgłosy dalekich wystrzałów. Scarlett, wpadłszy do kuchni, poczekała na Retta i natychmiast zatrzasnęła za nim drzwi.

- Pomóż mi zaryglować! - wydyszała resztką tchu.

Rett wziął od niej żelazną sztabę i wsunął ją w żelazne uchwyty.

- Jak ci na imię? - spytała Kicia, wychodząc z ciemnego kąta przy kuchni.

- Rett - odpowiedział drżącym ze wzruszenia głosem.

- Zaprzyjaźnicie się później - przerwała im Scarlett. - Teraz musimy biegiem do stajni. Tutaj są drzwi do ogrodu, ale nie przejdziemy przez wysoki mur, chyba że gdzieś tam jest furtka. Wiesz coś o jakiejś furtce w murze, Kiciu?

- Uciekamy?

- Tak, Kiciu - kociu. Ci ludzie, którzy narobili tyle straszego hałasu, teraz chcą nam wyrządzić krzywdę.

- Mają kamienie?

- Tak. I to bardzo duże.

Rett podszedł do drzwi do ogrodu, otworzył je, wyjrzał na zewnątrz.

- Jeśli cię podsadzę, Scarlett, możesz wspiąć się na mur - powiedział. - Potem podam ci Kicię.

- Dobrze. Ale najpierw przekonajmy się, czy nie można inaczej, Kiciu, nie mamy czasu. Powiedz mamie: jest furtka w murze?

- Jest.

- Dobrze. A teraz podaj mamie rączkę. Idziemy.

- Do stajni?

- Tak. Idźmy już wreszcie, Kiciu.

- Tunelem byłoby szybciej.

- Tunelem? - głos Scarlett zadrżał. Rett wrócił do drzwi, położył Kici rękę na ramieniu.

- Tunelem idzie się do skrzydła dla służby - wyjaśniła dziewczynka. - Lokaje muszą tamtędy chodzić zawsze wtedy, gdy jemy śniadanie, tak, żeby nie mogli podglądać nas przez okna.

- Straszne - szepnęła Scarlett. - Gdybym wiedziała...

- Kiciu - odezwał się Rett. - Bardzo cię proszę, zabierz mamę i mnie do tunelu. Mam cię wziąć na rękę, czy wolisz iść o własnych siłach?

- Jeśli mamy się spieszyć, to weź mnie na rękę.

Rett przyklęknął, wyciągnął ramiona, zaś dziewczynka z pełnym zaufaniem oddała się w jego objęcia. Przeczornie nie ścisnął jej zbyt mocno, choć nie mógł wytrzymać, by nie przytulić córeczki.

- A teraz wejdź mi na plecy - polecił - i mocno trzymaj mnie za szyję. Powiedz, dokąd mam iść.

- Najpierw obok kuchni, do tych otwartych drzwi - zaczęła Kicia. - Tutaj jest pomywalnia. O, drzwi do tunelu są otwarte. To ja zostawiłam je otworem na wypadek, gdybym musiała uciekać. Mama była w Dublinie.

- Scarlett, kochanie, później się wypłaczesz. Pozwól Kici, żeby pomogła nam unieść cało nasze nic nie warte głowy.

Tunel miał okienka - okratowane, tuż pod sklepieniem - tak że światła wpadało zaledwie tyle, by się nie przewrócić w ciemnościach, ale Rett szedł szybko, pewnym krokiem, ani razu się nie potknął. Szedł pochylony, trzymając Kicię za rękę. Kiedy wpadł w galop, dziewczynka zaczęła pisać z radości.

Panienko Najświętsza! - jęknęła w głębi ducha Scarlett. Nasze życie w niebezpieczeństwie, a ten człowiek bawi się w konika! Sama już nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Czy był kiedy na świecie mężczyzna tak zwariowany na punkcie dzieci jak Rett Butler?

Kiedy dotarli do skrzydła zamieszkanego przez służbę, Kicia wskazała im drogę na podwórze. Szybko trafili do stajni. Konie szalały z przerażenia: rżały, stawały dęba, były kopytami o kraty.

- Mocno trzymaj Kicię! - krzyknęła Scarlett. - Ja wypuszczę konie.

Miała świeżo w pamięci opowieść Barta Morlanda.

- Ty ją weź - powiedział Rett, po czym podał jej Kicię. - Ja się zajmę końmi.

Scarlett, dla wszelkiej pewności, wycofała się do tunelu.

- Kiciu - kociu, poczekasz tu chwileczkę sama? Mamusia pomoże Rettowi wypuścić konie.

- Tak. Ale tylko chwileczkę. Nie chcę, żeby Rettowi stała się jakaś krzywda.

- Wyślę je na pastwisko. Dzielna z ciebie dziewczynka.

- Tak - odpowiedziała Kicia.

Scarlett podbiegła do Retta, wspólnymi siłami wygnali ze stajni wszystkie konie z wyjątkiem Komety i Półksiężycy.

- Pojadę na oklep! - krzyknęła Scarlett. - Biegnę po Kicię.

Już mogli widzieć, jak wewnątrz domu szaleją płomienie. Nagle ogień wspiął się po zasłonach w którymś z pokojów. Scarlett tym szybciej pobiegła do wejścia do tunelu - Rett w tym czasie starał się uspokoić konie. Kiedy wróciła, siedział na Komecie, jedną ręką trzymał za lejce, drugą przytrzymywał za grzywę Półksiężycy.

- Podaj mi Kicię - powiedział.

Scarlett przekazała mu dziewczynkę, sama zaś weszła na stopień, skąd wspięła się na konia.

- Kiciu, pokażesz Rettowi drogę do brodu? Pojedziemy do Gochny, ścieżką koło wieży, jak zawsze. Z Adamstown ruszymy drogą do Trim. To niedaleko. Później w hotelu wypijemy herbatę i zjemy parę ciastek. Tylko nie marudź. Pokażesz Rettowi drogę. Ja pojadę pierwsza. Jazda!

- Kicia powiada, że nas zaprasza - spokojnie stwierdził Rett.

Jego szerokie ramiona wyraźnie rysowały się na tle sięgającej ku niebu ściany ognia. Adamstown też już stało w płomieniach. Jedyna droga ucieczki odcięta. Scarlett zeskoczyła z konia.

- To już niedaleko - powiedziała dziwnie zrównoważonym głosem, ale niebezpieczeństwo było zbyt blisko, by mogła sobie pozwolić na zdenerwowanie. - Kiciu, zeskakuj i wspinaj się po drabinie, tylko szybko, jak małpeczka.

Konie pobiegły brzegiem rzeki. Odprowadzili je wzrokiem, a gdy znikły z pola widzenia, ruszyli w ślady Kici.

- Możesz już wciągnąć drabinę - rzekła Scarlett, gdy Rett pojawił się w otworze, który zastępował drzwi. - Wtedy nas nie osiągną.

- Ale i tak będą wiedzieć, że tu jesteśmy - odparł.

- Nie bój się, powstrzymam każdego, kto zechciałby tutaj wtargnąć. Tylko pojedynczo mogą próbować wejść do wieży, we dwóch nie zmieszczą się na drabinie. A

teraz cicho. Coś słyszę. Nadchodzą.

Scarlett wczółgała się do głębokiej niszy w grubym murze, wzięła dziewczynkę w objęcia.

- Kicia się nie boi!

- Sza, bądź cichutko. Głupiutka mamusia ma stracha.

Kicia, chichocząc, rączką zakryła jej usta.

* * *

Głosy były już zupełnie wyraźne - zbliżały się, a z nimi blask zapalonych pochodni. Scarlett usłyszała Józefa O'Neilla - kowala.

- A nie mówiłem, że wybijemy Anglików co do nogi, niech no tylko spróbują wejść do Ballyhara - perorował basem. - A widzieliście, jaką to minę zrobił, gdym wzniosł ramię nad nim? „Jeśli Boga macie w sercu, panie Angliku”... rzekłem mu wtedy... w co wątpię, pojednajcie się z nim co rychlej, bo zaraz was nie będzie. A później wraziłem mu w brzuch włócznię niby wielkiej, tłustej świni. Scarlett zakryła Kici uszy. Strasznie się chyba boi - pomyślała zaniepokojona. Boi się, choć zawsze była nieustraszona, moja biedna mała Kicia. Nigdy w życiu nie tuliła się do mnie w ten sposób.

Scarlett delikatnie chuchała jej na szyję, kołysała ją na kolanach - *aroon, aroon* - jak gdyby jej ramiona były równie mocne, równie bezpieczne, jak drewniane, grube ściany kołyski.

Inne głosy przekrzyczały kowalskie przechwałki.

- **Ta O'Hara** przeszła na stronę Anglików, to jasne... A nie mówiłem, że na tym się skończy?...

- O, tak, Brendan, mówiłeś. I głupiec był ze mnie, że ci nie wierzył...

- Widziałeś ją w miasteczku, jak klęczała przy Czerwonej Kurtce?...

- Zastrzelić ją to jeszcze mało! Powinniśmy ją powiesić i to tak, żeby powoli się dusiła własnym językiem...

- Lepiej spalić. Stos to najlepsze dla wiedźmy...

- Nie ją, to podrzutka powinniśmy spalić... tego czarnego odmienca, od którego wzięły się wszystkie nieszczęścia... który rzucił czar na O'Hare...

- ... na pola...

- ... na chmury, żeby nie dawały deszczu...

- ... odmieniec...

- ... podrzutek...

- ... odmieniec...

Scarlett wstrzymała oddech. Głosy zdały się dobiegać z tak bliska, brzmiały tak nieludzko, niczym skowyt dzikich zwierząt. Spojrzała na sylwetkę Retta, rysującą się na tle otworu, przez który wchodziło się do wieży. Czowała, że jest w gotowości. Może zabić każdego, kto usiłowałby wspiać się po drabinie, cóż jednak powstrzyma kule, jeśli ci z dołu zaczną strzelać, a on nieopatrznie wystawi się na ogień? Rett. Och, Rett, bądź ostrożny. Scarlett czuła rozkoszne mrowienie, czuła, że w bliskości Retta jest szczęśliwa. Szczęście przepelniało ją całą, każdy zakątek jej ciała. Rett przybył. Kochał ją.

Motłoch dotarł do stóp wieży. Przystanęli.

- Wieża... - rozległo się poszeptywanie, gwar wielu głosów. - Wieża. Są w wieży.

Późniejsze krzyki, które się rozległy, były niczym poszczekiwanie psiej sfory nad lisią padliną. Serce Scarlett waliło tak mocno, że w uszach słyszała jakby dudnienie młotów. Głos Józefa O'Neilla przebił się przez gwar.

- Nie, nie ma ich tam, widzicie, drabina wisi na zewnątrz. Gdyby tam byli, to by ją wciągnęli.

- A właśnie, że nie - włączył się drugi głos. - O'Hara jest sprytniejsza, niż wam się wydaje, Józefie. Chce nas w ten sposób wywieść w pole.

Pozostali zgodzili się z opinią tego drugiego.

- ... Denny - zawołał ktoś. - Ty plotłeś tę linę, wiesz, że jest mocna, wejdź na górę i zobacz, czy ich tam nie ma.

- Jeszcze by co! - obruszył się Denny. - Sam sobie idź, Dave Kennedy, skoroś już wpadł na ten pomysł... Podrzutek rozmawia tam na górze z duchem powieszzonego lorda... ciągle wisi, oczy ma otwarte i spojrzeniem przekłuwa cię na wskroś niczym nożem... Moja stara matka na Wszystkich Świętych widziała, jak się włączył, powróz ciągnąc za sobą, a wszystko, czego dotknął, usychało... Czuję, jak wiatr mnie owiewa... O, odchodzę stąd.

- Ale co, jeśli O'Hara i podrzutek są w wieży? - wtrącił jakiś głos.

- I na to znajdzie się sposób. Za wszystko zło, które nam wyrządzili, zasłużyli na śmierć. Och, czy powolne konanie śmiercią głodową nie jest równie dobre jak stos? Chłopcy, przytknijcie pochodnie do drabiny. Liny spłoną, a tamci nie będą mogli zejść na dół nie skręciwszy sobie karków.

Scarlett poczuła gryzący dym palonych konopi. Omal nie zaczęła krzyczeć z radości. Teraz nic już im nie grozi! Nikt nie wejdzie na górę. Jutro splecie się linę z chodniczków, które Kicia porzkiadała na podłodze. Dzięki Bogu, niebezpieczeństwo

minęło, już po wszystkim. Jutro, skoro świt, opuszczą wieżę i jakoś przedostaną się do Trim. Ważne, że są bezpieczni. Przygryzła wargi, by powstrzymać się od śmiechu, od płaczu, od wykrzykiwania imienia Retta, które - czuła to - torowało sobie drogę przez ściśnięte ze wzruszenia gardło, wisiało w powietrzu; zdało się Scarlett, że słyszy jego odpowiedź, jego niski, jakby zawsze roześmiany głos wypowiadający jej imię.

Dużo czasu musiało jednak upłynąć, zanim głosy ucichły, nim zupełnie umilkł stukot butów. Ale nawet wtedy Rett nie odezwał się ani słowem, tylko podszedł do niej i do Kici, po czym wziął je w ramiona. I to wystarczyło za wszystko. Scarlett oparła głowę o jego ramię - tylko tego pragnęła, niczego więcej.

Później, znacznie później, gdy ciężka główka Kici opadła jej na piersi, a zwiotczałe rączki i nóżki wyraźnie przekonywały, że zmorzył ją sen, Scarlett położyła córeczkę na miękkim posłaniu w niszy i okryła kołderką. Potem zwróciła się do Retta. Dłonie zaplotła mu na szyi, jej wargi znalazły jego usta.

- A więc to tak - szepnęła drżącym ze wzruszenia głosem, gdy skończył się pocałunek. - Cóż, Mr. Butler, aż dech w piersi zatyka.

Zaniósł się niemym śmiechem. Delikatnie rozplótł jej zaciśnięte na swym karku dłonie.

- Odejźmy od dziecka. Musimy porozmawiać.

Jego niski, spokojny głos nie obudził Kici. Zanim odszedł, poprawił jej kołderkę.

- Tutaj, Scarlett - wskazał ręką. Wyszedł z niszy i podszedł do okna. Na tle czerwonej łuny wyraźnie widziała jego jastrzębi profil. Scarlett posłusznie podeszła za nim do okna - teraz nie zawahałaby się pójść za nim choćby na koniec świata. Wystarczyłoby, by wezwał ją po imieniu. Nikt nigdy nie mówił „Scarlett” w ten sposób, jak on.

- Uciekniemy bez trudu - szepnęła poufnie, gdy już znalazła się obok niego. - Z chatki więdźmy prowadzi ukryta ścieżka.

- Czyjej chatki?

- Więdźmy... W rzeczywistości to nie więdźma, w każdym razie ja tak uważam, ale to bez znaczenia. Ważne, że Grainne pokaże nam drogę. Albo Kicia. Stale przebywając tu wśród drzew i w zaroślach powinna znać okolicę jak własną kieszeń.

- Czy istnieje coś, o czym Kicia by nie wiedziała?

- Nie wie, kim jest jej ojciec...

Spostrzegła, jak zacisnął szczękę.

- Pewnego dnia spiorę cię na kwaśne jabłko za to, że mi nie powiedziałaś.

- Chciałam, naprawdę chciałam! - zawołała żarliwie. - Ale nie mogłam, bo ty urządziłeś wszystko w ten sposób, że nie było jak. Rozwiodłeś się, chociaż rzekomo było to nie do zrobienia, a potem, zanim zdążyłam wszystko odwrócić, ożeniłeś się z Anną. I cóż ja biedna miałam począć? Uwiesić się u klamki frontowych drzwi w twoim domu w Charlestonie z dzieckiem zakutym w szal, jak to robią upadłe kobiety ze swoimi bękartami? Jak mogłeś mi wyrządzić podobną krzywdę, Rett? To była wielka podłość z twojej strony.

- Podłość? Po tym, jak znikłaś Bóg wie gdzie bez słowa pożegnania? Moja matka zamartwiała się na śmierć, dosłownie się rozchorowała i dopiero wiadomość od Eulalii, że jesteś w Savannah, zdołała ją jakoś uspokoić.

- Ale ja przecież zostawiłam liścik. Nigdy w życiu nie ośmieliłabym się zdenerwować twojej matki. Kocham Miss Eleonorę.

Rett ujął jej podbródek w obie dłonie, odwrócił jej twarz w stronę okna i spoglądał tak przez dłuższą chwilę w świetle jasnoczerwonej łuny. Nagle pochylił się, pocałował ją, zaplótł wokół niej ramiona i przyciągnął ją bliżej siebie.

- I znowu to się stało - powiedział. - Moja ty droga, w gorącej wodzie kąpana, głupiutka, cudowna, przyprawiająca o białą gorączkę Scarlett, czy pojmujesz, że jednak, mimo wszystko, zdołaliśmy przebrnąć przez ten chaos? Nie zauważane uczucia, przegapiane szanse, pasmo nieporozumień, którego nikt nie potrafił przeciąć. A jednak udało się nam wyjść z tego galimatiasu obronną ręką. Jestem już za stary, by grać w dramatach.

Ukrył swe usta - i swój śmiech - w jej rozczochranych włosach. Scarlett zamknęła oczy i wsparła się o jego silną pierś. Bezpieczna w wieży, bezpieczna w objęciach Retta mogła dać upust całemu swemu zmęczeniu, mogła pozwolić sobie na wytchnienie. Rett objął ją jeszcze mocniej i łagodnie poklepywał po plecach.

Minęło dużo, dużo czasu, gdy jego ramiona napięły się pożądaniem, a Scarlett poczuła, jak do żył uderza jej nowa fala zatrważającej mocy. Uniosła twarz ku jego twarzy, a w oszłamiającym uniesieniu, które czuła, kiedy spotkały się ich wargi, nie było ani ulgi, ni niebezpieczeństwa. Palcami wbiła się w jego gęste włosy, objęła go za głowę, pociągnęła w dół, aż ich usta znowu się spotkały, aż znowu poczuła zarazem omdlewającą słabość, dziwną moc i uczucie pełni. Jedynie ze strachu, żeby nie obudzić Kici, zdusiła dziki okrzyk radości, który już już wyrywał się jej z piersi.

Gdy ich pocałunki stały się zbyt namiętne, Rett gwałtownie odsunął się. Chwycił za kamienny parapet z siłą tak wielką, że aż zbieleły mu kłykcie.

- Mężczyzna może nad sobą panować tylko do pewnych granic - wydyszał ciężko. -
A w tej chwili myślę jedynie o tym, że kamienna posadzka jest jeszcze bardziej niemiła
w dotyku niż mokra plaża w czas burzy.

- Powiedz, że mnie kochasz!

Rett wykrzywił usta w uśmiechu.

- Skąd ten pomysł, skarbeńku? Tak często wsiadam na te przekłete, klekoczące,
zatykające się własnym dymem parowce jedynie dlatego, że lubię Irlandię dla jej
klimatu.

Roześmiała się, a potem obiema pięściami stuknęła go w ramię.

- Powiedz, że mnie kochasz!

Rett chwycił ją za nadgarstki.

- Kocham cię, ty wstrętna dziewucho.

Nagle spochmurniał.

- I zabiję tego łajdaka Fentona, jeśli tylko spróbuje mi cię zabrać.

- Och, Rett - westchnęła. - Nie bądź głupi. Ja nawet nie zdołałam polubić tego
zimnokrwistego potwora. Chciałam wyjść za mąż tylko dlatego, że nie mogłam mieć
ciebie.

Rett sceptycznie uniósł brwi - Scarlett poczuła się w obowiązku wyjaśnić wszystko
do końca.

- Cóż... poniekąd podobał się mi ten pomysł zamieszkania w Londynie... tytuł
hrabiowski... poza tym, poślubiając go, mogłabym pomścić wszystkie zniewagi, które
wobec mnie popełnił... no i cały jego majątek przypadłby w udziale Kici.

Czarne oczy Retta rozbliły dowcipem. Pocałował zamknięte w jego uściskach
dłonie Scarlett.

- Bardzo mi Ciebie brakowało.

* * *

Przegadali całą noc siedząc jedno przy drugim na zimnej posadzce z kamienia,
splaceni rękoma. Rettowi ciągle nie było dosyć opowiadania o Kici, Scarlett zaś
opowiadała mu o niej z przyjemnością, zachwycona, jak słuchając jej opowieści, rośnie
w dumę.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby pokochała mnie bardziej niż Ciebie -
ostrzegł ją lojalnie.

- Nie masz najmniejszej szansy - zwierzyła się mu Scarlett. - Kicia i ja doskonale się
rozumiemy i nie zamierzamy znosić twojego infantylizmu i nikomu niepotrzebnych

pieszczot.

- A co z uwielbieniem?

- Och, Kicia przywykła do tego. Nie przestaję jej wielbić od dnia jej narodzin.

- Zobaczymy. Już ja mam swoje sposoby na kobiety, same mi o tym mówią.

- A ona doskonale umie sobie radzić z mężczyznami. Był tutaj taki chłopczyk, nazywał się Billy Kelly... aha, Rett, zgadnij, jaką nowinę mam dla ciebie. Ashley się ożenił. Byłam swatką. Posłałam matkę Billy'ego do Atlanty...

Skoro już zaczęła opowiadać o Harriet Kelly, nie mogła nie wspomnieć i o tym, że także India Wilkes znalazła sobie męża, a od tej wiadomości krótka już droga do informacji, że Rosemary nadal trwa w staropanieńskim żywocie.

- I chyba już do śmierci pozostanie starą panną - podsumował Rett opowieść o swej siostrze. - Mieszka w Dunmore Landing, topi pieniądze w przywracaniu do użytku zniszczonych pól ryżowych i z każdym dniem coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że zdołała zakasować Julię Ashley.

- Jest szczęśliwa?

- Aż promienieje od szczęścia. Gdyby mogła przyspieszyć mój odjazd, własnoręcznie spakowałaby mi kufry.

W oczach Scarlett czało się nieme pytanie. Rett odczytał je i odpowiedział.

- Tak - westchnął - opuściłem Charleston. Błędem z mojej strony było przekonanie, że mogę tam mieszkać i być zadowolony. I chociaż, jeśli człowiek urodzi się w tym mieście, nigdy nie zdoła się od niego uwolnić, wolę odwiedzać Charleston, nie chcę tam mieszkać.

- O, tak - mówił dalej. Próbował, wmawiał sobie, że musi się ustatkować, że potrzeba mu stabilności, którą daje rodzina i tradycja. W końcu jednak zaczął się czuć jak ptak, któremu obcięto skrzydła. Już nie był zdolny do wzlotów. Czuł się przywiązany do ziemi, obciążony pamięcią przodków, minionych pokoleń, przeszłości. Ciężła mu tradycja tego miasta, bal świętej Cecylii. Charleston w ogóle. O, tak. Kocha to miejsce na ziemi - Bóg jeden wie, jak bardzo je kocha - kocha jego piękno, jego wdzięki, łagodne podmuchy przesyconego zapachem soli wiatru od morza, odwagę i determinację w obliczu zagłady i powojennej ruiny. Ale to nie dosyć. Nie może żyć przeszłością, trzeba mu wyzwania, ryzyka, czegoś w rodzaju blokady, przez którą musiałby się przedzierać.

Scarlett westchnęła cicho, ale z wyraźnym uczuciem ulgi. Nienawidziła Charlestonu i była przekonana, że Kicia też zniełubi to miasto. Dziękować Bogu, Rett wcale nie miał

zamiaru tam wracać.

Potem spokojnym, zrównoważonym głosem zapytała Retta o Annę. Zamilkł na chwilę i tkwił tak przez moment - zdałoby się - bardzo długi. Po czym odezwał się głosem przepełnionym żalem.

- Zasługiwała na męża lepszego niż ja i na los lepszy od tego, który ją czekał razem ze mną. Anna była kobietą obdarzoną prawdziwym, lecz ukrytym heroizmem, miała w sobie tyle siły, że każdy tak zwany bohater zarumieniłby się po uszy, gdyby przyszło mu zmierzyć się z nią... W owym czasie byłem prawie oszalały z rozpacz. Odeszłaś, nikt nie wiedział, gdzie cię szukać... Sądziłem, że chcesz mnie ukarać, dlatego, żeby ukarać ciebie, żeby dowieść, że nic mnie nie obchodzisz, przeprowadziłem rozwód.

Niewidzącymi oczyma zapatrzył się przed siebie. Scarlett czekała. Potem powiedział, że modlił się, byle tylko nie zranić uczuć Anny i - jak daleko sięga jego pamięć - nie przypomina sobie, by kiedykolwiek świadomie ją uraził. Ale Anna była zbyt młoda, kochała go zbyt mocno, by podejrzewać, że przywiązanie i troska, którymi ją darzy, są jedynie cieniem męskiej miłości. Nigdy się nie dowie, jaką karę powinien ponieść za to, że ją poślubił. Była taka szczęśliwa. Jedną z wielkich niesprawiedliwości tego świata jest ta, że tak łatwo uczynić szczęśliwą kobietę niewinną i pełną uczucia, że tak niewiele jej potrzeba.

Scarlett wsparła się głową o jego ramię.

- Wielka to rzecz uczynić kogoś szczęśliwym - powiedziała. - Nie rozumiałam tego, dopóki nie urodziłam Kici. Gdy przyszła na świat, wiele spraw dotąd dla mnie zupełnie obcych w jednej chwili pojęłam. Wydaje mi się, że chyba się od niej uczę.

Rett oparł się policzkiem o jej głowę.

- Bardzo się zmieniłaś, Scarlett - mruknął. - Wydoroślałaś. Będę musiał poznawać cię od nowa.

- A ja muszę poznawać ciebie, koniec, kropka. Bo nigdy cię nie znałam, nawet wtedy, gdy żyliśmy razem. Teraz zrobię to lepiej, obiecuję.

- Tylko nie bierz się za to zbyt serio, bo rozłożysz mnie na części - roześmiał się, po czym pocałował ją w czoło.

- Tylko przestań drwić ze mnie, Recie Butler... albo nie, nie przestawaj. Lubię to, nawet gdy twoje drwiny doprowadzają mnie do obłędu.

Pociągnęła nosem.

- Oho, wilgoć w powietrzu. Pewnie się rozpadało. Deszcz powinien ugasić pożar. Gdy wzejdzie słońce, zobaczymy, czy cokolwiek ocalało. Teraz zaś spróbujmy zasnąć.

Gdy wstanie dzień, czeka nas masa roboty.

Oparła głowę o jego kark, ziewnęła.

Kiedy usnęła, Rett wstał, wziął ją w ramiona i znowu usiadł. Trzymał ją w objęciach, a ona trzymała w objęciach Kicię. Irlandzka mżawka otuliła starą kamienną wieżę zasłoną słodkiej ciszy.

* * *

Gdy wzeszło słońce, Scarlett drgnęła, czując na twarzy dotyk pierwszych promieni, obudziła się i otworzyła oczy. Pierwsze, co spostrzegła, to twarz Retta: policzki ocienione zarostem, sińce pod oczami... A jednak uśmiechnęła się, zadowolona. Następnie przeciągnęła się i ziewnęła cichutko.

- Wszędzie mnie łamie - poskarżyła się żałośnie. - I wygłodziłam się na śmierć.

- Logiczności, twe imię jest „kobieta” - mruknął Rett.

- Kochanie, podnieś się, miażdżysz mi nogę.

Cichutko podeszli do posłania Kici. W niszy panował półmrok, lecz chociaż niczego nie mogli dostrzec, słyszeli spokojne pochrapywanie dziewczynki.

- Zawsze, gdy przewróci się na plecy, śpi z otwartymi ustami - wyjaśniła Scarlett.

- Bardzo utalentowana dziewczynka - szepnął Rett.

Scarlett stłumiła w sobie chęć do śmiechu. Wzięła Retta za rękę i pociągnęła w stronę okna. To co ujrzała, natychmiast przywróciło ją rzeczywistości: z kilkunastu miejsc dźwigały się ku niebu smugi dymu, brudząc szarymi plamami różowe obłoki. Oczy Scarlett wypełniły się łzami.

Rett objął ją ramieniem.

- Kochanie, możemy wszystko odbudować.

Scarlett spojrzała nań przez łzy.

- Nie, Rett, nie chcę. W Ballyhara Kicia nie jest bezpieczna, a, jak sądzę, także i ja. Nie sprzedam majątku. To ziemia O'Harów, niech więc pozostanie ich własnością. Nie chcę też, żeby wszystko znowu zarosło chwastami, popadło w ruinę. Ale nie chcę ani drugiego Dworu, ani nowego miasteczka. Moi kuzyni najmą jakichś farmerów, którzy będą obrabiać ziemię. Bo, niezależnie od tego, ile pożarów by tu nie wybuchło, ile by kul nie świstało, Irlandczycy zawsze będą kochać pracę na roli. Papa zwykł był mawiać, że dla każdego Irlandczyka ziemia jest niczym matka... Ale ja nie należę do tego miejsca, już nie czuję się z nim związana... może nigdy naprawdę nie byłam, bo w przeciwnym razie nie wyprawiałabym się tak chętnie do Dublina, na polowania i w gości... Sama nie wiem, gdzie moje miejsce, Rett. Nawet w Tarze nie czuję się u siebie.

Ku jej zaskoczeniu Rett wybuchnął śmiechem - śmiechem radości.

- Należysz do mnie, Scarlett, czyż jeszcze tego nie odkryłaś? A świat zaczyna się dla nas wszędzie tam, gdzie jesteśmy... tam jest nasz cały świat. Nie jesteśmy ludźmi przywiązanymi do jednego określonego miejsca. Awanturnicy z nas, poszukiwacze przygód, korsarze, kurierzy z oblężonego miasta, przedzierający się przez blokadę. Gdy życie nie rzuca nam wyzwania, żyjemy zaledwie połowicznie. Możemy pójść dokądkolwiek, a dopóki jesteśmy razem, tam jest nasz dom, do nas należy to miejsce. Ale, mój ty skarbieńku, my nigdy nie będziemy należeć do niego, nigdy się z nim nie zrośniemy. To dobre dla innych, nie dla nas.

Spojrzał na nią, a kąski jego ust drżały rozbawieniem.

- Powiedz mi, Scarlett, powiedz mi o wschodzie słońca pierwszego dnia naszego nowego życia: kochasz mnie z całego serca, czy tylko pożyłaś mnie dlatego, że nie mogłaś mnie mieć?

- Rett, jakie podłości wygadujesz! Kocham cię z całego serca i zawsze będę cię kochać.

Chwila wahania nim udzieliła mu odpowiedzi była tak krótka, że tylko Rett mógł ją usłyszeć. Odrzucił głowę do tyłu, zagrzmiął śmiechem.

- Kochanie - zawołał - widzę, że nigdy nie będziemy narzekać na nudę. Aż trudno mi się doczekać, kiedy stąd wyjdziemy.

Mała, brudna rączka pociągnęła go za nogawicę. Spojrzał na dół.

- Kicia chce iść razem z wami - powiedziała jego córeczka.

Porwał ją w ramiona, jego oczy błyszczały uczuciem.

- Mrs. Butler, jest pani gotowa? - odwrócił się do Scarlett. - Blokada czeka. Kicia roześmiała się, szczęśliwa.

Spojrzała na Scarlett oczyma, w których igrały tajemnicze chochliki.

- Stara drabina leży pod posłaniem - powiedziała, obejmując Retta za szyję. - Grainne kazała mi ją przechować.